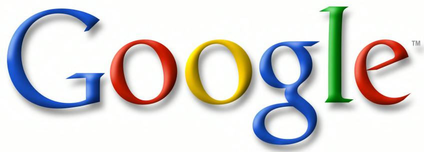
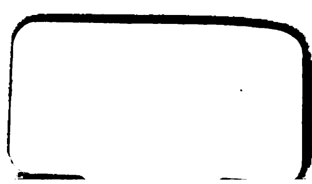








ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

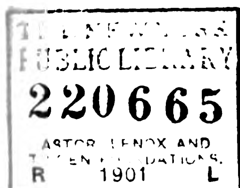
1900.

TOM I.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM XCVII.

WARSZAWA.
DRUK JANA COTTY,
ulica Kapucyńska № 7.

1900.



Дозволено Цензурою.
Варшава, 6 Марта 1900 года.

SPIS RZECZY.

Str

1. Rzeczy społeczne i spółczesne.

2. Ekonomia polityczna.

3. Beletrystyka.

4. Literatura.



ROK XXV. WARSZAWA. Og. zb. Tom XCVII.

ATENEUM



PISMO NAUKOWE
i
LITERACKIE.

TOM I. — ZESZYT I.

Styczeń.

1900.

Druk. i Litogr. JANA COTTY w Warszawie.
7. Kapucyńska 7.

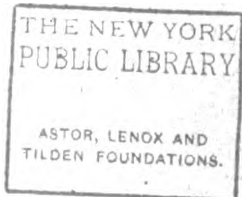
SPIS RZECZY.



Zeszyt zawiera arkuszy 16.

Druk ukończono d. 24 stycznia 1900 r.





PRAWDA.

Za siedmiu borami, za siedmiu rzekami, za siedmiu górami mieszka podobno cud-dziewica królewna. Kryształowy jej pałac, w którego ścianach każda łza niebios załamuje się w tęczowe blaski, stoi na szarym granicie w przestworzu wiecznego lazuru, co nigdy nie przygasa. Białe róże i hyacynty wieńczą złomy góry, świecąc oku dalekiego wędrowca jakby lawinami wiecznych śniegów... Królewna jest niema, góra jest niema, nieme są kwiaty i lazur. Panuje tu spokój—wiekuistego życia.

Jęk chaosu nie dotarł tu nigdy. Załamał się po drodze na innych górach, przytulił do innych świątyń, tutaj nie było od wieków wieków innych drżeń, ponad ruchy eteru rytmiczne, jak fale oceanu, ukołysane przez ciszę.

A człowiek? Nie próbował li dotrzeć za siedem gór, za siedem mórz, za siedem borów do białej królewny? Nie wyrwał się li nigdy od dymu chat swoich, od kurzu ziemi i ryku chaosu na pielgrzymkę daleką, do której wzywała go przeczysta królewna, co w snach ludzkich staje przed oczyma, jak boginka w bieli, i niemym ruchem ręki wiedzie „pójdź za mną".

Ale królewna jest niema, nie szczebiocze, jak nimfa, nie gędzie, jak syrena, więc mało ludzi poszło za nią. Ale byli tacy, co poszli, a wszystkich ich wiodła królewna, a pędziła tęsknica za lepszym

światem, smętek lub żar trawiący, z którego nie umieli zdać sobie sprawy.

Z tych pątników mało który dotarł do kresu pielgrzymki. Ten po drodze wstąpił do żelaznego chramu, którego kolumny obsiadły gniazda sępów i jastrzębi. Pozostał w świątyni władzy i jął ujarzmiać wszechstworzenie. W miarę, im więcej zdobywał niewolników, tem silniejszy stawał się niewolnik, którego miał w duszy swojej. W końcu niewolnik zwyciężył pana swego, i władca konał okropnie, a sępy i jastrzębie dziobały mu oczy.

Inny zboczył z drogi, zwabił go gmach wiedzy ogromny, niezmierzony. Wszedł tam i znalazł się w labiryncie. Chodził ciągle w kółko, aż zakręciło mu się w głowie i zwaryował.

Inny wstąpił do palmowego gaju, gdzie wprowadzono go na marmurowy ołtarz sławy. Woń myrrhy i balsamu odurzyła mózg jego. Zrazu było mu dobrze, potem w ciężkim dymie ociężała mu głowa, napróżno wołał: „powietrza". Zgłupiał.

Innego śpiew syreni zaprowadził nad brzegi wielkiego jeziora, różowego od ciał boginek, wonnego splotami rusałczanych włosów. W wężowych, okrętnych zwojach obwinął go huf topielic, a on piekł się w ukropie z ciał kobiecych. I spalił się do nagich piszczeli, aż go żywioł schował do lodowych katakumb.

Nieliczni doszli do świątyni prawdy. I ku zdziwieniu swemu zamiast prometejskich pochodni i doktryn, rytych na spiżu, ujrzeli tylko białość a ciszę i skromny napis na frontonie:

„Mieszkam w tobie".

Zadumali się i pojęli, a powróciwszy do dymnych chat i kurzu ziemskiego, opowiedzieli braciom swoim, że prawda mieszka w głębinie dusz naszych.

Nie gdzieindziej. I jest jedna tylko dla danego pokolenia. Tą, która ludzi wiąże w społeczeństwa, która dźwiga je i utrzymuje na swych niezwalczonych barach, ta, która jest tonem wspólnym milionów serc ludzkich. To jest prawda *ludzka*, wszystkie inne są przygodne, możemy je znać lub ich nie znać.

Prawda ta jest w ciągłym ruchu, jak w ciągłym ruchu są byty ludzkie. Może rozwijać się bujnie, szeroko, ujawniając się w coraz nowych formach zewnętrznych—zwyczajach, obyczajach, prawach: wtedy mówimy, że społeczeństwo tężeje; może uledz ciśnieniu form zewnętrznych: wtedy krzepnie w lód, pozbawiając społeczeństwo ciepła—duszy.

Każde nowe pokolenie, które posiada w sobie zaród płodnego

życia, musi do odziedziczonej prawdy dodać coś od ciebie. Stąd ostre napaści osobników młodych, o żywem tętnie serca i niewyschniętych mięśniach, na istniejące formy życia społecznego. To nie donkiszotyzm, lecz działanie instynktu samozachowawczego. Im silniejsze, większym talentem ukwiecone są te napaści, tem zazwyczaj bliższy jest wybuch prawdy przez nagromadzone masy skalne—form społecznych.

Tak więc jedyną prawdą, coś dla społeczeństw naprawdę wartą, jest ta, która zawiera się jednocześnie i współcześnie w milionach serc ludzkich. Prawda ta jest zarazem jedyną siłą czynną w znaczeniu zdolności tworzenia nowych form społecznych. Zadaniem ludzi, przodujących sercem i umysłem, jest budzenie, ośmielenie i uświadomienie tej prawdy, która częstokroć cicho drzemie w najtajniejszej głębi wielu dusz.

Naturalnym wrogiem nowej, a raczej uzupełnionej, prawdy są istniejące formy społeczne. Ponieważ ostatnie powstały, jako uzewnętrznienie prawdy innej, przeto do nowego wytworu ducha ludzkiego pasować nie mogą. Zdarzyć się może chwilowo, że siła rzutu nowej (a raczej uzupełnionej) prawdy jest tak małą, a opór czynników biernych tak silny, że najsilniejsze duchy w walce beznadziejnej się łamią, napozór, bez wydania skutku. Są to okresy zgnilizny etycznej, po których liczne przykłady łatwo sięgnąć do historyi.

Co się wtedy dzieje?

Myśl społeczna, owa nowa, uzupełniona prawda nurtująca w wielu jednostkach (w innych rodząca się dopiero), na każdym kroku potyka się o zakrzepłe i nie dające się ugnieść formy. Człowiek zaczyna myśleć inaczej, a czynić inaczej. Nazywa się to fałszem. Potem łatwy krok dalej. *Similia similibus!* Obłuda i fałsz stają się lekarstwem codziennem, używanem, kiedy potrzeba i kiedy niepotrzeba. Człowiek, zniechęcony do samego siebie, za cenę chwilowego spokoju zażywa kłamstwa, jak morfiny.

A niema mikrobu, któryby silniej i bezwzględniej toczył szczęście ludzkie nad kłamstwo. Ani miecz Tamerlanów i Attyl, ani śmiertelne tchnienie czarnego moru nie sprawiły człowiekowi tyle cierpień, ile codzienny system kłamstw, praktykowany przez nas, dziedziców cywilizacyi XIX wieku. Tortura staje się tak dalece nieznośną, że rzadko kto z współczesnych odważa się przebywać dłuższy czas sam na sam z sobą. Ludzie nienawidzą samych siebie tem więcej, im namiętniej kąpią się w zmysłowym szale.

Nie znam człowieka, któryby głębiej zrozumiał niebezpieczeństwo, grożące cywilizacyi europejskiej, niż Henryk Ibsen. Poma-

wiają go o przesadę, pesymizm, burzenie podstaw społecznych, i zapewne znalazłby się liczny poczet ludzi, którzy z całą przyjemnością spaliliby dzieła jego wraz z nim samym na stosie. Ale ataki jego są nieodparte, działa strzelają celnie, a huk ich głośnym echem odbija się w sercach ludzkich, zwiastując popęd do oczyszczenia życia z fałszu. To ponure dziecię północnych mórz i lodowych mgieł bije gromem w spiętrzone barykady przestarzałych pojęć i spodlonych uczuć ludzkich, starając się je spalić. Może jest zwiastunem zorzy?...

Druga połowa dogasającego stulecia pracowała przeważnie dla zmysłów człowieka. Rosnącej w ilość ludzkości starała się zapewnić kawałek materyalnego chleba. W tej pogoni za rozszerzeniem dóbr materyalnych, za wprzężeniem niewyzyskanych form energii sił przyrody do toczącego się wozu cywilizacyi zapomniano, że zadatki szczęścia człowieka, szczęścia, które jest jedynym celem życia, spoczywają we własnej jego duszy. Dusza ta, którą nikt nie miał czasu się zajmować, bo co minuta od pracy wewnętrznej odrywa nas gwizd pędzącego sznelcugu, zapuszczona ugorem, obrosła w chwasty. Siła psychiczna współczesnych wylewała się całkowicie w zmysłach, zmysły zaś nie dawały nic naszemu wnętrzu. Nawet ludzi myślących pochłonęła analiza, jako wymagająca mniejszego wydatku siły psychicznej. Odwyknięto od skupienia się, od syntezy.

Czy było to naturalnem ogniwem w rozwoju cywilizacyi? Mniejsza o to. Może to obchodzić historyka, nam chodzi o istniejący fakt.

Okres współczesny jest epoką kłamstw. I nigdy w historyi obłuda nie dosięgła takiego natężenia chociażby z tego powodu, że bardziej uświadomieni ludzie umieją lepiej kłamać innym i sobie. A jesteśmy niewątpliwie bardziej uświadomieni. Prawda wyrywa się z dusz naszych, a my bronimy się przeciwko niej całą siłą fałszu, bojąc się wypuścić niewolnika, aby nas nie zamordował! Proszę zwrócić uwagę na tego nieszczęśliwego chorego, który idzie do lekarza szukać porady na cierpienie. Lekarz pyta go o symptomaty, a on wykręca się, czyni wszystko, aby przedstawić chorobę pod jaknajłagodniejszą postacią. Kłamie przed tym, który ma go leczyć! Podobnież i my okłamujemy sumienie własne.

Im społeczeństwo w nieszczęśliwszych znajduje się warunkach zewnętrznych, tem prawdzie trudniej jest przemódz opór biernych sił. Strach przed prawdą dosięga niebywałych rozmiarów, a okłamywanie samych siebie staje się jakby cudownym eliksirem żywota, podczas, gdy w rzeczywistości jest wyniszczającą organizm morfiną.

Dla wielu powodów nasze społeczeństwo jest jednem z tych, które najbardziej lękają się prawdy. Może być szeptana po cichu przez tysiące ust, może tkwić w głębi licznych dusz ludzkich i to uświadomiona, ale wystawiać jej na forum publiczne nie wolno. Ci sami, którzy pokątnie przyznają się do niej, stając przed opinią publiczną, wkładają szaty augurów i karcą śmiałka, który odważył się był uderzyć w zwietszałą kolumnę. I prawda, że tak rzekę, staje się wrogiem instynktu samozachowawczego... Co za błąd!

Popełniono zbrodnię, na którą wzdryga się współczesna dusza społeczna. Milczenie! Hasło nasze—to „prać brudy w domu". Zgoda, ale jeżeli mam prać ją w brudnych mydlinach, to wolę ponieść ją do rzeki i publicznie w oczach wszystkich oczyścić. W płynącym potoku brud zniknie bez śladu, a bielizna będzie, jak śnieg.

Dla nikogo na świecie, jak dla nas, nie byłoby tak zbawienne spoglądanie w głębię swojego ja, spowiedź przed samym sobą, zajrzenie w oczy prawdzie. Niech będzie „naga" i „bezwstydna", ale kąpana w „Styksowym mule". Bo z mułu powstaliśmy, a „Styks", to nieśmiertelność. Nigdy poeta nie rzucił ludowi swemu cenniejszej myśli!

Prawda tworzy cnotę, instynkt—co najwyżej—dobroć. My posiadamy dużo ludzi dobrych, ale mało cnotliwych. Jeżeli w mowie potocznej częstokroć żartobliwie uważamy „dobry" za jednoznaczące z „głupi", nie jest to pozbawione trafności. Człowiek dobry to bierność — może być narzędziem w ręku anioła lub dyabła, rzecz to wypadku. Człowiek dobry nie jest twardą, wypaloną cegłą w gmachu społecznym.

Siła czynna, twórcza—to człowiek cnotliwy, z którego w ogniu prób sypią się tęczowe iskry. W życiu społecznem zatacza szerokie kręgi wpływu, budząc w głębi innych świadomość drzemiącej w nich prawdy. Ale cnotę posiąść może tylko ten, kto wydobył z głębi ducha swojego, skrysztalił i ukochał prawdę—szczerze—bez zastrzeżeń, bez granic...

Chodźmy więc jaknajczęściej za siedem mórz, za siedem lasów, za siedem borów do czystej królewny, aby przekonać się, jaki napis wyryła na frontonie swej świątyni. Pociągnijmy tam rzesze. Wtedy przestaniemy okłamywać samych siebie, stężejemy i odbierzemy berło panowania nad opinią publiczną handlarzom uczuć społecznych albo Hamletom, którzy wyostrzoną szpadą zabijają... szczury.

Ignacy Grabowski.

PONAD SIŁY.

POWIEŚĆ.

ROŹDZIAŁ I.

Ukochana!

„Na czarnem sklepieniu nieba gwiazdy, nieruchomo wpatrzone w wieczność, czekają. Cisza—gdyby aniołowie zlatywali na ziemię, słyszałbym szelest ich skrzydeł. Twój duch łagodniej, aniżeli szelest skrzydeł, idzie do mnie. Myśli twe wypełniają szałas, zbliżają się, płomień świecy chwieje się, chociaż odetchnąć nie śmiem.

„Zamykam oczy, głowę pochylam i czuję, jak dłoń twoja miękka, przejrzysta dotyka się pieszczotliwie mego czoła. Pod jej ciepłem pragnienia moje układają się do harmonii, nadzieje kołyszą je, wzrok duszy wgłębia się we mnie, uczuwam siłę, energia wstrząsa mi nerwy. A myśli twoje, dobre twoje myśli tulą się do mnie, wypełniają mój mózg, rozgrzewają serce.

„Staję na progu szałasu. Środkiem doliny płynie rzeczka i cicho rozmawia ze sobą, mgła delikatna, biała, przejrzysta, wychodzi trwożliwie z wody i szybko ucieka na błonia. Dalekie ogniska świecą

czerwonemi światełkami, a po obu stronach doliny góry, najeżone lasem, stoją na straży. Nademną niebo i gwiazdy z szeroko rozwartemi źrenicami, błyszczące, spokojne i mądre.

„Jesteś ze mną! Jakgdyby na progu wieczności, odczuwam twoją obecność, twój oddech i twoją płynącą myśl... O, moja trosko życia, gwiazdo promienna, siło mojej duszy!...

„W błyskawicach myśli, w twórczości mej, w natchnieniach i pragnieniach widzę twego ducha! Bądź błogosławiona!

„Kocham cię, jak dobrą myśl, spełnienie obowiązku, ciche zadowolenie uczciwego życia, jak ofiarę, dobry uczynek, świętość i miłość, westchnienie za niedościgłym ideałem!... Kocham cię, jak radość mego serca, szlachetną duszę, uczciwą pracę, pragnienie służenia dobrej sprawie!... Kocham cię, jak biedę i niedolę mego ludu, który dźwignąć pragnę. Kocham za myśli moje, lecące ku mnie, jak łańcuch żórawi, wiążący przeszłość z przyszłością!... I kocham twoją tajemniczość, siłę twego ducha, który prowadzi mnie naprzód wysoko i coraz to nowe słońca przedemną zapala.

„Kocham cię, jako wiosnę mego życia, jak samo życie, jako duszę mej duszy. Nieskończoność moją czuję tylko w tobie i z tobą!

„I nieraz myślę, że ty jesteś koniecznością i ideą mej istności, siłą mego życia, rozpędem mych pragnień i samą miłością! Ktoś ty?—jeśli ci oddaję młodość mą, życie, nawet myśl o rozkoszy, przyszłość moją, a nic w zamian nie żądam, nic nie śmiem żądać, nawet nie pragnę!

„Masz śliczne, wielkie, niebieskie oczy, uśmiech radosny i usta z koralu. Hebanowe twoje włosy spadają kaskadą na śnieżne ramiona, a na czole, prostem i równem, rozściela się zadumana dobroć, w myśli bogata. Z oczu twych idzie wola, z czoła moc.

„Kocham głębię twych oczu i blaski, płynące po promieniach twego wzroku. Kocham twój uśmiech dziecka, rozkosznie mówiący o nieświadomości czarów, jakie rozrzucasz, i kocham białe szeregi pereł, wyglądające z za korali ust.

„Powoli, powoli od ciągłego patrzenia zmieniasz się w mych oczach. Lecisz naprzód, drogę ścielesz „perłami jaśminu i maków koralami" i wiedziesz mnie—aż zawiodłaś tu, w tę dolinę.

„Głos parowej piszczałki przeciągły i długi wypełnia dolinę, za nią róż jutrzenki, wychylając się z poza ściany czarnych jodeł, zmienia się szybko w seledyn i białość przejrzystą. W tej jasności widzę cię, lecisz na zachód, rzucając perły jaśminy i maki korale.

„Wyciągam do ciebie ręce, słońce jasnym snopem rzuca się w dolinę, ty zsuwasz się za ciemną ścianę jodeł, oddzielającą świat, mnie dochodzi odgłos ludzi, idących do pracy.

„Tyle tu do zrobienia. Gdybym miał mózg dziesięciu geniuszów, rozum stu mędrców, energię tysiąca szatanów, czuję, wszystko byłoby za mało, a biedni ludzie się skarżą na brak zajęcia.

„Moi chłopcy już są, czekają na mnie u progu.

„Nie kończę, myśli nie można zrywać, jak pajęczyny. Noce majowe są schadzką kochanków lub ich duchów.

„Przyjdź znowu... Do widzenia. Twój. Tadeusz".

ROZDZIAŁ II.

Powstał, drzwi otworzył, na progu stała garstka Mazurów. Chłopi niezbyt rośli, lecz zgrabni, zbudowani, jak atlety. Śmiałe spojrzenia i uśmiechy szczere mówiły, że się nie boją samego dyabła, a cóż dopiero pracy i wysiłków energii.

Nieco w oddali od szałasu szarzeli Rusini. Baranie czapki sterczały na ich głowach, brunatne siermięgi okrywały plecy. Chudzi i czarniawi, za to smukli, w oczach przestrach, pokora i hodowana wiekami podejrzliwość. Pierwszeństwo oddawali Mazurom, jako panom i arystokratom, mądralom i zuchwalstwa pełnym. Ulegali im i bawili się z nimi, lecz ich nie lubili, zazdrościli im buty i energii, na które zdobyć się nie mogli.

Widać było wśród czarniawej gromadki młodzieńców pięknych i silnych o jasnych wąsikach, wielkich, niebieskich oczach, wypełnionych melancholią i zadumą...

Dwa bratnie narody. Jeden z zachodu niósł czyn i siłę, drugi spokojny, ociężały, zmagnetyzowany biedą, zadumany, nie wiedział jeszcze, co z ofiarowanymi darami robić. Wyciągnął ręce, aby wziąć, a strach go przejmował.

— Dyrektorze, rzekł najtęższy wiertacz z Mazurów w niebieskiej bluzie, grubych butach i skórzanych spodniach,—wszystko gotowe, w kotle wre, świder na łańcuchu, chce się urwać.

— Nie ucieknie,—dodali drudzy. Tylko ci piszczy, tak mu się chce kiwać.

— A wam co się dzieje? — zapytał wesoło Tadeusz, wychodząc poza próg.

— Nam jeszcze bardziej się chce, odpowiedział jeden z nich. Przyszliśmy aż tu, w samo serce Rusi, za tą czarną mazią, skrytą w ziemi, i jeszczebyśmy jej nie chcieli szukać? To jużby Bóg odwrócił się od nas.

— Znajdziemy, przyświadczyli inni głośnym szmerem!

Tadeusz zwrócił się do Rusinów, baranie czapki spadły, odkryte głowy pochyliły się.

— Sława Bohu!

— Na wiki wików—sława!

Mazurzy otoczyli dyrektora swojaka, stanowiąc przyboczną jego straż.

— Pragnę was prosić o pomoc, rzekł Tadeusz, wpatrując się w zamglone, rozmarzone oczy gromady.

Ręce Rusinów frasobliwie podniosły się do głów, paznogcie zaczęły drapać skórę pod włosami — Mazury w śmiech.

— Bracia, pan daje wam zarobek, dobry i stały, odezwał się wiertacz. Jeżeli nie jesteście durni, to zamiast drapać się w głowy podziękujcie panu i pokłońcie się.

Rusini spoglądali dobrotliwie na siebie...

— Gdyby tak gdzie, zawołał młody Mazur, w zapadłej naszej górskiej wiosce zjawił się pan i powiedział: „dzieci, nie chodźcie do Saksów, ani na Ruś, ja wam daję zarobek, tobyśmy go w górę, jak króla, dźwignęli! A wy? wy umiecie pazurami skrobać włosy i podrywki szukać.

— Wy inny naród, my nie tacy, jak wy—rzekł urażony Rusin z gromady.

Ręce od głów zsunęły się na dół.

— My bracia wasi, wołali Mazury.

— A czegóż to naprawdę panicz chcą — spytał najstarszy—wójt.

— Chcę węgla, żelaza, skór, zboża, drzewa...

— My toho nie majemo.

— Ale jest w Kołomyi, przywieźć możecie...

— U nas statki słabe, uprząż licha, konie biedne.

— To sobie sprawcie mocne.

— Horoszy niet!

— Dam zaliczkę na odpowiedzialność gromady.

— A potem za nią zabiorą chudobę.

— Braty, bójcie się Boga, wołał wiertacz, szczęście do was idzie, a wy je odpychacie.

— Łap je sam, kiedyś taki mudry.

Gromada w śmiech!

— Biery je sam, powtarzali za starszym.

Tadeusz magnetyzował wzrokiem Rusinów. Spuszczali oczy, lecz twardo stali w uporze.

— Namyślcie się, pogadajcie ze sobą i przyjdźcie mi powiedzieć, ale dziś, bo jutro kupię wozy i konie...

— A wiele to panycz daje?

— Płacę od cetnara lub za furmankę do Kołomyi dwa guldeny. Można dwa razy obrócić, to cztery guldeny dziennie, przez dziesięć dni czterdzieści, przez sto czterysta...

— Mało — rzekł cicho starszy.

— Jeszcze wam mało? zawołali oburzeni Mazury. Gdyby tak u nas!

— Wy inni, my inni!—Z tymi wyrazami pokłonili się i odeszli.

— Wrócą? spytał Tadeusz, idąc ku wieży, otoczony Mazurami.

— Pewno za nich przyjdzie Żyd, odpowiedział wiertacz.

— I pewno będzie ich chciał obedrzeć, lecz na to nie pozwolimy, dodał Tadeusz.

— A jak nie będzie innej rady?...

— Musi być,—obronimy głupich!

— A jak się na to nie zgodzą?

— Twardy to naród, zrobił uwagę jeden z Mazurów, ujrzy, a nie wierzy!

— Kładzie palec w ranę i jeszcze jucha nie wierzy.

— Wy nie potrzebujecie kłaść palca w ranę, wierzycie!...

— Mamy przecie rozum, panie dyrektorze, — rzekł z dumą wiertacz.

— A ponieważ oni go mają mniej, aniżeli wy, to powinniście być dla nich cierpliwsi.

— Prawda, ale my ich nie nauczymy.

— Róbmy swoje i nie pytajmy, co będzie. Zawsze będzie lepiej, niż było.

Mazury nie odpowiedzieli—stając w półkole przy otworze drewnianej wieży. Do środka wszedł Tadeusz, za nim wiertacz, jego

pomocnik, maszynista, chłopiec, podający z wieży sztangi. Na oparciu orurowania leżało wielkie, potężne dłuto, przymocowane łańcuchem do żórawia o potężnej belce.

— Miał ci ochotę sam ryć, aleśmy go łańcuchami przytrzymali, rzekł wiertacz, gładząc wyszlifowane dłuto, zwane świdrem w nafciarstwie.

— Jak głęboko ziemia? spytał Tadeusz.

— Na półtora metra—wodą naniesiona, dalej kamień.

Podał oderwany prostokątny sześcian.

— Gdybyś ty nam powiedział, zaczął Tadeusz, jakie źródło ropy okrywasz?

— Może cały staw, zawołał chłopak.

Wykrzyk chłopaka rozweselił gromadkę.

— Co będzie, to będzie, ale zawsze ropa musi być, rzekli Mazury. Wszędzie jej pełno!

Maszynista dał znać, że para gotowa.

— Jazda! szepnął cicho wiertacz, łaknący rozpoczęcia swej czynności.

Wszedł trzydziestoletni mężczyzna o łagodnem wejrzeniu i serdecznym uśmiechu.

— Przecie i ja chcę być, mówił, na uroczystości.

Mazury zdjęli czapki--za nimi poszli Tadeusz i jego zastępca. Zrobiło się cicho, uroczyście, serca biły głośno.

— Kasper, przeżegnaj, rzekł wzruszonym głosem Tadeusz.

Wiertacz podniósł w górę rękę.

— W imię Ojca i Syna i Ducha świętego.

— Amen, zakończyli robotnicy.

Tadeusz położył rękę na świdrze.

— Przysięgam sobie i wam, że wydobyte bogactwa z ziemi oddam napowrót tej ziemi i ludziom, którzy na niej żyją. Tak mi Boże dopomóż.

— Amen — rzekł pomocnik. Amen, powtórzyli robotnicy.

— Zrozumieliście?—spytał Tadeusz otoczenia.

— Ba! coby nie? rzekł Kasper. To znaczy, że nic la siebie, a wszystko la ludzi, co tę świętą ziemię obsiedli, la wszystkich na całą okoliczność!...

Tadeusz podał mu rękę—uściskali się.

— Wiwant! zawołał chłopak od sztang z wieży. Mazury za nim!

— A teraz niechaj ręce wszystkich dotkną świdra i powoli spuśćmy go w szyb, dał rozkaz Kasper.

Dłonie całej gromadki położyły się na świdrze, poczem sześciu najsilniejszych dźwignęło go w górę.

— Trzecią częścią pary — zakomenderował Tadeusz.

Żóraw się podnosił wolno, łańcuchy zaszeleściły, sztanga stanęła pionowo, młot zepchnięto w otwór, żóraw pochylił się na dół, wiertacz chwycił sztangę, świder spadł na kamień, ziemia jęknęła.

— Zdrowo,—odpowiedzieli jękowi ziemi Mazury.

— Pół pary, rzekł Tadeusz do maszynisty. Dźwigał się świder coraz prędzej i spadał gwałtowniej.

— Śmiało! całą parą!

Świder bił, że ziemia drżała, jak serca Mazurów radością i ochotą. Wiedzą, że, jeśli szybu nie zagwożdżą, a ropa przyjdzie, wszyscy dostaną gratyfikacye, kopalnia się powiększy, dochody się utrwalą...

Muzyka zaczęła grać ogniskami w piecach, wodą w kotle, jęczeć w transmisyach. Odczuwało się we wrzeniu tej muzyki cywilizacyę, jako zastępstwo sił ludzkich parą i kapitałem.

— Pierwsze ognisko, na tych wielkich obszarach stworzone, rzekł wesoło Tadeusz, biorąc pod ramię towarzysza.

— Cóż, kiedyśmy tu obcy, pracujemy obcymi kapitałami, obcymi ludźmi, wszystko obce.

— Ale ziemia nasza słowiańska. Każdy ruch cywilizacyjny wszędzie odbywał się obcym najazdem. Cywilizacya się narzuca, daje ciężkie troski, lecz i rozkosze daje — nagradza. Prymitywny lud czuje do niej wstręt, boi się jej, przeczuwa udręczenia i nie chce ich...

— Pocóż więc mu ją dajesz?

Stanęli. Tadeusz rozśmiał się cicho, serdecznie.

— Bo widzisz, kochany Felu, oni ją już mają na karku, gniecie ich, ponoszą ciężary, których nie mogą udźwignąć przy braku kultury i padają lub uciekają. Tak, tak, uciekają za morza przed cywilizacyą, która im dużo zabiera, a prawie nic lub bardzo mało dotąd daje, a tego, co daje, udźwignąć nie mogą. Austrya jest uboga i łagodna, to też powoli, cierpliwie, a długo zdziera z nas skórę.

Felowi białe zęby wyjrzały z poza płowych wąsów, a oczy niebieskie patrzały smutno.

— Prawda, rzekł. Jeżeli mybyśmy tu nie przyszli, to niezawodnie zlecieliby się Niemcy, Anglicy i szybko, jak błyskawica, wyssaliby bogactwo, zostawiając za sobą pustkę i ruinę.

— My nie okradniemy tej ziemi z jej bogactwa i nie uciekniemy. Bogactwo w postaci cywilizacyi wróci do tego ludu, a i on, zahartowany pracą, zacznie z niej brać, co udźwignąć może.

Świder stanął, ziemia przestała jęczeć. Zatrzymali się obaj i całą siłą młodych nóg pobiegli do wieży.

— Kasper, za prędko stanąłeś.

— Kamień twardy, jak opoka, jak granit!... Poruszam świder z całych sił, a on wciąż w miejscu. Dobry to znak! Pamiętam w Harklowej taką samiuśką mieliśmy twardziznę, a potem ropa buchnęła pod niebo!... Ot—za sucho jest—wody trzeba.

— Z kubłami po wodę wszyscy, róbmy łańcuch prędko. Kasper będzie lał i powie, kiedy dosyć.

Chłopak skoczył po kubły, łańcuch wyciągnął się niewielki, i dlatego do szeregu stanęli Tadeusz i Feliks. Chęć i ochota do pracy dyrektorów dobrze działały na robotników. Wspólność pracy bratała ich, wytwarzała się zażyłość, a z nią i obopólne przywiązanie.

Chłopak stanął w rzece u brzegu, nabierał wodę, podawał kubeł, który, idąc z rąk do rąk, dochodził do wieży.

— Dosyć—zawołał Kasper, gdy wodę widać było w szybie.

— W twardym kamieniu zrobiło się łożysko i woda siedzi sobie, jak w filiżance. Teraz niech idzie świder, będzie mu milej.

Mazury się zaśmiali, jako naród okrutnie do wesołości ochotny i z animuszem wrócili do roboty. Pasy warknęły, żóraw się podniósł, łańcuchy wyprężyły, świder spadł, aż woda z szybu wyprysnęła.

— Kąpże się, jucho, jak kaczka w błocie, zawołał wiertacz.

Tadeusz pochwycił za sztangę i zaczął świdrem kierować. Kasper poczuł w nim artystę i mimowoli pokochał go, jak swego.

— Panoczek świdrem obracają, jak pisarz piórem, a przecież to ciężkie rzemiosło. Niechże panicz mnie wyręczą, polecę do kowala po nożyce, niedługo będą potrzebne.

Wybiegł z całym rozmachem młodości. Chłopak, maszynista i pomocnik patrzeli zdumieni, jak świder pod silną dłonią, trzymającą sztangę, regulował swoje uderzenia.

Tadeusz, ubrany w bluzę i długie buty, przedstawiał typ dobrze zbudowanego młodzieńca. Zgrabny, ramiona szerokie, długa szyja,

oczy jasne, słowiańskie, osadzone głęboko, i czoło wypukłe, całość mówiła o energii, wielkiej fantazyi, niewyczerpanej miłości idei, optymizmie i marzycielstwie. Zarówno mógłby być apostołem, filozofem, prorokiem nowej religii, męczennikiem dobrej sprawy, jak dziś był inżynierem, mechanikiem, przemysłowcem.

Usta miał świeże o ładnym rysunku, uśmiechające się łagodnie i miło, jak kiedy kwiat otwiera swój kielich do słońca. Zwykle zamyślony i roztargniony, czuł potrzebę wypowiadania się przed ludźmi, których kochał i wierzył im. Ta chęć zmuszała go do jasnych określań zdań i do ich pięknej formy, wytwarzając z niego pierwszorzędnego mówcę. Szeroki umysł, głęboki, bystry przesycony był uczuciem miłości.

Wielka różnorodność wiedzy i łatwa zdolność zdobywania jej popychała go w różne kierunki, na wszelakie pola dociekań. Organizacya nerwowa, delikatna, nie lubiąca walk, potrzebująca wierzyć ludziom, szukała tych, którzy mu ślepo ufali i kochali go.

Kasper przyniósł nożyce, z kowalem pochwycił sztangę i roześmiał się.

— Idzie prościutko, aż miło—już jabym uczuł w odbiciu świdra i drżeniu sztangi najmniejszą krzywiznę. Mnie w Jasielskiem miano za pierwszego wiertacza, lecz i paniczowi niema przygany. Znamy swoje rzemiosło!

— Dlatego powinniśmy razem iść.

— Już ja panoczka nie opuszczę, póki mnie sam nie odegna...

— Trzymajmy się i nie dajmy się, dodał Tadeusz.

— Nie dajmy się — abo padnę, abo się dorobię!...

— Dorobisz!

Kasper zacisnął pięść i podniósł ją w górę. Był to Mazur z krwi i kości, butny, zacięty, mocny, nie przebierający w środkach, wytrwały, pracowity, oszczędny, a gdy miał zapruszoną głowę, bitny zawadyaka.

— Całą siłą pary, krzyknął na maszynistę—jazda! Niech ziemia jęczy, a świat się raduje. Psiakrew, dodał pocichu, bo gdyby nie dodał, nie byłby Mazurem. Psiakrew, powtórzył głośniej, musimy dostać tej smoły, co ją dyabli z piekła pod ziemią rozlewają!... Jazda! ha! ha!

— Ha, ha! powtórzyli za nim maszynista, pomocnik i chłopak.

— Mazurska krew gorąca, i dlatego robota pali nam się w garści.

— My nie ruśniaki—dodał chłopak.

— Mam ochotę, zawołał Kasper, sprać ich na kwaśne jabłko!... Bo nie bydło to, taki zarobek odpychać!

— Nauczymy ich, na sposobną chwilę, tylo jej patrzeć,—rzekł pomocnik a chłopak za nim kończył:

— Niech się oni tylko w ręce majstra dostaną.

Wieża zawrzała radością.

— Otrzeźwimy ich, mówił dalej Kasper—łażą, jak ćmy, gęby rozdziawiają i patrzą na nas, jak na zbójów! My nie zbóje, my uczciwie pracujemy na chleb... A tańcujże, świdrze, i jęcz taką muzyką, żeby się dusza radowała. Wiecie, chłopcy, co wam powiem, czuję okrutną ropę.

— Daleko?

— Zaraz na drugiej stówce metra... Stój!

Maszynista ściągnął pas—świder stanął.

— Przebiliśmy twardą skałę, i świder włazi w potłuczoną warstwę kamyków. Będą ci się do otworu sypać. Ale i to przemożemy. Chłopak, dawaj nożyce.

Tadeusz chodził nerwowo po kancelaryi, skleconej z desek. Przy stoliku, umieszczonym pod wielkiem oknem, siedział Feliks, przed nim leżała rozwarta księga, karty jej zapisane cyframi.

— A zatem rachunek—zapytał Tadeusz, stając raptownie.

— Rozpoczęliśmy siedemdziesięcioma tysiącami. Dwadzieścia własnych, pięćdziesiąt kredytu, zostało do rozporządzenia trzy. Gdyby metr wiercenia w szybie kosztował dziesięć złr., to mamy czem wybić trzysta. Lecz kosztuje więcej—a i my musimy jeść, zalepiać braki, kupić węgla i drzewa.

— I rozszerzać się, zawołał Tadeusz. Co znaczy jeden szyb, gdy potrzeba pięćdziesiąt, pięćdziesiąt kotłów, pięćdziesiąt maszyn.

— I przyjdzie do tego, ale powoli, dziecko, powoli. Gdy ropa należycie wytryśnie z pierwszego szybu, znajdą się pieniądze na drugi, choćby za sprzedaną ropę—i tak dalej.

— I życie zmarnujemy na dwudziestu szybach, a tu robić trzeba. Robota nie czeka, społeczeństwo nie czeka, idee nie czekają.

— Czekały dotąd, Tadziuniu, poczekają i dłużej!... Pali ci się pod stopami.

— Pali, przerwał. Jakiż kraj dziki, żeby nie miał kredytu na roboty, które mu dadzą miliony!... Czuję tu—uderzył nogą—miliony, a tyle nowych robót do podjęcia na innych polach. Gdzie spojrzę, serce się krwawi, a głowa pęka!... Zdaje mi się, że sama natura, żywioły, ludzie wyciągają do mnie ręce i wołają—wydobądź nas

z nicości, my chcemy żyć—ratuj!... Cóż to jest ta jedna dolina, gdy cała Galicya woła ratunku.

— Tadziu, tu nie Anglia, a biedny, chory kraj bez mieszczaństwa, a więc bez handlu i przemysłu, wiekami gospodarowany przez uprzywilejowanych, a na końcu przez wrogą, zaciętą i ograniczoną biurokracyę austryacką.

— To też należy go czemprędzej leczyć, wydobyć, cucić, do zdrowia przyprowadzić, są lekarstwa! To kraina, która może być bogata, jak Belgia, gdyby rozum miała.

— Jesteśmy w domu, gdyby rozum miała. Stwórz rozum w społeczeństwie biednem, sterroryzowanem wychowanem w służalstwie i szukaniu łatwej karyery, łatwego kawałka chleba, nie mającem pojęcia o wysiłkach woli, energii, wytrwałości, samowiedzy, inicyatywie, pomysłowości. Robotników masz, bo masz Mazurów, lud zacięty, przemyślny, w którego żyłach płynie gorąca krew, w mózgach pragnienie zdobycia niezależnego bytu. Stań na pierwszej górze i zawołaj:—daję pracę, a stu Mazurów z pod ziemi wyskoczy i przed tobą stanie... Ale wołaj o ludzi, o mózgi—wołaj: pomocników pragnę, samodzielności szukam. Wiatr twoje słowa rozniesie i zrobi się cicho, jak na pustyni. Może się znajdą filuci, wietrzący łatwe geszefta, to jest naładowania prędko kieszeni i drapnięcia.

Tadeusz stanął, oczy mu zaszły melancholią.

— Więc jestem w tym kraju sam? szepnął.

— A ja, Tadziuniu, twój Felek? Przecież mógłbym mieć niezłą idyotyczną posadę przy idyotycznej kolei, a jestem przy tobie, a nasz przyjaciel w Podniebiu, a trzech moich kolegów, którzy, nie mogąc znaleźć pracy w kraju, pojechali do Argentyny!... A tylu młodych rośnie na politechnice dla ciebie. Wielkie zajęcia tworzą i wyrabiają ludzi. Mizeraki, słabi i karyerowicze pchają się do urzędu na biedę, ale spokojną i cichą, kramarze do kramów. Krewcy uciekają zagranicę. Zrobiłbym to samo, gdybyś się nie zjawił.

— Niema ludzi, wszystko się o brak ludzi rozbić może. Ludzi, ludzi—wołał Tadeusz. Nie kapitały, nie bogactwa ziemi, tylko ludzie robią!... Co znaczy siedmiu ludzi, na siedem milionów. Zawołaj kolegów z Argentyny.

— Dobrze, dziecko, lecz niech będzie do czego, dziś zaczęliśmy pierwszy szyb i do niego, jak widzę, mamy w Kasprze znakomitego wiertacza.

— Ludzi, ludzi—szeptał Tadeusz...

— Wodzów tworzy wojna, nie rozpaczaj!... Naprzód miejmy wojnę.

— Ależ o to najmniejsza—mamy ją już!

Do kancelaryi wsunął się Żyd, Feliks spojrzał znacząco na Tadeusza, porozumieli się wzrokiem!...

— Co pan powiesz?...

— Ja nic nie powiem, przyszedłem się pokłonić wielmożnym panom i popatrzeć na dziwa. Sama maszyna tak osobliwie dziurawi ziemię!...

— Byłeś pan w szybie.

— Byłem i dziwuję się. Bije, że się ziemia trzęsie, aż strach człowieka ogarnia, żeby się nie zapadła.

— A zatem?

— Czy wielmożni panowie czego nie potrzebują?

— Nie.

— Furmanki pod materyał z Kołomyi?

— Furmanka to zarobek okolicznej ludności, lecz ponieważ nie chce, sprawiam konie i wozy, Mazury wozić mi będą.

— Mazury, zawołał Żyd, te draby, oni ludzi zabijają, a nie zabijaliby biedne zwierzęta?

— Cóż mamy robić?

— Nie dawać Mazurom, to rozbójniki! Mnie spokojnemu człowiekowi kości na krzyżach nadwyrężyli! Ja będę woził, ja znajdę ludzi, dla mnie pojadą.

— Rusini mówią, że cena mała, jaką im podajemy, a gdy się będą musieli z panem dzielić, dopieroż to zaczną na nas narzekać. Nie przyszliśmy tu obdzierać, lecz zbogacać.

— Bardzo to pięknie ze strony panów.

— Kto pan jesteś?

— Propinator w Swobodzie, znają ludzie na całą okoliczność Arona Pinkasa.

— Panie Aronie Pinkas, racz powiedzieć gromadzie swobodzkiej, że, kiedy ona nie chce zarabiać i zbogacać się, to zrobią to z ochotą Mazury.

— Wiem, że oni umieją ludziom z gardła zarobek wyrywać, te braty psów.

Tadeusz zaczął rozmawiać z Feliksem po angielsku. Aron nadstawiał uszy, bo mu się zdawało, że po niemiecku, lecz nic zrozumieć nie mógł.

— To jakaś zamorska mowa, rzekł głośno, zdaje się, hamerycka.

— A zatem, panie Aronie, gromada albo Mazury. Jeśli masz w gminie wpływy, to pomagaj nam.

— Dla czego wielmożny pan mnie nie chce? Czy dlatego, że ja Żyd?

— Powiedziałem już, że to zarobek gromady. Żegnam pana. Skłonił się i wyszedł.

— A teraz co z nami? odezwał się Aron do Feliksa.

— Co z nami? Co to znaczy, panie Aron?

— To znaczy, że my, panie kasyer, moglibyśmy ze sobą pogadać mądre słowo.

— Proszę o mądre słowo pana Arona.

— Mnie się zdaje, że pan dyrektor umyślnie wyszedł, bo nie chce spuścić ze swego honoru, ale nam daje sposobność zrobienia interesu. Wiele mam odstąpić panu kasyerowi?...

— Nic, panie Aronie, nie jestem do odstąpienia.

— To wiele dostanę za namówienie gromady?...

— Nic, panie Aronie.

— Jakto nic?

— Dyrektor jest moim przyjacielem, bratem, ja jego wspólnikiem. Jeśli gromada nie chce—Mazurom kupujemy konie.

— Niech oni z piekła nie wychodzą!

Nie chcąc dłużej rozmawiać, Feliks wyszedł. Aron za nim — pożegnali się.

— Co to za przyjacielstwo?... Jakgdyby przyjacielstwo przeszkadzało interesowi. Dziwny jakiś naród,—kręcił głową. Ciężko —takiegom narodu jeszcze nie widział...

Zobaczył przelatującego Mazura, zaklął wściekle i, nie oglądając się, wracał do domu.

Mazury go dusiły. Gdyby nie Mazury, byłby panem położenia, dyktował warunki, panował, oparty na Rusinach. Mazury popsuli mu szyki, cały plan. Z władzy swej nad Rusinami nie może ciągnąć zysków, Mazury mu nie dają!... Przypomniał sobie nadwerężone krzyże i wstrząsnął się z oburzenia. Jemu, przed którym każdy Rusin na całą „okoliczność” czapkę zdejmował, a dziedzic i urzędnik był z nim za pan brat,—taki łajdak Mazur śmiał się dotykać jego arystokratycznych krzyży!...

— Szelmy, łajdaki, ja was jeszcze nauczę, ja wam pokażę. Zdechnę, a nie dam wam zarobku z furmanek.

— Panie Żyd, panie Żyd, wołał za nim Kasper, stojąc na progu wieży, dużo wyszło gęsiego szmalcu na wygojenie krzyży wielmożnego pana Żyda?...

Aron stanął, jedną rękę włożył z pańska za pas, drugą groził z zawziętością.

— Panie Żyd, dodał Kasper, czy i w bucie palcem grozisz—powiedz, Aronku.

Głośny śmiech wesołości zlewał się z hukiem świdra i jękiem ziemi. Aron, drażliwy na szyderstwo i śmiech, odchodził szybko, przeklinając z namiętnością wschodu psie Mazurów plemię. Dopadł do rzeczki, rozzuł się, wodę przeszedł, na drugiej stronie usiadł i odpoczywał, układając plany zemsty i możliwe zyski na Rusinach przy dostawach.

Do wieży wszedł Tadeusz.

— A nie mówiłem panu, że Żyd przysłał Rusinów, kazał im odejść i sam za nich przyszedł. Znam ja żydowskie prześpiegi, znam i drogi, którędy chodzą.

— Nie drażnijcie Żydów, bo może być z nami źle. Kołomyja blizko.

— Żebym miał stu takich, jak sam jestem, dziś idę na Kołomyję.

— My z tobą, zawołali pomocnik i maszynista.

— Po co?

— Uskromić Żydów.

— A jakby Żydzi chcieli was uskromić?!...

— My skromni, myśmy Chrystusa Pana nie wlekli na krzyż..

— Ale za duże buty macie, a Żydzi chcieliby, żebyście przed nimi czapki zdejmowali, i tu przyszli was mordować, jak wy chcecie iść na Kołomyję...

— Tobyśmy się spróbowali...

— Padlibyście pod razami tłuszczy żydowskiej.

— Ale nimby nas zmogli, wieleby ich padło?

— Kochaj bliźniego, jak siebie samego!

Mazury oczy rozwarli szeroko.

— Abo to Żyd bliźni, odezwał się cicho chłopak.

— A czemże jest—psem? Nie dość, że nas mało, do tego Niemcy nas gnębią i duszą, wszędzie mamy nieprzyjaciół, a wy jeszcze nowych tworzycie.

— My nie, zawołał Kasper, oni nas zdzierają.

— Wiecie wy dobrze, jak się najlepiej obronić Żydom? Nie dać się im oszukiwać, a wtedy Żydzi poszukają sobie innych zajęć, i będzie zgoda.

— Ba. gdyby to można!

— Dlaczego nie można?—Głupsi jesteście od Żydów! Gdybyś-

cie byli mądrzejsi, tobyście się nie dali—i stąd wasza nienawiść. Złapałem was.

Wyszedł. Mazury patrzeli na siebie.

— Kochaj Żyda, jak bliźniego — powtórzył Kasper. Abo to Żyd mój ziomek, brat albo swat? Żyd zesłany na naszą ziemię, jako kara boska, jako szarańcza.

— A może dla tego, żeby nas uczył rozumu?—odezwał się maszynista.

— My go mamy dosyć dla siebie, przerwał Kasper, i skóra u nas twarda i pięść, jak stal... Nie damy się i Żydom.

— A juści, dodał chłopak. Kiejśmy się nie dali biedzie i żyjem, to się i Żydom nie damy—dokończył.

— Jasiek, ty czasem i mądre słowo powiesz.

— Bo prawda! poświadczył chłopak z dumą.

— Prawda, prawda nie daliśmy się biedzie, jest nawet trochę uciułanego grosza, to Żydzi fracha.

Inaczej myślał Aron, wracając do domu.

— Wygryźć Mazurów i zastąpić ich moimi ludźmi, a wtedy ja będę rządził kopalnią.

Przyśpieszył kroku, na drodze spotkał jadącego Rusina, wsiadł na jego wóz, każąc się wieźć na propinacyę. Starszyzna, gwarząc i pijąc, czekała na swego dyplomatę, na swój rozum stanu.

Wszedł Aron, otoczyli go.

— Wiecie, nie gadali ze mną „zawołoki" końca świata—nie gadali do mnie, osiadłego na swoich śmieciach, od dziada pradziada! A dlaczego nie gadali ze mną?!...

— Bo z nami gadali, rzekł jeden z gospodarzy.

— Bo mają Mazurów! Słyszycie, mają Mazurów. Mazury chamy zaczną za was wozić.

— To my im sprychy u kół połamiemy, konie pozabijamy.

— Przyjdą żandary i skują.

Nastała cisza.

— To co robić?

— Samym wozić.

— Za durną zapłatę!...

— Dosyć na początek. Obrócicie dwa razy na dzień.

— Ale trza rano wstać.

— Wstaniecie.

— I konie słabe, owsa brak.

— Dam na owies, na bób, na kukurydzę, co chcecie, byle tych

bratów psich, tych szelmów, co wleźli do nas i ssą naszą krew, odpędzić od zarobku, a może ich wygnać na cztery wiatry.

Bure rękawy podniosły się, ukazując czarne pięście zaciśnięte.

— Wygnamy, zawołali!

— Potrzebujecie hroszy?

— Potrzebujemy, coby nie?

— Każdemu na głowę daję po pięć śrybła.

— Ale jak?

— Porachujemy się, krzywdy wam nie zrobię, bierzcie, macie, byle tym Mazurom nie dać, bo to wasze, zarobek wasz. Bierzcie, bo inaczej nie będziecie mogli wyjechać. Ja dla was dobry i dobrze wam życzę i chcę, żeby zarobek był wasz! Macie!...

Przed każdym kładł pięć sztuk srebrnych guldenów.

— Wypić, co który ma ochotę i dalej do kowala statki rychtować. Wiele chcecie, jakiej chcecie.

— Dawaj Żydzie, słodkiej a mocnej, powiedzieli z butą, czując grosze w kieszeniach.

— A wy, wójcie, po wypiciu lećcie na Sebastyanową łąkę i powiedźcie im, że wozicie.

— A możo dla hunoru potargować się?

— To wam odpowie, aż kolka w bok ukłuje, że Mazury będą wozić. Rzeknij, że po węgiel jedziecie jutro, i nic więcej, nie oglądaj się, nie patrzaj, do Mazurów ani pary z gęby i wracaj do mnie... Mazury psiakrwie, jeszczeście nie wygrali!...

— Daleko im do wygrania, huknęła gromada, częstując się słodką a mocną. My ich poszlemy, gdzie pieprz rośnie!

Rusini wychodzili ze słodką w zanadrzach.

— A zawołajcie do mnie Fedka, krzyknął Żyd przez okno.

— Po co?

— Nie wasza głowa, niech przychodzi!...

Karczma się wypróżniła.

Hrehory, stąpając cicho w krepciach, szedł bojaźliwie po Sebastyanowej łące ku kancelaryi. Omijał wieżę, spostrzegł go Kasper i zawołał:

— Brat, ojcze rodny, chodźcie zobaczyć, jak świder wierci w ziemi dziurę.

Hrehory stanął, lecz się nie ruszał. Żyd mu zakazał zbliżać się do Mazurów.

— Cóżto, boicie się przyjść do chrześcijańskich ludzi? My nie czarowniki, a braty. Nie boicie się Żyda, a nas się boicie?

— Cóżbym się miał bać?!...

Kasper pokazał mu flaszkę i kokieteryjnie go wzywał ręką.

Hrehory poczuł w zanadrzu kantówkę, duma w nim zagrała. Wyjął flaszkę i również wzywać ręką zaczął.

— My nie możemy się z wieży ruszać, wy, ojcze rodny, przyjdź do nas.

Hrehory postawił jeden krok naprzód, i już same nogi poszły.

— Do was ojcze, przepił Kasper i podał flaszkę wójtowi.

Hrehory odkorkował swoją, z dumą przepił i podał ją Kasprowi. Flaszka przechodziła z rąk do rąk, wódka była słodka, duma wójta wielka. Policzki nabierały koloru szkarłatu, oczy ognia, zacięcie wesołości rosło.

— I nie wstyd wam Żyda słuchać?... Taki gospodarz, jak wójt, chrześcijański człowiek.

— Co mnie Żyd. Czort a Żyd, to wszystko jedno. To on mnie musi słuchać, wołał wójt. Ja mu dam do północy muzykę prowadzić!...

— On was odwodzi od furmanki!

— Nie odwiedzie, chcemy i będziemy furmanić.

— Chcecie zaliczki? Bierzcie od dyrektora.

— Nie chcemy.

— Żyd pewno dał i dopiero was złupi ze skóry.

Hrehory dziwił się rozumowi Mazurów i ich przenikliwości.

— Ojcze, wyście na chrześcijański naród nastawali, słuchali Żyda, a my przecie braty, tacy chrześcijanie, jak wy. Przyszliśmy do was zarabiać, ale i wam bogactwa przysporzyć. A wyście zezwolili, żeby Żyd między nami stawał i szczuł was na nas.

— My mu damy, rzekł dumnie wójt, już on nas więcej nie poszczuje. Do was piję—wy gorący naród i wesoły, macie czyste sumienia, bo się głośno śmiejecie.

— Mamy, bo się boimy Boga, a już dyabła nie—a Żyda uczymy moresu.

Pogrozili,—groził i wójt.

— My do was w gościnę z dobrem słowem przyszli, a wy, podjudzeni przez Żyda, patrzycie na nas, jak na wściekłych psów, ściskając w rękach kostury.

— Wiem żeście braty, aleście taki już naród harny i do bitki skory.

— Do wypitki i do wybitki. Do was, wójcie, rodny ojcze, za wasze zdrowie i braterstwo nasze.

Flaszka słodkiej nikła, braterstwo zawarte, wójt przyrzekł jutro przywieźć całą gromadą węgla, kazał pozdrowić starszyznę, uściskał się z Kasprem serdecznie i, chwiejąc się na nogach, wracał do domu.

— Chwacki naród, mówił do siebie, czorta się nie boi i roboty się nie boi, no i wódki się nie boi, a ja się nie boję Żyda.

Ominął jednak karczmę zdaleka, wygonami idąc do domu. Żyda się nie bał, ale nie chciał się z nim po pijanemu spotkać, żeby mu krzywdy nie zrobić.

— Jeszcze Żyda uśmiercę i będzie źle, powtarzał, a oglądał się, żeby go Żyd nie zobaczył i nie przywołał do siebie. Nadrabiał miną, w zuchwalstwie chciał być podobny do Mazurów. Odwagą, butą, siłą imponowali mu.

Tymczasem w karczmie Aron dawał rozkazy Fedkowi, najsilniejszemu parobkowi we wsi i największemu zawadyace.

— Oni wam wasze dziewczyny dla siebie zabierają, a wy co na to? Mołodyce wasze do nich lecą, jak ćmy do światła — a wy łapy liżecie.

Fedko zaklął, bielma oczów krwią mu zaszły. Żyd uczuł, że robi wrażenie.

— Nie widziałeś, jak twoja do nich leci? Niech się tylko pokażą w karczmie—już na was żadna nie patrzy. Ale będą patrzeć, jak wy im przy nich skórę wygarbujecie.

Fedko napluł w rękę i pięść zacisnął, Aron zniżył głos.

— W niedzielę będzie u mnie dobra muzyka. Mazury za muzyką przez ogień przylecą, ale ty z chłopakami swymi będziesz przygotowany. Mazury mocne szelmy, ale wy macie koły. Nie potrzebuję ci więcej gadać, napij się wódki i rób swoje. Mołodyce stawią się wszystkie, jak się dowiedzą o muzyce—przyjdzie i twoja.

— Ziandary—szepnął Fedko.

— Wyprawię ich na drugi koniec gminy. Mazury zaczną—wy się będziecie tylko bronić—rozumiesz?

— Rozumiem.

— My sami będziemy na Sebastyanowej łące rządzić, a Mazury wtedy będą nasze sługi.

Fedko wypił kielich wódki.

— Przybłędy te, oczajdusze nie będą wam waszych mołodyc kraść.

— Nie—szepnął.

— Nie będą wam zabierać zarobków. Ziemia i wszystko, co w niej jest—wasze!

— Nasze—powtórzył głucho.

— Fedku, ty masz rozum i wiesz, co robić, podał mu rękę, a był to wielki dla chłopaka zaszczyt.

— Kości kołami łamać, rzekł Fedko.

Chłop wyleciał z karczmy wściekły. Ziemia i „wszystko," co w niej—jego. Podrażniony podszeptami i wódką, fantazyę pchał naprzód, że jej dogonić nie mógł.

— Ziemia i wszystko, co w niej jest, nasze, szeptał. Mazury kradną, wszystko nam kradną: ziemię, bogactwa w niej i nasze mołodyce... Kości im łamać i swoje odebrać...

Dopóki się nie zjawili Mazury, Fedko był pierwszy we wsi siłacz, pierwszy w tańcu, a mołodyce za nim latały. Mazury zepchnęli go na drugi plan, czuł, że z nimi nawet równać się nie może i nienawidził ich za to, zionął zemstą, którą podsycał zręcznie Aron.

Zebrał po drodze mołojców i poprowadził ich za stodoły.

— Mazury, mówił im, kradną bogactwa w ziemi naszej, nie dajmy im. Ziemia nasza i bogactwa w niej nasze.

— Jak nie dać, na pańskiem kopią?!...

— I pańskie nasze, krzyknął. Jak skopią pańskie, pójdą na nasze...

— Wara im! wrzasnęli.

Fedko na wzór Arona zniżył głos.

— W niedzielę w karczmie muzyka, przyjdziemy, przyjdą mołodyce, przyjdą i oni. Pomacamy ich wtedy po słabiznach, nie będą w tańcu przodować, nie będą odbijać naszych mołodyc...

— Mocni, szepnął jeden ze słuchaczy.

— Przysposobić się w dębczaki. Dębczaki im uradzą. W bitce starsi się rozpalą i przyjdą nam w pomoc. Ziemia nasza i wszystko, co w niej! A może w niej jest „zołoto"?... Chłopcy, i zołoto nasze!

— Nasze, nie damy go psubratom Mazurom.

— Bić!...

Aron, rad z nadziei poskromienia Mazurów rękami Fedka i mołojców, marzył, że z czasem zostanie przedsiębiorcą i sam prowadzić będzie roboty.

— Naprzód trza zepsuć, a potem radzić, stać się potrzebnym i dopiero powoli wziąć wszystko w swoje ręce... Na początek psujmy, a co dalej, to się pokaże...

ROŹDZIAŁ III.

Przyszła niedziela. Od samego rana wesoła nowina o muzyce w karczmie swobodzkiej leciała przez wieś, wpadła na Sebastyanową łąkę i rozradowała serca Mazurów.

Wystrojeni w granatowe żupaniki bez rękawów, koszule, u szyi związane czerwonemi wstążkami, buty wysokie, kapelusze na głowach, wyglądali, jak weselnicy z pod Krosna.

Przed samym zmierzchem stanęli na drodze w czternaście sztuk chłopa, piętnasty chłopak z wieży. Prowadził ich Kasper wiertniczy, najsilniejszy, zgrabny, zawołany tancerz. Drudzy mu prawie w niczem nie ustępowali.

Weszli do karczmy, w izbie było gorąco i parno, Aron spojrzał na Fedka, parobek się rozśmiał, tańczył kołomyjkę z krasawicą wsi, przytupywał, dając znaki swoim. Krew go paliła, wściekłość łapała za gardło, wódka z głowy parowała.

— Sława Bohu, rzekł Kasper, podnosząc kapelusz.

— Na wiki wików, odpowiedzieli starsi.

— Sława jemu, a nie wam, zawołał Fedko, lecz muzyka i taniec zgłuszyły wykrzyknik.

Mazury zawołali o piętnaście wielkich kufli piwa, Aron pytał, dlaczego nie wódki. Odpowiedzieli wesoło, że od wódki rozum krótki. Zbici w gromadki rozmawiali ze sobą i śmieli się serdecznie, zwyczajnie, jak Mazury przy ochocie. Nie widzieli ani wściekłych spojrzeń mołojców, ani znaków Fedka.

Muzyka ustała, dziewczęta zajęły przeciwległy kąt karczmy, chichocząc się między sobą. Częstowane przez młodzież, upijały wódkę z kieliszków drobniutko i szybko. Kasper podał kufel z piwem krasawicy Fedka. Dziewczyna upiła, oddając go, odchyliła w uśmiechu usta, pokazując szereg zębów, wykutych z marmuru.

— Umiesz naszego? zapytał ją.

— Coby nie, wszystko umiem, ja uczona!

Zaśmiała się, dziewczęta za nią.

Kasper skinął na muzykę.

— Naszego, zawołał.

Muzyka ucięła krakowiaka, że aż serce chwytała. Mazury wybrali dziewczęta, Kasper pochwycił w pół krasawicę—Fedko stanął przed nim.

— A ty jakim prawem, krzyknął, bierzesz mi moją dziewkę.

— Mojem, zawołał i Fedka siłą odsunął, lecz Fedko wymierzył mu pięścią pod brodę silny raz i zamknął usta, że aż mu zęby szczęknęły.

Zawrzała krew w chłopie, byłby padł z wściekłości, lecz się odsadził i lunął w pysk Fedka tak, że go odrazu zwalił z nóg. Zbladł, oczy zamknął i runął na ziemię.

— Mord, wrzasnął przeraźliwym głosem Żyd.

Krasawica przypadła do zemdlonego, położyła głowę jego na swych kolanach, przeraźliwie zawodząc.

— Mord! powtórzył drugi raz Żyd. Mołojcy odpowiedzieli:

— Zbóje! śmierć wam!

Mazury dla animuszu duszkiem pili z kufli zapłacone piwo, czuli, że nie starczy im czasu.

Fedce wlano kieliszek wódki w usta, oczy otworzył, spojrzał po izbie, oprzytomniał, krew buchnęła mu do mózgu, zerwał się na równe nogi, mołojcy go otoczyli.

— Koły na zbójów, wołał, powrozy!

— Powrozy, powtórzył strasznym głosem Żyd.

Fedko wypadł z karczmy, drudzy za nim. Krasawice zbiły się w kłębek. Kasper spojrzał na swoich.

— Bracia, za mną, bo nas zduszą!

Drzwiami i przez otwarte okna wyskoczyli. Fedko wielkim drągiem chciał trzasnąć w łeb Kaspra, lecz wiertacz był majster i siłacz w rękach, pochwycił dębowy drąg, wydarł go Fedce i tak go pięścią zdzielił w dekę piersiową, że Fedko padł po raz drugi.

Żyd wściekłym głosem nieustannie wołał: mord. Chrapliwy głos jego rozlegał się po wsi, ludzie się zlatywali, mołojcy, uzbrojeni w dębczaki, natarli.

— Plecami do siebie, zakomenderował Kasper, Mazury, posłuszni, zabezpieczyli swe tyły. Drąg, trzymany przez Kaspra, świsnął im nad głowami, mołojcy odstąpili.

— Chłopcy, rzekł cicho do swoich, cofać się, bo nas otoczą i liczbą zduszą.

Odwrót zaczął się w porządku, nie rozrywając przytulonych do siebie pleców.

Ludność wioski spływała, jak wezbrana rzeka, Żyd wrzeszczał przeraźliwie.

— Mord! gwałt! rozbój!...

Drąg w rękach Kaspra świszczy w powietrzu, przekleństwa następujących mołojców, dostrajając się do wrzasków Żyda, rozpalają.

Coraz bardziej wzburzony tłum coraz silniej nacierał. Położenie stawało się straszne, życie Mazurów zagrożone.

Maszynista na wzgórzu dostrzegł kupę kamieni i, jako dobry taktyk, zawołał:

— Za mną bracia! wyrwał się naprzód i gnał, za nim drudzy, dopadając do kamieni.

— Brońmy się! dał rozkaz i, chwytając kamień, posłał w tłum. Za nim poszło czternaście pocisków. Tłum się cofnął, pozbawiony broni, nie było na drodze kamieni. Zaledwo wyrzucane przez Mazurów odrzucali mołojcy, lecz trafiać nie umieli, nie śmiejąc się zbliżać na odległość rzutów. rzuconych przez siłaczy.

Pozycya na górze przez Mazurów została utrzymana.

— Przybliż się, Żydzie, krzyknął Kasper, a buzię ci zamknę, aby więcej nie wrzeszczała.

— Czekaj, psie, przyjdą żandarmi i skują cię w łańcuchy.

— To twoja sprawka! Na ciebie przyjdą kajdany!

Na uboczu stał stary płot, osadzony na dębowych kołach; Kasper posłał pod osłoną kamieni swoich, aby płot rozebrali i koły dostarczyli. Na widok ten tłum zawrzał wściekłością, ruszył gwałtownie naprzód, lecz znowu wstrzymany kamieniami cofnął się.

Przyniesione koły rozdzielili między siebie Mazury.

— Każdy po trzy kamienie w ręce i naprzód, natrzyjmy na tłum, a gdy zacznie uciekać, my koły na ramię i co sił do rzeki! Za rzeką nic nam nie zrobią. W kopalni mamy żelazo i sztangi. Dalej naprzód!

Piętnastu Mazurów poskoczyło, kamienie zawarczały. Przerażony tłum w nogi, baby i dzieci w wrzask.

— Odwrót — zabrać koły i do rzeki! komenderował Kasper.

Pędzili siarczyście, tłum, zobaczywszy ucieczkę wrogów, zaczął wyć z wściekłości i zemsty. Naprzód opanował kupę kamieni, nimi rzucał na uciekających i gonił z całych sił.

Mazury w długich butach przelecieli rzekę i zatrzymali się.

— Chodźcie do nas do kopalni, przywitamy was żelazem i bronią, a Żyda powiesimy za brodę na wieży.

Nikt nie przestąpił rzeki, zmęczenie stłumiło wściekłość, groźba poskutkowała. Mazury wrócili do kopalni, przerażeni zaszłymi wypadkami. Intryga Żyda biła w oczy.

— Chce nas zgnieść, aby sam opanował kopalnię!...

W nocy przyjechali z Kołomyi panowie. Kasper zameldował się do dyrektora i opowiedział wszystko: wrzask Żyda *„mord"* i nim zwołanie całej wsi.

— Gdyby nie nasza przytomność, a niezdarność Rusinów, zatłukliby nas na śmierć co do nogi.

Tadeusz i Feliks patrzeli sobie długo w oczy.

— Pójdziesz z nami do Kołomyi, rzekł Tadeusz do Kaspra.

— Panie dyrektorze, jak się Żyd dowie, że mnie niema, gotów na kopalnię sprowadzić czerń.

— Zabierz ze sobą maszynistę i pod osłoną nocy ścieżkami dotrzyjcie do miasta. W karczmie przy szlabanie czekajcie na nas. Rusini po zwycięstwie spici, śpią — nie przyjdą.

Kasper zasalutował, jako były kapral, i odszedł. Tadeusz położył rękę na ramieniu przyjaciela.

— Pierwszy wybuch nienawiści zwierząt, jeśli go nie zażegnamy, może być straszny, zmienić się w walkę ras i interesów. Żyd, odsunięty od zysków, szczuje lud na Mazurów, a może i nas zadusić. Jesteśmy maleńkiem, niecierpianem mrowiskiem, zazdroszczą nam siły, odwagi i wzbogacania się. Silniejszych pobudek nie znają... Zdaje im się, że są obdzierani i okradani przez Mazurów. Zdusić pożar, bo sama łuna jest dla nas groźną. Na świtaniu wyjeżdżam, zorganizujesz obronę w razie napaści, podmajstrzy niech prowadzi świder.

— Już się zaczyna, rzekł spokojnie Felek. To pierwszy objaw odporu społeczeństwa, któremu niesiesz kulturę i bogactwo.

— Walczyć! zawołał z entuzyazmem młodości Tadeusz.

— Rusinów i głupiego Żyda z karczmy pokonasz odrazu, jeśli ropa tryśnie, lecz wychylają się inne, potężniejsze hydry.

— Co ty nazywasz hydrą? zagadnął raptownie Tadeusz.

— Co ja nazywam hydrą? powtórzył spokojnie Feliks. Głupotę społeczeństwa, jego chciwość, zazdrość, złość, apatyę, nienawiść do dobra, które będziesz mu dawał.

— W takim razie łby hydry jeden po drugim będziemy ścinać. Walka ta rozpala mnie, daje mi rozmach, pobudza moją energię i fantazyę. Temperament mój potęguje, optymizm, wiarę w zwycięstwo dobrej sprawy.

— Walka ciężka, łby mogą mieć karki tak wielkie i twarde, że ich nie utniesz.

— To padnę, czyż ja jeden i czy pierwszy? Lecz to pewna, że upadkiem swoim stworzę następców, którzy lepiej odemnie sprawę poprowadzą... Ja swą działalnością stworzę przeszkody i nauczę je zwalczać.

— Wiesz, Tadziu, nie wiem, co mam w tobie podziwiać, twoje zdolności, czy twoją wymowę?

— Podziwiaj wszystkie rzeczy razem, jeśli ci się podobają, i kochaj mnie takiego, jaki stoi przed tobą.

— Kocham cię, jesteś szczery, fałszu w tobie niema — szczerością mnie ciągniesz: Teraz połóż się, odpocznij — za dwie godziny wyjedziesz.

— Ba! spać, to każdy potrafi. Na spanie mam czas — starość, wtedy się wyśpię należycie! Dziś, kiedy młodość we mnie kipi i wre, ty mi mówisz o spaniu. Napiszę przez ten czas z dziesięć listów i rzucę je w Kołomyi.

— Nie myślisz wcale sypiać?

— Owszem, ale wtedy, gdy sen zwali mnie z nóg. Co to za rozkosz, gdy sen zdławi stojącego, chwyta go za gardło i rzuca nim na łóżko! Jak się wtedy śpi! co za przyjemność! My żyjemy także i dla rozkoszy, tylko nie umiemy sobie jej stwarzać. A wydobywać ją jedynie można energią życia, wtedy odpoczynek zmienia się w rozkosz.

— No to dla mnie, rzekł Felek, sen w tej chwili staje się tą rozkoszą. Dobranoc!

Działo się w wydziale karnym sądu powiatowego.

Przed sędzią śledczym Kasper skończył swoje zeznania. Sędzia zwrócił się do maszynisty.

— Wszystko, co powiedział wiertacz, jesteś gotów zaprzysiądz?

— Wszystko, panie sędzio.

— Podpiszcie protokół.

Podpisali, skłonili się i odeszli, sędzia zwrócił się do Tadeusza.

— Należy hydrze odrazu kark skręcić. Żydzi, zazdrośni o zarobki, mogą wzburzyć lud.

— Serdecznie się cieszę, że pan sędzia tak trafnie ocenił położenie rzeczy.

— Propinator działa z pewnością w porozumieniu z kapitalistami miejskimi.

— I mnie się tak zdaje.

— Trzeba tu mieszkać i prowadzić sprawy, aby ocenić siłę kapitalistyczną tutejszego żywiołu. Zaczekaj pan, rozmówię się z naczelnikiem sądów, wyprawię posłańca do żandarmów, aby osaczyli propinatora, zaaresztowali Fedka i nie dopuścili ich do porozumienia. Dla postrachu każę Fedka skuć. Wózkiem pańskim pojedziemy na komisyę i burzę zażegnamy.

— Panie sędzio, skąd tyle energii w austryackim urzędniku?

Sędzia się rozśmiał.

— Naprzód jestem polakiem i młodym, jak pan, widzę niebezpieczeństwo i pragnę również rozwoju naszego przemysłu. Oto powody mej niezwykłej w administracyi austryackiej energii.

— Kolego, rzekł Tadeusz, uścisnęli się serdecznie.

W dwie godziny później wprowadzono do karczmy skutego Fedka, bladego z wściekłości i bólu. Sędzia kazał go rozkuć, chłop wyciągnął ręce do góry i nieznacznie pogroził niemi.

— Kto ci kazał bić Mazura wiertacza?

— Ja sam.

— Za co?

— Odbił mi moją krasawicę.

— Nie prawda, sama poleciała do niego.

— Porwał ją siłą.

Sędzia wziął papier ze stołu i, udając że czyta, mówił:

— Żyd ci kazał bić Mazurów, bo oni wam kaleczą ziemię, a ziemia i wszystko, co w niej jest, to wasze, choćby nawet złoto. On ci to mówił i kazał, a tyś go usłuchał.

— Żyd sobaka zdradził, szepnął Fedko, wściekły na Żyda.

— Żyd was namawia, a potem was kują i pakują do więzienia.

— Prawda, poświadczył rozbrojony Fedko.

— I gdyby się Mazury wczoraj nie obronili, pozabijalibyście ich z rozkazu Żyda.

— Jakby padło, kto wie.

— I poszlibyście na piętnaście lat do kryminału.

— Pewno!

— Po co masz za Żyda cierpieć, kiedy Żyd cię nie żałuje?... Opowiedz mi wszystko, jak było?

Fedko, rozbrojony i przekonany o zdradzie Żyda, opowiedział.

— Jesteś w śledztwie, puszczony tymczasem na wolność. Nie możesz się ruszać z gminy. Wójt odpowiada za ciebie.

— Panie sędzio, zawołał wójt — a jak ucieknie?

— Pilnuj!

— Nie ucieknę od swoich, rzekł Fedko.

— Możesz odejść.

Chłopak nerwowo zwrócił się ku drzwiom.

— Jak sędzia mogłeś przeczuć wyrazy Żyda? rzekł Tadeusz po niemiecku.

— Praktyka i pewna wprawa. Żyd młodego junaka mógł tylko w ten sposób namawiać. Motyw ten powtarza się często. Żydzi i junaki są do siebie podobni.

Wprowadzono Żyda.

Protokulista przeczytał głośno zeznania Fedka, Żyd z rozmachem wszystkiemu zaprzeczał. Wołał: mord, bo wzywał pomocy, Mazury zabijali ludzi...

— Na głównej rozprawie staną świadkowie, rzekł sędzia.

— Niema świadków, a jeśli się znajdą, to zrobieni przez pana dyrektora.

— Zobaczymy! Ukartować zbrodnię zabójstwa piętnastu ludzi odrazu, to może za wiele i dlatego aresztuję cię.

— Panie sędzio, ja od swego majątku, od żony i dzieci nie ucieknę.

— Może sąd wypuści cię za kaucyą, lecz na to trzeba uchwały. Kazałeś Fedkowi i jego towarzyszom bić po łbie Mazurów, żeby im mózgi powychodziły. A wtedy, gdy mózgi wychodzą to śmierć, kazać ludzi zabijać to podług prawa być wspólnikiem zbrodni.

Żyd zbladł.

— Nie kazałem, zawołał strasznym głosem i padł na ławę.

— Przy rozprawie wszystko się wyświetli.

— Oni te wściekłe Mazury zdrowe, oni prali naszych, to wcielone dyabły...

Drzwi się rozwarły, wpadła żona i dzieci, powstał lament, krzyk, płacz, padanie do nóg.

— Iść do kryminału na moje stare lata to hańba...

Skończyło się na tem, że sędzia i Żyda oddał pod dozór wójtowi i żandarmom. Wójt podpisał, że na wezwanie odstawi obwinionych do sądu.

— Zdaje się, mówił do Tadeusza sędzia, że do rozprawy nie przyjdzie dla braku istoty czynu, lecz będziesz pan miał z tej strony spokój.

— Żeby wszystkie przeszkody tak łatwo się usuwały, jak ta, zawołał młody dyrektor.

— Życzę, lecz wątpię.

— Ostrzegam i radzę baczność. Ludzie grunt, ludzie tylko robią, tworzą, zdobywają. Ludzie to bogactwo, ludzie wszystko. Co znaczą miliony bez ludzi? Znajdź pan ludzi i bądź zdrów — zawsze na pańskie rozkazy...

Odjechał. Tadeusz wracał do siebie. Mazur go powoził, podnosił nieznacznie w górę bat, aby jak najprędzej dopaść do kopalni i dobrą nowinę udzielić swoim.

— Szukaj ludzi, powtarzał Tadeusz. Gdyby nie człowiek sędzia, zdusiliby nas Żydzi. Siła, przemysł, bogactwo, wszystko to ludzie.

Mimowoli obejrzał się dokoła, jak gdyby szukał ludzi.

— Felek, piętnastu Mazurów, sędzia, Urszula, Marynia, ja, trzech kolegów w Argentynie to dwudziestu trzech!... Lot, wstawiając się u Pana Boga za Sodomą, pytał się: — jeśli się znajdzie ośmdziesięciu mężów sprawiedliwych?... Jeśli znajdziesz ośmiu, odpowiedział Pan Bóg, miasta nie spalę. A nas jest już dwudziestu z okładem i to na pierwszy początek... „Naprzód wiara, iść przytomnie”, zaśpiewał wesoło. Ludzie, jak do ogniska będą się garnąć, byleby tylko jak najprędzej wielkie ognisko powstało.

Konie weszły do wody, za nimi wózek — Tadeusz wstał, rozglądając się.

— Co tu roboty?!.. Wodę z rzeki pchać maszyną parową do kopalni, rury założyć do ściągania ropy na stacyę kolei...

Mazury zatrzymali robotę i co do jednego wybiegli na spotkanie swego dyrektora. Kasper zapytał:

— Będzie spokój panie dyrektorze?

— Udało się tym razem burzę zażegnać. Znalazłem sędziego człowieka. Tylko już więcej nie radzę wam odwiedzać karczmy. Kto wie, jakie Żyd sidła na was zastawi.

— Po co mamy chodzić do karczmy? zawołali.

— Żeby wam się w święta nie nudziło, zaprenumeruję wam pisma ludowe.

— To, to właśnie.

— A że i zabawić się należy. Kto z was gra na skrzypcach?

— Mamy skrzypków trzech.

— Sprawię dwoje skrzypiec i jedną basetlę.

— Niech żyje dyrektor!...

— Kto się będzie chciał z wami zabawić, niech przyjdzie tu.

— Do muzyki przylecą pierwsze dziewczęta.

— Poszlecie sobie po ćwiartówkę piwa, i już jest ochota.

Radość była wielka, praca napowrót z impetem zawrzała. Hura ha!

Felek uściskał Tadeusza.

— Nadzwyczajne odnieśliśmy dziś zwycięstwo. Bóg postawił na drodze naszej sędziego-człowieka... Gdyby to był jeden z tych, co sądzą przez swych faktorów?

— Dreszcze mi po skórze przechodzą, odparł Tadeusz i zawołał wiertacza.

— Słuchaj, Kasper, Rusinów musimy przeciągnąć na swoją stronę. Sprawę tę składam w twoje ręce.

— O la Boga! jeśli tylko przyjdą sami bez Żyda, to przy piwie i muzyce w piekło za nami polecą.

— Powodzenie nasze, majątek od tej zgody zawisło.

— Dyrektorze, nie upłynie dwa tygodnie, Rusini nasi. Fedka pocałuję w pysk i poproszę, aby mi pozwolił z mołodycą swoją raz przetańczyć naszego. Takiego chłopa jak, wiertacz majster, pocałuję przy wszystkich w gębę — ruśniaki z zazdrości oczy w słup postawią...

— A tyś nie chłop? — przerwał Tadeusz.

— Po prawdzie chłop, ale inakszy! Ho, ho Mazury inaksi, nie ma co i mówić.

— A więc Mazury niechaj na rękach przyniosą mi Rusinów i kochają ich...

— I położymy wszystkich przed progiem twego domu!

Tadeusz podał mu rękę. Wzruszony Mazur poniósł ją do ust na znak zgody i miłości.

W tym samym czasie Żyd w alkierzu karczmy zamknął się ze swym faktorem.

— Słuchaj, Icek, możesz zarobić.

— Mogę i muszę — czworo dzieci...

— Cicho, ja wiem, że ty musisz zarobić! Stary sędzia, dodał, zrobiłby z Mazurami porządek.

— Skutych prowadziliby żandarmi.

— Świat się psuje, rzekł Aron.

— Pan Bóg zsyła na dzieci Izraela plagi za ich grzechy.

— Bo są głupie.

— Prawda.

— Musimy mieć więcej rozumu.

— Największy rozum w Panu i w dzieciach Jego, w dzieciach Izraela...

— Polecisz do kopalni, odezwał się Aron, zmieniając ton rozmowy.

— Mazury?!..

— Nic ci nie zrobią. Przed dyrektorem wymyślaj na mnie.

— Ja to potrafię.

— I powiedz, że wójta do umowy na zwózkę sprowadzisz. I sprowadź go, niech podpisze, ceny daje dobre.

— Słyszałem.

Propinator wybuchł nerwowo.

— Aj waj, rozdałem wczoraj stówkę. Chłopy odrazu połowę przepili, a jeśli Mazury będą wozić materyał z kolei — stracę wszystko! Icek, leć, ratuj, ty masz głowę na karku, a pysk wyparzony, jak nikt w całej wsi.

— Ale wiele dostanę za ten wyparzony pysk!

— Papierka.

Icek się rozśmiał.

— Niech idzie Efraim za tę cenę.

— A wiele chcesz?

— Ja chcę udziału w zysku.

— Dobrze, dam ci szóstkę od dziesiątki.

— Guldena od dziesiątki zysku.

— Tyś się wściekł, ja mogę mieć tysiąc guldenów zarobku.

— To ja sto!

— Precz mi z oczu.

— Pójdę do kopalni sam na własną rękę.

— Zaskarżę cię do rabina.

— Nie kupiłeś u rabina kopalni.

— To kupię.

— Może i ja kupię.

Icek łypnął żółtemi ślepiami i ujął za klamkę.

— Pięćdziesiąt centów od dziesiątki i anicen ta.

— To tak gadaj, panie propinator — idę i swoje zrobię.

— Mów, że chłopy przyjdą, tylko ich namówić.

— Niech mnie Aron nie uczy rozumu w faktorstwie!

Na odwieczerz stanął Icek w kopalni przed obliczem dyrektora i jego wspólnika. Miał minę tajemniczą, oglądając się, wygadywał straszne rzeczy na propinatora i w końcu oświadczył, że przyprowadzi do zgody Rusinów.

— Niech sami przyjdą, niech ich wójt przyprowadzi, rzekł Tadeusz.

— A co dla mnie, żem ich namówił?

Dyrektor podał mu piątkę. Icek westchnął, wziął pieniądze poszedł.

Zjawił się wójt z dwoma radnymi i po wygadaniu się podpisali umowę.

— Chcecie zaliczki? spytał ich Tadeusz.

— Żyd dał, odpowiedzieli.

— Macie odemnie, Żydowi oddać wszystko ce do grosza.

Zgodzili się, lecz w drodze zmiarkowali, że lepsze są dwie zaliczki, niż jedna. Wzmocnieni tem przekonaniem poszli do karczmy, natrząsali się z Żyda i pili do brzasku dnia, butni i pewni swego.

ROŹDZIAŁ IV.

Lwów 14 maja.

Dobry Panie mój!

List Twój odczytuję, jak muzykę. Zdaje mi się, że go wcieliłam w siebie, że myśli, w nim zawarte, przepływają mój mózg, zostają w nim, są jego treścią... a mimo to znowu wracam do niego, czytam głośno i upajam się jego czarem, jego siłą i natchnieniem...

Po upojeniach przychodzi trwoga. A może ty kochasz obcą, wymarzoną i tę wymarzoną ubrałeś w rysy i kształty moje?!

Bo któż ja jestem? dwudziestoletnią dziewczyną o kruczych włosach, niebieskich oczach i dobrym uśmiechu. To wszystko, co posiadam, a gdy się wgłębiam w siebie, cóż znajduję? Dużo próżności, bardzo dużo próżności i dumy. Dumną jestem, że jestem kochaną przez człowieka tej miary, co mój Pan. Dumną jestem, że i ja go umiałam ukochać. Wprawdzie urodą swoją budzi on zazdrość kobiet, więc to nie zbyt wielka sztuka... Lecz dumną jestem, że potrafiłam odczuć twoją duszę, ocenić twe szerokie horyzonty pragnień... Kocham głębię twej duszy, twoje ja, twoją istność całą, a zapominam, że masz rozmarzone jasne oczy i smutek, ciągnący ku tobie, co otacza twoje usta i myśli, płynące z twego gładkiego czoła. Zapominam, że twój głos kołysze, upaja i przekonywa, że myśli twoje... Za myśli twoje, które wypowiadasz, oddaję głębię twych oczu i cały czar smutku, okalający twe usta, a że to wszystko potrafię, to cała wartość moja, w stosunku do ciebie, panie i jedyny mój. A żeś ty mnie tego wszystkiego nauczył, to twoja tylko zasługa.

I jeszcze coś więcej mi dałeś: moc i zuchwałość kochać cię, walczyć za ciebie, wytrwać i pozostać twoją... Siła i energia twoja wstąpiły we mnie. Chcę być twoją i zostanę twoją. Niema siły,

któraby mnie od ciebie oderwała—chyba, gdybyś odszedł sam. Lecz czy to podobna?... Nie lubię myśleć o nieprawdopodobieństwach i o tem nie myślę!... Świat może paść, lecz ty nie odejdziesz odemnie. Taką jestem wobec ciebie, lecz i to twoje jest! Mam i moje kobiece uroki — naiwność, to cały mój wdzięk. I stroję się nią rada, chociaż nigdy nie wiem, kiedy ze mnie wychodzi i pokazuje się. Jestem szczera, lecz szczerości mej nie wyhodowałam w sobie, dostałam ją od dobrej wróżki, jako spuściznę po mojej matce. Za szczerością poszła otwartość, odwaga i ta pewność siebie, co może być zuchwałością w oczach kłamstwa i hipokryzyi...

Ojciec mój ma dużo z tego powodu kłopotu, damy z wielkiego świata mówią o mnie, że jestem dzika i że nie mam pojęcia o dobrym tonie. Co to jest dobry lub zły ton? Fortepian od Erarda ma zwykle dobry ton. Damy te radeby mnie nastroić do swego kamertonu, najnudniejszej powszedniości, potem wydać za jednego ze swych synów lub kuzynów, jako dobrą partyę.

Kuzynkowie ci są wzorem banalności i okazami kunsztu krawców wiedeńskich. Każdy wielki krawiec ma swój właściwy krój, nazwany przez tych panów po niemiecku „sznitem". Krawcy dają im swoją cechę. Sznity są ich jedyną oryginalnością. Zresztą są podobni do siebie, jak dwie kropie wody. Jednakowo chodzą, jedzą, myślą, kłaniają się i zdobywają posażne panny. Jednakowo się żenią, mieszkają, mówią, oddają wizyty, jednakowe noszą grzywy i binokle na oczach... Ach ta jednakowość, cóż to za przerażająca nuda, co za niebotyczna nuda!... Zdaje mi się, że po skończeniu świata w chaosie wieczności większej być nie może!...

Mój ojciec, nie wiem dla czego i po co, wozi mnie po tych cmentarzyskach wesołości, żebym jeszcze większej odrazy do nich nabrała. Gdy go się pytam, odpowiada:

— Coby na to świat powiedział, gdybym cię marynował w domu?...

Coby na to świat powiedział, to także jeden z aksyomatów życia. Po prostu boją się ludzie tego niewidzialnego świata i drżą przed nim.

Mszczę się też nad tym światem, a ojcu memu nieraz robię niespodzianki i przerażam go .. Naprzykład wczoraj, ojciec rano przy herbacie podaje mi kartkę z zapisanemi sześcioma nazwiskami, z których pięć było hrabiowskich, i oświadcza, że dziś musimy zrobić te sześć wizyt. Przeszły mnie dreszcze, lecz ojciec zaczął głęboką dysputę z Koczalską o mej tualecie na ten występ. Biedna

Koczalska, która się boi ojca, była przerażona, przyszłam jej na pomoc i rzekłam:

— Jeżeli mnie ojczulek skazuje na sześciokrotne światowe tortury, to już zostaw nam, mnie i Koczalsi rodzaj ubrania. Zadziwię skromnością, elegancyą i dobrym smakiem.

— Ty to nazywasz torturami, a ja dawno pracuję, aby ci te salony otworzyć.

— I pocóż się tyle trudziłeś?

— Jakto po co? ojciec spojrzał na mnie przerażony.

— Przecie tego nie pragnę.

— Dzika jesteś. Czuć, że niema w domu matki, a zakazane przyjaciółki i profesorowie, którym się we łbach pali.

Łzy mi się w oczach zakręciły na wspomnienie braku matki z tak błahego powodu, wstałam i odeszłam. Koczalska za mną.

Ojciec, obrażony na moją niewdzięczność, nie widział się już ze mną, lecz przez służącą przysłał mi kartkę, że o trzeciej zajedzie powóz.

Ubrałam się tak, aby ojciec nie miał potrzeby gniewać się, Koczalska przeżegnała mnie i pobiegła patrzeć z balkonu, jak wyglądam w powozie. Ojciec rzekł woźnicy: ulica Trzeciego maja — pojechaliśmy.

Zaraz na wstępie przywitał nas kuzynek pani domu, jako upatrzony kandydat do mej ręki. Zaczęła się ożywiona rozmowa, kuzynek o kursach wyścigowych, ja o teatrze Kuzynek powiedział, że z zasady nie chodzi do teatru, ja, że kursa mnie nudzą, i nigdy na nich nie bywam. Hrabina i kuzynek byli zdumieni moją bezczelnością, a ja bawiłam się ich zdumieniem. Kuzynek zaczął mówić o ostatnim moralnym francuskim romansie, ja o ostatnim skandynawskim. Hrabina, chcąc się zemścić na mnie, powiedziała— że teraz młode osoby czytają bez wyboru, a ja odparłam, że literatura francuska jest tak niemoralną, że wybór trudny, dlatego przekładam młodą skandynawską, która jest wzorem moralności, a przytem głęboka w pomysłach i oryginalna w badaniu duszy ludzkiej...

Nic mi nie odpowiedziano, albowiem nie znają literatury skandynawskiej; hrabina jednak za zuchwalstwo moje przeszyła mnie wzrokiem.

Ojciec odezwał się w powozie:

— Nauczyłaś rozumu hrabinę, lecz niepotrzebnie, bo się mścić może.

— Ojczulku, odparłam, gdybyśmy się wszystkich zemst bali, nie mielibyśmy własnego zdania...

— Byłaś otwarta, szczera, elegancka, śmiała i w bardzo dobrym tonie!...

— Nastrojona?

— Jak chcesz, jestem kontent z ciebie, tylko bądź ostrożniejsza.

W drugim salonie znalazłam syna, różniącego się od kuzynka wiedeńskim sznitem i tę samą rozmowę: syn kursa, ja teatr, syn romans francuski, ja skandynawski. Matka wycina formułkę o czytaniu bez wyboru przez młode osoby, ja powtarzam z czarującym uśmiechem i swobodą swoją obronę — wychodzimy, ojciec zwraca się do mnie.

— No i cóż?

— Jak ojczulek widzi — to samo.

— Ale ja się pytam o syna, jaka różnica między pierwszym kuzynem a drugim synem?

— Nie dopatrzyłam jej, bo się nie znam na różnicach „sznitów" wiedeńskich.

Ojciec się zaśmiał, lecz dodał, udając przerażonego.

— Bój się Boga, to przecież kandydat na starostę, namiestnika i ministra, lub na profesora, posła i ministra.

— Tem się tylko można pocieszyć, rzekłam, że dużo jest kandydatów, a jeden tylko namiestnik i minister dla Galicyi.

— Przecież przed tobą nie mógł się popisywać zdolnościami administracyjnemi.

— Ale się mógł popisać oryginalnością sądów — i choćby oryginalnością rozmowy.

— Powoli, powoli, moje dziecko, mówił ojciec, widocznie rad ze mnie.

Następnie trzy wizyty z małemi zmianami te same w tonie i w toku. Szósta z synem podobna do pięciu poprzednich. Gdy przyszła kolej na ostatni romans francuski — mimowoli ziewnęłam serdecznie. Mama syna rzuciła we mnie piorunami z czarnych oczu, ojciec zbladł. Zarumieniłam się i, chcąc naprawić złe, mówię, przysłaniając rzęsami oczy: — przepraszam pana, lecz to samo słyszę dziś już szósty raz.

— Jakto? odezwał się urażony młodzieniec.

— Pomyśl pan, że to szósta dziś wizyta, i miej litość nademną.

Ojciec się zerwał, mama wstała również i jej syn — pożegnali nas lodowato.

— Jesteś zgubiona, szepnął mi ojciec na schodach.

— Odnajdę się, odrzekłam po francusku.

— Wątpię — odpowiedział ostro.

Siedliśmy do powozu.

— Do domu! zawołał, konie popędziły, jak wiatr.

— A więc fiasco, rzekł znowu smutno do mnie, zupełne fiasco.

— A mnie się zdaje, że tryumf.

— Ten ostatni mamin synek oddaje się dyplomacyi, kandydat na Gołuchowskiego. Jeżeli wobec niego ziewałaś?

— To powiedzą: — a to dopiero cięta panna, która wobec przyszłego Gołuchowskiego śmiała ziewać.

— Powiedzą, przerwał ojciec: a to dopiero gąsiątko, którego nawet wytworny dyplomata nie mógł ożywić.

— Ojczulku, wierzysz, że tego nie powiedzą, i po co się martwisz, bo dla mnie wszystko jedno, co powiedzą.

— Mogła cię przecież choć na chwilkę zająć wytworność przyszłego dyplomaty.

— Wytworność banalności.

— Zbyt często powtarzasz ten wyraz, a cały świat stoi na banalności.

— Ponieważ jest pospolita i powszechna, mimo to i dla tego wolno mieć do niej wstręt.

— Zastąp ją czem innem. Jak gdybyś ty sama nie była banalna, żyjąc na tym świecie — samem życiem.

— Rutyną życia, — to przynajmniej duchem, myślą bądźmy sobą tem, czem pragniemy.

— Widzę, że w dyalektyce miałaś dobrego nauczyciela, odrzekł spokojnie ojciec, patrząc na mnie. Nic nie odpowiedziałam, bo czułam, że się rumienię.

Powóz stanął przed naszym domem. W salonie ojciec rzucił mi pytanie.

— A teraz co będziemy dalej robić?

— Żyć, rzekłam, jeśli to możliwe. Ojciec będziesz pracował, a ja cię uszczęśliwiać swą przy tobie obecnością, skoro i mnie nie wolno pracować.

Chciał coś powiedzieć, brwi siłą na marsa zsuwał, lecz usta jego mimowoli układały się do uśmiechu.

— Matka dyplomaty, rzekł nareszcie, będzie się mścić, a zła baba.

— Przeżyjemy i zemstę matki przyszłego Gołuchowskiego... Tyle klęsk już Polska przebyła i żyje...

Rozśmiał się.

— No to ci powiem, że byłaś swobodna i prostotą urocza. Sądy twe o literaturze skandynawskiej olśniewały. Przygniatałaś przytomnością umysłu matki i ciotki siostrzeńców i synów.

— A więc nie potrzebujesz się rumienić za mnie!

— Nie! — pocałował mnie w czoło — i radbym zapracować parę milionów, aby ci życie umilić.

— Chciałam zawołać, że to, co mam, wystarczy na umilenie, lecz pomyślałam, że ci się miliony przydadzą, i milczałam.

Otóż tak się odbyło moje wejście w świat w wiosenny karnawał.

Muszę ci się wytłómaczyć, dlaczego nie mówiłam o polskim romansie, lecz o skandynawskim. Z próżności kobiecej i dyplomacyi. Z próżności, albowiem nasze miasteczko, jak go ktoś nazwał: ausszusem wiedeńskim, niema pojęcia o najnowszych wyrobach ducha ludzkiego, i mogłam je nieco upokorzyć, a dalej, że, gdybym mówiła o polskim romansie, to mamy synów, wychowywanych w Sacré coeur brukselskiem lub lwowskiem, trenowane są do lekceważenia tego, co polskie, a ich synowie, tresowani w Teresianum, nie wiedzą co polskie — i w tej chwili zarzuciliby mi szowinizm, zaściankowość, pozę, śmieszne męczeństwo i wiele innych rzeczy... Aby im nie dać broni przeciw sobie, wzięłam Skandynawię! Widzisz, jestem kobietą w każdym calu, jak mówi mój profesor. I nie chcę być ani boginią, ani czarodziejką, prorokinią lub mytem. Tyle miejsca na świecie ma kobieta, że być nią i swoje zrobić, to i życia zaledwie starczy.

Boję się pisać to, co piszę, bo gotów jesteś posądzić mnie o umyślne dla ciebie pochlebstwo. Lecz tylko bez uprzedzeń, z zimną krwią porównaj siebie z tymi sześcioma myśliwymi na ciężką pracę mego ojca. Jakże ty rośniesz w mych oczach, obejmując w ramiona Karpaty i Wisłę! A oni?... — Oni się nurzają w Pełtwi. Ty życie oddałeś idei, dla milionów szukasz zarobku i pracy. Ich ideą przeżywać posag żony, a tymczasem żyją z synekur, dostarczanych im przez krewnych u władzy.

Mogłabym litanię porównań napisać, lecz boję się ekstazy i sentymentalizmu, który niczem nie jest, jak tylko banalnością, Stój na wyżynach Podkarpacia, bez porównań, walcz i zwyciężaj!

Jakże pragnę być przy tobie i z tobą! Wyobrażam sobie zieloną kotlinę, którą przerzynają niebieskie wody rzeki, góry, zamykają dolinę najeżone ciemnymi lasami. Ciszę przerywa jęk świdra, walącego w głębokościach ziemię. Robotnicy snują się cicho, a wśród nich

mój jedyny w niebieskiej bluzie!.. Jego myśl porusza ręce robotników i koła maszyn, jego rozkaz wierci w głębokościach, szuka bogactw dla biednego kraju. Jego umysł to siła, energia, twórczość, przyszłość, byt tysięcy ludzi. Niechaj myśl twoja czynem i wolą obejmie całe Podkarpacie do źródeł Wisły i dalej i dalej!... Tyś mój jedyny!...

Widzisz, jestem kobietą i egoistką i pragnę cię posiadać dla siebie, bo nie tylko kocham Cię, lecz kocham twoją wielkość, twoją myśl, twoją energię, twój czyn!...

Najmilej mi, gdy z tobą rozmawiam. Czuję wtedy, że jestem blizko ciebie, że słyszysz bieg mych myśli, nic nie mam skrytego przed tobą, z rozkoszą pragnę, abyś mógł w lot chwytać myśli moje zawsze, kiedy ochota ci przyjdzie. Miłość to szczerość. Gardziłabym sobą, gdybym coś przed wzrokiem twej duszy ukrywała. Czuję, że i ty jesteś takim samym względem mnie... Jeśli nie możesz czytać lecących myśli moich, postanowiłam pisać dziennik dla ciebie i posyłać go. Będziesz chciał ze mną rozmawiać, rzucisz wzrokiem na zapisane kartki papieru i tęsknotę zażegnasz.

Pochlebiam sobie, że tęsknisz za mną tyle, co i ja, a przynajmniej o połowę ze względu, że jesteś pochłonięty pracą... Co innego ja, której nic robić nie dają, a więc mogę sobie pozwalać na zbytek tęsknot i marzeń!... Nieprawdaż, że zgadzasz się na dziennik i — i może prosisz .. Będzie szczery, jak gdybym pisała dla siebie. Szczerość jest dla mnie rozkoszą. Nie masz pojęcia, jakie męki przechodzę, kryjąc tajemnicę mego serca przed ojcem. Lecz ponieważ chcesz tego aż do wybuchu nafty — słucham!..

Dziś rano przy śniadaniu ojciec odebrał obszerne pismo twoje. Rad był, bo czytając, uśmiechał się, przytakiwał głową, a po skończeniu zdradzał wyborny humor.

— Trzeba mi będzie jechać, odezwał się.

— Dokąd? pytałam, robiąc zdziwioną minkę.

— Do Swobody, nowego przedsiębiorstwa, które gdy się uda, będziesz świetną partyą.

— Zabierz i mnie z sobą, zawołałam, nigdy nie widziałam kopalni nafty! Jedziemy razem — już postanowione.

— Opalisz się, jak cyganka.

— Któż jest tam twoim dyrektorem?...

— Mam wspólnika, niedawno wrócił z Anglii, znalazł teren, namówił mnie, Swobodę kupiłem.

— Wybornie, zaczęłam szukać pamięcią. Przypominam sobie, znam tego młodego człowieka.

Ojciec wpatrywał się we mnie zdziwiony.

— Poznałam go u ciotki Urszuli.

Ojciec zmarszczył brwi. Nie lubi ciotki i boi się jej.

— Wybornie, ciągnęłam dalej, mówi po angielsku, nagadałam się z nim. Dużo widział i dużo wie.

Ze względu na wyjazd ojca i nie chwaliłam cię dłużej.

— I cóż więcej?— rzekł.

— Nie pamiętam już, jak wygląda, ty, ojczulku, lepiej go znasz...

Czułam, że odetchnął głęboko.

— Nie wiem jeszcze, czy pojadę — dodał po chwili.

— Dobrze — odpowiedziałam — rób, jak ci sprawy twe każą, lecz daj mi słowo, że, gdy wyjedziesz, zabierzesz mnie. Mrugnęłam na Koczalską.

— Dobrzeby było, gdyby panna Marya pojechała i nałykała się świeżego powietrza. Mało sypia, światło gasi, gdy się dzień robi.

— Co? zapytał przerażony ojciec.

— Chudnie!

Ojciec się zerwał.

— Od zimy ubyło jej pięć funtów.

Gwałtownie zadzwonił, wpadł służący.

— Po doktora — sprowadzić Molickiego. Konie gotowe?

— Gotowe — odpowiedział.

— Niech jedzie i szuka go, póki nie znajdzie. · Albo lepiej sam pojadę — zerwał się.

— Ojczulku — prosiłam składając ręce.

— Nie na to całe życie ciężko pracowałem, żebym potem na starość został sam, jak pies, w pustym domu!

— Jestem zdrowa!...

— Chudniesz z bezsenności. Przyjdzie kaszel, gorączka i adje! Zmyję głowę Molickiemu. Nie na to mu płacę, żeby cię wysuszał.

Spojrzał na mnie.

— Schudłaś przerażająco.

Zwrócił się do wystraszonej Koczalskiej.

— Zawsze pani raportujesz w ostatniej godzinie.

— Ależ to nie ostatnia godzina.

— Ostatnia, może już zapóźno — prosiłem o raporta codzień.

— Zajechał — zawołał od drzwi służący.

Ojciec zły nie pożegnał się z nami — wybiegł.

— Przesadziłyśmy, odezwałam się do Koczalskiej.

— Powiedziałam prawdę, jedno zataiłam, że zamiast leżeć

w łóżku i czytać, piszesz. A co cię nie naprosiłam. Schudłaś, przysięgam, brakuje ci pięć funtów — wiesz sama o tem.

Wpadł przerażony doktór. Ojciec zaalarmował wszystkich jego znajomych. Nastąpiło pukanie i słuchanie.

— Brak snu — wiosna, spadek wagi — wiosna, rzekł z uśmiechem.

— Co robić? pytał wystraszony ojciec.

— Powietrza naszych gór i świerkowych lasów, zieleni, szerokich horyzontów!... Ot czego pragnie młoda dusza na wiosnę, inaczej schnie!... Pracy, zajęcia, miłości — ot czego pragnie młoda dusza, a pan wierzysz tylko w doktora i recepty. Mikstury nie uzdrowią.

Wyjazd mój postanowiony. Jakże się cieszę, nabrałam apetytu, snu, rumieńce radości okraszają mi twarz, a z oczu wyglądają serdeczne blaski — czuję, że ojciec to widzi i zaciera ręce z radości...

— Co będzie, gdy naprawdę wchłoniesz w siebie kilka ton powietrza, przesyconego balsamem sosny i świerka.

Napisz, lub telegrafuj do ciotki Urszuli, jakich pragniesz książek — przywiozę! A więc za trzy doby.

Twoja jedyna Marya.

Jutro będę u ciotki, telegrafuj! Panu Feliksowi serdeczne uściśnienie ręki.

Uszczęśliwiona Marynia.

ROŹDZIAŁ V.

Ciotka Urszula chodziła po swoim pokoju z założonemi po za siebie rękoma. Na stole wśród masy książek i tygodników leżał rozpieczętowany telegram. Zatrzymała się przed nim, wlepiając w ciemne litery piwne oczy. Włosy gładko zaczesane, styl 1840 r., jaka obojętność na znikomości świata. Usta zamknięte to siła woli. Spojrzenie zuchwałe, odwaga i pewność siebie. Dobra budowa, ręka twarda...

— Niech się raz skończy, rzekła, bo już to wszystko gniewać mnie zaczyna.

Przerwał wstęp monologu ostry głos dzwonka.

— Marynia, szepnęła — w samą porę się zjawia.

Drzwi się rozwarły, na progu stanęło dziewczę o niebieskich oczach, szczerym uśmiechu, patrzące serdecznie na świat, słońce i lazurowe niebo...

— Cioteczko, nie witasz mnie?

— Witaj się z tem, do czegoś przyszła.

Podała jej telegram.

— Znowu ta nudna angielszczyzna, dodała.

— I jak poprzekręcana, mówiło dziewczę, czytając.

— Powiedz mu raz, aby w Polsce telegrafował po polsku.

— I cóżby ciocia powiedziała, gdyby przyszedł telegram do niej taki: „Ubóstwiana moja, dzielą cię ode mnie dwadzieścia cztery godziny, to wieczność na zegarze mego życia"...

— A cóż mnie to obchodzi? Myślisz, że dbam o to, co o mnie pomyślą jeden telegrafista w Kołomyi, drugi we Lwowie? Nie cierpię odbierać wiadomości w języku, którego nie rozumiem. Oprócz wykrzykników miłości co dalej?

— Spodziewają się wybuchu ropy za dwa dni! Przygotowują się do jej przyjęcia.

— To mi wiadomość! — oddałam Tadeuszowi połowę mego majątku i nie chcę go stracić.

— A jeśli nafta da cioci dwakroć sto tysięcy, czy pójdzie ciocia za mąż?

Pannie Urszuli nozdrza się rozszerzyły, brwi ściągnęła, co zwiastowało wybuch gniewu. Marynia przypadła do niej i przytuliła się, obejmując ją w pół.

— Przebacz, cioteczko litości, łaski! — szeptała.

— Wy, kochane idyotki, nauczone patrzeć na stare panny z głupich romansów i starych komedyi, nie jesteście w stanie zrozumieć dzisiejszych kobiet, które nie zostały żonami. Wyjście za mąż stanowiło wszystko, gdy kobieta była niewolnicą. Lecz stało się niczem od chwili, gdy weszła na drogę samodzielności....

— Ależ prawda, my jesteśmy skończone idyotki, bo że ja, uczennica cioci, mogłam.....

— Żartować — dokończyła Urszula, ale ponieważ tylko z pustoty, to ci przebaczam.

— Ciociu, z idyotyzmu raczej...

— Prawda, bo wiesz, co tu do roboty, i jak pieniądze potrzebne! Miałabym je oddawać głupcowi lub oszustowi, któryby, zabezpieczony ślubem ze mną, wyciągał po nie ręce! Przebaczam ci trzpiotowactwo, boś młoda, szczęśliwa, zakochana...

— Nie jestem szczęśliwa, zawołała Marynia. Ojciec mnie obwozi po ciotkach i matkach, a te na łańcuszkach trzymają swoich brytanów, gotowych rzucić się na mój posag!.. Muszę manewrować, brytanów straszyć, matkom się narażać, aby mi dały spokój.

— To powiedz ojcu!

— Raz, że mnie Tadzio prosił o tajemnicę do wybuchu ropy, a następnie ojciec wpadłby w gniew.

— Do zdrowia mu potrzebny.

— Zrobiłby awanturę cioteczce.

— Niech przyjdzie, pogadamy!

— Otoczyłby mnie szpiegami, Koczalską oddalił, zakazał mi bywać u cioci...

— To jabym przychodziła do ciebie.

— Nie puściłby—wywiózłby mnie do Wiednia, Paryża, Włoch, i z tęsknoty, bólu, gniewu umarłabym. Dola moja nie do pozazdroszczenia.

— Przesadzasz, bo wiesz, że dasz sobie z ojcem radę, jeśli zechcesz.

— Nie, — nie przesadzam. Jest uparty, zręczny, nawet chytry, jak chce, i zawsze na swojem postawi. Walka z nim ciężka, niebezpieczna i grozi przegraną...

— To każ się Tadeuszowi wykraść!

— Do tego pewno przyjdzie, szepnęło smutno dziewczę. Mam wstręt do awantur, chociaż pochłaniają moją wyobraźnię...

— Atawizm niewolnictwa!. Co za awantury?... Idziesz za potrzebą serca, za wskazówką twego rozumu, spełniasz obowiązek, odpowiadasz prawu natury, uszlachetniasz zadanie społeczne, zostajesz żoną dzielnego człowieka, chcesz z nim pracować!... I ty to nazywasz awanturą?

— Cociu, przekonałaś mnie, boję się tylko, czy on się zgodzi?...

— On? dałabym mu! Cóż to, robisz go tchórzem?...

— Ależ nie, jest on subtelny, może za subtelny i ta subtelność.

— Podszyta tchórzostwem lub egoizmem.

— Nie wszyscy są tak stanowczy, jak droga ciocia — ani tak....

— Dokończ śmiało.

— Ani tak bezwzględni.

— Aha! więc ma względy, które wyżej kładzie nad swoją miłość do ciebie, nad twoją miłość do niego, nad obowiązek, nad prawo natury!... Niewolnik swej subtelności, niewolnik opinii, niewolnik względów... Tchórze, dajcie mi pokój!

Założyła ręce za siebie i wzburzona chodziła po pokoju.

— Nie umiecie żyć, wszędzie i zawsze stare formy przysypują, jak gruzami, prawdę życia i jego szczerość, wszędzie szablon i egoizm,

ukrywający się w fałdach rozmaitych wymysłów i form, które jeden nazywa subtelnością, drugi koniecznością, trzeci honorem, a to wszystko blaga wobec piękności życia i jego obowiązków...

— Ciociu! — dziewczę złożyło ręce, niech mnie wykradnie, ale wtedy, gdy oboje będziemy mieć tyle, że się obejdziemy: ja bez posagu, on bez współki z mym ojcem... Wykradać córkę wspólnikowi można, lecz nie uchodzi bez rozwiązania spółki...

— Róbcie, jak chcecie, — przerwała żywo ciotka, wy macie dziś inne pojęcia o miłości. Za moich czasów była ona mistrzynią.

— Dziękuję za absolutorium. Niechaj ciocia będzie spokojna, siew jej nie padł na opokę, zachodzą tylko pewne różnice, polegające na mojej indywidualności, którą ciocia ceni i szanuje.

— No, no, dobrze, co ci więcej Tadeusz w telegramie donosi?

— Że mu serce rozrywa radość, że, być bardzo może, będę świadkiem wybuchu ropy... i że, domyślasz się ciociu — że mnie kocha.

— Komik — czyż na to potrzeba telegraficznych zapewnień?

— Zakochani są zawsze jedni i zostaną niezmienieni do końca świata, cioteczko.

— Wybuch ropy mnie cieszy, i, gdy wy przyjedziecie, to ja pojadę przywrócić mu ład w głowie. Chwali się, że filozof — zobaczymy, jak to filozofia wyjdzie w praktyce życia...

— Cioteczko, delikatnie, bo pomyśli sobie, że ja przysyłam ciotunię.

Urszula się roześmiała.

— Zawsze ta sama historya z zakochanymi! Kiedy jedziecie?

— Prawdopodobnie jutro.

— Ucałuj odemnie Tadzia.

— Ciociu, całować? kiedy on nie całuje!

— To naucz tego filistra, który się boi pocałować swą przyszłą żonę. Pewno mówi, że nie wypada?!! Wypadający z logiki głupiec odmawia sobie jeszcze jednej przyjemności życia!... Co to za rozkosz całować niewinne dziewczę, gdy się je kocha!...

— Napiszę mu prawdę...

— Nieprawdaż, ciociu?!

— Nie, ciotuniu droga, bo nie pojadę, zmiłuj się nademną!..

Objęła ją za szyję i całowała. Urszula spojrzała na zegar, stojący na wystawce kominka.

— Dosyć, biegnę na sesyę szkoły ludowej. Gdy wrócisz, przychodź lub pisz, powiedz Tadeuszowi, że muszę się z nim widzieć.

Włożyła kapelusz, torbę w rękę, w drugą parasolkę — wyszły.

— Odwiozę cioteczkę mym powozem.

— Nie, nie, bo jakby ojciec twój zobaczył nas razem, powiedziałby, że cię buntuję. Jedź sama, wezmę jednokonkę. Bądź zdrowa! Miej więcej rozumu... Nie, nie, rozum masz, tylko ci brak odwagi, biedna...

— Niewolnico, dokończyła Marynia, siadając do powozu...

Na przypuszczenie, że ciotka Urszula może rzucić dziś list do Tadeusza z zapytaniem, dlaczego jej nie całuje, występował róż na matową twarz dziewczęcia. Oczy przymykała, głowę opierała o poduszki, oddając się uczuciom nieokreślonej przez młodość błogości, wywołanej przyśpieszonem biciem serca i ciepłem krwi.

ROŹDZIAŁ VI.

Powóz, pożyczony od burmistrza miasta Kołomyi, zaprzężony parą fabrycznych koni, toczył się szybko po twardej drodze. W nocy deszcz zwilżył ziemię, nie było kurzu.

Mazur powoził i jechał z mazurska, to jest dziarsko. Oglądał się często na dziewczę i, uśmiechając się sam do siebie, kalkulował, że ludzie przez skórę przeczuli wybuch ropy, i już naszemu dyrektorowi zwożą pannę...

Znowu się obejrzał.

— Niema co mówić, ujdzie, ani słowa. Gładka na gębie i śwarna jakaś, a rezolutna. Jeśli on ją ino zechce, będzie miał babę, jak się patrzy. Dobra nasza, kiej mu już „dziopy" zwożą. Skręcił na lewo, batem śmignął i gnał prosto na rzekę.

— Stój, czekaj, wołał przerażony pan Edward.

— A po co mitrężyć? odparł Mazur. Znam rzekę, jak swoją. Tędyśmy uciekali przed Ruśniakami, co nas do nogi wybić chcieli, i woda nam się nie przelała za cholewy.

— Co, co? spytała wystraszona Marynia.

— Ej — długo o tem gadać, żyjemy i już...- Wio!...

Powóz stoczył się gwałtownie do rzeki. Marynia miała czas odetchnąć, pan Edward, zajęty niebezpieczeństwem i sobą, nie spojrzał na córkę. Woda dziś była głęboka, zdawało się, że wejdzie do powozu, przejechali szczęśliwie.

Umajona przez robotników wieża szybu wyglądała świątecznie, na szczycie powiewała chorągiew. Zatknął ją wiertacz. Na spotkanie wybiegł Tadeusz, za nim wolno szedł Feliks. Przywitanie odbyło się spokojnie i, jak na zakochanych, zimno.

— W szczęśliwą chwilę przyjechaliście państwo, po dwu mniejszych oczekujemy wielkiego wybuchu. Kazałem wyciągnąć świder, a kocioł parowy odsunąć...

— Stój, zawołał pan Edward.

— Niema strachu, odpowiedział powożący Mazur.

— O dziecko mi idzie!...

— Tylko niech ojczulek mną się nie zasłania.

— Cicho! stój — wysiadł — i, podając rękę córce, mówił — konie mogą unieść.

— Mamy, sądzę, jeszcze czas.

— Czy w waszej kancelaryi bezpiecznie?

— Najbezpieczniej — mogą tylko pęknąć szyby.

— I dom się zawalić! Dziękuję za ten bal, wolę czekać awantury w lesie.

— Myśl cudowna — odezwała się Marynia, odpoczynek i posiłek w lesie. Rozpalimy ogień, co za widok musi być zgóry.

Zwróciła się do Tadeusza.

— Czy pan uwierzysz, że taką sobie wyobrażałam tę miejscowość, dolina, wtłoczona w spadziste łańcuchy gór, najeżone ciemnymi świerkami. Dalej już mówiła po angielsku żywo, szybko i swobodnie, cała zarumieniona, w oczach miała blask, śmiała się serdecznie, głos jej drżał i stawał się melodyjny, jak śpiew. Ojciec nic nie rozumiał, lecz cieszył się, że język angielski ożywia i robi córkę jego piękną.

— Szkoda, pomyślał, że w naszych salonach nie mówią po angielsku. Jakaż byłaby w nich śliczna.

— A więc jestem, z radości całą drogę serce mi biło. Ach, jak się nudzę we Lwowie, jakbym tu rada zostać!... Przydałabym się, czuję to, chodziłabym na poziomki, czytywałabym ci co dzień, pisała, cobyś chciał, rachowała, gdyby było potrzeba, rysowała i śpiewała w tych ciemnych lasach nad rzeką, a woda głos mój niosłaby daleko, daleko...

— Gdybyś tu pani była, toby znaczyło, że dolina duszę odzyskała, uśmiech i pieśni....

— Pani? od kiedy? spytała, i w tej chwili przeleciała błyskawicą myśl po jej głowie, że może ciotka napisała do niego z zapytaniem, dlaczego nie całuje? Rumieńce oblały jej twarz, spojrzała na poważną i zamyśloną postać Tadeusza i roześmiała się tak wesoło i serdecznie, że aż ojciec zawołał:

— Ależ ten język angielski musi być nadzwyczaj zabawny, kiedy cię tak rozśmiesza.

— Nie, ojczulku, lecz wiosna, krajobraz, lasy świerkowe, płacz rzeczki, nadzieje wybuchu... wszystko razem daje wyborny humor. Gdybym tu dłużej została, stracone pięć funtów odzyskałabym w tydzień.

Pan Edward się zadumał i mimowoli nasunęła mu się myśl, dlaczego jego córka nigdy nie jest tak ożywiona i urocza w salonach lwowskich. Z dumą i rozkoszą patrzał na nią, powtarzając w duchu:

— Co za szkoda, że jej nikt z naszych nie widzi, choćby matka dyplomaty! Tyle wdzięku stracone.

Świder, wydobyty z wnętrza ziemi, jak potwór, leżał na murawie obok wieży. Maszyna odciągnięta o sto kroków!... W podziemiach zaczęło huczeć, ogniska w kotle i kuźni zgaszono. Pan Edward pochwycił córkę i pomknął z nią ku górze.

Napróżno dziewczę się opierało.

— Chodźcie, panowie, do nas, wołała wystraszona, lecz jej nie słuchano. W tej chwili wszyscy gwałtownie pracowali, aby się przygotować do pochwycenia mogącej każdej chwili wybuchnąć ropy. Rury do ujęcia ropy układali na murawie, deski z wieży odbijano. Spadały z hukiem na ziemię.

— Teraz chodź, kumo, zawołał Kasper.

— Kumo, wyłaź z piekła, dodał chłopak wieżowy.

Mazury uderzają w śmiech, za ich śmiechem huk — reszta desek z wieży spada, i gruby strumień ropy na wysokość smigłego świerka bije w górę.

— Hura! Mazury podnoszą w górę czapki. Rusini, lecąc do wystraszonych koni, żegnają się.

— Czort leje smołę, szepczą.

Wiatr rozpryskuje fontannę ropy, zagłębienia ziemi wypełniają się brunatnym płynem.

— A teraz na nas pora, woła wiertacz, przybiegając po ostatnią radę do Tadeusza.

— Byle rurę do szybu założyć, jeden jedyny rozkaz...

— Wybuch mocny, ale i my nie plewy, odpowiada. Chłopcy zamną dalej, dźwigajmy rurę!

Mazury, wściekli, że tyle bogactwa leci marnie, pracowali zawzięcie... Kasper, zalewany buchającą ropą, stanął na otworze. Tadeusz przy nim.

— Podawać delikatnie, a mocno trzymać.

Żelazną długą rurę podnieśli, jak piórko, lecz, gdy ją chcieli na-

sadzić, gazy i gwałtowny pęd ropy odepchnęły. Wyrwała się z rąk Mazurów, jednego uderzyła w głowę, padł zemdlony na ziemię.

— Zawcześnie, rzekł zrozpaczony wiertacz.

Dziewczę, patrząc zdaleka, drżało z przerażenia i obawy o Tadeusza. Gdy ujrzała leżącego na trawie Mazura, myślała, że zabity, wyrwała się ojcu i pobiegła; pan Edward, przeklinając słabość swą, szedł za nią.

Nim nadbiegła, robotnicy odnieśli zemdlonego pod kancelaryę i tam zlewali go zimną wodą. Marynia uklękła przy nim.

— Koniaku, prosiła, parę kropli do ust, koniaku...

Feliks przyniósł kieliszek.

— Otwórzcie mu usta, zwróciła się do wiertacza.

— Rozdziawiaj gębę, bo ci panienka wleje takiego kordyału, że warto dostać w łeb żelaziwem.

Zemdlony leżał z zaciśniętymi zębami. Kasper ścisnął mu grdykę, Mazur otworzył usta i oczy.

— A gdzieżeś to bywał, Barteczku?!...

Nie odpowiedział, zamykając powtórnie powieki. Wlany kieliszek koniaku pokrzepił go, chciał się zerwać, lecz nie mógł, jęknął i znowu padł, zamykając oczy.

— Zanieść go do szopy na siano, dał rozkaz Tadeusz.

— Dać mu poduszkę, prześcieradło i kołdrę, dodała Marynia.

— Może go jeszcze borsuczem sadłem smarować. U nas całej parady dwie poduszek, na których śpią dyrektory. Mazur nie Żyd, żeby się na betach rozlegiwał. Panienka, żeby z nami została, wnetki zepsułaby robotników!... Ale niech ostanie, będzie świecić, jako słonko i pocieszenie...

— Widzisz i niepotrzebnie zmięłaś sobie sukienkę, przerwał pan Edward ze strachu, aby wiertacz nie powiedział głupstwa, którego nie chciał usłyszeć.

Na sztangach zanieśli robotnika do szopy. Wiatr zaczął się kręcić i rozpryskiwać ropę na wszystkie strony.

— Cofajmy się. Maryniu, chodź, wołał pan Edward.

Dziewczę spojrzało błagalnie na Tadeusza. Zobaczył prośbę w jej oczach wiertacz i odezwał się.

— Niech pan dyrektor idą, będzie nam samym raźniej. Musimy szelmę schwycić i do kadzi skierować. Antek poniesie samowar, koszyk, szkło, rozpali ogień.

Marynia po raz drugi spojrzała na Tadeusza, a pan Edward po raz trzeci przyzywał córkę do siebie.

— Jeszcze mnie pan nie widział w roli gospodyni, szepnęła.

— A więc oddaję ci władzę do ujarzmienia ropy, rzekł Tadeusz do wiertacza.

— Nim wrócicie, będzie spływać do kadzi!..

— Kasperku, dziękuję wam, zwróciła się do Mazura, wyciągając do niego rękę.

— Kiej powalam — rzekł.

Nachylił głowę i wyciągniętą pocałował.

— Obyś z nami, śliczności, ostała, powiedział.

— Maryniu! wołał niecierpliwie ojciec.

— Chodźmy! Cieszę się, że cię tu nie zostawiam, odezwała się do Tadeusza po angielsku.

Feliks obładował Antka koszykiem, przywiezionym ze Lwowa, i przyborami do herbaty.

— Uciekajmy z tego zaczarowanego miejsca — mówił pan Edward, które może dać miliony, lecz i śmierć. Uciekajmy przed śmiercią, miliony same przyjdą do nas. Cóż pan myślisz o tym wybuchu?

— Zadziwiający siłą i obfitością, odparł Tadeusz.

— Kiedy opanują ropę?

— Za godzinę; przed chwilą sprężystość gazów i ich siła była tak wielką, że rurę i ludzi odepchnęła, jak piórko. Sądzę, żeśmy natrafili na bardzo obfite źródło.

Pan Edward się uśmiechnął.

— Prowadź kochany pan!

— Tą ścieżką zajdziemy na maleńką polankę pierwszego podgórza.

— Wybornie — nie wysoko, nie daleko, a bezpiecznie. Tu gazy zaczynają dusić. Maryniu, nie czujesz bólu głowy?

— Ależ, ojczulku!

— Mnie moja nieco cięży...

— Może od milionów, które za godzinę będą się lać do kadzi!..

— Daleko jeszcze do nich, dziecko.

— To do tysiąców, — a to wszystko jedno, bo z tysięcy rosną miliony.

— Dobra sobie. Panie Tadeuszu, nie dziecko to?

— Życzę pani, abyś w stosunku do mamony zawsze została dzieckiem.

— I niezawodnie tak się stanie, bo mnie mamona obchodzi tyle, o ile pozbyć się jej mogę.

— Chcąc ją rozrzucać, trzeba ją mieć, rzekł zirytowany pan Edward.

— Dzięki ojcu będę ją miała. Jakże tu uroczo! — zawołała, zatrzymując się.

— Uroczość się skończy, rzekł Tadeusz, powstaną domy, fabryki, zlecą się przemysłowcy i kapitaliści. Ostatnie to chwile sielanki. Przemysł bierze okolicę w swe ramiona. Ale i w nim jest poezya pracy i energii ludzkiej.

— Jeżeli cała ta dolina, przerwał Edward, kryje we wnętrznościach swych ropę, kolej jest konieczna. Jutro robię kroki o koncesyę. Nie można czasu tracić!...

— Poezya pracy i energii ludzkiej musi być wspaniała, lecz zdaleka — żyć w samej walce, brać udział w namiętnościach ludzkich i samemu się szarpać: wydzierać lub bronić, to straszne.

— Walka!.. Życie jest walką! wygłosił sentencyę pan Edward...

— Życie jest, mówiła cicho Marya, i cierpieniem, tęsknotą, i miłością, upojeniem, twórczością....

— Możesz sobie, przerwał pan Edward, na te zbytki pozwalać, gdy masz wypchany pulares. Lecz ci, co go nie mają, muszą walczyć, żeby żyć.

Dziewczę nic nie odpowiedziało, zwróciło się do Tadeusza i zaczęło po angielsku:

— Ciebie jednego pojmuję, tworzysz, jesteś więc poetą, ujarzmiasz naturę siłą twego rozumu, wydobywasz bogactwa z ziemi. Lecz ty nie walczysz o byt i o posiadanie... Cobyś ty, biedaku, z pieniędzmi robił, gdyby ci nie wolno było użyć ich na szerokie cele? Uciekłbyś od bogactw, znudzony czczością i nędzą używania, skrępowany niemi. Mój los dlatego jest ciężki, że jestem bogata, a nic nie mam dla siebie. I nieraz ze złości krajałabym adamaszki na mych meblach, tłukła cacka i kosztowności.

— Przez sam wzgląd i grzeczność dla ojca powinnaś mówić językiem zrozumiałym dla niego.

Tadeusz spojrzał po za siebie.

— Zwycięstwo! — rura przytwierdzona, zawołał i pobiegł...

Ojciec i córka patrzeli ciekawie.

— Ci ludzie to bohaterzy — szepnęła Marynia.

— Widzisz, odczuwasz poezyę w sile i pracy.

— I kocham je, dodała.

— Ale z jaką mocą bije ropa w górę! Ma się ochotę wrócić i pomagać tym ludziom.

Tadeusz pędził z całych sił, widocznie szczęśliwa myśl zrodziła się w jego głowie i pognała do kopalni.

— Panie Tadeuszu, wołała za nim wystraszona Marynia.

Nie słyszał...

— I czegóż go zatrzymujesz? — czyż nie widzisz, że bogactwo twoje marnuje się? Powinien być na swem stanowisku i pełnić swe obowiązki!.. Obowiązki to największa poezya życia. Ja swoje spełniam.

Tadeusz dopadł do gromadki i zmieszał się z nią.

— Jakże się boję o niego — szepnęła po angielsku.

— Albo ta angielszczyzna wobec ojca, nie władającego tym śmiesznym językiem! Czyż to wypada na osobę tak dystyngowaną, jaką się mienisz?

— Ależ nie mam pojęcia o dystynkcyi, przerwała dziewczyna.

— Odkądże to, bo parę dni temu cieszyłaś się, że dystynkcyą upokarzałaś ciotki młodzieńców?

— Tylko przytomnością.

— Mniejsza o nazwę!... Patrz, budują rusztowanie, kadź na klockach przysuwają. Na rusztowaniu stoją obaj — widocznie byli potrzebni!

— A ja się boję, żeby rura nie wyrwała się i nie zabiła ich.

— Tnak?

— Byłabym o wiele uboższa, bo lepszego wspólnika nie znajdziesz ojciec...

— Dziś, kiedy już jest ropa, mniejsza o wspólnika! Znajdę dziesięciu na jego miejsce...

Maryni serce się ścisnęło, lecz milczała, wpatrując się w rusztowanie i ludzi na niem. Za chwilę ruszyła naprzód.

— Gdzie? zawołał za nią ojciec.

— Do mego bogactwa.

— Stój, proszę cię na wszystko, bo cię zatrzymam siłą. Nie na to całe życie pracowałem!...

Dziewczę usiadło na wysokiem kretowisku.

— Cóż to za bieda z temi rozpieszczonemi jedynaczkami!

Olbrzymią kadź na okrąglakach przysunięto pod wieżę, na rusztowanie wciągnięto drugą rurę, załamanie przytwierdzono, rurę przymocowano, koniec jej oparto o krawędź kadzi.

— Bogactwo twoje i bez ciebie uratowane. Robotnicy rozbiegają się zbierać ropę po wklęsłościach pastwiska, drudzy dźwigają beczki. Widzisz tego zucha, leci na koniu na wieś po wozy. Odetchnął głęboko i mówił dalej:

— Kadź się niedługo napełni, i ropy nie będzie gdzie chować. Mam upatrzonych pięćset beczek, przyszlę im jutro. Zaczyna się przecie coś dziać, to lubię!... Nie mogłem patrzeć, jak się marnują dary Boże, teraz oddycham. Chodźmy, niebezpieczeństwo minęło, ciekawy jestem, jaki procent wody... No, no, moja dziedziczko, kto wie, czy czasem milionik do posagu od tej chwili nie zaczyna przybywać. Chodź, moja jedynaczko, dziękuj Bogu—że masz ojca szczęśliwego w interesach...

— Dziękuję ci, ojcze, że jesteś szczęśliwy w interesach.

— I Bogu podziękuj, bo mogło nie być w tem miejscu ropy. I, jeżeli Bóg zechce, tylko kurek w ziemi zakręci, i nic nie będzie.

— Bóg nie ma czasu robić figli ojcu. Bóg nie jest sąsiadem dobrodziejem, zatrzymującym lub puszczającym wodę na łąki ojcowskie. Nie godzi się w ten sposób Boga traktować.

— Wy, młodzi, nowożytni, traktujecie Go, jako jakiegoś filozofa, ale nam starym pozwólcie go mieć za Pana i surowego opiekuna, z którym się trzeba delikatnie obchodzić.

Marynia się rozśmiała.

— W tym śmiechu czuję wpływ Urszuli, chociaż katechizmu uczył cię najsilniejszy w dogmatyce jezuita. Wypraszam sobie wszelkie dysputy religijne.

— Z rozkoszą, ojczulku, bo i ja, mimo że mnie uczył katechizmu mistrz dogmatyki, jestem słaba w tych kwestyach i nie chcę się w nie zagłębiać.

— Ropa w więzieniu, zawołał pan Edward zdaleka.

— Pan dyrektor i ja, odparł Kasper, daliśmy jej radę! Gniewa się, hałasuje, huczy, burzy, ale leje się tam, gdzie potrzeba!

— Dużo wody?!

— Dziesięć najwyżej procentów, odpowiedział, zbliżając się, Tadeusz. Niedługo każę ją wypuszczać.

— Czy beczki na ropę wystarczą!?

— Mam trzysta, lecz Rusini obrócą tylko raz.

— Za mało. Wybuch wielki i tak prędko w głębokości stu pięćdziesięciu metrów. Jesteś szczęśliwy!...

— Nigdy, nie skarżę się na los!

— Lecz dziś powinieneś się z niego cieszyć.

— Czekajmy końca.

— To prawda, koniec wieńczy dzieło. Jutro wyślę ci pięćset beczek.

— Jeśli tak pójdzie dalej, trzeba rurociągi przeciągnąć do Kołomyi.

— Nawet kolej zbudować, dodał pan Edward.

— Wielkie zbiorniki z blachy żelaznej.

— Rezerwoary! wszystko, mój drogi, wszystko, co tylko oszczędzi, uprości i powiększy nasz dochód!...

— Praca skończona, odezwała się Marynia, posag mój uratowany, leci do kadzi, i teraz wolno mi powiedzieć, że mi się chce jeść przerażająco. Gotowam z głodu zemdleć.

— Gotowaś suchot dostać i ja na starość... urwał. Musisz się zaraz napić koniaku i zjeść kawałek szynki, inaczej nie pojedziemy do lasu!...

Usłuchała. Antek z koszykiem i samowarem pomknął naprzód ognisko rozpalić i samowar nastawić. Tadeusz zmęczony ocierał czoło zroszone. Feliks nadszedł i uśmiechał się jak po zwycięstwie, rad z siebie. Cichy, dobry, łagodny, milczący, targał z zadowolenia brodę i poczciwie patrzące bladoniebieskie oczy mrużył.

— Suchoty zażegnane, nie zemdleję, pan Feliks nie będzie zmuszony mnie nieść, chodźmy — mówiło wesoło dziewczę. Panie Tadeuszu, podaj mi rękę Miło słabej kobiecie oprzeć się o ramię zwycięzcy. Pan Feliks będzie towarzyszył ojcu, — my z naszą angielszczyzną naprzód — ojciec jej nie lubi.

Pan Edward nie bardzo był rad temu postanowieniu, lecz poddać się musiał ze względu na wybuch ropy i ujęcie jej w okowy żelaznych rur... Czas wycieczki do lasu zużył na wypytywaniu Feliksa o stosunki i cyfry mu potrzebne.

Słońce z poza szarej chmury rzucało srebrną jasność, widzianą zaledwie w zimie. Srebro na zieleń kładło smutno i lękliwie zimne, blade promienie na drgającą życiem przyrodę. Ciemne świerki i stare dęby milczały ponuro, listek się na nich nie poruszył, ciche, cmentarne, stały, jak w czarodziejskiej bajce.

Smutek ten odczuło dziewczę i mimowoli przytuliło ramię do Tadeusza.

— Dlaczego w dzień tryumfu twego tak grobowo słońce świeci, ptaki umilkły, żaden listek szmerem nas nie powita, natura, zaczarowana grozą i strachem — czeka wyroku, czy zmiłowania?!...

— Wyroku Boga!... Są w naturze chwile oczekiwania i tęsknoty za lepszymi światami, bo i ona ma duszę, objawiającą się w tęsknocie. Tęsknota jest objawieniem każdej duszy...

— Tęsknisz? — szepnęło dziewczę.

— Tęsknię za twoją duszą i za tem wszystkiem, co nieujęte, wielkie, niedościgłe. Tęsknota łączy duszę moją z wiecznością i z pragnieniami nieuchwytnemi, zsyłanemi nam z innych światów...

— I mimo tej tęsknoty, co ci serce wypełnia, masz siły ciężko pracować, walczyć, zwyciężać, żyć na pustkowiu wśród zapasów z naturą?

— Cuci mnie i rozkosz sprawia ta walka. Boję się tylko ludzi. Naiwność moja w walce z ludźmi jest wielkim moim grzechem, a nie mogę się pozbyć wiary w ich uczciwość i prawość. Uczciwym być tak łatwo, oszukiwać tak ciężko i trudno. Gdyby ludzie energię swoją, potrzebną do oszukaństwa, zużywali na rzeczy proste i uczciwe, jakieżby olbrzymie rezultaty były z tego!.. Prawda, szepnął jakby do siebie, tyle sił zużyć na szkodę ludzi i własną — nikczemność... Czyż to więc wielka moja zbrodnia, że tego zrozumieć nie mogę i w każdym, kto wyciąga do mnie rękę, widzę brata, człowieka idei... Czyż ja mam czas śledzić, dociekać, podchwytywać duszę ludzką i badać ją, czy to jest nędzna dusza łotra, czy szlachetna uczciwego człowieka? A przecież i wielcy ludzie mają często podłe dusze. Natura mówi do mnie: znajdź klucz do mego serca i otwieraj. Jest to jeden wielki klucz mądrości, a do każdego serca i mózgu ludzkiego potrzeba innego klucza; najtrudniejszego do otwarcia mózgu nikczemnego głupca.

— Biedny pan jesteś. Czyż koniecznie musisz się stykać z ludźmi?

Zaśmiał się cicho i rzewnie, lecz ten śmiech jego krajał serce smutkiem, wydobytym z głębi serca.

— Do dziś wystarczył Feliks i piętnastu Mazurów. Od dziś przedsiębiorstwo nasze wymaga urzędników, kredytu, kapitałów, wielkiego aparatu...

— Cieszcie się tem, co macie, szepnęła.

— Szkoda życia i pracy. Mamy zaledwie troszkę dla siebie. Ludzie patrzą na nas i czekają. Jakże oni są biedni i niezaradni!... Szkoda życia, powtórzył cicho. Usłucham cię — i cóż dalej — pustka...

Dziewczę chciało zawołać: Masz mnie, moją miłość, rozkosz miłości, ciche szczęście, spokój, książki, które kochasz. Nie śmiało, czuło, żeby to był egoizm, i przelękło się...

— Życie to walka, rzekła smutno, a mnie się czasem zdaje, że życie to cisza, mądrość, panowanie duszy i myśli ludzkiej nad światem...

— Gdyby wszyscy mędrcy odcięli się od ludzi i szli do nirwany, ludzkość popadłaby, jak w Indyach, w apatyę, zbrodnię i dzikość. Ludzie potrzebują walki szamotań się, cierpień i pragnień.

— Czyż nie szkoda życia? jak echo, za Tadeuszem szepnęła Marya.

Tadeusz znowu się roześmiał cicho, smutno, rzewnie, że aż się serce krajało.

— I tego szkoda, i tego szkoda, wszystkiego szkoda, a życie jedno, róbmy więc to, co nam los każe i udźwignąć możemy. Co do mnie, czuję się dopiero w pełni życia, gdy wytężam całą moją energię mózgu i muskułów, a szczęśliwy, gdy dusza po promieniach myśli wyrywa się poza światy.

Dreszcz przebiegł po ciele dziewczyny, ręka jej zadrżała, przylgnęła do towarzysza i powiedziała z siłą, płynącą wprost z duszy:

— Kocham cię!...

Słońce białe, zimne rzuciło srebrne promienie z poza liści dębu do ich stóp, zamigotało na twarzy Tadeusza, objęło postać dziewczęcia. Stali w tych świetlanych, smutnych blaskach na srebrzystej murawie zapatrzeni w siebie...

— Miłość twoja, mówił serdecznie i cicho, jest łaską, jest siłą moją, nagrodą, wiecznością, jest blaskiem moich dni i ciszą nocy gwiaździstych...

— Ulitowaliście się nad nami i zaczekali—odezwał się niespodzianie pan Edward.

Przebudzeni drgnęli i obejrzeli się.

— A możeś ty z kokieteryi stanęła, mówił dalej ojciec, aby błyszczeć w tem srebrnem świetle i zgubić pana Feliksa. Przyznaj się, dziewczyno.

Marynia spojrzała przed siebie.

— Widzisz, jaki suty ogieniaszek Antek zgotował, szyneczka będzie smakować, herbatka gorąca. Znajdzie się w koszyku i świeży pasztet, i butelka francuskiego wina, i masełko. Gospodyni nie wie nawet, co w jej koszyku się znajduje. Ojciec o wszystkiem musi pamiętać.

Nadbiegł Antek.

— Erbatę trza zaraziczko zasypać, bo się woda wygotuje i świeżej naleję.

Marynia, chcąc się uwolnić od żartów ojca, pobiegła do ognia, Antek za nią, za Antkiem Tadeusz.

— Podaj mi rękę, panie Feliksie, i chodźmy. Odchowaj dziecko, a odleci od ciebie, jako ptak. Taka nasza dola. Ale dobrze zrobiła, bo zaleje herbatę. W drodze znakomity napój... A wiesz, czem się dziś najwięcej zmęczyłem?

Feliks milczał.

— Oto tem, że nie można było tej buchającej ropy skierować

do kadzi... Patrzeć, jak bogactwo biednego kraju leci na marne, to się może serce krajać.

— Może, poświadczył uśmiechając się Feliks.

— I moje się, widzisz, krajało. A teraz jeść mi się chce i pragnę położyć się w chłodzie i nogi wyciągnąć. Dolegliwości krajowe najwięcej bolą!... Wielka zasługa Tadeusza, że odkrył w biedzie naszej nowe źródło...

— Jesteśmy stworzeni dla siebie, dlaczego nie możemy być razem?... Wiecznie razem—co za rozkosz! Szkoda każdej godziny, straconej osobno. Pustka mnie obejmuje i samotność straszy, gdy nie jestem przy tobie. Trzeba to raz skończyć, bo mi serce pęknie!... Szkoda życia! mówiło szeptem dziewczę, łapiąc powietrze, tamowane wzruszeniem i biegiem.

— A widzisz, nie mogliście uciec daleko! Papu was zatrzymało. Papu zarówno zatrzymuje filozofa i króla, jak i chudopachołka... Marzenia marzeniami, a przy żłobku trzeba stanąć i z drugimi papać—i to radzi praktyka życia. W imię tej praktyki obejmuję dowództwo i, jeżeli nie mogę waszemi myślami, to pokieruję waszemi żołądkami uczciwie, to jest higienicznie Naprzód koniak. Panie Feliksie, dawaj butelkę i kieliszek. Maniu, pij do mnie—musisz wchłonąć pół kieliszka... Tak, dobrze. Teraz chlebuś, masło, pasztet, potem sardynki i piwko, potem szynusia i wino francuskie, a na to wszystko herbatka!—A jak będzie smakować?!... Jestem w wybornym humorze, bogactwo narodowe odkryte, wydarte z ziemi i ujarzmione, my jego administratorami. Nie prawda, panie Tadeuszu?

— Bez wątpienia—tylko...

— Wiem, wiem, co chcesz powiedzieć. Tylko, jak będziemy administrować?... Odpowiem ci—iść naprzód do celu i bez odetchnienia! Naród potrzebuje środków do życia, inaczej umrze na suchoty. Widzisz!... Panie Feliksie, sardynki i piwo. Ja i Marynia, jedno pudełko — wy drugie. Na czem stanąłem?...

— Na suchotach, powiedział Feliks

— Acha, na suchotach. A za tem panowie, wznoszę toast: poświęćmy wszystkie siły, aby narodowi nie dać umrzeć na suchoty. Ot, do czego ja dążę, do czego dążyć powinniśmy wszyscy... Antek, odkorkuj wino, Maryniu, podaj szynkę... A nie damy narodowi umrzeć na suchoty, gdy mu oddamy wszystko, nasze siły, zdrowie, przyszłość.

— I pieniądze—dodał spokojnie Feliks.

— Tak, pieniądze,—oszczędzone pieniądze stanowią właśnie bogactwo narodowe. Oszczędzać to znaczy zbierać, tworzyć. Gdybym nie oszczędzał od młodości, nie byłbym kupił Swobody, nie zetknął się z Tadeuszem, i dziś nie płynęłaby obfitym strumieniem cywilizacya.

Podniósł kieliszek w górę, wypełniony winem.

— Zdrowie cywilizacyi—niech płynie.

— Ojczulek dziś bardzo wymowny, zrobiła uwagę Marynia.

— Ta cywilizacya i ten obfity jej strumień rozwiązuje mi usta. To są rezultaty mej oszczędności, mej odwagi i mych szczęśliwych kombinacyi... Panie Tadeuszu, należałoby ufetować Mazurów, posłać do Kołomyi po piwo, kiełbasy!... Beczek więcej sprowadzić, bo może ich zabraknąć i gotowe nieszczęście.

— Już posłane, odparł Feliks.

Tadeusz siedział na uboczu, pochłonięty przez własne myśli. Twarz mu zbladła i wydłużyła się, w oczach głęboko świeciły zaklęte ognie. Milczał, nie brał udziału w uczcie, nie odpowiadał na pytania... Pierwszy to jego tryumf na rodzinnej ziemi. Nie mógł jeszcze objąć całego ogromu przyszłych powodzeń, myśli jego nurzały się w chaosie wielkich projektów... Tworzył przyszłość, szeroko piersi rozszerzał.

Cicho przy nim usiadła Marynia.

— Mam prośbę do pana, rzekła po polsku. Czy mogę mówić?

— Mów, zawołał ojciec, dziś wszystko dla ciebie!

— Czekam na pozwolenie pana Tadeusza, prośba wyłącznie do niego.

— Słucham, odpowiedział, cucąc się z zadumy...

— Dzisiejszy dzień jest wielkim dniem przyszłości pańskiej i może przyszłości przemysłu w tych stronach. Pragnę go upamiętnić.

— Dobrze, dobrze, słuchamy, zawołał wesoło pan Edward.

— I na szczycie tej góry postawić krzyż, u stóp jego kamień, na nim wyryta data dzisiejszego dnia.

— Zły to prognostyk krzyże w dzień wesela budować, rzekł ojciec.

— Proszę przeciąć w dwu kierunkach od krzyża las, niech go widzą, niech ramiona swoje rozciąga nad kopalnią. Koszta poniosę ze swych oszczędności...

— Ależ dobrze, dziecko, kiedy koniecznie tego chcesz. Co do mnie, nie lubię krzyży... Całe życie dźwigam krzyż...

Zwrócił się do Feliksa.

— Drzewo z wycinek sprzedam wam do kopalni.

— Byle nie drogo?..

— Drzewo do mnie należy, rzekła Marynia, i otrzymana za nie suma niech będzie zaczątkiem zapomogowej kasy dla robotników.

— To się nazywa mówić uczciwie, rzekł spokojnie Feliks.

— Panie dyrektorze, wprowadź mnie na szczyt, naznaczymy miejsce, w którem ma stanąć krzyż, rzekła stanowczo Marya.

Tadeusz, jakby przebudzony z letargu, zerwał się automatycznie, podał ramię dziewczęciu—poszli. Ojciec i Feliks wpatrywali się w nich w milczeniu. Feliks miał ochotę zawołać: jakaż dobrana para! lecz się bał przed czasem zdradzać tajemnicę.

Ojcu przesunęło się przez myśl przypuszczenie, czy czasem projekt postawienia krzyża nie był pretekstem do pójścia samym do lasu. Czoło zmarszczył, lecz złą myśl odepchnął, zwłasza po obfitym posiłku.

— Przecież to moja córka, powtarzał w duchu. Wracajcie, zawołał za nimi.

Nie obejrzeli się nawet.

— Nadto zajęci sobą, aby słyszeć mogli, zrobił uwagę Feliks.

W ojcu krew zawrzała, miał ochotę krzyknąć i wrócić ich z drogi, lecz się przeląkł tego zamiaru.

— Nie można się hazardować przed układem, rozumował. Znam moją córkę i wierzę jej, muszę jej wierzyć. Dlaczego nie mam jej wierzyć!?... Ma ona rozum i wielką godność! Moją godność ma moja córka.

Tymczasem córka, wzruszona, szła szybko na górę, oddychając gwałtownie. Tuliła się nerwowo do towarzysza. Obejrzała się...

— Nareszcie jesteśmy sami, dziś po raz ostatni. Mam tyle do powiedzenia, a brak mi słów,—ze wzruszenia myśli nie mogę skojarzyć... Zwycięzco mój!

Stanęła na wystający kamień, obróciła się i pociągnęła Tadeusza ku sobie. Zrównali się wzrostem, oparła ręce na jego ramionach.

— „Ktoś ty" pytałeś się mnie w swym liście. Kto ja? — szeptała. Jestem tylko biedną dziewczyną, która ci oddaje całe swe istnienie. Bierz je, jak własność i prowadź. Kto ja?... Nie wiem, lecz chcę być promieniem twej źrenicy, gorącym oddechem twej miłości i samą miłością,—siłą twych pragnień i energią twych czynów... Wszystkiem być pragnę, o czem marzysz...

Patrzeli na siebie długo. w ekstazie objął ją ręką wpół, pochy-

liła głowę na jego ramieniu, rozpłakała się cicho i rzewnie. Łzy wzruszają, tulił ją, i mimowiednie usta ich złączył Bóg.

— Na wieczność, na całą wieczność, szeptała i poza wiecznością tyś mój!—Z tobą chcę przejść przez życie, przy tobie. W walkach potrzebujesz mocy, będziesz ją brał ze mnie!...

— Cokolwiek nam los zgotuje, odparł wzruszony, wykujemy pochód naszego życia na drogach tego kraju...

— Choćbyśmy mieli krwią i łzami naszemi wycisnąć niestarte piętno na nim—rozkazuj, jam twoja!... Tylko się spiesz zabrać mnie do siebie, szkoda życia, szkoda młodych lat.

— Jak pragnę, jak pragnę! Bez ciebie tęsknota szarpie mi nerwy, myśl się błąka, bez oparcia, bez wyrazu...

— Rozkazuj, jam twoja, powtórzyła z siłą.

— Nie mogę się stąd ruszyć, a tu domu niema, trzeba go postawić. Z ojcem twym nie spisana umowa...

— Po umowie i wybudowaniu domu pragnę tu zostać, być u ciebie, z tobą; nie w uroczystych chwilach uniesień, lecz w długim biegu życia. Nie od święta, lecz zawsze, być twoich pragnień wyrazem, a pracować dla ludzi.

I znowu głowę oparła na jego ramieniu, i znowu ciche łzy wzruszenia przyszły, i znowu usta się ich spotkały i piły słodycz upojenia.

Pierwsza oprzytomniała.

— A teraz na szczyt, na szczyt, spieszmy się!... Kiedyż przestanę się bać, kryć—i na te błahostki czas tracić...

Stanęli na samym cyplu góry. W utworzonej szparce z gałęzi zobaczyli ojca z Feliksem. Zawołali, odpowiedzieli im głośno, wzywając do powrotu. Miejsce, gdzie miał stanąć krzyż, oznaczyli kamieniami i, ująwszy się pod ręce, popychani spadkiem i miłością zbiegali szybko z góry.

— Miejsce przewyborne, mówiła zdyszana, wspaniały dębowy krzyż, szerokie przecięcie na pierwszy szyb kopalni! Przyjeżdżam na poświęcenie.

— Dobrze, moje dziecko, tylko trzeba najprzód jakieś schronisko zbudować, bo nie zawsze w górach pogoda sprzyja. Wtedy będziemy często przyjeżdżać. Zobaczysz, jakie to drożdże ta nafta i jak na tych drożdżach wszystko rosnąć będzie.

— Schronisko, ojczulku, proszę o schronisko miłe i wygodne,— dziewczę złożyło ręce.

— Dobrze, lecz pierwej musimy z panem Tadeuszem zawrzeć układ. Daliśmy sobie słowo zrobić to w pierwszym dniu ukazania

się ropy... Wracajmy, tylko proszę pani od nas nie uciekać... Być może, panie Feliksie, że jesteśmy tak banalni, że trudno z nami wytrzymać, lecz od czegóż poświęcenie? Maryniu, poświęcać się lubisz?...

— Po projekcie schroniska jesteś, ojczulku, najoryginalniejszym z ludzi i najwięcej pomysłowym.

Pana Edwarda znowu coś ukłuło pod sercem.

— Wybadam Urszulę, pomyślał, a udając wesołego, robił przypuszczenia, wiele beczek ropy może dać dziennie pierwszy szyb; pomagał mu w obliczeniach Feliks. Młodzi milczeli.

Od połowy drogi Tadeusz pomknął naprzód.

— Wiele się spodziewasz dziennie beczek, panie Tadeuszu, rzucił pytanie w kancelaryi pan Edward, zapalając cygaro.

— Obecnie do trzystu, odparł Tadeusz, siadając przy stoliku.

— O to świetnie! Obecnie cena beczki sześć papierków—to 1,800 guldenów dziennie,—winszuję ci!—Jeśli tu stanie dziesięć szybów i wszystkie dadzą tyle, w parę lat jesteś milionerem.

— A jeśli nie będą dawać? Pomyśl pan, jakie mnie czekają nakłady i straty...

— To też ze względu na nakłady żądam tylko za grunt, na którym kopiesz, za tę moją naftę, którą znalazłeś, tylko 40 procentów brutto.

Tadeusz zerwał się na równe nogi.

— Ależ to niepodobna, gruntu nie zabieram.

— Lecz zabierasz, co w gruncie jest! Zresztą to moje ostatnie słowo i nie wymagam dużo! Pomyśl sobie, z jednego szybu masz dziś 1800 złr. na dwadzieścia cztery godziny, a ja żądamy tylko czterdzieści procentów dla siebie za naftę, która jest moją. Albowiem, kupując ten majątek, kupiłem go, jak Żydzi, z powietrzem aż pod niebo i z głębokością aż do piekła.

Tadeusz siadł i zaczął liczyć. Pisał szybko cyfry i powtarzał: niepodobna, pan mnie u progu mych prac zabijasz.

— Jeśli ci się zdaje, że cię krzywdzę, możemy się rozstać. Oddaję ci nakłady, nawet dam coś na odszkodowanie, kopalnię będę prowadził sam.

— Panna Urszula bierze dziesięć procentów.

— Jakto, za co aż tyle?

— Dała mi na ryzyko trzydzieści tysięcy, połowę swego majątku, za to przyrzekłem jej dziesięć procentów od wszystkich szybów. Ryzykowała—łaskawy pan nic, dając grunt bez żadnej prawie wartości.

— Jeżeliś się tak ułożył, to ci jeszcze zostaje 900 guldenów dziennie. Nie chcę mieć więcej całe życie.

— Z tych trzysta zabierają koszta.

— Daj mi dziennie sześćset, to także cię skwituję z reszty!... No, no, kochany Tadziuniu, nie grymaś. Akcik ułożymy, podpiszesz go, a pojutrze przyszlę ci do podpisu akt notaryusza.

— Może lepiej będzie oddać kopalnię.

— Zostawiam ci do woli. Masz taką głowę i takie szczęście, że zaczniesz kopać, gdzie ropa wytryśnie...

Tadeusz wyszedł, pan Edward chodził po kancelaryi i rozważał.

— Jeżeli się zgodzi, to dlatego, że mu Marynia powie: jestem jedynaczką, a więc wszystko twoje!... Będę miał dowód niezbity. Lecz, gdy Marynia będzie milionerką, nie głupim oddawać ją dyrektorowi mej kopalni, bez nazwiska i znaczenia. Córka moja będzie wtedy pierwszą partyą w kraju. A wybić jej z glowy głupią miłość—może na to rozum mój wystarczy.

Marynia rozmawiała z Feliksem, przybiegł do nich Tadeusz.

— Pan Edward żąda czterdzieści procentów brutto za grunt, na którym kopiemy naftę. Jeśli się nie zgodzę, bierze kopalnię na siebie.

— Niech ją bierze, inaczej ruina. Sąd polubowny oznaczy przypadającą dla ciebie sumę i dalej w świat!

Marynia zbladła.

— Ostrzegałem cię, mówił dalej Feliks, aby odrazu przed rozpoczęciem robót zrobić układ, napisać kontrakt. Właściciel gruntu może żądać najwyżej dziesięć do piętnastu procentów... Ale cóż, ty masz wstręt do układów i walki w tym kierunku, przezwyciężyć się nie potrafisz. W tem tkwi zarodek twego upadku!

— Byłem pewny, tłómaczył się Tadeusz, że więcej nad dziesięć nie zażąda...

— Czterdzieści to śmierć! zawołał Feliks. Jutro we Lwowie zwołasz sąd polubowny...

Marynia odeszła, pociągając za sobą wzrokiem Tadeusza.

Pan Edward patrzał przez szybę okna.

— Boję się i drżę cała, mówiła nerwowo. Boję się, bo mi się zdaje, że, jeśli porzucisz Swobodę, stracę cię. Zaklinam, zgódź się na czterdzieści procentów. Wiesz, że jestem jedynaczką i jedyną spadkobierczynią ojca, a twoją na wieki. W imię naszej miłości zgódź się!

Przywołała ruchem głowy Feliksa.

— Już powiedziała, mówił półgłosem pan Edward, sakramentalne wyrazy! Jestem jedyną spadkobierczynią ojca i twoją na wieki! Ten głupiec uwierzył, przyjdzie tu i da głowę pod ewangelię.

— Panie Feliksie, pan wiesz wszystko, mówiło dziewczę.

— Wiem i boję się łączyć miłość z interesami.

— Właśnie łączmy, przerwała z pewną namiętnością. Miłość powinna być mistrzynią w interesach. Teraz niema już żadnej siły, którąby mnie rozłączyła z Tadeuszem, bo w tę sprawę zaangażowana jest miłość moja. Idź do ojca i powiedz, że się zgadzasz.

Jakaś moc z niej szła i prawda, że Feliks uchylił przed nią głowę.

Tadeusz poszedł. Pan Edward patrzał przez szybę i uśmiechał się, mówiąc w duchu:

— Chodź, chodź, moja owieczko, będziesz pamiętała na przyszłość, że kobiety i miłość to fatalne motory w interesach.

Cofnął się w głąb—wszedł Tadeusz.

— Jakiż rezultat narady z przyjacielem?

— Zostaję!

— Dajesz prawemu właścicielowi czterdzieści procentów?...

— Daję!

— Widzisz, przyjaciel ma głowę na karku i rozumie, że grzechem byłoby rzucać złoty interes.

— Piszmy szkic kontraktu, rzekł stanowczo Tadeusz.

— Natychmiast! Proszę tylko o zwyczajne zobowiązanie przy świadkach, a ja ci przyszlę ze Lwowa akt notaryalny do podpisu.

Tadeusz napisał, świadkami byli Feliks i maszynista.

— Na pamiątkę mego tu pobytu zostawiam dla robotników—kwestya robotnicza piekąca—pięćdziesiąt guldenów.

— A ja sto, dodała Marya—a zatem, ojczulku, proszę cię daj sto pięćdziesiąt.

— Na rzecz kasy, o której mówiła panna Marya, i drzewo z wycinki w lesie, dodał Feliks.

Ojciec spojrzał się na córkę, jakgdyby notował w pamięci.

— Tak, tak, właśnie na kasę, powtórzył...

— Ja ze swej strony dodaję pięćset, odezwał się Tadeusz.

— Boś ty milioner, mówił z ukrytym uśmiechem pan Edward.

— Do księgi tymczasem zapisuję sześćset pięćdziesiąt i robotnikom dziś to obwieszczę.

Ścieżką od rzeki biły w powietrze tony muzyki, wrzawa, jak wiatr halny, przygłuszała ją.. Spojrzano w okno, Marya otworzyła drzwi... Muzyka, śmiechy, ochocze wykrzykniki buchnęły. Na wo-

zie siedział Żyd na beczce piwa i kłaniał się czapką futrzaną Mazurom. Lud otaczał wóz, mołodyce i junaki. Za nimi ciągnął się długi szereg wozów, jadących po beczki, na których siedziała starszyzna i kobiety. Mołodyce zawodziły, muzyka jęczała...

Tadeusz przywołał Kaspra.

— Leć i zapowiedz, aby nikt nie śmiał w obrębie szybu palić.

— Bobyśmy wszyscy się udusili lub z dymem poszli, dokończył Kasper, i pomknął do gromady.

— Maryniu, śmierć nam grozi, bo chłopu nie wytłómaczysz, aby ognia nie niecił—cofajmy się.

— Ależ, ojcze, wypadku nie będzie.

— Nie na to pracowałem dwadzieścia pięć lat, żeby marnie u progu fortuny padać. A i ty!... Chodź natychmiast, chwycił ją za rękę i uprowadził.

(*D. c. n.*) *Sewer.*



Wspólna własność ziemska

W GMINIE WIELKOROSYJSKIEJ.



WSTĘP.

Obecny stan kwestyi.

. . . . uprzedzenie polityczne, najwięcej po uprzedzeniu stanowem, wpływa na spaczenie poglądów socyologicznych.

H. Spencer. Wstęp do socyologii str. 305.

„W ciągu ostatnich 30 do 40 lat" — czytamy w najpoddańszym raporcie Ministra Finansów, złożonym u stóp tronu, przy budżecie na 1899 rok [1]), „urodzaje bywały złe i dobre, ceny bywały „i wysokie i nizkie, — i, cokolwiekbyśmy sądzili o wpływie tych lub „tamtych na gospodarstwo naszych włościan, to jedno wątpliwości „nie ulega, że lata dobre nie dały im środków poprawienia stanu eko„nomicznego i nabrania sił do walki w latach niekorzystnych". Fakt pogarszania się stosunków ekonomicznych we wsi ruskiej jest bezsporny, — a jeśli ani przesilenie rolne ostatniej ćwierci bieżącego stulecia, ani system podatkowy, ani względnie nizki stan oświaty włościanina, nie mogą być uważane za wyłączne przyczyny tego faktu, — to, zdaniem raportu, przyczyny tej szukać należy w nieokreślonym charakterze stosunków społecznych i prawnych ruskiej

[1]) „Ateneum" 1899 r. tom I str. 374 i nast. Budżet Państwa na 1899 r.

gminy włościańskiej. „Proste dopełnienia i zmiany prawa" — mówi dalej raport — „nie byłyby w stanie zapełnić braków i popra„wić niedostatków praw, rządzących stosunkami włościańskimi. „Aby poprawić stan obecny, trzeba tej wielkiej kwestyi zasad orga„nizacyi gminy włościańskiej spojrzeć prosto w oczy. Od rozwią„zania danego na te pytania, zależy dalszy postęp prac prawoda„wczych, tak, że bez poprzedniego zreformowania warunków ogól„nych bytu włościańskiego niemożliwem jest przedsiębranie zasa„dniczej reformy podatków bezpośrednich, przypadających od „włościan".

Prawo o organizacyi gmin włościańskich w państwie rosyjskiem z d. 19 lutego (3 marca 1861) miało w zasadzie charakter ustawy tymczasowej. Już w r. 1872 ustanowioną została komisya dla zbadania jej braków, — a w latach 1886 i 1893 wydano nowe rozporządzenia, dotyczące działów familijnych, i uwolnienia się pojedynczych członków gminy od związku gminnego; organizacya władz lokalnych kontrolujących samorząd włościański, uległa dwukrotnej radykalnej reformie.

Nieurodzaje lat 1891/2 i 1898/9 zaostrzyły położenie rzeczy i były bezpośrednią przyczyną, dla której dziś kwestya włościańska, jak się zdaje, stanowić będzie najpierwszy punkt w programie przyszłych prac prawodawczych.

Doniosłość organizacyi gminy włościańskiej w Rosyi, nie wymaga szczegółowych objaśnień.

Mimo niezwykłego wzrostu przemysłu w Państwie w latach ostatnich, ludność rolna stanowi około 85% mieszkańców; w ogólnej sumie wartości towarów, wywiezionych za granicę w 1895 r., przetwory przemysłu stanowiły około 0,5%, produkty górnictwa (nafta, ruda) 4,5%, rybołówstwa 0,6%, produkty leśne 6,4%, przetwory przemysłów rolnych (cukier, alkohol) niecałe 2%; całą zaś resztę — około 86% — stanowiły produkty rolnictwa, w czem samo ziarno około 48%.

Rolnictwo w Rosyi jest i na długie jeszcze lata pozostanie podstawą jej ekonomicznego bytu, — interes też, jaki obudzają kwestye, z rolnictwem połączone, muszą w najwyższym stopniu zaprzątać opinię publiczną.

Poza tymi względami życia rzeczywistego kwestya własności ziemi w Rosyi ma jeszcze drugą czysto teoretyczną, naukową stronę. Jestto jedno z najciemniejszych, najzawilszych, a tem samem i najciekawszych zagadnień ekonomicznych naszej epoki. Gmina włościańska w Wielkorosyi — *„mir"* — jest właścicielem

gruntu, włościanin — indywiduum — jest tylko jego użytkownikiem na czas nieokreślony, mniej lub więcej długi. Jestto organizacya, przekazana przez historyę, zabytek mniej lub więcej odległej przeszłości. W szeregu argumentów, któremi Laveleye dowodził, że w pierwotnym ustroju społeczeństw, ziemia nie była własnością osobistą, rosyjski *mir* zajmuje pierwsze miejsce, a jednocześnie, gdziekolwiek poszukiwanymi są dowody, że wspólna własność ziemi nie jest przeciwną naturze ludzkiej, że t. zw. własność indywidualna ziemi jest tylko historyczną kategoryą, pozbawioną charakteru wieczności, której kiedyś nie było i której w przyszłości może nie być, tam niezawodnie w szeregu argumentów „*mir*" stoi także na pierwszem miejscu.

W ten sposób kwestya „*miru*" wiąże się z kwestyą ogólną rozwoju organizacyi własności ziemskiej, z kwestyą której nikt za wyjaśnioną w przeszłości i rozwiązaną na przyszłość uważać się nie ośmiela. Do niedawna jeszcze każdy poważny ekonomista, pisząc o ogólnych zasadach ekonomii politycznej, czuł się obowiązanym poświęcić mniej lub więcej obszerny roździał filozoficznemu ugruntowaniu prawa własności. W tych jednak usiłowaniach własność ziemi stanowiła zawsze orzech specyalnie twardy, dla którego trzeba było odszukiwać zasad i podstaw wyjątkowych: własność ziemi nie dawała się dedukować z prawa własności człowieka do produktu pracy.

Nakoniec nie bez wpływu na poglądy naukowe w kwestyi „*miru*" było i to, że t. zw. „wynalazca miru" baron Haxthausen odrazu postawił ją w oświetleniu teoryi St. Simona i tem samem związał z kwestyą proletaryatu wogóle, a z kwestyą proletaryatu rolnego w szczególności. Takie rozpatrywanie organizacyi gminy włościańskiej z jednego wyłącznego, polityczno-ekonomicznego punktu widzenia, wprowadziło do niej niemało jednostronnych poglądów, doktrynerskich fantazyi i w ogóle — niemałe zamieszanie.

Dla Laveleya „*mir*" jest zabytkiem powszechnego niegdyś, na całej kuli ziemskiej pierwotnego sposobu władania ziemią, który gdzie indziej zaginął, a przechował się tylko w jednej Rosyi, dzięki pewnym geograficznym i historycznym warunkom. Dla księcia Wasilczykowa *mir* jest wytworem specyalnym szczepu słowiańskiego, który w innych państwach słowiańskich zanikł z biegiem historyi. Dla Cziczerina zaś i dla Milukowa, *mir* jest wytworem polityki finansowej Państwa Moskiewskiego w XVI i XVII wieku.

Dla jednych *mir* jest tą formą władania ziemią, przy której żaden poważny postęp rolnictwa nie jest możliwy; — dla drugich

twierdzenie powyższe jest pozbawionem wszelkiej faktycznej podstawy. *Mir*, mówią jedni, jest instytucyą, która krępuje indywidualność jednostki, krępuje jej przedsiębiorczość i opóźnia zarówno postęp rolnictwa, jak i wogóle naturalną ewolucyę społeczeństwa —; *mir*, mówi strona przeciwna, jest ideałem stosunków agrarnych: daje on pracującemu na roli środki produkcyi, zabezpiecza go od losu irlandzkiego farmera, nie dopuszcza tworzenia się proletaryatu.

* * *

W literaturze naszej oprócz artykułu W. Spasowicza, streszczającego klasyczne dzieło ks. A. Wasilczykowa, pomieszczonego w Ateneum w r. 1877 [1]), — nie znamy żadnej pracy naukowej, dotyczącej *miru*. Już to samo tłómaczy zamiar poznajomienia czytelników „Ateneum" z tą pierwszorzędną (zarówno z praktycznego, jak i teoretycznego punktu widzenia) kwestyą. Jest jeszcze druga przyczyna, skłaniająca nas do zajęcia się „*mirem*".

Co raz to dokładniejsze i pełniejsze badania statystyczne dotyczące stanu rolnictwa w Rosyi, wydane czy to przez władze centralne, czy też przez ziemstwa rossyjskie, — prace p. Brzeskiego, będące streszczeniem opinii władz miejscowych o gminie włościańskiej, bogata w materyały praca Czuprowa o wpływie cen i urodzajów na byt ruskiego włościanina, pozwalają dziś z większą, niż dotychczas, dokładnością ocenić ekonomiczne skutki organizacyi gminy wielkorosyjskiej.

Badania Jefimenki, Łuczyckiego i Kaufmana nad historyą zasiedlenia Rosyi, badania Milukowa nad historyą finansów państwa moskiewskiego, rzucają nowe także światło na historyczną genezę *miru* i zmuszają do ponownego krytycznego opracowania historyi jego powstania.

Nakoniec i teoretyczna strona kwestyi nie może być dziś rozpatrywana tak, jak rozpatrywano ją lat temu 40, a nawet 20. W nauce ekonomicznej lat ostatnich powstały nowe poglądy i nowe kierunki, które nie pozwalają rozbierać tej kwestyi ze stanowiska ściśle i wyłącznie ekonomicznego, t. j. ze stanowiska bezpośredniego wpływu *miru* na produkcyę wyłącznie bogactw materyalnych lub tworzenie się proletaryatu rolnego i całą tę kwestyę przenoszą na inny grunt — na grunt ogólnie społeczny.

---

[1]) T. II str. 1 i 377, t. III str. 179. Ks. A. Wasilczykow. „Ziemlewładienie i ziemledielje w Rossii i drugich jewropiejskich gosudarstwach".

Literatura, dotycząca naszego przedmiotu, jest niezwykle bogatą. Urzędowe materyały statystyczne, wydane czy to przez władze centralne, czy też przez zarządy ziemstw, stanowią całą bibliotekę. Wydawnictwa ziemstw, dotyczące statystyki, stanowiły już w 1891 roku 450 tomów. Nie pomylimy się bardzo, jeśli twierdzić będziemy, że od lat 40 niebyło żadnego ekonomisty rosyjskiego, któryby w sprawie *miru* zdania swego drukiem nie ogłosił. Nakoniec i w literaturze zagranicznej francuskiej i niemieckiej spotykamy cenne prace, kwestyi wspólnego władania ziemią dotyczące, śród których autorów spotykamy Laveleya, A. Leroy-Beaulieu, Keussler'a, v. Kohl'a. Wspominamy o tem dla tej samej przyczyny, dla której staraliśmy się na wstępie zestawić wszystkie trudności, jakie się w badaniu naszego przedmiotu nastręczają. Nim przystąpimy do historycznego zestawienia poglądów na kwestyę wspólnego władania ziemią rosyjskiego „*miru*", uważamy za właściwe poznajomić czytelnika najprzód z prawodawstwem, w Rossyi obowiązującem, dotyczącem organizacyi własności ziemi włościańskiej i organizacyi gminy wiejskiej w Wielkorosyi.

CZĘŚĆ I.

Przepisy prawa obowiązującego.

(Zbiór Praw Ces. Rosyjskiego, tom IX).

I.

Dziewiąty tom Zbioru Praw Cesarstwa Rosyjskiego (Swod Zakonow Rossijskoj Imperii) zawiera w sobie tak zwane Prawa Stanowe (*Zakony o sostojaniach*). Obejmuje on przepisy, dotyczące praw osobistych, czterech przez prawodawcę uznanych w Rossyi stanów: szlacheckiego, duchownego, mieszczańskiego i włościańskiego; a także prawa o „inorodcach" i o aktach stanu cywilnego.

Podstawą całego prawodawstwa o włościanach są zawarte w dodatkach wiekopomne ustawy z d. 19 lutego (3 marca) 1861 r., zatytułowane: „Ogólne przepisy o włościanach, uwolnionych od poddaństwa". „Przepisy o wykupie włościan". „Przepisy miejscowe urządzenia własności ziemskiej włościan prywatnych w guberniach Wielkorosyjskich, Białoruskich i Noworosyjskich" i takież przepisy dla gubernii Małoruskich oraz „Przepisy dotyczące zniesienia poddaństwa w dziewięciu zachodnich guberniach Cesarstwa". —

Późniejszymi są: dodatek VII „Przepisy o byłych włościanach skarbowych (z r. 1866) i cały szereg praw specyalnych, dotyczących reformy włościańskiej, czy to w pewnych geograficznych okręgach, czy też przy pewnych specyalnych stosunkach poddańczych."

Znacznie późniejszym jest dodatek III[1], obejmujący organizacyę władz włościańskich prowincyonalnych: powiatowych i gubernialnych, które od r. 1861 już dwukrotnej reformie uległy. Ustawa r. 1861 ustanowiła honorowe, wybieralne urzędy „*Mirowych Posredników*" (Komisarzy do spraw włościańskich), mających przedewszystkiem czuwać nad wprowadzeniem w życie reformy r. 1861, łagodzić spory pomiędzy byłymi poddanymi a ich panami, kierować pierwszymi krokami nowopowstających władz gminnych, być raczej ich doradcami, niż władzą zwierzchnią, i decydować w wielu szczegółach czy to osobiście, czy też na zjazdach powiatowych — kolegialnie. Kwestye najważniejsze rozstrzygały się w specyalnie utworzonych Urzędach Gubernialnych, w których zasiadali, oprócz urzędników koronnych, delegaci szlachty osiadłej w gubernii. W miarę urzeczywistniania się reformy najważniejsze zadania Pośredników ustawały, i w r. 1874 organizacyę Pośredników zniesiono w całem państwie, za wyjątkiem dziewięciu gubernii zachodnich — ustanawiając — urzędy powiatowe do spraw włościańskich, które po większej części przejęły atrybucye i Pośredników i *ich Zjazdów*. — Policya miejscowa i świeżo wprowadzone nowe ogólne władze sądowe przejęły pewną część atrybucyi Pośredników. Czynności zaś, które wymagały osobistej, doraźnej interwencyi władzy powierzono t. z. Członkom stałym (*Niepremiennyj czlen*) Urzędów Powiatowych. Urzędy jednak powiatowe do spraw włościańskich nie miały długiego istnienia: jak każda instytucya kolegialna spełniały one swe czynności bardzo wolno, powiększyły formalizm korespondencyi i nie mające końca spory jurysdykcyjne. To też już w r. 1889 r. zniesiono je i zaprowadzono t. z. Okręgowych Naczelników Ziemskich z władzą o wiele większą, niż była władza Pośredników — i Zjazdy Naczelników Ziemskich, które objęły obowiązki Urzędów Powiatowych, przyczem autonomia władz gminnych uległa ograniczeniu. Wskutek tych reform dodatki III i III[1] obejmują przepisy o obowiązkach i prawach *a*) Mirowych Pośredników (istniejących dotąd w 9-ciu Zach. Guberniach), *b*) Urzędów Powiatowych do spraw włościańskich, które jeszcze istnieją w niektórych odleglejszych guberniach i *c*) Naczelników Ziemskich i ich Zjazdów. Atrybucye i skład Urzędów Gubernialnych do spraw włościańskich nie są też jednakowe w całem Państwie, a reprezentacya stanu szlacheckiego

w tym urzędzie obecnie jest słabszą, niżli była początkowo wedle Ustawy 1861 roku.

II.

Zasadnicze rysy całego prawodawstwa o włościanach znajdujemy streszczone w Najwyższym Manifeście z d. 19 lutego 1861 r. Z dniem jego ogłoszenia poddani, mieszkający w dobrach prywatnych, zostali zwolnieni z poddaństwa i otrzymali: prawa osobiste wolnych włościan i prawo użytkowania — za odpowiedniem wynagrodzeniem z osady — t. j. domu z ogrodem *(usad'by)*. — Prócz tego mają oni otrzymać grunta — w ilości potrzebnej dla zabezpieczenia ich bytu i zapewnienia regularnej wypłaty podatków — według norm, w prawie określonych. Za użytkowanie z tych gruntów obowiązani są pełnić określone w prawie powinności — pieniężne i naturalne — czynsze (*obrok)* i pańszczyznę na rzecz właściciela *(pomieszczyka)*.

Wolno im jednak zawrzeć z właścicielem dobrowolną umowę co do wykupu gruntów — przyczem rząd przyjdzie im z pomocą — i wtedy z włościan „czasowo obowiązanych" (*wremienno obiazannych*) przejdą do stanu „wolnych posiadaczy ziemi." Poddani, nie osiedli na ziemi — pozostający w służbie prywatnej pana — t. z. *„dworowyje ludi"* — po 2-ch lat od ogłoszenia manifestu otrzymują wolność zupełną.

Zawieranie umów o wykup gruntów nie postępowało zbyt spiesznie. Ilość umów, zawartych w ciągu pierwszych trzech lat działania prawa, wzrastała stale (945—4095—7343), ale od r. 1865 zaczęła stale się zmniejszać. Wobec tego wydanem zostało w 1881 r. (28 Czerwca) nowe prawo, stanowiące obowiązkowy wykup gruntów włościańskich i obowiązkowe zwolnienie włościan od danin i pańszczyzn na rzecz właściciela z dniem 1 stycznia 1883 roku, za wynagrodzeniem, ustanowionem przez władze do spraw włościańskich, obliczonem według norm, wskazanych w prawie z 1861 r. Jak to wyżej już powiedzieliśmy, wykup gruntów włościan skarbowych uregulowało prawo z d. 24 listopada 1866, a włościan w dobrach rodziny panującej prawo z d. 26 czerwca 1863.

Według zasady ogólnej tych praw — w całem Cesarstwie Rosyjskiem po za miejscowościami, uważanemi za miasta — na obszarach wiejskich — istnieją dwie równoległe organizacye gminne: ekonomiczno-finansowa, nazwana w prawie gminą wiejską *(sielskaja obszczina)*, i polityczno-administracyjna zwana włością (*wolost'*). Obie korzy-

stają z samorządu, obie mają właściwe władze, — z których najwyższą: w gminie wiejskiej jest zebranie gminne, złożone z wszystkich głów rodziny — gospodarzy — we wsi (*sielskij schod*), we włości zaś zebranie delegatów gmin wiejskich i włościan, zapisanych do włości (po 1 z 10 dworów). W prawie wyraz „*mir*", „*mirom*" „*mirski*" odnosi się do obu zebrań ogólnych, zarówno do zebrania gospodarzy w gminie wiejskiej, jak do zebrania delegatów włości. Przepis prawa, że pewna decyzya musi być powzięta „*mirom*", oznacza zatem, że sprawa ta należy do kompetencyi ogólnego zebrania gminy wiejskiej — lub włości. Główne zasady organizacyi obu gmin zawierają się w t. z. Przepisach Ogólnych (dod. I); — § 17 tych przepisów opiewa: włościanie, uwolnieni z zależności poddańczej, „stanowią w sprawach gospodarczych gminy wiejskie (*sielskija obszczestwa*), a dla bliższego zarządu i sądu włości. W każdej gminie wiejskiej i w każdej włości zarząd sprawami ogólnemi należy do „*miru*" (ogólnego zebrania) i osób, przez *mir* wybranych."

Gmina wiejska obejmuje wszystkich włościan, należących poprzednio do jednego właściciela. (§ 40 Ogólnych przepisów). Może się ona składać albo z jednej wsi, albo z pewnej części jednej wsi, jeżeli ta wieś miała kilku właścicieli, albo też z kilku wsi sąsiednich lub blizkich siebie, posiadających czy to wszystkie grunta, czy też niektóre rodzaje gruntów we wspólnem używaniu. Wsie małe — mające mniej niż 10 dusz rewizyjnych (męskich, pełnoletnich robotników) — mogą być łączone w jedną gminę, lub przyłączone do gminy najbliższej nie inaczej jednak, jak za zgodą mieszkańców.

„Włość" (§ 42) tworzy się z kilku wsi, leżących w jednym powiecie, o ile można graniczących ze sobą, tak, aby ilość dusz rewizyjnych była (§ 43) nie mniejszą od 300, a nie większą od 2000, przyczem powinien być uwzględniony podział wsi na parafie, i wieś jedna, choćby najliczniejsza i z kilku parafii złożona, nie może być podzielona na dwie lub więcej włości (§ 45).

W gminie wiejskiej reprezentantem władzy gminnej jest *Starosta*, któremu pomagać mogą specyalnie wybrani poborcy podatków (*Sborszczyki* — § 46). Zebranie gminne składa się że wszystkich włościan gospodarzy. Nieobecnego czasowo gospodarza może zastępować inny członek rodziny (ewentualnie żona); gospodarstwa, stanowiące więcej, niż jedną jednostkę podatkową (*tiagło* — *mnogotiagolnyja*), mogą, jeśli jest taki zwyczaj w gminie, być przedstawianemi na zebraniu przez dwie lub więcej osoby.

Jeśli w gminie, posiadającej ziemię we wspólnem użytkowaniu, są i gospodarze, posiadający ziemię na prawach indywidualnej (dziedzicznej) własności, — to oni biorą udział w zebraniach gmin-

nych, ale bez prawa głosu w kwestyach, odnoszących się do użytkowania gruntów i do stosunków z b. właścicielem majątku (pomieszczykiem), a głosują tylko w sprawach podziału (repartycyi) podatków i powinności: skarbowych, ziemskich i gminnych, — przy decyzyach, dotyczących potrzeb ziemstwa i gminy, i przy wyborach władz gminnych.

Do atrybucyi ogólnych zebrań gminy wiejskiej należą: 1) wybory władz w gminie wiejskiej i delegatów na zebrania włości; 2) decyzya o wydaleniu z gminy członków szkodliwych i występnych (*porocznych*); 3) uwolnienie z gminy i przyjmowanie nowych członków do gminy; 4) wybór opiekunów i kuratorów małoletnich oraz kontrola ich czynności; 5) udzielanie zezwoleń na podział majątku rodzinnego; 6) wszystkie sprawy, dotyczące użytkowania wspólnie posiadaną ziemią gminną, nowy jej podział (*pieredieł*), zwiększenie i zmniejszenie udziału (*tiagła*) i ostateczny podział gruntów wspólnych na użytkowanie osobiste (dziedziczne), a także kwestya podziału jednej gminy na dwie lub więcej; 7) w gminach, w których ziemia jest w użytkowaniu osobistem gospodarzy, decyzya co do sposobu użytkowania z gruntów pozostałych bez właściciela; 8) decyzye w kwestyach przedstawień do władzy wyższej w sprawach, dotyczących potrzeb gminy, porządku ogólnego w gminie, zapewnienia bytu ubogich i nauki czytania; 9) podawanie skarg i protestów w sprawach gminy przez osobnych delegatów; 10) ustanowienie składek (podatków) na potrzeby gminne; 11) rozkład (repartycya) wszystkich leżących na gminie podatków i powinności skarbowych, ziemskich i gminnych i sposób prowadzenia rachunkowości w tym przedmiocie; 12) kontrola rachunkowa nad władzami gminnemi i wyznaczenie im wynagrodzenia; 13) sprawy, dotyczące powinności wojskowej; 14) repartycya czynszów i robocizny na rzecz obywatela, — o ile te jeszcze trwają i leżą na solidarnej odpowiedzialności całej gminy (t. j. przy wspólnem użytkowaniu ziemią); 15) przedsiębranie środków celem niedopuszczenia lub usunięcia istniejących niedoborów (podatkowych); 16) sprawy, dotyczące zamiany zapasów ziarna na kapitały pieniężne lub naodwrót; 17) wydanie pełnomocnictw w sprawach gminnych; 18) wszystkie sprawy, w których, według brzmienia prawa, wymaganą jest zgoda lub decyzya gminy wiejskiej.

Punkty 14 i 16 nie należą do atrybucyi zebrań gminnych w gminach, w których istnieje dziedziczne, osobiste użytkowanie gruntów. W gminach, użytkujących grunta wspólnie, gospodarze, użytkujący osobiście (dziedzicznie), nie mają głosu przy decydowaniu tych spraw.

Przy tem (Uwaga 3) prawo stanowi: że zebranie gminne może naradzać się i decydować tylko w sprawach, objętych wyżej wymienionymi 18 punktami; gdyby zaś zebranie naradzało się i wydawało postanowienia w sprawach, nienależących do jego atrybucyi, to decyzye takie uważają się za nieważne, a osoby, które brały udział w decyzyi i w zwołaniu samowolnem zebrania, ulegają — stosownie do ważności sprawy — albo karze z mocy decyzyi Mirowego Pośrednika (obecnie naczelnika ziemskiego), albo też oddają się pod sąd. Decyzye zebrań gminnych wiejskich są ważne, jeśli zapadły w obecności starosty, większością więcej, niż połowy, głosów gospodarzy, mających prawo głosowania na zebraniu gminy. W następujących jednak kwestyach (§ 54) wymaganą jest większość $^{2}/_{3}$ głosów włościan, mających głos na zebraniu: 1) zamiana wspólnego użytkowania ziemią na użytkowanie osobiste, dziedziczne (*podwornoje*); 2) podział gruntów wspólnych między pojedyńcze dwory; 3) nowy podział gruntów wspólnych; 4) ustanowienie nowych składek — podatków gminnych, wspólne nabycie ziemi, wydatki z kapitałów gminnych i solidarne poręczenie gminy przy licytacyach (zamiast kaucyi); 5) wyłączenie członków gminy i oddanie ich w rozporządzenie rządu (dla wysłania na Syberyę). Decyzye № 5 ulegają zatwierdzeniu ich przez zebrania włości, jeśli gmina wiejska ma mniej, niż 300 dusz, — i zawsze zatwierdzeniu przez władze gubernialne do spraw włościańskich. Tylko decyzye w sprawach wymienionych w § 54, t. j. wymagających większości $^{2}/_{3}$, zapisują się do księgi postanowień gminnych; — inne zaś mogą być zapisane, jeśli tego zebranie zażąda, przyczem prawo żadnej formy dla protokołów tych nie przepisuje. Dodane później do tego § Uwagi żądają wniesienia do księgi protokołów wszystkich decyzyi zebrań gminnych wiejskich dotyczących: 1) podziałów rodzinnych; 2) sprzedaży majątku małoletnich; 3) usynowienia i 4) w ogóle wszystkich takich decyzyi, które według prawa powinny być zatwierdzone przez naczelnika ziemskiego lub Zjazd naczelników ziemskich.

Starosta wiejski jest przedstawicielem władzy we wsi; on zwołuje i rozwiązuje zebrania gminne i czuwa nad porządkiem w czasie ich trwania; on przedstawia zebraniu kwestye, mające być zdecydowanemi, i wykonywa postanowienia tak zebrań gminy wiejskiej, jak i zarządu włości, i władz do spraw włościańskich; on strzeże całości granic, dróg, mostów, grobel, przewozów etc. na ziemiach włościańskich; on ma nadzór nad pełnieniem przez włościan powinności i wnoszeniem podatków skarbowych, ziemskich i gminnych; a tam, gdzie gmina nie wybrała specyalnego poborcy, on sam ściąga podatki pie-

niędzmi i w naturze; on pilnuje, aby włościanie wykonywali ściśle umowy, między sobą zawarte, a także umowy, zawarte z właścicielem ziemi i osobami trzeciemi, jeśli treść umowy sporowi nie ulega; on pilnuje porządku w szkołach, szpitalach, przytułkach i innych zakładach gminnych, dogląda sporządzenia spisów ludności, dostarcza Zarządowi włości wiadomości potrzebnych przy wystawiania przez tenże zarząd paszportów i świadectw o uwolnieniu włościan z gminy; zarządza zgodnie z postanowieniami gminy kapitałami, gospodarstwem i zapasami zbożowymi gminy; on pilnuje oddanego sobie pod dozór majątku, zasekwestrowanego za niedobory podatkowe.

Władzy jego ulegają wszyscy włościanie, żyjący na gruntach gminy, z wyjątkiem służby dworskiej, „*pomieszczyka*", którą, jeśli naruszyła porządek publiczny na gruntach wiejskich, starosta winien odstawić do naczelnika włości. Paragraf 63 opiewa, że Starosta obowiązany jest wypełniać bez protestu (*bezprekosłowno*), wszystkie prawne żądania mirowego pośrednika (naczelnika ziemskiego), Sędziego śledczego, policyi miejscowej i wszystkich w ogóle władz w kwestyach, odnoszących się do ich kompetencyi.

Starosta sam ma prawo karać oddaniem na roboty gminne do 2 dni i karą pieniężną do 1 rubla, albo aresztem do 2-ch dni. W czynnościach ważniejszych (rewizye, aresztowanie, odbiór pieniędzy od poborcy), winien on wzywać 2-ch świadków z pomiędzy starszych włościan. W dużych gminach do pomocy staroście może być wybranym pomocnik, a do poboru podatków osobny poborca (§ 67), który pobiera i wnosi podatki do kasy skarbowej, — pilnuje, aby podatki wpływały w całości, składa zebraniu gminy sprawozdanie i donosi, kto z członków gminy zalega w wypłacie podatków.

Nie będziemy tu wchodzić w szczegóły organizacyi gminy policyjno-administracyjnej, t. j. włości. Zebrania włości mają ściśle, oznaczony zakres kompetencyi, z tem samem zastrzeżeniem (§ 78), że, jeśli będą rozprawiać (*imiet' sużdienje*) i decydować w sprawach, nieulegających ich kompetencyi, to winni, stosownie do ważności postanowienia, — ulegną karze policyjnej lub będą oddani pod sąd, a decyzya uważaną będzie za niebyłą (*nicztożnaja*). Prawo ustanawia jeszcze Radę gminą — (*Wołostnaje Prawlenje*), złożone z Naczelnika, Starostów gmin wiejskich i poborców podatkowych. Kompetencya tej rady ogranicza się tylko do spraw ekonomiczno-finansowych włości, a w pozostałych ma ona tylko głos doradczy. Na obowiązku Naczelnika włości leży także (§ 84 p. 6) pilnowanie regularnego wypełnienia przez gminy wiejskie powin-

ności skarbowych i ziemskich, pieniężnych i naturalnych, a także powinności wojskowej. Przy włości istnieją też i Sądy Gminne, złożone z 4 do 12 członków; w zakres ich władzy, organizacyę i procedurę wchodzić tu nie będziemy.

Do zajęcia urzędu gminnego z wyboru wymagane są pewne warunki co do wieku, reputacyi etc. (§ 114). Wybrani na urzędy gmine mogą się od ich przyjęcia wymówić tylko wtedy, jeśli mają więcej, niż lat 60, jeśli już przez trzy lata pełnili obowiązki gminne lub są chorzy. Starszy włości obejmuje urząd po zatwierdzenie go przez mirowego pośrednika (naczelnika ziemskiego), i złożeniu przed nim przysięgi. Starszy włości, starosta wiejski i mniejsi urzędnicy gminni, winni zaniedbania w wypełnianiu obowiązków lub wyraźnych nadużyć, mogą być usunięci z urzędu przez postanowienie Zjazdu mirowych pośredników (naczelników ziemskich), na zasadzie przedstawienia mirowego pośrednika (naczelnika ziemskiego). Decyzya co do uwolnienia Starszego włości ulega potwierdzeniu przez Gubernatora. Dla przyczyn wyjątkowo ważnych mirowy pośrednik (naczelnik ziemski) ma prawo zawieszać w czynności urzędników gmin i mianować na ich miejsce chwilowych zastępców, a nawet zgodnie z § 153, na żądanie b. obywatela (*pomieszczika*), ostatecznie usunąć Starostę wiejskiego.

Na zakończenie tego przeglądu przepisów o wewnętrznej organizacyi gminy zauważymy jeszcze, że w epoce pomiędzy zniesieniem poddaństwa a ostatecznym układem pomiędzy obywatelem a włościanami o wykup gruntów — t. j. w epoce, kiedy ci ostatni obowiązani byli do płacenia czynszów i pełnienia robocizny — i byli, jak ich prawo nazywa — czasowo obowiązanymi — (*wremienno obiazannymi*), obywatel (*pomieszczik*) miał dość obszerne prawo interweniowania w sprawy wewnętrzne gminy wiejskiej i włości, których określeniem zajmuje się Roździał VI przepisów ogólnych (§ 148 — 163). Obelga, wyrządzona obywatelowi lub osobie, do jego rodziny należącej, karaną była z art. 394 i 395 K. K. G. (o obelgach, wyrządzonych przez podwładnych zwierzchności), musiał on być zapytanym o zdanie przy wyłączeniu włościanina z gminy i w ciągu lat 9 od daty reformy, t. j. do 1870 r., mógł żądać, za pośrednictwem mirowego pośrednika, usunięcia z gminy osób szkodliwych i niebezpiecznych, t. j. zesłania ich na Syberyę. Mógł żądać komunikowania sobie postanowień gminnych i, za pośrednictwem mirowego pośrednika, żądać ich unieważnienia, jeśli je uważał za niezgodne z prawem lub szkodliwe dla gminy. Paragraf 149 wprost przyznawał mu prawo nadzoru nad bezpieczeństwem i spokojem

publicznym i wskazywał wypadki, w których starosta wiejski był obowiązany do wykonywania natychmiastowego zgodnych z prawem żądań obywatela. Uwaga I do § 115 stanowi, że b. obywatel ziemski ma prawo niedopuścić do zajęcia urzędu pisarza włości — osoby niezasługującej na zaufanie (*nieblagonadiożnyj*).

III.

Paragraf 718, tom IX, przyznaje gminie wiejskiej charakter osoby prawnej. „Gmina wiejska może na zasadzie praw ogólnych nabywać na własność majątki ruchome i nieruchome. Ziemią, nabytą na własność po za *nadziałem* (ziemią otrzymaną przy uwłaszczenia), może rozporządzać wedle własnego uznania, dzielić ją pomiędzy pojedyńczych gospodarzy i oddawać te działy na ich osobistą własność albo też zachować tę ziemię we wspólnem użytkowaniu wszystkich gospodarzy". Ziemia, nabyta przez gminę drogą wykupu przy uwłaszczeniu „nadział", stanowi własność gminy niezbywalną, ulegającą (nawet przy sprzedaży drogą wywłaszczenia pod drogi żelazne i pocztowe), osobnym przepisom, zawartym w dodatkach do tomu IX, — a przedewszystkiem w dodatkach № IV i V, obejmujących „przepisy urządzenia własności ziemi włościan osiadłych na gruntach prywatnych, (*pomieszczyczich ziemlach)*, przyczem prawodawca rozróżnił gubernie Wielkorosyjskie, Noworosyjskie i Białoruskie — od gubernii Małoruskich [1]). Ziemia Wojska Dońskiego, gubernia Stawropolska, kraj Zakaukaski i wsie Baszkirów otrzymały przepisy specyalne.

---

[1]) Do gubernii Wielkorosyjskich prawo zalicza gubernie:

a) z rajonu północnego: Ołonecką. Wołogodzką. St. Petersburską, Nowogrodzką i Smoleńską; (brak. Archangielskiej).

b) rajon przemysłowy: Twerską. Moskiewską, Włodzimierską, Jarosławską: Kałuską, Kostromską i Tulską;

c) rajon centralnego czarnoziemu: Woroneską, Kurską, Orłowską, Tambowską, Penzeńską, Riazańską i Symbirską:

d) rajon przyuralski: Permską, Wiatską, Kazańską i Niżnie-Nowogrodzką,

e) z rajonu stepowego: Astrachańską, Ufimską, Orenburską, Samarską, Saratowską — i część Charkowskiej.

Do gubernii białoruskich zaliczono gubernie: Mohilewską i część Mińskiej. Do gubernii Noworosyjskich: Ekaterinosławską, Taurydzką i Chersońską.

W Gub. Archangielskiej majątków prywatnych z osiadłymi w nich włościanami w 1861 r. było trzy.

Przepisy organizacyi własności we wsiach skarbowych (dod. VII) powoływały się na już obowiązujące przepisy dodatków IV i V.

Uwaga 1 do § 1 przepisów miejscowych (dod. IV), mówiąca o podziale gub. Charkowskiej na 2 części, z których jedna ulega przepisom dodatku № IV (organizacya wielkorosyjska), w drugiej zaś organizacya właśności ziemskiej włościańskiej ma ulegać przepisom dodatku № V (małorosyjska), odnoszącego się do gub. Małoruskich (Połtawskiej, Czernichowskiej i części Charkowskiej) objaśnia nas, czem kierował się prawodawca, dzieląc gubernie Cesarstwa na 2 typy organizacyi własności ziemskiej: wielko — i małorosyjską. Wielkorosyjską organizacyą gospodarstwa wiejskiego nazywa prawo tę organizacyę, przy której ziemia, oddana w użytkowanie włościanom, dzieli się na *tiagła* — t. j. równe sobie części — małorosyjską zaś taką organizacyę, przy której włościanie w jednej wsi dzielą się na ciągłych i pieszych (odbywających pańszczyznę sprzężajem i pieszo) i posiadają na użytkowanie nierówne części ziemi. Ta czysto zewnętrzna cecha charakterystyczna, była podstawą podziału Państwa na dwie wielkie typowe działy, do których wprowadzono użytkowanie ziemi: gminne, wspólne — i osobiste, lub, jak je prawo nazywa, „dziedziczne" „podworne".

W zasadnicznem prawie o prawach stanu włościańskiego (§ 700, tom IX) prawo nazywa wszystkich tych włościan, którzy drogą wykupu ziemię nabyli i wszystkie powinności czasowe względem dworu (czynsze i pańszczyzny) zamienili na wykup, włościanami — właścicielami. W zasadzie jednak tytuł własności ziemi, nabytej przy uwłaszczeniu, przy obu typach własności, zarówno wielkorosyjskiej, jak i małorosyjskiej, nie należy do pojedynczych włościan, ale do gminy wiejskiej (*sielskawo obszczestwa*), i różnica między typami leży w sposobie użytkowania z ziemi. Ziemia jest osobistą, dziedziczną własnością włościanina tylko wtedy, jeśli ją nabył po uwłaszczeniu, czy to sam, czy wspólnie z innemi. Nie wchodząc w naturę własności ziemi, należącej do włościan przez uwłaszczenie w gminach małoruskich, zauważymy tylko, że w gminach tych, jeśli ziemia włościańska okazuje się „bez spadkobiercy", przechodzi na własność nie skarbu, ale gminy, w której jest położona, tak samo jak w granicach wiejskiej gminy wielkorosyjskiej osada, posiadana na prawie wyłącznej własności dziedzicznej, przechodzi na własność tej gminy, jeśli po śmierci właściciela okaże się zupełny brak spadkobierców.

Roździał III przepisów miejscowych dla Gub. Wielko—, Nowo- i Białoruskich (dod. IV) zajmuje się specyalnie określeniem sposobu użytkowania z ziemi. „Ziemia, oddana [1]) włościanom przy uwłaszczeniu" (*w nadieł*), mówi § 98, na zasadzie listu nadawczego (*ustawnoj gramoty*), zostaje oddaną pod nazwą ziemi gminnej (*mirskoj*) w stałe użytkowanie gminy wiejskiej za określone powinności [2])". Przy przejściu do innego stanu lub do innej gminy, włościanin traci prawo do użytkowania ziemi w tej gminie, do której należał (§ 99). Sposób użytkowania ziemi zależy od uznania gminy, z zastrzeżeniem zachowania dróg istniejących i praw obywatela do gruntów, pozostałych we wspólności (wygony, pastwiska) lub zastrzeżonych w liście nadawczym (§ 100—105). W granicach swej osady każdy włościanin ma nieograniczone prawo budowania i przebudowywania — zaś poza granicami osady, tylko za zezwoleniem gminy (106/7), i nie ma prawa ustępować swego udziału, zarówno drugiemu włościaninowi z tej samej gminy wiejskiej, jak i osobie trzeciej — bez zezwolenia gminy.

Najważniejsze przepisy zawiera Oddział II tego Roździału. Ziemia pod osadą każdego włościańskiego gospodarstwa (*usadiebnaja ziemla*) przechodzi na dziedziczne używanie tej rodziny (*siemiejstwa*) — więc nie osoby włościanina —, która w niej mieszka dnia 19 lutego 1861 r. v. s., i przechodzi drogą spadku do sukcesorów, stosownie do istniejących, w każdej miejscowości praw zwyczajowych spadkobrania (§ 110). Grunta pod osadami pozostałemi bez właściciela, czy to w skutek opuszczenia gminy przez rodzinę, czy też wymarcia rodziny bez pozostawienia sukcesorów, przechodzą na własność gminy, która może albo wziąć je na użytek gminy albo oddać jakiejś rodzinie z gminy w stałe użytkowanie dziedziczne. Grunta położone we wsi, a nieoddane nikomu pod osadę, pozostają we wspólnem użytkowaniu. „Pola gminne" — t. j. ziemia po za wsią (*mirskaja polewaja ziemla*), grunta orne, łąki i inne użytki — (*ugodja*), „pozostają we wspólnem użytkowaniu tych włościan, którym były oddane". — „Użytkowaniem gminnem" objaśnia prawo w uwadze — „nazywa się to użytkowanie, oparte

---

[1]) Odpowiedni (92) paragraf przepisów miejscowych dla gub. małoruskich brzmi dosłownie tak samo, z tą tylko różnicą, że zamiast „ziemia oddana" użyto wyrażenia „ziemie oddane".

[2]) Czynsz — (*obrok*) — i pańszczyznę (*izdielnaju powinnost' — barszczyny*), które „Przepisami o wykupie", dod. II zamieniano na kapitał pieniężny.

na zwyczaju, przy którem grunta na podstawie postanowień zebrania gminnego dzielą się i rozdzielają na nowo (*pieredielajutsia i raspredielajutsia*) między włościanami na ilość dusz (głów męskich dorosłych), osad (*tiagoł*) lub *w inny sposób*, a powinności, ciążące na ziemi wypełniają się pod solidarną odpowiedzialnością wszystkich członków gminy, użytkujących z gruntu.

Postanowienia Og. Zebrań gminy, dotyczące nowego podziału ziemi, powinny zapaść większością ²/₃ głosów wszystkich gospodarzy we wsi. Każda gmina ma prawo zamienić użytkowanie gminne pól na użytkowanie dziedziczne, t. j., znieść działy i repartycyę (*pieredieły i razwiorstku mirskoj ziemli*) — dzieląc ją raz na zawsze na części między osadami (*podwornyje uczastki*), i oddać te części w dziedziczne użytkowanie gospodarzy, przy zachowaniu dwu tylko warunków: 1) aby postanowienie to zapadło zgodnie z § 54 Og. Przepisów (t. j. ²/₃ głosami wszystkich gospodarzy we wsi); 2) ażeby zmiana ta odbyła się zawsze za zgodą b. właściciela (*pomieszczyka*). Ten drugi warunek dziś nie istnieje; miał on wagę dopóty, dopóki włościanie nie ułożyli się o wykup — pozostawali w epoce t. z. „czasowo obowiązanych", płacili czynsze i odbywali pańszczyznę. Zwolnienie z solidarnej odpowiedzialności wymagało wtedy zezwolenia obywatela — z zamianą czynszów i pańszczyzny na wykup; — z chwilą, w której rząd stał się tym wyłącznym wierzycielem, na rzecz którego solidarna odpowiedzialność istnieje, wymaganem jest tylko zgoda Naczelnika Ziemskiego i zatwierdzenie rozkładu podatków, powinności i sum wykupowych przez gubernialny urząd do spraw włościańskich. Odpowiedni przepis znajdujemy w § 163 przepisów o wykupie (dod. II) i § 15 przepisów o b. włościanach skarbowych (dod. № VII). Paragraf 416 stanowi, że przy zamianie użytkowania gminnego ziemią na użytkowanie dziedziczne — gmina może (ale nie jest obowiązaną) działy pojedynczych gospodarzy wyznaczyć na jednem miejscu.

Jedną z najmniej jasnych kwestyi w prawodawstwie 1861 roku jest kwestya zwrotu byłemu właścicielowi (*pomieszczykowi*) gruntów, wydzielonych włościanom. Oddział III Rozdziału III-go Przepisów, poświęcony specyalnie tej materyi, stanowi osobne przepisy na peryod czasu pierwszych 9-ciu lat od daty uwłaszczania (1861—1870), i na peryod po upływie lat 9-ciu, i rozróżnia zrzeczenia się dobrowolne włościan — od odebrania gruntów włościanom przez właściciela. W zasadzie (§ 120) włościanie nie mogą żądać zmniejszenia wydzielanych im gruntów poniżej minimum, ani żądać zwiększenia po za maximum, przez prawo wyznaczone, nie mają też prawa

usuwać się z gminy bez wypełnienia warunków, przez prawo ściśle opisanych. O wyjściu włościan z gminy będziemy mówić potem; w tem miejscu musimy poświęcić słów kilka kwestyi zrzeczenia się udziału w gruntach gminnych bez wyjścia z gminy — przyczem zmuszeni będziemy zająć się i kwestyą tego zrzeczenia się w ciągu lat 1861—70, gdyż kwestya ta ściśle jest związaną z faktycznym obszarem gruntów, wydzielonych włościanom na użytkowania przy reformie 1861 roku.

W ciągu 1861—1870 r. włościanie nie mieli prawa, zatrzymawszy osadę (chałupę, budynki i grunt we wsi), zrzec się reszty nadziału; mogli tylko, za zgodą byłego swojego pana i za zezwoleniem właściwej władzy (Urzędu Gubernialnego do spraw włościańskich), zmniejszać obszar gruntów, nadanych do $^1/_2$ *maximum* nadziału prawem określonego. (§ 121 P. M.) *Maximum* wynosiło, stosownie do miejscowości, od 3 do 7 dziesięcin [1]) — zwykle 3 razy wzięty obszar minimalny — z wyj. gubernii stepowych, które miały tylko obszar obowiązkowy (*ukazny*), stały, zmieniający się stosownie do miejscowości od 3 do 12 dziesięcin. Mogli też w porozumieniu się z obywatelem i z zatwierdzenia władzy właściwej *nabyć na własność* przestrzeń *minimum* — t. j. $^1/_3$ nadziału maksymalnego (resp. w gub. stepowych obowiązkowego), (§ 122 P. M.) Nakoniec § 123 zwany „paragrafem Gagarińskim" stanowi, jak następuje.

„W razie, gdyby obywatel (*pomieszczyk*), na skutek dobrowolnej umowy, z włościanami zawartej i zatwierdzonej we właściwym porządku przez Urząd Gubernialny, darował gminie włościańskiej część ich nadziału, i jeśli ta część zawierać będzie w sobie osadę włościańską i razem z nią stanowi na każdą duszę rewizyjną (męzką, dorosłą głowę), nie mniej jak $^1/_4$ obszaru maksymalnego lub — w rajonie stepowym — obowiązkowego — przepisa-

---

[1]) W aneksie do § 15 Przepisów miejscowych dla gub. Wielko, Biało- i Noworosyjskich, oznaczono *maximum* i *minimum* nadziału stosownie do okręgów, gubernii i miejscowości. Dla gubernii nieczarnoziemnych rozróżniono 9 miejscowości, dla których *minimum* wynosi od 1—$2^1/_2$ dziesięcin, *maximum* od 3 do 7 dz. W guberniach czarnoziemnych rozróżniono 8 miejscowości *minimum* 2200 ☐ saż. do 2 dziesięcin — *maximum* od $2^3/_4$ do 6 dziesięcin. Dla gubernii stepowych wyznaczono jeden rozmiar obowiązkowy (*ukazny*), stanowiący w gub. Wielkorosyjskich, (Saratowska, Samarska i Orenburska), od 6 do 12 dziesięcin, a w gub. Noworosyjskich (Chersońska, Jekaterinosławska i Taurydzka) od 3 do $6^1/_2$ dziesięcin stosownie do miejscowości.

nego dla tej miejscowości, w której wieś jest położona, to włościanie tak obdarowani, mogą się zrzec reszty obowiązkowego dla nich obszaru gruntów, która w tym wypadku, przechodzi w zupełne rozporządzenie obywatela". Paragraf teń oprócz nazwy „gagaryńskiego" nosi jeszcze nazwę paragrafu nędzarzy (*niszczeńskij*), jako ostateczne *minimum* obszaru gruntów włościańskich, dopuszczone przez prawo 1861 r. Własność ziemska włościan, uwłaszczonych na podstawie § 123, mogła zatem w niektórych miejscowościach [1]), wynosić — wraz z osadą, ³/₄ dziesięciny. Żadnych jednak czynszów, pańszczyzn ani wykupu w tym wypadku włościanin nie ponosił.

Wciągu lat 9-ciu gmina mogła zwrócić właścicielowi część gruntów, jeśli wskutek wypadków nieprzewidzianych (nie wskutek zwolnienia z gminy) ilość dusz w gminie zmniejszyła się o ¹/₅ lub więcej. Każdy zaś włościanin miał prawo zrzec się gruntów, zatrzymując osadę, jeśli nabył — po za uwłaszczeniem, i w odległości nie większej od gminy, jak 15 wiorst, przestrzeń ziemi nie mniejszą od dwa razy wziętego nadziału maksymalnego, obowiązkowego dla jego gminy. (§ 125 Przep. Miejsc.).

Po upływie lat 9-ciu każdy, wychodzący z gminy, może, wypełniwszy wymagania §§ 130—140 przepisów ogólnych [2]), zrzec się swego udziału w ziemi, a jeśli z gminy nie wychodzi, może się go zrzec, zakupując w promieniu 15 wiorstowym ilość gruntu, wyrównywającą dwa razy wziętemu *maximum* nadziału obowiązującego w jego gminie. Przed r. 1870 gmina musiała brać na siebie grunta, których zrzekali się jej członkowie, od 1870 r. obowiązek ten ustawał (§ 131), ale prawo nie mówi nic o zmniejszeniu w tym wypadku ani podatków, ani sum wykupowych, co czyni ten § pozbawionym realnej treści. Nie mówi też nic o tem, kto wchodzi w posiadanie porzuconego gruntu, b. właściciel, czy też skarb państwa.

Zwrot gruntów, nadanych właścicielowi między r. 1861 a 1870 r., następował obowiązkowo, tylko przy przemianowaniu wsi na osadę i miasto lub w wypadkach, przewidzianych § 121—124, (za porozu-

---

[1]) Powiaty Moskiewski, Kołomeński, Bronnicki i Bogorodzki w gub. Moskiewskiej — pow. Krasnosłobodzki, gub. Penzeńskiej, cześć p-tu Zarajskiego w gub. Riazańskiej, i powiaty Jełatomski, Spaski, Tiemnikowski i Szacki, gub. Tambowskiej.

[2]) Według brzmienia § 130 p. t. Ogólnych przepisów, *musi* raz na zawsze zrzec się tego udziału i oddać go gminie.

mieniem się z właścicielem i przy zmniejszeniu się ilości dusz w gminie o $^1/_5$ lub więcej). Działy ziemi, odbierane włościanom za niespełnianie pańszczyzny i niepłacenie czynszu, przechodziły tylko czasowo w ręce obywatela i dopiero po upływie lat 9-ciu, jeśli gmina zrzekła się ich na zawsze, przechodziły ostatecznie na własność obywatela. Od 1883 roku, t. j. od daty obowiązkowego ustania czynszów i pańszczyzn, przepisy te straciły moc obowiązującą.

W ostatnich latach prawo gminy rozporządzania się ziemią gminną zostało jeszcze ograniczone prawem z d. 14 grudnia 1893 r. Mocą tego prawa, sprzedaż gruntów gminnych wymaga zezwolenia $^2/_3$ głosujących na zebraniu gminnem i zatwierdzenia sprzedaży przez Urząd Gubernialny do spraw włościańskich, jeśli wartość sprzedawanej ziemi wynosi rs. 500 lub mniej — a zatwierdzenia przez Ministrów Spraw wewnętrznych i Finansów, jeśli tę sumę przenosi. W wypadkach zaś, kiedy sprzedawane grunty mają być eksploatowane w celach górniczych, wymaganą jest jeszcze zgoda Ministra Dóbr Państwa.

Zauważymy jeszcze, że § 2 tegoż prawa z 1893 r. stanowi, że grunty, będące własnością prywatną włościan, zarówno jak i grunty, będące w dziedzicznem ich używaniu, nie mogą być ani darowane, ani sprzedane (nawet drogą przymusowej sprzedaży), jak tylko osobom, do gminy należącym, albo takim, które zobowiążą się do gminy zapisać. Zaś § 3 zabrania zarówno całym gminom, jak i pojedyńczym włościanom, zaciągania pożyczek hypotecznych na grunty włościańskie, nawet wtedy, kiedy sumy wykupowe w zupełności zostały spłacone.

Stanisław Piotrowski.



Józef Szujski

jako teoretyk i jako twórca dramatyczny.



I.

„Na portrecie Matejki oblicze Szujskiego tchnie takim duchem rycerskim, wymowne oczy takim płoną ogniem, dumna i harda głowa tak silnie i energicznie osadzona na karku, iż nie zdziwiłbyś się, gdyby naraz postać ta wyskoczyła z ram obrazu i z proporcem w jednej, a mieczem w drugiej dłoni rzuciła się w tłum i powiodła za sobą na boje.” A dalej pisze Chmielowski: [1] „Jeżeli jaka cecha, uwydatniona przez artystę-poetę, nie odpowiadała fizyognomii cielesnej pisarza, to niewątpliwie wiernym była wyrazem duchowej. Miał on moc wpływania na umysły, miał niezmożoną energię i wytrwałość w przeprowadzeniu pewnej idei w czyn, zamienieniu jej w rzeczywistość. Wszystkie potęgi swej bogatej natury skupił w jednem ognisku: w dążeniu do działania; to też na niejednem polu pracy był istotnie chorążym duchowym. Czuł on nieodpartą potrzebę przelania w całe społeczeństwo tego przekonania,

[1] Nasza literatura dramatyczna. Tom I, 411.

iż należy wyrabiać w sobie hart woli, władnący myślami i uczuciami, siłę charakteru, którąby się pod brzemieniem nieszczęść nie ugięła, lecz spokojnie pracowała na lepsze jutro. Widząc miękkość i chwiejność wkoło siebie, radby był wyrwać z korzeniem ten chwast podły, a na jego miejsce zasiać ziarna stałości i tęgości charakteru." Że to określenie indywidualności Szujskiego jest doskonałe i prawdziwe, tego dowodzi zarówno jego życie, jak twórczość literacka. Nie tu miejsce wdawać się w ocenę jego działalności politycznej, i, jeśli mimochodem wspominamy o niej, to dlatego tylko, że charakter, wyciśnięty na jego życiu publicznem, odnajdujemy wyciśnięty na jego twórczości artystycznej. Tęgość myśli i pojmowania, krytycyzm w szczegółach i całości, cel, jasno określony, i siła woli, która przelewała w czyn to, co rozum wybrał sobie za zadanie, jest tak tu, jak i tam, nieodłączną cechą jego natury.

Potężna indywidualność Szyjskiego tłómaczy nam to rzadkie, bądź co bądź, zjawisko, że człowiek ten, w młodości wytknąwszy sobie jasno cel, do którego ma dążyć, wytrwał do końca na raz obranej drodze, ulegając wprawdzie odwiecznym prawom naturalnego rozwoju talentu, wzbogacając swe środki artystyczne i doświadczenie, lecz pozostając zawsze wiernym pierwotnemu założeniu. Jest to rzadki typ, z rodzaju tych indywidualności, u których krytyczna świadomość w danej chwili wybucha z taką siłą i taką jasnością, iż w mocy są stworzyć własny program życia, a mają zarazem dość sił, aby swe zamiary wcielić w czyn. Takich jednostek najmniej może jest w naszym narodzie. Mamy olbrzymią skalę talentów najróżnorodniejszych — od bezkrytycznych, silnych jedynie bogactwem swej natury, aż do przeczulonych. Lecz do wyjątków należą u nas talenty, w których krytycyzm nie tylko, że nie zabija twórczość, lecz przeciwnie popiera ją. A takich właśnie talentów potrzebuje twórczość dramatyczna. Słusznie zaliczono ją do najświetniejszych objawów produkcyi artystycznej. Już choćby to znane zjawisko, że dramat ukazuje się dopiero po okresach epiki i liryki w chwili, kiedy naród nabiera poczucia swej siły i wartości, a więc, kiedy dochodzi do wieku dojrzałego, jest dowodem, że powstanie dramatu uwarunkowane jest głębszemi przyczynami, niż każdy inny rodzaj twórczości. Z drugiej strony analiza twórczości indywidualnej wykazuje, że żaden inny rodzaj poezyi nie wymaga od artysty takiej świadomości swej własnej twórczości, takiego krytycyzmu, jak dramat.

Nie zastanawiając się nad dramatam z życia współczesnego, bo ten nas tu nie obchodzi ze względu na przedmiot naszej pracy,

przyznać musimy, że tragedya historyczna nastręcza twórcy najwięcej trudności do pokonania. Historya daje wprawdzie gotowy materyał; lecz jak wyzyskać ten materyał? jaki punkt obrać za punkt wyjścia, a jaki za punkt zwrotny? W temacie historycznym można łatwo upatrzyć fałszywą jedność dramatyczną. Idąc w ślady historyka, który wszelkie czyny objaśnia charakterem działających osób, zwraca poeta przedewszystkiem uwagę na historyczny charakter bohatera; nie spostrzega jednak, jak wielka jest różnica między historykiem a twórcą dramatycznym pod względem rozporządzania środkami. Historyk każdy czyn lub wypadek może objaśniać, udowodnić cytatami; tymczasem dramaturg nie może posługiwać się środkami, że się tak wyrażę, dowodowymi, — musi charakter bohatera pogłębić. W przeciwnym razie spostrzeże ze zdumieniem, że to, co u historyka nabierze cech wypukłości skutkiem zużytkowania ogromnego nieraz materyału historycznego, że ten charakter, który u historyka ma wszelkie cechy prawdziwości, bo składa się z całego szeregu drobnych i wielkich rysów, zaczerpniętych czy to z życia codziennego, czy też życia politycznego jednostki, że to wszystko, że ten właśnie charakter w jego dramacie jest wyblakły, martwy, a często niezrozumiały dla widza. Dramat bowiem budzi zainteresowanie słuchacza nie tyle przez charakter bohatera, ile przez rozwój akcyi.

Tymczasem twórca zapomina niejednokrotnie o tej najgłówniejszej podstawie dramatu. Rozporządzając danym materyałem historycznym, obawia się sfałszować prawdę historyczną, a nie mogąc być nigdy nadto ścisłym historykiem, usiłuje skupić na przestrzeni pięciu aktów wszystkie fakty, pozostające w związku z chwilą życia bohatera. Obciąża wskutek tego dramat — historycznie prawdziwymi, lecz ze względu na sztukę fałszywymi wypadkami. Nigdy prawie nie zdarza się, aby temat historyczny był sam w sobie typowym dramatem, aby miał odpowiednie zaczepienie, rozwój, przesilenie i rozwiązanie. Trzeba z niego zawsze coś ująć lub coś dodać, aby go nagiąć do wymagań sztuki.

Dajmy na to, że dana osobistość historyczna walczyła, uzyskała poklask społeczeństwa, doszła do dostojeństw, zdradziła ogólne zaufanie, upadła i znowu podniosła się, aby znowu upaść („*Cola Rienzi*" Asnyka): to mogą być wszystko fakta historyczne, które przemawiają do nas językiem zrozumiałym, jako historya, bo opowiadają nam o życiu człowieka niezwykłego, a charakterem bohatera wyjaśniają jego powodzenia i klęski. Z chwilą jednak, kiedy

te fakta przeniesiemy na widownię, znika nam z oczu jednostka, której charakter ma nam je wyjaśniać, której charakter jest ich spójnią wewnętrzną, ich jednością, mamy natomiast jednostkę, postawioną w zupełnie odmiennych warunkach, jednostkę, której charakter ma być objaśniony, a raczej ma być wypływem tychże samych faktów. Jeżeli w historyi charakter łączy z sobą w jedność organiczną fakta na przestrzeni lat kilku i kilkunastu, jeśli on jest podstawą, na której gromadziły się wypadki różnorodne, a jednak jednorodne ze względu na jednostkę; innemi słowy, jeśli w historyi człowiek ze swemi wadami i zaletami, przekonaniami i wiarą jest wyłączną spójnią faktów, dokonanych przez siebie, to w dramacie ginie człowiek, a pozostają narazie fakta z jego życia, z których trzeba wybrać najbardziej doniosłe, i to doniosłe pod względem nie historycznym, lecz dramatycznym. Im za danym wypadkiem, historycznie nawet błahym, kryje się więcej duchowej walki bohatera, im dany fakt nasuwa fantazyi potężniejszą kolizyę uczuć i obowiązków, tem bardziej ów fakt nadaje się do dramatu. Już z tego wynika, że twórca z szeregu faktów historycznych zużytkowuje przedewszystkiem te, które są następstwem — przynajmniej w fantazyi dramaturga — najsilniejszej walki duchowej, pomija zaś te, które jego wyobraźni nie podniecają, a w skutek tego są dla sztuki martwymi. A te wybrane fakta musi tak ugrupować, aby nadać im wyraz zamkniętej w sobie całości — a więc musi obrać punkt wyjścia akcyi, szereg faktów, które są jej rozwojem, punkt kulminacyjny, zwrot i rozwiązanie. Co było martwe, już twórca wyrzucił, co się okaże za szczupłem do budowy dramatu, to musi uzupełnić własną fantazyą. Nie dziw, że do tak zużytkowanego tła historycznego musi się stosować charakter jednostki, że charakter, który w historyi jest jednością faktów, tu będzie wypływem jedności faktów; nie dziw, że rysy, które w historycznym człowieku były górujące lub nieznaczne, twórca odpowiednio do swego założenia będzie zmniejszał lub rozwijał, że np. ambicyę historycznego Wallensteina posunie Schiller do możliwych granic namiętności i potęgi demonicznej, że Goethe przekuje szlachetność historycznego Egmonta na bohaterskie poświęcenie się dla sprawy ludu; nie dziw wreszcie, że charakter postaci historycznej wskutek tych przemian i pogłębienia nie jest w dramacie ściśle historycznym.

Wogóle umiejętność tworzenia dobrych dramatów historycznych jest najlepszym, najwyższym dowodem uzdolnienia do twórczości dramatycznej. Olbrzymie trudności ma do zwalczenia

poeta, chcący stworzyć tragedyę historyczną; ale za to wrażenie, jakie wywrzeć może na widzach genialna tragedya historyczna, nie może się równać z żadnem innem. Podniosły czyn historyczny — osoby, na których przeszłość wycisnęła już swoje piętno legendowe, a więc osoby wyższe, wyszlachetnione idealizmem pokoleń i bardziej tragiczne swym upadkiem, wreszcie atmosfera, wolna od przemijających haseł, stronniczych zapatrywań, wolna od tego wszystkiego, co musi wcisnąć się do dramatu współczesnego, — to wszystko przemawia za tem, że dramat historyczny jest najtrudniejszym w wykonaniu, lecz zarazem najwyższym szczeblem w twórczości dramatycznej.

Z powyższego wywodu płynie ten wniosek, że tylko przy wysoko rozwiniętym krytycyzmie i wielkim artyzmie można mówić o stworzeniu dramatu historycznego. I to jest przyczyna, dla której, mimo twórczości na tem polu, tak późno ukazują się u nas studya krytyczne, rozstrząsające istotę dramatu historycznego. Wielkie zasługi na tem polu położył Józef Szujski. Dopókiby nie znalazł się człowiek, któryby rzucił snop światła w przeszłość i przyszłość i postawił drogowskaz, póty twórczość nie mogłaby się rozwijać, jak należy. Jakiekolwiek miejsce w literaturze dramatycznej krytyka wyznaczy dziełom Szujskiego, o jednem zapomnieć nie może i nie powinna, że on jest pierwszym u nas, który wzniósł się do wysokości programu w zakresie dramatu historycznego, co na tem większą uwagę zasługuje, że twórca wiedział, czego niedostaje jego własnym pracom, i że to właśnie przeświadczenie, jakie wyniósł z krytycznego poglądu na prace dramatyczne innych i swoje, wyraził jasno i z wielką siłą.

Dwie przedmowy Szujskiego biorę tu pod uwagę: jedna z r. 1857, druga z r. 1867. Wartość ich jest niejednakowa. Pierwsza przedmowa wyszła z pod pióra autora, który dopiero co wychodził z lat młodzieńczych, druga z pod pióra człowieka, którego wsparły w wywodach doświadczenie, zaostrzony pracami historycznemi krytycyzm i przeświadczenie o wartości własnych dzieł. Pierwsza krytykuje wszystko i wszystkich, lecz nie daje jeszcze żadnej głębszej myśli programowej, druga nie potrzebuje już krytykować, bo wznosi się ponad wszelkie nasze ówczesne pojęcia estetyczne siłą wypowiedzianych prawd i poglądów. Wskazując, j a k i m ma być dramat polski, tem samem przechodzi Szujski do porządku dziennego nad tem wszystkiem, co dotychczas stworzono u nas w zakresie dramatu. Pierwsza przedmowa ma wszelkie cechy śmiałości i bezwzględności młodzieńczej, która nie uznaje

i nie chce nic uznawiać, bo ma już pewne własne ideały, choć one są jeszcze niepochwytne, a tem samem nie mają jeszcze istotnej dla drugich wartości; druga przedmowa ma wszelkie znamiona szerokiego lotu krytyka-twórcy, a swoją tężyzną i głębokością wyrażonych poglądów góruje nad tem wszystkiem, co do dziś dnia estetyka powiedziała u nas o dramacie historycznym. Pierwsza przedmowa niema nawet cech oryginalności. To, co autor wypowiada, nie wznosi się nad poziom tu i owdzie głoszonych analogicznych zapatrywań.

II.

Pierwszą przedmowę dołączył Szujski do „Samuela Zborowskiego", pracy, którą nazywa „studyum dramatycznem". Co przedewszystkiem nas w niej uderza to, że mimo, iż dzieli nas lat 40 od zdań, wypowiedzianych przez młodego krytyka, nie mamy nic więcej do powiedzenia nad to, co on powiedział. Cztery dziesiątki lat, które upłynęły, tak mało wzbogaciły naszą literaturę w dzieła dramatyczne prawdziwego natchnienia, iż sąd, wówczas wypowiedziany, może być i dzisiaj powtórzonym bez żadnych prawie zmian. Trafność tego sądu, aczkolwiek nie przyznajemy mu, jak to już zaznaczyliśmy, zupełnej oryginalności (wartość bowiem polega przedewszystkiem na dobrem stopieniu rozproszonych przez innych myśli), potwierdzają badania krytyczne, jakie podjęto w ostatnich latach nad naszą literaturą. Uderza również i to w tej przedmowie, że autor sam zdaje sobie dobrze sprawę z tego, jaką wartość ma jego własna twórczość dramatyczna.

Lecz przejdźmy do treści przedmowy: „W ostatnich czasach — czytamy — pojawiło się u nas wielkie zwątpienie co się tyczy stworzenia historycznego dramatu polskiego. Najznakomitsi ludzie ruszali ramionami na tę formę poezyi, zarzucano naszej przeszłości, że wręcz nie jest usposobioną do obrobienia dramatycznego, że epiczna natura w niej przeważa". I rzeczywiście, w chwili, kiedy Szujski występował na widownię publiczną, budziła się u nas świadomość krytyczna, która poczęła zwracać baczniejszą uwagę na stosunek naszego dramatu do dramatów obcych. Nie wspominając o Corneilles'u, Racine'ie, ani o Wolterze, Delavigne'm, Wiktorze Hugo i Dumasie, — zapoznano się już u nas bliżej z „wielkim Will'em" i z płodami muzy niemieckiej. Porównywanie wzbudziło niezadowolenie z tego, co u nas dotychczas na tem polu zrobiono.

Nie mówiąc już ogółem o twórczości dramatycznej, bo ta, bądź co bądź miała piszących, utyskiwano na brak polskiego dramatu historycznego. . Powątpiewania, czy da się co na tem polu stworzyć, i czy nasza przeszłość może dostarczyć wątku dramaturgom, stały się chronicznemi. Nie były to wcale głębsze refleksye, nie przybrały one postaci jakiegoś studyum, — były to wzmianki lub myśli, rzucane przy każdej nadarzającej się sposobności. Ogółem była to atmosfera zniechęcenia i zwątpienia. Byli jednak i przeciwnicy tych pesymistycznych zapatrywań. „Do niedawnych czasów — pisał Estreicher w swoim artykule „Dramat historyczny polski, uważany pod względem scenicznym" — zdawało się, że historya nasza tak jest ubogą w postacie i sceny dramatyczne, w sceny, mogące być zawiązkiem dramatu intrygowego, iż niemal za pewnik uważać można było, że ani powieść ściśle dziejowa, ani dramat ściśle historyczny nie zajaśnieją w literaturze naszej". Estreicher wyszedł z tego samego stanowiska negacyjnego, z jakiego wyszedł Szujski, który tak dalej pisze: „Naród, który walczył, kłócił się, cierpiał i politycznie upadał, już przez to samo ma dramatyczną przeszłość". Nie zastanawiając się nad tem, ani nie chcąc dowodzić, że Szujski powtarzał cudze zdania, lecz jedynie ze względu na to, żeby wykazać, iż głos jego nie był samotny, przeciwnie, iż był wyrazem zbiorowym, o co nam przedewszystkiem chodzi, poglądów, które już miały licznych wyznawców, i ze względu na to, że przy tej sposobności pośrednio przynajmniej będziemy mogli dać choć słaby obraz poglądów pewnej części ogółu, odnoszących się do dramatu historycznego, — przytoczymy i przytaczać będziemy analogiczne myśli do podniesionych przez Szujskiego.

Przekonanie, które powoli wyrabiało się w naszem społeczeństwie i odpychało na bok pesymistyczne zapatrywania, jakoby przeszłość nasza dziejowa nie nadawała się do dramatu, powstawało w miarę postępów historyi. Im studya historyczne wydobywały coraz więcej materyałów z mgły niepamięci, tem nabierano coraz lepszego i prostszego zdania o dramacie, tem mocniej poczęto wierzyć w to, że dramat historyczny polski może być stworzony i że będzie kiedyś stworzony. Historya dokonywała przewrotu w zagnieżdzonych dotychczas pojęciach, jak dokonywała przewrotu i na wielu innych polach. Podobne zapatrywania, jak Szujski, wypowiedzieli przed nim Wójcicki, Przeździecki, Kraszewski, Estreicher. „Nasza przeszłość cała — powiada Wójcicki (w „Bibliotece Warsz." r. 1843, t. II), — cała gotowa dla poezyi. W naszych oczach prysły te ostatnie ogniwa, które nasze pokolenia w łańcuchu wieków

wiązały, tak blizkie przypodobnieniem oblicza z przeszłością; odcięci od niej stargaliśmy wszelki związek; a przesz łość narodu w poważnej postawie, ubiełona starością blizko lat tysiąca, strawiwszy w sobie miliony pokoleń, spogląda na nas, jak duch matki, czy pomnimy o niej za jej grobem. Słyszymyż ten gwar przy ogniskach domowych, wrzawy tej dziatwy, co migają w wielkim obrazie starodawnego świata? Słyszymyż ten okrzyk, lecący na skrzydłach chwały, za rozwianemi Tatarów i Turków chorągwiami? Na tej ziemi, co jeżyła się warownymi grody, wspaniałymi zamkami, gdzie wzrastały puszcze, w wielu•miejscach nie znające słońca, na tych miejscach, teraz nagich, żyły pokolenia naszych ojców, którzy w czynach i charakterach swoich dali nam najwznioślejszą poezyę. Ich żywot, pełen ruchu gwarnego rycerskiego, czy ujęci w żelazny pancerz, przyłbicą zbrojni — czy w kniei z oszczepem myśliwskim na ramieniu, czy przy domowem ognisku, wszystkiem już do nas mówią poezyą, bo ta rzeczywistość, w której żyli, znikła. W tej grobowej przeszłości spoczywa sztuka dramatyczna polska, tam jej pierwiastek, tam jej treść cała, bogactwo przedmiotów nie do przebrania, jak rozmaitość wielkich i osobliwych charakterów".

To samo krótko i dobitnie wyraził Szujski. Aby tę przeszłość oddać, czytamy dalej w przedmowie: „aby ją widzieć, trzeba naturalnie wyzuć się z fałszywie zrozumianego uszanowania dla tej przeszłości, z idealnego i jednostronnego o niej sądu, z obawy nieobrażenia jej wielkich cieniów wykryciem ich strony złej i brzydkiej, która bynajmniej nie zmiejsza ich kolosalności wobec dzisiejszej generacyi". Tu trafił Szujski w najdrażliwszą stronę narodową. To samo pojęcie, któremu hołdował w dziejopisarstwie, przenosi do dramatu. Stwierdza zarazem przez nie Szujski silną łączność, jaka istnieje między historycznym dramatem a dziejami narodu. Myśl ta, przez niego wypowiedziana, jako taka, i w tej formie, w jakiej ją podał, jest jego własną.

W innej formie wyraził to samo Kraszewski, w artykule „o dramacie polskim". [1]) „Dramat i komedya były w Polsce niepodobieństwem, zwłaszcza zaś dramat narodowy własny i komedya rodzima. Tknąć świętości arki domowej niktby się nie ośmielił,

[1]) Dziennik literacki, 1856, nr. 44—52.

bo szanowano tajniki dramatu tego, odgrywającego się między człowiekiem a Bogiem, i nie pojmowano, by z niego ręka zimna świętokradzka zdejmować mogła zasłonę." Szujski posuwa się o jeden krok naprzód. To, co Kraszewski stwierdza, on potępia i stawia niejako antytezę tych pojęć, jakie dawniej obowiązywały i krępowały twórców.

„Dramat — pisze dalej Szujski — wymaga innej miłości dla drogich cieniów, które wywołuje. Liryczny poeta czerpie z przeszłości entuzyazm i źródła indywidualnego podniesienia się, epiczny—patrzy w nią, zapominając siebie i świata, rozkochany w niej, nic prócz niej nie widzi, teraźniejszość mierzy piędzią lat minionych. Dramatyk ma inną miłość. Blask i krasa nie łudzi go, plastyczne kształty nie poruszają do wzorowania — ale miłość jego z świętem uszanowaniem zbliża się do trumien i słucha wyznania zmarłych — aby im z duszy zdjąć ciężar, że synowie nie wiedzą o nich prawdy, że synowie patrzą na nich jak na świętych, a oni nie byli świętymi, że synowie nie wyciągnęli z ich trumny morału, który przymarł w chwili zgonu do ich czoła. Dramatyk w środku swych postaci stawia Boga dziejów, kroczącego tajemniczo pośród zmarłych i upadłych i piszącego na ich twarzach wyroki swoje święte. Bóg mu jest jedynym, niewidzialnym bohaterem, a osoby szatą, przez którą przezierają kształty jego myśli i wyroków". W tych słowach Szujski rozwija myśl, poprzednio wypowiedzianą, a dalej wypowiada swoje charakterystyczne zapatrywanie na zadanie dramatu. Poświęcimy tej sprawie trochę więcej słów, lecz wpierw omówimy część pierwszą przytoczonego ustępu.

Doskonale określa poeta różnicę między poezyą liryczną a dramatem. Liryk pomija wszystko to, co nie dostraja się do zasadniczego tonu jego uniesienia. Liryk, opiewając przeszłość, widzi uwypuklone tylko pewne części całości. Zrzekając się przedmiotowości, musi być podmiotowym, a tem samem jednostronnym. Dramaturg rozszerza ramy swego obrazu, nie tylko jasne ma strony ukazać, lecz i czarne. Prawda, jaką ona jest, jest jedynie dla niego obowiązującą. Bez malowania objawów ujemnych życia dziejowego obraz jego byłby niezupełny, byłby nawet fałszywy. W tem schodzi się Szujski ze zdaniem Wójcickiego.

„Kiedy chwytasz, artysto, przedmiot—pisze 14 lat przed Szujskim —poznaj właściwą mu dobę, poznaj niebo i ziemię, na której działał pomyślany dramat, poznaj ludzi i ich serca. Prawda histo-

ryczna niech cię wiedzie, ona nie katem dla sztuki. Zostaw w głowach ich myśli, jak w sercu uczucie, w ustach język, w ręku siłę, co żelazo łamała". A dalej zachęca: „Słowem, gdy w świat staropolski się wpatrzysz, poświecając pochodnią prawdy, odkryjesz oblicze jego wierne, widome, czy zapłakane łzami, krwią sposoczone, czy ubarwione śmiechem rubasznym wesela i radości sercowej: wtedy poczujesz i atmosferę, co oblekała czas i ludzi wybranych do dramatu; wtedy chwytaj pióro".

Jak na rok 1843, ogromnie śmiało i pewnie powiedziane! Ale bo też Wójcicki zdawał sobie dobrze sprawę z postępów historyi i z jej wpływu na literaturę, jak to na innem miejscu udowodnimy. Szujski, mówiąc to samo, akcentuje silniej wszystko, co w jakiejkolwiek łączności pozostaje z dziejopisarstwem. Nie waha się powiedzieć, że postacie naszej przeszłości nie są święte,— śmiało to zaznacza wbrew wszelkim pojęciom, jakie romantyzm zaszczepił u nas.

Lecz duch historyi, który pod niejednym względem tak bardzo dobrze wpłynął na zmianę pojęć u Szujskiego i u współczesnych, wprowadził w obręb sztuki niewłaściwe pojęcia, a raczej pojęcia, właściwe jedynie historyi. Szujski wszędzie i zawsze podkreśla to, że z dramatu powinna płynąć nauka. Błąd to zasadniczy pojmowania zadania sztuki. Historya jest doświadczeniem ludzkości, a jako taka, wszędzie i zawsze uczy, dając nam możność porównywania wypadków analogicznych. Zaznajamiając nas szczegółowo z tłem, na którem coś się rozegrało, i wykazując ekonomiczne, społeczne i polityczne warunki, wśród których dany naród się rozwijał, pozwala nam badać wzajemny stosunek klas i jednostek i przeciwieństwo ich interesów, a tem samem wyciągać wnioski *a posteriori*; jej wysokie posłannictwo tkwi w tem, że, nie tając nic, — ani błędów, ani zbrodni, analizując przyczyny i skutki czynów i objawów, oświecając wszystko właściwem światłem, sądzi tak, jak jej nakazuje sprawiedliwość. Celem jej jest odbudowywać przeszłość, oceniać czyny i ludzi, a tem samem wzbogacać doświadczeniem zbiorowem młode pokolenia. Jej to zadaniem jest, aby „synowie wyciągali z trumny zmarłych morał", jej celem odkrywać i wykazywać odwieczne prawa, rządzące państwami i ludami, przechodzić od analizy pojedyńczych objawów do ich syntezy, uchylać zasłony, kryjące owego „Boga dziejów, kroczącego tajemniczo pośród zmarłych i upadłych". Przeniesienie tych samych pojęć i wymagań do sztuki jest błędne i fałszywe. Rozstrząsając środki, którymi posługuje się dramat, i określając zasadę, z której wychodzi,

postaramy się odpowiedzieć na pytanie, czy można utożsamiać sztukę z historyą i czy można podsuwać sztuce, jako główne, te cele, które są istotą historyi.

Dramat wszędzie i zawsze ten miał wyższą wartość, który lepiej stwarzał ludzi, który wywoływał złudzenie, że kreacye, jakie widzimy na scenie, są żyjącemi, są prawdziwemi. Wszystko, co z dramatem mogło się łączyć lub łączyło,—myśli filozoficzne, tendencya, morał — stało zawsze na dalszym planie. Nie one warunkowały istnienie dramatu, lecz te żywioły, które wywoływały złudzenie prawdy. Najgłębsza prawda, najszlachetniejsza tendencya, najmoralniejszy morał, zaklęty w sztukę, która złudzenia prawdy nie dawała, nie ratował dramatu, ani nie tchnął w niego życia. Jeżeli tak jest, to za zasadę, z której sztuka wychodzi, nie można przyjąć żadnego z wyżej pomienionych etycznych i filozoficznych względów, lecz jedynie — prawo wywoływania złudzenia rzeczywistego życia. To bowiem, co warunkuje byt lub niebyt danej rzeczy, jest jej zasadą główną i bezwzględną! Wszystko inne może wchodzić w jej istnienie w dowolnym charakterze, lecz nigdy w charakterze zasady. Jeśli przyjmujemy, jako zasadę w sztuce, wywoływanie złudzenia rzeczywistego życia, to zgodzić się musimy na to, że twórca wszelkimi sposobami powinien dążyć do tego, aby wywiązać się chlubnie z tego zadania.

Będzie zatem dobierał takie sytuacye i takie namiętności, będzie tworzył takie charaktery i będzie je tak przeprowadzał, tworzyć będzie taką osnowę, takie kolizye i tak je będzie rozwiązywał, żeby wywołać złudzenie prawdy życia. Twórca, który dla postronnych względów zrzeka się tego zadania lub je nagina i przekształca, sprzeciwia się swemu założeniu, przestaje być dobrym twórcą. Wszędzie i zawsze musi być dla niego pierwszem, nieubłaganem prawem — tworzenie łudząco prawdziwych obrazów życia. Jeśli to jest zasadą, z której twórca wyjść musi, to czyż może być mowa o tem, żeby górowała nad tą inna zasada? Nigdy! Żaden wzgląd nie może ograniczać zasady czyjegoś bytu, pod grozą zamarcia lub skarlenia tworu. Żadna tendencya, żaden morał, żadna filozoficzna prawda nie może w sztuce ograniczać zasady jej istnienia, może jedynie być jej przypadkowym wynikiem. Jeśli będzie nim, to bardzo dobrze, to nadspodziewanie dobrze. Ta mimowolność, ta przypadkowość prawd, złączonych z jej zasadą, jest właśnie najgłębszą filozofią sztuki. Życie nie broni tez, nie broni morałów, nie daje nauk — my je z niego wy-

ciągamy. Sztuka, która, jak życie, pozwala nam wyłuszczać z siebie prawdy, — jest najwyższą.

I w tem jej całe przeciwieństwo do historyi. Historya dlatego zajmuje się przeszłością, aby oceniać, aby krytykować, aby uczyć. Sztuka dlatego odtwarza życie, aby je odtwarzać do złudzenia podobne, odtwarza je dla niego samego. Dla historyi życie jest środkiem do celu — dla dramatu jest celem. Mieszanie tych dwu pojęć, określających istotę historyi i sztuki, jest błędne. Cała olbrzymia przeszłość literatury dramatycznej potwierdza to dowodnie. Najrozmaitsze, co prawda, względy mogą twórcą powodować, że narzuca swej sztuce inną zasadę, jak tę, którą powinien mieć przedewszystkiem na oku: mogą one wypływać z dążności religijnych, filozoficznych, społecznych, politycznych lub mistycznych. Wiek XIX jest tego świadkiem aż nazbyt częstym. Mieliśmy i mamy mistyków, którzy poświęcali swe pióra na usługi wyższym duchom i „braciom". Wszak Słowacki dał nam „Sen Srebrny Salomei", „Księdza Marka", dramaty, które miały nawracać naród. Wszak Dumas i Augier moralizowali ze sceny. A iluż innych tworzyło tendencyjne sztuki! Jeśli pomimo to niektóre z ich dzieł są wielkie, to nigdy dla ich „wyższej" zasady, lecz dla tego, że pierwsza zasada uposażyła je w niepospolite zalety i piękności. Szujski podkreślił jako zadanie dramaturga pouczanie społeczeństwa. Lecz każdy krytyk objektywny musi przyznać, że dramaty twórcy „Wallasa", jeśli mają niemałą wartość dramatyczną, to nie dla ich tendencyi, lecz mimo niej.

Tak więc Szujski przesunął granice historyi na pole sztuki i w tem pobłądził. Niemniej jednak słusznie stwierdza w dalszym ciągu bezwzględną łączność historyi i dramatu narodowego. Zdaje sobie jasno z tego sprawę, jak bardzo zależnym jest dramat historyczny od wartości prac historycznych. Myśl jego z łatwością obejmuje współczesną mu literaturę i charakteryzuje ją dobrze, „jako „fazę odczuwania", po której musi nadejść czas dramatu.

Podobnego zdania jest i Wójcicki: „Trudno było poetom przy szczupłych zapasach materyałów dziejowych myśleć o dramacie historycznym, aby z całym urokiem wybrany z przeszłości obraz wysnuli. Dziś, kiedy więcej ją poznali — przy zgromadzonym zasobie wiadomości życia domowego, literatury, sposobu myślenia, pomnikach języka i ducha — te wymagania są słuszne i niezbędne. Zamknięta księga obrazów przeszłości już się otwarła: w niej i domowy żywot, i wizerunki zmarłych pokoleń wiernie dochowano.

Bohaterowie, dotąd milczący, przemawiają do nas swoim językiem i odkrywają uczucia. Czyny dzielnej ręki, jak myśli głowy, nie są tajnikiem. Badacze dziejów, domowego żywota, literatury i dawnych pomników, już przełamawszy żelazne zapory, zdarli zasłonę, co kryła krainę duchów przeszłości. Poetom zostało teraz zakląć te duchy, by przybrały żywot ludzki, ciało i mowę: a formułą po temu, jak niegdyś na widma, są — talent i praca."

Postępy historyi, która zaczęła nabierać coraz większych sił, umacniały szersze koła w tem przekonaniu, że dzieje nasze będą miały swych dramaturgów. Zapewne Wójcicki, jak i Przeździecki, podzielający te same zapatrywania na stosunek dramatu do historyi, opierali swoje sądy na licznie ukazujących się koło r. 1840 publikacyach. Były to prace Maciejowskiego, Wiszniewskiego, Kraszewskiego, Muczkowskiego, Łukaszewicza, Stronczyńskiego, Rzewuskiego i Mich. Grabowskiego, odnoszące się do literatury wieków przeszłych, — a dalej z zakresu historyi wydania rękopisów Raczyńskiego, St. Przyłęckiego, Lachowicza i T. Dzieduszyckiego. Przewrót pojęć już na tem polu dokonywał się na lat 20 przed przedmową Szujskiego.

„Nieliczną jest nasza literatura dramatyczna — czytamy dalej —; oprócz nieśmiertelnego Fredry, który komedyę naszą zrobił najpierwszą w Europie, nie mamy żadnego dramatyka w całem tego słowa znaczeniu. Pomijając francusko-polskie dramata klasyczne, wspomnieć nam tu wypada o dwu drogach rozmaitych, któremi dążono do stworzenia dramatu polskiego".

Zatrzymajmy się chwilę przy dramatach francusko-polskich. Rzecz wymaga trochę wyjaśnienia i rozwinięcia. Autor poświęca zbyt mało stosunkowo uwagi teatrowi francusko-polskiemu, którego tradycyom hołdowano u nas długo, a przesadza, mówiąc o dwu nowych drogach, stworzonych przez dwu naszych wielkich poetów. Literatura francuska była niewątpliwie najbardziej wpływową mistrzynią dramatu polskiego. Morsztynowie w w. XVII pierwsi usiłowali stworzyć u nas tragedyę na modłę francuską. Lecz kierunek ten nie przyjął się. W sto lat dopiero po nich Wacław Rzewuski daje „Władysława pod Warną" i „Żółkiewskiego pod Cecorą". Po tych mamy do zanotowania w w. XVIII „Zygmunta Augusta" Wybickiego, „Bolesława" Karpińskiego. To były pierwsze pikiety klasycznej szkoły francuskiej, która wszechwładnie opanowała sceny polskie i literaturę na długie lata. Fr. Wężyk, buntujący się w swojej rozprawie z r. 1811 przeciw smakowi francuskiemu, hołduje mu jednak w swoich dramatach: „Gliński", „Barbara",

„Bolesław Śmiały". To samo powiedzieć trzeba o Hoffmana „Bolesławie Śmiałym", Humnickiego „Żółkiewskim", o dramatach Niemcewicza, jak „Zbigniew", „Władysław Warneńczyk", „Jadwiga", „Kazimierz Wielki" i o „Barbarze Radziwiłłównie" Felińskiego, która tego kierunku jest koroną.

Smak francuski, za którym szła ślepo cała publiczność polska i krytycy, owi przeróżni Iksowie, miał już jednak w czasie swego największego powodzenia przeciwników, którzy, zaprawieni na teatrze niemieckim i angielskim, płynęli śmiało przeciw wodzie. Dał temu wyraz Fr. Wężyk w swojej rozprawie o literaturze dramatycznej, którą Towarzystwo Przyjaciół Nauk odrzuciło ze względu na jej zapędy reformatorskie.

Walkę owych dwu prądów dobrze charakteryzuje Brodziński (Pisma 1873, t. V, str 62), narzekając na to, że za rządów pruskich teatr zupełnie zmienił postać, że zniknęły dawne sztuki, a na nowe nikt się nie odważył; a dalej: „W takim spoczynku wysługiwali się cudzoziemcy, których sztuki tłómaczono. Zjawiły się więc dwa smaki, wprost sobie przeciwne: smak francuski i niemiecki. Jeden miał wyższą klasę społeczności, drugi niższą po sobie. Dla jednych tłómaczono sztuki francuskie, dla drugich niemieckie. Dramy i tragedye niemieckie nie mogły silnie przemawiać do Polaków z tego szczególnego powodu, że nie zajął się nikt przekładem sztuk lepszych, ale owych błahych utworów, które dziś, jak na niemieckiej, tak i na polskiej scenie już zupełnie zaginęły". „W tej walce cudzoziemszczyzny smak narodowy był w zupełnem zawieszeniu, aż powoli wzory francuskie pierwszeństwo otrzymały. Tragedye francuskie tłómaczyli wierszem najlepsi pisarze; dramata niemieckie dostały się tłómaczom częstokroć jeszcze niegodniejszym, niżeli sami ich autorowie. Od niemczyzny odstraszała zawsze jakowaś wrodzona niechęć; do francuszczyzny, jeżeli nie smak, to moda przywiązywała. Piękności jednego smaku przyjęliśmy niewolniczo z wszystkiemi wadami; wady drugiego odrzuciliśmy przesądnie z wszystkiemi pięknościami. Tak obcą monetę w obieg puszczając, deptaliśmy po kruszcach własnej ziemi, nie śmiejąc wybić na niej stempla narodowego".

Lecz kierunek, któremu hołdowano bezgranicznie, a któremu wkrótce na pomoc przyszedł Augier i Scribe, nie wydawał bujnych owoców. Społeczeństwo otrząsać się zaczęło powoli z mody, zaczęto próbować własnych sił lub dążyć do stworzenia dramatu na wzór teatru angielskiego i niemieckiego. Wprawdzie Szujski po-

dnosi w swej przedmowie, jako odrębny prąd w dramatyce polskiej: „Irydyona", „Nieboską", lecz odrębnym prądem trudno nazwać utwory, które jedynie ze względu na swą formę zewnętrzną dałyby się zaliczyć do dramatu teatralnego. Odrębny prąd stanowiły dramaty, oparte na studyach Szekspira i historyi, jak słusznie zaznacza Szujski: „Magnuszewski, Korzeniowski i kilku innych chodzili tą drogą". I ten jednak kierunek nie wydawał widać dobrych rzeczy, skoro Al. Przeździecki w artykule swoim „O dzisiejszym stanie sztuki dramatycznej w Polsce" [1]) surowo mówi o scenie polskiej. Oddając pewne pochwały Korzeniowskiemu, pisze: „Dlaczego z tych żywiołów mistrzowskich powstała całość mierna? Dlatego, że nie powiązała ich ta sztuczna budowa dramatyczna (a więc artyzm), którą Fredro tylko u nas odgadł, ale tajemnicę przy sobie zatrzymał. Dlatego, że, wracając do założenia naszego, wielkości pomysłu nie odpowiadało wykonanie". To, co mamy, „będą to albo kroniki dyalogowane w miejsce dramatów historycznych, albo dyalogi z domów gry i jarmarków zamiast komedyi, albo romanse francuskie, podzielone na sceny, w rozmiarze, odpowiadającym kilku tomom, które w jeden zbić chciano". „Będą to deklamacye stronnictwa politycznego, podzielone na odsłony (akta) i sprawy (sceny), albo melodramata efektowne, w których strzały pistoletowe, ataki kataleptyczne, piękne dekoracye i przesadzone wykrzykniki więcej uderzają, jak po mistrzowsku pojęte i doskonale oddane charaktery". W tym krótkim ustępie scharakteryzował Przęździecki dosadnie trzy kierunki, dające się rozróżnić w naszej ówczesnej twórczości scenicznej: wpływ francuski w sztukach, przeładowanych treścią, nieudolny dramat historyczny, oparty na jednostronnem naśladownictwie Szekspira, i wpływ rozczochranej romantyki niemieckiej, widoczny w bombach efektownych. Szujski, przechodząc z lekkiem sercem do porządku dziennego nad tem wszystkiem, co stworzono u nas w zakresie dramatu, nie był śmielszym pod tym względem od swych poprzedników.

Jak szkoła francuska, tak i czasy romantyki nie przyniosły scenie bogatego plonu. Aby mieć jednak choćby blady obraz tego, co stworzono u nas po epoce francuskiego smaku z zakresu dramatu historycznego, i aby, przywodząc obraz ten na pamięć, stwierdzić w dalszym ciągu słuszność zdania Szujskiego, że „nie mamy żadnego dramatyka w całem słowa tego znaczeniu" — zestawimy to wszystko, co zapisało się w rocznikach naszej literatury po „Barbarze" Felińskiego.

[1]) Biblioteka Warszawska, 1844, II.

Trzeba więc wymienić „Barbarę jeszcze Gasztołdową żonę", dramat Magnuszewskiego, stanowiący środkową część jego „Niewiasty polskiej w trzech wiekach". Oprócz tego dramatu miał Magnuszewski napisać „Hieronima Radziejowskiego" i „Władysława Białego". Na podstawie jednak fragmentów, które pozostały, nie możemy wyrobić sobie żadnego zdania o ich wartości. Ten cały dramat, który się zachował, nie przekracza granic mierności. Korzeniowski w r. 1826 pisze „Mnicha", w 1828 — „Dymitra i Maryę", nakoniec „Andrzeja Batorego". Oprócz powyższych dramatów wymienić należy jeszcze prace Olizarowskiego, jak „Wincenty z Szamotuł" i „Rognieda", i „List żelazny" Małeckiego. Wymienione nazwiska i prace są jedynymi szczątkami, uratowanymi z potopu niepamięci, który pochłonął na zawsze wiele, wiele sztuk z zakresu historycznego dramatu. A i to, co weszło do historyi literatury, nie posiada wyższej wartości artystycznej, prócz dzieł Słowackiego.

Lecz wróćmy do przedmowy. Szujski, nie przyznając przedstawicielom nowego kierunku, zaprawionym na teatrze angielskim, wybitniejszego znaczenia, uznaje jednakowoż drogę, na którą weszli, za jedynie właściwą dla dramatu polskiego. „Cokolwiek bądź zrobiono na tem polu, nie sądzę i nie krytykuję, to pewna, że, choć do celu jeszcze daleko, droga ta jest jedyną; Szekspir jest i będzie zawsze mistrzem chrześcijańskiego dramatu, dramatu, gdzie każda osobistość ma w sobie całą skalę niebios i ziemi; gdzie indywidualizm gra najwyższą rolę. Nim do tego dramatu (wzorowanego na Szekspirze) przyszły jaki poeta zdąży, dużo może jeszcze wody upłynie. Łatwo sobie wystawić, że do tego potrzeba tyle twórczości, aby nikt, kto czytał Szekspira, nie poznał, że autor na angielskim wykarmiony chlebie, że się uczył u wielkiego Willa, a natomiast każdy szlachcic stary poszedł chętnie na teatr, zbeczał się i powiedział: Mój Boże! co się to z nami stało? Bo niezaprzeczoną jest rzeczą, że im więcej się zbliżamy do prawdziwego polskiego dramatu, tem mniej potrzebować będziemy fikcyi, a tem więcej zgodzimy się z rzeczywistością historyczną, przedstawiając ją pomimo tego nie jako rupieciarnię archeologiczną, ale przez szkło chromatyczne piękności".

Jak wnosić możemy z przytoczonego ustępu, Szujski widzi jedyny warunek stworzenia wielkiego dramatu polskiego w kroczeniu po tej samej drodze, którą kroczył Szekspir. Wprawdzie mówi, że ten, ktoby miał dać prawdziwie wielki dramat, musiałby, co najmniej, tak być potężnym, jak Szekspir, aby nie poznano, że jest

uczniem jego, lecz nie kładzie najmniejszej granicy między twórczością pierwszego a drugiego. Przyszłego twórcę utożsamia z Szekspirem. Nie żąda od niego nic więcej nad to, co dał Szekspir, to tylko kładzie mu za warunek, by współzawodnik mógł się równać z mistrzem potęgą geniuszu. Że Szujski w dwudziestym drugim roku życia nie marzył jeszcze o nowej, odrębnej formie dramatu polskiego, co w dziesięć lat później tak silnie zaznaczył w swej drugiej przedmowie, że, co najwyżej, pragnął pogłębienia ideowego dramatu, wypływa to z następujących jego słów: „charakterowy dramat Szekspira może u nas nabrać barwy wyższej, wspanialszej, jako w narodzie katolickim, a więc daleko bliżej patrzącym na potęgę niebieską, niż Anglicy". Wszystko, co Szekspir dał, jest doskonałe, nowej formy szukać nie potrzebujemy, w tę samą przeleje przyszły twórca przeszłość naszą, a tylko „Boga dziejów" lepiej oświeci, co będzie mógł łatwiej zrobić dzięki swemu charakterowi religijnemu.

Zastanawiając się teraz nad pierwszą przedmową, jako całością — musimy jeszcze raz zaznaczyć, że myśli krytyczne, w niej zawarte, wypowiedziano już przed Szujskim szerzej i równie trafnie, że, co najważniejsza, już na 15 lat przed nim Wójcicki wybornie ocenił znaczenie wzmagającego się u nas na siłach dziejopisarstwa i doniosłe tego następstwa ze względu na dramat historyczny. Co do poglądu Szujskiego na ówczesną twórczość dramatyczną, to pogląd ten jest trafny, wyjąwszy zdania o ujemnej wartości dzieł scenicznych Słowackiego. Błędom genialnego poety nadaje Szujski zbyt wielkie rozmiary. Ogółem przedmowa pierwsza ma charakter ściśle krytyczny. Z jej materyału krytycznego da się wydzielić wiele myśli, które są czemś więcej, niż tylko negacyą, bo są wyrazem ówczesnych jego poglądów na istotę dramatu. Dramat, jego zdaniem, ma pouczać naród, jak ma żyć, ma być sądem jego przeszłości, a dalej ma być wzorowanym na teatrze angielskim, ma dążyć do doskonałości w duchu Szekspira. Zapewne, przedmowa pierwsza nie ma jeszcze znaczenia programowego, autor nie wznosi się nad poziom poglądów, które wyrazili jemu współcześni. Jest on jednak pierwszym, który zebrał rozproszone myśli w jedną całość i z siłą i przekonaniem je wyraził. Jest on dalej doskonałym wyrazem tych przemian w poglądach na dramat polski, jakie dokonywały się w naszem społeczeństwie pod wpływem nabierającej coraz większego znaczenia historyi. W stosunku do drugiej przedmowy pierwsza może być uważana za wstęp do programu, który tam Szujski wyłuszczył.

III.

Nim tę drugą przedmowę Szujski napisał, upłynęło lat dziesięć. Dziesięć lat życia to okres olbrzymi rozwoju duchowego, jeśli początek jego przypada na wiek młodzieńczy. Tych dziesięć lat — to doświadczenie, które sprowadza górne myśli młodości do poziomu rzeczywistości, które odkrywa nam naszą własną wartość i dalsze widnokręgi ducha. Tych dziesięć lat w życiu Szujskiego — to okres pracy i łamania się, okres szukania nowych dróg na polu twórczem. Jeśli dzieła, przy których tworzeniu „spędził niejedną chwilę natchnienia i pewności siebie, aby je odpokutować niewiarą i smutkiem", nie były tem, czem chciał je mieć, to zdawał sobie również sprawę, dlaczego tak było. „Synowi przejściowej epoki, przyszło nam walczyć z wybujałością form dawnych, marząc o przyszłej, dramatycznej; przyszło nam puszczać się śladami obcych mistrzów, nie zapominając o polskim ideale; przyszło nam dzieje ojczyste wdrażać w nową formę przedstawienia, w której tak mało się pojawiały". „Lecz usiłowania nasze pojmujemy tylko za szczere i sumienne szukanie drogi ku dramatowi polskiemu; pojmujemy je jako szereg budowli, torujących drogę nowemu stylowi poezyi. Śmielsza przyszłość wystrzeli może gmachem, który je w cieniu pozostawi: nam pozostanie zasługa, żeśmy chwile natchnień naszych spożytkować chcieli nie w daremnem naśladownictwie mistrzów naszych liry i epopei, ale w walce o n o w ą f o r m ę ideału".

Tych dziesięć lat usilnej pracy nad dramatem rozszerzyły poglądy poety. Zaznajomienie się głębsze z innymi mistrzami formy dramatycznej oprócz Szekspira i tychże naśladowanie dawało mu możność kształcenia smaku artystycznego, wzbogacało jego środki artystyczne, tworzyło w jego wyobraźni obraz przyszłego dramatu, szerszy i bardziej wielostronny. Szekspir ustąpił ze swego uprzywilejowanego stanowiska. Pozostał wprawdzie wielkim, lecz już to, co w dziedzinę dramatu inni mistrze poszekspirowscy wnieśli, jako zdobycz, to, co było ich doświadczeniem i ich zasługą, nie jest już dla poety zasługującem na pominięcie. Przeciwnie, staje on na stanowisku ogólno estetycznem. Każda szkoła, każda forma jest dla niego dobrą, jeżeli czemś nowem wzbogaca dawną świadomość artystyczną. To też nie marzy już o dramacie szekspirowskim, pogłębionym znaczeniem ideowem, — nowa forma, którą przeczuwa,

jest więcej ogólną, jest wynikiem zbiorowego doświadczenia pokoleń. Dziesięć lat pracy, dzielących pierwszą przedmowę od drugiej, to okres czasu, w którym Szujski wzniósł się w swych estetycznych poglądach o całą skalę wyżej, wzniósł się do wysokości programu. W tem jego zasługa, w tem również wyższość drugiej przedmowy nad pierwszą. Wszystko, co było jego własnem i innych doświadczeniem, wszystko, co było mu ideałem w twórczości artystycznej, i całą swoją głęboką samowiedzę artystyczną złożył w tej drugiej przedmowie. To też przedmowa ta dla jej wysokiej wartości estetycznej i dla jej wyjątkowości w naszej literaturze, niepomiernie ubogiej we własne poglądy estetyczne, będzie łączyć zawsze nazwisko Szujskiego z epoką choćby najświetniejszego rozwoju dramatu.

Epopea i lira według Szujskiego, odpadły, spełniły swoje zadanie. Pokolenie przechodzi w okres pracy wewnętrznej, smutnej trzeźwości i analizowania minionego życia. „Oddalającą się od nas przeszłość—czytamy—zatrzymujemy w biegu i pytamy o tajemnicze cienie jej — zabieramy się skrzętnie do bolesnej dyagnozy; a jakkolwiek rezultaty naszych badań sprzecznymi być mogą, odpychają one na zawsze czasy poetycznych marzeń i teoretycznych ogólników, a zbliżają czas owego o p a r c i a s i ę o p r z e s z ł o ś ć, owego pojęcia się w logicznej z nią konsekwencyi".

„Znajdzie się w duszy pokolenia — czytamy dalej — forma, odpowiednia nowemu zwrotowi jego myśli i ideałów, nie sięgająca wyżyn lirycznych, ani rozkoszująca się w zblakłych obrazach minionych epopei, nie szermująca uczuciem, zamkniętem w piersi, ale dźwigająca się z jego głębin, nakształt dłoni, gotowej do ustawnego czynu pracy. Urodziny tej nowej formy ani tak śmiałe i niespodziewane, jak poprzedniczek, ani tak łatwo uznane i z zapałem przyjęte. Jak wszędzie, długie walki o doskonałość, o stworzenie arcydzieła, walki, w których niepostrzeżone niejedno zginie usiłowanie, niejedna natchniona złamie się dusza, poprzedzić muszą wspaniały d r a m a t u n a r o d o w e g o owoc, potrzebujący zbiegu licznych przyjaznych okoliczności, nadewszystko zaś n o w e g o g r u n t u w społeczeństwie".

Te zapatrywania różnią się bardzo od tych, które wypowiedział przed laty dziesięciu. Tam nie było mowy ani o formie nowej, ani o głębszej analizie właściwości narodowych. Tam widział Szujski wytworzenie dramatu polskiego, zależne od wykształcenia się na Szekspirze i od wielkości talentu twórcy. Jakżeż odmienne

obecnie wypowiada zdanie, o ileż głębsze i świetniejsze! Zaostrzony studyami historycznemi zmysł krytyczny i wyborna obserwacya indywidualizmu narodowego odkryły przed nim te tajemnice, z których przedtem nie zdawał sobie sprawy. Już nie od przejęcia się tradycyami Szekspirowskiego teatru czyni zależnem powstanie dramatu, lecz nadewszystko od nowej formacyi społeczeństwa.

Ten grunt, na którym wybujała tak wspaniale epika i liryka, nie dawał dobrej karmi twórczości dramatycznej. W wiekach, kiedy Rzeczpospolita była jeszcze mocarstwem, w wiekach, w których już chyliła się ku upadkowi, warunki były najmniej odpowiednie do wytworzenia dramatu. Zbyt młodą była jeszcze literatura swojska, aby mógł się rozwinąć tak misterny kwiat. Powstrzymał również jego rozwój zupełny brak teatrów. Można było mówić o sztuce teatralnej i pielęgnować ją w Anglii, w Niemczech, we Francyi, gdzie liczne teatry popierały jej rozrost, lecz w Polsce stan miejski nie był ani tak możny, jak za granicą, ani dość polski, by miał utrzymywać teatry i ofiarowywać ich deski sztuce — obcej. Warunki, jakie wytworzyły się w pierwszych dziesiątkach lat XIX wieku—aczkolwiek mieliśmy już teatra, w których dramat doznawał gościnnego przyjęcia— nie dawały atmosfery korzystnej dla jego rozkwitu. Burze wojenne, przeciągające co lat kilkanaście nad królestwem, sprzyjały jedynie nadmiernemu wzrostowi indywidualizmu. Gorączka, niepokój, wybuchy energii i lata całe otrętwienia, a wszędzie i zawsze uczucie, górujące nad wszystkimi objawami życia społecznego i politycznego, oto główne cechy, znamionujące ówczesne lata. Za bardzo żyły pokolenia chwilą, za wielkich klęsk były świadkami i uczestnikami, by miał wśród nich powstać dramat, który wszelkiemi właściwościami swej istoty, potrzebą samowiedzy artystycznej, refleksyi i objektywizmu w sprzeczności stał z charakterem narodu.

I oto tem dowiódł Szujski ogromnej bystrości umysłu, że zszedł do głębin twórczości i, szukając przyczyn karłowatego wzrostu dramatu, znalazł ich wytłómaczenie w stanie psychicznym społeczeństwa. Lecz stan ten psychiczny zmieni się. Czem jednak będą różnić te pokolenia, które mają stworzyć nową formę, od dawnych? Czy nastąpi wewnętrzna zmiana podścieliska? Tak. Nowe pokolenia muszą dojść do zupełnej samowiedzy, muszą dojść do tej wewnętrznej harmonii, w której uczucie i rozum pozostają w najściślejszej ze sobą jedności, muszą opanować swój niepomierny indywidualizm i uczynić go posłusznym woli, jeśli mają rozwijać się na wzór innych społeczeństw. Wtenczas i forma się znajdzie,

która będzie wyrazem tej przemiany duchowej. Tą formą, odpowiadającą nowemu stanowi psychicznemu narodu, będzie „wspaniały dramatu narodowego owoc”. Wszystkie złożą się na to warunki, aby zapewnić mu bujny rozrost. Społeczeństwo przeszło już twardą szkołę życia. Uczucie jego nabrało własności lutni o tysiącznych strunach. Biły po nich nawałnice i wojny, rozpacz i śmierć, ból i natchnienie, biły wszystkie nastroje tłumów i jednostek. Uczuciu temu przyjdzie w pomoc rozum i siła męska, pewna swego uderzenia. Przyjdzie mu w pomoc doświadczenie innych narodów i swoje własne.

Szujski, przepowiadając pojawienie się nowej formy, oparł się już nie na ubocznych względach, jak w pierwszej przedmowie, lecz na szerokiej podstawie ewolucyi społecznej, która zdaniem jego będzie musiała nastąpić.

Jakim ten dramat będzie? „Walczyć mu przychodzi z poprzedniczkami jego w dziedzinie poezyi, lirą i epopeą, nęcącemi tyloma wdziękami, nęcącemi ścisłym związkiem swoim z narodową duszą. Tylko abnegacyą od ich powabów, tylko panowaniem nad uczuciem i obrazowością stanąć on może, nakładając, jak mąż, wędzidła woli — polotowi fantazyi i uczucia, przenikając każdą postać okiem sędziego, grotem sumienia. Obejść mu się przychodzi bez malowniczego tła natury, bez przepychu i wystawności historycznego obrazu — rzecz to reżysera i dekoratora, aby go w przyzwoitą ubrano sukienkę — poprzestać on musi na charakterach, wolnych od amplifikacyi i zewnętrzności epopei, chwyconych w najkrytyczniejszych chwilach żywota, odsłoniętych do najgłębszych tajników duszy. I oto, jeżeli je weźmie z przeszłości naszej, ciężką przeszkodą stanie się dlań liryzm narodowy, skłonny zarówno do apoteozy, jak potępienia, niechętny łamaniu pieczęci grobowych, a skłonny do wywoływania pięknych, ale często złudnych, fantazmatów przeszłości...”

Wyciągając wnioski ze sposobu pisania dramatów przez Szujskiego, wielu zarzuca powyższemu ustępowi błędne teoretyczne pojmowanie twórczości dramatycznej. Zarzut jest niesłuszny. Twórczość dramatyczną Szujskiego trzeba oddzielić od jego poglądów estetycznych. Tem więcej zarzut ten jest niesłuszny, iż Szujski zostawił cały szereg dramatów, pojętych i wykonanych w najróżnorodniejszy sposób.

Przez abnegacyę od powabów liryki i epopei nie można rozumieć wyrzeczenia się zupełnego tych wszystkich piękności, któremi podbija nas liryka i epopea. Szujski, pisząc te słowa, miał na myśli,

i to zupełnie słusznie, wyrzeczenie się d ą ż n o ś c i lirycznych i epicznych. Każdy rodzaj sztuki ma swoją zasadę, którą twórca, świadomie czy nieświadomie, jeśli jest tylko dobrym twórcą, usiłuje rozwinąć do możliwych granic doskonałości. Liryk, choćby miał pogiąć ramy obrazu, będzie się starał wydobyć w swym utworze możliwie największą siłę uczucia. Chce wzruszać do głębi. Aby to osiągnąć, nie będzie się liczył ani z rozmiarami swego wybuchu, ani z prawdą bezwzględną, ani z plastyką. Przeciwnie, będzie zacierał wszystko to, co rzuca cień na jego jasne barwy lub obniża ich stopień jasności, będzie idealizował, będzie uświęcał wszystko, co opiewa. Wzruszać kosztem wszelkich innych wrażeń jest jego zadaniem. Epik natomiast będzie się starał wszystko w i d z i e ć. Silne wzruszenia, gwałtowne namiętności, wypadki pełne grozy zakłócałyby mu możność wszechstronnej obserwacyi. Następstwem bowiem każdego potężniejszego wybuchu, z jakiejkolwiek ten wybuch będzie dziedziny, jest przyciąganie uwagi naszej do tego miejsca, gdzie wybuch nastąpił, na tę osobę, która była jego powodem. Słuchacz, raz gwałtownie wzruszony, nie uspokoi się tak prędko. Choćby następnie nie wiedzieć jak spokojne i pogodne obrazy roztoczono przed jego oczami, będzie ciągle rzucał okiem tam, gdzie spodziewać się może, iż znowu coś wybuchnie. Dlatego to epik unika tych rzeczy, które mu mogą zbytnio wzruszyć widza. Będzie go wodził po lasach i łąkach; wprowadzi go do karczmy, kościoła, chaty i zamku, pokaże mu, jak ludzie się cieszą, kłócą, bawią i pracują, będzie mu ukazywał środowisko, w które go wprowadził, ze wszystkich stron złych i dobrych — a zawsze i wszędzie będzie miał ogromną swadę. Nie gorszy będzie dla niego krzak przy drodze lub zając pod główką kapusty od pana włości lub żołnierza. Wszystko go ogromnie zaciekawia i o wszystkiem lubi mówić, bo chce dać szeroki, różnobarwny obraz życia tego społeczeństwa, które obrał sobie za temat, łącznie z naturą, która go otacza. Wyzyskać jaknajlepiej i wszechstronnie teren, na którym się porusza, dać możliwie najbardziej plastyczny obraz i zapewnić sobie na długi czas uwagę słuchacza, potrzebną ze względu na rozmiary utworu, — jest zadaniem epika.

Jeśli przeto zasadą liryki jest „wzruszać kosztem wszelkich innych wrażeń,“ a zasadą epiki dać „obraz wszechstronny życia kosztem zrzeczenia się gwałtownych uczuć“ — to Szujski miał prawo wymagać od dramaturga, aby wyrzekł się powabów liryki i epiki, to jest wyrzekł się rozwijania ich zasad do możliwych granic doskonałości. Dramat ma swoją własną zasadę, i twórca, jeśli jest dobrym

dramaturgiem, musi tę zasadę przeprowadzić w szczegółach i całości swej sztuki. Odtwarzać ludzi w ich najpotężniejszych i najgłębszych objawach życia — jest jego zadaniem. Musi on być lirykiem — aby tam, gdzie tego będzie trzeba, miał i ból prawdziwy na zawołanie — musi on być epikiem duszy ludzkiej, którego oku nie ujdzie najdrobniejszy szczegół i który wszystko i wszędzie wszechstronnie widzi, lecz który zarazem zużytkowuje to tylko, co mu jest niezbędnie potrzebnem, i co jest w jego oczach najgłębszym rysem lub najbardziej charakterystycznym jednostki. Nad tem wszystkiem jednak musi on stać jeszcze wyżej, musi ukazywać namiętność, uczucia i charaktery w ich czynach. Aby tę zasadę znakomicie rozwinąć, twórca musi zrzec się zasad liryki i epiki — musi być jedynie wypadkową tych dwu sił i tej trzeciej górującej, która jest synonizmem działania.

Zarzut, jakoby Szujski wykreślał ze środków dramatycznych pierwiastki liryki i epiki, jest niesłusznym i nieuzasadnionym. Pojmowanie przez niego istoty dramatu jest doskonałem i zupełnie czystem. W literaturze polskiej nikt przed nim tak trafnie nie określił dramatu, jak on to zrobił. Wyrzec się tych wszystkich pokus, któremi pociągały do siebie genialne twory naszych poetów, i raz na zawsze wykreślić granicę, dzielącą dramat od innych rodzajów twórczości, było to zdaniem sobie sprawy wszechstronnem i jasnem z całej naszej literackiej przeszłości dramatycznej, wyznaniem, że prawdziwego wielkiego dramatu nie mamy, i wskazaniem, jakim ten dramat być powinien.

Tyle co do zasadniczych pojęć dramatu. Lecz Szujski poszedł dalej. Nie poprzestał na teoretycznych określeniach. Dramatowi przyszłości stawia jeszcze dalsze warunki.

„Z drugiej strony — pisze — wypada dramatowi narodowemu stanąć na wyżynie dzisiejszej sztuki, odpowiedzieć wymaganiu, jakie obeznana z utworami mistrzów zagranicznych publiczność stawiać ma prawo. Wypada mu stanąć w gotowości scenicznego przedstawienia, którego próbę przejść winien każdy utwór dramatyczny. Winien on posiąść te wszystkie tajemnice, które sprawiają pożądane na widzu wrażenie, które go przenoszą odrazu w świat złudzeń, każą mu zapomnieć, że deski nie są sceną... W posiadaniu tych wszystkich warunków wprowadzony na scenę odróżni on dopiero tryumf i skutek zupełny, okazuje się najdoskonalszą poezyi formą, stojącą na szczycie poetycznego tworzenia. Już nie w postaci oddalonego od słuchaczy wieszcza aureolą liryka, już nie w postaci śpiewającego na grobku bajarza staje poeta dramatyczny przed

społeczeństwem swojem; nie ma on przywileju, nie ma szaty czarodzieja na sobie; każdy patrzy i sądzi, każdy mierzy jego postacie własnem ludzkiem poczuciem i doświadczeniem: aby zwyciężył, potrzeba mu zadość uczynić warunkom rzeczywistości, zadosyć czyniąc warunkom piękna i sztuki; potrzeba mu zapanować wszechwładnie nad umysłem widza i słuchacza nie potęgą indywidualizmu, ale potęgą zwalczonych i przetrawionych wrażeń, nie bogactwem obrazów, ale trafnością w ich wyborze."

Ten ustęp jest dalszym dowodem, jak szeroko pojmował Szujski zadanie przyszłego dramaturga. Nie dał zacieśnić swych poglądów rzekomym względom narodowego indywidualizmu. Był głęboko przeświadczony ot em, że, jeśli jaki rodzaj sztuki, to dramat nie będzie mógł się nigdy oprzeć na siłach swego jedynie narodu. Zbyt wiele genialnych umysłów pracowało nad jego techniką i jej udoskonaleniem, zbyt wiele weszło w dramat różnorodnych żywiołów i zbyt wiele doświadczenia obcych, aby twórca, pogardzając też, co już zdobyto, miał zaufać swojemu tylko talentowi. „Dramat ten, ma stanąć na wyżynie dzisiejszej sztuki, ma odpowiedzieć wymogom, jakie obeznana z utworami mistrzów zagranicznych publiczność stawiać ma prawo." Wszystko zatem, co obcy dramaturdzy wnieśli nowego do dramatu, co ulepsza jego technikę, bliższem prawdy i doskonałości czyni, polski dramaturg powinien sobie przyswoić.

Niesłusznym byłby zarzut, jakoby przez to sztuka wynaradawiała się. Kosmopolityczną w znaczeniu pozbycia się wszelkich cech odrębności może być tylko rzecz płytka i licha. Wszystko natomiast to, co jest wykwitem głębokiego talentu przedziera powłokę kosmopolityczną i, jak wulkan, wyrzuca na wierzch lawę, w której stopione są wszystkie metale, tworzące najniższe pokłady indywidualizmu twórcy. Twórca ten powinien starać się jedynie o to, aby forma jego dzieła nie była gorszą, a wysokość tonu jego myśli nie była niższą od tych, do których obce narody nawykły.

Na tem wyczerpujemy treść drugiej przedmowy. W literaturze naszej jest ona wyjątkową. Nikt przed Szujskim ani nikt po nim nie wyraził tak śmiałych, ani tak głębokich poglądów, jakie on wypowiedział w r. 1867. Stojąc na stanowisku ewolucyjnem i wyciągnąwszy wnioski z przeszłości narodowej sztuki, rzucił silny snop światła w jej przyszłość.

Dramat polski nie mógł się rozrość, bo nie miał odpowiedniego gruntu, na którymby mógł zejść i rozwinąć się potężnie. Wybujać mogła tylko epika i liryka. Lecz naród wchodzi na drogę przekształceń duchowych. Refleksya zastąpi dawną porywczość, świa-

domość sił — dawny zapał. Wśród tak zmienionych warunków znajdzie się nowa forma, istotą swą pokrewna tej psychicznej przemianie społeczeństwa. Tą formą będzie dramat, oparty na świadomości artystycznej, dramat, odpowiadający wymaganiom europejskim.

Przedmowa druga jest dziełem niepospolitej intuicyi, która, licząc się ze wszystkimi warunkami i uwzględniając je, wybiegła śmiało w przyszłość i wyznaczyła drogę jasną i wielką polskiej sztuce. Jest ona dziełem krytycznego i zarazem wysoce twórczego umysłu.

Stosunek wzajemny dwu omówionych przedmów jest ścisły. Pierwsza jest krytyką tego wszystkiego, co zrobiono u nas na niwie dramatycznej, druga, pogłębiając motywy krytyczne pierwszej, tworzy program na przyszłość.

IV.

Omawiając dwie przedmowy Szujskiego rozwinęliśmy jego pogląd teoretyczny na dramat, staraliśmy się wykazać, jak ten pogląd początkowo nie odbiegał od pojęć powszechnie przyjętych, jak pogłębiał się i w czem się pogłębiał, jak wreszcie nabrał siły i pewności siebie i rozrósł się do wysokości programu. Jako estetyk i teoretyk, wybiegł Szujski myślą daleko przed siebie. Uważając literaturę za zupełnie nierozerwalną z życiem narodowem, bardzo bystro i subtelnie wejrzał w jej przyszłość i prawa jej rozwoju. Co się tyczy jego własnej twórczości dramatycznej, to sam określił doskonale jej zadanie i cel. Duszą całą, jako artysta, pragnął stworzyć dramat wielki, któryby siłą słów i idealną myślą, górującą nad wszystkiem, co się w nim dzieje — dotrzymywał kroku, a może przodował w pochodzie swemu społeczeństwu. Jako jednak chłodny i głęboki krytyk, nie mógł nie widzieć, że rezultaty jego pracy nie są takie, jakimi chciał je mieć. Gorzkiem jest p r z e ś w i a d c z e n i e, jeśli się na nie twórca zdobędzie, że nie jest tem, czemby chciał być, i gorzkie chwile własnego rozczarowania; lecz tem większą jego zasługą, jeśli wytrwa na raz obranej drodze i, zrzekając się laurów, a nawet własnego zadowolenia, pracuje dalej w tej myśli, że toruje drogę komuś, co może przyjdzie.

„Nie jestem zarozumiałym — pisze Szujski — do Bohdana Bolesławity przed zamknięciem Rachunków za rok 1869, ugodzony do żywego zarzutem zarozumiałości i pozowania, — a pracę swoją piśmienniczą pojmuję, jako prostą służbę dla narodu, której wykonywanie żąda tylko warunków zwyczajnych każdej służby publicznej, jako to do-

brej wiary, wprawy, zdolności, miłości prawdy i pewnej abnegacyi z miłości własnej; posiadam, przyznaję się otwarcie, pewną dumę, aby, nie powtarzając pacierza za panią matką, w artystycznym zawodzie szukać nowych form, a w naukowym — nowych zdobyczy prawdy".

Wierzy, że powstanie kiedyś dramat historyczny polski, kochający przeszłość naszą „nie, jako bolejące pacholę, ale jako mąż kocha lata burzliwej a pięknej młodości". „Przed tym dramatem mojego marzenia — pisze dalej — pozwól mi, B. Bolesławito, być skromnym Tespisem lub Frinichosem, próbującym form Kalderona, Rasyna, Szekspira bez obawy zarzutu, że się posiągam po wieńce ich sławy. Pozwól tem chętniej, że sam jeden puszczam się dzisiaj tą drogą wśród pokolenia, rozkochanego w Offenbachu i realistycznej komedyi V. Sardou, a uczęszczającego na historyczne sztuki polskie tylko z uczucia obowiązku..." „Dramatowi narodowemu toruje drogę walka, często długa, z ujęciem przedmiotu, z formą jego, a nawet gustem publiczności".

Szermierzem tej walki, na blizką metę mierząc, bezowocnej może, lecz na daleką, niewątpliwie potrzebnej i pełnej zasługi — był Szujski przez całe życie. Wszystkie chwile, wolne od badań historycznych, poświęcał ulubionej, acz niewdzięcznej dla niego, twórczości dramatycznej. Każdy inny na miejscu Szujskiego, mniej twardy wolą, a tak krytyczny, jak on, byłby połamał pióro lub zmienił drogę. On nie ustąpił, bo był przeświadczony o tem, że pracuje dla przyszłości.

Jako teoretyk, wzniósł się wysoko, jako twórca, mimo, że talent miał wielki, nie dotrzymał kroku własnym wymaganiom. W spuściźnie literackiej, jaką nam zostawił, jest cały szereg dzieł, które różne są techniką i różne formą, lecz jednorodne myślą, przez którą i dla której powstały. Są w nich koloryty i namiętności, są sceny i akty, które dorosły wyżyn wielkiego dramatu. Atoli, jako całości artystyczne, nie spełniają wszystkich warunków dramatu teatralnego, a nawet nie odpowiadają pod niejednym względem wymaganiom ogólnym sztuki. W czem trzeba szukać powodów tej nierówności, jaką widzimy między własnem Szujskiego wyobrażeniem o dramacie a jego urzeczywistnieniem, postaramy się wykazać poniżej. Teraz poprzestajemy na zaznaczeniu, że w talencie jego można wyróżnić wszystko, co potrzebnem jest niezbędnie do stworzenia harmonijnego dzieła sztuki. Jeśli zarzucimy Szujskiemu, że nie umie operować materyałem dramatycznym czy historycznym i że mu zbyt daje się opanować, skutkiem czego powstawały utwory, przeła-

dowane treścią, w następstwie zaś rozmazane w rysunku,—to wskazać możemy „Królowę Jadwigę", jako dramat, w którym jednolitość akcyi i czystość kompozycyi są zachowane w wysokiej mierze. Jeśli za suchym i za mało umiejącym wyzyskiwać nagromadzony przez siebie materyał wyda nam się w innych dramatach — to zaprzecza temu „Halszka z Ostroga", w której efekty teatralne i kolizye dramatyczne przeprowadzone są z ogromną znajomością rzeczy. Jeśli wreszcie w niejednym dramacie zbyt porwany historyczną stroną swoich sztuk zapomina Szujski o uczuciu lub ogranicza jego prawa, to możemy znowu przytoczyć „Wallasa", jako dramat, w którym, jak w żadnym innym, wybucha nagromadzony liryzm w przepysznych słowach, i który zadziwia swoim polotem poetycznym. Ogółem — na wszelkie zarzuty można odpowiedzieć dowodami, czerpanymi z własnych dzieł Szujskiego, że talent twórcy „Wallasa" nie był pozbawiony żadnego z warunków, niezbędnych do stworzenia dzieła dramatycznego. Niemniej to jednak jest prawdą, że niema dramatu, w którymby przymioty jego talentu harmonijnie się złączyły, tworząc dzieło bez zarzutu.

Nie będziemy rozbierać wszystkich dzieł Szujskiego. Rozbierzemy natomiast dramaty, na których najlepiej będzie można dowieść, jak i o ile Szujski teoretyczne swoje poglądy na dramat wcielał we własne dzieła. Omówimy „Samuela Zborowskiego," „Halszkę z Ostroga", „Królowę Jadwigę," „Zborowskich" i „Wallasa". Każdy z wymienionych dramatów pozwala nam poznać twórczość Szujskiego z coraz to innej strony. „Samuel Zborowski" jest jednym z najbardziej charakterystycznych utworów, okazujących, jak bardzo materyał historyczny może opanować twórcę, i jak twórca, nie mogąc czy nie umiejąc wydzielić niepotrzebnych wiązań ze swej osnowy, mimowoli tworzy obrazy, już nie dramatyczne, ale epiczne, o ile suchość ich treści nie rozwiewała nawet tego wrażenia i nie przypominała historycznych kronik. „Halszka z Ostroga" jest technicznie bardzo dobrze napisana, jest dowodem, że scena i jej wymogi nie były obce Szujskiemu. „Królowa Jadwiga" wyróżnia się ogromną jednolitością akcyi i pokrojem prawdziwie klasycznym. „Zborowscy" są ciekawym dowodem, jak ten sam temat w różnych czasach różnie opracował Szujski i jak i w czem się podniósł. „Wallas" wreszcie polotem poetycznym i silnem lirycznem zabarwieniem góruje nad innemi dziełami i dzięki tym przymiotom bywa uważany za najlepszy dramat Szujskiego.

Dok. nast. *Tadeusz Konczyński.*

RZYM I ODRODZENIE.

(Julian Klaczko. Rome et la renaissance, essais et esquissses. Jules II. Paris, 1898; str. 451).

W drugiej połowie bieżącego wieku kilku Polaków wybitne zajęło stanowisko na niwie piśmiennictwa francuskiego; nestorem i mistrzem ich był i dotąd niezaprzeczenie jest Julian Klaczko. Pióro jego to jedno z najwykwintniejszych, jakiemi się dzisiejsza Francya poszczycić może: owładnęło najskrytszymi tajnikami, najsubtelniejszymi odcieniami mowy, łączy w sobie jasność z wytwornością formy, trafność ze ścisłością wyrażenia, przejrzystość myśli z potoczystością stylu; zdumiewającą naprawdę jest rzeczą to przyswojenie sobie przez cudzoziemca owego *ésprit français*, którego brak tylu nawet współziomkom Kornela, Pascala, Wiktora Hugo. Analityk na podobieństwo Taine'a, barwnością i świetnością obrazów nie ustępujący Renanowi, lekką, a jednak tak głęboko sięgającą, ironią przypominający Anatola France'a, ściślejszy od Bourget'a — posiada Klaczko zacięcie, siłę sarmacką. I to połączenie dosadności słowiańskiej z pierwiastkami starożytnej, rzymskiej kultury stanowi właśnie jego odrębność i wyższość. Nie chcę bynajmniej przez to twierdzić, aby dzieła Klaczki cieszyły się szeroką popularnością. Przeciwnie, pisze on tylko dla garstki wybranych. Nie jest aposto-

łem i wulgaryzatorem sztuki *à la* Ruskin. Na nim stwierdza się znane przysłowie: *nul n'est prophète en son pays.* Może się mylę, ale tak mi się zdaje, że, jako pisarz i esteta, najmniej jest on znany we własnym kraju. Przyczyna zaś tego nieporozumienia, czyli raczej niezrozumienia, jest dwojaka. Po pierwsze — nasza pobieżna, niedostateczna znajomość języka francuskiego, co sprawia, że niewieluby się wśród nas znalazło, którzyby należycie poznać się umieli, ile jest w stylu Klaczki oprócz wrodzonego talentu — pracy, wiedzy, nauki, artyzmu, wniknięcia we wszelkie tajniki myśli. Po drugie, jesteśmy jednym z najwięcej zacofanych narodów na świecie pod względem estetycznym. U nas zmysł artystyczny dopiero się rozbudza z zamętu pojęć, z chaosu nieświadomości. Potrzeba nam jeszcze długich lat kultury; ani dyletantyzm, ani moda nie zastąpią cierpliwej, wiekowej pracy: przez nią dopiero dojdziemy do poznania i do wchłonięcia w siebie praw, zasad i reguł, bez których sztuka istnieć nie może. Otóż ścisłość naukową obok wrodzonej intuicyi posiada u nas Klaczko, a społeczeństwo nasze, mówiąc naogół, nie zdolne jest dostatecznie ani pojąć, ani ocenić tych dwu przymiotów.

*
* *

Pamiętam (było to przed kilkoma laty) wrażenie, jakie na mnie wywarły ukazujące się naówczas w *Revue des deux Mondes* artykuły pod tytułem *Causeries florentines.* Czytywaliśmy je na głos w jednej z tych arystokratycznych siedzib, które się wznoszą nad brzegami Loary na pograniczu Andegawii i Bretanii. Wszystko składało się na spotęgowanie nastroju duszy: i żywe wspomnienia, świeżo wywiezione z dawnej Medyceuszów stolicy, i grono dobrane, gdzie zarówno beletrystyka, jak sztuki piękne, miały swych przedstawicieli. Pamiętam roztaczający się z tarasu widok na dolinę, tonącą w zieleni, na wiotkie, szumiące topole, na wzgórza, ginące w niebieskawej mgle, na niebo, owiane miękkiem tchnieniem zachodu, o którem bawiący ongi w Rzymie andegaweński poeta odzywał się w utęsknieniu:

Plus me plaist le séjour qu'ont basti mes aïeux,
Que des palais romains le front audacieux.
Plus le Loyre gaulois, que le Tybre latin...

. . .

Es plus que l'air marin la doulceur angevine.

Okryte gęsto rozrosłym bluszczem wznosiły się właśnie przed oczami naszemi wieżyce zameczku Joachima du Bellay. O miłe, drogie chwile! Dziś, gdy mam pisać o nowem dziele Klaczki, stanowiącem niejako dalszy ciąg „Wieczorów Florenckich", daremnie szukam naokoło siebie tego czaru... uleciał niepowrotnie, — może dlatego, że każde z góry powzięte zobowiązanie krępuje swobodę myśli, czy też, że minęły piękne dni młodości, czy wreszcie, że zmieniły się ramy, wśród których odbijają się wrażenia... Bo nie pagórki, obrosłe winem, nie białe pałace i wille, nie lazury zachodniego nieba nęcą oko moje grą światła i barw; nie aforyzmy akademickie, nie uśmiech wdzięcznych ust kobiecych podnieca wyobraźnię; ale... kujawskie niziny widzę przed sobą i słyszę brzęk kos, turkot drabiastych wozów, nawoływania roboczej czeladzi. Jakież to wszystko dalekie od Rzymu i *rinascimento!*

To też nie wystąpię tutaj w roli krytyka, — raz, że wobec osobistości tej miary, co Klaczko, nam, młodszym, przystoi zachować skromną postawę uczniów względem mistrza, powtóre, że wszelkie nasze komentarze i wywody najczęściej przypisują autorowi myśli, poglądy, dążności, których on albo nie miał wcale na celu, lub które są mu wręcz obce. Często ostremi barwami zacieramy pierwotne farby dzieła. Wolę z góry wypowiedzieć jedyny mój zarzut. Oto zdaje mi się, iż dwoisty tytuł książki („Rzym i odrodzenie. — Juliusz II") nie odpowiada jej treści. Spodziewamy się po tytule więcej, niż nam książka daje. Autor bowiem nie napisał ani wyczerpującego studyum o Juliuszu II, ani też historyi Rzymu w czasie odrodzenia. Uchwycił on tylko jedną z najświetniejszych chwil tego długiego, bo przeszło dwa wieki trwającego umysłowego przewrotu, najdonioślejszego może, przez jaki przechodziła ludzkość, i tę chwilę pokazał nam w całym jej blasku, w jej niezrównanej okazałości, — w kilkunastu rozdziałach, złączonych z sobą cienką bardzo nicią przewodnią; bez tego kłębka Aryadny zginąćby nam przyszło w tym prawdziwym labiryncie.

„Freski Melozza", „Historya grobowca", „Dawna bazylika", „U progu kaplicy sykstyńskiej", „W Camera della Segnatura", „Ostatni karnawał" i t. d., oto napisy główne przepysznych stanc, w których progu wznoszą się postacie Juliusza II, Michała Anioła, Rafaela, Bramanta. Z tych dwaj pierwsi, papież i rzeźbiarz, swą wielkością, swą grozą *(terribilità)*, nieprzepartym urokiem pociągają pisarza; przerastają oni świat i współczesnych sobie o głowę; rzekłbyś, rozpierają mury Watykanu, rozgłosem sławy napełniają wieczne

miasto i świat cały. Na nich też, na tych dwu mężach, ześrodkował Klaczko promienie.

A więc najprzód—papież Juliusz II, stargany latami, trawiony żądzą władzy, wątły ciałem, ale wielki duchem, oporny, dumny, silny, jak ten dąb *Rovere*, który mu był przydomkiem, herbem i nazwiskiem. Wyszedł z ludu — z rodziny rolników liguryjskich, w pocie czoła uprawiających ziemię. Już stryj jego, mnich Franciszkanin, zasiadał na stolicy św. Piotra pod imieniem Syxtusa IV; odtąd rozpoczyna się wielkość rodu.

Papież otacza się swoją rodziną. Nie darmo oskarżają go o nepotyzm. Z trzech jego bratanków, których nam przedstawia fresk Melozza da Forli, najbliższy mu krwią, jeżeli nie najdroższy sercu, kardynał Juliusz Rovere, odziedziczył zalety i wady swego rodu. O nim słuszniej jeszcze, niż o stryju, powiedzieć można, iż stał się odnowicielem wiecznego miasta, wznosząc świątynie, gmachy, dzielnice, mury, mosty.

Jakby w przeczuciu wielkich jego przeznaczeń, na nim to skupił Melozzo siłę i wyrazistość pędzla. Twarz młoda, już poorana bruzdami; maluje się na niej trawiąca żądza wyniesienia się, lecz jest także cierpliwość, spokój, niespożyta energia; oczy płoną, w blasku ich jednak przebija się jakaś smętność, a zarazem pewność siebie i swojej przyszłości. Stryj trzyma go zdala od spraw państwowych i kościelnych, natomiast zasięga jego rad, ilekroć ma poprowadzić jeden z tych śmiałych pomysłów, które chciały przetworzyć i upiększyć miasto. Ci dwaj ludzie są bowiem bezlitosnymi burzycielami zabytków zamierzchłych wieków. Za panowania Innocentego VIII wpływ Rovery wzmaga się, lecz na krótko; po wstąpieniu bowiem na tron Aleksandra VI-go zaczyna się zaciekła, uporczywa dziesięcioletnia walka. Juliusz, przyszły oswodziciel Włoch, ten, którego hasłem będzie później „*fuori i barbari*", szuka schronienia na dworze Karola VIII-go i pod osłoną francuskich sztandarów powraca do Rzymu. Pozostaje mu tylko, zdaje się, wyciągnąć dłoń po tyarę. Aleksander VI, znienawidzony i zohydzony wróg, zamyka powieki, między tronem a nim przesuwa się jeszcze znikomy cień Piusa III-go. Dopiero 1 listopada r. 1503 *conclave* obiera go papieżem. Kościół znajdzie w nim nie tylko najwyższego kapłana, ale obrońcę, zdobywcę, władzcę i pana. Żołnierz to więcej, niż ksiądz i apostoł. Pamiętnym pozostanie jego wjazd tryumfalny do Peruzyi i Bononii; tak wkraczali niegdyś do miast konsulowie i cezarowie: jest coś pogańskiego w tym wjeździe. A jednak nie wszyscy zrazu poznają

się na tej *terribilità*, na tej potędze i niezłomności ducha. Sam Machiavelli nie odgadł, że bije chwila dziejowa, że ten papież o chłopskiej mowie i chłopskich nawyknieniach na długi czas utrwali władzę świecką Chrystusowych następców na tej ziemi. Lepiej wniknął w jego naturę Michał Anioł Buonarotti. Obaj są szermierzami na drodze życia, obaj mają tę żywiołową niemal siłę, która działa, jak magnes, odpycha i przyciąga. Wytrwają jednak do końca w tej często zakłócanej zgodzie, podobnej do ciężkiej, burzliwej, lecz często opromienionej słońcem, letniej upalnej doby.

Zaraz po wyniesieniu swojem powierza papież artyście wykonanie dzieła, mającego świadczyć przyszłym pokoleniom o nieśmiertelnej sławie Roverów. Dziełem tem nie będzie świątynia, ani gmach, godny Rzymu i papieżów, lecz grobowiec — *Sepoltora*. Wszak od grobu dopiero rozpoczyna się dla nas nieśmiertelność! W olbrzymiej projektowanej postaci, unoszącej się nad marmurowem mauzoleum, a przedstawiającej Juliusza II w szatach pontyfikalnych, nie będzie ani prostoty, ani pokory „sługi sług", nie będzie miłosierdzia „pasterza dusz", lecz duma zwycięzcy, przemoc zdobywcy. Prawdziwy to *pontifex maximus* czasów pogańskich. Daremnie otoczenie całe usiłuje go odwieść od olbrzymiego przedsięwzięcia—*malum omen!* Co? stawiać grobowiec w pierwszym dniu ziszszenia oczekiwanych wspaniałych przeznaczeń? Lecz nikt ani nic nie złamie woli Rovery i Buonarotti'ego. Zrozumieli się: pierwszy odrazu pojął i ocenił myśl drugiego. Papież wie, że Michał Anioł wleje w grobowiec całą swą siłę, cały ogrom natchnienia, całą potęgę twórczości, jednem słowem — cały geniusz. Nada mu nowe, wieczne życie. Lecz — o ironio życia, o znikomości ludzkich zamiarów i marzeń — to dzieło pychy nigdy wykończonem nie będzie. Michał Anioł nazwie je tragedyą i męką swego życia. Ogrom miłości własnej, *primum mobile humanum*, odwoływanie się już za życia do wyroków potomności, cześć samochwalcza, o której Dante powiedział *lo gran disio del eccelenza* — to wszystko Bóg obrócił w nicość i proch. Jak marnymi są wobec Jego wyroków — faraonów i mocarzów zamysły!...

A jednak z współpracownictwa duchowego tych dwu wyjątkowych istot wyłoni się wytyczna chwila w historyi świata i ideału, promieniejąca najwspanialszym blaskiem rozkwitu odrodzenia. Bogdzież stanie *sepoltora*, jeżeli nie w najstarszej i najpierwszej bazylice, poświęconej pamięci Piotra, głowie wszystkich kościołów? Lecz jak pomieścić w świątyni świątynię — pomnik, ozdobiony kilkudziesięciu posągami nadnaturalnej wielkości? Prastara bazylika,

znacznie rozszerzona za rządów Mikołaja II, nie obejmie go w swych murach! Wtedy to w umyśle papieża powstaje plan olbrzymi: katedra ulegnie stopniowej zagładzie; na jej gruzach będzie stopniowo powstawała nowa, stokroć wspanialsza, okazalsza— *e più bella, e più magnifica*. Co? zwalić dom Boży, kolebkę wiary, zburzyć bazylikę Konstantyna Wielkiego, Sylwestra papieża; w proch obrócić mury i sklepienia, dźwigające na sobie brzemię dziesięciu wieków? zakłócić spokój Leona Wielkiego, Grzegorza Wielkiego, Mikołaja I, tylu męczenników, wyznawców, bohaterów? poruszyć szczątki pierwszego apostoła i papieża? Tak! nic nie wskórają przedstawienia kardynałów ani żałość ludu rzymskiego. Wprawdzie Bramante obiecuje cuda: nad panteonem Agryppy zawiesi świątynię pokoju. Budowa trwać będzie wiek cały. Nie ujrzy Juliusz wymarzonego dzieła. Ale wobec wznoszących się fundamentów kolosalnego domu modlitwy całego świata jakże marną wydawała mu się teraz owa *sepoltora* — poświęcona pysze i samochwalstwu! Czyż pamięć jego i tak nie przetrwa wieków? I poczuł papież wyrzuty sumienia, coś, jakby upokorzenie i wstyd. Raziły go już te głazy marmurowe, ogromem swym zawalające plac św. Piotra. Bo tam, w pobliżu kościoła świętej Katarzyny, mistrz Michał założył pracownię (*studio*). Odwiedzał go Ojciec Święty, przechodząc wiszącym mostem, który łączył apartamenta watykańskie z pracownią.

Ale stosunek ich się naprężał. Zobojętnienie papieża dla grobowca, któremu się był Buonarotti poświęcił z całym zapałem, stało się pierwszym powodem nieporozumienia. Oburzała go także zbytnia gorliwość w niszczeniu prastarej bazaliki. I rzeczywiście trudno pojąć, aby papież, znawca i miłośnik sztuk pięknych, opiekun i mecenas, lekceważył sobie świętą, wielką spuściznę artystyczną, sięgającą pierwszej doby chrześcijaństwa. Dopiero za panowania Sykstusa V rozciągnięto troskliwą opiekę nad świetnymi jeszcze szczątkami odwiecznej bazyliki. Ołtarze, płyty, mozajki, posągi, płaskorzeźby przez osiemdziesiąt lat z górą rozsypywały się w gruzy, gniły pod zwaliskami, rozpraszały się na cztery strony świata. Sam Bramante dawał zadziwiający przykład nieposzanowania przeszłości. Rzymianie, patrząc na spustoszone dzielnice, na Watykan roztwarty, na gruzy i zwaliska, a nie umiejąc sobie zdać sprawy z całości podjętych planów, z wspaniałości przyszłych gmachów — Belwederu, portyków, galeryi, przezwali Bramanta burzycielem, *il Rovinante*. A kardynał Sforza Pallavicini w pół wieku później odzywa się z goryczą: „By zebrać niezliczone miliony, potrzebne na wykończenie tak olbrzymiej budowy, trzeba było jąć się środków, które wywo-

łały herezyę Lutra i które w swem następstwie przyprawiły kościół o utratę tylu milionów dusz".

Nic nie mogło jednak powstrzymać papieża: w trzy lata po swem wyniesieniu, w sobotę 18 kwietnia r. 1506, położył własnoręcznie kamień węgielny nowej budowy. Odprawiwszy mszę, zbliżył się do fosy i po drabinie zstąpił w „przepaść". Z głębi usłyszano jego głos, ostrzegający, by nikt się nie ważył zbyt zbliżać do lochu, z uwagi, że ziemia może się obsunąć. „Chcę umrzeć na słońcu", wołał rozweselony, wydostawszy się na światło dzienne...

A właśnie miało mu teraz świecić słońce sławy. Dnia 26 sierpnia tego samego roku dosiadł rumaka i popędził, jak wicher, jak burza, uderzył, jak piorun. Wszystko się przed nim rozsypuje. Na samą wieść o zbliżaniu się wojsk papieskich Giampolo Baglione, ciemięzca Perugii, który dotąd nie cofał się przed żadnem niebezpieczeństwem, przed żadną zbrodnią, ogarnięty jakimś niepojętym lękiem biegnie na spotkanie Juliusza aż pod Orvietto, pada przed nim na kolana, poddaje mu twierdze i grody, nic dla siebie nie żądając prócz... możności służenia nadal ojcu świętemu. Podobną zjęty trwogą, stary Giovanni Bentivoglio opuszcza Bononię, rodzinę, władzę, bogactwa, umyka i zatrzymuje się dopiero w obozie króla Francyi. Juliusz II wjeżdża do miasta na olbrzymim złocistym rydwanie, pod purpurowym baldachimem. Jeszcze okazalej przyjmuje go Rzym. Złocisty dąb rodziny Rovere wznosi się dumnie aż pod sam szczyt kościoła Santa Maria; z wozu, zaprzężonego w białe, jak śnieg, rumaki, skrzydlate geniusze sypią palmy, wawrzyny i róże. Rzełbyś, pochód tryumfalny... pogański. Wtedy to Erazm z Roterdamu wzdycha za świętą prostotą pierwszych wieków apostolskich. Wśród gromów wojennych, wspaniałych obchodów i pompy, w gorączkowym nastroju wyobraźni i ducha nie bierze papież do serca .. nagłej ucieczki rzeźbiarza z Rzymu. Michał-Anioł bowiem opuścił niespodziewanie swoje *studio*; bo Juliusz nie tylko przestał zajmować się grobowcem, lecz odmawia nawet artyście należności... Tak przynajmniej żali się Buonarotti w liście do przyjaciela San Galla: „Donosisz mi, pisze, że Jego Świątobliwość źle przyjęła wieść o moim wyjeździe; dodajesz, że gotów, bądź co bądź, wypłacić mi należność moją: jeżeli tak, to nie powinienbym się ociągać z powrotem. Niestety! prawdą jest niezbitą, że wręcz inaczej postąpił sobie papież ze mną: w wielką sobotę, przy stole, rozmawiając z mistrzem ceremonii i jubilerem, zaklinał się, że ani jednego solda już nie wyda na kamienie wielkie, czy małe. Zrozumiałem go dobrze, mimo to ośmieliłem się upomnieć o zaliczkę. Papież kazał mi się stawić w ponie-

działek. Stawiłem się w poniedziałek, we wtorek, potem we środę i we czwartek — on wiedział o tem doskonale. Wreszcie w piątek rano kazano mnie odprawić,—co mówię — odprawić, wypędzić..."

Dziwny to zaprawdę stosunek tych dwu nadzwyczajnych ludzi! Klaczko przedstawia go zupełnie przedmiotowo, nie przechylając się ani na tę, ani na ową stroną. Mnie się jednak zdaje, iż papież tu góruje nad artystą, że jemu szlachetniejsza przypada rola. Potężny duch mistrza, miotany niepokojem, trapiony zgryźliwością, poddawał się łatwo podejrzeniu oraz wynikającym stąd niesłusznym urazom. Nie zaznał wprawdzie nigdy szczęścia, geniusz jego, niewyczerpana potęga twórczości ściągnęły nań zawiść współzawodników; odpłacał jednak zawistnym sowicie i w każdym niemal z nich upatrywał wroga, czyhającego na jego życie. „Pieniądze — pisze dalej w wyżej wspomnianym liście— to nie jedyny powód mej ucieczki. Było tam coś gorszego, o czem rozpisywać się nawet nie chcę i nie mogę. Wiedz tylko, że, gdybym dłużej pozostał w Rzymie, grób mój niezawodnie byłby o wiele wcześniej tam stanął, niż owa sławna *sepoltora*. Grożące memu życiu niebezpieczeństwo zniewoliło mnie do tak nagłej ucieczki". Czyste przywidzenie, zarzut nieusprawiedliwiony! Nikt nie spiskował przeciwko niemu; doczekał się późnej starości, i to w tym samym Rzymie. Lecz owa niczem niewytłómaczona panika owłada nim jeszcze nieraz. Ucieka z Florencyi, bo we śnie widział się na marach. Nie dosyć na tem: w czasie oblężenia rodzinnego miasta powierzono mu obronę pewnej dzielnicy, a on opuszcza posterunek, słuchając jakiegoś głosu nieznanego, który, jak sam mówi, „zabiegł mu niespodziewanie drogę, od Boga, a może też od dyabła, zesłany".

Te dwie główne postacie — papieża i rzeźbiarza — tak zespolił i uwypuklił Klaczko, że, kiedy się czyta charakterystykę jednego, staje przed oczami jednocześnie postać drugiego; widać ich wciąż na jednem tle, zawsze z sobą złączonych, w zgodzie czy rozterce, w powodzeniu czy nieszczęściu. W powrocie ze zwycięskiej wojny powierzył Julius II Florentyńczykowi ozdobienie *al fresco* kaplicy Sykstyńskiej. Ten wszakże posądza Bramanta o jakieś zawistne, skryte zamiary. Wszak nigdy nie był malarzem? Zapomniał jednak, że z Leonardem da Vinci walczył o palmę pierwszeństwa w olbrzymiej kompozycyi „Wojny pizańskiej". Papież swoją wspaniałomyślnością, łatwością przebaczania przewyższa artystę; wobec jego skarg, niczem nie usprawiedliwionych podejrzeń, niesłowności stara się złagodzić rozdźwięk. Za pośrednika służyć im będzie Soderini, chorąży florencki. Lecz Michał-Anioł jest zacięty, zamyśla

opuścić Włochy raz na zewsze i udać się.. do Turcyi: tam, nad Bosforem, budować będzie mosty, wznosić grody, ku większej chwale i potędze padyszacha. Żale swoje wywodzi w sonecie, znalezionym wśród jego rękopismów z roku 1506 [1]). Soderini jednak nie zwątpił o nawróceniu artysty. Jakoż udaje mu się przełamać jego upór. Buonarotti podąży do Bononii i tam przeprosi papieża. Ale jakże mu pycha przygniata serce! Zastaje Juliusza, biesiadującego w pałacu Bentivogli'ch. „Długo kazałeś na siebie czekać, aż sami wyszliśmy na twoje spotkanie", woła na wstępie papież. Łaskawe słowa kruszą zawziętość. Rzeźbiarz pada na kolana. Owocem pojednania będzie nowy posąg Juliusza, ulany ze spiżu: papież siedzi na tronie, potrójna tyara zdobi jego skronie; prawą rękę wznosi ku niebu — błogosławi, czy przeklina? taka popędliwość, taka gwałtowność w ruchu! „Ojcze święty, mówi rzeźbiarz, upominasz Bonończyków, by w wierności i posłuszeństwie wytrwali, lecz jakie godło dźwigać będzie twoja lewica? czy księgę?" — „Księgę? co mi po niej? alboż to ja uczony? Daj mi miecz!" Rzeźbiarz przypomniał sobie w porę słowa Crystusowe, do Piotra wyrzeczone; więc zamiast miecza dał klucze.

I stanął posąg na samym szczycie fasady św. Petroniusza w roku 1508 przy odgłosie trąb, przy biciu dzwonów, przy huku dział. Astrologowie, których wróżb papież rad słuchał, wybrali dzień pomyślny. Niestety, zawiodły ich rachuby! Grożąca czyli też upominająca dłoń papieża nie utrzymała Bonończyków w wierności. Lud powstał, i posąg, ściągnięty przez motłoch na ziemię za pomocą grubej liny, runął... nie pozostało po nim śladu. W trzysta lat później motłoch paryski tego samego użył sposobu, by zwalić kolumnę Vendôme. *Nil novi sub sole!...*

Teraz ulega Michał Anioł wszechpotężnej woli swego pana. Mimo wstrętu i niechęci, „nie będąc malarzem", jak mówi, rozpoczyna nieśmiertelne dzieło — w kaplicy Sykstyńskiej. „Gdym powrócił do Rzymu, zniewolił mnie Ojciec Święty, abym, porzuciwszy dłuto, wziął się do farb i pędzla. Zawarliśmy ugodę. Otrzymam 3000 dukatów wynagrodzenia. Podług pierwotnego projektu papieża, otwory sklepienia musiały zdobić postacie dwunastu apostołów; ja jednak powiedziałem, iż będzie to „ubóstwo". Zapytała mnie jego Świątobliwość, dlaczego tak myślę; odpowiedziałem: Wiadomo przecież, że apostołowie w ubóstwie żyli. Uśmiechnął się papież

[1]) Zresztą data tych rękopismów nie jest napewno ustaloną. (Przyp. Red.)

i rzekł: Zróbże więc tak, jak ci się wydawać będzie najlepiej". Przez całe tedy cztery lata chory, trawiony gorączką, zaledwie na chwilę przerywając pracę, by się lichą strawą — kawałkiem suchego chleba, pożywić, spędza mistrz na rusztowaniu tak wysokiem, że się nabawia zawrotów głowy i ciężkiej choroby oczu. Tam, na tych wiszących deskach, często go nawiedza papież. Siedemdziesięcioletni starzec wchodzi po wązkich szczeblach drabiny, siada na belce obok rzeźbiarza, i pod sklepieniem dziwna się toczy rozmowa. „Kiedyż skończysz?" — „Jak będę mógł". — „Chcesz, abym cię zrzucił na flizy?" — „W takim razie nie skończyłbym nigdy". I ci dwaj *terribili uomi* rozstają się w gniewie i milczeniu. Krótkie to atoli burze, podobne do marcowej zawieruchy. Wnet z pod groźnych chmur ukazuje się lazur nieba, wnet słońce łaski na nowo świeci. Ze swych komnat papież wysyła niebawem posła ze słowami zachęty i uznania.

Zachodzi teraz pytanie: dlaczego Michał Anioł obwinia papieża o skąpstwo i złą wiarę? dlaczego ani Rafael, mimo swej rozrzutności, ani Bramante, ani żaden z pośród licznych synów Apollina, których Rovere stale otacza swą opieką, nigdy tak dotkliwych nie uczynił mu zarzutów? Dla tego, że tak Rafael, jak Bramante, tłómaczy Klaczko, pozostają zawsze w roli i uniżoności artystów względem chlebodawcy; wiedzą, że nie należy mu się naprzykrzać, że we właściwej chwili szczodrobliwość pańska stokrotnie ich wynagrodzić potrafi. Przeciwnie, Michał Anioł na wspaniałomyślność nie liczy. Żąda tyle tylko, ile mu się prawnie z umowy należy, ale żąda z natarczywością, bez wybiegów, nie, jak sługa, lecz raczej, jak wierzyciel, ba! „z całą dumą szlachcica". Bo dumę rodową posiada Buonarotti w najwyższym stopniu rozwiniętą. Dla niego Rovere to parweniusz, „gbur syn gbura", jak się w chwilach rozdrażnienia Ludwik XII o papieżu wyrażał, a Michał Anioł to potomek sławnej rodziny hrabiów na Canossie: wspólne to pochodzenie przyznał mu uroczyście hrabia Aleksander Canossa z Bianello: obydwaj pieczętują się tym samym herbem: na niebieskiem polu pies, obgryzujący kości. Jedyny jego cel w życiu to wyrwanie rodziny z nędzy; niezmordowaną pracą pragnął nie tyle dojść do sławy, ile dorobić się bogactwa, nie dla siebie wszakże, lecz dla rodu; więc piędź po piędzi skupuje dawno dziedzictwo Buonarottich. Dążąc do tego celu, nie cofnie się przed żadną ofiarą. W chwili, gdy zamyka sam siebie w kaplicy Sykstyńskiej, liczy dopiero lat trzydzieści cztery.

Oto jaki portret rzeźbiarza z owych czasów kreśli nam Klaczko. Nizkiego wzrostu, krępy, olbrzymia głowa na krótkim tuło-

wiu; mańkut od urodzenia; włosy gęste, kędzierzawe, policzki, mocno wystające, nos przypłaszczony (skutkiem brutalnego niegdyś zajścia z zawistnym kolegą, Torrigiano), co nadawało fizyognomii wyraz dzikości; ale czoło piękne, wyniosłe, spojrzenie zarazem smętne i głębokie, wnikające do głębi duszy; w obejściu z ludźmi często nieprzystępny, obraźliwy, ponury, podejrzliwy, rozdrażniony i rozdrażniający; w uprzedzeniach swych równie, jak we współczuciu, krańcowy; skarżył się wiecznie na świat i ludzi; wstrzemięźliwy, jak anachoreta, wyjątkowo rzetelny, mający jednak ciągle jakieś zatargi pieniężne; fantastyk, tetryk, neurastenik przywiązywał zabobonną wiarę do snów, widzeń cudownych, znaków, cierpiał halucynacye; ogarniały go ni stąd, ni zowąd niczem nie wytłómaczone trwogi; pod ich wpływem tracił równowagę umysłową, chwytał się nieraz środków, uwłaczających jego czci i dobrej sławie; ale serce pozostało do końca życia wrażliwe. Liczne jego listy świadczą o głębokiej miłości kraju, rodziny; troskliwość swą rozciągał nad domownikami; przygarniał ich wdowy i sieroty, jałmużny udzielał sowicie, w pokorze i skrytości; lecz pierwszy grosz, zarobiony dłutem, poświęcił na nabycie dla ojca posiadłości ziemskiej, aby mógł rodzic na stare lata żyć, „jak przystoi szlachcicowi".

Synowca swego, którego zrobił swym generalnym spadkobiercą, nagli do ożenku: „Nie oglądaj się na posag, dbaj tylko o przymioty duszy; sądzę, że łatwo znajdziesz we Florencyi rodzinę, może ubogą, ale z zacnego gniazda. Nikt cię nie posądzi, że przez ożenek chcesz dojść do szlachectwa, boć przecież ogólnie wiadomo, że urodzeniem nikomu chyba nie ustępujemy we Florencyi". A jest ta duma rodowa tak wielką, że dla niej wyrzekłby się swego zawodu: „Powiedz, proszę, aby nadal nie adresowano do mnie listów: do „Michała Anioła, rzeźbiarza", lecz „do Michała Anioła Buonarotti": nigdy bowiem nie byłem rzeźbiarzem ani malarzem na podobieństwo tych, którzy swem rzemiosłem frymarczą (*come chi ne fà bottega*); wystrzegałem się zawsze pilnie handlu i kramarstwa; służyłem wprawdzie trzem papieżom — bo byłem do tego zmuszony". Nie hołduje także lekkim obyczajom swego czasu: nie wiemy o żadnej jego Fornarinie. Zeszpeconemu za młodu, jak sam się uskarża, *privo piangendo d'un bel volto umano*, nigdy nie splotły się u szyi białe kochanki ramiona. W jego sonetach, skreślonych już w latach dojrzałych, *negli anni assai*, niema erotyki ani tej żądzy rozkoszy, która cechuje utwory Pulci'ego, Ariosta, Boccaccia; wzorami jego — *Poema sacro* Danta, Biblia oraz kazania Savonaroli, którego głos potężny jeszcze nie przebrzmiał. Stroni od dworów książęcych, od dworaków,

od biesiad, igrzysk, od wszelkich uciech. Ma dwie miłości, dwie kochanki, którym pozostanie wiernym do śmierci: kocha namiętnie Rzym i Florencyę — miasto wieczne, stolicę świata, *Urbs*, i miasto rodzinne; sztuka, ojczyzna, wolność, rodzina — to wszystko skupia się dla niego w tych dwu imionach: *Firenze* i *Roma*. Głęboko religijny łaknie on nieskończoności tem pragnieniem, które jest siłą, lecz zarazem męką dusz wybranych. Wzniosłe i wielkie zagadnienia ludzkości, sprawiedliwość, prawda, zbawienie — oto przedmioty ciągłych jego rozmyślań. On, rzec można, jest *Pensieroso* odrodzenia.

W zawodzie swoim sumienny posiada niespożyte siły energii, posiada tę boską grozę — znamię geniuszu — *terribilità*. Naturalizm czy też realizm, tę główną dążność *quattrocenta*, pojmuje inaczej, jak taki np. Donatello, Uccello, Andrea del Sarto, Castagno, Pollajuolo. Bada przyrodę i ludzkość w ich najskrytszych, prawie że niedościgłych tajnikach, bada je po za granicami życia doczesnego, w ciemnych czeluściach śmierci, w szpitalach i na trupach. Odtwarza wzory starożytne, lecz w pełnej niezależności i odrębności potężnego ducha. Spostrzegł i przyswoił sobie istotną zasadę plastyki, że wyraz, ekspresya, piękność rysów, nie są głównem zadaniem, owem *omne tulit punctum* rzeźby, ale że ten wyraz musi także owionąć i ożywić inne części ciała. Stąd, jak słusznie powiada Klaczko, wszelki mistycyzm był mu obcy; jego świat empirejski nie rozwieje się nigdy w marzeniach, nie wcieli się w eteryczne formy i widziadła, podobne do anielskich figur Orcagna i Fra Angelico. Rzeźbiarz bierze tu górę nad chrześcijaninem, uczniem słynnego Dominikanina. To znamię jego twórczości jaśnieje w jednym z najwcześniejszych jego utworów młodzieńczych, w wypukło-rzeźbie centaurów, zdobiącej do dziś dnia odrzwie głównego wejścia *casa Buonarotti*.

Innym zupełnie jest Chrystus w grupie *Pietà*. Nigdzie i nigdy nie odtworzono lepiej piękności ludzkiej w jej wielkości i prostocie, nigdzie nie połączył mistrz tyle rzewności i wdzięku z doskonałością formy. Czyż Syn Boży nie przypomina nam Apollina watykańskiego? Co za miękkie, wytworne linie i zgięcie, jaki misterny połysk wykończenia! Promienna, świetlista atmosfera otacza Zbawiciela. Ten Chrystus, zdjęty z krzyża, nagi, martwy, ukazuje się nam, jako najpiękniejszy z synów ziemi. Takie dzieło mógł jeden tylko Michał Anioł pojąć i wykonać. Poprzednicy jego dawali nam w Męce Chrystusa boleść, cierpienie, grozę śmierci: tu śmierć jest zwycięstwem i zbawieniem; tu znikła trupia sztywność ciała, rany—

zaledwie zaznaczone. Z głową, lekko w tył pochyloną, z twarzą gładką, z rękami i nogami, wyciągniętemi, jak do spoczynku, Chrystus wydaje nam się dzieckiem, śpiącem na łonie matki. A w rysach Niepokalanej Dziewicy jest także miłość, nie cierpienie; Ona jest także młodą, słodką, piękną; i tylko w ruchu lewej ręki jest jakby nieme pytanie: „Czyż może być boleść, do mojej boleści podobna"? W całym utworze rozlany przedziwny spokój, harmonia...

Później groza tylko targać będzie jego duszę, później on pójdzie już wyłącznie za przykładem starych mistrzów, którzy ciosali postacie nadnaturalnej wielkości, nagość, patetyczność, kolosalność—oto zasady, które kierują rzeźbą i malarstwem. Takim jest jego Herkules, takim także nawet i Dawid. Olbrzym, goły od stóp do głów; muskuły wyprężone, czoło, troską zmarszczone, oczy złowrogie, posępne; na ustach wyraz pogardy, wyzywającej dumy. Czyż to pastuszek, który uśmiechem i grą na harfie poskramiał Saula? Nie omylił się lud florencki w swym bezwiednym zmyśle krytycznym, gdy nazwał go *Il Gigante;* Rzymianin nazwałby go gladyatorem lub atletą.

Streściwszy karty, które Klaczko poświęcił Michałowi Aniołowi, jako rzeźbiarzowi, kilka słów powiedzieć jeszcze należy o nim, jako o malarzu. Widzieliśmy już, jak niechętnie brał się do powierzonego sobie dzieła, *non essendo pittere,* nie czując się zupełnie malarzem: drwił z siebie i ze swej pracy: „Już nabawiłem się strumu, a brzuch dochodzi mi do podbródka; gdy podnoszę głowę, mózg wysuwa mi się aż w plecy; farby, ociekające z pędzla, zamieniły mi twarz w pstrą mozajkę; oczy nie widzą, dokąd kroczę; umysł mój może się zdobyć tylko na fałszywe lub dziwaczne sądy. Strzelba z wykręconą lufą prosto strzelać nie może; o! przyjacielu, broń dobrej mej sławy, bo dłużej nie wytrzymam; nie! nigdy się z malarstwem nie pogodzę". A jednak po trzech latach niezmordowanej pracy z pod pędzla jego wyszło niezrównane dotąd arcydzieło: sufit kaplicy Sykstyńskiej zajaśniał wreszcie w całej swej nadludzkiej, zdumiewającej wspaniałości. Dnia 15 sierpnia 1511 r., w uroczystość Wniebowzięcia, na rozkaz papieża usunięto na kilka dni olbrzymie rusztowanie. Co tylko żyło w Rzymie, cisnęło się do kaplicy. Podziwiano w osłupieniu. Był to nowy świat, a w nim jedno tylko królestwo, jedno panowanie: panowanie i królestwo ludzkiej istoty: człowiek królem i panem stworzenia; ani nieba, ani natury, ani ozdób architektonicznych — nic, tylko postać ludzka w najrozmaitszych objawach, kształtach, tu, jako uosobienie najwyższych zagadnień religijnych i filozoficznych, tam znów, jako przedmiot ornamentacyi w podstawach, arabeskach, czło-

wiek-duch w postaci proroków i sybilli, człowiek-bohater, uprzytomniony w wojownikach biblijnych, człowiek-roślina w olbrzymich kwiatach i zwojach, pnących się po łukach i oknach, człowiek-głaz w ogromnych *putti i ignudi*. Druga cecha charakterystyczna tego arcydzieła to wyswobodzenie się z wszelkich dotąd uświęconych tradycyi, używanych powszechnie emblematów: aniołowie — pozbawieni skrzydeł, święci pańscy — bez aureoli; Bóg-ojciec w dłoni nie piastuje kuli świata. Buonarotti wyrzekł się dziedzictwa przeszłości, otrząsł się z więzów wierzeń i legend wiekowych. Natchnienie czerpie po za obrębem granic, wśród których wzbija się w sfery, dotąd nieznane, niedoścignięte, niedostępne. Artyzm wzniosły, samowolny, nie troszczący się o wrażenie, jakie wywrze, a jednak tak potężny, tak porywający, że serca truchleją z podziwu i grozy! Sam młody mistrz z Urbino, Rafael Santi, który dopiero co był wykończył *stanze* w kamerze segnatury, przejrzyste, jak zorza, wonne, jak wiosna, — naśladować odtąd będzie tytana. Z tego sufitu, jak niegdyś z gorejącego krzewu, wiał i odzywał się duch Boży. Jak z góry Horeb wśród grzmotów i błyskawic, dawał się słyszeć głos Pana: *Sum, qui sum*. Historya, czyli raczej poemat stworzenia — jako punkt środkowy; po bokach, zamiast dwunastu apostołów, o których mistrz był powiedział *povere cose*, — prorocy oraz przodkowie Chrystusa wedle „Księgi Rodzajów". *Misteryum*, roztoczone przed nami, obejmuje niebo i ziemię, koleje ludzkości, od pierwszej chwili istnienia *fiat lux* do wcielenia. Słowa żywego, od Jehowy do Jezusa. A jak nam Klaczko opisuje te wspaniałości! co za obrazowość słowa, godna naprawdę wielkich, nieśmiertelnych obrazów pędzla! Oto pierwszy akt boskiej twórczości. Ciemność i nicość. Ani czas, ani przestrzeń nie istnieją. W zmroku, w mgle tajemniczej rysuje się postać, czuć w niej ogrom potęgi, lecz zarazem coś, jakby zdumienie; głowa, ręka wyciągnięta — i tyle! To Bóg wszechpotężny, przedwieczny, wyłaniający się z chaosu. Powstał z głębin nieskończoności, przepłynął przez fale milczenia, wydobywa się na powierzchnie cieniów. Wyrzeknie cudowne słowo: „Niechaj stanie się światło". Wyciąga ramię — na niebie zapalają się zorze, dwie ogniste kule, spuszcza dłoń— ziemia okrywa się kwieciem i zielenią. Jest wszechmocny, i zarazem blizki, daleki; wykończył dzieło, błogosławi mu, mówiąc: *Crescite et multiplicamini*. Unosi się w powietrzu, dąży wprost ku nam; ręce, szeroko rozwarte w nieskończonej szczodrobliwości ojcowskiej; oblicze, rozjaśnione promieniem łaski, miłosierdzia. Aniołowie, truchlejący ze strachu w pierwszej dobie stworzenia, teraz swobodnie bujają po przestworzu, tuląc się pod fałdy szaty bożej,

podobni do białych gołębi, przyczepionych do żaglu. Spokój, niczem niezamącony, zupełny, ani jednej chmurki na świeżym lazurze niebios; świat cały, skupiony, zdaje się wstrzymywać oddech, pod wezbraniem niezmierzonych fal szczęścia, uwielbienia, nadziei, podziwu, miłości. Jest to, mówi Klaczko, melodyjne *andante* i *finale* symfonii stworzenia. Lecz jakaż smętność rozlana w olbrzymiej kompozycyi, w tej przedziwnej trylogii — stworzenia świata, Raju i Potopu. Bolesne, tęskne uczucie przejmuje do głębi duszę. Litość, troska zasiadły na obliczu Pana, tłumione, a jednak ogromne, bezmierne współczucie. Bo świadom On jest nędzy i łez, i cierpień, które nękać będą tę marną glinę ludzką, ożywioną wszechwładnem Jego tchnieniem. I człowiek, zdaje się, przeczuwa, jak ciężkim będzie jego los na ziemi. Płomień nadziei i wiary nie rozświecił źrenic jego, raczej w przygnębieniu, w strachu, z niemym wyrzutem zwraca się do Stwórcy: „Na coś mnie wydobył z nicości?" W przeciwieństwie do Adama stoi przy nim Ewa, przepiękna, czerstwa, jaśniejąca urodą i zdrowiem, żądna rozkoszy życia; włosy rozpuszczone, niby płaszcz złocisty, okrywają białe, twarde ciało; to nie tylko kobieta, lecz małżonka, matka przyszłego rodzaju ludzkiego, płodna, stworzona do miłości... Wdzięczność ze strony potomnych należy się papieżowi, iż, odgadłszy uniwersalny geniusz mistrza, zniewolił go prawie gwałtem do pozostawienia światu niezrównanego arcydzieła.

Natenczas stał Juliusz II u szczytu chwały. „Papież, mawiał o nim Domenico Trevisano, poseł wenecki, chce być panem gry tego świata". „Strącę wasze miasto, groził Rovere, z wysokości jego pychy i uczynię z niego lichą rybacką wioszczynę". — „A my, ojcze święty, odpowiadał Trevisano, zrobimy z ciebie plebana wiejskiego". Próżne groźby! Papież zawiera przymierze z Francyą, Austryą, Hiszpanią, książętami Mantui i Ferrary. Zwycięstwo, odniesione przez Francuzów pod Agnadel, rozbiło potęgę dumnej królowej Adryatyku, — zdaje się na łaskę i niełaskę Juliusza, pisząc: *Sanabit, qui percussit.* Papież, czuły na pochlebstwa, zwłaszcza, gdy odnoszą się do jego wspaniałomyślności i potęgi, przebacza: „Gdyby wasza rzeczpospolita nie istniała, wartoby ją stworzyć" — tak się odzywa, błogosławiąc klęczących przed jego tronem patrycyuszów weneckich. I teraz stanie na czele ruchu narodowego, by wyswobodzić ojczyznę od najazdu cudzoziemców. „Ci Francuzi, woła, chcieliby, aby papież był kapelanem arcy-chrześcijańskiego króla!" Odbiera Ferrarę, rzuca klątwę na popleczników ligi, a więc pośrednio i na króla arcy-chrześcijańskiego.

Ludwik XII zemści się nad tym „gburem, którego warto kijem rozumu nauczyć". Powolne władzy monarszej duchowieństwo, zebrane na synodzie w Tours, upoważnia króla do walki z papieżem. Na to wyzwanie odpowiada Juliusz II hasłem: *Fuori i aarbari!* Rozpoczyna się długa, zacięta kilkoletnia walka. Bononia jest główną kwaterą papieża. Najwyższy pasterz zamienił się w bożka wojny. Trawiony gorączką, chory o mało nie wpada w ręce nieprzyjaciół. Chaumont, wódz francuski, przybiega marszem forsownym z Modeny do Bononii. „Na Boga! nie weźmie mnie żywego", zaklina się papież, a jednocześnie tak zręcznych używa wybiegów, tak długo wroga trzyma w zawieszeniu, tak zręcznie mami go i łudzi, póki wreszcie nie nadchodzą posiłki. Chaumont ustępuje z pola i wkrótce umiera, dręczony wyrzutami sumienia: orężem walczył przeciwko namiestnikowi Chrystusa na ziemi; taka to jeszcze wiara ożywiała skądinąd pozbawione wszelkich skrupułów dusze żołnierskie. Niewyleczony jeszcze, wśród straszliwych, niebywałych we Włoszech śniegów i mrozów, oblega papież Mirandolę; nadstawia piersi, u nóg jego pękają kartacze, on sam walczy, sam morduje, wytrzymałością, odwagą, hartem duszy przewyższa każdego żołnierza, a nie ustępuje żadnemu w rubaszności. Zapuścił brodę — podobny do niedźwiedzia, *con la barba, che pare un orso*, sukmana, podbita futrem, szczelnie zakrywa wątłe ciało; na głowie kaptur wełniany, wyraz twarzy twardy i zacięty. Niema w tej postaci tych szlachetnych, wyidealizowanych rysów, jakie mu nadał w portretach owego czasu boski Santi. Nareszcie poddaje się twierdza; Juliusz pierwszy w szeregu po drabinie wdziera się wewnątrz murów. Przelotny to jeszcze uśmiech fortuny, która później dopiero cudowną ręką zawiedzie go do bram ostatecznego tryumfu, do utrwalenia władzy doczesnej następców św. Piotra. Tymczasem zaś dozna jeszcze papież zmienności losów. Oto w samym Rzymie, w gronie kardynałów, knują odszczepieństwo i zdradę. Liga zwołuje sobór, mający na celu poprawę kościoła, mówią głośno o przyszłej, niechybnej detronizacyi papieża; a że z tragizmem chwili dziejowej zawsze łączy się komizm, więc i cesarz Maksymilian stawia swą kandydaturę na wakującą stolicę apostolską... Listy do córki Małgorzaty, wielkorządczyni Niderlandów, podpisuje stale *Maximilianus futur pape.*

Lecz ciężka to sprawa wojować z kościołem, — *et portae inferi non praevalebunt adversus eam:* to też król francuski gotów do ustępstw. Juliusz układów nie zrywa, ale jednocześnie zbroi się: sprowadza zaciągi szwajcarskie, zastawia słynną tyarę Pawła II-go *il regno*, zdobną w kamienie najczystszej wody. W czasie układów

zapada na zdrowiu, roznosi się już pogłoska o jego śmierci. Rzym powstaje, na czele ruchu stoją najprzedniejsze rodziny wiecznego miasta: czas zrzucić z siebie znienawidzone jarzmo. Wtem Rabbi, żyd, przyboczny lekarz Jego świątobliwości, wraca papieżowi zdrowie. Spisek pryska, jak bańka mydlana; patrycyusze truchleją, i ci sami ludzie, którzy niedawno sprzysięgli się na tron papieża, teraz spieszą z przysięgą na wierność *pontefice terribile*. Ale papież zaniecha zemsty: posiada dar najwyższy—łatwość przebaczania osobistych uraz; jedyną troską, jedynem zadaniem jego jest wyswobodzenie Włoch z najazdu. Lidze nieprzyjacielskiej przeciwstawia „ligę świętą" — z cesarzem, Hiszpanią, Wenecyą. I toczy się wojna *ancipiti fortuna*. Młody Gaston de Foix pobija na głowę wojska papieskie pod Rawenną, lecz zdobyte wawrzyny opłaca życiem „Król wygrał batalię, woła Bayard, ale zginęła szlachta francuska!" Nie było komu poprowadzić zwycięskich hufców; kilka tygodni zaledwie minęło od pogromu, a ziemia włoska była wyzwoloną z najazdu barbarzyńców. „Zstąpił anioł z nieba, mówi Paris de Grassis, a Jerozolima zrzuciła z siebie jarzmo Asyryjczyków". Dnia 3 grudnia roku 1512 odśpiewano uroczyste *Te Deum* w bazylice laterańskiej. Dziedzictwo świętego Piotra było utrwalone na trzy wieki przeszło. Papież stał się rzeczywiście „panem gry świata". Tak się rozpoczął rok 1513. Nigdy jeszcze karnawału rzymskiego nie obchodzono huczniej i gwarniej. Po ulicach snuły się tłumy, niesione żądzą życia i rozkoszy: wolna Italia sławiła swego pana pląsami, ucztami, śpiewem i wesołością. Lecz papież.... dogorywał. „Zaraz w pierwszych dniach stycznia, nazajutrz po wspaniałym korowodzie masek, wydał ostatnie rozporządzenia Ojciec Święty, pisze Grassis w swym pamiętniku, raczył mnie przywołać do siebie. Zastałem go w łóżku. Z wielkiem poddaniem się, z prawdziwą pokorą chrześcijańską oznajmił mi, że nie widzi już dla siebie ratunku; dzięki składa jednak Wszechmocnemu, iż mu dozwolił umrzeć po chrześcijańsku, a tej łaski doznali, niestety, nie wszyscy jego poprzednicy. Polecił mi, mówił dalej Grassis, abym po jego zgonie zajął się oddaniem należnej posługi jego zwłokom; nie żądał wspaniałego obchodu, pragnął tylko, aby ciało jego bezwstydnie wystawionem nie zostało tak, jak się przytrafiło Aleksandrowi VI; nakazał, abym mu na palce włożył dwa pierścienie; spoczywać będzie w kaplicy Sykstusa IV — aż do wykończenia zamówionego już za życia olbrzymiego mauzoleum. Do ostatniej chwili zajmował się sprawami kościoła i państwa, udzielał posłuchania posłom, podpisywał *breve*, ustanawiał przepisy, dotyczące uroczystego otwarcia przyszłego soboru. Dnia 20 stycznia przy-

jął ostatnie namaszczenia w obecności zgromadzonych w komplecie kardynałów. Żegnał się kolejno z każdym z nich z osobna, napominając, aby nie przestawali żyć w bojaźni bożej, aby słuchali przykazań świętych i obrali przyszłego dusz pasterza zgodnie z uświęconymi przez kościół przepisami i prawami. Mówił po łacinie, głosem pewnym, dobitnym, takim, jakim wygłaszał zazwyczaj alokucye. Kardynałowie, którzy wśród nieustannych walk, burzliwego pontyfikatu kryli w sercach niechęć i zawiść, teraz, wobec majestatu zbliżającej się śmierci, ze łzami i skruchą przystępowali do ucałowania ręki pańskiej. Zapóźno oddali sprawiedliwość wielkiemu papieżowi, zrozumieli po niewczasie, że on jeden stanął na wysokości swego zadania, że, aby podźwignąć kościół ze wstydu i poniżenia, w jakie go był pogrążył Borgia, trzeba było światu chrześcijańskiemu nieugiętego męża, trzeba było owej *terribilità*, która cuchnące rany paliła i goiła zarazem, *percussit et sanavit.* A jednak, pomimo tej *terribilità* nigdy się papież nie splamił okrucieństwem, nigdy nie mścił się krwawo osobistej urazy, nigdy nie miał innej chwały, innej wielkości na celu, jak wielkość i chwałę papiestwa i kościoła.

Oto, w jaki sposób odmalował nam Klaczko swym mistrzowskim pędzlem tę wielką postać, a tak ją zespolił z pokrewną jej duchem postacią Michała Anioła, że mamy złudzenie, iż przed nami na jednym piedestale wznoszą się wspaniałe posągi tych dwu nadzwyczajnych mężów.

Teraz należałoby jeszcze chociaż naszkicować wdzięczne postacie Rafaela i Bramanta; ale o nich pomówimy może innym razem. Kończymy sprawozdanie ogólnym poglądem Klaczki na sztukę.

Przesuwają się nam przed oczyma wspaniałe obrazy, ginące w niebieskawej mgle oddalenia. Sam autor zdaje się marzyć. W kaplicy sykstyńskiej o zmroku zatopił się w myślach. Przed nim majaczy olbrzymi cień Michała Anioła, a głos niewidzialny w następujące odzywa się słowa:

„Twój błąd, Buonarotti, był wspólnym błędem świetnych umysłów, zaznaczających we Włoszech powrót do klasycyzmu, do nieśmiertelnych wzorów piękna i harmonii, do spuścizny po mistrzach starożytności. Zwrot ten, w zaczątku porywczy i bezładny, nie zdążył się rozpatrzeć w wielorakich, najprzeróżniejszych objawach i odmianach, we wspaniałej ewolucyi, która miała swoją młodość, swój wiek męski i starość. Przykładano się głównie do odtwarzania dzieł z doby upadku, z epoki aleksandryjskiej i rzymskiej, jako

każdemu przystępniejszych, więcej rozpowszechnionych, łatwiejszych do zrozumienia i naśladowania: Wirgiliusz, przewodnik Danta, długo jeszcze górować będzie nad Homerem, Horacy nad Pindarem, Seneka nad wielkimi tragikami greckimi. W rysunku, w malarstwie, zamęt ten będzie tem ogólniejszy i głębszy, o ile rzadsze są dzieła, przechowane ze złotego wieku. Gdy przypadkiem odkrywano takie zabytki, nie wywierały one wrażenia na mistrzach, kształcących się na poślednich wzorach, które w ich oczach uchodziły za najdoskonalsze utwory klasycyzmu. Ten miraż przetrwał wieki, złudził świat cały, a rozproszył się aż pod naciskiem nowych prądów, walk, współzawodnictw narodowych, odkryć nadzwyczajnych, które wywołały ogólny przewrót pojęć. Zajęcie się coraz żywsze poezyą ludową, badanie legend oraz tradycyi miejscowych prowadzi do coraz to bardziej świadomego upodobania w naturalności i prostocie, w wiosennym wdzięku, czerstwości, świeżości epoki jońskiej. Namiętne dysputy nad wyższością teatru welfickiego lub romańskiego wywołają wszechstronny rozbiór dramatu starożytności, wyniesienie ponad wszystkie rodzaje nieśmiertelnych utworów Eschylosa i Sofoklesa. Wycieczka nieznanego skądinąd malarza w okolice Salerno odsłoni światu niezrównane szczątki świątyń, cały niedościgły majestat architektoniki greckiej. Dwa miasta, przeszło przez dwa tysiące lat leżące w ciemnościach ziemi, powstaną z grobu, a świetność odgrzebanych pamiątek, bronzów, obrazów, malowideł ściennych, najprostszych wreszcie narzędzi domowych, dadzą w zmniejszonym, lecz nader wyrazistym stopniu miarę rozkwitu wielkiej sztuki. Dotychczasowe pojęcia o ideale i klasycyzmie ulegną zasadniczej zmianie. Nastąpi wiek, niezrównany w zapale i sumienności poszukiwań, w uniwersalności rozumowania i poglądów. Wiek ten zbada język, wiarę, sztukę, ducha wszystkich narodów, począwszy od najwcześniejszych zaczątków. Ten wiek uprzytomni nam i odtworzy w najdrobniejszych szczegółach ideał klasyczny w epopeach, dramatach, świątyniach, pomnikach, posągach; oświetli ruiny Aten, Pergamu, spoi ogniwa przerwanego łańcucha, marmurowe arcydzieła Eginy i Selinuntu z płaskorzeźbami łuku Konstantyna, ze zdumiewającą przenikliwością odbuduje wszelkie pomniki starożytności, skreśli ich styl i szkołę, czas, w którym powstały. Lecz przez ową wieczną ironię doli ziemskiej wiek ten przy wszechstronności swych poszukiwań, przy rozległości wiedzy, ścisłość nauki nic z siebie nie wyda, nic nie stworzy, a jego niczem i ni

gdy niezaspokojona ciekawość będzie zarazem piętnem nieuleczalnej niemocy. Po raz setny człowiek doświadczy na sobie tej prawdy, którą poznał już ojciec rodu ludzkiego, „że drzewo wiedzy nie jest drzewem żywota"....

Czyż inną drogą do podobnych wniosków nie doszedł Brunetière, gdy w słynnej rozprawie ogłosił niedawno bankructwo wiedzy? Jeden i drugi się myli: wiedza nie zbankrutowała, a drzewo wiedzy jest zarazem drzewem żywota, wiedza bowiem jest cząstką Bóstwa i Prawdy.

A. W.





Miączyński i Dumouriez.

Wizerunki i sceny historyczne z dziejów Polski i Francyi

(1769 — 1793).

Alexandrowi Rembowskiemu
na pamiątkę poświęcam.

Od czasu ogłoszenia w roku 1837 przez Klementynę z Tańskich Hoffmanową w poznańskim „Przyjacielu ludu" (NN. 50, 51 i 52) „Wiadomości o Józefie Miączyńskim, marszałku bełzkim, jenerale wojsk francuskich", obejmującej luźną wiązankę faktów z żywota i spraw rycerskich głośnego bojownika konfederacyi barskiej, a następnie walecznego dowódcy armii ochotniczej ardeńskiej z czasów pierwszego najazdu koalicyi na rzeczpospolitą francuską,—zadowalniano się we wzmiankach o Miączyńskim, powtarzaniem jednych i tychże samych szczegółów, niesprawdzonych po większej części błędnych lub niezupełnych, i nie podejmowano żadnych usiłowań w kierunku dokładniejszego scharakteryzowania roli dziejowej Miączyńskiego, odegranej przezeń na tle wypadków krajowych z lat: 1769 -1771, jakoteż na szerszej arenie bojowej we Francyi, roli, zakończonej dnia 22 maja 1793 r., w szeregu pierwszych ofiar teroryzmu rewolucyjnego, pod nożem gilotyny paryskiej.

Julian Bartoszewicz w uzupełnieniu „Pamiątek historycznych" Święckiego, (T. I. 366) oraz F. M. Sobieszczański w „Encyklopedyi Orgelbranda" (T. XVIII. 459), w jednobrzmiących prawie artykułach poprzestali na danych, przytoczonych przez Hoffmanową, które, pod względem dokładności i zupełności obrazu działań b. marszałka bełzkiego, wiele do życzenia pozostawiają.

Hoffmanowa, opierając się na relacyi żony Miączyńskiego, cudzoziemki, którą, jako staruszkę już zgrzybiałą, w r. 1837 w Paryżu osobiście poznała była, pozwala Miączyńskiemu walczyć w szeregach konfederacyi aż do sierpnia 1772 roku i dopiero po zdobyciu Częstochowy przez wojska generała Suworowa każe bohaterowi swemu szukać schronienia w Niemczech.

Tymczasem wobec źródeł niewątpliwych, archiwalnych, okazuje się, że Miączyński, dostawszy się w maju 1771 roku wskutek porażki konfederatów pod Lanckoroną do niewoli, podał był w dniu 13 sierpnia 1771 r. do ksiąg grodu warszawskiego reces swój od konfederacyi, że nadto, podpisawszy na żądanie posła rosyjskiego, Salderna, rewers, iż nadal żadnych stosunków z barszczanami utrzymywać nie będzie, wypuszczonym został za kaucyą pieniężną na wolność, a jakkolwiek następnie od swej deklaracyi odstąpił i walkę piórem i orężem prowadził dalej, to jednak po uśmierzeniu ruchów konfederackich spotykamy go znowu w najbliższem otoczeniu króla Stanisława Augusta, w Warszawie, w roku 1774, w stopniu fligel, adjutanta („Akta kanclerskie" 1774. T. 52 str. 11), a później w charakterze posła sejmowego, nawołującego stany do ograniczenia władzy Rady nieustającej.

Jako rotmistrz chorągwi pancernej jazdy narodowej wojska koronnego, ustępuje Miączyński dobrowolnie dopiero w roku 1778 ze swego stanowiska („Kanclerskie" r. 1778, T. 36, str. 301) i w roku 1780 wyjeżdża na zawsze z kraju do Francyi, gdzie zbliża się do otoczenia Maryi Antoniny i do osoby Ludwika XVI, przerzuca się następnie do stronnictwa dawnego swego towarzystwa broni, Dumourieza, domaga się uchwały Zgromadzenia Narodowego w przedmiocie zwrotu funduszów, imieniem Francyi na konfederacyę barską poświęconych, snuje awanturnicze plany odzyskania utraconej fortuny, aż do chwili wstąpienia do szeregów armii ochotniczej ardeńskiej, z którą dzieli zmienne losy w krwawych bitwach pod Longwy, Sedanem, lasem Argońskim, Valmy, Jemappes i Neerwinden.

Opętany wreszcie w sieć intryg Dumorieza szuka ratunku Francyi w zamachu na wszechwładzę konwentu paryskiego i wcią-

gnięty w zasadzkę pod Lille ginie, jako ofiara posłuszeństwa naczelnemu wodzowi—na rusztowaniu...

Okres działalności Miączyńskiego w Polsce wyjaśniają dokładnie dokumenta, zaczerpnięte z rękopisów „Biblioteki Ossolińskich", z „Gazet pisanych" (1769 - 1771) i z urywku rękopisu kanclerza Andrzeja Zamoyskiego p. t. „Dzieje Polski za Stanisława Augusta", (w Bibl. Ordynackiej) obejmującego sporo ważnych i ciekawych z życia marszałka bełzkiego epizodów.

Dalszy przebieg spraw rycerskich Miączyńskiego w Polsce wyjaśniają „Pamiętniki Dumourieza", wydane w roku 1794 w Londynie, oraz w roku 1795 w Hamburgu. Najdokładniej wszakże udział Miączyńskiego w konfederacyi barskiej opisuje odnaleziony niedawno w bibliotece Mazaryńskiej w Paryżu rękopis (N. 1899) „memoryału Dumourieza o misyi w Polsce", przedrukowany w czasopiśmie „*Souvenirs et memoires*" (Rocznik pierwszy, z r. 1898), a nadto poświęcają mu wiele wzmianek dzieła: Petrowa, „Wojna Rosyi z Turcyą i polskimi konfederatami" (po ros.) w trzech tomach, (Petersburg, 1874) i Szmitta: „Dzieje panowania Stanisława Augusta" (wyciągi archiwalne w tomie III, Lwów, 1880 r.).

Obfite relacye z działań rycerskich Miączyńskiego we Francyi i z udziału jego w nieudanym zamachu Dumourieza obejmują:— raporty, buletyny i protokuły Trybunału rewolucyjnego z roku 1793, przechowywane w „Archiwum narodowem" paryskiem

— niektóre ważne dokumenta Tomu 321 (*Pologne*), Archiwum ministeryum spraw zagranicznych w Paryżu.

— roczniki „Monitora francuskiego" z lat 1792 i 1793.

— Pamiętniki źródłowe p. t. „Mémoires polit. et milit. pour servir à l'histoire secrète de la révol. française". (Paryż, 1797).

— Pamiętniki barona Karola Henr. Heykinga (1752—1796). „Aus Polens und Kurlands letzten Tagen. (Berlin 1897).

— Studya A. Chuqueta: „Guerres de la révolution", głównie tomy: „Valmy, Jemappes, Trahison de Dumouriez" (1880—1891).

— Thiersa: „Hist. de la rév. française" (pierwsze 4 tomy).

— Barante'a: „Hist. de la convention nationale" (Tomy 1 i 2).

- Bertranda de Mollevilla: „Mémoires" (Londyn, 1797) i wiele innych źródeł, które w odpowiednich miejscach wskazanemi zostaną.

Materyały, w pomienionych źródłach zawarte, jak dotąd — nieznane, lub nie zużytkowane, pozwolą wszechstronniej przedstawić romantyczny żywot męża niepospolitych zalet umysłu i energii żołnierskiej i wypełnią tem samem lukę w galeryi ciekawszych osobistości ze schyłku XVIII wieku.

I.

Ród Miączyńskich. — Nauki we Francyi. — Powrót do kraju. — Konfederacya barska. — Marszałek bełzki. — W roku 1770. — Utarczki pod Zamościem, Lwowem, Żmigrodem. — Misya Dumourieza. — Jego plany.

Gniazdem rodziny Miączyńskich, herbu Suche Komnaty, był Miączyn, w Płockiem. Dobra tej rodziny znajdowały się w Lubelskiem i na Wołyniu.

Najzasłużeńszy z antenatów owego rodu, Atanazy Miączyński (ur. w 1639 r.), poświęciwszy się służbie rycerskiej, walczył pod znakiem Stanisława Potockiego, w. hetmana koronnego, a po śmierci tegoż przeszedł pod dowództwo jego następcy, Jana Sobieskiego (1673 r.). W bitwie pod Chocimem pierwszy uderzył na hufce nieprzyjacielskie, poraził je i utorował armii polskiej drogę do zdobycia obozu wezyrskiego. Podczas oblężenia Lwowa sprawił się dzielnie i zapędził za hordą tatarską do Mołdawii, gdzie pomógł do zdobycia Suczawy. Walczył z Sobieskim pod Żórawnem i w nagrodę zasług, wymienionych w dyplomie Jana III [1]) z d. 17 czerwca 1684 r., mianowanym został łowczym koronnym, a nadto otrzymał starostwa: Krzepickie, Łuckie i Łosickie. Podczas wyprawy wiedeńskiej miał udział w słynnym ataku jazdy polskiej, który zdecydował zwycięstwo i, jak pisał król Jan do Marysieńki z Schönau: „słał trupem drogi i niewolników trzodami zabierał". (List X).

Nie odstąpił króla Miączyński po bitwie pod Parkanami i był jednym z siedmiu, którzy wśród ogólnego popłochu podtrzymywali ducha i siły nieszczęśliwego wodza.

W roku 1690 został Atanazy podskarbim nadwornym koronnym, a za Augusta II w r. 1713—wojewodą wołyńskim.

Z trzech synów wojewody: Józef był kanonikiem warszawskim, Antoni zaś, wojewoda podlaski, z żoną, księżniczką Woroniecką, spłodził oprócz Józefa, bohatera niniejszego opowiadania, i córkę, późniejszą żonę Mikołaja Józefa ks. Radziwiłła, wojewody mińskiego [2]). Z córek Atanazego starsza, Katarzyna, poślubiła Maksymiliana na Tęczynie Ossolińskiego, młodsza, Elżbieta,—Józefa Sierakowskiego, strażnika koronnego.

---

[1]) Metr. Kor. Ks. 239, str. 12.

[2]) Kotłubaj: „Gal. port. Radziw.", str. 356.

Był to więc, jak widzimy, ród, skoligacony z najpotężniejszemi familiami w rzeczypospolitej, i sam posiadał olbrzymie znaczenie i fortunę magnacką, pisząc się panami na Miączynie, Maciejowie, Połajowie etc. [1]).

Rycerskie owego rodu cnoty przeszły w dziedzictwie na Józefa Miączyńskiego.

Źródła obce wskazują rok 1750, jako datę urodzenia Józefa, Warszawę zaś, jako gniazdo jego rodzinne [2]). W akcie małżeństwa jego z Francuzką, Maryą Chaboteaux, sporządzonym w dniu 8 kwietnia 1780 r. w kościele parafii Ś. Eustachego w Paryżu, Józef hrabia Miączyński zatytułowany szumnie, jako „*haut et puissant seigneur*", podał wiek życia swego na lat trzydzieści siedm; urodziłby się zatem w roku 1743, nie zaś w roku 1750, jak twierdzono.

Obyczajem większości rodzin arystokratycznych polskich Józef Miączyński, prawdopodobnie w młodym bardzo wieku, wysłanym został na naukę do Francyi, której język dokładnie sobie przyswoiwszy, jak własną ukochał ojczyznę [3]), i gdzie zawiązał stosunki, które mu następnie posłużyły do zbliżenia się nie tylko do dworu Ludwika XVI, lecz po upadku monarchii i do sfer rządzących i wojskowych Francyi republikańskiej.

Niewiadomo, w którym roku powrócił był Miączyński do kraju. To tylko pewna, że nazwisko jego wynurza się po raz pierwszy na widownię dziejową dopiero w roku 1769, w epoce konfederacyi barskiej.

Już wówczas akt pierwszy owej konfederayci, zawiązanej w miasteczku Barze, na Podolu, pod przewodem Józefa Pułaskiego, starosty wareckiego, Michała Krasińskiego, podkomorzego rożańskiego, i księdza Marka, ukończonym został—zdobyciem dnia 20 czerwca 1768 r. warowni barskiej przez wojska generała Apraksina i łowczego koronnego Branickiego.

Rozproszone zastępy konfederatów zaczęły się w rozmaitych zakątkach kraju wiązać w konfederacye pomniejsze, w Zatorze, Sie-

---

[1]) O rodowodzie Miączyńskich podał szczegóły ciekawe Łoski w „Kłosach" z r. 1883 T. II. str. 230 przy wizerunku Atanazego.

[2]) „Biogr. univers." T. XXVIII, 516. (Paris, 1821).

[3]) „Dès sa tendre jeunesse il avait montré beaucoup d'attachement pour la France", „Mém. polit. et milit. pour servir à l'hist. de la révol. fran." z r. 1797. T. I, 221 (Ed. Buisson)

radzu, Wieluniu, Gostyninie, których środowiskiem głównem było woj. krakowskie pod laską Michała Czarnockiego, stolnika stężyckiego.

Dopuszczony do zamku Krakowskiego szturm generałów Prozorowskiego i Suworowa zakończył się nową klęską konfederatów, lecz już w następnym roku 1769 odnowili oni w obozie pod Muszyną swój związek, którego generalność przeniosła się do Preszowa na Węgrzech, a następnie do Cieszyna i Białej na Ślązku.

Zdobycie Lanckorony przez zastępy Beniowskiego ożywiło męstwo konfederatów, lecz słabe ich siły nie mogły się oprzeć przewadze przeciwników. Rozbicie oddziału Beniowskiego pod Suchą i księcia Marcina Lubomirskiego pod Makowem zdawało się zapowiadać kres walki, gdy pojawienie się na scenie bojowej braci Pułaskich i kilka pomyślniejszych potyczek, przez nich stoczonych, pobudziło konfederatów do zdwojenia usiłowań i do żądzy powetowania klęsk poniesionych.

Wtedy też wystąpił na widownię bojową i Józef Miączyński.

Liczył on podówczas lat 26 wieku i widocznie niepośledniej między ziemianami zażywał wziętości, skoro jednomyślnością zebranej w sierpniu 1769 r. szlachty województwa bełzkiego powołanym został do objęcia laski marszałkowskiej skonfederowanego województwa.

Wówczas też, przybrawszy sobie Mikołaja księcia Radziwiłła, podkomorzego litewskiego, jako regimentarza, polecił uniwersał o poborze podatków od ziemian oblatować po grodach dnia 30 sierpnia 1769 r. [1]).

Drobne utarczki jego hufca z zastępami hetmana Branickiego trwały do końca tegoż roku. Ważniejsza bitwa zaszła dopiero pod Przemyślem, gdzie w pień wycięto załogę. Po tej rozprawie, widząc nadciągające zewsząd siły przeciwników i obawiając się osaczenia, cofnął się Miączyński pod Lwów, skąd wysyłał drobne oddziały w różne okolice, dla tamowania dowozu zasiłków przeciwnikom.

Wogóle wszakże, przez ciąg drugiej połowy roku 1769, nie wiodło się konfederatom. Pobito ich pod Kaliszem i Dobrą, przecięto im odwrót pod Piotrkowem, gdzie wielu się dostało do niewoli, między innymi i waleczny Francuz, pułkownik Belcour, autor relacyi o pobycie konfederatów na Syberyi [2]).

---

1) Rękop. „Bibl. Ossol.“ ks. 572, N. 11.

2) A. „Konfeder. na Syberyi“. Kraków 1896.

O pomyślniejszych utarczkach oddziału Miączyńskiego podaje niektóre szczegóły Szmitt, opisując bitwę pod Przemyślem. Zmuszonym był następnie marszałek bełzki cofnąć się na bezpieczniejsze stanowisko, z którego mógł trzymać w szachu komendy rosyjskie i przeszkadzać wysyłaniu posiłków w strony zachodnie [1].

Donioślejszego znaczenia bitwa oddziału Miączyńskiego miała miejsce w początkach roku 1770 pod Lwowem.

Zgromadziły się były tam zastępy Pułaskich, wyparte ze Żwańca i Okopów S. Trójcy, w zamiarze zdobycia miasta, bronionego przez wiernych królowi generałów Korytowskiego i Jana Kickiego, starostę lwowskiego. Pod osłoną wojsk rosyjskich, dowodzonych przez pułkownika Trautenberga, konfederaci Miączyńskiego i pułkownika Szyca rozlokowali się pod bramami Krakowską i Halicką, pozostawiwszy część oddziału w blizkości katedry ruskiej Ś-go Jerzego. Jazda konfederacka w dwieście koni uderzyła na dworek panien Brygitek i tak dobrze się tam sprawiła, że, zanim oddział rosyjski do broni porwać się zdołał, pałaszami zarąbała odwach, złożony z czterdziestu żołnierzy, pięciu oficerów wzięła do niewoli, zdobyła trzy chorągwie, kilka armatek, kilkadziesiąt koni i kasę wojskową.

W zamieszaniu tem pułkownik Trautenberg salwował się ucieczką przez ogrody. Żonę jego, przebraną po męsku, w płaszczu i kapuzie, w chwili, gdy wzywała oddział na pomoc, zastrzelono.

„Konfederatów—notuje współczesny świadek — zginęło w tej okazyi tylko siedmiu, kilkunastu zaś było pleyzerowanych... To zrobiwszy, w dobrym porządku odstąpili od miasta, postrzeliwszy w bramie Halickiej majora i kilkunastu żołnierzy, a o wschodzie poszli z tą wszystką zdobyczą ku miasteczku Nawaryi. W dwie godziny poszło za nimi Rosyan 2000 w pogoń, lecz i ci, między Szczerekiem i Nawaryą, znacznie zostali porażeni" [2].

Stwierdzają powodzenie konfederatów w tej potrzebie i bezstronne, źródłowe relacye historyków rosyjskich.

Petrow w „Wojnie Rosyan z konfederatami" (Tom II, str. 231) opisuje wtargnięcie oddziałów Miączyńskiego i Szyca do miasta, spowodowane nierozwagą pułk. Trautenberga, który za to oddanym był pod sąd wojenny i skazany wyrokiem na uwolnienie ze służby i na zwrócenie odszkodowania skarbowi w sumie 11,618 rubli [3].

„Nieznajomy autor" w pamiętnikach, wydanych w r. 1840 przez

---

[1]) H. Szmitt: „Dzieje panow. St. Aug." T. III. 382.

[2]) Rękop. kancl. Zamoyskiego: „Dzieje Polski" w bibliot. Ordyn. N. 1189.

[3]) Sprawa audytoryatu w „aktach archiwum woj. topogr." Loco cit.

Edw. Raczyńskiego, wzmiankując o tej bitwie pod Lwowem, zarzuca Szycowi, że, nie rzuciwszy się na Korytowskiego, poprzestał na łupach, zdobytych na przedmieściach, i cofnął się do Pułaskiego w Krakowskie [1]).

Spotykamy się następnie w źródłach z ordynansem Miączyńskiego, podpisanego wszystkimi tytułami: „hrabiego na Miączynie, Połajowie, Siemieniu i Sielcu, starosty Łosickiego, rotmistrza znaku pancernego, marszałka konfederackiego i komendanta generalnego wojska komputowego", datowanym z obozu pod Żmigrodem, w dniu 20 grudnia 1770 roku, zalecającym panu Malinowskiemu, towarzyszowi znaku pancernego, komputowego, by, udawszy się do Biecza, zwołał tamecznych obywateli i ściągnął według taryfy prowiant, który przez najbliższe parafie do obozu miał być dostawiony „przy użyciu egzekucyi przeciw opieszałym, lub sprzecznym co do tego ułożenia" [2]).

Od tej epoki datują się ściślejsze, nieszczęściem dla Miączyńskiego na życie całe zawiązane, stosunki z emisaryuszem francuskim, pułkownikiem Klaudyuszem Franciszkiem Dumouriezem, który, w połowie roku 1770 wyprawiony do Polski przez Choiseul'a, z misyą zorganizowania konfederatów barskich, usiłował zająć stanowisko naczelnego dowódzcy i instruktora niesfornych oddziałów partyzantki narodowej.

Okazuje się, że wcześniej już bawił Dumouriez w Polsce, w charakterze tajnego agenta polityki „osobistej" Ludwika XV, która, jako „*Secret du roi*", miała na widoku ratować i podtrzymywać tradycyjne stosunki Francyi z Północą i Wschodem, wbrew ustalonym traktatem wersalskim w tej mierze układom z Austryą [3]).

---

[1]) Tom. II. str. 57.

[2]) Bibl. Ossolin. Rękop. 570 N. 8.

[3]) Charakterystyczne szczegóły pierwszej, tajnej misyi Dumourieza do Warszawy, w zaczątkach ruchu barskiego, podaje nam nieznany, lecz widocznie dobrze poinformowany autor „Mémoires polit. et milit." wyd. w roku 1797. (T. I. 96). Godzi się je tu przytoczyć w przekładzie:

„Dumouriez—czytamy w owych pamiętnikach—otrzymał od księcia Choiseul'a tajną do Warszawy misyę. Rosyanie, którzy podówczas w stolicy byli wszechwładnymi panami, byliby go niewątpliwie kazali powiesić, gdyby wiedzieli byli, w jakim celu do Polski przybył. Misya ta pomyślnie załatwioną została, mimo to minister Choiseul postanowił wysłać na miejsce Dumourieza innego agenta, bardziej wybitnego, któremu miano nadać charakter jawny posła dworu francuskiego. Wybrano tego następcę w osobie koligata możnego rodu de Boofflers. Po przyjeździe tegoż do Warszawy zawiadomionym został Dumouriez o celu tego poselstwa.

Jako już obeznanego ze stosunkami polskimi wyprawiło Dumourieza ministeryum Choiseula powtórnie do Polski w połowie roku 1770, tym razem w charakterze emisaryusza wojskowego, do pomocy barszczanom, wyznaczywszy mu na podróż 12,000 liwrów i płacę miesięczną po 3,000 liwrów.

Liczył sobie podówczas Dumouriez lat trzydzieści kilka wieku i miał za sobą, oprócz renomy zręcznego wywiadowcy, sławę walecznego żołnierza z czasów wojny siedmioletniej, okrytego ranami, otrzymanemi w nieszczęśliwej dla Francyi bitwie pod Rosbach (1757 r.).

Trudno wymiarkować, jakiemi pobudkami kierował się Dumouriez, przyjmując ponowną misyę do Polski, on, który sam mianuje się, w odnalezionym niedawno w bibliotece Mazaryńskiej rękopiśmiennym memoryale, „*un simple colonel, intrus dane le dédale politique*", nie sympatyzującym przytem ze sprawą i narodem, którym oręż swój miał poświęcić.

Oto wysoce charakterystyczne wynurzenia Dumourieza, świadczące o nastroju jego poglądów w tym kierunku, zaczerpniętych z pierwszego w Polsce pobytu:

„Zrażony złą wiarą, nieświadomością i lekkomyślnością tych wszystkich, którzy byli kierownikami sprawy, szukałem w uczuciu ludzkości podniety i odwagi w zniechęceniu. Naród, walczący o swój byt, prawa i wiarę, winien był we własnym interesie szukać środków do podźwignięcia się z niedoli, od czego jego zbawienie zależało.

„Tych pobudek wszakże nie znalazłem w duszach, zniewieścia-

— Słuszne to—odrzekł Dumouriez—lecz, zanim wydam w ręce Pańskie moją tekę dyplomatyczną, pozwolisz, że sam na sam spożyjemy obiad ze sobą".

„Propozycya ta przyjętą została. Na każdem z nakryć w sali gościnnej znalazł się pistolet nabity. Wobec zdziwienia, jakie okazał nowy agent, ujrzawszy tak dziwne do obiadu przybory, rzekł Dumouriez.

— „Racz mnie wysłuchać. Książę de Choiseul wysłał mnie tutaj z misyą na moje risico. Wiesz zapewne, że szpiegów, schwytanych na gorącym uczynku, wieszają. Otóż mnie się udało spełnić niebezpieczne posłannictwo, a obecnie Pan tu przybywasz w zamiarze pozbawienia mnie owoców moich trudów. Osądź sam, czy to ścierpieć mogę? Pochodzisz Pan z rodu możnego i wpływowego, możesz zatem obejść się snadnie bez takiego stanowiska, które mnie się należy. Otóż żądam jednego z dwojga: albo mi tu na miejscu palniesz w łeb, albo pozostawisz mi możność pójścia na szubienicę...

— *A la bonne heure!* odrzekł, śmiejąc się nowy ambasador. Żądanie Pańskie jest słuszne. Ustępuję z placu".

łych skutkiem zamiłowania w zbytku, intrydze i przedajności demokracyi arystokratycznej (? *par les intrigues et la venalité d'une démocratie aristocratique*...)

„Widziałem 15 tysięcy Rosyan, trzymających w szachu 8 milionów mieszkańców, na przestrzeni, o trzecią część od Francyi większej. Widziałem króla jeńca, osaczonego w Warszawie przez potężnego posła rosyjskiego, owego króla, a raczej cień jego, drwiącego z narodu własnego, komedyanta skończonego w gronie nędznych histryonów, muzyków i artystek, intrygującego na dworach sąsiedzkich, celem zachowania strzępków królewskości, poświęcającego swe państwo i wolność obywateli, wzgardzonego przez tych ostatnich.

„Nie korzystając z wolności republikańskiej, Polacy skutkiem formy swego rządu, pozbawieni są rękojmi, jakie daje władza monarchiczna, pozbawieni są praw, hamujących namiętności, a nadto poczucia obowiązku dla spraw ogólnych. Przyzwyczajeni do sejmikowych intryg, do czczych rozpraw, zniewieściali skutkiem sześćdziesięcioletniego pokoju, pogardzając służbą wojskową, i otoczeni rojem dworaków i poddanymi, mało ukształceni, bez znajomości sztuk i nauk, stali się Polacy zarozumiałymi, pysznymi, rozmiłowanymi w zbytkach, nadskakującymi kobietom, lekkomyślnymi i przesądnymi... „*Ils passent leur vie* — kończy Dumouriez — *à faire l'amour, boire, se donner des festins, jouer gros jeu et arranger des complots les uns contre les autres*".

Z takiem wyobrażeniem o wadach narodu, któremu poświęcić się pragnął, zabrał się Dumouriez wraz ze współtowarzyszem przyszłej kampanii, kawalerem de Taulès, do przedrabowania w archiwum księcia de Broglie wszelkich dokumentów, odnoszących się do spraw polskich od roku 1764. Obeznał się dokładnie z mapą Polski Zannoniego i po naradzie z przybyłym do Paryża imieniem generalności barskiej b kuchmistrzem litewskim, Wielhorskim, osnuł projekt zjednoczenia wszystkich oddzielnych partyi konfederackich w jednolitą armię, celem skombinowania jej działań z ruchami armii tureckiej, podówczas się broniącej energicznie przeciw zastępom rosyjskim w Mołdawii.

W trakcie podróży do Polski zatrzymał się Dumouriez w Strasburgu i stamtąd wystosował do księcia Karola Kurlandzkiego (żonatego z Franciszką Krasińską i uważanego powszechnie z tytułu koligacyi z ks. biskupem Krasińskim za ogniwo duchowe, łączące wszystkich wodzów konfederacyi) list, wzywający go na naradę do Monachium na dzień 1 sierpnia 1770 roku.

Przedmiotem tej narady miała być obietnica, iż w razie pomyślnego obrotu spraw w Polsce tron kurlandzki przywróconym będzie ks. Karolowi, w zamian za co—zobowiązać się miał ks. Karol do sformowania w Saksonii oddziału wojsk, pod dowództwem własnem i kosztem skarbu francuskiego.

Przybywszy do Monachium, zakupił Dumouriez 22,000 sztuk broni, pod warunkiem, że, jeżeli minister Choiseul zakupu owego nie zatwierdzi, broń będzie Dunajem odesłaną do Pesztu i sprzedaną Austryi.

We Wiedniu zastał Dumouriez dwu wysłańców konfederacyi: Sarnackiego z Korony i Domańskiego z Litwy.

Ambasador francuski, Durand, przedstawił go księciu Kaunitzowi i cesarzowej Maryi Teresie, poczem wyjednał dlań posłuchanie u Józefa II.

W końcu sierpnia, kupiwszy po drodze nową partyę broni, przybył Dumouriez z Sarnackim i Domańskim, z którymi zaledwie słabo w języku łacińskim mógł się porozumiewać, do Eperies, gdzie było siedlisko czasowe generalności, i tutaj nastąpiło bliższe poznanie się między nim a przywódzcami ruchu.

Wynurzenia Dumourieza o ówczesnym stanie konfederacyi i o uzdolnieniu jej przywódców charakteryzują dokładniej jeszcze, niż przywiedzione powyżej uwagi jego, brak wiary w powodzenie akcyi, którą kierować zamierzył.

„Hrabia Pac – pisał Dumouriez—był człowiekiem towarzyskim, uprzejmym, lecz bardzo lekkomyślnym. Miał więcej ambicyi, aniżeli środków, więcej rzutkości, niż stanowczości. Był wymownym, co wobec natury rządów polskich jest zjawiskiem naturalnem. Jedynym mężem rozważnym w Eperies był Litwin Bohusz, sekretarz generalności. Książę Radziwiłł była to osobistość nieokrzesana... („*une bête brute*"), lecz jedną z najpotężniejszych między magnatami. Hrabia Zamoyski, brat kanclerza, budził szacunek swą prostotą i zacnością. Znajdowało się tam również kilku Potockich. Obyczaje wszystkich owych przywódców były azyatyckimi. Zbytek nadmierny i rozrzutność, długie biesiady, gry hazardowne w faraona i tańce, wypełniały prawie całkowicie ich zajęcia dzienne. Siły konfederatów podawane na 40 tysięcy żołnierza, w rzeczywistości nie dochodziły w Koronie w połowie 1770 r. tej cyfry. Składały się one w Wielkopolsce z 4 do 5 tysięcy ludzi, dobrze uzbrojonych pod dowództwem Zaremby, z 1000 jezdnych, dowodzonych przez Kozaka Sawę, z 3 lub 4 tysięcy jezdnych Pułaskiego, który generalności nie uznawał, z 3 tysięcy konfederatów pod wodzą Miączyńskiego, z 1500

ludzi w oddziale Walewskiego, z oddziałów drobniejszych, pod wodzą Szymona Zielińskiego, Czernichowskiego, Dobrzyńskiego i Orzeszki zostających [1]).

„Ogół zatem wynosił kilkanaście tysięcy żołnierzy, prowadzonych przez marszałków niezależnych, działających na własną rękę, po większej części opornych rozkazom generalności.

„W takiem to niefortunnem położeniu sprawy przybyła do Eperies Aniela Mniszchowa, żona Wandalina hr. Mniszcha, córka b. ministra Brühla, zapamiętała nieprzyjaciółka króla Stanisława Augusta, posiadająca na dworze saskim liczne koło sprzymierzeńców. Ona to użyła wszelkich środków perswazyi dla pojednania Pułaskiego z generalnością i dla uśmierzenia niechęci, jaka istniała między biskupem Krasińskim a Teodorem Wesslem, b. podskarbim koronnym. Rywalizujący ze sobą w miłości do córki owej „Armidy polskiej", Urszuli Mniszchówny młody ks. Sapieha i Miączyński, poddali się jej wpływom" [2]).

Ogół marszałków konfederackich przyjął wypracowany przez Dumourieza plan dalszego działania, który, zdaniem jego, miał wreszcie wprowadzić porządek do ruchawki bezładnej [3]).

Pozostawiając generalność w charakterze władzy zwierzchniej nad konfederacyą, zamierzył Dumouriez przelać władzę jej wykonawczą na cztery wydziały: sprawiedliwości, skarbu, spraw zewnętrznych i wojny. Każda rada, dla której nakreślił statuta, składać się miała z sześciu członków i sekretarza. Marszałek generalny konfederacyi miał być prezesem z urzędu każdej z owych rad wydziałowych i co dni piętnaście obowiązanym był zdawać sprawę przed generalnością z załatwionych czynności i powziętych uchwał.

Po zamianowaniu posłów imieniem konfederacyi do państw, pozornie ruchowi sprzyjających, oraz po wprowadzeniu reform do wewnętrznego zarządu konfederacyi i odparowaniu przy pomocy hra-

---

[1]) Urzędowy historyk ros. Fr. v. Szmitt oddaje zasłużone pochwały tylko Miączyńskiemu, Walewskiemu i Puławskiemu w dziele; „Suworow und Polens Untergang", Lipsk 1858. T. I. 56. „Miączyński und Walewski, junge Männer von erprobter Tapferkeit, für die der Krieg eine Lust war; vor allen aber Kaz. Pulawski.

[2]) Piękny portret hr. Mniszchowej widziałem w Akademii Sztuk Pięknych w Petersburgu, w zbiorze rycin po Stanisławie Auguście („Femmes" vol." 38 N. 74). Nagrobek tej damy istnieje w kościele OO. Reformatów. Bartoszewicz „Kościoły warsz." str. 277.

[3]) „Wojna w Polsce 1770 i 1771". Z pam. Dumourieza. Poznań 1865. str. 25.

biny Mniszchowej intrygi generała Mokronowskiego, który, przybywszy do Eperies w celu rzekomego ogłoszenia króla głową konfederacyi, nie tylko że celu tego nie dopiął, lecz wywołał ogłoszenie detronizacyi Stanisława Augusta—wyjednał Dumouriez od ministra Choiseula zasiłek pieniężny na dalszą akcyę w Polsce.

Upadek ministeryum Choiseula, do czego przyczyniła się kochanica królewska, pani Dubarry (grudzień 1770), zniweczył nadzieje konfederatów. Następca Choiseula, książę d'Aiguillon, postanowił zerwać z dotychczasową polityką Francyi, odnośnie do spraw polskich. Przyczyniły się do tego listy agentów francuskich, nawołujące do porzucenia sprawy konfederatów barskich, grożącej losom Francyi powikłaniami dyplomatycznemi. Jakoż, ks. d'Aiguillon zaraz po objęciu steru gabinetu wersalskiego odwołał z Drezna posła Zuckmantla, który współdziałał z księciem Karolem w tworzeniu oddziału wojsk najemnych pomocniczych i przesłał do Monachium rozkaz wstrzymania dostawy 22,000 sztuk broni, przeznaczonej dla konfederatów [1]).

W Marcu 1771 r. odbyła się w Bielsku narada generalności. Postanowiono na niej połączonemi siłami oddziałów konfederackich rozbić nadciągające siły wojsk rosyjskich w okolice Krakowa [2]).

---

[1]) Petrow. T. III. 107.
[2]) Fr. v. Szmitt. T. I. 71.

(*d. c. n.*). *Alexander Kraushar.*



Nauka Ekonomii Politycznej

według Henryka George'a.



Każda epoka rozwoju kulturalnego ludzkości ma swoje piekące zagadnienie, narzucające się powszechnej uwadze i domagające się szybkiego rozstrzygnięcia. Żyjemy w czasach, kiedy kwestye ekonomiczno-społeczne zaprzątają wszystkie czynne umysły, gdyż siłą rzeczy wysunęły się na pierwszy plan i nadają zabarwienie myślom naszym. Sprawy natury ściśle ekonomicznej stały się podkładem polityki w najszerszem tego słowa znaczeniu, i najtęższe głowy zajmują się ich załatwieniem.

Nim społeczeństwa zdołają wejść w nową fazę gospodarczą, muszą wpierw rozstrzygnąć rzecz teoretycznie, aby zdobyte prawdy w praktyce zastosować. A rozstrzygnięcie to wcale nie jest łatwe, ponieważ rozumowaniu ludzkiemu stają w poprzek z jednej strony odziedziczone po dawnych epokach uprzedzenia, a z drugiej cała masa interesów osobistych i klasowych.

Wskutek bankructwa klasycznej ekonomii politycznej, której Adam Smith dał początek, potworzyły się różne nowe prądy i szkoły, które, krytykując i obalając stare teorye, wprowadzają nowe,

oparte na nowych pojęciach lub nowych odkryciach starych faktów. Wynikiem tego jest zamieszanie i chaos, które utrudniają zoryentowanie się i oświadczenie się za tym lub owym kierunkiem. Zresztą wobec nieustalenia się rzeczy jest to nawet wprost niemożliwe. Jeszcze kapitalizm nie ustąpil całkiem z pola, gdy już wystąpiły z sobą do walki dwa wrogie kapitalizmowi, a sobie przeciwne, obozy: kollektywistów oraz indywidualistów. Obok nich zaś wyłaniają się inni ludzie, którzy mają też od siebie coś w tej sprawie do powiedzenienia. Ludzie ci znajdują posłuch większy lub mniejszy i zyskują zwolenników. Do takich ludzi należał w Ameryce niedawno zmarły Henry George, a w Europie nad grobem stojący John Ruskin. Dzieła tych myślicieli wywarły ogromny wpływ na współczesnych i przyczyniły się do przekształcenia wielu przestarzałych pojęć z zakresu nauk ekonomiczno-społecznych.

Odkładając na później omówienie nauki Ruskina, postaramy się obecnie dać czytelnikowi dokładne pojęcie o systemie George'a, zawartym w dziele „*The Science of Political Economy*". Jest to dzieło, nie zupełnie skończone i po nagłej śmierci autora przez jego syna wydane.

Wpływ Henryka George'a we wszystkich krajach, mówiących po angielsku (english—speeking countries), był ogromny; wszystkie jego nauki były chciwie przyswajane. A gdyby nie to, że uczonemu zabrakło w ostatniej chwili sił do skończenia nużącej kampanii wyborczej, byłby prawdopodobnie zasiadł na krześle majora Nowego-Yorku i na tem stanowisku wiele dla spopularyzowania swych teoryi uczynił.

Gdy atoli śmierć przedwcześnie pasmo dni życia przerwała, George przemawia już tylko z za grobu w pozostawionej przez siebie pracy, która o tyle na pilną zasługuje uwagę, że otwiera przed czytelnikiem nowe horyzonty i pozwala mu spojrzeć krytycznie na wiele ujemnych objawów współczesnego życia ekonomiczno-społecznego.

Jednym z głównych błędów, popełnianych przez klasyczną ekonomię polityczną, było (i jeszcze jest) oparcie się na fałszywych zasadach. Przez długi szereg lat ludzie albo nie widzieli przyrodzonych, powszechnie obowiązujących praw ekonomicznych, albo też pod wpływem Adama Smitha przyjmowali, jako prawo ekonomiczne, to, co niem nie było i nie jest. Prawo ludzkie, będące wielokrotnie błędnem, a zawsze tylko przejściowem, nie mogło i nie może służyć za jedynie pewną podstawę systemu ekonomii politycznej, która nie opiera się w części na prawach ludzkich, a w części na prawach natury, ale w całej rozciągłości na tych ostatnich, niezmien-

nych, stałych i niezawodzących. Pierwszym zatem krokiem do racyonalnej reformy jest zrozumienie faktu, że w badaniach ekonomicznych musimy dojść do poznania praw natury.

Zanim atoli zabierzemy się do ich odkrycia i poznania, wypadnie nam odpowiedzieć na pytanie, co to jest wogóle ekonomia i jakie jej zadanie. Opierając się na etymologii słowa, powiemy, że ekonomia równa się unikaniu marnotrawstwa. Oczywiście, w tem ogólnem znaczeniu mamy ekonomię pojedyńczego człowieka, ekonomię grupy ludzkiej albo grup ludzkich. Ekonomia polityczna, jako specyalna gałąź wiedzy, zajmuje się stosunkami w gminie lub społeczeństwie. Ogromną ostrożność należy zachować w używaniu przymiotnika „polityczny". Ze zwykłego znaczenia tego słowa wnioskując, łatwo możnaby przypuszczać, że ekonomia polityczna stoi w ścisłym i bezpośrednim związku z organizmem politycznym, z państwem, które posiada swoje własne prawa, tylko na danem terytoryum obowiązujące. Tymczasem ekonomia polityczna ma do czynienia z organizmem społecznym, ekonomicznym, a prawa jej, obowiązujące wszędzie, nie mogą podlegać uchwałom parlamentów lub edyktom panujących. Ekonomia polityczna ma do czynienia z prawami organizmu, którego każdy człowiek jest członkiem nie przez fakt posiadania takiego lub innnego obywatelstwa, ale przez fakt społecznego pożycia ze swymi współobywatelami, przez fakt, że nie stara się zaspokoić swych pragnień i potrzeb sam, lecz drogą kooperacyi. To sprawia, że jednostką dla ekonomii politycznej jest nie indywiduum, ale grupa indywiduów, dążących wspólnie do osiągnięcia zamierzonego celu, to jest do jak najłatwiejszego zaspokojenia swych materyalnych potrzeb. Jakkolwiek więc sprawa staje się bardziej skomplikowaną, to jednak w ten sposób dopiero nauka staje na właściwym gruncie. Tą drogą dochodzimy do poznania faktu, że ludzie (to znaczy wszyscy ludzie) mogą osiągnąć zaspokojenie swych materyalnych potrzeb tylko przez pracę, to jest przez oddawanie sobie wzajemnych usług. Ekonomia polityczna zajmuje się prawami kooperacyi bez względu na jej cel lub wartość moralną: ta bowiem strona całego procesu należy do etyki.

Jeżeli przyjmiemy, że ekonomia polityczna wskazuje nam prawa natury, według których człowiek dąży do zaspokojenia swych materyalnych potrzeb przy pomocy najmniejszego wysiłku, to musimy także przyjąć, iż elementami naszej nauki będą czynności ludzkie, świadomie w pewnym celu skierowane, czynności, wypływające z natury ludzkiej, która podlega niezmiennym prawom przyrody. Zatem pamiętajmy, że elementami ekonomii politycznej nie są

ani surowy materyał, ani prawa, jakim on podlega, ale człowiek i te jego pragnienia, do których zaspokojenia świadomie musi dążyć. Że zasada powyższa nie jest błędna, dowodzi codzienne doświadczenie: ile razy zastanawiamy się nad czyimś postępkiem, pytamy o jego powód. Czyn, nie dążący do zaspokojenia jakiegoś pragnienia, jest dla nas niezrozumiały, zagadkowy. Pragnienia są różne, jedne silniej narzucają się uwadze człowieka, niż drugie; jedne muszą być wprzód zaspokojone, aby człowiek pomyślał o drugich. Ale ta hierarchia pragnień to rzecz podrzędna. Główną sprawą jest fakt ich istnienia i dążność do ich zaspokojenia w sposóo możliwie ekonomiczny.

Że człowiek pragnie zaspokoić swoje pragnienia przy najmniejszym wydatku energii, to jest fakt, wypływający z innego, a mianowicie z uczucia zmęczenia, wywołanego pracą. Gdyby człowiek nie męczył się i nie pragnął unikać zmęczenia, toby i ekonomia tak ważnej roli nie odgrywała. Tu mamy nieuniknione prawo natury i zarazem fundamentalne prawo ekonomii politycznej, którą od czasów Adama Smitha opierano fałszywie na egoizmie ludzkim, jako na sprężynie wszelkiej działalności. Zasada egozimu atoli jest fałszywą, bo sympatya, współczucie człowieka dla człowieka jest jedną z zasadniczych stron natury ludzkiej i pobudek działalności. Egoizm należy więc odrzucić, jako podstawowe prawo ekonomii politycznej, gdyż zasada ta wcale nie zgadza się z prawdą.

Co się tycze metod, to ekonomia polityczna posługuje się zarówno metodą indukcyjną, jak dedukcyjną; obie są do stworzenia systemu równie potrzebne. Ostatecznie atoli nie tyle idzie o metodę, ile o umiejętne zaobserwowanie faktów, służących za punkt wyjścia dla całego rozumowania.

Zważywszy wszystko, co się wyżej powiedziało, należy jeszcze dać definicyę ekonomii politycznej. Otóż ekonomia polityczna jest nauką o naturze bogactwa, o prawach jego produkcyi i podziału. Konsumcya jest rzeczą obojętną. Tu George różni się od Ruskina, który uważa, że rozumna konsumcya jest równie ważna, jak uczciwa produkcya i sprawiedliwy podział. Między Ruskinem jednak a Georgem ta jest różnica, że pierwszy stara się wprowadzić do ekonomii pierwiastki etyczne, gdy drugi ignoruje stronę etyczną i stara się tylko poznać prawa natury, które nie są ani złe, ani dobre, lecz tylko są prawami natury.

Celem ekonomii politycznej jest zbadanie praw produkcyi i podziału bogactwa; rzecz więc jasna, że badanie to należy zacząć od ścisłego określenia natury oraz istoty bogactwa. Lecz definicya bogactwa jest trudna z powodu, że słowa tego w pojęciu wcale nie

naukowem używamy ustawicznie w mowie potocznej. Mówiąc zazwyczaj o bogactwie, rozumiemy dobrze, co to jest; ale gdy od ekonomii jednostki przejdziemy do ekonomii społeczeństwa, musimy słowu „bogactwo" nadać zupełne inne znaczenie. Jak bowiem zdrowie lub siła społeczna odmienne są od zdrowia lub siły indywidualnej, tak samo i bogactwo społeczne różni się od indywidualnego. W potocznem pojęciu bogactwo jest to obfitość i dostatek przedmiotów, dających zadowolenie pożądań i pragnień jednostki. Rzeczą jednak jest jasną, że ktoś może posiąść bogactwo drogą rabunku, kradzieży i t. d.; wówczas, jakkolwiek jednostka nabywa bogactwo, to suma jego nie powiększa się w społeczeństwie, które obejmuje zarówno krzywdzącego, jak i pokrzywdzonego. Bogactwo zaś w społecznem pojęciu wymaga przyrostu ogólnej sumy, a nie przechodzenia bogactwa z rąk do rąk.

To nie łatwe do uniknienia pomieszanie sprawia, że ludzie, na ogół biorąc, nie mogą sobie wyrobić jasnego pojęcia o bogactwie społecznem. Można to darować profanom, lecz nie specyalistom. Nie możemy tu przytaczać określeń najwybitniejszych ekonomistów; wystarczy jednak powiedzieć, że z całego szeregu ekonomistów nie ma dwu, którzyby się na jedno zgadzali.

Wielu wybitnych ekonomistów, jak np. Ricardo, nie starali się nawet dać definicyi bogactwa. Z tego zamieszania asumpt biorąc, prof. Perry w książce swej p. t. *„Element of Political Economy"* dochodzi do przekonania, że bogactwa, jako ścisłego pojęcia ekonomicznego, określić nie można, że więc najlepiej będzie dla nauki porzucić chęć zdefiniowania bogactwa. Nie lepszy pod tym względem jest Alfred Marschall, słynny profesor ekonomii politycznej w Cambridge, który w dziele swem *„Principles of Economies"* nie dał nam wcale definicyi bogactwa.

Zachodzi pytanie, czy definicya bogactwa jest tak niesłychanie trudna do postawienia, czyli też może na przeszkodzie stoją inne sprawy, nic z nauką nie mające do czynienia.

Oficyalni ekonomiści twierdzą, że ekonomia nie mogła się rozwinąć w świecie klasycznym z powodu instytucyi niewolnictwa. Rzecz jasna. Ludzie, których dobrobyt opierał się na krzywdzie innych, powiedzmy wprost, na rabunku, nie chcieli nic wiedzieć o rzetelnej istocie bogactwa w społecznem pojęciu tego wyrazu. Posiadacze niewolników byli klasą potężną, wpływową, i jedni z obawy przed nimi, drudzy przez poczucie wspólności interesów unikali zbadania i określenia istotnego bogactwa. Dzisiaj niewolnictwo już nie istnieje, ale za to wytworzyły się w nowożytnem społeczeństwie inne warunki, powodujące fałszowanie ekonomii politycznej w inte-

resach klasowych. Dzisiaj, według twierdzenia H. George'a, posiadaczy niewolników zastąpili właściciele ziemscy, którzy z krzywdą mas dzierżą w swych rękach całą ziemię, będącą niezaprzeczonem tychże mas dziedzictwem. Właściciele ziemscy nie chcą, zdaniem amerykańskiego ekonomisty, wyjaśnienia faktu, że, jakkolwiek oni niezawodnie się bogacą, to się bogacą krzywdą innych, i że jakkolwiek oni majątek swój pomnażają, majątek społeczny wcale się nie zwiększa. Jak w świecie klasycznym, powiada H. George, posiadacze niewolników, tak dzisiaj właściciele ziemscy są tą klasą społeczną, która ma znaczenie i wpływ przemożny, która dyktuje wygodne sobie zasady ekonomiczne nie tylko nieuświadomionym tłumom, ale i uczonym, idącym bezkrytycznie z prądem czasu.

Ile razy mieliśmy w historyi podobny objaw, tyle razy poza oficyalną nauką i zbałamuconymi tłumami stała świadoma swych interesów klasa ludzi, która fałszowała naukę dla celów osobistych. Jeżeli nie posiadamy do tej pory racyonalnej definicyi bogactwa, to dlatego, zdaniem George'a, że istnienie jej nie byłoby dogodne klasie właścicieli ziemskich. A że ci opłacają profesorów ekonomii politycznej, że ci mają na swoje usługi potężną prasę, przeto nie dziw, że udało im się tak uformować opinię publiczną, jak im dogodnie. Ogólnie panujący prąd objął nawet istotnie potężne umysły i czyste charaktery, jak Mill, którego pojęcia o stosunku ludu do ziemi są niejasne i niekonsekwentne. Bankructwo oficyalnej ekonomii politycznej, która się do upadku przyznała, ułatwi drogę do poznania prawdziwej istoty bogactwa narodowego.

Bankructwo to nie byłoby zupełnie potrzebne, gdyby ekonomiści zechcieli w swoim czasie zrozumieć intencye pomnikowego dzieła Smitha, który dał wyraźną wskazówkę, co rozumie przez bogactwo. Wskazówka ta mieści się już w artykule pracy, który opiewa tak: „Dociekanie natury i przyczyn bogactwa narodów". Nie godzi się twierdzić, że Smith miał na myśli nie bogactwo społeczne w przeciwstawieniu do bogactwa indywidualnego, lecz zasoby materyalne różnych grup narodowo-politycznych. A nie godzi się tak twierdzić, bo Smith kilkakrotnie zaznacza, że przez bogactwo rozumie rezultat z pracy i ziemi. Rezultat z pracy i ziemi, a nie suma rezultatów z pracy i ziemi, co byłoby czemś zupełnie odmiennem. Byli ekonomiści, którzy twierdzili, że Smith nie mógł tak rozumieć bogactwa, ponieważ, gdy nurek wydobędzie perłę z dna morskiego, to zarówno perła, jak i bezużyteczna dla poławiacza skorupa, jest rezultatem z pracy i ziemi. Zarzut ten jest śmieszny, bo Smith mógł mieć na myśli jedynie zamierzony rezultat,

a nigdy przypadkowy, o który człowiek się nie ubiega. Inna sprawa, że Smith nie określił stosunku bogactwa do innych kategoryi ekonomicznych, że do bogactwa zaliczył także przymioty osobiste i długi. Ale zasadniczo traktował w swem dziele nie bogactwo w ogólności i nie bogactwo indywidualne, lecz bogactwo społeczne czyli narodowe.

Ponieważ George zostaje w duchowem oraz ideowem pokrewieństwie z Adamem Smithem, a przez niego z fizyokratami, przeto nic dziwnego, że poświęca i pierwszemu, i drugim dosyć sporo miejsca w swej książce. Odsyłając czytelnika do dzieła samego lub do innych źródeł wiadomości o poprzednikach George'a, tu zaznaczymy tylko razem z naszym autorem, że, według niego, Smith miał pomysł do swej pracy przed podróżą na kontynent i poznaniem fizyokratów, o których odzywał się z wielkiem uznaniem, i że George sam nic nie zawdzięcza fizyokratom, jakkolwiek uważa ich za twórców teoryi wolnego handlu i pierwszych w ekonomii zwolenników pojedyńczego podatku, *impôt unique*, (ang. *single tax*). Jednym z najbardziej uderzających rysów, charakteryzujących fizyokratów, było zrozumienie natury renty gruntowej, określonej przez Ricarda, którą nazywali *produit net*, a którą Smith nazwał „niezapracowanym wzrostem wartości ziemi". Spostrzeżenie tego *produit net*, jako kategoryi ekonomicznej, sprawiło, że fizyokraci uważali rolnictwo, jako jedyne produkcyjne zajęcie, i dlatego też wymagali nałożenia i popierania swego *impôt unique*. Pomijając bliższe rozpatrzenia stosunku pomiędzy Adamem Smithem a fizyokratami, spojrzyjmy na wpływ, jaki angielski myśliciel wywarł na rozwój ekonomii politycznej.

Podczas gdy fizyokraci byli w swych zasadach mocno radykalni, Adam Smith postąpił sobie rozważniej, gdyż stanął na łagodniejszem stanowisku. Walka jego z tak zwanym systemem merkantylnym, to znaczy z systemem protekcyjnym, była pozornie skierowana przeciwko rozwijającemu się przemysłowi i handlowi. To powód, dla którego potężni landlordowie nie tylko przeciwko nauce Smitha nic nie mieli, ale nawet przychylne względem niej zajęli stanowisko. Gdy atoli wskutek pominięcia jedynie rzetelnej definicyi bogactwa okazało się, że system Smitha służy do usprawiedliwienia procesu bogacenia się jednych kosztem drugich, jako procesu przyrodzonego i nieuniknionego, merkantyliści nie tylko nic przeciwko nowym hasłom wolnego handlu nie mieli, ale przeciwnie chwycili się ich oburącz, jako teoryi, bardzo dla siebie dogodnej, i skierowali jej ostrze właśnie przeciwko landlordom, spowodowując odwoła-

nie praw zbożowych, jako protekcyjnych. Wkrótce klasy posiadające ukuły z nauki Smitha potężną broń, którą zasłaniały się przed atakami krzywdzonych i wydziedziczonych. Broni dostarczył Smith merkantylistom wskutek nieokreślenia bogactwa, co wreszcie doprowadziło do tego, że ekonomia polityczna wyrodziła się z nauki o bogactwie w naukę o jakościach zamiennych czyli ekonomikę. Wskutek braku podstawy zapanowało w ekonomii ogólne zamieszanie, wyrodził się chaos, który uniemożliwia porozumienie się już nie w sprawach drugorzędnych, ale wprost podstawowych.

Mimo to nie brakowało usiłowań, dążących do zreformowania ekonomii politycznej z jednej strony i do wprowadzenia gospodarki światowej na racyonalne tory z drugiej. Wcześniej i później ukazali się autorowie, którzy usiłowali wykazać, że prywatne władanie ziemi jest bezprawiem, że przyszłość ludzkości leży jedynie i wyłącznie w uznaniu ziemi za wspólne dziedzictwo rodzaju ludzkiego, w zniesieniu wszelkich podatków z wyjątkiem podatku od ziemi. George krytykuje różne teorye w tym kierunku, a zwłaszcza szkołę socyalistyczną, bo socyaliści, nie starając się poznać przyrodzonych praw, będących podstawą rzetelnej ekonomii politycznej, proponują reformy, oparte na sztucznej i konwencyonalnej organizacyi ekonomiczno-społecznej, nie mogącej liczyć na to, aby się jej udało istotne zło usunąć i poprawić byt klas upośledzonych.

George zaznacza kilkakrotnie z wielkim naciskiem, że wymienionych przez siebie prac nie znał przed wydaniem swojej głośnej książki p. t. „*Progress and Poverty*". Chodzi mu tu oczywiście o podkreślenie faktu, że teorya bogactwa i pojedyńczego podatku jest oryginalnym tworem jego rozmyślań nad obecnym stanem ekonomicznym społeczeństw. O wielu pracach, zdradzających ten sam kierunek myślenia, dowiedział się Henry George dopiero po napisaniu „*Progress and Poverty*", gdy praca ta zyskała mu rozgłos i zaczęto zwracać jego uwagę na innych, pokrewnych mu zasadami autorów. Fakt ten nie zdziwi nikogo, kto się dowie, że George nie miał uniwersyteckiego wykształcenia i że nie znał obcych języków.

Pomijając cały rożdział książki, poświęcony wrażeniu, jakie w świecie ekonomicznym uczyniło pojawienie się pracy p. t. „*Progress and Poverty*", przystąpimy teraz do pozytywnej części dzieła Henryka George'a.

Uderzająca niezgodność ekonomistów na punkcie natury bogactwa, panująca dziś powszechnie, doprowadziła do przyjęcia za

pewnik, że wszelkie bogactwo posiada wartość. Ale co do tego, czy wszystko, co posiada wartość, jest bogactwem w ekonomicznem znaczeniu tego pojęcia, lub też, czy tylko pewne formy wartości są bogactwem, a inne nie, na to niema zgody. A niepewność ta odnośnie do natury bogactwa zdaje się wynikać z niepewności na puncie natury wartości w ogóle. Stąd będzie rzeczą właściwą w systematycznym rozbiorze prawd ekonomii politycznej rozpocząć od ścisłego określenia natury wartości, a potem dopiero przejść do określenia istoty i natury bogactwa. To usprawiedliwia w zupełności przyjęty porządek i nadpis drugiego roździału całej pracy, noszącego właśnie tytuł: *Istota bogactwa.* Pojęcie wartości ma w ekonomii tak podstawowe znaczenie, że wielu uczonych dało tej gałęzi wiedzy nazwę nauki o wartości. Mimo to pojęcie to do dziś dnia jeszcze nie jest ściśle określone.

Pierwotnie słowo „wartość” oznacza wszelką własność, wywołującą uczucie szacunku i oceny, ale my cenimy rzeczy już to wskutek użytku, jakie one nam same w sobie przynoszą, już też wskutek tego, co nam mogą dać wzamian. W mowie potocznej nie uwzględniamy różnicy pomiędzy dwoma rodzajami wartości, bo istotę jej oznacza nam już natura rzeczy, o której mówimy. Ale słowo „wartość” posiada podwójne znaczenie, bo z jednej strony oznacza cechy rzeczy, przedstawiających dla nas użytek (wartość równa się użyteczności — wartość kompasu, metody antiseptycznej w chirurgii, wartość książki); z drugiej zaś — cechy przedmiotów, posiadających własność zamienności czyli kupowania (np. większa wartość złota, niż srebra) i w tem pojęciu słowo „wartość” jest właśnie terminem naukowym; własność użyteczności nazwał Smith „wartością użytkową”, a własnoość nabywania innych przedmiotów „wartością zamienną”. Obydwa terminy, jako wyrażające dość szczęśliwie ekonomiczną istotę rzeczy, utrwaliły się w nauce.

W dosłownym przekładzie odnośny ustęp z książki Adama Smitha brzmi, jak następuje:

„Słowo „wartość” posiada, jak możemy zauważyć, dwa różne znaczenia i już to wyraża użyteczność jakiegoś pojedyńczego przedmiotu, już też możność nabywania innych towarów, wywołaną posiadaniem danego przedmiotu. W pierwszym wypadku mówimy o „wartości użytkowej”; w drugiej o „wartości zamiennej”. Przedmioty, posiadające największą wartość użytkową, posiadają często tylko małą wartość zamienną lub nawet nie mają żadnej; przeciwnie zaś te, co mają najwyższą wartość zamienną, posiadają częstokroć małą wartość użytkową lub nie ma ją

żadnej. Niema nic użyteczniejszego nad wodę; ale rzadko kiedy coś za nią kupić nie można. Dyament, przeciwnie, rzadko kiedy posiada prawie wartość użytkową, ale częstokroć można otrzymać w zamian wielką ilość towarów".

Proponowane przez Smitha terminy różniczkowe zostały powszechnie przyjęte, ale wyrażoną przez nie różnicę zaraz zakwestyonowano. Ekonomiści oświadczyli bowiem, że nic nie może mieć wartości zamiennej, na co niema popytu; popyt zaś wskazuje na jakąś użyteczność; wskutek tego, co posiada wartość zamienną, musi też mieć wartość użytkową; pogląd ten panował powszechnie, i wszyscy ekonomiści potwierdzali go. Tak np. Mill pisze w swych „Principles of Political Economy", co następuje: „Musimy rozpocząć od ustalenia naszej frazeologii; Adam Smith dotknął w często cytowanym ustępie najbardziej rzucającej się w oczy dwuznaczności wyrazu „wartość"; słowo to w jednem znaczeniu określa użyteczność, w drugiem własność nabywania czyli, mówiąc jego własnemi słowy, wartość użytkową i wartość zamienną. Lecz (jak zauważył Mr. de Quincy) w ilustrowaniu tego podwójnego znaczenia Adam Smith popadł sam w dwuznaczność. Przedmioty (powiada on), posiadające największą wartość użytkową, mają częstokroć małą wartość zamienną lub żadną; i to jest prawdą: to, co można uzyskać bez pracy lub poświęcenia, nie będzie miało żadnej ceny, chociażby było nie wiedzieć jak użyteczne lub potrzebne. Ale w dalszym ciągu dodaje, że przedmioty, posiadające najwyższą wartość zamienną, jak np. dyament, mają małą wartość użytkową lub żadną. Tutaj słowo „użytek" zostało zastosowane nie w pojęciu ekonomii politycznej, ale w tem drugiem, w którem użytek przeciwstawia się przyjemności. Ekonomia polityczna nie zajmuje się porównawczą oceną różnych użyteczności w rozumieniu myśliciela lub moralisty. Użyteczność przedmiotu w ekonomii politycznej oznacza jego zdolność zaspokojenia pragnienia lub osiągnięcia celu. Dyamenty posiadają tę własność w wysokim stopniu, inaczej bowiem nie posiadałyby ceny. Wartość użytkowa, czyli, jak ją Mr. de Quincy nazywa, wartość „teleologiczna", jest ostateczną granicą wartości zamiennej. Wartości zamienna może się okazać o wiele mniejsza od wartości użytkowej; ale przypuszczenie, żeby mogła kiedykolwiek przekroczyć wartość użytkową, zawiera w sobie sprzeczność; przypuszczenie to bowiem przyjmuje, że ludzie w celu posiadania jakiegoś przedmiotu daliby więcej od najwyższej wartości, jaką ów przedmiot dla zaspokojenia ich skłonności posiada".

Słowo „wartość”, użyte bez dodatku, oznacza zawsze w ekonomii politycznej wartość zamienną. Jeżeli Adam Smith popełnił pomyłkę, twierdząc, że wartość zamienna danego przedmiotu może być wyższa od jego wartości użytkowej, to dlaczegóż nie popełnił pomyłki, twierdząc, że wartość zamienna może być wyższa od wartości użytkowej? Według określenia Milla obie wartości, użytkowa i zamienna, są wprost identyczne; a jeżeli tak, to pocóż Mill czyni różnicę między użytecznością a siłą kupną danego przedmiotu? I poco mówi nam, że słowo „wartość”, użyte bez dodatku, oznacza w ekonomii politycznej zawsze wartość zamienną? Po co podtrzymywać różnicę tam, gdzieś jej faktycznie wcale niema?

To pomieszanie użyteczności z „pożądanością” jest początkiem teoryi wartości, reprezentowanej przez tak zwaną austryacką czyli psychologiczną szkołę ekonomistów. Szkoła ta, zniósłszy całkowicie różnicę pomiędzy wartością użytkową a zamienną, uważa wartość za wyraz natężenia pragnienia, sprowadzając wszystko do tego czysto subjektywnego źródła.

Błąd, jaki Mill popełnił, polega na wzięciu za jedno użytku i użyteczności; tymczasem pojęcia te są bardzo różne i identyfikować ich nie wolno. Tak np. tortury były w średnich wiekach używane; jako takie, posiadały pewną wartość i cenę, ale mimo to użytecznymi przedmiotami nazwać ich nie można.

Adam Smith, mówiąc o wartości użytkowej, miał oczywiście na myśli przedmioty, służące do zaspakajania naturalnych, normalnych i ogólnych potrzeb oraz pragnień ludzkich, a nie sztucznych i nadnaturalnych i chwilowo tylko panujących.

Różnica ta nie jest dowolną, lecz bardzo istotną i łatwą do określenia. Wartość zamienną posiada każdy przedmiot, zaspakajający jakiekolwiek, bodajby najbłahsze, pragnienie; aby jednak przedmiot posiadał wartość użytkową, potrzeba czegoś więcej; musi on zaspakajać nie jakiekolwiek pragnienie, lecz jedno z tych, które stanowią potrzebę, odczuwaną zarówno przez wszystkich ludzi.

Oczywiście, że wartość użytkowa i zamienna występują w największej ilości wypadków razem, to znaczy, że przedmioty, posiadające jedną wartość, posiadają równocześnie i drugą. Ale mimo to obie wartości nie pozostają z sobą w żadnym istotnym związku. Przedmioty o wysokiej wartości użytkowej, jak np. powietrze, nie mają wcale wartości zamiennej; naodwrót pamiątki historyczne, relikwie, i t. d., nie przedstawiając żadnej wartości użytkowej, posia-

dają w danym razie wysoką wartość zamienną. Obie wartości są zasadniczo różne i wzajemnie wcale nie ustosunkowane. Wartość użytkowa jest wewnętrzną, bo polega na własności zaspakajania potrzeb ludzkich, i wartość zamienna wcale na nią nie wpływa; przeciwnie, wartość zamienna wcale nie jest wewnętrzną i nie zaspakaja istotnych potrzeb człowieka. Wartość w pojęciu ekonomicznem, to znaczy wartość zamienna, dlatego nie jest wewnętrzną, ponieważ nie opiera się nigdy na własności danego przedmiotu, ale na względnem oszacowaniu przez człowieka. Stosownie też do tego, co się wyżej powiedziało, niema w umyśle ludzkim wspólnego miernika obu wartości; przełożenie jednej nad drugą zależy od różnych, nie dających się z góry określić warunków. Adam Smith miał więc zupełną słuszność: pomiędzy wartością użytkową a zamienną istnieje istotna różnica. Terminy, jakkolwiek nie najszczęśliwsze, utarły się w ekonomii i spełnią swoje zadanie, byle znaczenie ich zostało ściśle określone; w dziele swojem Henry George używa stale „wartości zamiennej", jako pojęcia ekonomicznego, z którem nauka ścisła ma do czynienia, w przeciwstawieniu do „wartości użytkowej", która nie jest ścisłem pojęciem naukowem i ekonomii politycznej zgoła nie obchodzi.

Pytanie zachodzi, jakie jest źródło wartości zamiennej i jaka jej miara?

Według oficyalnej ekonomii politycznej wartość zamienna jest stosunkiem pomiędzy każdą z osobna rzeczą zamienną a wszystkiemi rzeczami zamiennemi, razem wziętemi. Wskutek tego powiada się, że nie może być ogólnego przyrostu lub spadku wartości, ponieważ, o ile jeden przedmiot zyska na wartości zamiennej, o tyle drugi straci, o ile zaś jeden straci, o tyle znowu drugi zyska; czyli, innemi słowy, ponieważ stosunek wartości jest tylko stosunkiem różnych proporcyi, przeto jakakolwiek zmiana w jednym stosunku musi sprowadzić odpowiednią zmianę w innych stosunkach tak, aby ogólna suma nie uległa zmianie. Możemy mieć wzrost wartości jednej lub więcej rzeczy w stosunku do innych, ale nie możemy mieć wzrostu lub spadku ogólnej wartości, gdyż ta jest niezmienna.

Gdyby tak było istotnie, to pojęcie wartości byłoby nieokreślone, lecz bez możności porównania z czemś stałem nie możnaby wartości w żaden sposób mierzyć. Ale pytanie, czy dla wartości nie istnieje jakiś stały punkt wyjścia, którybу służył za jej miarę?

Na proste to pytanie możemy dać odpowiedź twierdzącą. Idea wartości wypływa nie ze stosunku jednej rzeczy, posiadającej war-

tość, lecz ze stosunku pomiędzy każdą rzeczą, posiadającą wartość, a czemś, co jest źródłem i miarą wszelkiej wartości—mianowicie wysiłkiem ludzkim, któremu towarzyszą nuda i znużenie.

Fakt ten doniosły nie uszedł też uwagi Adama Smitha, choć może nie wyciągnął on z niego wszystkich konsekwencyi. Od czasu, jak podział pracy zapanował, człowiek niewiele potrzeb lub przyjemności może sam sobie dostarczyć. Większej części dostarcza mu praca innych, i człowiek jest bogaty lub biedny stosownie do tego, czy może nabyć dużą czy też małą ilość pracy innych ludzi. Wartość więc każdego towaru, którego posiadacz sam nie chce zużyć, polega na ilości pracy ludzkiej, jaką zań nabyć można. Praca więc jest istotną miarą wartości zamiennej towarów.

Adam Smith używa wyrazu „praca" w znaczeniu wysiłku, któremu towarzyszą znój i kłopoty, stanowiące cenę towaru, podczas gdy bogactwo jest według niego produktem, to jest namacalnym rezultatem wysiłku. Wartość więc jest równoważnikiem tego znoju i tych kłopotów, nieodłącznych od wysiłku, których ilość, jaką sobie może oszczędzić, stanowi właśnie miernik wartości.

Praca, według Smitha, posiada zawsze i wszędzie wartość stałą i niezmienną, z tej też przyczyny może być miarą wartości wszelkich towarów. Praca jest prawdziwą, a pieniądz tylko nominalną wartością wszelkich towarów.

Pytanie więc, dlaczego Adam Smith pomimo jasnego pojęcia stosunku pomiędzy pracą a wartością nie starał się terminu „wartość zamienna" zastąpić innym odpowiedniejszym, w którym znajdowałoby się słowo „praca"?

Odpowiedź na to daje sam Smith, tłómacząc, że samą pracę trudno określić i zmierzyć, że trudno pracę sklasyfikować, że ludziom łatwiej dać sobie radę z jakimś towarem, jako miernikiem wartości zamiennej, niż z pracą. Z jednej strony termin „wartość zamienna" był już powszechnie zrozumiały, a z drugiej sam Smith nie był w stanie znaleźć i zdefiniować żadnego miernika wysiłku ludzkiego i dlatego pracy, jako wartości nie użył. Ustalenie tego terminu wprowadziło zamieszanie pojęć tak u Smitha, jak i u jego następców. Smith czasami widział wyraźnie różnicę pomiędzy towarami a pracą i rozumiał, że bogactwo jest produktem pracy.. Ale innym razem opuszcza tę ścisłą różnicę, uważa pracę także za towar i powiada, iż zapłaty za pracę dostarcza kapitał przedsiębiorcy.

Po śmierci Smitha zamieszanie, zamiast zmniejszyć się, rosło jeszcze bardziej, cała więc rzecz wymaga ponownego rozstrząśnienia i wprowadzenia na ścisłe tory ekonomiczne.

Z przypuszczenia, że wartość jest nietylko tem, co dla wygody nazywamy wartością zamienną, ale już wprost samąże własnością zamienności, wynika twierdzenie, iż wartość wypływa z wartości, i że pomiędzy niemi istnieje stosunek zwykłej proporcyi. Stąd też pochodzi drugie twierdzenie, że, gdy wartość jednych przedmiotów wzrośnie, innych musi się zmniejszyć, lub odwrotnie, wskutek czego nie może być mowy o ogólnym przyroście lub zmniejszeniu się bogactwa.

Pytanie atoli zachodzi, czy mamy tu istotnie do czynienia ze stosunkiem proporcyi. Proporcya jest to stosunek części do całości, jakaż więc całość obejmuje sobą wszelkie rodzaje wartości? I za pomocą jakiego rachunku obliczamy wzajemny stosunek wartości nieskończonej liczby rzeczy?

Na szczęście cała ta niemożliwa do wykonania praca jest niepotrzebna, gdyż w ten sposób wartości naprawdę nikt nie rozumie, a wszystko, co się w tej materyi pisze, jest czystem kuglarstwem. Austryacka czyli psychologiczna szkoła ekonomistów sprowadza wartość do użyteczności, ignorując w ten sposób zasadniczą prawdę ekonomii politycznej, która opiewa, że człowiek usiłuje zaspokoić swoje pragnienia przy pomocy najmniejszego wysiłku. Niepowodzenie w dowiedzeniu tego wykazuje błędność twierdzenia, że wartość bierze początek w użyteczności i że jest względna do wszystkich wartości.

Po bliższem rozpatrzeniu rzeczy nie trudno przyjdzie nam zrozumieć, że wszystko jest wypływem bardzo prostego nieporozumienia, które polega na następującej operacyi. Chcąc udowodnić, że wartość jest stosunkiem zamienności różnych wartościowych przedmiotów, bierzemy kawałek złota, jako materyału, z którego robią się pieniądze, i pytamy, dlaczego to złoto posiada wartość? Dlatego, brzmi odpowiedź, że możemy za nie otrzymać pszenicę, żelazo, towary bawełniane oraz inne cenne przedmioty. Gdybyśmy złota wymienić nie mogli, nie posiadałoby wartości, której miarą jest wartość pszenicy, żelaza, towarów bawełnianych oraz innych cennych przedmiotów, na które można złoto wymienić. Jeżeli stosunek tak się zmieni, że za ten sam kawałek złota można otrzymać więcej towarów, to cena złota rośnie, a tych innych towarów spada. Gdy zaś, odwrotnie, za ten sam kawałek złota możemy dostać mniej towarów, to cena złota spada, a innych towarów rośnie. Potem odwracamy stosunek i porównywamy nie złoto z innymi cennymi przedmiotami, ale przeciwnie inne cenne przedmioty ze złotem i znajdujemy, że wartość ich polega tak samo na stosunku zamienności, wskutek

czego wnioskujemy, że wartość istotnie nie jest niczem innem, jak tylko stosunkiem zamienności, i na tem rzecz się kończy.

W rozumowaniu tem praca objęta jest owymi innymi cennymi przedmiotami, chociaż zwykle rozumie się przez nie głównie produkty pracy, a nie pracę samą, co więcej: inny jeszcze czynnik przyłącza się do zamieszania pojęć. Ekonomiści rozumują, że ilość cennych przedmiotów, których wartość z sobą porównywają, jest stałą, niezmienną, że więc nie może istnieć wymiana pomiędzy tymi, co posiadają cenne przedmioty, a tymi, którzy ich nie posiadają. Tymczasem zapatrywanie to, choć może niezupełnie jasno wyrażone, jest błędne: bogactwo nie tylko nabywało się, ale i obecnie nabywa się pracą. Wszak większość ludności każdego cywilizowanego społeczeństwa składa się z tak zwanej klasy pracującej, która nie posiada prawie wcale w swych rękach cennych przedmiotów, a jednak w ostateczności jest nabywcą bardzo wielu cennych przedmiotów. Cóż się odbywa w tym wypadku, jeżeli nie wymiana pracy na różne towary, i to pracy, obróconej już na wartości ekonomiczne?

Widzimy, że w tym wypadku następuje wymiana pomiędzy posiadaczami cennych przedmiotów a tymi, którzy rozporządzają rzeczą, nie posiadającą żadnej wartości, dopóki się jej wartości nie nada; czyż nie ma tu ogólnego przyrostu bogactwa? A zresztą czemże się zastępuje ubytek, powstający przez nieustanną destrukcyę wartości, i na jakiej drodze zyskuje się pomnożenie bogactw danego społeczeństwa?

Cały błędny system ekonomii politycznej polega na błędnej podwalinie, stawiającej pracę na równi z produktami pracy, od których zasadniczo się różni. Jest to znowu wynik luźnego i nieścisłego używania wyrazu *praca*, która w mowie potocznej ma inne znaczenie, a w ekonomii politycznej znowu inne. Praca we właściwem tego słowa znaczeniu, to jest możność wykonywania pracy, nie może być przedmiotem zamiany, bo nie da się od właściciela odłączyć i komu innemu przekazać. Zamieniać można tylko produkty pracy, która wartości w ekonomicznem pojęciu, to jest wartości zamiennej, nie posiada. Ponieważ atoli wielu ekonomistów przypisuje pracy wartość zamienną, przeto rzecz jasna, że za źródło tej wartości uważać jej nie może. My atoli, wiedząc, że praca, jako możność wykonywania pracy, nie posiada wartości, lecz stwarza ją dopiero, oblekając się w formy konkretne, wiemy, że wartość możemy określić w stosunku do wysiłku pracy.

Musimy sobie jeszcze odpowiedzieć na pytanie, czy stosunek wartości do pracy jest pozytywny, czy negatywny. Oczywiście ne-

gatywny. Gdy wymieniam złoto za srebro, to pozbywam się złota, ale srebro zyskuję. Gdy wymieniam złoto za pracę, to, jakkolwiek tracę złoto, nie zyskuję pracy, nie zyskuję trudu, bo tego nikt nabyć nie pragnie. Co atoli zyskuję, to oszczędzenie sobie pracy i trudu, potrzebnych dla zaspokojenia pragnień i pożądań. Wartość danej rzeczy polega na tej ilości wysiłku lub trudu, jakiej mi jej posiadanie oszczędzi. Gdy ludzkie pragnienia można zaspokoić tylko pracą, wszystko, czego posiadanie oszczędzi mi wysiłku, posiada dla mnie istotną wartość, i tu jest źródło wartości ekonomicznej czyli zamiennej.

Wartość rzeczy nie polega na ilości pracy, jakiej trzeba było do jej wyprodukowania, lecz na ilości pracy, którą mi jej posiadanie oszczędzić może. Czy dyament posiadłem po roku pracy, czy też wystarczyło mi tylko schylić się poń, przedstawia on dla mnie tę samą ilość trudu i pracy, jakie ludzie zechcą dla mnie ponieść, byle dyament odemnie otrzymać.

Na zakończenie przytoczymy jeszcze w dosłownym przekładzie ustęp, w którym George reasumuje swoje zapatrywania, a który tak opiewa: „Skoro pragnienie materyalnego zadowolenia jest powszechne wśród ludzi, a jedyną drogą do osiągnięcia tego zadowolenia od przyrody jest wysiłek, którego ludzie zawsze starają się uniknąć, przeto, cokolwiek zadowoli pragnienie bez wysiłku, jest pożądane samo przez się—nie dla swej użyteczności, lecz ponieważ dostarcza środków do zaspokojenia innych pragnień i w ten sposób staje się wymiennem, ile razy istnienie innych czyni zamianę możliwą. Normalna więc wartość i własność zamienna są zawsze połączone z sobą i pozornie identyczne. Ale w stosunku przyczynowym wartość zajmuje pierwsze miejsce. To znaczy, że nieprawdą jest, czego uczyli wszyscy ekonomiści od Adama Smitha, iż dany przedmiot ma wartość, ponieważ posiada własność zamienną. Przeciwnie, nadaje się do zamiany, ponieważ posiada wartość. Zamiana jest w istocie wzajemnem przeniesieniem wartości. Ze wszyskich własności przedmiotów wartość jest jedyną, którą wymiana bierze pod uwagę.

Wartość zatem w pojęciu ekonomicznem, to znaczy wartość zamienna, równa się największej ilości trudu, jaki może sobie posiadacz danej rzeczy oszczędzić. Z innej strony sprawę biorąc, możemy powiedzieć, że wartość zamienna jest najmniejszą ilością pracy, jakiej się ktoś dla posiadania danego przedmiotu podejmie, z tego jeszcze nie wynika, aby to właśnie, co się za pewien przedmiot otrzyma, było istotnie jego wartością, częstokroć bowiem w życiu prakty-

cznem zbywa się rzecz za więcej lub za mniej, niż warta. W pierwszym razie myślimy tak, bo kto inny dałby za nią mniej, w drugim razie, ponieważ kto inny dałby za nią więcej. To, co się wydaje rzetelną wartością, nazywamy ceną targową, którą też tylko targ określić może.

Widzimy więc, że wartość zamienna nie pozostaje w żadnym stosunku do jakichś istotnych, wewnętrznych właściwości towarów, zależy bowiem od pożądań i pragnień ludzkich. Podstawa jej jest subjektywna, a nie objektywna, a materyalny probierz wartości zgoła nie egzystuje.

Zrozumienie faktu, że wartość wypływa z wewnętrznego poczucia ludzkiego, a nie z jakichś stosunków w świecie zewnętrznym, sprowadziło na manowce szkołę austryacką czyli psychologiczną, która określa i mierzy wartość tem, co musi na zawsze pozostać subjektywnem, to jest pragnieniem jakiegoś indywidualnego *ja*. Błąd polega oczywiście na tem, że, co jest czysto subjektywne, nie może być nikomu udzielone, póki nie objawi się objektywnie w formie czynu, który dopiero możemy oceniać i mierzyć. Oczywiście, początkiem wartości jest uczucie pragnienia, ale wartości nie określa natężenia pragnienia, tylko to, ile kto jest gotów ofiarować za pewien przedmiot, zatem nie pragnienie samo, jako takie, lecz pragnienie posiadania, połączone ze zdolnością i ochotą dania czegoś wzamian za posiadanie przedmiotu. Wskutek tego niema innej miary wartości, jak współzawodnictwo, co winni dobrze rozważyć ci ekonomiści, którzy są za zniesieniem konkurencyi.

Wysokość wartości oznacza nie ilość pracy, zużytą na wyprodukowanie pewnej rzeczy, ale ilość pracy, jaka byłaby potrzebna na wyprodukowanie podobnego przedmiotu. Ludzie bowiem bardzo rzadko ubiegają się o identyczną rzecz, a zwykle tylko o podobną. Prawo popytu i podaży sprowadza wartość do kosztów produkcyi, to znaczy nie do ilości pracy, jakiej trzeba było do wyprodukowania podobnego przedmiotu, lecz do ilości pracy, jakiejby potrzeba dla wyprodukowania podobnego przedmiotu. Przy tem samem pragnieniu, cokolwiek zwiększa pracę, potrzebną do wykonania podobnych przedmiotów, podnosi wartość produktów, a cokolwiek zmniejsza ją, zniża równocześnie wartość i cenę towarów.

Są oczywiście wypadki, w których wartość zostaje określona w inny zupełnie sposób, a mianowicie wtedy, kiedy pragnienie odnosi się nie do podobnego przedmiotu, lecz do identycznego, jakim np. może być obraz zmarłego mistrza, któremu podobnego żadnym nakładem pracy uzyskać nie można. Wtedy wartość nie określa się

kosztem produkcyi, lecz siłą pragnienia. Ten ostatni wypadek zachodzi przy rozwoju cywilizacyi z ziemią, która nie została przez człowieka wyprodukowana, zatem wartości jej do kosztów produkcyi sprowadzić nie można.

Ziemia, jako ziemia (w ogólności), jako najtrwalszy element, niezbędnie potrzebny do ludzkiego życia, tak samo nie posiada wartości, jak powietrze. Ale specyalna ziemia, to znaczy specyalny gatunek ziemi lub ziemia w specyalnej okolicy, może posiadać taką samą wartość, jak specyalny obraz lub statua, zależna jedynie od siły pożądania.

To przywiązywanie wagi do ziemi w specyalnych właśnie miejscowościach jest nie tylko najbardziej uderzającym rysem współczesnej cywilizacyi, ale i konsekwencyą cywilizacyi, objętą najtrwalszym porządkiem rzeczy i dostarczającą najsilniejszego może dowodu na to, że istotą tegoż porządku jest równość ludzi. Pozostawione przez sprawiedliwe prawa municypalne swemu naturalnemu rozwojowi pragnienie używania specyalnej ziemi nie może nigdy stać się pragnieniem używania ziemi w ogólności i nie może nigdy sprowadzić obniżenia płac przez zniewolenie robotników do oddania za używanie ziemi jakiejkolwiek części tego, co stanowi naturalny i słuszny zarobek ich pracy. Ale, gdzie ziemia jest zmonopolizowana, a ucieczka ludności do ziemi nie zmonopolizowanej jest wykluczona już to prawnemi obostrzeniami, już też warunkami socyalnymi, owo pragnienie używania specyalnego kawałka ziemi może wynikać z pragnienia używania ziemi w ogólności, to jest ziemi, jako elementu przyrodzonego; a siła jego, mierzona w jedyny sposób, w jaki siłę pragnienia mierzyć możemy, to jest chęcią podjęcia trudu i kłopotów dla jego zaspokojenia, może stać się zwłaszcza, gdy doprowadzona do pełnego rozwoju, ni mniej ni więcej, niż siłą pragnienia samego życia, gdyż ziemia jest niezbędnym do życia warunkiem.

Po tych wszystkiem roztrząsaniach zastanawia się Henry George nad bardzo ważną kwestyą, przeoczaną zwykle przez ekonomistów, to jest nad dwoma źródłami wartości. Powszechnie ekonomiści przyjmują, że wartość ma tylko jedno źródło, to jest pracę, zamienioną drogą wysiłku na bogactwo. Tymczasem, ponieważ wartością danego przedmiotu jest nie koszt jego produkcyi, ale ta ilość pracy, jaką sobie przez jego posiadanie zaoszczędzić można, przeto wartość powstaje też przez proste zobowiązanie do wykonania pewnej ilości pracy w oznaczonym terminie albo przez nałożenie takich przeszkód zadowoleniu pragnienia, jakie zniewolą do zwiększonego wysiłku w celu zaspokojenia pożądania. W tym wypadku nie mamy

przyrostu bogactwa, jakkolwiek stwarzamy wartość, opartą na zobowiązaniu i oczekiwaniu przyszłych usług. W ekonomii indywidualnej, biorącej pod uwagę jedynie stosunek pewnej jednostki do innych jednostek, niema różnicy między tymi dwoma rodzajami wartości. Nie stanowi bowiem różnicy, czy jednostka ma władzę wymagania pracy od innych wskutek pomnożenia ogólnego zapasu, czy też wskutek prawa żądania pracy od innych; w obu razach bowiem jedna strona bierze, druga daje.

Ale w ekonomii politycznej, zajmującej się ogólnymi stosunkami społecznymi, wielka jest różnica pomiędzy wartością, która pomnaża ogólny zapas bogactwa, a wartością, która, nie zwiększając ogólnego bogactwa, wpływa tylko na rożdział istniejącego już zapasu, wskutek czego w pojęciu ekonomicznem wcale wartością nie jest.

Pierwotnie nawet Adam Smith uważał za wartość ten tylko jej gatunek, który przyczynia się do powiększenia ogólnego bogactwa; potem dopiero dzięki nieścisłości uwzględnił i tę wartość, która, pomnażając zasoby jednostki, nie pomnaża zasobów społeczeństwa. Tu jest źródło faktu, że ekonomia polityczna nie mogła osiągnąć celu. Niepodobna zbudować systemu ekonomii bez ścisłego określenia bogactwa, a to znowu jest wprost niemożliwe bez dokładnego zdefiniowania wartości. Najprostszą drogą do tego jest przyjęcie dwu gatunków wartości: jednej, która bierze źródło w pracy w taki sposób, że oszczędza przyszłego wysiłku w zadowoleniu pragnienia, i drugiej, wynikającej z nabycia przez jednych ludzi prawa wymagania pracy od drugich, czyli, co na jedno wyjdzie, wynikającej z nałożenia takich przeszkód w zaspokojeniu pragnienia, które wymagają więcej wysiłku dla osiągnięcia tegoż samego zadowolenia.

Pierwszy rodzaj wartości można nazwać „wartością z produkcyi", drugi zaś „wartością z zobowiązania". Oczywiście, że wartość w jedynie naukowem znaczeniu wartości zamiennej posiada to samo znaczenie bez względu na swe źródło; ale uznanie dwu gatunków wartości, zależnie od źródła powstania, wprowadza ścisłość do ekonomii i usuwa panujące zamieszanie.

Wartość, wynikającą z zobowiązania, a więc nie zwiększającą ogólnego zapasu bogactwa, można podnieść w różny sposób. Najwybitniejszy przykład tego daje nam wartość ziemi, ta forma wartości z zobowiązania jedynie, która w pochodzie ludzkości ku cywilizacyi dąży szybkim krokiem do wzrostu, a w świecie współczesnym zyskała, być może, więcej, niż względne znaczenie, jakie niewolnictwo posiadało ongi w świecie klasycznym. W Anglii, w Stanach Zjednoczonych lub w innym wysoko cywilizowanym kraju znaczenie to

tak już jest wielkie, że sprzedażna wartość ziemi staje się wartością sprzedażną wszelkiej „wartości z produkcyi"; a pierwszą właśnie naturalny postęp ludzkości ustawicznie powiększa. Ziemia jednakże nie jest bogactwem w pojęciu ekonomicznem. Ziemia w odniesieniu do jednostki nie posiada moralnej sankcyi własności, nie powinna bowiem należeć do jednostek, lecz do całej społeczności. Uważana przez ogół za najwyższą formę i typ bogactwa ziemia w rzeczywistości nie jest dla ekonomisty żadnem bogactwem.

To właśnie spowodowało, że ani Adam Smith, ani też jego następcy nie mogli uznać dwu gatunków wartości, bo takie uznanie sprowadziłoby rewolucyę, jakiej ludzkość jeszcze nie widziała.

A jednak przyjęcie tej prostej teoryi wartości pozwoli nam wyjaśnić z łatwością i pewnością wiele punktów, wprawiających w kłopot ekonomistów, którzy ją ignorowali, i każących wątpić, czy rzetelna wiedza ekonomii politycznej jest możliwa. W świetle tej teoryi wszystkie powikłane objawy wartości i zamiany stają się jasne i okazują się jedynie ilustracyami tego fundamentalnego prawa umysłu ludzkiego, które zniewala ludzi do zadowolenia pragnień na drodze najmniejszego wysiłku.

Cokolwiek zwiększa przyrodzone lub sztuczne przeszkody na drodze do zaspokojenia pożądania, odczuwanego przez ostatecznych konsumentów, towarów, zmuszając ich do zużycia większej ilości wysiłku lub zniesienia większej miary znoju w celu osiągnięcia tych towarów, podnosi wartość. Tak więc wojny, taryfy, piraci, brak spokoju, monopole, podatki i obostrzenia wszelkiego gatunku, utrudniające zadowolenie pożądania pewnych rzecry, podnoszą ich wartość, podczas gdy odkrycia, wynalazki i udoskonalenia, zmniejszające wysiłek, potrzebny do zaspokojenia pragnienia, zmniejszają wartość.

To nam daje również jasne rozwiązanie pytania, które zajmowało i jeszcze zajmuje wiele umysłów—mianowicie pytania, czy sztuczne podniesienie wartości przez rządowe restrykcye leży lub nie leży w interesie społeczeństwa. Jeżelibyśmy uważali wartość, jako prosty stosunek wymienności między rzeczami zamiennemi, to mogłoby się znaleźć miejsce na debaty. Ale jeżeli widzimy, że wartość zostaje w stosunku do znoju i kłopotów, jakim muszą się konsumenci poddać w celu zadowolenia pożądania, dyskusya wszelka ustaje. Niedostatek może być czasami względnie dobry dla niewielu; obfitość jednak leży zawsze w interesie ogółu.

Tak ważną jest rzeczą znajomość bogactwa, tego głównego czynnika ekonomii politycznej, abyśmy w przyszłości nie mieli pod

tym względem żadnych wątpliwości, lecz abyśmy mogli z całem zaufaniem znajomość jego natury uważać jako punkt wyjścia w rozumowaniu, że nie od rzeczy będzie zastanowić się nad tem, jak bogactwo powstaje i jaka jest jego istota.

Bogactwo jest owocem ludzkiego wysiłku. Ale wszelki ludzkį wysiłek nie stwarza bogactwa. Nie tylko bowiem mamy niepowodzenie i przypadki w zastosowaniu wysiłku do wyprodukowania bogactwa, ale nadto produkcya bogactwa nie jest jedynym celem ludzkiego wysiłku.

Wszystkie czyny człowieka biorą źródło w pragnieniu i wszystkie zmierzają do zaspokojenia tegoż pragnienia. Ale gdy weźmiemy pod rozwagę te czyny ludzkie, które dążą do materyalnego zadowolenia, widzimy, że istnieje znaczna różnica co do sposobu, w jaki następuje zaspokojenie pragnienia. W jednych wypadkach chodzi o bezpośrednie i natychmiastowe zadowolenie, w innych zaś o pośrednie i opóźnione.

Gdy człowiek wykonywa szereg czynności w celu bezpośredniego zaspokojenia własnego lub też czyjegoś głodu, to, jakkolwiek mamy tu wysiłek, dążący do zadowolenia pożądania, nie mamy wcale bogactwa. Gdy zaś człowiek, jako istota, rozumująca i przewidująca powrót pożądania, zrobi sobie zapas pożywienia lub przedsięweźmie środki jego pomnożenia i zapewnienia na dalszą przyszłość, to wtedy wysiłek jego nie zmierza do bezpośredniego, lecz do pośredniego i oddalonego, zaspokojenia potrzeby. W tym wypadku powstaje coś nowego, co przedtem nie istniało, i to właśnie nazywamy bogactwem, które składa się z naturalnych substancyi lub produktów, tak zmienionych co do miejsca, kształtu lub kombinacyi pod wpływem pracy ludzkiej, aby mogły lepiej zaspokoić pragnienia człowieka. Istotną cechą bogactwa jest ucieleśnienie czyli nagromadzenie w materyalnej formie czynności, dążącej do zaspokojenia pożądania, tak, że owa czynność nabiera cechy trwałości.

Idei bogactwa nie można sprowadzić do zadowolenia jedynie, ponieważ wtedy nawet, gdy celem i rezultatem wysiłku jest zadowolenie pragnienia ze strony czyniącego ów wysiłek, istnieje koniecznie stan przejściowy, w którym zużyty wysiłek pauzuje i zostaje na czas jakiś zamknięty w konkretnej formie, z której może być uwolniony nie tylko dla zaspokojenia potrzeby tego, kto uczynił ów wysiłek, ale i każdego innego człowieka. Gdy zrywam dzisiaj owoc dla zaspokojenia jutrzejszego głodu, to zadowolenie, jakiego doznaję podczas jedzenia owocu, nie jest bezpośrednim wynikiem

wysiłku, lecz rezultatem usługi, z której ja sam korzystam bezpośrednio, przez co nie traci cechy przysługi, jakąby miała niezawodnie, gdyby naprzykład żona moja użyła tego samego owocu do zaspokojenia uczucia głodu.

Tak więc, jeżeli pragniemy uogólnić ideę bogactwa, to najodpowiedniejszem i najwięcej obejmującem byłoby słowo, wyrażające ideę usługi bez względu na jej formę. Istotną ideą bogactwa jest idea usługi, ujętej w materyalne formy, i używanie bogactwa, wymiana bogactwa, jego dawanie lub otrzymywanie jest w gruncie niczem innem, jak używaniem, wymianą, dawaniem lub otrzymywaniem usług.

Lecz pierwsza i najprostsza forma usługi, w której korzystający z niej doznaje wprost zadowolenią potrzeby, płynącego z czynu (i do której dla ścisłości termin „usługa" powinien być ograniczony), chociaż podlega procesowi dawania, otrzymywania i wymieniania, to jednak podlega temu procesowi w ciasnych tylko granicach, ponieważ siła zużywa się w takiej bezpośredniej usłudze i ginie, podczas gdy w czynności, wydającej bogactwo, siła nie jest ostatecznie jeszcze zużyta, lecz nagromadza się w formie materyalnej, dającej się zużyć w czasie dowolnym.

W usłudze bezpośredniej zdolność ludzkiego wysiłku do zaspokojenia potrzeby równa się elektryczności, wyładowanej w piorunie. Ale w usłudze pośredniej drogą nagromadzonego bogactwa siła zostaje przez czas jakiś niezużyta w łatwo zamiennej postaci, z której może być powołana do użycia każdej chwili.

Gdy zasadniczą ideą bogactwa jest możność wykonania usługi, przechowana w materyalnej formie, mówić o bogactwie niemateryalnem, jak to czynią niektórzy ekonomiści, znaczy to samo, co mówić o kwadratowych kołach lub trójkątnych kwadratach. Nie może być przedmiotem bogactwa, co nie podpada pod zmysły. W ścisłem pojęciu bogactwo nie może obejmować żadnych naturalnych substancyi lub sił, nie zmienionych pod wpływem wysiłku ludzkiego. Mówić o bogactwie naturalnem, chrzcić mianem bogactwa ludzką zdolność, wiedzę czy energię znaczy popełniać *contradictio in re.*

Na zakończenie księgi, traktującej o teoryi wartości i bogactwie, mówi nam jeszcze Henry George o tem, co to jest kapitał. O ile bogactwo jest pracą, podniesioną do drugiej potęgi, to jest pracą, skrystalizowaną w formy materyalne w celu zaspokojenia potrzeb ludzkich pośrednio w dowolnym terminie,—kapitał jest pracą, podniesioną do trzeciej potęgi, to jest tą częścią bogactwa, które nie

ma służyć do bezpośredniego zaspokojenia potrzeb ludzkich, lecz do pośredniego tylko przez to, że pomaga pracy do wytworzenia nowego bogactwa. Zatem każdy kapitał jest *eo ipso* bogactwem, ale nie każde bogactwo jest kapitałem. Definicya jest jasna i nie wymaga bodaj wcale dłuższego roztrząsania. Na tem zamyka się księga trzecia całego dzieła, księga najobszerniejsza, bo mająca na celu postawienie i uzasadnienie nowych pojęć z zakresu ekonomii politycznej.

Dok. nast. *Wojciech Szukiewicz.*



Nowa historya literatury polskiej.

Piotr Chmielowski: Historya literatury polskiej. Warszawa. 1899, tom I i II (do końca w. XVIII).

Pół wieku upłynęło od pojawienia się roku 1851 ostatniej na większą miarę podjętej, lecz niefortunnie uplanowanej i niedokończonej, historyi literatury polskiej, jaką miało być „Piśmiennictwo polskie" W. A. Maciejowskiego.

W pięć lat później, pojawia się w Poznaniu mała rozmiarami, lecz bogata w szczegóły biograficzne, monografia, poświęcona Kochanowskiemu, którą można uważać za pierwszy wybitniejszy pojaw nowego zwrotu w pracy nad historyą naszej literatury.

Ruina wieży Babel, wytworzonej przez nieudolne przedsięwzięcie Maciejowskiego, odstraszy na długo wszystkich poważniejszych pracowników od ponownych prób tego rodzaju, a życzliwe przyjęcie pracy Przyborowskiego o Kochanowskim wraz z budzącą się powoli świadomością potrzeby częściowego opracowywania materyału, nagromadzonego do wzniesienia wielkiego gmachu dziejów literatury polskiej, wywoływać będą coraz żywszą działalność w tym kierunku.

Półwiekowa praca licznego zastępu monografistów rozszerzyła i pogłębiła naszą wiedzę o literaturze, wydobyła z zapomnienia mnóstwo postaci i utworów zatraconych.

Im trudniej jednak na podstawie tych licznych, rozproszonych, często niedostępnych ogółowi opracowań wytworzyć sobie obraz całości procesu dziejowego, tem więcej czuć się dawała potrzeba pracy, któraby zsumowała, a raczej zespoliła organicznie, rezultaty tych częściowych poszukiwań i rozbiorów.

Na początku obecnego stulecia Bentkowski skupił i rozklasyfikował w swej książce całą sumę danych, zgromadzonych w licznych monografiach bibliografów wieku XVIII, i szczupły zasób powierzchownych, ogólnikowych sądów krytycznych, rozproszonych po pismach współczesnych powag literackich. Chcąc zadość uczynić rozlicznym potrzebom społeczeństwa ówczesnego, ułożył on, jako młody wtedy nauczyciel liceum warszawskiego, swą: „Historyę literatury w spisie dzieł, drukiem ogłoszonych", tak, iżby mogła służyć, jako podręcznik szkolny przy wykładzie stylistyki, a zarazem informować bibliomanów i wszystkich szukających dat i danych z zakresu literatury, a wreszcie więcej rozwiniętym umysłowo czytelnikom dał we wstępie obszernym zarys rozwoju dziejowego, polegający na rozpatrywaniu kolejnem czynników, sprzyjających rozkwitowi piśmiennictwa, i warunków, nieprzyjaznych dla jego wzrostu. Na przewadze pierwszych lub drugich czynników oparł Bentkowski podział historyi literatury na okresy, zaprojektowany, ale nie przeprowadzony w samem dziele.

Zbliżający się koniec stulecia zwraca obecnie myśl ludzką ku przeszłości, pobudza do skupiania i uogólniania porozpraszanych w częściowych badaniach rezultatów pracy umysłowej. Człowiek chciałby ogarnąć całość dotychczasowego swego dorobku, a w ciaśniejszym zakresie uświadomić sobie przynajmniej rezultaty działalności społeczeństwa, którego jest cząstką. Obok wyspecyalizowania pracy umysłowej do ostatecznych granic, występuje lekceważona przez goniących za szczegółami poszukiwaczy i erudytów, lecz żywo odczuwana przez miliony umysłów, potrzeba koncentracyi i syntezy.

W zakresie badań nad literaturą polską też same spotykamy zjawisko. Najpoważniejsi monografiści unikają lękliwie uogólnień i sceptycznie zapatrują się na wszelkie usiłowania w tym kierunku, zaś ogół, spragniony wiedzy w rzeczach najbliżej go obchodzących, wyczekuje niecierpliwie ujęcia całego zasobu danych, zdobytych przez dotychczasową pracę nad literaturą ojczystą, w jeden

niezbyt rozległy, bogaty w treść, trafnie ugrupowany obraz dziejowy.

Jeden z najzasłużeńszych i najpracowitszych monografistów na polu badań nad literaturą polską, Piotr Chmielowski, odczuwając żywo potrzeby ogółu, podjął to trudne wielce, a doniosłe ze względów społecznych i naukowych, zadanie.

Praca jego, zostaje w podobnym stosunku do półwiekowych badań monografistów, co dzieło Bentkowskiego do poszukiwań bibliografów wieku XVIII.

Autor pierwszej „Historyi literatury polskiej" był nauczycielem szkół warszawskich i pomocnikiem Lindego w pracy nad słownikiem, Chmielowski jest jednocześnie pedagogiem i krytykiem. Jako pedagog, nie mając do rozporządzenia katedry uniwersyteckiej, zajmował się nauczaniem literatury w średnich zakładach naukowych żeńskich i kołach prywatnych, a więc musiał w wykładzie stosować się do skromnych potrzeb umysłowych i stopnia rozwoju uczniów i uczennic. Jako krytyk, nawykł do ścisłej, drobiazgowej analizy utworów ze stanowiska myślowego przeważnie, odpowiednio do swego uzdolnienia i wykształcenia, opartego na studyach filozoficznych i naukowych.

Jak dzieło Bentkowskiego powstało przez rozszerzenie ram zamierzonego pierwotnie podręcznika szkolnego do wykładu stylistyki, tak i pracę Chmielowskiego cechują przyzwyczajenia i względy pedagogiczne, którymi kieruje się autor, przemawiając do szerokiego koła czytelników popularnego wydawnictwa „Biblioteki dzieł wyborowych".

Świadomość potrzeby szerszego, a zarazem popularnego zarysu dziejów literatury, — wobec braku odpowiednich podręczników, sposobność rozpowszechnienia wiedzy w tym zakresie za pomocą wydawnictwa, liczącego dziesiątki tysięcy czytelników, a więc czysto społecznej natury pobudki, skłoniły Chmielowskiego, tak ostrożnego w syntezie, tak stroniącego z natury umysłu, a więcej może z zasady, od uogólnień i nierozłącznych z niemi hypotez, że pomimo to zdecydował się wykonać pracę, w której musiał wystąpić z własną syntezą dziejów literatury, wprowadzić nowe uogólnienia i ugrupowania faktów.

Zamknąwszy w dwu wydanych dotąd tomach dzieje literatury po koniec wieku XVIII, przeznaczył Chmielowski wiekowi dziewiętnastemu aż cztery tomy. Już w tym ustosunkowaniu materyału przebija się wzgląd na użyteczność społeczną i pedagogiczną, jakim głównie kierować się będzie autor. W całej swej do-

tychczasowej działalności jest on właściwie historykiem literatury wieku XIX, któremu poświęcił około 12 tomów specyalnych studyów obok licznych rozproszonych po czasopismach i encyklopedyach ocen, rozpraw i biografii. Ogrom trudu, włożonego w te wszystkie dzieła, budzi cześć i podziw dla badacza i pozwala umieścić Chmielowskiego w szeregu najzasłużeńszych pracowników w zakresie społeczno-naukowym, może zaraz po Lelewelu i Kraszewskim, których przypomina kontrastem wątłego, podkopanego przez chroniczną chorobę organizmu z niewyczerpaną energią władz duchowych. Przeczytał on i ocenił całą produkcyę umysłową wieku XIX z zakresu beletrystyki. Nikt z pewnością u nas nie posiada w swej wiedzy tak bogatego materyału do napisania historyi literatury obecnego stulecia, jak autor znanych i cenionych powszechnie prac o Mickiewiczu, Kraszewskim, autorkach polskich i tylu innych.

Literaturą wieków poprzednich zajmował się Chmielowski tylko dorywczo. Wobec tego w dwu pierwszych tomach „Historyi literatury" nie mógł dać nam rezultatów własnych poszukiwań, lecz streszczał przeważnie wyniki różnorodnych opracowań monograficznych.

Że zadanie swe pojmował należycie, świadczy wstęp do dzieła, w którym powiada: „Nie mając bynajmniej pretensyi do odtworzenia całej duszy narodu, postaram się przynajmniej wskazać, jakim przemianom ulegały jej objawy w ciągu dziewięciowiekowego ich odźwierciadlania się w dziejach literatury, pojętej w ściślejszem znaczeniu, to jest tak zwanej literatury pięknej — od pierwszego szczebiotu dziecinnego aż do wspaniałych przejawów namiętnego uczucia, wzniosłej fantazyi i wzmożonego na siłach rozumu".

Czy jednak zdołał historyk zrealizować w dwu ogłoszonych tomach tak trafnie pojęty i jasno sformułowany program?

Ponieważ „respekt prawdzie nie może przeszkadzać" i „chwalić defekta, to więcej niż zdradzać", jak o tem nas poucza Krasicki, przeto, wstrzymując się zarówno od twierdzącej odpowiedzi na powyższe pytanie, jak i od wyszukiwania drobnych usterek, których część zwalić należy na rachunek wydawców, zwrócę uwagę jedynie na doniosłe, i to w zasadniczych kwestyach, odstępstwa od wytkniętego na czele dzieła zadania, odstępstwa, które częściowo można usprawiedliwić nieprzyjaznymi warunkami, w jakich znajdował się Chmielowski w czasie pośpiesznego pisania tego dzieła, ale pominąć ich milczeniem nie pozwala zarówno wzgląd na dobro nauki, jak i szacunek dla zasłużonego tak na tem polu autora.

Podzielając najzupełniej przytoczone powyżej określenie zadania historyi literatury, z którem zgodnie stara się Chmielowski w ciągu pracy wysuwać na pierwszy plan same utwory, jako zjawiska, stanowiące główny przedmiot nauki, nie mogę zrozumieć, dlaczego, jako zasadę podziału, przyjął przekształcenia, cechujące inną dziedzinę pojawów życia społecznego, i dopatrzył w rozwoju literatury trzy epoki: kościelną (do r. 1400), szlachecką (do końca XVIII wieku) i narodową, obejmującą obecne stulecie.

Uogólnienia te, zwłaszcza w granicach czasowych, przyjętych przez historyka, zostając w bardzo luźnym, odległym nawet związku ze zjawiskami literackiemi, które mają jednoczyć i określać, nietylko, że nie objaśniają nam w licznych wypadkach ich natury, lecz przeciwnie zacierają często cechy charakterystyczne ważnych pomników piśmiennictwa. Jeżeli np. w kronice Janka z Czarnkowa zechcemy doszukać się znamion kościelności, a w historyi Długosza dopatrywać tendencyi szlacheckich, to czyż analiza tych zabytków potwierdzi trafność przyczepionej do nich etykiety? Czyż można piętnem szlacheckości cechować dążenia i pisma takich ludzi, jak: Modrzewski, Skarga, Klonowicz, Szymonowicz tudzież wszyscy reformatorzy wieku XVIII?

Czyż nawet Rejowi i Kochanowskiemu nie będzie za ciasno w tej wązkiej opasce, przysłaniającej ich ogólno ludzkie dążenia, cele, poglądy, tak wybitne w najważniejszych utworach? Nietylko Modrzewski, Skarga i Staszyc, ale tak dobrze Kochanowski, jak i Karpiński, zaprotestowaliby z pewnością, zapytani, przeciw takiemu zacieśnieniu i zabarwieniu ich uczuć i przekonań.

Ponieważ, w miarę wzrastającej intensywności życia duchowego i rozszerzania się oświaty w różnych warstwach społeczeństwa, wzmaga się rozmaitość utworów piśmiennych, różniących się wielce treścią i formą, w związku z mnożeniem się potrzeb coraz to liczniejszych czytelników, stopniem uzdolnienia piszących i zależnością ich od rozlicznych dążeń kościelnych, politycznych, społecznych, przeto ścisłe odzielenie czasowe, zwłaszcza drobniejszych okresów, staje się niemożliwem i musi być zastąpione grupowaniem zjawisk literackich wedle ich cech charakterystycznych, na podstawie zależności od pewnego prądu pojęć, uczuć, dążeń, występujących w jakiejś warstwie czy grupie społecznej, lub też na podstawie wpływu, wywartego przez pewien doniosły pojaw literacki, wreszcie i z pomocą pokrewieństwa formalnego.

Jeżeli jeden pisarz podlega nieraz różnym prądom i czyni za-

dość rozmaitym potrzebom umysłowym, przeto utwory jego trzeba rozmieszczać w różnych grupach.

Dzieląc okresy na drobniejsze podziały (doby), Chmielowski napotyka tu jeszcze większą trudność w określeniu granic i dlatego nie podaje wcale dat. Podział taki, nie posiadający zalet ścisłości i stałości oznaczeń czasowych i nie dający korzyści, jakie przedstawia ugrupowanie, oparte na wewnętrznym związku utworów, zarówno nie odpowiada wymaganiom naukowym, jak i względom praktycznym, wynikającym z popularnego charakteru dzieła. Rozrywając naturalne związki między pojawami literackimi, utrudnia ich ocenę i zrozumienie, a wytwarzając sztuczne połączenia obcych duchem i treścią utworów, sprowadza zamęt w dziele i w umyśle czytelnika, zmuszonego do przeskakiwania z jednej sfery pojęciowej do drugiej. Zadaniem każdej klasyfikacyi naukowej jest przedewszystkiem uwydatnianie, obok cech, wyróżniających dany szczegół, związku i pokrewieństwa przedstawianych pojawów i faktów.

Zapewne, że nauki historyczne nie łatwo i nie prędko osięgną, choć w przybliżonym stopniu, tę ścisłość i stałość w klasyfikacyi, jaka cechuje nauki przyrodnicze, ale muszą dążyć do niej stopniowo i wraz z rozwojem socyologii i psychologii zdobędą sobie zapewne stałe zasady dla swych uogólnień. Jeżeli porównamy metodę gdańskiego bibliografa Brauna, który w swej pracy łacińskiej „O zaletach i wadach pisarzów polskich" użył za podstawę klasyfikacyi formatu książek, z grupowaniem pisarzów we współczesnych lepszych podręcznikach historyi literatury, to uwidoczni się nam postęp, dokonany u nas w ciągu niecałych dwu wieków. Mimo to daleko jeszcze nam nietylko do możliwego kresu, ale choćby do tego stopnia, jaki osiągnęli w swych pracach historycy literatury na Zachodzie. Wobec obojętności, jaką okazują nasi pracownicy na tem polu dla kwestyi metodycznych, sądziłem, że ocena poważnej pracy Chmielowskiego musi przedewszystkiem mieć na względzie podstawowe zagadnienia i sposoby, jakimi je rozwiązał zasłużony historyk.

Że przyjęte przez niego zasady podziałów i uogólnień nie odpowiadają wymaganiom ścisłości naukowej i potrzebom pedagogicznym, to stwierdzają liczne niewłaściwości, wynikające ze stosowania tych zasad przy grupowaniu pomników literackich. Tak np. skutkiem roździału pierwszej epoki dziejów literatury na dwa okresy na podstawie stosunku kościoła do władzy państwowej kroniki Galla i Kadłubka dostały się do I okresu, a Kronika wielkopolska i Janka z Czarnkowa do II zatytułowanego: „Potęga kościoła". Tymczasem właśnie kronika Kadłubka jest wyrazem najwybitniejszym prze-

wagi idei kościelnej i religijnej, a Janko z Czarnkowa to świecki całkiem polityk pod szatą księżą.

Kronice wielkopolskiej wyznaczył autor miejsce w wieku XIV obok Janka, przedzielając te dwa zabytki od dzieła Kadłubka granicą przełomu okresowego.

Gdyby nawet hypoteza Kętrzyńskiego, który, wbrew przyjętej i potwierdzonej przez poważne studya opinii, widzi w Kronice wielkopolskiej zabytek nie XIII, lecz XIV wieku, okazała się słuszną, na co zamało podano dowodów, to i wtedy nawet postawienie tego zabytku obok pracy podkanclerzego Kazimierza W. nie przestałoby nas razić, podczas gdy pomieszczenie wszystkich pomników dziejopisarstwa z epoki piastowskiej w jednej grupie, ułatwiłoby uwydatnienie zarówno związku, zachodzącego między tymi zabytkami, jak różnic charakterystycznych i postępu, jakiego pojawem jest praca Janka z Czarnkowa. Rożdział o szkole wyższej, założonej w Krakowie przez Kazimierza W., umieszczony w części, poświęconej zabytkom wieku XIII, prosi się również o połączenie z charakterystyką uniwersytetu jagiellońskiego.

Epokę drugą, „szlachecką", dzieli Chmielowski na okresy, którym nadaje nazwy, oparte wprawdzie już na samych zjawiskach życia duchowego, ale cechujące zwykle pewne tylko grupy zjawisk, z pominięciem najważniejszych i najliczniejszych. To też cały szereg faktów, objętych danym okresem, przeczy zwykle podanemu na czele uogólnieniu.

Spotkawszy na początku pierwszego okresu epoki szlacheckiej nadpis: „Budzenie się żywiołu świeckiego—świt humanizmu", czytelnik nadaremnie będzie szukał tych świeckich pisarzów, a choćby nawet świeckich poglądów na świat w dziełach ludzi, noszących suknię duchowną, jak to bywa rzeczą zwykłą w literaturze wieku XVIII. Pominąwszy niesłusznie Kallimacha, może historyk usprawiedliwić swe określenie jedynie postacią Ostroroga. Czyż jednak to przecenione z pewnością „Monumentum" może przeważyć, a choćby zrównoważyć tylko doniosłość wielkich dzieł Długosza, najpoważniejszego niewątpliwie przedstawiciela życia kościelnego, narodowego i umysłowego w wieku XV?

Okres od r. 1505 do 1625 nazywa Chmielowski: „Rozkwitem humanizmu i reformacyi". W historyi życia umysłowego w Polsce możnaby z pewną modyfikacyą dat zgodzić się na to określenie, lecz w dziejach literatury jest ono za szerokiem, jest nieodpowiedniem z tego względu, że zakrywa ważne cechy pojawów literackich, a nadewszystko ich związek z nurtami życia narodowego, które, choć

ulegało wpływom humanizmu i reformacyi, miało przecie swe odrębne potrzeby i cele. Określenie to charakteryzuje nie cechy i istotę samych pomników literatury, lecz tylko dwa doniosłe czynniki — a było ich więcej—rozwoju ówczesnej literatury.

Pierwszą dobę tego okresu, obejmującą czasy Aleksandra i Zygmunta I, określił Chmielowski wyliczeniem trzech wybitnych pojawów, jakimi są: „Kopernik, Poeci humaniści. Pierwsze druki polskie".

Zapewne, że niemożna pominąć Kopernika w „Historyi literatury polskiej", ale względy metodyczne nie pozwalają umieszczać na miejscu naczelnem zjawiska świetnego wprawdzie, jednak do innej należącego dziedziny. Jako poprzednik szeregu poetów i historyków, jako marszałek, otwierający pochód humanistów, jest on nie na miejscu. Takiego potentanta właściwiej było ukazać w głębi, po nad tłumem wierszopisów i dziejopisów, górującego nad nimi potęgą umysłu genialnego, a jednocześnie zespolonego pokrewieństwem kultury umysłowej, a nadewszystko rozbudzonego przez tę kulturę indywidualizmu, który w Koperniku znalazł swój najświetniejszy i najpodnioślejszy wyraz.

W poczcie poetów i historyków łacińskich nie spotykamy Bernarda Wapowskiego, który, jako autor poważnej rozmiarami i wartością Historyi polskiej, jako kolega Kopernika, zasługuje więcej na pomieszczenie, w każdej choćby i szczuplejszych jeszcze rozmiarów Historyi literatury polskiej, niż Przyłuski lub Decyusz, dla których znalazło się miejsce.

Pierwsze druki polskie mają znaczenie przeważnie tylko pomników języka, jako przekłady lub przeróbki obcych utworów. Należałoby tę odrębność silniej uwydatnić i omówić te zabytki w specyalnym rożdziale, poświęconym zarysowi rozwoju języka literackiego, pod wpływem różnych czynników.

Tu znalazłoby się miejsce właściwe na scharakteryzowanie ruchu piśmienniczego (przekłady i polemika), wywołanego przez reformacyę, a za to w przedstawieniu wpływu tej ostatniej na rozkwit życia umysłowego i piśmiennictwa historyk troszczyćby się powinien więcej o wykazanie siły i natury tego czynnika na oryginalnych, donioślejszej wartości dziełach, jakiemi są przedewszystkiem pisma Modrzewskiego.

Tymczasem z niemałem zdziwieniem czytelnik spotyka w dziele Chmielowskiego—tego pisarza, tak podniosłego, głębokiego, autora dzieła, przynoszącego zaszczyt naszej literaturze, na jednej ławie z Marcinem Czechowiczem, zdolnym, ciętym i fanatycznym polemi-

stą. Czyż jednak można widzieć w Modrzewskim tylko znakomitego przedstawiciela „aryanizmu” polskiego? Czyż godzi się tak niezwykłej postaci i tak doniosłej książce poświęcić tyle akuratnie miejsca, ile zajmuje nie kwalifikujący się właściwie do figurowania w Historyi literatury ruchliwy sekciarz?

Pomieszczenie Orzechowskiego w grupie obrońców katolicyzmu, po Hozyuszu i Kromerze, wysuwa na pierwszy plan końcowy okres jego działalności, w którym ten świetny trybun szlachecki, ognisty publicysta, mówca i agitator zmienia się w zajadłego polemistę i obrońcę idei teokratycznych.

Jak historycy polityczni w wyprowadzaniu na widownię wybitnych postaci nie zwracają uwagi na datę urodzenia, ale moment wystąpienia z donioślejszym czynem, tak i historycy literatury powinniby, bez względu na datę metryki, brać pod uwagę, jedynie chwilę pojawienia się pierwszej oryginalnej, donioślejszej pracy i wpływ, jaki ona wywarła. Przy takiej zasadzie Bielski, pomimo starszeństwa wieku i pierwszeństwa w występie literackim, musi ustąpić miejsca Rejowi, który w swej „Krótkiej rozprawie” stworzył oryginalny—jeśli nie w pomyśle, to w treści i obrobieniu obraz, skupiający, w grupo zarysowanych szkicach, wszystkie właściwości życia współczesnego. Zamiast więc, sprzecznie z przyjętą w całem dziele zasadą, roździelać zarys działalności Bielskiego na dwie połowy, tworzące jakby ramy, w które zamknięty został twórca „Zwierciadła”, było właściwiej postawić Reja na czele grupy pokrewnych mu pojęciami, formą utworów, dydaktyzmem i stopniem artyzmu, pisarzów, jakimi są, oprócz obu Bielskich, Stryjkowski i Paprocki. „Panosza” tego ostatniego to dalszy ciąg drugiej księgi „Zwierzyńca”, a „Gniazdo cnoty” i „Herby rycerstwa” to znowu dalsze przekształcenia i uzupełnienia „Panoszy”.

Niedogodności i niewłaściwości, wynikające z grupowania pisarzów, nie zaś dzieł samych, spotyka się na każdym kroku. Nietylko takim pisarzom, którzy się posługiwali dwoma językami, jak Kromer, Orzechowski, Szymonowicz, trudno wybrać odpowiednie miejsce w obrazie dziejowym, ale jeszcze trudniej uwzględnić i uwydatnić różne kierunki działalności zarówno u Bielskiego i Stryjkowskiego, jak i u Górnickiego, który w dziele Chmielowskiego znalazł się między Bielskim (satyrykiem) a Kochanowskim, odłączony od pokrewnych mu zasługami i uzdolnieniem prozaików, jak Kromer (jako autor „Mnicha”) i Orzechowski, a przytem zbyty bardzo pobieżną wzmianką.

Gdyby historyk zamknął postaciami Kochanowskiego i Szarzyńskiego „dobę rozkwitu poezyi polskiej”, to uczyniłby zadość i prawdzie dziejowej, i wymaganiom sztuki historycznej, której reguły nie stracą swej doniosłości nawet i wtedy, gdy historya jeszcze więcej, niż dziś, zbliży się metodą swą do nauk ścisłych. Tymczasem umieszczenie po Szarzyńskim takich pisarzów, jak Stryjkowski i Paprocki, razi nasze uczucia estetyczne i sprzeciwia się wymaganiom metody naukowej. Jeszcze niewłaściwszem jest zespolenie w jednej grupie z dwoma powyższymi pisarzami znakomitego historyka łacińskiego Heidensztejna, który nie ma z nimi nic pokrewnego; poglądami swymi należy do szeregu przedstawicieli reakcyi katolickiej, a wysoką wartością dzieł zasłużył na szersze traktowanie. Niesłusznie także pominięty został drugi historyk łaciński tej epoki Świętosław Orzelski.

W dobie trzeciej, zatytułowanej: „Początki reakcyi katolickiej”, po Skardze, wysuniętym bardzo właściwie na pierwsze miejsce, ale mimo to zbytym bardzo pobieżnie, idzie Piotr Kochanowski, jako tłómacz „Jerozolimy”, z kolei zaś wysuwają się, w obszerniejszych znacznie zarysach przedstawieni, tak mierni wierszopisowie, jak: Klonowicz, Miaskowski i Grochowski, przedzieleni przez jedynego, niczem z nimi nie związanego artystę-poetę: Szymonowicza.

Na końcu szeregu znalazł się nadspodziewanie Joachim Bielski, któremu najwłaściwiej byłoby przytulić się pod skrzydła opiekuńcze ojca.

W okresie trzecim („Czasy reakcyi katolickiej i swywoli szlacheckiej”) pierwsza doba jest scharakteryzowana: „Początki przyćmienia światła i psującego się smaku”. Jako wybitne zjawisko wysuwa tu historyk ciekawe wielce i nieznane ogółowi pismo Olizarowskiego, profesora prawa w akademii wileńskiej „*De politica hominum societate*”. Dzieło to jednak swą treścią i poglądami społecznymi autora przeczy charakterystyce doby owej, jako pojaw światła i myśli postępowej. Obok tego wysunięcie na pierwszy plan całego szeregu polemistów, polihistorów, historyków i polityków, przy cofnięciu w tył licznego grona poetów, sprzeciwia się założeniu pracy, która przedstawiać ma rozwój dziejowy literatury w ściślejszem znaczeniu, t. j. literatury pięknej.

Rozdzielenie między dwie po sobie idące doby pisarzów, współczesnych i tak mało różniących się datą urodzenia i datami utworów, jak Twardowski, Morsztyn, Opaliński (zaliczeni do pierwszej doby), a z drugiej strony Potocki, Kochowski, Gawiński (włączeni do na-

stępnej, mającej się wyróżniać „Przeciwieństwem talentu i poczytności"), nie da się niczem usprawiedliwić.

Przyczyną tej niepoczytności utworów Potockiego i Gawińskiego był nie talent, wynoszący pisarzów po nad poziom ówczesnych umysłów, ale poprostu ruina ekonomiczna kraju całego, utrudniająca druk i rozchodzenie się książek, nie mających doniosłości praktycznej. Była tu więc sprzeczność między dość obfitą produkcyą w zakresie poezyi a słabą zdolnością konsumcyjną ogółu. Stąd pozostałości tej nadprodukcyi stopniowo wchodzą w obieg w wiekach następnych. Współczesny francuski krytyk i historyk literatury, Brunetière w ogłoszonym niedawno treściwym zarysie literatury francuskiej posuwa ścisłość metodyczną tak daleko, iż utwory wieku XVII, nieogłoszone wpółcześnie drukiem, jak pamiętniki Saint Simona i listy pani de Sévigné, wyłącza z liczby pomników literatury tego wieku, uważając za właściwe wyznaczyć im miejsce w epoce, w jakiej ukazały się na świat i wywarły wpływ na czytelników i piszących. Rzecz niewątpliwa, że zarówno „Wojna chocimska", jak „Pamiętniki Paska", zostają w ściślejszym związku z literaturą wieku XIX, na którą pewien wpływ wywarły, niż z życiem umysłowem wieku XVII, któremu były nieznane i obojętne. Bogatą spuścizną po Potockim obdzieliły się dwa stulecia; wiek XVIII wziął romanse i swawolne żarty, wiek XIX ocenił i odczuł piękności „Wojny chocimskiej".

Metoda, jak słusznie powiada wspomniany tu historyk francuski, jest regułą, której trzeba się poddać, jeżeli chcemy z niej odnieść wszelkie możliwe korzyści i otrzymać należyte usługi. Brak tych korzyści w pracy Chmielowskiego, uwydatniony na licznych wskazanych tu przykładach, a z drugiej chwiejność, z jaką historyk stosuje swą metodę, świadczą najwymowniej o jej wadach. Umieszczając Staszyca, choć młodszego, przed Kołłątajem, wskazując Trembeckiemu, mimo starszeństwa wieku, miejsce po Naruszewiczu i Krasickim, przyznaje sam dacie urodzenia podrzędną rolę w sprawie grupowania pisarzów. Nadanie samym utworów pierwszorzędnego znaczenia nasuwało, jako konieczne następstwo, swobodne grupowanie utworów na podstawie ich stosunku chronologicznego, treściowego i formalnego, bez względu na daty biograficzne. Najważniejszym dowodem niewłaściwości, z punktu widzenia naukowego, metody, używanej przez historyka, jest wynikająca stąd niemożność organicznego powiązania szczegółów w jeden obraz dziejowy, są te ciągłe przeskoki, to sztuczne, dyalektyczne zwykle, nawiązywanie wątku opowieści z początkiem każdegu rożdziału.

W charakteryzowaniu autorów i utworów spotykamy w pracy Chmielowskiego dość często, i to właśnie w ocenie najwybitniejszych pisarzów, ważne odstępstwa od postawionej na czele dzieła obietnicy, iż postara się wykazać w swej Historyi literatury proces odźwierciadlania się duszy narodu w pomnikach piśmiennych „od pierwszego szczebiotu dziecinnego do wspaniałych przejawów namiętnego uczucia". Odstępstwo to polega na uwzględnianiu w charakterystykach jednego przeważnie czynnika—myśli i ocenianiu pisarza na podstawie jego pojęć i poglądów, czynniki uczuciowe zaś brane są pod uwagę tam tylko, gdzie liryczny charakter utworów lub formy zniewalają historyka do szukania w nich właściwości pisarza.

Tymczasem życie duchowe naszego młodego społeczeństwa odznaczało się stałą przewagą czynników uczuciowych nad myślowymi, przodownictwem serca przy słabości rozumu. Liryków, marzycieli, mówców gorących wydaliśmy niemało, w myślicieli byliśmy zawsze ubodzy.

Nowych, oryginalnych idei i poglądów nie doszukamy się u naszych pisarzów wieku XVI ni XVIII, o ile więc tą skalą wyłącznie zechcemy mierzyć i na tej podstawie charakteryzować pisarzów i pomniki literatury, to wydadzą nam się bardzo ubogie i blade. Z wyjątkiem Kopernika, najznakomitsi pisarze nasi wygłaszają w kwestyach religijnych, politycznych, obyczajowych czy naukowych poglądy, przejęte od obcych. Czy to Ostroróg, czy Modrzewski, Orzechowski lub Rej, jako myśliciele, nie przysporzyli światu ni jednej nowej, ważniejszej idei.

Ażeby ocenić doniosłość i piękność pism Modrzewskiego czy Staszyca, trzeba brać pod uwagę nie tyle ich kombinacye pojęciowe, rezultaty ich rozumowań, wartość teoretyczną czy praktyczną podawanych projektów, ile moralne pobudki i pierwiastki, potęgę uczucia, nadającego tym rozprawom, projektom, mowom, broszurom piękność i siłę, zniewalającą słuchaczów i czytelników.

Rozbierając pisma Kochanowskiego, Szarzyńskiego czy Karpińskiego, zajmuje się Chmielowski ich uczuciami i w nich szuka źródła piękności i wartości utworów. Czyż jednak Modrzewski w swych mowach przeciw prawu na mężobójstwo lub gorących ustępach dzieła „O poprawie rzeczypospolitej", Skarga w „Kazaniach sejmowych" lub Staszyc w „Uwagach" nie zawdzięczają wylewom potężnego uczucia swej siły i piękności, czyż nie wznoszą się w swym dydaktyzmie do tego podniosłego liryzmu, jaki przyobleka taką powagą ewangeliczną nauki „Ksiąg pielgrzymstwa"?

Pomijając w rozbiorze pism Modrzewskiego, Skargi czy Staszyca czynniki uczuciowe, pozbawił Chmielowski te postaci właściwego im majestatu i blasku, ukrył przed czytelnikiem ich wielkie, gorące serca, a ukazał tylko umysły, nie wiele przekraczające średnią miarę rozwoju i uzdolnienia. To też sucho i krótko wypadły oceny tych ludzi. Modrzewskiemu dostało się mniej miejsca, niż Bielskiemu, a Skarga zajął akuratnie tyle stron, co Herakliusz Lubomirski; Staszyc znowu postawiony został na równi ze Stanisławem Leszczyńskim, którego „Głos wolny" przebrzmiał bez echa, podczas gdy „Uwagi nad życiem Zamoyskiego" pobudziły tysiące dusz do czynu i wywołały całą literaturę polityczną.

Jestto niewątpliwie najpoważniejszy zarzut, jaki można uczynić pracy Chmielowskiego. Wadliwość uogólnień i grupowania może ujść uwagi czytelników, przyzwyczajonych do dowolności i braku planu poważnego w większej części dotychczasowych podręczników, z którymi nie można porównywać nawet pracy Chmielowskiego, noszącej w każdym szczególe piętno znajomości faktów, trzeźwego i samodzielnego o nich sądu.

Po książce Spasowicza jestto pierwsza Historya literatury polskiej, którą daje się czytać z korzyścią i przyjemnością, podczas gdy wszystkie inne podręczniki czy obszerniejsze opracowania służyły tylko, jako źródła informacyi biograficznych i bibliograficznych. Pomieszczane w nich oceny, przeważnie ogólnikowe, często najnietrafniejsze, nie mogły nikogo oświecić ni zainteresować.

Choć więc Chmielowski nie zdołał, mojem zdaniem, szczęśliwie rozwiązać trudnego wielce zadania, jakiem jest trafne ugrupowanie utworów czy pisarzów i oznaczenie czasowe zwrotnych momentów rozwoju, choć w charakterystykach kilku wydatnych postaci okazał się jednostronnym, to jednak dwa wydane dotąd tomy jego dzieła stanowią najlepszy, jaki dotąd posiadamy, podręcznik dziejów dawniejszej literatury i podają nam jasny, treściwy, rozumny, bogaty w trafnie wybrane szczegóły zarys, nadający się, jako kształcąca i zajmująca lektura dla szerokich kół publiczności.

Bronisław Chlebowski.



RUCH ARTYSTYCZNY.

Obraz Rochegross'a. — Gdzie dramat? — Realizm połowiczny. — Reklama.— Sztuka teatralna.—Naturalizm na scenie.—Pegaz szkapą.—„Karykatury“ p. Kisielewskiego. — Dziennik reportera w akcyi. — Język mówiony.— Drobne rysy. — Zagadka psychologiczna.

W chwili obecnej nie zbywa publiczności warszawskiej na wrażeniach artystycznych.

„Zabójstwo cezara Gety“ p. Rochegross'a, głośnego malarza francuskiego, „Bajka“ i studya impresyonistyczno-symbolistyczne p. Okunia w „Salonie“ p. Krywulta, „Cyrk Nerona“ p. Styki w gmachu panoramy, malowidła tak zwanej „Szkoły Krakowskiej“ na wystawie stałej Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych — oto wyraz naszego ruchu artystycznego w zakresie plastyki.

Przedstawienia sceniczne „Karykatur“ p. Kisielewskiego, „Romantycznych“ Rostand'a i „Rothhornówny“ panów: Graybnera i Prażmowskiego w Teatrze Rozmaitości, a „Zazy“ panów: Berton'a i Simon'a w Teatrze Małym — oto znamię życia w zakresie sztuki dramatycznej.

Powodzenie względne trupy włoskiej i koncertów symfonicznych w sali naszej „Opery“, a bezwzględne wirtuozów i śpiewaków w Salach Redutowych — oto charakterystyka naszego ruchu w zakresie muzyki.

Właściwie, należałoby sprawozdanie z „Ruchu artystycznego" rozpocząć od dzieł swojskich, gdyż te tylko świadczą o naszem życiu artystycznem. Z uwagi jednak, iż obraz p. Rochegross'a: „Zabójstwo Cezara Gety" wkrótce zniknie z wystawy, pozwolę sobie jego charakterystykę umieścić na wstępie.

Pan Jerzy Antoni Rochegrosse (ur. w Wersalu 2 sierp. r. 1859) jest niezawodnie malarzem z wielu względów interesującym. Mimo to jego obraz, przedstawiający dramat krwawy w pałacu cesarskim w Rzymie starożytnym, nie wywiera wrażenia silnego. I nie dziw temu. Przedmiot nie pobudza wyobraźni do lotu w krainę fantazyi; wykonanie nie olśniewa oka, a indywidualność twórcy nie przemawia do duszy widza.

Przedmiot w obrazie jest rzeczą drugorzędną. Można, jak Henryk Regnault, namalować portret jenerała Prima na koniu, można, jak Matejko, umieścić figurę pojedyńczą Stańczyka w krześle, a mimo to stworzyć arcydzieło sztuki malarskiej z podkładem psychologii w obrazie. W danym jednak wypadku przedmiot obrazu jest czemś więcej, niż motywem koloru, bryły, czy linii: jest obrazem samym.

„Zabójstwo cezara Gety“.... Kogo to obchodzi? W czyjej wyobraźni pamięć tego wypadku nabiera kształtów żywych? Kto to był Geta?

Po Komodusie, pod koniec II wieku ery chrześcijańskiej, nastąpił cały szereg tak zwanych cesarzów żołnierskich, obieranych i zrzucanych przez pretoryanów. Pod ich rządami okrutnymi, lecz bezsilnymi, państwo rzymskie szybko dążyło do upadku. Jednym z tych cesarzów był Lucyusz Septymiusz Severus (183 — 211), administrator znakomity i żołnierz dzielny, a mąż rozrzutnej żony, Julii Domny, która mu urodziła dwu synów: Getę i Karakalę. Obaj bracia nienawidzili się wzajem. Po śmierci ojca rządzili przez rok państwem, jako współregenci: Geta, lubiony dla swej dobroci i uprzejmości, Karakala, nienawidzony z powodu okrucieństwa, rozpusty i wybryków szalonych. Obaj, żywiąc ku sobie nienawiść wzajemną, otaczali się strażą zbrojną. Karakala wielokrotnie godził na życie Gety, lecz matka udaremniała zamachy. Wreszcie, aby uśpić podejrzenia Gety, Karakala zaproponował podział państwa i sprawił, iż matka powołała obu do swojej komnaty na naradę. Zaledwie jednak Geta wszedł, centuryonowie, znajdujący się pod rozkazami Karakali, rzucili się na niego i, powalonego u stóp matki, w której objęciach szukał ratunku, zakłuli mieczami (r. 212). Rów-

cześnie wymordowano z rozkazu Karakali wszystkich stronników i przyjaciół Gety w liczbie 20,000 osób.

Imię Karakali, właściwie Marka Aureliusza Antoniusza Bassianusa, przeszło do historyi dzięki jego okrucieństwom i rozrzutności, Rzym zawdzięcza mu budowlę wspaniałą, łaźnie Karakali (*thermae Caracallae*) i modę długiej sukni galijskiej (*caracalla*), skąd też i jego przezwisko szydercze.

A Geta?.. Geta, młodzieniec sympatyczny, żyje we wspomnieniach historyków, jako ofiara nieszczęśliwa dzikich instynktów brata.

Zaiste, tytuł do nieśmiertelności marny, a i przedmiot do obrazu błahy. Śmierć Gety nawet na razie nie miała znaczenia wielkiego i niczem też nie wpłynęła na losy ludzkości. To też dziś, po siedemnastu wiekach zapomnienia, widz zdolny jest odczuć w niej zaledwie zwykły dramat rodzinny – i nic więcej. Ale i dramat rodzinny jest interesujący w wyrazie psychologicznym i w objawach zewnętrznych, jeżeli, uplastyczniony na płótnie, działa na wyobraźnię, wzrusza widza napięciem energii wewnętrznej lub wypukłością kształtów.

Obraz p. Rochegross'a na pierwszy rzut oka nie wywołuje wrażenia wcale. Przedewszystkiem niewiadomo, z jakiego punktu i na co w nim patrzeć należy. Co tu stanowi przedmiot obrazu? Julia Domna, Geta, Karakala, czy centuryonowie? Całość dekoratywna czy szczegóły malownicze? Doskonałość brył czy też wyraz uczuć? Plastyka czy psychologia? Ani jedno, ani drugie, ani trzecie, lecz potrosze wszystko razem, bo „Zabójstwo Gety“ — to mieszanina konwencyonalności w pomyśle, rutyny akademickiej w kompozycyi, a realizmu połowicznego w odtworzeniu szczegółów materyalnych.

Obraz przedstawia wnętrze komnaty, oświetlonej górnem światłem z ukosa.

U wejścia, w pełnem świetle, stoi zwrócony, tyłem do widza, centuryon na czatach. Jedną ręką obejmuje kolumnę, drugą trzyma zdala od siebie. Stoi pochylony naprzód, z nogą, lekko opartą o posadzkę mozaikową — gotów w jednej chwili ostrzedz o niebezpieczeństwie. Ruch jego tłómaczy się jasno; bryła modelowana jest dokładnie. Nie należy jednak sądzić, że to postać główna w dramacie. Bynajmniej. Dramat rozgrywa się z boku, po lewej stronie obrazu, w cieniu, gdzie światło, ukośnie padając z góry, drobne tylko płaszczyzny brył oświetla wyraźnie. Tu tłum zwarty działaczów sceny miota się gwałtownie i ruchami, wzrokiem, myślą

mierzy w jakiś jeden punkt, znajdujący się niejako przed obrazem. Tu linie są tak powikłane, a postacie tak skłębione, iż na pierwszy rzut oka niewiadomo, o co chodzi. Zdaje się, że ci wszyscy ludzie lada chwila wylecą z obrazu, i na płótnie zostanie się tylko postać niewieścia, Julia Domna, z oczami wytrzeszczonemi okropnie, z ustami otwartemi do krzyku namiętnego, z ręką prawą, pomiernie a bez wysiłku wyciągniętą naprzód, oparta mocno głową o ścianę.

Na środku komnaty, a więc i obrazu, znajduje się druga postać, dobrze wyindywidualizowana w kształtach i bryle, żywa w ruchu. To drugi centuryon, opancerzony, w hełmie z pióropuszem, z mieczem krótkim w prawej ręce, z palcami, krogulczo zagiętymi, u lewej, zachodzi spiesznie, lecz chyłkiem od tyłu, by co rychlej dobiedz celu i ugodzić jakąś ofiarę.

W obrazie, w ruchach, czuć dramat; lecz gdzie cel, gdzie ofiara? W grupie zwartej z boku widać kilka postaci, pochylonych nizko ku ziemi, prawie klęczących, a nad ich głowami i tułowiami miecze połyskujące, zwrócone ostrzami to w górę, to ku dołowi. Z kierunku rąk, uzbrojonych w narzędzia mordercze, widać, iż ciosy nie są wymierzone przeciw Julii Domnie. Zresztą ta, prócz wyrazu przerażenia w oczach, nie zdradza akcyi żywej w ruchu postawy. Stoi sztywno, prawie bezwładnie, jakgdyby w oczekiwaniu ciosu z przodu wprost w piersi obnażone, w które jednak nikt nie godzi.

Więc może to bydlę z łbem kudłatym, z karkiem byka, oparte czołem o łono Julii Domny, jest celem walki? A może chodzi o jedną z tych postaci atletycznych, pełzających przy ziemi, nad któremi stoi centuryon z czaszką, prawie doszczętnie wyłysiałą, przechylony bokiem, z prawą ręką, wzniesioną gwałtownie w górę, by tem pewniej wpakować miecz po rękojeść w pierś ofiary?

Nie. Widać to z kierunku wzroku jednego z najmniej czynnych, lecz najbardziej wyrazistych, działaczy dramatu. Znajduje się on w środku grupy. Głowę ma nadmiernie wielką, ciężko osadzonę na krótkim karku, oczy przysłonięte powiekami miąszemi, a usta skrzywione szkaradnie, jak u zwierzęcia złego, jak u tygrysa, z namarszczonemi brwiami, bez blasku w oczach, lecz gotującego się do skoku. Na twarzy maluje się zmysłowość. Zdaje się, że to zwierzę dyszy pomrukiem namiętności, wydobywającej się chrapliwie z pod trzewów. Od barku jego, po tułowiu, spływa w pięknych fałdach szata purpurowa. To Karakala — trzymający w prawicy, wyciągniętej w górę, miecz odchylony

ostrzem za siebie, by tem pewniej, gdy chwila będzie sposobna, ruchem podwójnym się złożyć i zadać cios odrazu.

Lecz gdzie ofiara? Niema co; trzeba, jak w rebusach,przejść wzrokiem wszystkie figury i przedmioty po kolei i następnie drogą rozumowania rozwiązać zagadkę.

Na przodzie obrazu, z prawej strony, znajdują się dwa krzesła drewniane, ze wsporami kobielistemi, z nogami wygiętemi nazewnątrz. Jedno leży przewrócone, drugie stoi, jak stało — poduszka tylko spadła z niego na ziemię. Acha! Tu niezawodnie Karakala rozmawiał przed chwilą z matką o potrzebie rozdziału państwa pomiędzy obu braci. Gdy Geta ukazał się w komnacie, a za nim wtargnęli centuryonowie, oboje rozmówcy porwali się nagle z krzeseł i pospieszyli na drugą stronę komnaty. Tak, tak — niezawodnie. Wszakże na środku sceny leży stolik okrągły, pięknie rzeźbiony, a przed nim tarzają się po ziemi róże wspaniałe i kawałki rozbitego wazonu kryształowego.

Więc to stanowi dramat? Cierpliwości. Ponieważ w obrazie niema ani punktu zbieżnego linii, ani przedmiotu, uwydatnionego silnie za pomocą tła, ani osoby, opromienionej sztucznie światłem,ześrodkowanem w jednem miejscu, jak w teatrze, należy zatem rozwikłać uważnie gmatwaninę kolorów i plątaninę linii, a wtedy cel dramatu, zwłaszcza po wyłączeniu znamion pobocznych lub drugorzędnych, ukaże się oczom widza sam. Tak. W grupie morderców postać, najdziwaczniej przekręcona i najnamiętniej działająca, to centuryon, pochylony nadmiernie ku ziemi, z ręką gwałtownie wyciągniętą przed siebie, a zachodzącą ruchem półokrągłym za kolana Julii Domny. Ta ręka to drogowskaz dramatu: tędy do celu! Istotnie — oko po chwili zaczyna odnajdywać nowe szczegóły, nowe przedmioty, którym uprzednio nie poświęciło żadnej uwagi. Najpierw widać nogę, wyciągniętą silnie naprzód, obnażoną od kolana po kostkę, a przybraną w obuwie ze skóry czerwonej, jakie tylko patrycyuszowie nosić mieli prawo. To lewa noga w świetle. Potem z cieniu wyłania się nieznacznie kolano nogi prawej, podwiniętej pod siebie, kolano, nie dotykające jednak ziemi, nie opierające się o nic. Dalej widać rękę, palcami uczepioną górnego skraju stoli purpurowej Julii Domny. Ręka ta nie trzyma się konwulsyjnie szaty. Po jej linii jednak można już z łatwością trafić do ramienia i tułowia postaci, ukrytej w cieniu. Poszukiwanie jest owocne, bo oto po kilku chwilach wyłania się z mroku twarz blada, ziemisto-szara, z okiem szklanem prawie trupa, a następnie tułów zgrabny młodzieńca, odziany obcisłą szatą szkarłatną, przewiązany pasem jedwabnym. Tak—to Geta,

współzawodnik Karakali, raniony śmiertelnie w brzuch. Miecz centuryona z ręką, wygiętą półkręgiem około kolana Julii Domny, ugodził go w sam środek pasa i tkwi po rękojeść w ciele.

Zagadka rozwikłana. Obraz staje się nareszcie zrozumiałym— zrozumiałym, lecz nie odczutym, gdyż, mimo wszystko, dramatu w nim niema. Skomponowany nie na wyraz uczuć, nie na plastykę brył, nie na malowniczość dekoratywną barw, lecz na linie, przecinające się lub zbiegające w danem miejscu, jest właśnie chybiony w liniach. Oko widza instynktownie szuka akcyi z prawej strony obrazu — w świetle. Tymczasem dramat rozgrywa się z lewej strony — w mroku. Tu znowu ruchy rąk, niepomiarkowane w rozmachu, tak dalece godzą w jakiś punkt odległy, iż oko instynktownie szuka dramatu przed płótnem.

Jakto? Więc dramat nie może odbywać się w mroku? Owszem, ale malarz powinienby za pomocą zbieżności efektów nie tylko uwypuklić scenę, ale i podkreślić punkt kulminacyjny akcyi. Tymczasem śmierć Gety w obrazie Rochegross'a w przeciwstawieniu do znaczenia innych postaci, a nawet w przeciwstawieniu do wypukłości przedmiotów martwych, jest drobiazgiem, szczegółem błahym — cząstką dekoracyi, której piękność, dekoratywną właśnie, stanowi strona świetlna obrazu, głąb perystylu. Gdyby chodziło o zabójstwo zwykłe, dokonane przez żołnierzy dzisiejszych na człowieku dzisiejszym, a więc bez strojów archeologicznie ciekawych, nikt nie zadałby sobie tyle trudu, by rozwiązać bodaj powierzchownie ten rebus, bądź jak bądź malowniczy. Obraz nie robi wrażenia — i na tem koniec. Lecz z obrazem historycznym czy *quasi-historycznym* rzecz się ma inaczej. Mało kto uważa się za kompetentnego w rzeczy całości. Każdy więc przypatruje się szczegółom materyalnym i, sądząc co raz to z innego punktu widzenia, przyznaje obrazowi wielkie zalety, wyraża jakąś pochwałę odrębną. Naturalnie każda pochwała, czy to krzesła, czy to kwiatów, czy to buta, czy to kolana, czy to ręki, czy to czaszki oprzałej, czy wreszcie sprzączek, napierśników, pancerzów, mieczów — godzi w samo serce artysty-twórcy, który chciał przedstawić walkę wręczną, dramat uczuć, gdy tymczasem widzowie zachwycają się przyborami materyalnymi życia i sztuki malarskiej.

Lecz kto temu winien? Oko niewykształcone widza, szukającego wrażeń silnych—czy też ręka zmanierowana twórcy, indywidualizującego zanadto w stosunku do myśli przewodniej szczegóły materyalne? Odpowiedź łatwa i prosta. Obraz musi najprzód być obrazem całości, a więc bądź jakiegoś krajobrazu, wnętrza, osoby

portretowanej, konia, wołu, osła, bądź sceny ożywionej, miłości, tańca, pijatyki, bitwy, bądź też jakiegoś wyrazu duszy, uczucia, spokoju, walki—a następnie dopiero obrazem szczegółów, charakteryzujących rzecz, osobę, chwilę. Szczegóły materyalne, krzesła, sprzączki, pancerze, miecze, buty muszą być podporządkowane celowi głównemu obrazu, jak w tym wypadku: wyrazowi walki — namiętności zwierzęcej napadającego z jednej strony, a oporowi bohaterskiemu lub omdleniu rozpacznemu napadniętego z drugiej. Tego podporządkowania cech drugorzędnych wyrazowi czy nastrojowi chwili w obrazie p. Rochegross'a niema, i dlatego „Zabójstwo Cezara Gety" wrażenia nie robi. To nie obraz chwili, lecz szkatułka z przyborami materyalnymi życia domowego i żołnierskiego starożytnych Rzymian.

Perspektywa komnaty, *tablinum* wspaniałego, wdzięcznemi malowidłami ściennemi zdobionego, z widokiem w głębi na perystyl świetlny, jest nie tylko doskonale wykreślona, ale nadto i wybornie utrzymana w tonie. Na pierwszy rzut oka widać mistrza, który potrafi na palecie odnaleźć farby jasne światła i przeciwstawić im czerwień głęboką ściany. I powietrza w komnacie też nie brak. Bryły mają w czem się kąpać. Ale brył tych mało. Zaledwie czaszka i lewa ręka centuryona łysego, plecy opancerzone i lewa noga Gety, wreszcie krzesło, poduszka i róże, rozrzucone po posadzce, mają wypukłość dostateczną. Lecz ani postaci żywe, ani przedmioty martwe nie są wytrzymane w światłocieniu. Modelowanie dokładne od strony świetlnej nie wyłącza potrzeby modelowania od strony ciemnej. Tymczasem wszystkie powierzchnie brył w mroku malowane są płasko i przez to giną dla oka zupełnie. A przytem czerwień ściany, żywa i gorąca, użyta zręcznie przez malarza, jako przeciwwaga światła sinawego i zimnego z boku, zabija barwność ludzi i przedmiotów w obrazie. Obraz nie przedstawia się dość kolorowo w szczegółach, ani dość dekoratywnie w całości. Oko widza odbywa wciąż wycieczki nagłe i niespodziane to ku perystylowi świetlnemu, to znów ku ścianie karmazynowej -- i zgoła nie chce zatrzymywać się dłużej na działaczach dramatu. Co najwyżej, niepokoi je postać dziwna Julii Domny.

Kobieta to żywa czy posąg wykolorowany? Co znaczy ta postawa skamieniała w ruchu? Obie ręce, i ta, osłaniająca głowę Gety w dole, i ta, odpierająca tułów Karakali w górze, wyciągnięte spokojnie, nie uzmysławiają zgoła napięcia energii wewnętrznej. Głowa, modelowana ogólnikowo, przypomina jakiś wizerunek gipsowy, z oczami nadmiernie wysadzonemi na wierzch, które jednak nie

lśnią się w świetle, i z ustami nadmiernie rozwartemi do krzyku, przez które jednak krzyk przedostaćby się nie mógł, gdyż wargi nie posiadają sprężystości mięśni żywych. Geta, padając w omdleniu śmiertelnem na ziemię, zawisł ręką u skraju górnego jej szaty wełnianej. Szata pod naporem tego ruchu, jeżeli nie powinna, to mógłaby się rozerwać. Tymczasem w obrazie p. Rochegross'a lekko zaledwie zsunęła się z barku Julii Domny i pięknie układa się w fałdy. Karakala, z mieczem gotowym do ciosu w prawicy swojej, rzuca się naprzód gwałtownie, jak zwierzę, niczem nieposkromione, lecz rękę matki, odpierającej jego ruch, trzyma tak łagodnie w dłoni lewicy, jak gdyby chodziło mu o wyznanie uczuć łagodnych.

A przytem obraz nie jest skończony technicznie. Kolumny, obramowywujące oścież komnaty z boków, tylko od dołu są kuliste; od połowy ku górze przechodzą w deski płaskie, czerwonawe, obrzeżone listwami światła. Róże malowane są tak barwnie, iż widać je zaraz na wstępie, jak gdyby tu była waga obrazu. Natomiast stolik, choć rzeźbiony misternie, jest tak nikły w kolorze, iż niewiadomo co stanowi jego materyał pierwotny: drzewo, żelazo czy brąz zaśniedziały? Światło, wpadające ukośnie do komnaty, doskonale przepływa po siedzisku krzesła, lecz brązy, sprzączki, zapinki, hełmy, miecze nie lśnią się w świetle. Żadnych blasków na oczach. W całym obrazie zaledwie jedno oko, i to nie żywe, porcelanowe, Julii Domny świeci blaskiem odbitym od białka.

Słowem, obraz quasi-historyczny p. Rochegross'a jest całkiem chybiony w pomyśle i niedociągnięty w technice. Zbywa mu na powadze i jasności klasyków, na dekoratywności i wyrazie psychologicznym romantyków, wreszcie na barwności i plastyce w światłocieniu realistów. A indywidualność artysty? To zdolność ubrania modelów dzisiejszych w odzież rzymską, dokładnie skopiowaną w muzeach; sztuka, którą lepiej i piękniej potrafił Gérôme, która też przysporzyła sławy Alma Tademie i Siemiradzkiemu.

Niema w tem nic złego, iż p. Krywult sprowadził obraz Rochegross'a do Warszawy, gdzie z płótnami, nawet tak połowicznie skończonemi, spotkać się trudno. Obraz nie zrobił wrażenia. Niepowodzenie jednak nie powinno p. Krywulta zrażać. Na przyszłość jednak należy unikać niedorzeczności w reklamach. Entuzyazm bezwzględny, wyrażony w objaśnieniu do obrazu Rochegross'a, wydanem przez p. Krywulta, jest usprawiedliwiony warunkami handlu. Lecz czem usprawiedliwić „zachwyt słynnego powieściopisarza francuskiego, Flaubert'a, który, widząc studya starożytności egipskich i asyryjskich Rochegross'a, powierzył mu ilustrowanie swej powieści *Salammbo?*“ Kiedy bowiem Rochegross'e, jako

dwudziesto-dwuletni młodzieniec, wystawił pierwszy swój obraz: „Witeliusz, włóczony po ulicach Rzymu przez tłum uliczny” w „Salonie paryskim” w r. 1882, Flaubert od trzech lat bez mała (r. 1880) był już w grobie i przez to nie mógł stalować ilustracyi do „Salammbo”, zwłaszcza, iż w powieści jego nie o egipskie i asyryjskie starożytności chodzi, lecz o odtworzenie życia Kartagińczyków. Ale u nas tak wszystko. I reklamy pisze się bez zastrzeżeń.

Od dramatu w obrazie do dramatu na scenie krok tylko — i to niewielki. Te same prawa obowiązują malarza, co i dramaturga. Obaj wzorują się na rzeźbie, z tą jedynie różnicą, iż pierwszy zręcznie światłocieniem uwypukla figury na płaszczyźnie, drugi zaś misternie, za pomocą sznurków i nici akcyi, wprowadza je w ruch. Obaj w sztuce uzupełniają rzeźbiarza.

Cały świat cywilizowany szczyci się swoją literaturą dramatyczną: Anglicy Shakespear'em, Hiszpani Calderon'em, Niemcy Goethe'm i Schiller'em, Skandynawi Ibsen'em, Słowianie swojemi znakomitościami partykularnemi. Lecz dramat, jako sztuka teatralna, uwarunkowana przestrzenią i czasem, istnieje tylko we Francyi, gdzie poczucie rzeźby ani na jedną chwilę od wieku XVI-go nie przestało rodzić arcydzieł, mimo iż pojęcia, zarówno co do istoty, jak i co do charakteru zewnętrznego sztuki, zmieniały się ustawicznie i przekształcały z gruntu.

Przeprowadzenie porównania pomiędzy sztuką dramatyczną a rzeźbą, jak one się równolegle rozwijały, przekroczyłoby nad miarę zakres sprawozdania z „Ruchu artystycznego”. Na razie jednak należy, choć pokrótce, scharakteryzować budowę architektoniczną sztuki teatralnej w dobie dzisiejszej.

Krytyka dawniejsza rozróżniała trzy typy komedyi: komedyę charakterów, komedyę obyczajów i komedyę intryg. Autor rozwijał charakter danego osobnika w ciągu całego dzieła, a scena była rozwinięciem sytuacyi. Scribe na wzór Shakespear'a i romantyków wprowadził intrygę równoległą. Jeżeli pierwsza była ponura, ta druga musiała mieć nastrój wesoły: obie dążyły do swojego celu, do rozwiązania w końcu sztuki, w obrazie ostatnim. Augier i Dumas, ci dwaj, bądź jak bądź, malarze swojej epoki przejęli od Scrib'a architektonikę utworu scenicznego. I słusznie. Intryga z jednej strony podnieca uwagę publiczności, z drugiej zaś jest podłożem, na którem rozwija się charakter. „Charakterów nie można badać, jak owady, pod mikroskopem” — w odosobnieniu od życia. Aby dramat mógł powstać, charakter dany musi się zetknąć z innymi charakterami i przejść przez ogień wypadków. Dopóki jakaś istota nie walczy

z miłością lub zdradą, dopóki nie obwinia lub nie przebacza, dopóki nie gubi lub nie ocala kogoś, dopóki nie występuje w roli kata lub ofiary, dopóty jej charakter jest tylko białą ćwiartką papieru. Dopiero intryga daje jej możność ujawnienia rysów psychologicznych charakteru. To też zarówno Augier, jak i Dumas, korzystali z niej w pełni, z tem jednak zastrzeżeniem, że co u Scrib'a było dodatkiem, przyborem sztuki, to u Augier'a i Dumas'a stało się istotą, celem. Scribe płodził z głowy charaktery i obyczaje, aby tworzyć sztuki, Augier i Dumas płodzili sztuki, aby odtwarzać charaktery i obyczaje z życia. Augier przytem bronił miłości małżeńskiej, Dumas uniewinniał kobietę upadłą. Obrona miłości małżeńskiej to morał w ostatnim akcie, uniewinnianie zaś kobiety upadłej to teza na początku, a paradoks na końcu sztuki. I morał i teza wraz z paradoksem w teatrze przejadły się publiczności. Wiktoryn Sardou udoskonalnemi, sztuczkami wirtuozowskiemi, w których przewyższył mistrza swojego, Scrib'a, dobił komedyę mieszczańską. Intryga przestała bawić. Wszyscy, idąc do teatru, wiedzieli już z góry, co i jak będzie. Zażądano czegoś nowego, czegoś innego.

Naturalizm, przerobiony z powieści (bracia Goncourt, Zola, Daudet), wprowadził na scenę rzeczywistość. Chodziło o malowanie już nie „poczciwego ludu", jak u pani Sand, ale o malowanie „ludu prawdziwego", jak u Zoli. „*Assomoir* — pisze Zola o sobie — to pierwsza książka, którą czuć ludem". Tak, lecz słuchacze wytworni na przedstawieniu rzeczywistości, przykrojonej do ram teatru a na starą modłę melodramatu, zatykali sobie nosy. Dramaturgowie zawodowi zaczęli wołać ze wszystkich stron: „Realizm w urządzeniu sceny — i owszem! Niech ogień prawdziwy pali się na kominku, a kobierzec strzyżony leży na podłodze! Niech scena będzie umeblowana pięknie, a stół zastawiony butelkami szampana prawdziwego i półmiskami kurcząt pieczonych! Niech stroje kosztowne nadają aktorkom pozór kobiet z wielkiego świata, a nawet dyalog niech przypomina rozmowę z życia!" Lecz rzeczywistość, jako odtworzenie w teatrze temperamentu, dziedziczności, instynktu, otoczenia żywego i przyczyn akcyi, to koniec sztuki. Należy się liczyć z konwenansami i pamiętać przytem, iż pesymizm prowadzi zawsze do mistycyzmu, a mistycyzm jest rodzajem obłędu umysłowego.

„Rzeczywistość — według Dumas'a — to materyał surowy dla dramaturga, punkt wyjścia, nie zaś cel. Teatr jest sztuką przygotowania rzeczy i wyjaśnienia przyczyn; tymczasem naturaliści nic nie przygotowywują, nic nie wyjaśniają: wszystkie dane psychologiczne

zostają się poza sztuką. Osobistość z dramatu naturalistycznego nie poddaje swej duszy analizie psychologicznej wobec publiczności. Zresztą jakże mogłaby dokonać tego, skoro nie jest świadoma stanu swej duszy? Jest z jednego kloca: taka sama w pierwszej scenie, jak i w ostatniej: gdzież więc rozwój sztuki, czy charakteru, gdzie niespodzianka, gdzie interes? Sztuka kończy się źle lub nie kończy się wcale. Francuz może być pesymistą u siebie w domu, przy ogniu kominkowym; lecz Francuzi, zebrani razem w liczbie 2000 osób na przedstawieniu teatralnem, są optymistami, którzy dopóty nie zasną spokojnie, dopóki się nie dowiedzą, że miłość i cnota wybrnęły szczęśliwie z kłopotu, lub przynajmniej że ktoś rzucił kwiatek na ich trumnę. Anglicy nazywają to „sprawiedliwością poetycką": nic ona nie kosztuje, a sprawia przyjemność".

„Ostatecznie w dramacie naturalistycznym niema budowy i niema celu. Nie jest to ani dzieło sztuki, ani demonstracya moralna. Jeżeli naturalizm wtargnie do teatru, teatr przestanie istnieć."

I naturalizm, lecz już nie przerobiony z książki, wtargnął do teatru, jako *comédie rosse*.

Wyraz rosse pochodzi z niemieckiego i oznacza pogardliwie konia w lichym gatunku, szkapę. Być może, iż Rosynant Don Kiszota przyczynił się też do rozpowszechnienia tej nazwy. Bądź jak bądź, *pegaz*, koń skrzydlaty poetów, stał się we Francyi szkapą — najprzód piosnkarzy gminnych, a następnie dramaturgów. Na tej szkapie Henryk Becque ze swoimi „Krukami" i „Paryżanką" wjechał do „Komedyi francuskiej" i Odeonu. Antoine, aktor-reformator, postawił ją na stajni w swoim „Teatrze wyzwolonym" (*Théâtre libre*).

Należałoby w tem miejscu podać charakterystykę teatru ogólno europejskiego i wykazać ślady wpływu, jaki na dramat francuski, a więc na sztukę czysto teatralnę, wywarli pisarze tej miary, co: Ibsen, Björnson, Strindberg, Tołstoj, Turgieniew, Gerhart Hauptmann, i t. d., a zwłaszcza Ibsen ze swoim paradoksem, że scena jest izbą, w której wyjęto ścianę od strony widzów, aby publiczność mogła swobodnie przyglądać się temu, co się w izbie dzieje. Lecz na to będzie czas. Narazie zaznaczyć należy, iż żądaniu publiczności, spieszącej się niewiadomo dokąd i po co, stało się zadość. W teatrze jest, jeżeli nie coś nowego, to przynajmniej coś innego.

Ale co?..

Przedewszystkiem przewrót w tradycyi układu scenicznego i gry aktorskiej. Jeżeli aktorowi wypada z roli przez całą scenę stać tyłem do publiczności, to aktor stoi tyłem do publiczności przez

całą scenę. Dla wielu Paryżan plecy Antoin'a stały się synonimem „Teatru wyzwolonego". Dalej, zadanie aktora polega już nie na deklamowaniu frazesów, lecz na uwydatnianiu jakiejś cechy znamiennej temperamentu, jakiegoś rysu stałego w objawach charakteru. Precz z indywidualnością aktora. Aktor to tylko narzędzie muzyczne, na którem gra autor.

Następnie ideał „sztuki szkapiej" (*comédie rosse*). Pod tym względem dramat „Kruki" Henryka Becqu'a, który jest już dziś „przywódzcą szkoły", nie pozostawia żadnej wątpliwości.

„Nie znać swojej epoki, obyczajów, jakie w tym czasie panują, języka, jakim się mówi, sztuki, jaką się uprawia i uwielbia, wszystkiego tego, co stanowi prawo i przepis zarówno w społeczeństwie, jak i w literaturze, to też niekiedy wielka siła. Taką siłę właśnie — pisze Augustyn Filon w swojej krytyce dzisiejszego dramatu francuskiego — posiada Henryk Becque". Zamiast przyswoić sobie od Scrib'a sztukę „budowy" lub nauczyć się od Dumas'a, jak się pisze komedyę na zadany temat (t e z ę) a z zakończeniem optymistycznem, Henryk Becque zajrzał do Molièr'a i oddał się obserwacyi form zewnętrznych życia. Z tej szkoły wyniósł pewnik, iż „największą zdolność śmieszenia i wzruszania ludzi posiadają istoty, działające nieświadomie, ci, którzy ślepo idą, choćby najdalej, za popędem swojej namiętności lub interesu własnego, ci, którzy bezwiednie, niechcący, malują się w słowach dosadnych". Żadnych wyjaśnień, żadnej intrygi, pojedyńczej czy podwójnej, żadnego kompromisu z etyką czy sztuką, choćby teatralną! Precz z wdrożeniem (*ekspozycyą*) dramatu! Precz z rozwinięciem rysów charakteru! Precz z tezą! Precz z morałem na zakończenie! Nic — tylko rzeczywistość, urozmaicona czy zagmatowana przypadkowością scen, obrazów, wydarzeń. Osoby wchodzą i wychodzą, kiedy i jak im się podoba. Ani Opatrzność, ani bogowie teatralni nie wdają się w sprawę, a bohaterowie dramatu tak samo, jak w życiu, radzą sobie, jak mogą. Alboż to trudno? Komizm łączy się bezpośrednio z tragizmem. To, co jest początkiem rzeczy, może też być końcem, i naodwrót. Cnota nie obowiązuje i nikt jej nie broni. Tam, gdzie niema świadomości czynu, występek nie istnieje. To też zdrożność panuje tu wszechwładnie. Wszystkim osobnikom dramatu brak zmysłu moralnego. Ludzie nurzają się w nieczystościach i nieprawościach, jak ryby w wodzie. Niema zbrodni, któraby była zdolna zamącić spokój dziecięcy tych dusz, przejętych do dna zgnilizną. „W tem społeczeństwie dziesięcioro Bożego przykazania nie przestało być ko-

deksem, lecz ludzie — mówi w innem miejscu Augustyn Filon — rządzą się prawami siedmiu grzechów głównych."

Tu przychodzi na myśl dowcipna charakterystyka nihilizmu, jaką podał któryś z humorystów rosyjskich. — „Dusza?" — „Komórka". — „Bóg?" — „Niema". — „Rodzonego ojca w twarz?" — „Można."

Język, jakim ci ludzie w teatrze mówią, to herezya. Nic nie obowiązuje: ani styl, ani składnia, ani gramatyka, ani znaczenie wyrazów, ani interpunkcya; trzebaby zdwoić, potroić ilość znaków pisarskich i stworzyć nowy system. Aktorowie mówią na scenie gwarą własną, a sztuka żyje podrygami przypadkowości. Żadnego węzła, żadnej wynikliwości faktów, żadnego rozwiązania! „Po czem poznać, że sztuka się skończyła? — Po tem, że zasłona spadła. — A kiedy zasłona spada? — Gdy autor wycisnął z charakterów wszystko, co one w sobie w danej sytuacyi zawierały."

Oto charakterystyka ogólnikowa dzisiejszej „szkoły szkapiej" w teatrze francuskim. Jakie owoce ta szkoła wydała w Niemczech, dośćbędzie przyjrzeć się „Miłostce" Schnitzler'a, granej z powodzeniem na naszej scenie, a pokrewnej duchem i formą „Karykaturom" p. Kisielewskiego. Na zakończenie jednak tego wstępu, przydługiego może, drobna uwaga. Pegaz grecki stał się rossynantem hiszpańskim, rossynant rossem niemieckim, ross szkapą francuską, a szkapa hetką-pętelką polską. Polska pętelka to nazwa pogardliwa uprzęży ze sznurków na hetkę. To też kto wie, czy naturalizmu, jaki i u nas zaczyna wdzierać się na scenę, nie należałoby przezwać *„sztuką pętelkową?"*

„Karykatury" p. Kisielewskiego, które czytelnicy „Ateneum" znają już z czytania, to utwór czysto-sceniczny — dramat czy komedya w dzisiejszem rozumieniu sztuki teatralnej. Krytyk literacki nie wiele ma tu do powiedzenia. Czyta się to, jak dziennik reportera, jak kronikę wiadomości drobnych i wydarzeń nieco skandalicznych, jak raptularz obserwatora, odzwierciadlający wiernie każdy rys temperamentu, każde słówko pochwycone mimochodem, nieledwie każdy odcień głosu, każdy ruch, a nawet odruch nerwowy. O jakiejś wynikliwości psychologicznej charakterów, o jakiemś ześrodkowaniu rysów znamiennych duszy, o jakiejś wypukłości artystycznej cech — mowy tu nawet niema. Ludzie charakteryzują się sami, czynami przygodnymi, słowami powszedniemi, nałogami mowy, okrzykami i drgawkami nerwowemi. Artysta nie poprawia rysunku, nie uwypukla znamion oświetleniem sztucznem, nie nagina kształtów postaci do linii kompozycyi. Jeżeli jakaś postać ginie

w tle — tem ci gorzej dla niej; jeżeli kształtami kanciastymi i wypukłością nadmierną rysów rozrywa obraz czy scenę — tem ci lepiej dla autora: wywołał efekt prawdy, jak w życiu, i to go cieszy, gdyż rys, zaobserwowany wiernie w naturze, powinien być wiernie oddany w sztuce — i nic więcej. Zauważyć jakieś znamię w naturze i pokazać je na scenie w formie pierwotnej, zjawiskowej — to rzecz autora; sądzić i wnioskować — to rzecz widza. Autor przenosi salon, komnatę, pokój, izbę, kawiarnię, szynk do teatru i — „wyjmuje ścianę od strony publiczności". Publiczność może sobie patrzeć i słuchać, jak jej się podoba; autor nie wdaje się ani w klasyfikowanie uczuć na dodatnie i ujemne, ani w rozwiązywanie zagadek psychologicznych, ani w oświetlanie rysów znamiennych charakteru. Po co? Prawda mówi sama za siebie. A czy jakieś uwiedzenie dziewczyny, jakieś porzucenie dziecka, jakieś poświęcenie czyjegoś życia swoim zachciankom jest rzeczą karygodną lub nie — to już sprawa sumienia widzów. Autor nie zaprząta sobie głowy kodeksem moralności czy konwenansu towarzyskiego i nie chce nawet być przedstawicielem „sprawiedliwości poetyckiej". Zresztą ten objektywizm właśnie stanowi podstawę i siłę dzisiejszego dramatu modernistycznego, dzisiejszej sztuki pętelkowej, onustej na siatce drobnych i przygodnych wydarzeń, a bez wyraźnego wątku dramatycznego, któryby fakty grupował, rysy podkreślał, cechy ześrodkowywał. Nie postanowienie autora, lecz przygoda kieruje akcyą. Stąd słów siła — wątku mało!

Co za ruch i gwar zaraz na wstępie! Izdebka Relskiego pełna jest studentów. Słowa, frazesy, strzępki myśli i pojęć, paradoksy i ucinki krążą w powietrzu, jak ćmy nocne koło lampy: coraz to która zwali się na ziemię lub wpadnie w ogień; lecz to nic. Epitety i aforyzmy mieszają się z imionami własnemi filozofów i twórców; gwara cygańska pracowni artystycznych krzyżuje się z językiem napuszonym auli uniwersyteckich lub rozpraw doktorskich — i jazda dalej! Ba! — ale jaka jazda? Nic pyszniejszego nad to objaśnienie, jakie autor w tem miejscu daje reżyserowi: „koliste, lśniące kieliszki szampańskie zapełniają się wrzącym płynem kawowym. Lotne słowa wirują po komnacie w lekkich tunikach z dymu sinego". Czy to żart, piętnujący szyderstwem styl dzisiejszych pisarzy-dekadentów, czy też obserwacya prawdziwa, wyrażona językiem napuszonym? Mądry, kto odgadnie. Na interwencyę autora liczyć nie można.

„Precz z autorytetami i logiką! Przyszłość należy do kultury kobiecej! Trzeba być osłem, aby nie widzieć, iż u k ł a d żeński jest

piękniejszy, niż układ męzki! Ibsen, Gladstone, Munch, Kowalewska, Maeterlinck, Nietzsche, Björnson, Tołstoj, Boecklin, Dostojewski, Bebel, Strindberg, posłowie, dyabolicy, redaktorowie, mistycy, piąta kurya, feministki, ośmiogodzinny dzień pracy, dramat parlamentarny, akustyka teatralna, barykada z pulpitów, wotum nieufności, pięć absolutów (jeden dymisyonowany), artysta kapłanem — cognac arcykapłanem, jeżeli to wszystko nie skończy się na kobiecie, to jestem gips!"

A to co? To charakterystyka umysłowości ruchliwej studentów, zaznaczona pospiesznie, bezładnie, w skróceniu. Scena ta nie ma najmniejszego związku z przebiegiem akcyi, nie jest wcale częścią składową sztuki, która zresztą obywa się bez wdrożenia (ekspozycyi) należytego akcyi. Studenci weszli, wygadali się, wyszli — i na tem koniec. Zdaje się, że istotnie chodziło im o „szczepienie bakcyla dekadencyi na kwestyach społecznych". Lecz czy to nie jest równocześnie szczepieniem bakcyla dekadencyi na literaturze?

Bardzo dobrze — powiadają moderniści i dekadenci krakowscy — ale czy autor jest z nami, czy przeciw nam? Ani tak, ani siak. Pan Kisielewski zauważył pewne rysy w życiu, a raczej w sposobie mówienia młodzieży, i podał je wiernie, nie troszcząc się zgoła o oświetlenie. Scena ta, wyborna sama dla siebie, żywa i barwna, nie jest nawet tłem obrazu, przygotowaniem akcyi, podkładem dramatu. Bohater sztuki, Antoś Relski, wchodzi znacznie później — i, choć mówi więcej, niż wszyscy jego koledzy razem, nie zarysowuje się wyraźnie. Nic dziwnego. Drobnymi rysami można szkicować sylwetki. Nie dość jednak konturu, aby zbudować postać litą, posiadającą wszystkie wymiary, miąższość rzeźby. Dlatego to postaci drugorzędne „Karykatur" wrażają się doskonale w pamięć, jak zwykłe karykatury, w których rysownik uwidocznił przesadnie jedną jakąś cechę charakterystyczną danego osobnika, a kontur zaznaczył ogólnikowo, lecz śmiało — od jednego zawodu ołówka. Sam autor oznajmia w informacyi reżyserskiej, trącącej znów parodyą stylu, że to są, „głośno krzyczące cienie, które słowami skaczą sobie przez ramiona myśli". Każdy taki „głośno krzyczący cień" ma swój odruch warg, który go charakteryzuje dosadnie. Jesz, prawdopodobnie z Żydów, posługuje się wciąż niemczyzną, i co chwila krasi ją przysłówkiem: wstrętnie! Czuć w tem duszę cierpką. Radowskiemu kłębią się w ustach słowa bezładnie i ratuje się wciąż przysłówkiem: właśnie, wymawianym dziwacznie: właśnje. Czuć w tem umysł tępy i usposobienie dobroduszne. Wchodzi Relski. Powstaje gwar nieznośny. Wszyscy żądają kawy czarnej. „Czarna

w cienkiej raz!" Wyborna to parodya czy charakterystyka języka, jakim chłopcy w cukierniach i kawiarniach stalują kawę dla gości. Na przód sceny wysuwa się Radowski, zatrącający akcentem litewskim i przemawia do Antosia Relskiego:

„Otóż, prosz' ja ciebie, dzisiaj na poufnem zebraniu komitetu naszej paczki, na mój wniosek zdecydowano się na decyzyą właśnje, i ja właśnje imieniem radykalnej paczki, jako właśnje mnie, z uwagi na osobisty nasz stósunek i żebyś ty jutro stanął, jako kandydat naszej paczki. Na prezesa".

Co prawda, łatwiej jest mówić i pisać bezładnie, niż poprawnie, lecz cała ta przemowa, napisana poprawnie, nie zrobiłaby najmniejszego wrażenia w teatrze. Bezład składni ożywia ją, a odruch warg (właśnje) nadaje jej wyraz. Zwykłe nic w myśli staje się czemś na scenie. Autor wyzyskał tu zręcznie obserwacyę formy zewnętrznej życia i nie tylko scharakteryzował jakiegoś głuptasa jego własnym językiem, lecz nadto zaznaczył stanowisko Relskiego wśród kolegów, jakąś jego wyższość umysłową czy duchową. Lecz zaznaczyć coś ubocznie to jeszcze nie wszystko w teatrze. I tu, jak w rzeźbie litej, postać nie może żyć jednym rysem, i to zaznaczonym zzewnątrz, niby cień padający od innej bryły, od innej postaci. To też Antoś Relski nie zarysowuje się na wstępie wyraźnie, a i potem nie nabiera kształtów pełnych, nie zyskuje nic na miąszości. Koledzy, przeświadczeni o jego wyższości umysłowej, chcą wmówić weń, iż jego obowiązkiem jest stanąć na czele stronnictwa, „paczki" radykalnej. Relski odpowiada: „Obowiązek? A, moi drodzy! Dlatego właśnie nie przyjmę. Nie znoszę żadnych kajdan, nie potrafię. Wolność, nadewszystko wolność mi zostawcie!" Ta chęć zachowania „wolności właśnie osobistej" to jedyny rys charakteru Relskiego, jedyny wyraz rzetelny jego duszy. Wszystko poza tem jest niejasne, bałamutne, rozwiane w frazeologii... autora. Postać lita, wypełniająca osobą swoją cały dramat, nie może żyć jednym rysem — i rys ten w dodatku nie jest wyzyskany dostatecznie. Żadnej dosadności kształtów, żadnej wynikliwości czynów, żadnegoześrodkowania cech duszy, bo nawet chwiejność charakteru nie jest przeprowadzona ściśle. Na słowa odpowiada on słowami, stosownie do sytuacyi, a każda sytuacya go pognębia, bo nie potrafi właśnie być sobą, bronić swej wolności osobistej. Jest to postać pozbawiona kręgosłupa, a rys charakterystyczny, chęć korzystania z wolności osobistej, uchybiania jakiemuś obowiązkowi, nie jest zgoła rysem wewnętrznym jego duszy, lecz cechą przylepioną, przyczepioną od

zewnątrz; jest cieniem frazeologicznym, rzuconym przez autora — na bryłę? nie — na szablon jakiejś zagadki psychologicznej, maniaka chwiejnego.

Relski, wezwany przez Borkowskiego, ziemianina zamożnego, na nauczyciela, pokochał odrazu jego córkę Stefanię i poczuł, że „dziś dopiero zrodził się w nim mężczyzna!" Być może. „Zagrzebany dotąd w bibule, jak mól, żył drukiem. A tu — mówi, wskazując palcem na serce — tu harfa drzemała nieczynna, wielka harfa życia! Dziś ma ją.... ma tę złotą!... I wierzy w nią silnie — a ona zahuczy orgią tonów! Jej echem pieśń będzie, pieśń rytmiczna. Hurrah!" To hurrah w ustach Relskiego jest śmieszne, a cały frazes, wzorowany pewnie na jakimś sonecie zmysłowym któregoś z dzisiejszych poetów, nie ma najmniejszego wyrazu. Słowa są puste, niczem nie usprawiedliwione, niczem nie podznaczone, choćby piosnką Kratzera: „Ujrzałem raz i kocham już". To też słuchacz wnet ich zapomina. A szkoda dla autora, dla jego sztuki, bo one właśnie miały wywołać efekt wysoce dramatyczny, spotkanie się dwu.... pociągów na kolei życia. Lecz to są skutki przedmiotowości rzekomej autora, który z zasady nie interweniuje w dramacie. I, jak z powodu charakterystyki młodzieży dzisiejszej, moderniści krakowscy mogli pytać, czy autor jest za nami czy przeciw nam, tak krytyk-psycholog musi tu zapytać, czy autor jest za Relskim czy przeciw Relskiemu? Pod jego słowami nic nie śpiewa czule. Ale bo też miłość Relskiego nie powstała w sercu autora. Cały ten frazes, gorący w tonie, jest przyczepiony sztucznie do duszy nikłej bohatera, teatralnego i dlatego chybia celu. Naturalizm, zarówno w książce, jak i na scenie, jeżeli ma wywołać wrażenie odpowiednie, musi być szczery, odczuty głęboko i artystycznie oddany. Inaczej zawiedzie w efekcie i tu też p. Kisielewskiego, w miejscu niezmiernie dla jego sztuki ważnem, zawiódł zupełnie. Gdy, w chwilę potem, Zosia, biedna szwaczka, wpadła niespodzianie do izdebki Relskiego, widzom na myśl nawet nie przychodzi, że Relski kocha inną: zapomnieli o tem, jak o drobnostce, i dramat dla nich rozpoczyna się dopiero w końcu aktu.

Rysy Zosi, dziewczyny prostej i szczerej, uchwycone są trafnie, a i dusza, z wyjątkiem drobnych odchyleń w stronę czułostkowości konwencyonalnej, uzmysłowiona jest w pełni.

Matka jej, wdowa, wydała się powtórnie za mąż; mąż katuje żonę i pasierbicę. To też ona wyrwała się z domu matczynego i po dwu dniach tułaczki po Krakowie, ścigana przez policyę, zziębnięta i zgłodzona, zdecydowała się nagle przyjść do „Antosia", do

„pana Antosia” i oddać się pod jego opiekę. Pan Antoś stał ongi na stancyi u jej matki i nie domyślał się, nie przeczuwał wcale, że to biedne stworzenie może go kochać. Nawet teraz, lekko zdziwiony temi odwiedzinami niewczesnemi, zaledwie współczuje jej losowi. I nie dziw! Myśl jego przebywa gdzieindziej. Ona nie wie o tem; to mniejsza; lecz publiczność zapomniała całkiem o miłości Relskiego, i dlatego opowiadanie Zosi o sobie, o swojem uczuciu, nie wywołuje wrażenia jakiegoś przeciwieństwa. Obraz malowany na światłocień, w którym figury, w skutek przeciwstawienia barw, mają nabrać wypukłości złudnej, przedstawia się płasko. A jednak opowiadanie jest niezmiernie charakterystyczne i dosadne. „Pięcioro dzieci i stary wdowiec”. — „K. to” — pyta Relski. — „O... on — odpowiada Zosia. — Co ja się miałam za niego wydać? Ten wächter od złodziejów. I dom ma swój; to myślał, że mnie se kupi? To Antoś nic nie wiedział? A... nie wie Antoś, chacha, jak się to dziwił nieraz, że mu nie braknie tytoniu w tytoniercie. — To ja. Coś się tam zrobiło, a musiało być. Ale potem.... pan Antoś od nas poszedł.... A ja, to jak do domu od roboty wracałam, to zawsze w okno patrzyłam, czy się u pana Antosia świeci, czy nie. Pan Antoś do nas nigdy nie przychodził... a mnie się działo już nie wiem co! Ja już całkiem jestem waryatka. A dziś, to jak mnie ojczym chciał bić, to mnie tak gnało, aż tu.... i jak ślepa leciałam tu, i n o tu... Antoś mnie nie wypędzi, prawda, panie Antosiu? Antosiu, prawda? Niech pan Antoś o mnie s e myśli, co chce, ale ja nie mogłam. Chciałam s e zrobić śmierć, ale jeszcze choć widzieć chciałam Antosia. Nie wypędzi..!?”

Najprzód kilka zastrzeżeń. Że Zosia formułuje swe myśli chaotycznie, to dobrze: składnia nie obowiązuje biednej szwaczki, zwłaszcza w chwili wynurzeń miłosnych. Ale z jakiego powodu mówi ona ino, zamiast tylko, i se zamiast siebie? Toż to nie dziewczyna wiejska, lecz mieszczka i to „nie z podłej familii... thakże coś!“ I se i ino to forma gwary ludowej i nie należy jej mieszać z gwarą miejską. Przeoczenie to może i niekonsekwencya drobna; lecz kto na scenę wprowadza naturalizm drobiazgowy, ten powinien i musi pamiętać o wszystkich szczegółach. W takiej sztuce każda rzecz zmyślona, zapożyczona z książki, z drugiej ręki, razi fałszem. A przytem po co ten germanizm: „Chciałam se z r o b i ć śmierć (*Ich wollte mich Tod machen ?*) Jeżeli to szczegół u m y ś l n i e dla charakterystyki użyty, to i tak tego p. Kisielewskiemu pochwalić nie można, gdyż język nasz, a jego w szczególności, jest zanieczyszczony nad miarę chwastami przygodnymi. Toć zaraz w scenie pierwszej,

co zdanie, to nieprawidłowość rażąca lub błąd. „Kobieta jest szatana kochanka i dlatego jest wspaniałą w swej moralnej ohydzie“ — mówi Jesz. — „Ależ to jest szczytem kretynizmu literackim łokciem mierzyć każdy rodzaj sztuki“ — mówi Lassota. „Można gardzić logiką,“ jak Witoldyński, ale należy szanować gramatykę, zwłaszcza, jeżeli w celach charakterystyki rzekomej nie zachodzi tego potrzeba konieczna. Pan Kisielewski nie stara się i nie jest owym stylistą świetnym, który barwnością słowa okupuje powszedniość myśli lub brzmieniem frazesu całego uwypukla jakieś znamię duszy. Przeciwnie. Język jego grzeszy brakiem ścisłości, a niekiedy nawet rozwlekłością, graniczącą z gadulstwem bezpożytecznem. Natomiast w języku tym czuć dźwięki słowa mówionego, akcenty żywe temperamentu i namiętności: stąd dosadność w charakterystyce drobnych rysów. Składnia języka Zosi jest okropna, lecz co słowo, to rys jej wychowania zaniedbanego to znamię jej duszy naiwnej, to cecha jej myślenia bezładnego, to wyraz jej uczucia prostego a szerokiego.

Bo też cały talent p. Kisielewskiego polega na umiejętności, obserwowania drobnych szczegółów, najczęściej odruchów nerwowych czucia, które inni zresztą obserwatorowie odrzucają, i na zdolności odtwarzania życia w sztuce zapomocą luźno związanych, lecz niezmiernie licznych szczegółów. Gdyby przytem p. Kisielewski był mistrzem-cyzelerem języka i potrafił świadomie nadać frazesowi danemu czy też obrazowi całemu wypukłość niezwykłą, efekty dramatyczne nie chybiałyby celu. Dość byłoby zabarwić silnie słowa Relskiego, gdy on przed chwilą przyznawał się sam przed sobą, że teraz dopiero „budzi się w nim mężczyzna,“ bo pokochał Stefanię, aby zakończenie aktu prostotą swoją wywołało wrażenie niezmierne. Sztuka teatralna musi polegać albo na skończeniu drobiazgowem szczegółów i wynikliwości faktów, albo na przeciwstawności efektów. Zakończenie aktu pierwszego jest wyborne. Relski myśli o tamtej; nie słucha szczebiotu Zosi; w miarę, jednak jak jej słowa zaczynają przenikać do jego duszy, budzi się z odrętwienia i mówi niby od rzeczy: „Płonę... gorejęl..“ Współczucie ludzkie przemieniło się w uczucie zmysłowe :cognac dopełnił miary. Zosia wypiła kieliszek. Cognac ją rozmarzył, pozbawił woli, rzucił w objęcia Relskiego. To też mówi bezładnie, ale jak istota opanowana jedną myślą. Jeszcze chwila, a zacznie szeptać sennie i w końcu powtarzać bezmyślnie, odruchowo, jeden wyraz, jakiś dźwięk zgłoski: „Ale teraz tak ciepło się robi i w głowie tak dziwnie... I tak jest dobrze... tak dobrze... ach! tak dobrze...“

Ten dźwięk pusty „dobrze, tak dobrze,“ to jakby nuta charakterystyczna symfonii muzycznej, która, po skończeniu danej części, zostaje się jeszcze w uchu słuchacza i zniewala go do wyczekiwania niecierpliwego części następnych utworu. W „Karykaturach“ p. Kisielewskiego nie działa on tak silnie. Zostaje się w uchu słuchacza i zniewala go do wyczekiwania aktu następnego, to prawda, ale nie przenika do duszy, nie wywołuje wstrząśnienia dramatycznego, gdyż cały akt to szereg obrazów luźnych, a psychologia Relskiego jest zaledwie zaznaczona jednym frazesem, i to zaczerpniętym z retoryki szumnej w doborze słów, pustej wewnątrz, bo nie płynącej z serca czy z silnie podrażnionych zmysłów Relskiego. W życiu, w naturze tak bywa. Lecz, czy dość jest odzwierciedlić prawdę, skopiować naturę wiernie, aby stworzyć dzieło sztuki — to pytanie. Bądźcobądź z ostatniemi słowami Zosi dramat dla słuchaczów się zaczął. Serce nie biło nikomu gwałtownie z niecierpliwości, choć każdy domyślał się a nawet był pewien, iż na początku aktu drugiego usłyszy ze sceny miłą melodyę kołysanki:

A! a! kotki dwa,
Szare, bure obydwa!“

Bez życia na wiarę, bez wiarołomstwa i bez dzieci nieprawych niema dziś dramatu, nawet w operze — niema teatru.

Akt drugi „Karykatur“ to obraz stosunków nieuregulowanych towarzysko. To też życie gamrackie znajduje się tu w równowadze niestałej. Lada podmuch wiatru, lada pragnienie zniweczy je, wywoła przewrót gwałtowny. Ona wróci z dzieckiem do matki, a może pójdzie na ulicę, na żebraninę lub do więzienia — on zostanie doktorem obojga praw, ożeni się z bogatą i wykształconą panną Stefanią, zostanie profesorem akademii, a może prokuratorem.

Jakoż zaraz na początku aktu, gdy Relski poszedł składać egzamin doktorski, zjawia się matka Zosi, wyborny typ mieszczki, która, owdowiawszy po raz drugi, przebacza błąd córce, przychodzi do niej pierwsza i chce ją wraz z dzieckiem zabrać do siebie. „Bo to widzisz—powiada—chociaż ty mnie nie uczyniłaś jako dobra córka, ale ta zawsze matka matką. Ja ci odpuszczam, bo ta i mój trochę winien. Zawsze to przy matce inaczej, a nie tak na wiarę żyć, boska obraza...“ Zosia odmawia wręcz. „Thakże coś!... Mamo, mamo!.. co mama plecie!! Moje prawo przy dziecku i przy Antosiu!.. Cz.. czy mama wie, że on dzisiaj egzamina zdaje? Czy mama wie, że on się ze mną

ożeni?.. Pomyśl se mama, że ja profesorową będę—pro, fe, so, ro, wą!". Scena to niezmiernie żywa i odtwarzająca doskonale w słowach psychologię obu kobiet, matki, która przestała już, i córki, która zaczyna dopiero łudzić się pozorami życia. Do uwypuklenia sceny przyczynia się niepomiernie sąsiadka Zosi, pani Walentowa, choć rysy jej są nazbyt karykaturalne. „Dziecko miałabyś przy sobie — powiada matka — a on niech płaci. A jakby nie chciał to do sądu podać!" Słowa te wybornie trafiają do przekonania pani Walentowej, która też zwraca się do Zosi: „Bo choć pani edukowana, o, jej!.. i śliczna na psa urok, ale żeby tak coś, niby ślub... ha, no!.. wiele się rzeczy..." I tak każda myśl, niewiadomo kiedy się zaczyna, kiedy się kończy, czem zazębia się z następną. Ale na scenie wszystko to uchodzi, bo scena żyje językiem żywym, mówionym, niedomówionym. Matka też nie domówiła, że, niezależnie od uczuć macierzyńskich, ma też i pewien interes. Wynalazła wśród swoich Wojtka Migdała, rzemieślnika, który, byle dostał 500 reńskich posagu, to z Zosią się ożeni. „Znajdzie się tam—powiada matka—w skrzyni do pięciuset guldenów, to mi na stare lata dacie łóżko i w święconej ziemi pochowanie."

Ten Wojtek Migdał to arcydzieło charakterystyki. W każdem jego słowie czuć człowieka żywego i umysłowość warstwy społecznej, do jakiej należy. — „Jezdem Migdoł, hohehe — mówi na wstępie. — „Thakże coś! Hahaha! Jak się pan Wojtuś ma — odpowiada Zosia." — „Wojtuś Migdał? Alealeé... Będzie szopa, ale — wtrąca pani Walentowa. I przed oczyma zdumionych widzów staje szopa w całej pełni kształtów. „Towarzyszka mama mówiła pannie Zofii?" — Jeszcze nie mówiłam — odpowiada matka. Migdał, „towarzysz" nie traci rezonu i zaczyna: „Ano, to wskoczyłem z przeproszeniem, jak komisarz na paragraf drugi"!... Hrrm! Szanowne zbiegowisko! Towarzyszko Zofio i wy, mama dobrodziko. Wicie, jakom jest krakoskie dziecko, przez urazy, w durch. Żem jest chłopiec i towarzysz, jak się przynależy. Niechno majster nademną sobie psuje gębę, to mu się zrobi ciepło. Ja sie tam nie bede chwalił. Ino rezolucyj tako: nie chcieli, ale musieli, wyzwolili mnie, a tu mama dobrodzika (ukłon) nasuwa się na mnie i mówi o pannie Zofii, niby że my oddawna kamraty... i że jako i mnie chyba casz, a niby wedle opierunku. Ja się zamyślił, jako głosować, a mama dobrodzika prawi deklaracyi, jako, niby, z przeproszyniem, nie wymawiając, (patrzy w stronę kołyski) tee, wedle tego, za honor... (Zosia oburzona)... Z kim.że, z kim.że, panno Zofijo? Z kim.że w tany? Z kim.że wysuwa!?! To ja pannie serce niese

czyrwone, panna nie chcesz gadać?! Z kim.że w dyrdy, z kim.że okoliczność?... A cóż panna Zofija na taki artykuł? — Dwa tygodnie nima, jak zleciała na mnie kamienica po stryjciu, w Psi Wólce, he? —. Ja chamów skieruje na towarzyszy, zgromadzynie po zgromadzyniu, szopa po szopie, aż mię z urny wyciągną. Potem do Widnia wyliwę — bede i towarzysz i burżuj, hohehehe. No, panno Zofijo, jakże będzie, jakże będzie z nami, no — ? — „Panie towarzyszu — odpowiada Zosia — kiedy pan tumiałeś iść, ile razy piłeś siarowe z mocną?" — „Takie sprawozdanie?!... Takaś mi panna za moje ochfiarowanie, takie buty?"...

Jakże to wszystko charakterystyczne, dosadne, trafne! Jakże ten język jest obrazowy. Toż w nim mieści się cały człowiek, dziecko krakowskie, andrus, „towarzysz"-rzemieślnik, cynik, jako narzędzie polityczne, i indyferent w rzeczach konwenansów obyczajowych, byle złapać 500 reńskich i założyć warsztat, a mieć żonę „wedle opierunku!" Dalej chyba w odtwarzaniu rysów prawdy, gwary, iść już nie można. Zdaje się, że te wyrazy to nie symbole pojęć, ale materyał żywy kształtów, barw, smaku, woni, uczuć, a nawet myśli. Co prawda, nie o takim języku myślał Słowacki, gdy w „Beniowskim" pisał:

„Chodzi mi o to, aby język giętki
Powiedział wszystko, co pomyśli głowa,
A czasem był, jak piorun, jasny, prędki,
A czasem smutny, jako pieśń stepowa,
A czasem, jako skarga Nimfy, miętki,
A czasem piękny, jak aniołów mowa.
Aby przeleciał wszystko ducha skrzydłem".

Nie! To nie „aniołów mowa", ani „ducha skrzydło"—ale śpiż z miedzi, cyny, z przeróżnych metali wytopiony, śpiż, z którego ani posągów bohaterskich, ani nawet armat czy dzwonów odlaćby nie można było, śpiż to jednak, w którego dźwięku, podgłosem gwary, mieni się dusza człowieka żywego, nowoczesnego. Lecz! Słowacki nie myślał o takim języku, gdy się sam pocieszał:

„I gdyby stary ów Jan Czarnoleski
Z mogiły powstał, on toby zrozumiał,
Myśląc, że jakiś poemat niebieski,
Który mu w głowie nad lipami szumiał,
Słyszy ubrany w dawny rym krolewski
Mową, którą sam przed wiekami umiał,
Potemby, cicho mrząc, rozważał w sobie,
Że nie zapomniał mowy polskiej — w grobie!"

Nie, wielki wieszczu z Czarnolasu! Odkąd Twój wielbiciel genjalny, zstąpił do grobu, lepiej Ci z mogiły nie wstawać! Minęła doba poematów, ubranych mową w dawny rym królewski. Tybyś, mocarzu słowa, tego języka już nie zrozumiał, choć nim ludzie żywi, Twoi potomkowie, się porozumiewają, a pieśniarze dzisiejsi, Twoi następcy, pomniki sztuki i literatury tworzą lub przynajmniej usiłują stworzyć!

Niech tam! Wojtek Migdał mówi językiem barbarzyńcy, gwarą, ale taką, że z niej ani jednego słowa usunąć, że w niej ani jednego wyrazu zastąpić, że do niej ani jednej zgłoski, ani jednego znaku pisarskiego dodać nie można.

Lecz gwara, tak wyindywidualizowana, tę jednak ma złą stronę że zanadto silnie działa na wyobraźnię słuchaczów. Obcując w teatrze z takim „towarzyszem", zapomina się o teatrze, o dramacie na scenie. Postać Migdała kształtami swemi rozrywa obraz. Jego wypukłość nadmierna zagłusza, zabija drobne rysy innych postaci, traktowanych sylwetkowo. Akcya też w tem miejscu staje. I poco ta postać w „karykaturach?" Aby pokazać cnotę, stałość uczuć, „psią wierność" Zosi? Pewnie — ale publiczność tego nie widzi.

Jeszcze mniej uzasadniona przebiegiem intrygi jest scena następna, gdy banda kolegów Antosia Relskiego, ni stąd ni zowąd, wpada do jego izdebki i, korzystając ze sposobności, urządza „żywy obraz". Kołyska z dzieckiem stoi na środku sceny. Jeden z kolegów, odziany w płaszcz z peleryną, postaciuje śmierć ze skrzydłami rozpostartemi u wezgłowia kołyski; drugi, niby ojciec zrozpaczony, klęczy, z głową utopioną w pościeli dziecka, i łka rozpacznie; Zosia, jako matka, leży pozornie w omdleniu na ziemi, a malarz-symbolista szkicuje kontur. „Taka szopa dla dobra sztuki!" Obraz ten doskonale odźwierciadla cyganerye rozwydrzoną artystów, prawdziwych czy udanych; lecz, jako przygodnie wpleciony w bieg akcyi, zanadto odrywa się od całości. Autorowi chodziło o pokazanie dwu rysów: z jednej strony—naiwności Zosi, z drugiej zaś — zmienności przyjaźni. Zosia podsunęła Relskiemu myśl, aby zaprosił przyjaciela swego, Stachowskiego, na ojca chrzestnego. „A cóż—powiada Relski—gdybym cię prosił—odmówiłbyś. Oczywiście... przyjaciel—ale w podobnych warunkach..." Stachowski wykręcił się sianem. Rys to wyborny, doskonale zaobserwowany, ale tak drobny, iż ledwie go widać w natłoku cech karykaturalnych całej sceny. Zaiste nie warto było zataczać armaty, aby strzelić do wróbla! Ale to już taka dziś moda sztuki teatralnej: przekładanie scen dramatycznych komicznemi i, ponieważ wątku niema, wiązanie obrazów pętelkami!...

Relski, zniechęcony niepowodzeniem, gdyż przepadł przy egzaminie, i oburzony lekkomyślnością kolegów, że wtargnęli do jego mieszkania, wyrzuca wszystkich za drzwi. Jeden z nich, Jesz, rzuca mu w twarz wyzwanie: „*Satansbrut*!... Ty wrócisz do nas!... Na czarną kawę!" Ta „czarna kawa"—to symbol modernizmu, i zdaje się, że pod nim czuć uśmiech ironiczny autora. Inaczej 'byłoby to zbyt śmieszne. Ale kto wie?..

Tymczasem dramat dobiega punktu kulminacyjnego. Relski wobec kolegów i wobec Zosi wypowiedział się ze swoich uczuć. „Braliście ślub, co? Ależ to byłoby więcej, aniżeli nierozsądne—zagabuje Stachowski. „A tak — odpowiada Relski — nierozsądne, hehehe. Ale było, ale już stało się, i teraz następstwa, miłe, cudowne następstwa! A! a! czekałem tej chwili, czekałem. Pomijałem rozkosz kupną, by stworzyć sobie „symfonię" czystą, chłonąć wszystkie tony, upajać się, szaleć!... Mam teraz, mam to wszystko. Ona i ja, hehehe—„w białych szatach neofitów" zasiedliśmy do „uczty miłości"—„orgia szczęścia"!... Przeżarty brudem duszę się w tej norze, a powietrza zaczerpnąć nie można, bo „dziecko się zaziębi". Dziecko. Karykatura życia—karykatura miłości"...

Okrzyk ten nie mówi nic—nie tłómaczy tytułu, nie oświetla rzeczy, i ostatecznie nie wiadomo nawet, co to są „Karykatury"? Potwory życia, istniejące w rzeczywistości w swych kształtach, przesadnie pokręconych, czy też portrety, wzięte z natury, lecz przeinaczone z umysłu przez autora, upotwornione w zwierciadle wklęsłem lub wypukłem jego wyobraźni? Niewiadomo.

Sam Relski jednak to karykatura charakteru, zagadka psychologiczna. Być może, iż autor zauważył podobnie chwiejną istotę w życiu. Lecz nie dość jest zauważyć coś w życiu lub w naturze, aby módz odtworzyć to w sztuce. Trzeba widzieć *wszystko*, gdyż inaczej rzecz, postać nie będzie miała kształtów. Relski niema w sobie ani jednej kropli krwi człowieka żywego. Używa wciąż słów szumnych i frazesów dźwięcznych. Lecz nie czuć w nim energii człowieka, działającego świadomie czy nieświadomie pod wpływem takich lub innych pobudek. Nauka, wiedza, praca, sława? Ależ on kołysze się tylko na fali rozkoszy wymarzonej pomiędzy Zosią a panną Stefanią! Zosia—to nie rozkosz. „Ach,—powiada, gdybym mógł ją wyrzucić! Gdyby nie ufała mi tak ślepo; gdybym wiedział przynajmniej, że ona to z wyrachowania robi, że udaje... Gdyby była kokotką, dziewczyną uliczną--jakże byłbym jej wdzięczny! A tak—litość zdejmuje! Jak pies, przywiązana patrzy mi w oczy, całuje ręce—gdy przed chwilą szydziłem, wyrazami kopałem. Wszystko robię, by

mnie znienawidziła — a ona nic, tylko miłość i uwielbienie, to bezmyślne, wstrętne, głupie uwielbienie!"

Więc może miłość panny Stefanii będzie przystanią bezpieczną łodzi jego życia, miotanej burzami, poszczerbionej kłami jakiegoś niczem nieusprawiedliwionego pesymizmu, gdyż człowiek ten poza pragnieniem miłości czy rozkoszy zmysłowej, nie dąży do żadnego celu odległego, idealnego—o nic nie walczy. I cóż go trzyma przy Zosi?... Litość?... Ogrom jej uczucia, ogrom przywiązania pognębia go i obezwładnia, ale on nie oszczędza nawet jej miłości własnej. „To nie to, Antoś, nie to! Ja nie wymawiam, bo tobie wolno—uspakaja go Zosia czule.—Tobie wolno mówić. To nie to, że ty mówiłeś mi przy nich „głupia", ale że ty myślałeś, że myślisz „ona jest głupia". Ależ ten retor napuszony ani razu nie wyraził się tak subtelnie, jak ta dziewczyna prosta, formułująca myśli bezładnie, lecz posiadająca ład w duszy. Więc dlaczego jej nie porzuci? Byłżeby to jakiś nakaz wewnętrzny na dnie sumienia? Miałażby to być ambicya szczątkowa rycerskości jakiejś? Autor ani jednym rysem nie podkreśla przyczyny. Więc może dziecko trzyma go przy niej?...

W tej chwili pod oknem jego izdebki przechodzi ulicą panna Stefania w towarzystwie jakiegoś adonisa natrętnego.

„Ten kretyn jest przy niej, znowu jest przy niej"—woła Relski oburzony, i w tym okrzyku czuć zazdrość. Zazdrość to odwrotna strona medalu uczucia gwałtownego, i ona z pewnością pchnie go na drogę czynu. Słuchacze domyślają się, przeczuwają, iż na początku aktu trzeciego Relski oświadczy się o rękę panny Stefanii lub przynajmniej wyzna jej swoją miłość.

Zosia, usłyszawszy, że ta panna to uczennica Antosia, podsuwa myśl, iż byłoby dobrze, aby ona dla niej robiła suknie.

„Chachachacha!! To przecież piekielnie wspaniałe! Ssłuchaj, ty chcesz koniecznie robić suknie tej pannie?... To ja, ja, wiesz, z nią się ożenię, a tobie będziemy dawali suknie do roboty, cóż, Zosiu, cóż — !?"

I teraz zawiązuje się węzeł istotny dramatu. Tu dusza Zosi uwypukla się doskonale, a Relski, jak był, tak jest postacią ulepioną sztucznie z frazesów i mgły.

— Ciszej, bo śpi—mówi Zosia, pokazując mu kołyskę.

— Co, co, co? Ty — !! myślisz dlatego, że dziecko, to ty mnie już zmusisz?

— An...toś—! Co tobie jest? Ależ ja nic nie myślę. Tylko tak głośno wołałeś, a malutki śpi.

— A, a!... Ty nie myślisz, ty, Zosiu, nie myślisz?

— Ależ nie. W imię Ojca i Syna.... co też ty...

— To źle, Zosiu, to bardzo źle, że ty nie myślisz. Zosiu, to jest strasznie źle, że ty mi tak ufasz.

Nagle woła z oburzeniem: „Ten kretyn, bezczelny kretyn" — i wybiega z domu.

I Zosia, nieświadoma zresztą drugiej miłości Antosia, zaczyna na raz śnić na jawie:—Jak on to dziwnie powiedział: — „to bardzo źle" —. Co to za dzień! co to za dzień! (Walentowa, stojąc we drzwiach, dopowiedziała: Dzisiaj jest wtorek). — Aha — , wtorek... Co to za dzień! „To bardzo źle"... Aha, wtorek — wtorek... wtorek... wtorek...

Nic dramatyczniejszego nad to bezmyślne powtarzanie słów. Cała ta scena, szkicowana drobnymi rysami, niby od niechcenia, jest dziwnie żywa. Język z umysłu powszedni, bałamutny w składni, wybornie odźwierciadla prawdę życia codziennego, pod którą nurtuje dramat, a drobne słówko „źle", „to bardzo źle", powtarzane bezwiednie, wargami tylko, lecz dźwięcznie, stanowi znów nutę charakterystyczną, zniewalającą słuchaczów do przeczuwania i oczekiwania zmiany nagłej dramatu. Lecz efekt to w części chybiony. — Pan Kisielewski nie buduje sztuki na dawną modłę, gdzie każdy szczegół jest przygotowany. Wszystko u niego, jak w życiu, wiąże się przygodnie, może w myśl zasady, iż porządek powstaje z działania przypadku na chaos.—To też nuta charakterystyczna, jakkolwiek dobrze pomyślana, dobrze umieszczona, nie dźwięczy dość silnie. Jak kwiat piękny, lecz nikły, ginie dla oka w otoczeniu zielska i chwastów, nadmiernie wybujałych, tak i scena ta, przygłuszona kształtami karykaturalnymi postaci i barwami jaskrawemi epizodów poprzednich, nie przenika do duszy słuchaczów. Czują oni, że coś złego się święci, ale w czasie antraktu spokojnie jedzą cukierki i jeszcze spokojniej palą papierosy. Brak umiaru w budowie, w architektonice dramatu zabija ideę.

Akt trzeci to obrazek rodzajowy, przedstawiający salon pana Borkowskiego, byłego ziemianina, obecnie może radcy miejskiego, może członka jakiegoś komitetu, a nawet wielu komitetów. Liczmany konceptów na temat pedagogiki, polityki, emancypacyi kobiet, dekadentyzmu, nie zastępią złota obserwacyi bystrych. Widać, iż autor posługuje się tu materyałem z drugiej ręki. Ale obrazek ten tak dobrze oddaje banalność salonu mieszczańsko-szlacheckiego, tak wyraźnie charakteryzuje wzajemny stosunek osób, tak zręcznie wysuwa naprzód sylwetkę panny Stefanii, empancypantki sympatycz-

nej, która się udała rodzicom, bo i jest wykształcona i nie zatraciła głównej cechy kobiecości—uczucia szczerego, iż nie można mieć za złe autorowi, że nazbyt rozszerzył jego ramy. Jedna wszelako figura, postać Laury, młodej wdowy, „dekadentki złamanej i zniszczonej", jako zbyt silnie wyindywidualizowana i karykaturalnie w rysach przesadzona, wyrywa się zanadto z tła. Jest niesmaczna i całkiem niepotrzebna — nietylko w sztuce, ale i w tym obrazku.

Niepotrzebna? Ach, prawda! Sztuka dzisiejsza to rzeczywistość, przeniesiona na scenę. „Gardzę logiką"—powiada Witoldyński. Wynikliwość przyczyn i faktów nie obowiązuje dramaturga-naturalisty. Jego rzeczą jest tylko widzieć i notować. To też, jeżeli gdzie pozwala sobie na oświetlenie subjektywne, to w uwagach reżyserskich. Ignaś, brat Stefanii, łobuz i próżniak, nie chce się uczyć. A po czem to poznać? Naturalnie po tem, że „nogą książczynę kopnął, ta w drgawkach i męce kartek uciekła pod kanapę (!!!)". Z pewnością w tem miejscu na rękopisie musi być plama okrągła. To ślad łzy, jaką autor nad duszą zrozpaczoną „książczyny" uronił. A pierwsza to jego łza, więc tem gorętsza pewnie.

Dodać należy, iż w obrazku tym ukazuje się na chwilę adonis panny Stefanii, ów „kretyn, bezczelny kretyn", który przed chwilą wzbudził zazdrość w sercu Relskiego. Sylwetka to karykaturalna, naszkicowana od jednego zamachu, ale żywa, jak owe postaci studentów. Powtarza wciąż jeden tylko frazes: „Ca...je rączki pańdzice—'n do nóg padam pańdziejowi!" I karykatura ta ma swój kształt, i publiczność ją widzi i śmieje się do rozpuku.

W końcu aktu zjawia się Relski, nie, jak zwykle, w charakterze nauczyciela panny Stefanii, lecz jako młodzieniec światowy, który przyszedł pożegnać się z nią, pożegnać na zawsze. Panna Stefania nie rozumie jego aluzyi do „ostatniej lekcyi" i oświadcza mu się pierwsza. Relski przez chwilę napawa się jej pocałunkiem, lecz, „za d u m n y, by kłamać", wybiega pędem z domu państwa Borkowskich. Publiczność rozumie doskonale, jakie pobudki skłoniły Relskiego do tej ucieczki nagłej, i to w chwili szczęścia zupełnego, gdyż Stefania poszła tylko zawiadomić ojca o tem, co zaszło, a ojciec już poprzednio się był zgodził na wszystko. Lecz ani ojciec, ani córka o stosunku Relskiego z Zosią nie wiedzą—więc nie rozumieją. „Tato pewnie go czemś obraził"— ? — „Co obraził!!! Waryat!" Tu następuje rozwiązanie niespodziane. Panna Stefania traci głowę. Chce pisać. „Nie, to napróżno. Przeklęta d u m a —! Tato niech sam, koniecznie osobiście, mój najdroższy—niech do niego — . Osobiście — tato...

— „Czy ty także, łaskawco, — zmysły postradałaś? Ja żebym prosił takiego chłystka?!

— „Ojciec wie... że ja tatę bardzo kocham, że ja... że... ale, jeżeli ojciec zaraz nie pójdzie za nim — — to ja pójdę sama, i ten wieczór zostanę u niego — !!!

— ... Byleś ty tylko tego nie żałowała — odpowiada ojciec dobrodusznie i idzie.

Wygląda to na operetkę, ale ponieważ w życiu tak zdarzyćby się mogło, więc autor z całym spokojem naturalisty wstrząsa gmachem konwenansu w posadach i z miną tryumfującą pyta publiczności: A co? — A publiczność nic: czeka końca stosunku Relskiego z Zosią — bo w całym tym dramacie jedynie Zosia jest istotą, dobrze zaobserwowaną i dobrze odtworzoną—i nie słucha nawet jęków panny Stefanii, wyśpiewującej swoją nutę charakterystyczną w finale aktu patetycznie, na wzór bohaterek z dramatów norweskich. „On nie kłamał, mój Boże, nie kłamał —. A jeżeli?... To pójdę przez życie — sama — sama — sa — — — — ". Czytelnik domyśla się, że dusza zrozpaczonej panny Stefanii wyraża się tu przedewszystkiem w onomatopejach i okrzykach, czego dowodem znaki pisarskie najprzeróżnorodniejszej formy i w najdziwaczniejszym układzie.

W akcie czwartym autor załatwia się z dramatem szybko. Zresztą akcya tu na krótkiem toporzysku. Wszystkiego dwie sceny: jedna z Zosią, druga z ojcem panny Stefanii. Najpierw z Zosią: „To tak nie może być: tak dłużej nie może być! Ja nie mogę konać całymi miesiącami — ja oszaleję — — — !

— Jezu, Jezu!

— He! he! Rano kartoflanka, a wieczór nektar. Robi się taka mieszaninka. — Ciągle pijany, pijany szczęściem. Wściekłość!!! Zosiu, tyś mi skradła pół mojego życia; tyś mnie pchnęła w bagno nie, w to małe, ohydne bajoro — Błoto cieknie mi uszami, błoto pcha się do ust, lezie do oczu, lepi się po twarzy, ciele — błoto, błoto — !!! Ja oszaleję, ja oszaleję!"

To energiczne, nieprawdaż? Lecz co po tem? Może zerwanie z Zosią? Może powrót do panny Stefanii? Może ukojenie duszy pod skrzydłem pracy, nauki? Gdzież tam! Melodramat, zwykły melodramat mieszczańsko-teatralny — i to w słowach. „Słuchaj: ja, ja jutro idę — dam na zapowiedzi... (Jezu!— krzyk szczęścia)... i weźmiemy ślub. Ale za kościołem, pod progiem, palnę sobie w łeb!" Albo nie, nie! „Widzisz, Zosiu, ty jesteś młoda i ładna, gdy wrócisz do matki, wyjdziesz potem za mąż...

I Zosia, ta istota nawskroś dobra, odpowiada: „Antoś, no to ja... mój Boże, mój Boże... to ja się do mamy wrócę, co? — Ja jutro pójdę. Wiem, że nazawsze".

Ta dobroć pobija go i znów obezwładnia: „Oszaleć! I ani słowa wymówki — ! Ta okropna dobroć — !

Cała ta scena odbywa się prawie po ciemku, przy blasku ognia, dogasającego na kominku. Naraz do izdebki wchodzi pan Borkowski. Zosia chowa się za piec. Relski nie zapala światła, tłómacząc się, iż w lampie niema nafty. Borkowski, jak zawsze dobroduszny, uprzedza, iż nie będzie „konferował długo. Zresztą, co tu owijać w bawełnę; ja o wszystkiem wiem, łaskawco, oddawna, i to nie jest zbrodnią. — Jesteście oboje młodzi, moja córka pana kocha...

— *Jezus !!!*

To krzyk Zosi. Borkowski sam zapala świecę i wszystko się wydaje. Scena wzrusza dramatycznością faktów, zestawionych razem. Lecz dramat to sytuacyi, nie zaś konieczności psychologicznej. Usunąć na chwilę Borkowskiego ze sceny, a nic w życiu tych ludzi się nie zmieni. Lecz i sytuacya wywołuje akcyę.

Borkowski mówi: — „A od mojego domu wara!!... Do mojej córki, żebyś się pan nie zbliżył — — I ja...panu powiadam, że to jest podłość... ja panu..."

Zosia mówi: — „Ty... ty... To taką ty prawdę gadałeś — ?? — Żeby inną mieć — !!? — Dziecko jest moje. Otula je. A centa od pana nie potrzebuję — ! — To wszystko jest panowe — ! — Aby ci tego — Bóg w niebie nie zapomniał — !"

Dotąd wszystko w porządku. W chwili największego napięcia energii ci ludzie na dnie duszy znaleźli słowa, dostatecznie silne, i dramat temi słowy zakończyli doskonale. Słuchacze rozumieją wyraz ich bólu i bólowi ich, nawskroś ludzkiemu, współczują. Lecz nie tu jest koniec dramatu p. Kisielewskiego. Dla niego dramat to zagadka psychologiczna, to dusza Relskiego, ta dusza, skąpana w frazesach, miotająca się w okrzykach i jękach pustych, chwiejna w pragnieniach. I tacy bywają na świecie. Lecz czego chce ten człowiek? Skąd on rodem? I waryat ma jakąś cechę znamienną duszy, jakieś pragnienie, dokoła którego krąży lub do którego dąży. A czy to przypadkiem nie odblask zorzy północnej? Ej, czuć w tem promień, naturalnie nie słońca, lecz księżyca teatru norweskiego. Bo i z czemże Relski występuje w końcu dramatu, jako rys charakteru swoistego? Ze świtem nowego podkładu duszy.

..... „Powiedział—podły!—i ja... nie dałem mu... w twarz—??!!—.

. . . .

Kropki powyższe to rozwiązanie zagadki. Nikt w ciągu czterech aktów nie domyślał się w Relskim „rycerza czasów feudalnych", człowieka nadmiernie wrażliwego na obelgi, jakkolwiek epitety wymieniane między kolegami mogły wielokrotnie nawet nastręczyć mu powód do rozprawy honorowej. Tymczasem w końcu, po tylu czynach niecnych, obudził się w nim *rycerz*. Dobrze, lecz ostatni jego frazes nie robi żadnego wrażenia. Może to początek jakiegoś nowego dramatu psychologicznego? Gorzej. To efekt czysto teatralny w nowym stylu, albo raczej parodya efektu. A przytem chybia on zupełnie celu. Nikt po wyjściu z teatru nie interesuje się duszą Relskiego. W umyśle słuchaczów, czy widzów zostaje się tylko obraz ogólny sztuki całej. I nic dziwnego, gdyż cała sztuka oparta jest, nie na rozwiązywaniu zagadek psychologicznych, nie na stopniowaniu efektów, choćby teatralnych czy melodramatycznych, ale na nagromadzeniu drobnych i ścisłych obserwacyi życia powszedniego w zamkniętem kole studentów rozwydrzonych teoryjkami krzykliwemi i rzemieślników jaskrawo charakterystycznych. To p. Kisielewski zna dobrze. Jego komedya czy dramat kręci się żywo, acz w podskokach, koło swojej osi, którą jest psia wierność biednej szwaczki, dziewczyny, kochającej szczerze i bezinteresownie. Czuć, iż autor przypatrywał się zblizka istocie tego rodzaju, prostej a czułej. To też charakterystyka jej, mimo drobne usterki w gwarze, zadziwia wyrazem duszy i dosadnością rysów. Lecz świat zagadek psychologicznych to jeszcze dla niego księga zamknięta. Czyta on z cudzych kartek, i dlatego słowa układają mu się, nie w wyraz uczuć i myśli, lecz w frazesy puste. Jego Relski to manekin gutaperkowy z duszą sztucznie rozdmuchaną. „Moc jego — mówiąc językiem Skargi — jest jako wór rzemienny, nadęty wiatrem, który, lada dziurkę uczyniwszy, sklęśnie".

Po za Zosią, która i jako typ, i jako charakter, żyje życiem pełnem, wszystkiemi właściwościwościami duchowemi, umysłowemi i fizycznemi — swojemi i swojego otoczenia, sztuka p. Kisielewskiego obfituje jedynie w sylwetki charakterystyczne, komiczne, często karykaturalne, ale żywe. Czuć w tem oko obserwatora bystrego i rękę rysownika, może rysownika-humorysty, przesadzającego zazwyczaj cechy duszy i rysy kształtów zewnętrznych, lecz bądź jakbądź rysownika utalentowanego. To też wszystkie jego postaci, z wyjątkiem bohatera głównego, Antosia Relskiego żyją, jakkolwiek są szkicowane tylko zewnętrznie, nie zaś modelowane po rzeźbiarsku w bryłach litych.

Co do akcyi, to ta wciąż staje, albo raczej niema jej wcale. Wynik to budowy, metody, *sztuki pętelkowej*, która pozbawia dramat ciągłości interesu, rozwoju intrygi, a przez to i charakterów. A przytem zarówno figury pojedyńcze, jak i sceny całe, grzeszą brakiem umiaru artystycznego, równowagi czynników, ustosunkowania wypukłości do znaczenia chwili, i to pozbawia sztukę mocy pewnej. Patrzy się na to, jak na zlepek obrazów luźnych, pomyślanych i wykonanych dorywczo, jak na kramik z przeróżnemi figurami gipsowemi, fajansowemi, porcelanowemi czy nawet brązowemi, jak na wystawę scen charakterystycznych za szybą lustrzaną fotografa. Ująć to w jakąś całość? — Można. Lecz cóż z tego, kiedy ta całość niema cechy swoistej twórcy. Ścisnąć ją?... Nie poleje się ani jedna łza poety-liryka. — Przedmuchnąć ją?... Nie wyleci w przestworza ani jedna myśl filozofa, doszukującego się w objawach życia przyczyny przyczyn. — Rozbić cząstki pojedyńcze na kawałki?... Tu co innego. Tyle krwi ciepłej i czerwonej płynie w żyłach postaci, tyle temperamentu drga w ich słowach, że pod obuchem każda cząstka, choć niekompletna, jęknęłaby głosem ludzkim.

Tak się przedstawia sztuka.

A autor? To nie poeta, wzbijający się wysoko ponad padół życia powszedniego na skrzydłach uczucia. Nie psycholog, wnikający w duszę ludzką do głębi i odnajdujący na jej dnie pobudki nowe i nieznane czynów. Nie myśliciel, wskazujący drogi nowe i odsłaniający widnokręgi dalekie działania jednostronnego lub społecznego. Bądź jakbądź jednak, jest to obserwator, dopatrujący się rysów charakterystycznych, acz drobnych na ruchliwej i złożonej fizyognomi człowieka dzisiejszego, zwłaszcza w sferze mieszczańsko-rzemieślniczej — i dramaturg urodzony. Talent jego nie jest jeszcze podparty masą obserwacyi z pierwszej ręki, nie jest jeszcze wyindywidualizowany w sposobie odczuwania świata i ludzi; nie jest jeszcze zrównoważony w formie przedstawienia rzeczy; lecz czuć już w nim ową cechę dramaturga prawdziwego, który widzi dusze ludzkie w kształtach, czuje rysy w ruchu na scenie i pisząc słyszy, dźwięki słowa mówionego. Jego „studyum sceniczne", przelane na papier, nie jest dziełem sztuki: zbywa mu na formie artystycznej, zwartej, wysubtylizowanej w szczegółach języka; przeniesione jednak na scenę, żyje rysami dosadnymi kształtów i mową naturalną, doskonale charakteryzującą dusze, umysłowość, namiętności, wreszcie ułomności osób wprowadzonych w grę. Nie zbywa mu też na dowcipie, zarówno w igraszkach słów, jak i w zestawieniach sytuacyi.

Wykonanie na scenie warszawskiej nie odznaczało się starannością szczególną. Panna Tekla Trapszówna, wyborna w scenach komicznych, nie podołała, jako Zosia czuła, zadaniu w chwilach nastroju lirycznego, a tem mniej dramatycznego. Pan Żelazowski, w roli Antosia Relskiego, przez całe cztery akty ani razu nie rozchmurzył czoła i wciąż mówił głosem nienaturalnym, falsetowym, jak lunatyk, rozmawiający z majakami własnej wyobraźni. Pan Wojdałowicz dobrze uzmysłowił dobroduszność pana Borkowskiego, ale w ostatnim akcie nie umiał rzucić dość energicznie obelgi słownej w twarz Relskiemu. Pan Frenkiel znakomicie odworzył typ rzemieślnika-andrusa, lecz nie mieścił się w ramach obrazka rodzajowego. Pani Borkowska traktowała rolę matki sucho, a pani Micińska zanadto przesadziła rysy karykaturalne Walentowej. Panowie: Sliwicki, Roland, Nowicki, Grubiński, Wolski, Owerło, Prażmowski, Paliński i Tatarkiewicz przedstawiali się żywo w ruchach, lecz nie zawsze pomiarkowanie w tonie. Dodać jednak należy, iż p. Wolski, w roli Stachowskiego, doskonale uzmysłowił chwilę niepokoju wewnętrznego — na wieść, iż ma zostać ojcem chrzestnym dziecka biednej Zosi.

Ta Zosia udała się panu Kisielewskiemu: w istocie, to biedna istota...

Antoni Sygietyński.





KRONIKA EKONOMICZNA.

Sytuacya na rynku pieniężnym.—Przykłady zależności pomiędzy stanem przedsiębiorstw produkcyjnych a stanem rynku pieniężnego. — Przesilenie w produkcyi bicyklów.—Nieco o syndykatach.

Jakkolwiek nie rozporządzamy jeszcze cyframi statystycznemi o produkcyi i handlu za rok ubiegły, nie ulega przecie kwestyi, że można go zaliczyć do najbardziej pomyślnych—stan rynku wszechświatowego był świetnym. Jednakże mnożą się coraz zjawiska niepokojące, kóre powinny przypomnieć starą maksymę o latach chudych, idących za laty tłustemi. Najważniejszymi faktami tego rodzaju w grudniu było podwyższenie stopy dyskontowej w Berlinie i Paryżu oraz panika na giełdzie w Nowym Yorku. Dwa wspomniane, najważniejsze z kontynentalnych, banki musiały chwycić się tego środka, aby zapobiedz odpływowi złota z kas swoich do Anglii, lecz cel ten został tylko częściowo osiągniętym, gdyż zarówno z Niemiec, jak i z Paryża, pokaźne, bądźcobądź, sumy wysłano po części wprost do Anglii, po części do Ameryki południowej i Australii, gdzie wypadło płacić za zboże i wełnę, podczas gdy w normalnych warunkach sumy te płaci z łatwością bank angielski. Już to podrożenie kredytu stanowi poważne utrudnienie dla producentów, o czem niżej, lecz groźniejszym niemal symptomem była panika amerykańska. Zażegnano ją wprawdzie tym razem, lecz świadczy

ona, że na owym rynku amerykańskim, tak niezmiernie chwiejnym w swoich koniunkturach, mogą nagle zajść komplikacye, wskutek których dowóz towarów może uledz gwałtownej redukcyi, co oczywiście byłoby klęską dla producentów zachodniej Europy, którzy, ufni w pomyślny stan interesów, rozszerzali swoją produkcyę, obliczoną specyalnie na ten rynek. Panika ta została spowodowana kilku upadłościami, które pozostają, o ile się zdaje, w ścisłym ze sobą związku, dotyczą wielkiego towarzystwa wyrobu konserw mięsnych i trzech banków. Właściwie straty nie są wielkie, lecz napięcie na rynku pieniężnym było tak wielkie, że kontrmina mogła skutecznie zaalarmować publiczność, która pozbywała się swoich papierów z ogromnemi stratami. Zażegnała burzę interwencya banku oraz pana Rockeffeler, króla naftowego, który z łatwością mógł stawić do dyspozycyi dziesiątki milionów dolarów, a uczynił to, gdyż oczywiście jest najmocniej zainteresowany w podtrzymaniu wysokich kursów akcyi kolejowych, któremi operuje oddawna. Jeżeli już sama panika jest symptomatem groźnym, to jeszcze bardziej niepokojącymi są objawy niezdrowej spekulacyi, jakie wyszły na jaw z powodu owych upadłości: „Squire Porkpacking Company" w Bostonie ogłosiła upadłość, i natychmiast musiał uczynić to samo bank bostoński „Broadway Bank". Wiceprezydentem zaś tego banku jest tenże pan Squire, stojący na czele wymienionej kompanii! Jasną jest rzeczą, że pan prezydent musiał gospodarzyć dobrze na swoją korzyść, a na niekorzyść banku. Trzecia upadłość dotycze „Produce Exchange Trust Company", i tu okazało się, że towarzystwo to wbrew wyraźnemu paragrafowi statutu lombardowało akcye przemysłowe. Przykłady te świadczą nader wymownie, do jakiego stopnia rozhuśtali się znów panowie finansiści, licząc na pomyślną koniunkturę, i dlatego aż nadto są uzasadnione obawy, że, kiedy nastąpi znów zwrot w koniunkturze, będzie płacz i zgrzytanie zębów.

Żeby uwydatnić dla czytelników niefachowych związek pomiędzy utrudnionym kredytem — co wypowiada się w podwyższeniu stopy dyskontowej — a stanem przedsiębiorstw przemysłowych, wybieramy dwa przykłady dobitne: 1) Ze wszystkich przedsiębiorstw przemysłowych najobficiej muszą korzystać z kredytu zarówno hypotecznego, jak krótkoterminowego, wekslowego, przedsiębiorstwa budowlane. Budownictwo stało się, jak wiadomo, gałęzią wielkiego przemysłu: rzadko już dziś zdarza się, że ktoś buduje kamienicę z celem zamieszkania w niej; przedsiębiorstwa budowlane albo sta-

wiają domy na własny rachunek w celu sprzedania ich jaknajprędzej, albo z polecenia spekulantów, właścicieli placów. Przytem przedsiębiorstwo takie może być prowadzone z zyskiem tylko wtedy, jeżeli stawia się odrazu kilka lub nawet kilkanaście kamienic,gdyż trzeba utrzymać cały sztab budowlanych, rysowników, majsrtów,trzeba za kontraktować całe gromady robotników, a często zdarza się, że przedsiębiorca jest zarazem właścicielem cegielni, którą opłaci się prowadzić tylko przy znacznem własnem zapotrzebowaniu cegły. Oczywiście tylko posiadacz milionowych kapitałów mógłby obyć się tu bez kredytu. Łatwość wszakże, z jaką udzielają się hypoteki, spowodowała, że właśnie w tej gałęzi produkcyi przodsiębiorcy są stosunkowo mało zasobni. Zanim jeszcze rozpoczęto budowę, pobrano hypotekę na plac, a potem, co piętro, to nowa hypoteka; w dodadatku gwałtowna konkurencya zmusza rzemieślników—stolarzy, zdunów, szklarzy i t. d. — pracować na kredyt. Dopóki o kredyt łatwo, wszystko odbywa się bez zawikłań. Jak wiemy, obecnie zapotrzebowanie olbrzymich sum dla wznoszenia nowych lub rozszerzenia dawnych przedsiębiorstw przemysłowych przedewszystkiem w przemyśle żelaznym — spowodowało utrudnienie kredytu, i budownictwo, które natychmiast po nastaniu pomyślniejszej koniunktury rozwinęło się w sposób niepomierny (przyczem pobudką najważniejszą jest przypływ ogromnych mas robotniczych do miast), nagle natrafia na ten szkopuł utrudnionego kredytu. I oto zarówno w Anglii, jak w Niemczech, pisma fachowe już na jesieni zwracały uwagę na fakt, że, o ile rok ubiegły w budownictwie był pomyślnym, o tyle ruch budowlany na wiosnę przyszłą zmniejszy się, jeżeli się stosunki kredytowe nie polepszą. Pomijając, że w ten sposób setki tysięcy robotników zajętych przy budownictwie, natrafiwszy na gorsze warunki zarobkowe, przestaje być wypłacalnymi konsumentami, należy pamiętać, że dzisiejsze budownictwo, używając olbrzymich ilości żelaza (belkę drewnianą oraz słup kamienny zastąpiono żelazem, dachy kryte blachą i t. d., i t. d.), jest jednym z najpoważniejszych odbiorców przemysłu żelaznego. Stagnacya więc w budownictwie musi się odbić zarówno w tym przemyśle. 2) Powszechnie przyznano, że jednym z doniosłych czynników obecnego ożywienia przemysłowego, był szybki rozwój elektrotechniki. W rzeczy samej: nie mówiąc o wielkiej ilości materyałów surowych i pomocniczych, jakich zapotrzebowały wielkie zakłady elektrotechniczne — druty miedziane, kauczuk etc., i o maszynach, które musiały zaprowadzać, budowa tramwajów elektrycznych spowodowała olbrzymie obstalunki relsów i wagonów. Prym w tej gałęzi przemysłu trzymają Niemcy,

i tu powstało mnóstwo mniejszych przedsiębiorstw, a wielkie renomowane firmy, jak Simens i Halskie w Berlinie, Schuckert w Norymberdze, Kummer w Dreznie, rozszerzały znacznie w ostatnich latach produkcyę. I oto okazało się, że dyrektorowie towarzystw akcyjnych w tej gałęzi produkcyi obstawali za tem, aby za rok ubiegły wyznaczono nizkie dywidendy, a pamiętano natomiast o funduszach rezerwowych, co spowodowało nawet znaczne obniżenie kursu akcyi w ostatnich miesiącach. A przyczyna? Brak kredytu! Wiele miast chętnie zaprowadziłoby u siebie tramwaje elektryczne i zastąpiło oświetlenie gazowe elektrycznem, lecz na to trzeba pieniędzy, pieniądze zwykle w takich razach bywają pobrane przez emisye nowych pożyczek miejskich, a przy dzisiejszym stanie rynku pieniężnego każdy magistrat, który zdecydowałby się na taki krok, zasługiwałby na najsurowszą naganę. Wskutek więc tego fabryki elektrotechniczne mają wprawdzie jeszcze znaczne zamówienia, lecz mogą znaleźć się w położeniu bardzo krytycznem, jeżeli stosunki pieniężne nie ulegną radykalnej zmianie.

Przykładu znów tego, z jaką bajeczną szybkością przy dzisiejszym stanie techniki i stosunków przemysłowych wzrasta produkcya, przewyższając w nader szybkim czasie popyt, dostarcza jedna z najmłodszych gałęzi przemysłu — wyrób bicyklów. Bicykl na Zachodzie stał się dziś rzeczywiście popularny. W wielkich miastach fabrycznych Niemiec i Francyi codziennie spotyka się setki i tysiące ludzi, bynajmniej nie sportsmenów, używających tego wehikułu: urzędnicy poczty i telegrafu, woźni, posługacze sklepów używają bicyklu; piekarze, rzeźnicy na trycyklu z małą platformą rozwożą pieczywo i mięso swoim kundmanom; tysiące nawet robotników jeździ na bicyklu do pracy, gdyż w ten sposób łatwiej im zamieszkać na odległych przedmieściach lub zgoła na wsi i oszczędzić na komornem. Oczywiście popyt na te maszyny wzrosnąć musiał w sposób ogromny. Pomimo to w tej gałęzi produkcyi wybuchło już rzeczywiste przesilenie, kurs akcyi nawet renomowanych zakładów spada szybko, a i upadłości zdarzyła się spora ilość. Powodem jest tu najoczywiściej nadprodukcya. W tej gałęzi mamy też przykład tego, że wychwalane tak gorąco, ogłoszone przez niektórych ekonomistów nawet za panaceum syndykaty nie zawsze są w stanie zapobiedz kryzysowi: fabryki bicyklów w Niemczech zawarły syndykat i zmusiły kupców, handlujących nimi, do trzymania cen na wysokim poziomie. Otóż ci kupcy radzą sobie, jak mogą. Na

sprzedaży po cenie, oznaczonej przez fabrykę, zysk jest znaczny, jednakże kupiec, detalista woli sprzedać 10 sztuk z zyskiem mniejszym, aniżeli jedną przy zysku wielkim. Rozszerzono tedy kredyt do możliwych granic, tak, że dziś sprzedają bicykle na spłaty śmiesznie małe; a powtóre chwycono się rozmaitych wybiegów. Np.: nowy bicykl kosztuje 200 marek, taniej sprzedać nie wolno; przychodzi ktoś ze starą zużytą machiną, wartującą tyle, co stare żelastwo, i kupiec nabywa je, 50, 60 marek, jeżeli sprzedawca nabędzie nowy bicykl. W ten sposób cena syndykalna staje się zgoła fikcyjną. Z drugiej zaś strony nadmierne udzielanie kredytu ze strony przekupniów ludziom prywatnym musiało powodować liczne, acz drobne niewypłacalności, i to stało się przyczyną główną kryzysu w tej gałęzi.

W danym wypadku chodzi o syndykat, w którym przedsiębiorcy mają do czynienia z całą falangą detalistów, a interes tych detalistów jest do pewnego stopnia sprzeczny z interesem członków syndykatu, i w tem leży po części źródło niepowodzenia. Prócz tego konkurencya na tem polu musiała być znaczna, gdyż fabryka bicyklów niezbyt wielkiego potrzebuje kapitału zakładowego. Gdzie zaś ilość odbiorców jest mniejszą, a produkcya może być zyskowną tylko przy bardzo wielkim nakładzie, oraz tam, gdzie producenci posiadają do pewnego stopnia monopol — przemysł kopalniany — tam syndykaty dotąd okazały tendencyę wyraźną wyzyskiwania sytuacyi aż do ostatnich granic przez podwyższenie cen, czy wszakże będą one w stanie rzeczywiście powstrzymać lub nawet tylko złagodzić kryzys, to przyszłość dopiero wykaże. Najbardziej bujnie wyrastają oczywiście syndykaty w tych krajach przemysłowych, w których obwarowane są wysokiemi cłami przywozowemi, jak np. w Niemczech i w Stanach Zjednoczonych. Co do ostatniego kraju, to sprawa przybrała tam tak ciekawy obrót, że pragniemy jej poświęcić więcej nieco miejsca i uczynimy to w jednej z przyszłych kronik. W Niemczech ilość syndykatów w jednej z najnowszych rozpraw, poświęconych tej kwestyi, obliczono w roku 1898 na 260, za rok ubiegły naliczyliśmy nie mniej, jak 49 nowo-utworzonych syndykatów, przyczem rzeczywista cyfra może być znacznie większą, gdyż nie wszystkie bywają podawane do wiadomości publicznej. Wszystkie te syndykaty niemieckie systematycznie podwyższały ceny w latach ostatnich do ostatecznych granic, to jest do granic,

na jakie dozwala cło ochronne. Prym zaś pomiędzy nimi trzyma najdoskonalej zorganizowany syndykat węglowy westfalsko-nadreński, który naznacza ceny tak wygórowane, że bez przesady można tu mówić o nowej formie lichwy. W jaki terrorystyczny sposób postępują przytem te związki przedsiębiorców, na to z licznych przykładów, jakie zdołaliśmy zebrać, podajemy następujący. Utworzono syndykat fabrykantów drutu oraz syndykat fabryk, wyrabiających gwoździe z drutu. Odbiorcom postawiono warunki w cyrkularzu, który brzmi dosłownie: „Przez nabycie towaru u nas zobowiązuje się Pan nie sprzedawać krajowego walcowanego drutu grubości 3,8 milimetru i wyżej, inaczej, jak po cenie najmniej o 10 marek na tonie wyższej od tej, jaką naznacza Panu syndykat. Za druty cieńsze naznaczymy normę cen, skoro zostanie zorganizowany syndykat producentów drutów ciągniętych. Prócz tego zobowiązuje się Pan nie dostarczać pod żadnym warunkiem pośrednio lub bezpośrednio drutu tym niżej wymienionym firmom, które odmówiły udziału w syndykacie niemieckich fabryk gwoździ, z drutu wyrabianych (Drahtstifte). Za każde przekroczenie tych przepisów zobowiązuje się Pan zapłacić kary konwencyonalnej 10 marek od tony zakontraktowanego towaru; prócz tego zastrzegamy sobie prawo przerwania dalszych dostaw, to jest unieważnia się w razie przekroczenia wyżej wymienionych warunków kontrakt dostawy”.—Względem syndykatu fabrykantów gwoździ musi jednocześnie hurtownik zobowiązać sią nabywać towar li tylko od firm syndykalnych. W ten sposób rzeczywiście uniemożliwia się wszelką konkurencyę: fabrykanci gwoździ nie otrzymują drutu, mogą więc produkować li tylko, jeżeli posiadają własne walcownie drutu. Jeżeli więc ktokolwiek zechce podjąć się konkurencyi przeciw syndykatowi, musi szukać nowych źródeł zbytu, gdyż hurtownicy już związali się kontraktem powyższym, a nie podpisać go nie mogli dla tej prostej przyczyny, że po za syndykatem pozostało tylko kilka firm mniejszych, które nie są w stanie dostarczyć wszystkich gatunków towaru, podczas gdy hurtownik musi mieć skład dobrze zaopatrzony.

Tak więc obecne ożywienie przemysłowe dostarczyło aż nadto dowodów ujemnego wpływu syndykatów, o ile zaś słusznem jest twierdzenie, że syndykaty mogą przyczynić się do zażegnania klęsk kryzysu, to okaże się dopiero w przyszłości. Tymczasem wiemy tyle tylko, że nawet najlepiej zorganizowane związki przedsiębiorców nie były w stanie okiełznać gorączki produkcyjnej.

Najbardziej ujawnia się charakter drapieżny związków przedsiębiorców tam, gdzie wadliwe prawodawstwo stworzyło monopol dla przedsiębiorców, a zaniedbało ochronić konsumentów od zbytniego wyzysku. Przykładu takiego dostarcza kartel fabrykantów cukru w Niemczech. Jak wiadomo, rządy otoczyły produkcyę cukru szczególną opieką celem podniesienia produkcyi rolniczej za pomocą plantacyi buraków. W tym celu zaprowadzono w Niemczech, Francyi, Rosyi i Austro-Węgrzech premie wywozowe, usiłując w ten sposób ułatwić producentom krajowym konkurencyę na rynku międzynarodowym. Środek ten wszakże okazał się nader niebezpiecznym, gdyż nie tylko przez ciągłe podwyższanie tych premii powstało zgubne dla skarbu wszystkich tych państw współzawodnictwo, lecz zarazem wytworzono ogromną nadprodukcyę cukru, a prócz tego w niektórych krajach — np. w prowincyi saskiej w Prusiech — nadmierne, nieracyonalne rozszerzenie plantacyi cukrowych dziś już nie pożytek, lecz szkodę przynosi rolnictwu, jak twierdzą kompetentni znawcy agronomii. W Niemczech ostatnim krokiem prawodawczym w tej sprawie było zaprowadzenie „kontyngentu" w roku 1896. Na mocy tego prawa wyznacza się istniejącym fabrykom ilość produktu, jeżeli zaś produkują więcej, płacą od każdych 100 kilogramów podatek dodatkowy w wysokości 2,5 marek; nowo zakładanym fabrykom w pierwszym roku nie przyznaje się „kontyngentu" wcale, płacą więc od całej produkcyi podwyższony podatek, w drugim roku tylko połowa produkcyi zostaje im zaliczona do kontyngentu. Powstawanie nowych fabryk jest zatem faktycznie niemożliwe. Taki monopol nie wystarczył wszakże panom fabrykantom: utworzyli oni dwa syndykaty, z których jeden obejmuje producentów mączki cukrowej, drugi rafinady, i dwa te szanowne związki w roku ubiegłym doszły do porozumienia na zasadach następujących: za mączkę, użytą przy fabrykacyi na eksport, związek rafinerów płaci ceny targowe, za mączkę, użytą do fabrykacyi na rynek krajowy, ustanowiono cenę stałą — 12,75 marek za 100 cetnarów mączki, zawierającej 88% cukru. Przy obecnych cenach targowych, wynoszących około 9,75 marek, fabryki mączki otrzymują zatem 3 marki nadwyżki na cetnarze, a nadwyżkę tę rafinerye oczywiście odbijają na konsumentach krajowych. Konsumentom cukru w ten sposób nałożono nowy podatek konsumcyjny w wysokości 60 mniej więcej milionów marek, lecz podatek nie zostaje użytym na cele publiczne, a płynie do kieszeni producentów. Ci zaś mogą wskutek tego obniżyć jeszcze bardziej cenę na rynku międzynarodowym i pobić w ten sposób

konkurentów. Tu już doprowadzono system protekcyjny do ostatnich konsekwencyi i do absurdu. Państwo najwyraźniej dopomaga garści producentów drzeć tylko z konsumentów. Korzyści z całego systemu ciągną tylko konsumenci w tych krajach, w których cukier nie jest produkowany. W Anglii i Stanach Zjednoczonych, dokąd zwożą cukier z Francyi, Niemiec i Rosyi, jest on znacznie tańszym, niż w krajach produkujących. To też konsumcya w krajach importujących jest znacznie większą i wzrasta szybciej, niż w krajach eksportujących:

Konsumcya na głowę wynosiła kilogramów —	w okresie 1870/74,	w okresie 1885/89
Anglia	22,6	32,6
Stany Zjednoczone	17,6	24,5
Francya	7,8	10,7
Niemcy	6,7	7,8

J. B. M.



Dwie kwestye.

W drugiej połowie ubiegłego roku dwie kwestye ważną odegrały rolę w życiu naszem ekonomicznem i szerokie w prasie i w innych kołach wywołały rozprawy; były niemi: brak pieniędzy i brak węgla. Który z tych dwu braków dotkliwiej dał się uczuć—przesądzać trudno. Do silniejszego odczucia przesilenia pieniężnego, a raczej braku gotówki, na który przez drugie półrocze cierpieliśmy, przyczyniła się ta okoliczność, że wystąpił w chwili, gdy w wielu kierunkach przedsiębiorczości na polu ekonomicznem kraju naszego panował ruch niezmiernie ożywiony. Ta sama okoliczność spowodowała w pewnej części brak węgla, który znów bardzo dotkliwie dał się odczuć najszerszym kołom społeczeństwa ze względu na niższą znacznie, niżeli w latach ostatnich, temperaturę podczas zimy obecnej.

Wogóle dwie sprawy, którym ze względu na ich doniosłość kilka uwag poświęcić pragniemy, mają dużo cech wspólnych. Zarówno jedna, jak i druga, wyłoniły się po części z przyczyn natury międzynarodowej, po części z przyczyn natury lokalnej. Ożywienie przemysłu zaznaczyło się nietylko u nas, lecz i w kilku wielkich państwach zachodniej Europy, mianowicie w Anglii i w Niemczech. Rozwój całego przemysłu metalurgicznego, olbrzymi rozrost zasto-

sowania elektryczności powiększyły znacznie potrzebę środków obiegowych, a zarówno peryodyczne sprawozdania Banku angielskiego, jak i niemieckiego banku Rzeszy, stwierdzają, że w ciągu ubiegłego roku wymagania kredytowe u wielkich instytucyi finansowych były daleko znaczniejsze, niżeli w latach poprzednich. Zaznacza się to w dwu pozycyach sprawozdań. W miarę większych potrzeb pieniężnych wzrasta portfel wekslowy banków, i zwiększa się obieg banknotów. Otóż niemiecki Bank Rzeszy d. 30 września r. 1899 miał w portfelu weksli za 1,127,360,000 marek, gdy tymczasem w r. 1898 najwyższy stan portfelu wekslowego także d. 39 września wykazywał weksli za 916,916,000 m.

W chwili tak silnego naprężenia rynku pieniężnego wybuchła wojna pomiędzy Anglią a Transvaalem, a jakkolwiek toczy się ona w odległych krainach południowej Afryki i dotąd niema wielkiego niebezpieczeństwa, aby wojna ta wywołała jakie komplikacye międzynarodowe,—na stosunki rynku pieniężnego oddziałała niepomyślnie, przedewszystkiem dlatego, że Anglia w wojnie tej jest zaangażowana, więc bezpośrednio na tem cierpi, a potem dlatego, że wojna przerwała dowóz złota z Transvaalu, który najwięcej dostarczał żółtego kruszczu, tak potrzebnego dziś, kiedy wszystkie państwa stopniowo przeszły lub przechodzą do waluty złotej.

Niemały udział w podrożeniu pieniędzy i przesileniu pieniężnem ma spekulacya giełdowa, która dzięki chwilowemu powodzeniu przemysłu podnosi kurs wszystkich akcyi przedsiębiorstw przemysłowych, co oczywiście znacznie zwiększa potrzeby gotówki.

Potrąciliśmy pobieżnie o stosunki niemieckie, rynek pieniężny berliński bowiem dla Warszawy i Królestwa Polskiego wogóle ma doniosłe znaczenie. Liczne przedsiębiorstwa przemysłowe, mianowicie fabryki, sprowadzające surowy materyał z zagranicy, posługuje się kredytem zagranicznym, którego im głównie Berlin dostarcza, nadto i większe instytucye finansowe w Warszawie często korzystają z kredytu w Berlinie, jako najbliższym placu zagranicznym, gdzie kredyt jest znacznie tańszy, aniżeli u nas. Czynią to zresztą i dlatego, że pewnych kategoryi weksli, wystawionych właśnie naznaczniejsze sumy, bo wynikających ze stosunku pieniężnego z zakładami przemysłowymi, kantory rosyjskiego Banku Państwa brać nie chcą.

Z tych to względów berliński rynek pieniężny do pewnego stopnia wpływa na tutejsze stosunki pieniężne. A trudności pieniężne w Berlinie, które z jednej strony wywołały znaczne podwyższenie stopy procentowej, a z drugiej strony wielkie ograniczenie kredytu,

przypadły właśnie na czas, kiedy lokalne przyczyny spotęgowały zapotrzebowanie gotówki.

Za przykładem zagranicy od kilku lat także w Petersburgu i w Warszawie rozwielmożniła się spekulacya. Zaopiekowała się ona przedewszystkiem akcyami różnych przedsiębiorstw przemysłowych, których kurs niesłychanie z miesiąca na miesiąc, z tygodnia na tydzień, nawet z dnia na dzień robił skoki. Wiadomo powszechnie, że już kilka lat temu, po orgiach spekulacyjnych nastąpiło smutne rozczarowanie w formie spadku kursów i licznych bankructw, które pokryły pole spekulacyi.

Ofiary te jednakże nie powstrzymały ażyotażu; spekulowano w dalszym ciągu, a gdy walory, zmieniające u nas często właściciela, są stosunkowo nieliczne, bo akcye wszelkie zwykle nabywane są na lokacyę procentową, więc szukano innych przedmiotów spekulacyi i odkryto — domy i place.

Stosunkowo szybki wzrost Warszawy w ostatnich dziesiątkach lat zwiększył oczywiście popyt na mieszkania, i bywały chwile, kiedy się zdawało, że mieszkań tych zbraknie. Właściciele kamienic skorzystali z tego położenia rzeczy, aby z posesyi swoich większe wyciągać zyski, i znacznie podwyższyli komorne. W obec znacznej renty, jaką skutkiem tego dawały domy, nieruchomości miejskie stały się bardzo poszukiwane, a cena ich szybko się podwoiła. Skutkiem tego i budowa domów stała się dobrem przedsiębiorstwem, gdy zaś w Warszawie, jakkolwiek stosunkowo mniej ma ogrodów i placów publicznych, niżeli inne miasta, placów do stawiania domów jeszcze wcale nie braknie i olbrzymia liczba jest ruder, które przewrócić należy, aby w to miejsce postawić domy, odpowiadające znacznie podniesionemu poziomowi potrzeb obecnych, — rozpoczęła się spekulacya na place i domy.

Życie ekonomiczne naszego społeczeństwa różni się w jednym ważnym punkcie od rozwoju ekonomicznego innych społeczeństw. Gdy bowiem gdzieindziej przedsiębiorczość objawia się też w przemysłowości, i każdy człowiek przedsiębiorczy stara się wyszukać sobie pole, przez innych jeszcze nie zajęte, u nas, widocznie, i u ludzi przedsiębiorczych umysł pracuje z większą ociężałością, aniżeli gdzieindziej. Skutkiem tego u nas, gdy ktoś dozna z nowem przedsiębiorstwem powodzenia, może być pewnym, że znajdzie licznych naśladowców, którzy bardzo rychło wywołają nadmierną podaż i obniżenie ceny danego wyrobu. Tak proste zakłady przemysłowe, jak cegielnie, przynajmniej w formie udoskonalonej u nas stawiano najpierw kapitałem obcym. Rozumie się, że gdy jeden przedsiębiorca na ce-

gielni zrobił dobry interes, powstawały zaraz dzięsiątki cegielni. Natomiast na rzeczy nowe, u nas nie wyzyskane, nie rzucają się nigdy krajowi przedsiębiorcy, najlepsze te pozycye zajmują cudzoziemcy. Tramwaje budują Belgijczycy, a dopiero w parę dziesiątków lat potem znajduje się konsorcyum krajowych kapitalistów, gotowe je przejąć. Na pierwszą fabrykę sztucznych nawozów trzeba kapitały sprowadzić z Belgii, dopiero na drugą można szukać kapitałów na miejscu, a fakt, że się je znajduje, bądźcobądź dowodzi, że one istnieją.

Te okoliczności przyczyniły się też zapewne do wywołania gorączkowej spekulacyi domami i placami w Warszawie. Gdy jedni zarobili na domach i placach, rzuciły się natychmiast setki kapitalistów i gołych spekulantów w tym kierunku, a tracąc wszelką miarę, wyśrubowano ceny domów, a mianowicie placów, do niesłychanej wysokości.

Pierwsi kupowali po niższych cenach, za gotówkę; drudzy i trzeci już nabywali place na kredyt, zaczęli budować domy na kredyt, a skutkiem tego zapotrzebowanie gotówki ogromnie wzrosło. Przez czas pewien nie zbrakło spekulantom pieniędzy; dostarczali ich kapitaliści prywatni, a nawet instytucye finansowe, przekonane, że spekulanci dobre porobili interesa.

Nagle jednakże zaczęło braknąć gotówki z przyczyn, o których co dopiero mówiliśmy. Berlin zaczął utrudniać udzielanie kredytu, kapitaliści prywatni wyczerpali swoje fundusze lub też z obawy krachu zaczęli je wycofywać, a gdy w instytucyach finansowych zaczęto odczuwać brak gotówki, postanowiono przedewszystkiem skutki tego dać odczuć spekulantom budowlanym, których do pewnego stopnia słusznie uważano za sprawców wszystkiego złego. Odmawiano nagle nie tylko dyskontowania, lecz i prolongowania wszystkich weksli, t. z. budowlanych, t. j. mających źródło w spekulacyi budowlanéj, a skutkiem tej procedury nie tylko spekulanci stracili grunt pod nogami, lecz w fatalnem położeniu znaleźli się i rzemieślnicy, którzy się podjęli robót przy stawianiu domów, a w miejsce gotówki otrzymywali weksle przedsiębiorców, często nawet ludzi odpowiedzialnych, których weksli jednakże nikt nie chciał eskontować.

Ten stan rzeczy wywołał w najrozmaitszych stosunkach pewne zamieszanie. Przedewszystkiem ofiarą jego padły listy zastawne Towarzystwa kredytowego ziemskiego i miejskiego. Wobec możności daleko korzystniejszego ulokowania pieniędzy lub skutkiem

braku gotówki sprzedawano listy zastawne, których kurs z dnia na dzień się obniżał.

Wśród poważniejszych finansistów odezwały się głosy, wyrażające mniemanie, że przesilenie finansowe, które objęło także Petersburg i Moskwę, a zaznaczyło się kilku większemi na dwu tych placach bankructwami, jest rezultatem wprowadzenia waluty złotej i zmniejszenia skutkiem tego znaków obiegowych, a walutą poważnie zachwiać może skutkiem odpływu złota zagranicę.

Mniemanie takie jednakże okazało się zupełnie błędnem. Minister skarbu ogłosił komunikat, wykazujący, że ilość znaków obiegowych nie tylko się nie zmniejszyła, lecz przeciwnie została zwiększoną. O zachwianiu waluty zaś nie mogło być mowy wobec tego, że w rosyjskim Banku Państwa pokrycie obiegu papierów złotem wynosiło w początku 163 za sto, gdy np. w niemieckim Banku Rzeszy wynosiło przeciętnie w r. 1899: $75^1/_8$%; w r. 1898: $75^2/_3$ na sto i t. d. Rosyjski Bank Państwa miał 5 grudnia 863,675,000 rubli złotem.

Jeżeli wogóle jeszcze 10 lat temu można było wyrażać pewne obawy co do niedostatecznej ilości złota na potrzeby monetarne, to dziś stanowczo obawę tę należy uważać za usuniętą. Objaśnią nas o tem cyfry o produkcyi złota w ostatnich 8-u latach. Wyprodukowano tedy złota w cyfrach okrągłych:

W r. 1891:	192,216	kilogr.	wartości	536,280,000	mil. marek
„ 1892:	220,133	„	„	644,170,000	„
„ 1893:	237,117	„	„	666,150,000	„
„ 1894:	273,111	„	„	762,000,000	„
„ 1895:	301,540	„	„	841,000,000	„
„ 1896:	322 000	„	„	897,600,000	„
„ 1897:	384,275	„	„	1,072 000,000	„
„ 1898:	435,075	„	„	1,218,000,000	„
przypuszczalnie będzie					
„ 1899:	460,000	„	„	1,238,000,000	„

Cyfry powyższe wykazują bezustanny i to znaczny wzrost produkcyi złota, który w przeciągu 7-u lat podwoił się. Wzrost ten jeszcze bardziej się uwidoczni, gdy mimochodem zaznaczymy, że cała produkcya złota wynosiła: od r. 1493 — 1600 za 2,106 mil. marek, od r. 1601 — 1700 za 2,547 mil. mar., od r. 1701 — 1800 za 5,234 mil. mar., od r. 1801—1860 za 8,908 mil. mar., od 1861—1870 za 5,285 mil. mar., od 1871—1880 za 4,834 mil. mar., od 1881—1890 za 4,452 mil. mar, zaś od r. 1891 — 1899 za 7,845 mil. marek.

W ostatnich ośmiu latach tedy wyprodukowano prawie tyle złota, co przez pierwszych 60 lat bieżącego wieku.

Skądby wobec tych cyfr miała się brać obawa braku żółtego kruszczu? Raczej przypuszczać należy, iż dosyć powszechne podrożenie wszystkich produktów jest rezultatem wielkiej produkcyi złota. Istotnie też dziś walka emisyjnych banków europejskich i amerykańskich o złoto osłabła w ostatnich czasach znacznie, a jeżeli w ostatnie miesiące dyskonto od weksli w Banku angielskim doszło do 6%, w niemieckim Banku Rzeszy do 7%, przyczyniła się do tego niewątpliwie znacznie więcej spekulacya i ruch w przemyśle, niżeli potrzeba obrony zapasów złota.

Rosyjski Bank Państwa można krytykować z jednego punktu widzenia, mianowicie, iż jego system kredytowy nie jest dostatecznie rozwinięty. Skutkiem tego olbrzymie sumy spoczywają w Banku, braknie zaś pieniędzy w obiegu. Nie można by nic powiedzieć przeciwko temu, gdyby już szerokie zastosowanie znalazły te środki, które zastępują obieg pieniędzy, mianowicie system przekazowy, czekowy, asygnacye pocztowe i t. p. Obecne przesilenie pieniężne przyczyni się niewątpliwie do wskazania niejednej drogi w systemie kredytowem, którą w przyszłości pójść należy.

Oby też zdołano znaleźć drogi, któremi doszlibyśmy ostatecznie do właściwego unormowania cen węgla, które od kilku miesięcy zmieniają się z dnia na dzień w sposób wprost niedozwolony dla przedmiotu codziennej potrzeby nie tylko zamożniejszych, lecz i najmniej zamożnych.

Wspomnieliśmy już, że obecne przesilenie węglowe, a raczej brak węgla nie jest objawem miejscowym, lecz pokazał się w całej Europie. Jedną ma przyczynę wspólną z brakiem pieniędzy, mianowicie niezwykły rozrost przemysłu i handlu, które przyczyniły się do znacznego, a dosyć nagłego, zwiększenia konsumcyi węgla. Skutkiem zmniejszania się obszarów leśnych i rozwoju komunikacyi parowych, a nareszcie rozwinięcia się przemysłu, zapotrzebowania węgla, a za nim i produkcye, znacznie wzrosły w ostatnich dziesiątkach lat. „Dwa są bieguny, około których w naszych czasach obraca się cały rozwój materyalny, są nimi żelazo i węgiel" — tak mówił w r. 1875 w parlamencie Bismarck, a kto się przypatrzy rozrostowi komunikacyi i handlu i środkom, przy których pomocy on miał

miejsce, słowom powyższym nie odmówi słuszności. W r. 1829 powstała pierwsza kolej pomiędzy Londynem a Manchesterem. W r. 1862 w Europie było 120,000 kilometrów kolei, w początku r. 1898 długość ich wynosiła 732,255 kilometrów czyli 18 razy objętość kuli ziemskiej. Do początku r. 1898 w przedsiębiorstwach kolejowych całego świata umieszczono 144 miliardy marek. Było to tylko możliwe dzięki eksploatacyi pokładów węgla. W r. 1850 w Anglii wydobyto 64, 600,000 ton węgla, na całym świecie około 130 mil. ton. W r. 1898 wydobyto na całym świecie przeszło 660 mil. ton węgla, a pomimo to węgle drożeją. Żelaza wyprodukowano w r. 1840 na całym świecie około 3 milionów ton, w r. 1898 przeszło 35 milionów ton. Oto drogowskazy naszego rozwoju ekonomicznego.

Dziś opalają się węglem nie tylko koleje żelazne, lecz i chaty robotników, a ztąd każde podrożenie nietylko na różne gałęzie przemysłu ma wpływ, lecz bardzo się daje uczuć najbiedniejszym.

Jeszcze bardzo niedawno płacono w Warszawie za węgiel około 90 kop. za korzec sześciopudowy, a więc 15 kop. za pud. Od listopada cena w sprzedaży detalicznej nie była niższą od 1 rb. 20 kop. za korzec, dochodziła zaś do 2 rb. 40 kop., nie wspominając o paru dniach w końcu grudnia, kiedy składnicy niektórzy żądali i kazali sobie płacić po 50 kop. za pud.

Na szczęście drożyzna ta nie dała się uczuć wszystkim najbiedniejszym w Warszawie; skutkiem podrożenia bowiem węgla w ostatnich latach magistrat podjął się sprzedaży najbiedniejszym, a zakupiwszy znaczną ilość od kopalni, przy interwencyi najwyższej władzy krajowej, sprzedaje ze swoich składów węgiel po 17 kop. za pud. Z ulgi tej jednakże korzysta tylko najbiedniejsza część mieszkańców, reszta, dla których różnica w cenie węgla jest też nadmiernem obciążeniem budżetu wydatków domowych, płacić musi wymienione powyżej ceny.

Podrożenie węgla w czasach ostatnich jest ogólne. Podniesiono ceny w kopalniach w Anglii, w Niemczech, w Austro-Węgrzech i we Francyi, podniosły je też i nasze kopalnie w zagłębiu dąbrowieckiem. Ale to podwyższenie cen, usprawiedliwione zwiększeniem kosztów produkcyi, nie tłómaczy jeszcze tej różnicy cen, jaką ponosić muszą konsumenci, mianowicie w Warszawie. Nic też dziwnego, że odezwały się głośne skargi, które się zwróciły przedewszystkiem i słusznie przeciwko właścicielom kopalń.

Pierwszy zarzut słuszny, jaki im czyniono, odnosi się do rozmiarów produkcyi węgla. I w Królestwie Polskiem rozwinął się przemysł w ostatnich latach bardzo znacznie. Tymczasem właściciele kopalń nie tylko nie powiększyli produkcyi, lecz rozmyślnie ją ograniczyli. Tłómaczą się oni brakiem robotnika i ograniczeniami, wprowadzonemi co do normalnego dnia pracy robotników, a organ ministeryum skarbu „Torg.-Promysz. Gaz." skargi te do pewnego stopnia uznaje za słuszne, ale wiadomem jest, że ograniczenie jest rezultatem porozumienia pomiędzy właścicielami kopalń; ponieważ zaś kopalnie u nas nie są urządzone tak, aby produkcyę węgla można szybko powiększyć, więc nie rychło się można spodziewać usunięcia obecnego stanu rzeczy. Ale stan ten, jak już powiedzieliśmy, nie usprawiedliwia obecnych cen. W grudniu odbył się w Warszawie zjazd górniczy, na którym kwestya cen węgla też była przedmiotem rozpraw. Referat w tej sprawie na zasadzie najautentyczniejszych chyba danych obliczył, że cena węgla w handlu detalicznym w Warszawie, z dostawą do domu, uwzględniając zarobek składnika, powinna wynosić 111 — 119½ kop. za korzec. Składa się ona z następujących części: cena sprzedażna w kopalni 45—50 k. za korzec, przewóz koleją 35 — 36 kop., wyładowanie ½ kop., przewóz do składu 4 — 6 kop., strata i kradzieże 4 — 4½ kop., koszta ogólne 5 kop., zysk 10 kop. Zaznaczyć możemy, że wszystkie te pozycye są obliczone ponad normalne ceny, i że węgiel po 105 kop. za korzec z korzyścią może być sprzedawany przez składnika, kupującego wprost z kopalni. Niestety, z jednej strony pomiędzy składnikami a kopalnią stoi hurtownik, któremu kopalnie rzekomo sprzedają całoroczną produkcyę, a on dopiero sprzedaje je dalej. Ci hurtownicy są głównymi sprawcami drożyzny węgla w Warszawie, za którą jednakże odpowiedzialność spada także na kopalnie, które hurtowników powinny mieć w ręku i nie pozwolić na zdzierstwo i wyzysk, praktykowane przez hurtowników.

Prawie wszędzie hurtownicy zakupują od kopalni albo całą produkcyę, albo znaczną jej część, ale nigdzie z takiem zdzierstwem spotkać się nie można. W Prusach przy obecnych podwyższonych cenach węgiel w większej odległości od kopalni, kosztuje 100—160 fenigów za cetnar, co się równa rublowi za korzec. W wyzysku tutejszym zaś i kopalnie bezpośrednio biorą udział, bo one nie sprzedają całej produkcyi hurtownikom, lecz część niesprzedaną przysyłają do Warszawy i na kolei z licytacyi wagony takie zbywają. Nazywa się to giełdą węglową.

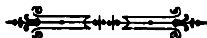
Praktyki te odbijają się na samych kopalniach. Węgiel ma cło ochronne 1½ kop. na pudzie czyli 9 kop. na korcu. Otóż wobec wyzysku kopalni powszechny podniósł się głos, domagający się zniesienia zupełnie cła od węgla. Jakoż początek już uczyniono. Reskryptem, który uzyskał już sankcyę Najwyższą, minister skarbu pozwolił na sprowadzanie bez cła tej ilości węgla, którą magistrat potrzebuje dla mieszkańców Warszawy w r. 1900. Ponieważ ilość, którą kopalnie magistratowi sprzedały, starczy mu tylko do końca lutego, więc przypuszczać należy, iż magistrat wcześnie sobie zapewni węgiel szląski i w większej go sprowadzi ilości, aby szersze koła z dobrodziejstwa kupienia węgla po cenach normalnych korzystać mogły. Wszystkie koła interesowane powinny dołożyć starań, aby cło zupełnie zostało zniesione.

Na tem jednakże poprzestać nie można. Powinna nastąpić reorganizacya handlu węglem, który się znajduje w Warszawie w rękach słabych, niezdolnych zwalczyć wyzysk hurtowników. Należy tedy założyć wielkie stowarzyszenie spożywcze, które, rozporządzając większymi środkami, węgle w znacznych ilościach nabywać i odbiorcom swoim z normalnym zarobkiem, bez zdzierstwa, sprzedawać powinno. Środka tego wymaga samoobrona, a stowarzyszenie spożywcze mogłoby też wziąć w rękę handel naftą, której cena w ostatnich czasach też po nad normę podnosić się zaczyna.

Brak materyałów opałowych i ich drożyzna powinna nareszcie skłonić do silniejszej eksploatacyi torfu, którego znaczne pokłady, dotąd nie wyzyskane, w naszym kraju się znajdują.

Niepodobna zakładać rąk wobec tego, co się dzieje, lecz zabrać się energicznie do rozwiązania dokuczliwej kwestyi węglowej w interesie konsumentów, a wtedy różnego autoramentu wyzyskiwacze, którzy dziś liczą na ociężałość i lenistwo ogółu, uważając go za ***misera contribuens plebs***, przekonają się na własnej skórze, iż struny przeciągać nie można.

A. Donimirski.



Rozbiory i Sprawozdania.

WYDAWNICTWA GWIAZDKOWE.

Tegoroczny plon gwiazdkowy charakteryzuje wiele powtórnych wydań oraz większa dbałość o zewnętrzną szatę; prawie wszystkie ilustracye wykonane bardzo starannie, czasem nawet z wyższym polotem, i to przez pierwszorzędne nasze siły rysownicze

Inną cechą wielce dodatnią jest rozwój opisów podróży po kraju własnym, gdzie geografia, historya, etnografia, a częstokroć i popopularne wiadomości z przyrody, tworzą splot wielce harmonijny, przyozdobiony kwiatami baśni i podań. Od lat paru wytworzona w naszej literaturze powieść fantastyczno-przyrodnicza, w guście Verne'a, również pomyślnie się rozwija. Można nawet powiedzieć, iż pod niektórymi względami przechodzi swój pierwowzór. Balast naukowy nie jest w niej tak ciężki, a nieprawdopodobieństwa mniej liczne, niż u francuskiego autora.

W dziale powieści historycznej swojskiej, jeżeli wyłączymy powtórne wydania, cisza w tym roku prawie zupełna, zato sporo jest przeróbek i tłómaczeń, a nawet oryginalnych powieści, na tle obcych dziejów osnutych. Powieść obyczajowa dla starszej młodzieży także nie dopisała. Do turnieju tegorocznego stanęło paru

zaledwie autorów. A szkoda! bo młodzież, chciwa beletrystyki, karmi się literaturą, przeznaczoną dla dorosłych—nieraz ze szkodą swego moralnego organizmu.

W poezyi króluje Deotyma. Czar prawdziwy wieje z jej poematu: „Gonitwy w dolinie Prądnika". Treścią jego: dzieje pierwszych Leszków, i, jakkolwiek sam w sobie artystyczną całość stanowi, jest jednakże ułamkiem potężnego cyklu, objętego nazwą: „Polska w pieśni".

Mistrzyni formy, Deotyma osnuła podanie dziejowe, niby w przędzę najcieńszą, w mgłę baśni ludowych; zespoliła rzeczywistość z cudownością, tworząc arcydzieło wdzięku, prostoty i głębokiej erudycyi zarazem. Liczne przypiski na końcu książki wskazują źródła, z których czerpała autorka. A źródła to poważne: Długosz, Kromer, Bielski, Lelewel i inni polscy i cudzy dziejopisarze. Poemat składa się z czterech części. Pierwsza—to opowieść o wdowie i trzech jej synach. Wdowa umiera, a synowie idą szukać źródła życia, by zaczerpnąć z niego odżywiającej wody. Ale źródła nie znajduje Junak, nie znajduje Mądral, tylko najmłodszy Dobrotko. Dobroć święci swój tryumf nad siłą i mądrością.

W drugiej części odbywają się gonitwy w dolinie Prądnika według znanego podania dziejowego. Jeździec, który pierwszy dobieży do mety, otrzyma purpurę królewską. Dobiegł jeden, ale chytrością i podstępem, ukrył bowiem w piasku pełno gwoździ, które boleśnie kłuły nogi rumaków. Podstęp zostaje odkryty, i królem ogłaszają Dobrotka.

Opisowi mądrych jego rządów poświęcone są dwie drugie części. Występuje w nich smok olbrzymi, Didko na słomianych nóżkach, Wielkoludy, pług Samo-orek i miecz Samo-siecz, który, skoro zaczął rąbać w prawo i w lewo: „Padł na Niemce popłoch srogi, miecz za nimi, oni w nogi". Naiwny ton baśni ludowej utrzymany jest z przedziwną jednolitością od początku do końca poematu, a wszystkie owe cuda i czasy, jak w kalejdoskopie przesuwają się przed oczyma czytelnika plastycznie,—wyraźne—niemal żywe.

Gonitwy w dolinie Prądnika—to prawdziwy klejnot wśród tegorocznych wydawnictw gwiazdkowych.

Tryumf miłości głosi: „Baśń o dobrym synu" Bełzy. Piękna ta baśń, opowiedziana ślicznym językiem, przypomina niezmiernie swą treścią „Walka" Jadwigi Chrząszczewskiej.

Nie pomawiamy autora o plagiat; zapewnie Walka nie czytał nawet, a sięgnął po wątek do najczystszej krynicy w dziedzinie fantazyi, bo do podania ludowego, jak to zresztą sam w tytule zaznacza.

I tu syn poświęca się dla ukochanej i ubóstwianej matki. Nie szuka jej, jak Walek, bo jest ciągle przy niej i otacza ją najtroskliwszem staraniem; lecz gdy leciwa rodzicielka zasłabła niebezpiecznie, pragnie ją od śmierci uratować i za radą cudownego starca idzie szukać zdroju uzdrawiającej wody. Ile on w tej wędrówce nacierpiał, ile się nabiedował, ile pokus zwyciężył! Pokonał jednak wszystkie trudności, a co najważniejsza — sam siebie pokonał. Nieskalany na duszy, zdobył zdrój żywej wody i przyniósł go do rodzinnej zagrody. W usiłowaniach tych stracił całe życie; wrócił, jako starzec, matkę już zastał w grobie, lecz za radą opiekującego się nim starca odkopał grób i cudowną wodą najdroższą matkę wskrzesił. I stał się drugi cud: łza wdzięcznej matki odmłodziła zgrzybiałego syna, a wieść o tem zdarzeniu roznoszono szeroko i daleko, aby w całej krainie ludzie się dowiedzieli, co wielka miłość zdziałać może.

Trzeba mieć wiele poczucia artystycznego, aby tak pięknie przełożyć: „Bajki Andersena”, jak to uczyniła p. Niewiadomska. Rozbierać Andersena nie będziemy; bo któż go nie zna? któż nie zachwycał się wysubtelnioną formą i przedziwnie głęboką treścią jego utworów? Powiemy tylko, że wybór bajek dokonany wzorowo, a opracowanie stoi na wysokości oryginału. O jednem tylko pamiętać trzeba: nie są to bajki dla dzieci, tylko dla młodzieży.

Stary poczciwy Guliwer przypomniał się znowu dziatwie nowem wydaniem, bo kraj olbrzymów i liliputów zawsze dla niej ponętny.

Być może, że obrachunek powieści fantastycznych nie jest ścisłym; szczupłe ramy tego artykułu zmuszają nas niemal liczyć się z wyrazami. Obszerniejsze sprawozdanie obowiązkowo dać musimy o utworach większej wartości, oraz tych, które do redakcyi przysłane zostały.

Het, het, daleko, bo aż do Indyi Wschodnich, Egiptu i Meksyku prowadzi pan Gębarski młodych czytelników w książce, zatytułowanej: „Z szerokiego świata”. Opowiadań jest dziesięć. Każde na dnie kryje jakąś prawdę etyczną, nieraz nawet, jak w legendzie: „Talizman” bardzo głęboką. Za wielką zasługę poczytać można autorowi, że potrafił zachować miarę w opisach potyczek i bitew, o czem nie każdy z autorów, piszących dla młodzieży, pamięta. Groza — to wynik depresyjnie działający, pocóż zatem ją wywoływać, a do zapachu krwi dzieci zbyt wcześnie przyzwyczajać nie trzeba. Całość jest bardzo sympatyczna i zajmująca; kształci moralnie, a nie moralizuje, wzbogaca umysł wiadomościami z dzie-

dziny geografii, historyi i przyrody, a daleką jest od mentorskiego tonu.

Podobne zalety cechują drugą powieść tego autora pod tytułem: „Napoleon w Egipcie". Powiew szalonej odwagi i bohaterstwa płynie z jej kart ku młodemu czytelnikowi, który obok tego znajdzie przykłady poświęcenia oraz miłości bliźniego w tem zajmującam opowiadaniu. Ze sławą wojenną Napoleona ściśle się łączą imiona bohaterów polskich, to też i w tej powieści obok osób wysnutych z fantazyi, występują postacie historyczne księcia Sułkowskiego i Zajączka, a swojskość ta, chociaż na tle obcem — potęguje wartość książki!

Dla starszej młodzieży przeznaczono dwie powieści: „Olimpijczyk" i „Przebojem".

W pierwszej (spolszczonej podług Höckera) przeniesie się czytelnik na ziemię walecznych Hellenów, a głównie do Aten, i to w chwili największej sławy i potęgi tego drobnego państwa, bo za czasów Peryklesa. Obok wypadków historycznych przedstawiono w opowiadaniu życie prywatne Greków, ich obyczaje, uroczystości, pojęcia religijne, zamiłowanie do sztuki i poezyi. Książka zajmująca i pożyteczna.

Autorem powieści: „Przebojem" jest pan Szyller-Backi. Przenosi on czytelnika na ziemię żmudzką.

Piotr Zemajtys zostaje sierotą. Przy pomocy poczciwych, ale ubogich ludzi toruje sobie drogę życia. Nie przychodzi mu to łatwo, lecz dzielny i energiczny chłopiec idzie „na przebój", pracuje, cierpi, walczy niejednokrotnie z pokusami, zwycięża jednak wszystkie trudności i zdobywa sobie nakoniec byt—chociaż skromny — ale zapewniony.

Wielką prostotą i wdziękiem odznacza się maleńka książeczka Z. Morawskiej: „Z opowiadań małego chłopca". Czytelnik znajdzie w niej naukę i rozrywkę; w pierwszem opowiadaniu będzie wraz z bohaterem Bolkiem słuchał opowiadania starego Jerrasa o puszczy Białowieskiej, błądził wśród dzikich ostępów, potykał się z żubrem; w drugiem—zwiedzi starożytne gniazdo krzyżackie Malborg i dowie się o niem, jak również o zwiedzanych po drodze miejscowościach, wielu ciekawych szczegółów. Rożnorodność treści, plastyczność opowiadania trzyma uwagę czytelnika w naprężeniu od pierwszej do ostatniej karty!

Powtórnego wydania doczekała się też powieść historyczna tejże autorki, p t.: „Giermek książęcy". Język barwny, obrazy peł-

ne swojskości charakteryzują to opowiadanie, i to stanowi większą jego zaletę, niż pełne fantazyi tło historyczne z XIII-go wieku.

Notujemy również przedruk trzech powiastek historycznych: „Nad wodami Baltyku", „Panna Marychna z Oporowa" i „Wojewodzic spiski", pióra wielce zasłużonej na polu piśmiennictwa dla młodzieży ś. p. Aleksandry Borkowskiej.

„Opowiadania historyczne" Chęcińskiego oraz przez niego tłómaczony „Robinson Szwajcarski", jak również „Obrazki znakomitych ludzi" Wacława Szymanowskiego, ukazały się także w nowem wydanin; utwory te cieszą się od tak dawna wyrobioną opinią, że zbytecznem byłoby nowe sprawozdanie z tych pożytecznych książek.

„Obrazy wojen Krzyżowych" Józefa Grajnerta mają nieco podręcznikowy charakter i nadają się do czytania przy nauce odpowiedniego działu z historyi.

Opisać „Podróż naokoło świata", a jej nie odbyć, to bardzo trudne zadanie! Podjął się tego p. Umiński, znany popularyzator wiedzy przyrodniczej—i wywiązał się nieźle. Młodzież z opowiadania tego może się dużo nauczyć, a nawet pewne ustępy owej zaimprowizowanej podróży mogą bardzo zainteresować. Ujemną stronę książki stanowią niektóre błędy naukowe i brak słownika, wyjaśniającego rozmaite techniczne wyrażenia, z tego powodu opisy mogą być miejscami niezrozumiałe dla młodego czytelnika.

Tenże p. Umiński dał zajmujący opis podróży Nansena do bieguna północnego w streszczeniu, p. t.: „Wśród lodów i nocy"; zapoznał on młodzież z trzyletnimi trudami i bezprzykładną wytrwałością norweskiego podróżnika. Pomysł dobry.

Udatną przeróbkę powieści Barfusa przygotował w opowiadadaniu: „W kraju Boerów" p. Topór. Książeczka ta, wydana w chwili, w której na ziemiach Transvaalu rozgrywa się walka dwu narodów, znajdzie zapewne licznych czytelników, na co zresztą tak treścią ciekawą, jak i ujmującą formą opowiadania, najzupełniej zasługuje.

„Polowanie na słonie" przenosi nas także do Afryki. Najprzód czytelnik musi podążyć z młodym Warszawianinem do domu handlowego w Antwerpii, a potem na wybrzeże zachodniej Afryki. Bohater opowiadania, podróżując w celach handlowych wśród dzikich plemion, napotyka przygód bez liku, czasem nieprawdopodobnych, wśród których walka ze słoniami ważne zajmuje miejsce. Młodzieniec ze wszystkich terminów wychodzi jednak zwycięsko i wraca do rodzinnego miasta.

Styl barwny, treść zajmująca.

Tak korzystnego sądu nie możemy wydać o przetłómaczonej przez B. Londyńskiego powieści Mayne-Reid'a „Jaskinia widma". Treścią książki: pastwienie się plantatorów nad Murzynami i pokątny handel niewolnikami, lecz do fabuły powieściowej tyle wprowadzono kłamstw, intryg, zbrodni, tyle obrazów, rozdrażniających tylko nerwy, a nie przynoszących korzyści żadnej, że książki tej polecać nie możemy. Rzecz dzieje się na Jamajce, ale o samej wyspie, jej faunie, florze, jakoteż o życiu tamtejszych mieszkańców, dowie się czytelnik bardzo mało. Pod względem naukowym książka ta bez żadnego pożytku, a pod względem moralnym — szkodliwa.

Z pośród wydawnictw dla młodszych dzieci wyróżnia się ślicznymi chromolitograficznymi obrazkami książeczka S. Morzkowskiej: „Bądźcie dobremi", obejmująca zbiór powiastek, których treść przeważnie zaczerpnięta z życia dziatwy.

Marya Weryho obdarzyła dziatwę sympatyczną powiastką: „Wróble" oraz dzienniczkiem małej pensyonarki, zatytułowanym: „Nacia na pensyi". Ów dziennik Naci treścią i formą przypomina trochę „Pamiętnik chłopca" Amicisa; pozostaje jednak daleko za pierwowzorem, za co nie we wszystkiem należy obwiniać autorkę. Nie mogła ona rozsnuć przed czytelnikiem tak bogatego wątku, ani przedstawić różnych pięknych obrazów, którymi Amicis swe opowiadanie ubarwił...

Bardzo to jednak pożyteczna i pouczająca książeczka. Czytając ją, dzieci się ubawią z figlów pensyonarskich i dowiedzą dużo ciekawych rzeczy z botaniki. Strona etyczna uwydatniona zręcznie przy każdej sposobności. Serdecznie przedstawiony stosunek koleżeński dzieci z różnych sfer.

Najwięcej stosunkowo wyszło książek obrazkowych dla najmłodszych czytelników i tych, którzy jeszcze czytać nie umieją, a tylko patrzeniem się bawią. Aż ćmi się w oczach, gdy spojrzymy na porozkładane w wystawach księgarskich wydawnictwa obrazkowe. Wszystkie kolory tęczy, całe gamy barw łączą się tam z sobą.

Nie sposób pisać o wszystkich książeczkach, bo tego drobiazgu są całe tuziny; jedne lepsze, drugie gorsze; tu treść, a tam obrazki chybiły, jak zwykle w tego rodzaju elukubracyach. „Dzieciątko Jezus", wydawnictwo Gebethnera, prym trzyma w tegorocznym obrazkowym turnieju, ale nie brak i innych wartościowych książeczek. Są pomiędzy niemi prawdziwe kwiaty barwne i wonne. „Śliczne obrazki Kazia" rzeczywiście na tę nazwę zasługują. Sceny z życia

dziecięcego pełne humoru, a malowane twarzyczki mają taki wesoły wyraz, że żywe dzieciaki z pewnością śmiać się będą. Jestto wydawnictwo Arcta. „Wiejskie uciechy Władzia i Zosi“ zajmą, pouczą małych czytelników i przemówią do ich serduszek. Szkoda, że ilustracye nie stoją na równym poziomie z treścią.

A o reszcie co powiedzieć? Zapewne znalazłoby się i to i owo. Niektóre książeczki nie odpowiadają koniecznym warunkom pedagogiki tak co do treści, jak i formy. Wogóle jednak nie schodzimy w dół, lecz idziemy w górę; może wolno, może żółwim krokiem, ale naprzód. A wszakże i to pociecha! Tym poglądem, może nieco optymistycznym, kończymy nasze sprawozdanie. *Ch. i W.*

„Wycieczki po kraju“. (Aleksander Janowski. Warszawa Nakład autora. 1900 r.).

Jak nie chwalić książki, której brak, doprawdy, wstydem nas dotąd okrywał? I jak nie wyrażać słów uznania i wdzięczności p. Al. Janowskiemu, że nam podróżowanie po własnym kraju stara się ułatwić? Turystyka, dziś tak ogromnie rozwinięta zagranicą, nie można zaprzeczyć, zrodziła i u nas chęć zapoznania się z własnym krajem. Zwłaszcza młodzież, mniej licząca się z niewygodami naszych dróg i zajazdów, a może właśnie dla tych niewygód, coraz liczniej na takie wycieczki się puszcza. Ale sam się naocznie przekonałem, w jakim nieraz ta młodzież bywała kłopocie, nie wiedząc, dokąd i po co jechać, co oglądać, na co zwrócić uwagę, jak układać marszrutę i jak się w podróży urządzać. Ani dokładnego a treściwego opisu, ani nawet uczciwej mapki dróg nigdzie znaleźć nie było sposobu. To też szczerze podziękować można p. Janowskiemu za podjętą pracę, która na początek wypadła bardzo dodatnio. Właściwie możnaby jej, tak jak jest, żadnych zarzutów nie robić. Że jednak autor pozwala nam się spodziewać dalszego ciągu swej pracy, a omawiana książeczka jest jakby pierwszym tylko etapem w tej podróży po naszej ziemi, przeto pozwalamy sobie na kilka uwag, które może w dalszych zeszytach znajdą przychylne uwzględnienie.

P. Janowski, widzę, kładzie w swym przewodniku duży nacisk na historyę. Bezsprzecznie, jest ona na miejscu, jest nawet nieodzownie potrzebną. ale przewodnik praktyczny powinien jej zawie-

rać w dozie umiarkowanej, kontentując się dużymi, szerokimi rysami, poglądami ogólnymi. Szczegóły zaś tylko bardzo charakterystyczne powinny tu znaleźć uwzględnienie. Pragnący poznać historyę może się jej doskonale nauczyć w domu, w czterech ścianach pokoju. Na wycieczce zaś niech pozna i zrozumie to, czego mu w domu właśnie niedostaje, po co trzeba nieraz tłuc się całe dziesiątki mil po naszych polskich drogach, ażeby należytego nabrać o danej rzeczy pojęcia. Mówię o zabytkach naszego budownictwa i wogóle sztuki. Stajemy np. wobec katedry w Kielcach. Jakie są jej daty historyczne, kto ją fundował, a kto burzył, kiedy się paliła i kto ją znów odbudowywał, o tem możemy się w każdym czasie i miejscu dowiedzieć, zajrzawszy do odpowiedniej encyklopedyi i monografii specyalnej. Poznać zaś, co to jest styl romański, a co gotyk lub renesans, a zwłaszcza na czem polegały nasze specyficzne polskie cechy każdego z tych stylów, można tylko na miejscu, oglądając w naturze architektoniczne zabytki naszej przeszłości. Zwłaszcza u nas, gdzie nawet z elementarnemi wiadomościami z dziedziny architektury spotkać się niełatwo, dobrzeby było, ażeby choćby za pośrednictwem rozmaitych przewodników popularyzować w szerszych masach tę najwznioślejszą, a u nas najbardziej zaniedbaną, sztukę. Nie byłoby też nie na miejscu, gdyby autor we wstępie do swych „Wycieczek" podał nawet krótki rys dziejów architektury wraz ze wskazówkami, jak należy rozmaite style rozróżniać.

Pod tym względem mógłby p. Janowski wziąć sobie za wzór „Przewodnik po Krakowie" Rostafińskiego, wydawnictwo w swoim rodzaju doskonałe.

Autor potrzebę nacisku na architekturę czuł, widać, skoro np. z okazyi klasztoru w Wąchocku powiedział bardzo ładnie kilka słów o stylu, przechodzącym z romańskiego w gotyk. Nie mający jednak choćby ogólnikowych wiadomości z zakresu architektury (a takich podróżników będzie ogromna większość) nie zrozumie znaczenia tych uwag zupełnie. W wielu zaś miejscach autor wcale nie zaznaczał porządku architektonicznego opisywanej budowli, jak np. przy opisie klasztoru na Karczówce z jego ślicznymi schodami bocznymi, tego iście włoskiego pod polskiem niebem zakątka, kościoła Świętokrzyskiego, ratusza i fary w Radomiu i wielu innych. Wspominając o obrazach Smuglewicza w kościele na Łysej Górze, należało zaznaczyć datę urodzin naszego malarza, ażeby przeciętny widz mógł się oryentować, do jakiej epoki odnieść owe malowidła. Nie wspomina też autor o wcale niezłych malowidłach ściennych Rejchana (r. 1782) w kaplicy Oleśnickich przy tymże kościele.

Następnie, co do tryptyku w kościele Bodzentyńskim daje autor błędną informacyę, jakoby obraz ten był dziełem malarza krajowego z XV w., „gdyż — powiada autor — żywot i cuda św. Stanisława tylko znający kraj i w nim mieszkający artysta mógł odtworzyć tak wiernie". Dowód słaby. Obraz mógł być zamówiony zagranicą, przyczem zamawiający Polak mógł udzielić potrzebnych malarzowi informacyi. Tymczasem koloryt, układ, rysy osób, przedstawionych w obrazie, sposób wykreślenia perspektywy, brak wreszcie plastyki — wszystko świadczy, że to pędzel niemiecki.

Nakoniec, niech też autor na przyszłość nie skąpi podróżnikowi wskazówek praktycznych. Tak np. puszczających się od Słupi przez szczyty aż do Św. Katarzyny ostrzedz należało, że u krańca swej wycieczki nie znajdą żadnej gospody, gdzieby zanocować i posilić się można było; że, jeśli ich noc zaskoczy, najlepiej prosić o gościnę tamtejszego młynarza; że, jako przewodnika na taką wycieczkę, zalecić można Wojciecha Ubę, o którego dowiedzieć się najłatwiej w Słupi w zajeździe Maasa i t. d. Są to drobiazgi, ale od takich właściwie drobiazgów zależy użyteczność książki. Dlatego też upominamy się o nie w następnych zeszytach „Wycieczek", których ukazania się z niecierpliwością oczekiwać będziemy.

Wacław Kloss.



NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

= *W. Heinrich.* **O stosunku pojęć i zasad fizycznych do filozofii.** Odbitka z „Przeglądu Filozoficznego", str. 42 in 8-o.

Wykazując braki i słabe strony pojęć i zasad mechaniki, polegające z jednej strony na niejasności, z drugiej zaś na nieodpowiedniości ich do otaczającego wszechświata, stara się autor, przeciwko Boltzmanowi, dowieść, „iż źródłem niejasności było zbyt pochopne posiłkowanie się obrazami (pojęciami), nie zaczerpniętymi ze zjawisk, zbyt łatwe rozszerzanie pojęć i nadawanie im znaczenia, wychodzącego poza bezpośrednie doświadczenie, oparte na naiwnie realnym światopoglądzie". Chcąc uniknąć tej właśnie niejasności i nieodpowiedniości, trzeba się zwrócić do innej metody; wszelkie trudności powstają, zdaniem autora, „tam, gdzie oddalano się od opisowej metody przedstawiania zjawisk". To też stara się autor wykazać, że tylko opisowa metoda może zadowolnić wszystkie teoretyczno-rozpoznawcze postulaty. Broszurka niniejsza jest, jak widać z zakończenia, częścią pracy obszerniejszej, w której obiecuje autor dalej odpowiednie filozoficzne wnioski wyprowadzać z rozpatrzenia pojęć fizycznych.

= *Wiktor Doleżan.* **Czy będzie koniec świata w r. 1899?!** Urywek z kosmografii. Kraków. Nakład własny. 1899, (16-o str. 37).

Mała ta broszurka, stanowiąca odbitkę z artykułu „Biesiady Literackiej", ma na celu popularny wykład zjawisk astronomicznych, wywołany, jak łatwo domyśleć się można, zeszłorocznemi przepowiedniami Falba. Pomimo, iż obawy, które wywołały pojawienie się tej popularyzacyi, już minęły, nie straciła ona, jak wszelkie przystępne i umiejętnie przeprowadzone wykłady naukowe, swego aktualnego znaczenia. Obejmuje ona treść szerszą, niż zapowiada tytuł, gdyż uwzględnia także różne hypotezy, dotyczące końca świata wogóle w najodleglejszej przyszłości, nie wykraczając jednak za bardzo poza granice, dozwolone przez naukę w książkach popularnych, i odpowiada w ogólności wymaganiom, jakie książeczkom takim stawiać można. Broszurka ta przeto zasługiwałaby na szersze rozpowszechnienie; szkoda jednak, iż wkradło się do niej kilka błędów naukowych, np.: Jowisz ma 4 księżyce (str. 5) (dziś liczymy ich pięć); ciało roślin wytwarza pod wpływem promieni słonecznych

z kwasu węglowego i wody błonniki (cellulozy), węglowodory (?) i cukier, a tlen się wydziela (str. 31; autor miał na myśli pewnie wodany węgla, do których zresztą błonnik i cukier również zaliczamy); koniec świata kiedyś nastąpić musi (str. 36—37; autor ma tu na myśli widocznie koniec ziemi lub tylko życia na ziemi, chyba nie całej materyi i energii świata, które końca mieć nie mogą) i t. d.

M. Hn.

= *Stanisław Jakubowicz*, inżynier. **Samoprząśnica.** (Selfactor). Studyum teoretyczno-praktyczne. (Biblioteka Przemysłowa). Warszawa. Nakładem Hipolita Wawelberga. 1899. (16-o, str. XII—86). Cena 85 kop.

Przedmiotem tej książeczki jest opis dla użytku praktyków nader zawiłej maszyny przędzalniczej, której ustroju i przebiegu działania nie rozumieją często nawet ludzie, mający z nią ciągłą, bezpośrednią styczność. To też, wyjaśniając zasadę jej budowy i działania, podając praktyczne wskazówki obchodzenia się z nią, opisując różne jej systemy, oddał autor prawdziwą przysługę tym wszystkim, których sfera działalności jest z maszyną tą związana, a dla których podobne dzieła, w obcych pisane językach, są niedostępne. Zaznaczyć należy, iż p. Jakubowicz, znany już w naszem piśmiennictwie technicznem, jako autor „Zarysu przędzenia wełny czesankowej", opracowanego również sumiennie, jak dziełko wymienione w nagłówku, oparł nową swoją pracę na najlepszych źródłach zagranicznych, dopełniając je badaniami samodzielnemi. Szereg starannie opracowanych, a zmudnych tablic, jak i doskonałe rysunki, a przedewszystkiem sumienne opracowanie swojskiej terminologii, tak mało jeszcze w tym zwłaszcza dziale naszego przemysłu wyrobionej, nadaje dziełku temu szczególną wartość. Pod tym względem wogóle dobrze piśmiennictwu naszemu przysługuje się „Biblioteka Przemysłowa", wydawana nakładem p. Hipolita Wawelberga, mająca na celu przyjście z pomocą swojskim pracownikom na polu pracy przemysłowo-technicznej, zwłaszcza niższym technikom, mechanikom, nadzorcom robót, rysownikom, majstrom, rzemieślnikom, a w części i robotnikom fabrycznym, nie znajdującym w kraju odpowiednich szkół, w którychby mogli nabyć niezbędne dla siebie wykształcenie zawodowe, i z tego powodu wypieranym często przez obcokrajowców ze swych stanowisk. Może przeto na miejscu będzie zaznaczyć, iż w szeregu tych wydawnictw, mających na celu dobro publiczne, a tak mało dotąd głośnych, wyszły już dziełka następujące: 1) „Podręcznik dla palaczy kotłowych" P. Braussera i A. Spennratha w opracowaniu D-ra Fel. Łaszczyńskiego; 2) „Mechanika doś-

wiadczalna" Rob. S. Balla, w przekładzie St. Kramsztyka; 3) „Zarys przędzenia wełny czesankowej" St. Jakubowicza; 4) „Słownik polsko-rosyjsko-niemiecki terminów garbarskich" Fel. Przyszychowskiego; 5) „Przewodnik dla maszynistów" E. F. Scholla, w przekładzie Al. Podworskiego (2 części); 6) „Podręcznik mechaniki" M. Lauensteina, w przekładzie Józ. Hofmana; 6) „Zasady magnetyzmu i elektryczności" A. Jamiessona, uzup. przez d-ra J. Kollerta, w opracowaniu St. Stotkiewicza (2 części); 8) „Nauka rysunków" Ed. Wawrykiewicza; 9) „Światło elektryczne" Zygm. Straszewicza; 10) „Wiadomości praktyczne o motorach gazowych" G. Lieckfelda, przekład pod redakcyą inż. Schoenfelda. *M. Hn.*

= **XXVII-me Sprawozdanie związku polskich spółek zarobkowych i gospodarczych w W. Ks. Poznańskiem i w Prusach Zachodnich za rok 1898.**—Poznań 1899.

Obejmuje bardzo szczegółowy i gruntownie opracowany obraz działalności tych spółek za okres sprawozdawczy. Program i protokół zjazdu polskiego 27 września ubiegłego roku, sprawozdanie z czynności i pieniężnych obrotów kasy związku, wykaz spółek z podziałem ich geograficznym i chronologicznym, sprawozdanie Banku Związkowego, krótkie wzmianki o każdej ze 114 istniejących i należących do związku spółek; w końcu zestawienie najważniejszych cyfr ich bilansów i sprawozdań na czterech tablicach — oto treść wzorowo ułożonej broszury. Nie możemy tu nie zaznaczyć, że spółki te miały w d. 31 grudnia 1890 r. 41,950 członków, z których 22,429 rolników (682 właścicieli ziemskich, 21,162 włościan, 585 dzierżawców), czystego zysku osiągnęły 477,492 marki, przy kapitale własnym zakładowym 5,781,453 marki i rezerwowym 2,263,451 m., miały w swych kasach 26,749,760 marek kapitałów obcych. Portfel wekslowy wynosił 30,866,931 marki. *St. P.*

= **Upadłość i bankructwo dla handlujących i ich wierzycieli** napisał *Fr. Podlewski*, adw. przys. Warszawa 1899 str. 144. — Podręczniki prawa dla użytku nieprawników należą u nas do rzadkości; a jednak dobra książka w przedmiocie prawa obowiązującego ma nieraz doniosłe znaczenie: zapobiega pieniactwu, tłómacząc interesowanym, do czego mają i do czego nie mają prawa. Praca niniejsza zawiera treściwy, jasny i bardzo przystępny wykład części kodeksu handlowego, traktującej o upadłościach i bankructwach. Obrobieniem całej sfery prawa cywilnego w niewielkich a przystępnych książeczkach byłoby prawdziwą zasługą. Może przykład p. Podlewskiego stanie się dla jego kolegów pobudką do pracy w tym kierunku. *St. P.*

= *John Ruskin.* **Wybór Pism.** I. Malarstwo i Poezya. Przełożył z angielskiego A. Lange. Warszawa 1900. Wydawnictwo Władysława Okręta.

Wątpić należy, aby książka, w tytule wymieniona, mogła osiągnąć cel, przez nakładcę zamierzony. Ruskin, jako pisarz na wskroś oryginalny i wysoce indywidualny, dał nam szereg nowych pojęć o sztuce, ekonomii politycznej i sprawach społecznych, pojęć, łączących się z sobą bardzo ściśle i wypływających jedno z drugiego, a więc stanowiących jednolitą budowę, o której wyobrażenia dać nie mogą nawet troskliwie dobrane wyjątki, jak nie dałyby wyobrażenia o jakimkolwiek ogromnym budynku postawione obok siebie okna, drzwi, wieże i kolumny. Podobny wybór pism mógłby spełnić ewentualnie tylko jedną rolę, a mianowicie rolę zachęty do odczytania i przestudyowania całości dzieł Ruskina, a to w naszych warunkach jest niemożliwe, gdyż, na ogół biorąc, znajomość języka angielskiego jest w naszem społeczeństwie mała, a na przekład wszystkich ważniejszych bodaj prac Ruskina wcale się nie zanosi. Wobec tego ważniejszym, według nas, byłby przekład jakiejkolwiek z prac Ruskina w całości, gdyż to dałoby możność zupełnego zapoznania się bodaj z jedną częścią jego obszernej nauki. Ponadto, powiedzmy otwarcie, że przekład nie jest tak dobrym, jakby się tego od znanego w naszej literaturze tłómacza, jako poety, spodziewać należało. Zbyt niewolnicze trzymanie się składni i stylu oryginału sprawia, że przekład jest ciężki i grzeszy prawie ustawicznie przeciwko składni języka polskiego, okoliczność ta może w znacznym stopniu utrudnić rozejście się książki w szerszych kołach naszej inteligencyi. Ufajmy, że język następnych tomików będzie lepszy, że przekład stanie się dla polskich czytelników ponętniejszy i że całość przyczyni się do spopularyzowania idei angielskiego myśliciela, chociaż podanych w formie bardzo ułamkowej i bardzo niewystarczającej. *W. Sz.*

— Dnia 23 listopada r. 1899 odbyło się posiedzenie Komisyi historyi sztuki pod przewodnictwem prof. d-ra Maryana Sokołowskiego.

Przewodniczący przedłożył najprzód świeżo z druku wyszły zeszyt 4 tomu VI Sprawozdań z posiedzeń Komisyi.

Następnie prof. Władysław Łuszczkiewicz odczytał pracę swą o „Romańskim kościele św. Andrzeja w Krakowie“ na podstawie własnych zdjęć architektonicznych.

Prof. dr. Maryan Sokołowski przedstawił z kolei szereg interesujących komunikatów wraz z planami i rysunkami, nadesłanych przez p. Grzegorza Worobjewa z Łomży, oraz kilka fotografii, otrzymanych za pośrednictwem p. Woj-

ciecha Gersona z Warszawy, które uzupełniają powyższe komunikaty, wszystko zaś dotyczy kościołów gotyckich Mazowsza, t, zw. budowli krzyżackich. Sam dodał objaśnienia, odnoszące się do stosunków ekonomicznych i kulturalnych zakonu z Mazowszem w w. XIV i XV, oparte na niedawno wydanych rachunkach Krzyżaków.

Komunikat p. Mathiasa Bersohna z Warszawy podaje znów przyczynek do historyi starych polskich kafli, pochodzących z Gąbina. P. A. Janowski z Warszawy nadesłał nowe fotografie pomników z Bodzentyna i z Łowicza, jako to chrzcielnicy z r. 1480, nagrobka podkanclerzego i biskupa krakowskiego Franciszka Krasińskiego, pięknego obrazu flandryjskiego na drzewie z końca wieku XVI i t. d. W końcu p. major A. Heidecki ze Lwowa przedstawił fotografię zajmującego polskiego obrazu z połowy w. XVII, przedstawiającego scenę, dotyczącą stosunków krzyżackich, a jak się zdaje, o prawdziwej wartości artystycznej. Z kolei dr. Stanisław Tomkowicz w uzupełnieniu dawniejszego referatu o dzwonie kościoła parafialnego w Otpinach w Jasielskiem, ozdobnym odlewie krakowskiego gisera Oswalda Baldtnera z r. 1569, przedstawił odcisk gipsowy plakiety z płaskorzeźbionym „Sądem Parysa", która niewątpliwie służyła za model płaskorzeźbionego medalionu na rzeczonym dzwonie.

W końcu p. Karol Potkański udzielił fotografii z kamiennego, cudownego dziś posągu Najśw. Panny z Dzieciątkiem z kościoła farnego w Wiślicy, co do którego Długosz podaje piękną legendę o rozmowie figury tej z Władysławem Łokietkiem, co w każdym razie kazałoby jej powstanie odnieść do drugiej połowy XIII wieku.





KRONIKA MIESIĘCZNA.



TREŚĆ: Wspomnienia. — Adolf Pawiński, Piotr Chmielowski, Stosław Łaguna.— Ludzie o trzeźwych głowach i gorących sercach. — Rozum i serce. — Nasza nierówność. — Upływający wiek XIX. — „Głos“. — Ludzie połowiczni. — „Strumień“, „Oświata“ i „Oświata“.

Redakcya „Ateneum" zwróciła się do mnie z propozycyą pisywania „Kronik miesięcznych", które pisywałem tu już dawniej od maja 1891 r. do kwietnia 1895 r. z pewnemi przerwami. To przywodzi pewne wspomnienia. Z dawnego kolegium redakcyjnego, które składali: Adolf Pawiński, Piotr Chmielowski i Stosław Łaguna, ostatni tylko, o ile mu zdrowie pozwala, bierze na siebie część zmudnej pracy redakcyjnej, — Pawiński umarł, Chmielowski przeniósł się do Zakopanego.

Była to trójca pracowników o niepospolitym poziomie umysłowym, oraz tak czystym i krzepkim duchu obywatelskim, że trudno się oprzeć dobremu wspomnieniu. Mieli oni z pewnością zdolność do kierowania nie tylko pismem naukowo-literackiem, lecz instytucyą o rozległych atrybucyach. Służyli za wzór rozumnej solidarności i mogliby byli zostać szkołą, jak wspólnie działać należy.

Jest to niewątpliwie jedną z najtrudniejszych szkół dla naszych usposobień. Pawiński, Chmielowski i Łaguna posiadali i posiadają zbyt wybitne indywidualności, rozmaitemi, nie różami wysłanemi,

drogami zdobywali swoje przekonania społeczne i polityczne, ażeby z łatwością mogli się ściągać do wspólnego mianownika i w sprawach zasadniczych, i we wrażeniach dnia bieżącego. Różnili się, mimo to wszakże potrafili działać wspólnie w danym zakresie

I to właśnie nazywam wzorem rozumnej solidarności. To znaczy, że częstokroć ludzie odmiennych przekonań i poglądów, jeśli ich zagrzewa wspólna idea dobra publicznego, potrafią pracować razem na jednem polu, w jednej sprawie. Powodzenie sprawy publicznej nie polega też bynajmniej na bezwarunkowej jednomyślności, nie polega na tem, aby wszyscy pracownicy jednakowo czuli i mówili; ono zależy od ożywiającego ich ducha obywatelskiego, od znajomości warunków i potrzeb rozwoju społecznego. Różnorodność opinii i wielostronność kryteryów jest zarówno pożyteczną, jak nieuniknioną, w każdej sprawie złożonej.

O dawnem gronie redakcyjnem „Ateneum" wspominam bynajmniej nie w chęci schlebiania. Nie wiem, czy na stronicach tego miesięcznika zostały wyrażone teorye lub poglądy błędne, lecz wiem, że nie zostały one splamione nigdy ani panegiryzmem, ani pochlebstwem. Literaci i dziennikarze nie zawsze dobre zachowują wspomnienia po stosunkach redakcyjnych i wydawniczych. Najczęściej dzieje się przeciwnie. W danym zaś wypadku, myślę, że każdy lub prawie każdy, kto pisywał w „Ateneum", pamięta rozumnego i łagodnego Adolfa Pawińskiego, w którym mozolne i wytrwałe studya naukowe nad przeszłością, nie osłabiły woli działacza społecznego, umiejącego się przenosić z niesłychaną łatwością z katedry i archiwów historycznych na posiedzenie instytucyi filantropijnych i społecznych, gdzie celował zdaniem dojrzałem i kompetentnem i niepospolitym zmysłem praktycznym. Szczęśliwa organizacya, w której uczony i człowiek czynu zamiast przeszkadzania pomagali sobie wzajemnie!

Każdy pamięta Piotra Chmielowskiego, z jego zawsze czujnym krytycyzmem i ścisłością naukowego sądu, który jednakże nie wyziębił w nim ciepłego, kochającego ludzi i społeczeństwo serca. Chmielowski bez zaprzeczenia góruje po dziś dzień nad większością krytyków literackich w Warszawie tem, że wykształcenie i studya literackie umiał połączyć z wykształceniem i zmysłem społecznym i politycznym. To zaś stanowi niezbędny warunek prawdziwego i głębszego krytyka. Krytyk, nie znający i nie rozumiejący historyi politycznej, nie interesujący się rozwojem społecznym, może zostać tylko krytykiem od siedmiu boleści. Wśród młodszej generacyi naszych estetyków posiadamy kilku, przynajmniej, niepospolicie uta

lentowanych, niektórym z nich wszakże zbywa właśnie na zmyśle politycznym, ponieważ studyów nad literaturą piękną nie uzupełniają równoległemi studyami z dziedziny historyi i polityki.

Chmielowski przez swoją metodę naukową i wspomnienia młodości należy do szkoły pozytywnej. Lecz człowiek żywotny i dobry, poruszany uczuciami i przekonaniami, nigdy nie stanie się doktrynerem i bałwochwalcą tej lub innej szkoły filozoficznej lub przyrodniczej. Po nad szkołami i metodami bowiem panuje w nim pragnienie rozwoju tego społeczeństwa, za którego syna się uważa. Reformatorowie i bohaterowie, ci wszyscy, którzy rozsiewają dobro i ciepło, nie byli i nie są doktrynerami. W galeryi umysłów polskich—mówię o tych, którzy pracą, talentem i nadewszystko wzniosłością ducha wznieśli się ponad efemeryczne wytwory chwili — nie wielu też posiadamy doktrynerów. Chmielowski zajmuje miejsce w tej galeryi, jako niezmordowany pracownik, jako umysł rozległy i prawdziwie naukowy, który potrafi rozróżniać, klasyfikować i w umiejętny układać porządek chaotyczną rozmaitość zjawisk literackich, jako indywiduum nareszcie, w którem człowiek czynny, dobry i czujący rozwijał się równolegle z erudytą i niejednokrotnie nad nim panował. W epoce blagi dziennikarskiej, dyletantyzmu artystycznego i flirtu salonowego szarlatanizm przebierał się nieraz w szatę naukową. Otóż wówczas tacy Chmielowscy, wytrwali-sumienni i niezmordowani w usiłowaniach, są przedstawicielami ciągłości naukowej i historycznej, podają oni z rąk jednego do rąk drugiego pokolenia myśl żywotną i czujność społeczną. Książki i monografie Chmielowskiego pozostaną na bardzo długo wskaźnikami, pozostaną dla naszej literatury tymi słupami przy traktach, według których podróżny dowiaduje się o przebytych odległościach i o kierunku drogi.

Nareszcie każdy, jak myślę, ze współpracowników „Ateneum", pamięta profesora Stosława Łagunę, który jest jednym z głębszych umysłów politycznych i naukowych. Ten, kto z nim obcował, kto słuchał jego uwag i wywodów świetnych i gruntownych, żywi uczucie ciepłego uznania dla tego człowieka, tak niepospolitego przez swoją prawość, rozwagę, wiedzę, doświadczenie i inteligencyę. Profesor Łaguna podpisuje „Ateneum", jako jeden z wydawców — nie mogę więc o nim więcej tutaj pisać. Jednocześnie wszakże nie mogłem i zamilczeć o nim, jako o członku dawniejszego grona redakcyjnego, złożonego z trzech uczonych—obywateli. Panowała w tej redakcyi atmosfera szlachetna, czysta i prawa, pojmowanie intere-

sów i dążeń społecznych wynikało z doświadczenia i przewidywania, opartego na prawdziwym krytycyzmie i humanizmie. Ci redaktorowie „Ateneum" z przed lat kilku rozproszyli się lub zniknęli z widowni. Czas mija niesłychanie szybko! i obecnie oto mowa o nich, jako o fakcie historycznym, o tem, co się już stało i minęło.

W cichych i skromnych warunkach naszego życia publicznego byli oni istotnie szkołą nie tylko naukową i literacką, lecz i obywatelską. Byli erudytami bez pedantyzmu, publicystami o szczerych przekonaniach, gdzie wszakże rozwaga górowała nad namiętnością, uczonymi, w których mozolne studya nad przeszłością nie wyziębiły żywego odczuwania prądów dnia bieżącego, ludźmi o trzeźwych głowach i gorąco jednocześnie bijących sercach.

Tacy są najpotrzebniejsi każdemu społeczeństwu, żadne zaś nie posiada ich mniej od naszego. Wszelkie programy, reformy i dążenia, których bieg życia wymaga, najlepsze uczucia i najszlachetniejsze poczucia powinien regulować rozum dojrzały, wyćwiczony w sądach, i doświadczony w kryteryach; przenikać zaś je powinno serce, czujące i współczujące. Oba dopiero te czynniki w harmonijnem połączeniu tworzą ludzi w rozległem znaczeniu wyrazu i wydają owoce godne tych ludzi. Według Krasińskiego, prawdziwa godność człowieka składa się z dwu na pozór sprzeczności, połączonych razem i zlanych z sobą: z dumy i z pokory, bo kto tylko dumnym bez pokory, ten próżnym jest, kto zaś pokornym bez dumy, ten podłym jest. Trzeba mieć dumę w ducha całości, a pokorę w każdej chwili życia."

Dobrym i pożytecznym swego kraju obywatelem zostaje również ten tylko, w kim dar rozwagi przenikliwej i chłodnej łączy się z sercem, które umie łzy wylewać, kochać i poświęcać się. Na progu dwudziestego stulecia, które przekraczamy, najgoręcej życzyłbym też społeczeństwu polskiemu ludzi o trzeźwych i silnych głowach i gorąco jednocześnie bijących sercach. Serce bez asystencyi rozumu popełnia wielokrotnie ciężkie błędy; on musi być pocieszycielem zasmuconego i zapłakanego serca. Rozum znów, nie zasilany krwią serdeczną, nie przenikany ciepłem serca, nie żywiący się jego szlachetnemi uczuciami, dochodzi albo do twardego egoizmu, albo do przewrotnej obłudy. Natchnienia serca, wzloty wyobraźni i wzruszenia duszy, jakkolwiek wzniosłe i zdobiące szarą prozę życia złocistymi symbolami, nie wydadzą owoców trwałych, jeśli im równolegle nie towarzyszy akcya systematycznego i przewidującego rozumu; obliczenia rozumu nie wznoszą się nad poziom samolubstwa, nie obejmują kręgów dalszych,

nie zdobędą powszechności, jeśli im nie towarzyszy odwaga serca i przekonanie sumienia. Natchnienia serca bez podpory rozumu zajaśnieją wspaniałem światłem, ogrzeją na czas pewien dobroczynnem ciepłem, ażeby zgasnąć i pozostawić po sobie żal i tęsknotę; obliczenia rozumu bez współudziału serca nie zdolne są do przelewania życia, do zapłodnienia innych.

Rozum jest najlepszym zapewne przewodnikiem; on koi bolejące uczucie, potrafi być współpracownikiem sumienia i mądrym regulatorem stosunków; serce jest rozsadnikiem ciepła, niezbędnego dla utrzymania wyższej temperatury, bez którego rozwijaćby się nie mogły idee i czyny, ludzie i obywatele.

W dziejach naszych, w naszej psychologii narodowej, w naszych temperamentach rzadko te dwa czynniki występowały zgodnie. Jesteśmy też zapewne najnierówniejszem społeczeństwem w Europie, nerwowem i przecywilizowanem w pewnych sferach, cofniętem i nieokrzesanem w masach. Niema drugiego ogółu z takiemi sprzecznościami, z tak małem poczuciem karności, z taką ilością luzem krążących, nie związanych żadną nicią egoizmów. Nieład myśli, chaos wrażeń, upajanie się słowami i hasłami, których znaczenia często nie rozumiemy i których istoty nie sprawdzamy, to przyrodzone prawie cechy naszej organizacyi. Umysł polski, łatwy i zapalny, wrażliwy i kosmopolityczny, nie posiada tej dyscypliny wewnętrznej, tego daru dokładnych definicyi, tego porządku w postrzeganiu i rozumowaniu, które są niezbędne do wykształcenia rozumów i charakterów, do działania, sądzenia i wnioskowania. Nasz temperament wydaje poetów, powieściopisarzów i artystów; brakuje nam myślicieli, analityków i uczonych. Entuzyazmowi naszej duszy towarzyszy lenistwo naszego umysłu. Jesteśmy najwrażliwszą i najpowierzchowniejszą rasą w Europie.

Narody zaś zarówno, jak i jednostki, przedstawiają całość wykończoną, będącą wytworem długich wieków, o ustalonych cechach gatunkowych, i zmiana rysów głównych dokonywa się dopiero przez usiłowania pokoleń. Życie nasze jest bowiem dalszym ciągiem poprzedniego, wyobrażenia tradycyi przenikają nasze własne pojęcia, walczymy z osiadłym u nas duchem ojców lub mu ulegamy, posiadamy nowoczesne pojęcia, lecz stare zwyczaje i potrzeby. To nieskończona wojna pokoleń: ci, których popioły spoczywają dawno w grobach, żyją i działają w nas i przez nas. Żywi grają bezustannie benefis na rzecz umarłych.

Jedno z pism poznańskich („Orędownik“), czyniąc polityczny i społeczny rachunek z XIX stulecia, dochodzi do wniosku, że pomimo wszystkich nauk, otrzymanych od historyi, nie potrafiliśmy wszakże wykształcić zmysłu polityczno-praktycznego. Zarzut ten był tak często, raz słusznie, drugi raz niesłusznie powtarzany, że stał się już niemal komunałem, choć ze swojej prawdziwości nie wiele stracił.

Wstępując w nowe stulecie, pracujmy też gorliwie nad wytworzeniem i rozwinięciem tych wszystkich cnót społecznych, których nie zdążyliśmy nabyć dotąd, zaczynajmy nowe stulecie z hasłem pracy i solidarności, czujności i nieustannego rozwoju.

* *

Czy rok obecny należy jeszcze do wieku XIX-go, czy już zaczyna XX-sty, w każdym razie zamyka się nazywane „wielkiem" stulecie. Historya i polityka, sztuka i filozofia odbywają już swoje z niem rachunki. W dziejach ludzkości zapisało się ono dwoma, nadewszystko, wielkiemi faktami: ujarzmieniem sił przyrody dzięki nadzwyczajnym odkryciom i wynalazkom, jak para i elektryczność, oraz wielkim ruchem społecznym, który powołał do życia obywatelskiego masy ludności miejskiej i wiejskiej, pogrążone przy dawnej organizacyi stanowej w nieświadomości swoich praw i obowiązków, w towarzyszącej im zwykle ciemnocie i nędzy. Wielkie odkrycia i wynalazki techniki pozwoliły wyrość i rozwinąć się do olbrzymich rozmiarów przemysłowi, który znów na całem życiu społecznem wycisnął swoje znamię, i epoka historyczna, którą przeżywamy, jest epoką przemysłową. Wytworzyła ona ogromne miasta i ogromne środowiska z ich ruchem fabrycznym i handlowym, z masami robotników i proletaryuszów. Na tle tej epoki przemysłowej, na tle antagonizmu między kapitałem a pracą wyrosła też złożona kwestya społeczna, górująca nad zagadnieniami czasu, poruszająca wszystkie umysły żywotne i wszystkie sumienia czułe, pochłaniająca uwagę ministrów, polityków i myślicieli.

Rzućmy okiem na zachód stulecia. Wiek XIX robi swój bilans filozoficzny i społeczny, dopisuje z pośpiechem ostatniej karty swoich dziejów, odchodzi, jak pielgrzym, posępny i zrezygnowany w tę wieczność, która chłonie światy i cywilizacye, idee i narody. Niewiele ziściło się z marzeń, któremi karmił ludzkość w swoich początkach.

W ostatnich latach wieku XVIII szalał orkan rewolucyi francuskiej; i dziś widzimy obozy zapaśników. Nowe siły społeczne w postaci tłumów pchają się coraz liczniej na widownię świata zachodnio-europejskiego, zorganizowane i wyćwiczone. Z jednej strony korporacye, syndykaty i związki kapitalistów, z drugiej stowarzyszenia i związki robotników. Praca demokracyi nowoczesnej regularnej, jak morze, i strasznej, jak morze, przeistoczyła w ciągu naszego stulecia sposób życia i pojmowanie życia wszystkich społeczeństw ucywilizowanych. Kultura techniczna dokonała cudów, rozwój materyalny, przemysłowy i finansowy całą siłą pary pędzi naprzód.

Pomimo to tylko arogancya materyalistów upaja się bez wątpień i zastrzeżeń postępem i zdobyczami naszej epoki. W łonie owej demokracyi nowoczesnej, tak dumnej ze swojej energii i zwycięstw nad starym światem, powstały dwa obozy: kapitalistyczne mieszczaństwo, posługujące się tą siłą bezwzględną, którą nazywamy pieniądzem, i proletaryat pracowniczy, dobijający się o coraz lepsze prawa, o przekształcenie stosunków. Od chwili tej przemiany niema już demokracyi w dawnem znaczeniu wyrazu.

* * *

W okresie noworocznym zaszły pewne zmiany w wydawnictwach peryodycznych, i niektóre pisma zmieniły swoich kierowników, przybyło także kilka nowych.

Kierownikiem literackim „Głosu", którym w ostatnich kilku latach był p. Zygmunt Wasilewski, został obecnie p. J. Władysław Dawid, niegdyś redaktor „Przeglądu Pedagogicznego" i pisarz naukowy. Nowa redakcya zapowiedziała, że utrzymuje dawny kierunek pisma.

„Głos" w kilku fazach swego dotychczasowego istnienia był wiernym swemu pierwotnemu programowi demokratycznemu. Jak wiadomo, program ten w chwili swego narodzenia się polegał na „podporządkowaniu interesów innych warstw społecznych warstwie ludowej". „Głos" — trzeba mu to przyznać — wyrażał ten program konsekwentnie, w ekonomiczno-społecznym i w politycznym kierunku. Zalecał systematyczną parcelacyę większej własności ziemskiej, dowodził, nauczał i przekonywał, jak korzystać należy z samorządu gminnego; usiłował być kierownikiem włościaństwa na polu ekonomicznego i obywatelskiego rozwoju. Bądź co

bądź, w długim procesie naszych przeobrażeń zbiorowych „Głos” odegrał pewną rolę, i, jakkolwiek zasady i barwa tego tygodnika podlegaćby mogły sporom, nie można im odmówić żywotności, nie można wątpić, że ten program wynikał z szczerych przekonań ludzi, pragnących przyspiészyć przemianę społeczną w duchu demokratycznym. Nie będę się wdawał w rozbiór powstającégo pytania, czego „Głos” na tem polu dokonał i jak się zasłużył swemu ogółowi? Dla odpowiédzi koniéczną byłaby pewna odległość, konieczną — perspéktywa czasu, ponieważ wtédy dopiero układają się rzeczy w stosunku proporcyonalnym, wtedy dopiero zbieramy z posiewu dobre lub złe plony.

Prasa — jak tego oczywiście dowodzić nie potrzeba — jest jednym z głównych przewodników prądów społécznych i umysłowych tej epoki. Dziéjé ruchu społecznego w XVIII i XIX stuleciu, zwłaszcza w ostatniem, wskazują na każdym kroku ogromne znaczenie prasy w sprawie rozpowszechniania się i szczépienia nowych idei, systemów i reform. Naturalnie, że i prasa przeciwnych kierunków, prasa reakcyjna, której zadaniem jest tamowanie rozwoju, również swoje zadanie pełni, że jest jeszczé trzeci gatunek, najwięcej rozpowszéchniony i częstokroć najpopularniejszy, mianowicie prasa oportunistyczna, miłująca nadewszystko własne swoje widoki i unikająca wszystkiego, co nazywa skrajnością.

Lecz wśród tych krzyżujących się nieprzyjaznych czynników ludzie dobrych przekonań, godni w istocie nazwy przyjaciół ludzkości, dokonają zawsze, w mniejszej lub większej mierze, swego przeznaczenia.

Dlatego pismo, które na prawdę zasługuje na nazwę niezależnego organu opinii, jest niepospolitym czynnikiem w społeczeństwie. Cóż to wszakże znaczy być niezależnym? Zdaje mi się, że niezależnym jest nie tylko ten, kto nie zostaje na żołdzie danej koteryi lub kliki. To jeszcze nie wystarcza do zupełnej niezależności to dopiero jeden z jej materyalnych warunków. Niezależnym jest taki organ i taki publicysta, który posiada tyle odwagi cywilnej, że nie waha się w chwili bardziej stanowczej rzucić na szalę uczucia swego, serca i przekonania swego umysłu.

Klęską społeczeństw są ludzi połowiczni. Nie są oni ani źli, ani dobrzy, i największą wadą, a najgroźniejszem dla współobywateli nieszczęściem jest w nich brak wyrobionych przekonań, a przynajmniej jasnych poglądów na górujące sprawy życia i otaczającej rzeczywistości. Otóż ten gatunek nie wydaje z siebie nigdy niezależnych działaczów społecznych, niezależnych publicystów, nieza-

leżnych przedstawicieli opinii. Błąkają się oni w lesie półśrodków i półsłówek, i nie dojrzewa w nich kategoryczna świadomość słów, czynów i poglądów. Samolubstwo, ciasnota myśli, nicość uczuć skazują ich na zawieranie wiekuistych, a jałowych kompromisów z rzeczywistością. Pojmując więc znaczenie prasy, publicystyki i dziennikarstwa, dążmy do tego, ażeby one się stały w nowem stuleciu istotnemi przedstawicielkami wyższych popędów i interesów społecznych!

Powstał nowy tygodnik „Strumień”, „poświęcony literaturze, sztuce i sprawom życiowym”. Redakcya ogłosiła śmiały i radykalny program estetyczny, rzuciła rękawicę panującym hasłom i metodom artystycznym. W następnym zeszycie, kiedy już będzie większy materyał do czynienia spostrzeżeń, zatrzymamy się przy „Strumieniu” i jego dążnościach i pragnieniach.

Pod kierunkiem literackim p. W. M. Kozłowskiego wychodzi w Krakowie od października miesięcznik „Oświata”, „poświęcony zagadnieniom wykształcenia, czytelnictwa i samouctwa”. „Oświata” ma debit u nas. Kozłowski jest głębokim i rozważnym, niezwykle utalentowanym publicystą zarówno, jak samoistnym, przenikniętym ideą reformy myślicielem. Pragnąłbym również o zadaniach i programie jego pisma w następnym zeszycie kilka wierszy napisać.

Od Nowego roku wychodzi w Warszawie tygodnik „Oświata”, przeznaczony dla ludu polskiego i wydawany przy kancelaryi jenerał-gubernatora.

Bolesław Lutomski.



Bibliografia.

1. A. Czasopisma. **Biblioteka Warszawska** (zeszyt grudniowy) „Ojciec Remigi", nowela przez M. Radziwiłła, „Przyczyny wielkiej wojny 1812 r." przez Sz. Askenazego, „Kronika Paryska" przez Sewerynę Duchińską", „Steinkeller" przez H. Radziszewskiego, „Kartki prowansalskie. I. Most św. Benezeta. II. W ulicy.(poezye) przez M. Konopnicką, „Franciszek Smolka" przez Józefa Keniga, „Uwięzienie Kołłątaja" przez Wł. Smoleńskiego, „Nieznany wiersz Edmunda Chojeckiego: Pokuta Szafrańca (legenda)", „Do Warny i w Warnie, notatki z dziennika podróży" przez M. Wawrzenieckiego.

= **Przewodnik Naukowy i Literacki** (zeszyt grudniowy): D. Zaleskiego „Korespondencya J. B. Zaleskiego", ks. J. Sygańskiego, „Nowy Sącz w epoce Wazów", J. Snitki „Zarys pojęć o narodzie".

= **Kwartalnik historyczny** w zeszycie IV roku 1899 drukuje: K. Krotoskiego: „Gall, scholastyk poznański", Adama Szelągowskiego: „Układy królewicza Władysława i dysydentów z Gustawem Adolfem w r. 1632", M. Schorra: „Organizacya Żydów w Polsce od najdawniejszych czasów aż po r. 1772" i in.

= **Rocznik Akademii Umiejętności** w Krakowie, rok 1888- 99, Kraków 1899.

= **Wiadomości Statystyczne** o stosunkach krajowych, wydane przez krajowe biuro statystyczne pod redakcyą prof. dr. T. Pilata, t. XVII, zeszyt II, Lwów, 1899.

= **Wisły** tom XIII, zeszyt IX—X (wrzesień—październik) zawiera: Jana Witorta „Ślady ustroju matryarchalnego na Litwie (Nadomnictwo)", M. Wawrzenieckiego „Proces o czary r. 1721, II", R. Zawilińskiego „Drobiazgi ludoznawcze z powiatu Wielickiego", Wł. Brzezińskiego „Wesele u ludu wiejskiego około Sieradza", Z. Bitnera „Baśni z nad Srzeniawy", St. Zdziarskiego „Cztery odmianki Lenory", Szcz. Jakubowskiego „Do Króla Leara".

= W Nr. 1 **Życia** czytamy: St. Przybyszewskiego „Apostrofę do Króla-Ducha u progu nowego stulecia". St. Witkiewicza „Sztuka i życie", Wł. Orkana „Noc w jednym akcie", oraz poezye: Włodz. Perzyńskiego, Miriama, W., St. i K. Brzozowskich, J. Żuławskiego.

= **Archiv für slavische Philologie**, Bd. XXI, Heft 1—2: „Beiträge zur ältesten Geschichte der Slaven und Litauer" von A. Brückner, „Randglossen zur Kaszubiszen Frage" von A. Brückner, „Wer war Pseudodemetrius I" von E. Ščepkin (c. d.), „Jan Kochanowski przez R. Plenkiewicza", angez. von A. Brückner, „Ad. Mickiewicz przez J. Kallenbacha" angez. von A. Jensen.

2. B. Filozofia. **Heinrich W.** O stosunku pojęć i zasad fizycznych do filozofii, Warszawa, 1899.

= **Kant Immanuel.** Marzenia jasnowidzącego, objaśnione przez marzenia metafizyki, Warszawa, 1899.

= **Kozłowski Wł. M.** Co i jak czytać? wykształcenie samego siebie i czytelnictwo metodyczne, Warszawa. 1900.

= **Kozłowski Wł. M.** Psychologiczne źródła niektórych praw przyrody: Wstęp.—Prawa przyrody.—Pełnia i próżnia.—Trojaki charakter rozciągłości. (Odbitka z „Przeglądu Filozoficznego"), Warszawa, 1899.

= **Oppenheim L. dr.** Sumienie. Przekład z niemieckiego. Warszawa, 1900

C. Socyologia. **Daszyńska Zofia Golińska dr.** Własność rolna w Galicyi, studyum statystyczno-społeczne, Warszawa, 1900.

= **Dwudzieste siódme sprawozdanie** związku polskich spółek zarobkowych, i gospodarczych w W. Ks. Poznańskiem i w Prusach Zachodnich za rok 1898, Poznań, 1899.

= **Gumplowicz Ludwik.** Socyologiczne pojmowanie historyi, Warszawa, 1999.

= **Podlewski Franciszek.** Upadłość i bankructwo, Warszawa, 1899.

= **Starowiejski Franciszek ks.** Wieczory nad Adryatykiem, pogadanka o sprawach kościelno-politycznych, Lwów, 1899.

D. Historya. **Gumplowicz Ludwik.** Ibn-Haldun, socyolog arabski XIV wieku, Warszawa, 1897.

= **Höffding Horald.** Jan Jakób Rousseau, życie i dzieła z oryginalnego wydania niemieckiego przełożył Zygmunt Heryng, Warszawa, 1900.

= **Kochanowski J. K.** Kazimierz Wielki, zarys żywota i panowania. (Życiorysy znakomitych ludzi), Warszawa, 1900.

= **Klaczko Julian.** Rzym i Odrodzenie, szkice, Juliusz II, z 12 ilustracyami, przekład z upoważnienia autora, zeszyt I—II, Warszawa 1900.

= **Majewski Erazm.** Starożytni Słowianie na ziemiach dzisiejszej Germanii, Warszawa, 1899.

= **Niemojewski Stanisław.** Pamiętnik, 1606—1608, wydał Aleks. Hirschberg, Lwów, 1799.

= **Porębowicz Edward.** Św. Franciszek z Asyżu (Życiorysy znakomitych ludzi), Warszawa, 1900.

= **Radziwiłł Jerzy ks. kardynał.** Pamiętnik z lat 1556—1575, wydał Teodor Wierzbowski (Biblioteka zapomnianych poetów i prozaików polskich. zeszyt XIII), Warszawa, 1899

= **Szuman Henryk.** Wspomnienia Berlińskie i Poznańskie z r. 1848 z przedmową Al. Kraushara (Biblioteka dzieł wyborowych № 116), Warszawa, 1900.

= **Wielewicki Jan ks. T. J.** Dziennik spraw domu zakonnego oo. Jezuitów u św. Barbary w Krakowie, tom IV, od r. 1620 do r. 1629 włącznie, wydanie Akad. Umiej. z rękopisu ś. p. Stefana Muczkowskiego (wydał ks. dr. Wład. Chotkowski —Scriptores rerum polonicarum, XVII), Kraków, 1899.

= **Żmigrodzki Michał.** Krótki zarys historyi sztuki, Kraków, 1900.

E. Literatura. **Aktów** kilka i dokumentów, odnoszących się do działalności Andrzeja Towiańskiego, część II, Rzym—Kraków, 1899.

= **Chmielowski Piotr.** Historya literatury polskiej, tom III (dla prenumeratorów Biblioteki dzieł wyborowych), Warszawa, 1899.

= **Krček Franciszek dr.** Jasełka krośnienskie z roku 1661 (odbitka z Przeglądu Powszechnego), Kraków, 1900.

= **Kucharzewski Feliks.** Początek piśmieunietwa technicznego w Polsce, Warszawa, 1900.

= **Matuszewski Ignacy.** Dyabeł w poezyi, historya i psychologia postaci, uosabiających zło w literaturze pięknej wszystkich narodów i wieków, studyum literacko-porównawcze, wydanie II, znacznie powiększone i przerobione, Warszawa, 1900.

F. Sztuki piękne. **Domaniecki Czesław** i **Wawrzeniecki Maryan.** Rozróżnianie stylów w architekturze, dla poświęcających się sztuce stosowanej oraz do użytku ogółu, Warszawa, 1900.

= **Pilo Mario.** Psychologia piękna i sztuki, przekład Antoniny Morzkowskiej, Warszawa, 1900 (wydawnictwo „Głosu").

G. Matematyka i przyrodoznawstwo. **Ernst Marcin dr.** O przydzie planet („Wiedza i życie", rok I, tom 9), Lwów—Warszawa, 1899.

= **Höffding Harald.** Karol Darwin, przełożył dr. M. F., Warszawa 1900.

H. Beletrystyka. **Belza Stanisław.** Listy z Sycylii, Warszawa, 1900.

= **Dąbrowski Ignacy.** Pisma, III, Nowele, Warszawa, 1900.

= **Gawalewicz Maryan.** Znak zapytania, kartka z dziejów młodego serca, Warszawa, 1900.

= **Gliński Kazimierz.** Krzywda, powieść, Warszawa—Kraków, 1900.

= **Godlewska Ludwika (Exterus).** Dobrane pary, powieść współczesna, Lwów, 1900.

= **Godlewzka Ludwika (Exterus).** Kwiat Aleosu (dodatek do „Gazety Polskiej), Warszawa, 1900.

= **Gruszecki Artur.** Dla miliona, powieść, Warszawa—Kraków, 1899.

= **Hugo Wiktor.** Rzeczy widziane, 1848—1849, z niewydanych rękopisów, w przekładzie i z przedmową J. Ochorowicza (Biblioteka dzieł wyborowych № 115), Warszawa, 1900.

= **Kochanowski Jan.** Wybór pism, z portretem poety, Warszawa — Kraków, 1900.

= **Kuczalska Helena.** Pół tuzina komedyjek, upominek świąteczny i wakacyjny dla moich przyjaciół z Rabki, Warszawa, 1900.

= **Lange Antoni.** Przekłady z poetów obcych, część II (Dodatek do Gazety Polskiej), Warszawa 1899.

= **Laskowski Kazimierz.** Licytanci, szkice z życia, Warszawa, 1900.

= **Niemojewski Andrzej.** Prometeusz.—Szalony bieg.—Ludzie z zawiązanemi oczyma.—Matka i dziecko, Warszawa, 1900.

= **Orsyd.** Za późno.—Idylla.—Wyzwolona.—Wikta.—Izmael.—Dwa listy, Warszawa—Kraków, 1900.

= **Orzeszkowa Eliza.** Argonauci, powieść, tom I i II, Warszawa — Kraków, 1900.

= **Rydel Lucyan.** Zaczarowane koło, baśń dramatyczna w pięciu aktach, uwieńczona pierwszą nagrodą na konkursie dramatycznym Ign. Paderewskiego w Warszawie, Warszawa—Kraków, 1900.

= **Rzewuski Henryk.** Listopad, romans historyczny z drugiej połowy XVIII wieku (Dodatek do „Gazety Polskiej").

= **Żeromski Stefan.** Ludzie bezdomni, powieść, tom I i II, Warszawa — Kraków, 1900.

= **Żuławski Jerzy.** Poezye, II, Warszawa—Kraków, 1900.

I. Różne. **Charszewski Ignacy ks.** Album katolickich uroczystości, szkice religijne z ilustracyami, Płock, 1900.

= **Reussner von Plato.** Amerykański przewodnik dla podróżujących za ocean Atlantycki i wogóle (!) do Ameryki z najpotrzebniejszemi rozmówkami angielskiemi, wydanie III, Warszawa, 1899.

= **Weryho Marya.** Jak zająć dzieci w wieku przedszkolnym, pogadanki, rozmowy, zabawy i robotki, Petersburg, 1900.

2 Obca. A. Filozofia. **Biese A.** Pädagogik und Poesie, vermischte Aufsätse, Leipzig, 1899.

= **Bruhl L.** History of modern philosophy in France, Chicago, 1899.

= **Kuntz W.** Beiträge zur Entstehungsgeschichte der neueren Aesthetik, Berlin, 1899.

= **Leo O.** Die Kausalität, als Grundlage der Weltantchauung, Berlin, 1899.

= **Martig E.** Lehrbuch der Pädagogik, Leipzig, 1899.

= **Petzoldt J.** Einführung in die Philosophie der reinen Erfahrung, 1 Bd. Die Bestimmtheit der Seele, Leipzig, 1899.

= **Ueberhorst K.** Das Komische, eine Untersuchung, 2 Bd. Das Fälschlich-Komische. Besondere Erscheinung des Komischen. Witz, Spott u. Scherz. Nachträge zur Lehre vom Wirklich-Komischen, Definitionen und Klassifikationen, Leipzig, 1899.

B. Socyologia. **Steinhauser A.** Neuestes aus Frankreich. Christliche Demokratie, Einsiedeln, 1899.

= **Zenker E.** Die Gesellschaft, I Bd. Natürliche Entwickelungsgeschichte der Gesellschaft, Berlin, 1899.

D. Historya. **Des Houx.** Joachim Pecci, Paris, 1899.

= **Durand.** Histoire complète de Jeanne d'Arc, Paris, 1899.

= **Kaufmann G.** Politische Geschichte Deutschlands im 19 Jahrh., Berlin, 1899.

D. Matematyka i przyrodoznawstwo. **Fock A.** Ueber die Grundlagen der exacten Naturforschung, Berlin, 1899.

E. Literatura. **Arnold R.** Geschichte der deutschen Polenliteratur. 1 Bd.: Von den Anfängen bis 1800, Halle, 1899.

= **Betz L.** La littérature comparée. Essai bibliographique. Introduction par Jos. Texte, Strassburg, 1899.

= **Faguet E.** Politiques et moralistes du XIX siècle, 3-me série, Paris, 1899.

= **Karpeles G.** Heinrich Heine. Aus seinem Leben u. aus seiner Zeit, Leipzig, 1899.

= **Lorenz M.** Die Litteratur am Jahrhundert- Ende, Stuttgart, 1899.

= **Schmitt E.** Lessing. Geschichte seines Lebens u. seiner Schriften. 2 Bde. 2 Aufl.

F. Beletrystyka. **Heyse P:** Neue Märchen, Berlin 1899.

= **Kipling R.** Das Neue Dschungelbuch, Berlin, 1899.

h.

---

3. Przekłady z polskiego. W Göteborgu wyszedł szwedzki przekład **Pana Tadeusza**, dokonany przez A. Jensena, nakładem H. Bukowskiego.

Utwory **Orzeszkowej** „Argonauci“, „Sylwek cmentarnik“ i „Cham“ ukazali się w tłóm. rosyjskiem T. W. Dombrowskiego.

Sienkiewicza „Quo vadis“ wyszło w Londynie w tłóm. angielskiem S. A. Biniona.

N. I. Pierieligin wydał w Moskwie tłóm. z **Klemensa-Junoszy** p. t. „W głuszi“.

W Petersburgu ukazało się nakładem księgarni F. Johansona „Połnoje sobranje soczinienij“ **Sienkiewicza**, (wyd. 2, tomów 6), tłóm. T. W. Dombrowskij.

P. H. Madjanska (pseudonim) wydała w Berlinie tłómaczenie noweli **Wł. Łozińskiego** p. t. „Madonna Bussowicka“.

„Ojciec Zadżumionych“ **J. Słowackiego** ukazał się w rosyjskiem tłóm. w felietonach listopadowych dziennika „Kijewskoje Słowo“, w listopadowych numerach gazety „Podolskija Gubiernskija Wiedomosti“ tłóm. noweli **Elizy Orzeszkowej** „Czy pamiętasz?“ („Pomnisz-li?“), dokonane przez N. Ł.

„Rodzina Połanieckich“ wyszła we włoskiem tłómaczeniu w Neapolu (La famiglia Polaniecki), a „Quo vadis“ w autoryzowanym niemieckim przekładzie J. Bolińskiego, przerobionym przez H. Fedorowskiego.

4. Udział Polaków w obcych literaturach. Abhandlungen zur Geschichte der Mathematik“, wydawane w Lipsku, przyniosły w r. 1899 na str. 65—70 rozprawę p. **S. Dicksteina** p. t. „Zur Geschichte der Prinzipien der Infinitesimalrechnung: Die Kritiker der „Théorie des finetions analytiques“ von Lagrange.

G. H. Niewęgłowski wydał w Paryżu w „Annales photographiques“ pracę p. t. „Impession artistique des éprenirs positives“, a nadto „Chimie des manipulations photographiques“.

Czeski miesięcznik „**Moderni Revue**“ zamieścił w zeszycie 2-im pracę p. **Stanisława Lacka** o „Młodej Polsce“.

Piękny artykuł p. t. „Ostatnie miesiące życia Szopena“ napotykamy w listopadowym zeszycie francuskiego czasopisma „Revue bleue“. Autorką jest p. Marya **Poradowska.**

Ignacy Daszyński zamieścił w 269-ym n-rze czasopisma wiedeńskiego „Die Zeit“ artykuł o galicyjskiej korupcyi.

W listopadowym zeszycie czasopisma „Slovansky Přehled“ znajdujemy rzecz prof. **Maryana Zdziechowshiego** p. n. „Po zjeździe dziennikarzy słowiańskich w Krakowie“.

Czasopismo niemieckie **Deutsches Heim** rozpoczęło w listopadowych zeszytach druk szeregu artykułów o literaturze polskiej p. t. „Die polnische Litteratur des XIX. Jahrhunderts“, napisanych przez Warszawianina p. Maurycego **Urstelna.** Pierwszy artykuł mówi o Trembeckim i Karpińskim.

5. W Petersburgu ukało się dzieło p. **A. S. Aksakowa** p. n. „Polskij wopros“ i zapadno-ruskoje dieło w wydaniu drugiem, a równocześnie w Berlinie praca Borysa Cziczierina „Polskij i jewrejskij woprosy. otwiet na otkrytyja pisma N. K. Rennekampfa“.

Anonimowy autor wydał w Petersburgu broszurę p. t. „Russko-polskija otnoszenija i czestwowanija Polakami Puszkina".

Czasopismo angielskie **Pearsons Magazine** zamieściło w zeszycie wrześniowym artykuł o Siemiradzkim, a w październikowym o wynalazkach, dokonanych przez Szczepanika.

Wiedeński dwutygodnik **Allgemeines Litteraturblatt** zamieścił w n-rze 17-ym następujące oceny rzeczy polskich pióra d-ra Fr. A. Kaindla: Schnür-Pepłowskiego „Cudzoziemcy w Galicyi", Oswalda Balzera „Rewizya teoryi o pierwotnem osadnictwie w Polsce", prof. Fr. Piekosińskiego „Herold Polski", jakoteż „Rocznika krakowskiego" i „Biblioteki krakowskiej", a w n-rze 19-tym: T. Korzona „Dola i niedola Jana Sobieskiego", J. Wawel-Louisa „Okruszyny historyczne", Podlasiaka J. K. „Janów biskupi czyli Podlaski", T. Paszkowskiego „Książę Józef Poniatowski", Sabiny Grzegorzewskiej „Dziesięć dni w Puławach w 1828 roku" i anonimowego dzieła p. t. „Hrabia Łubieński, biskup sejneński".

Nr. 8522 dziennika **Nowoje Wremia** przynosi w felietonie artykuł p. Kryżanowskiego p. n. „Nowe szczegóły w historyi powstania polskiego w r. 1794". Jest to sprawozdanie z pamiętników L. Cieszkowskiego, wydanych we Lwowie.

W listopadowym zeszycie amerykańskiego miesięcznika **The social forum** napotykamy piękne studyum prof. Herrona p. t. „Pisma i idee Sienkiewicza".

W Berlinie pojawiła się praca **F. Skowronka** p. t. „Masurenblut, Geschichte und Gestalten".

I. D. Sobolewskij wydał w Petersburgu rozprawę p. t. „Skazanije ob ostrobramskoj ikonie Bożijej Matieri w Wilnie".

Stanisław Zdziarski.

O popularyzacyi wiedzy *).

Kilka słów sprostowania „Kroniki końcowiekowej".

Będąc wielkim zwolennikiem popularyzacyi wiedzy i dotkliwie odczuwając brak dążenia w tym kierunku w naszem piśmiennictwie, mogę tylko przyklasnąć inicyatywie „Ateneum", której zawdzięczamy peryodyczne sprawozdania pod tytułem „Listki z pola wiedzy".

Nie wystarczy jednak dobra myśl i ładny tytuł, jeśli z zadania nie umiemy wywiązać się należycie; przykład dobry znajdujemy zagranicą, zapoczątkowany w „Annèe scientifique" nieodżałowanego Figuiera, i dobre sprawozdanie z licznych wydawnictw podobnego rodzaju przyniosłoby u nas czytającemu ogółowi znacznie więcej korzyści, niż kronika, najeżona błędami.

Pomijam zupełnie bezcelowość rozwodzenia się nad terminem rozpoczęcia nowego wieku i pochopność do obdarzenia jednego z zagadnień chemii mianem „największego ze współczesnych", mogącą natrafić na opozycyę osób, lepiej z tym przedmiotem obeznanych —ale chodzi mi o ścisłość rzeczową, której w tych okruchach wiedzy, jakie dajemy do spożycia niewtajemniczonym, powinniśmy jeszcze bardziej przestrzegać, niż w nauce, która łatwiej odróżni plewy od ziarna czystego

*) List niniejszy, przesłany nam przez jednego z czytelników, drukujemy bez zmian. (Przyp. Red.)

Otóż, chcąc przedstawić zasady przenoszenia energii mechanicznej na odległość zapomocą elektryczności, należy wiedzieć o tem, że natężenie prądu mierzy się w amperach, a nie w woltach, że ilość wolt nie ma nic wspólnego z siłą prądu, lecz służy miarą napięcia czyli ciśnienia elektrycznego, gdyż napięcie może być olbrzymie, a siła prądu zero, tak, jak możemy z bardzo wysoko umieszczonego rezerwoaru wody otrzymać w rurze, sprowadzonej na dół, znaczne ciśnienie, a mimo to nie wypuścić nią ani kropelki; a że im większe ciśnienie, tem mniejsze natężenie prądu przedstawia pewien zasób energii, więc rezultat wręcz odwrotny: nie do zwiększania, lecz do zmniejszania natężenia, dążymy przy przenoszeniu energii i w tym właśnie celu zwiększamy napięcie i doprowadzamy je do 2, 10 a nawet i 22 tysięcy wolt; a więc, transformując prąd zmienny, używamy właśnie generatorów czyli dynamomaszyn o silnym prądzie, a nie słabym, jak mylnie twierdzi kronikarz, i zamieniamy go na prąd słaby, ale o wysokiem napięciu, bo tylko zmniejszenie siły prądu może nam zredukować straty przy danym przekroju i danej długości przewodników.

Pomijam drobne usterki, jak to, że wielkie dynamomaszyny, o których tu mowa, dają nam nie 80%, lecz 90% i więcej energii, dostarczonej im przez maszynę parową, a natomiast motory nie przeszło 90%, ale od 70% do 90%, i przechodzę wprost do poważnych błędów, których nie należy wpajać w łatwowierną, bo nie wiedzącą publiczność. Otóż nie można powiedzieć, że, gdyby wynaleziono dogodny motor do prądu zmiennego, jak dla stałego, który ma być podobno znacznie prostszy i tańszy, to system ten byłby obecnie dominującym: system ten jest obecnie dominującym właśnie dlatego, że motory dla prądu zmiennego są prostsze i tańsze, i prąd stały bywa stosowany tylko tam, gdzie światło przeważa w zapotrzebowaniu prądu nad siłą motoryczną lub gdzie zastosowanie akumulatorów jest zaleconem: niema co pod tym względem cytować kilku ślepym trafem wybranych firm amerykańskich i angielskich, bo olbrzymie zakłady żyrardowskie i warsztaty w Pruszkowie znacznie lepszy przedstawiają przykład, a co do zastosowania sił wodnych jest ono powszechniejsze w bliższej nam Szwajcaryi, choć naturalnie dla braku takich wodospadów, jak Niagara, nie może dosięgać tych rozmiarów.

Kończę dosłownem przytoczeniem ostatniego curiosum: str. 529 (zeszyt III T. IV): „Od roku przeszłego w Anglii przy przesyłaniu elektryczności na odległość zaczęto używać maszyn, których generatory nie są zaopatrzone w komulatory i szczotki, a tylko w niewielkie pierścienie dla puszczenia motoru w ruch. Zastosowanie tych motorów przedstawia pewne dogodności, a mianowicie, że można stosownie do życzenia zwiększać natężenie. W fabrykach, które zajmują niewielką przestrzeń, stosuje się siła prądu zazwyczaj nie większa od tej, jaka dopuszczalna jest w dynamomaszynach o prądzie stałym. I dlatego właśnie niema tam niebezpieczeństwa dla robotników. System ten zastosowany był najprzód na wielką skalę w fabryce maszyn Richardsona“ etc.

Otóż prawie, ile słów, tyle błędów, niektóre usuwają się wprost z pod wszelkiego sprostowania.

Najprzód ów „generator“, który bynajmniej nie jest częścią „maszyny“, jak możnaby wnioskować z powyższego ustępu, zaopatrzony w pierścienie, zamiast w kolektor, jest to właśnie motor dla prądu zmiennego: tylko że owe „niewielkie“ pierścienie nie służą do puszczenia w ruch, lecz są zaopatrzone w szczotki i służą do doprowadzenia prądu lub do włączenia oporu w obwód wirującego twornika. Można się wprawdzie zgodzić na to, że ten system przedstawia pewne dogodności, gdyż inaczej nie byłby się tak ogromnie rozpowszechnił (i to nie przed rokiem

i nie dzięki p. Richardsonowi); ale, o ile można zwiększać natężenie i stosownie do jakiego życzenia, tego nie będę objaśniał, bo sam tego nie rozumiem: przy danem bowiem napięciu natężenie prądu zależy wprost od żądanej sprawności i właściwie dla motorów wielofazowych o prądzie zmiennym bywa mniejsze, niż w motorach jednofazowych lub o prądzie stałym; co do przestrzeni fabryki i niebezpieczeństwie dla robotników, to panuje tu znów to samo pogmatwanie pojęć siły prądu i napięcia.

Nie! nie takiej popularyzacyi wiedzy, nie takiej kroniki końcowiekowej potrzebują nasi czytelnicy, a nawet takiej dawać się im nie godzi.

Solidaryzuję się w zupełności ze zdaniem, wypowiedzianem o 78 str. przed powyżej zacytowanym ustępem, że brak nam umysłów encyklopedycznych, ale właśnie dlatego powinniśmy dbać o to, aby każdy pisał tylko o tem, co sam rozumie — a pomimo, iż „wszyscy jesteśmy dyletantami", jak nam często zarzucają, sądzę, że stać nas chyba na większą ścisłość w popularyzacyi wiedzy.

Maryan Lutosławski.

Komitet, zarządzający Kasą pomocy dla osób, pracujących na polu naukowem, imienia J. Mianowskiego podaje do wiadomości, że z fundacyi Stanisława Rotwanda i Hipolita Wawelberga, zatwierdzonej przez władzę rządową, przyznana zostanie w r. 1900 nagroda pieniężna imienia profesora Adolfa Pawińskiego w wysokości rs. 600 za najlepszą z ogłoszonych drukiem w języku polskim, w ciągu trzech ostatnio ubiegłych lat t. j. 1897, 1898 i 1899 pracę, odnoszącą się do historyi polskiej. Z dzieł równej wartości naukowej pierwszeństwo do nagrody służy dziełu, mającemu za przedmiot opracowanie materyałów, zebranych przez prof. Pawińskiego. Stosownie do Ustawy Kasy i do zastrzeżeń władzy, przyjętych przez ofiarodawców, nagroda ta może być udzielona jedynie poddanemu rosyjskiemu, o ile nie przebywa zagranicą bez pozwolenia rządu, za dzieło, przez cenzurę dozwolone, choćby wydane zagranicą. Jakkolwiek Komitet, zarządzający Kasą, będzie usiłował zebrać dla oceny kwalifikujące się do nagrody prace, wydane w latach wymienionych, dla uniknięcia jednak przeoczeń prosi o składanie prac, o których mowa, w biurze Komitetu (Niecała № 7) lub na ręce jednego z Członków Komitetu.

Prezes Komitetu: *H. Struve.*

Członek Komitetu Sekretarz: *Feliks Kucharzewski.*



Дозволено Цензурою Варшава, 3 Января 1900.

Wydawcy: ***Wł. Spasowicz*** i ***St. Łaguna.***
Redaktor: ***Ignacy Chrzanowski.***

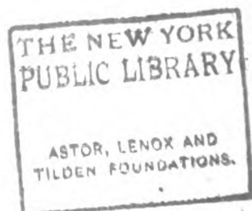
BIURO INFORMACYJNE.

Przy Redakcyi „KRAJU" w Petersburgu utworzone zostało Biuro Informacyjne, mające na celu udzielanie odpowiedzi na zapytania czytelników w sprawach, dotyczących stosunków administracyjnych, prawnych, społecznych, ekonomicznych i t. p. W sprawach, mających charakter ogólniejszy, informacye i porady udzielane są bezpłatnie. Biuro podejmuje się również udzielania informacyi w sprawach czysto prywatnych, za opłatą *na rzecz rz.-katol. Tow. Dobroczynności* w Petersburgu. Opłata ta wynosi: za odpowiedź zwyczajną rb. 3, za odpowiedź, która pociąga za sobą zebranie wiedomości bezpośrednio w instytucyach administracyjnych i sądowych rb. 10. Do zasięgnięcia informacyi w biurach potrzebne jest odpowiednie upoważnienie strony interesowanej.

SPIS RZECZY.

Zeszyt zawiera arkuszy 13½.

Druk ukończono d. 20 lutego 1900 r.



WSPOMNIENIA

z międzynarodowego kongresu historycznego,

odbytego na początku września r. 1899 w Cividale,

na pamiątkę 1100-ej rocznicy śmierci Pawła Dyakona, historyka Longobardów.



— „Jak można w czasach, kiedy cały świat wre i kipi polityką i sensacyjnymi procesami, zajmować publiczność sprawozdaniami z jakichś tam nudnych zjazdów naukowych, i to jeszcze w jakichś zakazanych mieścinach, o których nic nie wie żaden porządny obywatel?"

— Przepraszam najmocniej, ale pozwolę sobie zrobić małą poprawkę. Cividale wydaje się łaskawemu panu „zakazaną mieściną", a tymczasem nie tylko w swojem własnem mniemaniu, ale także w mniemaniu znawców stoi ono wcale wysoko, jeżeli nie ze względu na dzisiejsze znaczenie polityczne, to, przynajmniej, ze względu na rolę, jaką odgrywało w dawniejszych czasach, oraz ze względu na liczne zabytki przeszłości, ciekawe i dla archeologa, i dla historyka sztuki plastycznej.

Cividale leży we Włoszech północnych, w ziemiach dawnej Rzeczypospolitej Weneckiej, a w dzisiejszej prowincyi Udine, w odległości 15 kilometrów na wschód od miasta Udine, z którem je łączy niedawno wybudowana osobna kolej żelazna. Liczy ono dziś zaledwie 6000 mieszkańców, ale ma pozór miasta w całem znaczeniu tego wyrazu. Powstało na kilkaset lat przed narodzeniem Chrystusa. Juliusz Cezar podniósł je do godności pierwszorzędnej stacyi strategicznej i handlowej. Od imienia swego protektora otrzymało ono nazwę *Forum Julii* (targowisko Juliusza), a nazwa ta rozszerzyła się na całe osobne plemię, różniące się językowo od Włochów, chociaż także należące do szczepu romańskiego. Są to Friulanie czy też Furlanie (Forojulianie), w liczbie pół miliona, zamieszkujący dziś część Włoch wschodnio-północnych, głównie zaś prowincyę Udine, a prócz tego kawałek pogranicznej prowincyi austryackiej, Goricy. Poblizcy Słowianie zwali dawniej Cividale *Staro Mesto*, bo istotnie było to stare miasto, miasto starożytne. W późniejszych czasach było ono jedną z głównych siedzib zdobywców Italii, Longobardów.

Tutaj to, według podania, miał się około r. 725 urodzić znakomity historyk Longobardów i sam Longobarda, Paulus Diaconus, syn Warnefryda (zmarły, jako mnich benedyktyn, w klasztorze benedyktynów w Montecassino najprawdopodobniej r. 799).

Nie dziwota, że inteligentni czywidalczycy są dumni z tego swego współobywatela podobnie, jak szczycą się także tem, że w ich murach urodzili się: niepospolity kompozytor na polu muzyki kościelnej, Jakób Tomadini, twórca znakomitego oratoryum „Zmartwychwstanie Chrystusa" (*La Resurrezione del Cristo*), i słynna w swoim czasie aktorka, Adelajda Ristori, której nazwiskiem ochrzczono teatr miejscowy i przyległą ulicę.

Ostatnie dziesięciolecia roją się w Europie od jubileuszów i obchodów na cześć rozmaitych „wielkich ludzi". Nie można więc mieć za złe inteligencyi czywidalskiej, że, wspomniawszy sobie o zbliżającem się 1100-leciu od śmierci znakomitego historyka Longobardów, zapragnęła uczcić jego pamięć w odpowiedni sposób i zarazem zwrócić na siebie uwagę bliższego i dalszego świata. Miejscowy entuzyasta, adwokat Karol Podreka (Podrecca), pierwszy wystąpił publicznie z podobną propozycyą, rozpocząwszy mniej więcej przed dziesięciu laty nawoływanie do święcenia pamięci Pawła Dyakona artykułami, ogłaszanymi w gazetach rzymskich.

Pierwotnie miano zamiar nie wykraczać poza granice Włoch, a ograniczyć się głównie do zwrócenia uwagi ludu na tę postać hi-

storyczną. Miał to więc być zwykły obchód jubileuszowy z odczytami popularnymi, z uroczystościami kościelnemi, z zabawami publicznemi i t. d. Jak mi teraz przypomniano, projekt urządzenia także międzynarodowego zjazdu historycznego wyszedł odemnie, a mianowicie, kiedy w czasie mojej bytności w Cividale w r. 1893 zaproszono mię do wzięcia udziału w komitecie, zajmującym się przygotowaniem uroczystości jubileuszowych. Myśl ta bardzo się podobała, a w ostatnich dwu latach zabrano się gorliwie do nawiązania stosunków nie tylko we Włoszech, ale także z zagranicznymi uczonymi i instytucyami naukowemi.

Skutek tych zabiegów był wcale pomyślny, bo w zjeździe wzięło faktycznie udział około 150 osób, wprawdzie nie samych historyków i wogóle uczonych, ale w każdym razie osób, interesujących się tą sprawą, zarówno patryotyczną, jak i naukową. Najwięcej uczestników dostarczyły oczywiście Włochy (licząc w to kilku Słowian włoskich). Prócz tego wielkie zajęcie obudził ten zjazd we Włochach austryackich (z Tryestu, Goricy, Istryi i Tyrolu). Cudzoziemców było kilkunastu z kilku państw: trzech Słowieńców z Lublany, trzech Węgrów, kilku Niemców z Niemiec i z Austryi, jeden Anglik, jeden Dalmatyniec (były minister czarnogórski i twórca kodeksu cywilnego dla Czarnogórza, prof. Bogiszić, przybyły umyślnie z Paryża), dwu Polaków (niżej podpisany, będący zarazem jedynym poddanym rosyjskim, biorącym udział w zjeździe, oraz ksiądz Andrzej Waszek, Ślązak, a obecnie benedyktyn w Istryi.) Dosyć obficie reprezentowane było duchowieństwo, dzięki głównie udziałowi benedyktynów z Montecassino, z których jeden, uczony opat Amelli [1]), był nawet wybrany na przewodniczącego.

W każdym razie zjazd ten miał cechę międzynarodową, chociaż wszystkie obrady odbywały się po włosku, a wszystkie referaty były wygłoszone również w tym języku.

Co do odczytów i referatów, przewaga była po stronie cudzoziemców. A nawet tak się złożyło, że tylko pierwszy dzień zjazdu, dzień uroczystego otwarcia, 3 września, nosił na sobie cechę wy-

---

[1]) Jest to wielki erudyta i uczony badacz epoki Pawła Dyakona. Zagłębiwszy się jednak w przeszłość, nierównie mniej zwraca uwagi na teraźniejszość. Brak mu zwłaszcza wiadomości geograficznych. Adresując do mnie, napisał: „*Krakau (Russia)*“, dziękując zaś za nadesłanie kilku książek dla ich biblioteki, prosi mię zarazem, ażebym skłonił do tego samego swoich kolegów profesorów bądź to w uniwersytecie krakowskim, bądź też w j a k i m i n n y m r o s y j s k i m.

łącznie łacińsko-włoską, dwa zaś następne przypadły w udziale przeważnie innym narodom. Drugiego dnia wygłosili odczyty Węgier (prof. Marki), Anglik (prof. Hodgkin) i Niemiec (prof. Hartmann). Ostatni zaś dzień, dzień zamknięcia posiedzeń, 5 września, chociaż nie wyłącznie, nosił na sobie jednak cechę słowiańską, dzięki referatom prof. Musoniego, Słowianina włoskiego, oraz niżej podpisanego.

Prac naukowych kongresu nie można nazwać imponującemi. Nie przeminą one jednak bez śladu. Przedewszystkiem przygotowania do zjazdu rozbudziły do pewnego stopnia czynność literacką, powodując pojawienie się książek i broszur, bądź to wydanych w celach praktycznych (rozmaite przewodniki i t. p.), bądź też popularnych, przeznaczonych dla ludu i publiczności, bądź też nareszcie dzieł ściśle naukowych, odnoszących się do Pawła Dyakona, do jego epoki i do jego narodu. Z obcych przygotowali podobne prace: tylko jeden Słowieniec (prof. Rutar z Lublany), jeden Węgier (prof. Marki z Klausemburga) i jeden Włoch austryacki (dyrektor Vettach z Tryestu); reszta zaś dzieł tej kategoryi, w liczbie około 12, pochodziła od Włochów z półwyspu.

W odczytach i referatach podczas samego zjazdu wypowiedziano mniej lub więcej interesujące uwagi i spostrzeżenia. A odczyty te i referaty mają być z czasem wydrukowane w „Aktach" zjazdu.

Nareszcie powzięto kilka uchwał nieposledniej doniosłości naukowej. Uznano za konieczne podjęcie systematycznej pracy nad zbieraniem z jednej strony wszystkich nazw miejscowości we Friulu, z drugiej zaś strony zwyczajów prawnych, niezgodnych z prawem obowiązującem, nie tylko we Friulu, ale w całych Włoszech—tak jedno, jak drugie, dla dania materyału do określenia wpływów obcych, a zwłaszcza longobardzkich, na ludność miejscową. Za najważniejsze jednak i pozytywnie określone postanowienie należy uważać wybranie komisyi, mającej się zająć przygotowaniami do nowego wydania krytycznego wszystkich dzieł Pawła Dyakona. Komisya ta nosi na sobie również charakter międzynarodowy i ma się składać z siedmiu członków, mianowicie z przedstawicieli czterech instytucyi włoskich, oraz z wybranych imiennie trzech uczonych niemieckich. Że do owych instytucyi włoskich zaliczono także municypium czywidalskie, to był to jedynie akt kurtuazyi wobec gospodarzy i aranżerów zjazdu. Trzema innemi stowarzyszeniami są: opactwo benedyktynów w Montecassino, królewska deputacya wenecka do badań nad historyą ojczystą, Włoski instytut historyczny.

Jak już wzmiankowałem, zjazdem czywidalskim zainteresowały się także szersze koła. Wszystkie posiedzenia były publiczne, obecną też była na nich dość stosunkowo liczna publiczność płci obojej. Więcej, niż 20 dzienników włoskich i austryackich, miało tu swoich roprezentantów.

Przez bardzo zrozumiałe skojarzenie wyobrażeń wzmianka o dziennikarstwie wywołuje widmo polityki. Czasy nasze są tak przesiąknięte polityką, że nawet spokojny kongres historyczny nie był od niej wolny. Ale polityka a polityka – to bardzo różne rzeczy. Czasami, choć zresztą bardzo rzadko, polityka może występować łagodząco i uspakajająco, zwykle jednak bywa ona jątrzącą i podniecającą.

Przewodniczący zjazdu, ksiądz Amelli, zgodnie z wygłoszonem przez siebie godłem klasztoru w Montecassino, „*pax*" (pokój), starał się uprawiać politykę uspokojenia i „leczenia ran": wysłał z własnej inicyatywy telegram do króla włoskiego, nie cieszącego się, jak wiadomo, względami duchowieństwa katolickiego, a w porozumieniu z innymi członkami prezydyum i dla uświetnienia kongresu pragnął spotęgować jeszcze przyjazne usposobienie cudzoziemców przez zaproszenie ich przedstawicieli na prezydentów honorowych. Z początku, drugiego dnia kongresu trzymano się zasady „narodowości", wybrawszy Anglika (Hodgkin), Węgra (Ováry) i Niemca, ale, niestety, z Austryi (Luschin von Ebengreuth). Wielu uczestnikom wydało się to niewłaściwem, ażeby narodowość niemiecką reprezentował Austryak, kiedy było więcej Niemców z samego Cesarstwa niemieckiego. Inni znowu uważali za niegrzeczność zupełne pominięcie „Słowian". To też następnego dnia, na ostatniem posiedzeniu, starano się naprawić, tworząc prezydyum honorowe według państw: trzej powyżej wymienieni reprezentowali Wielką Brytanię, Austryę i Węgry, a prócz tego zaproszono reprezentantów Niemiec (profesora Wieganda) i Rosyi (niżej podpisanego, jako jedynego na zjeździe poddanego rosyjskiego).

Uderzało w oczy szczególne wyróżnianie Węgrów-Madziarów, spowodowane nadzwyczaj dla Włochów pochlebną mową Ovary'ego na danym zaraz pierwszego dnia kosztem miasta bankiecie. „Radości i smutki Włochów są naszemi radościami i smutkami" — powiedział między innemi p. Ovary. Oczywiście musiało to podziałać bardzo korzystnie i wywołało rzęsiste oklaski, chociaż niektórzy zapytywali siebie, czy i w Rijece (Fiume) radości włoskie są zarazem radościami węgierskiemi, a smutki włoskie—smutkami węgierskiemi.

Obok tej polityki szczerze pokojowej dał się zauważyć inny prąd polityczny, tylko z pozoru, tylko w sposobie przeprowadzania niosący gałązkę oliwną, a w gruncie rzeczy bardzo wojowniczy i w niczem nie ustępujący. Ponieważ i sam Paweł Dyakon był księdzem, i ponieważ w zjeździe na jego cześć wybitną rolę grali benedyktyni, więc nie można chyba brać za złe duchowieństwu, że postarało się skorzystać ze sposobności i wyzyskać ją dla celów propagandy. Stąd to wydawnictwa popularne i uroczystości religijne z silnym odcieniem klerykalnym. Na konferencyi publicznej, odbytej w sali kapituły w dwa dni po zamknięciu kongresu, w obecności arcybiskupa Udińskiego i innych dostojników kościelnych, między innymi opat Amelli miał wykład „O świętości Pawła Dyakona".

Ale i ta polityka miała przynajmniej wygląd nadzwyczaj miły i gładki. Natomiast był na zjeździe żywioł, mający ochotę wystąpić bardzo ostro i zaczepnie, nie cofając się nawet przed skandalem.

Wiadomo powszechnie, że nie wszyscy „patryoci" włoscy są zadowoleni z dzisiejszych kształtów swojej ojczyzny. Niektórzy z nich dążą do zaokrągleń i do aneksyi. Są to tak zwani *„italianissimi"* i *„irredentyści"*. W samych Włoszech zastępy tych nieprzejednanych coraz bardziej się przerzedzają, i dziś jest ich tam już tylko garstka. Za to tem buńczuczniej gospodarują oni w nawpół włoskich prowincyach Austryi, nadając tam ton opinii publicznej i stanowiąc pierwiastek warcholski i bezustannie wichrzący. Nie formułują oni nawet swych żądań pozytywnych; wystarcza im podtrzymywanie ciągłego niepokoju i trwożnego napięcia. Zresztą nie trudno nam sobie wyobrazić, jak wygląda taki warchoł i impresyonista polityczny; podobny gatunek znamy z własnej obserwacyi i z własnego doświadczenia.

Otóż ci panowie *„italianissimi"* austryaccy są z natury rzeczy zaciętymi wrogami swych współobywateli narodowości słowiańskiej, którzy zresztą odpłacają im pięknem za nadobne i odmierzają im tą samą miarką. Kilku „italianissimów" i „italianissimek" z Tryestu i z Goricy wzięło udział w kongresie historycznym,—w tej liczbie p. Hortis, deputowany do parlamentu wiedeńskiego, i pani Luzzatto, radaktorka zajadłego *„Coriere di Gorizia"*. Powiadano, że na bankiecie, na którym p. Ovary tak mile głaskał uczucia „patryotyczne" Włochów, owo grono „irredentystów" czystej wody miało zamiar zaznaczyć zbyt jaskrawo swoją tęsknotę za zjednoczeniem z Italią zjednoczoną, oraz swe wrogie i nieprzejednane usposobienie względem „Słowian" austryackich i... włoskich. A ponieważ na bankiecie tym było obecnych kilku „Słowian", więc podobne wystąpienie

należało uważać za objaw wielkiego nietaktu i za chęć prowokacyjnego rzucenia rękawicy. To też rozsądniejsi gospodarze bankietu uprosili gorliwców, ażeby z mów swych usunęli wszystkie miejsca jaskrawsze, mogące drażnić innych współbiesiadników.

Co więcej, prezes rady prowincyonalnej, p. Mantica, jak gdyby zapobiegając wszelkim waśniom i niechęciom, wygłosił toast, w którym z wielkiem uznaniem podniósł dotychczasowe zgodne pożycie Słowian z innymi mieszkańcami Friula włoskiego i wyraził życzenie, ażeby to samo trwało i nadal. Toast ten podobno bardzo się nie podobał „italianissimom".

Mając na względzie to szczucie i rozdymanie przeciwieństw narodowościowych oraz przezywanie „panslawistą" każdego, kto, będąc zresztą nieskazitelnym obywatelem państwa, nie wypiera się jednak swego słowiańskiego pochodzenia, uważałem za konieczne swoje przemówienie na posiedzeniu z dnia 5 września „*Sull' appartenenza linguistica ed etnografica degli Slavi in Friuli*" (O przynależności lingwistycznej i etnograficznej Słowian we Friulu) poprzedzić wstępem, w którym, zastrzegając się przeciwko mieszaniu polityki do nauki, potrąciłem o tak zwany „panslawizm" i wypowiedziałem między innemi zdanie, że właściwie nie ludność powinnaby się uczyć języka urzędników, ale odwrotnie urzędnicy języka ludności.

Że to moje powiedzenie nie było wcale zbytecznem, przekonałem się w kilka dni później, odwiedzając stolicę Słowian włoskich, San Pietro al Natisone. Obecna tam inspektorka rządowa żeńskich zakładów naukowycb oburzała się, że księża w San Pietro miewają kazania po słowieńsku. „Jak to może być? — przecież ja tego nic nie rozumiem... Kto im może zabronić występować wprost przeciw rządowi? Kazania powinny być mówione po włosku" — twierdziła „patryotka", stojąca na straży interesów Italii zjednoczonej. Ja i inni obecni staraliśmy się objaśnić tej pani, że kazania miewają księża dla swoich parafian, a ogół tych parafian nie mógłby rozumieć włoskich kazań tak, jak rozumie słowieńskie; że nikt nie ma prawa zakazywać kazań słowieńskich; że w liczbie słuchaczów tych kazań jest wiele osób, równie gorliwie, jak ta pani, strzegących prawomyślności włoskiej; że sami księża są dostatecznie taktowni i rozsądni, ażeby sobie nie pozwalać na naganne wybryki; że nareszcie, jeżeli kto chce sam się o tem przekonać, to niech postara się poznać język miejscowy. Wątpię, czy wywody nasze przekonały „patryokę", ale jakoś uspokoiła się.

Tak więc zjazd historyczny na pamiątkę Pawła Dyakona nie tylko działał w kierunku spokojnych badań naukowych, ale także wpływał do pewnego stopnia na uspakajanie namiętności politycznych. Ale nie dosyć na tem. Możemy również zaznaczyć oddziaływanie tego zjazdu na niewielki ruch w dziedzinie sztuki.

Oto przedewszystkiem sztuka plastyczna zyskuje ładny pomnik Pawła Dyakona, mający z czasem zdobić jeden z placów miasta Cividale. Tymczasem można było oglądać w muzeum wystawiony tam model z gliny roboty miejscowego rzeźbiarza, Gabrici.

Ruch w dziedzinie muzyki objawił się trzykrotną produkcyą znakomitego oratoryum Tomadiniego w miejscowym kościele katedralnym, zamienionym na salę koncertową z wszelkiemi jej właściwościami: z klaskaniem, wołaniem *bis*, z kłanianiem się artystów, z powtarzaniem efektowniejszych kawałków na żądanie publiczności i t. d. Do zakresu muzyki należą także nierównie już skromniejsze koncerty na placach i na wystawie artystyczno-przemysłowej.

Wystawa ta, jako też wystawa bydła, były tylko luźnie związane z uroczystościami na cześć Pawła Dyakona. Podobnie tylko w pośrednim związku z temi uroczystościami pozostawały dwa zjazdy, zjazd stowarzyszenia nauczycieli elementarnych w Cividale i zgromadzenie towarzystwa alpinistów w San Pietro al Natisone.

Nie potrzebuję dodawać, że urządzano też iluminacyę i rozmaite ognie sztuczne, oraz że na wielu domach powiewały chorągwie państwowe i prowincyonalne. Na jednym domu widać było nawet chorągiew „słowiańską", i nikt się tem jakoś nie gorszył.

Kongres historyczny trwał trzy dni, od 3 do 5 września, wszystkie zaś inne uroczystości dni 8, od 3-go do 10-go września włącznie.

J. Baudouin de Courtenay.



PONAD SIŁY.*)

POWIEŚĆ.

Gromada rozlała się po błoniu. Na czele muzyka, za nią starszyzna i Żyd podeszli do Tadeusza. Wójt wysunął się naprzód i cięty na wesołość prawił:

— Ziemia nasza i wszystko, co w niej jest, to także nasze, bo my tu pierwsi. Ale mogłoby bogactwo długo jeszcze leżeć w głębi, zanimbyśmy wykalkulowali i wydobyli je. Wy naszli — bieryte, Boh z wami.

— Boh z wami! huknęła starszyzna, my przy was zarobimy!

— A ja jeszcze coś panom powiem, zaczął arendarz. Był sobie Żydek, co siedział na karczmie w Swobodzie. A był on taki durny, że chciał z takimi panami i bogaczami wojować. Nic nie zwojował i przegrał. Mądry Polak po szkodzie i mądry Żyd, co na polskiej ziemi siedzi, i kłania się teraz i o zgodę prosi.

Schylony, czapką przesunął po ziemi.

— Będzie teraz wierny, jak pies, i posłuszny, jak pies, dodał ciszej.

---

*) Ob. „Ateneum“, styczeń, 1900.

— Ten Żyd zaczyna mi się podobać, szepnął pan Edward.

— Cieszę się, że Żydek polski na ziemi polskiej po szkodzie nabrał mądrości, zmazuje przeszłość i prosi o zgodę.

Tadeusz wyciągnął rękę, Żyd ją pochwycił i pocałował.

— Zgoda Żyda z panem to zawsze na skórę chłopa, taj tylko, rzekł wójt,— gromada w śmiech.

— Wójcie, nie jesteście sprawiedliwi, rzekł Feliks.

— Bo właśnie wojna była bez to, że nasi panowie nie chcieli podać ręki Żydowi do waszego obdzierania, zawołał Kasper.

Żyd bił się ręką w piersi, pan Edward powtarzał.

— Ten Żyd coraz więcej mi się podoba.

Wyciągnięto beczkę z wozu na tragarze, maszynista wydobył czop, piwo się lało do dzbanów, muzyka siadła na przyciesi.

— Do dziesiątej zabawa, a potem beczki na wozy i wio do Kołomyi, żeby wrócić po nowe na świtaniu. Na dobę musimy cztery razy obrócić, inaczej beczek zabraknie, a szybu zamykać nie można, gazy nie dadzą.

— A teraz, wiertacz prawił, kiedy wybuchło z ziemi takie szczęście dla panów i na całą okoliczność, daje nam zarobki i bogactwo, to się bawmy i pijmy za zdrowie panów...

Muzyka ucięła, piwo znikało w gardłach, pary się szykowały, Żyd klaskał w ręce i śpiewał majufes. Spostrzegł pana Edwarda i Maryę, oczy zmrużył. Kto to? spytał Feliksa.

— Dziedzic, nie poznajecie go?

— Nie znam go, szepnął.

Spoważniał, brodę wygładził, czapkę wziął w rękę, jarmułkę poprawił, drugą rękę włożył za pas i, drobno stąpając, zbliżał się.

— Moje oczy dużo już na świecie widziały, ale nowego dziedzica naszej Swobody jeszcze nie!

— Propinator?...

— Do usług jasnego pana, od dwunastu lat.

— Panie propinatorze, podobasz mi się, i może będziemy mieli z sobą interesy.

— Czekam na rozkazy, lubię wiedzieć, umiem milczeć.

Zniżył głos, przysunął się.

— Ropa jaśnie pana? spytał cicho.

— Tak powinno być.

— A ci młodzi to oficyaliści?

— Takby wypadało.

— Gdyby kopalnia nie była ich, dorzuciła Marya.

— Ich?!.. na gruncie jasnego ojca, to i jasnej panienki.

— Grunt wypożyczyli, a ropa ich.

— A za wiele wypożyczyli?

— Za czterdzieści procentów, rzekł pan Edward spokojnie.

— Za czterdzieści czystego, a oni resztę i wszystko płacą?

Pan Edward potwierdził skinieniem.

— Kiedy tak, to niech oni będą panami, a jaśnie pan oficyalistą u nich.

Żyd zaczął się śmiać wesoło, wesołość ta krajała serce Maryi.

— Kazałam mu się zgodzić, kazałam mu przystać! To powinno dać energię do szybkiego działania. Ciotka dobrze radzi, trzeba skończyć, szkoda młodych lat, tem więcej, że niebezpieczeństwo grozi.

— Mój Aronku, każ koniom zajechać. Musimy wracać, spóźnić się nie chcę.

— Jasny pan ma wielki czas. Można zostać, dodał ciszej, żeby się dowiedzieć, wiele beczek pojedzie.

Panu Edwardowi błysnęła myśl, żeby Żyda zrobić tu swym szpiegiem, lecz wstydził się i bał córki.

— Każda beczka musi przejechać obok moich okien, mówił szeptem Żyd.

Pan Edward walczył z sobą, lecz ze względu na córkę milczał.

Tadeusz i Feliks stali przy kadzi, maszynista wiercił otwory dla wypuszczenia wody do strumyka, a ropy do beczek. Gazy ulatniały się, ropa coraz obficiej z szybu płynęła. Dano im znać, że pan Edward z córką odjeżdżają.

— Cóż? rzucił pytanie idącym pan Edward.

— Ropy przybywa, rzekł Tadeusz, w miarę zmniejszania się gazów.

— A widzisz, a tak się gniewałeś na mnie.

— Jeśli do jutra do południa nie będę miał więcej o dwieście beczek, muszę zamknąć szyb.

— Przyślę ci choćby ekstracugiem — nie zamykaj! No, do widzenia, bądźcie zdrowi. Niech żyje nasz poczciwy przemysł. Kochajmy go, to ostatnie moje słowo — i jedyne. Pamiętajcie i jedyne.

— Co nie mamy pamiętać, dorzucił cicho Żyd. O jej, wielga rzecz kochać, za co nie kochać, co to kosztuje kochać?!...

Marya znalazła chwilę czasu szepnąć Tadeuszowi.

— Już niedługo.

Scisnęli się za ręce.

— Mój Aronku, oddaję ci Rusinów, aby mi pilnie i szybko odwozili do stacyi ropę.

— No, no, ja sam pięćdziesiąt wozów sprowadzę z okolicznych wiosek. Faktor mój w drodze.

— A to jest pismo do naczelnika stacyi, dodał Tadeusz, wręczając papier panu Edwardowi. Proszę go o wagony na dziś w nocy.

— Dobrze, oddam i poprę twoją prośbę. Ruszyli, Marya stanęła w powozie, zwrócona ku kopalni, patrzała.

— Pamiętajcie panowie o krzyżu!

— Zaprosimy panią na poświęcenie za dwa tygodnie!...

W szarym pomroku powóz zniknął.

— A teraz, zawołał Żyd, kiedy sobie odjechali, pohulamy. Wielki to dzień na całą okoliczność.

— Wełyki—powtórzyli Rusini.

— I dla nas leje się złoto z głębokości ziemi, i teraz od naszego rozumu zależy, abyśmy potrafili ściągnąć go troszkę dla siebie.

— Taj tylko, rozeszło się szmerem.

— Panowie przyszli i świdrem, jak laską Mojżesza, rozłupili ziemię. Niech im Bóg da zdrowie!...

Zbliżył się do Tadeusza.

— My, Żydki, rozumiemy, co pan dla nas zrobił. Tu było spanie, a pan nas obudził. Tu była śmierć, a pan stworzył życie. Tu była nędza, a pan daje zarobek...

Zwrócił się do Rusinów.

— Hromada! teraz to i my możemy zawołać: Niech żyją Mazury! aj waj — hura!...

— Kto się lubi, ten się czubi, odezwał się Kasper.

Muzyka zagrała wesołego.

— Zapracowaliście na odpoczynek i zabawę! — Gdyby nie wy, nie byłoby tu nic, byłby sen, podobny do śmierci, jak mówi propinator, rzekł Tadeusz.

— Pod olszowy gaj, krzyknął Kasper — pochwycił skrzypki i zagrał krakowiaka, że aż radość i ochota serce rozrywały. Dziewczęta i parobcy za nim i fura z dwiema beczkami piwa za nim!

Żyd go dogonił.

— Fedka niema, wysłałem go po fury, ale Petryna jest!

Kasper mu skinął głową i grał z coraz większym rozmachem. Wtórowały mu basy, a flecik piskliwie wpadał w ton. Mazury śpiewali krakowiaki, mołodyce, oparte na ich ramionach, pomagały

im. Dźwięczne ich głosy szły w olszowy gaj i tam przyczajone, śmiejąc się, odrzucały śpiew.

— Tu, tu, wołali Mazury, bijąc podkówkami o twardą, jak skała ziemię.

Kasper przestał grać, oddał skrzypce, skoczył na wzgórek i rozkazy sypał.

— Wóz z piwem tam, muzyka do mnie. Chłopcy! chróstu, ogień palić! Bez ognia niema uciechy. Nie jeden, jakby chciał po ciemku pocałować dziewuchę, to zamiast w gębusię całowałby w nos!...

Wielki śmiech.

— My się w nosy całować nie damy, wołały dziewczęta.

— Ognia, żeby zobaczyć, jak gęby nadstawiają! Harendarz i mechanik do beczek, niech się piwo leje.

— Ani kropla nie spadnie na ziemię, zawołał Żyd.

— Zagram wam pierwszy, abyście się w naszą muzykę wsłuchali.

— Zgoda! odpowiedzieli muzykanci.

Siadł na wzgórku, basy i flet przy nim. Pary Mazurów z molodycami stanęły, i krakowiak, jak burza radości i wesela, szedł, że aż ziemia pod stopami się śmiała. Gromada otoczyła wóz, piwo się lało, Rusini z zazdrością przypatrywali się krakowiakowi, dziewczęta, upojone skoczną muzyką w objęciach silnych, jak stal, Mazurów, drżały rozkoszą tańca i młodości.

Kasper nie mógł długo wytrwać w roli grajka, serce i nogi mu drżały. Zerwał się, skrzypce oddał muzykantowi, zawołał — kołomyjka, porwał czekającą na niego Petrynę, — junaki mołodyce — i kołomyjka popłynęła światem, a nogi biły jej takt...

W pierwszą parę szedł Kasper z Petryną. Dziewczę, jak łania, warkocz za kolana, a przy niej chłop, jak stalowa struna o gibkości trzciny, wesoły, jak zdrowie, piękny, jak Mazur, gdy się uda, a mocny, jak wiertacz. Dziewczę tuliło się do niego, rozkosz zapierała jej oddech. Usta odchyliła, szereg białych zębów świecił w ciemności, gorący oddech padał na rozognioną twarz chłopa. Kołomyjka, gładząc pieszczotliwie nerwy, paliła je. Mazur milczał, ogień serca wtłaczał mu w piersi wyrazy. I mołodyca milczała, zczarowana tańcem i siłą tancerza, co garnął ją do siebie, wiotką topolę i tulił...

Kołomyjka rozmarzała, taniec parzył gorącymi oddechami, piwo się lało.

— Na zgodę Mazurów z Ruśniakami, wołał Żyd. Zgodą będą bogaci, Żyd przy nich zarobi!...

Pierwsze pięćdziesiąt fur, każda po sześć beczek, razem trzysta beczek odjechało, a taniec znowu szedł, po kołomyjce krakowiak...

Mazur trzymał w pół dziewczynę, czuła bicie jego serca, rozpaloną twarz i gorący namiętny oddech. On prowadził taniec, przyśpiewywał o oczach jej, jak tarenki, i wzroście topolki, o gibkości gołąbka, wesołości sroczki — i dalej w lewo, że aż ziemia głucho jęczała...

Księżyc się zsunął za czarną ławę jodeł, ognie pogasły, skrzypkowie, jakby przez sen, przygrywali, wystąpiły do tańca pary starych Rusinów z podochoconemi babami, młodzież odpoczywała.

W olszynie czarnobrewa dyszała w objęciach Mazura.

— Jakże ja cię miłuję! Od kiedy w karczmie powaliłeś Fedka, jam twoja całą duszą. Ni nocy spokojnej, ni dnia wesołego. Wieleż razy chciałam do ciebie przylecieć, alem się bała ludzkich oczów i ludzkich języków!... Jam twoja duszą i sumieniem, boś ty Mazur, pan, mocny, jak żelazo, i hunorny strasznie... Wiem, że z tego nic nie będzie, bo chociaż mam grunt i gospodarskam córka, to ty nie nie będziesz mój, boś Mazur, pan, wiertacz, majster!... Coś mi po głowie chodzi — niby król — ja biedneńka, ja głupieńka miłować tylko umiem!... Ale niech będzie, co chce, jedno życie i jedna młodość.

Namiętne całusy głos jej stłumiły.

Ojciec i córka, rozmarzeni, siedzieli cicho w powozie. Konie pędziły wyciągniętym kłusem. Mazurowi pilno było wracać do muzyki i koni nie żałował.

Pan Edward w duchu oddawał hołd swemu rozumowi, że się nie dał uwieść pokusie i Żyda nie wziął na szpiega.

— Ty nieraz, mówił do swego rozumu, jesteś nadto wyrafinowany, zanadto w interesach fajnisty. Żyd szpieg dobry, ale trzeba zaczekać, bo można wszystko zepsuć. Oficyaliści?!... — Żyd sprytna bestya, wybornie ich określił!... Bo i czemże oni są?... Prawda, i wydajże córkę za własnego oficyalistę, to lepiej się powiesić. I do tego najpierwszą partyę w kraju!... Poradzę sobie z dziewczyną i jej adoratorem. A to skaranie pańskie z tymi oficyalistami... Takie już czasy!... Wszystkiemu winna Urszula, ale ta mi przynajmniej za to zapłaci!...

Rozśmiał się wesoło. Na ten śmiech Marya zamyślona zbudziła się i drgnęła. Dreszcze ją zimne przeszły, zakończone ściśnie-

niem serca. Śmiech ojca budził w niej zawsze niewytłómaczony strach.

Zajechali do Kołomyi przed dworzec kolei. Pan Edward telegrafował o beczki do Lwowa, załatwił sprawę z naczelnikiem stacyi o wagony — i raptem, jakgdyby sobie coś przypomniał, pobiegł szybko na pocztę.

Dziewczę patrzało za ojcem, i błyskawica przeczuć oświeciła jej mózg. Nieznany, jakgdyby nowo zrodzony głos szepnął jej: ojciec poszedł na pocztę przekupić ekspedytora, aby mu listy twoje zwracał napowrót. Prawie bez namysłu pobiegła na pocztę i niespodzianie, cicho otworzyła drzwi. Pan Edward szeptał do młodego ekspedytora, a ten, głupkowato się uśmiechając, kłaniał się.

Od jednego rzutu oka odgadła zmowę.

Ojciec nasrożył czoło, zmarszczył brwi.

— Za dużo ludzi przychodzi do poczekalni, oficerowie, Żydzi... znieść tego nie mogę, rzekła po francusku — i dlatego przyszłam za ojcem.

— Idę, odpowiedział nerwowo, — chwileczkę tylko.

Zwrócił się do młodzieńca.

— Postanowione, szepnął, patrząc mu bystro w oczy.

Ekspedytor o głupkowatym wyrazie twarzy kłaniał się nizko.

— Gdy tylko napiszę na kopercie „umyślnym”, chłopak ten przyrzekł mi za guldena znaleźć posłańca do kopalni. Telegrafu niema jeszcze, tłómaczył się przed córką, również po francusku.

Tłómaczenie to utwierdziło Maryę w domyśle...

— Skąd się rodzą przeczucia, które rzadko mylą, zapytywała siebie.

ROŹDZIAŁ VI.

Pan Edward w wyśmienitym humorze jadł w domu wieczerzę. Podżartowywał sobie z Koczalskiej, a na dobranoc, całując córkę, powiedział:

— Dzisiejszy dzień w rocznikach naszej rodziny możemy zapisać złotemi literami. Może w dniu dzisiejszym dla rodu mego, chociaż po kądzieli, otwarła się na ściężaj brama do wielkich zaszczytów.

— Ciekawa jestem, jak dzień dzisiejszy zapisze w swych annalach ród Tadeusza.

— Tysiącem guldenów dziennego dochodu, — to sądzę dosyć dla chudopachołka. Czegóż może więcej chcieć? — miał ochotę powiedzieć „mój oficyalista". Wyraz ten, wynaleziony przez Żyda, bardzo mu się podobał.

— A jednak Feliks chciał raczej porzucić kopalnię, jak zgodzić się na żądanie ojca.

— Bo Feliks mieszczanin, filister czystej wody, a mieszczany są „chciwe". Duch poświęcenia gnieździ się tylko wśród szlachty. Mieszczaństwo wyszło z łokcia, szlachta z miecza. Miecz to walka za idee, za drugich, za prawa, za państwo. Tadeusz szlachcic, dlatego się zgodził. Sercem odczuł wielką myśl.

— Zgodził się, bom go o to prosiła.

— Bo każdy prawdziwy szlachcic to rycerz, idzie między lwy i lamparty po rękawiczkę damy. Oszczędziłaś mi dużo kłopotów, chociaż pod względem materyalnym lepiejbym wyszedł, gdybym miał całą kopalnię, jak czterdzieści procentów. Zawsze ci dziękuję, opinia, ten głupi wynalazek dziewiętnastego wieku, powiedziałaby, gdybym zabrał kopalnię, żem wykwitował lub obdarł młodzieńca. Dobranoc ci, moja dyplomatko, broniąca czci swego ojca.

Nie czekając na odpowiedź córki, odszedł.

— A toby mi dopiero zalała sadła za skórę, gdyby tak zawołała: „Ojcze, kocham Tadeusza". Nie zrobiła tego i pozwoliła mi wyspać się należycie. Zasłużyłem na sen smaczny, pokrzepiający i długi... Co za szkoda, że ja syna nie mam!? Możeby się ożenić!?... Pięćdziesiąt cztery lat—to przecież jeszcze nie starość, możeby los dał syna!? I syn ten drwiłby z macochą ze starego ojca. Dzieci powinno się mieć w trzydziestym roku życia, aby w pięćdziesiątym mieć syna za towarzysza i spólnika. Idź spać, dziękując Bogu za to, co jest... „Oficyalista" — powtórzył, roześmiał się i zasnął.

Wstał o piątej rano. Był to człowiek niestrudzonej pracy, gdy szło o jego sprawy i interesa. Kupił beczki i wysłał je ekspresem do Kołomyi na koszt kopalni. Beczek było trzysta o żelaznych obręczach.

Odetchnął.

— Szybu nie zamkną, powtarzał, jadąc z kolei do miasta.

Herbatę wypił w cukierni, przeszedł się po ulicy Karola-Ludwika i, gdy na zegarze ratusza odbiła dziewiąta, zadzwonił do mieszkania ciotki Urszulki.

— Dzień dobry cioci, rzekł słodko.

— Z czemże znowu bogi prowadzą? bo bez interesu nie przyszedłbyś.

— Wróciłem wczoraj ze Swobody.

— I cóż, spytała zaniepokojona — jest nafta?...

— Niby jest, sączy się potrosze. Jakże można było ryzykować połowę swego majątku?

— Przepraszam, bo trzecią część.

— Choćby, — i to na interes tak niepewny. Hazard, a nam nie wolno grać w hazardy. Kraj ubogi.

— Mów otwarcie, — znam się na twych deklamacyach.

— Bo ciocia piękniej deklamuje...

— Działam bez deklamacyi i robię, co mogę.

— Niech i tak będzie.

— Czego żądasz? jasno: raz, dwa, trzy.

— Pragnę odkupić udział cioci w kopalni swobodzkiej i sam się wycofać. Wiele ciocia żądasz za trzydzieści tysięcy, których nigdy nie będziesz oglądała?...

Ciotka stanęła, założyła za siebie ręce i, patrząc uważnie w twarz Edwarda, mówiła powoli, a dobitnie.

— Żądam sześćdziesiąt tysięcy.

Pan Edward zaśmiał się słodko.

— Wyjeżdżam, spojrzał na zegarek, nie mogę więcej czasu poświęcić cioteczce, jak pół godziny, mam dobrego nabywcę na moją część kopalni, a chcąc, aby i kuzynka zarobiła, dam jej — pomyślał, trzydzieści tysięcy, byle prędko. Płacę gotówką.

— Sześćdziesiąt, powtórzyła Urszula.

— Żegnam kuzynkę, całuję rączki, szkoda tracić tak dobrą sposobność. Amerykanin, jeśli nie kupi dziś, to już nigdy, po prostu zapalił się idyota.

— Przyszlij go do mnie.

— *Merci.* Pani mi swych interesantów nie przyprowadzasz.

— Bo ich nie mam.

— Czterdzieści tysięcy, ostatnia cena.

— Sześćdziesiąt.

— Padam do nóg.

— Do widzenia, kochasiu.

Zerwał się i wybiegł. Urszula stanęła na środku pokoju.

— A może straciłam czterdzieści, nie odbiorę trzydziestu?! Dla mnie wszystko jedno, wyżyję z tego, co mam, lecz tyle potrzeb woła gwałtu! Spojrzała w okno.

Pan Edward mknął, jak strzała.

— Może go zawołać? Nie miała odwagi, stało się.

Była zdenerwowana, nie lubiła Edwarda, rada z siebie, że mu się postawiła ostro i stanowczo. Tyle razy już ją podchodził, lecz żal jej było kilkudziesięciu tysięcy.

— Czym nie egoistka, tyle potrzeb, tylu ludzi, tyle biednych stowarzyszeń.

Rozległ się dzwonek, pobiegła otworzyć. Posłaniec przyniósł bilet.

„Amerykanin zgadza się na czterdzieści, nie zabijaj dobrego interesu dla biednego kraju".

„Biedny kraj" oświecił ją i bez zastanowienia napisała na tym samym bilecie: „sześćdziesiąt", oddając go posłańcowi.

— „Biedny kraj" — rozumiem! kiedy Tatarzy mają mordować w nocy, w dzień smutno śpiewają. Kiedy mój kuzynek naciąga ludzi, deklamuje o biedzie i nędzy kraju... Dlaczego mu się tak gwałtownie spieszy?... Jedzie — po co? Gdzie jest Amerykanin? Czy to nie wy? Teraz tylko wytrwałości, a sześćdziesiąt tysięcy będą tu za godzinę, uderzyła ręką w stół. Kochanek chciał mnie wziąć na sentyment biedy kraju. Ja daję wszystko, co mam, zdrowie, siły, oddałam młodość moją, a ty, egoisto, deklamujesz... Niespokojna siadła przy stoliku, notując konieczne wydatki w tym roku. Suma rosła, rzuciła ołówek, wstała, nie słyszała dzwonka.

— A możem szaleństwo zrobiła?

Otworzyły się drzwi, najprzód pan Edward, za nim zastępca notaryusza i pisarz weszli.

— Dziękuj Bogu, kuzynko, że gorączka Amerykanina daje ci sześćdziesiąt tysięcy.

— Odrazu na stół, rzekła.

— Odrazu na stół, mam pieniądze, a pan notaryusz przyniósł akt do podpisu. Młodego człowieka mamy, jako świadka, wszystko skończone.

Urszula chciała wzrokiem przebić czaszkę Edwarda.

— Amerykanie, zacietrzewieni w pośpiechu, są głupcy. Zresztą bogaci, nie tak, jak my. Aby dziś skończyć, płaci sześćdziesiąt tysięcy, gdy jutro oddałabyś za czterdzieści. Powiedz sama?!...

— Złoty, niewidziany, niesłyszany interes, mówił zastępca notaryusza. To tak samo, jakgdybyś pani postawiła dziś trzydzieści tysięcy na kartę i wygrała sześćdziesiąt.

— Co za szczęśliwy zbieg okoliczności z tym Amerykaninem, któremu się zdaje, że tylko on kopać umie, dodał pan Edward, patrząc na zegarek. Mam całe półgodziny czasu, licz pieniądze, sza-

nowny rejencie, młody człowiek niech odczyta akt, pani dobrodziejka podpisze i adje. Spieszcie się.

Rejent wyjął sześćdziesiąt sztuk po tysiąc złr. i, licząc, rozkładał je na stole, pomocnik jego czytał akt.

Dawno Urszula nie widziała takiej masy pieniędzy. Zliczyła uważnie, zsunęła, jak talię kart, i rzuciła na biurko. Podpisała papier, rejent i świadek za nią, pan Edward schował arkusz, podał rękę kuzynce i, odchodząc, powiedział.

— Słusznie mówi rejent, że wygrałaś wielki los...

Urszula z gorączką radości i energii siadła przy biurku i w dalszym ciągu spisywała potrzeby rozlicznych instytucyi. Niestety, czwarta część wydatków przechodziła sumę sześćdziesięciu tysięcy.

— Za mało, krzyknęła, za mało. Co się stało, jak mogłam tak szybko bez namysłu zgodzić się. Za mało, powtarzała szeptem.

— A wieleż ciocia wzięłaś? spytała Marya, wsunąwszy się cicho do pokoju.

— Sześćdziesiąt tysięcy za mój dziesięcioprocentowy udział.

— Tylko tyle?! zawołała zrozpaczona Marya.

— Bo co, mów, zmiłuj się!

— Bo wczoraj nastąpił wybuch ropy w kopalni, który obliczają dziennie na półtora tysiąca.

Ciotka pobladła.

— To dochód roczny wypada dla mnie więcej, niż sześćdziesiąt tysięcy. A więc głupi Amerykanin nie istnieje wcale. Jak mogłam tak się złapać, jak mogłam, a tu tyle spraw, tyle potrzeb, tyle wydatków, że dwakroć sto tysięcy nie wystarcza. Boże, za co mnie tak karzesz?!!

Rozpłakała się, Marya tuliła ją do siebie.

— A przecież nadwyżkę wolałabym oddać Tadeuszowi.

— Ciociu, to ja jestem winna, a raczej lenistwo moje. Powinnam była dziś raniutko wpaść do cioci i powiedzieć, jak rzeczy stoją, ostrzedz ją. Wczoraj wróciłam późno, zasnęłam dopiero nad ranem. Nie przeczuwałam podejścia ze strony ojca.

— Powinnaś była przeczuć.

— Zapomniałam na tę chwilę, że ciocia ma udział w kopalni.

— Stało się, lecz ojciec twój tyle razy nas podchodził i uczył rozumu.

— Cioteczka nie zaczekała.

— Myślałam, że za godzinę Amerykanin odjeżdża, że stracę jedyną sposobność przyjścia do grosza. Tyle wydatków, tyle potrzeb!...

— Ojciec jest teraz właścicielem połowy dochodów brutto z kopalni.

— Połowy?!...

— Zażądał, jako właściciel terenu, od Tadeusza czterdzieści procentów, bez żadnego udziału w wydatkach.

— Jak śmiał tyle żądać?

— A ja kazałam mu się zgodzić!...

— I zgodził się?! Jeżeliś ty mu kazała, dlaczego nie miał się zgodzić? Ale dlaczegoś mu kazała?

— Bo przecie wszystko powinno być jego.

— Gdy baby z Lwowskiego świata dowiedzą się, że ojciec twój ma miliony, ożenią go!... On tak lubi ten świat, tak się w nim rozkoszuje, jak piskorz w mule. Tak się czuje szczęśliwy, gdy się tam znajdzie, taki rad, kontent, wdzięczny za to, poczciwy filister szlachecki.. On nas wszystkich naciąga, ale baby z tego świata jego naciągną — zobaczysz.

Nastała długa chwila milczenia. Z oczu Maryni spływały dwoma strumieniami łzy.

— Dziecko, jakżeś w tej chwili podobna do swej matki. Jej wyraz twarzy, ta sama boleść i to samo drganie warg. Odziedziczyłaś jej duszę szlachetną, dobrą, delikatną jej duszę i jej rysy, jej nerwy...

Marynia na wspomnienie matki rozpłakała się głośno i serdecznie. Teraz przyszła kolej na Urszulę pieścić ją i pocieszać.

— Gdyby żyła twoja matka, dziś byłabyś żoną Tadeusza. Nie płacz, tyś wczoraj, ja dziś przegrałam sprawę.

Zerwała się gwałtownie.

— Kochacie się albo nie? Jeśli się kochacie, uciekajcie choćby dziś, pożyczam wam dziesięć tysięcy na drogę!... I to będzie zemsta. Jedźcie na Czerniowce, Bukareszt, Konstantynopol do Kairu — ładna podróż — co?

— Niepodobna, Tadeusz nie ma czasu.

— Jeśli się tylko zgadzasz, piszę do niego.

— Jestem prawie pewna, że ekspedytor poczty w Kołomyi przekupiony. Podejrzane listy do Tadeusza będą wracać do ojca.

— Taak, to sama pojadę i sprawę z pocztą ureguluję. Zanocuję w Kołomyi, a raniutko do Swobody. Brońmy się. Chcesz, jedź ze mną. Lecz nie, lepiej zostań, boby to mogło sprawę skompromitować wobec ojca. Sama się rozprawię z Tadziem. Jak on mógł ciebie usłuchać!?

— Ciociu, on mnie kocha, szepnęła.

— Za dużo, za dużo!...

— Cóż na to poradzę?

— Te miłości, wzdychania, dramata przeszkadzają w pracy, a nic nie dają!

— Dają rozkosz duszy, spragnionej lepszych światów...

— To już tak?! Dzielna, odważna dziewczyna przeradza się w dekadentkę, mówiącą o duszach, spragnionych lepszych światów, jako o problemacie życia?!

— Ciociu, pragnienie to uszlachetnia dusze ludzkie.

— I to cała twoja pociecha?... Musisz być bardzo nieszczęśliwa, moje dziecko. Zaczynam się o ciebie bać. Marzenia, moja droga, rodzą próżniactwo, a tu pracować potrzeba.. Do dzieła — do czynu!

Rozgarnęła włosy na czole Maryi i pocałowała ją.

— Dopiero dziś spostrzegłam, ile jesteś podobna do matki. Za ojcami idą córki, za matkami synowie. Tyś poszła za matką.

— Tęsknota wiodła mnie do niej. Tęskniąc za nią, robiłam się do niej podobną.

— Tęsknij, póki się w nią nie wcielisz, bo i ona miała dużo siły woli i energii, a była uosobieniem tego, co nazywamy delikatnością uczuć i szlachetnością, mówiąc uczciwym językiem, bez dekadenckich wywijasów!.. Pojutrze wpadnij, ojcu nie mów, żeś tu była, udawaj, że nie wiesz, że mnie podszedł. Wracaj do domu, bo mam masę spraw. Parę tysięcy guldenów wylecą dziś, jakgdyby z bicza trzasł. Nie masz pojęcia, jak mało wśród nas ludzi! Tysiące bab, tysiące spódnic, tysiące błyszczących namiętnością oczu, tysiące głupkowatych uśmiechów, tysiące głupszych jeszcze flirtów, — samice, a ani jednej kobiety, ani jednej szczerej duszy. Manekiny, wypchane chuciami lub próżnością.

— Nie kochają prawdziwie, nie pragną lepszego...

— Dobrze już, dobrze!... Jeśli chcesz, napisz do Tadzia list, przyszlij przed szóstą i bądź zdrowa. Ciebie jedną mam na tym świecie blizką i kochaną.

— Ale po sprawach idei?

— A to się rozumie, — chciałaś inaczej!?...

— Nie, ciociu, mnie po nich pierwszą będzie dosyć.

Rozstały się, Marynia wróciła do domu w parę minut po przyjściu ojca. Nucił piosnkę z operetki, takt wybijał palcami po szybach okna. Na widok córki zawołał:

— Wiesz, dziecko, odebrałem dziś telegram z Swobody, gazy uciekły, a szyb ilość wydatku ropy zdwoił. Posłałem drugie trzysta beczek. Żydzi na jutro obiecali mi jeszcze trzysta. Może wy-

starczy? Czy ty przypuszczasz, moje dziecko, że za jakie dwa lata, jeśli tak dalej pójdzie, możesz być jedną z najbogatszych dziedziczek w Galicyi. Kto wie, czy nie kupię dóbr Ołtynieckich. Żądają trzy miliony sześćkroć, a wezmą równe trzy. Wartość ich można podnieść do sześciu milionów. Cóż ty na to?

— Wolałabym mniej, byleby...

— Wiem, przerwał gwałtownie, bojąc się wynurzań, że wolałabyś szmer strumyka i światło księżyca. Ten wasz Słowacki, powiem ci prawdę, nie ma za trzy grosze zdrowego rozsądku. I twoja matka, dópóty się wczytywała w tego, bo ja wiem, jak go nazwać, póki za nim nie poszła.

— Ja go umiem na pamięć, zawołała z entuzyazmem Marynia.

— Domyślałem się tego. Urszula cię pewno do tego namówiła. Co ten Herod w spódnicy może mieć wspólnego z wierszami, podobno bardzo delikatnymi, niech mi kto wytłómaczy?...

Marynia cicho wyszła z pokoju; pan Edward monologował:

— Trzeba ją powoli trzeźwić i zaprawiać do szerokiego życia na wielkim świecie, które nie ma nic wspólnego z wierszami, a tem mniej, dodał ciszej — z oficyalistami! Oficyaliści powinni nam dostarczać milionów, a my potrafimy je uczciwie lokować, niech ich o to głowa nie boli. Ale, poczciwcy, wara wam od nas. Możecie zdaleka kochać nasze córki, bo to was czyni pilniejszymi w pracy, ale ani pary z ust — „Cicho — sza" — „cicho — sza", jak śpiewają w operetce. Jeszcze miesiąc temu, gdyby mi przyłożono rewolwer do skroni, możebym mu i oddał dziecko!?! Ale dziś niech się ziemia zapadnie. Dziennie tysiąc guldenów, za sto dni sto tysięcy, za rok trzykroć sześćdziesiąt pięć, za dziesięć lat trzy miliony sześćkroć! A może być i dwa i trzy tysiące dziennie. No, no nie marnuje się wtedy swych dzieci... Wszyscy mogą paść w tej walce, ja jeden wytrwam, tak mi Boże dopomóż! A jakże ten kraj potrzebuje wytrwałości naszej!

Ostatnie zdanie powiedział z wiarą człowieka, przyzwyczajonego do wypowiadania frazesów.

Dziewczę w swoim pokoju, zamknąwszy go na klucz, wyjęło z biblioteki jeden z tomów Słowackiego, otworzyło bezwiednie książkę i czytać zaczęło:

„I wierzba srebrna kąpała na fali
„Złote listeczki...

Twarz jej się oróżowiła, wydając z siebie jasność natchnienia. Usiadła, pochwyciła pióro — pisała.

„Drogi mój!"

„Matka, nie mając mnie w ostatnich chwilach przy sobie, szła na wieczność ze Słowackim! Za matką idę i ja! Słowacki jest moim mistrzem. Gdy go dziś czytam, zdaje mi się, że wszystkie me żale i skargi, wszystkie zachwyty matce mej oddaję. I rozumiemy się — Słowacki nas łączy. Czytam go głośno z wiarą i przekonaniem, że matka jest przy mnie i słucha. To mi sprawia rozkosz, czytam z przejęciem, że nieraz łzy płyną mi z oczu, a mam wrażenie, że je ociera jej duch.

„Słuchaj, otworzyłam książkę bez myśli i wiedzy:

„I wierzba srebrna kąpała na fali
Złote listeczki. O tem ksiądz wielebny
Mówiąc z ambony, płakał; wierzba biała
Także—choć mówić nie mogła—płakała.
Konwalie białe, cicha mgła i rosa,
Trawy zapachem dyszały od kwiecia,
Gdy oto z wierzby trefionego włosa
Wybiegły jedna, potem druga, trzecia
Gwiazdy błękitne i nie szły w niebiosa
Po niebie latać i trwać przez stulecia,
Ale nad wierzbą stanęły w lazurze,
Dwie obok siebie stojąc—trzecia w górze",

„Te gwiazdy błękitne nie idą w niebiosa, lecz stoją w lazurze nad wierzbą, dwie obok siebie, trzecia w górze. Pocieszam się, że to dobra wróżba, co jasność i wzrok nieba ściągnie na ciebie. Ucieszyłam się, gdyż cały dzień byłam przerażona, że aż dwie plamy różowe palą mi twarz. Myślę ciągle, czy może zbrodnię popełniłam, każąc ci godzić się na kontrakt ojca. Twoją jestem i wszystko, co mam, twoje, lecz dziś nic nie mam, lub tak mało...

„Ciotka każe mi z tobą uciekać!... Czy zejdziesz ze stanowiska dla mnie, czy możesz zejść, czy ci wolno? Musisz walczyć z czterdziestoma, dziś pięćdziesięcioma procentami. Ojciec kupił dziesięć ciotki.

„Miłość moja, oddanie się moje tobie, wiara, że wszystko moje, jest twojem, może cię zgubi? Dlaczego nie zostałam twoją przed rozpoczęciem tych prac, dlaczego wtedy mnie nie zabrałeś?... Dziś

byłabym przy tobie w szałasie, zbitym z desek. Przy tobie rozkosz— przy tobie szczęście, przy tobie praca, przy tobie poezya mego żywota.

„Konwalie białe, cicha mgła i rosa,
Trawy, zapachem dyszące od kwiecia...

„Boże, jakże mi smutno w tym Lwowie, w tej tandecie wiedeńskiej, w otoczeniu młodzieży, pozłacanej szychem wiedeńskim, w towarzystwie dam o tresurze wiedeńskiej i panów, zakładających banki wiedeńskie, zgrywających się na wiedeńskiej giełdzie... Żydów, mówiących po niemiecku o Wiedniu, urzędników, marzących po niemiecku o karyerze w Wiedniu, oficerów, wysilających się na akcent wiedeński, i Rusinów, kaleczących język niemiecki...

„Wśród tego morza moralnej niemczyzny, choćby mówiącej po polsku, garska kobiet z Urszulą na czele, garstka idealnej młodzieży sterczą, jak wysepki zielone nadzieją, stawiając opór morzu, które usiłuje bałwanami swych fal zalać je i zniszczyć: plotką, groźbą prześladowań i nienawiścią tłumów do wybranych — do ludzi!...

„To bezwzględne panowanie apatyi i cichego ogłupienia jest straszne, gdy się chce objąć w jednym uścisku niebo — i ziemię...

„Do tego serdecznego uścisku (żyjemy w czasach kapitalizmu) potrzeba dużo pieniędzy — dużo... a mam ich tak mało i jeszcze wczoraj obdarłam cię o połowę dochodów!

„Pocoś mnie usłuchał?... Czuję, że popełniłam zbrodnię — i nie mogę sobie jej przebaczyć. Bałam się, że, gdy rozstaniesz się z ojcem, to cię stracę, bo stracę możność widywania cię. Za wszelką cenę chciałam cię zatrzymać. Cena była za wysoka, mój egoizm zbyt wielki, w sercu mem rośnie pogarda dla siebie samej!...

„Czuję jakieś przekleństwo, wiszące nad naszemi głowami, poznaję to po wesołości i śmiechu tych, co mnie otaczają. Są to śmiechy ich tryumfu w walce z nami.

„Ojciec powtórzył mi dziś dwa razy po odebraniu twego telegramu, że, jak tak dalej pójdzie, to mogę zostać najświetniejszą partyą w Galicyi. Najświetniejszą partyę będzie chciał wydać najświetniej, a nie byłby szlachcicem galicyjskim, gdyby świetności nie widział w stanowisku, rodzie, wpływach, koligacyach zamiast w człowieku. Ty, mój drogi, jesteś człowiek — tamci pewno będą mało ludźmi, a dużo karyerowiczami i niezawodnie zyskają łaski u ojca.

„Lecz dosyć żalów wobec młodości i jej walk, wobec zwycięstw i rozpoczętego dzieła...

Chociaż cię stać, abyś nowe systematy tworzył, pracujesz, jak robotnik. Kochać cię to znaczy być dobrą.

Pisz do mnie! Lubię twe myśli uwięzione na papier, mogę wracać do nich — gdy zapragnę!.. A pragnę, gdy cierpię — i wtedy czuję się lepszą i silniejszą.

Kiedyż będę cię mogła tylko kochać bez pragnień i tęsknot, a tęsknić tylko za pięknem i nieskończonością.

Twoja Marya

Twoje dziecko, twoja myśl, twoja biedna

Marynia.

ROŹDZIAŁ VII.

Ciotka Urszula pędziła wózkiem z Kołomyi.

Cudowny kraj! Błonia wielkie, zielone, wzgórza sine, niebieskawa mgła i ciemne pasy lasów na widnokręgu. Słońce jasne, wesołe, wschodni chłodny wietrzyk i małe domki ubogich chat przy drodze.

— Postawicie sobie i szersze i wyższe, mówiła do siebie stara panna, pełna zachwytu i wiary w Tadeusza i w wykopane przez niego bogactwa.

Marzyła na ten temat, słonko się do niej śmiało, wiatr chłodził rozpaloną jej twarz, uśmiechała się do sinej mgły i ciemnego pasu na skłonie widnokręgu. Marzenia są przyjemne w jasny, wesoły dzień na wygodnym wózku wobec dobrych nowin i wielkich nadziei.

Konie wpadły do rzeczki, woda plusnęła, Urszula oprzytomniała, uśmiechnięty Mazur biczyskiem wskazał na budującą się drugą wieżę nowego szybu.

— Ta wieża, widzicie ją, — to kopalnia!

— Już?

— Szkapy same darły ci do domu, aż miło!

— Kopalnia już... Ta jedna wieża, dwa domki, kuźnia.

— To i cóż, kiej ropa płynie, jak woda, że ledwo beczek starczy?...

Konie, wyciągnąwszy wózek z wody, parsknęły wesoło i dalej pędziły wyciągniętym kłusem. Zdaleka widać było niezwykły ruch. Stało kilkadziesiąt wozów. Z jednych ściągano beczki, do drugich nalewano ropę. Głośny szmer setek ludzi, dym, buchający z komina

kotła, jęk świdra, spadającego w ziemię, krzyki cieśli przy stawianiu nowych budynków wypełniały powietrze.

Oszołomiona patrzała szeroko rozwartemi oczyma, radością i podziwem.

Wózek stanął przed kancelaryą, wybiegł Feliks.

— Droga, kochana nasza pani, wołał, wyciągając ręce, aby pomódz wysiąść Urszuli.

— Cieszę się, że nareszcie jestem z wami. Co za ruch, życie, zamęt, że aż się dusza rwie. Gdzież Tadeusz?

— Ustawia maszynę przy drugim szybie, gdy skończy, przyjdzie. Proszę panią na herbatę.

— Wybornie, doskonale — odpocznę, pogadamy.

Zrzuciła okrycie i kapelusz, siadła, patrząc w otwarte okno.

— Nie dziwię się Maryni, że wróciła rozmarzona i roztęskniona. Po Lwowie, po „wałach hetmańskich" i „kręconych słupach", jakże tu rozkosznie, swobodnie, szeroko... Wiesz, że sprzedałam mój udział Edwardowi za sześćdziesiąt tysięcy.

— Dziś wart przeszło sto tysięcy, za trzy lub sześć miesięcy może dojdzie do pół miliona...

— Na starość widocznie głupieję, ale jak mógł Tadeusz usłuchać Maryni, nie mającej pojęcia o interesach?...

— Powiedziała mu: „jam twoja", to dosyć dla zakochanego. Chciałem uciekać, lecz mnie zatrzymał siłą.

— Szczęściem, żeś został. Marynia nie zdołała ostrzedz mnie rano i padłam. Nie rozumniejsi, lecz sprytniejsi i przebieglejsi zwyciężają.

Feliks podał herbatę, chleb i masło.

— Siadaj przy mnie i mów wyraźnie!

— Przeciętnie spodziewać się można dwa tysiące dziennego dochodu. Zostaje nam tysiąc i na te tysiąc walą się wszystkie wydatki. „Jam twoja", dlatego ojciec zabrał tysiąc czystego.

— Wielkie wydatki?...

— Mało tysiąc dziennie. Same rurociągi do Kołomyi dwakroć sto tysięcy, gościniec murowany około stu, budynki, kuźnie, warsztaty, nowe szyby, maszyny do nich parowe, materyały, świdry, rury... Chwycił się za głowę.

— A jeśli będziecie mieć dziesięć szybów takich, jak ten jeden?

— Dochodami z tego jednego ciężko wybudować dziesięć. Zawsze będziemy kuleć. Szybkość jest tu wszystkiem.

— Potrzeba wam wielkiego kredytu.

— Skąd go wziąć?

— Szukać.

— W kraju nie znajdziemy.

— A to przecie największy obywatelski obowiązek, rozum stanu, interes, własna koszula.

— Wszystko własne, tylko kapitały nie własne.

— Kapitały nasze śpią po kasach, na cztery procenta. Miliony leżą, a nam tysięców brak. Głupi kraj, który jęczy w biedzie, a kasy jego, milionami zawalone na czterech procentach, obciążają biedną ziemię.

— Nieszczęśliwy głupotą kraj i niema na to rady!

— Mądrość.

— Skąd ją wziąć?

— Kupić!

— Niestety rozumu się nie kupuje, lecz się go zdobywa.

Urszulę nerwy dźwignęły — powstała.

— Ponieważ my powinniśmy mieć rozum, brońmy się sami.

— Pięknieśmy się obronili, na początek daliśmy się razem z panią obłupić panu Edwardowi, Bóg wie na jaką sumę?!

— Nie przypominaj mi mej głupoty, lękam się o paraliż serca. Chodźmy do Tadeusza. Pragnę mieć jedno zadośćuczynienie. Dziewczynę musi zabrać, choćbym tu mu ją przywiozła sama.

— A potem?

— Potem będzie jego żoną. Nie wiesz?...

— I z żoną opuści kopalnię. Co dalej?

— Znajdzie drugie tereny.

— A jak nie znajdzie? Odszukanie terenów to loterya.

— Nauka, rozum, wiadomości, praktyka?...

— Pomagają, lecz za mało!...

— Ani marzyć, aby Marynia nie miała zostać żoną Tadeusza — umarłaby.

— Zgadzam się, lecz nie dziś.

— Więc kiedy? nie dręcz mnie. Przysięgłam jej matce...

— Po eksploatacyi kopalni lub jej likwidacyi.

— Zestarzeją się.

— Czemużeś ich pani nie pożeniła przed zaczęciem robót w Swobodzie?

— Głupia byłam!

— A może i mądra, bo pewnoby wtedy Tadeusz tu nie kopał i nie znalazł tak wielkiego bogactwa.

— Daj pokój, bo mi nerwy prujesz. Jakiś fatalizm zawisł nad naszemi głowami, czy co? Czyś fatalistą?...

— Nie, lecz wypadek odgrywa wielką rolę w życiu człowieka. Jednego spadająca dachówka zabija, drugiemu...

— Ropa leje się takim strumieniem, że aż go utopi, dokończyła Urszula, pokazując przez okno na gruby strumień ropy, lecący rurą z szybu do kadzi. A może najszczęśliwszy ten, którego dachówka ugodziła.

— Tego, droga pani, nie przesądzajmy.

— Zupełnie nie. Gdyby nie obfitość ropy, miałby śliczną, rozumną, szlachetną, dobrą, kochającą dziewczynę za żonę. Ponieważ buchnęła ropa...

— Musi czekać.

Z otworu drugiej wieży wypadł rozpromieniony Tadeusz.

— Cioteczko droga, wołał, przyjechałaś do pustelników. Nie mogłem cię przywitać. Kasper i maszynista trzymali mnie w więzieniu...

— Jak się masz, milionerze?

— Nie ja, cioteczko. Przyszły mój teść składa dla swej córki miliony!

— Prawda, i mnie on obdarł. Mniejsza, jeśli te miliony do ciebie wrócą. Spojrzała na niego. Prawdziwy bohater, twarz miedziana od słońca, czoło białe, jak alabaster. Zawsze sobie wyobrażałam takiego kochanka!...

Roześmiała się, za nią towarzysze.

— I że Marynia wybrała sobie takiego samego, czuję w tem mój wpływ. Przywiozę ci ją.

Tadeusz złożył ręce, jak do świętej.

— Ale koleją, którą ma pan Edward do Swobody zbudować.

— Nie, bitym gościńcem, dodał Feliks.

— Niech będzie bitym.

— Nie, nie, tą drogą, którą dziś jechałam.

— Wszystkiemi drogami cioteczko.

— Masz od niej list, przysłała mi wczoraj wieczór.

Tadeusz pochwycił i wymknął się z izby, rozrywając kopertę.

— Czekajże trochę! — Machnęła ręką. Wszyscy zakochani do siebie podobni. Nie wiedziałam, że tak pospolita rzecz, jak miłość, chłonie nawet potężnych ludzi...

— Ciekawość i utęsknienie zawsze to samo.

— Póki Tadzio nie skończy, oprowadź mnie po tej czarodziejskiej dolinie, sypiącej złotem, i pokaż wszystko.

Wyszli.

— Z otwartej rany ziemi płynie stopione czarne złoto. Natrafiliśmy na jakieś malutkie jeziorko ropy, gazy wypychają ją na Boży świat. Rusini odwożą ją beczkami do Kołomyi, lecz, gdy jej będzie więcej, musimy zafundować sobie najmniej trzycalowe rurociągi do stacyi kolei.

Urszula przymrużyła oczy.

— Dreszcze mnie przechodzą na myśl tych szalonych wydatków.

— Innej rady niema, odparł cicho Feliks, i nicby nam nie szkodziło, gdyby....

— Nie przekleństwo losu, co sprowadziło tutaj dziewczynę z tym starym lisem? To moja wina, szepnęła żywo, za zbyt często powtarzałam Maryni — on twój!

— Cioteczko, otóż jestem, wołał, biegnąc, Tadeusz — i jeszcze raz przepraszam za to powtórne zaniedbanie, lecz i druga przyczyna jest równie ważną!... Czytania listów od narzeczonej nie odkłada się, tem więcej, że dusza dziewczątka tego staje przedemną jasna, jak świetlany blask zorzy.

— Co za poetyczne porównania na ustach nafciarza, rzekła Urszula, kręcąc głową...

Feliks poszedł do swych zajęć.

— Cioteczko, dziewczątko to, które mi dałaś, i jego szlachetne marzenia wydobyłyby ze skały żywe źródła natchnienia, a cóż dopiero w mózgu, w którym tęsknota żłobi swe drogi! Dziękuję ci za to dziewczę! Stoi mi przed oczyma duszy i mówi mi o walkach życia i o tej wielkiej wytrwałości, jaka powinna być w nas. Patrząc w głębie niebieskich źrenic dziewczęcia, stoję, jak zaklęty.

— Ty ją tak kochasz? rzekła Urszula.

— Czyż mogę inaczej?... Twoją jest, kochaną przez ciebie, cioteczko, a przeze mnie zaklętą w miłość.

— Kochasz, jak zaklętą.

— Ciociu, dziewczątko, nim przyszło na świat, już było zaklęte rapsodami i poezyą Słowackiego. Poezya tego mistrza wchodziła w nie przez krew matki.

— Ty niedługo ducha jej będziesz tęsknotą wywoływał i bratał się z nim, biedna Marynia nie będzie ci potrzebną...

— Mistykiem nie jestem! Kocham to dziewczę wszystkimi zasobami mego ducha i pragnieniami myśli.

— I dobrze ci z tem?...

— Jeśli innego wyjścia teraz niema?

— Przyzwyczaisz się do tego stanu myśli i ducha?

— Radbym, lecz mi trudno.

— Coraz mniej masz pragnień zdobycia i posiadania żony?..

— I cieszę się, że namiętności mną nie szarpią i nie zwyciężają mnie.

— Wygodnie ci z oddaleniem dziewczyny!

— Ciociu! szepnął Tadeusz boleśnie.

— Przepraszam cię — jestem zirytowana, oboje wpadliśmy w zastawione sieci. Ojciec jej ma teraz całą połowę kopalni bez grosza wkładów.

— A ja nie mogę rzucić kopalni, która się tak silnie rozwija! Człowiek pracy i idei nie ma nawet czasu wziąć ślubu i ożenić się...

— I czystą połowę dochodów Edward będzie ci zabierał do skończenia świata!...

— I nic mi nie zrobi. Szyb ten daje dwa tysiące dziennie, zostaje dla mnie tysiąc. Inne szyby dadzą coś przecie. Choćbyśmy eksploatowali kopalnię przez pięć lat, możemy mieć dochodu parę milionów.

— Suma olbrzymia! Czy przez cały ten czas Marynia będzie czekać na ciebie?.. Zestarzejecie się oboje. I ty będziesz miał sumienie dręczyć i suszyć tak dziewczynę, zrobić ją starą panną, uwędzić, a potem dopiero się z nią ożenić... A to niech miliony wezmą dyabli..

Tadeusz stał smutny i zamyślony.

— Siebie poświęcaj, jeśli ci się podoba. Marynia sama się poświęci, gdy zechce. Prawa życia, serca, uczuć, pragnień, młodości są pierwsze przed wszystkiemi innemi, rozumiesz! A jeśli tego nie chcesz lub nie możesz zrozumieć, to ci powiem żeś egoista i dla ambicyi gotów jesteś oddać życie i szczęście narzeczonej.

— A ciocia nie złożyłaś siebie i swej miłości na ołtarzu?

— Nie potrzebowałam nic składać. Pracowałam z narzeczonym, gdym go miała, tak, jak pracowałabym z mężem. Straciłam narzeczonego, robię sama, co mogę. A ty, widzę, chcesz się pozbyć Maryni, aby ci nie przeszkadzała lub nie ciężyła zbytecznie... Moc idzie z połączonych sił, a ty chcesz dzielić, chcesz ducha swego posyłać do narzeczonej, aby się tam modlił lub rozkoszował w ekstazach, a tymczasem ty miliony chcesz zgarnąć i rozrzucać je. Znam cię, szatanie, przybrany w ciało młodzieńca, znam twe utajone pragnienia, o których sam może jeszcze nie wiesz, bo znam serce ludzkie. Marynia dziś jest bardzo wygodną ukochaną, do wzdychań czułych apostrof do promieni księżyca i białych mgieł, ale, jako

wspólniczka, jako siła, jako podział pracy, mogłaby być ciężarem — kontrolą!...

— Ciociu, zmiłuj się — czernieję od zbrodni.

— Od jednej, to jest zabójstwa młodej i dzielnej dziewczyny, o której mówisz, że ją ubóstwiasz, i modlisz się do niej. Ty ją kochaj, egoisto! ona modlitw nie potrzebuje.

Urszula oddychała ciężko, wolno, nabierając w płuca powietrze. Była blada, oczy jej świeciły blaskami, usta drżały wzruszeniem. Stali naprzeciw siebie, wpatrując się wzajemnie. Tadeusz, zamyślony, walczył ze swym duchem, sumieniem, myślami. Pochwycił rękę Urszuli.

— Możeś, ciociu, powiedziała prawdę. Kochać kobietę to znowu posiadać ją, żyć z nią, pracować. Kochać to się wcielić w nią, czerpać z jej ducha natchnienie i moc... Zamyślił się, nieruchomy, zapatrzony. Ciotka, zapierając oddech, czekała.

— Przysięgam ci, zanim rok upłynie, rozwiążę sobie ręce, i Marynia moja.

— Amen, rzekła uroczyście Urszula.

Pocałował ją w rękę, ona go w czoło, uścisnęli się serdecznie.

— Groziło wam obojgu niebezpieczeństwo. Dziewczęciu sieroctwo, a tobie.... Tyś upojony wielkością, zdobyciem sławy, powodzeniem, byłeś gotów poprzestać na modlitwie, jak do świętej, i zmarnować dziewczynę, którą kocham, jak własne dziecko, a matce jej poprzysięgłam opiekę nad nią. Udało mi się wybrać jej męża, którego dziecko to pokochało. Struchlałam, gdym usłyszała o pięciu latach zwłoki i modlitwie do niej. Przyznaj się, żeś sobie nie zdawał sprawy z tego stanu i ze zbrodni, którą miałeś popełnić...

— Nie zdawałem i dopiero teraz zaczynam wielkość jej oceniać. Jeżeli nie mam prawa poświęcać Maryni i jej uczuć dla stu beczek ropy, to również nie mam prawa i dla miliona beczek. Ilość tu nic nie znaczy.

— Wracasz na właściwe stanowisko...

— Lecz proszę o rok czasu pracy, gdyż nademną i Marynią panuje prawo wyższe.

— Poznaję cię, odnalazłeś się i znowu jesteś moim wybrańcem.

Rękę wsunęła mu pod ramię — poszli.

— Milioner Edward, gdy się dowie o wyjściu córki za ciebie, będzie wściekły. Ręczę, że on już dziś marzy, aby ją wydać, jeżeli nie za Radziwiłła, to przynajmniej za ministra dla Galicyi lub namiestnika. Pomyśl sobie, Edward typ szlachcica wschodniej Galicyi, z paroma milionami posagu dla córki?

— Jest to bardzo sprytny człowiek, słyszy, jak trawa rośnie, i powinniśmy przed nim utrzymać tajemnicę.

— Co może nam zrobić? Córki więzić nie będzie mógł, gdyby nawet chciał, to ja na to nie pozwolę. Gdy ją zabierzerz, będzie moja zemsta za siostrę moję!.. Wyobraź sobie, Marynia pewną jest, że listy jej do ciebie kazał przejmować na poczcie, przekupił ekspedytora.

— Proszę listy do mnie kłaść do szerokiej koperty, pisać na niej liczbę i adresować do sędziego...

— Wyborny sposób, listów z urzędowemi liczbami nie przejmuje się.

Wrócili do kancelaryi.

— Kochani idyoci, wy ludzi nie macie, zawołała Urszula. Zawsze bez jutra, i zawsze po polsku.

— Któż mógł przeczuć taką obfitość ropy w jednym szybie, tłómaczył się Feliks.

— Nic was nie usprawiedliwia. Mam jednego dzielnego nafciarza i może mi się uda zdobyć go dla was — zatelegrafuję. Jak można było tak wielkie przedsięwzięcie rozpoczynać we dwóch? Zdaje mi się, że i waszą chorobą jest radykalna choroba Galicyi — brak ludzi. Będziecie łapać pierwszych z brzegu lub brać tych, którzy się sami wcisną i wtedy będą was uczyć rozumu.

— Cioteczko, chciałaś powiedzieć, że radykalną naszą głupotą jest nieznajomość ludzi w Galicyi i nieumiejętność ich znalezienia.

— Powtarzam, ludzi brak, bo manipulantów i „oficyałów" możecie mieć kopami...

— Czyż nie mogą się zdarzyć ludzie między oficyałami?

— Licz na zdarzenia, wypadki, pioruny z pogodnego nieba. Fortuna z łaski swej raz sypnęła ci złotem, a ty żądaj od niej, aby ci z oficyałów pocztowych robiła bohaterów, bo swych bohaterów przepędziłeś tymczasem do Argentyny.

— Telegrafowałem aby wracali. Ciocia ma dziś świetną wymowę, dodał z uśmiechem.

— Bo jestem zdenerwowana i smutna, widząc was wobec tak wielkiego zadania, już dziś zrabowanych i pokrzywdzonych. Wszyscy jesteśmy słabi dlatego, że szlachetni, musimy więc padać pod ciosami zręcznych egoistów i wyzyskiwaczy. Czy to taki los małej naszej garstki, wśród mnóstwa drapieżnych zwierząt, rzucających się na ludzi... Dlatego ludzi tak mało, a może coraz mniej... Człowiek, jako lepszy typ, ginie!

Rozpłakała się. Przybiegł do niej Tadeusz.

— Droga, kochana ciociu, nic nie jest jeszcze stracone. Ze zwierzętami będziemy walczyć, ludzi szukać i tulić ich do siebie...

— Naftę kopać i ludzi szukać, i walczyć z niższą rasą, i bronić się za ciężka praca na dwóch — nie podołacie!...

— Będzie nas trzech z tym, którego ciocia przyszle, a za dwa miesiące wrócą z Argentyny nasi dzielni ludzie. Opuściłem kraj młodzieniaszkiem, dziesięć lat w nim nie byłem. Czyż ja mogę znać i kraj i ludzi w nim? Lecz powoli będziemy się, jako żórawie, zwoływać. A ze zwołanych ani jednego nie wypuścimy już za kraju szranki.

— A jeśli żórawi niema? szepnęła Urszula.

— Znajdą się, wyrosną. Jeśliby ich nie było, to lepiej podminować kopalnię i razem z nią wylecieć w powietrze...

— Do towarzystwa zaproścież mnie i Marynię...

— Nie zostawilibyśmy was samych! Tymczasem cieszmy się tem, co jest dziś, bo z tego, co jest, zdaje się, że Bóg jest z nami, lepszy typ się dźwiga.

Zmęczeni zamilkli, każde z osobna pracowało mózgiem. Przez otwarte okna słychać było nawoływania ludzi, granie łańcuchów i jęk ziemi pod uderzeniami wielkiego świdra w nowym szybie.

— Dajcie mi dziś milion, a w trzy lata oddam wam trzy, rzekł w połowie do siebie Tadeusz.

Powiedzenie to ocuciło Urszulę.

— Skąd go weźmiesz? Nie masz hypoteki, nie grasz w giełdę, weksle twoje dziś jeszcze nic nie znaczą.

— A więc dziś to tylko życzenie. W swoim własnym interesie powinien mi pomódz pan Edward.

— Nie pomoże, za dobry finansista czyli inaczej na takie rzeczy za nizki typ.

— Jeżeli drugi szyb da tyle ropy, co pierwszy, zabraknie nam fur do jej odstawy, przy znanej nieporadności Rusinów. Potrzebuję miliona i chociaż z pięciu ludzi, dokończył cicho. Ostatnich wyrazów nie słyszała Urszula.

— Czy chcesz moich pięćdziesiąt tysięcy — spytała.

— Dziękujemy, zawołał Feliks, niech będą u szanownej pani na czarną godzinę.

— O czarnych godzinach myślicie przy tysiącu guldenów dziennego dochodu?

— I milionie długu, dodał Feliks, o który się staramy, przy utracie połowy brutto dochodów.

— Chodź, zwróciła się do Tadeusza, pokażesz mi miejsce, w którem ma stanąć krzyż. Czy to czasem nie wasza Golgota?...

— Całe nasze życie wśród otoczenia, w którem żyjemy — to Golgota...

— Krzyż ten widocznie stawiacie dla siebie?

— To godło nasze. Nie wiem, czy Marynia w wiośnie swego życia miała tę myśl, lecz gdy zażądała krzyża, umysł mój raptownie oświeciła błyskawica bólu i przeczuć...

— Za mało ludzi, jako lepszego typu—i dlatego Golgota stoi...

Zadumali się głęboko...

— Biedaku, mówiła dalej cicho, przychodzą ci smutne myśli, a wieluż to na twem miejscu byłoby szczęśliwych, piłoby rozkosz życia!?

— Niezawodnie, lecz każda idea ma to do siebie, że nie może stanąć, nie może się zatrzymać ani chwili. Gdy staje — umiera! Ta troska o jej życie, o jej rozwój jest naszą Golgotą i naszym rajem, naszem szczęściem i męczarnią. Już dziś my, ciocia, Marynia i ja, patrzymy na rozkosze życia, jak na marną zabawkę, jak na chwilkę uciechy, która nas rychło nuży i męczy, a wzrok i pragnienia wyciągamy daleko po za sferę uciech, które są uciechami niższego typu, sprowadzającego nam Golgotę, lecz ta Golgota to i miłość i rozkosz ducha, i tęsknota, jako przeczucia nieskończoności!... Czyż jest inny wybór, powiedz, droga Pani!

— Całem życiem mówię, kto jestem, szepnęła wzruszona...

— I dlatego się zapytałem. Nie pytałbym o to pana Edwarda. Biedak nie zrozumiałby mnie.

— I z nim ani jeden od Przemyśla do Brodów i Czerniowiec! To jeszcze niższe typy, otynkowane blichtrem wiedeńskim...

Stanęli, patrząc na siebie. Urszula czytała w rozmarzonych oczach młodzieńca wielką miłość i wiarę, a na ustach zobaczyła uśmiech smutny pół męczennika i tryumfatora w męczeństwie. Odczuła ten uśmiech, ujęła jego głowę w swe silne ręce i pocałowała go w czoło.

— Wiesz, za com cię w tej chwili pocałowała?

— Nawet się nie domyślam.

— Na podziękowanie, że dobrego męża wybrałam dla Maryni, tylko się boję, aby rosa oczu nie wyjadła, nim słońce zejdzie.

— O, i ja dosyć mam już tej rosy i pragnę wzejścia słońca. Nie uwierzysz, ciociu, czem jabym był, gdybym miał przy sobie Marynię z jej idealizmem i wesołością. Czuję, żebym dostał w darze drugą duszę, drugą siłę, drugą energię, spokój filozofa i uśmiech dziecka. O ileby dusza moja we mnie wzrosła!

— Teraz czuję, że pragniesz! Podłość fatalizmu polega na tem, że nędzników zawsze ze sobą łączy, a nam kładzie się w poprzek i rozdziela?!

— Nie byłby inaczej fatalizmem tego świata.

Zatrzymali się u podnóża świerkowego lasu, okrywającego górę. Przecięcie już było zrobione i uprzątnięte. Na wierzchołku cieśle dźwigali potężny krzyż z nieociosanego drzewa. Tadeusz zaczął im rzucać rady i rozkazy — poszedł do nich. Za nim wolno pod górę szła Urszula.

Krzyż stanął, obijali go ziemią i kamieniami, spódobłożyli darniną. Tadeusz kazał uprzątnąć wióry, podał rękę ciotce, pociągnął ją na szczyt.

Oparci o szare drzewo patrzeli przez wyciętą linię na dolinę, niebieską rzeczkę, wieżę szybu, kopalnię. Ludzie z tego oddalenia podobni do mrówek. Nie słychać było ani jęku ziemi od uderzeń świdra, ani głosów ludzkich...

— Z tak niewielkiej wysokości oto sprawy nasze i my — mrówki.

— Małe, rzekł Tadeusz, lecz co nas czyni olbrzymami, to wielki duch, który obejmuje świat i do niebios sięga. To nasza siła. My mrówki, lecz nam świat ten za mały — idziemy do słońca i poza słońce, do światów miliona. Obejmujemy całość naszymi małymi mózgami, a na ziemi świdrujemy góry, pioruny bierzemy w niewolę i rzeki cofamy. Wszędzie potęga ducha zwycięża — i ten krzyż symbol miłości świata. Ciociu, jednostka jest niczem — naród jest wszystkiem.

— O tyle naród jest wszystkiem, o ile jest kierowany przez wyższe jednostki, rzekła Urszula.

— Tak, tak, te lepsze jednostki to ludzie narodu.

Robotnicy odeszli, Urszula i Tadeusz usiedli u stóp krzyża. Powiem Maryni, rzekła, jak tu jej wola jest szanowana. Urocze miejsce i to pewno twoja ulubiona wycieczka...

— Radbym z nią tu być!...

— Zdaje się, że już skończone jej podróże do Swobody po chęci przejmowania listów przez ojca. Milczy kochanek, bo się was obojga boi, lecz pewno przeklina dzień, w którym was poznałam, i mnie przeklina, chociaż biedaczek nie pamięta pewno o tem, że tylko skutkiem mego zbliżenia ciebie z nim, ściąga dziś do kieszeni bez żadnej pracy po tysiąc guldenów dziennie. Boże, jakże ta Marynia będzie bogata...

A ja przysięgłem sobie i dziś tę przysięgę powtarzam, że je-

dnego grosza z posagu Maryni nie wezmę ani dla siebie, ani dla niej, ani na przemysł, ani na handel. Oboje go przeznaczamy na inwestycyę ducha narodu, na najpiękniejsze i najsilniejsze jego potęgi, na odrodzenie jego ducha w literaturze i sztuce. Dwie te najpotężniejsze siły nasze jęczą u nas w niewoli babilońskiej, bite przez barbarzyńców, maltretowane przez przekupniów, robione, jako towar, przez zjadaczy chleba.

— Marynia niezawodnie uszczęśliwiona z tego projektu. Przysięgłam cieniom jej matki, że córka do niej będzie podobna, i powiedz, czy nie dotrzymałam przysięgi?

W odpowiedzi Tadeusz wyjął list Maryni, podał go Urszuli i zamyślony patrzał na słońce, kąpiące się w krwi i wolno zapadające za ciemną, zbitą masę świerków. Urszula czytała w skupieniu ducha.

— To córka mej siostry i mej duszy, szepnęła, tylko więcej odemnie wydelikacona, więcej nerwowa, za mało zahartowana. Ale i ona zdobędzie się na siłę i energię — zobaczysz! A będzie jej potrzebna, jeśli tak ciężko układają się sprawy wasze.

Słońce stoczyło się za czarną ławę lasu, w jego miejscu stanęła ciemna chmura, brzegami oróżowiona purpurą i srebrem.

— Ciociu, patrz to losy nasze, chmura idzie zwolna za słońcem, szczyty jej jasne pasy nadziei i przyszłości. To nasza droga, idziemy do słońca!

Urszula oddała mu list.

— Chowaj wszystkie jej listy, w nich się odźwierciadla dusza dziewczęcia. Jest w listach swych szczera, jak na spowiedzi — dobra i na wszystko przygotowana. Stanowczość swą uważa za obowiązek, za konieczność, za nieodwołalne prawo!.. Wygrałeś wielki los — a teraz wracajmy, czas na mnie, spojrzała na zegarek. Za cztery godziny odchodzi kuryer z Kołomyi. Kiedyż będziesz we Lwowie — Edward dziś nie głupi przywozić córkę, musisz sam do niej pojechać.

— Gdy tylko ciocia przyszle trzeciego pracownika, jadę do Lwowa.

Wracali szybko, radzi z siebie, usiłując się pozbyć smutnych przeczuć, które, ukryte w zakątkach serc, od czasu do czasu wydobywały się na wierzch, szarpiąc nerwy.

Urszula siadła na wózek, Tadeusz odprowadził ją do rzeczki, ucałował jej ręce — odjechała.

ROŹDZIAŁ VIII.

Wieść o odkrytych wielkich skarbach w majątku pana Edwarda rozeszła się błyskawicami po Lwowie. Całe miasto zaczęło składać mało znanemu dotąd szlachcicowi dowody uznania, szacunku, nawet czci. Salony, dotąd do połowy dla niego otwarte, rozwarły się naróścież, córkę jego witano z entuzyazmem, unosząc się nad jej pięknością, elegancyą, dowcipem, a nadewszystkh szykiem, o którym dziewczę to nie miało pojęcia, a tem mniej starało się o niego. Wdzięk odziedziczyła po matce, arystokracyę ducha po Słowackim, czego nie dostrzeżono w salonach lwowskich, nie znając matki i Słowackiego. Wszystkie uniesienia szły na rachunek milionów, wylatujących z otworów ziemi w Swobodzie.

Pan Edward umiał wyzyskać ogólny zachwyt ludzki i pokorę przed milionami. Reporterów przyjmował łaskawie, niektórym właścicielom pism dawał do zrozumienia, że nabędzie ich dzienniki. Jednemu z najnatarczywszych dał subwencyi pięćset guldenów. Robił, co mógł, jak sam rozgłaszał, dla kraju i sławy narodu, po cichu myślał o poselstwie i wejściu do rady państwa.

Jako zbytek dobrego humoru po otrzymaniu świeżych wiadomości ze Swobody, powiedział do siebie.

— Pokażę wam, jak się prowadzi ministerstwo dla Galicyi i nauczę, jak szlachcic polski córkę jedynaczkę potrafi wydać za mąż.

Na konkurentów patrzał z góry, a do córki mawiał wesoło:

— Przeczułaś widocznie, że ci język angielski będzie bardzo potrzebny. Wy, kobiety, więcej macie dobrych przeczuć, aniżeli my, mężczyzni.

— Dlaczego, ojcze? spytała Marya.

— Zaraz wszystko dlaczego? Kobiety przedewszystkiem są ciekawe, u nich zaraz dlaczego? I dlatego Ewa przy jabłoni tak łatwo porozumiała się z szatanem... Ciągle go pytała: dlaczego?... Dla tego że pojedziemy do Londynu i będziesz ojcu cyceronować!

— Zgoda, byle nie na długo...

— A teraz na mnie kolej spytać się dla czego?...

— Nie lubię na długo opuszczać kraju, tęsknię za nim. Z tęsknoty mizernieję, nostalgia mnie zabija...

— Cóż za potok wymowy! Nasze panie całe życie siedzą za granicą, a nie mają pojęcia o nostalgii.

— Należało mnie wychować na jedną z nich. A gdy się wychowałam na inną...

— Przepraszam, rzekł szybko, przypominając sobie poselstwo. Myślisz, że ja nie szanuję patryotyzmu i nie jestem patryotą. Bogu dziękuję, że mam córkę patryotkę, albowiem patryotyzm jest obowiązkiem porządnego szlachcica.

Mówiłby dalej i dłużej, gdyby nie uśmiech na ustach córki.

— Cóżto, śmiejesz się? zawołał urażony.

— Uśmiech radości z potoku wymowy na temat patryotyzmu. Dawniej rzadko wyraz ten słyszałam w ustach ojczulka.

— Dawniej człowiek był zapracowany, westchnął, — ciężko zapracowany dla kawałka chleba. Dziś, gdy mogę przecie troszkę odetchnąć, przychodzą szczytne idee. Rozumiesz mnie?

— Rozumiem i cieszę się, że się spotykamy na tym gruncie. Co tu, ojczulku, do roboty!

— Tylko ty mnie przynajmniej nie karotuj, moja droga! Dobroczynne instytucye golą mnie, aż miło.

— I znowu się nic nie rozumiemy!? Nie traktuj, ojcze, obowiązków względem kraju, jako jałmużnę. Nasze stowarzyszenia same dają sobie radę bez żebraniny — w takich jestem.

— Jesteś — nie wiedziałem! Taiłaś się przed ojcem, ładnie to?

— Nie pytałeś się — sądziłam, że nie chcesz wiedzieć.

— Ja, ojciec, nie chcę wiedzieć, co córka moja robi, jakie ma polityczne przekonania, kogo forytuje do sejmu.

— Ależ ja się tem nie zajmuję.

— A więc czem? Ach prawda, szkołą w Białej, czy czemś podobnem takiem!... Machnął ręką. Jesteśmy dziś na operze, potem na raucie u księżny, proszę cię, bądź ładna i miej ten sam szyk, twój szyk, którym się ludzie z towarzystwa zachwycają.

— Nie mam go, odpowiedziała swobodnie.

— No, no, nie udawaj, nie graj roli pensyonarki, bo to także szyk naiwności, ale już przestarzały. O w pół do ósmej wyjeżdżamy do teatru. Do widzenia, moja dyplomatko. Taką jesteś dyplomatką, że nawet z ojcem dyplomatyzujesz....

Wyszedł.

— Ja jestem dyplomatką, powtórzyło dziewczę. Ja i dyplomacya, co to znaczy? Dlaczego ja z moim ojcem nigdy nie mogę się porozumieć? Wpadła w zadumę. Pewno dlatego, że ja jestem naiwną i szczerą, a ojciec mój dyplomntą. Westchnęła, szepcząc: Któż jestem, jeśli o sobie powiedzieć nie mogę: „Ja jestem gwiazdą życia, co o świcie, skąpana w krwawej jutrzence, wychodzi różana — a dzień będzie wtenczas biały, gdy ja zagasnę!...

Urszula włożyła pięćdziesiąt sztuk biletów z pyzatymi aniołkami do skórzanej torby, łańcuszki jej okręciła silnie koło ręki i wyszła wzruszona przez plac Maryacki do galicyjskiej kasy oszczędności.

Na pierwszem piętrze w kancelaryi przy olbrzymiem biurze pracował wysoki o srebrnym włosie, łagodnem spojrzeniu, szerokiem czole mężczyzna. Owal jego twarzy okrywała broda, jak śnieg biała, pod orlim nosem wąs delikatny, jedwabisty.

Zobaczył wchodzącą Urszulę, uśmiechnął się rad i mówił:

— Zaraz, zaraz, tylko dokończę, rachował szybko półgłosem.

Urszula siadła, wpatrując się z upodobaniem w sympatyczną twarz, zdradzającą dużo energii, odwagi i męskiej dzielności...

— Skończyłem, zawołał, rzucił pióro i powstał. Szanowną koleżankę witam! Co sprowadza poetkę życia do tej nory cyfr, procentów i pieniędzy?

— Piękna mi nora, odparła Urszula, podając rękę do uścisku. Nie uwierzysz, dyrektorze, z czem przychodzę.

— Z podpisanym wekslem. Z czemżeby do starego i kasy, mości dobrodzieju?

— Nie zgadłeś, przychodzę do kasy z pieniędzmi!

— I nie wydałaś ich pani po drodze, moćdzieju, a to ciekawe!

— Czekaj, dziecko, dopiero je tu wydam.

Urszula wszystkich przyjaciół, których lubiła, nazywała dziećmi.

— Dochowałaś się miłego gagatka.

Urszula położyła pakiet tysiącguldenowych papierów na stole

— Tyle, zawołał dyrektor, skąd, jak?

— Powinno tu być za rok pół miliona, lecz mnie oszukano podstępem.

— Skarżyć — zawołał, licząc szybko.

— Wszystko się stało legalnie. Zrabowano mnie prawnie.

— Pięćdziesiąt tysięcy! Ależ to grosz! Więc co się stało?

— Sprzedałam dziesięć procentów na całą kopalnię w Swobodzie za nędzne sześćdziesiąt tysięcy. Dziesięć zatrzymuję w domu na drobne wydatki. Jestem skończona idyotka, jeden szyb daje dziś dwa tysiące dziennie. Miejsca jest na pięćdziesiąt szybów, a może na sto.

— Już wiem — pan Edward brał tydzień temu sześćdziesiąt tysięcy, niezawodnie dla panny Urszuli. Wczoraj opowiadał mi cuda o kopalni i dochodach swych.

— Wszystko prawda! Ma pięćdziesiąt procentów brutto.

— Obdziera bogactwo narodowe.

— Obdziera, zawołała Urszula. Z jego bogactw dla kraju ani centa, ani okruszyny — nic!...

— Jak mógł przedsiębiorca podpisać taki kontrakt?

— Musiał, przysięgam ci, musiał!... Serce, uczucie, miłość... Dyrektor machnął ręką na znak, że stare panny do wszystkich spraw tego świata mieszają serce, uczucie, miłość...

— Ależ to prawda!...

— Dajmy na to, moćdzieju. Skąd pani, panno Urszulo, przyszłaś w posiadanie dziesięciu procentów na całą kopalnię?!

— Przedsiębiorca, synowiec mojej dalekiej krewnej, dzielny chłopiec, całą duszą nasz, wychowany w Anglii...

— I mówi po angielsku!?

— Jak anglik! Gdy jeszcze nie zaczął kopać, dałam mu połowę mego majątku na ryzyko. Sam dziesięć procentów naznaczył, wygrałam, i oszukano mnie, jak naiwną w starej komedyi francuskiej

— Nic nie mówiąc o miłości...

— Ani słowa.

Zaczęli się oboje śmiać.

— Znasz pani kopalnię?

— Wczoraj wróciłam. Jeżeli nie zbudują rurociągów i rezerwoaru czyli magazynu, to niedługo nie będą w stanie przewieźć wydobytej ropy. Zabraknie fur i koni. Czy to nie grzech?...

— Pewno, a kraj nie ma kredytu na rzeczy przemysłowe. Banki nasze rzną wekslówkę, jak Żydzi na Wałowej... O przemyśle krajowym wiedzą tyle, co ja o romansach francuskich, obchodzi on ich tyle, co zeszłoroczny śnieg.

— Więc cóż ich obchodzi?

— Karyera, moćdzieju, i siedem procentów od weksli. Żyją karyerą i wekslami drobnymi, jak manną, jak rosą niebieską, jak deszczem w maju. I moja kasa również rznie wekslówkę i umieszcza kapitały na ziemi szlacheckiej — i to cała parada, dalej ani rusz — nie wolno.

— Kasa twoja, tyś tu pan, rób, co się da, dla dobra przemysłu.

— To też robię, co mogę, i ile się da, że nieraz skóra na mnie cierpnie!... Ale, myślę sobie, jedno życie, trzeba coś po sobie zostawić.

— Tak, tak, prawda...

— I dotąd jakoś mi się udaje. Ale mogę beknąć!...

— Nie bekniesz, tylko śmiało! Wszyscy ten biedny kraj obdzierają, a nikt mu ręki nie podaje, nikt go nie dźwiga!...

Siwowłosy starzec, w ruchach i energii młodzieniec, zaśmiał się wesoło.

— Oj te kobiety, kobiety kusicielki. Cóż mam zrobić z tymi pięćdziesięcioma papierami?

— Ośm książeczek na załączony spis instytucyi po tysiąc, a na szkołę ludową dwa — to razem dziesięć tysięcy — czterdzieści dopisać w mojej.

Dyrektor rzucił okiem na podany spis.

— Dźwigasz najuboższe i najpotrzebniejsze nasze, walczące, Bóg ci zapłać.

Pocałował Urszulę w rękę.

— Za co mnie całujesz? Przecież to moja sprawa.

— A moja nie?...

Służący wszedł na palcach, podając list dyrektorowi.

— Kto przyniósł?

— Młody człowiek — czeka.

— Zabierz pani pieniądze i przez salę prosto idź do buchaltera, pieniądze weźmie, książeczki wyda, i wracaj do mnie tą samą drogą.

Szybko się w kasie załatwiono z przyjaciółką dyrektora, pieniądze wzięto, książeczki wydano. Wracając z pustej sali posiedzeń, przez uchylone drzwi od kancelaryi zobaczyła bladego o zmęczonej twarzy młodzieńca. Stał zakłopotany, z oczu wyglądały mu strach i niedola.

— Bo co pan będziesz u mnie w kasie robił? Trzydzieści guldenów na miesiąc.

— To suma, szepnął, dla tego, co ma całego majątku: trzydzieści centów.

Urszula drgnęła, przysunęła sią do drzwi, wyjmując piętnaście guldenów—słuchała.

— Szkoda pana marnować na dyurnistę o trzydziestu papierkach na miesiąc.

— Głód silniej i szybciej marnuje.

— Przyjaciel mój bardzo serdecznie o panu pisze. Czem pan byłeś?

— Kupcem ze skończoną szkołą handlową.

— Subjektem!...

— W handlu win i korzeni.

— I dlaczego rzuciłeś kupiectwo?

Milczał.

— Odpowiadaj.

Urszula wytężyła słuch.

— Koledzy mnie wygryźli.

— Domyślam się, nie chciałeś razem z nimi do spółki trzymać, czyli, po galicyjsku, manipulować.

Młodzieniec pochylił głowę i milczał, nie chcąc oskarżać kolegów.

— Dlaczego nie pracujesz w swoim zawodzie?...

— Nie mam rekomendacyi. Wydalono mnie!...

Dyrektor znowu rzucił okiem na list.

— Otwórz sklep na siebie.

Młody człowiek smutno się uśmiechnął.

— Z trzydziestoma centami kapitału, szepnął.

— Tak, prawda, lecz możesz pożyczyć.

— Nie znam nikogo z możnych.

— Nikogo, powtórzył dyrektor, nikogo, moćdzieju. Mnie znasz, pożycz odemnie.

— Pan dyrektor żartuje sobie?!

— Z biedaków żartów się nie stroi. Zaczekaj, siadł przy biurku — pisał.

— Wiele potrzebujesz na początek?...

— Żeby skromnie zacząć, trzy tysiące.

— Ale cóż ty zrobisz z trzema?... Daję pięć, żebyś zaczynał uczciwie i śmiało.

Urszula cicho wsunęła się do kancelaryi.

— Oto skrypt, dłużny na pięć tysięcy guldenów, podpisz go a to kwit do kasy. Spłacaj przez sześć lat po pięćset rocznie, a ostatnie dwa po tysiąc....

— Panie dyrek.... nie mógł mówić, głos mu zamierał w gardle.

— Wiem, co chcesz powiedzieć. — Słuchaj: Skonam, a oddam! To jest napisane na twojem czole. Wierzę ci i wierzę listowi przyjaciela. Do tego jesteś młody, zdrów, a w oczach spryt i energia. Trzeba handel krajowy brać we własne ręce. A kto go weźmie? Ja nie, bo jestem dyrektorem, zbankrutowany szlachcic także nie, bo on całe życie chwytał sprawy życia przez palce faktorów i ekonomów. Panna Urszula, urodzona z hrabianki, mająca w jednej kasie pięćdziesiąt tysięcy, arystokratka.

— Cicho! zawołała Urszula, pochwyciła ze stołu kwit do kasy i, kładąc go w rękę młodzieńca, powiedziała: Gdy będziesz potrzebował bieżącej gotówki, masz u mnie zawsze na zawołanie tysiąc guldenów. Przychodź i bierz...

— Patrzcie, te stare panny, odezwał się wesoło dyrektor, wszędzie muszą kłaść serce i trzy grosze.

Młodzieniec, drżąc ze wzruszenia, całował rękę Urszuli, a potem przypadł do ręki dyrektora, a gdy się ten bronił:

— Niech całuje, zawołała Urszula, ręka ta robi ludzi, a więc daje wszystko, co dać można, chociaż nieraz głowę kładzie pod ewangelię.

— Za mnie jej nie położy, zawołał wzruszony młodzieniec i, tamując chustką łzy, wydobywające się z oczu, wybiegł...

Dyrektor i Urszula stali, zapatrzeni w siebie.

— I dużo w roku miewasz takich dobrych chwil, jak ta? spytała.

— Jak Bóg da, a nie zawsze są dobre. Czasem się wściekle sparzę, ale takich, jak ten, co na ludzi wyszli, w samym Lwowie powinno być więcej, niż stupięćdzięsięciu.

— Stopięćdziesiąt, a ja nie miałam w całem życiu dwudziestu. Ale bo i nie mam milionowej kasy.

— A pomyśl pani, moćdzieju, wielu się uratowało od ruiny, od bankructwa, od upadku, nędzy, zbrodni... Lwów i prowincya mogą coś o tem powiedzieć — i, choć dam głowę pod ewangelię, to, co zrobiło, zostanie w kraju na lata. Wnuki tych, których dziadów się dźwigało, nie będą wiedzieć o tem, ale siła zamożności i zdrowie będzie w nich tkwić i rodzić owoce.

— Rozumiemy, powtórzyła uroczyście Urszula, wyciągając rękę. Głowy nie położysz pod ewangelię, mieszczanie pomnik ci postawią — naród to wdzięczny!...

— Chcąc na pomnik zasłużyć, trzeba samemu moc pomników stawiać trwałych. A więc mówisz pani, że w Swobodzie ropa wielka?...

— To nie ropa, ale miliony. Ratuj je!

— Zobaczę. W niedzielę jedźmy tam. Muszę przecie poznać nowe bogactwa i nowego Anglika.

ROŹDZIAŁ IX.

Swoboda.....

Maryniu moja!

„Ciągle mnie wznosisz do się, różo złota,
Zawsze widziana w przededniu żywota"...

ducha mojego...

Każdą nowo rodzącą się myśl pragnę w jej zaraniu nieść tobie, jeszcze pachnącą świeżością i niepokalaniem, nie zatrutą krytycyzmem, nie zeszpeconą zwątpieniem, dziewiczą, wychylającą się nieśmiało, ciekawie z zwojów mego mózgu.

Samotność już mnie wyczerpała, praca zmęczyła, tęsknota zwycięża. Tęsknię za tobą, pragnę cię mieć, pragnę patrzeć na ciebie, słuchać muzyki twego głosu, upajać się twą szczerością, przędzą twych myśli, któremi czynisz mnie lepszym i silniejszym!... więc rzuć lwowskie mrowisko i stań przede mną, piękna i młoda, z odwagą i siłą, z uśmiechem dobroci na ustach i głębią, pełną przeczuć, w ciemnych szafirach twych oczu.

„Przyjdź! A zawsze jedną tę serdeczną ranę przyciśniesz w piersi rękami obiema". Nikt nie ma prawa więcej ode mnie wymagać nad to, co dać mogę, nad to, co jestem w stanie. Nikt nie ma prawa wymagać ofiar odemnie nad me siły — nawet Ty!... Przyjdź więc, połóż rękę na mem ramieniu i powiedz: jestem. Pochylę się, obejmę twe kolana i cichy, pokorny, wdzięczny całować je będę, bo mi się zdawać będzie, że duszę mą zwracasz.

Oddaj mi duszę moją! A ponieważ schowałaś ją w głębiach serca swego — przynieś serce, ja ją odnajdę... Maryniu droga! Światło oczu moich, pieśni serca mego, wysłuchaj mnie! Maryniu moja słoneczna i czysta, zmiłuj się nademną. Z tobą zawsze silny i dobry, czując w sobie radość, będę ją dla innych tworzył, rękami ją łamał, jak chleb, i naokół ludziom rozdawał.

Ty rozdajesz je bezemnie, lecz teraz razem ją będziemy dawać, powiedziało dziewczę z siłą spokoju, kładąc list...

A więc stało się, wzywa mnie, prosi, pragnie, chce! Nikt nie ma prawa w imię żadnych spraw, form, skrupułów, a nawet idei zakazać mu tego.

— Na co ja mam czekać?

Spojrzała na portret matki.

— Wielkie oczy, owal Madonny, smutny uśmiech dobroci, zdaje się, że mówią mi: idź!... Matko, szepnęła, — pójdę. Tobie jednej wolno sądzić i wyrok na mnie wydawać; ojciec pocieszy się milionami!

Wzruszona stanęła na łóżku, podniosła się na palcach i pocałowała wązkie, długie czoło matki.

— Pójdę, kiedy się nie gniewasz, pójdę, kiedy pozwalasz... Nieraz, gdy jeszcze byłam dzieckiem, mówiłaś mi: „Pragnę dożyć tej chwili, kiedy obie, serdeczne przyjaciółki, będziemy żyć bez tajemnic dla siebie, jak bratnie dwie dusze"...

— Gdybyś dożyła, nie byłoby dziś już tajemnic, wiedziałabyś, kto on, znałabyś go, kochała i powiedziałabyś: — idź!

Dla ciebie Słowacki był geniuszem i kochankiem, to i jego pokochałabyś tyle, ile mnie, bo my oboje z rodu twego serca. Ty go pewno już kochasz, matulu moja.

Słuchała jakby odpowiedzi matki.

— Ha, wzywa mnie, więc pójdę, jako konieczność! Przecież nie jestem tyle nikczemna, aby go bałamucić dla przyjemności bałamucenia! Wzruszyła ramionami. Heterą, zabijającą serca ludzkie, nie jestem! Na taką rolę mnie nie stać. — I nie wiem nawet sama, skąd mi przyszły do głowy podobne myśli — dziś w tak uroczystą chwilę mego życia?...

Nareszcie jego będę. Pragnie patrzeć w me oczy i myśleć przy mnie głośno! Ja myśli te będę zbierać, jedne posyłać w góry i kryć w świerkowych lasach, drugie więzić w mej pamięci lub notować. Niech żyją żywe, świeże, pełne uroków jego natchnień...

Idę — matko, jeszcze się z tobą pożegnam, dziś tylko mnie pobłogosław na szczęśliwe postanowienie.

Zadzwoniła, każąc zajechać koniom, list wsunęła do pularesu, pojechała do ciotki.

Urszula, wzruszona wizytą u dyrektora, rozpromieniona, chodziła energicznie po saloniku z założonemi poza siebie rękoma.

Weszła Marya, wyciągnęła ręce.

— Przychodzisz w najlepszą porę. Gdybym się nie bała twego ojca, samabym wpadła do ciebie.

— Pojechał dziś rano, wezwany telegramem do Wiednia.

— Tem lepiej!...

— Ciociu, padła na kanapkę, zamknęła oczy i wyszeptała: wzywa mnie!

— Wybornie, pojedziemy razem.

Podała jej list Tadeusza.

Urszula czytała powoli.

— Rozumiem Tadeusza i cenię — rzekła spokojnie. Nikt nie ma prawa zmuszać go do gwałcenia swych uczuć. Jeżeli się kochacie i dla przyszłości waszej chcecie się połączyć, czy jest jakakolwiek siła, któraby was mogła rozdzielić?!... Jeżeli wy tego chcecie serdecznie, Bóg wam błogosławi.

Ojciec twój ma inne zamiary, lecz ojciec to nie Bóg. Ojciec chce cię pewno sprzedać swej próżności, swemu egoizmowi, swoim interesom. Lecz ty, na Boga, nie jesteś na sprzedaż i sama masz prawo decydować o swym losie. Próżność szlachcica szepcze mu: sprzedaj ją za tytuł galicyjskiego hrabiego, abyś został ojcem hrabiny.

Egoizm mówi mu: sprzedaj ją jednej z rządzących rodzin w Galicyi, to i ty będziesz miał udział w rządzie. Panować, jakże miło— a przytem jakże łatwo robić dobre interesy przy jego sprycie geszefciarskim.

Pochyliła się nad Marynią, rozgarnęła jej włosy na czole i pocałowała.

— Błogosławi ci twoja matka z nieba. Często mi powtarzała... Niech dziecko moje wychowa Słowacki, a ty mu dobierz do tego wychowania męża. Nie będzie ona po światowemu szczęśliwa, lecz za to życiem swem będzie bliżej mnie.

Dziewczę wyciągnęło ku niej ręce...

— Chwila stanowcza nadeszła, mówiła dalej Urszula, trzeba raz postawić nogę na drugiej połowie życia. Dziś posyłam trzeciego do nich nafciarza — dzielny, optymistyczna natura, nie boi się pracy... Tadeusz będzie mógł pojechać z tobą do Węgier wziąć ślub. O wszystkiem pamiętam — tylko śmiało! ..

— Boję się, żeby sobie nie pomyślał, że mu się narzucam i przestał mnie kochać, szepnęła Marya.

— Dziecko, przecież on wzywa i błaga.

— Może nie powinnam zaraz lecieć...

— Przesądy, jakież to wielkie olbrzymy, zawsze światło prawdy zasłaniają!...

— Pójdę, przerwała z siłą...

W tej chwili dał się słyszeć dzwonek telefonu.

— Coś nowego, zawołała Urszula, odzwoniła, przyłożyła słuchawki do uszów, zawołała:

— Halo! kto tam, jestem — czego?

— Zaraz, co za gorączka — moćdzieju.

— To ty, dyrektorze!

— To ja i, jako ja, jutro mogę jechać do Swobody. Radbym pojechać z panią, proszę o odpowiedź.

— Doskonale, pojedziemy. Zatelegrafuję po konie i do widzenia jutro o ósmej rano na dworcu.

— Dobrze: do widzenia.

Urszula zwróciła się do Maryni.

— Wiesz, co to znaczy?

— Skądże mam wiedzieć?

— To znaczy, że jutro jedzie z nami do Swobody milion, jako pożyczka! Rozumiesz, co to znaczy, milion pożyczki. Ja to zrobiłam. Tadeusz uratowany, bogactwo narodowe dźwignięte. Jakżem dumna, ja to zrobiłam.

Podchwyciła Marynię w pół, podniosła i pocałowała w usta.

— No, i ty jesteś uratowana. Tatunio twój, gdy zobaczy milion pożyczki, zmięknie, rozczuli się i przyciśnie was do ojcowskiego pełnego miłości serca. Spółka spółką, a wykradzenie córki wykradzeniem. A nawet ty wykradasz. Ha-ha, to dobre, będziesz głośna w całej Galicyi, będziesz miała sławę, a do tego miliony, i co ci zrobią?!..

Maryni łzy popłynęły z oczu; milczała przerażona, smutna, złamana.

— A gdzież się podziała twoja odwaga, twoja dzielność, twój hart duszy?

— Boję się, nie wiem czego? Milionowych pożyczek, siebie samej, boję się o niego. Czemuż to ludzie w ciszy i spokoju nie oddają się miłości i szczęściu?...

— Doszliśmy do kresu! Moja Marynia marzy o cichem szczęściu urzędnika — i chce zamienić Tadeusza w pocztowego oficyała, aby chodził co rano do biura, wracał o trzeciej, jadł obiad, spał, a wieczorkiem pod rękę z magnifiką maszerował do jezuickiego ogrodu.

— Dosyć, zmiłuj się, ciociu, dosyć.

Zadzwoniono silnie.

— Schodzą się na posiedzenie. Przejdź do mej sypialni i przez przedpokój wracaj do siebie. Odpocznij, wyśpij się, jutro o ósmej na dworcu... Nerwy grają, z ekstazy wpadają w omdlenie, lecz dzielność twej matki zwycięży! Padła, a nie dała się złamać. Taką ty jesteś, moje dziecko... Do widzenia, ja lecę do pracy... Gotów-

ki troszkę jest, a zatem i wielkie projekta podnoszą łby i ździwione wytrzeszczają oczy!...

Schodzącemu dziewczęciu jakaś błyskawica, zrodzona w głębiach serca, oświeciła mózg, zdusiła ją w gardle i dreszczem wstrząsnęła organizm.

Stanęła przerażona, blada. Błyskawica mózgu oświeciła przyszłość. Zobaczyła przepaść, w którą sama popchnęła Tadeusza... Zrozumiała odrazu wszystko: ojciec zabiera połowę dochodu, a druga nie wystarczy na pokrycie milionowego długu.

— Ruina, krzyknęła, zbiegła ze schodów, skoczyła do powozu.

— Matka mnie ostrzegła, powtarzała, jadąc do domu. Za jej łaską w świetle błyskawicy zobaczyłam przyszłość... Idę do niego!.. Niech nas ojciec wypędzi, zabierze wszystko, znajdziemy pracę i kawałek chleba. Kopalnia pójdzie sama dalej. Idę do niego, stanę przy nim, i żadna siła nie oderwie mnie od niego... Idę i chcę, aby nas ojciec wypędził, — pójdziemy wypędzeni z piekła do naszego raju! Praca się wszędzie znajdzie, praca o szerokich widnokręgach.

Weszła po cichu do swego pokoju.

— A więc jutro on mój. Mój Boże, już jutro na zawsze, na całe życie, na wieki!.. To *na wieki* to straszne!...

Spojrzała na portret matki.

— Na wieki i z tobą się połączę, i będzie nam we troje dobrze. Będziemy patrzeć na świat i zsyłać dobrym ludziom błyskawice myśli.

Skoczyła na krawędź łóżka i pocałowała usta matki.

— Uśmiechasz się, zdaje mi się, że jesteś ze mnie rada... Wybierajmy się, tak już postanowione.

Otworzyła biurko, ze skrytki wyjęła listy Tadeusza, układając je w jeden pakiet.

— Są to skarby, których nie mogą ukraść mieczowi złodzieje!... A to oszczędności mej matuli, które mi ciotka Urszula wręczyła. Liczyła listy zastawne i doliczyła się szesnastu sztuk, po sto guldenów.

— Myślałam, że, gdy dojdę procentamii oszczędnością do trzydziestu sztuk, zrobię niemi coś nadzwyczajnego. A teraz to może cały mój majątek. Nie, nie cały, kolczyki brylantowe po stryjence, mówią, że warte dwa tysiące, zegarek tysiąc i bransoleta od ojca na imieniny tysiąc, razem pięć tysięcy sześćset. Ho, ho, jestem bogata— i na początek damy sobie radę. Wieleż to rówieśniczek moich nie ma takiego posagu!

Listy zastawne i listy Tadeusza włożyła do torebki irchowej, zawiesiła ją na piersiach, kolczyki włożyła do uszu, bransoletę zapięła na ręku, łańcuszek z zegarkiem przewiesiła przez szyję, przejrzała się, zarzuciła płaszczyk, kapelusz przypięła do włosów, była gotowa...

— Nic, nic więcej nie biorę!... Pokoiku mój, wypełniony memi myślami, mój wierny milczący towarzyszu, żegnam cię!

Spojrzała na portret matki i rozpłakała się.

— Sierota twoja, matulu, nie wiele na drogę życia zabiera. Ciebie odda mi ojciec lub go odbierze dla mnie Urszula.

Pukanie do drzwi wstrząsnęło nią.

— Kto? zapytała nerwowo...

— Proszę jaśnie panienki, waza na stole.

— Idę! To przecie jeszcze nie teraz i nie dziś! uśmiechnęła się, otarła oczy, zdjęła kapelusz i okrycie, kolczyki wyjęła z uszu, przygładziła włosy i, robiąc dobrą, minę wyszła.

Przy stole rozmawiała z Koczalską.

— Jutro rano ciotka Urszula zabiera mnie do Zimnej wody na cały dzień. Wrócę o 11-ej w nocy.

— Wiesz, jak ojciec nie lubi ciotki Urszuli.

— Raczej boi się jej.

— To wszystko jedno. Burza spadnie na moją głowę, jeśli jutro wcześniej od ciebie wróci.

— Tyle już ich spadało i nie zrobiły ci żadnej szkody...

— Nie masz serca, zwykle sama sprowadzasz burze. Ojciec boi się ciebie, i wszystko na mnie spada, jak gdyby chciał wzbudzać w tobie litość, i przez litość dla mnie wstrzymywać cię od robienia tego, czego nie chce. Los mój litości w tobie nie wzbudza, a burze nad moją głową wzmagają się.

— Droga, kochana Koczalsiu, nie mogę być niewolnicą litości mojej nad tobą!...

— Jedź, gdy ojciec wróci.

— A jak nie przyjedzie!? Pojadę i, żeby zażegnać burzę, napiszę, że mimo próśb i błagań Koczalsi pojechałam.

Koczalska ukradkiem oczy otarła.

— Wiesz, że zawsze robisz ze mną, co chcesz.

— A i ty dobrze wiesz, że się nigdy z sobą nie rozstaniemy. Gdy zamąż pójdę, przeniesiesz się do mego domu, oddam ci gospodarstwo, i nigdy burze nad twoją głową nie będą przeciągać.

— Twój mąż?

— Mój mąż będzie ci wdzięczny za mnie... Mój mąż jest człowiekiem wykwintnie wychowanym, o delikatnych uczuciach i dobrem sercu.

— Znasz go?

— Jakże chcesz, żebym przyszłego mego męża nie znała?...

— Maryniu, bój się Boga, cóż twój ojciec na to?

— Już się boisz, a to jego kandydat.

— Żartujesz, kandydat twego ojca musi być odmienny od twego.

— Wybornie, powiem mu to.

— Nie zrobisz tego, uciekłabym z domu.

— Nie obawiaj się, mój wybrany musi się wam wszystkim podobać, nawet ojcu.

— Jeżeli tak, to jestem pewna, żeś go jeszcze nie wybrała, i oddycham.

Złożyła ręce, jak do modlitwy.

Wstały od stołu. Marynia pocałowała wystraszoną Koczalską i pogłaskała ją po twarzy.

ROZDZIAŁ X.

O godzinie siódmej rano konie pana Edwarda odwiozły Marynię do mieszkania ciotki Urszuli.

— Jesteś, moje dziecko! radość rozsadza mi płuca! Zdecydowałaś się! Co za rozkosz walczyć za tego, kogo się kocha, być zawsze z nim! Niech myśli jego głośno płyną przy tobie, on tak poczciwie myśli, a ty będziesz wiązać je na nitkę twej miłości i wykołysanych miłością uczuć. Mam łzy w oczach i poetyzuję, ja stara, zahartowana w walkach i udręczeniach. Nie płacz, dziecko, ojciec w tydzień do was przyjdzie, da się przeprosić i ciebie przeprosi.

— Boję się, szepnęła, kryjąc twarz wśród cichych łkań w ramionach Urszuli. Boję się przyszłości i boję się, czy nie będę mu kulą u nóg.

— Kulą u nóg zawołała Urszula. Ty będziesz jego gwiazdą wśród ciemnej nocy i jego natchnieniem. Czuję, że nadto dziś jestem patetyczna i wzruszona. Boję się bicia serca, a tu trzeba mieć głowę na karku, pomagać Tadeuszowi, umizgać się do dyrektora.

Rozśmiała się, otarła oczy — wyszły. Służąca niosła za niemi kuferek.

— Cóżeś zabrała, spytała po francusku Urszula.

— Najpotrzebniejszą bieliznę i to, co jest absolutnie moją własnością. Z oszczędności listy zastawne od mamy, które mi dałaś.

— Wybornie! szlachcice z wschodniej Galicyi są tak czasami zawzięci, że gotowi skarżyć własne dzieci.

Wsiadły do dorożki, pędząc przez puste ulice na dworzec.

— Ruch, energia wzmacnia mnie, już nie wrócę do sentymentalizmu szepnęła Marynia.

— Ach! ten sentymentalizm, deklamowała Urszula, to syn próżniactwa, niedołęstwa i egoizmu. Kwili i płacze, lecz nic nie daje rzetelnego.

— Czuję w sobie myśl słoneczną, jasną, silną...

— Spełniaj ją, dziecko, całe życie, bo przez nią będziesz się zbliżać do twej świętej matki, a zabliźniać ranę serca Tadeusza. Jakiż on ma czar poezyi żywej w sobie! zawołała. Gdyby nie moje czterdzieści osiem lat, kochałabym się w nim na zabój.

Stanęły przed dworcem.

— Cieszę się, moćdzieju, żem raz w życiu wyprzedził pannę Urszulę, zawołał, wysuwając się na powitanie, dyrektor. A to co za zjawisko?!

— Córka pana Edwarda, dziecko mej rodzonej siostry.

— Wykapana matka, tylko silniejsza, roślejsza. Czy z nami?

Marynia nieznacznie pociągnęła za suknię Urszulę.

— Z nami, pragnie zobaczyć bogactwa swego ojca i jej.

— Dzięki dziwnej nieprzezorności przedsiębiorcy — istotnie są wielkie. Tatuś dobrze zabezpieczył posag córeczce.

— A jeżeli to narzeczona przedsiębiorcy — nieprzezorność jego upada.

— Moćdzieju, ginie, jak kamfora. Jeżeli tak, to nawet młodzieniec ten zdradza dużo rozumu stanu.

Zarumieniona Marynia milczała.

— Dyrektorze, dziewczyna mówi po angielsku, jak gdyby była chowana w Londynie.

— Tak! zawołał uradowany. W języku tym robiłem się człowiekiem, nauczyłem się pracować i jakże go nie mam kochać?!..

— Trzeba, go dobrze znać, żeby odczuć w nim wszystkie piękności, dodała Marynia.

— Trzeba, aby młodość życia przechodziła w jego otoczeniu, aby w tym języku wymawiało się wyrazy pierwszej miłości! Wtedy się go kocha i tęskni za nim, jak za młodością.

— Za cztery minuty pociąg odchodzi—zawołała Urszula, a wy rozprawiacie o miłości w języku angielskim.

Dyrektor wykwintny wobec dam podał rękę Urszuli.

— Jej podaj, wskazała na Maryę, ja się zajmę biletami, śpieszcie się...

Naczelnik stacyi salutował na powitanie dyrektora, jego pomocnik otworzył drzwi do wagonu. Marynia czuła, że ją prowadzi najpopularniejsza postać w mieście. Czuła jej wpływ i siłę...

Pociąg ruszył, dziewczę zasypywało towarzysza swego pytaniami o Anglii i Anglikach. Rad, że się mógł ugadać i pieścić ucho językiem swej młodości, opowiadał z właściwem sobie zacięciem i werwą. Czas leciał, nerwy Maryni musiały milczeć, uwaga pracować, uszy słuchać — uspokoiła się.

Kołomyja! Na stacyi czekał wózek ze Swobody. Dyrektor poszedł zamówić śniadanie, Marya posłała Mazura, aby wynajął powóz.

— A to się dopiero nasz panicz ucieszy, mówił Mazur, gdy ujrzy swą panienkę... Dobrze się u nas dzieje, ropa w drugim szybie już się pokazuje, a w pierwszym idzie ciągiem.

— Kozioł tak urządź, przerwała, żebym mogła sama powozić.

Gdy zajechał, zajęła miejsce Mazura, wzięła w ręce lejce.

Dyrektor protestował, nie chciał siadać.

— Dziewczyna wychowanie odebrała angielskie, lubi powozić i umie powozić. Zresztą, nie chce nam przeszkadzać w flircie, nie domyślasz się?

Urszula się śmiała.

— Ach, to wychowanie angielskie pełne siły, zręczności, prostoty i delikatności, moćdzieju, zawołał dyrektor, siadając przy Urszuli.

Marynia lekko uderzyła konie lejcami — ruszyły. Przejechali miasto, mijając długi szereg wozów, wyładowanych beczkami ropy.

— Dużo dziennie beczek? spytał jednego z chłopów, siedzących na wozie.

— Mądry będzie ten, kto zliczy, rzekł chłop. W kancelaryi wszystkie zapisane.

Odpowiedź ta dobrze podziałała na dyrektora, wysilał się na anegdoty, żartował z Urszulą, a dziewczę, gnane uczuciami serca, pędziło, prowadząc konie, jak dzieci.

— Panienka ci powozi, rzekł Mazur, jakby jaki forśpan od jakiego księcia, a konie lecą, jakby miarkowały, kogo wiozą. Ten, co leci do radości, tomu pilno. Hej! z drogi—wołał na zastępujące wozy.

Urszula zbliżyła usta do ucha dyrektora.

— Domyślasz się, dlaczego tak pędzi — wskazała oczyma na Marynię.

— Jak mi pani powiedziałaś, nie jestem idyotą.

— Ale się nie domyślasz jeszcze jednej rzeczy.

— Nie jestem znowu Panem Bogiem.

— Porzuciła ojcowski dom i......

— O — o — tu się zaczyna dramat.

— Pewno dziś pojedziemy na Węgry do Sasów wziąć ślub.... Mam przy sobie kilka tysięcy guldenów i listy rekomendacyjne...

— To dobrze na Węgrzech popiera sprawę, pan Edward prototyp dorobkiewicza szlacheckiego z wschodniej Galicyi, pewno będzie szalał z wściekłości. Jednym zamachem krzyżujecie mu wszystkie plany, rozbijacie marzenia. Niezawodnie już widział w swych snach córkę, jako żonę wielkorządcy, rezydującą „pod Kawkami". A tu fatalizm chciał inaczej, dziewczyna szuka, moćdzieju, innego losu — gardzi „kawkami" i tem podobnem ptactwem.

— Warta losu, jaki ją czeka, rzekła Urszula.

— Ten nafciarz musi być osobliwy?

— Nadzwyczajny!!..

— Pewno oświadczył się po angielsku!...

— Zdaje się, że oczy ich i serca mówiły za nich.

— Oczy, moćdzieju! Czemuż moje straciły ogień, dopierobym ognie ciskał w serce panny Urszuli.

— Ależ takie, jakie masz, wystarczą dla mnie....

Śmiali się, w wybornych humorach.

— I pani się nie boisz zemsty pana Edwarda?

— Mam ja z czwaniem [1]) rachunki, ostatni za zrabowanie mi dziesięciu procentów. Patrz, wskazała ręką.

Za chwilkę mijali drugi transport stu wozów, wyładowanych beczkami.

— A trzeci daleko? rzucił pytanie dyrektor.

— Bieryt ropu, odpowiedzieli Rusini.

— I to dwa razy dziennie obracają, dodała Urszula.

— Przerażająca strata czasu i pieniędzy, szepnął dyrektor.

— A teraz wierzysz, że mnie szwagierek naciągnął może i na pół miliona.

— Zaczynam!

---

[1]) Czwanio od czwany lis.

— I nie szkoda zmarnowanych pieniędzy? Coby można za nie zrobić, gdy w kieszeni czwania będą spać albo jeszcze gorzej! gdy o tem pomyślę, mam ochotę palce gryźć.

— Wielka byłaby szkoda tłuściutkich paluszków.

— Nieprawdaż? lecz nie są tłuste, a twarde i silne.

Po minięciu drugiego transportu Marynia popuściła lejce, konie, biegiem rozpalone, rwały do domu.

— Widzi panienka drugą wieżę, a teraz trzecią. Za niecały kwadrans jesteśmy, no, i okrutna uciecha dla naszego dyrektora.

Strach opanował dziewczę, przerażenie i tajony wstyd. Chciała zawrócić i uciekać, zwolniła bieg koni i blada, zamyślona, jechała stępo...

— Dlaczego tak powoli, spytała Urszula.

— Bo rzeka blizko, odparł Mazur, a panienka nie chce podpalić koni, siarczyście są zgrzane.

Marynia podziękowała wzrokiem Mazurowi.

— Jak ja Tadziowi w oczy spojrzę, myślała. Wolałabym skryć się pod ziemię. Żebym była sama, zamrużyłabym oczy, twarz przytuliła do jego piersi...

— Panienko, może stanąć i dać koniom wypocząć? wytrę je słomą...

Rada zatrzymała konie.

— Zanadto serduszko, moćdzieju, galopowało i czekać musi Jeszcze dojedziemy na czas!...

— Czy nie zawcześnie? chciała powiedzieć, lecz się nawet nie obejrzała, bojąc się ciekawych oczu dyrektora.

— Teraz to już jedźmy z Panem Bogiem wolniuśko, rzekł Mazur, siadając na kozioł.

Nie było rady, należało ruszyć, wtoczyć się do kamienistej rzeczki, przejechać ją i wyciągniętym kłusem dopaść do kancelaryi.

Tadeusz czekał przed gankiem, blady i uroczysty, rad, a roztargniony...

Urszula swą wesołością przywróciła odrazu równowagę. Dyrektor zrobił na młodym człowieku silne, pociągające wrażenie — przywitali się serdecznie.

Marynia, wyciągając ręce, zeskoczyła z kozła. Tadeusz ujął je i w milczeniu przycisnął do ust.

Nie zamienili z sobą ani jednego wyrazu.

— Najprzód my o interesach, moćdzieju, odezwał się dyrektor, a potem niech idą dzieje stare, jak świat, zawsze urocze, jak wiosna, młodością i świeżością uczuć.

— I zawsze nowe, dodała Urszula, lecz interesa pierwsze—zwróciła się do Tadeusza.

— Masz śniadanie?

— Gotowe.

— Chodźmy, a wam, panowie, pozwalam rozgadać się po angielsku i nacieszyć się tym dzikim językiem.

— Dziękujemy pani. Jak długo bawiłeś pan w Anglii? zapytał dyrektor Tadeusza już po angielsku.

— Dziesięć lat, od piętnastego roku życia.

— To można było ducha polskiego okryć skórą angielską. Ja z dwoma nawrotami i dłużej. To też wpływ kultury angielskiej wycisnął na mnie dołki, jak palce w mokrej glinie. Rozmowa potoczyła się wesoło. Zdawało im się, że są w Anglii, mimowoli przybierali ruchy Anglików.

— Maryniu, odgrywaj rolę gospodyni, rzekła uroczyście Urszula.

Dziewczyna zbudzona zarumieniła się, chciała wstać, nie mogła, ukryła twarz w dłonie, milczała. Rozgadani nowi przyjaciele nie spostrzegli tego, Tadeusz rozkoszował się w swych wspomnieniach, dyrektor swoje wydobywał.

— Wypij herbatę, i chodźmy się przejść, szepnęła Urszula, trzeba ich zostawić samych. Pokochają się, a miłość tych dzielnych ludzi może odrodzić nasz przemysł.

Wyszły, zasłoniły ich dęby, Marynia przytuliła się do ciotki.

— Zdaje mi się, że jestem tutaj zbyteczna, mówiła. Dzisiejszy dzień należy do dyrektora.

— Moje dziecko, jakżeś chciała?!..

— Zagadany nie spojrzał na mnie przez całe pół godziny, nie przemówił, nie uśmiechnął się, jak gdyby mnie nie było...

— Dziecko! dziecko!

— Przecież przyjechałam tu jako oblubienica, ślub mój może się odbyć jutro, dziś!... Jestem panną młodą, jutro jego żoną.

— Będziesz nią, zaręczam ci. Lecz dyrektor może zdecydować o wielkiej przyszłości i o waszym losie. Gdy burza się zaczyna, i biją pioruny, miłość musi czekać na pogodę, na uśmiech słońca, na ciszę.

— Ciociu, czuję się zawstydzoną, radabym w tej chwili odjechać...

— Ach, z temi rozpieszczonemi dziećmi nie można sobie rady dać. Chwila wielka, kto wie, czy nie stanowi o twem życiu, o jego przyszłości, a ty?

— Nie wiem dlaczego, ale się boję tej chwili, dreszcze mnie przechodzą, przeczucia szarpią mi serce! Ciociu, pragnę uciec, a nie śmiem, pragnę go porwać i uprowadzić, ostrzedz, ochronić, sama nie wiem przed czem, chociaż błyskawice smutnych myśli oświecają mi mózg. Widzę przepaść!...

— Rozgrymaszone i rozpieszczone nerwy brykają, i nic więcej. Za rok będziesz się z tych błyskawicznych przepaści śmiać.

— Lub płakać. Ciociu, dręczy mnie myśl, że żądaniem, aby się zgodził na warunki ojca, zgubiłam go!.. Ta myśl, zaczyna mnie prześladować, i dlatego tak gwałtownie pragnę być jego żoną — jutro!.. Będziemy walczyć razem. Może wtedy ojciec nie będzie korzystał ze swych praw!...

Urszula głaskała dziewczę, całowała i tuliła.

Rozległ się głos dyrektora.

— Wyszli, chodźmy za nimi, szepnęła Urszula.

Obejrzały się. Dwóch ludzi, starzec o ruchach młodzieńca szedł żywo, obok niego Tadeusz, mówił z przejęciem.

Dopadli do drugiego szybu.

(*D. c. n.*) *Sewer.*



Wspólna własność ziemska

W GMINIE WIELKOROSYJSKIEJ. *)



IV.

Ażeby zrozumieć niektóre właściwości władania gminnego ziemią w gminie wielkorosyjskiej, musimy jeszcze przejrzeć anneksy do pojedyńczych paragrafów prawa.

Anneks do § 24 mówi o sposobach egzekucyi długów prywatnych na włościanach i gminach wiejskich na mocy wyroków sądowych; — w obu wypadkach zajęciu i sprzedaży ulegają tylko ruchomości, a nie ziemia, która jest nietykalną własnością całej gminy (§ 2 i § 4).

Opis zajętego dłużnikowi majątku musi być dokonany w obecności starosty wiejskiego i naczelnika włości celem określenia, co może być sprzedane bez dezorganizacyi gospodarstwa włościanina; po dokonanej zaś sprzedaży z sumy otrzymanej muszą być przedewszystkiem pokryte niedobory podatkowe i wykupowe, i tylko reszta może pójść na zaspokojenie długu prywatnego. Jeśli sprzedane być mają ruchomości całej gminy za dług jej prywatnej osobie, to opis zajętych ruchomości musi być złożony naczelnikowi ziemskiemu (ew. mirowemu pośrednikowi lub Urzę-

*) Ob. „Ateneum", styczeń, 1900.

dowi Powiatowemu do spraw włościańskich), który oznaczy, co z zajętych ruchomości nie może być sprzedane bez zrujnowania włościan. W końcu prawo stanowi, że należności b. obywatelowi, wynikłe z obowiązku płacenia czynszu, ulegają kompetencyi władz do spraw włościańskich, a nie sądów pokoju.

Zauważymy dalej, że w dod. do § 33, odnoszącym się do przesiedlenia dobrowolnego włościan na grunta skarbowe, — pozostawione jest przesiedlającym się wybrać jeden z dwu sposobów użytkowania z gruntów: gminny lub dziedziczny (*podwornyj*, *nasledstwiennyj*). Wybór nastąpić ma na zebraniu gminnem jednomyślnie lub prostą większością głosów wszystkich osadników płci męskiej. Przy użytkowaniu dziedzicznem solidarna odpowiedzialność członków gminy wobec rządu dotyczy tylko podatków i powinności skarbowych ziemskich i gminnych,— przy gminnem władaniu rozciąga się i na czynsz, należny rządowi za ziemię (§ 9).

Bardzo ważnym dla stosunków majątkowych włościańskich jest wydany w 1886 r. dodatek do § 51, obejmujący przepisy, dotyczące działów rodzinnych we wsiach, w których istnieje gminne użytkowanie gruntów. Rodzina, życząca sobie rozdzielić wspólny majątek i podzielić się na kilka gospodarstw, obowiązana jest sama donieść o tem Zebraniu Gminnemu (wiejskiemu—*sielskij schod*), wskazać majątek, ulegający podziałowi, i zrobić projekt samego podziału. Zebranie przedewszystkiem winno się przekonać, czy podział dokonywa się za zgodą głowy rodziny, i w razie, gdy tej zgody niema, rozbiera kwestyę podziału tylko o tyle, o ile żądanie podziału wywołane jest przez rozrzutność (niegospodarność) lub niemoralne prowadzenie się głowy rodziny (*rastoczitielnost' ili bieznrawstwiennoje powiedienie*). Przy rozstrząsaniu samej kwestyi podziału zebranie gminne rozważa: 1) czy jest słuszna przyczyna podziału; 2) czy nowe gospodarstwa mają warunki niezależnej egzystencyi; 3) czy osada (*usad'ba, dwor*) da się podzielić, czy też musi być wydzielony osobny grunt pod nową lub nowe chałupy; 4) czy w razie podziału podatki i powinności będą płacone i wypełniane ściśle. Jeśli warunkom tym projektowany podział nie odpowiada — zebranie może odmówić swego zezwolenia. Jeśli Zebranie zezwala na podział, wtedy: 1) zatwierdza plan podziału gruntów, osady i ruchomości; 2) rozkłada ciążące wspólnie na rodzinie podatki i powinności na nowe gospodarstwa; i 3) jeśli nowe gospodarstwa na dawnej osadzie pomieścić się nie mogą, wyznacza grunt pod nową osadę lub nowe domy. Podział gruntów, będących osobistą, dziedziczną własnością rodziny, nie podlega podziałowi na mocy orzeczenia Zebrania gmin-

nego, jak również nie ulegają takiemu podziałowi te ruchomości, które nie stanowią nieodłącznych przynależytości gospodarstwa wiejskiego. Do decyzyi na podział wymaganą jest większość $^2/_3$ głosów włościan, mających prawo głosowania na zebraniu. W razie dokonania roździału bez zezwolenia Zebrania gminnego odpowiedzialność za podatki i powinności leży solidarnie na podzielonych. Jeśli Zebranie wiejskie postanowiło podział wbrew woli rodziców lub głowy rodziny, to na postanowienie Zebrania może być podana skarga naczelnikowi ziemskiemu (mirowemu pośrednikowi — lub — Urzędowi Powiatowemu do spraw włościańskich) w ciągu dni 14, a decyzya naczelnika ziemskiego (Mir. Pośr. i Urzęd. Pow. do spr. wł.) jest w tych sprawach ostateczną.

Dodatek do § 56 ustanawia przepisy, dotyczące zmian w podziale gruntów (*pieriedielow mirskoj ziemli*) w tych guberniach, w których wprowadzona jest instytucya Naczelników Ziemskich Okręgowych. Przepisy te zostały wprowadzone prawem z d. 8 czerwca 1893 roku.

Odnoszą się one do gruntów ornych i wogóle takich innych gruntów, które dzielą się na wspólne użytkowanie, na równi z ornymi (§ 1). Podział musi być dokonany na podstawie postanowienia Zebrania wiejskiego (§ 2), w którem mają być wymienione: 1) termin, na który dokonywa się podział; 2) podstawa podziału (rewizyjne dusze — głowy rzeczywiste — *tiagła*); 3) ilość jednostek gruntu, przypadająca przy tym podziale na każdego gospodarza. Termin podziału jest lat 12 lub więcej. Wszystkie te ograniczenia co do terminu i warunków podziału gruntów nie stosują się do tych wypadków, w których grunta gminne roździelają się ostatecznie między gospodarzami na użytkowanie dziedziczne.

W wyjątkowych wypadkach nowy podział może mieć miejsce i przed upływem wymienionego w postanowieniu terminu lat 12, ale tylko za zezwoleniem Urzędu gub. do spraw włościańskich. Każde postanowienie o nowym podziale ulega przepisom § 54 (Og. Przepisów t. j. większość $^2/_3$ i protokół) i musi być sprawdzone przez naczelnika Ziemskiego i zatwierdzone przez Zjazd naczelników Ziemskich. Zjazd powinien odmówić zatwierdzenia, jeśli postanowienie o podziale nie zgadza się z prawem i prowadzi do naruszenia interesów gminy lub też zapadło z pokrzywdzeniem zabezpieczonych przez ustawę praw (*zakonnych praw*) członków gminy. Odmawiając zatwierdzenia, zjazd powinien wymienić motywy odmowy i pozostawić gminiej możność wydania nowej decyzyi, dotyczącej podziału. Przy każdym nowym podziale gospodarz, który podniósł wartość

swego gruntu przez osuszenie, nawodnienie lub też w inny jaki sposób, powinien, o ile można, być przy tym gruncie pozostawiony. Jeśli zaś to nie jest możliwem, i jeśli na jego udział przypada ziemia gorszego gatunku, powinien zostać wynagrodzonym drogą stosunkowego obniżenia powinności i podatków lub w inny jaki sposób (§ 8).

W czasie między jednym a drugim podziałem grunta, oddane w użytkowanie gospodarzowi, nie mogą mu być odbierane ani w całości, ani częściowo, wyjąwszy: 1) śmierci gospodarza, zesłania go na zasadzie wyroku sądowego lub z mocy postanowienia Zebrania wiejskiego, bez pozostawienia w rodzinie takiego jej członka, któryby mógł prowadzić gospodarstwo; 2) zrzeczenia się samego gospodarza; 3) niewypłacania się z podatków (§ 9). Grunta, wolne na zasadzie § 9, gmina może albo oddać nowemu gospodarzowi, albo zatrzymać we wspólnem używaniu aż do terminu nowego podziału. Postanowienie o odebraniu udziału musi być zakomunikowane osobom zainteresowanym i przedstawione naczelnikowi ziemskiemu, i dopiero po zatwierdzeniu przez niego może być wprowadzone w wykonanie.

Prawo nie mówi, na jakiej drodze włościanin ma poszukiwać wynagrodzenia za melioracye gruntu, odebranego mu przy nowym podziale (§ 8). W razie niewyznaczenia takiego wynagrodzenia pokrzywdzony winien się udać do sądu włości, — co do którego dodamy tutaj, że sądzi on (anneks do § 93) według sumienia — kierując się miejscowymi obyczajami.

Na zakończenie tego streszczenia zasadniczych przepisów, odnoszących się do własności ziemskiej w gub. wielkorosyjskiej, musimy jeszcze zwrócić uwagę na jeden przepis prawa, pomieszczony w dod. VII, t. j. w Przepisach o byłych włościanach skarbowych, w anneksie do § 15, mówiącym „o zabezpieczeniu wnoszenia regularnego przez włościan sum wykupowych". Paragraf 4 tego anneksu stanowi: że, jeśli z gruntów, obciążonych sumami wykupowemi, i posiadanych na dziedziczne użytkowanie *(podwornoje władienie)*, pewna osada przy sprzedaży uległa podziałowi na kilka części, albo też gdyby (§ 5) podział taki na części nastąpił drogą spadkobrania, to w obu wypadkach zarówno nowonabywcy, jak i spadkobiercy, w ciągu lat 10 od dnia podziału osady są solidarnie odpowiedzialni za regularne wnoszenie do skarbu czynszów — t. j., jak dziś, sum wykupowych za wyżej rzeczone grunta.

V.

Zwalniając włościan od poddaństwa, prawodawca, w § 5 Miejscowych przepisów Wielko-, Biało- i Noworosyjskich, wyraził się: że „dla zapewnienia ich bytu i zabezpieczenia ścisłego wypełniania przez nich zobowiązań wobec skarbu i obywateli, oddaje się w stałe użytkowanie każdej gminy wiejskiej na zasadach, w prawie określonych, odpowiednią do miejscowych stosunków ilość gruntów, za które włościanin ma płacić czynsz lub odbywać pańszczyznę".

Jednocześnie § 9 Ogólnych przepisów stanowi, że z dniem ogłoszenia prawa obywatel (*pomieszczyk*) zwolnionym zostaje od odpowiedzialności: 1) za gromadzenie przez włościan zboża i kapitałów żywnościowych oraz zaopatrzenie biednych; 2) za wnoszenia przez nich podatków i pełnienie powinności skarbowych; 3) zwolnionym jest też od obowiązku stawania za nich w sądach w sprawach cywilnych i kryminalnych, 4) od odpowiedzialności za włożone na nich kary pieniężne, zaś § 10 powiada wyraźnie, że odtąd sami włościanie obowiązani są zbierać zboże lub kapitały żywnościowe, dbać o zaopatrzenie biednych i sami są odpowiedzialni za wypełnianie włożonych na nich podatków, skarbowych i ziemskich, i powinności, pieniężnych i naturalnych.

Ażeby należycie ocenić doniosłość tego postanowienia prawa, nie można nań zapatrywać się ze stanowiska dzisiejszych stosunków finansowych państwa. Obecnie — w budżecie, którego suma ogólna wynosi 1469 milionów rubli, podatki z ziemi stanowią 44,7 milionów, a sumy, wnoszone do skarbu przez włościan za wykup gruntów mniej, niż 80 milionów. Wogóle rolnictwo bezpośrednio wnosi do kas skarbowych mniej, niż $^1/_{10}$ wpływów ogólnych. Zupełnie inny był stan rzeczy w epoce reformy — t. j. około 1860 roku. Suma ogólna dochodów Państwa wynosiła [1]) 303 milionów rubli; prawie $^1/_6$ tej sumy — 56,2 m. stanowiły podatki bezpośrednie, które — wyjąwszy podatek gildyjny (około 5 milionów) — płacili przeważnie włościanie. Finansowa doniosłość operacyi wykupowej zapewne na razie nie dawała się ściśle obliczyć; — przypuszczać jednak należy, że w przybliżeniu zdawano sobie sprawę z ogólnej sumy, która wpływać będzie od włościan do skarbu

---

[1]) I. S. Bloch — Finanse Rosyi (wyd. ros.), tom III, str. 16.

Państwa po ukończeniu całej operacyi — sumy, która, jak się później okazało (bez redukcyi, potem zrobionych) — byłaby wynosiła około 105 milionów rubli rocznie [1]).

Wprawdzie znaczna część, prawie połowa sumy 105 milionów — czynsze (obroki) od włościan skarbowych — zmieniała tylko tytuł, pod którym zapisywano ją w budżecie; w każdym razie przewidywać należało, że na gospodarstwie włościańskiem ciążyć będzie przeszło 100 milionów opłat rządowych — że z gospodarstw tych bezpośrednio do skarbu państwa wpływać będzie prawie $^1/_3$ dochodów budżetu. Dodać tu jeszcze musimy, że w 1860/1 roku liczono niedoborów skarbowych 104 miliony rubli, a od czasów wojny krymskiej budżet państwa zamykano zwykle deficytem.

Nic więc dziwnego, że reforma 1861 napełniała mężów stanu obawą co do jej finansowych skutków, i że było rzeczą konieczną użyć wszelkich środków celem zapewnienia skarbowi regularnego wpływu podatków z gruntów włościańskich i sum wykupowych. W tem dopiero oświetleniu stają się zrozumiałymi przepisy podatkowe prawa z 1861 roku.

Dziś przepisy te w znacznej części przechodzą do historyi; nowe prawo z d. 23 czerwca r. 1899, obowiązujące od 1 stycznia 1900 roku, wprowadza poważne zmiany, zatrzymuje tylko zasadniczą podstawę tych przepisów: solidarną odpowiedzialność gminy za podatki i sumy wykupowe z ziemi, należącej do *miru*. Przepisy jednak 1861 miały moc obowiązującą tak długo, wpłynęły na stosunki wiejskie w Rosyi tak silnie, że pominąć ich też nie możemy — ale, skreśliwszy ich zasady, w końcu dopiero podamy zasadnicze rysy ostatniej reformy podatkowej, ogłoszonej już po ukończeniu tej części naszej pracy.

Kwestya podatków stanowi przedewszystkiem przedmiot ostatniej (III-ciej części): „Ogólnych przepisów“. Paragraf 164 wkłada na włościan obowiązek płacenia skarbowi: 1) podatku pogłównego (*podusznego*, zniesionego ukazami z 2 maja 1882 i 25 maja 1885 r.); 2) podatków na zabezpieczenie żywności w latach głodu (*prodowolstwje*); 3) podatku skarbowego z ziemi; 4) poborów ziemskich, gubernialnych i powiatowych; i 5) opłaty na przygotowanie list po-

---

[1]) Bulletin Russe de Statistique financière et de législation. 1895 r. t. II str. 294.

datkowych (*okładnych listow* — Uw. 3). Listy podatkowe, określające należność podatkową na cały rok z gminy, powinny być dostarczone gminom w początkach stycznia każdego roku. Rozkładu — repartycyi podatków — skarbowych i ziemskich — pieniężnych i naturalnych, na pojedyńczych włościan — dokonywa „*mir*" (zebranie wiejskie — § 169). Poboru dokonywa starosta wiejski lub poborca (§ 170). Sposób pobierania, przechowywania sum pobranych i prowadzenia rachunkowości określa bliżej Zebranie gminne (§ 172).

Na żądanie włościan Urząd gubernialny do spraw wł. może wystąpić do władz wyższych z przedstawieniem: 1) o ustanowienie innych terminów wnoszenia podatków stosownie do miejscowych warunków ekonomicznych; 2) o podział sumy rocznej podatku na terminy częściowe. Po wniesieniu podatku do kasy skarbowej gmina wiejska winna złożyć kwit Zarządowi Włości.

Gmina — w tym wypadku zarówno wiejska, jak i włości — ma prawo nakładać pobory na swoich członków, a to celem pokrycia wydatków na potrzeby gminne tak gminy wiejskiej, jak i politycznej (*sielskich* i *wołostnych*). Obowiązkowo każda gmina ponosi koszta: 1) swego zarządu; 2) koszta szczepienia ospy i koszta walki z epidemiami; 3) koszta utrzymania magazynów zbożowych; 4) dróg, mostów, tam etc.; 5) stróżów; 6) starców, kalek i sierot; 7) koszta zakupienia i utrzymania narzędzi pożarnych. Gmina *może* ustanawiać pobory na budowę i utrzymanie kościołów, szkół i inne potrzeby społeczne włościan. Powinności gminne (*mirskie*) ponosi ta gmina, włość lub wieś (*wołost* — *sielskoje obszczestwo*), o której zaspokojenie potrzeb idzie. Określenia wysokości poboru i rozkładu (repartycya) we włości na gminy wiejskie, a w gminie wiejskiej na pojedyńczych włościan, dokonywają Zebrania Włości (*Wołostnyj schod*) i Zebrania Gminy Wiejskiej (*Sielskij schod*). Terminy, sposoby poboru i przechowania sum pobranych, a także sposób składania sprawozdań, określają bliżej Zebrania gminne.

Wszystkie gminy wiejskie zarówno te, które użytkują z ziemi wspólnie, jak i te, w których ziemia jest w użytkowaniu osobistem, dziedzicznem (*uczastkowoje*, *podwornoje*, *nasliedstwiennoje polzowanie*), odpowiadają za wykonywanie skarbowych, ziemskich i gminnych powinności solidarnie (*za krugowoju porukoju*) za każdego swego członka. Małym gminom wiejskim, należącym do jednej gminy politycznej (*wołosti*), wolno jest łączyć się w całość, odpowiedzialną solidarnie. Za jednostkę podatkową uważa się ta

ilość włościan, która posiada wspólne grunta. Jeśli we wsi jest mniej, niż 40 dusz rewizyjnych, to do takiej wsi solidarna odpowiedzialność za podatki stosowaną być nie może, i egzekucya niedoborów podatkowych (*niedoimok*) stosowaną być ma do każdego włościanina zosobna, bez rozkładania niedoboru na tych gospodarzy, którzy podatki za siebie wnieśli w całości. (Uwaga 2, punkt 4).

Dla zmuszenia włościanina do zapłacenia podatków gmina wiejska ma prawo zastosować do swych członków następujące środki (§ 188): 1) użyć na pokrycie niedoboru dochodów z należącego do włościanina majątku nieruchomego;

2) oddać niepłacącego lub kogoś z jego rodziny na zarobek w tym samym lub w sąsiednim powiecie, a zarobioną płacę obrócić na pokrycie podatków; — oddawać zaś na zarobki do drugiej gubernii zebranie gminne może tylko za zgodą mirowego pośrednika (v. naczelnika ziemskiego), i to tylko takich niepłacących, którzy nie uiszczają podatków przez upór, niedołęstwo lub nierząd (*rasputstwo*);

3) wyznaczyć zalegającemu w podatkach opiekuna, bez którego zezwolenia nie wolno mu nic zbywać ani nabywać, albo też wyznaczyć głową rodziny innego jej członka;

4) sprzedać własność nieruchomą osobistą egzekwowanego, ale nie jego osiadłość (*usad'ba*);

5) sprzedać tę część jego majątku ruchomego i budynków, która n i e j e s t k o n i e c z n ą do prowadzenia gospodarstwa;

6) odebrać niepłacącemu część nadanych mu przy oswobodzeniu gruntów albo też i wszystkie grunta.

Zebraniu gminnemu służy wybór środka, mającego się zastosować, ale środki, wymienione w p. 4, 5 i 6, mogą być zastosowane o tyle tylko, o ile poprzednie trzy skutku nie odniosły.

Niedobory, nie opłacone przez pojedyńczych członków gminy wiejskiej po dzień 1 października, powinny być rozłożone przez Zebranie wiejskie na pozostałych członków gminy i koniecznie zaspokojone po dzień 15 stycznia następnego roku. Jeśli cała gmina wiejska zalega w wypłacie podatków, to miejscowa policya skłania (*ponużdajet*) do zapłacenia ich (§ 190) — a jeśli i to okaże się bezskutecznem — a niedobór nie jest skutkiem żadnej klęski, i gmina nie otrzymała odroczenia terminu — to niedobór ma być ściągnięty przez sprzedaż ruchomości włościan całej gminy.

Dodatek do § 108 ustanawia terminy wnoszenia podatków i sum wykupowych, należnych od włościan. Należności te powinny być płacone za pierwsze półrocze pomiędzy 1 stycznia a 30 czerwca,

za II-ie półrocze pomiędzy 1 lipca a 31 grudnia włącznie. Gdyby te terminy z powodów lokalnych były niedogodne, Zarząd gubernialny winien zrobić przedstawienie ministrowi finansów o przeniesieniu części należności z pierwszego na drugie półrocze. Ścisłe określenie terminów i części sumy rocznej, jakie w danych terminach uregulowanemi być mają, pozostawionem jest Urzędom gubernialnym, które winny zastosować się do warunków miejscowych, ale, o ile można, nie dopuszczać terminów bardziej odległych i dla całej włości wyznaczać jeden termin ogólny — nie wychodząc po za termina ostatnie, prawem oznaczone: 30 czerwca i 31 grudnia.

Nadzór nad wypłatą podatków w terminach wewnętrznych (w gminie) leży na obowiązkach władz gminnych wiejskich i włości pod kontrolą naczelników ziemskich (mirowych pośredników), którzy winni są przedsiębrać odpowiednie środki celem skłonienia władz gminnych (*pobużdienia*) do należytego spełniania ich obowiązków, do których należy i dbałość o to, aby niedobory z pojedyńczych gospodarstw nie wzrastały — przyczem powinni „pobudzać gospodarzy” do płacenia podatków w terminie i karać ich w granicach swej władzy, jeśli niepłacenie jest rezultatem uporu lub niedbałości (*uporstwa ili nieradienja*).

Z niemniejszą troskliwością prawodawca zajmuje się zapewnieniem regularnego wpływu do Kas Państwa sum wykupowych. (dod. II Przepisy o wykupie przez włościan, zwolnionych od zależności poddańczej, ich osady, i o pomocy rządu na wykup przez tychże włościan na własność gruntów).

Sumy, należne od włościan — czy to od gmin wiejskich, czy od pojedyńczych gospodarzy — tytułem wykupu — oblicza Urząd gubernialny do spraw włościańskich i komunikuje je Izbie Skarbowej, która sumy te włącza do list podatkowych. Listy te za pośrednictwem zarządu włości przesyła Izba opodatkowanym gminom lub gospodarzom. Jeśli ziemię przy uwłaszczeniu nabyła cała gmina — zebranie gminy wiejskiej rozkłada sumę wykupową na pojedyńczych gospodarzy, a poboru dokonywa starosta razem z poborem podatków, stosując się do przepisów, jakie mu zebranie gminne udzieli, co do przechowywania sum i składania rachunków. Gospodarze, który sami oddzielnie ziemię nabyli, mają prawo płacić sami. Kwity składają się w Urzędzie Włości. Po upływie terminów, oznaczonych na zapłatę sum wykupowych — Kasy Powiatowe,

komunikują Izbie Skarbowej i Gubernatorowi tak o sumach wniesionych, jak i o niedoborach.

§ 126 stanowi, że niedobory, powstałe z sum wykupowych, mają być ściągane z zalegających przed wszelkimi długami prywatnymi i dlatego wprzód, nim sumy te w całości spłaconemi nie zostaną — egzekucya długów prywatnych nie może być skierowana na należącą do włościan z tytułu uwłaszczenia ziemię, ani też na inwentarz ruchomy, konieczny do prowadzenia gospodarstwa. Nie mają też włościanie prawa sprzedawać budynków swych przed spłaceniem wykupu. W gminach, które nabyły grunta wspólnie — a tem samem są solidarnie (*za krugowoju porukoju*) odpowiedzialne za regularną wypłatę skarbowi sum wykupowych — gmina wiejska (*sielskoje obszczestwo*) w razie niewniesienia przez gospodarza należnej od niego kwoty sumy wykupowej — ma prawo zastosować do niego § 188 Przepisów ogólnych o niedoborach podatkowych. I tu władze wiejskie mają obowiązek pilnować regularnej wypłaty sum—, a wrazie, jeśli suma, należna od gminy, w terminie wniesioną nie została — policya miejscowa winna o tem bezwłocznie zawiadomić mirowego pośrednika (naczelnika ziemskiego), który obowiązany jest natychmiast przystąpić do ściągnięcia niedoboru, przyczem wolno mu użyć następujących środków (§ 129 Przepisów o wykupie):

1) zabronić gminie wydawania paszportów jej członkom i udzielania ich prolongaty — bez specyalnego za każdym razem jego pozwolenia;

2) zamianować według swego uznania innych urzędników gminnych;

3) zarządzić oddanie gospodarzy zalegających na zarobki;

4) sporządzić — przez miejscową policyę — zajęcie wszelkiego majątku ruchomego włościan w gminie i, wyłączywszy zeń wszystko to, co stanowi konieczną przynależność gospodarstwa włościańskiego i nie może być sprzedane bez ruiny włościanina — zarządzić sprzedaż pozostałej części przez miejscową policyę. — Dodajmy tu zaraz, że pojęcie tego, co jest konieczną przynależnością gospodarstwa, co można sprzedać bez zrujnowania włościanina, nigdzie w prawie określonem nie zostało, że kwestyę tę rozstrzygały czasem Urzędy Gubernialne do spraw włościańskich, a najczęściej mirowi pośrednicy i naczelnicy ziemscy swoją władzą, przyczem nieraz sprzedawano słomę z dachów chałup, jako „niekoniecznie potrzebną” do prowadzenia gospodarstwa. Najcięższym do określenia punktem było określenie, jaka ilość zboża i paszy ma

być z pod sprzedaży wyłączona, jako potrzebna na wyżywienie rolnika i jego inwentarza roboczego. Później pozwolono mirowym pośrednikom, z decyzyi Urzędów Gubernialnych, przy niedoborach, nie usprawiedliwionych klęskami żywiołowemi — a pochodzących z niechęci włościan do obrabiania nadanych im gruntów, oddawać część tych gruntów, a nawet wszystkie grunta, w dzierżawę i używać czynszu na spłatę zaległości. Dzierżawy miały być 3-letnie, a forma licytacyi ściśle została przepisana. Jeśli niedobór wzrósł do wysokości rocznej raty wykupowej, Urząd Gubernialny do spraw włościańskich obowiązany jest rozpatrzeć bliżej tę sprawę i, jeśli niedobór jest usprawiedliwiony jaką klęską, uczynić odpowiednie przedstawienie do władzy wyższej; a jeśli pochodzi jedynie z niedołęstwa i złego prowadzenia się (*nieradienja* i *durnowo powiedienja*) włościan, — przedsięwziąć *srogie* środki celem ściągnięcia niedoboru i poprawienia włościan. (Uwaga 2 do § 129).

Paragraf 53 Przepisów o wykupie wkłada na Gubernatorów obowiązek osobistego czuwania nad wpływem sum wykupowych do kas skarbowych, a w aneksie do § 45 tychże przepisów powiedziano, że do Gubernatora należy obowiązek zastosowania surowych środków (*strogich mier*) celem ściągnięcia zaległości, powstałych przy wypłacie sum wykupowych.

Kwestya zaległości w sumach wykupowych stanowi przedmiot jeszcze anneksu do § 130 Przepisów o wykupie. W dodatku tym — prawo wkłada na urzędy gubernialne do spraw włościanskich obowiązek nie tylko ściągania zaległości, ale nadzoru nad tem, aby zaległości tych niedopuszczano. Władze gminne — wsi i włości powinny pobudzać *(ponużdat')* włościan do regularnej ich wypłaty i mają prawo nakładać — w granicach, przez prawo im dozwolonych (§ 64 i 86 Przepisów ogólnych), kary na zalegających przez upór lub niedołęstwo. Mirowi pośrednicy powinni bezwzględnie (*nieuklonno*) domagać się spełniania przez władze gminne ich obowiązku w tym względzie, niespełniających tego obowiązku karać w granicach § 125 tychże Przepisów, a gospodarzy niepłacących oddawać na zarobki pomimo gminy. Jeśli zaległości wzrosły do wysokości $^1/_2$ rocznej raty bez słusznych do tego przyczyn, gubernator winien polecić policyi natychmiastowe ich ściągnięcie, wskazując środki, mające być zastosowanymi — a jeśli przyczyną było niedołęstwo władz gminnych, zarządzić usunięcie dotychczasowych władz i polecić mirowemu pośrednikowi wybór innych, stosownie do jego uznania.

Zaprowadzenie w r. 1893 inspektorów podatkowych nie pozostało bez wpływu na przepisy, dotyczące stosunków podatkowych w gminach. W dodatkach № II i III — (Przepisy o instytucyach do spraw włościańskich — i Przepisy o naczelnikach ziemskich Okręgowych) spotykamy postanowienia prawa, dotyczące interwencyi inspektorów podatkowych w sprawach gmin.

Uwaga 5 do § 134 Przepisów o instytucyach do spraw włościańskich stanowi, że inspektorowie podatkowi, których okręgi nie ograniczają się wyłącznie do przestrzeni miasta, mają zasiadać z prawem głosu w Urzędach Powiatowych do spraw włościańskich w sprawach, mających związek ze ściąganiem podatków na rzecz skarbu, i wogóle w sprawach, dotyczących powinności pieniężnych ludności. Przytem mówi dalej taż sama Uwaga: Urzędy powiatowe mogą poruczać inspektorom powiatowym sprawdzenie czynności władz gminnych, wsi i włości co do repartycyi, pobierania i wydatkowania poborów skarbowych i gminnych. Uwaga zaś 7 do tegoż artykułu stanowi, że, gdyby na posiedzeniu urzędu powiatowego, Urząd ten odmówił, wbrew opinii inspektora, zgody na żądanie isprawnika co do przystąpienia do sprzedaży ruchomości włościańskich na zaspokojenie podatków, to sprawa ta przenosi się do urzędu gubernialnego.

W Przepisach o ziemskich naczelnikach okręgowych analogiczne przepisy znajdujemy w § 72 i 85.

VI.

Prawa ogólne osobiste i majątkowe włościan określone są raz w Roździale IV-ym, księgi I, tomu IX (§§ 700—791), a następnie w Roździale I, Oddziału I, Ogólnych przepisów o włościanach, uwolnionych z poddaństwa (§ 21—39).

Zaznaczona w § 700 (t. IX) różnica między włościaninem właścicielem a włościaninem, czasowo zobowiązanym — t. j. płacącym panu czynsz i odbywającym pańszczyznę — od r. 1883 — t. j. od czasu obowiązkowego dla wszystkich włościan w Cesarstwie wykupu, nie istnieje — a nie istnieje tem więcej— że, jakeśmy o tem mówili w ustępie o organizacyi własności ziemskiej włościańskiej—włościanin może być uważanym za właściciela tylko tej ziemi, którą nabył po za „nadziałem" t. j. gruntem, nadanym mu przy uwłaszczeniu; przy uwłaszczeniu grunta nadane zostały „w trwałe użytkowanie" gminom tak samo Wielko,—Biało—i Noworosyjskim, jak i Małorosyjskim (§ 5 miejscowych przepisów dod. IV; dod. V).

Paragraf 21 Przepisów Ogólnych (Dod. I) rozciąga na włościan Ogólne przepisy prawa cywilnego, dotyczące stosunków rodzinnych, i dozwala im zawierać małżeństwa bez zezwolenia obywatela. Obowiązek opieki nad małoletnimi leży na gminie, przyczem gmina przy wyznaczeniu opiekunów i w kontroli nad ich czynnościami powinna się kierować miejscowymi zwyczajami. Mirowi pośrednicy (ew. ziemscy naczelnicy) obowiązani są na żądanie rodziny małoletnich wchodzić w bliższy rozbiór czynności opiekunów i gminy co do majątku pupilów.

Ustawa przyznaje włościanom prawo zawierania umów i kontraktów, prowadzenia handlu, zakładania i prowadzenia fabryk, zapisywania się do cechów i gildyi, stawania i świadczenia w sądzie; przyczem prawo zastrzega, że włościanie nie mogą podawać skarg naczynności i rozporządzenia obywatela, które miały miejsce przed ogłoszeniem Ustaw 1861 roku. — Dalej wolno im brać udział w zebraniach gminnych, zapisywać się do innych stanów i gmin wiejskich, a także wstępować na ochotników do wojska, wydalać się z gminy za paszportem, oddawać dzieci do zakładów naukowych i wstępować na służbę rządową. Nie mogą oni być karani inaczej, jak za wyrokiem sądowym lub z rozporządzenia właściwej władzy (§ 29 Przepisów Ogólnych), i nie mogą być ani pozbawieni praw, ani ograniczeni w ich wykonaniu, jak za wyrokiem sądu lub z mocy postanowienia zebrania gminy.

Wszyscy włościanie mają prawo nabywania i zbywania ruchomości i nieruchomości (§§ 715 i 731/2 tom IX); co do dziedziczenia stosują się do ogólnych przepisów prawa cywilnego (tom X część I Zbioru praw) i specyalnych przepisów tomu IX. — Praw swych do udziału w ziemi gminnej włościanin nie może ustępować ani członkowi gminy, ani osobie obcej inaczej, jak za zezwoleniem ogólnego zebrania gminy, (§ 719 i 734) — a jeśli żąda od gminy wydzielenia mu na użytkowanie dziedziczne części z ziemi gminy, to gmina może mu tego wydzielenia odmówić i wynagrodzić go pieniędzmi (§ 720), przyczem prawo nie wskazuje żadnych zasad oceniania tego wynagrodzenia. Gmina wiejska dziedziczy po włościanach zmarłych bez sukcesorów. Do czasu zupełnej spłaty wykupu, działy, będące w użytkowaniu osobistem i nabyte na własność, nie mogą być rozdrabniane inaczej, jak za zezwoleniem urzędu gubernialnego do spraw włościańskich.

Prawa stanu włościańskiego nabywają się przez urodzenie z rodziców włościan (§ 710 tomu IX) lub przez zapisanie do tego stanu.

W zasadzie za członków gminy wiejskiej, obdarowanej ziemią, uważają się ci włościanie, którzy przy dziesiątej rewizyi (przy spisie ludności, zrobionym 1858 r.) zapisani byli, jako włościanie danego obywatela w danej wsi (§ 6 Przepisów miejscowych). Nie są jednak uważani za członków gminy ci włościanie, których obywatel „wypuścił na wolę”,—obdarzył wolnością—przed ogłoszeniem prawa o reformie 1861 r., — także ci, którzy już przed 1861 r. nie mieli sobie oddanej ziemi dworskiej i nie żądali wydzielenia im takowej przy uwłaszczeniu, i nakoniec służący dworscy (*dworowyje ludi*), którzy od pańszczyzny byli zwolnieni za usługi przy dworze i nie żądali wydzielenia im ziemi przy przeprowadzeniu uwłaszczania, (§ 8 Przepisów miejscowych).

W ten sposób zaraz w r. 1861 oprócz włościan, zapisanych do gmin wiejskich, zjawiła się niemała ilość włościan, nie będących członkami żadnej gminy wiejskiej, — włościan, zapisanych do włości tylko, t. j. do gminy policyjno-administracyjnej, nie mających udziału w ziemi gminnej — bezrolnych *(biezziemielnych).* Z biegiem zaś czasu wytworzyła się jeszcze wśród gmin wielkorosyjskich trzecia kategorya włościan, mających ziemię, ale nie biorących udziału w użytkowaniu ziemi gminnej, dlatego, że albo podzielili się gruntami wspólnymi, albo też (stosownie do § 125 i 127 Przepisów miejscowych), nabywszy w okolicy podwójny nadział maxymalny, pozostali w gminie wiejskiej bez udziału w gruntach i bez solidarnej odpowiedzialności za wykup.

Prawo nie rozróżnia wyraźnie tych trzech typów włościanina 1) bezrolnego, 2) posiadającego ziemię na własność, nie uczestniczącego ani w gruntach gminy, ani w solidarnej odpowiedziałności za wykup, i 3) uczestnika gminy wiejskiej, pełnego, należącego do podziału gruntów i odpowiadającego solidarnie za regularną wypłatę wykupu, a to tem więcej, że, jak się przekonamy potem, dwa drugie typy w praktyce podatkowej nie są należycie rozróżniane. Różnica jednak między tymi typami istnieje w uwalnianiu się z gminy i w obszerności praw na zgromadzeniach gminy wiejskiej, służących każdemu z tych typów.

Co do typu pierwszego: włościanina, przypisanego do włości, ale nie będącego członkiem żadnej gminy wiejskiej, prawo (§ 8 Przepisów miejscowych wielkorosyjskich) mówi, że „powinien się on zapisać gdziekolwiek“ — do włości. Skarb interesował się nim dopóty, dopóki istniał podatek „poduszny”; obecnie nie płaci on podatków, może więc przepisywać się z włości do włości — i właściwie jest jej członkiem dlatego, aby był urząd, który mu paszport wy-

daje. — § 704 tomu IX mówi, że osobom wszystkich stanów opodatkowanych dozwala się zapisać do „włości" za zezwoleniem Ogólnego zebrania włości, i w tem też znaczeniu, w uwadze do tegoż § powiedziano, że włościanie bezrolni, nie zapisani po 1871 rok do żadnej gminy ani włości, powinni się zapisać do włości tej wsi, z której sami pochodzą.

Osoby, zapisane do włości (tylko) nie mają ani prawa otrzymać, ani *obowiązku brać* udziału ziemi w którejkolwiek z gmin wiejskich tej włości, do której są zapisane. Płacą tylko skarbowe i ziemskie podatki, nałożone na dusze robotników lub dwory, (o ile będą mieli domy), i za wniesienie tych podatków odpowiadają osobiście. Pełnią też powinności gminne (włości), przeznaczone na potrzeby włościan.

Prawa stanu włościańskiego utracają się 1) przez przejście do innego stanu, — (§ 712), 2) przez oddanie włościanina (lub włościanki) złego prowadzenia na mocy postanowienia gminy (wiejskiej lub włości) w rozporządzenie rządu według przepisów, wyłożonych w ustawie o zapobieganiu i niedopuszczaniu przestępstw, 3) przez uwolnienie z gminy. Jeśli włościanin pełnił służbę wojskową — gmina w razie złego jego prowadzenia się może go oddać tylko pod sąd na zasadzie praw ogólnych.

Oddział IV roździału I tomu IX mówi specyalnie o uwolnieniu włościan z gminy wiejskiej i ma na myśli gminę wielkorosyjską, w której każdy członek ma prawo do użytkowania z ziemi wspólnej. Uwolnienie z gminy takiego włościanina związane jest z całym szeregiem formalności (§ 724). Musi on przedewszystkiem 1) zrzec się raz na zawsze prawa do udziału w gruntach gminnych i oddać swój grunt gminie, 2) spełnić powinność wojskową, 3) na rodzinie jego, t. j. na gospodarstwie, do którego należy, nie powinny ciążyć żadne zaległości podatkowe, i podatki do 1 stycznia przyszłego roku powinny być zapłacone z góry, 4) nie ma być pod sądem, ani 5) pod egzekucyą wyroku cywilnego, 6) ma dostarczyć dowód zgody na jego wykreślenie z gminy—rodziców (jeśli ich posiada) 7) zabezpieczyć los małoletnich, jeśli takowi są w rodzinie, 8) nie być nic dłużnym z tytułu czynszów lub wykupu b. właścicielowi wsi (pomieszczykowi) i 9) złożyć dowód innej gminy, że gotowa go jest przyjąć albo, jeśli ma zamiar zapisać się tylko do włości (§ 147 Ogólnych przepisów), świadectwo włości. Tylko przy wypełnianiu tych wszystkich warunków włościanin może być uwolnionym z gminy, przyczem obowiązanym jest zapisać się do tej gminy, której świadectwo przyjęcia złożył swej gminie. Świadectwo zwolnie-

nia wydaje mu urząd włości. Przy zwalnianiu się z gminy kobiet wymaganą jest tylko zgoda rodziców, o ile ich mają. Jeśli wszystkie wyżej wymienione formalności są dopełnione — starszy włości obowiązany jest wydać świadectwo uwalniające. Przed wydaniem jednak świadectwa naczelnik włości powinien na miesiąc wprzód zapytać Zebranie gminy wiejskiej, czy nie zachodzą jakie z przeszkód, wymienionych w § 724, i wydać świadectwo dopiero wtedy, kiedy się okaże, że przeszkód takich niema. Zebranie zatem gminne nie decyduje kwestyi zwolnienia — ale zwolnienie bez zwołania zebrania gminnego odbyć się nie może.

Pierwotnie w epoce pierwszych 9-ciu lat po uwłaszczeniu (1861—1870) były jeszcze dodatkowe przepisy; ślad ich przechował się w §§, dotyczących czynszów i pańszczyzn, które dawały obywatelowi prawo nie dopuścić do uwolnienia z gminy robotników męskich w sile wieku.

Włościanin, który posiada lub nabędzie na własność ziemię, może, otrzymawszy w sposób, prawem przepisany, zwolnienie ze swej gminy, zapisać się do tej gminy, w której posiada ziemię, nie biorąc od niej udziału w gruncie (t. j. i w podatkach), ale wtedy tylko 1) kiedy nabyty przez niego na własność grunt ma przestrzeń wyrównywającą 2 razy wziętej przestrzeni, określonej przez przepisy miejscowe, jako maximum, i 2) leży nie dalej jak o 15 wiorst od wsi, do której się chce zapisać. Włościanie, zapisani na mocy powyższego § do gminy (bez udziału w ziemi), ulegają władzom wiejskim i włości na równi z innymi członkami gminy, biorą udział w wyborze władz gminnych, głosują w sprawach, dotyczących rozkładu podatków skarbowych, ziemskich i gminnych i we wszelkich innych sprawach, ale uwalniają się od wszelkich obowiązków, wynikających z udziału w użytkowaniu z ziemi gminnej, (*mirskim nadiełom*), i nie głosują na ogólnych zebraniach w kwestyach, dotyczących użytkowania i podziału gruntów.

Włościan takich zapisuje do gminy Starszy Włości bez żadnych postanowień gminnych i wydaje im odpowiednie świadectwo dla złożenia go w izbie skarbowej.

Dopóki wykup ukończonym nie zostanie, przy uwolnieniu włościan z gminy zastosowane być mają jeszcze przepisy § 743—7, które stanowią, że, jeśli wykupu dokonała gmina, to uwalniający się z gminy jej członek musi wnieść gotówką pół należnej od niego sumy, a za wniesienie drugiej połowy gmina musi przyjąć na siebie odpowiedzialność solidarną. Suma złożona strąca się z wykupowego długu gminy, a część ziemi, przypadająca na udział uwolnionego,

idzie w rozporządzenie gminy. Budynki może on zabrać, przenieść lub sprzedać. Przytem, gdyby z gminy uwolnione zostało do $^1/_3$ jej członków, a nowych członków do gminy nie przybyło, dalsze uwalnianie z gminy nie może mieć miejsca inaczej, jak tylko za wniesieniem nie połowy, ale całości leżącego na nich wykupu, i za zezwoleniem urzędu gubernialnego do spraw włościańskich. Takież zezwolenie wymaganem jest zawsze przy uwolnieniu każdego członka z gminy na której ciężą zaległości (*niedoimki*) z lat poprzednich, podatkowe i wykupowe. Jeśli ziemia, nabyta przez włościanina na własność osobistą, jest obciążona długiem rządowym, przy uwolnieniu go z gminy, musi on znaleźć nabywcę na tę ziemię, który dług rządowy przejmie, jeśli zaś zwolnienia żąda nie właściciel ziemi, obciążonej długiem rządowym, ale dorosły członek jego rodziny (syn, wnuk), to uwolnienie nie może być dane inaczej, jak za zgodą gospodarza — właściciela ziemi.

Roździał V przepisów ogólnych zajmuje się znów kwestyą zwolnienia włościanina z gminy i powtarza bez żadnych zmian co do treści przepisy § 724 do 729, przyczem odpowiedzialność za ścisłe wykonanie przepisów prawa i obowiązek wynagrodzenia ewentualnych strat prawo wkłada na naczelnika włości i obowiązuje go do zawiadomienia o każdem wydanem zwolnieniu policyi, dla doniesienia o tem izbie skarbowej.

Przyjęcie do gminy odbywa się też na mocy postanowienia Ogólnego Zebrania gminy, a jeśli gmina posiada grunta we wspólnem używaniu, to w czasie trwania t. z. stosunków „czasowego zobowiązania“ (czynszów i pańszczyzny) wymagane było i zezwolenie właściciela (*pomieszczyka* — § 142). Każde przeniesienie się włościanina z gminy do gminy opiera się o izbę skarbową. (Oddział III § 147).

W „przepisach o wykupie“ spotykamy się znowu z kwestyą zwolnienia włościan z gminy. (Roździał III Oddziału II §§ 172—179). W gminach, które zobowiązane są do płacenia wykupu solidarnie, to jest takich, które użytkują z ziemi wspólnie, uwolnienie członka gminy może mieć miejsce tylko o tyle, o ile połowa należnego odeń wykupu zostanie wniesiona, a wniesienie drugiej przyjmie na siebie gmina solidarnie. Uwolnienie bez spłaty połowy długu wykupnego może mieć miejsce tylko za zezwoleniem władz gubernialnych i o tyle, o ile gmina solidarnie ręczy za wniesienie sum wykupowych i o ile pozostaje w gminie taka ilość członków, że przestrzeń gruntów gminnych, podzielona na tę ilość, nie przewyższa maximum udziału, określonego dla tej miejscowości.

Treść wszystkich tych przepisów powtórzona jest jeszcze raz w roździale IV Przepisów miejscowych Wielko,-Biało—i Noworosyjskich z dodatkiem, że w epoce od 1861—1870, przy uwolnieniu członka gminy wymaganą jest zgoda obywatela (*pomieszczyka*).

Zauważyć tu musimy, że nawet w „przepisach miejscowych dla Małorosyi" (dod. VI) znajdujemy postanowienia, dotyczące uwolnienia i przyjęcia nowych członków do gminy. Gminy Małorosyjskie — wykupujące grunta dworami — odpowiadają solidarnie tylko za podatki, za sumy zaś wykupowe odpowiada oddzielnie każda osada, t. j. każda głowa rodziny na osadzie uwłaszczonej. Mimo to w ciągu lat 1861—70 przyjęcie i uwolnienie członka gminy wymagało zezwolenia obywatela, wyjąwszy, jeśli życzący sobie wyjść z gminy wnosił kapitał wykupowy, obliczony na 6%.

Prawo z 1861 r. przewidziało jeszcze wypadki przejścia pojedyńczych włościan z kategoryi zapisanych do gminy wiejskiej do kategoryi zapisanych tylko do włości przez spłacenie odrazu całej należności, przypadającej za uwłaszczone grunta na pojedyńczego gospodarza. W przepisach o wykupie—§ 165 stanowił, że wydzielenie pojedyńczemu członkowi gminy gruntów z ziemi gminnej wymaga zgody zebrania gminnego; ale jeśli gospodarz, chcący się wydzielić „wniesie do kasy skarbowej miejscowej całą przypadającą na jego grunta sumę wykupową, to gmina *obowiązaną jest* wydzielić mu odpowiedni dział gruntów, o ile można, w jednym kawałku, a włościanin będzie władał oddaną mu ziemią bez obowiązku płacenia sum, wykupowych."

W prawie o uwłaszczeniu włościan skarbowych (z r. 1866) już kwestya ta inaczej zdecydowaną została. „Wydzielenie pojedyńczych działów oddzielnym gospodarzom ziemi, będącej w posiadaniu gminnym, mówi punkt 2 § 15, może mieć miejsce na podstawie decyzyi, zapadłej większością $^2/_3$ członków gminy, mających prawo głosu na zebraniu." Powołane przez nas poprzednio prawo z d. 14 grudnia 1893 r. zniosło tę różnicę. Paragraf II tego prawa stanowi: „aż do spłacenia sum wykupowych — wyłączenie pojedyńczych nadziałów oddzielnym gospodarzom z gruntów, nabytych przez całą gminę, i wykup tych części osobno przed ogólnym terminem nie może być dopuszczone inaczej, jak za zezwoleniem gminy i z zachowaniem warunków, jakie gmina w postanowieniu swego zebrania postanowi."

(*dok. nast*). *St. Piotrowski.*

Józef Szujski

jako teoretyk i jako twórca dramatyczny. *)

V.

„Samuel Zborowski“, którą to tragedyę nazwał Szujski studyum dramatycznem, zaczyna się prologiem przydługim, a nawet zupełnie niepotrzebnym. To, o czem dowiadujemy się z niego, łatwo można było dopowiedzieć w akcie I, a zresztą niejednokrotnie jest jeszcze później powtórzone. Samuel dowiaduje się od swego brata Jana, hetmana nadwornego, jak go tytułuje Szujski (Szujski poszedł w tem prawdopodobnie za przykładem Paprockiego), że król Stefan nie zdjął z niego banicyi, bo wdowa po Wapowskim stanęła z córką przed królem i padła mu do nóg, błagając, by mordercy jej męża nie darował kary. Batory, wzruszony jej bólem, nie zmienił poprzedniego wyroku. Samuel nie upadł jednak jeszcze zupełnie w oczach królewskich: jeśli pojedzie do Niemiec i tam dłuższy czas zabawi, to może w przyszłości będzie mógł wrócić do kraju. Po za tem król nic więcej nie przyrzeka.

Wypadek zrządza, że Gryzelda, siostrzenica króla Stefana, chroniąc się przed burzą, przybywa do zamku Zborowskich. Sa-

*) Patrz „Ateneum“, styczeń 1900.

muel zawarł z nią znajomość w Hermansztadzie — i pokochał. Gryzelda nie pozostała dla niego obojętną; Samuel wywarł na niej silne wrażenie. Ona to doradza obecnie Zborowskiemu, aby jechał za nią z Ukrainy do Polski, i przyrzeka, że wstawi się za nim do stryja. Słowa jej są dla Samuela droższe, niż głos rozsądku i rady przyjaciół. Wszak do Gryzeldy jeździł nieraz 200 mil, byle ją tylko mógł zobaczyć. To też tem bardziej teraz, kiedy ona tak blizko, nie może się wyrzec rozmowy i widywania się z nią częściej. Zresztą wierzy, że Gryzelda zdoła wyjednać mu u króla przebaczenie, a jeśli nie, — mniejsza o to, co nastąpi. „Z drogi mi, stary — woła do swego wiernego sługi — tam jest moje szczęście, bodaj je własną głową mi odkupić... A na luteńce dzwoń mi piosnkę oną, którąś na dworze Hermansztadzkim nucił, aż ci król Stefan złoty pierścień rzucił, a ona różę, zdobiącą jej łono. Hej na waletę zanuć Czorsztynowi i górom swoim — pojedziem do Polski! A tobie, stary, srebrną lutnię sprawię, byś śpiewał o mej ostatniej wyprawie." Na to odpowiada mu Wojtaszek: „Ojż! płacz po całej Ukrainie bude, nie jedźcie, panie, wytargajcie przódy wszystkie mi włosy z siwej mojej brody. Do Niemiec jedźmy, jako brat wasz radził, na nowe dwory i nowe turnieje — Samucha będzie sławny na świat cały, a stary lirnik będzie piał pochwały — na śmierć panięciu on swemu nie śpiewa, a śmiercią mu się luteńka odzywa."

W ten sposób prolog zapowiada nam katastrofę, która nastąpi. Kolizya jasno postawiona. Samuel kocha Gryzeldę, siostrzenicę króla. Skazany na banicyę powinien kraj opuścić—w przeciwnym razie śmierć go czeka. Walka uczuć na tem tle miała stanowić główną treść dramatu, jak można wnioskować z prologu. Samuel i Gryzelda, a w konsekwencyi—Zamoyski, jako narzeczony, później małżonek Gryzeldy, i król Stefan mieli być głównemi osobami dramatu. Gdyby Szujski poprzestał na tej osnowie, pogłębił jej tragiczność i rzucił na tło historyczne, powstałby zapewne dramat, lepszy od tego, który nam dał. Materyał jednak historyczny, który wiązał się ze wspomnianą osnową, zawierający mnóstwo szczegółów z życia politycznego rodziny Zborowskich, a nawet z życia osób, stojących na dalszym planie, podbił sobie wyobraźnię twórcy, tak, że ten usiłował go zamknąć w ramy pięciu aktów. Siłą rzeczy jednolitość akcyi, w zasadzie tak wybornie pomyślana, musiała się rozpaść i zatrzeć pod napływem faktów, ze względu na historyę potrzebnych i związanych z główną osnową, lecz ze względu na sztukę zupełnie niepotrzebnych. „Zborowski" jest typowym wyrazem walki

dwu sprzecznych żywiołów, jakim uległ Szujski — wymogom historyi i wymogom sztuki.

Najlepszym z całej tragedyi jest akt pierwszy, który tak szybkością następujących po sobie scen, jak i wybornem zarysowaniem charakterów, silnie zapisuje się w naszej wyobraźni. Bracia Samuela Zborowskiego udają się do króla z prośbą, aby odwołał ich brata z wygnania. Scena to nad wyraz charakterystyczna. Przeciwieństwo interesów możnej szlachty, która przyzwyczaiła się trząść Rzecząpospolitą i tronem, i interesów nowego króla, pełnego energii i świadomego swych praw, wybornie zaznaczone. W prośbie Zborowskich przebija się po kolei cała skala butnych uczuć magnackich. Duma rodowa, groźba i hardość, mowa w formie korna, lecz w treści zjadliwa, lub odwrotnie — słowa pełne szacunku, lecz forma i gesta szorstkie i nakazujące. To wszystko tam jest i maluje się wybornie. A król?: „Nie! malowanym nie będę! nie będę słabością moją za obiór dziękował, by z tej słabości korzystali owi, co przy elekcyi powinni jedynie o dobru Polski, a nie swojem myśleć". „Nie na tom tu przyszedł, aby wam herby pozłacać i suknie— znam moje prawa i znam prawa wasze — na piędź ich nie dam przekroczyć, więc biada, kto pierwszy nogę za granicę stawi..." Batory nie dał się zmiękczyć, ani tem bardziej zastraszyć. Rękawice rzucone. Zborowscy, którzy „płuca — jak mówią — wydzierali sobie za Stefanem na elekcyi" — nie zapomną królowi tego wszystkiego. Dramatyczność sytuacyi wzrasta jeszcze bardziej, kiedy król oddaje Zamoyskiemu rękę swej synowicy, by go w ten sposób wywyższyć. Lecz Zamoyski wie, że Samuel kocha Gryzeldę, Samuel, który był niegdyś jego przyjacielem, a i to wie, że wywyższenie jego nad tłum magnatów dodaje oliwy do ognia. Boi się więc tej odpowiedzialności, woli wyrzec się szczęścia, niż przysporzyć nowych ciężarów ukochanemu królowi. „Żlećby to było, gdybym sentymentu tłumić nie umiał ku królewskiej dziewie, jeśliby Pan już na mnie go dopuścił. Źleć by to było, gdybym nie miał siły przestrzedz Was, królu, jako wierna rada..." Zamoyski jasno przewiduje następstwa królewskiego postanowienia. To, co go powinno najszczęśliwszym zrobić, zrobi go przedmiotem jadowitych pocisków. Szlachta nie daruje mu tego, że on, niedawno jeszcze szarak, spokrewnił się z domem królewskim. „Nie rzucaj na mnie cienia twego tronu, bo wtedy tylko zostanę dworakiem, drabem, ubranym w twego domu barwę." Lecz król nie cofnie swego słowa. Ocenia wielkość poświęcenia Zamoyskiego i dlatego tem bardziej obstaje przy swojem. Węzeł dramatyczny zaciska się z każdą chwilą.

A kiedy Gryzeldzie nie udaje się wzruszyć stryja, kiedy przeciwnie Batory Samuelowi, który za jej radą rzuca mu się do nóg, grozi śmiercią, jeśliby po raz drugi odważył się stanąć przed jego obliczem, i kiedy ten wzburzony woła: „królu Stefanie — wstaję twoim wrogiem" — wierzymy, że katastrofa przyjść musi. Postanowienie braci Zborowskich, że jeden z nich pojedzie do Ratysbony do cesarza rzymskiego, drugi wzburzy okoliczną szlachtę, a trzeci, Samuel, pojedzie na Niż i przygotuje wyprawę, jest logicznem i koniecznem następstwem tego, co się stało w akcie I.

Akt pierwszy spełnił wszystko, czego wymaga ekspozycya; zapowiada dramat, wstrząsający siłą i głębokością tematu. Takich pięć aktów — a powstałaby tragedya niepospolitej wartości.

Lecz akt drugi traci już nieco na sile; jego chatakter jest epiczny. Taką ogromną ilość osób, grup, rozgrywających się epizodów trudno byłoby znaleźć w jakimkolwiek innym dramacie. Posługując się wzorem Szekspira bardzo częstemi zmianami, charakteryzuje Szujski w przelocie usposobienia osób i tłumów, wywołane bądź to wypadkami aktu pierwszego, bądź też uroczystościami weselnemi. Gryzelda zgadza się na poślubienie Zamoyskiego, choć kocha Samuela. Nagłe to jednak postanowienie nie jest dostatecznie umotywowane. Uczucia młodzieńcze, świeże, miłość, która po raz pierwszy rozbudziła duszę i otworzyła przed nią nowe światy, nie tak łatwo dadzą się wyrwać z serca. Gryzelda jest dziewczyną stateczną: tem bardziej uczucia jej nie mogły być płoche. Że taką też autor mieć jej nie chiał, wnosić o tem musimy z niespodziewanej, a gwałtownej katastrofy pod koniec sztuki, ze śmierci Gryzeldy. Tymczasem tej walki uczuć, przez którą Gryzelda przejść musiała, nie uwydatnił Szujski.

Nowy żywioł wprowadza do dramatu Katarzyna Włodkowa, dawna kochanka Samuela. Zrozpaczona zdradą Zborowskiego, zaklina go w chwili, kiedy pochód weselny Zamoyskiego przeciąga przez rynek krakowski, aby jej nie opuszczał — lecz Samuel odtrąca ją wzburzony. Katarzyna mdleje — tłum naciska Zborowskiego. Scena ta odznacza się prawdziwą siłą i doborem słów doskonałym.

Odsłona czwarta na zamku królewskim jest wybornie uscenizowana. Jeszcze tu większe mnóstwo epizodów, jeszcze więcej rzuconych rysów charakterystycznych i ciekawych. Przeciąga król i orszak królewski — Zborowscy i ich adherenci, magnaci, przebrani za Wulkana, za Herkulesa i t. d., wszystko to zróżniczkowane, — tłum pełen indywidualności.

Zamoyski zdaje sobie doskonale sprawę z tego, co zaszło. Wychodząc z komnat żony, mówi: „Teraz się moja Nemezys zaczyna, iże walczyłem — a nie zwyciężyłem. Straszliwe szczęście zbliżyło się do mnie nagle, jak piorun, co na głowę spada. Tysiące głosów było za tem szczęściem, rozum i rozkosz, i król, i ojczyzna, wszystko wołało: weź je! tyś zasłużył. Ale mnie w duszy głos sumienia wtórzył: nie bierz! zabijerz dwie nieszczęsne dusze..." Wchodzi Samuel. Zamoyski wziął za żonę Gryzeldę i zdeptał go, jak robaka. On, Zborowski, czuje się większym od niego, bo nie zdradził. Banitą był, lecz nie podniósł na nich dłoni. Dziś ma za to wywdziękę. Zamoyski złamany błaga go, aby nie dał się porwać prywacie, choć krzywdy doznał. „O nie chciej przenieść nad dobro twej matki zniszczonych twoich nadziei ostatki! Samuelu, zwycięż! bądź największym z ludzi." Lecz napróżno błaga. Zborowski łączy się z braćmi, którzy już dawno gotują się do rokoszu, by mścić swe urazy.

Akt drugi nie posuwa akcyi. Prócz zawiedzionej miłości Włodkowej nie wprowadza do dramatu nowych kolizyi — służy jedynie do psychologicznego usprawiedliwienia, dlaczego Samuel łączy się z braćmi. — Pomimo to akt ten, pełen życia i epizodów, tworzących właściwie tło akcyi, nie zaś samą akcyę — jest zajmujący. Gdyby Samuel wyrósł w następnych aktach na prawdziwego bohatera, gdyby wchłonął niejako w siebie całą akcyę, akt drugi, jako szeroki psychologiczny motyw ważnego kroku w jego życiu, mimo swej epiczności, byłby zupełnie na miejscu.

Od aktu trzeciego tragedya poczyna się rozpadać i psuć. Szlachta w Proszowicach oświadcza się za Zborowskimi i przyrzeka im swoje poparcie. Włodkowa, zawiedziona w miłości, mimo że Gryzelda poślubioną jest Zamoyskiemu, nie może jej darować, że Samuel ją kocha. Wdziera się na pokoje królewskie i, wiedząc o uczuciu Gryzeldy dla Samuela, czy może przeczuwając je — przysięga wobec niej że się zemści, za wzgardę. Katarzyna w swej rozpaczy jest wstrętna. Jako czynnik dramatyczny, rozsadza spoistość akcyi, a główną kolizyę, mianowicie wielki zatarg między szlachtą i Zborowskimi z jednej strony a królem i stojącym za nim Zamoyskim z drugiej, spycha na plan drugi. Gryzelda, przestraszona jej przysięgą, nakłania listownie Samuela do opuszczenia kraju. Tymczasem woźny ogłasza ponownie wyrok banicyi na Zborowskiego i nakaz, aby po upływie trzech dni chwytano Samuela, który ukrywa się w Krakowie. Wywołuje to sprzeczne zdania. Mieszczanie, Bonawentura, i kilku ze szlachty oświadcza się za królem, lecz

ogół szlachty i kozacy, których sprowadza Zborowski, gotowi walczyć do upadłego za Samuela. Akt ten jest słaby. Zapowiedź zemsty ze strony Włodkowej nie sprawia wrażenia, bo spodziewaliśmy się jej już po akcie II; jedynie oświadczenie się szlachty za Zborowskimi jest ważne, lecz to za mało na akt cały.

W akcie IV jeszcze gorzej. Samuel dowiaduje się od Berdysza, łotra, że bracia Zborowscy kazali mu zastrzelić króla na łowach. Oburza to Samuela, który zbyt jest prawy, aby miał w tak nikczemny sposób mścić się na Batorym. Obiecuje trzos złota, jeżeli chybi, a śmierć, jeżeli trafi. List Gryzeldy sprowadza Zborowskiego do Łobzowa, gdzie widzi się ze swoją ukochaną. Gryzelda zaklina go, by uchodził. Lecz Samuel przybył po to tylko, by się z nią pożegnać. Dlaczego pożegnać? Nie odczuwamy grozy położenia. Autor nie wyświetlił nam pobudek, które kierują Samuelem. Powinniśmy już wiedzieć w akcie IV o tem, o czem dowiadujemy się dopiero w akcie V, że postanowił poświęcić się za braci, jako rzekomo ten, który nakłonił Berdysza do zabicia króla. Cały szereg naciągniętych sytuacyi i wypadków! Berdysza można było uwięzić, a braci przestrzedz, że ich oszczędzać nie będzie. Lecz to wszystko potrzebne jest na to, aby Samuel w akcie piątym wyrósł na męczennika.

Burza (przypadek!) zrządza, że Samuel, wracając z Łobzowa, chroni się do domu Włodkowej. Tu za sprawą Katarzyny czyhają już na niego zbrojni i więżą go. Czy burza była zamówiona? Samuela czeka śmierć, a to za pobyt w kraju mimo banicyi. Akcya rozsypała się doszczętnie. Przygotowane poprzednie kolizye nie rozwijają się. Prawda historyczna opanowała akcyę, niszcząc wszelkie wrażenie.

W akcie piątym po zamachu morderczym na króla, który się za sprawą Samuela nie udaje Gryzelda, dowiedziawszy się o wyroku śmierci na Zborowskiego — umiera. Zamoyski zaś napróżno błaga Samuela w więzieniu o przebaczenie, że, poślubiając Gryzeldę, wtrącił go w rozpacz, a teraz w następstwie musiał go na śmierć skazać. Zborowski nie może przemódz w sobie nienawiści. Na wiadomość jednak, że Gryzelda umiera, mięknie i przebacza. Równocześnie Zamoyski dowiaduje się z pisma marszałka, że to Samuel uratował życie królowi — w jaki sposób doszła ta rzecz do wiadomości marszałka? — wzywa go przeto, aby opuścił więzienie wolny i sławny. Lecz Samuel pragnie śmierci. Zbrzydło mu życie, ma dużo win na sobie, a ta, którą pokochał, umarła. Zamoyski ustępuje, choć jego obowiązkiem było oczyścić Samuela i nie

pozwolić mu umierać, jak opryszkowi. Cokolwiekbądź powodowało Zborowskim, że chciał umrzeć, Zamoyskiego, jako stróża sprawiedliwości, nie powinno to było obchodzić. Daleko lepiej rozwiązuje Szujski tę kolizyę w dramacie „Zborowscy". Tam ustępuje Zamoyski, lecz przekonany! Pomijając to jednak, ta scena więzienna jest piękna i pełna głębszych myśli. Jeśli nie wywiera takiego wrażenia, jakie powinna wywrzeć, złożyć to trzeba na karb znużenia widza i zupełnego rozbicia akcyi dramatycznej. Samuel przeciwstawia się Zamoyskiemu, jako przedstawiciel pokolenia, które zatraciło cnoty przodków, a rozkochało się w ich wadach. Tacy ludzie, jak on, powinni ginąć. „Żyć nie ma po co! Bo przeżyłem starą cnotę mych ojców, a za wami w ślady mógłbym iść tylko z piętnem strasznej zdrady—!"

„Samuel Zborowski" ma w sobie złączone w wysokim stopniu wszystkie zalety i wszystkie wady pióra Szujskiego. Zasadniczy pomysł jest znakomity. Rozgrywa się dramat między trzema osobami, Samuelem, Zamoyskim i Gryzeldą, na tle walki dwu odrębnych światów — szlachty, która swoim interesom podporządkowała państwo, i władzy królewskiej, usiłującej opanować rozbujały indywidualizm przodującej warstwy. O ile przeprowadzenie zapowiadało się bardzo dobrze w akcie pierwszym i jeszcze w akcie drugim, o tyle w dalszych aktach zawodzi. A przyczyny? Ponad niewytrawnością autora i wszystkiemi innemi góruje zasadnicza chęć zamknięcia w ramy sztuki ścisłej prawdy historycznej. Dopóki szczegóły, przez historyę dostarczone, szczęśliwie odpowiadały wymaganiom sztuki, dopóty było dobrze. Tak powstał akt I, a poczęści II. Kiedy jednak siłą rzeczy trzeba było rozwinąć zadzierzgnięte kolizye i liczyć się tylko z prawami dramatu, — prawda historyczna stanęła w poprzek lotowi fantazyi. Dla tej to prawdy historycznej w akcie III i IV akcya płynie dwoma, trzema korytami. Osoby, które powinny stanąć sobie oko w oko, nie spotykają się ze sobą. Szerokie przygotowania do buntu pozostały niewyczerpane. Historyk zabił poetę. Rozwój końcowy wypadków prawie zupełnie nie odpowiada wymaganiom, jakie mamy prawo stawiać na podstawie wrażenia wyniesionego z aktu I i II. Samuel, Gryzelda, Zamoyski bledną, maleją — wszystko wysuwa się z rąk autora — jedynie prawda historyczna żyje i góruje ponad wszystkiem.

VI.

Po „Samuelu Zborowskim" „Halszka z Ostroga" jest wielkim krokiem naprzód. Jest to jeden z najbardziej scenicznych utworów Szujskiego. Wpłynęły zapewne na teatralność „Halszki" liczne przedstawienia jej na różnych scenach. Autor długo poprawiał, usuwał, wprowadzał nowe sceny, a nawet akty. Pierwotwór, który po raz pierwszy wystawiono w Pradze, w tłómaczeniu czeskiem (!), uległ ostrej krytyce Lucyana Siemieńskiego (w „Czasie"). Szujski, który, jak sam się przyznaje, skrzywił się na gorzką pigułkę, ale jej nie odrzucił, owszem połknął całą i dowiedział się z krytyki o wielu rzeczach, które przeczuwał raczej, niż rozumiał, pod wpływem tej krytyki zupełnie przekształcił dramat. „Akt I i II nie uległ znacznym zmianom — pisze autor — najistotniejszą jest wsunięcie monologu Beaty w drugim akcie, motywującego jej charakter, i skrócenie sceny trzeciej. Akt trzeci za to (scena 1, 2, 6, 7 i 8) uległ zupełnemu przekształceniu, a z dawnego czwartego aktu nic, prócz kilku słów, nie zostało. Akt piąty został także z gruntu przerobiony." Usiłowania Szujskiego, aby „Halszkę" przystosować możliwie najlepiej do sceny, jest znaczące. Te to usiłowania podyktowały później Szujskiemu w przedmowie, napisanej r. 1867, słowa: „dramatowi narodowemu wypada stanąć na wyżynie dzisiejszej sztuki, odpowiedzieć wymogom, jakie obeznana z utworami mistrzów zagranicznych publiczność stawiać ma prawo. Wypada mu stanąć w gotowości scenicznego przedstawienia, którego próbę przejść winien każdy utwór dramatyczny." W różnych dramatach Szujski usiłował pokonać różne trudności, w tym wytężył wszystkie siły, aby stworzyć dramat prawdziwie teatralny, bo rozumiał, jak konieczną rzeczą w sztuce jest przystosowanie jej do sceny. W „Halszce" ze wszystkich dramatów jest najmniej balastu historycznego; tem lepiej na tle, historycznie wiernem, rysuje się dramat dwu serc i walka osób, najbliżej nich stojących. Akcya płynie żywo i zajmująco.

Beata Ostrogska, typ surowej i bezwzględnej matrony, chce wydać córkę swą Halszkę za Łukasza Górkę, którego swata sam Zygmunt August. Halszka, dziewczyna dobra, lecz trochę płocha i zuchwała, nie chce nawet słyszeć o Górce. Prędzej oddałaby rękę Dymitrowi Sanguszce, choć i ten nie przypada zupełnie do serca jej, dziewczynie przejętej aryostowymi bohaterami. Opiekun

Halszki, Wasyl Ostrogski, swata Dymitra, i zabrania Beacie wydawać Halszkę za Górkę. Butę magnata wybornie scharakteryzował Szujski w niewielu słowach. Kiedy Beata podaje mu list królewski, Wasyl odpowiada: „Hoho! mościa księżno. Będę na tyle wolnym synem Polski, by się sprzeciwić. Pisma widzieć nie chcę: król czyli papież — to mi wszystko jedno. Jam głową rodu i ojcem Elżbiety. A co tam wasza miłość ułożyłaś, choćby z wszystkimi królmi chrześcijaństwa, to nic, gdzie mojej nie złożę pieczęci". Ekspozycya wyborna! Z jednej strony—Beata, po której, poznawszy jej charakter, spodziewamy się, że nie ustąpi, król i Górka; z drugiej strony—Wasyl, nieugięty magnat, i Dymitr. Pośród nich Halszka, wydana na łup sprzecznym porywom. Miłość matki i obawa, czupurność i sympatya, jaką żywi dla Dymitra,—to zawiązki, z których wyrosną prawdziwie dramatyczne kolizye. Zaznaczyć trzeba, że autor przedstawił Halszkę w I akcie, jako dziewczynę, która jeszcze sercem nie wybrała. Dowiódł tem silnego poczucia prawdy dramatycznej. Gdyby Halszka kochała gorąco Dymitra, to ani jej oburzenie, ani przysięga późniejsza nie dałyby się usprawiedliwić. Beata przygotowała już wszystko do ślubu Halszki z Górką. Dziewczyna nieugięta zapowiada, że przed ołtarzem ani słowa nie wypowie. Górka ma przybyć samoczwart. Tymczasem Wasyl i Dymitr wpadają do zamku z pocztem zbrojnych, ująwszy poprzednio Górkę. Halszka, której matka złorzeczy, sądząc, że porozumiała się poprzednio z Dymitrem, oburzona, każe wynosić się Wasylowi i Dymitrowi. Lecz Wasyl nie myśli ustępować. Halszka poślubi natychmiast Dymitra. Teraz to Beata każe przysiądz córce, że będzie nienawidzić męża. Halszka ulega nakazowi matki, przysięga — a potem idzie do ołtarza z Dymitrem.

Na czem polega tu tragiczność? Halszka przysięga, że będzie nienawidzić męża, a później męża tego pokocha. Jest w tem dużo sofistyki, której uczucia nie znają. Jest naciągnięcie sytuacyi, jest przedewszystkiem wpływ teatru Victora Hugo. I jeszcze jedna uwaga. Kolizye dramatyczne wtenczas wzbudzają współczucie widzów, jeśli wypływają z zasadniczych przyczyn, tkwiących w charakterach bohaterów. Tragiczność, w jaką popadła Halszka skutkiem przysięgi, jest następstwem nie tych głębszych przyczyn, lecz jedynie chwilowego uniesienia, który ma wszelkie cechy przypadku.

W każdym razie akt II jest bardzo dobrze napisany, gwałtownie prowadzi naprzód akcyę i kończy się, budząc silną ciekawość. Równocześnie jednak odzywa się w nas niepewność, co nastąpi i jak wypadki będą się rozwijać? W akcie drugim kończy się jakby

pierwszy dramat, podczas gdy rozwój drugiej części nie da się przewidzieć. Ta druga część to będzie dramat nowy, większy od pierwszego, dramat właściwy. Tak zapatrując się na „Halszkę", widzimy w dwu jej pierwszych aktach raczej prolog, niźli część jednolitej tragedyi. Składa się na to kilka przyczyn. Po pierwsze, swaty królewskie odgrywają za małą rolę w tych aktach, za mało wagi przywiązujemy do nich, nie obawiamy się następstw, szkodliwych dla tych, którzy nimi wzgardzają. Po drugie, zaszłe wypadki między najważniejszemi dla nas osobami, Halszką i Dymitrem, nie doprowadzone są tak daleko, abyśmy mogli przeczuwać, jaką mniej więcej drogą akcya dalej rozwijać się będzie. Halszka mogła znienawidzić naprawdę Dymitra, mogła go pokochać i nie zważać na pierwszą przysięgę, kiedy druga przysięga, małżeńska, zobowiązywała ją do wprost odmiennego uczucia; ogółem w tem, jak dramat dalej posuwać się będzie, autor pozostawił sobie zbytnią dowolność.

W akcie trzecim wytoczono sprawę gwałtu przed Zygmunta Augusta, który nadto czuje się obrażony krokiem Wasyla. Panowie koronni skazują na śmierć Dymitra. Najbardziej gardłuje za tem Zborowski. On też podejmuje się wykonać wyrok, „jeśli go sądy nie znajdą ojczyste." Zborowski czyni to z poczucia czystej sprawiedliwości. To wielki sensat, u którego jednak czyn chodzi w parze ze słowem. „Bo nie czas — jak mówi — pożar wodą wtedy gasić, gdy dom sąsiada dach mego zapali — piorun, co runął dziś na brata głowę, jest wieszczem tego, który mnie obali." Rada, sama w sobie dobra, jest jednak obcem ciałem w dramacie, jak to słusznie podniósł Lucyan Siemieński (w Czasie 1861 r.). Służy jedynie do umotywowania wyroku śmierci. Oprócz rady, która zajmuje większą część aktu III, mamy jeszcze kilka scen, poświęconych Halszce i Dymitrowi. Halszka, pomna przysięgi, nie chce się oddać mężowi — ulegnie, ale jedynie gwałtowi. Odpowiada jej na to Dymitr: „Nie chcę takich zwycięstw! idźcie, Elżbieto! tam pokój mej matki — znała was dzieckiem — marzyła, że może kiedyś was w zamku synową powita — cieniom jej świętym pod straż was oddaję..." Szlachetne zachowanie się Dymitra obudza w Halszce współczucie dla męża. „O, czemu—mówi do siebie — kusiciel go odział najpotężniejszym z wszystkich wdzięków — smutkiem? Póki był dziki — miałam puklerz wzgardy — dzisiaj swawola zginęła rycerska, pokorny ugiął wysokiego czoła." List z wiadomością, że Dymitra zasądzono na śmieć i infamię, przeraża Halszkę. Ona nie chce jego śmierci. Niech ratuje się ucieczką. Sama po-

chyli się do stóp królewskich i błagać będzie o zniesienie wyroku. Lecz Dymitr nie chce się z nią rozłączyć mimo jej próśb. Uwozi ją z sobą do Czech, a współczucie Halszki dla Dymitra, spotęgowane obawą, iż śmierć go czeka, przerodziło się w miłość. Lecz i na obcej ziemi Dymitr nie był bezpieczny. Zborowski ze zbrojnymi obsaczył go w domu w Norymberdze i w walce zabił.

Halszka wraca do kraju. Matka krząta się koło wydania jej za Górkę. Przybywa król w swaty, lecz spostrzega, że go okłamano. Z zachowania się Halszki poznaje, że kochała Dymitra. Dzięki jego obecności może biedna uczestniczyć w pogrzebie męża. Potem chroni się do Wasyla. A kiedy Górka ze zbrojnymi otoczył zamek stryja, żądając jej wydania, Halszka, byle nie zostać jego żoną, poślubia Siemiona, co jest dziwne, a nawet nieprawdopodobne, wobec tego, że niedawno pochowała męża, którego kochała.

„Halszka" jest jednym z najbardziej teatralnych dramatów Szujskiego. Wrażenie, jakie wywiera, choć nie jednolite, jest silne, a nieraz wstrząsające. Charaktery przeprowadzone konsekwentnie i zajmująco. Dymitr, hulaka trochę i gwałtowny, szlachetnieje pod wpływem miłości. Metamorfoza szczęśliwie oddana. W charakterze Halszki są pewne dowolności, lecz ogółem to typ dziewczyny piękny. Niekiedy jest wprost prześliczną, jak np. w akcie V w czasie pogrzebu Dymitra. Wasyl, Beata, Astralobus, astrolog Beaty, dobrze zarysowani. Sąd w akcie III pełen prawdy i ciekawy, jako epizod. Dysonansem w całości pięknej i jednolitej w nastroju jest samo rozwiązanie.

„Halszkę" pisał Szujski pod wpływem teatru francuskiego, a zwłaszcza Viktora Hugo. Gwałtowne sceny, naciągania tu i owdzie sytuacyi, efekty teatralne, zresztą dobrze pomyślane, np. pogrzeb za sceną Dymitra, budowa aktów, np. II, są tego wymownym dowodem. Szujski szukał drogi. Każda szkoła była dla niego dobrą, jeśli tylko wnosiła coś nowego do techniki teatralnej. To też krytycznie naśladował wszystkie po kolei. W „Halszce" poszedł za romantycznym teatrem francuskim, zwracając przedewszystkiem uwagę na jej sceniczność, co też w zupełności osiągnął.

VII.

Odmienną w budowie jest „Królowa Jadwiga". Jeżeli Halszka w pomyśle dramatycznym, jak i w przeprowadzeniu, ma wybitny charakter gwałtowności, to natomiast „Królowa Jadwiga" ma za-

krój klasyczny. Ifigenia Goethe' go. a przedewszystkiem dramat Racine'a, ma wiele do niej podobieństwa Kompozycya jednolita, akcya, płynąca spokojnie, bez nagłych przeskoków, unikanie zbyt częstych zmian — wszystko dąży do stworzenia dramatu stylowego.

„Nie z grzmiącą pieśnią dziś przed wami stoję — mówi poeta w prologu — bez blasków sromu świętego na twarzy, bez tego ognia, co się w gęśli żarzy i ran zaskrzepłych zawiązki przeżera; w przeszłości bluszczach dzisiaj skronie moje, podobne skroniom gotyckich rzeźbiarzy, a w dłoni rylec, co z trudem roździera nieczułe drzewa lub marmuru słoje, aby z nich zbudzić postać bohatera". Nie szukał w przeszłości czynów, co burzą krew i ludzi, zaślepionych namiętnością — pragnął odetchnąć i zamiast nocy dzień słoneczny roztoczyć na scenie. Więc „z widzeń duszy i marzeń dziejowych postacie zmarłych szły pod moje dłuto i z płaskorzeźby i objęć głazowych podniosły głowę, w twardy kamień wkutą. Minnesingerskiej pieśni wątek złoty, serdeczne głosy miłosnej pieszczoty, dziewiczej duszy utęskniony lament w tajemnic pańskich gdzieś mroku się zbiegły, jak w tumie gockim wzniosłych łuków cegły w kościelnej nawy niebieski firmament, by się pokazać innej treści światu — w architekturze gotyckiej dramatu".

„Królowa Jadwiga" to dramat serca — wszystko w nim jest, co składa się na pierwszą miłość, pełną obaw, wzruszeń, przeczuwającą raczej, niż świadomą, świeżą i pełną wdzięku, nie przepaloną ogniem namiętności. Nie chodziło Szujskiemu o oddanie gwałtownych uczuć. Pragnął odtworzyć cichy dramat, jaki rozegrał się w duszy młodziutkiej królowej — w chwili, kiedy ta, nieświadoma jeszcze ani życia, ani cierni korony, zasiadła na tronie polskim. Odpowiedzialność, jaka na nią spadła, zaskoczyła ją zbyt nagle i zbyt młodo, aby mogła nabrać pełnego przeświadczenia o tem, co ją czeka. Zbudziło się w niej jednak przeczucie, że nowe życie będzie całkiem różne od tego, które wiodła. Kiedy wjeżdżała do Krakowa, czuła, że „jedzie w inny świat dziwnej powagi, groźny, jak starców tych sędziwych słowa, że dawne dziewczę zabiła królowa na zawsze — zawsze". Przeczucie to budziła w niej przedewszystkiem obawa i pytanie — czy Wilhelm, którego kocha, zasiądzie z nią razem na tronie polskim. Przeszkód nie widziała żadnych, a bała się jedynie, że, jak to życie, które się dla niej zmieniło, tak może — miłość jej będzie musiała w inną przeoblec się postać. Pewności żadnej — dużo za to wątpliwości. Wszak rada przyboczna mówiła o mężu jej, czemuż nie mówiła, że Wilhelm nim będzie, Wilhelm, o którym wie świat cały, że jest jej narzeczonym. Oba-

wy spełniają się. Burgrabia z polecenia Dymitra z Goraju — nie wpuścił Wilhelma do zamku. Wilhelm przemocą wdarł się i teraz staje przed jej obliczem — „miecz przy mym boku, a ja — ja przy tobie klęczę i witam królowę tej ziemi, co moją panią była bez korony — rozkazów czeka do stóp twych schylony, żyjący ócz twych blaskami jasnemi". Poraz pierwszy musi młoda królowa walczyć z jednej strony z uczuciem, a z drugiej z prawami dostojeństwa. Zwycięża królowa. Wilhelm, jeśli nie chce „rozłączeniem wiecznem zniweczyć szczęścia", musi panować nad sobą, musi szanować naród, na którego ziemi przebywa. Odczuwa Wilhelm zmianę, jaka zaszła w Jadwidze. I dlatego ze smutną ironią mówi: „Kadzidło tronu znać kwiat mój owiało, że upojony niem i zczarowany: powagą królów słowo twoje brzmiało, a umysł młody dojrzał na wyżynie tronu, że w rady rozsądne bogaty! Miałożby w fałdach purpurowej szaty inaczej serce bić pięknej dziewczynie, co niegdyś tylko dla kochanka biło? czyż jedno rano, na tronie spędzone, mą narzeczoną w królowę zmieniło?" Jadwiga lepiej zdaje sobie sprawę z położenia, niż krewki Wilhelm. Ten sądzi, że dość mu być jej narzeczonym, aby na tronie zasiąść. Ona zaś wie, że po za nią i po za jej miłością jest starszyzna narodu, są inne jakieś, nieubłagane względy, z którymi dziś jeszcze się nie liczy, bo ich nie zna, lecz które przeczuwa, że są wreszcie obowiązki — królowej. Wilhelma kocha, rozstać się z nim? — nie! o tem nawet myśleć nie chce — lecz lęka się bardzo, że „przyjdą straszne rozłączenia wieści".

Ekspozycya przejrzysta! Dla tych, co szukają w dramacie efektów, tragedya nie zapowiada burzliwych scen ani kolizyi, kto jednak odczuwać umie równie dobrze gwałtowne uczucia, jak i wpółrozkwitłe, ten odczuje piękno, zamknięte w „Królowej Jadwidze". Dramat ten traci na scenie dużo ze swej wartości — jak zapewne tracą na deskach teatralnych tragedye Racine'a.

Akcya postępuje naprzód. Ziemowit, książę Mazowsza, i Władysław, książę Opolski, starają się o rękę Jadwigi. Lecz Jadwiga zbywa ich wesoło. Starszyzna przygotowuje ją powoli do swoich planów; ani Dymitr, ani Bodzanta, nie mówią wyraźnie, o co im chodzi, lecz delikatnie podsuwają młodej królowej myśli, że nie wszystko, co młoda wyobraźnia za szczęście poczyta, jest szczęściem, że mała nieraz boleść, choć przykra, chroni przed smutnemi następstwami wadliwego kroku. Proszą ją, aby w stanowczej chwili nie wzgardziła ich radami. Jadwiga domyśla się, do czego zmierzają. Dlatego też odpowiada im, że Polsce szczęście chce dać, ale — szczęśliwa.

Wilhelm butnem zachowaniem naraża się radzie przybocznej. W najbliższym czasie ma opuścić Polskę wraz ze swą świtą zbrojną, „jeśli nie chce, by miecz mu wskazał drogę". Zaskoczony bezwzględnym rozkazem nakłania Jadwigę, aby wzięła z nim ślub potajemnie w klasztorze franciszkańskim. Przedstawia jej, że w przeciwnym razie zostanie żoną dzikiego Jagiełły, po którego rada posłała już tajemnie poselstwo. Lecz Jadwiga nigdy nie zgodzi się na krok podobny. „Przysięgłam Polsce, że żywot mój cały widocznym będzie, jako dzień ten biały, że bez jej wiedzy nie postawię nogi na ciemnej ścieżce podstępu i zdrady". Wierzy jeszcze, że Wilhelm jawnie zostanie jej mężem.

Z pośród dramatów Szujskiego „Królowa Jadwiga" jest jedyną sztuką, gdzie miłość jest osią całej akcyi; są tu wszystkie szczeble w rozwoju uczucia miłości: powitanie, radość, smutek, gorycz, ironia, żal, obawa — aż do rozpoczy. Każda nowa scena między Jadwigą a Wilhelmem to miłość, płynąca swobodnie, szeroko, owiana prawdziwą poezyą, miłość o nowym odmiennym kolorycie. Szkoda, że ujął ją Szujski w c h ł o d n ą, s u r o w ą formę Racine'owskiego dramatu. Na tem traci barwę, swoją uczuciowość. Swobodna faktura „Halszki z Ostroga" bardziej nadawałaby się do niej. A jednak i „Jadwiga" jest piękna. Dowiódł Szujski, że nie obce mu są najdrobniejsze drgnienia kochającej duszy.

Wślad za Wilhelmem przybywa do zamku królewskiego poselstwo litewskie z prośbą o rękę królowej dla Jagiełły. Jadwiga oburza się na to, że za jej plecami czyniono zabiegi i porozumiewano się z obcymi jej książętami w sprawie jej zamęścia. Dotychczas sama stała na straży swej godności królewskiej, lecz kiedy nadużywają jej dobrej wiary i chęci, nie będzie się już krępowała. Szujski wybornie podkreślił dodatni rys charakteru Jadwigi — jej energię. Jadwiga słusznie się gniewa. Jeżeli sama postępowała otwarcie — miała prawo żądać, aby tak samo z nią postępowano. Lecz rada przyboczna zasłania się wyższymi względami. Jadwiga nie powinna dać się powodować pierwszemu wzburzeniu: od kogo losy narodu zależą, ten musi mieć dar poświęcania swych uczuć na ołtarzu dobra ogólnego. Polska z Litwą oddawna wiodły boje zacięte, niszcząc wzajemnie swe siły — jakaż potęga powstałaby, gdyby na tronie polskim zasiadł władca Litwy! Jadwiga to, co dawniej przeczuwała, teraz słyszy i pojmuje jasno całą doniosłość chwili, czuje, że to, co mówią ci starce do niej, jest tak nieubłagane, bezwzględne, iż uledz musi, i dlatego na myśl o tem buntuje się i wzburza: „Wyście marzenia me zniszczyli rano,

i odepchnęli głowę ukochaną, którą pragnęłam obaczyć w koronie.... Wy chcecie wieczór, by w rozpacznem łonie zajął się ogień poświęcenia święty? Twarda dłoń wasza i duch nieugięty! Na prawo wasze mam prawo cierpienia, na waszą przemoc mam upór rozpaczy!" W gorączce gniewu godzi się na projekt Wilhelma. Kiedy będzie jego żoną, już nikt nią rządzić nie będzie. Ale nad jej myślami i jej czynami wisi, jak nieubłagane fatum, bojaźń, że jednak stanie się inaczej, jakby chciała, jak chce, jak postanawia. Działa, jak jej uczucia każą, lecz w duszę jej tak głęboko zapadły słowa jej doradców, potrzebę poświęcenia tak bardzo, choć nieświadomie, poczyna odczuwać — że w chwili stanowczej, kiedy energia jej wobec nowych przeszkód tem silniej mogła była wybuchnąć, ulega, jak dziecko, gorącym słowom Dymitra. W nocy zaskoczona w krużganku klasztoru franciszkańskiego — przez panów polskich w chwili, kiedy podążała na ślub z Wilhelmem, po pierwszym wybuchu uniesienia odstępuje od swego zamiaru. To jeszcze nie stanowczy, ale już ogromny przełom w jej duszy. Całą duszą należy jeszcze do Wilhelma, ale już pomiędzy nią a nim otwarła się przepaść Na żaden krok nie zdobędzie się jeszcze, rezygnacya jednak wstąpiła w nią i rozwiała opór. Na własny ból i miłość będzie już patrzeć chłodno. Tak zapewne Szujski pojmował jej stan psychiczny. Wprawdzie nie wszędzie zachował jednolitość i w potokach słów, zwłaszcza w scenie I aktu IV, zbyt długiej i przez to nużącej, zatarł czystość rysunku, lecz ogółem umiejętnie pojął i przeprowadził Jadwigę w tej przełomowej chwili.

Fatum, płynące ze zbiegu okoliczności i z jej ogromnego poczucia obowiązków, poczyna się powoli spełniać. Przybywa Jagiełło. Z jego zjawieniem się sztuka nabiera więcej życia. Dotychczas akcya toczyła się leniwie. Brak jej było bezpośredniego bodźca. Jagiełło wnosi z sobą cały odmienny świat pojęć. Akcya nabiera charakteru stanowczego, męskiego.

Kontrast pomiędzy Jagiełłą a Wilhelmem i dworem polskim jest przeprowadzony znakomicie. Sceny, w których występuje Jagiełło, są najlepsze w całej sztuce. Z barbarzyńca, za jakiego Jadwiga uważała litewskiego księcia, wydobył autor półtony uczuć, jakich niktby nie szukał w piersi syna puszcz nadniemeńskich. Jagiełło, który dużo słyszał o Jadwidze, uderzony jej pięknością, mięknie. W szorstkich zwrotach wypowiada taki podziw i taką uległość, że otoczenie jego poznać go nie może. Dowiedziawszy się, że Wilhelm jest jej narzeczonym, gotów wyrzec się jej ręki, byle jej nie wyrządzić najmniejszej przykrości. On dla niej za dziki, za

obcy. Jadwiga czuje się wzruszoną. Wpada Wilhelm wbrew zakazom, wyzywa Jagiełłę: miecz rozstrzygnie, po czyjej stronie słuszność. Burzy się wszystka krew w Jagielle. Nie przyzwyczajony nigdy do pasowania się ze swymi popędami — w obliczu Jadwigi zdobywa się jednak na moc panowania nad sobą. „Toć, gdybym wiedział, że czyn taki mały mógłby mi zjednać skarb królewskiej chwały i ową panią piękną, jak jutrzenka, — książę Rakuski, tobym prawą rękę odciął i rzucił ci na plac bojowy, a lewą dosiągł twojej złotej głowy!" Lecz Jadwiga nie dopuszcza do starcia. Wilhelm obraził majestat królewski, dobywając w jej obliczu miecza. Dymitr będzie przeto nad nim czuwał, aby uchronić tron od dalszej swawoli. W duszy Jadwigi coraz silniej odzywa się głos obowiązku. Dzieje się to powoli, lecz stale — psychologiczna prawda zachowana z prawdziwie artystyczną miarą.

Zdobywszy się na ten krok, na razie nie widzi Jadwiga innego wyścia dla siebie, jak zrzeczenie się korony. Lecz rozmowa z Jagiełłą sam na sam sprowadza inne rozwiązanie. Młoda królowa, widząc jego ogromną szlachetność i oceniając już jasno całą doniosłość czynu, którego spełnienie od niej jedynie zawisło, oddaje mu swą rękę. I teraz Jagiełło nie chce jeszcze przyjąć jej ofiary. Wie, że byłoby to z jej strony poświęcenie. Nie myślał, że jest wolna. Panowie polscy zwiedli go. Nie chce zamykać jej życia. Będzie cierpieć — lecz niech ona będzie szczęśliwą. Rycerskość ta wzmacnia postanowienie Jadwigi. W pięknej scenie żegna się Wilhelm z Jadwigą. I on korzy głowę przed jej postanowieniem.

Pod względem budowy „Królowa Jadwiga" jest najlepszą sztuką Szujskiego. Być może, przyczyniła się do tego dążność zastosowania się do wymagań klasycznego teatru francuskiego, a przedewszystkiem do zachowania jedności czasu. Prawidło owo, żądające od twórcy, aby przeciąg czasu, w którym rozgrywa się jego dramat, nie przekraczał doby, zmusza go zarazem do obmyślenia jednolitej akcyi. W sztukach o dowolnym okresie czasu, gdzie miesiące i lata mogą upływać między aktami, łatwiej o rozproszenie akcyi. Wogóle prawidło jedności miejsca, przeciw któremu tak bardzo burzono się, zapewne, że nieraz słusznie — ma wielką doniosłość w twórczości dramatycznej. Ono to zmusza artystę do przemyślenia osnowy, do ścisłego uwarunkowania wypadków, które zajdą w jego sztuce, zmusza do *poprawnej kompozycyi*.

Szujski uniknął w „Królowej Jadwidze" błędów, które popełnił w innych dramatach. Poselstwo litewskie, staranie się

Jagiełły o rękę Jadwigi, jej miłość do Wilhelma — to fakty historyczne; po za tem niejedno stworzyła fantazya poety. Pragnąc zachować jednośó czasu, musiał Szujski tak akcyę swą rozłożyć, aby każda scena następna była wypływem poprzedniej. W każdym innym dramacie osnowa, z jakiej powstała „Królowa Jadwiga", byłaby niewystarczającą, za krótką; jeden lub, co najwyżej, dwa akty zrobiłby z niej Szujski. Tu musiał poprzestać na tym szczupłym wątku, który mu dawała historya. Cokolwiekbądź jednak złożyło się na to, kompozycya dramatu jest najbardziej jednolitą. Pierwsze trzy akty za mało mają życia, za to dwa ostatnie, a zwłaszcza wyborny akt IV, nie mają prawie sobie równych w twórczości Szujskiego. W „Jadwidze" jest zarazem najmniej epizodów. Poeta najzupełniej opanował swój temat. Jeśli co zarzucić można jego sztuce, to chłód i przewlekłość niektórych scen, zwłaszcza w trzech pierwszych aktach. Jedno jednak i drugie było po części następstwem założenia.

Zrzekając się obrazowania gwałtownych wypadków dziejowych i zbytniej historyczności w gromadzeniu materyału, baczną uwagę zwrócił Szujski na psychologię osób. Uczucia, które oddaje, są subtelne. W przeprowadzeniu charakteru Jadwigi niema żadnego fałszu, a jest ogromna rozmaitość. Jedynie razi tu retoryczność, zacierająca w potoku słów niejeden świetnie zaznaczony rys duszy młodego dziewczęcia. Postać Jagiełły również dobrze nakreślona, a nad Jadwigą ma tę nawet wyższość, że silniej przemawia do wyobraźni. Postawiony w kolizyi, dla niego samego niezwykłej, oczarowany urokiem młodej królowej, burzliwy, a jednak wbrew swej naturze panujący nad sobą, był wdzięcznym przedmiotem dla psychologa. Zdaje się też, że Szujski najbardziej ukochał go ze wszystkich postaci dramatu. Wilhelm to butny, germański książę. Kocha szczerze i przez to budzi w nas sympatyę; jego język poetyczny, jakim mówi, prosi, błaga i wybucha, jest piękny. W rozwiązaniu jest on zamało wierny swojemu charakterowi, zbyt chłodny mianowicie, kiedy musi uledz konieczności. Po za tem charakter jego maluje się jasno, energicznie. Z innych osób Witold i Dymitr są najlepiej zarysowani.

VIII.

Tragedya „Zborowscy" jest dla badacza ciekawą ze względu, że na tym samym temacie osnuł Szujski „Samuela Zborowskiego".

Porównanie tych dwu dramatów jasno okazuje, że talent Szujskiego rozwijał się i mężniał. „Zborowscy" powstali w dwanaście lat po „Samuelu".

W „Samuelu Zborowskim" akcya płynęła zbyt szerokiem korytem; autor chciał w nim wszystko wypowiedzieć, o czem się dowiedział ze studyów historycznych, i w nawale szczegółów stracił z oczu całokształt. Nagromadził wiele kolizyi i osób, lecz kolizyi należycie nie rozwinął, osób nie uwypuklił; w dramacie mamy za dużo przygotowań, a za mało następstw. Po akcie pierwszym moglibyśmy spodziewać się, że bracia Samuela odegrają większą rolę w dramacie, po szerokich przygotowaniach do buntu szlachty— że bunt zaważy silnie w przesileniu lub w rozwiązaniu dramatu: tymczasem to wszystko nas zawodzi. Tragedya „Zborowscy" już pod tym względem odskoczyła od swego pierwowzoru; niema tu już tej chaotyczności. Każdy krok, każde słowo ma swój cel.

W pierwszym dramacie bracia Samuela nie mieli żadnej bezpośredniej przyczyny, aby z nim współdziałać. Mogliśmy jedynie przypuszczać, że robili to ze względów rodowych, choć tego nigdzie autor nie zaznaczył. Brak też było z tego powodu w ich działaniu głębszego umotywowania. Tu zaś każdy z braci staje się nieprzyjacielem króla z własnych osobistych względów: Krzysztof, bo król nie chce mu powierzyć najmniejszego urzędu, Andrzej —, bo zawiódł się w swych obliczeniach, przypuszczał, że, kiedy Batory zasiądzie na tronie, zapłaci mu sowicie za to, że na elekcyi skutecznie poparł jego kandydaturę. Król jednak nie śpieszy się z uznaniem jego zasług; Andrzej wprost upomina się o nagrodę, prosząc o pieczęć koronną, w mowie swej jednak daje dotkliwie uczuć Batoremu, jak wiele wdzięczności mu winien. Przepysznie odpowiada król: „Gdzie ja — tam gróźb się kończy panowanie! z pięścią po zaszczyt wam przyjść nie pozwolę. Wolność szanuję, lecz skarzę swawolę. W świątyni sejmu piszcie wasze prawa, wykonać — moja powinność i sława. Moim jest wybór tych, co wykonają, i biorę takich, którzy mi przystają, jak płaszcz do ramion, jak miecz do prawicy". Nic dziwnego, że wstawienie się potem Andrzeja za bratem Samuelem pozostaje bez skutku. W pierwszym dramacie Samuel sam za sobą się wstawiał, co było mało prawdopodobne i mocno trąciło romantycznością lichszego gatunku; wszak to — stateczna Gryzelda ukryła go w komnacie i w stosownej chwili przypuściła do kolan stryja. Drobny to szczegół, lecz świadczący o dojrzałości poety.

Obydwaj bracia, Krzysztof i Andrzej, bezpośrednio czują się skrzywdzeni. Przytem Szujski położył silny nacisk na ich dumę rodową. Ona to nadaje do pewnego stopnia Andrzejowi i Samuelowi polot ducha. „Nie z czczej ambicyi rosną moje chęci — mówi Andrzej — z domu je wziąłem, co, możny i duży, od swej kolebki Polsce wiernie służy, którego praca nie blask pusty nęci, z domu, co w górę wzniósł się krwią i potem pokoleń, zbrojnych prawem i brzeszczotem". Nie poprzestał na tem poeta — zróżniczkował ich jeszcze więcej. Samuel najszlachetniejszym jest z nich wszystkich, Andrzej — szorstki, gwałtowny i ambitny. Jeśli mści się, to gotów brata poświęcić, byle dopiąć celu. Krzysztof upadł z nich trzech najniżej. On jest zakałą rodu. Cierpią go pierwsi dwaj, lecz dają mu zarazem uczuć swą wzgardę.

Zindywidualizowawszy w ten sposób charaktery trzech braci, nadał Szujski większą siłę rozpędową akcyi. Główną rolę odgrywa Samuel. Wprawdzie usiłował Szujski dla usprawiedliwienia tytułu dać rozwiązanie osobne dla każdego z braci, jak np. dla Krzysztofa w epilogu, lecz to nie zmienia postaci rzeczy. Epilog ten ma luźny związek z całością, a nawet jest zbyteczny. Co do Andrzeja, to ten w ostatnich aktach nie odgrywa wybitniejszej roli, aby go można było uważać za równorzędną osobę z Samuelem. Prócz zasadniczych różnic charakteru i interesów, wykończył nadto Szujski ich postacie prawdziwie artystycznie. Każdy z trzech braci jest wybornie pomyślany i wykonany. Odskok to ogromny od „Samuela Zborowskiego". Tu jest Szujski znakomitym psychologiem, tam nie był nim jeszcze.

Mówiąc o rodzinie Zborowskich, jeszcze o jednem trzeba wspomnieć. Trzej bracia, tak, jak ich autor pokazał w dramacie, mimo, że Samuel ma w sobie dużo szlachetności, tworzyliby za wielką, za czarną plamę w sztuce. Dla złagodzenia przykrego wrażenia Szujski w dusznej atmosferze domu Zborowskich zarysował przelotnie ich matkę Annę. Ślepa staruszka jest prześliczną postacią w tragedyi. Kontrast to mistrzowski. Wieje od tej słodkiej, cichej kobiety taki urok i takie piękno, jak od żadnej innej kreacyi kobiecej Szujskiego.

Co do kompozycyi, pominął Szujski prolog, który poprzedzał „Samuela", a który jest przewlekły i niepotrzebny; pominął również postać Włodkowej, która w pierwszym dramacie odgrywa pod koniec znaczniejszą rolę. Wypadły przez to sceny niesmaczne, zmieniło się również rozwiązanie. Po zatem tak pochód weselny, jak i podburzanie szlachty ściągnął do właściwych rozmiarów. Wszystkie te zmiany są bardzo korzystne dla sztuki.

Akcya w „Zborowskich” toczy się mniej więcej w ten sam sposób, co w „Samuelu”. Batory nie zdejmuje banicyi z Samuela, Zamoyskiemu oddaje rękę Gryzeldy i pieczęć koronną. Zamoyski wie, że tym jednym krokiem stworzy sobie dwu nieubłaganych wrogów — Samuela i Andrzeja. Boi się przyszłości. „W rozumie ludzkim niema na to głosu, w obszarach myśli niema na to rady. Tocz się do końca, straszna falo losu!..”

Przybyły wyborne sceny w domu Zborowskich. Charaktery Krzysztofa i Andrzeja rysują się ostro. Andrzej wygnałby chętnie Krzysztofa — bo „dziś, kto pragnie strzały nienawiści na dom Zborowskich — ciebie w twarz nam miota: w garść bierze brudy twojego żywota i kala nimi tarcz naszą herbową!” On zhańbił ich ród, bo błagał króla o podły jurgielt po jakimiś tam mieszczaninie. Na to odpowiada szyderczo Krzysztof: „Co głupsze, powiedz: wsadzić na tron Bata, szargać fortunę, płuca mową zrywać, a potem, kiedy ominie zapłata, w Zborowskim zamku *Dies irae* śpiewać, widzieć, jak pieczęć taka pożądana w dom szerepetki Zamoyskiego Jana idzie... czy (przeciwnie) strasznym bywszy wrogiem (jak on, Krzysztof) przed zwycięskiego stanąć króla progiem i rzec: mych zębów doświadczyłeś, panie, daj co zakąsić, bo pokąsam jeszcze?” Nie chce z nim również nic mieć wspólnego Samuel. Ale na wiadomość, że banicyi nie zdjęto z niego, miarkuje się. Będzie potrzebował pomocy Krzysztofa, choć nim gardzi. Jeszcze nie wie, co pocznie, lecz działać musi: albo wzburzyć szlachtę i powściągnąć króla, a potem na karku wroga z nim się pojednać, lub uderzyć na wschód i tam królestwo sobie założyć! Jeszcze tylko miłość go wiąże. Lecz Krzysztof podaje mu z drwinami list, w którym król zaprasza gości na gody weselne kanclerza z Gryzeldą. Przepiękne miejsce! Samuel blednie, to cios w samo serce, lecz właśnie dlatego drwin brata nie zniesie. „Milcz waść! cios wielki ten list w sobie chowa; śmierć za śmiech każdy! nie puszczę nikomu... musi tu cicho być, jak w zmarłych domu...” Lecz sprawa wspólna, chęć zemsty łączą ich z sobą.

Kiedy Samuel chce jawnie działać, Andrzej układa piekielny plan. Samuel i Krzysztof padną jego ofiarą, ale i król padnie. Oto Samuel pojedzie na sejmik, aby zawiązać konfederacyę. Zamoyski, którego on (Andrzej) uwiadomi, będzie go musiał więzić i skazać na śmierć, jako banitę. Wtenczas to Kościesza, sługa Krzysztofa, zabije króla na polowaniu. Królobójstwa szlachta nie darowałaby im nigdy, lecz śmierć brata Samuela zatrze lub, przynajmniej, zmniejszy wrażenie.

Lecz Samuel domyśla się wszystkiego; zabija Kościeszę na polowaniu w chwili, kiedy ten czyhał na króla, sam oddając się w ręce sprawiedliwości, jako sprawca zamachu. A choć potem, po wydaniu na niego wyroku śmierci, wykrywa się jego niewinność, błaga Zamoyskiego, aby pozwolił mu umrzeć, bo chce pokryć hańbę swego rodu, bo zresztą czuje, że życie jego zmarnowane, a tam w grobie czeka już na niego Gryzelda. Rozwiązanie to daleko logiczniejsze, niż w „Samuelu".

Wartość „Zborowskich" jest bez porównania wyższa, niż „Samuela". Jako artysta i jako psycholog, złożył Szujski w „Zborowskich" niezaprzeczone dowody postępu. Najważniejszą jednak dla nas stroną dramatu jest chęć utworzenia pełnego obrazu ścierających się z sobą dwu prądów w ówczesnej Rzeczyspolitej. Z jednej strony rodzina „Zborowskich", która skupia w sobie wszystkie niemal wady rozbujałej szlachty, która jest jaskrawym przykładem, jak bardzo dobro Rzeczypospolitej uważano za równoznaczne z samolubnemi ambicyami i interesami; z drugiej strony — król wielki i człowiek, który nie dzięki przeszłości swego rodu, lecz dzięki swemu talentowi, wyrósł nad ogół. Z jednej strony rozstrój, z drugiej pragnienie ładu państwowego. Samuel, umierając, bierze na siebie winę tej całej rzeszy szlacheckiej, tej kliki magnackiej, która grzęzła w prywacie i złotej wolności. Po nim jednak pozostają jeszcze Krzysztofowie i Andrzeje, krórzy ani boleć, ani winy swej uznać nie zechcą. Samuel wolał zginąć, niż widzieć przyszłe podłości swych braci. Przy całym swym wichrowatym charakterze miał jeszcze dużo poczucia prawości.

Że Szujski w „Zborowskich" poza samą tragiczną kolizyą chciał jeszcze coś więcej powiedzieć, świadczy epilog. Ten król, zwycięski wprawdzie, lecz umierający otwiera swą śmiercią bezdennie smutną perspektywę.... Jako część w całości, epilog jest zbyteczny, jako wyrażenie idei, potrzebny. Poprzez całą tragedyę kroczy tajemniczy ów Bóg dziejów, kroczy „pośród zmarłych i upadłych i pisze na ich twarzach wyroki swoje święte".

IX.

Z rozbioru powyższych dramatów Szujskiego wyciągnąć można następujące wnioski.

W twórczości poetycznej autora „Dziejów" wyróżnić trzeba dwa pierwiastki składowe — artystę-poetę i historyka. Jako artysta,

miał Szujski świadomość środków oddziaływania na widzów, szukał dróg co najlepszych i próbował w tym celu różnorodnej techniki czy to w tragedyi o zakroju Racine'a, czy w dramacie Szekspirowskim, czy wzorowanym na dziełach hiszpańskich. W pracy tej nie ustawał przez całe życie. Doskonalił budowę, wykształcał dyalog, którym posługiwał się w swych sztukach, pogłębiał język i uszlachetniał jego wierszowaną formę.

Jako poeta, miał duży zasób wyobraźni, która przenosiła go łatwo w minionych wieków życie, wydobywała z mgły przeszłości i wskrzesała dawno zmarłe postacie, dając im intuicyjnie wyczutą duszę. Ta wyobraźnia urabiała ludzi, dawała im moc życia, wypełniała treścią wyblakłe kontury historyczne, zawsze i wszędzie starała się być różną(?) prawdziwą. Że wyobraźnia Szujskiego niezwykle była czynną, tego dowodzi „Królowa Jadwiga". W tej już nie historya, bo kroniki dostarczały zbyt skąpo wiadomości, lecz jedynie fantazya poety zdołała przekazaną w kilku słowach wieść o walce, jaką stoczyła z sobą młodziutka królowa, rozwinąć i rozpiąć na ramach pięcioaktowego dramatu, dać jej psychologiczny rozwój i stworzyć takie śliczne sceny, jak wszystkie, w których występuje Jagiełło.

Jako dramaturg, miał Szujski głębokie zrozumienie tragiczności. Wszystkie kolizye, w których znajdują się jego osoby, nigdy nie są błahe, nigdy na efekt obliczone. Jeśli co można mu zarzucić, to, że nie zawsze umiał nagromadzony materyał odpowiednio wyzyskać, że scen, głęboko pomyślanych, nigdy dość potężnie nie rozwinął i nie wydobył z nich takiej mocy, jaką mógłby wydobyć. To też dramaty jego czynią wrażenie pierwszych śmiałych szkiców, rzuconych pewną ręką, które mówią nam o tem, co dopiero będzie. Bo ani rysunek wykończonym, ani perspektywa we wszystkich szczegółach należycie przeprowadzona, ani, co najważniejsza, tragicznym postaciom nie dał jeszcze artysta pełnej, wykończonej aż do drobiazgów, charakterystyki.

Ujemny wpływ na twórczość poetycką Szujskiego wywarła historya. Nie można rzec, jakoby studya historyczne skrzywiły jego talent i sprowadziły z dobrej drogi na złą. Wszak „Samuel Zborowski," napisany za czasów uniwersyteckich, jest najbardziej ze wszystkich dramatów chaotycznym i najbardziej może ze wszystkich historycznym, a to przez chęć wtłoczenia w ramy sztuki, całego olbrzymiego materyału historycznego, związanego z główną osnową tragedyi. Zdawałoby się, że przez dalszą pracę, wyłącznie artystyczną, można było pozbyć się tej wady. Lecz studya historyczne utwierdziły go w powyższym błędzie, a nawet wsparły go

ścisłą metodą naukową. Wpłynęły one zarazem ujemnie na wszystkie czynniki, które składają się na powstanie dzieła sztuki. Powściągały i paraliżowały wybuchy uczuć, odbarwiały wyobraźnię, która mogła rozwinąć tęczowe kolory i sprowadzały ją do jednego zasadniczego, szarego tonu, kazały mu pogardzać wszystkiem, co jest efektem, błyskotliwością, ornamentacyą, co zaognia ciekawość i skupia uwagę, tem wszystkiem, co się nazywa bogactwem sztuki i jej scenicznością. Po za tem zapomnieć nie można że Szujski rzucił się wprost bez uprzednich przygotowań do stworzenia tragedyi narodowej historycznej, jednej z najtrudniejszych do wykonania w dziedzinie dramatycznej. Na tem polu, na jakie wszedł, nie miał nawet wzorów. Szekspir, którego zrazu bezwzględnie naśladował i bezwzględnie wychwalał już za dalekim był całą swoją techniką od nowoczesnych wymagań. Zresztą dla Szekspira nie istniał naród, tylko człowiek. Racine? Ten był wszystkiem, tylko nie narodowym tragikiem. Voltaire? Victor Hugo? Przeżywali się tak prędko, jak prędko wyrośli. Schiller? Goethe? jeszcze może najbliżsi i najlepsi. Lecz ani tak wzięci byli podówczas, ani nawet nie stworzyli rzeczywistej wielkiej narodowej tragedyi, ani, co najważniejsza, w niczem nie byli pokrewni jego ideom. Szujski tragedyę swoję chciał przemienić w wielką scenę cywilizacyjną, z której przemawiać miały wielkie dawne błędy i wielkie dawne cnoty, które miały dźwigać i hartować, kiedy tamci służyli przedewszystkiem sztuce i tylko sztuce. We własnej literaturze tem bardziej nie mógł znaleźć żadnych wzorów. To, co zrobiono na tem polu było gwarą niemowlęcą, a już w żadnym razie nie mogło uczyć. Jeden Słowacki napisał „Horsztyńskiego“, „Jana Kazimierza“, „Złotą Czaszkę”—lecz to wszystko były fragmenta. Stąd to przerzucanie się gwałtowne od szkoły do szkoły, próbowanie wszelkich możliwych dróg, stąd pokrój sztuk francuski, angielski i hiszpański.

Tak to badania historyczne i powzięcie wskutek nich myśli pogłębienia ideowego tragedyi narodowej przez wprowadzenie do niej prawie że filozofii historyi — wpłynęły ujemnie na twórczość dramatyczną Szujskiego, doprowadziły go do tego, że pomieszał ze sobą pojęcia historyi i sztuki i pozwolił zalać historycznemu materyałowi i zamulić misterne koryta tragedyi, a filozoficzno-historycznej idei wysuszyć żywotność charakterów i przekształcić je na jej cienie.

Jeśli w wykonaniu takim był Szujski, a nie innym, to w swoich teoretycznych wywodach był bez porównania wyższym. Wszystko, co powiedział w obu swoich przedmowach, a zwłaszcza w dru-

giej, chciał niewątpliwie wprowadzić do swoich sztuk; w zabiegach jednak około stworzenia tej nowej formy tragedyi, której czuł się jednym z uznojonych wstępnych pracowników, a zarazem pochłonięty historycznością swoich osnów, nie zdołał wznieść się na stopnie doskonałości. Tem więcej to, co zamknął w swych przedmowach, jest charakterystycznem. Myśli bowiem, rzucone w nich, świadczą nam o tej ciągłej pracy ducha, który, choć zmęczony i wyczerpany badaniami historycznemi i życiem obywatelskiem, nigdy nie zapominał o ulubionej twórczości dramatycznej, przeciwnie coraz mocniej i coraz bystrzej tężył swój wzrok, aby uchwycić przynajmniej w wyobraźni kształty tego ideału, jaki zgadywał przeczuciem. Świadczą one z jednej strony o tem, że cała praca artystyczna Szujskiego świadomą była siebie, swoich środków i celu, który jej przyświecał, jak świadomem było wszystko w jego działalności, z drugiej strony uzupełniają nam obraz rozwoju artystycznego poety, uzupełniają budowę tej nowej tragedyi, jak on ją pojmował, budowę, której fundamenta wzniósł własnemi pracami dramatycznemi, a dał jej pokrycie i szczyty w teoretycznym wywodzie.

Jego tragedye nie powstawały z założenia wyłącznie artystycznego, z chęci odtworzenia jedynie obrazu danej epoki. Każda z nich miała być pełnem mocy i myśli słowem, rzuconem z trybunału dziejów. Aby tego dopiąć, nie poprzestawał na objektywnem przeprowadzenia akcyi. Osoby jego często rzucają w dłuższych ustępach światło na całość, przemawiając w zastępstwie autora. Czy to będzie Zamoyski, czy Dymitr z „Królowej Jadwigi", czy Wallas, czy Lubomirski — każdemu poeta daje w usta słowa pełne głębokiej prawdy politycznej. Idea Rzeczypospolitej jest jakby duchem, unoszącym się nad wszystkimi dramatami — do niej zwracają się postacie dodatnie i ujemne w chwilach przełomowych. Mimo to jednak nie można powiedzieć, aby Szujski dla przeprowadzenia swoich myśli naginał dramaty. Jako historyk, odtwarzał tylko te sytuacye, które były, i wypadki, które zaszły. Lecz, jak historyk korzysta często z nadarzającej się sposobności, aby rzucić swoje ogólne zapatrywanie na przebieg sprawy i obudzić w nas w ten sposób tem większą baczność i krytycyzm, podobnie postępował Szujski, jako twórca dramatyczny. Prawdy historycznej nie przeistaczał, podkreślał ją jednak, aby w widzach wywołać zamierzone wrażenie. W całej twórczości Szujskiego daremnie szukalibyśmy stosunku ludzi do ludzi, namiętności do namiętności — jest jeden, jedyny stosunek, któremu wszystko ulega — stosunek jednostek do narodu. Poeta nie zajmuje się jakąś dążnością złą

czy dobrą dla niej samej, nie tworzy charakterów, jak Szekspir, dla nich samych, lecz tworzy je dla ich stosunku do bytu rzeczypospolitej. To jest owa idea, która pod przeróżnemi postaciami wyłania się w jego poszczególnych dramatach, to jest jego tendencya.

Czytając sztuki Szujskiego, czujemy, że czegoś nam brak, że nie możemy wżyć się w rozwijane osnowy, że nie możemy znaleźć stanowiska obserwacyjnego, z którego twórca patrzał na swoje dzieła. Rozumiemy kolizye, rozumiemy namiętności, które wprowadził, a jednak doznajemy wrażenia — że one nie są zupełne, że mają coś więcej wypowiedzieć, niż wypowiadają. Wieje od nich z małymi wyjątkami chłód liczb i równań. Historyczno-filozoficzna dążność, która w dojrzalszych tworach Szujskiego wycisnęła swoje piętno na każdem niemal słowie i na każdym nowym przejawie charakteru, sprawiła, że atmosfera jego teatru ciężką jest i dziwnie sztywną. Złudzenie życia zaciera się, znika bezpośredniość wrażeń, tak niesłychanie ważna w oddziaływaniu sztuki na widza. Zamiast bowiem do uczucia, tragedya jego usiłuje mówić do rozumu, do rozsądku, bo wreszcie autor, chcąc się jak najlepiej wypowiedzieć, coraz bardziej ścieśnia koło swej twórczości i zamyka się niemal wyłącznie w świecie politycznych kolizyi i namiętności, w świecie złożonych uczuć, najtrudniejszych do przedstawienia, jeśli te nie mają być zimne i nie mają nużyć.

Nie zostawił też żadnego dzieła doskonałego, żadnej tragedyi, którąby mogła, jako kolumna marmurowa, trwać zawsze w naszej literaturze obok Mazepy, Horsztyńskiego i Zemsty. Zasługi jednakowoż położył niezwykłe. Zrzekając się tryumfów łatwych i sławy łatwej, pracował całe życie wytrwale i mądrze, aby torować drogę przyszłemu, wielkiemu, narodowemu dramatowi. Odkrył nowe niewyczerpane bogactwa tragicznych idei i namiętności, pokazał po raz pierwszy w naszej literaturze, gdzie szukać trzeba wielkich postaci i jak ich szukać. Praca to była nad siły. Z jednej strony trzeba było stwarzać formę, której nie było, a do której ukształtowania chciał się przyczynić choćby kilku wiązaniami, z drugiej trzeba było walczyć z tradycyą własnej literatury, aby wyrzec się ponęt liryki i epiki i stanąć na własnym gruncie pojmowania zadania dramatu i jego istoty. Z jednej strony usiłowania twórcze, reformacyjne, z drugiej zbytni balast ideowy, paraliżujący jeszcze tem bardziej już i tak trudne zadanie. W tem tkwi przyczyna, dlaczego tragedye Szujskiego w wykonaniu tak dalekie są od jego własnych, teoretycznych poglądów na dramat.

W nich dopowiedział to, czego nie mógł powiedzieć całą swoją twórczością. I dlatego to owe dwie przedmowy, tak wielkie mają znaczenie ze względu na twórczość Szujskiego. Przedstawiają nam one jego artystyczną działalność już nie, jako szereg tragedyi, które są w mniejszym lub większym stopniu ciekawe i to lub owo zajmują miejsce w literaturze w stosunku do innych — lecz jako, jeden całokształt, w którym prawda, że niejeden marmurowy odłam popękał w kawały pod uderzeniem dłuta, nie wyrażając tego, co chciał wyrazić artysta, lecz który niemniej wielki jest swoją śmiałością i gotyckim pokrojem, jak jest dla twórcy poważnym tytułem do chwały.

Tadeusz Konczyński.





Miączyński i Dumouriez.

Wizerunki i sceny historyczne z dziejów Polski i Francyi

(1769 — 1793).

II.

Walki konfederatów. — Suworow.— Drewicz. — W Sączu. — Miączyński pod Lelowem. — Zasiłki z Francyi. — Pułaski. — Częstochowa. — Lanckorona. — Zatargi z Dumouriez'em. — Szyc i Walewski. — Bitwa stanowcza pod Lanckoroną.— Ucieczka Dumouriez'a. — Miączyński jeńcem. — Jego cyrograf. — Odezwa. — Powrót do konfederacyi.

Siły wojsk rosyjskich w Koronie przedstawiały armię bitną i karną, dowodzoną przez generał-lejtenanta Weymarna, a następnie przez gen. Bibikowa. Armia ta podzieloną była na mniejsze komendy, rozstrzelone po różnych zakątkach rozległej przestrzeni kraju. Generał Suworow dowodził najliczniejszym, pięciotysięcznym oddziałem. Trzecią część armii rosyjskiej stanowiła konnica nieregularna. Pułkownik Drewicz najbardziej dawał się we znaki konfederatom, lecz częstokroć i oddziałowi Miączyńskiego wiodło się pomyślnie w utarczkach z Drewiczem. Męstwo, którego nieustanne

dawał dowody, zjednało mu szacunek—nawet między przeciwnikami. Rękopisy Biblioteki Ossolińskich zawierają, oprócz odezw, uniwersałów i ordonansów Miączyńskiego z owej epoki [1]), charakterystyczny list pułkownika Drewicza, przesłany Miączyńskiemu w d. 9 lutego 1771 r. z powodu zatrzymania wywiadowcy żyda z uniwersałem marszałka bełskiego. Schwytanego w mieście Świrze wywiadowcę odesłał Drewicz Miączyńskiemu z listem tej osnowy:

„Uniwersał Waszmości Pana dostał się do rąk moich. Ojczyzna Waćpaństwa więcej szczęśliwa, jak nieszczęśliwa, przez tych, których Waćpan Dobrodziej nazywasz nieprzyjacielami... Nieszczęśliwa jest ojczyzna przez rodowitych niektórych synów jej. Żyda posyłam przez wszelkiej kary na odwrót do Kalwaryi, oprócz interesów publicznych (papierów), zostając z należytym uszanowaniem dla osoby Jego. Waćpana Dobrodzieja Uniżony sługa, *Drewicz* [2]).

W lutym 1771 roku generalność barska z Preszowa przeniosła się do Sącza i zaleciła Miączyńskiemu, Zarębie i Sawie, „by wszelkie pomniejsze partye konfederackie, słuchające i niesłuchające jej ordynansów, pod swoją zabrali komendę, nieposłusznych zaś, wybierających kontrybucye i furaże, s e r y o karać zaleciła".

Wyłamywaniu się z pod władzy generalności dał początek marszałek Bierzyński, poplecznik b. podskarbiego Teodora Wessla, posiadający zaufanie księcia Karola Radziwiłła.

Ambitne zamysły Bierzyńskiego ujawniły się na zjeździe marszałków konfederackich w Białej, gdzie zamierzano złożyć koło wojskowe w Bochni, niezależnie od generalności. Chciał się tu Bierzyński narzucić, jako marszałek owego związku, a gdy mu się ów zamiar nie powiódł, zaczął jawnie występować przeciw generalności i wszedł w stosunki z otoczeniem króla. Dowiedziawszy się o planach Bierzyńskiego, zjechała generalność do wsi Koneczna, pod granicą węgierską leżącej, i tam wezwała opornego konfederata do usprawiedliwienia się, gdy zaś wezwany nie stanął, ogłoszono nań wyrok, skazujący go na infamię i na śmierć. Wezwano jednocześnie marszałków: Miączyńskiego, Pułaskiego, Ignacego Potockiego, aby ze swemi komendami ruszyli przeciw Bierzyńskiemu i adherentowi tegoż, Dzierżanowskiemu, a po schwytaniu dostawili go do generalności, celem wykonania na nim dekretu.

---

[1]) Ks. 566, str. 296—298, z obozu pod Zamościem, ks. 568, str. 193, z obozu pod Żmigrodem, ks. 570, str. 19, z samego Żmigrodu, ks, 572, str. 429, z obozu pod Pilznem, i wiele inn.

[2]) „Bibl. Ossol." Ręk. № 568, str. 259.

Bierzyński wprawdzie, zdradzony przez marszałka Walewskiego, dostał się pod Żywcem w ręce ścigających go marszałków, lecz dostawiony do miasteczka nad granicą węgierską zdołał umknąć. Wojska jego rozdzielono między różne komendy, a sprawę samą, w którą, jak się okazało, wmieszani byli adherenci pozorni generalności i sprzymierzeńcy dworu, umorzono.

W trakcie owych zawichrzeń wewnętrznych dowódcy rosyjscy, Drewicz i Renn, zadali konfederatom dotkliwą klęskę pod Błoniem (w połowie marca) i ruszyli w krakowskie przeciw Miączyńskiemu i Pułaskiemu. Przyłączyły się do nich oddziały Elżanowa i Albiszewa, ruszywszy z pod Przemyśla i Rzeszowa. Pułaski z głównym oddziałem swoim był w Gorlicach, podjazdy zaś jego krążyły w okolicach Biecza, gdzie im zadano porażkę.

W dniu 10 kwietnia 1771 r. oddział pułkownika Elżanowa w 800 ludzi piechoty i 1200 jazdy uderzył na Miączyńskiego. Przybył temu z pomocą Pułaski, i odparli atakujących, którzy ze stratą dwustu ludzi cofnęli się. Zwycięzcy wyruszyli w Przemyskie i zaczęli ludność miejscową nękać poborami, o czem wojewoda lubelski z żalem doniósł biskupowi Krasińskiemu do Drezna [1]).

Z rozkazu Dumouriez'a skierował się następnie Kazimierz Pułaski pod Częstochowę owładnął jej twierdzą i oparł się zwycięsko śpieszącym w poznańskie oddziałom pułkownika Drewicza. Z jego również rozkazu marszałkowie, Miączyński i Walewski, którzy z oddziałem 6000 konfederatów zajmowali stanowisko między Rabką a Białą (Petrow. III. 199), dopełniwszy w krakowskiem poboru zaciężnych, zbliżyli się ku granicy węgierskiej [2]).

Zamek obronny Lanckoroński powierzony został czujności oficerów francuskich, Labadie i Lasserre'a, i stał się punktem centralnym operacyi Dumouriez'a. Przekonawszy się o korzystnem położeniu Tyńca, o milę od Krakowa znajdującego się, kazał Dumouriez ten punkt ufortyfikować i ustawił tam czterystu piechurów z czterema działami.

---

[1]) Szmitt: „Dzieje" T. III. 425 i T. IV. 100. „Gazety pisane" z lat 1770 — 1772. („Rękop. bibl. Zamojs." N. 1329) wzmiankują jeszcze o pomyślnej potyczce Miączyńskiego z oddziałem Drewicza pod Lelowem, skutkiem której Drewicz cofnął się pod Poznań na sukurs pułkownikowi Langemu, przez marszałka Zarembę obleganemu. Potyczka ta mogła się odbyć w początkach lutego 1771 r.

[2]) „Miączyński sollte von Landskron den Durchgang bei Kalwaria erzwingen, die Posten der Russen vor Krakau zurückwerfen und die Ebene vollends reinigen" v. Schmitt. „Suworow" I. 72.

Następnie pojechał do żup wielickich, wzmocnił zamek w Bobrku i wyżynę na Krzemionkach. Pułaskiemu powierzył obronę linii Dunajca, Miączyńskiemu—żup wielickich i Lanckorony, Walewskiemu — Oświecimia i Bobrka, sam zaś z konsyliarzami wojennymi zajął się zaciągiem piechoty [1]. W chwili zbrojenia Lanckorony generał Suworow, pragnąc przeszkodzić utworzeniu silnej forteczki w promieniu sześciomilowym od Krakowa, przedsięwziął przeciw niej wyprawę, lecz załoga Miączyńskiego, w fortecy usadowiona, atak ów zwycięsko odparła. Padło podówwczas pod murami Lanckorony 250 grenadyerów rosyjskich.

Gdy w taki sposób pierwsze miesiące roku 1771 zapowiadały pomyślny skutek planu bojowego Dumouriez'a, niebawem ambicya i samowola owego naczelnego wodza wznieciły niezadowolenie i szemranie między jego podkomendnymi marszałkami. Pułaski zagroził, że, jeżeli Dumouriez tak dalej despotycznie postępować będzie, czeka go więzienie w twierdzy częstochowskiej, na co Dumouriez oświadczył, że, o ileby przyszło do oporu jego rozkazom, ofiarą rokoszu padnie sam Pułaski. Chcąc poprzeć groźbę przykładem, polecił rozstrzelać w przytomności Pułaskiego, Miączyńskiego jednego z marszałków, Bronikowskiego, za nieposłuszeństwo [2].

Tymczasem następca księcia Wołkońskiego, baron Saldern, poseł pełnomocny rosyjski w Warszawie, wspólnie z królem i ustanowioną przy boku tegoż Radą patryotyczną postanowił energicznymi krokami stłumić konfederacyę i w tym celu w maju 1771 roku wydano odezwę do narodu, wzywającą go do pomocy przeciw konfederatom i zapewniającą tym ostatnim amnestyę, o ile dobrowolnie i bezzwłocznie broń złożą. Jednocześnie wszakże wezwano wszystkich dowódców komend rosyjskich i królewskich, by skombinowanym ruchem podjęły walną przeciw opornym konfederatom wyprawę. Ruszyły też ze wszech stron oddziały Langego, Łopuchina, Oebschelwitza, Suworowa i Branickiego przeciw głównemu korpusowi konfederackiemu, operującemu pod wodzą Dumouriez'a w Krakowskiem, w zamiarze stoczenia tam bitwy walnej, któraby koniec ruchowi konfederackiemu położyła.

Na wiadomość o ruszeniu się komend rosyjskich wydał Dumouriez rozkaz Miączyńskiemu, by skierował się ze swym oddziałem w stronę Skawiny, gdzie miał być utworzony punkt zborny oddziałów konfederackich. Miączyński rozkaz wykonał, doniósłszy przed-

---

[1] „Z pam. gen. Dumouriez'a", Poznań, 1865, str. 57.
[2] Ibid. str. 61.

tem z pod Krzemionek, iż Suworow stawia most na Wiśle. Pułaski natomiast oparł się rozkazowi Dumouriez'a i oświadczył, iż cudzoziemca słuchać nie będzie i że wojnę na swój sposób prowadzić zamierza. Zwrócił się też z własnym oddziałem w stronę Zamościa, zostawiwszy Miączyńskiego bez pomocy, w takiej właśnie chwili, gdy Suworow, przeprawiwszy się przez Dunajec, osaczał pojedyńcze oddziały konfederackie.

W takiem położeniu rzeczy nakłonił Dumouriez pułkownika Szyca, by z Suchej podążył na pomoc Miączyńskiemu, sam zaś z oddziałem Walewskiego podążył na obronę najważniejszego w owej chwili punktu strategicznego — Lanckorony.

Tutaj to w dniu 21 maja 1771 roku rozegrać się miała bitwa stanowcza, decydująca o losie całego ruchu konfederackiego, a zarazem i o dalszej karyerze wojskowej marszałka Miączyńskiego w Polsce.

Zamek Lanckoroński, położony na wyżynie, ciągnącej się na przestrzeni ćwierćmilowej, obejmował wraz z miasteczkiem, u stóp jego rozłożonem, garnizon konfederacki, 600 ludzi zbrojnych liczący, opatrzony 30 działami. Po za wyżyną, na lekkiej pochyłości, był lasek w kierunku Suchej. Z przodu i z prawego boku zamku istniały dwa urwiska niedostępne, okryte lasem sosnowym.

Po odbyciu przeglądu wojska Dumouriez na czele dwustu strzelców pieszych, dowodzonych przez oficerów francuskich, wysłał oddział stu ludzi do lasu przed frontem, stu zaś na prawe skrzydło i ustawił tam dwa działa. Skrzydło lewe oparte było o Lanckoronę. Jego plac boju górował ponad wyżyną przeciwległą, w którą działa zamkowe rdzennym biły strzałem. Kule rosyjskie z armat mniejszego kalibru padały na dwieście kroków przed polskimi szeregami.

Generał Suworow miał pod swą komendą trzy tysiące jezdnych i półtrzecia tysiąca piechoty. Zostawiwszy piechotę na wyżynie, rozkazał konnicy spuścić się do parowu, by pod górę wtargnąć do lasu sosnowego. Widząc to, Dumouriez posłał rozkaz strzelcom, by się przyczaili w lesie i, przepuściwszy kawaleryę, idącą pod górę, nie strzelali. Zapewnił, że zwycięstwo będzie po stronie konfederatów, o ile nie pozwolą przeciwnikom uszeregować się i ruszyć do ataku zwartemi kolumnami.

Nagle ukazały się dwa świetne pułki rosyjskie: petersburski i astrachański. Szły one w rozsypce. Dumouriez staje na czele Litwinów, dowodzonych przez Orzeszkę i młodego księcia Sapiehę; lecz w szeregach tych wszczyna się zamęt, wśród którego pada Sapieha. Dumouriez podąża do huzarów Szyca, lecz ci ostatni, za-

miast rąbać, dają ognia z karabinów i ustępują z placu w rozsypce. Rosyanie, zdziwieni takim niespodziewanym obrotem rzeczy, nie postępując naprzód, szeregują się do ataku. Wtedy to właśnie Miączyński na czele kilku towarzyszy rzuca się na nich, lecz strącony z konia pada i dostaje się do niewoli [1].

W odnalezionym ostatnimi czasy memoryale Dumouriez'a znajdujemy dokładniejszy opis bitwy pod Lanckoroną, oddający należną sprawiedliwość męstwu Miączyńskiego i przypisujący przyczynę przegranej — niekarności Pułaskiego i jego oddziału. Oto wyjątek z owej ciekawej relacyi:

„Dnia 23 maja (?) o siódmej rano — pisze Dumouriez — przybyłem do Lanckorony, gdzie zastałem marszałka bełskiego i Walewskiego, obozujących z 900 ludźmi, z których 70 tylko było strzelców pieszych i jedna armata. Rozłożyli się na dwu wzgórzach, przedzielonych zamkiem i miasteczkiem. Stanowisko takie narażało ich na niebezpieczeństwo oddzielnej porażki. Zaledwie miałem czas zsiąść z konia i rozmówić się z marszałkami, gdy już patrole rozpoczęły pierwsze utarczki i doniosły nam o zbliżaniu się Rosyan. W rzeczy samej rozpoczął się atak. Nieprzyjaciel zdawał się rozporządzać siłami trzy razy większemi od naszych. Składały go dwie kolumny infanteryi i dwie kawaleryi z ośmioma armatami, ze znaczną liczbą kozaków i jegrów. Dałem rozkaz zjednoczenia na wzgórzu całej mojej niewielkiej armii. Z chwiania się i bezładu moich szwadronów przekonałem się, że mogę tylko rachować na huzarów Szyca, tworzących skrzydło prawe. Strzelcy moi, których uszeregowałem na pochyłości wzgórza pod laskiem, cofnęli się na widok Rosyan.

„W tej chwili cała konnica polska, oparta o Lanckoronę i tworząca skrzydło lewe, której dano nie w porę sygnał ruszenia się i zajęcia tyłów Rosyanom, napotkała skrzydło ich prawe i zdjęta paniką naprowadziła je na nasze tyły. Jednocześnie oddział generała Szyca ruszył w pochód, by zająć wzgórze, górujące nad skrzydłem

---

[1] Waleczności Miączyńskiego oddają hołd zasłużony źródła rosyjskie. (Petrow, T. III, 224); v. Schmitt w dziele „Polens Unterg". (T. I. 78) pisze: „Der einzige Miączyński an der Spitze einer tapfern Schaar stürzt sich entschlossen auf die Russen, wird aber vom Pferde gehauen und gefangen". W relacyi Zielińskiego czytamy: Na rowie Sapieha, z koniem zapadłszy, zginął i na drugim podlaski (marsz.), już między łopatkami spisę kozacką widzący, onegoż zabiwszy, salwował się, na trzecim bełskiego (Miączyńskiego) wzięto, a Orzeszka zabito, nie chcącego pardonu, a pana Dumourieza — oczy ludzkie nie widziały" (Hen. Szmitt, IV, 148).

prawem, którędy można było nas obejść. Pospieszyłem na jego spotkanie, by zwrócić go frontem i zmusić do bitwy, co też uczynił. Zrobił parę kroków naprzód i dał jedną salwę karabinową, poczem jednak cofnął się. Widząc, że niepodobna zjednoczyć takich żołnierzy, i mając tuż za sobą karabinierów rosyjskich, a przed sobą Kozaków, uznałem za konieczne cofnąć się, poczem wciągniętym zostałem w odwrót ogólny. Książe Sapieha w chwili, gdy się chciał dostać do swego szwadronu huzarów, zabitym został. Inny marszałek, Orzeszko, również uległ temu losowi. Hrabia Miączyński, marszałek bełski, spadł z konia i wzięty został do niewoli. Niepodobna już było myśleć o skoncentrowaniu wojsk. Rosyanie mieli tylko kłopot z dobijaniem nie broniących się zupełnie dezerterów. Co do mnie, mając około siebie pięciu oficerów francuskich i żadnego nie znajdując wodza pod ręką, gotowego do bitwy, uznałem za właściwe na tem zakończyć wyprawę i nie kompromitować więcej, aż do nowego rozporządzenia, Francyi i jej zasiłków, świadczonych ludziom, którzy na to nie zasługiwali. Udałem się więc bocznemi drogami do Nowego Targu, by stąd dostać się na Węgry. Mniemam, że Pułaski miał cel jedyny w tem, by zgubić Miączyńskiego („*dont la bravoure, l'honnêteté et la naissance lui faisaint ombrage*"), którego waleczność, uczciwość i urodzenie mu zawadzały. Odpisał mi frazesami górnolotnymi w odpowiedzi na mój list i usprawiedliwiał się że chciał obejść nieprzyjaciół... jest to jednak zbyt dalekiem przedsięwzięciem, gdyż znajdował się w chwili bitwy o 30 mil od miejsca spotkania. Tak więc jedynie marszałek bełski i książę Sapieha byli godni dowodzić wojskiem, i ich tylko można było brać w rachubę" [1]).

Całkowita bitwa stanowcza pod Lanckoroną trwała pół godziny. Rosyanie ponieśli strat od kul, miotanych na nich z zamku i to dopiero nazajutrz, gdy pragnęli zdobyć forteczkę z garnizonem, 800 piechoty i [illegible]00 jezdnych. Walewski zdobył się nawet na krok stanowczy i uczynił wycieczkę przeciw cofającym się z pod Lanckorony Rosyanom. Suworow wrócił pod Tyniec, którego również nie mógł zdobyć. lecz Oświecim i Bobrek opuszczone zostały przez konfederatów [2]).

Świadectwa współczesne winę przegranej składają nie tyle na niekarność hufców konfederackich, ile na karb samowoli Dumouriez'a.

---

1) „Souvenirs et memoires", Cz. III.
2) Z pam. Dumouriez'a. Poznań, 1865, str. 65.

„Nieprzyjaciel—pisze marszałek Zieliński do biskupa Krasińskiego—nie mogąc pożywić się w Tyńcu, poszedł pod Lanckoronę. Tam Dumouriez komenderował sam, *alias* szykował wojsko. Nasi perswadowali, aby się tak wielkiej forsie zasłonić fortecą. Odpowiedział, że to *contra regulam defendendi fortalitia.* Tak przekonani racyą doświadczonego w Korsyce belligerenta wszystko podług planów i dyspozycyi jego czynili [1]).

Surowiej sądzi postępowanie Dumouriez'a Murray: [2])

„Podobien do owych graczów szalonych, którzy ostatki mienia stawiają na kartę, zdał Dumouriez wszystko na los jednej bitwy, nie troszcząc się zupełnie o jej następstwa w razie przegranej. Wyprowadziwszy z twierdzy, którą zostawił bez obrony, całą załogę, nie przenoszącą 1500 ludzi, wziął ze sobą trzy silne oddziały, które pod wodzą ks. Sapiehy, Miączyńskiego i Walewskiego przystępu do niej broniły, i ruszył na nieprzyjaciela z tą dumą imponującą, którą ożywia pewność zwycięstwa. Rosyanie, nie schodząc z korzystnego stanowiska swego, dali mu się przybliżyć, lecz, skoro przyszło do rozprawy, otoczyli jego hufce i tak je dokoła ścisnęli, że żołnierze jego zaledwie do ręcznej mogli się porwać broni. Bitwa trwała niedługo, a rzeź nastąpiła tak straszna, że, gdyby Szyc ze swymi góralami i huzarami, którzy cudów waleczności dokonywali, nie był w czas nadbiegł, i nogaby nie uszła z wojska konfederackiego. Poległo mnóstwo, większa nierównie liczba poszła w niewolę. Miączyński był w rzędzie tych ostatnich" [3]).

---

[1]) H. Szmitt, loco cit.

[2]) Materyały hist. Szmitta, T. I. 240.

[3]) We wszystkich prawie opisach bitwy pod Lanckoroną, jakie znajdujemy u von Szmitta („Suworow" etc. I. 76), Rulhiéra („Hist. de l'anarchie" IV. 245), a nawet u Dumouriez'a („Vie du Général" I. 251), data owej bitwy błędnie podaną jest na 10 (21) Czerwca 1771 r. Błędnie podaje tę datę i Zarewicz w monografii „Lanckorona", str. 93, a co dziwniejsza, i Henryk Szmitt w „Dziejach panow." Stan. Aug. III, 480. Ten ostatni historyk w tomie IV powołanego dzieła, na str. 146 i nast., sam podaje relacyę o tej bitwie w liście marsz. Zielińskiego do biskupa Krasińskiego, opatrzonym datą 10 czerwca n. s. 1771, a zatem, opisując przegraną lanckorońską, mógł Zieliński pisać o fakcie już wydarzonym, a nie o bitwie, która według Szmitta odbyła się we dni 11 później (21 czerwca 1771 r.). Historyk Petrow w źródłowem dziele: „Wojna Rosyi z polsk. konf." T. III. 225 pierwszy zwrócił uwagę na niedokładność owej daty. Tłómaczy on ją niepamięcią Dumouriez'a, który bitwę tę opisał w lat 24 po fakcie (1795). Oprócz innych dowodów, jakie w stwierdzeniu faktu, że bitwa lanckorońska miała miejsce 10 (21) maja 1771, a nie 10 (21) czerwca 1771 r., przychodzi w pomoc i powołany list marszałka Zielińskiego, stanowczo wątpliwość rozstrzygający. Niemniej błędną jest wersya

Z „Gazety pisanej" d. 18 lipca 1771 r. przez dalekiego sługę księcia Prymasa dowiadujemy się o staraniach kasztelanowej podlaskiej, JMci pani Miączyńskiej, by sprowadzony do Warszawy marszałek bełski nie został wywiezionym z kraju, jak to ze wszystkimi jeńcami Rada patryotyczna uczynić postanowiła. Starania te żadnego nie odniosły skutku, i Miączyński z rozkazu posła Salderna dostał się do Kijowa [1]).

Inni marszałkowie, jako to: Michał Czarnecki, Stanisław Karczewski, Ksawery Malewski, Piotr Potocki, Antoni Sufczyński, Adam Szaniawski, Michał Wolbek i Szymon Zieliński, sprowadzeni z konfederatami jeńcami na Pragę, porozsyłani zostali do miast syberyjskich [2]).

Pomyślniejszym był los Miączyńskiego. Instancye, wniesione za nim przez rodzinę, złagodziły smutną jego dolę o tyle, że za kaucyą czterech tysięcy dukatów i pod obowiązkiem złożenia deklaracyi, iż nadal w ruchu konfederackim udziału mieć nie będzie, pozwolono mu wyjechać z Kijowa za granicę rzeczypospolitej.

Poddał się zrazu tym warunkom Miączyński, jak przekonywa deklaracya jego, zredagowana w słowach:

„Niżej podpisany oświadczam uroczyście, iż, gdy broń podniosłem tak przeciw Najjaś. Królowi polskiemu, *legitime* obranemu, tudzież przeciw Najjaś. Imperatorowej całej Rosyi, jako aliantce rzeczypospolitej, dobra jej i uspokojenia krajowego żądającej, od tych czas, wcale, nigdy, z tak nazwaną konfederacyą wdawać się nie będę; żadnej pomocy, ani rady, ani przesyłki, owszem, zawsze w Warszawie siedzieć, nigdy z onej bez pozwolenia J. W. Imci pana posła wyjeżdżać, a do tego, jeśliby mnie jakowe expedycye, lub listy od przyjaciół moich w konfederacyi zostających, zaszły, te wszystkie

---

o poprzedzającym bitwę lanckorońską ruchu Suworowa z Lublina ku Krakowowi przez Dunajec, gdzie jakoby nastąpiło połączenie się z Drewiczem. To ostatnie miało miejsce w marcu 1771 r., a nie w maju t. r. Drewicz pozostawał podówczas w Wielkopolsce, na lewym brzegu Wisły. W raportach do Rumiancowa nie wspomina się o ruchu Drewicza w stronę prawego brzegu Wisły. Jeśliby — pisze Petrow—Suworow szedł ku Krakowowi przez Dunajec, to niewątpliwie natknąłby się na oddział Pułaskiego, który, przebywszy rzekę, starał się przeprawić przez San i nie mógłby być ominiętym. Hr. Rumiancow w raportach swoich do Imperatorowej wzmiankował już 5 (16) czerwca 1771 o porażce Pułaskiego pod Zamościem i o bitwie lanckorońskiej. Wreszcie o dacie 21 maja 1771 wzmianknje minister d'Aiguillon w liście do Gerarda z d. 24 czerwca 1771 r.

[1]) „Gaz. pisane". Bibl. Ord. Zamoyskich, str. 109.

[2]) „Konfed. Barscy", przez A. Kraków, 1895.

JW. panu posłowi, nie tykając onych, oddać powinien będę. Dlaczego, niniejszy skrypt podpisując, krewnych moich na poręczników dla tem większej wiary zobligowałem. Dat in Augusto, 1771. *Józef Miączyński*, starosta łosicki [1]).”

Pragnąc jednocześnie usprawiedliwić się przed społeczeństwem z owego kroku, starał się marszałek upozorować to odstępstwo od sztandaru konfederackiego pobudkami politycznemi. Tem można wyjaśnić genezę drugiego skryptu marszałka bełskiego, ogłoszonego publicznie, a wykazującego niespodziewany zwrot w jego przekonaniach.

„W wolnym narodzie wychowanym będąc i do niczego bardziej, jak do służenia miłej ojczyźnie na wzór mych przodków sposobionym będąc — lubo niedawnymi czasy, za odgłosem bronienia wiary i wolności Narodu, jako najpierwszych i najcelniejszych tej Ojczyzny twierdz, z innymi sprzymierzyłem się był obywatelami; gdy jednak w trwaniu tego sprzymierzenia od wyż wymienionych odgłosów widzieć i doświadczać mi się dały czynności, przez poczynione i rozrzucone *interregni* manifesta na detronizacyę Najjaśniejszego Stanisława Augusta, króla i pana mego miłościwego, dążące, a te nieledwie o utratę życia że mię nie przywiodły, więc, jako w przeciągu całym sprzymierzenia mego, żadnego innego nad usługę Ojczyzny nie miałem celu, tej zaś sposób na najpilniejszym prawom posłuszeństwie i na powinnej dla Najjaśniejszego króla JMci wierności szczególnie zakładałem, a założonej nieodmiennie zachować pragnąłem, tak, gdy wyżej wspomnieni, związkiem złożeni obywatele, rzeczoną przeciwko Majestatowi przedsięwzięli czynność, ja, jako wierny temuż Najjaśniejszemu Stanisławowi Augustowi, aktualnie nam panującemu, a za dostojeństwo Tegoż krew i życie łożyć usiłujący Obywatel, reces ten od dzieła wzmiankowanego *interregni* czyniąc, z czystą myślą służenia Panu i Ojczyźnie nienaruszenie tęż wierność i posłuszeństwo ku Majestatowi zachować przyrzekam, a dla gruntowniejszego tejże myśli okazania wyznaniem, własną ręką do ksiąg grodu niniejszego osobiście podanem, jako najuroczyściej oświadczam się. *Józef Miączyński*, starosta łosicki [2]).“

Wzburzony stan umysłów w kraju i względy polityki czasowej

---

[1]) Bibl. Ossolin. Rękop. 573, № 22.
[2]) Bibl. Ossol. Ręk. 330, № 21.

nie dozwoliły Miączyńskiemu zastosować się do brzmienia obu powyższych deklaracyi.

Dowiedziawszy się, że generał Weymarn zażądał od członka rodziny Miączyńskiego, szwagra tegoż, hr. Ronikiera, złożenia dodatkowej, pieniężnej za b. marszałkiem bełskim kaucyi, w kwocie 6000 dukatów, uczuł się tak dotkniętym nieufnością, okazaną danemu przez siebie słowu, że postanowił tajemnie opuścić Warszawę i zaciągnąć się ponownie pod sztandary konfederacyi.

Krok ten wywołał silniejsze ze strony posła rosyjskiego względem jeńców konfederackich represye. Gdy w kwietniu 1772 r. nowa partya tychże jeńców do Smoleńska wysłaną być miała, a za niektórymi z nich, zwłaszcza za marszałkiem Trzeciakiem i rotmistrzami, Słoneckim i Świrskim, naglące o ich uwolnienie zaszły instancye, poseł Saldern polecił proszącym oświadczyć: „iż odtąd, który się w niewolę dostanie, wypuszczonym nie będzie, albowiem Imci pan Miączyński, będąc uwolnionym i dawszy na siebie rewers, takowego nie dotrzymał, powrócił do konfederacyi i nie przestaje uniwersałami i manifestami oczerniać wojsk rosyjskich [1]."

Jeden z uniwersałów Miączyńskiego, o którym wzmiankuje poseł, brzmiał w wyjątkach, jak następuje:

„Są charaktery, których żaden przymus złamać nie może. Z tych jest najświętszy charakter cnotliwego i prawdziwego Obywatela. Zastanowić jego akcyę przez dysymulacyę, pokryć gorliwość i w milczeniu taić własne sentymenta przymusza często potrzeba i niebezpieczeństwo; ale wytłoczyć to z serca, co natura z krwią ulała, co edukacya udoskonaliła, co Bóg przez religię rozkazał, co cnota przez obywatelstwo przepisała, co dawnych przodków przykłady wspaniałe w nas utwierdziły, co najsolenniejsze przysięgi zaręczyły—niemasz nad to żadnej ziemskiej mocy i władzy. Tak więc i ja, niżej podpisany, w batalii, pod Lanckoroną mianej, zdarzającym się często losem wojujących w niewolę dostawszy się, po różnych miejscach wodzony, różnie martwiony, wielorako do podpisu recesu byłem przynaglany. Przyzna mnie, spodziewam się, każdy, przyznają najjaśniejsze sprzymierzone rzeczypospolitej stany, że i najcięższa niewola cnotliwego obywatela zalęknąć nie mogła, gdy z bronią ochoczo wzgardzałem życie... Rezolwowałem się tedy podpisać ów akt recesu, jeden ręczny, *in manus* posła rosyjskiego, drugi, za tegoż rozkazem w grodzie uczyniony, dobrze w umyśle prze-

[1] „Gaz. Pisane" z r. 1772, str. 147 (Bibl. Ord. Zamoyskich).

świadczony, że recesa takie nie mogłyby nałożyć powinności na umysł wolny. Jak tylko więc pierwszą upatrzyłem sposobność, tak zaraz do grona wybranychobrońców łącząc się, przeciwko wspomnionym recesom jak najsolenniej manifestuję się, do przysięgłego stanom sprzymierzonym powracam posłuszeństwa, do wszystkich aktów generalności przystępuję i konfederatem oświadczam się. Dan w roku 1772, d. 22 mensis Februarii. *Józef Miączyński*, marszałek woj. bełskiego [1]).“

III.

Z pamiętnika barona Heykinga. — W Dreznie. — Ksiądz Piatoli. — Przyjazd Miączyńskiego. — Rozmowa z Heykingem. — Protest w dziennikach. — Chabannes i Viomenil. — Miączyński u elektora saskiego. — Powitanie ks. Karola.

Do szczegółów dalszych działań Miączyńskiego w sprawie konfederacyi mamy obfity, a ciekawy, materyał w ogłoszonych w ostatnich latach fragmentach z pamiętników barona kurlandzkiego, Karola Henryka Heykinga [2]), który w owym czasie bawił w Dreźnie, w otoczeniu b. księcia kurlandzkiego, żonatego z Franciszką Krasińską.

Heyking, wychowany w Warszawie i ożywiony szczerą sympatyą dla społeczeństwa polskiego, utrzymywał ściśle stosunki z Polakami, przebywającymi podówczas w Dreznie, a gdy po wzięciu Lanckorony wielu rozbitków konfederackich szukało tam przytułku, dowiedział się od nich o szczegółach, konfederacyi dotyczących, i dlatego notatki jego mają cechę autentycznego dokumentu, malującego nie tylko ówczesne położenie polityczne generalicyi, lecz i osobiste zalety i wady wybitniejszych jej członków.

Do Drezna też zjechał po ucieczce swej z pod Lanckorony Dumouriez i przybył do księcia Karola z wizytą. Miał on już wówczas niezłomne postanowienie porzucenia Polski i sprawy konfederacyi, a chcąc swą rejteradę usprawiedliwić, nie szczędził inwektyw przeciw dawnym towarzyszom broni, zwłaszcza wobec dworzanina księ-

---

[1]) Bibl. Ossolin. Ręk. N. 572. str. 160/1.

[2]) „Aus Polens und Kurlands letzten Tagen", Berlin 1897. Ów baron Heyking, późniejszy radzca tajny w służbie rosyjskiej, był przyjacielem księstwa Kurlandzkich, a następnie i opiekunem ich dzieci. Utrzymywał zażyłe stosunki przyjaźni ze słynnym ks. Scipionem Piatoli, który, porzuciwszy suknię zakonną, ożenił się z frajliną księstwa Kurlandzkich, panną Fittinghof.

żęcego Bischoffswerdera, którego znał osobiście z Paryża. Te wycieczki jak najgorsze na słuchaczach uczyniły wrażenie [1]).

Zamieszkiwała podówczas w Dreznie księżna Radziwiłłowa wdowa z rodziną. Syn jej, książę Mikołaj, właśnie był z księciem Karolem powrócił z Paryża i przedstawił barona Heykinga matce. Tam również poznał Macieja Radziwiłła, sędziwego Rostworowskiego, który grał rolę posła konfederackiego przy dworze saskim. Zbierała też się tam cała Polonia drezdeńska.

Pewnego dnia otrzymał Heyking zawiadomienie listowne od przybyłego z Warszawy księdza Piatolego, iż towarzysz jego podróży, hrabia Józef Miączyński, marszałek bełski, życzy sobie widzieć się z nim, gdyż ma ważny list do wręczenia, i prosi o przybycie do Hotelu Polskiego, gdzie się był zatrzymał.

Heyking uprzedził o tem księcia Karola, na co tenże oświadczył, iż radby również widzieć się z hr. Miączyńskim, o ile przybyły jest synem wojewody bełskiego i rozgłośnym marszałkiem, ujętym w niewolę podczas Lanckorońskiej potrzeby.

Udawszy się do hotelu, spotkał się Heyking z Miączyńskim i tak jego wygląd opisuje.

„Był to mężczyzna o pięknych rysach twarzy, słusznego wzrostu i wojskowej postawy. Nosił uniform generalski, jako dowódca oddziału kawaleryi. Wyrażał się z łatwością w języku francuskim, jakkolwiek nie zawsze poprawnie. Maniery miał bardzo układne i zalety towarzyskości tak wybitne, że jego otwartość i szczerość budziły zaufanie i do zawiązania przyjaznego stosunku zachęcały. Prosił mnie, bym go zalecił księciu Karolowi i wyjednał dlań oddzielne posłuchanie. List, który mi przywiózł, pochodził od przyjaciela mego z Warszawy. Byłem w nim proszony, bym się zaopiekował hr. Miączyńskim, przedstawił go dworowi saskiemu z najlepszej strony i był z nim na stopie szczerości i zaufania.

„Po spożyciu przyjemnego obiadu zaprowadził mnie Miączyński do sąsiedniego pokoju i rzekł:

— Przyjaciel pański w Warszawie objaśnił mnie o twej sympatyi szczerej dla sprawy konfederacyi, która cię i z tego względu obchodzi, że ma na widoku przywrócenie księciu Karolowi jego praw. Z tego powodu będę z Panem mówił otwarcie o swojem położeniu.

[1]) „Es war nicht schwer zu erkennen, das die Vereitelung seiner ehrgeizigen Hoffnungen und die Verletzung seiner Eigenliebe die Farben gemischt hatten, mit denen seine Bosheit das Bild der Konfederation malte". Heyking. 116.

Jak więsz, wziętym zostałem przez Rosyan do niewoli, i na dane przeze mnie słowo, iż nadal do konfederacyi należeć nie będę, wypuszczony zostałem na wolność. Związany przyrzeczeniem byłbym w rzeczy samej trzymał się zdala od konfederacyi, gdyby generał Weymarn nie zażądał od szwagra mego kaucyi 6000 dukatów. To nałożenie ceny na moją wolność zwolniło mnie od danego przyrzeczenia. Lecz, zanim się udam ponownie do konfederacyi, uważam za właściwe wydrukować w gazetach hamburskiej i dolno-reńskiej oświadczenie, któreby mnie w oczach tych, co nie znają faktu zapłaty kaucyi 6000 dukatów, usprawiedliwić mogło".

„Zamiar ten uznałem za uzasadniony, poczem Miączyński uprosił mnie, bym przygotowane dlań na paru arkuszach oświadczenie w języku polskim zredagował po francusku. Uczyniłem to w czterdziestu wierszach tak dobrze, że Miączyński szczerze był zadowolony i w wylewie serdeczności zaczął na mnie nastawać, bym z nim do konfederacyi się wybrał.

„Zastrzegłem sobie 24 godzin czasu do namysłu, a tymczasem Miączyński udał się na posłuchanie do księcia, skąd powrócił bardzo zadowolony. Spędziliśmy wieczór razem, oddawszy uprzednio wizyty paru Polakom i przyjacielowi ich, p. de Chabannes. Ten ostatni uznał również deklaracyę za konieczną, lecz doradził Miączyńskiemu, by do czasu jej ukazania się pozostał w Dreznie i nikomu tymczasem o zamiarach swoich nie wzmiankował.

„Podczas nocy zacząłem się zastanawiać nad uczynioną mi propozycyą wszechstronniej. Rozważywszy baczniej wszystkie okoliczności, osnułem szerzej nakreślony projekt, który, nie mogąc zasnąć, nad ranem, przy filiżance kawy zredagowałem mniej więcej w tym duchu: iż dla istotnego reprezentowania całej rzeczypospolitej konfederacya winna również posiadać w swoim składzie przedstawiciela Kurlandyi. „Przystąpienia mógłby prawnie dokonać tylko książę i rycerstwo. Z uwagi wszakże, że okoliczności nie pozwalają uczynić tego tymczasowo otwarcie, wystarczy na teraz, jeśli jego królewska wysokość udzieli jednemu z kurlandzkiej szlachty listu wierzytelnego w tej mierze. Zanim to będzie spełnionem, książę mógłby czasowo od siebie upoważnić kogoś do reprezentowania jego praw w obec konfederacyi. Oświadczyłem gotowość podjęcia się takiej misyi, którą dla niepoznaki okryłbym funkcyą adjutanta przy jednym z marszałków. W ten sposób mógłbym bez zdradzenia się znajdować się w ognisku akcyi, której powodzenie bardzo mi na sercu leżało.

„O ósmej nad ranem udałem się do p. Chabannes, by mu osnuty projekt przedstawić. Za jego to poradą miałem memoryał wypracowany bezzwłocznie przedłożyć księciu Karolowi. Prócz tego przyrzekł mi, że sam o tem z księciem pomówi i do następcy Dumouriez'a, p. de Viomenil, napisze.

„Zanim udałem się do księcia, uprzedziłem Miączyńskiego o swych zamiarach. Rzucił się w moje objęcia i wymógł na mnie słowo honoru, że z nim pojadę, o ile książę pomysł mój w zasadzie zatwierdzi.

„Nadzieje nas nie zawiodły. Książę, odczytawszy mój memoryał, zgodził się nań w zupełności i obiecał, że sam do naczelników generalności napisze, a mnie przed odjazdem moim tajnych instrukcyi udzielić nie omieszka.

„Sędziwa marszałkowa dworu drezdeńskiego była ciotką Miączyńskiego. Ona to skłoniła go do przedstawienia się elektorowi i jego rodzinie. Przyjęcie było bardzo łaskawe, ile że dwór drezdeński zawsze okazywał Polakom szczególne względy"...

Jako rys delikatności towarzyskich manier Miączyńskiego notuje Heyking fakt, iż, pragnąc zaopatrzyć swego przyszłego towarzysza w fundusz na drogę, bez ujmy dla jego skrupułów, zwrócił się był doń marszałek bełski, który się właśnie znajdował na partyjce bilardu u księcia Karola z propozycyą zakładu o sto przeciw dziesięciu dukatom w złocie, iż partyę rozegrywaną wygra.

„Przyjąłem—pisze Heyking—ten zakład, lecz, gdy partyę wygrał tymczasem książę Karol, rzekł do mnie Miączyński:

— A więc jestem Panu dłużnym sto dukatów!

— Żartujesz pan, panie hrabio!

— Bynajmniej. Gdyby był wygrał książę, musiałbyś mnie zapłacić dziesięć dukatów. Gdy chodzi o zakład, jestem — Anglikiem!"

Nareszcie nadeszły gazety z deklaracyami Miączyńskiego, poczem tenże pożegnał się z dworem.

Wszystko było już przygotowane do podróży, gdy książę Karol wezwał do swego gabinetu Heykinga i, wręczywszy mu listy cyfrowane, rzekł:

— Oto jest list do księżny. Zanim się udasz do konfederacyi, bądź u niej. Ona cię objaśni o rozterkach, panujących w łonie generalności, byś do dzieła ostrożnie przystępował. Ona cię również poleci swemu stryjowi, biskupowi Krasińskiemu, mężowi światłego umysłu, z którym możesz się zupełnie otwarcie o celu swej misyi rozmówić. Pozostaje on w bezpośredniej korespondencyi tajnej

z francuskim ministrem stanu, a jego opinia jest w naradach generalności decydująca. Dwa inne listy wręczysz obu marszałkom generalnym. W nich oświadczam, że ci ufam w zupełności i daję od siebie pełnomocnictwo. Przedstawisz im moje niesporne prawa do Kurlandyi, a zarazem i zamiary co do trybu postępowania na przyszłość. Oczekuję od ciebie dokładnych raportów tak w sprawach politycznych, jako i wojskowych działań konfederacyi. Baron Viomenil, który obecnie całą kieruje akcyą, otrzymał co do ciebie od p. de Chabannes oddzielne zalecenie".

Poczem odjeżdżającego Heykinga uściskał książę. Wzruszony Heyking ucałował rękę księcia, który, wręczając mu mały pakiecik, rzekł:

— Przykro mi, że nic więcej dla ciebie uczynić nie mogę, lecz sam znasz położenie.

W pakieciku znajdowało się 25 dukatów w złocie.

Otrzymawszy prócz tego resztę pensyi dorocznej, wyjechał Heyking z Miączyńskim z Drezna do Cieszyna, gdzie podówczas było siedlisko generalności.

IV.

Dalszy ciąg pamiętników Heykinga. — Wynurzenia Miączyńskiego w podróży. — Esprit fort. — W Cieszynie. — Marszałek Pac. — Biskup Krasiński. — Bohusz.

Dzięki zażyłym stosunkom przyjaźni z Heykingiem znajdujemy w pamiętnikach tego ostatniego świetnie odtworzoną charakterystykę Miączyńskiego w ówczesnej życia jego dobie, charakterystykę, której trafność stwierdziły w najdrobniejszych nawet szczegółach wypadki późniejsze.

Pewien odcień romantyczności, skojarzony z dziwną miękkością i słabością woli, tem dziwniejszą, że się rozwijała na tle wybujałej, rycerskiej, skłonnej do porywów bohaterstwa, natury Miączyńskiego, stanowił niepodrzędny bodziec jego działań.

Przywiązawszy się szczerze do Heykinga, otworzył przed nim Miączyński duszę swoją całą i w drodze do konfederacyi po opuszczeniu Drezna wyznał, że jedyną pobudką, która go skłoniła do ucieczki z Warszawy i do szukania nowych przygód rycerskich, była chęć zbliżenia się ponownego do córki hrabiny Mniszchowej, która w ówczesnej dobie jego życia była ideałem jego młodzieńczych marzeń.

„Jakkolwiek byłem młody i zbyt jeszcze niedoświadczony, — pisze Heyking — bym mógł ludzi oceniać dokładnie, jednakże nie trudno mi było poznać, że hrabia Miączyński był dobrodusznym do słabości, i że słabość jego charakteru poddawała go wpływom zręczniejszych. Zepsuty pobłażliwością rodziców i przewodników, nigdy się stałemi nie cechował zasadami. Wolnomyślne książki, któremi się przejął, osłabiły w nim wiarę w zasady chrystyanizmu i pobudziły do ich lekceważenia. Zwierzając mi się ze swoich poglądów, sądził, że obudzi we mnie podziw nad tęgością swego umysłu. Prawił z pogardą o fanatyzmie księży, o dogmatach... Ograniczyłem się na wynurzeniu opinii, że i ja uważam za zgubną - nienawiść, jaką w Polsce żywią do różnowierców, że prawdziwy chrystyanizm opiera się na tolerancyi, i że ludziom niezbędną jest wiara w Boga i w nieśmiertelnosć duszy...

Widziałem, że słowa te wywołały jedynie szyderczy uśmiech na jego usta.

— I wierzysz — zapytał — w niemateryalną, a więc nieśmiertelną duszę? ksiądz Piatoli powiedział mi, że masz filozoficzny umysł. Pocóż więc taka między nami obłuda?

— Zdaje mi się, kochany hrabio, że między „wiarą we wszystko" a „niewiarą do niczego" jest jeszcze coś pośredniego, co filozofia uznaje i czego nas uczy... Czy uważasz Jana Jakóba za obłudnika?

— Nie. Powiedziano mi, że dzieła jego, z których znam tylko tom pierwszy „Julii", zakazanemi zostały.

— Otóż... Jan Jakób wierzy w Boga i w życie przyszłe. Pochwałę ewangelii, którą napisał, zaliczam do najwznioślejszych jego dzieł.

— Czyż tak istotnie?

— Mogę to panu okazać. Mam jego dzieła przy sobie.

„Przerywam tu dalszą rozmowę, która, zdawało się, silnie na Miączyńskiego oddziałała i pogodziła go na pozór z zasadami, od których z łatwością zboczyć mu przyszło. Lecz szybkość, z jaką przekonania swe zmieniał, utwierdziła mnie tylko w poglądzie na zmienność jego charakteru, jego lekkomyślność i brak jakichbądź zasad trwalszych.

„Polacy wogóle grzeszą brakiem logiki i charakteru... Nie podobna im odmówić zdolności, do języków zwłaszcza. Wyrażają się poprawnie i celują dostatkiem poetów i mówców, lecz ich mowy sejmowe z trudnością wytrzymują surową krytykę. Zbywa im na gruntowności, głębokości i wewnętrznym związku".

W Raciborzu rozstali się ze sobą towarzysze podróży. Miączyński udał się wprost do Cieszyna, Heyking zaś, stosownie do polecenia księcia Karola, udał się powozem do księżny. Przyrzekł, że zajedzie do Cieszyna i zamieszka przy Miączyńskim. Ten zaś wziął na siebie zadanie przygotowania gruntu dla Heykinga i ułatwienia mu stosunków.

— Wątpię jednak—nadmienił,—by to łatwo poszło. Większość konfederatów jest fanatyczną i nie będzie ci, jako dysydentowi, sprzyjać".

W dalszym ciągu opisuje Heyking spotkanie z księżną, Krasińską z domu, która urokiem swej piękności i wdzięku niewieściego silne na nim sprawiła wrażenie.

Gdy, po przedstawieniu celu powierzonej misyi, opisała mu rozdwojenie, panujące między generalnością, wywołało to gorzkie ze strony posła uwagi:

— Nie należy w pańskim wieku — dodała — tak czarno patrzeć się na świat.

— Życie moje—odrzekł Heyking—splata się z szeregu niepowodzeń, i tem się też tłómaczy cierpki mój pogląd na stosunki ludzkie. Czerpię go z nauk, jakie nastręcza mi historya Polski. Pragnę zresztą, by to pogląd był mylny, i z zapałem łączę się ze zdaniem, które najpiękniejsza księżna w najsprawiedliwszej wynurzyła sprawie.

„Podała mi księżna rękę, którą z uszanowaniem ucałowałem.

— A więc odwagi! rzekła. Jeśli nadzieje nasze się ziszczą, będzie to nowym tytułem do wdzięczności naszej dla rodziny, która już tyle ofiar w sprawie naszej poniosła".

Po dwu dniach pobytu u księżny udał się Heyking do Cieszyna. Zajmował tam Miączyński tak szczupłe mieszkanie, że niepodobieństwem było we dwóch w niem się pomieścić. Z trudem zdobył Heyking za drogie pieniądze jakiś kącik. Wszystkie większe mieszkania zajęli wodzowie konfederacyi.

„Pozostawili oni dużo pieniędzy w mieście, tak, że obecny swój wygląd okazały zawdzięcza Cieszyn Polakom, którzy w owym czasie dużo tu pieniędzy potracili, i Francuzom, dobrze przez rząd swój uposażonym".

Doniósł Miączyński, że usposobienie dla Heykinga było przychylne.

— „Okazałem generalności — oświadczył — twoją deklaracyę, którą w mojej sprawie zredagowałeś. Marszałkowie bardzo jej układ chwalili, a przy tej sposobności marszałek Pac, który zawia-

duje wydziałem spraw zagranicznych konfederacyi, oświadczył mi, że z chęcią przyjąłby sekretarza, posiadającego dobrze trzy języki. Mam nadzieję, że posada sekretarza z płacą 50 dukatów miesięcznie tobie się dostanie, wraz ze stopniem oberstlejtenanta. A teraz nie traćmy czasu. Zabierz swoje listy wierzytelne i sporą ilość biletów wizytowych. Udamy się do hrabiego Paca, który o parę kroków stąd ma kwaterę, a stamtąd do innych. Ambicya republikańska jest tak wymagającą, jak dworska.

„Hrabia Pac był jednym z tych ludzi, którzy odrazu budzą sympatyę. Pełen godności i uprzejmości, łatwości wysłowienia i umiarkowania zdradzał niepospolity umysł. Byłem nim zachwycony. Po odczytaniu listu księcia Karola rzekł.

— Sposób, w jaki jego królewska wysokość zaleca cię, panie baronie, może być tylko przyjemnym skonfederowanej rzeczypospolitej. Zdradza on oględność księcia i życzenie jego zapewnienia przedstawicielstwu narodowemu należnej powagi. Doniosę o tym kroku księcia tajnemu komitetowi, który przepisze, co czynić dalej. Niewątpliwie masz pan i pismo urzędowe do marszałka generalnego konfederacyi, hrabiego Krasińskiego?

„Gdym oświadczył gotowość przedstawienia tego pisma, marszałek Pac wynurzył jeszcze kilka pochlebnych słów pod moim adresem i prosił mnie, bym uważał dom jego za własny. Złożyłem następnie wiele biletów wizytowych marszałkom i konsyliarzom i wraz z Miączyńskim udałem się do hr. Krasińskiego. Znaleźliśmy tu wielu panów w wesołem usposobieniu. Butelki wina krążyły między nimi bez przerwy. Marszałek zaprosił mnie uprzejmie do swego gabinetu. Tu odczytał listy księcia i księżny i wyraził zadowolenie z ich planu. Bardziej uprzejmie, aniżeli politycznie, poradził mi, bym wystąpił publicznie w charakterze delegata książęcego. Pozwoliłem sobie nadmienić, że koniecznem jest czasowo z tem się wstrzymać do czasu, aż dwory wersalski i wiedeński nie wynurzą bardziej pozytywnie opinii w tej sprawie i dopóki konfederacya litewska nie zyska na sile, by mogła samodzielniej działać w Kurlandyi.

„Przedstawił mnie następnie obecnym, jako syna człowieka, który padł ofiarą polityki Rosyi i wprowadzenia Bierena na tron książęcy w Kurlandyi. Tytuły te znalazły łaskę w oczach konfederatów. Usunąłem się rychło, by nie uledz pokusie węgierskiego wina, którem się ci panowie nadmiernie raczyli.

„Następnie udaliśmy się do brata marszałka Krasińskiego, biskupa kamienieckiego.

„Zajęty był właśnie dyktowaniem listu francuskiego księdzu, sekretarzowi swemu. Przechadzał się, dyktując, po rozległej sali. Majestatycznego wzrostu, o rysach ujmujących i mądrem obliczu, pełen wdzięku w obejściu, miłe sprawiał wrażenie. Po odczytaniu listów, oświadczył, że plan ukrywania zamiarów księcia uważa za słuszny, i zapytał, co do czasu odsłonienia tajemnicy czynić zamierzam?

— Pragnę, odrzekłem—stosować się do kroków generalności, o ile mi będzie dozwolonem znajdować się ciągle w środowisku jej działań.

„Miączyński wtrącił w tem miejscu, że dobrzeby byłoby, gdybym otrzymał nominacyę na sekretarza niemieckiej i francuskiej korespondencyi w wydziale spraw zagranicznych.

„Po pewnym namyśle rzekł biskup Krasiński.

— Myśl jest słuszna, a jestem w jej urzeczywistnieniu osobiście zainteresowany. (Biskup pozostawał w korespondencyi z dworem francuskim, przy którym hr. Wielhorski był imieniem konfederacyi uwierzytelnionym). Upatruję wszakże pewien szkopuł, o którego usunięcie trzeba się będzie postarać. Wszak baron nie jest katolikiem?

— Nie. Panującą w Kurlandyi religią jest luterańska.

— Uczynię, co będzie można, by sprawę tę z komitetem załatwić, a możesz w tem na mnie polegać.

„Zadał mi następnie kilka pytań, dotyczących księżny, jego bratanki, lecz gdym zauważył, że obecność Miączyńskiego nieco go krępowała, skróciłem wizytę z wynurzeniem prośby, bym mógł mieć jeszcze raz posłuchanie.

„Naznaczył mi wizytę na godzinę 6 wieczorem dnia następnego, a ponieważ przedtem miała się odbyć narada, poradził mi, bym się jeszcze przedstawił generalnemu sekretarzowi konfederacyi, Bohuszowi, by zjednać go dla siebie.

„Złożyłem był wprawdzie bilet wizytowy temu ostatniemu, lecz przyrzekłem biskupowi, że nazajutrz raz jeszcze stawię sie u Bohusza.

— Na dziś dosyć wizyt, rzekł do mnie Miączyński. Właśnie odbędzie się bal i wieczerza u Maryana Potockiego. Jestem tam domowym i wprowadzę cię.

„Zastaliśmy tam mnóstwo ludzi, między nimi około 20 polskich i śląskich dam. Różnolitość strojów zwróciła moją uwagę. Spotykano tu Polaków z wygolonemi głowami, pudrowanych Francuzów, sztywnych Prusaków, uroczyście się trzymających Austrya-

ków, niezdarnych Ślązaków i wojskowych różnej barwy, którzy szukali karyery w konfederacyi. Obrońcy ojczyzny w oczekiwaniu wawrzynów umieli się zabawiać niezgorzej!

„Nazajutrz udałem się z Miączyńskim do generalnego sekretarza Bohusza. Był w polskim stroju, z wygoloną głową i sumiastym wąsem, podczas gdy większość jego rodaków porzuciła już była strój polski i ubierała się z francuska.

„Przyjął mnie zrazu chłodno, po przeczytaniu wszakże listu księżny, ożywił się i oświadczył, że decyzya skonfederowanych stanów niewątpliwie odpowie życzeniom księcia, jakkolwiek zasady, względem dysydentów przestrzegane, muszą być miane na uwadze.

— Zdaje mi się — odrzekłem — że generalność winna odróżniać dysydentów Korony i Liwy od dysydenckej szlachty księstwa, posiadającego jeszcze z czasów Zygmunta Augusta oddzielne prawa i przywileje."

— Lecz szlachta kurlandzka przystąpiła do sejmu z r. 1768.

— A czyż nie większość Polski przystąpiła do owej konfederacyi? Istnieją w Kurlandyi, jak i w Polsce, dwa stronnictwa. Jedno, trzymające stronę księcia, nie życzy sobie nowości; drugie, które do Bierena przystało, poddaje się woli silniejszego i słucha rozkazów Rosyi."

„Rozmowa nasza w tej materyi ciągnęła się dalej, gdy przyniesiono Bohuszowi papiery.

„Oddaliliśmy się, lecz po chwili Miączyński wezwanym został ponownie do gabinetu Bohusza. Po kwadransie wyszedł z radosną miną i rzekł:

— Idźmy do generała Viomenila. Wszystko pójdzie jak najlepiej. W drodze zwierzył mi się pod sekretem, że mu Bohusz oświadczył, iż zachodzi przeciw mnie intryga celem niedopuszczenia mnie do sekretarstwa z uwagi, że przysięga heretyka nie ma znaczenia, a wątpi, czy się zgodzę na katolicką rotę przysięgi. Zresztą, nadmienił, będzie można to usunąć przez podpisanie deklaracyi, w której Heyking zdeklaruje wierność dla konfederacyi i dochowanie tajemnicy spraw.

— Jak widzisz, rzekł Miączyński — Bohusz, którego zdanie ma wielką wagę, przychylnie jest dla ciebie usposobiony.

V.

Miączyński u Viomenila. Ogiński. Na zamku Krakowskim. Pułaski i Miączyński. Poselstwa.

„Generał Viomenil, którego odwiedziliśmy, — pisze dalej Heyking—sprawił na na mnie bardzo przyjemne wrażenie. Imponował swą rycerską postawą i wyglądem. Podnosiła urok jego postaci wstęga S. Ludwika, której się dosłużył w Korsyce. Spokojny, oględny, skromny i uprzedzający, słuchał wszystkich z wyrozumiałością i poszanowaniem, stanowiąc w tem przeciwieństwo Dumouriez'a, który raził swoim wyniosłym tonem, dumą, zarozumiałością i gwałtownością. Viomenila też lubiono w Polsce i poważano ogólnie.

Wypowiedziawszy Miączyńskiemu kilka pochlebnych słów o jego waleczności i patryotyzmie, zwrócił się do mnie i odezwał się bardzo łaskawie o księciu Karolu. Podniósł, że książę jest blizkim krewnym króla, jego pana, i że to jego osobiste zalety czynią go tak wysoce sympatycznym. Co do urzędu sekretarza generalności wyraził opinię, że ta ostatnia powinna być zadowoloną z nadarzającej się sposobności pozyskania we mnie tak pożytecznej siły. Rozstaliśmy się, zachwyceni osobą Viomenila. Miączyński pospieszył na sesyę generalną, złożoną z biskupów, dwóch gener. marszałków i konsyliarzy województw koronnych i litewskich, hetmana Ogińskiego i regimentarzy. Na sesyi tej miano także powziąć uchwałę w sprawie mojej nominacyi. Tymczasem zaszedłem do siebie celem zredagowania pierwszego raportu urzędowego dla księcia.

„O godzinie 2 dowiedziałem się od Paca, że nominacyę moją przyjęto łatwo w komisyi, lecz na ogólnem zebraniu podniosły się przeciw niej protesty z powodu mego wyznania.

„Zażegnał te upory Pac przemówieniem, w którem wykazał, że bardzo wielu dysydentów służy w konfederacyi w godności oficerów. Jeśli zatem powierza się im krew i honor współobywateli, to dlaczegóż niema się zawierzyć prowadzącemu imieniem konfederacyi korespondencyę, zwłaszcza, jeśli zacność jego przez księcia jest poręczoną. Gdy jednak konstytucya nasza do cywilnych urzędów dysydenta nie dopuszcza, to dajmy mu stopień wojskowy, i w tym charakterze niechaj, wykonawszy przysięgę, załatwia korespondencyę francuską i niemiecką."

„Projekt ten jednomyślnie przyjętym został. Otrzymałem od hr. Ogińskiego, wielkiego hetmana litewskiego, dyplom na adjutanta, skutkiem czego zyskałem rangę oberstlejtnanta, a jednocześnie zostałem sekretarzem z płacą z kasy francuskiej 30 dukatów miesięcznie i 15 dukatów za stopień adjutanta.

„Miałem dużo do roboty, mniej u Bohusza, a więcej u biskupa Krasińskiego. Ten ostatni miał zwyczaj dyktowania, ale przytem tak się zapędzał w chmury, że nieraz, gdym już spisał parę arkuszy, nic nie widziałem, do czego ta pisanina zmierza...

„Pozwoliłem sobie raz przy odczytaniu brulionu zwrócić jego uwagę na parę zupełnie niezrozumiałych ustępów. „Prawda, odrzekł mi na to, te ustępy nie są jasne, lecz to właśnie stanowi styl dyplomatyczny. Trzeba się ich sensu domyślić."

„Pomyślałem sobie w duchu, że to nie styl Ossata, de Noailles'a i innych wybitniejszych dyplomatów. Niewątpliwie, znajdujemy w ich notach często zręczne omijanie kwestyi i dwuznaczne określenia, lecz naturalny rozwój ich myśli jest zawsze łatwo zrozumiałym, a przecież i podstęp przemawia zawsze językiem rozumu.

„O ile mnie rozwlekły i ciemny styl biskupa nużył, o tyle podziwiałem zawsze styl polski pana Bohusza. Była to rozkosz istotna tłómaczyć jego operaty na język francuski. Wszystko w nich było jasnem, określonem, silnem, pełnem powagi i zapału. Przekład mój pierwszego manifestu, wydanego po mojem przybyciu do Cieszyna, udał mi się znakomicie, tak, że generał Viomenil po jego odczytaniu uściskał mnie i nazwał swoim współziomkiem.

„Przeniknąwszy w ciągu parotygodniowego pobytu ducha konfederacyi i porozumiawszy się dokładnie z francuskimi i polskimi dygnitarzami, sporządziłem z tych uwag notatki i przesłałem ogólne resumé o stanie spraw ówczesnych księciu Karolowi.

„Zamek krakowski przebojem przez naszych zdobytym został waleczni Choisy, Galibert, Charlot i inni bronili się w nim na czele garstki Polaków. Twierdza Częstochowska i Bobrek opierały się długo atakom Rosyan. Te małe obronne punkta podtrzymywały plan Dumouriez'a, służąc jako składy amunicyi i rekruta. Jednocześnie organizowano cztery legiony: każdy o 4 tysiącach infanteryi i tysiącu konnicy.

„Legion księcia Radziwiłła był prawie kompletny i był dowodzony przeważnie przez oficerów pruskich. Dowódcą legionu Maryana Potockiego był kawaler Valcroissant, który zajmował się prócz tego zaciągami. Legion Ogińskiego składał się wyłącznie z żołnierzy, zwerbowanych w Saksonii przez majora Schilla, którzy

samopas przybywali. Legion Viomenila miał samych francuskich dowódców, którym dodano do kompanii po 3 lub 4 tłómaczy, polskich oficerów.

„Owa armia 16 tysięczna stanowić miała jądro całego ruchu, podczas gdy skonfederowana szlachta na koniu tworzyła przednią i tylną straż i miała osłaniać skrzydła. Pułaski i Miączyński mianowani zostali dowódcami kawaleryi. Każdy z nich miał przy swym boku jednego francuskiego, drugiego polskiego adjutanta, mianowanych przez Viomenila, który całą kierował akcyą, i ich zadaniem było utrzymywanie między wodzem naczelnym a pojedyńczymi korpusami ciągłego stosunku.

„Książę Sapieha, który wybranym został na Litwie wielkim regimentarzem, zaprotestował przeciw hetmaństwu wielkiemu Ogińskiego. Tylko pojednawczy duch Viomenila sprowadził zgodę między obu tymi niezdolnymi przywódcami.

„Zabiegliwość Francuzów miała na wszystko baczenie. Sprowadzono armaty i broń dla 10 tysięcy wojska pieszego, a to wszystko wśród niezmiernych trudności i szkopułów, gdyż, jakkolwiek za wszystko płacono złotem i to z czubem, jednakże tajni agenci rosyjscy nie zasypiali sprawy. Trzeba było w rzeczy samej sprawności i inteligencyi Francuzów, by przeprowadzić wszystko, co należało.

„Gabinet wiedeński odgrywał tymczasem rolę dwuznaczną. Podczas gdy austryackie władze nazywały Paca i Krasińskiego „generalnymi marszałkami konfederacyi“, uznając tem samem prawność konfederacyi, poseł austryacki w Warszawie nie ustawał w pogardliwem jej traktowaniu.“

„Sprawy wojenne pod kierunkiem Viomenila zaczęły przybierać pomyślniejszy obrót. Rozgoryczenie narodu przeciw królowi doszło do tego, że mogło przyjść do pospolitego ruszenia.

Po ogłoszeniu protestu w obronie praw księcia Karola marszałek Kosakowski usiłował uczynić zamach na Bierena w rezydencyi tegoż, lecz tajemniczy zamysł odkrytym został, i zamach się nie udał.

Inaczej się stało ze Stanisławem Augustem.

Porwanie jego w stolicy Rzplitej odbyło się w Listopadzie 1771 r., a jakkolwiek generalność uroczyście zaprzeczyła, by w przedsięwzięciu tem miała jakikolwiek udział, jednakże dwory europejskie temu zapewnieniu nie uwierzyły

Celem wyjaśnienia istotnych celów i pragnień konfederacyi zamierzono wysłać posłów do Wiednia i do Konstantynopola. Do pierwszego wybrano biskupa Krasińskiego, do Stambułu — księcia Radziwiłła. Księżna Karolowa wyraziła życzenie, bym towarzyszył biskupowi do Wiednia, na co ten ostatni się zgodził. Lecz w trakcie tego, gdyśmy byli zajęci przygotowywaniem dokumentów i instrukcyj, nagle zaszła okoliczność, która wszystkie nasze plany w niwecz obróciła."

(*d. c. n.*) *Alexander Kraushar.*



Z cyklu: Mare tenebrarum.



I. Mroki.

W morzu ciemności duch mój toczy się bez końca
Po czarnych jakichś falach, spienionych w kędziory:
A blask niewidzialnego — dalekiego słońca
Czasem mrok ułudnymi wyzłaca kolory.

Ale ta kropla złota w przestrzeni hebanach
Znikomą jest — jak ziarno, rzucone na piaski:
I duch mój w czarnej nocy wije się tumanach
I napróżno wygląda za promieniem łaski.

Sam raje sobie stwarzam — i sam siebie kuszę,
By zerwać z drzewa wiedzy owoc zakazany —
Sam mieczem archanioła wypędzam swą duszę
Z Edenów — i tak błądzę, z Edenów wygnany.

Cisza jest tam, gdzie niema tego morza mroków,
Lecz nie wiem, czyli dojdę do jego granicy;
Ono jest wszędzie: w śpiewie pól, w ruchu obłoków,
W ryku miast, w szumie borów, w życia tajemnicy.

Ono jest wszędzie — wszędzie ono mię uciska —
Nierozwiązanych pytań węzłem mię okala —
W rzeki bezdenne zmienia mi wszystkie zjawiska,
A w każdej jakaś czarna rozlewa się fala.

A fala każda własne pewnie ma nazwisko,
Lecz ja nazwiska nie znam, choć się czasem łudzę,
Że je znam... Ja tu, pod nią położony nizko —
Patrząc, łzy czuję w oczach — łzy jakoby cudze.

I tyle naraz w piersi moje fal uderza,
Że jestem, jak rozbitek na bezbrzeżnej dali —
I nie mam żadnej deski — żadnego szkaplerza —
I nie wiem, gdzie się złota moja gwiazda pali.

Wiedzieć? Czy to podobna znać bajeczne słowa
Tych otchłani — tych mroków, w których błądzę wiecznie —
I których treść nieznana — jako śmierć surowa —
Władnie mną, szalejąca, wirująca sprzecznie.

Rąbek ledwie odkryłem jakiejś tajemnicy —
Wnet druga — nie! ta sama powstaje upiorem —
O, gdzie są tego morza trytony — strażnicy
Mrocznych fal — by mi głębia stanęła otworem?

Idźcie precz, wy, zielone, trawą zarośnięte
Ondyny, co tam skarbów strzeżecie zazdrośnie!
Kwitną bzy — młode pączki róży rozwinięte —
Patrzcie — ślą pozdrowienie młodocianej wiośnie.

I suną się przez pola wielkimi oddechy
Jakieś złote widziadła — i zielone bogi, —
Tryskają żywe pieśni, dźwięczą młode śmiechy —
Słońce— miłość — objawień świetlanych dzień błogi.

I we mnie jakieś oko lśni jasnowidzące —
Co przenika w dalekie wschody i zachody;
Widzę promienne gwiazdy, i różane słońce,
I pachnące dąbrowy — i ciche ogrody.

I, rzekłbyś, duch zogromniał w jasnem przemienieniu
I, zda się, bezgraniczne przestworza ogarnia —
Jasno mi! Sam, jak promień, błyszczę na promieniu...
Lecz... Co za wir złowrogi... Ha — grób i męczarnia.

I znów noc — i znów mroki — i znów dusza woła:
Gdzie twoje złote światło — gdzie twa jasna tęcza?
Gdzie serce, objawieniem zmienione w anioła?...
I znów ta noc bez granic, co ducha wycieńcza.

Ty, coś się kąpał w żywych światła oceanach,
Mów, gdzie jest czarodziejska twoja zorza złota?
Rozprysła się w złudzeniach, rozwiała w tumanach,
Raz jeszcze zazgrzytały Edenowe wrota.

I znowu się wygnałem z krainy słonecznej,
Co mi na chwilę błysła w upojeniu sennem —
I nigdy już nie wrócił... Zagasł maj serdeczny —
I toczę się po morzu ciemności bezdennem...

Czy nie wyschnie ta głębia? Krwawy cherubinie,
Czemu z zazdrosnym mieczem stoisz wciąż nademną?
Czemu pędzisz mą duszę na głuche pustynie —
Na to morze przerażeń, na tę otchłań ciemną?

II. Zmora.

Czasami się w północy budzi przerażony
Duch ludzki. Tajemniczych, bladych widm legiony —
Jawią się w cieniach izby. W grozie bezimiennej
Wyciągają swe dłonie. Zaś ów duch bezsenny —
Jasnowidzący razem — i straszliwej mocy
Ślepotą razem tknięty — śród milczenia nocy
Słyszy to, co mu szepczą zamogilne duchy
W swym powietrznym języku, a razem jest głuchy,
Jak gdyby mocą sennej — przerwanej ekstazy —
Zapomniał już rozumieć — człowiecze wyrazy!

I wszystko mu się miesza w jakiś chaos dziki —
I w mózgu mu wirują splątanymi szyki —
Wszystkie cierpienia duszne, własne i niewłasne —
I zda się, że na boleść piersi są zbyt ciasne —
I zda się, że na jęki pierś zbyt niedołężna —
I zda się, że ta zmora jest taka potężna,
Że się do szpiku kości twa istota lęka,
Że łono ci rozsadza, że czaszka ci pęka!
I zda się, że twa dusza już na wskroś jest chora —
I że nigdy cię — nigdy nie rzuci ta zmora,
Której mózg nie wymyśli — usta nie powiedzą!
Choć świdruje ci serce z taką samowiedzą,
Z tak piekielną jasnością, z takim szałem dzikim,
Żeś niezdolny jej ludzkim wyrazić językiem.
A jak przedtem powieka całe ciało twoje —
Okrywała — jak w całun — w czarne swe zawoje;
Tak teraz się rozszerza nagłą tajemnicą
Twój wzrok — jakbyś się naraz cały stał źrenicą —
I widzisz — niby wielkie — bezgraniczne stepy —
Nieskończoność — i razem jesteś, jako ślepy.

III. Kłamstwa.

Kłamstwem jest obojętność, kłamstwem jest przeczenie,
Kłamstwem jest ów śmiech gorzki, co drwi sam ze siebie;
Kłamstwem nicość, co pożreć ma bytu przestrzenie,
Kłamstwem śmierć, co pod ziemią prochy ludzkie grzebie.

A jednakże jam kłamał, kłamał obojętność;
Kłamałem śmierć i nicość — i szyderczym śmiechem —
Przeczyłem tym, co znali światła umiejętność —
I dzisiaj oko w oko stoję z moim grzechem.

Wobec nierozwikłanych zagadnień człowieka,
Kiedy duch ręce łamie, strwożony niemocą:
Zda się, że go tajemnic ma pochłonąć rzeka,
I wichrem—chaotyczne myśli w nim łomocą.

Na tom walczył, rozmyślał — na tom krzywdził siebie —
Uchodziłem od stołów, biesiad i rozkoszy —
By znaleźć tę truciznę w mleku swem i chlebie
I pojąć, że w nicości wszystko się rozproszy!

Łzy i ból człowieczeństwa, jego losy mętne,
Zagadka bytu — wszystko gorycz we mnie rodzi,
I naraz mi się wszystko zda tak obojętne,
Że wołam: nic na świecie, nic mię nie obchodzi.

A wówczas w sercu mojem słyszę tajemniczy
Głos, który się oburza na te słowa chore:
Kłamiesz! boś wiecznie głodny tajemic goryczy,
Kłamiesz! bo jeszcze w tobie żądza męki gore.

A gdy nadmiarem bólu serce umęczone
Odpocznienia już żąda i grobowej ciszy
I gdy chwieje się drżące w tę i owę stronę,
Zda mi się, że w niem pulsu nikt już nie dosłyszy.

I wołam: Jam nie kochał! Wyschnięta ma dusza
Pragnęła tylko ciszy bez granic i końca,
I, choć szukałem nieraz dobrego geniusza,
Dumny jestem, że byłem, jako miedź brzęcząca.

Nie kochałem nikogo! tak wołam szalenie,
Bo dusza ma nikogo ukochać nie zdolną — —
A głos mówi mi: Kłamiesz! Kłamstwem jest przeczenie,
Kłamiesz, boś kochał więcej, niżli kochać wolno.

IV. Samotność.

1.

— Liściu mój zbłąkany,
Dokąd wiatr cię niesie?
— Lecę przez tumany,
Szczęścia szukam w lesie.

— Czego szukasz błędnie
Na wsze strony świata?
— Nim ma zieleń zwiędnie,
Szukam liścia brata.
— Brata? Mylnie sądzisz,
Że się sen twój ziści:
Próżno szukasz, błądzisz — —
Niema bratnich liści!

2.

Po niebie płynie biały
Obłok samotny.
Wichry mu nie rozwiały
Źrenicy wilgotnej...
O, jedyny, ostatni
Na skwarnem niebie — —
Napróżno chmurki bratniej
Szuka dla siebie...
W błękitną — nieskończoną
Pustynię — —
Sierocy obłok z srebrną na czole zasłoną
W dal płynie...

V. Posągi.

... W pamięci mojej wieczyście stać będzie
Ten dziwny świat, od świata żywego odmienny,
Świat marmurów tak białych, jak pióra łabędzie,
Jako zimowe śniegi, białością promienny.

Przygnębił moją małość ten naród ogromny,
Przywalił moje trwogi ten naród spokojny,
I widzę, jaki we mnie żyje bezpotomny
Duch, rozdwojony w sobie od wewnętrznej wojny.

O, wy ciche — wy białe — wy czyste posągi,
Bohatery świetlane, bogi i boginie,
Wy, coście na tej ziemi królowały ongi,
Wy, z których nam dziś jeszcze promień żywy płynie.

Zejdźcie—zejdźcie raz jeszcze ze swych piedestałów,
Nieśmiertelne wcielenia Hellady i Romy:
I użyczcie nam ducha swojego kryształów
I uczcie, jak wasz spokój zdobyć nieruchomy.

Wasza białość—ta białość łabędziego puchu,
Wszystkie barwy stopiła w głazy marmurowe;
Spokój wasz—to związanie wszystkich ruchów ruchu;
Milczenie wasze streszcza lat tysiąca mowę.

O, martwe wy postaci, a wiecznie żyjące,
Gdy patrzę w wasze białe, nieruchome oczy,
Zda mi się, że w nich widzę źrenice widzące,
Zda mi się pod marmurem, że tam krew się toczy.

Ironiczne potęgi! Czyli wasze twarze
Iście są nieświadome życia dookoła?
O, nie, wy pewnie, w ludzkim zasłuchane gwarze,
Znacie wszystko, co płacze, co jęczy, co woła!

Bowiem duch, co osiągnął wszystką samowiedzę —
Żadnej nie łaknie wiedzy i łaknąć nie może:
Jowisz—czyli przestąpi swego nieba miedzę,
Gdy wszędzie jego niebios ściele się przestworze?

I tak—w nieskończoności lazurach płynący,
Jowisz—jakgdyby w sennej pogrąża się toni:
I—nic nie widząc—wszystko widzi... Wszechwidzący
I razem nieświadomy—duch bytu harmonii!

Tak każdy z was! Przeżywszy to, co można przeżyć —
Życie, świadomość, czucie—zaklął w marmur biały,
I nic was już nie może olśnić i uderzyć,
I żyjecie—jak we śnie wiekuistej chwały!

A patrząc, na cóż patrzą wasze białe oczy,
Gdy u stóp waszych czarny, bezkształtny lud żywy,
Olśniony ich potęgą, zmęczony się tłoczy —
I upada omdlały, drżący i trwożliwy?..

Czy widzą te szaleństwa, co w źrenicach płoną?
Czy widzą niepokoje, co w tych piersiach huczą?
Czy widzą, jak te widma koleją szaloną
Gonią—i wszędy brzemię swojej troski włóczą?

Czyli słyszą ich wrzawę—okrzyki i śmiechy?
Czyli słyszą ich modły—i bluźniercze ryki?
Czy słyszą ich rozpaczne jęki bez pociechy
I złudzeń nieustannych błądzące ogniki?

Czy pojmują ich żądze krwawe i anielskie,
Ich miłość i nienawiść, ich niebo i piekło?
Upadki i uściski — i rojenia sielskie,
Przeczerwienione walką egoizmów wściekłą?

I ten wrzask dni dzisiejszych? te fabryczne dymy?
Tryumfalny brzęk złota, — głodu jęk ponury,
I mrok — i lód po sercach rozpostartej zimy,
I te wieczyste chmury — te okropne chmury?...

A może nasze życie zda się im bezruchem,
Albo wirem atomów bez celu i myśli?
A to, co my zowiemy naszym żywym duchem —
Dla nich jest cieniem, który cienie w cieniu kréśli.

Może dla nich ta czarna ciżba istot szpetnych,
Są to liche posągi, którym rzeźbiarz lichy—
Społeczność—nie umiala dać rysów szlachetnych
Promiennej Afrodyty, nieskalanej Psychy?

Do spokoju my dążym. Spokój jest w marmurach.
W marmury się przemienić, w granit przelać ducha!
Zamknąć się w nieśmiertelnych liniach i konturach!
Jęki zakuć w milczenie, które wieków słucha;

Otrząsnąć się od gadzin ukąszeń i płazów —
Ujść od jałowej walki; na złudzenia sromy
Zamknąć kamienne oczy... Stać się jednym z głazów,
Co nieruchomo patrzą na ten świat ruchomy: —

Zazdrość budzi ta cisza bogów nieprzerwana —
I ta białość łabędzi — i ta białość śniegu!
O, jakże słodką byłaby taka przemiana,
Jak dobrzeby oglądać świat z innego brzegu!

A. Lange.



Nauka Ekonomii Politycznej

według Henryka George'a.

Trzecia księga dzieła poświęcona jest produkcyi bogactwa; jakkolwiek w tej części pracy porusza George mniej zasadnicze sprawy, niżeli w poprzedniej, jednak na bliższą i szczegółową uwagę niewątpliwie zasługują.

Przedewszystkiem chodzi o ścisłe podanie znaczenia produkcyi; zdawałoby się, że dyskusya na tym punkcie jest zbędna, a jednak ze stanowiska George'a pominąć jej nie można, bo ze swego określenia wyciąga on wnioski podstawowe dla swojej teoryi.

Produkować nie znaczy stwarzać, nie znaczy robić cokolwiek z niczego, nie znaczy powoływać do bytu nową materyę lub nową siłę, bo to jest zadaniem czynników, poza człowiekiem stojących, którym człowiek sam podlega. Produkować to znaczy poddawać istniejące już rzeczy przemianom, to znaczy wytwarzać nowe kombinacye i nowe stosunki i używać do tej pracy istniejącej materyi oraz istniejących sił. Człowiek nie jest twórcą, lecz zmieniaczem tego, co kiedyś zostało stworzone. Reprezentując aktywny czynnik

produkcyi, potrzebuje, jako warsztatu, czynnika biernego, a ten w terminologii ekonomicznej nazywa się ziemią.

George kładzie nacisk szczególniejszy na to, że, co zostało stworzone, nie może być w ekonomicznym sensie wyprodukowane. Zdanie to jest bardzo ważne i należy je zapamiętać.

Słowo *produkcya* ma dwa znaczenia: jedno, ciaśniejsze, a drugie obszerniejsze od używanego powszechnie w mowie potocznej. Produkcya jest właściwie wytwarzaniem bogactwa, i w tem też znaczeniu używa się w ekonomii politycznej, ale pamiętać należy, iż to nie jest jedyne znaczenie tego słowa. Jakkolwiek muzycy, nauczyciele, badacze, chirurdzy, poeci, księża i t. d. nie produkują bogactw w ekonomicznem tego słowa pojęciu, to jednak zajęć ich nieprodukcyjnemi w żaden sposób nazwać nie można, gdyż dają oni ludziom to zadowolenie, dla którego osiągnięcia przeważnie produkcya bogactw się odbywa.

Z drugiej strony znowu skłonni jesteśmy pewne jeno stadya procesu uważać za właściwą produkcyę, odmawiając tego charakteru innym. Tak np. transporterzy, kupcy i wogóle wszelacy pośrednicy nie są uważani za producentów, lecz za czynniki, umożliwiające podział bogactw. Tymczasem jest to przeoczenie faktu, że wyprodukowanie danego bogactwa obejmuje wszystkie stadya, począwszy od najpierwszego, a skończywszy na ostatniem, które polega na tem, że dany produkt dochodzi nareszcie do rąk konsumenta i umożliwia zużycie go. W ten sposób chłopiec, sprzedający na ulicy gazety, jest zarówno producentem, jak redaktor, zecer, maszynista i t. d. Rożdział bogactw nie ma, ściśle biorąc, nic do czynienia z transportem lub wymianą, lecz polega jedynie na takim lub innym podziale owoców produkcyi między ogół konsumentów.

Wszelka produkcya jest wynikiem wpływu człowieka na przyrodę i polega na zmianie w miejscu, warunkach, kształtach i kombinacyach naturalnych materyałów oraz przedmiotów w taki sposób, aby się nadawały do zaspokojenia ludzkich pożądań.

Po bliższem w całej sprawie rozejrzeniu się spostrzeżemy, że produkcya odbywa się w trojaki sposób bez względu na to, czy weźmiemy pod uwagę te stadya, w których bogactwo wytwarza się z materyału, nie będącego poprzednio bogactwem, czy też te, gdzie do istniejącego już bogactwa została dodana jakaś nowa wartość.

Pierwszy rodzaj produkcyi polega na wyzyskaniu przez człowieka tych sił przyrody, które leżą całkowicie poza światem organicznym, jako to: ciążenie, ciepło, światło, elektryczność, spójność, powinowactwo chemiczne i t. d. Opuszczamy dosadny i malowni-

czy przykład wyłącznie tego rodzaju produkcyi, jakiej musiałby się oddawać Robinson Crusoe w pewnych specyalnych warunkach, a powiemy jeno, że ten rodzaj produkcyi George nazywa adaptacyą czyli przystosowaniem, a uprawia go rybak, myśliwy, górnik, mechanik, fabrykant, transporter; a także rzeźnik i trener koni lub innych zwierząt, który nie zajmuje się równocześnie ich rozpłodem. Tegoż sposobu używa się, produkując bogactwo przez wydobycie węgla z kopalni i umieszczenie go na powierzchni ziemi, przez przewiezienie go wreszcie tam, gdzie potrzebny jest do zaspokojenia ludzkich potrzeb. Tego sposobu produkcyi używamy, zamieniając drzewo na materyał budowlany i na deski; zamieniając pszenicę na mąkę, a sok trzcinowy lub burakowy na cukier i t. d. i t. d.

Istnieje atoli drugi jeszcze sposób produkcyi, kiedy człowiek używa dla swoich celów reprodukcyjnej siły przyrody. Przez otrzymywanie jarzyn, sadzonek lub nasion i przez ich zasiewanie, przez chwytanie i hodowanie zwierząt jesteśmy w stanie nie tylko produkować jarzyny i zwierzęta w większej ilości, niżeli nam przyroda ofiarowuje, ale w wielu wypadkach możemy ulepszyć ich jakość i bardziej do naszych celów przystosować. Ten drugi sposób produkcyi, w którym robimy użytek z rozrodczej siły przyrody, możemy najlepiej odróżnić od pierwszego, nazywając go hodowaniem. Takiego rodzaju produkcyi używa farmer, hodowca bydła, ogrodnik, pszczelarz, a do pewnego stopnia przynajmniej browarnik i gorzelnik.

Obok dwu wyżej wymienionych istnieje trzeci sposób produkcyi, który już leży całkowicie poza przyrodą i właściwy jest tylko człowiekowi dzięki rozumowi, jakim jest obdarzony; tym sposobem produkcyi jest wymiana czyli handel, jedna z najważniejszych różnic pomiędzy człowiekiem a zwierzęciem, jedna z najsilniejszych dźwigni ludzkiego postępu. Przez wymianę nie tylko zużycie najwyższych zdolności zarówno ludzkiego, jak i przyrodzonego czynnika w celach produkcyjnych staje się możliwe, ale, co więcej, według George'a, wymiana pociąga za sobą spostrzegalny przyrost ogólnej sumy bogactwa, wskutek czego możemy ją uważać za trzeci tryb produkcyi i nazwać wymianą; mamy więc trzy sposoby produkcyi, a mianowicie: przystosowywanie, hodowanie i wymianę.

Te trzy sposoby zdają się występować i nabierać znaczenia w rozwoju społeczeństwa ludzkiego prawie że w porządku, wyżej przyjętym. Biorą one początek we wzroście potrzeb ludzkich razem ze wzrostem sposobów ich zaspakajania pod naciskiem podstawowego prawa ekonomii politycznej, na mocy którego ludzie starają się zaspokoić swe pragnienia przy pomocy najmniejszego wysiłku.

W pierwotnem stadyum ludzkiego życia najprostszym sposobem zadawalania pragnień jest przystosowywanie do użycia tego, co się znajduje gotowe. W późniejszem, bardziej skrystalizowanem stadyum okazuje się, że pewne pragnienia można łatwiej i pełniej zaspokoić przez zastosowanie hodowli i reprodukcyi, jako to przez uprawę jarzyn i hodowlę zwierząt domowych, a wreszcie, w późniejszym peryodzie rozwoju staje się rzeczą jasną, że pewne pragnienia można lepiej i łatwiej zaspokoić przez wymianę, kładącą większy nacisk na kooperacyę, niżby się to mogło dziać wśród nie uprawiających wymiany jednostek ekonomicznych.

Mówiąc o produkcyi, należałoby poddać też analizie i krytyce słynną teoryę Malthusa, tego jednakże George nie robi w swym systemie ekonomii politycznej, ponieważ rozprawił się z nią w głośnej pracy p. t. „*Progress and Poverty*", dokąd też czytelnika odsyła.

Kilka słów za to poświęca autor rzekomemu prawu zmniejszających się zysków z uprawy roli, o którem Stuart Mill w swych „*Principles of Political Economy*" (Księga I, Roździał XII, sek. 2) powiada: To ogólne prawidło przemysłu rolnego jest najważniejszem twierdzeniem ekonomii politycznej. Gdyby to prawo było odmienne, toby niemal wszystkie fenomeny produkcyi i podziału bogactw były inne, niż są dzisiaj.

Przekonanie o ważności tego prawa o zmniejszających się dochodach z uprawy roli przenika podręczniki ekonomii politycznej i jest artykułem wiary współczesnych pisarzy scholastycznych takich, jak prof. Walker w Stanach Zjednoczonych lub prof. Marshal w Anglii.

Prawo to zyskało sobie dlatego tak wielkie znaczenie, ponieważ udziela poparcia teoryi Malthusa, na podstawie której ludność przewyższa środki utrzymania. Jakie są konieczne następstwa tego prawa według oficyalnych ekonomistów, możemy się dowiedzieć od Stuarta Milla, który w swych „*Principles of Political Economy*" (Księga I, Roździał XIII, sekcya 21) powiada: we wszystkich krajach, które przeszły przez wczesne stadyum w rozwoju rolnictwa, każdy wzrost w zapotrzebowaniu pokarmu, spowodowany wzrostem zaludnienia, musi zawsze, chyba że równocześnie wystąpi ulepszenie produkcyi, zmniejszyć porcyę, któraby przy rzetelnym podziale przypadła każdemu indywiduum... Z tego wynika drugi ważny pewnik, że konieczność ograniczania wzrostu zaludnienia nie wypływa, jak wielu mniema, z szczególniejszych warunków nierównego podziału własności. Większa liczba ludzi nie może w jakimkolwiek danym stanie kultury być zbiorowo tak dobrze zaopatrzona, jak

mniejsza. Skąpstwo przyrody, nie zaś niesprawiedliwość społeczeństwa, jest przyczyną kary za przeludnienie. Niesprawiedliwy podział bogactw nie pogarsza nawet złego, lecz, co najwyżej, sprawia, że się je wcześniej czuje. Próżną jest rzeczą twierdzić, że wszystkie usta, jakie przyrost ludzkości powołuje do życia, przynoszą razem ze sobą i ręce. Nowe bowiem usta wymagają tyleż jadła, co stare, a ręce nie produkują tyleż samo.

Po pewnem, nie bardzo późnem stadyum rozwoju rolnictwa, faktycznie od chwili, w której ludzkość zabrała się do kultury ziemi z jaką taką energią i zastosowała jakie takie narzędzia; od tego czasu stało się prawem produkcyi rolnej, że w każdym stanie agrykultury pomnożenie pracy nie pomnaża w równym stopniu ilości produkcyi; zdwojenie pracy nie zdwaja produktów; albo, wyrażając to samo w innych słowach, każdy wzrost ilości produktów osiąga się przez więcej, niż proporcyonalny wzrost pracy, zastosowanej do uprawy roli.

W dalszym ciągu dowiadujemy się, że to prawo zmniejszających się zysków stosuje się tak dobrze do rolnictwa, jak do górnictwa i do wszystkich tych sposobów produkcyi, które nadają charakter bogactwa temu, co tego charakteru nie posiadało. Prawo to nie stosuje się atoli do produkcyi czysto przemysłowej, i tu wzrost pracy pociąga za sobą odpowiedni wzrost produkcyi; gdyby to samo miało miejsce przy uprawie roli, to wtedy jedna ferma, odpowiednio uprawiana, wystarczyłaby do wyżywienia całej Anglii, całych Stanów Zjednoczonych lub całej nawet kuli ziemskiej. Ta *reductio ad absurdum* została przyjęte przez wszystkich oficyalnych ekonomistów, jako pewnik, tak samo, jak przyjęto na podstawie teoryi Malthusa, jako pewnik, że, gdyby wzrost ludności nie spotykał przeszkody w mniejszym wzroście środków do życia, to ludzkość niebawem takby się rozmnożyła, że musielibyśmy stać jeden na głowie drugiego.

Analiza tych twierdzeń wykaże atoli z łatwością, że są one z gruntu fałszywe. Jedno i to samo prawo odnosi się do wszystkich sposobów i gałęzi produkcyi. Wszędzie produkcya stoi w pewnym związku z przestrzenią i czasem, które są nieuniknionymi czynnikami pracy ludzkiej.

Zanim przystąpimy do omówienia tego stosunku przyjrzyjmy się razem z Henrykiem Georgem zasadniczym pojęciom przestrzeni i czasu.

Ponieważ w obecnym referacie obchodzą nas jedynie i wyłącznie ściśle ekonomiczne pojęcia amerykańskiego myśliciela, przeto dla oszczędzenia sobie miejsca i nierozrywania uwagi czytelnika opuścimy cały obszerny rożdział treści czysto metafizycznej, traktujący o pojęciach czasu i przestrzeni. Pomijając krytyczne wycieczki George'a w kierunku filozofii metafizycznej lub doktryn teologicznych, zaznaczymy jeno razem z autorem błąd, jaki popełniają ci wszyscy, którzy czas i przestrzeń uważają za istności realne, za coś, o czem można myśleć w oderwaniu od rzeczy, znajdujących się w czasie i przestrzeni. Zarówno czas, jak i przestrzeń, nie są wcale istnościami realnemi, lecz wyrażają po prostu wzajemny stosunek rzeczy do siebie: czas wyraża następstwo, a przestrzeń współistnienie, czas i przestrzeń ani nie istniały, ani mogą istnieć poza światem materyalnym, z którym razem powstały i z którym razem zniknąćby musiały. Pytania, kiedy się czas zaczął, lub co jest poza przestrzenią, są wręcz niedorzeczne.

Ustaliwszy sobie w ten sposób pojęcie czasu i przestrzeni, możemy teraz mówić o nich w zastosowaniu do spraw ekonomicznych.

Człowiek zgodnie ze swą naturą jest stworzeniem ziemnem, to znaczy, jakkolwiek chwilowo może się znaleźć pod ziemią lub nawet nad ziemią, to jednak stale musi na ziemi przebywać, na ziemi żyć i umierać.

Podstawowy fakt, że człowiek do produkcyi bogactw potrzebuje przestrzeni na suchym lądzie, uszedł pierwotnie uwagi, jako za nadto powszedni. Podobnie świeży osadnik uważa najprzód drzewa, jako zawady, które coprędzej usunąć należy, a dopiero po jakimś czasie przekonywa się, że są one raczej źródłem bogactwa, i wtedy je też odpowiednio szanować zaczyna.

W pierwszem stadyum produkcyi, które George nazywa przyswajaniem, przestrzeń była człowiekowi głównie o tyle jeno potrzebną, o ile pozwalała mu przy koczowniczym trybie życia uprawiać myśliwstwo i rybołówstwo. W drugiem stadyum, zwanem hodowaniem, przestrzeń zaczęła nabierać już nowej wartości, jako niezbędny warunek do uprawy zbóż i hodowli bydła. W trzeciem stadyum, które odznacza się wymianą, przestrzeń ma wartość nie dlatego, że dostarcza dzikich zwierząt lub gruntu pod uprawę, lecz dlatego, że, jak w nowoczesnych miastach, jest bliższa lub dalsza od centrów wymiany.

Z tego widzimy, że, jakkolwiek w różnych stadyach produkcyi przestrzeń różną posiada dla człowieka wartość, to jednak w żadnym wypadku wartości tej nie traci zupełnie. Za czasów Quesnay'a

i fizyokratów głównem źródłem produkcyi było rolnictwo, i, studyując warunki tej produkcyi, przyszli fizyokraci do przekonania, że posiadanie przestrzeni czyli ziemi daje niezasłużony przyrost zysków, i dlatego uważali rolnictwo za jedynie produkcyjne zajęcie. Z tego błędu skorzystał Adam Smith i jego następcy, odrzucając teoryę fizyokratów, a przyjmując równie błędną, ale dogodną im teoryę Malthusa, uważając wreszcie i nadal rolnictwo za główne, chociaż nie jedyne, źródło produkcyi oraz tworząc prawo zmniejszających się zysków z uprawy ziemi.

Aby zrozumieć błędność tej teoryi, musimy rozważyć rolę, jaką we wszelkiej produkcyi odgrywa przestrzeń.

Produkcya nie jest niczem innem, jak celową przemianą materyalnych substancyi w celu zaspakajania potrzeb ludzkich; ponieważ zaś wszelkie materyalne substancye znajdują się w przestrzeni, zatem przestrzeń jest jednym z pierwszorzędnych czynników produkcyi.

Znaczenie przestrzeni w produkcyi najlepiej widzieć można w rolnictwie, gdzie niewątpliwie koncentracya pracy podnosi do pewnego stopnia produkcyjność, która jednak poza tym stopniem już nie zwiększa się, a zmniejsza.

Sadzenie ziemniaków jeden o sto metrów od drugiego byłoby trwonieniem pracy, a posadzenie tej samej ilości ziemniaków na mniejszej przestrzeni dałoby większy zysk; lecz koncetracya ta mogłaby się posuwać tylko dopóty, dopóki zbyt gęste sadzenie ziemniaków nie tamowałoby ich rozwoju i wzrostu. Ideał koncentracyi, polegający na posadzeniu wszystkich ziemniaków w jednem miejscu, nie dałby oczywiście żadnego rezultatu.

Na tem oto zjawisku opiera się teorya zmniejszających się zysków z uprawy roli; ale prawo to nie odnosi się wyłącznie do uprawy roli lub do hodowli bydła. Prawda, że do jednej i do drugiej produkcyi potrzeba przestrzeni, i to sporo przestrzeni, ale to samo zupełnie stosuje się i do innych trybów produkcyi na podstawie prawa fizycznego o nieprzenikliwości ciał, na mocy którego dwa ciała równocześnie w tem samem miejscu znajdować się nie mogą. Prawo to obowiązuje zarówno rośliny, jak zwierzęt albo, dajmy na to, cegły.

W każdej gałęzi potrzeba przestrzeni, w jednej mniej, w drugiej więcej, ale w żadnej nie można się obyć bez potrzebnego miejsca do stania, poruszania się, umieszczenia narzędzi, składania wyprodukowanych przedmiotów i t. d. W każdej gałęzi produkcyi kon-

centracya zaczyna dawać większe zyski, aż wreszcie za daleko posunięta przestaje dawać zyski zupełnie lub przynosi straty.

Że tak jest istotnie, można wykazać np. na produkcyi cegieł, tak bardzo różniącej się od uprawy roli. Fabrykacya cegieł jest, według oficyalnej ekonomii politycznej, tą gałęzią produkcyi, w której każdy zwiększony nakład pracy przynosi proporcyonalnie większe zyski. Tymczasem zobaczymy, jak jest w rzeczywistości.

Gdyby jeden człowiek, wyrabiając tysiąc cegieł, wykonywał swą czynność na przestrzeni mili kwadratowej, to oczywiście trwoniłby czas i pracę, która dałaby mu bez porównania więcej zysku, gdyby się skoncentrował, ale ta koncentracya nie mogłaby przekroczyć pewnej granicy. Wydobycie na tem samem miejscu materyału na dwie cegły zamiast na jedną da niewątpliwie zwiększony zysk, ale usiłowanie wydobycia z tegoż samego miejsca materyału na tysiąc cegieł, gdyby wogóle było możliwe, musiałoby znacznie zmniejszyć zarówno wydatność, jak i wysokość zysków.

To samo da się powiedzieć o koncentracyi robotników, których tysiąc, na jednem miejscu zebranych, nie mogłoby wyprodukować tyle, co jeden człowiek, a właściwie nie mogłoby wyprodukować zgoła nic.

To samo wreszcie da się powiedzieć o gromadzeniu wyprodukowanych cegieł; dwie, położone jedna na drugiej, zajmą taką samą powierzchnię, co jedna, ale niepodobna tak położyć tysiąca jedna na drugiej, gdyż trzebaby na to i zbyt wielkiego wysiłku pracy ludzkiej, i lada wstrząśnienie, lada powiew obaliłby cały stos.

Widzimy więc, że i w tym wypadku przyrost pracy nie daje proporcyonalnego przyrostu w zyskach.

Stawianie wysokich, dwudziestokilkopiętrowych domów w Ameryce jest oszczędnością przestrzeni i skoncentrowaniem pracy, ale już i ta obecnie osiągnięta wysokość jest stanowczo za wielka (straż ogniowa zaczyna kłaść swoje veto), a jej przekroczenie byłoby wręcz niemożliwe.

Widzimy więc, jaką rolę w każdym trybie produkcyi odegrywa przestrzeń, a teraz zobaczymy, jaki wpływ na produkcyę wywiera czas.

Każdemu z własnego doświadczenia wiadomo, że jedną i tę samą pracę można wykonać w krótszym lub dłuższym czasie, zależnie od tego, czy się zechcemy skoncentrować i pracować intensywniej, czyli też mniej intensywnie, ale i ta metoda intensywniej-

szej i szybszej produkcyi ma swoje granice, poza które w żaden sposób wyjść nie można.

Gdy mamy wszystkie prawie części składowe domu gotowe, gdy mamy dosyć pieniędzy na to, aby robotnicy pracowali bez ustanku we dnie i w nocy, to przez skoncentrowanie pracy, możemy postawić dom znacznie prędzej, niżeli w zwyczajnych, normalnych warunkach, ale, bądź co bądź, to minimum będzie zawsze pewną ilością czasu, którego *ad infinitum* zmniejszać nie można. I tu więc koncentracya napotka na punkt graniczny, poza który przejść nie będzie mogła, a czas zarówno, jak i przestrzeń, sprawiają, że w każdym trybie produkcyi prawo o zmniejszającym się zysku jest zarówno obowiązujące.

Dwa bardzo ważne roździały poświęcone są bliższemu omówieniu kooperacyi w ścisłem, ekonomicznem, a nie w potocznem tego słowa znaczeniu. Kooperacya jest połączeniem sił indywidualnych ku osiągnięciu wspólnych celów, jest tym środkiem, zapomocą którego zapewnia się ogromny wzrost ludzkiej zdolności, charakteryzujący współczesną cywilizacyę.

Wszelki wzrost produkcyjnej siły człowieka ponad normę, daną jednostce przez przyrodę, bierze źródło w kooperacyi indywiduów. Kooperacya może się odbywać w dwojaki sposób:

1) Przez skombinowanie wysiłków. W ten sposób jednostki mogą wykonać to, co przekracza siłę jednego indywiduum.

2) Przez roździał wysiłków. W ten sposób jednostka może wykonać za więcej, niż jednego, pracy, która nie wymaga pełnej siły jednego indywiduum.

Pierwszy sposób kooperacyi można nazwać kombinacyą pracy, jakkolwiek może termin pomnożenie pracy nadawałby się lepiej ze względu na to, że drugi rodzaj kooperacyi od czasów Adama Smitha nazywa się podziałem pracy.

Doskonałym przykładem na pierwszy rodzaj kooperacyi jest pomoc, jakiej sobie udzielają pierwsi osadnicy na ziemi amerykańskiej. Przypuśćmy, że czterech ma sobie stawiać drewniane domy na wyrąbanisku. Każdy ścina swoje własne drzewa, ale pnie są za ciężkie na to, aby jeden człowiek mógł je na właściwe miejsce dostarczyć. Tak więc wszyscy czterej łączą swoje wysiłki w celu udzielenia sobie wzajemnej pomocy i rzecz do skutku doprowadzają.

Przykłady tej samej zasady w bardziej skomplikowanych stadyach rozwoju społecznego przedstawia zakładanie towarzystw akcyjnych, łączenie się małych kapitałów dla doprowadzenia do skutku takich przedsiębiorstw, jak budowanie kolei, konstruowanie

okrętów, wznoszenie fabryk i t. d.; wszystkie te przedsięwzięcia wymagają więcej kapitału, niż się zazwyczaj znajduje w posiadaniu jednego człowieka.

O ile atoli wielkie korzyści osiągamy z kombinacyi wysiłków, o tyle niemałe też otrzymujemy z podzielenia się jednostki.

I tak n. p. przy płynięciu łodzią są pewne prace, wymagające siły, te lepiej może wykonać jeden człowiek; ale jest też mnóstwo i takich, które trzeba wykonać równocześnie, a które nie wymagają wielkiej siły. Gdy jeden człowiek musi czas stracić na skutek konieczności spełniania danych czynności kolejno, dwu ludzi może je wykonać równocześnie i w ten sposób lepszy rezultat osiągnąć.

Wracając do powyższego przykładu, dostarczanego nam przez amerykańskich osadników, możemy przypuścić, że wypadnie im wszystkim jakiś interes do wsi, o dwa dni drogi odległej. Otóż, gdyby każdy zosobna szedł, toby też każdy dwa dni stracił; gdy atoli jeden tę drogę odbędzie, a pozostali trzej odrobią za niego po pół dnia pracy, na podziale tym wszyscy wyjdą dobrze, nikt niepotrzebnej straty nie poniesie.

Ten drugi sposób kooperacyi dozwala osiągnąć większe rezultaty przy mniejszym wysiłku zapomocą podziału pracy.

Ponieważ mamy tu do czynienia ze zjawiskami, powszechnie znanemi, przeto opuszczamy wszystkie drobiazgowe przykłady, przytoczone przez autora, zwracając chyba uwagę na jeden tylko bardzo charakterystyczny, a mianowicie na pieczenie chleba, gdzie koncentracya pracy, polegająca na wypiekaniu większej ilości bochenków naraz i na większej ilości takich porcyi, następujących po sobie bezpośrednio, sprowadza ogromne zaoszczędzenie paliwa i czasu. Należy bowiem pamiętać, że obok czysto fizycznych niemałą rolę odgrywają tu i momenty czysto umysłowej natury. Wiadomo, że, czem częściej daną czynność wykonywamy, tem łatwiej przychodzi nam wykonywać ją i tem prędzej to czynimy, a tem lepiej.

Na tem właśnie polega cały postęp produkcyi wszelkiego rodzaju, spowodowany wprost podziałem pracy, której zawdzięczamy wspaniały rozwój współczesnej kultury.

Oczywiście, że ta dążność do podziału pracy naprowadziła człowieka na myśl konstruowania machin. Jakkolwiek człowiek jest tak zbudowany, że może wyrabiać ogromną rozmaitość przedmiotów, to jednak machina, chociaż z uszczerbkiem dla rozmaitości, może pod względem jakościowym wykonywać dokładniej i lepiej od człowieka.

Korzyści, wypływające z kooperacyi, Henry George formułuje w następujący sposób:

A. Kombinacya pracy pozwala pewnej ilości indywiduów przez proste połączenie wysiłków wykonać więcej, niżby każde indywiduum zosobna mogło osiągnąć.

B. Podział pracy razem z koncentracyą i kooperacyą, które za sobą pociąga, dozwala jednemu z mniejszym wysiłkiem wykonać pracę za wielu, a to mianowicie:

1. Przez zaoszczędzenie czasu i wysiłku, jak w poprzedzającym przykładzie, w którym jeden człowiek wykonywa drogę, którąby w innym razie musiało wykonać czterech.

2. Przez zużytkowanie różnych zdolności poszczególnych indywiduów, jak wtedy, kiedy posiadający siłę fizyczną oddają się zajęciom, wymagającym siły, podczas gdy słabsi wykonywują rzeczy, wymagające mniej wysiłku, do których jednakże są właśnie uzdolnieni, osiągając ten sam ostateczny rezultat, do jakiego doprowadziłby najwyższy wysiłek wszystkich razem wziętych; albo gdzie ci, co innemi odznaczają się zdolnościami, robią właśnie rzeczy, do których owe zdolności najbardziej się nadają, wskutek czego czynią to, co umieją robić najlepiej, a ogół na tem dobrze wychodzi.

3. Przez powiększanie wprawy, wypływającej z ciągłego wykonywania tego samego rodzaju pracy.

4. Przez nagromadzenie wiedzy. Ta sama tendencya, co zwiększa nie dającą się udzielać innym wiedzę, którą nazywamy wprawą, ułatwia także wzrost właściwej i dającej się udzielać innym wiedzy, która polega na znajomości stosunków, panujących w świecie zewnętrznym, i która jest własnością ciała ekonomicznego, przekazywaną za pomocą pisma lub innych podobnych środków.

5. Przez wyzyskiwanie korzyści produkowania na wielką skalę zamiast na małą skalę i w jednym ciągu zamiast oddzielnie.

6. Przez zużytkowanie przyrodzonych sił, przez wynalezienie machin oraz udoskonalonych procesów, które można zastosować przy produkcyi na wielką skalę.

Oprócz dwu trybów czyli sposobów kooperacyi odróżnia Henry George jeszcze dwa rodzaje kooperacyi: pierwszy, w którym proces, jednej kierującej myśli poddany, odbywa się planowo i świadomie, n. p. ruchy armii: i drugi, w którym proces, przez nikogo specyalnie nie kierowany, stanowi nieświadomą i bezplanową kooperacyę, jak n. p. zaopatrywanie współczesnych miast we wszystko, co im do tak skomplikowanego życia niezbędnie jest potrzebne.

W roździale tym Henry George występuje, jako zasadniczy wróg socyalizmu i państwowej kontroli nad ogółem pracy społecznej. Wysiłki mięśni mogą być poddane kierownictwu jednostki, bo, jakkolwiek kontrolowane jednostki zrzekają się swych praw umysłowych, proces na tem nie traci. Ale poddanie wysiłków duchowych pod kierunek jednostki, poddanie procesów umysłowych pod kontrolę państwa, a tego właśnie chcą socyaliści, musiałoby sprowadzić nie pomnożenie, lecz zmniejszenie owoców pracy i skarlenie duchowego rozwoju rodzaju ludzkiego. W obronie jednostki występując, jest Henry George zwolennikiem wolnej konkurencyi, jako zasady życia ekonomicznego i społecznego, indywidualizm posiada w nim swego wielbiciela i wyznawcę. Cały roździał składa się właściwie z przykładów, mających wykazać zgubność socyalistycznego ustroju społecznego. Jakkolwiek przykłady są bardzo szczęśliwe, chcąc uniknąć przeładowania referatu, opuścić je musimy.

Ostatnie roździaly tej księgi dowodzą zbyt wyraźnie, że ani myślowo, ani pod względem formy nie zostały wcale wykończone. To też idei autora możemy się raczej domyślać, niżeli je jasno ująć. Jeden roździał miał traktować o roli, jaką spełnia w produkcyi wymiana, ten jej trzeci tryb, stanowiący podstawę współczesnej cywilizacyi. Drugi roździał miał omówić znaczenie współzawodnictwa w procesie produkcyi. Żałować należy, iż roździał ten nie został zupełnie i szczegółowo wypracowany, a to ze względu na różnice zdań pomiędzy George'm a szkołą socyalistyczną. Roździał o podaży i popycie ma jeno swój numer i tytuł; treść razem z autorem zstąpiła przedwcześnie do grobu, wreszcie trzy ostatnie roździały miały traktować o trzech czynnikach produkcyi, jakimi są ziemia, praca i kapitał.

Jakkolwiek myśl autora została w tych trzech roździałach zaledwie naszkicowana, to jednak możemy widzieć dokładnie, w jakim kierunku byłaby się rozwinęła. Przez ziemię rozumie Henry George nie tylko uprawną rolę, ale wogóle wszystko, co człowiek dla siebie na ziemi, w ziemi lub nad ziemią znajduje. Wszystko to, razem wzięte, stanowi warsztat dla pracy ludzkiej, która, jako aktywny czynnik, wyprodukowuje całe bogactwo i cały kapitał; ten ostatni, będąc wytworem pracy, służy jej, jako pomoc, do dalszej produkcyi bogactwa, spełnia więc rolę podrzędną, a nie główną, i nie należy mu się to stanowisko, jakie sobie dzisiaj wytworzył. Niesłu-

sznie uprzywilejowane stanowisko kapitału upośledziło pracę, którą dla swych celów wyzyskuje.

Księga czwarta traktuje o podziale bogactw. Już wiemy, że George handlu i wymiany podziałem bogactw nie nazywa; dwa te procesy ekonomiczne są częściami składowemi produkcyi, którą do ekonomicznie logicznego końca doprowadzają. Podział zaś z wymianą, jako taką, nie ma zgoła nic do czynienia i przedstawia sam w sobie proces zupełnie oddzielny.

Słowo podział (po angielsku *distribution*), pochodzi z łacińskiego *dis*, roz, i *tribuo*, dawać, lub *tribuere*, przydzielać. Powszechne pojęcie dystrybucyi (podziału) różni się od pojęcia dywizyi tem, że obok idei roździału na części obejmuje sobą ideę rozdania tychże części, tworzy więc ideę roździału pomiędzy różnych właścicieli.

Wszyscy doskonale rozumiemy, co to jest dystrybucya pracy, obowiązków lub funkcyi, co to jest dystrybucya pokarmu lub jałmużny, dystrybucya gazu, wody, ciepła lub elektryczności, roździał zwierząt lub roślin na powierzchni ziemi, i t. d., i t. d.

O ile z jednej strony dystrybucya nie ma nic wspólnego z wymianą, o tyle z drugiej strony nie obchodzą jej wcale konsumcya lub podatki, które regulują przepisy ludzkie, gdy ekonomia polityczna bada jeno prawa natury, a cel, dla którego produkcya się odbywa, zostaje osiągnięty razem z podziałem bogactw; konsumcya ekonomię nic a nic nie obchodzi.

Potrzeba rozważania podziału wypływa z kooperacyjnego systemu produkcyi. Gdy w pierwotnym stanie cywilizacyi każda jednostka konsumowała produkty własnej pracy, o podziale bogactwa mowy nie było. Inaczej rzecz się ma dzisiaj. Gdy każdy zosobna, powodowany chęcią zaspokojenia własnych pragnień, zabiera się do produkcyi kooperacyjnej, w tejże chwili powstaje kwestya podziału, która w dzisiejszym stanie społeczeństwa tak jest rzeczą drażliwą.

Podział jest właściwie dalszym ciągiem produkcyi, bo, gdy dążność do zaspokojenia pragnień jest źródłem i początkiem produkcyi, końcem jej jest właśnie podział, który pragnienie zaspakaja.

Jeżeli prawdą jest powyższe twierdzenie, to roździał ekonomii, traktujący o podziale, jest ostatnim jej roździałem; bo, gdy początkiem wszelkiej czynności ludzkich jest chęć zaspokojenia pragnień, końcem jej jest podział bogactw, umożliwiający zaspoko-

jenie tychże. Dalszym losem bogactw, które uległy podziałowi, ekonomia wcale się nie zajmuje, chyba gdyby wszystkie one lub jakaś ich część wzięły znowu udział w produkcyi, jako kapitał, ale w takim razie mamy nową pozycyę, która znowu od samego początku musi być rozważana.

Gałęzie wiedzy, zajmujące się ostatecznym losem podzielonych bogactw, mogą być bardzo pouczające i pożyteczne, ale nie wchodzą w zakres ekonomii politycznej, która losem bogactw po ich podziale zgoła się nie zajmuje.

Jeżeli, dajmy na to, podejmuję szereg czynności dla otrzymania pewnej ilości ziemniaków, to szereg ów kończy się logicznie z chwilą, gdym ową zamierzoną ilość ziemniaków posiadł, a co się z nimi stanie potem, to już rzecz dla ekonomii obojętna, jakkolwiek nie obojętna dla jednostki lub całego społeczeństwa.

Jako termin ekonomii politycznej, dystrybucya czyli podział uważany jest za dywizyę czyli roździał bogactw, co jest stanowczo błędne, jak to poniżej zobaczymy.

Zabierając się do rozważania podziału bogactw, musimy sobie jeszcze raz uprzytomnić, że ekonomia polityczna zajmuje się prawami naturalnemi, a nie prawami ludzkiemi, które w przeciwieństwie do pierwszych mogą być dowolnie zmieniane. Henry George w ciągu swego całego systemu konsekwentnie kładzie nacisk na to, że prawa ekonomii politycznej są niezmiennemi prawami przyrody, negując w ten sposób pierwiastki etyczne i humanistyczne, które chyba też w gospodarstwie człowieka niepoślednią rolę odegrywać powinny.

Przystępując do omówienia natury podziału i zamierzając rzeczywiście polemizować ze scholastycznymi ekonomistami, Henry George przytacza ustęp z Milla „*Principles of Political Economy*", który i my tu powtórzymy.

Zasady, wyrażone w pierwszej częsci niniejszego traktatu, są pod pewnymi względami bardzo różne od tych, których rozważeniem mamy obecnie się zająć. Prawa i warunki produkcyi bogactwa mają charakter praw fizycznych. Niema w nich nic dowolnego lub samowolnego. Cokolwiek ród ludzki produkuje, musi być wyprodukowane pod warunkami, nałożonymi przez ustrój zewnętrznych przedmiotów, jakoteż przez wrodzone właściwości cielesnej oraz umysłowej kultury ludzi......

Ale nie tak rzecz się ma z podziałem bogactw. To bowiem jest przedmiotem ludzkich postanowień wyłącznie. Skoro tylko produkty przemysłu raz istnieją, to już ludzkość, pojedyńczo

lub zbiorowo, może robić z nimi, co się jej podoba. Może je oddać do czyjejkolwiekbądź dyspozycyi i na jakichkolwiek warunkach. Dalej, w stanie uspołecznienia, w każdym stanie z wyjątkiem zupełnej pustki, jakiekolwiek użycie produktów może nastąpić jedynie za zgodą społeczeństwa albo raczej tych, którzy reprezentują jego siłę czynną. Nawet tego, co człowiek wyprodukował osobistym wysiłkiem i bez niczyjej pomocy, nie może zatrzymać sobie, chyba za zgodą społeczeństwa. Nie tylko społeczeństwo może mu to odebrać, ale nawet jednostki mogłyby mu odebrać i odebrałyby, gdyby jeno społeczeństwo zachowało się biernie i gdyby nie wmieszało się w to *en masse* lub nie używało płatnych ludzi w celu zapewnienia mu spokojnego posiadania. Zatem podział bogactwa opiera się na prawach i zwyczajach społeczeństwa. Prawidła, jakie się do podziału stosują, są takie, jakiemi je czynią opinie i uczucia rządzącej części społeczności, i bardzo się różnią w różnych czasach i różnych krajach; mogłyby być jeszcze różniejsze, gdyby się tak rodzajowi ludzkiemu podobało.

Opinie i uczucia rodzaju ludzkiego nie są bez wątpienia przedmiotem przypadku. Są one konsekwencyami podstawowych praw natury ludzkiej, skombinowanych z panującym stanem wiedzy i doświadczenia, z panującym stanem socyalnych instytucyi oraz intelektualnej i moralnej kultury. Ale prawa powstawania ludzkich opinii nie leżą w zakresie naszego obecnego przedmiotu. Są one częścią ogólnej teoryi ludzkiego postępu, o wiele większego i trudniejszego przedmiotu od ekonomii politycznej. Obecnie mamy rozważyć nie przyczyny, lecz konsekwencye prawideł, według których bogactwo może uledz podziałowi. Te, co najmniej, są tak mało samowolne i tyle samo mają cech praw fizycznych, co i prawa produkcyi.

Istoty ludzkie mogą panować nad własnymi czynami, ale nie nad konsekwencyami tychże czynów zarówno dla siebie samych, jak i dla innych. Społeczeństwo może poddać podział bogactw tym prawidłom, które uważa za najlepsze; ale jakie praktyczne rezultaty wypłyną z działania tych prawideł, to musi być dopiero odkryte, podobnie jak inne prawdy fizyczne lub umysłowe, za pomocą obserwacyi oraz rozumowania.

Przystępujemy zatem do rozważenia różnych sposobów podziału produktów ziemi i pracy, które zostały przyjęte w praktyce lub mogą być pomyślane w teoryi.

Wyżej przytoczony ustęp jest wybornym przykładem tego, w jaki sposób scholastyczni ekonomiści traktują prawa podziału

bogactw. Sposób ten jest, według Henryka George'a, wysoce nienaukowy, gdyż jedne prawa traktuje, jako prawa przyrody, a drugie, i to praktycznie biorąc, o wiele ważniejsze, jako prawa ludzkie, dowolne i podlegające zmianie.

Twierdzenie to Milla trzeba pilnie rozważyć, bo zostało ono wygłoszone na rzecz obowiązujących teoryi ekonomicznych przez człowieka, który od dwunastego roku życia poświęcał się logice i napisał o niej pomnikowe dzieło.

Rozpoczynając badanie owego argumentu widzimy, że jego prawdodopobieństwo wypływa z twierdzenia, iż „skoro tylko produkty przemysłu raz istnieją, to już ludzkość, pojedyńczo lub zbiorowo, może robić z nimi, co się jej podoba". To twierdzenie zniewoliło prawdopodobnie i Mill'a i jego następców do przyjęcia zasady, że, choć prawa produkcyi są przyrodzone prawa podziału są dowolne. Bo, istotnie, twierdzenie to samo w sobie jest zupełnie słuszne i niezbite.

Jakkolwiek atoli twierdzenie jest niezbite, to użycie go w argumencie, jak to Mill czyni, jest wybornym przykładem błędu, który logicy nazywają *petitio principii*. Pytanie, nad którem Mill się zastanawia, opiewa, czy to, co się w ekonomii politycznej nazywa podziałem bogactw, podlega prawom przyrodzonym, czy prawom ludzkim; w odpowiedzi zaś cytuje Mill fakt, że to, co się w prawie ludzkiem nazywa podziałem bogactw, podlega dowolności rodzaju ludzkiego, i z tego wyciąga prosty wniosek, że podział bogactw w pojęciu ekonomicznem jest przedmiotem prawa ludzkiego — przedmiotem ludzkich postanowień wyłącznie.

Taki rażący błąd nie mógłby być popełniony ani przez Milla, ani przez jego następców, gdyby nie to, że sprawa podziału bogactw była wogóle pomijana i bardzo ignorowana.

Pytanie zachodzi, czy istnieją prawa przyrodzone, któreby bez interwencyi instytucyi ludzkich dokonywały podziału bogactw?

Rzecz jasna, że nie istnieją żadne prawa fizyczne, obowiązujące powszechnie materyę, coby przeszkadzały dowolnemu podziałowi bogactw, które żadnej opozycyi czynić nie będą, podobnie jakby żadnego oporu nie stawiały przedmioty martwe, przed wiekami wyprodukowane, w pustyni znalezione i dowolnie między żywych rozdzielone.

Gdybyśmy atoli z przedmiotami, współcześnie wyprodukowanymi, chcieli postępować podobnie, jak z przedmiotami znalezionymi, to wkrótce ujrzelibyśmy fatalne następstwa tego porządku rzeczy dla istniejącej kultury. Gdyby nikt nie był pewny owoców swej pracy,

to by wprost przestał pracować, i nastąpiłoby natychmiast ogólne zdziczenie.

Trzeba bowiem pamiętać, że obok praw natury czysto fizycznej są prawa moralne, które z równą siłą działają, a równie są przyrodzone. I te to prawa zaprotestowałyby przeciwko dowolnemu zupełnie podziałowi bogactw, nie należy bowiem ani na chwilę zapominać, że człowiek przykłada rękę do produkcyi w celu zaspokojenia swych pragnień i pożądań; ale zaspokojenie to daje dopiero podział, a nigdy produkcya sama. I z chwilą, gdyby podział z prawami moralnemi liczyć się przestał, produkcyaby osłabła znacznie lub zniknęła zupełnie.

Henry George po raz pierwszy w rozważaniu praw ekonomii politycznej powołuje się na prawa moralne przy podziale bogactw; na ogół atoli biorąc, przypisuje on im widać za małą rolę, skoro je zupełnie ignoruje, skoro je pod rozwagę nie bierze i skoro wogóle etycznym pierwiastkom w ekonomi politycznej żadnej prawie nie przypisuje roli.

Jakkolwiek Mill w zasadzie nie uznawał faktu, że prawa podziału bogactw są prawami przyrodzonemi, lecz przyznawał im charakter praw, przez ludzi dowolnie ustanowionych, to jednak w końcowem twierdzeniu poprzednio przytoczonego ustępu zdradza się mimowoli, że miał przeczucie odmiennego porządku rzeczy.

Aby krytykę jasno przeprowadzić, powtórzmy to końcowe twierdzenie, uzupełniając myśl w nawiasach i podkreślając słowa, o które w dalszym ciągu chodzić będzie.

Mamy więc tu w (ekonomii politycznej) rozważać nie przyczyny, lecz konsekwencye (ludzkich) prawideł, wedle których bogactwo może być podzielone. Te to (konsekwencye), co najmniej, są tak mało dowolne i tak samo posiadają cechy praw fizycznych, jak prawa produkcyi. Istoty ludzkie mogą kontrolować własne czyny, ale nie konsekwencye swoich czynów bądź to w odniesieniu do siebie samych, bądź w odniesieniu do innych. Społeczeństwo może poddać roździał bogactw prawidłom, które uważa za najlepsze; ale jakie praktyczne rezultaty wynikną z działania tych reguł, trzeba dopiero wykryć, jak każde inne fizyczne lub umysłowe prawdy, za pomocą obserwacyi i rozumowania.

W powyższym ustępie mamy uderzający przykład użycia wyrazu „skutek” czyli „konsekwencya” tam, gdzie słowo „następstwo” winno być użyte.

Następstwem jest to wszystko, co następuje. Jeżeli mówimy, że jedna rzecz jest następstwem drugiej, to stwierdzamy pomiędzy

niemi stosunek sukcesyi, nie twierdząc, że stosunek ten jest niezmienny lub przyczynowy, ale konsekwencyą jest to, co z czegoś innego wypływa. Mówiąc, że jedna rzecz jest konsekwencyą drugiej, twierdzimy, iż zachodzi między niemi stosunek niezmienny i przyczynowy.

Pomieszanie tych dwu słów w mowie potocznej, gdzie zwykle wiemy, o co nam chodzi, jest rzeczą małej wagi, ale w ścisłem rozumowanie takie pomieszanie słów sprowadza pomieszanie pojęć i brak ścisłości.

Ale tego właśnie błędu dopuszcza się Mill w powyżej przytoczonem twierdzeniu. Mówi on o konsekwencyach prawideł ludzkich, według których odbywa się podział bogactw. Tymczasem są to następstwa owych prawideł, a nie ich skutki. Mówić bowiem, że człowiek może kontrolować swoje czyny bez możności kontrolowania ich skutków—znaczy to samo, co zaprzeczać praw przyczynowości. Ponieważ zaś istotnie objawy, o których mowa, są jeno następstwami prawideł ludzkich i mają charakter niezmiennych praw przyrody, przeto też muszą być konsekwencyami jakichś innych niezmiennych praw przyrody.

Prawdą, jaką Mill niejasno zaznacza, jest właśnie fakt, że, jakkolwiek człowiek może pragnąć wywierania wpływu na podział bogactw, to jednak tenże odbywa się według pewnych stałych prawideł, leżących po za władzą człowieka.

Jakkolwiek George jest zwolennikiem teoryi, że w ekonomii politycznej wszystko musi się odbywać według niezmiennych praw przyrody, to jednak, przyjmując wolną wolę u człowieka, godzi się na fakt, że ludzie w zakresie tychże praw przyrody mogą się dosyć swobodnie i niezależnie obracać.

Ale owe obowiązujące nas prawa przyrody są absolutnie stałe i niezmienne i, jeżeliby się udało wykazać nieugiętość praw podziału wobec wysiłków ludzkich, tobyśmy tem samem udowodnili, że są one prawami przyrody.

Aby to uczynić, wystarczy, według George'a, odwołać się do faktów powszechnie znanych.

Trzy wielkie prawa podziału bogactw, ogólnie przyjęte, są następujące: prawo zapłaty, procentu i renty. Trzy te prawa nie dadzą się w istniejącym ustroju społecznym zmodyfikować i wszelkie usiłowania w tym kierunku idą na marne.

Na potwierdzenie tego przytacza George nieudane próby ustalenia zapłaty robotników w Anglii, ustalenia stopy procentowej w stanie Nowy-York i renty gruntowej w Irlandyi. To samo odnosi

się do cen, bo człowiek nie może bezpośrednio wpływać na podział, jeno pośrednio, za pomocą produkcyi. Tu znowu następuje szereg przykładów, jako to do przeszłości już należące stosunki pańszczyźniane i obecnie praktykowane cła ochronne.

Zresztą przy pilnem badaniu „Zasad ekonomii politycznej" Milla Henry George znajduje, że autor sam nie przeprowadza konsekwentnie swego twierdzenia, jakoby prawa podziału zależały jedynie od postanowień ludzkich.

Jeżeli atoli ekonomia scholastyczna jest w błędzie, twierdząc, że prawa produkcyi są prawami naturalnemi, a prawa podziału tylko ludzkiemi, to jednak prawdą jest, że istnieje między niemi różnica, i to bardzo znaczna. Prawa produkcyi są prawie wyłącznie fizyczne, podczas gdy prawa podziału mają charakter moralny. Przy podziale powstaje kwestya obowiązku i sprawiedliwości, która nie istnieje prawie wcale przy produkcyi. Ten fakt sprawia, że prawa podziału, wchodzące w zakres etyki, pozornie uchylają się z pod wpływu praw przyrodzonych. Ale są to jeno pozory, bo Henry George uznaje dwojakiego rodzaju prawa naturalne: odnoszące się wyłącznie do materyi i wyłącznie lub przeważnie do ducha. Przy rozważaniu tych drugich powstaje pytanie dobra i zła, kwestya sprawiedliwości.

Bezpośrednio z kwestyą podziału bogactw związana jest kwestya własności; jeżeli podział odbywa się według postanowień ludzkich wyłącznie, to i własność nie innym podlega wpływom.

Przedmiot ze względów praktycznych bardzo jest ważny i zasługuje na bliższe rozważenie.

Ze scholastycznych ekonomistów Stuart Mill, jedyny według George'a, spostrzegł związek pomiędzy podziałem bogactw a własnością, i stąd tę drugą rozważa bezpośrednio po pierwszym. Ale przy tem wszystkiem trwa w swym błędzie w całości, gdyż z tą samą konsekwencyą twierdzi, że posiadanie podobnie, jak podział, zależy jedynie od zmiennych i niestałych praw ludzkich, przyczem popełnia wiele błędów logicznych, jak widać z wstępnego paragrafu jego traktatu o własności, księga II, roździał I, Sek. 2, który tak opiewa:

Własność prywatna, jako instytucya, nie zawdzięcza swego powstania żadnej konsyderacyi użyteczności, przemawiającej za jej utrzymaniem, skoro raz już została postanowiona. Dosyć wiemy o czasach pierwotnych zarówno z historyi, jak i z analogicznych stanów społeczeństwa w naszych czasach, aby widzieć, że trybunały, które zawsze wyprzedzają przepisy, zostały pierwotnie ustanowione nie dla oznaczenia słusznych praw, lecz dla powstrzymania gwałtu

i kończenia sporów. Przeważnie ten cel mając na względzie, udzieliły one prawnej mocy pierwszemu zajęciu, traktując jako napastnika tego, kto pierwszy rozpoczął gwałt przez pozbawienie lub usiłowanie pozbawienia drugiego jego własności. Zachowanie pokoju, które stanowiło pierwotny cel rządu cywilnego, zostało w ten sposób osiągnięte; przez potwierdzenie posiadającemu tego, co nawet nie było owocem osobistego wysiłku, udzielano gwarancyi wszystkim, że zawsze doznają opieki.

Całe powyższe twierdzenie George odrzuca, jako błędne; w pierwszem bowiem zdaniu Mill twierdzi, że prywatna własność nie powstała ze względów czystej użyteczności, w trzech następnych zaś twierdzi przeciwnie, że użyteczność była źródłem powstania prywatnej własności. A przytem wszystkiem powiada jeszcze, że społeczeństwo, zatwierdzając niesłuszne posiadanie, gwarantuje sprawiedliwą własność.

Mill popada w tę sprzeczność jedynie dlatego, że jest wyznawcą filozofii utylitarnej, która wychodzi z użyteczności, a nie praw moralnych w celu zbudowania systemu naszej etyki. Sprzeczności te przewijają się przez cały roździał, traktujący o własności, i, chociaż Mill pragnie własność traktować, jako ludzką wyłącznie instytucyę, zapomina się i ustawicznie mówi o słuszności i sprawiedliwości — tych wybitnie nadludzkich pierwiastkach.

Nic też dziwnego, że, wobec tej niezgodności z samym sobą, Mill, mówiąc w jednym ustępie, że własność bierze początek nie w sprawiedliwości, lecz w użyteczności, zaraz potem tak się w tej samej sprawie oświadcza:

Socyalne urządzenia współczesnej Europy wzięły początek w podziale własności, który był wynikiem nie „słusznego" roździału lub pracowitości, iecz podboju i gwałtu; i pomimo tego, co pracowitość czyniła przez wiele wieków dla zmodyfikowania dzieła siły, system zachował wielkie i liczne ślady swego pochodzenia.

Prawa własności nigdy jeszcze nie zgodziły się z zasadami, na których opiera się usprawiedliwienie prywatnego posiadania. Uczyniły one własnością rzeczy, które nigdy nie powinny były stać się własnością, i stworzyły absolutną własność tam, gdzie powinno było istnieć jedynie ograniczone posiadanie.

W ustępie tym Mill twierdzi, że ludzkie prawa posiadania nie powstały z potrzeby usunięcia gwałtu, lecz z gwałtu samego; że nie były nigdy w zgodzie z tem, co możemy nazwać naturalnem prawem własności, że przeciwnie gwałciły to prawo, uważając za własność to, co według owego prawa wcale własnością nie jest. Gdyż

twierdzić, że prawo ludzkie powinno być inne od wprowadzonego przez prawodawstwo, znaczy twierdzić, że istnieje prawo naturalne, na którem przepisy ludzkie opierać się powinny.

Sam Mill zdradza się nieco niżej, że zna to prawo naturalne, ponieważ mówi:

Własność prywatna w każdej obronie, jaka się na jej korzyść czyni, ma przypuszczalnie gwarantować jednostkom owoce ich własnej pracy i wstrzemięźliwości.

Zakończmy rozważanie praw własności przytoczeniem jeszcze jednego ustępu z Mill'a, na który wyraźnie George sam się godzi.

Instytucya własności, ograniczona do swych istotnych elementów, polega na uznaniu u każdego człowieka prawa do wyłącznego rozporządzania tem, co własnym trudem wyprodukował lub otrzymał darem lub na podstawie ugody, nie siłą lub podstępem od tych, którzy to coś wyprodukowali. Podwaliną systemu jest prawo producentów do owoców produkcyi.

Prawo własności więc zawiera wolność nabywania na mocy kontraktu. Prawo każdego do tego, co sam wyprodukował, obejmuje też prawo do tego, co zostało wyprodukowane przez innych, jeżeli zostało osiągnięte z ich przyzwoleniem.

Tak oto mniej więcej przedstawia się kwestya własności, według Milla i George'a, kończącego księgę o podziale roździałem, który teraz mamy rozważyć.

Nie wystarczy sformułować kategoryczne twierdzenie, że ktoś jest w błędzie; trzeba mu to jeszcze dowodnie wykazać. Zadania tego podjął się właśnie Henry George w ostatnim roździale czwartej księgi swego dzieła, w którym wykazuje, gdzie i w czem Mill popełnia pomyłkę.

Cała rzecz polega na tém, że zarówno Mill, jak jego poprzednicy i następcy, starali się i starają usprawiedliwić prywatne posiadanie ziemi i znaleźć w podziale miejsce na dochody właścicieli ziemskich. Ponieważ zaś prywatne posiadanie ziemi nie da się uzasadnić naturalnemi prawami, przeto prawa podziału muszą wypływać z postanowień ludzkich wyłącznie.

Mill zarówno, jak Adam Smith oraz inni scholastyczni ekonomiści, uważał zawsze ziemię, jako typ własności prywatnéj, i nie śmiał zastosować do niej skalpela swéj krytyki.

Rzetelna podstawa własności i rzetelne prawa podziału tak są jasne, że nikt nie może na tym punkcie uczynić pomyłki. Owoc pracy powinien należeć do producenta. Na nieszczęście atoli dla

scholastycznych ekonomistów zasada powyższa nie może objąć sobą ziemi, stąd konieczność oparcia praw własności na utylitaryzmie i na czysto ludzkich postanowieniach.

A pomimo wszystko nie waha się Mill wygłosić zdania, że „nic innego nie jest objęte własnością, jak prawo każdego do swych osobistych zdolności", że „gdy główną zasadą własności jest zapewnienie każdemu tego, co wyprodukował pracą i nagromadził wstrzemięźliwością, zasada owa nie może się odnosić do tego, co nie jest produktem pracy, to znaczy do surowych płodów ziemi".

W ten sposób zdawałoby się, że Mill uznał naturalne, a więc jedynie racyonalne i słuszne prawo własności. Zaraz atoli w następnem zdaniu rozciąga to prawo i na ziemię, popadając w starą sprzeczność, z której niema wyjścia.

Nie chcąc referatu przedłużać, opuścimy obszerny ustęp z książki Milla, przytoczony przez Henryka George'a; ciekawy może go znaleźć na 463 stronie oryginału. Tu zaznaczymy jeno razem z George'm, że Mill zaczyna od twierdzenia, iż prawo własności nie odnosi się do ziemi, a kończy twierdzeniem, że się, przeciwnie, odnosi. Niekonsekwencya bierze źródło w pomieszaniu ze sobą dwu pojęć: ekonomicznego i nieekonomicznego. W ekonomicznem pojęciu ziemia jest tem wszystkiem, co człowiek znajduje na jej powierzchni lub pod jej powierzchnią; w pojęciu nieekonomicznem ziemia jest jedynie gruntem uprawnym, w który wiele już pracy ludzkiej włożono. Otóż Mill używa tych dwu pojęć bez różnicy, stąd niejasność i niekonsekwencya.

Piąta i ostatnia księga pośmiertnego dzieła Henryka George'a poświęcona jest pieniądzom, jako środkowi wymiany i miernikowi wartości. Każdy, kto się zetknął bodaj pobieżnie ze sprawami ekonomicznemi, wie, jak powikłaną i niejasną jest nauka o pieniądzach. Jakkolwiek używamy ich od wczesnej młodości aż do późnego wieku i praktycznie umiemy bardzo dobrze odróżnić pieniądz od tego, co nie jest pieniądzem, to jednak nie mamy ścisłego i dokładnego pojęcia o naturze i funkcyach ekonomicznych pieniędzy. Odnosi się to nie tylko do profanów, ale specyalistów, wśród których niema zgody i porozumienia tak na tym punkcie, jak i na wielu innych pierwszorzędnej wagi. O pomieszaniu pojęć świadczy fakt, że kwestya pieniędzy nie schodzi z porządku dziennego, a jednak do

tej pory ani w Ameryce, ani w Europie nie została w sposób zadowalniający rozstrzygnięta.

Czem więcej się o pieniądzach pisze, tem bardziej przychodzi się do przekonania, że nic pewnego o nich nie wiemy.

Najnowsze wydanie Amerykańskiej Encyklopedyi (z 1896 r.) powiada: „Pieniądz jest tą częścią monety obiegowej, która posiada wartość istotną, któraby więc nawet nie użyta, jako moneta obiegowa, nie przestała być bogactwem." Ci, którzy są takiego lub podobnego zdania, utrzymują, ze pieniądzem mogą być tylko metale, i że, gdziekolwiek istnieją pieniądze papierowe, mają wartość jedynie dlatego, że je można każdej chwili wymienić na złoto lub srebro, trzymane w tym celu w bankach państwowych.

Z tych znowu jedni twierdzą, że na pieniądz nadaje się jedynie złoto, inni utrzymują, że srebro ma te same lub większe prawa, i że demonetyzacya srebra pociągnęła za sobą wiele złego.

Z drugiej strony nie brak i takich, którzy twierdzą, że pieniądz powstaje wskutek prostego edyktu odpowiedniej władzy, upoważnionej do wydawania pieniędzy.

Nie brak nareszcie i takich, którzy rozumieją, że wszystko, co umożliwia wymianę towarów bez ich bezpośrednej zamiany, jest pieniądzem, że więc na tę nazwę zasługują weksle, czeki, przekazy i t. d., wystawione przez ludzi prywatnych, i że mają tę samą wartość, co i typowe, przez państwo wydane pieniądze.

Bardzo wiele pomieszania pojęć na punkcie pieniędzy zawdzięcza się niedokładnym i błędnym pojęciom odnośnie do natury i źródła wartości. Skoro bowiem pieniądz jest miarą wartości i przedstawicielem bogactwa, nie można mieć o nim dobrego zrozumienia przed dokładnem zrozumieniem teoryi wartości oraz istoty bogactwa. Poprzednio widzieliśmy, że, według George'a, wszyscy oficyalni ekonomiści nie mają jasnych i właściwych pojęć zarówno o wartości, jaki o bogactwie, a wskutek tego i teorya pieniędzy musi być u nich niejasna i zagmatwana.

Autor sądzi, że, skoro doszedł do rzetelnych pojęć na punkcie wartości i bogactwa, przeto może dać też prawdziwą i rzetelną teoryę pieniędzy.

Niezgodność opinii opiera się głównie na tem, że niema między ekonomistami porozumienia co do tego, co należy uważać i traktować jako pieniądz. A skoro tak, to zobaczmy, jakie na tym punkcie panują przekonania u ogółu ludzi, poczem może zdołamy do jakiegoś jasno sformułowanego dojść twierdzenia.

Gdym się zgodził zapłacić komuś za oddaną mi przysługę pieniędzmi, a w zamian za to daję mu drzewo, cegły lub bryłkę złota, to wprawdzie może on wziąć te rzeczy zamiast umówionych pieniędzy, ale prawdopodobniej nie zgodzi się na taką tranzakcyę, twierdząc, że przyjąłby ofiarowane przedmioty w miejsce pieniędzy, gdyby mu w danej chwili były osobiście potrzebne, ponieważ zaś nie są mu potrzebne, więc miałby jeno kłopot z wyszukaniem tych, którzyby ich potrzebować mogli, i wskutek tego przekłada pieniądze.

Szczególniejsza cecha pieniędzy tkwi w łatwości, z jaką przechodzą z ręki do ręki przy znoszeniu zobowiązań lub przenoszeniu tytułu własności. Istotna wartość nie odgrywa tu żadnej roli, a jedynie tylko funkcya, którą pieniądz spełnia przy zamianie. To nawet dziecko zrozumieć potrafi.

Szczególniejszem zadaniem pieniędzy jest nabywanie towarów; przy tym procesie wartość pieniędzy nie wchodzi wcale w grę, bo cóż ona może obchodzić nas tak długo, jak długo dany przedmiot ograniczony jest do nabywania innych przedmiotów.

Na upartego moglibyśmy nawet cukierków używać do nabywania innych towarów, ale rola ich, jako pieniędzy, skończyłaby się z chwilą ich zjedzenia. Ale zupełnie to samo stałoby się z pieniądzem papierowym, użytym do zapalenia papierosa, lub ze złotą monetą, użytą do zaplombowania zęba albo do ozdoby.

Krótko mówiąc, zadaniem pieniędzy bez względu na materyał, z którego są zrobione, jest nie zaspakajać pragnienia wprost, lecz pośrednio przez wymianę na towary. Nie jemy pieniędzy, nie pijemy ich, nie nosimy, jako ubrania. Przesuwamy je z ręki do ręki, to znaczy kupujemy za nie inne towary. Pieniądze cenimy nie dla nich samych, lecz dla tego, co za nie otrzymać możemy. A jeżeli gromadzimy pieniądze, to dlatego, aby mieć miłe uczucie, że każdej chwili jesteśmy w stanie nabyć za nie, cokolwiek nam się żywnie podoba.

Funkcya, do której spełnienia potrzebujemy pieniędzy, nazywa się kupnem i sprzedażą: strona, dająca pieniądze za towary, nazywa się nabywcą, a strona, oddająca towary za pieniądze, nazywa się sprzedawcą lub kupcem.

W procesie tym traktujemy pieniądze tak, jak gdyby pieniądze były czemś ważniejszem od przedmiotów, stanowiących materyę tranzakcyi; wskutek tego nawet istnieje zwyczaj, że otrzymujący pieniądze wyraża swoje szczególniejsze zadowolenie słowami „dzię-

kuję". Zadowolenie to wypływa stąd, że ten, co otrzymał pieniądze, może o wiele łatwiej zaspokoić swoje różnorodne potrzeby od tego, który otrzymał towar; i dlatego przy zamianie każdy ubiega się raczej o pieniądz, niżeli o towar.

Dla wykazania roli, jaką odgrywają pieniądze w społeczeństwie ludzkiem, daje nam Henry George przykład, który przytoczymy jeno w zarysach, nie przeprowadzając go w szczegółach, bo je każdy zdoła sobie sam w duszy dośpiewać.

Przypuśćmy, że wybiera się w dłuższą drogę kilku ludzi i że każdy dla opędzenia kosztów podróży zaopatrzył się w pewne dające się wymienić przedmioty. Jeden wziął konia, drugi tytoń i herbatę, trzeci bryłki złota i srebra, a ostatni zapas gotówki. Każdy potrafi sobie przedstawić los tych trzech podróżników i zrozumieć, że ostatni odbył drogę najwygodniej i najłatwiej.

Z tego przykładu nie wynika wcale, że pieniądze są najcenniejszymi przedmiotami; bynajmniej, z tego wynika tylko, że ze wszystkich przedmiotów, służących do wymiany, najpodatniejsze w tym kierunku są pieniądze.

Ostatnie to twierdzenie musi być atoli wygłoszone z pewnem zastrzeżeniem, wiadomo bowiem, że pieniądze jednego kraju stają się prostym towarem w drugim kraju, towarem, który jest tak samo trudno wymiennym, jak wszystkie inne.

Pytanie więc zachodzi, czy pieniądz jest jedynie przedmiotem postanowień rządowych, i czy rząd może rozstrzygać, jaki pieniądz ma być używany i jaką wartość ma posiadać?

Na to pytanie Henry George daje odpowiedź przeczącą, twierdząc, że rząd może wprawdzie wywierać wpływ na pieniądze tak samo, jak może wywierać wpływ na język państwowy, to znaczy, że może oznaczyć rodzaj pieniędzy, jaki urzędnicy wyłącznie przyjmować będą, tak, jak może oznaczyć, w jakim języku mają być pisane wszystkie dokumenty urzędowe, ale na tem rzecz się kończy; rząd nie jest w stanie wywrzeć stanowczego wpływu na jakość środka zamiennego, zależnego od wspólnej ugody obywateli, tak, jak nie może wpłynąć stanowczo na język, jakim matki do swych dzieci przemawiają.

Czyż więc może mamy powiedzieć przeciwnie, że o materyale na pieniądz rozstrzyga nie rządowe *fiat* lecz wartość istotna, że więc na monetę nadają się wyłącznie metale szlachetne, jak złoto i srebro?

Nie, stanowczo nie, boć i metalowe pieniądze posiadają pełną wartość zamienną w jednym kraju, a nie posiadają jej w drugim.

Jak nie egzystuje do tej pory uniwersalny język, tak też i nie egzystują uniwersalne pieniądze.

Co się tyczy twierdzenia, że o wartości danego materyału na pieniądz stanowi jego wartość istotna, to przeczą temu oczywiście wszystkie pieniądze papierowe, dla celów praktycznych tak samo dobre, jak metalowe.

Henry George podaje przykłady z historyi Stanów Zjednoczonych, dowodzące czarno na białem, że najróżnorodniejsze, czasami całkiem bezwartościowe przedmioty spełniały w danej chwili z wielkiem powodzeniem zadanie pieniędzy.

Czyż więc wobec tego mamy się zgodzić na zdanie tych, którzy twierdzą, że pieniądzem jest wszystko, co można użyć przy wymianie, a co wyklucza handel zamienny?

Także nie, bo w takim razie nastąpiłoby pomieszanie pojęć pomiędzy tranzakcyami, załatwianemi za gotówkę, a tranzakcyami, załatwianemi na kredyt. Gdy zamiast dawać pieniądze, wystawiam czek lub weksel, to także unikam handlu zamiennego, a jednak nikt nie zechce utrzymywać, że w tym wypadku pieniądz odegrał jakąkolwiek rolę; zaufanie i kredyt spełniają w dzisiejszem życiu ekonomicznem kolosalne zadanie, równie ważne, a może jeszcze ważniejsze od pieniędzy.

W popularnem więc pojęciu do pieniędzy przywiązana jest własność zupełnego zakończenia wszelkiej tranzakcyi handlowej, czego o kredycie powiedzieć nie można.

Czemże więc jest pieniądz?

Najwyraźniej główna własność pieniędzy tkwi nie w formie lub substancyi, lecz w użytku.

Zadaniem pieniędzy jest nie ulegać konsumcyi, lecz służyć ustawicznie, jako środek zamienny, umożliwiający przechodzenie bogactw z ręki do ręki. Z tego określenia widzimy, że pieniądz, posiadając jedynie i wyłącznie charakter reprezentacyjny, sam w sobie wcale bogactwem nie jest.

To też pieniądz przyjmuje się przy zamianie nie, jako przedmiot wartościowy sam w sobie, lecz tylko, jako dopełnienie i zamknięcie procesu wymiany.

Przyjmując pieniądz, pytamy jedynie i wyłącznie o to, czy będziemy mogli użyć go dalej w tym samym celu; jeżeli tak, to go przyjmujemy, jeżeli zaś mamy jakąś wątpliwość, to albo nie przyj-

mujemy pieniędzy wcale, albo też z dyskontem proporcyonalnym do stopnia naszej wątpliwości.

Pieniądz więc ustanawia powszechna zgoda przyjmowania czegokolwiekbądź, jako środka zamiennego; pieniądz zatem jest tem, co w danem miejscu i w danym czasie uważane jest za środek zamienny.

Jak niema uniwersalnego języka, tak niema uniwersalnych pieniędzy, które są, że tak powiemy, mową wartości.

Powiedzieliśmy, że pieniądz służy, jako pośrednik, przy wymianie. Tak jest niewątpliwie — to jest najważniejsza funkcya pieniędzy; ale istnieje jeszcze i druga, niesłychanie ważna, jakkolwiek jest natury pochodnej — pieniądz jest też miarą wartości.

Ponieważ pieniądz jest pośrednikiem przy wymianie, przeto też, rzecz jasna, przechodzi ogromnie często z ręki do ręki i ustawicznie zmienia właściciela. Gdy celem jego nie jest konsumcya, przeto robi się go zwykle z materyału trwałego, niełatwo podlegającego zniszczeniu. Pieniądz, często z ręki do ręki przechodząc i wartości swej nie zmieniając, staje się powszechnie lepiej znany od innych przedmiotów przy wymianie używanych; to samo oczywiście można powiedzieć i o jego wartości.

Tu nasuwa się atoli pytanie, które trzeba stanowczo rozstrzygnąć. Jeżeli źródłem i podstawą wszelkiej wartości jest praca, to dlaczegobyśmy nie mogli w pracy znaleźć nie tylko wspólną, lecz także ścisłą i ostateczną miarę wartości?

Fakt ten zastanawiał już i Adama Smitha, który pisał: „Bo chociaż praca jest realną miarą zamiennej wartości wszystkich towarów, to jednak nie ocenia się powszechnie drugich za pomocą pierwszej".

Mimo całej swojej bystrości atoli Adam Smith wyjaśnienia tego faktu wcale nam nie dał; skonstatował jeno rzecz samą, jako rzucającą się w oczy zbyt wyraźnie, aby jej nie widzieć, i na tem koniec.

W świetle atoli wszystkiego tego, co Henry George poprzednio powiedział, rzecz da się zupełnie dobrze wytłómaczyć. Powód, dla którego rzetelna miara wartości nie może być jej miarą wspólną, leży w naturze i konstytucyi ludzkiej. Uczucie poniesionego trudu i wysiłku, uczucie znużenia i wyczerpania, jest percepcyą ściśle osobistą, wewnętrzną, o której możemy dać na zewnątrz pojęcie wyłącznie za pomocą akcyi, czynu.

Widzieliśmy, że praca w znaczeniu wysiłku jest prawdziwą, ostateczną i uniwersalną miarą wartości; cokolwiek dany przedmiot przyniesie w zamianie, to zawsze opiera się na ocenie wysiłku i trudu, towarzyszącego pracy, której posiadanie owego przedmiotu oszczędzi.

Oceny takie przeprowadzamy nieustannie w umyśle, gdyż pamięć, zapisująca doświadczenia osobnicze, pozwala porównywać wysiłek, jakiego trzeba było do zrobienia lub osiągnięcia jednego przedmiotu, z wysiłkiem, potrzebnym do zrobienia lub osiągniącia jakiegoś innego przedmiotu.

Ale chociaż każdy może dokonać takiej oceny dla samego siebie, nie może dać o niej nikomu innemu pojęcia wprost, gdyż uczucie znużenia i wstrętu, stanowiące właśnie miarę wysiłku, może być w normalnych warunkach przekazane tylko za pomocą zmysłów.

Aby więc ostatecznie znaleźć wspólny miernik wartości, musimy koniecznie obrać jakiś wynik wysiłku tak, jak, chcąc mierzyć światło, ciepło lub elektryczność, jesteśmy zmuszeni przyjąć za miernik jakiś dotykalny objaw tych różnych form energii.

Nawet tam, gdzie wysiłek jest wyrażony w czasie, praktyczny rezultat owego wysiłku rozumie się sam przez się. Faktycznie wszelka miara na czas redukuje się ostatecznie do rezultatu, w ciągu danego czasu osiągniętego.

Skłonność do uważania namacalnych rezultatów za miarę wysiłku objawia się nawet w ocenie pracy literackiej, płatnej od wiersza, szpalty lub arkusza. Lepsza praca zostaje chętniej przyjęta i drożej zapłacona—to prawda, ale ostatecznie zostaje zapłacona od wiersza lub arkusza, czyli od czasu, jakiego było potrzeba do jej napisania.

Ostatecznie więc widzimy, że miarą wysiłku i wartości jest rezultat praktyczny, i dlatego też zawsze produkty bywały za taką miarę uważane. Ponieważ zaś możemy w tym celu użyć jakiegokolwiek produktu, czyli towaru, używamy tego, który, ulegając najczęstszej wymianie, najlepiej znamy, którego wartość możemy najłatwiej i najściślej oznaczyć. Z tego to powodu zwykle wspólny miernik wymienny jest też wspólnym miernikiem wartości, a tym we wszystkich krajach cywilizowanych jest pieniądz.

Pamiętać atoli należy, że pierwotną funkcyą pieniędzy jest służyć, jako środek wymiany, a dopiero drugą stanowi miara wartości.

Dwa te zastosowania pieniędzy nie zawsze ze sobą ściśle korespondują.

Mimo wszystko, co się powyżej powiedziało, praca (w znaczeniu wysiłku) jest rzetelną miarą zamiennej wartości wszystkich produktów, jedyną zarówną uniwersalną, jak i dokładną miarą wartości, jedynym miernikiem, przy którego pomocy możemy porównywać wartości wszystkich towarów we wszystkich czasach i we wszystkich krajach. Mimo wszystko prawdą jest, że istotną ceną każdego przedmiotu jest trud i kłopot zyskania go. Prawdziwą wartość dla człowieka, który posiadał jakiś przedmiot i który chce się go pozbyć lub wymienić na inny, jest ten trud i kłopot, jakich dany przedmiot oszczędzi posiadaczowi, lub jakie on może nałożyć na innych.

Gdy więc praca jest miernikiem wartości, wymiana towarów między różnymi krajami nie może stanowić żadnej istotnej trudności. Również wskutek tego samego powodu przejście wewnątrz danego kraju od jednej do drugiej miary wartości nie sprawiałoby żadnego zamieszania, gyby nie wpływ na kredyt, czyli zobowiązania, o których słów kilka powiedzieć nam wypada.

Ze wszystkiego, co się wyżej powiedziało, wcale nie wynika, aby nawet w dzisiejszym stanie kultury pieniądz był absolutnie potrzebnym pośrednikiem przy wymianie. Nawet dzisiaj podróżny znalazłby bez trudu kraje, w których łatwiejby mu było prowadzić wymianę przy pomocy odpowiednio złożonego zapasu towarów, niżeli przy pomocy pieniędzy. Nasza własna cywilizacya w epoce, poprzedzającej rozwój przemysłowy, charakteryzujący dziewiętnasty wiek, musiała uprawiać w znacznym stopniu handel zamienny bez pomocy pieniędzy, jak o tem świadczą kupcy, wysyłający swoje okręty z towarami, i jarmarki, na których wymieniano różne produkty i usługi.

Rozwój życia społecznego pociąga za sobą wyrugowanie z użycia prostszych metod i zastąpienie ich bardziej skomplikowanemi. I tak, dzisiaj już nie moglibyśmy żyć bez telegrafów, telefonów, zapałek, broni myśliwskiej, jakkolwiek przodkowie nasi w czasach niezbyt odległych doskonale bez tego wszystkiego się obywali.

To samo odnosi się do pieniędzy, bez których dzisiaj żyćbyśmy nie umieli, zapominając, że przodkowie nasi rozwijali się przemysłowo i społecznie bez pieniędzy. Używając co dzień pieniędzy, zapominamy o tych wszystkich współczesnych tranzakcyach, co do-

skonale obywają się bez pieniędzy, które zeszły tylko do prostego miernika wartości.

Dzisiaj nie tylko pojedyńcze państwa dokonywują wymiany bez pomocy pieniędzy, ale nawet lokalnie nowa ta metoda z powodzeniem jest używana. Bogatsi ludzie mogą przy pomocy czeków obywać się zupełnie bez gotówki i to nie tylko w małych, ale i w ogromnych zbiornikach ludzkich.

To coraz częstsze obywanie się bez pieniędzy w różnych tranzakcyach handlowych na wielką skalę nie jest niczem innem, jak powrotem do pierwotnych metod, używanych przy wymianie przez pierwotną ludzkość. Te pierwotne metody opierały się na zaufaniu czyli kredycie, który obecnie z dniem każdym coraz poważniejszą zaczyna odgrywać rolę. Człowiek, który nie miał pieniędzy, a te są wytworem bardzo późnym, nie mógł oczywiście dokonywać wymiany usług i produktów swej pracy bez zaufania i kredytu, który musiał poprzedzić wszelki handel zamienny. Z rozwojem kultury formy kredytu, w jaki ubierało się zaufanie człowieka do człowieka, zmieniały się, stawały się bardziej zawiłe i bardziej skomplikowane, ale proste i pierwotne metody można spotykać dziś jeszcze w tych kątkach ziemi naszej, do których współczesna cywilizacya jeszcze nie doszła.

Adam Smith znacznie przeceniał trudności wymiany bez pieniędzy, ilustrując ją naciąganymi przykładami. Henry George, przeciwnie, trudności tych nie widzi, znajdując, że rola pieniędzy nie jest tak ważną, jakby się to na pozór zdawać mogło.

Zaufanie i kredyt pojawiły się na powierzchni ziemi jednocześnie z rodzajem ludzkim, który przyniósł z sobą na świat uczucie prawdy, miłości, sympatyi. Bez tych uczuć ród ludzki nie mógłby się ostać w walce ze światem zwierzęcym, na tych uczuciach opiera się wzajemne zaufanie i kredyt, ta dźwignia handlu zamiennego.

Zaufanie czyli kredyt są nie tylko wcześniejsze od pieniędzy, ale i o wiele ważniejsze. Z rozwojem kultury kredyt zaczyna zastępować pieniądz, którego rola ogranicza się do miernika wartości. Środkiem wymiany staje się papier bez realnej wartości, ale oparty na wzajemnem zaufaniu i kredycie.

Księga, traktująca o pieniądzach, kończy się dwoma naszkicowanymi zaledwie roździałami o genezie pieniędzy, jakoteż o dwu rodzajach pieniędzy, prawdziwym i fikcyjnym.

Ponieważ roździały te nie są należycie opracowane, a przytem przeważnie powtarzają to, co było powiedziane w poprzednich roździałach i co się samo przez się rozumie, przeto, aby nie prze-

dłużać referatu niepotrzebnie, kończymy streszczenie pośmiertnego dzieła Henryka George'a zastrzeżeniem, że pobudką do pracy było przeświadczenie, iż powinniśmy bezwarunkowo znać wszystkie kierunki, panujące w ekonomii politycznej, bez względu na to, czy godzimy się na nie, czy też nie.

Henry George odegrał bardzo wybitną rolę we wszystkich krajach, po angielsku mówiących, jako to: Stany Zjednoczone, Kanada, Wielka Brytania, Australia. Hasła, przez Henryka George'a rzucone, znalazły sympatyczny oddźwięk w umysłach i sercach szerokich mas, czujących na własnej skórze braki i wady dzisiejszego ustroju gospodarczego całej ludzkości. Pod sztandarem, który Henry George rozwinął, potworzyły się kluby naukowe i polityczne, wytworzyło się odrębne stronnictwo (*single - tax party*), które zyskuje sobie coraz większy zastęp zwolenników. Znać najnowsze prądy światowe jest naszym niezaprzeczonym obowiązkiem: to racya niniejszego referatu.

Wojciech Szukiewicz.



RUCH ARTYSTYCZNY.

II.

Nieco o impresyonizmie. — Kamil Corot.—Jego studya. — Jego maniera. — Symfonia barw. — Malarze krajobrazów. — Portrety natury. — Łamigłówki kolorystyczne. — Wybryki impresyonistyczne. — Przewrót w technice malarskiej. — Reakcya.

Impresyonizm! Impresyonizm!... Jakże nazwa ta brzmi u nas dziwacznie, a i pojęcie tego wyrazu jakże dla publiczności, przypatrującej się obrazom, słuchającej oper, czytającej powiastki i poemaciki dzisiejsze, ma różne znaczenie!

Prawda to rzecz względna. Rzeczywistość istnieje w pełni o tyle tylko, o ile jednostka uświadamia ją sobie w umyśle. Piękno ukazuje się we wszechświecie dopiero wraz z istotą moralną, i to jako jej właściwość. Prawdy poznać, a tem bardziej odtworzyć nie możemy — należy zatem odtwarzać za pomocą sztuki nie przedmioty same, ale w r a ż e n i e, jakie te przedmioty spowodowały w naszych zmysłach. Niema rzeczywistości — jest tylko poczucie rzeczywistości! Niema piękna — jest tylko poczucie piękna! Precz z rzeczą samą w sobie — precz z realizmem w sztuce! Nie o drzewo, nie o kamień, nie o wodę, nie o człowieka w obrazie chodzi, ale o wrażenie, jakiego artysta na widok tego człowieka, tej wody, tego kamienia, tego drzewa w danej chwili i w danych warunkach do-

znał. Bryły i kształty trwałe nie są godne uwiecznienia na płótnie. Malarz, szanujący swoją indywidualność i swoją rękę, będzie odtąd utrwalał w sztuce wrażenia ulotne swej duszy i objawy przelotne wszechistnienia. Jeszcze krok—a pojęcia znikną zupełnie: malarstwo stanie się muzyką barw, muzyka — plastyką dźwięków, a literatura—współzawodniczką jedynie malarstwa i dźwięków, ba! rzeźba nawet sfrunie z podnóża pomnika i na swoich ciężkich skrzydłach podąży w krainę ruchu, *impresyi* chwilowej, bezpośredniości wrażenia.

Dla wielu ludzi *impresyonizm* to szkarada formy, jaskrawość koloru, dziwactwo pomysłu, ubóstwo kompozycyi w malarstwie; to strzępia melodyi, rozdźwięczność harmonii i krzykliwość instrumentacyi w muzyce; to kojarzenie słów na podstawie pokrewieństwa ich brzmienia, brak znaków pisarskich i nadmiar myślników w literaturze; to chaotyczność płaszczyzn w rzeźbie. Słowem, objaw zboczenia umysłowego w sztuce, przekleństwo. *Impresyonista* dzisiejszy to neurastenik i nieuk.

Dla innych *impresyonizm* to ostatnie słowo sztuki, materya uduchowiona, duch, wcielony w farby, dźwięki, słowa czy kształty, absolut, ujęty w formę zmysłową, Błogosławieństwo Boże. *Impresyonista* to nad-człowiek.

I wistocie. „Sztuka to człowiek. W utworach sztuki przejawia się i utrwala wszystko, co pod formą najmniej znikomą stanowi właściwość człowieka, a więc myśl, życie duchowe, wiedza, uczucie społeczne, cywilizacya, działalność". „Lecz z drugiej strony sztuka jest pewnego rodzaju równoważnikiem rzeczywistości, którą jednostka usiłuje odtworzyć i pokazać. To też niepodobna określić i przeniknąć jej natury zupełnie, dopóki się nie zaprzeczy tej rozłące podrobionej, która ma jakoby, według mniemania ogólnego, istnieć najpierw między sztuką a życiem ludzkiem, następnie zaś między życiem ludzkiem a życiem powszechnem. Jeżeli zatem, z jednej strony, sztuka jest człowiekiem samym, to z drugiej, znów należy przypuścić, iż dzieło ludzkie zawiera w sobie coś, co wybiega ponad człowieka i zarazem istnieje bezwzględnie poza człowiekiem. Na tej drodze również będziemy musieli przyznać i sztuce znaczenie metafizyczne, racyę bytu we wszechświecie — i pięknu, nieróżniącemu się, w pojęciu najwyższem tego wyrazu, od boskości, rzeczywistość przedmiotową, niezależną, której zawartości poczucie nasze nie jest zdolne wyczerpać". Tyle Jan Pérès w swojem studyum: „Sztuka i Rzeczywistość" (*L'art et le Réel*).

Lecz jakże *impresyonistom* dzisiejszym, utrwalającym na płótnie przelotne efekty świetlne, daleko do tego absolutu piękna, łączącego sztukę z rzeczywistością, utrwalającego najmniej znikome właściwości życia ludzkiego! Przedewszystkiem poza kilku mistrzami szczerymi, którzy po większej części zeszli już do grobu, niema dziś symfonisty barw, a są tylko koloryści przesadni, dziwacy z wyrozumowania, na zimno!

Impresyonizm zrodził się we Francyi — prawie równocześnie z romantyzmem — tam się rozplenił i tam wydał owoce, a raczej owoc cierpki sztuki materyalnej, dzisiejszego kolorytu, przyrządzonego nie w otoczeniu natury, lecz w pracowni — z trzech barw zasadniczych: żółtej, czerwonej i niebieskiej. Ojcem „impresyonizmu" i sposobu malowania w pełni światła (*plain air*) był Kamil Corot (ur. 1796 † 1875), chluba Francyi, jeden z czterech mistrzów krajobrazów (Corot, Teodor Rousseau, Troyon i Millet), poeta zmierzchu wieczornego, brzasku porannego, nimf,kąpiących się w mgle, atmosfery przejrzystej, migocącej srebrnym blaskiem pary. Wyszedł z klasycyzmu, który, jeżeli tolerował krajobrazy, to tylko włoskie, pełne ruin starożytnych, postaci historycznych, bóstw mitologicznych. W oczach pedagogów, wychowanych na estetyce Winckelmann'a i Rafała Mengs'a, a przejętych powagą Ludwika David'a, poza malarstwem historycznem nie było sztuki. Zaledwie Poussin cieszył się niejakimi względami. Klaudyusz Lorrain był „zanadto oddany rodzajowi"; Hobbema jakby nie istniał wcale, a o Ruysdael'u, mistrzu niezrównanym krajobrazu holenderskiego, pisano, iż „pracował dla ludzi, odrętwiałych umysłem i duszą. Ideał był mu całkiem obcy". Krajobraz, jeżeli nie ma być „zimnym portretem przyrody błahej i nieożywionej", powinien przemawiać do duszy „akcyą uczuciową". Valenciennes „ustanowił, iż czterem porom dnia odpowiada wybór przedmiotów właściwych" i przytoczył z podręczników wszelkie odmiany bogów, pół-bogów, nimf, dryad, hamadryad, najad, limniad, potamid, oceanid, oread, satyrów, sylenów, mogących „upiększyć krajobraz". I Corot też należał początkowo do szkoły Valenciennes'a, wprawiał rękę na antykach, kształcił umysł „na poetach, opisujących i opiewających naturę", jeździł do Włoch. Lecz ukradkiem studyował krajobraz *sub Jove crudo* i czytał Jana Jakóba Rousseau. Bo dziwna rzecz. „Odkrycie natury", tyle sławione, jako jedna z największych zdobyczy w. XVIII, najpóźniej dało się uczuć w dziedzinie malarstwa. Kiedy Jan Jakób Rousseau zachwycał się „złotem janowców, purpurą krzewów, powagą drzew, rozmaitością nadzwyczajną traw i kwiatów", a Bernardin de

Saint-Pierre, zdziwiony ubóstwem obrazowem języka, domagał się „nazw i zwrotów nowych dla nowej sztuki, oddawania natury”, malarze współcześni studyowali odlewy gipsowe figur starożytnych, uprawiali kult linii dokładnej i komponowali „z głowy” krajobrazy historyczne. Dopiero Corot otworzył oczy współczesnych na naturę i, choć sam wahał się długo w wyborze stanowczym drogi, bo zaledwie w pięćdziesiątym roku życia otrząsnął się z wpływów szkoły, pierwszy w XIX wieku wprowadził krajobraz do świątyni sztuki i pierwszy zaczął utrwalać na płótnie wrażenie bezpośrednie — *impresyę* przedmiotu i rzeczy. Stąd pochop nowej formy sztuki.

Lecz Corot miał poczucie rzeczywistości, poczucie piękna, poczucie harmonii. Był w równym stopniu malarzem, poetą, muzykiem. Swiat zewnętrzny istniał dla niego w bryłach i kształtach, rysował się w przestworzu powietrznem i modelował się w świetle słonecznem, a oko malarza, chwytające w lot znamiona wytworne, wdzięk wewnętrzny, słodycz jego wyrazu, dodawało mu czaru, opromieniało go poezyą, wydostawało zeń czy też wprowadzało doń cechy boskości — twory świata nadzmysłowego. Poczucie żywe a subtelne wartości względnej tonów dopełniało reszty: obraz malowniczy stawał się symfonią muzyczną. Tony i półtony, zestawiane harmonijnie, wypływające łagodnie jedne z drugich, dopełniające się wzajem, przełamywane subtelnie zielenią jasną i błękitem fijołkowym, przesiane srebrem wilgoci atmosferycznej, zaczęły w przestworzu powietrza śpiewać na cześć światła hymn piękny, jasny, łagodny, pogodny w nastroju. Corot pierwszy poważył się zbudować obraz nie na liniach, lecz na stosunku wzajemnym barw. Nie należy jednak sądzić, iż przyszło mu to do głowy samo, jako objawienie natury czy sztuki. Jego *impresyonizm* w obrazach to owoc trzydziestoletniej pracy, to wynik jego estetyki swoistej. „Artysta w życiu —powiada on—musi być sumiennym, pewnym siebie i wytrwałym, a nadto posiadać znajomość dwóch rzeczy: rysunku i wartości względnej (*valeur*) tonów”. Corot był rysownikiem z wprawy, z nauki, ze szkoły, a kolorystą z Bożej łaski. Niepodobna wyrazić słowami uczucia, jakiego się doznaje na widok jego obrazów. Jakaś współdźwięczność dwu tonów zespolonych w jeden akord, jakieś przeciwieństwo dwu barw dopełniających, jakaś dzwonnica ceglasto-różowa, objęta dokoła lazurem płynnym nieba, które mienią się gdzieniegdzie przebłaskami zieleni, napełniają oko taką rozkoszą nieuchwytną, jak gdyby się obcowało ze zjawiskami świata nadzmysłowego. A jednak jest to malarstwo w właściwem tego słowa znaczeniu. Metafizyka nie ma z tem nic do czynienia. Lecz, aby

ocenić należycie jakiś twór malarski, trzeba, jak mawiał Delacroix, „mieć oko”, tak samo, jak przy ocenianiu tworów muzycznych, trzeba „mieć ucho”. Corot był przedewszystkiem malarzem, który z daru Opatrzności miał „oko niesłychanie czułe i trafne”, a studya dokładne dały mu pewność ręki i możność uogólniania efektów świetlnych. Poczucie subtelne powietrza, życia, atmosfery naprowadziło go na myśl utrwalenia w obrazach stosunku przedmiotów do otoczenia. Chodziło mu już nie o przedmioty same, nie o ich budowę wewnętrzną i fizyonomię swoistą, nie o człowieka, nimfę, las, jezioro, kościół, dom, lecz o wartość względną tonu tych przedmiotów w harmonii z barwnością charakterystyczną atmosfery, która przesłania wszystko kolorytem ogólnym, uwarunkowanym cechą jakiegoś danego tonu zasadniczego, jakiegoś danego efektu świetlnego. Z wyjątkiem może Leonarda da Vinci niema chyba malarza, któryby tak pilnie, tak ściśle, tak drobiazgowo, jak on, studyował szczegóły natury. W szkicach jego i notatkach znajduje się wszystko, co malarz dokoła siebie zauważyć może, a więc: ziemia, woda, drzewa, konary, gałęzie, liście, kształty brył, linie ruchów, plany perspektywy powietrznej, stosunek cienia do światła, wreszcie efekty zmienne wschodu i zachodu słońca, które stenografował znakami, przez siebie wynalezionymi, i liczbami, oznaczającemi stopień natężenia światła czy barwy. Malował zawsze z notat, co, jak mawiał, pozwalało mu „schodzić na grunt”. Obserwacya dokładna objawów przelotnych światła, zależnych od tchnienia wiatru, od ilości pary wodnej w powietrzu, od kąta załamania promieni słonecznych, doprowadziła go do tak zwanego „impresyonizmu”. Lecz mógł sobie pozwolić na syntezę wrażeń w obrazie, ponieważ gromadził wszystkie szczegóły analizy w notatach.

Jest to wielki malarz światła, czuły poeta natury, pogodny symfonista barw, ale malarz, poeta, symfonista jednostronny. Każdemu, kto chce sobie uprzytomnić w wyobraźni obrazy Corot'a, przychodzą na myśl „mgły srebrzyste” — błękit nieba, zieleń drzew, opary wód, odzież i ciała nagie figur, przesiane drobniutkimi punkcikami światła — „placek, obsypany białym maczkiem”, jak mówił złośliwie Delacroix, twórca szkoły romantycznej w malarstwie. Tak czy owak jednak, jest to od czasów Klaudyusza Lorrain'a (1600 † 1682) pierwszy malarz francuski, który potrafił świetlność przejrzystą i płynną tła przeciwstawić miąższości przedmiotów, znajdujących się na bliższym planie obrazu.

W całej jego manierze typowej, od pierwszego arcydzieła — „Dyany w kąpieli”, do ostatniego — takiego lub owego krajobrazu,

przeważa jeden i ten sam motyw. Między dwiema masami zieleni lub między dwiema skałami, opartemi z obu stron obrazu o ramy, znajduje się wielki przestwór nieba i wody z widnokręgiem, mknącym wdal; pora dnia jest nieokreślona, brzask lub zmierzch, kiedy to bryły rysują się sylwetkami w powietrzu wilgotnem, linie drżą w konturach, barwy mienią się przebłyskami złota, srebra, zieleni, fijoletu, nieboskłon lśni się światłem, jeszcze jasnem, ale poważnem, uroczystem, skupionem. Figury, wprowadzone do obrazu, to tylko ozdoby przygodne — arabeski linii lub tony draperyi wiotkich, powiewnych, umiejętnie modelowanych, urozmaicających tę dekoracyę rozkoszną, tę symfonię światła, która obejmuje wszystko swoją powagą, spokojem, czarem, słodyczą. Tylko u góry czuć jakby upojenie lekkie, jakby liryzm promieni słonecznych, wschodzących lub zachodzących z westchnieniem. Niezależnie od treści, od przedmiotu obrazu, aktorami istotnymi są nie figury pojedyńcze, lecz chór melodyjny barw, harmonia powietrzna, w której się objawia iześrodkowuje „akcya uczuciowa krajobrazu". Każdy utwór Corot'a to większa lub mniejsza „symfonia pastoralna". Wszystko tu wiąże się z jednym motywem — światłem, dokoła którego lub w którem przybory obrazu żyją, drgają, tańczą, skaczą, śmieją się, radują i śpiewają pieśń wesołą na nutę melodyi sielskiej. Ale bo też Corot przepadał za muzyką; malując, miał wciąż piosnkę na ustach. W końcu improwizował obrazy, malował na obstalunek, powtarzał się w efektach, zacieśniał jeszcze bardziej zakres swej maniery. Niemniej jednak nie z n i e p r a w i ł sztuki; przeciwnie: zbogacił ją językiem malowniczym, „dreszczem nowym wrażenia" (*impresyi*), któremu jednak nie poddawał się niewolniczo aż do szału zmysłów, aż do paroksyzmu nerwów.

Sztuka jest powiernicą naszych uczuć, naszych smutków, pragnień i radości. To też powinniśmy być wdzięczni każdemu artyście, który tworzy dzieło, tchnące szczęściem, pogodą, harmonią, światłem. Corot to liryk szczery, którego oko zachodziło łzą rozrzewnienia na widok czarów natury, — i idealista, który dokoła siebie widział tylko piękne cechy życia. Świat dla niego był tworem miłości i rozkoszy, nie zaś gniewu i rozpaczy.

Inaczej impresyoniści dzisiejsi. Przedewszystkiem, od czasów Corot'a, Teodora Rousseau, Troyon'a, Millet'a, a poniekąd i Courbet'a malarstwo krajobrazów upadło. Teodor Rousseau (1812 † 1867) twierdził, że malarz ma wszędzie pod ręką wszystko co mu potrzeba: niebo, ziemię i widnokrąg, lecz „kompozycya znajduje się w nim, i on ją wprowadza do świata zewnętrznego". Bez

kompozycyi niema dzieła sztuki, a „kompozycya jest wtedy, gdy przedmioty, odtworzone na płótnie, zawierają pod powłoką naturalną echa wrażeń, wzbudzonych w naszych duszach.” „Obraz powinien najprzód być zrobiony w głowie. Nie rodzi się on bynajmniej na płótnie. Malarz uchyla kolejno zasłony, jakie go pokrywały”. Natury ani naśladować, ani kopiować nie można. Artysta przychodzi do niej z sercem, przepełnionem uczuciami i pragnieniami indywidualnemi, z okiem swoistem, chwytającem jej znamiona inaczej, z innej strony, pod innym kątem widzenia — i na płótnie interpretuje jej charakter po swojemu, transponuje jej motyw na swój ton. Stąd od epoki do epoki, od pokolenia do pokolenia, od człowieka do człowieka coraz to inne portrety natury. Lecz malarze dzisiejsi nie wnoszą nic z siebie do krajobrazu. „Każdy — słowa Andrzeja Michel: *Notes sur l'art moderne* — przykuca na ziemi, ustawia stalugi na skraju swego pola czy ogródka, kleci w głębi z kawałków świątyni i kolumn rozbitych pałacyk myśliwski lub fermę i pod pozorem dokumentu czy analizy uwiecznia na płótnie studyum z natury — urywek mniej lub więcej malowniczy, w którym nie czuć ani myśli przewodniej, ani woli artystycznej, ani wzruszenia. Jest w tem dużo zręczności, wirtuozowstwa, ale niema pomysłu uprzednio powziętego. Malarz trzyma się niejako wzoru fotograficznego, nie uczestniczy w dziele, traktuje obojętnie sztukę swoją.” A przytem to, co u mistrzów dawnych zwało się „spójnią kompozycyi” i „kondensacyą sił obrazu”, nie istnieje. Realiści bezduszni dają kopie martwe szczegółów natury, a impresyoniści puszczają ognie sztuczne na płótnach.

Teodor Rousseau studyował dane drzewo w danem otoczeniu, na danym gruncie — i następnie dawał jego portret, niby osoby, posiadającej swój charakter, swoją duszę. Impresyoniści w drzewie widzą tylko masę przenikliwą, o którą potrącają się promienie słońca. Bryła nie istnieje; płaszczyzny są tylko refleksami światła, a nawet refleksami refleksów. Aby lepiej uwidocznić ruchliwość plam barwnych i błyskotliwość atmosfery, malarze dzisiejsi rozłożyli ton na jego części składowe i zestawili elementy obocznie na płótnie. Taka mieszanina kolorów zasadniczych wywołuje złudzenie optyczne, wskutek którego powietrze w obrazie wydaje się przejrzystszem, a drganie światła żywszem i bielszem. Zblizka widać tylko grudki nierównomierne farb surowych, nie przygotowanych na palecie, wyciśniętych na płótno wprost z torebek, jak je fabrykant przyrządził. Zdaje się, że malarz nie używa pędzla. Kolory układają się same, a rysunek powstaje przygodnie z przecięcia

się smug zielonych lub czerwonych z płaszczyznami niebieskiemi lub żółtemi. Już Rembrandt mówił, że „malowidło czuć nieprzyjemnie zblizka", co znaczyło, iż na jego obrazy należy patrzyć z pewnego oddalenia. Obrazom impresyonistów dzisiejszych przypatrywać się niepodobna, co najwyżej, można raz rzucić okiem z odległości od dwudziestu do pięćdziesięciu kroków i... wydawszy okrzyk podziwu lub wzruszywszy ramionami, pójść do domu.

Przedewszystkiem malarze łudzą się, że mogą chwytać efekty świetlne w lot i odtwarzać wrażenie bezpośrednio, poza wszelką umową sztuki. Podobno Klaudyusz Monet, twórca dzisiejszej doktryny impresyonistycznej, rysownik niezdarny i malarz cudaczny, obchodził się całkiem bez pracowni, w której światło jednak jest ujednostajnione w barwie i ześrodkowane w natężeniu. Inna rzecz notować efekty wprost z natury, a inna malować w pełni światła, kiedy nie tylko charakter obrazu, lecz i obraz sam przeinacza się co chwila w kolorze. Przy lada powiewie wiatru, napędzającym czy rozpędzającym już nie chmury, ale obłoki przejrzyste, wszystko się zmienia — i modelacya, i fizyognomia, i wyraz krajobrazu. To też Monet wykonywał kilka naraz obrazów i co chwila przeskakiwał od jednego płótna do drugiego. Akrobatyka to śmieszna i zbędna, gdyż artysta, obdarzony pamięcią wzroku, może dokonać dzieła z lepszym skutkiem pod dachem szklannym pracowni, przy oświetleniu mniej więcej stałem. Zresztą inna jest skala kolorów w naturze, a inna na palecie malarza. Że zaś niepodobna odtworzyć słońca prawdziwego na płótnie, więc też i stosunek tonów w obrazie nie odpowiada zgoła stosunkowi tonów w naturze. Jest to tylko transpozycya efektu rzeczywistego na inny ton w granicach możliwości technicznej, tak samo uwarunkowana środkami, jak transpozycya muzyczna z opery na samą orkiestrę lub z orkiestry na sam fortepian. Tu i tam oddaje się pewien tylko efekt, uwzględnia się pewną tylko cechę, a pomija się mnóstwo szczegółów świadomie, umyślnie, byle zachować jako tako stosunek cienia do światła. Impresyoniści dzisiejsi nie liczą się z środkami technicznemi malarstwa i, wychodząc z założenia fałszywego, z tonu przesadnie jaskrawego, urządzają na płótnie łamigłówki świetlne, sylogizmy kolorystyczne, w których przesłanki doprowadzają wprawdzie do wniosku logicznego, lecz niezgodnego z prawdą.

Wszystko w naturze dąży do równowagi i harmonii; tymczasem w obrazach impresyonistycznych wszystko dąży do wybryku wyobraźni i do efektu szczególnego, niezwykle, chorobliwie, boleśnie wydatnego. Czuć w tem nie zmysły obserwatorów, którzy widzą i uogólniają, lecz logikę maniaków, którzy, zamknąwszy oczy

na całokształt efektów w naturze, odtwarzają jakiś szczegół dziwaczny lub uzewnętrzniają wrażliwość czy drażliwość swoją na jakiś chwilowy rozdźwięk w harmonii wszechświata. Coś podobnego dzieje się też i w muzyce, zarówno skandynawskiej, opartej na tonacyi odrębnej i na dysonansach przygodnych, jak i nowo-włoskiej, uzmysławiającej bezpośredniość wrażeń za pomocą harmonizacyi jaskrawej i orkiestracyi krzykliwej.

Niemniej jednak impresyonizm ma swoją dobrą stronę. Zatracił wprawdzie w przedmiotach poczucie bryły, formy indywidualnej i wyrazu, lecz zdobył nową skalę światła, pokazał, jak ono rozpierzcha się w przeblaskach gorących po niebie głębokiem, jak zabarwia się odmiennie w różnych porach dnia, jak rozlewa się łagodnie po płaszczyznach gładkich, jak wichrzy się burzliwie w załamach przedmiotów chropowatych, jak iskrzy się na zwierciadłach metalicznych, jak maluje na wodach bieżących. Nie wpływa to na charakter i fizyognomię przedmiotów w obrazie, bo i obrazu samego zblizka nie widać; lecz dość jest odstąpić od płótna o owe dwadzieścia czy pięćdziesiąt kroków, aby w jakimś zakątku wystawy czy salonu zauważyć nagle wizyę światła, kawałek widnokręgu oddalonego, nad którym snop promieni słonecznych, odbity od płótna, drga, migoce, mieni się, śmieje, wiruje, rozpływa się wszerz, wybucha wzwyż, gra blaskami srebra żywego i złota płynnego, rozpryskującego się iskrami w powietrzu.

Jest to wynik naturalny przekształcenia się sztuki na podstawie nowych środków, jest to skutek owej pogoni za efektami światła. Zmysł wzroku wysubtylizował się, instrument stał się czulszym, wrażliwszym, doskonalszym, oko malarza, choć nie zajrzało głębiej w duszę człowieka czy w istotę przyrody, to jednak objęło szerszy widnokrąg świata, sztuka stała się bogatszą o jeden szczegół techniczny. W sposobie w y r a ż a n i a s i ę za pomocą barw nastąpił przewrót. Dawna modła przyciemniania obrazów ustąpiła miejsca nowej — rozświetlania tła. Chwila to w ewolucyi malarstwa wielce znamienna — i maluczko, a ukaże się wielki artysta, oczekiwany od dawna, lecz ten... nie będzie i m p r e s y o n i s t ą.

Trafnie uzasadnia to przytoczony powyżej Andrzej Michel. „Skonstatowawszy rezultat i d o r o b e k dzisiejszej sztuki modernistycznej, trzeba teraz wskazać zarodki jej rozkładu i śmierci, tkwiące w zasadzie samej, posuniętej przez doktrynerów nowej szkoły do krańca i niedorzeczności. Impresyoniści zapragnęli utrwalić na płótnie najruchliwsze, najprzelotniejsze, najzmienniej-

sze, najnieuchwytniejsze efekty natury i obdarzyli nas kilku malowidłami niesłychanie delikatnemi". Jasność, przejrzystość, powiewność, dreszcz barw to ich siła. „Że jednak zachciało się im obserwować wyłącznie i jakby w oderwaniu to, co w układzie przedmiotów rzeczywistych jest najnietrwalsze i najbardziej znikome, przeto ulegli odurzeniu i chimerze". To ich słaba strona. „Natura — źródło wiekuiste i podłoże naszych dzieł i naszej wyobraźni — to tylko światło i powietrze przezroczyste a lekkie; lecz do niej, mimo że podobno nie istnieje, trzeba będzie ostatecznie powrócić. Teodor Rousseau nie mylił się. Drzewa istnieją, i skały istnieją, i grzbiet potężny gruntu istnieje, i kształty tęgie a trwałe przedmiotów istnieją. I te to właśnie formy naturalne, które zaledwie w ciągu tysięcy wieków lub wskutek przewrotów okropnych mogłyby uledz przemianie, impresyonizm poświęcił wytwornym, czarującym, lecz zmiennym wrażeniom światła, efektom znikomym, które jedna chwila wywołuje lub rozprasza. Rozsądek naprowadza na myśl, iż malarstwo, uganiając się wciąż i wyłącznie za tymi ulotnymi i złudnymi odcieniami światła, sczeznie w próżni. Potrzeba mu podwaliny mocniejszej i podpory pewniejszej. Ostatecznie formy indywidualne warte są też obserwacyi i studyów". „To też młodzi malarze, zresztą już dziś liczni, przyswoiwszy sobie dorobek nowej szkoły, polegający na uważnem przypatrywaniu się grze refleksów i harmonii otoczenia, powracają do ścisłej nauki formy i do dawnego sposobu przyciemniania obrazów, który dla oka stanowi niejako wypoczynek po wybrykach impresyonizmu.... I reakcya zarysowuje się widocznie..."

Tak we Francyi, gdzie sztuka rozwija się stale i przechodzi z jednej formy w drugą naturalnie. Inaczej u nas, gdzie grunt pod wytwórczość artystyczną jest zaledwie przez jednostki przygotowany, a sztuka żyje od człowieka do człowieka, od osobnika gienialnego do naśladowcy bezmyślnego, od porywu samorzutnego do mody bieżącej.

Moda impresyonizmu zaczyna gdzieindziej przechodzić. My ją w tej chwili, a z drugiej ręki, podejmujemy i, niebaczni na cechy kultury swoistej, do sztuki wprowadzamy. Jakie ona, szczepiona sztucznie na pędach naszego temperamentu, owoce wydała, pozwolę sobie pokazać na przykładach, a tych, dzięki tak zwanej „szkole krakowskiej", już dziś nie brak.

(d. n.)

Antoni Sygietyński.

KRONIKA EKONOMICZNA.

Zwrot pomyślny w sytuacyi na rynku pieniężnym. — Zbrojenia morskie. — Nowe plany powiększenia marynarki we Francyi i w Niemczech; koszta, łożone na te zbrojenia; próżność wysiłków niesienia zbrojnej opieki w razie wojny; polityka kolonialna.

Giełda tryumfuje! W styczniu nastąpiło ogólne w Europie zachodniej obniżenie stopy procentowej, i natychmiast zapanowało ożywienie w handlu akcyami, znikły wszelkie obawy, i głosy, ostrzegające przed zbytnią wiarą w nieprzerwanie pomyślny bieg interesów, poszły w zapomnienie. Ten zwrot pomyślny nastąpił wszakże kosztem bardzo poważnych strat, które ponieśli ci, co zbytnio wierzyli w dawniejsze prognostyki nieprzerwanego rozwoju. Lecz z tem giełda się nie liczy. Ostatniego w szeregu psy gryzą, trzeba dbać o to, by nie być ostatnim, i kwita! Tymczasem jednakże ten zwrot świadczy o tem, że punkt kulminacyjny pomyślnej konjunktury nie został osiągnięty, i możemy liczyć na nowy rozmach machiny produkcyjnej, którego starczyć może nie tylko na rok, lecz na kilka lat nawet. Wszakże o groźnej nauce, jaką dały ostatnie miesiące roku zeszłego, należałoby nie zapominać. Zjawiska, jakie zachodziły na rynku pieniężnym, były aż nadto wyraźną wskazówką, że kocieł pod tą machiną pracuje z całem natężeniem, a w takim razie obawa eksplozyi nie zostaje usuniętą przez chwilowe obniżenie

ciśnienia. Spekulacya rozproszyła się i dała pobudkę do naprężenia sił produkcyjnych; część spekulantów słabszych została przywołaną do porządku przez podniesienie dyskonta, które uniemożliwiło im dalsze operacye zwyżkowe, ale spekulacyi nie usunięto, usunąć jej niepodobna. Produkcya będzie się rozwijać w dalszym ciągu, lecz bez granic rozwijać się nie może w tym tempie, co w latach ostatnich. Położenie zaś jest tem groźniejsze, że giełda świata, Londyn, nie może spokojnie patrzeć w przyszłość. Wprawdzie rozprawy parlamentu w pierwszych dniach lutego wykazały, że opozycya sił nie ma, że nikt nie przeszkodzi bohaterom giełdy, panom Chamberlain i Balfour, wyciskać ostatnie siły narodu, aby prowadzić dalej najbardziej bezecną wojnę bieżącego stulecia. Nie omylimy się nawet, twierdząc, że względy na stan interesów giełdowych powstrzymywały polityków liberalnych od zajęcia stanowiska, bardziej zgodnego z programem partyi. Wojna więc będzie prowadzona dalej i, być może, teraz, kiedy pan Chamberlain i kompania nie potrzebują naglić wodzów o zwycięstwo, któreby utrwaliło stanowisko rządu, będzie ona prowadzona z większą oględnością, a więc z większymi widokami na zwycięstwo oręża angielskiego. Prawdopodobniejszem wszakże jest, że nastąpią dalsze jeszcze porażki zdemoralizowanej już armii, a w takim razie nikt przewidzieć nie może, czy ów „spokój publiczności angielskiej, godny podziwu" da się utrzymać nadal, czy nie nastąpi czasem tem większe, bo długo tajone, zaniepokojenie, które spowodować może w pierwszym lepszym dniu straszną i niszczącą panikę giełdową, spadając, jak piorun z jasnego nieba.

Jasno już teraz zarysowały się plany zbrojeń morskich w dwu militarnych państwach, w Niemczech i we Francyi. Rząd Rzeczypospolitej domaga się kredytu na wybudowanie 6 pancerników, 5 krzyżowców pancernych, 112 torpedowców, 28 statków, przeznaczonych do ścigania torpedowców, i 26 statków podwodnych. Okręty mają być wybudowane do roku 1907, i koszt budowy obliczono tymczasem na 476 milionów franków, która to suma, jak zwykle okaże się w końcu za małą. Prócz tego zażądano znacznych sum na wzniesienie nowych fortyfikacyi morskich w Marsylii i Beserta oraz wzniesienie nowych fortyfikacyi w punktach, ważnych dla obrony kolonii, w Saigon, Dakar i t. d. Ogólna suma tych wydatków ma wynosić 900 milionów franków i ma zostać pokrytą z kredytu rocznego 107 milionów rocznie. Ten krok ministeryum francuskiego został bez kwestyi spowodowany przedewszystkiem fantastycznymi

planami cesarza Niemiec o budowie marynarki pierwszorzędnej; gdy wszakże rząd francuski może wobec stanu swoich finansów liczyć na pokrycie tych znacznych wydatków z dochodów regularnych, rząd niemiecki widzi przed sobą dla urzeczywistnienia zamiarów cesarskich tylko drogę olbrzymiej pożyczki. W Niemczech chodzi o budowę 11 okrętów pancernych, 8 wielkich i 16 mniejszych krzyżowców; okręty te mają być wykończone do roku 1916. Prócz tego jednakże do tego czasu mają być wykończone okręty, przeznaczone na zastąpienie starych, co postanowił już parlament w roku 1898, a mianowicie: 17 pancerników, 10 krzyżowców większych i 29 mniejszych. Prócz tego mają być wybudowane dywizye torpedowców, co rok po jednej dywizyi. Jakie będą koszta budowy? Okręt pancerny kosztuje, według obliczeń tymczasowych ministeryum marynarki, 25 milionów marek, wielki krzyżowiec 18 milionów, mniejszy 5,5 milionów, dywizya torpedowców 6 milionów. Zauważyć tu należy, że koszta te jeszcze w roku 1898 obliczano znacznie niżej, 20 milionów bowiem za pancernik, 15 milionów za większy i 4,6 milionów za mniejszy pancernik. Podwyższenie to nastąpiło wskutek podrożenia żelaza i stali oraz wskutek zmian w konstrukcyi i w uzbrojeniu. Przyjąwszy więc te cyfry, otrzymujemy sumę 1271,5 milionów marek na koszta budowy.

Nie od rzeczy będzie zaznaczyć, że te kosztowne machiny, mają żywot bardzo krótkotrwały. Według normy, prawnie przyjętej w Niemczech, okręt pancerny musi zostać zastąpiony przez nowy po latach 25, krzyżowiec większy po latach 20, mniejszy po latach 15. Ponieważ marynarka niemiecka po doprowadzeniu do stanu zamierzonego w roku 1916 ma liczyć okrętów pancernych 38, krzyżowców większych 20, a mniejszych 45, trzeba dla ustalenia tej liczby budować rocznie $\frac{38}{25} = 1{,}52$ pancernika, $\frac{20}{20} = 1$ wielki krzyżowiec, $\frac{45}{15} = 3$ małe krzyżowce, co uczyni wydatek stały roczny 72,5 milionów marek. Lecz to są wydatki li tylko na budowę okrętów; wybudowane potrzebują załogi, węgla, nakładu na utrzymanie. Wydatki tedy, które mają być ponoszone corocznie na budowę nowych okrętów i inne wydatki, oblicza ministeryum w sposób następujący:

w roku 1900 —	152,390,000 marek	w r. 1902 —	325,990,000 marek
„ 1901 —	217,090,000 „	„ 1903 —	234,770,000 „

w roku 1904 — 243,420,000 marek		w r. 1913 — 308,810,000 marek	
„ 1905 — 251,950,000 „		„ 1914 — 311,820,000 „	
„ 1906 — 260,360,000 „		„ 1915 — 317,700,000 „	
„ 1907 — 268,640,000 „		„ 1916 — 323,460,000 „	
„ 1908 — 276,800,000 „		„ 1917 — 325,990,000 „	
„ 1909 — 284,830,000 „		„ 1918 — 331,390,000 „	
„ 1910 — 292,740,000 „		„ 1919 — 336,670,000 „	
„ 1911 — 296,200,000 „		„ 1920 — 341,830,000 „	
„ 1912 — 302,220,000 „			

A więc od roku 1901 do 1920 państwo niemieckie ma wydać na marynarkę 5,773,600,000 marek, z czego 2,396,000,000 kosztu powstaje wskutek zamierzonego powiększenia liczby okrętów.

Ze spisu ludności roku 1895 wiadomo, że w rolnictwie, handlu i przemyśle jest czynnych 19 milionów ludzi. Oni z zarobków swoich utrzymują kobiety, dzieci i starców oraz całą falangę wojskowych i urzędników, oni też pracą swoją wytwórczą dają państwu możność pokrywania swoich wydatków. Na ich więc barki spada i ten ciężar nowy. Te 19 milionów poniosą więc na głowę w ciągu najbliższych lat 20 marek 304, a przyjąwszy pomnożenie ludności, około 300 marek, czyli po 15 marek rocznie. Czy nie zadużo?

Przytem pamiętać należy, że rywalizacya wzajemna nie dopuści nigdy do tego, aby obecne ustosunkowanie sił zbrojnych uległo zmianie, a ten szalony wyścig nakłada na państwa ciężary olbrzymie. Podajemy tu cyfry ogólnego budżetu marynarki w głównych państwach, jaki notuje czasopismo „Marinerundschau", przyczem w rubryce *a* są zawarte wydatki ogólne, w rubryce *b* wydatki na budowę i uzbrojenie nowych okrętów, wszystko w milionach marek.

	w roku 1897		w roku 1898	
	a	b	a	b
Anglia	450	250	580	370
Francya	202	94	230	121
Rosya	223	74	260	120
Niemcy	118	49	122	51,4
Stany Zjednoczone .	138	55	338	219
Japonia	147	128	180	150
Włochy	82	37	82	44
Austrya.	23	6	25	6

W jakim celu państwa ponoszą te olbrzymie wydatki na cele nieprodukcyjne, tembardziej nieprodukcyjne, że, jak zaznaczyliśmy,

wydatki, łożone na budowę okrętów wojennych, są najoczywistszą stratą wobec krótkiego czasu, przez jaki te okręta są zdatne do użytku? Ochrona wybrzeży musi być zapewnioną bez kwestyi, lecz w nowych planach niemieckich i francuskich już nie o to chodzi: wysuwa się tu na pierwszy plan obrona „interesów zamorskich", opieka, jaką nieść trzeba handlowi. Jednakże pierwsze twierdzenie jest bezwarunkowo sofizmatem. Handel potrzebuje o tyle tylko opieki zbrojnej, o ile chodzi o stosunki handlowe z ludami barbarzyńskimi lub półcywilizowanymi, a na to obecne siły aż nadto starczą; o ile zaś handel ten odbywa się pomiędzy krajami cywilizowanymi, to w czasie pokoju żadna nie zachodzi potrzeba ochraniania okrętów handlowych, gdyż na szczęście dla ludzkości rozbójnictwo morskie przestało grozić marynarzom. W czasie zaś wojny przy dzisiejszym stanie techniki wojennej wszelki handel morski ustać musi. W przyszłej wojnie morskiej— na to dziś zgodzono się powszechnie — każda ze stron walczących będzie dążyła w pierwszej linii do zniszczenia handlu przeciwnika; torpedowce i krzyżowniki będą statkami pirackimi, będą zabierały i topiły każdy okręt handlowy pod banderą przeciwnika. Ochronić zaś własnych okrętów żadne z państw nie jest w stanie. Jan Bloch w trzecim tomie swego dzieła „Wojna przyszłości" przytacza zdanie powag angielskich. W czasopiśmie swojem „Naval Annual" admirał Brassey przytacza orzeczenie kolegi swego admirała Greigh: „Odrzucam bezwarunkowo myśl, aby nasze statki handlowe mogły grać jakąkolwiek rolę w razie wojny. Od czasu, kiedy pełnię funkcyę w zarządzie marynarki, przekonałem się, do jakiego stopnia trudno bywa nawet w czasie pokoju skoncentrować siły zbrojne w jakimkolwiek punkcie, gdy chodzi o to, aby marynarka spełniła swą powinność. Twierdzę stanowczo, że nasza marynarka nigdy nie będzie w stanie nieść pomocy dostatecznej statkom handlowym w czasie wojny." Admirał zaś Colombe, autor specyalnego dzieła „O ochronie komunikacyi morskiej", dochodzi w tem dziele do wniosku, „że obecnie nikt nie ma jasnego pojęcia, a tembardziej nie może być mowy o jakiejkolwiek decyzyi, czy dla ochrony handlu morskiego należy starać się oczyścić morza od krzyżowników nieprzyjacielskich, czy urządzić konwoje statków handlowych, czy chwycić się jakiegokolwiek innego środka"; zresztą powiada on w końcu: „jest to rzeczą obojętną, i położenie jest takie, że wobec strasznych niebezpieczeństw, jakie grożą od napaści krzyżowców i torpedowców, żaden statek kupiecki w czasie wojny nie opuści portu." Po wszechstronnem rozpatrzeniu

tej sprawy Bloch dochodzi do wniosku, że każda z potęg morskich rozporządza dostatecznymi środkami zniszczenia, by zburzyć handel swego przeciwnika, natomiast ochronić swego handlu nie jest w stanie nawet królowa mórz, Anglia. A więc—skoro wybuchnie wojna, handel państw, zamieszanych w walkę na morzach zostanie bezwarunkowo przerwany. To zaś byłoby klęską najstraszniejszą, gdyż dla wszystkich państw zachodniej Europy oznacza to, po pierwsze, przerwanie wszelkiej działalności przemysłowej, a więc bezrobocie dla milionów robotników, a co gorsza—oznacza zatamowanie dowozu żywności, którego ludność potrzebuje bezwarunkowo, ponieważ ani w Niemczech, ani we Francyi, ani we Włoszech, a tembardziej w Anglii nie sposób wyżywić dziś ludność plonem krajowej produkcyi rolniczej.

Istnieje tylko jedna możność zażegnania tych klęsk — porozumienie międzynarodowe. A dodać należy, że, co do zbrojeń morskich, porozumienie takie jest najbardziej możliwe. Skoro wojna morska jest klęską bezmierną dla wszystkich państw, konieczność sama zmusiłaby je do uszanowania raz zawartego układu; z drugiej zaś strony wystarcza przyjęcie jednego tylko postulatu, by uczynić zbytecznemi wszelkie usiłowania, skierowane do zbrojnej ochrony handlu morskiego, postulatu, że wszelka własność prywatna na morzu jest nietykalną. Pomimo wszelkich sofizmatów krzykaczy szowinistycznych, ten postulat w końcu musi zostać uznany; inaczej cała kultura świata cywilizowanego jest narażona na najokropniejsze niebezpieczeństwo.

Co do drugiego mniemalnego powodu, konieczności zbrojeń — potrzeby utrzymania i rozszerzania posiadłości kolonialnych—jest on nie mniej sofistycznym. Zwolennicy polityki zaborczej twierdzą, że posiadanie kolonii jest koniecznem dla państw przemysłowych, gdyż trzeba otworzyć upust, dokądby mogła wysiedlać się ludność, której staje się ciasno w skutek nadmiernego rozmnożenia, a powtóre, trzeba zapewnić sobie rynki zbytu. Lecz już pierwsze twierdzenie trudno pogodzić z faktem zastoju we wzroście ludności Francyi i z faktem braku rąk roboczych w rolnictwie, który stanowi palącą dziś kwestyę w Niemczech i u nas. Nie dosyć na tem: dziś rozlegają się skargi na brak ludzi w przemyśle nawet, np. w kopalniach, co zaznaczono na zjeździe górników w Warszawie i świeżo w sejmie pruskim. Odpowiedzą nam, że to stan wyjątkowy, który minie, gdy minie ożywienie

przemysłowe. Lecz czyż w takim razie nie byłoby racyonalniej dążyć do unormowania stosunków, przy których peryodycznie miliony ludzi zdolnych do pracy bywa skazanych na próżnowanie wskutek stagnacyi, a potem brak znów rąk dla wytwarzania dostatecznej ilości towarów, niż uganiać się za opanowaniem coraz nowych przestrzeni na kuli ziemskiej, aby tam wytworzyć znów te same stosunki ekonomicznego bezładu?

Przytem argumentacya o koloniach, jako o nowych rynkach zbytu, jest przesadną. Powołują się tu chętnie na przykład Anglii Anglia ma — powiadają—najbardziej rozwinięty handel i przemysł dlatego, że ma odbyt zapewniony w swoich koloniach. Cyfry wszakże uczą zgoła czego innego. Podajemy cyfry ogólnego wywozu Anglii i wywozu do kolonii w milionach funtów sterlingów za okres czasu od roku 1888 — 1898:

	wywóz ogólny	wywóz do kolonii.
1888	299,0	91,7
1889	315,6	90,8
1890	328,3	94,5
1891	309,1	93,3
1892	291,7	81,2
1893	277,1	78,6
1894	273,8	78,6
1895	285,8	76,1
1896	296,4	90,7
1897	294,2	87,0
1898	290,0	90,0

Z cyfr tych wynika przedewszystkiem, że kolonie nie są ani decydującym, ani nawet najważniejszym czynnikiem dla handlu i produkcyi Anglii, zaledwie trzecią część swego wywozu Anglia lokuje w koloniach. Przytem należy zwrócić uwagę, że towary, wywiezione do kolonii, nie wszystkie są pochodzenia angielskiego. W handlu bowiem z temi koloniami francuscy, belgijscy i niemieccy producenci z rozmaitych względów wolą wysyłać swoje towary do portów angielskich, a nie z portów ojczystych. Czy Anglia, gdyby nie była posiadała oddawna swoich kolonii, stała się takiem środowiskiem przemysłu handlu, to inna kwestya. Chodzi o to, że dziś jej potęga handlowa opiera się po części już tylko na posiadaniu tych kolonii.

Rzecznicy polityki kolonialnej wogóle zapominają, a przynajmniej udają, że zapominają, o nader ważnej kwestyi, mianowicie o tem, że utrzymanie kolonii w dzisiejszych cza-

sach nakłada na metropolię znaczne ciężary. Angielskie kolonie o ile nie posiadają samorządu, przyprawiają państwo co rocznie o znaczne wydatki na administracyę, a we wszystkich koloniach metropolia ponosi wydatki na utrzymanie siły zbrojnej. Francya wydaje rocznie na utrzymanie swoich (wraz z Algeryą) 150 milionów franków, podczas gdy handel wywozowy z temi koloniami wynosi zaledwie 120 — 140 milionów franków. Holandya ponosi na wydatki kolonialne przeszło 16 milionów guldenów holenderskich, co przy ludności 5 milionów jest wydatkiem znacznym. Niemieckie kolonie, nie przedstawiające żadnej wartości, przyczyniają wydatku 16 milionów marek, a jak zaznaczyliśmy już, cały handel wywozowy i przywozowy nie dorównywa tej sumie. Te wydatki bezpośrednie stanowią wszakże zaledwie cząstkę ciężaru, skoro wydatki miliardowe na cele powiększenia sił zbrojnych morskich są motywowane koniecznością ochrony kolonii.

Zresztą — wszystko to już było. Przed stu z góry laty Adam Smith pisał: „Na pierwszy rzut oka zdawaćby się mogło, że tworzyć wielkie państwo w tym jedynie celu, aby pozyskać cały naród konsumentów, jest przedsięwzięciem, nadającem się li tylko dla narodu, składającego się z przekupniów. Jednakże w rzeczywistości jest to przedsięwzięcie, zgoła nie ponętne dla takiego państwa przekupniów, natomiast bardzo ponętne dla państwa, którego rząd ulega wpływowi przekupniów. Mężowie stanu w takiem państwie, ale też tylko w takiem, mogą zdobywać się na pomysł szafowania krwią i dobytkiem swych współobywateli, aby zdobywać podobne państwa. Powiedz jakiemu kramarzowi: „Kup mi dobra ziemskie, a zobowiązuję się nabywać suknie tylko w twoim kramie, nawet, gdybym musiał za takowe płacić drożej, niż u twego konkurenta“,— ręczę, że kramarz nie bardzo pochopnym będzie do zgodzenia się na taką tranzakcyę. Lecz, gdyby jakaś osoba trzecia zechciała kupić tobie dobra ziemskie, to kramarz byłby bardzo wdzięcznym swojemu dobroczyńcy, gdyby ten postawił, jako warunek, że będziesz suknie swoje kupował tylko w sklepie kramarza.”

Dzisiejsi mężowie stanu — „szafują krwią i dobytkiem swoich współobywateli” w celu dogadzania „kramarzom“, albo, jak powiemy dzisiaj, reprezentantom kapitału. Czyżby byli pod wpływem kramarzy? *J. B. M.*



Rozbiory i Sprawozdania.

Pamiętniki Stanisława Niemojewskiego, 1606—1608, wydał Aleksander Hirschberg. Lwów 1899.

Ze słowa wstępnego wydawcy dowiadujemy się, że autor pamiętnika pochodził z zamożnej rodziny Niemojewskich, herbu Rola, osiadłej w województwie Pomorskiem. Pierwotnem gniazdem tej rodziny był Lubieniec, wieś, położona w ówczesnym powiecie przedeckim. Stąd najpóźniej w połowie wieku XVI przeniosła się jedna gałąź tej rodziny na Pomorze, do Łowireka w powiecie świeckim, w pobliżu wielkiej puszczy tucholskiej. Zdaje się, że Niemojewscy wówczas już musieli się odznaczać pewną zamożnością, skoro niebawem wchodzą w koligacye z najznakomitszemi z rodzin senatorskich. I tak Jan, syn Macieja, który pod koniec życia (w r. 1611) został kasztelanem chełmińskim, ożenił się z Katarzyną, córką Stanisława Kostki, wojewody pomorskiego. Jedna z córek jego wyszła za Kaspra Rozrażewskiego, kasztelana śremskiego, inna była za Krasińskim, kasztelanem ciechanowskim. Synowie jego również piastowali godności senatorskie, a najmłodszy z nich Maciej, przenosząc się na coraz wyższe dostojeństwa, w końcu został wojewodą

pomorskim. Jednym ze starszych jego braci był Stanisław, autor „Pamiętnika”.

Urodził się on około r. 1560 i zapewne najprzód w kraju pobierał nauki, a następnie kształcił się we Włoszech. W wieku XV tysiące młodzieży polskiej udawały się w tym celu do Padwy. Między innymi kształcił się tam także Maciej Niemojewski, brat Stanisława. O innym z jego braci, Jerzym, wiemy z napisu, umieszczonego na grobowcu jego w Starogrodzie, że również przez dłuższy czas bawił we Włoszech. Prawdopodobnie i Stanisław musiał tamże pobierać nauki. Przemawia za tem niezwykłe jego wykształcenie, mające wybitne cechy zachodnio-europejskie, i niektóre ustępy jego „Pamiętnika”, świadczące, że język włoski nie był mu obcym.

Wróciwszy do kraju, zapewne wkrótce został jednym z dworzan królewskich, już w styczniu bowiem r. 1589 wysłał go Zygmunt, jako posła swojego, na sejmik generalny pruski, zebrany z początkiem lutego t. r. w Malborgu. Podobną misyę otrzymał on także w r. 1596. Zdaje się, że musiał on częściej odbierać podobne polecenia i zapewne pomyślnie z nich wywiązywał się, ponieważ w nagrodę za to i dzięki niezwykłym jego zdolnościom i wykształceniu zamianował go Zygmunt wielkim podstolim koronnym. W roku 1606 zaszedł wypadek, który naraził go na niezwykłe i bardzo ciężkie przejścia i przygody. Z początkiem stycznia t. r. przybył do Krakowa Jan Buczyński, sekretarz cara moskiewskiego Dymitra, który, jak wiadomo, odznaczał się zamiłowaniem w zbieraniu drogich kamieni i przeróżnych kosztowności. Buczyński ogłosił, że, jeżeliby kto miał klejnoty na sprzedaż i udał się z nimi do Moskwy, to car je nabędzie, nagradzając hojnie właścicieli. Na wiadomość o tem wielu kupców z Krakowa i Lwowa ruszyło do Moskwy. Pociągnął za nimi Cellari z dalekiego Medyolanu i kilku bogatych złotników z Augsburga.

Dowiedziała się także o tem Anna, siostra Zygmunta III, która miała bardzo piękny zbiór klejnotów, oceniany przez współczesnych na 200,000 talarów. Postanowiła ona również skorzystać ze sposobności i przynajmniej część ich sprzedać carowi. Jako siostrze króla, nie wypadało jej, nawet w sposób poufny, wystąpić z taką propozycyą; przeto postanowiła powierzyć sprawę człowiekowi zaufanemu, któryby, ofiarując nabycie klejnotów carowi, nazwisko właścicielki w ścisłej zachował tajemnicy. Wybór jej padł na Stanisława Niemojewo, ktskiegóry już wówczas znanym był ze swoich niepospolitych przymiotów rozumu i charakteru. Pan Podstoli podjął się

chętnie tej misyi i z początkiem marca t. r. wraz z piętnastu domownikami wybrał się w drogę do Moskwy. Pomiędzy klejnotami, które mu powierzyła królewna szwedzka, szczególną pięknością miały się odznaczać niektóre dyamenty, perły i rubiny. Ogólną ich wartość oceniano na 70 tysięcy złotych. Kosztowności te wiózł Niemojewski, owinięte w „pstrą" materyę jedwabną, w osobnej skrzyneczce żelaznej, zielono malowanej.

W połowie kwietnia w pobliżu Orszy połączył się Niemojewski z Maryną i jej ojcem, którzy właśnie wówczas jechali do Moskwy, i odtąd już razem z nimi dalszą podróż odbywał. Na dworze moskiewskim jak najlepszego doznał przyjęcia. Miał udział we wszystkich uroczystościach ówczesnych, a nawet nieraz z samym Dymitrem wcale poufale rozmawiał. Wieczorem dnia 26 maja wręczył mu ową szkatułkę z klejnotami. Car oglądał je przy nim, porównywał ze swoimi, a w końcu kazał mu je u siebie zostawić, aby tem dokładniej się im przypatrzyć. Ale szczęście, powiada Niemojewski, mało mu szczęścia do tego użyczyło, bo najdalej w ośm godzin potem gardło dał, czego się Boże pożal.

Nazajutrz o świcie wybuchło powstanie w Moskwie. Na odgłos dzwonów tłumy ludu, podburzone przez spiskowych, rzuciły się na dwory, zajęte przez panów polskich, a równocześnie setki sprzymierzonych wpadły do Kremlu i po krótkiej walce zamordowali Dymitra. W rzezi, która miała miejsce, zginęło około 500 Polaków. Liczba ich nierównie byłaby większą, gdyby bojarowie po zabiciu samozwańca nie byli się rozbiegli po mieście i motłochu od dalszych napadów nie powstrzymywali. Nowy car niebawem odesłał do granicy część Polaków, pozostałych w Moskwie, a mianowicie: służbę i żołnierzy, ale wszystkich znakomitszych zatrzymał, spodziewając się, że w zamian za wypuszczenie ich na wolność tem korzystniejsze warunki pokoju uzyska od Rzeczypospolitej. Dnia 8 sierpnia wysłano księcia Konstantego Wiśniowieckiego do Kostromy, w tydzień potem wyprawiono Tarłów do Tweru, a z końcem tegoż miesiąca Marynę, ojca jej, brata i stryjów do Jarosławia.

Dnia 14 sierpnia wywieziono także Niemojewskiego wraz z dwoma Stadnickimi w partyi, która się składała ze 160 ludzi. Zesłano ich naprzód do Rostowa, a następnie, w trzy miesiące później, nad Białe Jezioro. Pobyt ich w tej ostatniej miejscowości był nadzwyczaj smutny. W takich nieszczególnych warunkach minął im rok 1608 i pierwsza połowa następnego. Wreszcie, dnia 7 czerwca, zabłysła im nadzieja lepszej przyszłości, gdyż trzech najznakomitszych więźniów, a między nimi Niemojewskiego, wezwano do

Moskwy, gdzie miano im wolność ofiarować. Jeszcze w lipcu 1607 r. wysłał Zygmunt III dwu posłów do Moskwy: Witkowskiego i Sokolińskiego, którym polecono najusilniej domagać się uwolnienia wszystkich Polaków, uwięzionych przez Szujskiego. Przez czas długi trwały spory ich i rokowania z bojarami moskiewskimi. W końcu zawarto d. 23 lipca 1608 r. rozejm czteroletni, w którym car zobowiązał się najdalej do 8 października t. r. odstawić do granicy wszystkich Polaków, zatrzymanych w Moskwie.

Jeszcze przed zawarciem tego rozejmu, dnia 10 czerwca wyjechał Niemojewski z Białozierska wraz ze swoimi towarzyszami. Najprzód płynęli na łodziach Białem Jeziorem i rzekami Szeksną i Wołgą aż do Romanowa. Skąd następnie na podwodach mieli dalszą podróż odbywać. Tutaj jednak spotkał się z nimi goniec carski z poleceniem, ażeby zamiast do Moskwy udali się do Wołogdy i zatrzymali się tamże aż do dalszego ukazu. Właśnie bowiem wówczas wojska drugiego Dymitra Samozwańca tak ściśle ze wszystkich stron otoczyły stolicę, iż przejazd do niej miał się okazać niemożliwym. Niemojewski i jego towarzysze starali się oprzeć wykonaniu tego rozkazu, atoli wszelkie ich prośby i przedstawienia zupełnie były bezskuteczne. Musieli więc znowu wsiąść na łodzie i tą samą drogą napowrót udać się na wygnanie. Zawieziono ich nie do Wołogdy, lecz aż do wsi Iwaczewa, tylko o cztery mile oddalonej od Białego Jeziora. Po całomiesięcznym pobycie w tej wiosce znowu nadszedł ukaz, żeby ich przewieziono do Moskwy.

Podróż ta odbywała się dość szybko. Dnia 11 sierpnia wyjechali z Iwaczewa, 18 t. m. przybyli do Rostowa, a 23 do stolicy. Tutaj ich znowu zatrzymano przez kilka miesięcy i dopiero wówczas odstawiono do granicy, kiedy uroczyście się zobowiązali, że nie przyłączą się do wojsk polskich drugiego Dymitra. Przez cały ten czas rodzina Niemojewskiego żadnych nie miała wiadomości. Jakkolwiek powątpiewała nawet o jego życiu, to jednak nie zapomniano o nim w kole rodzinnem i starano się, o ile możności, ułatwić mu powrót do kraju. Wysyłano mu też pieniądze przez posła Sokolińskiego, aby mu na możliwych wygodach nie zbrakło.

Bawiąc w Moskwie, kilkakrotnie dopominał się pan Podstoli o zwrot klejnotów, zabranych mu po zabiciu Dymitra. Szujski wprawdzie nie uczynił zadość temu żądaniu, atoli kiedy i posłowie polscy o nie się upomnieli, kazał je wydać za osobnym kwitem, przez nich wystawionym. Opis tego kwitu doręczono Niemojewskiemu. Z powrotem do gniazda rodzinnego zakończył się w życiu Niemojewskiego okres, obfitujący w ciekawe przejścia i przygody.

O dalszych też jego losach nie wiele pozostaje do powiedzenia. W dwa lata później ożenił się Niemojewski z Zofią, córką Andrzeja Czarnkowskiego, wojewody kaliskiego. Na sejmie warszawskim w r. 1613 wybrano go z „Koła polskiego" jednym z komisarzy, mającym ułożyć się z wojskiem skonfederowanem o wypłatę żołdu zaległego. Czynności tej komisyi trwały od 20 lutego do 7 maja roku następnego; za usługi, oddane wówczas Rzeczypospolitej, otrzymał dwa starostwa w zastaw, a mianowicie: miedzyteskie i rogozińskie.

W r. 1615 został Niemojewski kasztelanem elbląskim, a w trzy lata później, po śmierci ojca, kasztelanem chełmińskim. Z powodu tych zalet niepospolitych, tak na dworze królewskim, jak w ogóle u współczesnych, niezwykłem cieszył się powodzeniem. Był to pan, pisze Niesiecki, pięknych przymiotów, rozsądku wybornego. Pomiarkowany w pasyach, wspaniałości umysłu, żadną przygodą nie poniżonej, daleki od pychy, a w fortunę obfitujący. Umarł w r. 1690. Wspomnienia swe zaczął spisywać Niemojewski od przejazdu granicy moskiewskiej, t. j. od 18 kwietnia r. 1606, notując prawie dzień za dniem ważniejsze spostrzeżenia i wiadomości o wypadkach współczesnych. Zapiski te opracował, jak sam powiada, już w miesiącu styczniu r. 1607 i dodał do nich opis kraju, jako też zwyczajów i urządzeń ówczesnych w Moskwie. Później, w ciągu długiego pobytu swojego na wygnaniu, udało mu się zebrać jeszcze wiele innych wiadomości o obyczajach i stosunkach ówczesnych w państwie moskiewskiem, tak na podstawie własnych doświadczeń, jak opisów innych towarzyszów niedoli. Nowych tych epizodów przybyło tak wiele, iż zapewne z tego powodu opracował on na nowo swój pamiętnik, uzupełnił swe własne wspomnienia, zmienił jego układ i doprowadził do dnia 2 października 1608 r.

Wiadomości, podane przez Niemojewskiego, zdaniem p. Hirschberga, tem większą mają wartość, że skreślił je człowiek wykształcony, obdarzony sądem wytrawnym i niezwykłą bystrością umysłu. Pamiętnik Niemojewskiego jest też źródłem nader cennem, odznacza się bowiem niezwykłą dokładnością i obfitością szczegółów, w nim zawartych. Pod tym względem do najważniejszych należą ustępy: o dochodach i wydatkach skarbu carskiego, o sposobie prowadzenia wojny, uzbrojeniu i organizacyi wojska, o dworach bojarów znakomitszych i gospodarstwie wiejskim, o urządzeniu poczt, wreszcie opis zwyczajów patryarchalnych, panujących na dworze carskim, i obyczajów ówczesnych w ogóle.

W ogóle pamiętnik Niemojewskiego należy zaliczyć do bardzo cennych nabytków dla literatury naszej, i panu Hirschbergowi winniśmy wdzięczność za tak ciekawę i staranne wydawnictwo. Opisy bowiem Niemojewskiego zadziwiają nas swą barwnością, która nie przechodzi nigdy w rubaszną przesadę, i swą dokładnością która nam daje niekiedy wyborne obrazy państwa Moskiewskiego. Natura, obyczaje, przemysł, stan społeczny, polityczy, odtworzone zostały przez Niemojewskiego w sposób tak żywy i pouczający zarazem, że niekiedy czytelnik wspomni sobie, czytając jego pamiętnik, niezapomnianego J. Chryzostoma Paska. Dla naszej historyi pamiętnik Niemojewskiego nie będzie również bez znaczenia. Szczegolniej ważnymi są spory o tytuły, które się wszczęły między Carem Samozwańcem a posłami polskimi. Sam Car utrzymywał: nie jesteśmy Kniaź, nie jesteśmy Hospodar, nie jesteśmy Car, ale jesteśmy Imperator na swoich szerokich państwach, a bierzemy się za ten tytuł, którzy mamy od Boga samego i zażywamy tego tytułu nie słowy, jako inszy czynią, ale rzeczą samą. Nie tylko Kniaziów albo Hospodarów, lecz z łaski Bożej i Królów pod sobą mamy którzy nam służą i nikogo sobie w porównaniu równych, być w tych północnych krajach nie widzimy i mieć nie chcemy i nikt w onych nie rozkazuje, jeno wprzód pan Bóg, a potem my sami. Posłowie polscy wobec tych uroszczeń trudną mieli sprawę, ale wywiązali się zawsze z godnością.

A. R.

Herold Polski. Czasopismo naukowe illustrowane, poświęcone heraldyce i sfragistyce polskiej, wychodzące w zeszytach kwartalnych. (Redaktor odpowiedzialny: Profesor Piekosiński. Kraków 1897).

Należy poświęcić wspomnienie wydawnictwu naukowemu peryodycznemu, na którego czele stanął prof. Piekosiński, a które, powstawszy w 1897 roku, już w r. 1899-tym, przyczyniwszy swemu redaktorowi dużo kłopotów, istnieć przestało. W przedmowie swej do powyższego wydawnictwa prof. Piekosiński nieco chaotycznie i odbiegając od głównego zadania opowiada o celach, do których Herold zdążać zamierza. Głównem zadaniem, o ile autora i redaktora wyrozumieć zdołałem, było wydanie przewodnika heraldycznego, który miał już prawie ukończony. Ale wygotowanie takiej olbrzymiej liczby (kilkuset) rysunków herbów polskich wymagało zwłoki. Rozpoczęto więc druk herbarza szlachty litewskiej Koja-

łowicza, znajdującego się w Zbiorach ks. Czartoryskich w Krakowie.

Oprócz tego znajduje się w Heroldzie dział p. t. Rozmaitości, w którym to prof. Piekosiński podaje ciekawe, a nieraz bardzo cenne, szczegóły heraldyczne. W pierwszych zaraz Rozmaitościach spotykamy interesującą wiadomość o Herbarzu Jana Karola Dachnowskiego, znajdującego się w rękopisie w jednym z księgozbiorów w Krakowie. Herbarz powyższy posiada ciekawy tytuł, który brzmi jak następuje: Poczet możnego rycerstwa Polskiego, w którym dawnych Bohaterów Sarmackich odważne dzieła y krwią nieprzyjacielską rysowane, w pokoju klejnoty, tudzież y domów polskich genealogie przez I. K. Dachnowskiego herbu Ślepowron. Prócz tego, w tychże samych Rozmaitościach znajdują się ciekawe uwagi o kamieniach ulszyńskich, o których ówczesne pisma podały różnorodne wiadomości.

W następnych Rozmaitościach znajduje się pouczający rozdział o najstarszych pieczęciach szlachty polskiej, a następny zeszyt został zatytułowany: Herold polski czyli przewodnik heraldyczny polski; dołączono do niego poczet herbów i proklamacyi herbowych, a w dalszych zeszytach wydrukowany został herbarz witebski, i spotykamy się jeszcze z kilkoma szkicowemi pracami samego redaktora, które zwykle nie były naukowego interesu. W ostatnim zeszycie znajduje się pożegnanie prof. Piekońskiego z prenumeratorami czyli czytelnikami Herolda. Redaktor przypisuje upadek pisma bezprzykładnej obojętności dla wydawnictwa tej klasy społeczeństwa, dla której ono w pierwszym rzędzie przeznaczonem było, t. j. dla szlachty. Mimo bowiem nader życzliwego przyjęcia, jakie pierwszy numer znalazł nie udało się znaleźć więcej niż 120 prenumeraterów, z których na rok 1898 pozostało zaledwie 45. Powyższa liczba nie zdołała zapewnić Heroldowi bytu materyalnego, i czasopismo w r. 1897 zwiniętem zostało.

Pod względem sfragistycznym pismo to pozostawiło po sobie ślady dużej staranności, które ją uczynią cennem wydawnictwem. Pieczęć ks. Litewskiego, pieczęć wielka Korybuta Michała zadziwiają dokładnością i pięknością odrobienia. Prócz tego należy wspomnieć prawdziwie królewską zbroję turniejową z 1471 roku. Wogóle wszystkie pieczęcie i herby zostały reprodukowane bardzo starannie i przyczyniły się do upiększenia wydawnictwa. Jedynie przemawiania od redakcyi nie zawsze bywały szczęśliwemi. Zazwyczaj nużą one czytelnika zbytniem wplątaniem do naukowego wykładu osobistych interesów, kłopotów i drażliwości, co właściwie

niema żadnego publicznego znaczenia. Z tem wszystkiem, za usiłowanie stworzenia u nas poważnego czasopisma naukowego, które redaktora kosztowało dużo trudu i wydatków, należy się prof. Piekosińskiemu przynajmniej wdzięczność i podziękowanie.

A. R.

Emma Jeleńska (Dmochowska): „Panienka", powieść, nagrodzona na konkursie „Kuryera Codziennego". Warszawa, 1899, tomów dwa.

Do sądu konkursowego, który uwieńczył „Panienkę" Emmy Jeleńskiej (Dmochowskiej), należeli ludzie, stanowiący czoło współczesnej naszej krytyki literackiej, że zaś uwieńczone przez nich dzieło wyszło z rąk młodej, zupełnie przedtem nieznanej autorki, mieszkającej, jak z wielu poszlak domyślać się wolno, w stronach, nie ulegających bezpośredniemu wpływowi głównych naszych ognisk literackich, przeto z zestawienia dwu tych faktów wnosić należy, że najwyższy nabytek konkursu streszcza w sobie po połowie sumę wskazówek: jakie są, z jednej strony, tegoczesne u nas wymagania artyzmu powieściowego, a z drugiej, jaki w glebie ostatnich, najświeższych warstw naszego czytelnictwa tkwi zasób i kierunek sił twórczych, zdolnych zadość uczynić tym wymaganiom.

Osobiste pisarskie zdolności laureatki stają tym sposobem po za szrankami zagadnienia. Bezstronność, dobra wola i znawstwo sędziów orzekły bez możliwego pod tym względem sporu, że Jeleńska weszła do otwartego, żadnemi specyalnemi zastrzeżeniami nie skrępowanego współzawodnictwa, z maximum możliwego w danych warunkach talentu i wyrobienia. Recenzentowi pozostało okazać jedynie drogę, obraną dla przebiegu owego maximum.

Drogę tę wskazuje — w zarysie ogólnym — sama treść, sama fabuła „Panienki." Jak przed laty główny kontyngens naszych bohaterów, filozofów, inżynierów, poetów, lekarzy lub agronomów wracał do kraju ze szkół Wiednia, Berlina, Heidelberga lub Paryża (po wyczerpaniu się epoki wileńskiej i krzemienieckiej), tak w dobie najświeższej do zaszczytu owej podaży przypuszczono też i Petersburg. Nie bezwarunkowo wszakże, nie bez pewnego modyfikacyjnego odcienia. Dawniej nie zachodziła najmniejsza wątpliwość co do tego, ażali ci, co wracają, wracać mają na stałe. Zagranicą, zwłaszcza nad Sekwaną, więzło zazwyczaj tyle pieniędzy i zdrowia, zarówno fizycznego, jak i moralnego, że kropla przywiezionej wie-

dzy teoretycznej zanadto słabo opłacała stratę faktyczną; dramat mógł się wtedy ostać i sobie wystarczał bez groźby ponownej emigracyi na czas mniej więcej długi. Obecnie sytuacya uległa zmianie o tyle, że Petersburg wniósł z sobą wyobrażenie o możliwości zysków materyalnych, zaświecił widokami zyskownych posad, stanowisk, zarobków, stosunków i wpływów. Od daty „Pierwotnych" i „Australczyka" Orzeszkowej pytanie: czy osiąść na rodzinnej grzędzie w kożuszku baranim, czy upędzać się za złotem runem nad Newą, Oką lub Jenisejem, tryumfalnie wkroczyło do naszej literatury powieściowej. Jeleńska w „Panience" skomplikowała nieco zagadnienie. Powieść jej zaczyna się od przyjazdu z Petersburga Leona Kańskiego, który, skończywszy studya medyko-chirurgiczne, osiąść ma na prowincyi tymczasowo, — gdyż w stolicy państwa oczekuje nań karyera niechybna pod postacią spadku klienteli po wuju, bogatym, wziętym i sławnym lekarzu. Udaje się Kański do Hrabowa nadprypeckiego. Ale właśnie w Hrabowie oddawna już rezydencyę obrał środkowy węzeł neo—hamletowskiego problematu: być czy nie być? — udomowić się czy ulotnić? — Zadzierzgnął się ten węzeł od daty zgonu starego dziedzica Hrabowa w jego pierworodnym potomku, Guciu Wielogrodzkim, oficerze gwardyi-kawalergardów czy grenadyerów cesarskich w Petersburgu, — figurze marnej, która dla podtrzymania wojskowego swego splendoru pochłania dobrą połowę dochodów z dóbr ojcowskich, przeznaczonych obok tego na utrzymanie chorowitej jego matki-wdowy, młodszego brata Tadzia i średniej — w stosunku do obu braci — siostry Jadwisi. Majątkiem zarządza Jadwisia, a zarządza równie dzielnie, jak niejedna z pierwszorzędnych postaci Rodziewiczówny. Ukazuje się Kański najpierw na widowni ogólno-hrabowskiej i zaraz następnie, od str. 39 tomu I, z powodu chorej, starej pani — we dworze. Na ostatniej stronicy tegoż tomu czytamy w formie samotnych rozmyślań Kańskiego: — Maleństwo! kochanie! gniazdko!.. i nagle uczuł, że ona (naturalnie Jadwisia) jest mu nadzwyczaj drogą, bliską istotą, że ona mu jest na całym świecie jedyną. I w tej chwili cały świat przestał istnieć dla niego, o nią mu jedynie chodziło. Kochał ją!... Wyśmienicie, to rzecz w romansie nieodzowna. Sztuka polega teraz tylko na zagadce: jak się to skończy. Skończy się bardzo dobrze, o ile, na mocy obowiązującej, czy też tylko przemagającej obecnie programatologii naszej społecznej, Gucio się opamięta, poprawi i, przywdzieje kubrak gospodarski i zastąpi Jadwisię, dla której Kański, z pomocą wuja, odpowiednie gniazdko uściele. Lecz Gucio ani myśli o opamiętaniu. Przeciwnie,—

żeni się z jenerał-lejtnantówną Olgą Szuldner, stawia Hrabów nad przepaścią ruiny, matkę wpędza do grobu. Tymczasem — i zanim jeszcze pani Wielogrodzka Bogu ducha oddała, rozmaite przejścia majątkowe i wycieczka z chorą pod cieplejsze niebo włoskie nastręczyły młodym — to jest lekarzowi i „Panience“ (Jadwisi) — całą gamę sposobności do wyspowiadania się, oświadczenia się i nawet wycałowania się... — nad morzem, oczywiście, i dopiero aż w drugiej połowie tomu II-go. Nastąpiło wreszcie rozwiązanie: Kański pożegnał Jadwisię na wieki. Dlaczego? Tak kazała logika celowo uplanowanego tematu. Kański nie mógł przecież osiąść na podziurawionym przez Gucia posagowym fartuszku współdziedziczki Hrabowa; Jadwisia, nawzajem, nie mogła puścić na łaskę i niełaskę subhasty sąsiedzkiej lub administracyi faktorsko-pachciarskiej kawałka ziemi ojczystej, a przytem wychowanie dorastającego Tadzia... Słowem, w Kańskim zwycięża namiętność karyerowiczowska, w panience — poczucie obowiązku i honoru. Szkoda tylko że oboje z góry, zawczasu tego nie przewidzieli i dokładniej nie zdebatowali, — ale mniejsza o to: co przeżyli — to ich.

Niespodzianka rozwiązania wzmaga nawet poniekąd jego wrażenie, i kto wie, czy w ostatniej instancyi nie decyduje o losie powieści. Samo wrażenie, bądź co bądź, jest dość mocne. Pochodzi ono w danym razie z dwu źródeł. Pewne struny duszy ludzkiej — tęsknota, żal, wspomnienie bolesne, gotowość do poświęceń i t. p. — drżą i dźwięczą w nas tkliwie i donośnie bez względu na rodzaj i natężenie uderzenia, niezależnie od tego, czy je po raz setny i tysiączny coś najzupełniej prostego, znanego i utartego — pieśń dziadowska, pozytywek, legenda Częstochowska, czy też wzniosła poetycka zwrotka Chopina. Podoba się nam, podobać się zawsze będzie — i obstające przy swym zagonie kopnięcie nogą chłopa w „Placówce“ Prusa i błogosławiące Witoldowi pod Grünwaldem widmo na płótnie Mateyki i gwiznięcie ulicznika na Lesznie w sensie odwiecznej przypowieści: „póki świat światem, nie będzie Prusak Polakowi bratem.“ Nie możemy też być obojętnymi i na motyw, zamykający „Panienkę“, — osobliwie, gdy się widzi zasadniczą jego zgodność z charakterem Jadwisi i gdy się rozumie, że postać ta jest z całego personelu powieści najbardziej żywą i prawdziwą, to jest wysnutą z obserwacyi bezpośredniej, bądź wewnętrznej, bądź zewnętrznej. Kilka drugorzędnych podporek ozdobniczych, kilka podmalowań, quasi-estetycznych zakradło się tu jedynie z powodu sfabrykowanej na prędce miłości; rażącą jest szczególniej dysonansowa barwa przeholowanej po dziecinnemu kokieteryi

w rozmowie np. nad morzem (II, 23—231) kilka frazesów dziewczyny wygląda zupełnie tak, jak kiedy kto karmin położy na usta dobrej fotografii podlotka. Ale w cechowych, znamiennych rysach sylwetki, w postawie, ruchach, wyrazie jej fizyognomi moralnej dobitnie się ujawnia ta jednorodność pierwiastków składowych, na indywidualność się składających, którą artyzm zebrać i wypielęgnować może jedynie na gruncie doświadczeń rzeczywistych, życiowych, — bez względu i różnicy, czy wzorowanie było subjektywne, a odtwarzanie objektywne, czy też naodwrót.

Są w premiowanej powieści Jeleńskiej i inne także jeszcze tegoż pochodzenia „kawałki natury i duszy ludzkiej". Otaczają one jednak przeważnie Jadwisię, jej się trzymają, dokoła niej krążą, — rozpraszają się zaś i rozcieńczają w miarę, jak się oddalają od dworu hrabowskiego. Wiszą tu i owdzie w oparach Prypeci, czepiają się obłoków i promieni słońca, skrzypią po drogach wyboistych, migocą kosami i koszulami chłopów na łąkach i poletkach mokradłowych, przebiegają po twarzach, drzewach i strzechach najbliższego z Hrabowem sąsiedztwa, — ale rzedną i blędną za drugą już i trzecią miedzą domowej i salonowej zażyłości Wielogrodzkich. Płową, krzaczastą czuprynę studenta Jarońskiego, bawiącego w Hrabowie na wakacyach, okrąglutką ciocię Basię, wyrąbanego, jak siekierą, rządcę Wilczaka, zgarbioną i utykającą na jedną nogę figurę Onufrego Wielogrodzkiego nieźle jeszcze widzimy, dopóki ta czeladka Boża siada do stołu, częstuje się wódką i zakąsuje, — ale i ona rozczynia się natychmiast w ogólnikach bezbarwnego oderwania i teoretycznej banalności, jak tylko rozmowa wysforuje się poza obręb powszedniości dotykalnej. Że zaś autorka słusznie jest przekonaną, iż Polesie od wieku XIV i XV należy do świata cywilizowanego, chętnie przeto i często pozwala mieszkańcom i gościom Hrabowa na górniejsze nieco wzloty... Tym sposobem powieść rośnie, wydłuża się, płynie — wśród dyalogów komponowanych z głowy, po przez akcyę gołosłownie opisową, falistą, soczystą, potoczystą, ulegającą od początku do końca naciskowi założeń i widoków t e m a t o w y c h.

Temat czuć wszędzie, nieustannie. Tematem, nie osobą, jest też i sam Kański. Nie będziemy się upierali przy twierdzeniu, że coś podobnego zawitać mogło z Petersburga nad Prypeć. Owszem, Jeleńska spostrzedz gdzieś mogła gatunek Kańskiego w przelocie, posłyszała coś o nim w towarzystwie, pomówiła z nim nawet może kilka razy o tem i owem na przechadzce. Nie zmienia to istoty rze-

czy. W Kańskim mamy przed sobą kołek, niemiłosiernie obładowany i oklejony rozmaitemi ogłoszeniami sentymentów, rozumowań, rozczarowań i uniesień, obstalowanych najrozważniej a książkowo. Jest to lalka starannie wypchana, worek ćwiczeń szkolnych do poprawienia przez Jadwisię—ćwiczeń, zgarniętych pod czapkę, tużurek i rękawiczki, niezbędne do odegrania z góry wytkniętej i obmyślanej dlań roli zszarganego już i otrzaskanego, lecz stopniowo nawracającego się, kochanka... Nawraca się Kański w kierunku łagodnie zacieniowanej i ostrożnie wyidealizowanej swojszczyzny,—i to jest najmocniejsza racya jego istnienia w powieści. Otrzęsiny, postrzyżyny, odrodziny odbywają się dość łatwo i porządnie podwpływem rzetelnie pięknych oczu Jadwisi—„dużych, szarych, o czarnych rzęsach, spoglądających śmiało, ale bardzo łagodnie", — pod wpływem usteczek jej, prawdziwie czarujących, na których „osiadł wyraz wielkiej słodyczy, ale i smutku zarazem". Ustom pomógł też cokolwiek klimat miejscowy, — zwłaszcza, że lekarz petersburski pokazał się tkliwym na zmiany powietrza — nie przymierzając, jak słoma, wyrzucona z siennika na wiatr. Zdradził się z tem kawaler na samym zaraz progu Polesia. Opuściwszy Petersburg w marcu, woła on za pierwszem ziewnięciem wilgoci od strony Prypeci: — „A to kraj!" — i nastawia futrzanego kołnierza, jak gdyby wczoraj jeszcze kąpał się w słońcu zatoki neapolitańskiej. I cóż powiecie?—zaledwie Kański ujechał (prawda, że na wózku żydowskim) dwie, trzy wiorsty poleskie, już zalotne podmuchy i podszepty pól zrobiły swoje, już młodzian, „oddychając głęboko", wychyla na ich spotkanie „czoło obnażone" (porównaj str. 17 z 18-ą).

Reszta „Panienki" poświęconą została polskiej architekturze powieściowej, — rodzinnemu naszemu romansopisarskiemu budownictwu, to jest: samotnym rozmyślaniom postaci głównych. Rozmyśla dużo Jadwisia — za siebie przeważnie i za Hrabów; najwięcej wszakże rozmyśla za Kańskiego autorka, niezmiernie przytem czujna na każde w toku tych dum — założenie nogi na nogę, na każde sięgnięcie ręki do papierośnicy, na każdy wypuszczony z pod wąsików kłębek dymu — w oświetlonym lub ciemnym pokoju. Czy takie otwieranie duszy bohatera, jak koperty w zegarku, ma być psychologią powieściową? — Metoda badania w każdym razie jest zanadto dziecinną, skoro na cyferblacie znajdujemy zawsze tę godzinę, minutę i sekundę, jakiej potrzebujemy, jakiej autor żąda, jaka się mu podoba. Obok tego ogromnie ciekawą jest kwestya zasadnicza: kto tu właściwie z kieszeni zegarek wyjmuje i kto nań patrzy, czy sam podmiot, nurzający się w przedmiocie swych rozmy-

ślań, czy też jakieś X, śledzące „przez wywaloną w pokoju ścianę" zarówno umysłowe, jak i cielesne, poruszenia dumającego? — Oto zaplątany w rękawie paltota Kańskiego komar wypełzł na poręcz krzesła, z poręcza na szyję lekarza, zapatrzonego od godziny na księżyc i wysmażającego się miłośnie we własnym podmiotowym sosie — z papierosem w zębach. Może być — zgadzamy się na to, że dusza Kańskiego wie w tej chwili i najdokładniej zdaje sobie sprawę z tego, o co jej chodzi (a z nią, przez nią i my również o tem wiemy); ale jakim objektywnym lub subjektywnym sposobem wiedzieć jeszcze możemy o dobierającym się do szyi komarze?.... I z takich to niemądrych, zbytecznych, na nic nieprzydatnych pogawędek pisarza z samym sobą tworzy się poważna, rozległa gałąź piśmiennictwa!

Trudna rada. Nigdy inaczej nie pisano u nas powieści. U narodów postronnych czyniono liczne i spotęgowane usiłowania w celu skupienia rozbitych i roztrzęsionych trybów wytwórstwa powieściopisarskiego przy jednym biegunie psychologicznym, — bądź podmiotowo-autobiograficznym w Niemczech np., Anglii, dziś w Skandynawii, bądź pragmatyczno-przedmiotowym, jak we Francyi (Flaubert). Powstały stąd style, szkoły, kierunki pięknoznawstwa narodowego,—powstały nadzieje wielkie i talenta świeże. My szliśmy i idziemy najbezpieczniej, najspokojniej szerokim, utartym gościńcem dowolności mieszanej, eklektyczno-zamętnej, subjekt-objektywno przelewnej i wylewnej. Przeżyło to Kraszewskich i Korzeniowskich, wyprzedza Sienkiewiczów i Głowackich, powywraca Sieroszewskich i Żeromskich. Jeleńska roztropnie sobie postąpiła, obierając w „Panience" tor tak wydeptany, wymierzony, powszechnie używany, każdemu dostępny. Inaczej, najniezawodniej rozminęłaby się z nagrodą konkursową.

Hodi.

Jan August Kisielewski. W sieci. Wesoły dramat w dwu częściach, a pięciu aktach. Kraków. 1899.

Odrazu bijącą w oczy słabą stroną dramatu „W sieci" jest wielomówność działających w nim osób. Wszystkie one mają tę wspólną wadę, że nie lubią się streszczać. Zwłaszcza, gdy im wypadnie wyrzucić z siebie falę żalu lub oburzenia, potrzebują nieskończenie długich tyrad, wstrzymując przez to bieg akcyi i osłabiając wrażenie, jakieby ich wynurzenia mogły wywrzeć na słuchaczu, gdyby były ujęte w formę treściwszą. Sztuka, przeznaczona na

scenę, a dorównywająca rozmiarami wielkiej jednotomowej powieści — toż to rzecz niesłychana! Ale tę jej wadę pokrywa ogół zalet.

O panu Kisielewskim od roku słyszymy bardzo pochlebne zdania. Czy jest niezwykłym obserwatorem, zdolnym odkryć jakie nowe znamiona w usposobieniu człowieka? Czy jego poglądy na świat, życie i społeczeństwo są oryginalne, świeże? Czy w sposobie zaglądania do głęboko ukrytych tajników duszy ludzkiej jest coś uderzającego? — Nie. Wszystko, co nam p. K. daje w swych utworach, „już było". A jednak czytamy je z takiem zajęciem, jakie towarzyszy tylko czytaniu utworów, noszących na sobie piętno prawdziwego talentu. Brak wybitnej oryginalności pan K. wynagradza szczerością, swobodą, nieoglądaniem się na formułki, „tradycyą" uświęcone, i pewną pomysłowością w odtwarzaniu typów już znanych, których rysunek wzbogaca mnóstwem szczegółików nowych, na pozór nieznacznych, nawet odrazu niedostrzegalnych, a tak licznych, że, krzyżując się, jak potoki, tworzą one gęstą siatkę zajmującej charakterystyki. Autor posiada dar wcielania się w każdą ze spłodzonych przez siebie postaci, żyje w niej i działa, poruszając sprężynami jej duszy — a co chwila odsłaniając jakąś nową jej stronę, nadaje starym typom pozory świeżości. Wielkie poczucie prawdy, przymiot tak cenny w dramatopisarzu, sprawia, że bohaterowie pana K. są ludźmi żywymi, z ciała i krwi, choć może nieco ujaskrawionymi w wykonaniu. Cobym uważał za cechę, wyodrębniającą naszego dramaturga, jako obserwatora, i nadającą mu fizyonomię oryginalną, to stanowisko, jakie zajął wobec ludzi, wśród których najchętniej się obraca i których życie obrał sobie za przedmiot swych spostrzeżeń. Przyjaciel postępu, dążenia do wyżyn duchowych, wróg konwencyonalizmu, obłudy i filisterstwa, chłoszcze on bez miłosierdzia natury, pełzające po nizinach, i występuje, jako gorący rzecznik w obronie istot wyższych, miotających się w pętach życia filisterskiego; ale wielkie ukochanie dziatwy Apollina bynajmniej nie przeszkadza mu biczować jej ironią, gdy potrzeba, i to nawet dosyć boleśnie. Sam artysta, pan K. przyznaje „kapłanom sztuki" wiele zalet, wynoszących ich ponad poziom ogółu — lecz ani na chwilę nie przestaje być satyrykiem, i gdy czytelnik najmniej tego się spodziewa, zrywa nagle zasłonę i ukazuje mu wady i śmieszności swoich ulubieńców. Jakże prawdziwe są te dzieci muz w oświetleniu pana K.! Noszą one w łonie iskrę Bożą, moc natchnień, zapał, rozpęd, gotowy druzgotać wszystko w pochodzie do ideału, wielkie ukochanie sztuki, zdolność odczuwania piękna, nienawiść powsze-

dniości i wszelkich „sieci", krępujących polot ducha — ale też i słabość charakteru, brak odwagi wobec przeszkód, zagradzających drogę do celu, a nadewszystko ogromny, przeogromny egoizm, trzymający wysoko wzniesiony sztandar: „Wszyscy dla nas — my dla nikogo. Poza sztuką nic zgoła dla nas nie istnieje, żadne obowiązki". Ludzie to niezmiernie interesujący, ale nie wzniecający w nas uczuć ciepłych. Ich życie, pełne burz i zatargów z poziomem, często głupiem, otoczeniem działa na nerwy, nie poruszając jednak tkliwych strun duszy. Ten Jura, z dumą „plujący" na wszystkich i wszystko, a sięgający do kieszeni ojca-filistra „ta Julia, rozpaczliwie wydzierająca się z „sieci" wstrętnej powszedniości w górne sfery i gotowa „wydrapać oczy matce" za chęć zakucia jej w złote kajdany życia codziennego, a tchórząca wobec widma nędzy, nieodłącznej od doli artystycznej — nie sąż to rzeczywiści artyści dzisiejsi? — Nie znaczy to jednak, aby sztuka „W sieci" była zupełnie pozbawiona pierwiastku uczuciowego. Owszem, tu i owdzie są w niej rozrzucone ustępy, od których wionie ciepło liryzmu. Do takich zaliczam np. scenę aktu 3-go, w której Jerzy opowiada o swojem widzeniu się z ciężko okaleczonym ojcem, — również bardzo przejmujące jest w akcie 4-ym opowiadanie Serby o Jerzym. Te sceny dowodzą, że, jakkolwiek autor częściej szydzi, aniżeli się rozczula, stać go jednak i na rzewność.

Wogóle dramat „W sieci" odsłania nam w osobie pana Kisielewskiego obserwatora o zacięciu satyrycznem, pisarza, obdarzonego temperamentem prawdziwie scenicznym i talentem bardzo wybitnym, bardzo pięknie zapowiadającym się dla teatru. Do doskonałości sz. autorowi jeszcze daleko, ale dojdzie do niej, gdy talent jego zmężnieje, zdobędzie spokój artystyczny i poczucie miary. Indywidualny język pana K., z umysłu gwoli realizmowi utrzymany w tonie swobodnym i ściśle konwersacyjnym, nie jest obrazowy — za to ożywiają go błyski prawdziwego dowcipu; wiele zwrotów charakterystycznych autor z ust przedstawicieli świata artystycznego po raz pierwszy przeniósł do dramatu. Nie można wszakże powiedzieć, aby jego język pod względem czystości był wolny od zarzutu. Przeciwnie — i on miota się w bardzo gęstej „sieci" błędów, germanizmów i galicyanizmów. Nie wyszczególniając dla braku miejsca wszystkich, poprzestajemy na przytoczeniu niektórych. Autor na sposób niemiecki stale kładzie przymiotniki przed rzeczownikami w takich zestawieniach jak: kolońska wóda, ludowa poezya, ludzka dusza i t. d.; pisze: pchała was będzie, dopuszczał będzie, i t. d.; my nie słyszały i t. d.; zajmywać się; wodę wsiąknąć do nosa; boginia;

we Wiedniu, we futrze, we wodę i t. d.; szkandal i szkandał; szkarpetki; list polecalny; nie pytają, a (= lecz) myślą; ten zapałek (= zapałka); wiem, że tego nie powinno (= nie można); zmarzłem w palec; czyż taję ci cokolwiek; Pan tego zrobić nie śmiesz (wstrętny germanizm, zam: nie waż się); szwarc (= błyszcz), cwikier, tizarz; ja jestem kryty (??) i t. p., i t. p.

Wiktor Luboradzki.

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

= *Kazimierz Laskowski:* **Licytanci.** (Szkice z życia, Warszawa. Nakładem księgarni Paprockiego i S-ki, 1900, Str. 118). Tak plastycznie odtworzyć sylwetki żydów-faktorów, karczmarzy, lichwiarzy, jak to uczynił autor „Pająków", może tylko pisarz, rozporządzający większym od niego talentem i lepszą znajomością życia pospólstwa żydowskiego. Taka myśl (sądzę) powinna była nasunąć się autorowi „Licytantów", a wtedy, gdyby porównał swoją „pracę" z utworami Junoszy, niezawodnie zatrzymałby był „Licytantów" — w tece. Jest jednakże w zbiorku szkiców p. Laskowskiego kilka („Pierzynkowy interes", „Pamiątka", „Podbijacz") godnych uwagi ze względu na temat. W pierwszym doprowadzony do rozpaczy przez lichwiarzy biedny rzemieślnik rzuca się na zgraję „licytantów", skupujących resztki jego mienia... „Pamiątka", opracowana artystycznie, mogłaby być perełką pośród nowel ostatniej doby... „Podbijacz" — z punktu widzenia społecznego byłby obrazkiem zajmującym... Lecz — wszystko warunkowo, gdyż takie, jakimi są, szkice p. Laskowskiego, nie mają ani wartości, ani znaczenia. Autor nie uznaje prawideł stylistycznych, nie chce wiedzieć o tworzeniu artystycznem, słowem — pracuje bez pożytku. Szkoda!

L. R.

= *Stanisław Bełza:* **Listy z Sycylii.** (Warszawa, Gebethner i Wolff, 1900, Str. 245). „W tem, co wam daję, nie szukajcie studyów głębokich ani nad przeszłością, ani nad warunkami życia miasta (Palermo) i kraju. Nie szukajcie. Luźne spostrzeżenia, wrażenia, jakie w mej duszy piękno przyrody i sztuki wywarło, uwagi, jakie w mym umyśle na widok tego i owego się zrodziły — oto wszystko"... Zdanie to na wstępie „Listów z Sycylii" umieszczone jest niejako zastrzeżeniem się autora, dla czytelnika zaś — mia-

rą wymagań. W tym duchu następuje szereg opisów, spostrzeżeń i wrażeń osobistych. Pierwsze cechuje prostota, staranie o styl barwny, o obrazowość, które przeważnie się autorowi udają. Z pośród rzeczy widzianych umiał p. Bełza wybrać najciekawsze, a będąc wrażliwym na piękno sztuki, jej zabytki, na czar przyrody z jej bogactwami — daje obrazki wdzięczne, słoneczne, jasne, pełne pogodnego optymizmu.

Książkę zdobią umiejętnie dobrane illustracye.

L. R.

= *Adolf Dygasiński.* **Z naszej niwy**, nowelle, Warszawa, nakładem księgarni A. G. Dubowskiego, 1900, str. 120. Utwory nowelistyczne Dygasińskiego mają zasłużoną popularność wśród czytelników. Dusza chłopska i zwierzęca oto dwa tematy, w których najbardziej się lubuje autor „Pióra"; i trzeba powiedzieć, że utwory, z tej niwy wzięte, najlepiej mu się udają. Dowodem tego jest niniejszy zbiorek. Najlepsze w nim cztery pierwsze nowelki: „Maciek Fuła" przedstawia dobry i względnie do rozmiarów obrazka wypukły typ stróża dworskiego, chłopa „robotnego", który jednak przez wszystkich jest poniewierany i teroryzowany — nawet przez własną żonę. Po pewnej awanturze, która mu do żywego dogryzła, opuszcza rodzinną wioskę, udaje się w świat i — zaczyna mu się dobrze powodzić. Po kilku latach powraca, przerobiony na „miastowego", pełen powagi wielkomiejskiej — i odrazu zjednywa sobie posłuch i poważanie. Byłoby to więc żartobliwe potwierdzenie przysłowia: „niema proroka w swojej ojczyźnie". Tytuł nowelki „Znajdka" mówi za treść; sierota Ulina, prześladowana przez los — no, i przez dziedzica, jest tu figurą tytułową i najbardziej uwydatnioną, inne — blade i banalne. Wcale niezłą jest również powiastka p. t. „Głód i sumienie", realistycznie odtworzony stan psychiczny biednego wyrobnika, który, skuszony sutą zapłatą, dopomógł bogatemu sąsiadowi do zbrodni, a teraz dręczy się i trapi, aż wreszcie, wiedziony wyrzutami sumienia, i siebie i wspólnika oskarża. Tyle o chłopie. Z nowelek „zwierzęcych" mamy tu tylko jedną p. t. „Wróble", pełen humoru, a zarazem i ciepłego uczucia obrazek życia, miłosnych zabiegów, trosk rodzicielskich tych szarych, a tak sympatycznych przyjaciół naszego rolnika. A że Dygasiński w tego rodzaju obrazkach celuje, „Wróble" więc stanowią prawdziwą ozdobę niniejszego zbiorku. Mniej udały się autorowi trzy ostatnie nowelki. „Żel" ma być obrazkiem napoły historycznym, napoły zaś symbolicznym. Jest to współzawodnictwo dwu geniuszów: złotego

pokoju i czarnego wojny. Kończy się tem, że złoty zasypia na tysiącolecie, czarny zaś nieci straszliwy płomień walki. Że tak jest w życiu — to jasne, jak na dłoni, i historya stwierdziła to dostatecznie. Ale co tu robią Pomorzanie, ich książę Żel, markgraf niemiecki Drako i owe dwie dziewice, Sławka i Miła, w które geniusze wcielają swego ducha? Owi Pomorzanie mogliby zarówno dobrze być Frankami lub Rzymianami: znają mitologię grecką na wyrywki, ba! mówią nawet po łacinie. Są tu jeszcze figury drugorzędne: błazen Miklos, pozujący na błaznów Szekspirowskich, więcej natrętny i nudny, niż zabawny, i gęślarz, obżarciuch i pijaczyna z czerwono-fioletowym nosem — figury najzupełniej chybione. „Pan referent", piastujący swój wysoki urząd w Pińczowie, dający się wszystkim kolejno wyzyskiwać, nad miarę dobry i łatwo pozwalający się wzruszać, pomimo rozwlekłości i bezbarwności tematu jest przynajmniej sympatyczną, choć szablonową postacią. Nie można tego powiedzieć o bohaterach ostatniej noweli p. t. „W parafii świętego Huberta", którą radzibyśmy widzieć zupełnie usuniętą ze zbiorku. Rzecz sama nadaje się do kroniki „wypadków" i „zagadkowych śmierci" skandalicznego kuryerka. Miłość dwu braci do jednej kobiety, podwójne bratobójstwo, spełnione na polowaniu — jednem słowem cała osnowa „Narzeczonej z Mesyny" Schillera, ale co dramat, i to dramat klasyczny, to nie nowelka... Fałszywie pojęty realizm więcej jeszcze, niż w „Piórze", przykre robi wrażenie.

H. G.

= *Władysław Syrokomla* (*Ludwik Kondratowicz*). **Wybór pism** z portretem autora, Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, Kraków, G. Gebethner i Spółka, 1900, 16-°, str. 482. Wydawnictwo biblioteczki miniaturowej powiększyło się o jeden tom, zawierający wybór pism Syrokomli. Sympatyczna postać „lirnika wioskowego" zasługuje ze wszech miar na tego rodzaju popularyzacyę. Serdeczny śpiewak „Lalki", niekunsztowny formą, lecz głęboki uczuciem, a zacny tendencyą, obrońca tych, co u biesiadnego stołu życia u szarego zasiadają końca, miły gawędziarz i czasem facecyonista, głęboko i szczerze religijny, a mimo to nieraz za pan brat obcujący zarówno z Horacym i Owidyuszem, jak i ze świętymi, ma już w społeczeństwie naszem szerokie koło, jeżeli nie wielbicieli, to zwolenników i zapewnioną sympatyę. P. Hoesick, któremu firma wydawnicza poleciła wybór pism i zredukowanie dziesięciu tomów do jednego, wywiązał się ze

swego zadania na ogół zupełnie dobrze. Przedewszystkiem więc odrzucił przekłady, kwalifikujące się do osobnego wydawnictwa, któreby uprzystępnieniem pieśni łacińskich wybitnych naszych poetów XVI wieku mogło przynieść korzyść niemałą. Dalej pominął zupełnie dramaty — i słusznie, ani jeden z nich bowiem, ani historyczne („Kasper Kaliński”, „Wyrok Jana Kazimierza”), ani współczesne mimo najzacniejszej tendencyi czy to moralnej, („Chatka w lesie), czy też społecznej („Wiejscy politycy”), jako rzeczy słabe ze strony formalnej, nie kwalifikują się do popularyzacyi. Z dłuższych utworów na pierwszem miejscu słusznie p. Hoesick pomieścił „Urodzonego Jana Dęboroga”, jako najlepszy i najpełniejszy obraz indywidualizmu poety. Nie możemy natomiast zgodzić się na przytoczenie *in extenso* całego „Margiera”; nie ulega bowiem żadnej wątpliwości, że Kondratowiczowi na epopeę lub choćby poemat historyczny talentu ani odpowiedniego przygotowania nie stało; i chociaż po tych niebezpiecznych drogach prowadził go bohaterski duch „Grażyny” i „Konrada Wallenroda”, ta wycieczka w krainę przeszłości nie udała mu się zupełnie. Obok „Margiera” możnaby z równem prawem przytoczyć „Córę Piastów”, pełną francuskiej, nie zaś litewskiej kurtuazyi, „Starostę Kopanickiego”, a bardziej jeszcze „Stare wrota”, nie pretendujące przynajmniej na wysokie epickie wzloty. Po usunięciu „Margiera”, jako rzeczy zupełnie chybionej i bezwartościowej, stałoby więcej miejsca na gawędy. Gawęd przytoczył p. Hoesick dość dużo; dałoby się jednak jeszcze to i owo dołączyć. Tak np. z cyklu Napoleońskiego, który dał nam takie prześliczne obrazki, jak „Janko Cmentarnik” i „Kapral Terefera”, brak tu nie mniejszą posiadającej wartość, a dużo szczerego uczucia, gawędy „Ułas, sielanka bojowa z błot litewskich”. Nie widzimy tu również tych gawęd, najbardziej charakterystycznych, w których poeta maluje życie tego najbardziej przez siebie ukochanego tłumu szlachty szaraczkowej, jak „Dyfferencya”; „Trzy gwiazdki”, „Trędzlowe”, a zwłaszcza „Zaścianek Podkowa”, brak również jednej z najpiękniejszych pod względem moralnym — „Chodyka”, która tak wysoko podnosi odpowiedzialność człowieka przed trybunałem własnego sumienia. Gawędy, sympatycznie przedstawiające typy uliczne, jak „Księgarz uliczny”, „Tandeciarz”, także domagałyby się swego miejsca, jak również i te, które ze względu na ich tendencyę możnaby nazwać moralno-religijnemi, jak np. „Wielki Czwartek”. Szereg gawęd humorystycznych, a ożywionych zacną myślą, mogłyby powiększyć: „Dokumenta”, „Czarno i biało”, „Kojec z kurczętami” i t. d. Na wszystkie te wy-

żej wymienione utwory znalazłoby się dość miejsca, gdyby usunąć „Margiera", zabierającego czwartą część tomiku. Szereg utworów lirycznych, dobranych bardzo starannie i umiejętnie, najwłaściwiej zakończyłyby: „Poezye ostatniej godziny" i „Melodye z domu obłąkanych", jako łabędzi śpiew „lirnika wioskowego", który wedle swej obietnicy „skonał, grając na lirze". Forma zewnętrzna tomiku nie pozostawia nic do życzenia: papier piękny, druk czysty, choć drobny, wizerunek poety starannie odrobiony. Biblioteczka miniaturowa już w obecnym swoim stanie może stanowić prawdziwą ozdobę każdego księgozbioru.

H. G.

— *Prof. Dr. Ludwik Gumplowicz.* **Ibn Chaldun,** socyolog arabski XIV wieku. Odbitka z „Przeglądu Filozoficznego", Warszawa, 1899, str. 18 in 8-o. Chcąc w pewnej mierze uzasadnić myśl, „że przedmiotem socyologii, jako odrębnej nauki, powinny być wzajemne stosunki grup społecznych i prawidłowe ich na siebie oddziaływanie" — myśl, która znaną już jest światu pod mianem „teoryi Gumplowicza", powołuje się autor na powagi, właściwie zaś na jedną tylko powagę — socyologa arabskiego, Ibn Chalduna, który na zasadzie własnych spostrzeżeń stwierdza tę jego teoryę. Ibn Chaldun, urodzony w roku 1332, w 20 roku życia pełnił już obowiązki sekretarza u sułtana Abu Ishaka II w Tunisie; długi czas przesiedział w więzieniu, jako więzień polityczny; zmarł w roku 1406. Jak można wnosić z rozprawki Gumplowicza i z przytaczanych przez niego licznych cytat, Ibn Chaldun przed 500 laty wypowiadał te same twierdzenia, które dziś jeszcze uchodzą za nowe i z trudem zaledwie wywalczają prawo istnienia, — i uzasadniał je bynajmniej nie gorzej, jak dzisiejsi uczeni. Wyłożywszy poglądy arabskiego socyologa i wykazawszy ich wielkie podobieństwo do swojej własnej i wogóle do najnowszych teoryi socyologicznych, w końcu pyta autor: „czy Ibn Chaldun wyprzedził swój czas o pół tysiąca lat, czy dzisiejsi uczeni w sprawach socyalno-politycznych o tyleż lat pozostali w tyle?" Rozstrzyga zaś to pytanie, wprowadzając trzecią możliwość, że sprawy społeczne nie zmieniają ani istoty, ani charakteru. *Eadem et non aliter!*" czyli podlegają pewnym niezmiennym, choć nieznanym prawom; „więc nic dziwnego, że i przed 500 laty te same zjawiska w jakiejś jasnej głowie tak się odbiły, jak się dzisiaj odbijają w jasnych głowach — a w ciemnych mózgownicach wtedy tak samo się przedstawiały, jak w niezliczonych ciemnych mózgownicach naszego w y s o k o u c y w i l i z o w a n e g o schyłku wie-

ku". To też przekonania i myśli Ibn Chalduna ściągnęły na niego prześladowanie. „Nie wieleśmy od tego czasu postąpili!" powiada Gumplowicz. *W. M.*

= *Ks. Ignacy Charszewski.* **Album katolickich uroczystości** Płock, r. 1900. Nie jest to systematyczny wykład liturgiki, lecz zbiór luźnych szkiców, obrazujących rok kościoła katolickiego w szeregu opisów jego uroczystości. Znajdzie tu czytelnik nie suche tylko wiadomości liturgiczne, ale, jak powiada sam autor, przedewszystkiem „abstrakcyjne dogmaty wiary, ubrane w strój obrzędowy, jak również dogmatyczne wypadki dziejowe w zwierciadle obrzędów odbite; następnie—analizę samych zdarzeń religijnych oraz wyłuszczone z nich prawdy wiary i uwagi etyczne". Że zaś autor, znany ze swych prac publicystycznych, umie rzecz każdą ująć lekko, jasno i barwnie, więc „Szkice" jego mogą stanowić miłą i ciekawą lekturę dla każdego domu katolickiego. „Album" illustrują liczne kopie z arcydzieł rzeźby i malarstwa religijnego. Jedna uwaga. W języku polskim przymiotnik kładzie się po rzeczowniku, dlatego też tytuł winien brzmieć: „Album uroczystości katolickich", nie zaś „katolickich uroczystości". *W. K.*

= *G. Zenger.* **Kriticzeskija zamietki k niekotorym miestam w łatinskich stichotworenijach wnow' izdannych polskich pisatielej XVI i XVII wiekow** [1]). „Notatki krytyczne" prof. Zengera dotyczą t. zw. krytyki tekstu. Część I traktuje o wydawanem przez Ak. Krak. „Corpus antiquissimorum poëtarum Poloniae Latinorum usque ad Ioannem Cochanovium"; autor uwzględnia tu głównie teksty Krzyckiego, Pawła z Krośna i Jana z Wiślicy. Część II poświęcona jest tekstom, zamieszczonym w zeszycie V wydawanej przez prof. Wierzbowskiego „Biblioteki zapomnianych poetów i prozaików polskich XVI--XVII w." (Zeszyt ten obejmuje wiersze łacińskie „dziewicy polskiej", Anny Memoraty, z lat 1640 — 1644 oraz utwory, napisane przez wielbicieli jej talentu). W części III autor proponuje kilka zmian w tekście utworów łacińskich, wydanych przez M. Sasa w tomie XVIII „Rozpraw wydziału filologicznego" Akad. Krak. W czę-

---

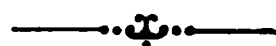
[1]) Praca ta została wydrukowaną w piśmie zbiorowem ku uczczeniu prof. Pomiałowskiego (Petersburg, 1896). Są też osobne jej odbitki, zachowujące wszakże paginacyę wyżej wzmiankowanego pisma. Egzemplarz takiej odbitki posiada biblioteka uniwersytetu warsz.; zawiera on poczynione przez autora rękopiśmienne sprostowania licznych błędów drukarskich.

ści IV autor mówi o wydanych w Starej Wsi 1892 r. utworach Sarbiewskiego. Publikacyę tę autor nazywa „pod wielu względami szanowną", nadmienia wszakże, że wydana pospiesznie i bez jednolitego planu, nie daje podstaw do krytyki metodycznej. Z tego też powodu autor co do niej ogranicza się jedynie na uwagach ogólnych. Część V stanowi zakończenie „Notatek". Autor wyraża tu życzenie, aby praca jego przekonała filologów polskich, że neolatyniści polscy XVI i XVII w. znali lepiej wiersz łaciński, niż, jak to przypuszczają dzisiejsi ich wydawcy. Do tej części dodane są dwa przypiski. W pierwszym autor napomyka o pracy p. Ig. Chrzanowskiego p. t. „Facecye Mikołaja Reya" i uzupełnia podany tam rodowód dwu anegdot. W drugim autor zaznacza, że następne po editio princeps (1523 r.) wydanie poematu Hussovianusa *De statura, feritate ac venatione bisontis* zostało sporządzone przez ces. bibliotekę w Petersburgu w r. 1855. Praca prof. Zengera, znanego ze swych badań na polu krytyki tekstu poezyi Horacego, jest cennym przyczynkiem do historyi naszej poezyi humanistycznej.

R. Sułowski.



KRONIKA MIESIĘCZNA.



TREŚĆ: Uwagi „Czasu“ o „Ateneum“. — Rzut oka wstecz. — Stańczycy i pozytywiści. — Ich cechy, wady i zasługi. — Program demokratyczny i ludowy. — Tradycye „Ateneum“.

„Czas” krakowski, który, nawiasem powiedzmy, o stosunkach naszych zabiera często głos, zamieścił niedawno felieton z Warszawy, p. t. „Nowe pisma i programy”. Autorowi chodzi tam głównie o Ateneum. „Jednym z najważniejszych faktów w ruchu literackim — pisze —jest zmiana w redakcyi „Ateneum”, której kierownictwo objął p. Ignacy Chrzanowski, historyk” literatury.

Później robi historyczny rzut oka. „Wśród grona ludzi—mówi „Czas” — którzy wynieśli ze szkoły głównej pewien wspólny podkład filozofii pozywistycznej, łączący się z zapałem dla nauk przyrodniczych i programem pracy organicznej, powstała myśl stworzenia pisma naukowo-literackiego, któreby dało wyraz ich usiłowaniom zbiorowym. Była to chwila, kiedy pod sztandarem gorąco wypowiadanych haseł stanęła „młoda prasa” do boju z „zaśniedziałym romantyzmem”, wywołując w dziennikarstwie warszawskiem okres bujnej żywotności. Talenty młode, śmiałe zaciągały się do wrogich obozów, gdyż obok „postępowego” stanęło młode stron-

nictwo „konserwatywne", krzyżowały się artykuły pierwszorzędnej miary, świadczące o zdolności i umysłowem wyrobieniu przeciwników".

Zaznaczywszy, że grono historyków, ekonomistów i przyrodników, do którego należeli Spasowicz, Pawiński, Chmielowski, Łaguna, Smoleński i wielu innych, w ruchu polemicznym nie brało udziału, że echa dawnych walk przebrzmiały i niezmiernie szybko nastała reakcya przeciwko poglądom, poczytywanym w młodości przez pozytywistów za dogmat, autor, podpisany „Eska", tak charakteryzuje ostatnią epokę społeczną i umysłową: Rozeszły się koła przyjaciół, życie przeszło po przez wiele „kwestyi", zmalały różnice między przeciwnikami, zbliżyły się pozycye, wiele się kantów starło, a wśród zmienionych warunków zagadnienia nowe, politycznej natury, inaczej ugrupowały ludzi, nie wskrzesiwszy jednak świetnej doby rozwoju literackiego". P. Eska tonem stanowczym zapewnia, że „Ateneum" jeszcze na kilka lat przed wyjściem Chmielowskiego skończyło okres działalności wpływowej i właściwą swą rolę i że później egzystowało przez obowiązek wobec polskiej nauki i literatury. Dalej przyznaje wszakże, iż ma ono w historyi naszej umysłowości dobrze zapisaną kartę zasługi. Dziś nie może iść nieprzerwanie w tym samym kierunku, gdyż straciłoby racyę bytu, nie odpowiadając duchowi czasu; istotnie też przebywa przeobrażenie, z którego w chwili przejściowej trudno sobie jeszcze zdać sprawę dokładnie, ale które powinno było skrystalizować się w prospekcie.

P. Eska krytykuje więc prospekt i szczególnie ten jego ustęp: „Ateneum" nie podziela tych fałszywych uogólnień, które — z nauk przyrodniczych — na grunt życia społeczno-duchowego przenoszą zasadę, iż dla wątłych i osłabionych niemasz miejsca na świecie, że, co słabe i biedne, powinno pójść „na krew i pokarm" temu, co mocne i szczęśliwe. Po nad prawami, które rządzą naturą, panują inne potęgi — moralne, wyższego życia".

„W szlachetnych tych wyrazach — pisze krytyk — mieści się program raczej dla instytucyi dobroczynnej, niż dla miesięcznika".

Zatrzymałem nieco uwagę czytelnika przy spostrzeżeniach i wywodach „Czasu", a raczej jego korespondenta z Warszawy, ponieważ potrąca on o niektóre motywy zasadnicze i obok pewnych sądów trafnych wypowiada zdania błędne i fałszywe.

Nie bez podziwu zaznaczamy najpierw, że pozytywiści warszawscy doczekali się nareszcie uznania na szpaltach „Czasu", który z nimi długo, systematycznie i gorąco wojował, który ich oskarżał o wszelkie grzechy, wystawiał, jako trucicieli ducha młodych poko-

leń, jako burzycieli ustroju społecznego, religii, moralności. I dziś ten sam „Czas” pisze, że mieli oni talenta młode i śmiałe, że „krzyżowały się tam artykuły pierwszorzędnej miary, świadczące o zdolności i umysłowem wyrobieniu przeciwników”, i że to wywołało w dziennikarstwie warszawskiem okres „bujnej żywotności”.

Pozytywiści, jako obóz społeczny, po części nawet, jako szkoła naukowa, dawno już u nas nie istnieją, uznanie „Czasu” przyszłoby zatem późno, choć lepiej późno, niż nigdy. Lecz między organem stańczyków krakowskich a pozytywistami warszawskimi antagonizm był zbyt jątrzący, i nieraz jeszcze stare namiętności się odezwą.

Rzućmy teraz okiem wstecz. Autor artykułu nazywa okres pozytywizmu „świetną dobą rozwoju literackiego”, która się już nie powtórzyła. Niewątpliwie. Nie było po prostu w naszych warunkach okoliczności i miejsca dla drugiej takiej epoki, jak epoka pozytywizmu. Każdy okres historyczny wysuwa na czoło ludzi z odpowiedniemi kwalifikacyami, charakterami i temperamentami.

Lecz ich rola się skończyła. Zarówno pozytywiści w Warszawie, jak stańczycy w Krakowie, nie mają już oddawna nic nowego społeczeństwu do powiedzenia, i, jeżeli na pierwotnej podstawie pragną swój byt i wpływ — jak stańczycy—przedłużyć, to zawdzięczają to przeważnie sile rozpędu. Życie przechodzi nad nimi do porządku dziennego.

Stańczycy, którym nie brakuje ludzi utalentowanych i politycznie przenikliwych, którzy rozumieją znaki czasu na niebie i na ziemi, zobaczyli grożące im od lat kilku niebezpieczeństwo, kiedy agitacya ludowa i agitacya socyalistyczna, owładnąwszy masami w Galicyi, zaczęła podważać fundamenta, i zapowiedzieli ewolucyę stronnictwa, między innemi (№ 33 „Kraju” z r. z.) zapowiedzieli program prac administracyjnych i ekonomicznych, mających wyjść między innemi z łona klubu konserwatywnego w Krakowie.

„Praca nad zrealizowaniem programu politycznego — czytaliśmy w przytoczonym numerze „Kraju” — zawierającego postulaty przedewszystkiem narodowościowe, pociągnęła za sobą zaniedbanie programu ekonomicznego. Wszystkie czynne siły były pochłonięte stosunkiem naszym do państwa; o pracy w kraju nie miał kto myśleć. Tem to tłómaczy się, że stronnictwo konserwatywne nie podjęło i nie przeprowadziło żadnej wielkiej reformy ekonomicznej.

Nie oceniono doniosłości kwestyi, drobnej własności ziemskiej, nie powzięto żadnego planu co do urządzenia finansów krajowych, nie przeprowadzono wreszcie podstawowej reformy administracyjnej".

Tej reorganizacyi stronnictwa będziemy oczekiwali, tymczasem zauważmy, że górująca idea stańczyków narodziła się z reakcyi przeciwko tradycyom, wierzeniom, skłonnościom i temperamentowi społecznemu, który ciężkie kilkakrotnie sprowadził klęski. Punkt wyjścia, jako polityczne hasło chwili, był logiczny i zapewne konieczny: stańczycy uregulowali lub przyczynili się głównie do uregulowania stosunku swojej prowincyi do państwa, przy bardzo sprzyjających, dodajmy, okolicznościach, stali się pierwszymi pozytywistami politycznymi w kraju, w którym polityka była dotychczas raczej antytezą, niż wyrazem pozytywizmu, lecz za mało korzystali z autonomii dla organicznego życia kraju.

Życie społeczne jednak, które posiada rozpęd siły żywiołowej, nie pozwoli się zamknąć w jednej formule i w jednym kierunku, gdyby nawet kierunek taki był rozleglejszy od stańczykowskiego. W ich teoryi politycznej, w ich stosunku społeczeństwa do państwa panowała ambicya stanowa uczynienia ze swojej warstwy i ze swojej partyi, ze swoich przywódców i swoich ludzi jedynego regulatora bytu i rozwoju. Nie pojęli tego, że epoka patryarchalna minęła niepowrotnie w dziejach, że wóz ewolucyi nie stoi na miejscu, lecz toczy się naprzód, i, gdyby jakiś cud wskrzesił instytucye patryarchalne, to nikt nie potrafi wskrzesić ludzi patryarchalnych.

Nie rozstrzygając w tej chwili, czy stronnictwo krakowskie dokonało już ostatecznie swojej karyery politycznej, czy stanęło u kresu swoich przeznaczeń, zauważmy, że stańczycy byli dogmatykami i nie chcieli czynić ustępstw, ani na rzecz tego, co nazywamy duchem wieku, ani się zgodzić na podział władzy i wpływu z innymi. Dodatnia ich rola polegała na wprowadzeniu do społecznej organizacyi polskiej pojęcia karności politycznej, które wynieśli z mozolnych studyów nad dziejami, i planu w robocie społecznej zamiast nieokiełznanego wichrzycielstwa.

Pozytywiści warszawscy w innych byli warunkach, jak stronnictwo krakowskie. Polityka nie zajmowała wydatnego miejsca w ich programie, co się nawet odbiło na późniejszej działalności pisarskiej głośniejszych naszych autorów, zaczynających swój zawód z brzaskiem „ery organicznej". Jedni z nich, jak Świętochowski, bardzo radykalnie — o ile przypuszczać można — zmienili swoje

poglądy polityczne, drudzy, jak Prus, wstąpiwszy późno na tę arenę, bez odpowiednich studyów i doswiadczeń historyczno-politycznych, kiedy serce i obserwacya zrosły się z innym światem, znaleźli się w wyraźnej i ostrej sprzeczności z opinią społeczną, już to podczas dyskusyi o pomniki, już to podczas różnych, mniejszych i większych od tej spraw. Dla pisarza politycznego niezbędne są pewne pierwiastki rozsądku, miary i dyalektyki z jednej, uczuć, wspomnień i tradycyi z drugiej strony. Bez takiej szczęśliwej kombinacyi, na którą składają się ściśły zarówno umysł, jak i dusza gorąca, bez szczególnej i harmonijnej równowagi tych składników niepodobna zostać pisarzem politycznym, zwłaszcza wtedy, kiedy dotykać wypada spraw pierwszorzędnych i niezmiernie powikłanych. Ani zasoby wyobraźni, ani humor i dowcip, ani serce czułe i kochające, ani plastyczny talent pisarski nie zastąpią tego szczególnego układu rozumu i temperamentu. Publicyście politycznemu potrzebny jest zarówno zmysł historyczny, jak i zmysł praktyczny, zarówno przezorność, spokój i dar przekonywającej argumentacyi, jak wrażliwość na prądy, tajemnice i przeznaczenia dziejowe. Pozbawiony jednych lub drugich kwalifikacyi, zostać może albo suchym i przewrotnym karyerowiczem, albo bez gruntu pod stopami marzycielem. Szczęśliwy ten, kto posiada właściwą skalę do widzenia i mierzenia rzeczy, kto wielkich nie bierze za małe, małych zaś za wielkie.

Pozytywiści warszawscy nie wywołali przełomowego zwrotu w pracy i w opinii społeczeństwa swymi poglądami i artykułami, polemiką i namiętnością, jak to często mniemano. Oni sformułowali tylko, ubrali w terminy naukowe i polityczne to, co krążyło w powietrzu. Zastosowali wyrazy do dążeń, pragnień i potrzeb organizmu społecznego. Współcześni przeceniają zwykle wpływ walk pisarskich na bieg rozwoju społecznego. Nawet w takiej epoce, jak druga połowa wieku XVIII we Francyi, kiedy na czele ruchu umysłowego stali tacy królowie pióra, jak Rousseau i Voltaire, Diderot i Montesquieu, krążenie idei postępowych i rewolucyjnych formułowało tylko czynniki i usposobienie rzeczywistości. Monarchia Ludwików bowiem już przy końcu XVIII wieku, kiedy dosięgła zenitu swojej chwały, posiadała w sobie zarodek żywiołów rozkładowych.

Społeczeństwo nasze, do niedawna szlachecko-rolnicze, w następstwie takich wypadków, jak uwłaszczenie włościan, oraz czyn-

ników politycznych i ekonomicznych zaczęło się przekształcać na demokratyczno-postępowe; obecnie jesteśmy znów w nowej fazie, w której ogółowi przybył i sięga po hegemonię, po wykreślanie dróg pochodu, liczny i silny żywioł burżuazyjno-przemysłowy. Powoli stajemy się społeczeństwem kapitalistyczno - mieszczańskiem, w którem wyobrażenia i interesa klas miejskich biorą górę nad innymi.

Każde społeczeństwo miejskie ze swojemi pragnieniami i dążeniami, ze swoim przemysłem, giełdą, handlem i fabrykami, wywiera przeważny wpływ na inne warstwy narodu, na jego wykształcenie i upodobanie; tam, gdzie panującą klasą stało się bogate mieszczaństwo, inteligencya krajowa szuka przeważnie zajęcia w miastach wielkich, w biurach kapitalistów, przemysłowców, bankierów i kupców. Musi ona teraz posiadać wykształcenie fachowe i pojęcia, że się tak wyrażę, fachowe. Parcie do miast staje się zjawiskiem powszechnem.

Początkom tego silnego ruchu, który dość wyraźnie zmienia kontury zewnętrzne i składniki wewnętrzne naszego ogółu, towarzyszyło właśnie przyjście na świat pozytywizmu warszawskiego i głośna walka „starej” i „młodej” prasy. Sądzę, że wyrażam się dość dokładnie, z historyczną istotą rzeczy zgodnie, kiedy mówię, że ruchowi przemysłowo-handlowemu, który popchnął na nowe tory energię i wydajność społeczną, towarzyszył ów prąd umysłowo-publicystyczny, zwany pozytywizmem. On mu istotnie tylko towarzyszył, wcale go zaś nie uprzedził i narodzin jego nie zwiastował. Dość rzucić nieco okiem wstecz, w te czasy, kiedy Andrzej Zamoyski z gronem obywateli i ludzi, przenikniętych ideą reformy, pracował nad rozniecaniem ekonomicznego życia w kraju, czynszował włościan, urządzał żeglugę parową na Wiśle, podnosił stan rolnictwa i pragnął powołać do życia przemysł w wielkim stylu. Cofając się nieco dalej, spotykamy Steinkellera, który produkcyą cynku, obniżeniem cen roli, urządzeniem karet pocztowych, projektem dr. żel. Warszawsko-wiedeńskiej, gospodarstwem fabrycznem i t. d., i t. d., zapisał trwałemi zgłoskami imię swoje w dziejach ekonomicznego życia kraju. Lecz właściwym inicyatorem pracy organicznej w XIX stuleciu u nas był Franciszek Ksawery Lubecki, minister skarbu Królestwa Polskiego (1822—1830 r.), umysł niezmordowanej energii, zarówno płodny w idee, jak i niezmęczony w ich wykonywaniu, łączący w sobie rozległy rzut oka w przyszłość z nie-

pospolitym talentem taktycznym i praktycznym. Kiedy będziemy mieli na źródłach opartą i umiejętnie napisaną historyę przemysłu krajowego, to zobaczymy, że wówczas lepiej rozumiano znaczenie przemysłu dla bogactwa społecznego, niż obecnie, i dążono do tego, ażeby wytwórczość zaspakajała przedewszystkiem potrzeby miejscowe, wewnętrzne i podnosiła ekonomiczny, kulturalny i estetyczny stan ludności. Nawiasowo dodam, że p. Henryk Radziszewski, młody, zdolny i pracowity ekonomista, z niezwykłem upodobaniem i oddaniem się przedmiotowi zbiera materyały i pracuje nad historyą przemysłu polskiego od wieków średnich, posiadając już kilka roździałów zupełnie wykończonych.

Pozytywizm warszawski związał nierozerwalnie swoje imię w historyi społecznej z pracą organiczną, i dlatego trzeba było trochę zajrzeć w głąb przeszłości, ażeby się przekonać, że źródła tego prądu leżą dalej, o dwa, nawet trzy pokolenia wstecz. Fakt ten nie zmniejsza bynajmniej istotnych zasług pozytywizmu i pozytywistów, które oddali ogółowi w swoim czasie, wnosząc do jego umysłowości pojęcia i metody nowe i żywotne, czerpane pełną ręką z literatury naukowej zachodnio-europejskiej, szerząc zamiłowanie do przyrody i do nauk społecznych, wypowiadając wojnę konwencyonalności na wszystkich polach pracy, myśli i sztuki.

Od lat kilku znów patrzymy na żywą reakcyę przeciwko duchowi i metodzie pozytywnej, Reakcya była nieuniknioną. Teorya „pracy organicznej" przez lat kilkanaście służyła za hasło głośne i wydała w swoim zakresie owoce; mogła ona wszakże służyć za dłuższy i ostateczny bodziec tylko dla natur pozytywnych i pieniężnych, temperamentów praktycznych i kupieckich, ambicyi przeciętnych. Sfera interesów, hasłem tem objętych, stanowi jeden z podkładów istnienia zbiorowego; nie mogła jednak zadowolić ani żywszych i czulszych żywiołów, ani wystarczyć popędom i potrzebom tego idealistycznego typu, który po wszystkie czasy, u wszystkich narodów jest wyrazem szczytniejszych dążeń człowieczeństwa, jego wrażliwością i jego nerwem, kwiatem cywilizacyi.

Pozytywiści warszawscy i stańczycy krakowscy stanowili dwa najwybitniejsze obozy społeczno-polityczne w ostatnich trzydziestu czterech latach, u nas i w Galicyi, najwięcej wywarli wpływu na opinię, najwięcej stoczyć musieli walk w obronie swoich poglądów i programów. Stańczycy są jeszcze wprawdzie czynnem

stronnictwem politycznem, lecz minęli już swoje apogeum i chylą się ku odkwitowi. Wypowiedzieli swoje credo w polityce narodowej, usiłowali je wcielić w życie, a nowych pomysłów, równych poprzednim, już nie posiadają.

Przy rozważaniu historyi stronnictw politycznych, kół naukowych lub programatów społecznych przychodzą na myśl spostrzeżenia Goethego: „W ogólności tak bywa, że wszystko, co ma być dokonanem przez liczne zjednoczone osoby i okoliczności, nie może się długo utrzymać w stanie doskonałym. Co do towarzystwa teatralnego, tak samo, jak co do państwa, co do kółka przyjaciół, jak i co do armii, daje się pospolicie oznaczyć chwilę, kiedy się znajdowały na najwyższym stopniu swej doskonałości, swej zgody, swego zadowolenia i działalności; częstokroć wszakże szybko się zmienia personel, nowi członkowie wstępują, osoby przestają odpowiadać okolicznościom, okoliczności osobom; wszystko się przeinacza i, co przed tem było zjednoczonem, rozpada się“. („Wilhelm Meister" w tłómaczeniu Piotra Chmielowskiego). Na naszym widnokręgu, kiedy pozytywiści wypowiedzieli swój program, kiedy wytyczne myśli tego programu, w pewnym przynajmniej stopniu, w życie wejść zdołały, ukazało się później trzecie i ostatnie w tych trzydziestu kilku latach grono działaczy i publicystów, usiłujące przekształcić opinię, posunąć społeczeństwo na dalszy stopień ewolucyjny, wprowadzić nowe czynniki do organizmu zbiorowego. Był to demokratyczny program „Głosu", który w chwili swego ogłoszenia, polegał, jak wiadomo, na „podporządkowaniu interesów innych warstw społecznych warstwie ludowej", na konsekwentnem realizowaniu go, w ekonomicznym i w politycznym kierunku. Ponieważ w zeszłym zeszycie, mówiąc o przejściu „Głosu" pod nowe kierownictwo, wypadło mi wspomnieć nieco szczegółowiej o jego programie, i o tem, jaką odegrał rolę w długim procesie naszych przeobrażeń, więc teraz zaznaczam tylko, że był to ostatni, a powszechnie znany program, zawierający kategoryczne wskazówki i postulaty co do wewnętrznego rozwoju społeczeństwa, kierunku jego myśli i jego usiłowań.

Ten krótki szkic powszechnie znanych i uznanych naszych kierunków i dążeń z ostatnich lat trzydziestu kilku nie jest oczywiście wyczerpującym i dokładnym, nie rości żadnej pretensyi do ścisłej analizy lub subtelnej charakterystyki. To tylko krótki rzut oka na minione, mijające i trwające prądy główne, które regulują

myśl społeczną, które szeregują obok siebie zwolenników, które przenikają i pobudzają sumienia i inteligencye, jednostki i grupy. Publicysta razem ze społeczeństwem powinni od czasu do czasu rzucić okiem dokoła siebie, wstecz i w przyszłość.

Zacząłem od cytaty z „Czasu" i przy końcu do niej powracam. Dziennik krakowski uczynił zarzut, że „Ateneum" nie skrystalizowało dostatecznie swoich zamiarów i dążeń, że jakoby koniecznem było wyjaśnienie stosunku dzisiejszego „Ateneum" do dawnego z epoki pozytywnej, i że w wyrazach prospektu mieści się program raczej dla instytucyi dobroczynnej, niż dla miesięcznika.

Uwagi te pochodzą albo z nieznajomości, albo z nieuwzględnienia naszych stosunków. „Ateneum" i w chwili swego powstania, jako pismo naukowe i literackie, nie ogłaszało się za wyznawcę żadnej doktryny naukowej i społecznej i nie było nigdy organem pozytywizmu w ściśłem znaczeniu wyrazu, jak twierdzi p. Eska. Miesięcznik ten był wynikiem porozumienia ludzi, poruszanych ideą dobra i rozwoju społecznego, w których duch obywatelski górował nad doktrynerstwem, przejętych potrzebą gruntownego i poważnego pisma miesięcznego, zostającego na poziomie współczesnej nauki europejskiej, tak niezbędnego dla nauki i myśli polskiej, dla ruchu społecznego polskiego. Gorliwie przestrzeganem hasłem była bezstronność, do której wznieść się umiała redakcya, złożona z pierwszorzędnych historyków, oraz życzliwość dla wszelkich rozumnych i uczciwych usiłowań i pomysłów.

Każdy, kto znał redaktorów „Ateneum", kto z nimi pracował, rozmawiał i obcował, uzna, że oddychał tam w atmosferze czystej i szlachetnej, że był w towarzystwie ludzi rozumnych i dobrych, pracowitych i ukochanej idei niepodzielnie oddanych. To nie byli ani sekciarze, ani zasuszeni erudyci, ani bałwochwalcy teoryi naukowych; byli to ludzie doświadczeni i wyrobieni w moralnej szkole życia, myśliciele uszlachetnieni przez wiedzę, obywatele zagrzani przez uczucia ciepłe i szczytne i wolni od uprzedzeń stronniczych.

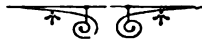
Sądzę, że i dziś, kończąc ćwierćwiecze swego istnienia, „Ateneum" może pod nową redakcyą powołać się na tradycyę, na to, że służyć będzie prawdzie, pięknu i cnocie, że pragnie być wyrazicielem rozwoju i humanizmu, dążyć do reform, bo bez reform niema rozwoju, bez rozwoju zaś niema życia.

Takie ogólne credo jest wskazane i podyktowane przez okoliczności, tak, iż dziwić się trzeba, że komuś nie wystarcza. Ponad to „Ateneum" zachowa jeszcze niezamąconą pobłażliwość dla złośliwego dowcipu, który szczypie wtedy, kiedy mu brak argumentów dla przekonania i definicyi dla określenia przedmiotu.

Bolesław Lutomski.



Bibliografia.



1. A. Czasopisma. **Biblioteka Warszawska** (styczeń): El. Orzeszkowa „Wesele Wiesiołka, bajka“, St. Tarnowski „Szujski, jako poeta“, Adam Darowski „Kronika Rzymska“, dr. Józef Nusbaum „Wyraz twarzy i mowa oczu“, Winc. Kosiakiewicz „Rick-Rock“ (powieść), Dr. Józef Siemiradzki „W sprawie emigracyi włościańskiej w Brazylii“, Szym. Askenazy „Materyały i notatki 1793“, Stefan Popowski „Przegląd Artystyczny“.

= **Lud,** organ Towarzystwa Ludoznawczego we Lwowie, zeszyt I: Dr. Antoni Kalina „Pierwsze pięciolecie“, Jan Witort „Filozofia pierwotna“, dr. Fr. Krček „Przyczynek do drugiego wydania Księgi przysłów S. Adalberga“, Br. Gustewicz „O ludzie Podduklawskim w ogólności, o Iwoniczanach w szczególności“, Stef. Ramult „Kilka słów o Słowieńcach pomorskich“, „Rozmaitości“ przez dra Krčeka, J. Mazura i d-ra St. Eliasza Radzikowskiego.

= **Przeglądu Filozoficznego**, roku III zeszyt I zawiera: d-ra W. Rubczyńskiego „Studya neoplatońskie“, E. Abramowskiego „Kilka słów o metodzie przy rozpatrywaniu kwestyi jednostek psychicznych“, St. Żeromskiego „Listy Trentowskiego do Lelewela i Królikowskiego“.

= **Przegląd Polski** (styczeń i luty): W. Dzieduszycki „Wrażenia z hiszpańskiej podróży“, dr. Stanisław Kutrzeba „Szos królewski w Polsce w XIV i XV w.“ dr. Paweł Popiel „O studyach Juliana Klaczki nad Odrodzeniem“, St. Tarnowski „Franciszek Smolka“, A. Strzelecki „Karty z życia Chopina“.

= **Przegląd Powszechny** (luty). Ks. Wł. Chotkowski „Testamentum D. N. J. Christi“, ks. J. Kobyłecki „Filozofia wolnych dusz“. dr. F. Kudelka „Obieżysasi“. ks. J. Tuszowski „O charakterze i zadaniu muzyki kościelnej“.

= **Przewodnik Naukowy i Literacki** (styczeń): D. Zaleski „Korespondencya J. B. Zaleskiego“, W. Dzieduszycki „Historya malarstwa na Północy i w Hiszpanii“, ks. J. Sygański „Nowy Sącz w epoce Wazów“, J. Snitka „Zarys pojęć o narodzie“, J. Horoszkiewicz „Pamiętnik o stroju narodowym Rzeczypospolitej polskiej“, Al. Wybranowski „O dworach i dworkach szlacheckich“.

= **Rozprawy Akademii Umiejętności** wydział historyczno-filozoficzny, s. II, t. XIII (ogólnego zbioru tom XXXVIII): A. Prochaska „Geneza i rozwój parlamentaryzmu za pierwszych Jagiellonów“, F. Piekosiński „O źródłach heraldyki ruskiej“, A. Lewicki „Unia florencka w Polsce“, K. Potkański „Walka o Poznań (1306—1312), S. Kętrzyński „Kazimierz Odnowiciel (1034 — 1058)“, K. Potkański „Zdrada Wincentego z Szamotuł“.

= **Wisła,** tom XIII zeszyt XI—XII (listopad—grudzień): E. Majewski „Sowa w mowie i w pojęciach ludu naszego“ Am. Derewińska „Nad granicą pruską, szkic etnograficzny“, Jerzy Buschan „Kuchnia przeddziejowa“, L. Młynek „W anioły i dyobły, zabawa dzieci wielickich“, G. Paszkiewicz „Obchód Sobótki w okolicy Sandomierza“, L. Magierowski „Zagadki ludowe z Jaćmierza i Posady Jaćmierskiej“, Maryan Kucz „Salve Regina“, H. Łopaciński „Do pieśni o grzybach, wspomnianej w Panu Tadeuszu“, H. Paprzyca „Kopiec w Sieklukach“.

= Na posiedzeniu **Komisyi historyi sztuki** Akademii Umiejętności w Krakowie (dnia 18 stycznia r. b.) p. J. Pagaczewski podał wiadomość o obrazie bizantyńskim Matki Boskiej w kościele św. Andrzeja w Krakowie (XII—XIII w.) oraz małej polichromowanej figurce św. Sebastyana w tymże kościele (XVI w.); odczytano komunikat p. Worobjewa z Łomży o ruinach zamku biskupiego i kościoła parafialnego w Broku (pow. Ostrowski, gub. Łomżyńska) oraz rozprawkę p. H. Łopacińskiego o obrazowanej alegoryi politycznej z czasów Stefana Batorego; w zakończeniu dr. F. Kopera przedłożył fotografię grobowca ks. Konstantego Ostrogskiego w Peczerskiej Ławrze w Kijowie oraz fotografię z medalu ks. Wayla Ostrogskiego.

= **Komisya antropologiczna** Akademii Umiejętności w Krakowie powołuje wszystkich, interesujących się rzeczami narodowemi, do zbierania materyałów w sprawie ubioru ludu polskiego, a mianowicie fotografii (o ile można kolorowanych) wraz z dokładnym opisem i wymienieniem miejscowości, używających tego stroju; materyały te należy nadsyłać pod adresem Komisyi Antropologicznej Akademii Umiejętności w Krakowie na ręce prof. Romana Zawilińskiego

B. Socyologia. **Grabski Stanislaus dr.** Zur Erkenntnisslehre der volkswirthschaftlichen Erscheinungen, Leipzig, 1900.

= **Lutosławski W.** O wychowaniu narodowem, Kraków, 1900.

C. Historya. **Czermak Wiktor.** Marya Kazimiera Sobieska, Kraków, 1899.

= **Kołaczkowski Klemens** gen. Wspomnienia, księga III, od r. 1820 do 1830 Kraków, 1900.

= **Krzyżanowski Stanisław.** O sejmikowaniu mieszczaństwa krakowskiego. Kraków, 1899.

= **Potkański Karol.** Sprawa restytucyi, rok 1374 i 1381 (Studya nad XIV w. № III), Kraków, 1900.

= **Seignobos K.** Dzieje polityczne Europy współczesnej, rozwój stronnictw form politycznych, 1814—1899, dodatek do „Głosu", zeszyt V, Warszawa, 1900.

= **Ułaszyn Henryk.** Kontrakty Kijowskie, szkic historyczno-obyczajowy, 1798—1898, Petersburg, 1900.

= **Zakrzewski Wincenty.** Historya nowożytna w zarysie, wyd. drugie, Petersburg, 1899.

D. Literatura. **Jellenta Cezary.** Juliusz Słowacki dzisiaj, szkic konturowy, Kraków 1900.

= **Krček Fr.** dr. Przyczynki do drugiego wydania „Księgi przysłów" S. Adalberga, Lwów, 1900.

= **Popiel Paweł.** Uwagi nad Odrodzeniem, z powodu dzieła Jul. Klaczki „Rome et la renaissance", Kraków, 1900.

= **Tretiak Józef.** Miedziany jeździec Puszkina, studyum polemiczne, Kraków, 1900.

E. Beletrystyka. **Anakreont.** Pieśni, Lwów, 1900.

Bałucki Michał. Pamiętniki Munia, Warszawa—Kraków, 1900.

= **Danilowicz Strzelbicki Kazimierz.** Blichtr, sceny z życia, powieść, odznaczona na konkursie „Głosu", Warszawa, 1900.

= **Gruszecki Artur.** Dla miliona, powieść, Warszawa—Kraków, 1900.

= **Jeske-Choiński Teodor.** Tyara i Korona, powieść historyczna (Biblioteka dzieł wyborowych № 117—120), Warszawa, 1900.

= **Junosza Klemens.** Czarne błoto (pająki wiejskie), dodatek do „Gazety Polskiej, Warszawa, 1900.

= **Kaczkowski Zygmunt.** Wybór pism, z przedmową Ign. Chrzanowskiego. tom IV: Murdelio, Tradycye Sanockie, tom V: Gniazdo Nieczujów, Starosta Hołobucki, Warszawa—Kraków, 1900.

= **Niemojewski Andrzej.** Bajka, poemat w jednej odsłonie, Warszawa, 1900

= **Or—Ot.** Wybór poezyi, Warszawa—Kraków, 1900.

= **Orzeszkowa Eliza.** Argonauci, powieść, tom I i II, Warszawa — Kraków 1900.

= **Rostand Edmond.** Romantyczni, komedya w 3-ch aktach przekład. Leo Belmont, Warszawa, 1900.

= **Sami sobie.** Książka zbiorowa na rzecz Warszawskiej Kasy Literackiej Warszawa, 1900.

= **Sieroszewski Wacław.** Brzask. — Puszcza Białowieska. — Grecka szczeina. — Dno nędzy, Warszawa—Kraków, 1900.

= **Żuławski Jerzy.** Poezye, II, Warszawa—Kraków, 1900.

G. Matematyka i przyrodoznawstwo. **Jabłkowski Józef.** Zasady tkactwa ze szczególnem uwzględnieniem przemysłu wełnianego, 75 rysunków w tekście oraz 46 tablic kolorowanych (Biblioteka przemysłowa), Warszawa, 1900.

H. Różne. **Monografia illustrowana** kościołów rzymsko-katolickich w Królestwie Polskiem, zeszyt 6, Warszawa, 1899.

= **Weryho Marya.** Jak zająć dzieci w wieku przedszkolnym, pogadanki rozmowy, zabawy i robótki, Petersburg, 1900.

2. Filozofia. **Bruhl L.** History of modern philosophy in France, London, 1900.

= **Horneffer E.** Vorträge über Nitzsche, Versuche. Wiedergabe seiner Gedanken, Göttingen, 1900.

= **Horneffer E.** Nietzsche's Lehre von der ewigen Wiederkunft u. deren biesherige Veröffentlichung, Leipzig, 1900.

= **Lombroso P.** Il problema della felicità, Torino, 1900.

= **Lyon O.** Das Pathos der Resonanz, eine Philosophie der modernen Kunst u. des modernen Lebens, Leipzig, 1900.

B. Socyologia. **Burke W. Maxwell.** History and functions of central labour unions, New-York, 1900.

= **Giese W.** Die Judenfrage am Ende des XIX Jahrhunderts, Berlin, 1900

= **Kowalewskij M. M.** Ekonomiczeskij stroj Rossii, Petersburg, 1900.

= **Lilly W. S.** First principles in politics, New-York, 1900.

C. Historya. **Bain R.** The daughter of Peter the Great: a history of Russian diplomacy and of the Russian court unter the empress Elizabeth Petrovna 1741—1762, London, 1900.

= **Günter R.** Kulturgeschichte der Liebe, Berlin, 1900.

= **Prutz H.** Preussische Geschichte (bis 1740), Stuttgart, 1900.

= **Safonow A. P.** Carstwowanie Impieratora Aleksandra II, Moskwa, 1900.

D. Literatura. **Harrison Fr.** Tennyson, Ruskin, Mill and other literary estimates, London, 1900.

E. Sztuki piękne. **Marillier H. C.** Dante Gabriel Rossetti: An illustrated memorial of this art and life, London, 1900.

= **Michel E.** Rubens, sa vie, son oeuvre et son temps, Paris, 1900.

F. Matematyka i przyrodoznawstwo. **Cochrane Ch.** The wonders of modern mechanism, London, 1900.

= **Lubbock John.** Die Schönheiten der Natur und die Wunder der Welt, in der wir leben, deutsche Ausgabe, Basel, 1900.

—*h*.—

---

3. Przekłady z polskiego. Nowela **Ignacego Dąbrowskiego** „Łza" została przetłóm. na jęz. niem. przez p. M. Ursteina w czasopismie „Deutsches Heim" w zeszycie grudniowym.

Rzymskie czasopismo „Illustrazione Italiana" (styczeń) tłóm. **H. Sienkiewicza** p. t. „Kwiat lotosu".

Nr. 49 (z r. 1899) tygodnika zagrzebskiego „Vienac" zamieścił przekład ballady **A. Mickiewicza** p. t. „Lilie" pióra F. M. Mazrovića, w ostatnich zaś nr-ach podał tłómaczenie nowelki **Elizy Orzeszkowej** p. t. „Syn Stolarza".

W styczniowych felietonach dziennika „Hrvatskà domovina" znajdujemy przekład „Rodziny Połanieckich" **H. Sienkiewicza.**

Nowelę **Bolesława Prusa** p. t. „Nowy Rok" przyniósł w rosyjskim przekładzic „Warszawskij Dniewnik" z 2 (14) stycznia.

Żytomierski „Wołyń" przyniósł w n-rze 196-tym za r. 1899 przekład utworu **H. Sienkiewicza** p. n. „Sąd na Olimpie", w n-rze 1-szym za 1900 r. tłomaczenie nowelki **Ludwika Straszewicza** p. t. „Nieprzejednani".

W Tyflisie ukazało się w wydaniu ozdobnem tłómaczenie „Quo vadis" **Sienkiewicza** na język ormiański, dziennik zaś rzymski „Giorno" pomieścił we włoskim przekładzie nowelę „Sąd na Olimpie".

Listy **Andrzeja Koźmiana** z lat jego pobytu w Paryżu t. j. 1829—1830 ukazały się w tłómaczeniu francuskiem K. Waliszewskiego w czasopismie „Revue de Paris" z 15 stycznia. Tytuł brzmi: „Le carnet d'un mondain sous la Restauration"

Nowelę Waleryi **Marrene-Morzkowskiej** p. t. „Przed sądem" napotykamy w tłómaczeniu rosyjskiem w czasopismie „Wołyń" w numerach styczniowych.

4. Udział Polaków w obcych literaturach. Prof. **Aleksander Brückner** zamieścił w berlińskiej „Zeitschrift für Ethnologie" w zeszycie 2-gim z 1899 r. artykuł p. n. „Slavische Volkskunde", zawierający oceny publikacyi etnograficznych narodów słowiańskich. Z rzeczy polskich oceniony został lwowski „Lud", „Wisła" i „Materyały antr.-archeol.".

„Mittheilungen der schlesischen Gesellschaft für Volkskunde" przyniosły w zeszycie 6-tym (1899 r,) rzecz prof. **Władysława Nehringa** p. n. „Dritter Bericht über oberschlesische Erzählungen".

W Paryżu ogłosił p. **Kazimierz Stryjeński** obszerną pracę p. t. „Deux victimes de la terreur: La princesse Rosalie Lubomirska, m-me Chalgrin" (wyd. 2).

5. Cudzoziemcy o rzeczach polskich. **Dr. Robert Arnold** wydał tom 1-szy swojej pracy p. t. „Geschichte der deutschen Polenlitteratur von den Anfängen bis 1800" w Halli. Tom drugi obejmie wiek XIX.

Tom XII Zeitschrift für Geschichte und Alterthumskunde Ermlands zawiera kilka prac, tyczących się rzeczy polskich, a mianowicie d-ra A. Kolberga, „Historische Bedeutung der Passio S. Adalberti" (str. 262—322), tegoż autora „Ueber den Verfasser des Lobgedichtes auf den hl. Adalbert" (str. 323—358), ks. Adolfa Müllera „Kopernicus Einführung in sein astronomisches Hauptwerk" (str. 359—382) i notatkę p. n. „Unbekannte Jugendgedichte M. Cromers" (str. 725—727).

= **Alfred Jensen** wydał dzieło w jęz. szwedzkim p. n. „Polska Skalder" (Polscy poeci). Na wstępie rozprawa o „szkole ukraińskiej", poczem następują tłóm. „Zamku Kaniowskiego" i „Maryi". Dalej życiorys Mickiewicza wraz z przekładami „Wallenroda", „Farysa" i „Improwizacyi", poczem studyum o Słowackim i przekłady „W Szwajcaryi", „Anhellego", „Ojca Zadżumionych" i wiersza „Mój testament". Działo zamyka notatka o Ujejskim i tłóm. „Melodyi biblijnych".

Wychodzące w Innsbrucku „Mittheilungen des Instituts für österreichische Geschichtsforschung" przynoszą w zeszycie 3-cim z 1899 r. rozprawę Augusta Fourniera p. t. „Zur Geschichte der polnischen Frage 1814 und 1815", na str. 444—475.

St. Zdziarski.



Дозволено Цензурою Варшава, 21 Января 1900.

Wydawcy: ***Wł. Spasowicz*** i ***St. Łaguna.***
Redaktor: ***Ignacy Chrzanowski.***

ATENEUM,

PISMO NAUKOWE i LITERACKIE,

WYCHODZI CO MIESIĄC

w zeszytach, zawierających od 11—13 arkuszy druku

pod redakcyą

IGNACEGO CHRZANOWSKIEGO.

TREŚĆ:

I. Artykuły, dotyczące ważnych zagadnień bieżących, treści społecznej lub naukowej.

II. Powieści, nowelle i poezye.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii i ekonomii politycznej ze szczególnem uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich.

IV. Rozprawy, wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego; monografie, sylwetki i charakterystyki literackie.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one dojrzałością swoją uwydatnią.

VI. Studya z dziedziny filozofii.

VII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych.

VIII. Kronika miesięczna, w której bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

IX. Kronika ekonomiczna.

X. Kronika artystyczna.

XI. Rozbiory, sprawozdania i nowości literackie, w których zawrze się obraz współczesnego ruchu naukowo-literackiego.

XII. Bibliografia krajowa i obca z uwzględnieniem prac cudzoziemców o nas.

PRENUMERATA WYNOSI:

Rocznie Rb. 12. Półrocznie Rb. 6. Kwartalnie Rb. [illegible]

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio:

Do Redakcyi ATENEUM, Chmielna 21.

ROK XXV. WARSZAWA. Og. zb. Tom XCVII.



SPIS RZECZY.

str.

Zeszyt zawiera arkuszy 14.

Druk ukończono d. 22 marca 1900 r.

PALĄCA SPRAWA.

„Dawno wołacie, a nic niemasz".
(Jeremiasz).

Celem niniejszej pracy jest zebranie materyału, wyjaśniającego przyszłemu historykowi sztuki naszej w ogólności, a sztuki kościelnej w szczególności, przyczyn upadku, w jakim sztuka ta dotychczas u nas się znajduje, oraz wykazanie, dlaczego piękne pomniki tej sztuki z epok minionych na szwank i zatratę narażone bywają. Idzie mi też o zaprojektowanie reform, jakieby stanowi obecnemu zaradzić potrafiły. Reformy takie, jak wszelkie zresztą u nas reformy, projektować mogę jedynie w celu pozostawienia śladu, iż reformatorowie istnieli. W pracy mojej reformy małą grają rolę; nacisk główny kładę na stan obecny i jego przyczyny.

Przyczyny te, jako malarz, znam dokładnie, ujawniam je z całą bezwzględnością; niech społeczeństwo wie, z czem i gdzie walczyć mu wypada.

Zastanówmy się teraz, w jaki sposób pozyskują się przedmioty sztuki kościelnej u nas.

Parafia otrzymała nowego pasterza. Jest on przedewszystkiem gorliwy o dobro świątyni, powierzonej jego pieczy; chcąc tę gorliwość okazać, przystępuje do odnawiania i restaurowania kościoła. Przyprowadza mury do porządku, tynkuje i maluje ściany, dach blaszany cynkowy jest szczytem jego marzeń. Następnie zajmuje się wyzłoceniem i restauracyą ołtarzy. Tu zazwyczaj styka się proboszcz ze specyalistą w pracach tego rodzaju, t. j. z pozłotnikiem. Któż to jest pozłotnik? Nie mamy w kraju szkoły snycerskiej ani pozłotniczej; tradycya przeto święcie przechowuje się wśród pozłotników naszych, a z nią bodaj więcej przywar, niż zalet, przechodzi z pokolenia w pokolenie. Nie mamy w kraju muzeum ani nawet większego (dostępnego) zbioru, w którymby publiczność smak swój nieco ukształcić mogła. Trudno wymagać od duchowieństwa naszego, by bez możności oglądania tego, co piękne, smak należycie kształcić sobie mogło. Tak tedy proboszcz styka się przy odnawianiu świątyni z pozłòtnikiem, t. j. z człowiekiem mniej więcej tego samego poziomu estetycznego, który ma jednak pewną przewagę, bo jest majstrem, któremu liczne świadectwa nadają charakter autorytetu.

Taki autorytet, przywołany do kościoła potrafi zgodzić się, to jest podjąć się za pewną sumę odnowienia ołtarzy, potrafi „dodać gustu”, zaprojektować takie lub inne zmiany lub przeróbki ołtarzy, a to tak, aby one przypominały lub przewyższały pięknością ołtarze świątyni sąsiedniej, które albo on sam, lub jego współzawodnik odnawiał. Pozłotnik, jako majster zgodny, potrafi uwzględnić wymagania i zachcenia proboszcza oraz parafian, potrafi nagiąć się łatwo do tych częstokroć dość dziwnych upodobań. Odgrywa on nawet rolę zbawcy honoru parafii, bo pieniędzy starczy na odzłocenie ołtarza; za to na odnowienie starego malowidła niema ani jednego rubla w ubogiej kasie parafialnej. Proboszcz zwierza się z kłopotem majstrowi, a ten po namyśle oświadcza, iż „na chwałę Bożą” może uda mu się znaleźć mistrza, który za bagatelę dzieło do stanu nowego (nie pierwotnego) przyprowadzi; i oto obraz, wysłany do Warszawy, po kilku tygodniach wraca, „jak nowy”, ku uciesze wiernych, proboszcza oraz majstra pozłotniczego, który otrzymuje jak najlepsze świadectwo; bo przecież trudno odmówić człowiekowi, świadectwa który tyle oto uczynności okazał. W chwili, gdy roboty są już na ukończeniu, oko proboszcza pada na antepedyum stare, wyblakłe, w dziwne jakieś wzory: szpeci to piękną całość świątyni. Usłużny pozłotnik współczuje strapieniu duchownego, i oto we dwie niespełna godziny

antepedyum aż błyszczy się od farby olejnej: i to także nazywa się odnowieniem.

Majster pozłotniczy cieszy się nie tylko uznaniem proboszcza, ale i parafian; naturalnie, jest to zazwyczaj człowiek z ludu, nie strzelający poziomem swych zapatrywań wysoko po nad takie osoby, jak organista, sołtys i t. p.; ma on coś pokrewnego z temi osobami, tak wpływowemi w życiu wsi i parafii; nie dziw więc, iż siłą tej samej pozycyi towarzyskiej potrafi on wywierać wpływ na proboszcza przez najbliższe jego otoczenie. A posiadanie tego wpływu to nie drobnostka, boć ci, co dają lub uchwalają „składkę" na kościół, przedewszystkiem winni być z owoców swej ofiarności zadowoleni; ich więc smak, z małymi wyjątkami, jest czynnikiem niepoślednim w decydowaniu, jaką szatę świąteczną ma kościół przybrać. Wystawmy sobie, iż pozłotnik przez długoletnie obcowanie z chlebodawcami parafialnymi potrafił przyswoić sobie pewną „rutynę" w postępowaniu i że, jak mówią, „zna ludzi": wtedy wpływ jego nieskończenie potężnieje, urasta, ba! staje się niekiedy groźnym. Uzbrojony taką rutyną majster to powaga twarda, jak opoka, powaga, z którą walka niełatwa. Bo jak tu walczyć z człowiekiem, którego wszyscy rozumieją (w parafii), który przemawia argumentami, zupełnie przypadającymi do skali pojęć otoczenia, który zaspakaja te właśnie potrzeby estetyczne, jakie parafianom są właściwe, wrodzone? Wpływ takiego człowieka będzie decydujący i żadnej apelacyi nie dozwoli! Parafianie chcą mieć przybytek odnowiony, lśniący od złota, błyszczące, jaskrawe ołtarze, malowidła o krzyczących barwach: pozłotnik odczuł, zrozumiał, przejął się ich „smakiem" i za „tanie pieniądze" dał im to, czego chcieli, dorzuciwszy to lub owo na „chwałę Bożą". Jego ludzie umieją wszystko od lakierowania „na dąb" konfesyonałów, od „robienia marmurów" do złocenia ołtarzy „na glac", do „restaurowania" starych malowideł, malowania nowych obrazów i „fresków", gdy tego zajdzie potrzeba. Oto naprzykład w kaplicy wisiał obraz dziwny, niby to szafa, a nie szafa, miał drzwiczki, ale nie dochodziły, środka brakowało; kłopot z tem był niemały, bo robactwo drzewa się imało, i prochy podłogę zasypywały. Rada w radę — zdjęło się ten obraz i wyniosło na stryszek, a jeden z „ludzi" pozłotnika wymalował przepiękną Maryę Magdalenę wedle sztychu G. Dorégo. Albo np. portrety fundatorów, co z ram wypadały! Obcięło się to i dopasowało, a ten pan z Warszawy „powerniksował" je, — że wyglądają, jak „nowe".

Charakterystyka pozłotnika byłaby nie zupełną, gdybyśmy do niej nie dodali chociaż szkicu jego „człowieka z Warszawy". Na żadnem zapewne polu niema tylu ludzi wykolejonych, chybionych, jak na polu sztuki. Brak talentu, częściej brak środków doskonalenia się sprawiają, iż zastęp artystów tworzy się z egzystencyi zagadkowych, mglistych, z jakichś szumowin świata malarskiego; tam to majster pozłotniczy wybiera „swoich ludzi". Taki „człowiek" bywa zazwyczaj uniwersalnym; trudności ani skrupułów on nie ma, jego „talent" starczy na wszystko. Dla niego istnieje tylko jedna trudność, t. j. trudność dostania pieniędzy. Zresztą walka o byt, twarde warunki, w których żyje ten, co ma za całą broń tylko pędzel i farby, usprawiedliwiają poniekąd takiego „człowieka". Współczujemy mu nawet, gdy poznamy warunki, w jakich inni artyści, mniej zależni, zmuszeni są u nas pracować. Takiemu oto „człowiekowi" powierza się za sprawą pozłotnika „restaurowanie" (czytaj: przemalowywanie) starych, częstokroć wysokiej wartości obrazów: on też „tworzy" nowe dzieła w miarę potrzeby. Mniej więcej każdy z artystów ma swój rodzaj, który specyalnie uprawia. Jeden maluje konie, inny krajobrazy, jeszcze inny sceny jarmarczne, słowem rozmaitość wielka, stosownie do usposobienia lub temperamentu. Wielu z tych malarzy ma odpowiednie, a nawet niepospolite, wyrobienie techniczne, niezbędnie przystosowane do rodzaju, jakiemu się poświęca. Po za portretem i lekcyą każdy taki malarz, „aby żyć", poświęca się u nas „malarstwu religijnemu", o ile zamówienie się trafi. Że niełatwo nałamać się od obrazu rodzajowego lub koni z bryczką do „religijnego tematu" i „stylu", to chyba jasne, jednak dla chleba o takie nałamywanie się nie trudno. Sumienniejsi mają fotografie ze starych mistrzów lub nowożytnych specyalistów zagranicznych od malarstwa religijnego i z tych fotografii „na zimno" kompilują swe obrazy. Czasami sztych lub nawet drzeworyt są jedynem źródłem „natchnienia". Wykonanie techniczne bywa zazwyczaj poprawne, nawet dobre, ale czyż może być mowa o „wrażeniu", o „stylu", o „uczuciu", o zrozumieniu tego, co jest właściwie sztuką religijną? A jednak dosyć od czasu do czasu przejrzeć dzienniki, aby przekonać się, iż artyści, których z innej strony znamy i za co innego cenimy, „popełniają" obrazy religijne „dla chleba", ba nawet wiążą się w korporacyę, by tylko „robotę" w swe ręce uchwycić! Z dwojga złego lepiej, że taki artysta obraz wykona; nie będzie to przynajmniej karykatura, ale — jeżeli chodzi o zbliżenie się do ideału malarstwa religijne-

go—czy np. pejżażysta może uporać się z wyrazem umierającego Zbawiciela? Gdybyśmy spytali tych „lepszych" artystów, malujących obrazy religijne, czy czynią to z zamiłowania, odpowiedzieliby: „Nie, tylko — dla chleba! Tak! „Chleb" oto pcha ich na pole, tak całkiem im obce, a wymagające specyalnego, całkiem odrębnego, wykształcenia artystycznego i, powiedzmy śmiało, „duchowego". Tu uśmiechną się może ironicznie rozliczni X i Y, ja jednak nie cofam tego wyrażenia: bez duchowego przygotowania, bez wżycia się w ducha tematu pożyteczna praca na polu malarstwa religijnego jest niemożebną. Otóż, jeżeli „inteligentny" artysta ma takie trudności do zwalczania, to cóż dopiero mówić o „człowieku" pozłotnika! Czasami odnawianie kościoła lub ołtarza (częściej) odbywa się „środkami domowymi", to jest wieś ma majstra klepkę, co to wszystko zrobić potrafi. Miałem sam raz sposobność widzieć, jak taki uniwersalny człowiek przepiękne gotyckie „żabki" na pinaklach Długoszowskiego kościoła w Działoszycach odnawiał w taki sposób, że piłką wyrzynał w kamieniu to, co wedle jego zdania miało być do „żabki" podobne, — a na model (szablon) ubił młotem jedyną, jaka z dawnych „żabek" pozostała jeszcze w całości. Taki tedy uniwersalny „sprytny" majster posuwa nawet swą śmiałość do lakierowania bronzów, rzeźb i obrazów. Proboszcz, organista, nauczyciel wiejski i uniwersalny majster składają radę, i ich decyzye są nieodwołalne. Często nawet (co już nie do wiary) komitet taki zajmuje się „rozprzestrzenianiem" samej budowy (autentycznel). Harmonia zdań takiego komitetu bywa, jak na kraj, o którym przysłowie mówi: „dwu Polaków, a trzy zdania", iście zadziwiająca. Ile taki komitet wprowadza inowacyi, jakie sieje spustoszenia, jakie popełnia zbrodnie przeciw smakowi, mamże opisywać? Czyż nie dość popatrzeć na powleczoną białą olejną farbą piękną bronzową chrzcielnicę z czasów Łokietka w Rawie, na gnijące na strychach kościelnych wartościowe makaty, na palone z uchwały rady i dozoru kościelnego ornaty z herbami Zbigniewa Oleśnickiego, na śpiewniki iluminowane, pargaminowe, podkładanepod schodki dla księdza w czasie „wystawienia"? Mam że wyliczać te wszystkie zbrodnie, na jakie patrzeć musiałem? Ilu takich artystów wędruje po kraju, ilu mieszka w miastach i miasteczkach prowincyonalnych, niepodobna zliczyć. Niejednokrotnie przekonywałem się, iż każde miasteczko ma swego miejscowego Matejkę lub Siemiradzkiego, który, chociaż w mniemaniu swego otoczenia „nie taki wielki", jak tamci, niemniej jednak szerokiej

zażywa wziętości i najczęściej „obstalunki" ku zadowolnieniu „stalującego" wykonywa.

O stosunkach prowincyonalnych, chociaż je znam, pisać nie będę. Wezmę pod uwagę przypadek, kiedy proboszcz jedzie po obraz do Warszawy. Jeżeli już z góry pozłotnik jaki nie opatrzył księdza w adres „swego człowieka", to w wyborze artysty gra rolę częstokroć prosty przypadek: pogawędka w wagonie, tak zwane „przepytywanie się między znajomymi", informacya posługacza hotelowego, najczęściej polecenie znajomego księdza lub sąsiada i t. p. Przypuśćmy, że proboszcz ma już adres „artysty"; wtedy zazwyczaj ma już i upatrzony „ideał", t. j. ma w kieszeni obrazek tani, często groszowy, odbity gdzieś na Szląsku, jeden z tych, jakich tyle zalega kramy podkościelne; obrazek ten stanowi kryteryum wymogów proboszcza, bo i fundator się zgodził, i organista orzekł, że jest „piękny", i samego proboszcza jakoś ta twarzyczka świętego bierze za serce. Mając tedy „ideał" w kieszeni, idzie proboszcz do artysty i, pokazawszy mu „ideał", który ma być powiększony do rozmiarów kilkułokciowego malowidła, zaczyna targować się z „artystą". Przypuśćmy, iż ofiara wynosi 100 rs! jakby to dobrze było utargować jakie 25 rs., bo oto przydałyby się jeszcze dzwonki mszalne, a tu grosza niema. Targi takie trwają dni kilka nieraz, nim „zgoda" nastanie. I trzeba przyznać, że ksiądz bywa niekiedy w przykrem położeniu: artysta od 100 rs. ustąpić nie chce, ksiądz wraca do hotelu, a tu już na schodach dostaje ofertę innego artysty, który gotów wykonać obstalunek za 80 rs., na stole zaś w hotelu leży list, w którym inny jeszcze artysta wymaga już tylko 50 rs.! Dla wiejskiego proboszcza, nieświadomego stosunków artystycznych, taka licytacya *in minus* bywa pokusą nieprzepartą. Wreszcie umowa zawarta, „zadatek" dany, termin wyznaczony. Jakoż przychodzi obraz „wytwornego pędzla" i budzi naiwny podziw parafian. Artysta odpowiedział wymaganiom, i dzieło jego tryumfalnie wstawiają w ołtarz, usuwając na strych (czyli niszcząc) obraz dawny, zczerniały, dzieło prawdziwej niekiedy wartości.

Przyglądając się sztuce naszej i jej popieraniu, doszedłem do przekonania, iż po za lekcyami i portretem jedynie jeszcze obraz „kościelny" należy do „dających pieniądze" malarzowi utworów, mówię: „pieniądze", a nie „dochody" bo dochodem tę powolną likwidacyę samego siebie nazwać trudno! Artysta, chociażby obdarzony talentem i posiadający wyrobienie techniczne, zmuszony zarabiać na chleb „towarem", który odpowiadać i zaspakajać musi upodobania estetycznie niewykształconych odbiorców, który w dodatku

posiadać musi warunek nieodzowny „taniość, — taki artysta po kilku latach „praktyki" musi się obniżyć, musi stać się „dostawcą", a przestać być twórcą.

Samo zetknięcie się człowieka wyższych niekiedy aspiracyi z „obstalowywującymi", którzy częstokroć z najpoważniejszą miną na pytanie, w jakim stylu jest kościół, odpowiadają, że w „białym" (autentyczne); zetknięcie się z „ideałem", przyniesionym w notatniku, z odbiorcami, którzy mają pojęcie piękna, urobione na bohomazach częstochowskich, zachwiać musi nawet niepowszednią artystyczną duszę. Cóż dopiero, gdy do tego dołączą się „anonimy" zawistnych, ostrzeżenia konkurentów, półsłówka protektorów i inne intrygi? Zazwyczaj jednak „artysta od religijnego malarstwa" nie stoi tak wysoko, by potrzebował walczyć z sobą; rola jego jest bierna. Nabył on cnoty, które cenione są w kołach odbiorców, cnoty te stosuje odpowiednio, ogranicza się do wytwarzania towaru. Umiejętność „brania" obstalowywującego, przemawiania do niego językiem zrozumiałym, ta harmonia dusz poziomych, oto uczciwy środek, mówię: uczciwy, bo ileż nieuczciwych trzeba wprowadzić w ruch, by pozyskać „robotę"! Majster pozłotniczy, pozbawiony u nas możności wyrobienia sobie smaku, tradycyjnie zna tylko jeden styl, i to zna go powierzchownie; bywa to zazwyczaj styl barokowy — barocco (inaczej nazwać to trudno). Majster roznosi styl ten wszędzie. Księża i ich owczarnie mają zawsze niezdarne produkty przed oczami; cóż więc dziwnego, że malarstwo nasze religijne tkwi w tym baroku po uszy?

Wspomniałem wyżej, że prawie każdy zakątek prowincyi ma swoich „cudownych" ludzi. Taki „cudowny człowiek" jest to zwykle samouk, umiejący wybornie robić to, na czem jego otoczenie całkiem się nie zna. Otóż malowanie, odnawianie obrazów, snycerstwo należą niestety do sztuk tego rodzaju u nas. Takiemu „samoukowi" chętnie powierzają księża pracę w swych kościołach, bo, czyniąc to, zyskują taniego odnowiciela i posłusznego wykonawcę swych upodobań estetycznych, a zarazem spełniają obywatelski czyn, popierając talent.

Wielokrotnie przy zwiedzaniu kraju dochodziły mię wieści o takich geniuszach zaściankowych. Niekiedy „geniusz" dochodzi do takiej zarozumiałości, że wysłany do szkoły specyalnej śpiesznie ją porzuca, jako niezdolną nauczyć go czegoś po nad to, co sam zdobył. W n-rze 232 z 23 sierpnia 1899 „Kuryera Warszawskiego" czytamy:

— Snycerz.

„Piszą do nas z Wilczyna w gub. płockiej:

„W okolicy naszej wzbudza podziw samorodny artysta, 17-letni syn młynarza, Józef Szulczyński. Jest to już dziś niepospolity snycerz, jakkolwiek nigdzie nie uczył się; jego uzdolnienie jest tylko owocem własnej pracy i chwilowej praktyki u wędrownego malarza przy fabryce kościelnej. . Szulczyński rzeźbi ambony, ołtarze i maluje freski; obecnie wykonał wspaniałą chrzcielnicę do jednej ze świątyń pod Słupcą; ostatnia odnowa prastarego kościoła w Wilczynie dziełem jest jego ręki. Malował sufit i odświeżył obrazy. Roboty odbyły się pod kierunkiem proboszcza miejscowego, ks. Rokosowskiego."

Podobne wiadomości czytamy zazwyczaj obojętnie i puszczamy mimo uszu, bo, jako naród ubogi, zajęty walką o kawałek chleba, nie możemy pozwolić sobie na chwilkę zastanowienia nad całą okropnością podobnych wzmianek, które, o ile nie są „ironią", są dowodem braku rozwagi w naszych dziennikarzach: oni to, pomieszczając je bez komentarzy, upoważniają i zachęcają niejako księży do szukania właśnie takich „cudownych" odnowicieli, którzy bezczelnie i jakby na urągowisko przyznają, że „nigdy się nic nie uczyli" i że tylko „odbyli praktykę u wędrownego malarza", i to „tylko chwilową", a mimo to „malują freski", „odświeżają obrazy", i dochodzi do tego, że ich zowią „niepospolitymi snycerzami" i powierzają „odnowę prastarego kościoła w Wilczynie".

Przechodzę do sposobów zapobiegania złemu.

Pierwszym najradykalniejszym środkiem byłoby podniesienie estetycznego poziomu duchowieństwa. Napisać łatwo, ale wykonać!?... Jak wdrożyć smak estetyczny ludziom, wyszłym przeważnie z warstw, stojących co do pojęć estetycznych w epoce piastowskiej dopiero, kiedy to „bałwany" pogańskie już minęły, a to, co nastało, jeszcze zżyć się z ludnością nie mogło? Na to nie umiem odpowiedzieć inaczej, jak tylko... negatywnie: wdrożenie takie stać się musi w drodze surowego rozkazu arcybiskupa i współdziałających biskupów. Nie można! oto gorzkie słowo, które stać będzie odtąd na straży tego, co nieświadomi uszanować nie mogą. W następstwie takiego rozporządzenia każda umowa lub projekt nawet przedstawione będą decyzyi dziekana, ten zaś rozejrzy się w spisie i wykazie przedmiotów, jakie dane kościoły posiadają, a więc fresków, obrazów, nagrobków i t. d., i dopiero, upewniwszy się dokładnie, iż świątynia nic godnego i wartościowego nie posiada, zaak-

ceptuje układ z majstrem. Za wszelkie zaś niedokładności odpowiada dziekan własną kieską, to jest, o ile się da, na własny koszt musi szkodę, z jego niedopatrzenia wynikłą, naprawić lub do pierwotnego stanu przywrócić. Decyzyę w tych kwestyach wydawać będą biskupi na zasadzie zdań zawezwanych znawców, t. j. nie pieczeniarzy, lecz ludzi, znanych na polu nauki i sztuki. Środek to radykalny, co prawda, ale też i rana jest wielka! Prócz tego należy podnieść stopień wymagań estetycznych i historyczno-archeologicznych w seminaryach duchownych. Trzeba też w umysły alumnów wpoić zasadę: „tego, czego nie rozumiesz lub na czem się nie znasz, nie tykaj i poradź się dziekana lub biskupa". Ocalimy w ten sposób niejeden zabytek od zagłady. Na każdego proboszcza włożony być ma obowiązek dokładnego spisania przedmiotów kościelnych z podaniem dat lub czytelnych napisów oraz materyału i t. p., wedle szematów, jakie wypracują archeologowie, uproszeni przez biskupów. Szematy takie po wypełnieniu przesłane będą dziekanom i przez nich uzupełniane w razie wątpliwości lub niejasności. W duchowieństwo dalej wdrożone musi być zamiłowanie do dawnych zwyczajów i zabytków, i jedynie przy współdziałaniu tak usposobionych duchownych da się ocalić to, co jeszcze pozostało.

Na pociechę tych, co w moim projekcie dopatrywaliby się ucisku stanu duchownego, zapytam: — Kto w inny sposób, wobec całkowitej swobody proboszcza, wzbroni pozłotnikowi wyżej opisanych praktyk? Kto uchroni proboszcza od całej zgrai „samouków" wioskowych, popieranych i protegowanych przez jednostki, nieświadome rzeczy? Kto nie dopuści do kościoła niedouczonych rozbitków malarskich lub rzeźbiarskich, którzy gotowi za miły, a mały grosz „na chwałę Bożą" malować, polerować, lakierować i lepić, złocić wszystko, co tylko ten grosik zapewnić może? Kto zabroni wszelkiego rodzaju „przedsiębiorcom" knować intrygi w celu pozyskania „roboty"? Kto wreszcie potrafi przekonać księdza, że malarstwo religijne to sztuka poważna, że poświęcać się jej trzeba specyalnie na podstawie wieloletnich studyów, nie polegających na „ściąganiu" z rozmaitych sztychów i całkiem bezsensownego mieszaniu stylów, słowem popełnianiu tego wszystkiego, co nasi „malarze religijni" tak starannie osłaniają, wysyłając wprost z pracowni dzieła swe do odległych kościołów parafialnych?

A czyż potrzeba dowodzić, iż sztuka kościelna to znakomity środek pedagogiczny do uszlachetnienia smaku mas? Wzorowe

urządzenie świątyni działać będzie powoli, lecz stale; dla ludu środek to stokroć skuteczniejszy od galeryi i muzeów (te muszą się koncentrować po wielkich miastach). Wiele także zdziałać może estetycznie ukształcony proboszcz. On oświeci ubogich duchem, on sprostuje upodobanie w jaskrawości i przesadzie, on, nie zacierając charakteru ludu, wpłynie na to, by dobyć strony właśnie najcharakterystyczniejsze a piękne, on będzie je umiał zręcznie podnieść. Lud porzuci powoli dotychczasowe narzucane mu przez kramarzy ideały, porzuci posoką zbryzganych Jezusów o 48 żebrach, Św. Rochów z ranami, cieknącemi ropą i t. d. Może znajdzie się ktoś, kto obmyśli co lepszego,—tymczasem zabytki giną, kościoły świecą tandetą....

Nazwałem tę notatkę „Palącą sprawą": sądzę, że w tytule niema przesady. Sztuka kościelna w upadku, nieposzanowanie zabytków przeszłości i zbrodnie w tym kierunku w samej Warszawie na porządku dziennym — mamże stać wobec tego bezradnie? Wybaczcie, „dotknięci"! nie mogę i nie powinienem!

Maryan Wawrzeniecki.



PONAD SIŁY.*)

POWIEŚĆ.

— Pragnę wrócić do pokoju, odezwała się Marynia, usiąść, odpocząć, czuję znużenie, nogi podemną drżą. Dlaczego nalegałam na niego, żeby przyjął żądanie ojca?.

— Cicho, cicho, wszystko będzie twoje! — pocieszała ją Urszula — gdy zostaniesz jego żoną, sępy przerażenia i strachu od ciebie odlecą. Dziecino moja, przecież ja po matce twej ciebie najwięcej kocham na świecie! I, jeśli nie wierzę w szczęście, nie chcę go dla siebie, kpię sobie nawet z niego na tym świecie, to mam prawo żądać, aby tobie przynajmniej było tu dobrze, abyś mogła swobodnie spełniać zadanie życia, i dlatego żądam, abyś została natychmiast jego żoną!...

Wróciły do kancelaryi; posadziła ją w pleciony biegunowy fotel, otworzyła okna i swoim zwyczajem zaczęła chodzić po pokoju, założywszy ręce po za siebie. Marynia patrzała na ciemne lasy świerkowe, okrywające szczyty gór. Uczucia jej i stan duszy wcielały się w tę zadumaną ciemnię, otoczoną, jak tajemnica, niebieskawą mgłą....

*) Ob. „Ateneum“, luty, 1900

— Ciociu, krzyż już stoi! spytała raptownie.

— Siedziałam pod nim!..

— Chodźmy tam, co za widok musi być z pod stóp krzyża, zawołała nerwowo.

— Przepyszny — pójdziemy, lecz niech się raz coś stanie. Nie cierpię niepewności.....

— Ja nienawidzę!..

— Zaczekajmy.

Urszula zatrzymała się przed oknem.

— Wracają, oczekiwanie się skończy. Stary rozpromieniony rozkłada rękami, Tadeusz widocznie szczęśliwy...

Marynia zerwała się i z za ramion ciotki patrzała.

— Coś się stało niezwykłego, szepnęła.

Odeszła od okna, do pokoju wkroczyli, jak zwycięzcy, dyrektor z Tadeuszem. Uroczyste ich miny robiły przygniatające na Maryni wrażenie. Dyrektor rzucił z rozmachem kapelusz i, patrząc na Tadeusza, włożył ręce w kieszenie.

— Czy to ja koniecznie mam mówić? zapytał.

Tadeusz milczeniem poświadczył.

— O, to coś niezwykłego, dodała głośno ciotka.

Dyrektor zbliżył się do Maryni, ujął ją za rękę, pocałował i powiedział:

— Moćdzieju.

— Kiedy zaczyna od przysłowia, przerwała Urszula, to nie wie, co ma mówić.

— Wiem, tylko mnie proszę nie zbijać z tropu. Panno Maryo, ten młody człowiek, którego dziś poznałem, zasługuje na twoje przywiązanie i w nagrodę za swą pracę, naukę, skromność życia, powinien i musi otrzymać twoją rękę.

Marynia słuchała w milczeniu, utkwiwszy w dyrektora wzrok.

— Powinien, powtórzył dyrektor i musi, moćdzieju, ale jeszcze nie dziś?...

— A kiedyż — zawołała Urszula.

— Jeżeli dziś, to odmawiam kredytu — i basta. Ja tu teraz rozkazuję!...

— A to sobie odmawiaj! Mam przeczucie, że, jeżeli się dziś nie pobiorą — to nigdy! Edwardek nie śpi...

— Właśnie, że nie śpi, mógłby odebrać kopalnię i zaprzepaścić kredyt.

— To nie chcemy kredytu, obejdziemy się bez kredytu, szczęście dziecka mej siostry pierwsze przed kredytem.

— Pani nie masz tu głosu — moćdzieju!...

— A któż może mieć większy? Co im po kredycie, co im po kopalni bez uczuć! Wszędzie mogą pracować, tworzyć i dobrze robić...

— Najprzód posłuchajmy dzieci, przerwał dyrektor, niech oni mówią, pan Tadeusz ma głos!...

Marya niebieskie swe oczy przeniosła na Tadeusza i ściągnęła jego wzrok na siebie. Zbliżył się do niej, ujął ją za rękę i, zatrzymując w swej dłoni, mówił:

— Panna Marya powiedziała mi, że, gdy ją wezwę, przyjdzie. Wezwałem — dotrzymała przyrzeczenia. Cześć jej za to, niewiele dziewic świata miałoby hart i siłę woli uczynić to.

— A więc, rzekła spokojnie ciotka, kiedy przyszła, niech zostanie.

— Udało mi się, mówił wzruszony Tadeusz, na początku mego zawodu odnaleźć wielkie pokłady nafty...

— Oddałeś połowę teściowi, oddaj i resztę...

— Właśnie, że nie, zawołał dyrektor! Oddaj szlachcicowi galicyjskiemu tak wielki interes, on wezwie do pomocy Żydów, Żydzi zwołają Niemców, i sprawa skończona! Jeśli pan Tadeusz odnalazł bogactwo, niech je trzyma i rozwija. Wiemy, kto on, i czego chce. Bogactwo, które odnalazł, będzie w jego rękach bogactwem narodowem. Od tej idei nikt go nie odwiedzie i nic,—żadna miłość, choćby tak wielka, jaką ma do tej, która stoi przed nami...

— Rozgrzeszam go i odchodzę, rzekła ze spokojem i głębią w głosie Marynia.

— Hola, nie tak, moćdzieju! Odchodzisz pani dziś, żeby wrócić jutro, za miesiąc, za rok, gdy potęga Tadeusza urośnie dotyla, że będzie się mógł mierzyć z przyszłym teściem, co może już wkrótce nastąpi.

Odetchnął ciężko.

— Nie przyszedłem tu do pioruna rozrywać, lecz łączyć.—Nie przyszedłem psuć, lecz budować, tworzyć. Los się wam uśmiecha, a wy od niego uciekacie!... Posiadanie to jeszcze nie miłość. Miłość to ofiara. W biednym naszym kraju tylko ofiarami idziemy naprzód. I ja z mej strony robię ofiarę, a nawet hazard, nadużycie służbowe, przestępstwo, wykroczenie przeciw regulaminowi, a mimo to nie waham się. Zobaczyłem, co jest, wierzę, co będzie — i idę. Tak! — idę, bo muszę.

Krew buchnęła mu do twarzy, oczy strzeliły ogniem, głos ze wzruszenia wiązł mu w gardle, dalej mówił cicho:

— Stoję na czele instytucyi, która uwięziła prawie wszystkie oszczędności wschodniej Galicyi. Mam gotówki w kasie trzydzieści milionów. Słyszycie, trzydzieści!.. Bieda w kraju, ospałość, zastój, lenistwo, ludziska idą jedni za drugimi utartemi ścieżkami, bieda, że siekierą nie utniesz. A gdy który wyskoczy z utartej ścieżki i zawoła: Patrzcie, pracuję, jeżeli dobrze, pomóżcie mi!—w tej chwili słychać trzask zamków kas wszystkich banków. Dyrektorzy porozumiewają się wzrokiem, jakimś dziwnym węchem, i zabijają przedsiębiorstwo najpewniejsze. Biedak sam opuszczony, bez kredytu, mimo wysiłków pracy bankrutuje i wraca do szeregu na ścieżkę przymierać głodem, jako oficyał lub auskultant... Ci, którzy dziś rządzą, nie lubią samodzielności, ci, którzy dziś rządzą, znoszą tylko w kraju wielką własność i ciemnego chłopa, jako potulnego robotnika.

Otarł czoło chustką, odetchnął i znowu mówił:

— Jak gdyby z pod ziemi, prawie cudem wyskakuje dziś przemysł naftowy we wschodniej Galicyi—i mnie, gospodarza trzydziestu milionów krajowych, ruszyło sumienie. Przyjechałem, zobaczyłem, zrozumiałem młodzieńca — wskazał na Tadeusza, pokochałem go i powiedziałem mu: otwieram ci milion kredytu, bo wart jesteś tego i będziesz miał z czego oddać. Popełniam chwilowo przestępstwo przeciw regulaminowi, lecz wobec tego, że trzeba raz przecie coś robić w kraju, kpię sobie z regulaminów — aby tylko ludzi przebudzić... Dla rozwoju takiej idei wolno i zbrodnię popełnić! Nie waham się, idę do celu śmiało, lecz na mej drodze staje panna Urszula i woła: — wszystko rzucić, wszystko zepsuć, wszystko poszarpać, byleby był romans, byleby było wykradzenie, a ja w imię mego kochanka Rousseau'a mogłabym tryumfować i zemścić się na mężu mej siostry...

— Cicho, krzyknęła Urszula, nie gryź mnie swem szyderstwem, a miej wzgląd na to dziewczę.

—Marynia oprzytomniała podczas mowy dyrektora i nabrała siły.

— Zrozumiałam, rzekła cicho, lecz stanowczo, w biednym tym kraju mogił niema nic, prócz ofiar... Ofiara staje się treścią życia i zwykłym pokarmem, ofiara chlebem powszednim. W imię nie odchodzę dziś i czekać będę — wezwana znowu przyjdę. Na pamięć mej matki przyrzekam, że zawołana wrócę.

— Oto co jest być naszem polskiem dziewczęciem!... Oddaje wszystko, młodość swą i tęsknotę, dumę i siebie. Dyrektor ściskał rękę Maryni wzruszony; Tadeuszowi świeciły oczy łzami, dusił wzruszenie całą siłą swej woli.

— Przysięgam ci, rzekł zdławionym głosem, być podobnym do ciebie, być godnym ciebie, być takim, jaką ciebie tworzą moje marzenia.

— Łatwo ci to przyjdzie, rzekła sucho Urszula, bo nie wiem, co więcej kochasz, marzenia swe, czy Marynię? Komedya skończona, przyznacie, że oryginalna... Młoda, piękna, bogata, wysoko szlachetna dziewczyna przyjeżdża do Adonisa, a Adonis wraz ze starym satyrem mówią jej: wracaj do domu. I ona im odpowiada: idę, lecz tam za górką będę czekała, gdy zawołacie — przyjdę znowu.

Dziewczę wysilało się, aby opanować wzruszenie.

— Jakiem prawem, mówiła dalej stara panna, Edward mógłby wypędzić z kopalni Tadeusza!?

— Takiem, podchwycił dyrektor, że zabroniłby mu dalej kopać! I do tego ma prawo.

— Głupie prawa!.. krzyknęła.

— I my z niemi, dokończył dyrektor, lecz cóż robić, kiedy takie są, a Tadeusz fatalnie zrobił, że się przed niemi nie zabezpieczył.

Tadeusz mówił cicho, lecz serdecznie.

— Zanim poznałem pannę Maryę — — —

— Przysięgłeś przemysłowi wierność, przerwała Urszula. Wiem, że nie dam wam obu rady: stary jest uparty, jak kozioł, młody ambitny, jak Cezar. Ale pamiętajcie, że za tchórzostwo wasze będziecie ukarani! Spadnie na was kara. Bo za co ma cierpieć to dziecko?... Przysięgłam jej matce i pięknie przysięgi dochowuję!?! Ja ją z Tadeuszem poznałam, — ja, wszystko ja!.. Teraz dopiero rozumiem, jakie brzemię nieszczęść zwalę na głowę tego dziecka!..

Zrobiła się cisza, trzy pary oczu spoczęło na ciotce.

— Niemem spojrzeniem pytacie, jakie? Czekajcie, powiem wam.

— Fantazye — szepnął dyrektor.

— Cicho! tupnęła nogą, założyła za siebie ręce i, zmarszczywszy czoło, głosem cichym, lecz silnym, zaczęła:

— Jeżeli ten młody człowiek nie umiał poświęcić paruset beczek ropy dziennie najrozkoszniejszemu uczuciu na świecie, miłości nieskazitelnego dziewczęcia, to ambicya jego jest tak wielka...

— A może i miłość do kraju...

— Może go kochać bez Swobody i musi go kochać, bo inaczej Marynia pogardziłaby nim. Ale on nie ustąpi ze Swobody, bo na niej buduje swoją wielkość, swoje nadzieje, swoje szalone ambicye i nadzwyczajne projekta, które chce prowadzić za zdobyte miliony... Wielkie dzieła roztrąbią imię jego! I będzie sławny, znany, kocha-

ny, potężny, uznany, będzie — nasz!.. Co mu po serdecznem dziewczęciu, przy którem mógłby tylko szlachetnieć i zapominać o sobie! Ambicya rośnie z żarłocznością. Stary daje mu kredytu milion, obydwa będą hulać, nurzając się w wielkich dziełach. Ludzie będą te czyny podziwiać, mówiąc: Oto czyny młodego wynalazcy i starego dyrektora!.. Jeden bez drugiego nic nie znaczą, obydwa są wielcy! Dziewczyna stała na zawadzie, ale, chwała Bogu, odeszła z dumą na czole, z przebaczeniem na ustach, z niezagojoną raną w sercu... Najłatwiejsza sprawa z dziewczynami, wychowanemi przez Słowackiego. Są dumne, pełne szlachetnej rezygnacyi, po za którą kryje się... po....

— Ciociu, przestań, przerwała nerwowo Marynia, kocham go i przez miłość moją widzę go czystym, nieskazitelnym, dobrym, zdolnym do ofiar... Pozostanie jego w Swobodzie musi być koniecznością i ofiarą. Spełnia ją z tą samą miłością, z jakąby mnie zaślubił. W tej chwili nie oddam mu za żadne skarby mej ręki, i już nic nie zmieni mego postanowienia!... Kocham go, ofiarę uważam za objaw jego miłości do mnie, niech się spełni. Odjeżdżam, kochać go nie przestanę i czekać będę, póki mnie nie wezwie.

Zbliżyła się do Tadeusza.

— Wiem, że pan żywi dla mnie uczucie szczere i niezachwiane, lecz również kochasz swoje ideały. Nie chcę ich sobą zasłaniać, a raczej chcę być ich wyrazem. Oto moje ostatnie słowo.

Doprowadziła Tadeusza do okna, szepcząc:

— Czyż w oddaleniu nie będziemy należeć do siebie, nie będziemy się wspierać i żyć jedno dla drugiego? Myśli moje o tobie, pragnienia moje tobie oddaję, a z niemi i nadzieje. Cały duchowy świat mój bierzesz z sobą!... O ile go będę snuć, tobie będę oddawać, a żyć twą pracą, twoją energią... Bądź wielki tylko przez miłość. My, kobiety, kochamy wielkość, lecz nieskazitelną i niezachwianą, — wielkość, płynącą z miłości do nas!...

Kończyła szeptem.

— Pragnę w tej chwili szerokiego widnokręgu, powietrza, pragnę być sam na sam z tobą — chodźmy pod krzyż. Czuję, że tam myśli nasze ukołyszą się do harmonii, którą chcę zabrać z sobą, jako siłę przyszłych mych dni....

Tadeusz podał jej ramię — wyszli...

Urszula i dyrektor spojrzeli sobie w oczy.

— Młodzi najlepiej się zrozumieją. Interwencya nasza zawsze tylko szkodzi... My ich kłócimy, oni się pocałunkami godzą.

— I zawsze nas za sobą wodzą! Oto i wiersz na twoją racyę, chodźmy za nimi. Powiedz naprawdę krótko, co tu znalazłeś?...

— Skarby! Po uczynionych próbach musimy wierzyć, że cała okolica podminowana ropą. Miejsce to powinno być punktem wyjścia do odrodzenia naszego przemysłu...

— I wierzysz w to?...

— Ba, gdybym wątpił, nie otwierałbym milionowego kredytu, nie rozdzielałbym tej pary.

— Patrz pani, zobaczyli nas i uciekają, aby się skryć w świerkach i całować.

Spojrzał słodko na Urszulę.

— Możebyśmy poszli za ich przykładem?...

— Ej, stary, nie dajesz spokoju nawet czterdziestoośmioletniej kobiecie?!

— Już się skryli, rzekł smutno z żalem i cieniem zazdrości dyrektor.

— Gdyby w dziewczynie grała krew, zostałaby, i jakaż siła zniewoliłaby ją do odejścia?

— Niezawodnie ciepła krew jednej dziewczyny zaprzepaściłaby przemysł nasz na dziesiątki lat!

— Chwała Bogu, że jest taką, jaką jest.

— A przed chwilą byłaś zła i wymyślałaś nam pani.

— Myślę o próżności i dumie Tadeusza.

— Ależ ja go do tego postanowienia prawie siłą i groźbą zmusiłem.

Stanęli przed przecięciem, prowadzącem do krzyża.

— Wyjrzę i podglądnę — szepnął dyrektor.

— Czekaj, ja to zrobię.

— Co za ciekawość!

— Nie — z ciekawości, bo gdy oczy ciotki cośkolwiek dostrzegą, to jej usta będą milczeć.

Wysunęła się i, odpychając gałęzie, patrzała.

— Chodź, chodź, patrz, to córka swej matki, którą znałeś i musiałeś czcić.

Dyrektor się przysunął.

Pod krzyżem siedziała Marynia, przed nią na mchu klęczał Tadeusz, trzymając jej rękę w swych dłoniach:

— Dużobym dała, żebym mogła usłyszeć, co mówią, szepnęła do dyrektora.

— Bardzo łatwo, obejdźmy i stańmy za ich plecami. Zajęci sobą nie usłyszą.

Dyrektor podał rękę Urszuli. Szli cicho po miękkiem posłaniu że świerkowych igieł. Usłyszeli głosy i, zapierając oddech, stanęli.

Dziewczę mówiło:

— Z oddalenia więcej cię jeszcze będę kochać... Myśli moje, jak ciekawe jaskółki, będą do ciebie lecieć i zaglądać ci w oczy. Listy, spowiedź serca mego, często wlatywać będą do twego domu i mówić ci o mnie... Musisz tęsknić za mną!...

— Tęsknić, odparł Tadeusz, to kochać, wierzyć, czuć — uczucia rozszerzać i wzmacniać... Mnie się nieraz zdaje, że tęsknota to życie. Nie pojmuję, jak mógłbym żyć bez tęsknoty za tobą — i nie wiem, coby się działo ze mną, gdybym cię ciągle miał przy sobie...

— Głupiec, szepnęła Urszula. Dzisiejszych młodych nie rozumiem...

— To może i dobrze, że się rozstajemy, mówiła Marynia, bo, jeżeli tęsknota życiem, to będziemy dalej żyć na falach tęsknoty...

Dyrektor wzruszył litościwie głową.

— Jedno mnie tylko straszy, dodała, to milion kredytu. Kiedy ty sumę tę oddasz? Wieluż to potrzeba wysileń, pracy i czasu. Lecz i temu dasz radę! Tęsknota mimo jej rozkoszy wprowadza mnie w zadumę, tworzy smutek i kładzie go na mem czole, wygląda bojaźnią oczu, obejmuje duszę, ssie ją i pije z niej, aż wypije do dna, do ostatniego tchnienia....

Urszuli zaświeciły łzy w oczach, o mało co nie wybuchnęła płaczem, lecz wstyd podsłuchiwania zatrzymał ją. Cicho odeszła, za nią dyrektor.

— Widzisz to „ona" i ma obok siebie takiego, jak jest sama...

— W ich wieku byłem innym, odrzekł dyrektor.

— Domyślam się - tyś inny i dziś...

Dyrektor się cicho zaśmiał, Urszula stanęła przed nim.

— Wiesz, od czego najwięcej serce się moje ścisnęło?

— Wiem.

— Mów, słucham.

— Od strachu Maryni przed milionową pożyczką.

— Zgadłeś — i cóż ty na to?

— Ja na to, że najtrudniej oddać tysiąc, gdy niema z czego. Łatwiej już sto tysięcy, a najłatwiej milion, bo milion daje się na pewno. Milion miliony rodzi.

— Ale wiele to lat na oddanie potrzeba, a młodość ucieka?

— Pożyczka tysiąca, oddawana ratami kwartalnemi, po dziesięć guldenów, umarza się w dwadzieścia pięć lat. Milion, spłacany kwar-

talnie po sto tysięcy w dziesięciu kwartałach. Tadeusz milion zapłaci w rok, byle więcej nie pożyczał....

— Od ciebie zależy nie dawać.

— Odemnie? Mój Boże, co od człowieka zależy? Robi to, co musi! Pierwsza pani z kobiet, przed którą się rozgaduję o finansach. Wzbudzasz zaufanie, wiarę, żyjesz nie dla siebie i mimo pięćdziesięciu lat....

— Czterdzieści osiem, ale nie kończ, bo odejdę. Szanuj we mnie przyjaciółkę i nie żartuj sobie.

— Szanuję, kocham i milczę. A teraz wejdę na ścieżkę i zawołam zakochanych, czas wracać.

— Pozwól im się wygadać. Bóg wie, kiedy się zobaczą i będą mogli być sami...

— A tymczasem spóźnię się, i jutro kasa bezemnie, jak nienakręcony zegar, stanie. Zwrócił się na przeciętą linię i zawołał:

— Ostatnie słowa „kocham", „będę twoją na wieki", „bądź zdrowa", bądź zdrów"... i chodźcie dzieci do nas. Ja już skończyłem. Powiedziałem pannie Urszuli wszystko, co miałem do powiedzenia — kończcie i wy.... czekamy, wracajcie!...

Dziewczę się zerwało, oparło plecami o krzyż i, jakby zbudzone ze snu, spoglądało zdziwione. Wzrok jej biegł przez wylot ciemnych ścian świerkowych na zielone błonia i wieże kopalń. Z ciszy milczenia, rozpościerającej się dokoła krzyża, dochodziła ich wrzawa pracy ludzkiej i jęk świdrów, rozsadzających ziemię.

Pociągnęła go ku sobie, oparła rękę na jego ramieniu i długo patrzała mu w oczy. On również milczał, bał się wymówić słowa, aby nie spłoszyć widzenia, nie spłoszyć myśli, które odczuwał w głębiach jej oczu...

— Przysięgam, wyszeptała uroczyście, że na każde twe wezwanie przyjdę i stanę obok ciebie. Przysięgam, że sama bez wezwania, gdy będziesz nieszczęśliwy, przyjdę i nigdy cię nie opuszczę .. Tak mi, Boże, dopomóż.

Odetchnęła głęboko i mówiła dalej cicho, lecz silnie.

— Na świadectwo prawdy, mężu mój, pocałuj usta, które wypowiedziały przysięgę, pocałuj oczy, patrzące tylko na ciebie, pocałuj czoło na znak, że myśli moje tobie są oddane.

Pocałował usta, oczy i czoło, jak sakrament.

— Przysięgą tą zawieramy przymierze, i żadna moc nie jest w stanie zniszczyć go. Nie mogę być w tej chwili twoją towarzyszką, to zostanę żoną twego ducha, twych myśli, czynów i prze-

czuć... Nie zdradzisz mnie i nie opuścisz dla żadnej innej nigdy! — wierzę.

— Jesteś pierwszą, którą ukochałem, i z miłością mą do ciebie przejdę przez życie, jako rozkosz, jako dobro i jako jego siła. Odbierz mi miłość twą, w co się obrócę, czem będę? Skorupą, dzwonem bez serca, skrzypcami bez strun, oczyma bez źrenic, nafciarzem bez szerokich celów. Bez twojej miłości świat zmienia mi się w pustkę.

— A więc jedynam dla ciebie!... Twoja miłość jest szczera, a żeś ją poświęcił sprawie, twoja miłość dla sprawy jest wielka. Zatrzymała się, dodając cicho i wolno, — jak wielką jest uczciwa ambicya twoja.

— Wszystko razem tworzy mnie, daje moje ja, odrębną całość. Nie jestem bez ambicyi, bo pragnę wielkie dzieła zostawić po sobie...

Raptownie u wylotu wózek się ukazał i stanął.

Marya przyłożyła dłoń do ust Tadeusza, ujęła go pod ramię, zbiegli razem, wsiedli na wózek.

— Gdy tylko ci tęskno będzie — pisz!...

— A gdy wesoło? zapytał:

— Wesołość zabiera czas.

— A ty, dziecino moja, — kiedy będziesz pisać?

— Zawsze. Jam twoja, więc smutki i radości me twoimi — musisz je brać.

— Wielki przemysłowcze, za dużo czasu poświęcasz sercu, wołał z okna kancelaryi dyrektor. Dobrze, że twój zastępca wygotował mi rozkazy, dokąd powysyłać pieniądze.

Tadeusz zeskoczył z wózka, zsadził Marynię, oboje wbiegli do pokoju.

— Cóż ci tak oczy błyszczą, zwróciła się Urszula do Tadeusza, czy z radości, że się pozbywasz dziewczyny?...

— Z radości, że mam taką, jaką jest, odrzekł — i z radości, że nas nic nie rozdzieli.

— O tak, ty się ożenisz z gospodynią, Marynia pójdzie za przeciętnego lwowiaka z wyższych sfer, za to duchy wasze będą się co dzień przy jutrzence całować i grać w ciuciubabkę, bo tęsknota jest rozkoszą poetycznych dusz...

— Przestań nam, droga pani, lać na karki zimną wodę, przerwał dyrektor. Dzieci pani na ołtarzu obowiązku spaliły swe egoizmy, są czyści, jak kryształ, szlachetni i dobrzy. Chwila ta zwycięstwa ich nad sobą sprawia im radość, głęboko odczutą, dlatego oczy im świecą, są w połowie wniebowzięci, uśmiechają się rozkosznie. To

są w życiu rzadkie błyski zwycięstwa ludzkiego pierwiastku, zwycięstwa rzetelnej, natchnionej z lepszego świata miłości. Tylko charaktery Anglików i Angielek mogłyby się na coś podobnego zdobyć, nie z idealizmu, lecz z energii i wytrwałości, które nimi rządzą. Pani, co nigdy nie kochałaś!..

— Nie wiesz tego i cicho bądź, szanuj i moje wspomnienia! A jeśli się gniewam, to dlatego, że się w Tadziu boję ambicyi, która go zje, jak rdza żelazo, a w Maryni jej braku hartu postawienia na swojem — i jeszcze dlatego, że mam smutne przeczucia. W naszem społeczeństwie bratnie dusze często się spotykają, a nigdy nie łączą. „Przeciętni" żenią się z bohaterkami, a bohaterowie z indyczkami. Tu, u tych dzieci, dostrzegam braterstwo, i żal mi ich. Odwróciła się, ocierając oczy chustką.

— Cioteczko, nie lękaj się, wytrwamy, — zawołała Marynia.

— Albo, albo, moja pani, dodał dyrektor. Albo się jest bohaterem, albo przeciętnym filistrem, — jedno, albo drugie. Bohaterstwo zwycięża siebie, a filisterstwo jest zwyciężane w sypialnym pokoju.

Tadeusz szeptał ciotce jakieś zaklęcia, dopóki oblicza jej nie rozpogodził. Ujęła ich ręce, złączyła je, pocałowała im czoła i pobłogosławiła. Dyrektor z Feliksem rozmawiał i odebrane papiery składał i chował....

— Baczność, zawołał — ci, którzy nie będą za pół minuty w powozie, zostaną.

Urszula znała nieodwołalność komendy, rzuciła na siebie szal, wdziała kapelusz, podała ręce młodym ludziom. Za nią wybiegła Marynia i, kryjąc wzruszenie, odbierające jej mowę, wskoczyła na kozioł, ujęła lejce, spojrzała zaszklonemi od łez oczyma na Tadeusza...

— Marsz! Komenderował dyrektor.

Konie, drżąc z niecierpliwości, ruszyły wyciągniętym kłusem. Urszula powiewała chustką, Marynia raz tylko rzuciła w stronę Tadeusza spojrzenie.

— Zwycięstwo! rzekł dyrektor, dzisiejszy dzień dobrze się zapisze na kartach mego życia! Może to trzeci, — pierwszy był na Węgrzech pod Budą, miałem wtedy lat dwadzieścia cztery. Trzeba było widzieć, lecieliśmy, jak wyciągnięta struna, a działa austryackie grały wesoło, — aż radość.

— A drugi? spytała Urszula.

— O drugim powiem pani kiedyś... Dziś trzeci, narodziny przemysłu we wschodniej Galicyi. Stanowisko moje, jako dyrektora, pierwszy raz się zaznacza potężnie i doniośle.

— A jak milion ten przepadnie?

— Pod Budą nie zadawałem sobie pytania. Co będzie, gdy kula armatnia łeb mi rozwali?... Szedłem naprzód, bo musiałem i chciałem! I dziś znowu idę naprzód, nie patrząc na świstające kule — idę, bo muszę i chcę! Stracę, to znaczy, że kula urwie łeb! Zwyciężę, to znaczy, że stworzę przemysł. Jeżelibyśmy w wielkich chwilach życia zadawali sobie podobne pytania — zawsze stchórzymy! Co Anglików wpakowało na czoło przemysłu europejskiego? — odwaga! Bankructwa leciały, jak kule armatnie, — oni naprzód!...

— Wiesz, stary, szepnęła Urszula — więcej cię jeszcze cenię i szanuję. Patrz — spojrzała na Marynię.

— Dzielne dzieci, powiedział cicho, oddali więcej, niż miliony, bo siebie samych, — a może i życie. Dziewczyna ani drgnie, powozi, jak z nut, jak gdyby była wychowana w Anglii.

— Daj pokój z tą Anglią! I u nas są ludzie, choćby ja i ty, Marynia i Tadeusz!..

Po odjeździe kobiet i dyrektora dwóch młodych ludzi stanęło naprzeciw siebie!

— Gdyby nie szlachcic, co nam zabiera połowę dochodu, rzekł Feliks, kredyt byłby dobrodziejstwem.

— Zawsze jest dobrodziejstwem, przecie pieniędzy tych nie roztrwonimy.

— Panna Marynia z wyrzutów sumienia, że cię, namówiła, na zgodę kontraktu z ojcem, przyjechała tu i chciała cię biedaczka ratować, gdy fatalizm sprowadził starego dyrektora.

— Raczej uśmiech losu.

— Powtarzam, mój drogi, że fatalizm. Gdyby przyjechała sama, zostałaby, i stosunki z ojcem musiałyby się ułożyć. Onby prowadził nasze interesa, czwanio, jak go nazywa Urszula, ma do tego talent. Dopiero niechby wtedy przyjechał dyrektor, pomyśl tylko, coby było.

— Wtenczas dyrektor nie miałby po co przyjeżdzać. Teść uniesiony gniewem — —

— Nie mógłby cię wygnać z kopalni bez sądowego wyroku Mazury, a teraz i Rusini oddani ci ciałem i duszą. Ojciecby się sier-

dził, a ty budowałbyś rurociągi i żelazny zbiornik na sto wagonów ropy.

— Marzysz, — dyrektor nie mógłby wspierać kredytem kopalni, będącej w procesie.

— A teraz może, gdy wie, że połowa kopalni nie twoja?! Robi, bo uważa to za swą służbę, za obowiązek. Żołnierze są arbitralni, a ten z pod Budy, oprócz swego sumienia, nikogo się nie boi i nikogo nie uznaje.

— Uznaje komendę!

— Jaką, kiedy on sam jest komendantem!..

— A więc, chwała Bogu! Dobrze się wszystko układa... I znowu dziewczę otworzyło mi skarby swego serca i skarby tajników swej duszy...

— Gdybym ja był na jej miejscu, rzekł z utajonym gniewem Feliks....

— Cobyś zrobił?...

— Oddalony nie wróciłbym nigdy.

— Za to właśnie Marynia budzi we mnie cześć, że chce wrócić.

— No, no — *„on ne badine pas avec l'amour"*...

— Pleciesz! Któż tu żartuje? Widocznie za stary jesteś, aby odczuć w tem siłę i potęgę.

— Siła ta i potęga, kochanku, odrzekł z uśmiechem Feliks, to nasza stara ambicya — i ona postawiła pytanie, narzeczona albo kopalnia?

— Nie rozumiesz nas obojga, zawołał Tadeusz.

— Kochany Tadziu, ambicya siedzi tak głęboko w sercach lub mózgach ukryta, że nam samym trudno się tego domyślić. Najczęściej pokazuje się w odbiciu naszych zamiarów i czynów.

ROZDZIAŁ XI.

Pan Edward w wybornym humorze wracał z Wiednia. Interesy załatwił dobrze, a przyjaciele powiedzieli mu, że, ponieważ fortuna mu się uśmiecha, musi zasiąść w kole polskiem, jako przedstawiciel przemysłu narodowego, odpocząć sobie i zabawić się. Miasteczko, jak nazywał Wiedeń, lubił namiętnie i czuł się w niem, jak u siebie w domu. Był tam szanowany, tytułowany grafem polskim, o co się nie gniewał. Tonem protekcyi i pańskiej poufałości traktował wszystkich. Damy z półświatka strzelały za nim oczyma, co go wbijało w dumę na rachunek swej piękności i zamożności...

O godzinie dziewiątej minut dwadzieścia zajechał we Lwowie przed własny dom. W mieszkaniu było ciemno, niespokojny zadwonił gwałtownie.

Wystraszona służba otworzyła.

— Dlaczego ciemno?

— Niema nikogo. Panienka wyjechała z panną Urszulą.

— Dokąd? krzyknął.

— Nie wiem, jaśnie panie — wyjechała o 7-mej rano.

— Właśnie na pociąg do Kołomyi — pomyślał — i poszedł wprost ze świecą w ręku do pokoju córki.

Spojrzał na biurko, szukając listów. Prócz książek i papieru do pisania nic nie znalazł. Próbował otworzyć szufladę — zamknięta. Szafa wyładowana sukniami.

— Gdyby uciekła, zabrałaby portret matki i pamiątki po niej. Wszystko na swojem miejscu! Majaczy ci się, głupcze, a wystraszona fantazya tworzy nieprawdopodobieństwa.

Stanął na środku pokoju, nowa myśl błysnęła mu w mózgu.

— Czy z Urszulą nie pojechała do Swobody?

Nie, żeby uciekać, lecz tam być, choćby z parę godzin. Możliwe na nie obie. Wyszedł szybko z pokoju, kazał sprowadzić powóz, pojechał na pocztę i zatelegrafował do swego szpiega w Kołomyi — zapowiadając telegrafiście, że po odpowiedź sam za godzinę przyjedzie.

Godzinę przesiedział w klubie, grał trochę, wygrał trzy stówki, które mu opłaciły sowicie koszta podróży i wprowadziły go w dobry humor.

Odpowiedź z Kołomyi brzmiała:

„Córka pańska, dyrektor kasy i jakaś okazała dama przejeżdżali w południe do Swobody, wieczorem wracali".

— Dyrektor — przyjaciel Urszuli, Tadeusz, jako Anglik, wziął starego Anglika na angielski język, olśnił go fantazyą i wymową, sypiąc milionami, jak z rękawa. Marynia czarowała starego, Urszula deklamowała o wielkich obowiązkach i ideach!.. Stary kasę otworzy, złoto popłynie — rurociągi, rezerwoary, może kolej żelazna!.. Koncesyę mam w kieszeni i odstąpię ją za sto tysięcy gotówką.....

Wracał do siebie.

— Piękność, młodość, miłość, fantazya, wymowa, angielszczyzna, deklamacye starej panny, wszystko mi razem służy, jakby zawarły ze mną przymierze! O ileż moje dochody urosną, jeżeli dyrektor pożyczy choćby parę kroć sto tysięcy, a długi te nic mnie nie będą obchodzić — nic, a nic!

Stanął, pomyślał, i roześmiał się głośno.

— A teraz niech mi kto powie, zawołał, że szlachcic polski nie ma talentu do przemysłu, do wielkich interesów, albo że nie jest urodzonym dyplomatą?!. I sprawiedliwie przyjaciele i koledzy każą mi reprezentować w radzie państwa wielkie interesy przemysłu galicyjskiego i monarchii...

W jadalnym pokoju czekała na niego wystraszona Koczalska.

— Dobry wieczór pani, — przywitał ją uprzejmie. Dawno Marynia wróciła?

— Nie całą godzinkę.

— Gdzież bawiła tak długo?

— Na egzaminach szkółek ludowych, których jest opiekunką.

— Powiedz, droga pani, potrzebne to męczyć się i po co? Ona jest taką egzaminatorką, jak ja baletnikiem!...

— Wszystkie panie z dobrego świata coś robią.

— Bawią się, a udają, że świat zbawiają.

— Niezawodnie, pochwyciła Koczalska, rada z łaskawej rozmowy domowego tyrana.

— Niechże się przynajmniej bawią w mieście.

— Panna Marya złote dziecko.

— Lecz fantazya górą, którą rozdmuchuje Urszula.

Przysunął się i kończył cicho.

— Dużobym dał za to, gdybym mógł córkę moją uwolnić od tej starej panny, źle wychowanej, ordynarnej, z przewróconą głową.

— Rodzona siostra nieboszki pani!..

— Rodzona, stryjeczna, cioteczna..... cała szlachta skuzynowana! Tym sposobem to i pani jesteś moją krewną!.. Nie zauważyłaś, że córka moja w towarzystwie tej kobiety robi się nieprzyjemnie zuchowata, pewna siebie, sypie dowcipy i impertynencye młodzieży, jak z rękawa. Wszyscy dla niej głupcy. Niedługo głupcem będzie własny ojciec!... Ma się za wybrankę losu, jakąś śmieszną bohaterkę — czego?... Jednem słowem, wzoruje się na Urszulę, przejmuje jej manierę i ordynarnieje.

— Marynia w moich oczach jest tak łagodna i dystyngowana, że mogłabym ją nazwać chodzącą dystynkcyą.

— W oczach pani, ale trzeba, żeby to uznał i ten lepszy świat. Dość, że mi Urszula obrzydła....

Zbliżył się, szepcząc do ucha Koczalskiej:

— Czy pani chcesz zrobić dobry interes?..

Kobieta rozwarła wystraszone oczy, bojąc się napaści. Pan Edward zobaczył i uśmiechnął się.

— Czy pani chcesz zarobić, prócz pensyi, tysiąc guldenów?....

— Wystarcza mi to, co mam, odpowiedziała przerażona.

— Nie o to idzie, nikt nie chce pani uwodzić, tembardziej ja! Tysiąc papierków dostaniesz, jeśli odsuniesz Marynię od Urszuli.

— Panna Urszula cieszy się wielkiem poważaniem w mieście.

— Właśnie, podchwycił zirytowany, — u handlarzy, piwowarów, kupców, adwokatów, doktorów, dziennikarzy i tem podobnej hołoty — i w te stosunki pcha moją córkę!... Merci!.. I gdy moja córka wchodzi w lepszy świat — to ludzie widzą u niej wpływ mieszczaństwa... Zrobiła mi tę uwagę stara hrabina Wielobycka, która w mieście jest wyrocznią dobrego tonu. Całą sprawę oddaję sprytowi pani!... Byleby ją rozdzielić i pogniewać. Myśl, miarkuj, a tysiąc papierków masz w kieszeni. Nic tak nie działa na kobiety, jak plotka — pomyśl tylko. Dobranoc pani.

Koczalska struta, chwiejącym krokiem poszła do swego pokoju.

Nazajutrz rano pan Edward przywitał córkę przy śniadaniu. Był w wyśmienitym humorze, opowiadał o Wiedniu, o przedstawieniu Lohengrina w operze, powtarzał koncepta z „Kikiriki"....

— Nie chciałaś ze mną jechać, wolałaś się bawić w egzamin.

Marynia, aby nie kłamać, milczała.

— Z czegoż ty mogłaś egzaminować? Czy wiesz przynajmniej, wiele jest grzechów głównych?

— Pierwsza pycha, drugi gniew, trzecie lenistwo...

— Dobrze, dobrze, i cóż z tego?

— Przed każdą czynnością ludzką — odparła spokojnie, można zadać pytanie — i cóż z tego? i nie znaleźć odpowiedzi lub znaleźć ich tysiąc. To zależy od wykształcenia i poczuć osobistych oraz szerokości widnokręgu myśli odpowiadającego.

— Dziękuję ci za widnokręgową naukę.

— Odpowiedziałam tylko szczerze na pytanie.

Pan Edward spojrzał na Koczalską. Wystraszona kobiecina zarumieniła się i oczy zasłoniła rzęsami. Bała się, aby Marynia nie dostrzegła wymownych spojrzeń ojca. Paliły jej twarz wstyd i upokorzenie.

— Moje dziecko, zwrócił się do córki, od pewnego czasu spostrzegam w tobie wybuchający jakiś niezdrowy radykalizm, jakąś szorstką szczerość. Za dużo i za wyraźnie mówisz to, co czujesz, co czasem wygląda na impertynencyę. Prawdomówność w ustach dziewczyny, należącej, jak mówi Koczalska, do lepszego świata, wy-

gląda oschło, szorstko, nieprzyjemnie, a nawet nieraz ordynarnie. Coraz większy czuć na tobie wpływ Urszuli.

Po tym strzale wyszedł, zostawiając Koczalskiej prowadzenie wojny — on batalię rozpoczął. Lecz Koczalska nie była zdolna do bitew; przyrzeczony tysiąc nie zrobił na niej żadnego wrażenia, przeciwnie oburzył ją.

Drzwi się zamknęły, kobiety patrzały na siebie, nareszcie Koczalska buchnęła serdecznym płaczem, tuląc się w objęciach Maryni.

— On mnie wypędzi, szeptała, łkając — i gdzie się teraz na starość podzieję i jak wyżyję bez ciebie, moje dziecko! Kocham cię, jak królowę, ideał, jak własną córkę. Gdy cię nie widzę dzień jeden, smutno mi, że patrzeć na świat nie chcę. Moja miłość do ciebie to całe moje szczęście, cały mój skarb!..

— Co się stało? szeptała zdziwiona Marynia.

— Kazał mi intrygami pogniewać cię z panną Urszulą. Urszulę czczę — ciebie kocham! Obiecał mi, jeśli to zrobię, tysiąc guldenów. Za kogo twój ojciec mnie ma. Ponieważ tego nie chcę zrobić i nie zrobię, wypędzi mnie!

— Nie wypędzi, a gdy wypędzi, wyjdziemy razem i zamieszkamy u ciotki Urszuli.

— Jakby to było dobrze! mówiła, wzdychając, Koczalska.

— Wiesz, nie byłam w Zimnej wodzie, tylko z ciotką w kopalni u narzeczonego..

— Cicho, dziecko, na Boga, cicho, szeptała wystraszona Koczalska, oglądając się. Ojciec twój gra teraz rolę wielkiego pana i czuje, że nim jest, myśli tylko o lepszym świecie i w nim szuka dla siebie zięcia.

— Dla siebie, ale nie dla mnie. Ojciec zostanie ze swym zięciem, a ja ze swym mężem.

— Mówiłaś mi już o tem, ale czy się to może stać?..

— Musi się stać! Jest moim narzeczonym, to i mężem zostanie. Nie znasz jeszcze mej energii i siły, jeśli idę do uczciwego celu.

Głaskała Koczalską po twarzy...

Usiadły obok siebie. Uspokojona kobiecina trzymała rękę Maryi w swych dłoniach.

— Kto wie, czy się ojciec nie domyśla, że byłam w Swobodzie?

— Z pewnością. Wyjeżdział wczoraj wieczór telegrafować, Piotr go woził.

— Ma swego ajenta w Kołomyi.

— A widzisz!

— Trzeba sprawdzić, do kogo telegrafował.

— Jakimże sposobem?

— Ciotka to zrobi. Ma wielkie stosunki w mieście, da sobie radę. Musimy wiedzieć koniecznie. Wyjdziemy razem do ciotki. Wiedzieć to znaczy módz się bronić.

— Dobrze, byle ojciec twój nie zobaczył.

— Boisz się go, jak Nerona.

— Więcej jeszcze, bo Neron mógłby tylko zabić, a ojciec może od ciebie odpędzić.

W pokoju swym pan Edward, uważając się za zdecydowanego dyplomatę, rozważał sytuacyę i nakreślał plan dalszej kampanii. Urszula i Marynia zrobiły swoje, stary satyr daje pieniądze, Tadeusz, długiem kasy przykuty do kopalni, nie myśli o wycofaniu się ani o ożenieniu, tem mniej o wykradzeniu, a potrzebny mi. Pracować będzie wszakże dla przyszłego teścia i jego córki.

Zapalił cygaro, chodził po pokoju.

— Niech pracuje, to jego obowiązek. Bo co on ma lepszego w życiu do roboty?. Praca to jego obowiązek.. Bo dla kogoż ma on pracować, jeśli nie dla tej, którą kocha?.. A że kocha Marynię, to nie dziwota, jeśli w niej zakochany siostrzeniec księżny. Bezinteresowna miłość jest najszlachetniejszą!.. Powinnością drobnej szlachty służyć nam, panom! Tak bywało za czasów Rzeczypospolitej i dobrze się działo, — to samo powinno być i teraz, jeśli się również ma dobrze dziać pod naszymi w Galicyi rządami.

Pociągnął parę razy dym z cygara i, z rozkoszą zaciągnąwszy się, wypuścił go przez zwinięte w trąbkę usta, rad ze znajomości historyi i swych porównań.... Lecz jakaś dzika myśl ukłuła go raptownie w samo serce, bo aż siadł na fotel, sapnął i westchnął.

— Marynia, demoralizowana przez radykała w spódnicy, oddana Tadeuszowi, lekceważy siostrzeńca księżny i lata do mego oficyalisty, jak sprawiedliwie nazwał go mój Żyd!.. Niechże się o tem dowiedzą w moim, lepszym świecie — będzie bal!...

Wstał i nerwowo chodził po pokoju.

— Tu jest szkopuł, zawikłanie dyplomatyczne, węzeł gordyjski. Przeciąć go nie można, czuję to. Marynia podobna do matki, złamać ją można, nagiąć nigdy... Padnie w walce, a nie podda się. Taką mi dał Pan Bóg córkę, czy dla wypróbowania mego rozumu i cierpliwości, czy miłości ojcowskiej. A może dla przekonania się, o ile dyplomatycznego talentu, którym mnie obdarzył, nie zakopię w ziemię.

— Nie, nie zakopią, zawołał, należy tylko szerokie koło zatoczyć. Pójść do rady państwa, zamieszkać w Wiedniu! Rozumie

się, córki nie zostawię we Lwowie. Słabowita i dla tego w zimie Riviera, w maju Paryż, w lecie Szwajcarya!... Po roku wywietrzeją jej wszystkie kopalnie, bohaterowie w niebieskich bluzach, oficyaliści deklamujący.... Będzie się z nich śmiała, jak ja się dziś śmieję. W Paryżu olśni ją wielki świat, dostaniemy się do niego przez księżnę — i reszta pójdzie już własnym rozpędem!.. Byle do rady państwa!.. Łatwiejby mi było wejść wśród swoich z wielkiej własności, bo z małej bratać się z chłopstwem, kłaniać się starostom, płacić, zjednywać żandarmów, z księżmi się całować i pić.... Na to wszystko jestem już dziś zawielki pan, i może mnie od tego krzyża Pan Bóg uwolni.....

Westchnął głęboko i szczerze.

— A teraz ten głupi kraj gotów mówić, że my się nie poświęcamy! Ta wściekła prasa niby to trzeci rząd, a raczej powinien być czwarty, jeśli Bóg jest pierwszy, władza druga, my trzeci, to dopiero na nią kolej!..... Jabym ją nauczył, jak nie powstawać, a raczej szanować władzę i słuchać jej!....

Pogroził!...

— Ja się nie zlęknę ani ciebie, ani twej armii — opinii. Co to opinia?.. garść urzędników, studentów i głupich mieszczan, czytająca dzienniki w wiedeńskiej kawiarni! I ja mam się bać mieszczan, słuchać ich, liczyć się z nimi?... Zamknąć kawiarnie i czwarty rząd znika, jak kamfora, urzędnicy siedzą w biurach, a mieszczany w warsztatach lub za ladą — spokój!...

Czuł, że jest, wzburzony, cygaro mu zgasło. Roześmiał się, zapalił nowe, wrócił do fotelu, rozsiadł się i szeptał półgłosem.

— Już się roznamiętniam, a cechą dyplomaty spokój. Roznamiętniam się, jak gdybym czytał przeciwko sobie wymierzony artykuł w „Kuryerze lwowskim", bo reszta „siak czy owak", to nasi, krzywdy mi nie zrobią!.. Kruk krukowi -- zaczął się cicho śmiać. Reszta to poczciwi oficyaliści, którzy udają, że im wolno czasem hardo się stawiać swym panom.... Ten trzeci, a podług mnie, czwarty rząd nie taki straszny, jak go malują. To także armia, którą trzeba trzymać na żołdzie i basta.....

Spojrzał na zegarek i zerwał się na równe nogi.

— Ty tu romansujesz z sobą samym, a interesy nie czekają. Sprzedaję okowitę, czekam na kursa, trzeba lecieć do czarnej giełdy, potem do telefonu i przy telegrafie pracować....

Pracować, pracować, szeptał, gdy w tej chwili błyskawiczna myśl oświeciła mu mózg....

— Gdzie jest panienka!?...

— W swoim pokoju, odpowiedział służący, przechodząc w tej chwili przez pokój.

— Sama?

— Panna Józia mówiła, że ją dziś czesze pani Koczalska.

— Konie natychmiast!

— Jaśnie panienka o tym samym czasie zawsze.....

— Jak śmiesz się odzywać? — kto tu jest panem i kto rozkazuje?..

— Bo, proszę jaśnie pana, książę, u którego służyłem, miał swój powóz, księżna pani swój, jasna księżniczka swój.

— Konie! powtórzył, wskazując ręką służącemu drzwi.

— No i taki kiep dał mi lekcyę życia. Stać i mnie, aby moja córka miała swój ekwipaż, i ja swój. Tłuc się po mieście jednym, zawsze jednym, to nawet wstyd wobec ulicy i Żydów. Książęta umieją żyć, a ich lokaje przypominają nam, szlachcie, jak się żyć powinno. Dziś zatelegrafuję po powozik do Wiednia, a parę gniadych każę sprowadzić z Otocka. Będzie to prezent dla Maryni za sprowadzenie dyrektora do Swobody i wydobycie od niego kredytu. Zręcznie się znalazła! Miłość tworzy cuda. Naprawdę, wydobyć kredyt w Galicyi dla kopalń, dla przemysłu lub handlu należy do cudów. I za ten cud dostanie cudo powozik i parę ślicznych szkap. Nie powiedzą, że jestem złym ojcem i człowiekiem, nie umiejącym żyć.

— Proszę jaśnie pana, zajechał! wygłosił były lokaj książęcy.

— Do pracy, do pracy, zawołał w duchu, nie śmiejąc przed książęcym lokajem zdradzać się, że pracuje, albowiem i on razem z całą szlachtą Galicyi wschodniej był pod wpływem przesądu, że praca należy do upadlających czynności człowieka. Tylko wobec mieszczan lub wobec nieoznaczonej warstwy, zwanej inteligencyą, deklamował o pracy, jako wielkim kapitale narodu. On zaś we własnem pojęciu naród utożsamiał z motłochem, — on, szlachcic ze wschodu, szybko urastający w pana, którego zadaniem brać i zużywać rezultaty prac narodu, jako moralna lub faktyczna tego narodu władza.

Takie pojęcia majaczyły mu po głowie. Nie umiał jeszcze tego jasno sformułować, lecz czuł, że niedługo samo się to ułoży w trwałą zasadę.

Otworzył drzwi do pokoju córki, stanął w progu. Koczalska czesała Marynię.

— Kto wie, pomyślał, czy już nie zaczyna pracować nad zdobyciem tysiąca guldenów?

— Dzień dobry pannie Maryi, dzień dobry pani Koczalskiej. Przepraszam, że ci zabieram powóz, lecz pożycz mi go, dopóki nie sprowadzę sobie własnego.

— Ojczulku, osobnego zupełnie mi nie potrzeba, wystarczy nam jeden.

— Nie chcę ci robić przykrości, jak również sam nie chcę być krępowanym. Do widzenia, wracam o czwartej na obiad. Pani Koczalska, do widzenia.

Wyszedł.

— Grzeczność twego ojca przeraża mnie, jest pewny, że, czesząc cię, układam intrygę.

— Zostawmy go w tem mniemaniu. Wszystko to robi dla mego dobra — biedna ofiara własnych uprzedzeń...

Koczalska westchnęła.

ROŹDZIAŁ XII.

Mój drogi biedaku!

„Ojciec wie o mej wyprawie do Swobody. Doniósł mu o tem wynajęty przez niego detektyw, młody urzędnik pocztowy w Kołomyi. Ciotka Urszula dostała kopię ich telegramów. Mimo to ojczulek jest uprzedzająco grzeczny dla mnie. Kupił mi w prezencie elegancki powozik i parę gniadoszów sprowadził z Otocka. A widząc księżniczkę Windischgrätz, powożącą się z tilbury, kupił mi prześliczną amerykankę. Używam jej często, czasem wożę ojca, częściej ciocię Urszulę. Pędzę do parku stryjskiego, przecinamy przyszły plac wystawy, za miastem wysiadamy i, idąc piechotą, rozmawiamy o tobie, o twej przyszłości, raczej o naszej przyszłości. Dyrektor, aby usprawiedliwić wielki kredyt, jaki ci daje, cuda opowiada o twej mądrości i przyszłych bogactwach, o całych pociągach, przewożących rury żelazne dla ciebie. Towarzystwo techniczne wybiera się zwiedzić twoją kopalnię i rurociągi.... Za twą abnegacyę, za poświęcenie mnie i ciebie sława twoja rośnie szeroko. Znają cię i mówią o tobie! Czuję, że ci o to nie idzie, lecz uznanie ludzi i ich sprawiedliwość sprawia nam zasłużoną rozkosz.

„Czasem przychodzi mi na myśl, że może ojciec dziś nie bardzoby się gniewał, gdybyś go poprosił o moją rękę! Ciotka Urszula jednak utrzymuje, że właśnie teraz za nic w świecie nie zgodziłby

się na to — i przeszkadzałby wszelkiemi siłami. A że jest sprytny i zręczny, nie radzi odkrywać przed nim naszych kart.

„Ciotka utrzymuje, że myśli o zięciu dla siebie i szuka go pośród wielkich rodow. Co za rozpacz, że nasi ojcowie chodzą zawsze jednym i tym samym szablonem. Zbiera, pracuje i trud całego życia oddaje w ręce ukoronowanego głupca, którego zadaniem i trudem roztrwonienie pracy ojca.

„Dreszcz mnie przechodzi na to frymarczenie moją osobą, — szczęściem mam dosyć hartu, aby się bronić... Jestem twoją, złączoną z tobą na wieki — twoją — jedynie — i to daje mi siłę!...

„Nieraz się siebie pytam, dlaczego muszę cię kochać?! Kto mi kazał i zmusza do tego? Rozmyślania te są dla mnie upojeniem cichych nocy.

„Dlaczego cię kocham?... Dlatego, że słońce w czarne szczeliny jodeł rzuca srebrne promienie, na zieloną murawę, brązowe igły na ziemi i pieści je, — dlatego i ja cię kocham i kochać muszę, jak czarne jodły i zielona murawa kochają słońce.

„Na zachodzie niebo, rozlane krwią, białe chmurki od wschodu płyną do oceanu purpury, cisza zalega świat, ptactwo, zapatrzone w cud, milczy. I ja wtedy milczę, bo czuję, że dusza moja, jak biała oróżowiona chmurka, spływa ku tobie. I za to, że odczuwam piękność przyrody i duszę mą, idącą ku słońcu — kocham cię!...

„I kocham cię, boś mnie stworzył, dając mi odczucie duszy i myśli wiecznej przez miłość. Dałeś mi pragnienia lepszego bytu i możność szukania go w czynach.

„Kocham cię tem wszystkiem i wierzę, że już żadna siła nie oderwie mnie od ciebie!

„Jeśli cię kocham pięknością dnia i ciemną nocą wśród wyiskrzonych gwiazd, jeśli cię kocham wiejską piosnką, płynącą po rosie, jeśli cię kocham dobrą myślą moją i uśmiechem zadowolenia z dobrego czynu...

„Nie kochać cię—to nicość, pustka,—świat zamiera w myślach mych, w uczuciach, i duch mój zamiera we mnie.

„Kochać, jak ja cię kocham, to przecież radość serca, to wiosna życia. Miłość dla ciebie to podróż moja do nieśmiertelności...

„W uniesieniu kiedyś pytałeś się o mnie: Ktoś ty?!.... Gdy ty, biedaku, zapracowany nurzasz się w powszedniej walce z żywiołami, biorę ducha twego i upajam go purpurą zachodzącego słońca, nocą gwiaździstą i piosnką, płynącą po rosie. Oddałeś mi go, a ja z nim idę na błękity „do tej jedynej i do tej kochanki”...

„Taką jestem, i taki jest mój byt przy tobie, takie posłannictwo mej miłości. Czyż mogę odejść i rzucić cię? Czyż jest siła, któraby mogła nas rozdzielić?... Dlatego patrzę spokojnie w przyszłość. Krąg mego żywota już jest zaznaczony, i nikt i nic drogi jego nie zmieni, bo zmienić nie może...

„Żal mi ojca, lecz ponad jego wolę jest prawo wyższe, prawo wszechmocy świata, stwarzające indywidualizmy, więcej przystosowane do siebie, podług jego woli i ogromu świata.

„Piszę ci liryczną spowiedź własnej duszy, oczekiwań i tęsknot, gdy ty walczysz, pracujesz, zaledwo mając czas otrzeć zroszone potem czoło. Marzenia moje wobec twej energiii rozpływają się, jak mgławice, i giną wobec twej siły i gorąca czynu.

„Wierzę, że tęsknota moja łagodzi twoją nerwową wrażliwość i budzi twój umysł do szlachetnych uniesień. Nie sądź jednak, żebym i ja nie była zdolną do pracy. Czekam z niecierpliwością chwili, aby stanąć obok ciebie i żyć własną dzielnością.

„Nie myśl, żebym i ja nie miała ciepłej krwi, płynącej w mych żyłach. Nie zapominaj, że jestem nie tylko córką mej matki, lecz i córką mego ojca. Stać mnie nie tylko na siłę i wytrwałość matki, lecz i na zręczność, spryt i przebiegłość — jeśli niemi będę musiała iść do celu i zrobić to, czego pragnie dusza moja. Nie znasz mnie, jeśli myślisz inaczej...

„Koczalska już trzeci raz stuka do drzwi. Spadam z obłoków do prozy życia — raut u księżny ma się skończyć o jedenastej, a potem bal w dwanaście par. Jesteśmy na bal zaproszeni, ojciec w wybornym humorze, już trzeci raz prosi mnie, abym dziś była czarująca i wystąpiła w dystynkcyi angielskiej, albowiem dystynkcya angielska jest dziś najmodniejsza, a hrabia Rudolf zna się na tem, jako grający rolę Anglika??!

„I znowu Koczalska zastukała. Czuję w jej nerwowych uderzeniach przestrach.

„Twoje listy, wiesz, czem są dla mnie? Życiem mej duszy. A dusza moja.....

Twoją

Maryą.

Swoboda.....

Ukochana!

„Jeśli kiedy nie odpiszę natychmiast, to znaczy, że mnie niema w kopalni, że dzień i noc stoję na gościńcu przy pracy. Lecz nigdy nie jestem tak zmęczony, abym nie mógł pióra utrzymać, a gdy je biorę, chcąc pisać do ciebie, zmęczenie cichnie, sen odbiega, siły mych myśli i uczuć działają...

„Różo biała, zarumieniona tęsknotą, teraz dopiero oceniam wielkość mej ofiary, jakiej zażądano odemnie.

„Gdybym cię miał przy sobie, gdybym słyszał bicie twego serca, czuł gorący twój oddech, to, zdaje mi się, widziałbym i bieg twych myśli w głębiach twych oczu.

„Gdybym cię miał przy sobie!... Nieraz po tem powiedzeniu palce zagłębiam we włosy i targam je, wyzywam los, a Rusini pracujący żegnają się, gdy nie patrzę, i szepczą zaklęcia, aby złe odeszło odemnie...

„Przeklinam siebie samego za słabość moją, bo ty jesteś dla mnie siłą i pożądaniem, żyję dla ciebie i kocham świat przez ciebie!

— „Dlaczego dziś nie jesteś moją? czuję, że to wina moja, lecz i wina otoczenia, ludzi, losu i jego brzydoty!.. Dlaczego nie jesteś moją — dlaczego?... Byłem słaby, godząc się, abyś wracała, — a jednak — a jednak!...

Żebyś widziała, jak tu praca i energia ludzka wre, z jaką siłą wybucha, jak się rozwija wytrwale... Jak ci ludziska, mogąc zapracować na kawał chleba i jeszcze go schować dla żony i dzieci na kupno gruntu lub warsztatu, jak ci ludziska wodzą za mną powłóczystym wzrokiem pragnień, abym żył z nimi jak najdłużej... Gdybyś czytała w ich oczach radość, zmieszaną z podziwem dla mnie i wiarą we własne ich siły?! Gdybyś widziała Rusinów i słyszała miękkie ich „sława Bohu" i w tej miękkości odczuła rzewność, wdzięczność, położyłabyś mi rękę na ramieniu i powiedziała:

— Może i dobrze się stało, że jeszcze wróciłam do domu.

„Dawniej praca występowała, jako przekleństwo ludzkości, dziś w innych warunkach podejmowana zmienia się w jej dobrodziejstwo. Ludzie moi z rozkoszą wyładowywują swoją energię, bo czują za zgiętymi karkami rezultaty, wierzą, że nie są wyzyskiwani. To wielka pociecha dla zeznojonego czoła.

„Czemuż nie jesteś przy mnie i nie patrzysz? Przekleństwo „w pocie czoła pracować będziesz" zmienia się w życie, siłę, dzielność, a stan błogosławionego raju, próżniactwo—w nędzę i śmierć. Bóg, przeklinając, jednocześnie błogosławi. Taką jest jego wszechmocność... Przeklęci wyrastają na bohaterów!...

„Czemuż nie jesteś przy mnie?!..

„W moich oczach wysilenia ludzkie, zdobycze wiedzy, zręczność, wprawa, spryt tworzą cuda! Kopalnia zmieniona w mrowisko. Wszyscy pracują razem, a każdy zosobna... Całość, pełna wrzawy, ma swą muzyczną harmonię. Ludziska ocierają pot z czoła i uśmiechają się szczerze, serdecznie, pokazując z poza spalonych warg szeregi białych zębów, gotowych jeść, aby znowu pracować. Dawniej z zaciśniętemi ustami, głodnemi oczyma patrzeli w przestrzeń, zaciskając pięści na tych, którzy im pracy nie dawali...

„Czemuż cię przy mnie niema? Tysiące interesów się krzyżuje, rozbiega, jak promienie, i skupia do ogniska. Tem ogniskiem, przy którem się ludziska grzeją, ja jestem... Zwracają się ku mnie, a czasem i modlą. Cóżem im dał!?..

„Dałem im możność wyładowywania swej siły. Dałem im możność zmiany ich energii na kawał chleba. Dawniej szukali tej możności, opuszczali swe siedziby, kościoły, swe łany i szli za morza, aby energią swą wytwarzać obcym miliony.

„Czemuż cię przy mnie niema?! Lecz, jeżelibyś zostaniem swem wstrzymała ten rozwój, to tej jedynej rany nie zasłoniłabyś rękoma obiema — tej jedynej, że jej niema!"...

„Tęsknię, pragnę, modlę się, czekam....

„Za tydzień skończę rurociągi! Kosztowały trzykroć sto tysięcy... Wieleż to potrzeba milionów przez nie przeciągnąć, aby się procentami zapłaciły. Mniejsza o miliony: jeżeli tylko są środki, to wydobycie ich leży w naszej mocy.

„Za tydzień jestem we Lwowie, za tydzień zobaczę cię strojną, czarującą, wielką damę, ale i moją jedyną — jedyną...

Tadeusz.

PS. Wielkie myśli przebiegają mi mózg błyskawicami. W tem oświetleniu widzę wielkie horyzonty ratunku na „galicyjską nędzę"... Po co my pchamy naszą ropę de Wiednia, a potem naftę stamtąd ściągamy, płacąc haracz Niemcom?!.. Możemy przecież im gotową, czystą naftę posyłać!

„Gdy burza w umyśle wre, o błyskawice dobrych myśli nie trudno!

„Czemuż cię przy mnie niema, jedyny przewodniku błyskawic w mym umyśle — kocham cię.

Tadeusz.

XXX.

Pan Edward przebiegał przez kopalnię podniecony, rozgorączkowany. Więcej grał, niż było w rzeczywistości, lecz grał dobrze i zręcznie, jak wytresowany życiem „czwany". Zobaczył zdaleka Tadeusza, przyzywał go, wymachując chustką, trzymaną w ręku, idąc naprzeciw niego, roztwierał ramiona...

— Nareszcie mam cię, kochany Tadziuniu. Bałem się, czy cię zastanę. Widzę cię, chwała Bogu, reszta pójdzie dobrze. Jesteś słońcem, koło którego nafta się obraca...

Tadeusz odetchnął głęboko.

— Myślałem, rzekł, że nieszczęście się stało, że... Lecz, aby mi powiedzieć, że jestem słońcem, przyświecającem nafcie, to szkoda zbytniego wysiłku ze strony pańskiej.

— Słońce to tylko piękna apostrofa do tego, co chcę powiedzieć. Wyobraź sobie — karawany — przysięgam, że karawany ciągną z zachodu do Swobody, aby opanować tereny naftowe, zdmuchnąć nam je z przed nosa, zamknąć nas na dwustu naszych morgach... Mało zamknąć, zatarasować, okopać, uwięzić i zniszczyć!... Żorż, hotel Europejski, hotel francuski, pełno cudzoziemców, Holendrów, Amerykanów, a najwięcej Francuzów. Kłócą się bestye z sobą, ale, gdy przyjdzie działać przeciwko nam, pogodzą się. Taki to już naród...

Przestał, łapiąc gwałtownie z wysiłku wymowy powietrze.

Tadeusz wpatrywał się w niego melancholijnie.

— I cóż ty na to? zawołał.

— Dwieście morgów, zaczął cicho Tadeusz, to choćby dziesięć szybów na morgę — mamy dwa tysiące szybów.

— A powinniśmy mieć dziesięć tysięcy.

— Jeżeli nie można więcej, to musi wystarczyć dwa tysiące.

— Właśnie, że można mieć więcej, zawołał pan Edward, i możność ta powinna być dla nas prawem, a prawo przykazaniem! Chyba nie kochasz kraju?...

Tadeusz wzruszył głową...

— Pozwalam go kochać i innym. Czemuż inni nie przyszli i nie zabierali gruntów przed cudzoziemcami?

— Może nie umieli wziąć się do rzeczy!? Francuzi otwierają im oczy. Ja sam byłem głupi!... No i ty, Tadziu, pobłądziłeś, należało zabrać odrazu tysiąc morgów terenu... Ja sam myślałem, że się to niedługo zrobi. Lecz cóż, Żydzi nas zdenuncyowali Niemcom, Niemcy całemu światu, no i dziś masz wędrówkę narodów po złote runo...

— Stało się, cóż poradzimy?

— Co poradzimy? Ostrzydz owce samym, zanim przyjdą postrzygacze, to jedyna rada, jedyna możność, jedyny argument, jedyna polityka.

Tadeuszowi błysnęła myśl...

— Zrób pan wielkie towarzystwo akcyjne — zawołał!

— A tymczasem wędrówka narodów zakupi wszystkie grunta od chłopów i ziemie gminne. Zapóźno, mój drogi, trzeba się śpieszyć. Jeśli dziś nie kupimy, jutro nas zamkną na dwustu morgach.

Obejrzał się, wskazując ręką. Zdaleka stał barczysty arendarz Swobody, gładził ręką brodę.

— Widzisz, to nasz denuncyant, ale i zbawca, pośrednik, obrońca. To on razem z Żydami z Kołomyi powiedział Niemcom o naszych bogactwach i on jeden może nas uratować i dać fortunę — on Żyd, a my bez Żyda, jak bez ręki. Żyd jest naszem przekleństwem, lecz w każdem przekleństwie Bóg daje pociechę — i Żyd jest naszą pociechą... Wyobraź sobie, Żyd przygotował całą akcyę, namówił chłopów, zgodził ich, wszystko zrobił i wszystko ma w swych rękach, a dla siebie żąda tylko dziesięć tysięcy guldenów.

Pan Edward nachylił się, kończąc cicho.

— Nie wie jeszcze o wędrówce narodów do Swobody, boby zaśpiewał sto tysięcy. I tak będzie pejsy targał ze złości, gdy się dowie.

— Bierz pan ten interes, rzekł Tadeusz.

— A ty nie? Ty mój wspólnik, ciebie nic nie obchodzi, że cię otoczą cudzoziemcy, że będą pompować złoto z twej ziemi i wywozić, a tu bieda w kraju, aż strach!

Chwycił się za głowę rękoma.

— Bieda, że ją siekierą można ciąć, a tu młodzieniec, przyszły wielki człowiek, nadzieja kraju, patrzy na wywożenie własnego złota przez obcych z założonemi rękoma. Człowieku, obudź się!...

— Ależ nie śpię, tylko na to poradzić nie mogę.

— Dlaczego, zawołał pan Edward, nie mielibyśmy takich, jak ta, założyć dziesięć kopalń w dziesięciu miejscach, jeżeli będziemy mieli odpowiednie tereny? Odpowiedz mi, dlaczego?!..

— Nie mamy odpowiedniego kapitału, a procent, który pan bierze, jest za wysoki.

— Mogę wziąć mniejszy i część mego procentu składać na kapitał nakładowy...

— W razie pańskich ustępstw akcya może się zacząć.

— A widzisz, znalazła się racya, znalazła się prawda, znalazł się rozum stanu... Nie chcesz brać ze mną, ja wezmę grunta, ja potrafię handlować, ja, szlachcic ze wschodu, znam się na tem, to moje rzemiosło! Ale ty mój wspólnik, musisz mi pomódz. I pomożesz, dlaczego nie miałbyś pomódz, gdy to jest twój obowiązek, a cel wysoce patryotyczny? Przed obowiązkiem i patryotyzmem nie cofasz się nigdy!... Znam cię — nigdy! wielkie słowo!

Tadeusz się uśmiechnął.

— Przysięgnę, że się nie cofniesz.

— A więc?

— A więc, powiem ci: na interes, który ci przedstawiam, potrzebuję pieniędzy, a nie mam ich. Za gotówkę, wziętą od ciebie, kupiłem prześliczny majątek za bezcen. Tysiąc morgów starego lasu i tysiąc morgów ornych, z których rocznie sprzedaje się trzy tysiące korcy pszenicy, nie licząc żyta, owsa i jęczmienia... Dalej gorzelnia, młyny, karczmy, tartak... Chcąc uprzedzić cudzoziemców, którzy gotowi jutro tu być, potrzebuję za parę dni grubej gotówki. Mam przy sobie pięćdziesiąt tysięcy na zadatki, lecz jutro muszę mieć pięćkroć, które pojutrze będą warte milion, a za miesiąc—dwa! Tak się, Tadziuniu, interesa robią, jeśli chcemy, żeby wielki przemysł kwitł.

Tadeusz rozwarł szeroko oczy.

— Raczej wielki geszeft — rzekł.

— Wszystko jedno, bo wielki przemysł rodzi wielki geszeft i odwrotnie, pamiętaj to sobie...

Pan Edward ruchem kaznodziei podniósł rękę i palec wyciągnął....

— Dwie rzeczy tak różne...

— Ale się łączą, przerwał wschodni szlachcic. Chcę z tobą zrobić interes i proponuję ci, że, jeżeli dasz mi na przyszłą ropę zaliczki pół miliona, to oprócz tego, że, będę płacił od niej cztery procenta czyli dwadzieścia tysięcy rocznie, póki ty jej nie spłacisz, lecz jeszcze odstąpię ci pięć procentów ropy, i będziesz brał dla siebie pięćdziesiąt pięć, a ja tylko czterdzieści pięć.

— Nie mam kapitału.

— Ale masz kredyt. I, gdy ja chcę pożyczyć pół miliona, musiałbym stracić pół roku czasu: ty wystawisz dziś weksle lub dasz skrypt i jutro masz pieniądze. Ty jesteś przemysłowiec, ja rolnik, hreczkosiej, szlagon, co chcesz... Mnie nie ufają na tysiąc papierków, a tobie wierzą na milion, chociaż obydwa jesteśmy jednako uczciwi i wypłacalni ludzie. Tylko ty jesteś wielki twórczy umysł, bierzesz miliony i dajesz miliony, ja mogę brać miliony, jeśli mi dadzą, lecz oddawać tylko tysiącami! Tadziuniu, dajesz zaliczkę?! Dasz, jeśli nie chcesz być jutro osaczonym przez inne narody, jak dzik w kniei... Dasz, bo kochasz kraj, dasz, bo rozumiesz interes, dasz, bo czujesz, że ja tego nie zabiorę dla siebie — nic — nic. Wszystko weźmiecie!... Marynia wierzy, że mnie nie zostawisz samego, nie opuścisz!...

Tadeuszowi zdawało się, że pan Edward wyciąga do niego ramiona, oddaje mu córkę, chce go uściskać, jako zięcia. Rad był wpaść w jego objęcia, tylko, że chwilę uważał za niewłaściwą. Wyglądałoby, że żąda ręki córki, jako zapłatę za półmilionowy kredyt. Zatrzymał się w porę i, licząc w pamięci, powiedział:

— Pół milionowy kredyt można spłacić wykopaną ropą, licząc na udział pański tysiąc guldenów dziennie, za półtora roku.

— A widzisz, za nędzne półtora roku. Jestem zdrów, silny, nie mam jeszcze pięćdziesięciu lat, przeżyję półtora roku. A gdy mnie nie stanie, ty mnie zastąpisz i dalej będziesz pompował i płacił. Co znaczy w życiu człowieka półtora roku? jedna zima i dwie wiosny.

— Nie wiem, czy dyrektor kasy zgodzi się wypłacić tak wielką sumę.

— Na twój podpis z radością, bo będzie przekonany, że pożycza na wzrost przemysłu, a wiesz, jak on kocha nasz przemysł, nasz biedny krajowy przemysł i jak pragnie jego wzrostu. Ty go dźwigasz, a on ci wierzy i daje tobie.

Zamilkł, patrząc w oczy Tadeuszowi z czułością starego lisa.

— No cóż, Tadziuniu, ratujesz przemysł, ratujesz siebie samego? ratujesz kraj... Milczysz, boisz się — czego? Ty miałbyś być tchó-

rzem, ty, co po drugim szybie zbudowałeś rurociągi za trzykroć stotysięcy guldenów?!...

Tadeusza denerwowała wymowa „czwania", odczuwał jej jałowość, jej frazes, chciał od niej uciec, przerwać ją, skończyć.

— Jeśli dyrektor da pół milioua zaliczki na ropę, to ja ze swej strony nic nie mam przeciw temu. Tylko pożyczki w kasie, które ja biorę, są oprocentowane nie na cztery, lecz na sześć procentów.

„Czwanio" ciężko westchnął robionem westchnieniem i odszedł.

— Dla świętej sprawy, choćbym miał być podbankrutowanym, i ja dam sześć. Cóż robić, kiedy...

Tadeusz przeląkł się dalszej deklamacyi i przerwał.

— Chodźmy, napiszę panu skrypt, musisz pewno zaraz wracać do Lwowa.

— Natychmiast!

Poszli szybko, Tadeusz po drodze umyślnie, aby nie słyszeć wymowy pana Edwarda, wydawał rozkazy i zaczepiał robotników. Panu Edwardowi radość rozrywała serce. Drżał cały, chciał podskoczyć i zawołać — wiwat! a musiał panować nad sobą.

— Oto skrypt, rzekł Tadeusz, podając w kancelaryi papier Edwardowi.

— Tadziuniu, tak szybko, tak odrazu, całe pół miliona, zdaje mi się, że śnię. Nie dziw się, szlachcic polski, nie przyzwyczajony do wielkich interesów, głupieje. Czekajże, ja ci znowu napiszę skrypt.

— Sześciu procentów, to już u dyrektora.

— A to, że ci oddaję pięć procentów mego udziału. Wziął pióro i pisał, Tadeusz stał przy oknie, patrząc na fabryczny ruch, jako na swe dzieło...

— Biedacy, szeptał, wy przynajmniej głodu nie będziecie przy mnie cierpieć. Dla was to pracuję i oddaję młodość mą...

— A oto mój skrypt, rzekł Edward, kładąc papier. Bądź zdrów, niech ci Bóg da zdrowie. Pamiętaj, że noga nogę — ręka rękę. Adieu, mon cher.

Wybiegł z kancelaryi, pędząc do Żyda, siedzącego na belkach drzewa.

Aron się zerwał i również biegł przeciw niemu.

— Dał? spytał nerwowo.

— Dał.

— Całe pół miliona?

— Całe.

— I tak na wiatr, bez niczego?...

— Co ty sobie myślisz, płacę sześć procentów...

— Jabym dał dziesięć, a może piętnaście i jeszczebym mu nogi całował... Nie chciał spółki?

— Nie!...

— To ja teraz mówię, że on głupi jest.

— Głupi, jak ty śmiesz to mówić wobec mnie na mego dyrektora.

— Bo myszlę, że on głupi, w tej chwili stracił pół milionowy zarobek.

— Zobaczymy, co ja sam zarobię.

— A może on ma inne plany i dlatego tak ustępuje, bo przecie on ma głowę na karku...

— Jakie plany?

Aron zniżył głos.

— Może on z przeproszeniem jasnego pana ma na swem oku pannę Marynię i ustępuje ojcu.

— Jak śmiesz mi podobne brednie gadać?

— O tych bredniach to i wróble na dachach świergocą. Jasna panna, pańska córka przywiozła tu ciotkę i dyrektora i od tego czasu zrobił się w Swobodzie wielki ruch, pieniądze płyną, jak woda...

— A niech sobie ma na oku, kogo chce. Wolno mu mieć na oku i królewnę angielską.

— To trochę za daleko.

— Moja córka jeszcze dalej dla niego — rozumiesz?!

— Rozumiem.

— On wie, że za wysokie progi.

— Rozumiem i teraz wychodzi na moje, że on dwa razy głupi.

Aron był oburzony na głupotę Tadeusza, bo i z nim chciał zrobić interes i zarobić. Edward był za twardy, za sprytny, za chciwy. Tadeusz wielki pan i wielki dżentlemen nie liczył się z drobnemi sumami i dlatego pozyskał serce Arona.

Pan Edward stanął.

— Aron, co ty śmiesz mówić?!

— Nic, tylko, że on dwa razy głupi, a jasny pan dwa razy mądry.

— Mówisz tak, jak gdybyś go żałował.

— Głupich nie żałuję, i cóż dopiero dwa razy.

— Mówiłeś mi sam, że to mój oficyalista.

— Mówiłem, dlaczego nie miałem mówić, tylko, że on jest z tych oficyalistów, co to swoim panom za jednym podpisem dają

pół miliona do garści, a jasnym trudno wydobyć odrazu pięćdziesiąt tysiąców.

— Pożycza.

— To, jakby darował, bo, jak ropy zabraknie, to on zapłaci całe pół, a to znaczy pięć razy po sto tysięcy!... Za jedno sto tysięcy można mieć śliczną wioskę i być jasnym panem.

— Ty mi zazdrościsz.

— Może, że i zazdroszczę, jasny pan nadto szczęśliwy.

— Bo mam rozum.

— Ludzie mówią, że lepszy łut szczęścia od funta rozumu.

— Więc cóż?

— Jasny pan słyszy, jak trawa rośnie — to rozum. I jasny pan trafi, kiedy ją ściąć, to szczęście.

Pan Edward siadł do powozu, Aron na przedniem siedzeniu.

— Dokąd jedziemy?

— Do karczmy, jaśnie panie, wydać dwadzieścia tysięcy chłopom nd zadatki. Wójtowi pięćset papierków, podwójciemu dwieście, radzie po stówce, Aronowi, co łaska.

— A dziesięć tysięcy, które ci muszę zapłacić?

— Kiedy jasny pan tak łatwo zdobył pół miliona, to Aron powinien dostać pięćdziesiąt tysiąców.

— Wytłómacz mi naprzód, za co ja ci płacę.

— Ja powiem. Za to, że ja daję jasnemu panu pół miliona zarobku.

— Ty mnie?!..

— Ja, nikt inny, tylko ja. Ja i on, ten oficyalista, i obaj jesteśmy głupcy! On, że nie idzie do spółki, ja, że biorę parszywe dziesięć tysięcy. I dlatego mówię, że lepszy łut szczęścia od funta rozumu.

Wjechali w wieś — daleka wrzawa, jak rój pszczół, wypełniły powietrze.

— Kazałem na rachunek jasnego pana wydać miodu, piwa i wódki za pięćdziesiąt papierków.

— Za dużo — popiją się...

— Oni się powinni popić, oni się muszą popić, żeby nie wiedzieli, co robią, odezwał się ze źle ukrytem rozdrażnieniem Aron.

Zajechali. Żyd wyskoczył, pan Edward stanął w powozie. zdjął kapelusz i rzekł z powagą proroka.

— Sława Bohu!...

— Na wiki wików, zahuczała gromada, zdejmując baranie czapki.

— Niech jasny pan wysiądzie, szepnął po niemiecku Aron, pójdzie do alkierza i tam zaczeka. Jak mnie nie było, jakiś dyabeł wodę zamącił i znowu trzeba od początku zaczynać. Jaśnie pan się pyta, za co ja biorę głupie dziesięć tysięcy.

Pan Edward chodził po alkierzu Arona. Dolatywała go rozhukana wrzawa gromady i donośny głos żyda. Walka szła na ostro, a tymczasem lał się miód obficie.

— Za wasze zdrowie! ja stawiam! wołał Aron.

— Ty, Żydzie, nie masz tu nic do stawiania, ja, naczelnik, częstuję radę i gromadę —przerwał mu, zdaje się, wójt.

— Kiedy pan naczelnik taki pan, dlaczego nie, owszem, proszę — wiele?

— Dziesięć flaszek miodu — na zdrowie hromady.

— Hura! zatrzęsło karczmą.

Pan Edward stânął, słuchał i zły na siebie zawołał.

— Puściłem wodzę radości i niepotrzebnie wygadałem się przed Żydem o wydobytym pół milionie.

Tupnął nogą.

— Jak mogłem Żyda przypuszczać do takiej konfidencyi? ja, ja, dyplomata, może przyszły minister, pan, milioner!? Radość mną zawładła, i straciłem równowagę. Jestem skończony głupiec i za głupotę swoją będę musiał Żydowi dopłacić kilka tysięcy!... W naszym kraju trzeba zawsze i za wszystko opłacać się Żydom! Nieszczęśliwy kraj, w którym nie można zrobić interesu bez Żyda — wszędzie Żyd. Boże! — Boże, uwolnij nas od tej plagi!...

Wpadł Aron z roziskrzonemi oczyma. Zmęczony siadł, nogi wyciągnął, czapkę rzucił, jarmułkę nasadził na czoło.

— Źle, rzekł sucho, przeciwnik mój, niech go paraliż weźmie, zbuntował gromadę przeciwko mnie i ciągnie ją do siebie.

— Uciszyć go, zawołał pan Edward. Mój Aronku, ucisz go, błagam cię. Ty jeden to potrafisz.

— Udusić, to się go uciszy.

— Uduś, uduś, Aronku, ty jeden to możesz zrobić.

— Udusić i jutro iść do kryminału, dziękuję jasnemu panu. Trzymamy spółkę, to go obydwa duśmy!

Aron się zaśmiał, wysuwając z poza grubych warg wilcze zęby.

— Ja muchy nie mogę zabić, rzekł pan Edward.

— I ja jej nie zabijam. Co robić?!...

— Zatkać mu gębę.

— Czem?

— Setką — dwiema setkami!

— Kto wie, czy da sobie zatkać dziesięcioma.

— Tysiąc! ty zaraz na tysiące. U ciebie tysiąc to tyle, co u mnie gulden...

— Dobrze, niech mu jasny pan zatyka gębę stówką, ja go przyprowadzę. Tylko, że to żaden łapserdak, rozumie interes. I za to, że go jasny pan będzie oglądał, zapłaci mu na rękę pięć tysiąców.

— Nie chcę go widzieć.

— To płacić zaraz, niech idzie do dyabła.

— Ale nie tysiąc. Wy nas drzecie ze skóry. Z wami się wdać to znaczy tyle, co z torbami pójść.

— Żeby jasny pan był tak zdrów! My wam, panowie, pchamy milionowe do garści interesa za głupie parę tysiąców, a wy po zrobieniu interesu zaczynacie się brzydzić Żydem!... Wy nic bez Żyda. Nie kupicie biednej wioski, kulawego konia. Żyd to wasze szczęście, wasz majątek, ale, kiedy go nie potrzebujecie, huzia na żyda!..

— Aronku, jak ty śmiesz coś podobnego mówić?

— Śmiem — my mamy swoje oko i swój rozum.

Wstał nerwowo.

— Czy to miło uganiać się z chłopstwem cały dzień i całą noc? Czybym ja nie wolał siedzieć sobie w ciepłej izbie i czytać talmud albo księgi?!.. No, ale niema czasu na gadanie, wyciągaj jasny pan dziesięć stówek.

— Za dużo!

— Daj mu jasny pan sam! Ja wypcham go za drzwi od siebie tysiącem!

— Masz dziesięć stówek, daj mi święty pokój, śpiesz się, czas leci!...

Aron zagarnął pieniądze i wyszedł.

— Przekleństwo, szeptał pan Edward, łatwe szczęście ogłupiło Napoleona, a cóż dopiero mnie, szlachcica wschodniej Galicyi? Napoleon za swe ogłupienie przypłacił Ś-tą Heleną, ja jak dotąd tysiącem guldenów... Trudno, człowiek ma serce i dlatego czasem się zapomina!... Naprzykład, pchany wybuchami serca zawołałem do Tadeusza: dzieci, to wszystko wasze! Dopiero, gdym powiedział, zadławiło mnie w gardle. Myślałem, że młodzieniec rzuci się w moje objęcia i zawoła: Ojcze!— teściu! Padłbym na prawdę i może ducha wyzionął. Bałem się w tej chwili albo apopleksyi, albo paraliżu serca. Chwała Bogu, nie skorzystał z chwili. Za głupi, albo za wielki pan, za dumny — dlatego ja nie dostałem paraliżu serca ani apopleksyi...

Tak to, mając serce, jesteśmy często jego sługami. Już ja mu teraz wybiję z głowy chwilowe uniesienie się moje. To mój święty obowiązek wybić mu z głowy wszelkie zachcianki w tym kierunku. Nie na to pracuję od świtu do nocy, aby jedynaczkę wydawać za... Obejrzał się, wstydził się Żyda, spojrzał, czy nie podsłuchuje, i powiedział głośno, wyraźnie, rozdzielając każdą sylabę: o-fi-cy-a-li-stę. Gdy się wdrapię przez moją jedynaczkę na najwyższy szczebel hierarchii społecznej, — pójdę tam, gdzie oddawna powinienem był być, i basta... Oficyaliści z drogi! Ha — ha!..

A jaki dumny, jak gdyby był urodzonym hrabią! ani słowa nie wspominał o współce. Dał pół miliona zaliczki, jak król albo jak Rotszyld londyński... I dobrze zrobił, boby spółki nie zyskał... Tylko mówię do tego, że taki człowiek, taki pan ma prowadzić wielkie interesa lub brać spuściznę po mnie — brrr... Apage satanas.

Aron drzwi na rozcież otworzył i zastawił je stołem. Ucichło się.

— A teraz gromada, rzekł głośno, niech idzie brać swoje pieniądze!...

— Nasze, nasze, rozległ się przytłumiony szmer.

— Wasze, zawołał pan Edward.

W kancelaryi swobodzkiej kopalni panowała cisza przed burzą.

— Obciążyłeś znowu kopalnię o pół miliona? rzekł Feliks sucho.

— Na półtora roku. W tym czasie dług ten spłaci się sam połową dochodu z kopalni.

— A jeśli się nie spłaci?

— Powinien, a więc musi, i dyskusya upada, odparł spokojnie, jak wyrocznia, Tadeusz.

— Właśnie, że się otwiera. Bo przypuśćmy, że ropa będzie płynąć w tej samej obfitości i ceny nie zmieni, — to nie zawsze będzie można gotówką, stąd otrzymaną, spłacić ten dług. Będą pilniejsze wydatki.

— Pan Edward nie czekałby z odbiorem swych dochodów.

— Widzisz, onby nie czekał i brałby je, lecz dług w kasie może czekać i będzie czekał, a to nas może zabić. Bo, czekając, będzie rósł...

— Trudno, inaczej nie mogłem — prosił, zaklinał, miał ochotę płakać....

— I dla jego niedoszłych łez obciążyłeś kopalnię nowym półmilionowym długiem? Dlaczego przynajmniej, robiąc mu takie dobrodziejstwo kredytem, nie poszedłeś z nim do spółki — co? Straciłeś drugie półmiliona!...

— Nie jestem handlarzem, odparł Tadeusz, mam wstręt do tego rzemiosła. Nie umiem kupować, sprzedawać, targować się — to nie mój biznes. Lecz za to potrafię matce ziemi wykradać jej tajemnice i bogactwa. To dosyć dla mnie!..

— Za wielkiś pan, aby się własnemi rękami dotykać nędz świata, jego walk, podejść, małych brudów, a wielkiej chciwości — i dlatego padniesz.

— Być może, odrzekł cicho, lecz, zanim padnę, dźwignę tysiąc i dam im możność oderwania gąb od trawy i choć na chwilę spojrzenia w niebo.

— Gęby Edwarda nie oderwiesz, chociaż w nią pchasz miliony.

— Nie staram się o to.

— A teraz powiedz, o wiele więcej gąb oderwałbyś od trawy, gdybyś zrobił spółkę z Edwardem?

— Być może, powtórzył, ale to nad moje siły, nad moją możność. I Bóg mnie z tego rozgrzeszy... Przyniosłem z sobą na świat ufność w ludzi, ufność w dobro i piękno, — nie mogę bez tej ufności żyć, działać, pracować! Nie mogę nie wierzyć ludziom, którzy się do mnie zbliżają, jak nie mogę podawać ręki tym, którychbym podejrzywał... Niezawodnie są to wielkie wady u przemysłowca, lecz ja przemysłowcem nie jestem, a pragnę być tylko pracownikiem winnicy pańskiej, niczem innem, tylko jej pracownikiem..... Ja tworzę, dźwigam, buduję, a jeśli padnę, to mój budynek będzie stał. Cóż więc upadek mój może mnie obchodzić?...

— I dużo, Tadziuniu, będzie cię obchodził, zawołał Feliks. Ciągle ci się zdaje i będzie do końca zdawać, że jesteś u początku dzieła, przy zaczęciu budowy... Zachwianie wytwarza myśli o zmarnowaniu życia... Uczucie to jest straszne, od tego strachu włosy bieleją, i serce pęka!... Gdybyś był biznesistą, nie byłbyś człowiekiem idei, nie byłbyś twórcą, robotnikiem w winnicy, nie szedłbyś na szczyty, tysiąca gąb nie odrywałbyś od trawy, nie kazałbyś im wznosić głów w górę i patrzeć w niebo..... Gdybyś był Edwardem, nie byłbyś naszym Tadeuszem. Obydwoma być nie można — rozumiem to i dlatego cię kocham!

— Nie można, nie można, powtarzał cicho Tadeusz.

Feliks, wybuchając serdecznością, pochwycił go w pół i uniósł w górę.

ROŹDZIAŁ XIII.

Godzina ósma rano. Lwów się obudził i zaczynał żyć. Ulica Trzeciego Maja czysta, strojna, cicha, obudowana pałacami i częścią gmachu sejmowego, wyglądała, jak wielka dama w strojnym negliżu.

Tadeusz wyszedł z hotelu „Impérial" — stanął i patrzał wzrokiem zdziwienia i pewnego zachwytu. Przez myśl jego przesunął się Paryż z frontami ministeryów, — Wiedeń... kultura i cywilizacya. Rad był z tego objawu.

— Jesteśmy na dobrej drodze, myślał, szukając wzrokiem cukierni. Rozwijamy się.... Tuż przed wzrokiem jego powoli przesuwał się wóz — zaprzężony parą drobnych szkapiąt. Na wozie klęczał rosły, chudy, kościsty chłop w czarnej koszuli z narzuconym na plecy kożuchem. Za nim kobieta, okryta szarawem płótnem. Chłop zdjął baranią czapkę, — długie, spłowiałe włosy powiewały mu nad karkiem. Patrzał wystraszonym wzrokiem przed siebie. W rękach trzymał bat i nim wywijał. Na wozie i zaprzęgu nie było ani kawałka żelaza, ani skrawka skóry — parć i drzewo. I koła gięte z jednej sztuki brzeziny....

— Przed tysiącem lat pierwotny mieszkaniec tych stron tak samo wyglądał, przesuwając się w tem samem miejscu, przez moczary leśne i wzgórza. Tysiąc lat przepłynęło nad głowami tubylców, bez żadnego śladu kultury!.. A my?.. zapytał siebie samego. Czy kultura nasza nie kończy się za bramami miasta? Cóżeśmy zrobili dla cywilizacyi tego ludu, który nam oddaje swoją pracę i wyciąga do nas ręce?...

Wzrok wystraszonego Rusina spotkał się z łagodnem spojrzeniem Tadeusza. Uśmiechnął się do biedaka, lecz tego chłop nie odczuł, nie zrozumiał, świsnął batem, chude konięta pchały się jedno na drugie, przebierały drobniutko nogami, kobieta patrzała bezmyślnie przed siebie, w białej chustce na głowie, szarawej płachcie na ramionach.

— Tysiąc lat, powtarzał w duchu, tysiąc lat przesunęło się, jak jeden dzień, a chłop, wóz, kobieta i konie ci sami.

— Tadziu, zawołał na pół cicho, dyskretnie młody człowiek, ubrany podług ostatniej mody. Tadziu, tyżeś to?

Tadeusz, zbudzony z przed tysiącletniej epoki, obrócił się i wyciągnął rękę.

— Nie poznajesz mnie?...

— Trudno, rzekł, tylu ludzi przesunęło się przed memi oczyma.

— Bronek Durowski, kolegowaliśmy w gimnazyum.

— Bronek, powtórzył i roześmiał się serdecznie. Byłeś prymusem przez cały czas, a ja zapomniałem prymusa — przebacz!...

— A ja cię odrazu poznałem po wypukłem czole, głęboko osadzonych oczach i tej zadumie, z której nieraz budziłem cię, jako prymus.

— Widziałeś Rusina, wiozącego żonę na swoim wózku?

— Widziałem, przejeżdżają tędy z Wydziału krajowego i banku.

— Stanęła mi na myśli Ruś z przed tysiąca lat taka sama dziś, i stąd to zamyślenie.

— A ja sądziłem, że obliczasz procenta od swych kapitałów albo korzyści w niedalekiej przyszłości.

— Kapitałów jeszcze nie mam....

— Jakto jeszcze nie?.. Dzienniki głoszą twoją chwałę, obliczają na tysiące dzienny twój dochód.

— Ale nie obliczają wydatków!...

— Rurociągi kosztowały trzykroć sto tysięcy, i o tem czytałem!... Dość, że jesteś sławnym, uznanym, głośnym, i to na tle bogactwa, co u nas najwięcej popłaca. Gdybyś napisał lepszą od Homera Iliadę, a namalował obraz piękniejszy od Grünwaldu, miałbyś we Lwowie uznanie zwykłego literata lub malarza, gorszego od Styki! Trzeba znać nasze miasteczko!... Kiedy przyjechałeś?

— Wczoraj wieczór, a pragnę w tej chwili napić się herbaty.

Były prymus spojrzał na zegarek.

— Mogę ci ofiarować dwadzieścia minut bez szkody dla instytucyi, której służę.

— Służysz, biedaku?

— A cóżeś chciał, czyż mogę, czy mi wolno coś innego robić? Czyż można żyć w Galicyi bez służby? Wioski kupić nie miałem za co, a trzeba jeść, spać i ubrać się. Skądże wziąć na to wszystko, jeżeli nie dobrą, trzeźwą służbą.... Gdybyś nie miał własnego lub nie znalazł cudem kapitału na kopanie nafty, czemżebyś tu mógł być?.. Nauczycielem prywatnym języka angielskiego, a może przy szczególnej protekcyi dyurnistą wydziału krajowego!..

Zasiedli przy stoliku sami w pustym pokoju cukierni.

— Ja, mój drogi, mówił dalej Bronisław, jako celujący po zdaniu egzaminu z odznaczeniem na politechnice z inżynieryi, przy usilnych protekcyach dostałem się do Namiestnictwa na praktykanta bezpłatnego, a żyłem z lekcyi matematyki. Z czasem wiernością i uległością wybiłem się na płatnego. Dziś jestem konceptowym praktykantem. To jest szablonowe koncepta mych naczelników lub podług utartego szablonu przysłane z Wiednia przerabiam i dopasowuję. To samo robi, a lepiej potrafi, mój starszy kolega, który ukończył sześć realnych.

— Przecież są koleje, fabryki, mosty, prowadzone przez prywatnych...

— Niemców przeważnie, którzy mają swoich ludzi lub szablon niemiecki.

— A wy wszyscy?....

— My wszyscy jesteśmy biurokratami, żyjemy z pensyi i dla pensyi. Odbierz pensyę, a umrzemy z głodu, umrzemy, przysięgam ci, bo nawet nie mielibyśmy sił i energii rozbijać!...

— Żadnej samodzielności?

— Żadnej! Te chmary snującej się po ulicach młodzieży to przyszli urzędnicy, którzy już dziś się boją najmniejszej samodzielności, bo ta mogłaby im zaszkodzić w karyerze....

— Bronku, ty byłeś zawsze pesymistą!

— Znajdź i pokaż mi optymizm, a padnę w twoje objęcia i zapłaczę na twoich piersiach.

— Rzuć Namiestnictwo i chodź do mnie, dam ci rocznie pensyi trzy tysiące guldenów na początek. Odżyjesz, twoja samodzielność, twój talent znajdą zastosowanie.

— Zapóźno, mój drogi — dziś już jestem tylko biurokratą!.. Wstaję o ósmej, piję kawę, golę się, ubieram, i same nogi prowadzą mnie do biura, — a tam same ręce rysują, rachują, piszą. O trzeciej idę na obiad, potem drzemka, spacer i gazety, nareszcie partya w kole artystycznem, bo jestem artystą, o ile gram w karty. Śpię o jedenastej.... I tak dzień w dzień i tak zawsze aż do śmierci. Gdy zmienię porządek rzeczy, jestem chory, głowa mnie boli, niedołężny, zdenerwowany!.. Możebyś mi kazał nie sypiać po nocach, pilnować, tworzyć nowe plany? — zapóźno! Wolę ja swoje pewne tysiąc pięćset rocznie i nadzieję awansu, niż twoje trzy tysiące na dwa, pięć, a choćby na dziesięć lat.

— Dam ci cztery tysiące, zawołał Tadeusz.

— Zapóźno, mój drogi, już jestem zbyt starym biurokratą, szablonem, szematem, co chcesz, tylko nie energią i twórczością!...

— Powiedz mi, co się dzieje z naszym indywidualizmem, którym rozbijaliśmy nasze państwo?

— W Galicyi zamordowany biurokratyzmem i nędzą — śpi, może na wieki!..

— A przecież to nasza siła, nasza wielkość, nasz temperament, byle tylko dobrze pokierowany. Nim się wyróżniamy, w nim czujemy przyszłość, nadzieję, odrodzenie

— Może się odezwie we wnukach naszych. Dziś płacić podatki i dostawiać rekruta to jedyna nasza powinność, jedyny obowiązek, jedyny patryotyzm, nazwany z katedry i dzieł naszych dygnitarzy.

Spojrzał na zegarek, zerwał się.

— Muszę lecieć, a nawet pojadę, bo mój szef, jeśliby wcześniej przyszedł przedemną do biura chociaż raz, nie przebaczyłby mi tego przy awansie. Zobaczymy się przecie.

— Do widzenia!

Rozstali się. Tadeusz wypił duszkiem herbatę i wybiegł. Tańczyły przed nim trzy czarownice, trzy zmory, trzy blade, żarłoczne, a głodne postacie: biurokratyzm, szablon i serwilizm. Zdało mu się, że chwytają go za gardło i duszą.

Dopadł na schody, przesadzał po trzy stopnie odrazu, stanął na piętrze, odetchnął, zameldował się do dyrektora — wszedł.

— Bywaj, witaj, moćdzieju! Nie mogłem być na uroczystości otwarcia rurociągów. Twój przyszły teść chciał jeść owoce twej sławy, ale mu się nie udało, mimo że szampanem lał...

— Rurociągi drobnostka, zapomniałem o nich...

— Już?

— Idyoci jesteśmy, że ich nie było od początku.

Zbliżył się do dyrektora, ujął go za ręce i patrzał w bladą, na pół mistyczną twarz starca, z którego oczu tryskały ognie zapału, siły i żołnierskiej odwagi.

— Indywidualizm, mówił wzruszony Tadeusz, który jest jedyną siłą i energią narodów i ich przyszłością — zamiera w nas! Zjadają go biurokratyzm i serwilizm....

W oczach starego zapaliły się żółte płomyki, ręce mu zadrżały.

— Widzę to od dwudziestu lat, a tyś dopiero dziś zobaczył... Oni tylko chcą być jednostkami w narodzie, reszta to glina do lepienia przez nich c. k. figurek.

— I dlatego padamy, giniemy, rozkładamy się w szablonie, banalności i serwilizmie... Są urzędnicy Wydziału krajowego, Namiestnictwa, towarzystw zaliczkowych, banków....

— Ale ludzi niema! krzyknął nerwowo dyrektor.

— W nowem pokoleniu wymiera indywidualizm.

— Zabijają go ci, co chcą panować nad głupim tłumem bez jednostek, bez ludzi....

— Ratujmy Galicyę!

— Czem?

— Wielkiemi pracami, w którychby wyrabiały się indywidualizmy. To jedyna droga, inaczej śmierć!

— Śmierć, śmierć, szeptał stary, śmierć, a my przecie żyjemy, mamy możność ratunku i nic nie robimy.. Cała moja społeczna czynność wieczorami „pod Gruszką" rozprawiać z rutynistami i szablonowcami dziennikarskimi o biedzie w kraju lub psy wieszać na politycznych przeciwnikach, takich samych szablonowcach, jak my.....

— Obydwaj czujemy, mówił cicho Tadeusz, konieczność pracy, konieczność roboty — pracujmy, róbmy!...

— Prawda, poświadczył dyrektor, oglądając się z przyzwyczajenia konspiratorskiego. Pięć nowych rygów *), rurociągi, maszyna do nich, wielki żelazny zbiornik na ropę — kredyt na ropę, której nie chcesz teraz sprzedawać, wiesz, wiele pochłonęło? — okrągły milion!....

Rozłożył księgę, Tadeusz rzucił na nią wzrokiem i obojętnie ramionami wzruszył.

— Gdyby milion funtów, nie wielka byłaby to suma, a cóż dopiero milion guldenów! Kopalnia, gdy wszystkie szyby dadzą ropę, zapłaci ten nędzny milion w pół roku.

— Wierzę ci, rzekł uspokojony dyrektor. Wymowa Tadeusza, jego spokój i pewność działały magicznie na dyrektora. Wierzę ci, odrzekł miękko, inaczej nie rzucałbym miliona w jedną kopalnię. Gdym jednak radzie nadzorczej przedłożył bilans, stanęła słupem przed milionem kredytu — dla ciebie, oniemiała, wytrzeszczając oczy szeroko. Poczciwi ci ludzie mają takie pojęcie o wielkim przemyśle, o rzucaniu milionów i wielkich sprawach krajowych, jak ja na przykład, moćdzieju, o budowaniu okrętów!?!..

— I cóż się stało?

— Zaledwo wydusiłem od nich absolutoryum, lecz mi nie wolno pożyczyć ci centa więcej, póki nie oddasz wszystkiego!

---

*) Rygiem nazywa się całe urządzenie, potrzebne do wykopania jednego naftowego szybu.

— Ta—a—k, a tu wypadki nie czekają! Jeden miesiąc spóźnienia zabija często całe przedsiębiorstwo.

— Nową masz ideę?

— Dziesięć, sto, niekończący się łańcuch. W Anglii jedna fabryka tworzy trzy, te — dziesięć.

— Prawda, jesteśmy zepsuci Anglią, rzekł dyrektor.

— A powinniśmy być nauczeni. Tam niema biurokratyzmu, niema więc i szablonu, — są indywidualizmy, dlatego jest i kredyt. Nie pytają komu, tylko na co?

— Tak, tylko na co — powtórzył, zapalając się starzec. Kiedy pracowałem w papierni, pryncypał mój pojechał do Manchester z projektem i gotowymi planami rozszerzenia fabryki i wieczorem przywiózł trzydzieści tysięcy funtów. A u nas zjadłby licha, jeśliby wydobył trzy tysiące guldenów.

— Ratujmy kraj od zagłady, ratujmy wielki, oryginalny nasz narodowy przymiot — indywidualizm, który, nie skrystalizowany w kaście, nie rozsadza państwa, lecz je rozszerza, bo daje społeczeństwu ludzi, nie manekiny serwilistyczne i niedołęgów biurokratycznych. Galicyę trzeba ludźmi zaroić. Ludzi dać, a oni stworzą, co jej potrzeba, myśleć o sobie. U nas w Galicyi za dziewięć dziesiątych inteligencyi myśli rząd. Ta myśl rządowa okrada społeczeństwo z jego myśli. Społeczeństwo w swej rozumnej warstwie przestaje myśleć, bo rząd za nie myśli. Uleczmy społeczeństwo na anemię myśli wielkim przemysłem: to wszystko, co mu dać możemy.

— Trudno to zrobić, mówił smutno dyrektor, we dwóch. Lecz o czem myślisz naprawdę?

— Dziś myślę, pragnę, chcę wielkiej dystylarni ropy na naftę, oleje i parafinę. Ciekłą parafinę gwałtownie oziębiać, oziębioną ściskać i robić ciało, stałe i twarde, jak stearyna! Musimy założyć wielką dystylarnię, któraby mogła wszystką ropę z całej wschodniej Galicyi pomieścić i oczyszczać! Dystylarnia ta byłaby początkiem bogactwa narodowego, i dalej możnaby iść, nie oglądając się na nikogo....

— Jakto?....

— Mamy własną ropę, a będziemy mieć własną naftę, oleje, smarowidła, parafinę. A że produkty te są drogie i pożądane w Austryi i na całym świecie, będziemy mieć za nie miliony. Ja dla siebie milionów nie potrzebuję. Dla mnie wystarcza na dzień funt mięsa i kawałek chleba. Uważałbym za zbrodnię, gdybym dzieciom moim zostawił majątek i robił z nich zjadaczy przezemnie

zapracowanego chleba. A przecież będziemy mieć milionowe dochody! Zaraz ci je, dyrektorze, obliczę.

— Nie obliczaj, na fabrykacyi się nie znam, a więc i cyfr nie mogę skontrolować. Wierzę ci na słowo. Wieleż będzie kosztować wielka rafinerya?!

— Około pół miliona.

— Chwała Bogu, już półtora.

— Choćby dwa. Lecz cóż znaczą dwa miliony wobec możliwych dwu milionów czystych zysków rocznie? Zaraz ci to na cyfrach dowiodę.

— Nie dowódź, wierzę ci! Czy tak jesteś pewny swego, że przysięgniesz?

— Wierzę, jak w prawdę.

Zamilkli, patrząc sobie w oczy. Wzrok Tadeusza melancholijny, powłóczysty padał z wielkich, niebieskich oczu na ostre, szlachetne rysy i niespokojne spojrzenie starca. Wargi jego poruszały się szybko, nie wydając głosu. Pod wzrokiem Tadeusza ostrość rysów miękła, na bladą twarz wystąpiły różowawe rumieńce, niespokojność spojrzenia łagodniała. Zaczął chodzić po pokoju i mówić głośno po angielsku.

— Czem ja tu jestem?! Jestem brytanem, uwiązanym do trzydziestu milionów. Leżę na nich, przykuty na łańcuchu, aby spały spokojnie. Pożyczam mieszczanom na domy, podbankrutowanym szlachcicom na drugie i trzecie hypoteki i dobijam ich powoli, — oto moja rola. Kundlem jestem idyotów, którzy kładą tu pieniądze, zamiast nimi pracować. Niech kładą biedacy, póki nie uskładają tysiąca, aby nim módź zacząć robić.

Zniżył głos.

— Ale tu śpią w jednej paczce, po pół miliona i milionie... a wieleż ludzi wyciąga ręce i woła: środków do pracy, środków do rozwoju!.. Ja im na to odpowiadam szczekaniem i brzękiem łańcucha, jako narodowy kundel, strzegący milionów leniów i tchórzów... Jeżeli nie będę szczekał i warczał, areopag rady zawoła: Psie, nie pilnujesz, nie słyszymy, śpiąc, twego ujadania — pójdziesz precz! Oto moja rola! Pożyczyłem ci jeden głupi milion, i mało co mnie nie wygnali, pożyczę jeszcze sto tysięcy — wypędzą.

— A więc niema rady, trzeba ściągać obce kapitały. Lecz za obcymi kapitałami przyjdą i obcy ludzie i zagarną nasze bogactwa dla siebie. To nasza przyszłość, to nasza rola... Dlaczego nie powstaje bank wielkich inwestycyi i wielkiego przemysłu?

— Zabawny jesteś!.. Mówić w naszem społeczeństwie o inwestycyjnym banku i o wielkim przemyśle, gdy zaledwo dziesięciu ludzi rozumie, co to jest — i ci dziesięciu — są goli?! Idź, rozmawiaj z tymi, którzy mają miliony, przekonasz się, że oni umieją tylko grać na giełdzie i zgrywać się, ograbiani przez Niemców.

— A więc śmierć, — co znaczy, że trzeba czekać jeszcze sto lat, zanim nasi milionerzy przyjdą do rozumu, a i to wątpliwe.....

— Czekaj, szepnął, czekaj... Potrzebuję nabrać oddechu, aby powiedzieć, co pragnę.

Podszedł do Tadeusza i położył mu rękę na ramieniu i patrzał mu w oczy serdecznie....

— Widzisz, ja żołnierz jestem, mówił wzruszony, — umiem dwie rzeczy: słuchać i rozkazywać. Jeśli słucham, milczę, lecz, gdy rozkazuję, nie znoszę władzy nad sobą. Gdy rozkazuję — jam wódz — rozumiesz!?!..

— Jest to tak — sprawiedliwe?

— A zatem nie znoszę wtedy nad sobą władzy, gdy sam mam prawo rozkazywania, nie znoszę parlamentaryzmu, gdzie działać potrzeba, rozumiesz mnie?...

— Rozumiem, bo i ja mam to samo w sobie, jak zresztą wszyscy ludzie czynu.

— Społeczeństwo dzieli się na gadaczy i robiących. Na stu — dziewięćdziesiąt gada, dziesięciu działa! Na tych dziesięciu opiera się przyszłość, i dlatego na nich spada wielka odpowiedzialność....

Patrzał w oczy Tadeuszowi, jak gdyby pragnął go przekonać, jak gdyby chciał go zjednać i usprawiedliwić się. Tadeusz odczuł własny wpływ na starca i pragnął mu wlać wzrokiem całą swą siłę woli...

— Mogą być pieniądze, szeptał dyrektor, jest sposób, ale wtedy tylko, gdy ci otworzę tajny kredyt!.. Ja, ty, rachmistrz trzeci, i nikt więcej. Możemy w ten sposób iść kilka lat, zanim nie przyjdziesz do własnych milionów i zebranych pieniędzy nie położymy tam, skąd się je wzięło.

Tadeusz ściskał nerwowo ręce starca.

— Nie dziękuj, robię to, co powinienem. Ty oddałeś młodość swą, życie, mózg, narzeczoną, przyszłość, pozwól i mnie staremu oddać to, co mogę. A gdy się nie uda.....

— To niepodobna, szepnął Tadeusz.

— Daj pokój, mośdzieju, wszystko u nas podobne, ale na to mam sposób....

Podniósł papier z rogu biurka. Tadeusz zobaczył w słoniową kość oprawny rewolwer.

— Jeśli się nie uda!.. Przeżyłem sześćdziesiąt dwa lat uczciwie, dwadzieścia lat pełnię służbę psa na łańcuchu... Jeszcze dziesięć i koniec. Cóżem zrobił — nic!.. Kilkudziesięciu mieszczanom dałem do ręki majątek, kilkudziesięciu uratowałem od nędzy!.. Ale to są moje osobiste sprawy... Co zrobiłem dla kraju?.. Spałem wraz z radą, na — trzydziestu milionach. Obudziłeś mnie!... Nie mogąc służyć głośno, pragnę służyć cicho — nie mogąc dać głośno, pożyczam cicho. Pożyczać cudze bez pewnej rękojmi oddania to tyle, co kraść.... Widzisz, że mogę tak skończyć — ujął rewolwer w rękę. Lecz ty będziesz moim Halbanem — i powiesz, że starzec ten, nie mogąc inaczej służyć krajowi, — kradł... i to był tragizm jego życia... Skończył, jako złodziej, samobójstwem, lecz patrzcie, co zrobił?.. Opowiesz to i hańbę mordu zmyjesz z mej pamięci.

I starzec żołnierz nie mógł więcej mówić, odwrócił się, dwie łzy spadły na jego białe wąsy.

— Pod taką grozą nie przyjmuję tajnego kredytu, zawołał Tadeusz.

— Ha, to oddaj, co wziąłeś! Nie masz, a więc idźmy dalej. Zdaje mi się, że do przyszłego zebrania wielkiej rady naszej kasy miliona nie oddasz — pożyczę ci więc pół miliona, i oddam go za ciebie. Jeśli robić, moćdzieju, to już wielkie rzeczy, jeśli wisieć, to za obie nogi.

Roześmiał się i pochylił nad bladym, oniemiałym Tadeuszem, całując go w czoło.

— Hańbiąca śmierć starca wzruszyła cię. Wierzę ci, że dołożysz wszystkich sił, aby mnie od niej obronić... Wierzę, że nie wydasz grosza napróżno. Nie dla siebie, to fraszka, nie jesteś głupcem lub nikczemnikiem... Ale wierzę, że grosza nie zmarnujesz na rzeczy wątpliwe....

Tadeusz chciał mówić, głos zamierał mu w gardle.

— No, no, pochwyciłeś mnie w swe szpony, opętałeś szlachetnością do tyla, że nawet popełnić dla idei zbrodnię uważam za powinność. Czuję nawet pewną rozkosz w jej spełnieniu... Skończyłem.

Spojrzał na zegarek.

— Dwie godziny przegadaliśmy, a tam pewno pełna sala interesantów. Odchylił drzwi do salonu, zadzwonił, wbiegł służący...

— Proś po kolei. Zwrócił się do Tadeusza, wyciągając do niego rękę na pożegnanie.

— Bądźmy dobrej myśli. Jeśli twoje cyfry nie zawiodą, wyjdziemy czyści, a zawsze coś przecie zrobimy — zawsze to wielkie słowo. Tego się spodziewam! Bądź zdrów, mój drogi. Przychodź codzień, póki tu jesteś, krzepić mnie, ale raniutko. Żołnierz i stary robotnik stają na posterunku od siódmej rano.

ROŹDZIAŁ XIV.

Tadeusz skoczył do powozu i kazał pędzić do mieszkania Urszuli. Zdyszany zadzwonił gwałtownie, otworzyła mu Urszula. Marynia czekała na niego w salonie.

— Nareszcie! zawołały obie.....

Całował im ręce rozpromieniony, wzruszony, szczęśliwy.

— Moja ubóstwiona zmęczona. Czytam to w jej oczach i smutnym uśmiechu.

— Chciałeś inaczej, niewdzięczniku? rzekła Urszula.

Marynia nie śmiała patrzeć mu w oczy.

— Inaczej, zawołał — inaczej!... „Cierpienia moje i męki serdeczne" skończę nareszcie....

— Skończysz? powtórzyły obie zaciekawione.

— Upiję się czynem, mówił cicho, prawie szeptem ze wzruszenia i entuzyazmu. Moje usta, spalone gorączką, dorwały się krynicy — i piją, piją, piją... Moje nadzieje zmieniają się w czyn, moje marzenia oblekają się w ciało!.....

— Mów — przerwała Marynia.

Urszula wpatrywała się w niego uważnie.

— Tworzę — czy wy, moje panie, czujecie rozkosz tworzenia czynem? Myśli zmieniają się w skrystalizowane ciała i padają mi u stóp......

— Dalej, szepnęła Urszula.

— Mamy tyle ropy z naszych kopalń, że wolno nam ją przerabiać na naftę. Budujemy największą w Austryi dystylarnię. Naftą, olejami, parafiną zalejemy rynki Europy! Anglia ich najwięcej potrzebuje.

— Pieniądze? — spytała Urszula.

— Mam, znalazłem ludzi...

— Czy ojciec mój jest w tej spółce?

— O nie!... Pan Edward nie do takiego przedsięwzięcia, gdzie trzeba ryzykować i walczyć!

— A ty?

— Opowiem!

Przysunął się do Maryni, ciotkę Urszulę wezwał ruchem głowy i zaczął cichutko.

— W okolicy Kołomyi jest węgiel podobno płytko, a gruby na dwa metry!... Węgiel to przemysł, węgiel to bogactwo, węgiel to siła, para, elektryczność... Jutro tam jadę, zobaczę, obliczę. Dwa rygi przenoszę pod Kołomyję do szukania pokładów węgla i puszczam je w ruch. Gdy tylko go znajdę, buduję kolej. Obok węgla często bywa żelazo!.. Na węglu i żelazie stanęła Anglia i Belgia.....

Marynia słuchała z upojeniem.

— On jeden to może zrobić, myślała, i ten jeden należy do mnie, będzie moim mężem, ja z nim i przy nim. Zostanę jego dobrym duchem, jego siłą, jego twórczością, jego ukochaną, jego żoną. Spracowane wielkiemi myślami czoło będzie kładł na mojem ramieniu. Ja go będę tulić do snu i szeptać mu do ucha: „Ukochałeś ludzi miliony, bo za miliony myślisz i pracujesz"... Patrzała na niego serdecznie i ciepło. W tem cieple było tyle miłości i poddania, że aż ciotkę oblał rumieniec, lecz tego nie widział Tadeusz... Powoli, nieśmiało dziewczę przyłożyło palce do jego ust. Ocucony całował je.

Urszula posmutniała.

— Mów jeszcze, mów — szeptała do niego Marya.

Spojrzał na zegarek.

— Zostałbym tu wieczność, rzekł — ale — — —

— Wątpię — powiedziała ostro ciotka i odrazu oblała zimną wodą oboje.

Tadeusz wyjął kartę wizytową i podał ją Maryi...

— Marszałek sejmu, czytając, mówiła, prosi go do siebie na pierwszą godzinę...

— Musimy brać to, co jest, i z tego zacząć budować, tłómaczył Tadeusz.

— Nie przeczę, odrzekła łagodnie Urszula.

— A zatem jestem wytłómaczony. I proszę cioci o odwołanie wątpliwości.

— Nie odwołuję.

Tadeusz powstał.

— Ale ja za ciocię odwołuję, usprawiedliwiam go i uniewinniam.

Podała mu obie ręce. Położył dłonie jej na swej twarzy.

— Spiesz się, dżentlemeni się nie spóźniają.

— Prawda, szepnął, pochwycił kapelusz, wybiegł do przedpokoju, Urszula wyszła za nim.

— Kredyt daje ci stary, szepnęła.

— Tajemnica.

— Tem gorzej. Stary długo się trzyma, lecz, jak raz stoczy się w jedną stronę, nie zatrzymuje się. Jak raz uwierzy w ideę, idzie do ostateczności.

— A więc cóż, cioteczko, mam robić!?! Cofać się?

— Zawojowałeś go, urzekłeś, a jak dziś mówią, zasugestyonowałeś, i boję się o was. Losy starca i jego przyszłość trzymasz w swych ręku.

— Ciociu!...

— Masz wielką odpowiedzialność.

— Oceniam ją i rozumiem.....

— Nie znam ciebie w tym kierunku i dlatego ostrzegam. Starzec sześćdziesiąt dwa lat przeżył w nieskazitelności. Pomyśl nad tem.

— Dbam o niego tyle, co o siebie.

Wyszedł do sieni, Urszula za nim.

— Zdaje mi się, że ty węgiel pod Kołomyją więcej dziś kochasz, aniżeli Marynię — i dlatego powiedziałam: „wątpię".

— Cioteczko, czyż można porównywać?

— Można — do widzenia.

Urszula wróciła do salonu, Marynia ze splecionemi rękoma stała, zapatrzona w przestrzeń.

— Zamało był czuły, jak na narzeczonego, któremu odebrano ubóstwioną, a dziś ją odnalazł.

— Nie kochałabym go, gdyby nic i nikogo nie kochał, prócz mnie. Niech kocha cały świat.

— Ale w tobie i przez ciebie.

— Kochać we mnie kopalnie nafty, dystylarnię, szybkie oziębienie parafiny i węgiel! Ciociu, ależ ja tego nie chcę!

— Wszystko dla ciebie, przez ciebie i w tobie! To jest miłość! Inaczej jesteś przyczepioną do górnika i fabrykanta.

— Nic nie szkodzi, lecz ten górnik i fabrykant jest mój, to dosyć dla kobiety, która kocha nie tylko człowieka, ale i jego czyny i chce być z nich dumną. Kobieta, która nie jest zdolną kochać czynów swego męża, czemże jest? kochanką jego — metresą?!

Ciotko, wybujałym romantyzmem nie upokarzaj mnie. Jestem jego żoną, chociaż los rozdziela nas! I dlatego, że mogę kochać w nim całą skalę jego pragnień i czynów, — kocham go!

Ciotka pochwyciła ją w objęcia.

— Dziecko, ty jesteś jakieś odmienne i dlatego szczęśliwe, że los dał ci człowieka, którego czyny możesz cenić. Jeśli cię nawet przestanie kochać, ty go odnajdziesz w jego dziełach!... Coby matka twoja dała, gdyby była na twojem miejscu. Lecz dlaczego on cię ma przestać czcić i uwielbiać!?... Po wybuchach uczuć do węgla i dystylarni, które nie są niebezpieczne, wróci do ciebie.

— Ciociu, choć jestem młoda, już przeżyłam romantyzm, po nim pozytywizm — i wróciłam do tego naszego racyonalnego idealizmu — wiary w lepszą przyszłość. Będę czekać na niego. Wróci, zastanie mnie, zawsze tą samą. I wtedy powie, że po za węglem i dystylarnią, po za całym światem walk, czynów, szamotań się jest jedno serce, bijące dla niego, jedno uczucie oddane mu, jedno ramię, na którem głowę może złożyć — po zwycięstwie lub przegranej. We mnie będzie miał sędziego nie czynów, lecz zamiarów, pobudek, chęci, pragnień... Czyż może odemnie odejść, jeżeli ukochał duszę moją?!..

(*D. c. n.*) *Sewer.*



Wspólna własność ziemska

W GMINIE WIELKOROSYJSKIEJ. *)



VII.

Przegląd przepisów prawa obowiązującego, dotyczącego gminy wiejskiej wielkorosyjskiej, byłby niekompletny, gdybyśmy choć w streszczeniu nie podali zasad organizacyi władz miejscowych do spraw włościanskich; atrybucye tych władz wskażą nam istotne granice samorządu gminnego.

Wspomnieliśmy już na początku naszej pracy, że władze te dwukrotnej ulegały reorganizacyi. Przy reformie 1861 kamieniem węgielnym tej organizacyi był urząd pośredników pokoju (*Pośredników mirowych*), których zadaniem było usuwanie nieporozumień i sporów, mogących wyniknąć z obowiązkowych stosunków pomiędzy obywatelami a czasowo zobowiązanymi włościanami (zatem z wypłat czynszu i odbywania pańszczyzny), zawiadywanie specyalnemi sprawami włościanskiemi, wskazanemi w ogólnych i miejscowych przepisach o włościanach, uwolnionych z poddaństwa, kierowanie pierwszymi krokami gmin wiejskich i dozór nad spełnianiem przez włościan ich zobowiązań wobec skarbu i b. właściciela. Na urzędy te powoływano tylko rodową szlachtę, posiadającą własność ziemską

*) Ob. „Ateneum", luty, 1900.

w gubernii. Z list, układanych przez marszałka szlachty, wybierał gubernator, zatwierdzał Senat. Urząd mirowego pośrednika był honorowym, nie było doń przywiązanych ani rangi, ani pensyi. Wyjątek stanowiły urzędy pośredników mirowych w 9-ciu guberniach zachodnich, w których od roku 1863 byli oni zwykłymi urzędnikami przez rząd nominowanymi, (§ 21, uwaga 4, 22 uw. 4).

Do spraw, podlegających władzy pośrednika mirowego, prawo zalicza:

1) spory pomiędzy włościanami a obywatelami, wynikające z kwestyi czynszów i pańszczyzny (ze stosunków czasowych zobowiązań), a także skargi włościan i gmin wiejskich na postanowienia Zebrań Włości i władze gminne wsi i włości;

2) poświadczenie umów, zawieranych między włościanami a obywatelami;

3) wydawanie rozporządzeń, specyalnie wskazanych w Przepisach o włościanach, zwolnionych od poddaństwa, i

4) niektóre specyalnie wskazane w prawie czynności charakteru policyjno-sądowego. Wśród spraw, ulegających decyzyi pośrednika (przeważnie sporów między włościanami a obywatelem) prawo w p. 6 wymienia rozstrzyganie skarg na postanowienia zebrań gminnych wiejskich co do działów rodzinnych (§ 24). Skarg na decyzye Zebrania Włości i na Władze Włości — pośrednik sam nie rozstrzyga, ale wnosi je ze swą opinią na posiedzenia Zjazdu Pośredników. Do czynności jego wykonawczych należą sprawy o uwolnieniu włościan z gminy, sprawy zatwierdzania Naczelnika Włości, wybory władz w gminie wiejskiej i we włości, nakładanie kar dyscyplinarnych na osoby, pełniące te urzędy, i sprawy o usunięcie z gminy ich członków (§ 26 i 27). Pośrednik własną decyzyą miał prawo nakładać kary na władze wiejskie do wysokości 5 rubli i 7 dni aresztu. — Starszego wsi i pomocników Naczelnika Włości w wypadkach poważnego nadużycia władzy miał prawo zupełnie usunąć; — Naczelnika Włości mógł usunąć czasowo, a ostatecznie tylko za zgodą gubernatora. W gminach, które zalegały w pełnieniu zobowiązań względem obywatela, pośrednik mógł na żądanie tegoż obywatela usunąć całkiem władze gminne wiejskie i na ich miejsce wyznaczyć nowe osoby.

Instancyę wyższą do spraw włościańskich stanowiły Powiatowe Zjazdy Pośredników, w których przezydował powiatowy marszałek szlachty, — rząd zaś miał swego przedstawiciela osobnego, specyalnie do tych zjazdów delegowanego.

Najwyższą instancyą miejscową były Urzędy Gubernialne do spraw włościańskich, w których prezydował gubernator, a do składu których wchodzili: gubernialny marszałek szlachty, zarządzający dobrami państwa, prokurator, dwu obywateli szlachty, nominowanych przez ministra spraw wewnętrznych na przedstawienie gubernatora, i dwu obywateli szlachty, wybranych przez zgromadzenie szlacheckie. Kompetencyą Urzędu dotyczyła głównie wprowadzenia w życie reformy, określenia przestrzeni nadawanych gruntów, wysokości czynszów, pańszczyzn i wykupu, ale obejmowała także rozpatrywanie skarg na czynności pośredników i Zjazdów, — a także i zatwierdzenie postanowień zebrań gminnych o usunięciu z gminy jej członków. Gubernator miał prawo, pod osobistą odpowiedzialnością, wstrzymać wykonanie postanowienia Urzędu i przedstawić ich drugiemu Departamentowi Senatu z jednoczesnem doniesieniem o tem ministrowi spraw wewnętrznych.

Organizacya władz miejscowych, która istniała w Cesarstwie pomiędzy zniesieniem Pośredników, a ustanowieniem Naczelników ziemskich mało przedstawia interesu. Był to stopień przejściowy, w którym do składu Urzędu powiatowego wchodzili: powiatowy marszałek szlachty, jako prezes — delegat rządu w charakterze członka stałego (*Niepremiennyj Czlen*), naczelnik powiatu (*Isprawnik*), prezes zarządu ziemstwa powiatowego i 1 sędzia pokoju honorowy, nominowany przez ministeryum sprawiedliwości.

Członka stałego, pełniącego niektóre z dawnych funkcyi pośrednika, nominował minister spraw wewnętrznych na przedstawienie gubernatora, który wybierał 2 kandydatów z listy szlachty, posiadaczy ziemi w gubernii, listy, ułożonej przez sam Urząd powiatowy do spraw włościańskich.

Członkowie stali mieli rangę, pensyę i dodatki na wyjazdy i kancelaryę, a wydatek ten pokrywały budżety ziemstw. Kompetencyi Urzędu powiatowego do spraw włościańskich ulegały wszystkie te sprawy, które decydował poprzednio Zjazd pośredników — a prócz tego z atrybucyi dawnych pośredników — dodano im: 1) zatwierdzenie Naczelników włości i odbieranie od nich przysięgi; 2) nakładanie kar i oddawanie pod sąd władz gminnych; 3) usuwanie z urzędu nie zasługujących na zaufanie pisarzy włości; 4) rozpatrywanie skarg na nieprawidłowości przy wyborach gminnych; 5) kwestye łączenia kilku gmin wiejskich w jedną; 6) nadzór nad bankami włościańskimi w dobrach należących niegdyś do osób rodziny panującej; 7) rozpatrywanie skarg obywateli, włościan i osób trzecich na władze gminne; 8) rozpatrywanie skarg na opiekunów mało-

letnich i opiekę gminy nad małoletnimi; 9) sprawy o wyłączenie z gminy szkodliwych jej członków; 10) zatwierdzenie postanowień gminy o oddanie zalegającego w podatku na zarobki do innej gminy i t. d.

Jednocześnie § 153 włożył na naczelnika powiatu (*Ujezdnawo Isprawnika*) obowiązki nadzoru nad regularnym wpływem od włościan podatków i sum wykupowych, i przedsiębranie wskazanych prawem środków ściągania ich; ściąganie na rzecz obywatela przyznanych przez włościan czynszów, powinności i wykupu i t. d. (nominacye polnych stróży — areszt usuwanych z gminy), przyczem prawo poleciło mu (§ 154), aby przy wyborze środka ściągania podatków brał pod uwagę opinię Naczelnika włości, — a sprzedaży ruchomości i czasowego odebrania gruntów dokonywał tylko z decyzyi urzędu powiatowego, na ostateczne zaś odebranie włościanom gruntu wyjednywał pozwolenie urzędu gubernialnego.

Najważniejszym dla nas jest dodatek III[1], określający organizacyę władz miejscowych tam, gdzie zaprawdzono urzędy okręgowych naczelników ziemskich, powracając w ten sposób do władzy osobistej, ale mającej charakter bardziej rządowy, niż władza byłych pośredników. Naczelnikiem ziemskim — w zasadzie mogą być tylko: 1) osoby, które były przez lat 3 w gubernii marszałkami szlachty; 2) należące do szlachty rodowej, mające lat 25 i posiadające świadectwa z ukończenia wyższego zakładu naukowego; 3) osoby, które pełniły w gubernii przez lat 3 urzędy mirowego pośrednika, sędziego pokoju, członka stałego urzędu powiatowego do spraw włościańskich, i albo same, albo żony ich, albo rodzice posiadają w gubernii przestrzeń ziemi, wynoszącą $^1/_2$ tej przestrzeni, jaka daje prawo być wybranym na członka ziemstwa, albo też nieruchomość, ocenioną do podatku na 7500 rubli. W razie braku w gubernii osób, odpowiadających tym warunkom mogą być mianowane osoby pochodzenia szlacheckiego z mniejszym cenzem majątkowym.

Nominacyi na 3 lata udziela minister spraw wewnętrznych — na przedstawienie gubernatora z dołączeniem opinii marszałka szlachty. W razie braku osób, któreby posiadały świadectwa z ukończenia wyższych lub średnich zakładów naukowych, minister spraw wewnętrznych może nominować osoby, o których posiada wiadomość, że są godne zająć ten urząd.

Paragraf 22 powierza Naczelnikowi Ziemskiemu wszystkie te czynności, które reforma z 1861 r. powierzała mirowemu pośrednikowi, a w szczególności te czynności, które są wymienione w §§ 23—46.

Przedewszystkiem do niego należy nadzór nad wszystkiemi władzami gmin włościańskich i dokonywanie rewizyi tych władz zarówno z polecenia gubernatora, jak z własnej inicyatywy. W czasie nieobecności naczelnika powiatu — naczelnik ziemski ma dozór nad policyjno-administracyjną działalnością władz gminnych. Ma on prawo: wnosić na zebrania gminne sprawy, których decyzye uważa za potrzebne, decydować prośby o uwolnienie od obowiązków osób, wybranych na urzędy gminne; on donosi naczelnikowi powiatu o osobach, wybranych na Naczelników włości, decyduje sam skargi podane na władze gminne, ma prawo usuwać niegodnych zaufania pisarzy gminnych, rozpatrywać wszystkie postanowienia, zapadłe na zebraniach gminnych, i jeśli się przekona, że postanowienia te są prawu przeciwne, dążą do jawnej szkody lub naruszenia praw czy to pojedyńczych członków gminy, czy to osób, zapisanych do włości, to powinien wstrzymać wykonanie takiego postanowienia i przedstawić je, z opinią swoją do decyzyi zjazdu naczelników ziemskich. Obowiązkiem też jego jest przedstawiać na zatwierdzenie tego zjazdu wszystkie postanowienia zebrań gminnych dotyczące: 1) ustanowienia lub zmian w sposobie pobierania i przechowywania sum podatkowych skarbowych, ziemskich i gminnych, lub też dotyczące sposobu prowadzenia kontroli nad władzami gminnemi co do wyżej wymienionych funduszów, i 2) połączenia gmin drobnych w jedną gminę. On także przedstawia na zatwierdzenie urzędów gubernialnych do spraw włościańskich postanowienia zebrań gminnych co do 1) sprzedaży majątku ruchomego i nieruchomego nieletnich — i zamiany nadziału należnego nieletnim; 2) skargi na postanowienia zebrań gminnych w tych kwestyach; 3) usunięcia z gminy szkodliwych jej członków i 4) nieprzyjęcia nowych członków (sądownie karanych), a usuwanych oddaje do aresztu. Dalej do naczelnika ziemskiego należy: *a*) nadzór nad kapitałami gmin, zatwierdzenie postanowień zebrań gminnych co do wydatkowania z tych kapitałów, a jeśli z temi postanowieniami zgodzić się nie może, przedstawienie ich do decyzyi zjazdu nacz. ziemskich; *b*) nadzór nad kasami oszczędnościowo-pożyczkowemi, kasami pomocy, bankami wiejskiemi i wszelkiemi instytucyami kredytu włościańskiego, *c*) nadzór nad prowadzeniem interesów przez opiekunów nieletnich i rozstrzyganie skarg na postępowanie opiekunów. W końcu obowiązany jest dbać o ekonomiczny dobrobyt i moralny rozwój włościan swego okręgu. On wykonywa postanowienia urzędu gubernialnego do spraw włościańskich, wydaje opinie co do planów urządzenia wsi i rozstrzyga spory, wynikające przy przebudowie wsi;

on otwiera zebrania gminne, na których mają być dopełniane wybory władz gminnych, zatwierdza przewodniczących na tych zebraniach i rozstrzyga spory, zaszłe przy wyborach, przyjmuje udział w komisyach, rozkładających sumy wykupowe od b. włościan skarbowych na pojedyńcze gminy wiejskie, i spełnia w ogóle te obowiązki, które prawo kładło na stałego członka urzędów powiatowych.

Dalej ma on władzę sądową w sprawach cywilnych i kryminalnych równą z sędziami miejskimi. Ma prawo karać 3 dniami aresztu i 6-ma rublami kary za niewypełnienie jego rozporządzeń — a urzędników gminnych karać do 5 rubli i aresztem do dni 7 i czasowo usuwać od pełnienia obowiązków. W razie wykrycia roztrwonienia sum gminnych naczelnik ziemski obowiązany jest zabezpieczyć osoby i majątek winnych i zawiadomić sędziego śledczego. Postanowienia naczelnika ziemskiego w kwestyach: spraw, decydujących się na Zebraniu gminem, usunięcia pisarzów gminnych, oddania pod areszt wydalonych z gminy jej członków, i kar nakładanych z mocy §§ 61 i 62, co do zatwierdzenia naczelnika włości, oddania zaległego w podatkach włościanina na zarobki w granicach gubernii i zatwierdzenia i uwolnienia stróżów polnych są ostateczne — wszystkie inne ulegają apelacyi, która podaje się do zjazdu naczelników lub do urzędu gubernialnego do spr. wł. stosownie do ważności sprawy.

Gubernator i urzędy gubernialne do spraw włościańskich mają bliższy nadzór nad czynnościami naczelników ziemskich, dają im wskazówki postępowania i zarządzają rewizyę ich kancelaryi i postępowania. Naczelnik ziemski składa coroczne sprawozdanie swych czynności Zjazdowi.

W zjazdach powiatowych przewodniczy powiatowy marszałek szlachty — a zasiadają wszyscy naczelnicy ziemscy powiatu — naczelnik powiatu (*Isprawnik*) i prezes Zarządu powiatowego Ziemstwa; przy sądzeniu zaś spraw cywilnych i kryminalnych zasiadają jeszcze sędziowie miejscy, członek sądu okręgowego, honorowi sędziowie pokoju i prokurator. Władza zjazdu w sprawach administracyjnych jest ta sama, co władza zjazdów mirowych pośrednikow.

Marszałek szlachty powiatu lub osoba pełniąca obowiązki prezesa zjazdu naczelników ziemskich ma prawo rewidować kancelaryę naczelników ziemskich, urzędy gminne i włości — i o rezultatach rewizyi donosić urzędowi gubernialnemu do spraw włościańskich. Gubernator zaś ma prawo zarządzić rewizyę kancela-

ryi i korespondencyi zjazdu, dawać zjazdom instrukcyę celem jednakowego stosowania prawa, a o rezultatach rewizyi komunikuje urzędowi gub. do spraw włościańskich.

Jako władza administracyjna Urząd Gubernialny pełni te same funkcye, co i poprzednio ze zmianami, wyłożonemi w § 113—122. Ma on nadzór nad czynnościami naczelników ziemskich i ich zjazdów i obowiązek rewidowania ich działań. Urząd gubernialny decyduje kwestye: 1) usunięcia z gminy i nieprzyjęcia do gminy jej członków; 2) sprzedaży ruchomego i nieruchomego majątku nieletnich i nieprzyjęcia przez nich nadziału gruntów; 3) apelacyi wnoszonych na postanowienia gmin w tych kwestyach; 4) usunięcia na żądanie gubernatora urzędników gminnych — i oddania ich pod sąd; 5) zatwierdzenia decyzyi zebrań gminnych co do przemianowania wsi na miasto; 6) zatwierdza przedstawione przez zjazd powiatowy instrukcye dla gmin wiejskich i włości i dla urzędników gminnych odnośnie do sposobu wypełniania przez nich obowązków, przez prawo na nich włożonych; 7) daje instrukcye co do prowadzenia spraw w zjazdach i dąży do jednakowego stosowania prawa w zjazdach; 8) decyduje kwestye, dotyczące reorganizacyi gruntowej włościan (*poziemielnom ustrojstwie sielskich obywatielej*), 9) odpowiedzialności naczelników ziemskich, etc. etc. etc.

Apelacye od decyzyi urzędu gubernialnego decyduje II Dep. Rządzącego Senatu.

Paragraf 128 stanowi: Jeśli ze względu na szczególnie ważne okoliczności gubernator będzie uważał za niewłaściwe dopuścić wykonania jakiego postanowienia urzędu gubernialnego w kwestyi administracyjnej, to może na osobistą swą odpowiedzialność powstrzymać jego wykonanie i przedstawić sprawę ministrowi spraw wewnętrznych na jego decyzyę. Jeśli zaś, mówi następny § 129 minister spraw wewnętrznych, na zasadzie otrzymanych wiadomości, albo skarg, przekona się, że urząd gubernialny dopuścił się w sferze administracyjnej nieprawidłowości (*niepraiwilnostej*), to przedsięweźmie środki dla przywrócenia prawidłowego biegu spraw i, jeśli tego zajdzie potrzeba, wnosi do Senatu żądanie zmienienia nieprawidłowego postanowienia czy też rozporządzenia. Po zniesieniu decyzyi sprawa powraca powtórnie do decyzyi urzędu gubernialnego.

* * *

Pierwotny projekt prawa (złożony do Rady Państwa w 1887 r.) upoważniał ministra spraw wewnętrznych do wydania specyalnej

instrukcyi dla naczelników ziemskich. Przy zatwierdzeniu prawa odpowiedni paragraf opuszczono — powołując się na prawo ogólne ministra wydawania instrukcyi podwładnym. Projekt takiej instrukcyi w niedalekiej przyszłości ma być drogą prawodawczą wydany, i publicystyka rosyjska zajmuje się żywo jego treścią. Nie będziemy tu przytaczać jego osnowy, wskażemy tylko na kilka charakterystycznych szczegółów.

Instrukcya rozróżnia zebrania gminne i włości na 2 gatunki: takie, przy których naczelnik ziemski powinien być obecny, i takie przy których może być obecnym, jeśli to uzna za właściwe. O ile jest obecnym na zebraniu — naczelnik ziemski ma obowiązek sprawdzić czy zebranie składa się z osób mających prawo być na niem, objaśnia zebranym, jakie są ich prawa i obowiązki — i oddala się, aby nie być obecnym ani przy rozprawach, ani przy wyborach.— Sprawozdania rachunkowe gmin i włości powinny być sprawdzone przez naczelnika ziemskiego wprzód, nim będą przedstawione na zatwierdzenie właściwych zebrań. Wszystkie ważniejsze postanowienia zebrań gminnych i włości mają być sprawdzone przez naczelnika, nawet wtedy, kiedy nikt przeciw nim opozycyi nie zakłada. Sprawdzenie odbywa się przez badanie (*opros*) członków zebrania, i w wielu wypadkach instrukcya nakazuje badanie $^{2}/_{3}$ osób, obecnych na zebraniu. W niektórych wypadkach badanie takie może być wykonane przez Naczelnika Włości. Naczelnik ziemski ma prawo polecić sądowi włości rozpatrzyć pewną sprawę w skróconym terminie (*wnie oczeredi*) i wskazać sądowi odnośne do tej sprawy przepisy prawa, — a § 14 poleca mu treść wyroków pozostawić sumieniu sędziów i nie wywierać na nich w tym względzie żadnego nacisku. Naczelnik ziemski może zatwierdzać na urzędzie osoby, którym dano na wyborach nie największą liczbę głosów, ale musi zatwierdzenie to przedstawić z odpowiednimi motywami zjazdowi naczelników ziemskich [1]).

VII.

Jak to już raz wspomnieliśmy — wyłożone poprzednio przepisy o pobieraniu i egzekwowaniu podatków i sum wykupowych z włościan uległy zmianie od dnia 1 styczna 1900 r.

[1]) St. Petersburgskie Wiedomosti. R. 1899, №№ 294. 6. 8 i nast.

Nowe prawo — z dnia 23 czerwca r. p. — odnosi się do: państwowego podatku gruntowego, sum wykupowych i poborów ziemskich. Wszystkie opłaty, należne z tych 3 tytułów skarbowi państwa i kasom ziemstw, wpisywane będą w Izbie Skarbowej na jeden wykaz podatkowy oddzielny dla każdej wsi lub części wsi, jeśli ta część posiada ziemię, oddzielnie. Wsie, posiadające wspólną ziemię, obowiązano przed 1 listopada st. st. 1900 dokonać roździału ciążących na nich podatków, w przeciwnym bowiem razie podziału tego dokona Izba Skarbowa na podstawie danych o ostatniej repartycyi podatków na wsie, przez gminę zrobionej. Ustanowiony przez zebranie wiejskie podział mieć będzie moc obowiązującą na lat 6 i winien być zatwierdzony przez naczelnika ziemskiego i Inspektora podatkowego. Termina dostarczenia wykazów podatkowych włościanom i wsiom są w prawie ściśle określone.

Zebranie wiejskie, sielskie, obowiązane jest w ciągu 2 tygodni po otrzymaniu wykazu podatkowego dokonać repartycyi podatków — a tam, gdzie gmina użytkuje z ziemi wspólnie — i sum wykupowych — na pojedyńczych gospodarzy. We wsiach, w których przy uwłaszczeniu gospodarze wykupywali ziemię osobiście, sumy wykupowe nie ulegają repartycyi, ale wysokość należności od każdego gospodarza określa się podług list imiennych gospodarzy, dołączonych do akt wykupu. Naczelnik włości obowiązany jest prowadzić imienne listy gospodarzy, zapisywać w nich wszelkie zmiany, zaszłe w posiadaniu gruntów, i obliczać należności podatkowe od pojedyńczych gospodarzy.

Zasada solidarnej odpowiedzialności za podatki i sumy wykupowe tam, gdzie istnieje wspólne władanie ziemią, pozostała więc bez zmiany; bez zmiany też pozostały przepisy, dotyczące samej repartycyi. Powinna ona opierać się na jednakowej zasadzie dla wszystkich gospodarzy we wsi i przedewszystkiem uwzględnić ilość, jakość i położenie gruntów. W razie potrzeby i stosownie do zwyczajów miejscowych za podstawę do repartycyi mogą być przyjęte i inne wskazówki zdolności płatniczej, a mianowicie ilość robotników, ilość inwentarza, zarobki poboczne, nierolne i t. p. Nie wolno jest tylko przy rozkładzie podatku uwzględniać ani własność ziemi, nabytej po za nadziałem, ani też inwentarza, należącego do tej ziemi. Zebranie wiejskie może — o ile to uzna za właściwe — gospodarzom, znajdującym się w wyjątkowo nieszczęśliwych warunkach, obniżać należność, a nawet uwalniać ich zupełnie od wnoszenia podatków i sum wykupowych, rozkładając należność tę na p

zostałych. Postanowienia zebrań o repartycyi podatków muszą być zapisane do księgi postanowień i winny wymieniać zarówno zasady repartycyi, jak i motywy ulg, przyznanych pojedyńczym gospodarzom. Kopie z tych protokółów komunikują się przez urząd włości naczelnikowi ziemskiemu i inspektorowi podatkowemu, którzy — jeśli znajdą w postanowieniu zebrania coś prawu przeciwnego — winni żądać zniesienia tego postanowienia przez zjazd naczelników ziemskich. Naczelnik ziemski mocen jest zawiesić wykonanie tych postanowień.

Zebrania wiejskie same określają termina wnoszenia podatków do kasy wiejskiej, które prawo nazywa terminami częściowymi. Terminów tych nie może być więcej, jak dwa, i ostatni nie może być późniejszym od 1 grudnia. Postanowienia zebrań w tym przedmiocie mają być zatwierdzane przez zjazdy naczelników ziemskich, które mogą zamiast terminów, przez gminy wyznaczonych — ustanowić inne, zgodniejsze ze zdolnością płatniczą włościan. — Zebranie gminy może prosić zjazd o wyznaczenie innych terminów, a w razie odmowy odwołać się do urzędu gubernialnego. Raty podatkowe, wnoszone w terminach częściowych, mogą być nierówne.

Nie zmniejszając obowiązków i praw gubernatora w sprawie poboru podatków — nowe prawo rozszerza znacznie wpływ przedstawicieli ministeryum finansów: zarządzających izbami skarbowemi i inspektorów podatkowych. Zarządzający winien mieć ogólny nadzór nad wpływem podatków od włościan i obowiązany jest przedsiębrać wszelkie zależne od niego środki dla niedopuszczenia zaległości, a w razie dostrzeżonych nadużyć i niedokładności zawiadamiać natychmiast naczelników ziemskich i gubernatora. Poboru dokonywają władze wiejskie i władze włości pod kierunkiem naczelnika ziemskiego i inspektora podatkowego. Inspektor winien jest doglądać, aby podatki wpływały w swoim czasie do kas wiejskich i kas włości i w razie opóźnienia w tych wpływach donosi zarządzającemu Izbą skarbową. O dostrzeżonych nadużyciach i niedbalstwie władz wiejskich przy poborze podatków inspektor donosi naczelnikowi ziemskiemu, a gdyby ten nie przedsięwziął należytych środków — zarządzającemu Izbą skarbową. Inspektor też ma mieć nadzór nad prawidłowością rachunkowości podatkowej we wsi i włości.

Przy gminnem władaniu ziemią, mówi § 36, każda wieś lub część wsi, otrzymująca jeden wykaz podatkowy, odpowiada soli-

darnie za terminową wypłatę podatków — o tyle, o ile ta wieś lub część wsi otrzymała przy uwłaszczeniu grunta na więcej niż 60 dusz rewizyjnych [1]). Jeśli wydzielono jej mniej, to wypłata podatków i sum wykupowych leży na odpowiedzialności każdego gospodarza zosobna, tak samo, jak i we wsiach, które użytkują dziedzicznie z ziemi. We wsiach, w których gospodarze posiadają część ziemi we wspólnem użytkowaniu, a drugą część ziemi w posiadaniu dziedzicznem — odpowiadają oni solidarnie za podatki (i sumy wykupowe), tylko z tej części, z której użytkują wspólnie z innymi. Gospodarzom, posiadającym ziemię w użytkowaniu dziedzicznem, wolno łączyć się w stowarzyszenia dla solidarnej odpowiedzialności za podatki. Połączenie takie winno być wyrażone w protokóle zebrania wiejskiego, który ma być zakomunikowany naczelnikowi ziemskiemu i inspektorowi podatkowemu.

Niewątpliwie najważniejszym ustępem nowego prawa są przepisy o ściąganiu niedoborów, w których prawo odróżnia sumy nie wniesione w terminie do kas wiejskich — i sumy nie wniesione w terminie do kas państwowych. Pierwsze nazywa prawo niedoborami — drugie zaległościami (*niedoimka*). Dla ściągnięcia niedoborów zebrania wiejskie lub zebrania wsi (*sielskij schod* i *sielennyj schod*), a tam, gdzie solidarność podatkowa nie stosuje się, albo gdzie zebranie wiejskie po upływie tygodnia od daty terminu częściowego nic w tej materyi niepostanowiło — władze włości mają prawo zastosować do zalegających gospodarzy następujące środki (§ 50):

1) zająć na pokrycie niedoboru dochód dłużnika z majątku nieruchomego;

2) (zamiast dawnego przepisu o oddaniu na zarobki) nałożyć areszt na zarobek niepłacącego gospodarza, albo na zarobki członków jego rodziny (z wyj. kobiet i nieletnich), a także nałożyć areszt na wszelkie należne mu sumy pieniężne;

3) naznaczyć zalegającemu gospodarzowi opiekuna lub też wyznaczyć głową rodziny innego jej członka;

4) sprzedać taką część ruchomości jaka potrzebną jest na zapłacenie podatku.

Aresztowi za podatki nie ulegają: zapomogi żywnościowe i na zasiew, wynagrodzenia asekuracyjne za spalone budynki,

---

[1]) Prawo dotychczasowe zwalniało od solidarnej odpowiedzialności tylko wsie, liczące w 1861 r. mniej, niż 40 dusz, i tylko co do podatków a nie co do sum wykupowych.

pensye emerytalne, zapomogi na pogrzeby i zapomoga, dawana byłym żołnierzom (3 rs. na miesiąc). Przy aresztach na zarobki zatrzymaną być może tylko kawalerom — 1/3, a żonatym lub dzietnym wdowcom 1/4 część zarobku.

Z ruchomości — nie mogą być sprzedane na pokrycie niedoborów:

1) obrazy święte, przedmioty religijne, i środki naukowe;

2) znaki honorowe i honorowe kaftany;

3) odzież codzienna i naczynia koniecznie potrzebne;

4) ziarno i owoce — potrzebne na wyżywienie rodziny w ciągu 3 miesięy;

5) jedna krowa, albo 2 kozy lub owce, i żywność dla nich konieczna;

6) opał na 3 miesiące;

7) inwentarz roboczy i narzędzia rolnicze i nierolnicze konieczne bezwarunkowo do prowadzenia gospodarstwa na ziemi nabytej przy uwłaszczeniu, a także żywność konieczna dla tegoż inwentarza;

8) nasiona potrzebne do uprawy gruntów nabytych przy uwłaszczeniu.

Wyżej przytoczony spis może ulegać zmianom po porozumieniu się ministrów spraw wewnętrznych, finansów i sprawiedliwości.

Na podstawie opisu i oszacowania, zatwierdzonego przez naczelnika ziemskiego, sprzedaży dokonywa naczelnik włości — po zrobieniu przepisanych prawem ogłoszeń, a w razie niedojścia licytacyi do skutku w pierwszym terminie wyznaczony zostaje termin drugi, w którym zajęte ruchomości mogą być sprzedane niżej oszacowania.

Gdyby po dzień 1 grudnia suma podatków ziemskich i państwowych nie była wniesiona do kasy gminy całkowicie, to zebrania tych wsi, które płacą podatki pod solidarną odpowiedzialnością, mogą jeszcze zastosować do zalegających gospodarzy następujące 3 środki: 1) oddać część ich gruntów w dzierżawę na trzy lata (które następnie mogą być przedłużone); 2) odebrać część gruntów lub wszystkie grunta i 3) sprzedać budynki, niekonieczne do prowadzenia gospodarstwa.

Oddanie w dzierzawę i sprzedaż odbywają się przez licytacyę. Do sprzedaży budynków wymaganemi są: zgoda naczelnika ziemskiego i zatwierdzenie opisu i szacunku budynków przez inspektora podatkowego.

Jeśli mimo użycia tych środków podatki nie zostały wniesione do kasy gminej w całości w ciągu miesiąca grudnia — to nie później, jak 1 stycznia roku następnego, zebranie wiejskie powinno rozłożyć brakującą sumę na wszystkich gospodarzy, a kopię postanowienia zakomunikować inspektorowi podatkowemu. W protokóle powinny być wyraźnie wskazane sumy, włożone na każdego z gospodarzy, a termin ich wniesienia nie może być późniejszym od 1 lutego.

Suma podatkowa, nie wniesiona do kas rządowych na 1 lutego nazywa się zaległością (*niedoimka*). W ciągu 7 dni od d. 1 lutego kasa powiatowa komunikuje inspektorowi podatkowemu wykaz wsi, zalegających z wykazaniem sum, od nich należnych z tytułu podatków. Prawo ustanawia osobne przepisy egzekucyi podatków dla wsi, płacących je pod solidarną odpowiedzialnością gospodarzy, i dla wsi, nie ulegających solidarnej odpowiedzialności, t. j. nie posiadających ziemi we wspólnem użytkowaniu. Przedewszystkiem inspektor winien porozumieć się z naczelnikiem ziemskim, o ile zaległość nie dałaby się pokryć z funduszów i kapitałów gminnych. Jeśli zaległość nie stanowi więcej niż 5% całej sumy podatku rocznego, inspektor może zarządzić zaliczenie zaległości do sumy podatkowej następnego roku. W przeciwnym razie listy niezapłaconych podatków wraz z kopiami postanowień o repartycyi zaległości komunikuje on Naczelnikowi powiatowemu dla egzekucyi. Naczelnik powiatu zarządza opis i oszacowanie ruchomości zalegających w opłacie gospodarzy i sprzedaż tych ruchomości stosownie do wykazu, sporządzonego przy rozkładzie podatków, stosując do nich przepisy p. 4 § 50 i p. 3 § 64 t. j. Opis i oszacowanie komunikują się inspektorowi, który — po porozumieniu się z Naczelnikiem Ziemskim wskazuje, jakie mianowicie przedmioty mają być sprzedane. Jeśli zaleganie włościan pochodzi od ich niechęci do uprawiania nadanych im gruntów (*od uklonienia ich ot obrabotki*), to zjazd powiatowy na przedstawienie inspektora i naczelnika ziemskiego — po zatwierdzeniu przez Urząd gubernialny do spraw włościańskich — może zarządzić oddanie nieuprawianej ziemi gminnej w dzierżawę przez licytacyę — na lat 6.

Gdyby mimo zastosowania powyższych środków zaległość podatkowa nie została w całości wniesiona, to zaległość ta może być za zgodą inspektora podatkowego i naczelnika ziemskiego doliczona do podatków za lata następne. Zarządzający Izbą skarbową ma prawo zaległości takie — bez ograniczenia sumy — umarzać.

Gdyby inspektor podatkowy nie zgodził się na repartycyę niedoborów, ustanowioną na zebraniu wiejskiem, albo gdyby zebranie wiejskie repartycyi tej nie zrobiło całkiem — to winien się on osobiście udać na miejsce i sam repartycyi dokonać. Egzekucya zaległości wykonywa się wtedy stosownie do repartycyi Inspektora.

Prawo wskazuje dalej przepisy, odnoszące się do wsi, użytkujących z gruntów dziedzicznie — a zatem płacących wykup bez solidarnej odpowiedzialności — które pomijamy — a wkońcu zawiera zasady, dotyczące ulg w wypłacie zaległości.

Gdyby niektórzy z gospodarzy we wsi znajdowali się w ciężkiem położeniu przy zapłacie niedoborów — to naczelnik ziemski na ich prośbę, — i po porozumieniu się z inspektorem podatkowym — może wstrzymać egzekucyę niedoboru do jednego z następnych terminów częściowych w granicach danego roku podatkowego — ale suma tak odłożonych we wsi zaległości nie powinna przewyższać $1/6$ części rocznej sumy podatkowej ze wsi całej, gdyby zaś wynosiła więcej, to wniesienie takiego niedoboru może odroczyć tylko Izba skarbowa. W wypadkach klęsk (pożaru, nieurodzaju, upadku bydła i t. p.), które dotknęły wsie całe — zarządzający Izbą skarbową może na zasadzie przedstawienia naczelnika ziemskiego odroczyć wypłatę podatku ze wsi całej na latą następne; może też w tych wypadkach wydać rozporządzenie o wstrzymaniu egzekucyi — a po porozumieniu się z gubernatorem — odłożyć i rozłożyć wypłatę $1/2$ raty sum wykupowych na 3 następne lata. W razie braku zgody w tym przedmiocie między gubernatorem a zarządzającym Izbą skarbową — a także w wypadkach, w których idzie o odroczenie sum większych, na terminy dłuższe, sprawa decydowaną będzie w drodze porozumienia się ministra finansów z ministrem spraw wewnętrznych.

Przepisy o wprowadzeniu powyższego prawa w życie zawierają w sobie jeszcze kilka rozporządzeń, o których wspomnieć wypada. Ustanawiają one nowy, trzeci gatunek *„miru"* t. z. zebrania wsi (*sielennyje schody*), złożone z gospodarzy wsi, zwoływane przez starostę, który jest też ich przewodniczącym. Dalej prawo wkłada na naczelnika ziemskiego obowiązek baczenia, aby podatki i opłaty gminne — ustanowione przez zebrania wiejskie i włości, nie obciążały zbytecznie obywateli wiejskich i odpowiadały rzeczywistym ich potrzebom. Inspektor podatkowy, jeśli uzna, że pobory te są nieodpowiednie, może żądać od naczelnika ziemskiego albo zarzą-

dzenia odpowiednich środków, albo przedstawienia tej sprawy na decyzyę zjazdu naczelników ziemskich.

Jeśli w zjeździe, przy decydowaniu sprawy dotyczącej podatków, inspektor podatkowy nie zgodzi się z postanowieniem zjazdu — to sprawa ta musi być przedstawioną gubernatorowi, który po zasięgnięciu opinii Izby skarbowej — albo sprawę wnosi na posiedzenie Urzędu gubernialnego do spraw włościańskich — albo zawiadamia zjazd o pozostawieniu protestu inspektora bez skutku.

Nakoniec prawo poleca:

1) Ministrowi spraw wewnętrznych, aby w porozumieniu się z ministrem finansów zbadał kwestyę zastosowania przepisów obecnego prawa do poborów gminnych, ustanowionych przez wsie i włości, i kwestyę zmian, jakieby należało zrobić w przepisach o poborach gminnych;

2) Ministrowi finansów polecono, aby po upływie roku od daty wprowadzenia obecnego prawa zajął się kwestyą możliwości zniesienia solidarnej odpowiedzialności włościan przy wypłacie podatków bezpośrednich i projekt swój, tego przedmiotu dotyczący, drogą, przez prawo wskazaną, wniósł do władz prawodawczych.

Czy losy „solidarnej odpowiedzialności włościan za podatki" — są już w zasadzie zdecydowane, o tem trudno przesądzać. Dawne przepisy o egzekucyi podatków z chłopa, przepisy, o których organ półurzędowy [1]) powiada, że złą pamięć po sobie zostawiły, przeszły już do historyi — i zasada „solidarnej odpowiedzialności" w każdym razie uległa silnemu ograniczeniu. Nowe prawo rozbiło solidarną odpowiedzialność wsi złączonych ustawnymi gramotami w jedną całość; gminy te stanowiły w guberniach północnych nieraz komplex kilkudziesięciu wsi (wyjątkowo w gub. Jarosławskiej 192 wsi); ograniczyły one tę odpowiedzialność do wsi, posiadających gruntu więcej, niż na 60 dusz męskich — a w końcu, ustanowiwszy ściśle przepisy repartycyi niedoborów podatkowych w gminie — ograniczyły egzekucyę podatków we wsi do tych tylko włościan, którzy nie uiścili się z podatku przy repartycyi, na nich nałożonego.

Zamykając tę część naszej pracy, pozwolimy sobie przytoczyć następującą opinię jednego z najlepszych znawców spraw

---

[1]) Russki Przegląd Ekonomiczny 1899 r. — Lipiec. Str. 116.

włościańskich w państwie — M. Nowikowa, b. naczelnika ziemskiego powiatu Kozłowskiego gub. Tambowskiej:

„Przepisy, dotyczące włościan, są do tego stopnia niejasne, porozrzucane w różnych prawach, ustawach, przepisach czasowych i trwałych, z najróżniejszemi odwoływaniami się na prawa, poprzednio wydane, że dojść w nich do ładu stanowczo niema sposobu [1]."

St. Piotrowski.



---

[1]) „Zapiski Ziemskawo Naczalnika" str. 58.

Najwyżej zatwierdzona w d. 10/22 grudnia 1899 r. opinia Komitetu Ministrów stanowi jeszcze w tej materyi:

1) że w ciągu r. 1900 żadne zaległości podatkowe za lata poprzednie z włościan — na których rozciąga się prawo 23 czerwca 1899 r. — ściągane nie będą;

2) ustanawia sposób podziału, między Skarbem i Ziemstwami sum, jakie wpłyną w 1900 r. od włościan;

3) poleca Ziemstwom opracować w ciągu 1900 r. projekt umorzenia części zaległości, jaka się Ziemstwom od włościan należy.

Zaległość ta stanowi obecnie około 19 milionów rubli.



Z ŻYCIA POETY.



Prof. Józef Kallenbach. „Wybór listów Adama Mickiewicza“. Kraków, Spółka wydawnicza polska, 1899, str. VIII + 290.

Celniejsi nasi przedstawiciele tegoczesnej krytyki literackiej, Chmielowski, Nehring, Spasowicz, Tarnowski wyzbierali już z korespondencyi Mickiewicza główne wskazówki i zaznaczenia, dotyczące warunków, w jakich się rozwijała jego twórczość, i wpływów literackich lub filozoficznych, jakim poeta podlegał. Pod tym względem sto kilkadziesiąt listów zbiorku, sporządzonego i ogłoszonego niedawno przez prof. uniwersytetu fryburskiego, Józefa Kallenbacha, nowych widoków przed nami nie odsłaniają i obfitszego żniwa recenzentowi nie obiecują. Należycie znamy dziś z pierwszych zaraz wynurzeń Mickiewicza przed przyjaciółmi i kolegami z czasów wileńskich, Malewskim, Zanem, Czeczottem, Odyńcem, poglądy jego i zdania o filozofii Szellinga, w której niema „nic niezrozumiałego, a nawet bardzo głowę łamiącego“, o Kancie, który, według Śniadeckiego, „wiele głów zawrócił“, o Bajronie, „tym największym poecie“, który jednak „może nie wypędzi z kieszeni Szyllera“, o Szekspirze, przez którego Mickiewicz cisnął się „z dykcyonarzem w ręku, jak

bogacz ewangeliczny do nieba przez uszko od igiełki". To samo stosuje się do okresu podróży poety po Rosyi, kiedy powstały Sonety krymskie i „Wallenrod", to samo po wyjeździe za granicę, kiedy na świat przyszły „Dziady" (część trzecia) i „Pan Tadeusz", to samo do epoki kursów z literatury słowiańskiej i towiańszczyzny. Wszędzie tu korespondencya Mickiewicza obok innych świadectw oddawna i do ostatka wysypała swą zasobność.

Wynik erudycyjnych tych poszukiwań i zestawień niezupełnie odpowiedział pokładanym w nich pierwotnie oczekiwaniom. Wypłynęło to w części z wadliwości metody użytej, w części z natury samego przedmiotu. Z pochodzenia swego każdy szczegół biograficzny lub nawet autobiograficzny rzadko kiedy przystaje do mniej lub więcej współrzędnie z nim idącego objawu twórczości, częściej tę twórczość przesłania i zaciemnia, niźli tłómaczy i objaśnia. Analogia daleka—ton całkiem inny. W zbiorku prof. Kallenbacha znajduje się np. list Mickiewicza z Wilna z r. 1822 (lub 1823), „do pani Maryi Puttkamerowej". „Dowiadujemy się, pisze poeta, iż po naszym odjeździe Pani byłaś nieco chorą. Powtórzyliśmy z tej okoliczności litanię tylekroć śpiewaną w Bolciennikach, iż należałoby więcej szanować zdrowie, drogie tylu osobom... Muszę wytłómaczyć się z nierzetelności, za którą tak prędko zostałem ukarany, nie poczuwając się do winy. Ballady moje już dawno byłyby w Bolciennikach, ale dziś ledwo uzyskałem bilet z cenzury. Posyłam tymczasem egzemplarz, jaki się nawinął... Przepraszam za nudy, których byłem przyczyną, nie dobrze wybrawszy książkę do lektury... Chciałbym mieć wkrótce napowrót *Revue enciclopédique* i numer dziennika. Darujesz pani, że ją nudzę księgarskiemi fraszkami, nie mając nic lepszego do doniesienia. Życzę pani dobrego zdrowia i wesołości"... Napróżno obracamy, odwracamy, przeczytujemy i odczytujemy grzeczną tę wiązankę rzeczy powszednich, pragnąc w niej znaleźć chociażby drobne jakie światełko, ubożuchny komentarz, stwierdzający teoretyczny pewnik, że poetyczne nasze myśli, uczucia, natchnienia,—jako kwiaty, wyrastają na glebie codziennego naszego życia i otoczenia. Gleba roztacza się sobie w jedną stronę, kwiaty falują, szumią i wioną swe aromaty w stronę drugą: „Maryo, siostro moja! Nie krewnym łańcuchem, aleśmy pobratani umysłem i duchem; gdy mi dziwactwo losu i twój wyrok wzbrania; równie święte a milsze powtarzać nazwania: choć innem spojrzyj okiem w przeminione lata; i pamiątki kochanka przyjmij z ręki brata"... W liście—konwenans, w poezyi—prawda; jakże tu jedno z drugiem zczepić, jedno przy drugiem postawić? Zapewne, w potocznych przygodach istnienia

nie wszystko stoi pozorem, sztukuje się utartemi formułkami przyzwoitości; szczerość, rzetelność, głębia duszy nieraz się wychyla po nad poziom płytkiego biegu spraw i stosunków towarzyskich. W lat niespełna dziesięć po dedykacyi drugiego tomiku poezyi Mickiewicz w poufnem wyznaniu przed Domeyką z Rzymu (2 stycznia 1832 r.) pisał: „Twój list dawny smutny odebrałem. Było tam kilka słów Maryi. Widok jej ręki tak mnie upoił, że płakałem, jak dziecko. Pierwszy to był płacz od pożegnania się z Czeczottem i Zanem. Nie będziemy już nigdy widzieć się z sobą. Ale powiedz jej, że ona zawsze ma w sercu mojem miejsce, z którego nigdy nikt jej nie usunął i gdzie jej nikt nie zastąpi“... Doskonały dokument, nic on jednak nie dodaje lub bardzo mało do tego, co już wiemy z poezyi, niczem się nie przyczynia do uwydatnienia nieśmiertelnej, w wierszyku złożonej pewności i wiarogodności uczuć, przeciwnie, proza dokumentu od tej poezyi potrzebuje zaświadczenia i rękojmi, nie zaś odwrotnie. „Nikt“, „nigdy“—w przeszłości, w przyszłości—„nie usunął“, „nie zastąpi“ Marylki, w r. 1832 brzmiałoby to nawet, wyznać trzeba, nieco podejrzanie wobec świeżo wtedy rozchwianego stosunku z Ankwiczami, gdyby nie wszechrozstrzygająca i wszerozgrzeszająca odsiecz natchnionej strofki z r. 1823, w której „milsze nazwania“ tak stanowczo ustąpiły swych praw boskich na rzecz „równie świętych“ uczuć braterstwa...

Inny przykład. Po rozstaniu się z Ankwiczówną Miczkiewicz szybko zastosował się do aforyzmu, przesłanego w tymże czasie bratu Franciszkowi, narzekającemu w Poznańskiem na „psie czasy“ i „dolę“... niełaskawą: „żal po niewczasie na nic się nie przyda, lepiej biedzie wesoło w oczy zajrzeć“. Przeniósł się do Paryża, osiadł w nim na stalsze i napisał do Malewskich w Petersburgu, żeby mu Cesię Szymanowską przysłali na żonę, gdyż, ostatecznie (powiadał z innego cokolwiek powodu) „nie lubię grać w liczmany i puste orzechy“. Oczekując narzeczonej, o której niebawem (29 sierpnia 1834 r.) lakonicznie wyrazi się w liście do Malewskich: „mąż Celiny, po miesięcznem z nią pożyciu, dziękuje wam za nią“, poeta zabrał się tymczasem do „Pana Tadeusza“. „Ukropił“ doń wkrótce cztery pierwsze pieśni, sprzedał rękopism „nowego poematu“ (list z 9 czerwca 1833 r. do Franciszka Mickiewicza) za 4000 franków, długi z tej kwoty pokrył i „miał znowu na rok kapitał“... Naraz, jak się to częściej jeszcze zdarza w świecie rzeczywistym, niż w urojonym, klęska obala całe to rusztowanie przezorności i pracy zabezpieczonej. Z Drezna nadbiega wiadomość o chorobie Stefana Garczyńskiego. Mickiewicz zwija gospodarczy swój namiot, zawiesza na warsztacie „Tadeusza“, zabiera pieniądze i jedzie na spotkanie przyjaciela, zmuszonego szukać ratunku w klimacie stref pod-

alpejskich. Ze Szwajcaryi wiezie go na południe Francyi, stąd wybiera się do Włoch, opiekuje się chorym, pielęgnuje go, wydaje dlań ostatni grosz. Szczęście jeszcze, że w drodze bogi łaskawe zsyłają mu pomoc pod „anielską” postacią Klaudyny Potockiej, tudzież w osobie niejakiego Pągowskiego, dawnego znajomego Garczyńskiego, „człowieka zacnego”, który zawraca ze swojej drogi, goni, upędza się za strapionymi i znękanymi poetami, jakgdyby za rozkoszą jaką, lub też—że tu czasy i ludzi zmierzymy łokciem tegoczesnym — jakgdyby za dobrym i łatwym zarobkiem. Stracone zachody, stracone kłopoty, koszta, udręczenia bez liku. Garczyński umiera 20 września 1833 r. w Avignonie. „Jestem podobny teraz—pisze Mickiewicz 22 września — do Francuza, wracającego z 1812 r.; zdemoralizowany, słaby, obdartus zupełny, bez butów prawie... O niczem myśleć dotąd nie mogę, ale z czasem wypocznę i zdrowie, mam nadzieję, że wróci. Pągowski po tygodniu stracił apetyt i sen, a ja byłem dwa miesiące w takiem położeniu... Uważam za łaskę Nieba przybycie tu Pągowskiego i Potockiej: bez ich pomocy możebym padł na łóżko”... Wstrząśnienie i wyczerpanie było istotnie wielkie; większego nie doznawał może poeta w swem życiu. Napróżnoby jednak czytelnik usiłował pochwycić chociażby jeden cień lekki najlżejszy tych wzruszeń na granicy IV-ej i V-ej księgi „Pana Tadeusza”,—w barwie, układzie, humorze, nastroju poematu. Dopiero gdzieś aż pod sam koniec księgi X-ej, jakiś rys nikły, jakiś szczegół zupełnie podrzędny ze wspomnień o zgonie Garczyńskiego wpadnie do komnaty dogasającego Jacka Soplicy, jak strzałka brylantowa odbije się na łożu o chorego głowę.

Każde, najwspanialsze nawet dzieło sztuki jest niewątpliwie pewnym agregatem życiowych doświadczeń twórcy,—ale doświadczeń, ściągniętych z tylu najrozmaitszych zakątków duszy i zcalonych według tak misternych, a chybkich, norm kompozycyi psychologicznej i estetycznej, że związek tych odwzorów, wyrównanych i spotęgowanych artystycznie, z pierwowzorami wrażeń i wyobrażeń realnych ginie dla nas w pomroce niezbadanych tajemnic obcowania jaźni z otoczeniem. To, co poeta zgromadził z zewnątrz do ogniska swej podmiotowości w chwili tworzenia, istnieje i trwa w dziele, jako kunsztowny zlewek pierwiastków, oddawna w rzeczywistości przebrzmiałych i rozproszonych; gdyż zaledwie tu i ówdzie ocalała z zatraconego tego podłoża jakaś poszlaka luźna, —łąka, pagórek, las, kamień, pierścionek, liść zasuszony w kajecie, list przechowany na sercu przyjaciela lub kochanki... Drogie, nieocenione szczątki! Nie przez to jednak wyłącznie drogie, że na nich spoczęła

niegdyś na chwilę rosa twórczości wielkiego człowieka,—lecz, że w nich podziśdzień tkwi, odźwierciadla się umysłowość całego w ogólności człowieka,—i, jako mistrza, i, jako jednostki pospolitej, typowej, oddychającej tem samem, co my, powietrzem i uprawiającej tę samą, co i my, glebę bytu i niedoli. Z tego punktu widzenia korespondencya Mickiewicza istotnie jest dla nas i na długo pozostanie źródłem nietylko rozkoszy estetycznej, lecz i dochodzeń owocnych, ciekawych, budujących. Zniewala i pociąga tu nas ku sobie rzecz najbłahsza, podoba się nam bez mała wszystko. Podoba się przedewszystkiem sam Mickiewicz,—jego takt, rozwaga, oględność, umiarkowanie,—nawet jego rozum praktyczny. Tak jest, niezaprzeczenie, genialny twórca „Dziadów" był praktycznym: umiał, gdzie trzeba, ilekroć zwłaszcza bieda przyparła, dbać o swe interesa materyalne,—ba! czynić nawet gorliwe zabiegi o poczytność, rozpowszechnienie swych pism. Niepodobna oprzeć się uczuciu podziwu, środkującego między uwielbieniem a odcieniem dobrodusznej ironii, gdy się odczytuje jego instrukcyę z Moskwy, udzieloną Odyńcowi, 6 października 1826: „Zająłem się żywiej uporządkowaniem moich rękopisów, z których i tomik trzeci należy wkrótce wydać. Dobrze byłoby, abyś pomówił o tem z Glücksbergiem. Ja chcę się odnieść do Zawadzkiego, ale, jeżeli on będzie zbyt skąpy lub trudny, gotów jestem gdzieindziej się obrócić. W układach z księgarzami następujące rzeczy miej na uwadze: tomik trzeci będzie tej objętości, co pierwszy, ułożony cały z poezyi drobnych, i stąd, jeśliby cenzura (czego się nie spodziewam) uznała jakąś sztuczkę za niewartą druku, żadnejby to nie mogło sprawić mitręgi. Zapytaj się tedy, ile mnie dadzą gotowymi pieniędzmi,—ma się rozumieć, za jedno wydanie w umówionej liczbie egzemplarzy... Zawadzki życzył przedrukować wszystko na nowo... Spytaj, coby mnie w Warszawie za taką całkowitą edycyę ofiarowano?" (str. 22). Mickiewicz nie lekceważył gotowizny... zapracowanej. Pozwala mu ona wśród przejść najcięższych, najdotkliwszych nieraz nie liczyć na t. zw. życzliwość ludzką. „Pani Potocka—pisał do brata z Genewy 12 sierpnia 1833 r.—przysłała mi była pieniądze do Paryża, ale jej tu zwróciłem; póki mam swoje, cudzych nie chcę" (str. 134). A i ludziom w takich razach wierzy się więcej. Pomimo utrudnionych stosunków z krajem, pomimo niepewności pośrednictwa najzwyklej poufnego, nadużycia zaufania, jak zapewnia poeta—zdarzały się bardzo rzadko. Doradzając Bohdanowi Zaleskiemu jakąś tranzakcyę z wydawcami, Mickiewicz ręczy mu z Lozanny w d. 20 listopada 1839 r., że „oszukaństwa z tamtej strony" nie trzeba się obawiać. „Jeszcze u nas

w kraju nie są tak ucywilizowani, żeby okpiwać poetów... Czasem przehulają ich pieniądze... Ale Poznańczycy regularniejsi" (str. 205). Ale zapiszmy obok tego i cichą skargę z r. 1847 z Paryża przed bratem Franciszkiem na chwiejność sytuacyi literackiej: „Trudny mój tu żywot! trudny on był zawsze i błędny i, jak wiesz, nieszczęśliwy zewnętrznie, lubo nie bez pociech wewnętrznych, a czasem i dni weselszych. Moje stosunki z rządem francuskim zamieszały się. Okazywano mi i przychylność szczerą i względy, i dawano wiele pięknych rzeczy, bylebym się stał człowiekiem rozsądnym, to jest zaczął żyć dla siebie tylko... Było to już dawniej ze mną w Rosyi. I tam mógłbym mieć świetne stanowisko, gdybym wyrzekł się tego, co w duszy noszę, co mnie rusza i żywi i pociesza" (str. 239).

„Gdybym"!...—wyraz to maluczki, ledwie dostrzeżony na powierzchni egzystencyi ludzkiej,—a wszakże, ileż to razy na cienkim tym włosku zawieszoną była alternatywa dalszych kroków i losów Mickiewicza, chwiejących się to na prawo, to na lewo,—w stronę, która go uczyniła tem, czem się stał dla nas faktycznie, w inną jakąś, kędy droga zdawała się pochylać ku najdogodniejszym, na razie może najpożądańszym wyjściom. Jak Napoleona I przez całe niemal życie, tak i jego późniejszego apologetę na katedrze paryskiej, nęcił, ciągnął, porywał w swe objęcia wschód daleki. Po napisaniu sonetów krymskich, po zwiedzeniu Taurydy, „owego Wschodu w miniaturze", młody poeta na seryo wybierał się na Kaukaz, do Persyi, do Indyi może. W Petersburgu w tym celu zaczął się uczyć języków azyatyckich,—ale, jak się wyraża do Lelewela z Moskwy 7 stycznia 1827 r.—„ledwiem zaczął sylabizować, zmuszony zostałem wsieść znowu na sanie" (str. 32). W trzy lata później pisze do Domeyki z Rzymu: „Odyniec bazgrał, widzę, długo o naszych wielkich podróżach na dno krateru... Nie chcę cię nudzić opisem wycieczki do Sycylii,—mało brakło, ażebym nie puścił się za morze. Taż sama przyczyna, która mię do Szwajcaryi ciągnie (Ankwiczówna?) zatrzymała mię w porcie Neapolu. Gdybym wsiadł na okręt, nie prędkobym wrócił"... (str. 82). A Lelewelowi niemal jednocześnie donosił: „Jeśliby się mi udało coś napisać, na czembym mógł oprzeć nadzieje zasilenia finansów, puściłbybym się dalej ku wschodowi" (str. 86). I raz jeszcze do Garczyńskiego w d. 6 maja 1833 r. z Paryża: „Miałem projekta na Wschód: powierzam *tibi soli* i Edwardowi; ale pokoj z Ibrahimem podobno mi odejmie sposobność puszczenia w tamte strony" (str. 122). Doszło to do skutku dopiero przed samym zgonem wieszcza. Tymczasem mocniej, niż

amor lub finanse, trzymali poetę za poły—„swoi". To jest, któż mianowicie?—Litwa. Tylko, że, znowu, nie trzeba tej Litwie zbyt szerokich granic zakreślać. „Masz za złe,—tłómaczy się Domeyce Mickiewicz—że tak czule Litwę wspominam. Uważ, że, kiedy marzę o Litwie, myślę tylko w szczególności o kilku miejscach, o kilku osobach i dla tych serca nigdy nie zmienię; resztę—kocham tylko miłością chrześcijańską i cywilną, jak kraj ojczysty. Gdybym kiedy do Litwy powrócił, nie chciałbym ani jednej nowej znajomości"... Swoją drogą Malewskiego zapewnia w d. 2 lutego 1830 r.: „Nie wiem, dlaczego częściej, niż dawniej, napada mię tęsknota do kraju; przypomniałem słowa owego Rzymianina, który w starości zaczął czuć, co to jest wygnanie". W siedem miesięcy później w liście do tegoż utyskuje, że go dręczą umysłowe kaprysy, nieustające pożądania zmiany: „na Północy tęskniłem do Południa, tu (w Rzymie), tęsknię do śniegów i lasów; nie uwierzysz, z jaką rozkoszą powitałem na stepach wegetacyę północną, zieloną trawę i jodły!" Lata, wypadki, koleje życia nie wiele zaradziły chorobie swojszczyzny. W początkach r. 1840 Mickiewicz przesyła Domeyce za Atlantyk te same żale: „Tęsknota mię teraz ciężka do Litwy napada, i ustawicznie śni się o Nowogródku i o Tuchanowiczach, tobie musi być jeszcze tęskniej" (str. 84, 93, 209). O swoich drugiego stopnia, siedzących tuż zaraz za zachodnią miedzą litewską, Mickiewicz oryginalnie się niekiedy wyraża: „Ruszaj dalej, jeśli ci trudno żyć w cudzej ziemi"—pisze do brata Franciszka, który za plecami Grabowskiego w Poznańskiem czuł się, jak u Pana Boga za piecem. Szczególniejsze to, że w owej cudzej ziemi poeta rozporządza się ze swobodą, jakiejbyśmy dziś we własnym domu nie byli może całkowicie pewni: „puszczaj się w drogę śmiało, — zachęca brata — w każdym dworze gotowe będą dla ciebie konie, chociażby u nieznajomych"...

Prof. Kallenbach przytacza w przedmowie zdanie Domeyki z przed lat trzydziestu, kiedy chodziło o ponowne wydanie korespondencyi Mickiewicza, że „Adam nie lubił pisać listów,—pisał, prawie nie patrząc na pióro, i czemprędzej pieczętował". Antypatyę tę stosować zapewne należy głównie do wymiany myśli z osobami obcemi i postronnemi, gdyż z przyjaciółmi i blizkimi znajomymi poeta był owszem nader wylanym, wielomównym, niezmiernie prostym, szczerym i serdecznym. Nie dbając zbytnio o stylizacyę pierwszych popędów i rzutów swej myśli, stenografował ją błyskawicznie, bez oglądania się na to, czy jakieś jego „wyrażenie krótkie, półwyrazowe, da pochop gadułom do zimnych domysłów i tłómaczeń", — czego się właśnie Domeyko obawiał. Pewna ilość słówek nieoględ-

nych, rzuconych pod wpływem doraźnego rozczarowania lub goryczy, utkwiła istotnie w korespondencyi wieszcza. Szkopuły te usiłowano wyrugować w „wyborze listów", ale pomimo to zostało z nich kilka. Czy list do pani Konstancyi Wodpol (18 maja 1855), opisujący ostatnie chwile biednej Celiny, żony Mickiewicza, nie mógł być usunięty z edycyi, mającej widocznie przeznaczenie popularyzacyjne?... „Ostatnie chwile jej wytłómaczyły po części zagadkę tylu lat bolesnych. Można powiedzieć, że w chwilach tych rozłąki połączyliśmy się po raz pierwszy. Jakoż, przyrzekła mi, że będzie duchem mnie pomagać i być ze mną. Czemuż tego nie było za życia?" (271). W szczegółowym i okolicznościowym życiorysie poety znaczenie tych wyrazów przedstawia się zupełnie inaczej, niż w odosobnionej spowiedzi przed przyjaciółką i współwyznawczynią towianizmu. W ogólności, czytając zwierzenia Mickiewicza, zwłaszcza z ostatniej doby jego życia, trzeba ciągle mieć na widoku i w pamięci, że powaga i genialność wielkich ludzi kończą się na progu usterek i zboczeń prywatnego ich położenia. „Zimnych domysłów" potomności. Domeyko niepotrzebnie się lękał. Trudno nam dziś unosić się i gorączkować nad każdą literą, rzuconą na papier przez Mickiewicza w chwilach zniecierpliwienia lub upadku na duchu. Sam poeta nie żądał od nas podobnej ofiary bałwochwalczej, powiadając w liście do Hieronima Kajsiewicza i Leonarda Rettla z dnia 16 grudnia 1833 r.: „nie wierzcie ślepo żadnemu z ludzi i moje każde słowo sądźcie, bo dziś mogę prawdę mówić, jutro fałsz; dziś dobrze robić, jutro źle" (142). A w innem miejscu (31 października 1835, do Kajsiewicza): „życie nie jest to sztuka lub rzemiosło, o którem starzy tylko i doświadczeni radzić umieją; tu, im kto lepszy, tem więcej umie" (163).

Nawet niezależnie od czystych, nieposzlakowanie niebiańskich źródeł natchnienia Mickiewicz był bardzo dobrym człowiekiem. Wybornie wiemy o tem wszyscy, czuć się to daje w każdym żywszym objawie jego uczucia, drga to w każdem instyktowem drgnięciu jego warg i piersi. Nie wynika stąd przecie, żeby ów Litwin z krwi i kości nie miał swoich drobnych przesądów, nie ulegał pewnym nałogowym skłonnościom zbyt „przenikliwego, ale też i zbyt podejrzliwego umysłu, lub żeby zwycięsko zawsze wychodził z walki z górującymi wpływami lokalnego przeważnie otoczenia i namiętności „pierwotnych" (w rozumieniu A. Swiętochowskiego, „Poeta: jako człowiek pierwotny"). Dostępne mu były podszepty miłości własnej, miewał zaćmienia w mniemaniach o wysokości swego posłannictwa, zaciętym bywał w powziętych raz uprzedzeniach; broniąc

zaś majestatu swej duszy od skazy i ujmy, częściej w niej głuszył, niż tępił, kąkol uraz zastarzałych. Psuły go też, szczególnie pod koniec życia, hołdy współziomków, których zbytnia uniżoność i usłużność, posuwana niekiedy do serwilizmu, dotkliwie kłuła w oczy cudzoziemców, jak to w r. 1848 dostrzegł i światu rozgłosił Aleksander Hercen. Niewygładzonym do dziś dnia faktem pozostała dumna nieprzenikliwość Mickiewicza na wdzięk i moc lutni Juliusza Słowackiego, wykluczonego, milczeniem bezwzględnem pominiętego w wykładach w Collège de France. Razi to nas, współczesnych wielbicieli litewskiego wieszcza, — tem mocniej, że, nie rozumiejąc, nie odczuwając już dobrze żartkości ówczesnych współzawodnictw i sporów doktrynerskich (o towianizm), jednocześnie nie jesteśmy w stanie podzielić, za bezinteresowne uznać poglądów profesora na mistyczną głębokość poetyckiej twórczości najbliższych osobistych jego przyjaciół: Garczyńskiego, Zaleskiego, a nawet, w części, Krasińskiego, których pisma Mickiewicz podnosił i wysławiał nie tylko z katedry, lecz i w ocenach poufnych. „Zaleski Bohdan przyjechał tu (Paryż, 8 stycznia 1839 r.) z okropnym plikiem poezyi, które są, zdaniem mojem, najcudniejsze i stawią go na czele naszych poetów" (189). „Kto wie, czy ty teraz (do Bohdana, Lozanna, 7 stycznia 1840) nie okradasz nas przez sen z wszelkiej poezyi? kto wie, czy mocą silniejszą nie ciągniesz do siebie całego ciepła i światła poetycznego?" (208). „Czytałem cały wczorajszy wieczór twojego Wacława (do Garczyńskiego, 12 stycznia 1833 z Paryża), wrażenie zrobił on na mnie większe nad wszystkie moje nadzieje o nim... Nie byłem nigdy zdolny czuć zazdrość poetycką, ale mnie się zdaje, że, gdyby Wacław nie był twoim utworem, tobym może zazdrościł autorowi" (114). „Odebrałem twój hymn, który należy do najpiękniejszych naszej literatury twórców" (118).... Istnieją wprawdzie okoliczności, łagodzące i objaśniające. Najpierw, nawet o przesłanych do oceny wierszach Kajsiewicza, Mickiewicz pisze: „Twoje poezye ostatnie coraz wyższe, szczersze i głębsze, cieszę się z nich równie, jak ty" (153). Powtóre, znajdują się też w listach poety i o Słowackim wzmianki, wcale nieobojętne. Żartując przed Bohdanem (7 stycznia 1840) ze swojego talentu muzycznego, w który „nikt a nikt nie wierzy", Mickiewicz utrzymuje, że z czasem, gdy „będzie miał pieniądze, a książki porzuci i na wsi osiędzie", przekona niewiernych, że się mylili: „mam w tym względzie, jak Słowacki powiada, zapas ironii na całą publiczność" (208). W dniu 25 grudnia tegoż roku odbyła się głośna uczta u Eustachego Januszkiewicza. „Wyzwany improwizacyą przez Słowackiego—opisuje Mickiewicz—

odpowiedziałem z natchnieniem, jakiego od czasu Dziadów nigdym nie czuł. Było to dobrze, bo wszyscy ludzie różnych partyi rozpłakali się i bardzo nas pokochali, i na chwilę wszyscy napełnili się miłością" (224). Bez porównania ciekawszą jest jeszcze wzmianka w liście do Zaleskiego z Paryża z d. 24 czerwca 1841 r. „O poezyi boję się myśleć. Chybabym gdzieś głęboko na wsi osiadł, tobym może coś wydumał. Niemasz tedy na ten raz współubiegaczów, prócz Słowackiego"... Wiedząc już, jak wysoko cenił sobie autor Dziadów utwory Bohdana, wyznać trzeba, że nie mogła z ust Mickiewicza wyjść większa dla Słowackiego pochwała nad przytoczoną. Lecz w takim razie zachodzi pytanie, co oznacza dalsza osnowa listu: „Dobrze i święcie powiedziałeś, że nam trzeba tulić się ku miłości i pokorze. Gdyby i nieboszczyk Byron był między nami, pewnieby nas zbudował pokorą. Ale biedne pyszałki, co się im dzieje! Boję się, żeby ich nie spotkał taki los, jakiego doznają dyktatory emigranckie, gryzieni troskami władzy najwyższej, której rozkoszy nigdy nie użyli" (230). Wystosowane to zostało niekoniecznie, być może, na intencyę Słowackiego, który w tymże jakoś czasie pisał do matki („Listy", wydanie Méyeta, t. II, str. 143): „latałem za marą szczęścia w różne strony... nabierałem także powagi i blasku; tych, co mi byli niechętni, przymusiłem, że otwarcie przedemną stanęli i, widząc mnie niedrżącego, z przed oka mego ustąpili ze wstydem"; w każdym razie, zaznaczmy przy sposobności prześliczne *confiteor* Mickiewicza: „każdy z nas nieraz wierzgnie i drugich zrani; bo, póki człowiek żyje, póty trwa walka, różne myśli, różne uczucia przewiewają głowę i serce"... (143). „Nie dajmy się, bądźmy sobą, stójmy przy swoich prawach" powtarza często i w jednem miejscu (do pani Wodpol, 1852 r.) pojaśnia: „Szukaj wszystkiego, co pociesza, co cię podnosi. Nie daj nikomu z ludzi panować nad tobą. Bądź osobą wolną. Oceń wszystkie prawa, wszystkie środki, które posiadasz, i wszystkiego broń i niczego nie daj sobie wydrzeć. Pokoju ducha nie daj sobie nikomu wydrzeć" (258).

Porównawcza analiza usposobień duchowych i temperamentów artystycznych Mickiewicza i Słowackiego niemało powabnych rzeczy obiecaćby obecnie mogła. Przeprowadził ją niegdyś po mistrzowsku Krasiński na podstawie zasadniczych cech twórczości poetyckiej, w ich dziełach wytkniętych i zestawionych. Ale w podniebnej, oderwanej krainie piękna, duchy wielkie zanadto się obnażają ze swych właściwości, ze swych ziemskich różnic i w tej swojej bezkrwistości podobne są do owych spirytystycznych całek, któremi świeżo Lutosławski, wzorem Leibnitza czy Towiańskiego, wszech-

świat zaludnił. Dziś, kiedy posiadamy listy Mickiewicza i listy Słowackiego, możnaby tę lotność nadobłoczną, balonową obciążyć nieco balastem realizmu, ściągnąć ją bliżej ku nam, spowinowacić więcej z wymaganiami i nomenklaturą doby bieżącej. Przeciwieństwa żądz, widoków, pobudek, aspiracyi wewnętrznych uwydatniłyby się wtedy w całej pełni i barwności przeciwieństw formalnych, zewnętrznych, ostro i jaskrawo występujących na ostatniej, gramatycznej nawet powierzchni pisarskich trybów obu naszych wieszczów. Według wszelkiego prawdopodobieństwa odsłoniłby się przez to i rzetelnie literacki, naukowy powód tajemniczego zamilczenia Mickiewicza o Słowackim w wykładach paryskich. Treściwy, zwięzły, dośrodkowy, rzeźbiarski, indywidualistyczny i nawet w najszczytniejszych polotach (w „Improwizacyi" np.) zawsze jeszcze konkretny i niemal empiryczny Mickiewicz, kto wie,—chciał może, lecz nie zdołał pochwycić, ująć i pokazać powiewnego, rozlewnego, odśrodkowego, fantazyjno-rozrzutnego, panteistycznego, tęczowo-pajęczego i metafizycznego widma utworów Słowackiego. Od wyborowego pisarza Mickiewicz wymagał zalet, jasno i dokładnie określonych. Gosławskiego, przypominającego cokolwiek Słowackiego, z tą tylko różnicą, że go twórca „Dziadów" kochał, taka oto admonicya spotkała w liście do Odyńca z r. 1827: „Gosławskiego uściśnij, wiersze jego czytałem w dzienniku ze smakiem, ale powiem szczerze, że wiersz, w którym zefir przekrzywiał, pożywiał i wywijał, jest pełen deklamacyi... Gosławski może się obłąkać na drodze. Byron tak nie pisał, Goethe tak nie pisał, Trembecki tak nie pisał, Szyller tak nie pisał. To nie jest ani klasyczność, ani romantyczność, — to jest poprostu nonsens. Gdzie niema wyraźnej, dobrze od pisarza zrozumianej myśli, gdzie nie ma prostego i mocnego uczucia, tam mimo słów, figur nic nikt nie znajdzie" (48). Z laty nacisk na ową prostotę, zrozumiałość, wyrazistość, rósł i wzmagał się w Mickiewiczu. Porządnie dostało się z tego powodu Odyńcowi w r. 1828 za jakiś jego dramat, w którym kwiaty rozmawiają o astronomii czy coś w tym guście. „Mam wstręt okrutny — (przepraszając już przyjaciela za pierwszą burzę, tłómaczył się autor „Grażyny") — wstręt okrutny mam do wszystkich wysp i krajów, których niema na mapie, i do królów, których niema w historyi; te intrygi, osnowane na przebraniach się, siurpryzach, wyroczniach, dla mnie nieznośne" (61). Przedmiotowość treści i dostępność przedstawienia nie powinny wszakże bynajmniej pociągać za sobą pospolitości i banalności w ogólnych założeniach i celach. Przeciwnie. Mickiewicz przekonanym jest, że nadejdą czasy takie, kiedy trzeba będzie być niemal świętym,

żeby módz być poetą, kiedy trzeba będzie rozległych wiadomości i prawdziwego natchnienia, — natchnienia z góry, z wyżyn, „żeby obudzić w ludziach uszanowanie dla sztuki, która nadto długo była aktorką, nierządnicą lub polityczną gazetą" (164). Przedewszystkiem atoli, jak na dziś, trzeba myśleć o dobrym stylu. „Dobry zaś styl — to ten, który się najbardziej zbliża do mowy, do rozmowy, a nawet wszystkie zwroty pisma, szczególniej, kiedy się rozprawia o rzeczach poważnych, wyższych, powinny prostotą i szczerotą chodzić w tok rozmowy prostodusznej, prostoserdecznej. To, co piszemy o rzeczach bożych lub ojczystych, powinno być zrozumiałe dla każdego, kto kocha Boga i ojczyznę, a zatem dla pokojowej, dla ekonoma, dla stangreta (czy, jak u was mówią, fornala) nawet. Nie idzie tu o to, aby sposób mówienia zniżać, zbłaźniać, skarczemniać. Wszak pieśni pobożne i wiele pieśni ludowych są proste, ale razem poważne. Trzeba brać wzór z pieśni ludu i dawnych naszych kronikarzy—Stryjkowskiego, Bielskiego, a mianowicie Skargi" (255). Oczywiście, nic podobnego nie przyśniło się nigdy Słowackiemu, — o niczem też podobnem nie można było nawet marzyć z powodu pism Słowackiego. Charakterystyka, ocena talentu twórcy „Anhellego", skreślona według modły mickiewiczowskiej, wyglądałaby chyba wprost potwornie. Byłoby to bodaj czy nie coś w tym rodzaju, jak gdyby posążek Róży Wenedy z bronzu, żywcem chciał kto wcisnąć i wkleić w płótno, na którem napowietrzne walki wszechludów i wszechwieków odmalowane zostały z perlistych mgieł poranka, z krwawych odblasków zorzy, z bladych przywidzeń sennego przerażenia. Dopiero doktryna Towiańskiego zatarła w części, zamazała niektóre ostrzejsze rysy zasadniczej tej między poetami niezgodności wytwórczej. Pod koniec życia np., około r. 1848, Słowacki tak samo, jak Mickiewicz dużo myślał i radził o ludzie, tak samo, jak on, stawiał dziennikarstwo na jednej niemal linii z nierządem i temiż samemi prawie słowami określał programowe zadania Polski, która, jak obaj jednomyślnie utrzymali, „tylko wyższem uczuciem musi być pojmowana". Ale o jakie to cuda autor „Króla-Ducha" u tej Polski się nie napraszał! o jakie cnoty od tego dziennikarstwa się nieupominał! jakich darów Bożych dla tego ludu się nie spodziewał!... Kiedy Mickiewicz po powrocie w r. 1848 z Włoch, dokąd na odgłos wypadków udał się był „w interesie braci" z posłannictwem czynnem, nie przestawał długi czas jeszcze karmić się nadzieją pomyślniejszego obrotu walki, „z którą i nasz los ściśle jest połączony", kiedy nawet po dniach rzezi czerwcowej na ulicach Paryża wyłącznie w poziomości zamierzeń „władz rządowych" upatry-

wał główną zawodów i klęsk przyczynę (245, 246), — to już Słowacki oddawna się pożegnał ze wszelkimi widokami „chirurgicznego, od góry przerobienia świata"... Czy był od swego „oligarchią zarażonego" antagonisty przenikliwszym, jaśniej widzącym? — Kto to dziś w chaosie niedonoszonych następstw wyśledzi i odgadnie! To tylko pewna, że obie wspaniałe te dusze, obadwa wzniosłe te umysły chmurzyły się, skwierczały, schły, mizerniały, więdły w warunkach obcego otoczenia, zaś rozpromieniały się, biły skrzydłami, rosły — nawet fizycznie — jedynie wtedy, gdy przez jakąś szparę odetchnęły powietrzem ojczystym. Jak przed dwunastu laty Mickiewicz, po odwiedzeniu kraju, pisał do księżny Wołkońskiej 16 kwietnia 1832 z Drezna: „po przejściach strasznych zeszłego roku, po życiu zwierzęcem albo raczej roślinnem w lasach poznańskich, zaczynam teraz czuć, myśleć, żyć" (105), — tak znowu obecnie Słowacki, po takiejże nad Wartą wilegiaturze, pisze do Januszewskiego z dnia 9 października 1848. „Teraz zdrów jestem i po napiciu się waszego powietrza ożywiony, nieco tylko skłonniejszy do gniewu, do dysput, co mi pokazuje, że na ducha mojego źle oddziałały dzienniki wasze, które przywiózł mi Reytzenheym. Ciągły w nich materyalizm, a co gorsza, że dosyć wykształcony i różnojęzyczny. Mądrości polskiej— nigdzie. Człowieka z siebie mówiącego także nigdzie nie słychać. Nic twórczego. Duch święty nie wionął na waszą okolicę. Nikt nad szumem łanów nie wzniósł się i nie przeszedł się ze spokojnością Chrystusa... To, cośmy tu zdarli na emigracyi — dawne szaty nasze, u was są nowością; ciekawość macie i z nią tylko zbliżacie się do tej wolności, która na próby będzie wystawiona, jeżeli jej kto nam doskonale stworzonej i świecącej wprzód nie pokaże" (Meyet, II, 327). Tu znowu na punkcie owej wolności do zapracowania, do zdobycia trudem ciężkim i ustawicznym Słowacki, jak widzimy, jednoczy się z zapatrywaniem Mickiewicza, który w liście do Konstancyi Łubieńskiej (bez daty, 1848?) powiada: „Nie osiągniesz tej swobody, nie znajdziesz twojej drogi do ziemi, jeśli ciągle nie będziesz mieć przed oczyma wyższego celu... A niedość go mieć przed oczyma, — pałając, dążyć ku niemu winniśmy. To dążenie jest istotą życia; reszta wszystko dodatkiem" (245)... Wzniosłe myśli! czarujące słowa! — wprost niepodobna rozstać się z tymi skarbami wiedzy, poezyi, doświadczenia, stopionych w jeden kryształ prawdy moralnej.

Wróćmyż jeszcze na chwilę do nielicznego kółka osobistych już tylko przyjaciół litewskiego wieszcza, tych, z którymi najcięższe nawet spory były „jako małe odmiany powietrza latem" (141) — i do

tych samotnych rozmyślań lub prac wróćmy, wśród których poeta, niepodzielnie czując się „szczęśliwym", mógł całymi tygodniami „z domu nie wychodzić" (104). Wiadomo, że największą wsród obcych sławę posiadał Mickiewicz — wraz z katedrą paryską... Jakże atoli często później żałował cichego kąta w Lozannie, gdzie na skromniejszej posadzie licealnej był kochany, słuchany, czczony, pomimo, że w gronie zażartych protestantów, „sam jeden był katolikiem"... Stanowisko profesora literatur słowiańskich w Kolegium francuskiem zajął Mickiewicz głównie dlatego, „żeby Niemiec jaki nie wlazł i na nas stamtąd nie szczekał" (216). Ale trudu było bezmiar, narzekań jeszcze więcej, a przy ognisku rodzinnem — zasiadła niemilknąca prawie troska. „Często bywa u nas ciężki smutek — utyskiwał profesor w d. 26 lutego 1841 przed Wiktorem Jundziłłem, towarzyszem serdecznych pogawędek w Lozannie — i, ilekroć wypadnie mi kurs gotować, kiedy w domu kłopot, wiele cierpię wtenczas na zdrowiu umysłowem i bardzo się starzeję... Przecież kurs, jak mogę, ciągnę. Z Polonią mam niemało biedy. Piszą do mnie listy, przychodzą radzić, rektyfikować, oskarżają, żem stronnik Rosyi etc." Nękał go i język wykładu, bolało rozproszenie naszych sił umysłowych. „Daję tedy tu kurs po francusku — pisał do Domeyki jeszcze z Lozanny 8 Listopada 1839—jak ty po hiszpańsku, a mój brat w Charkowie po rusku" (203). Do swarów poeta przywykł był już dawniej, wcześnie się z nimi oswoił, skoro w sierpniu 1838 zapewniał Bohdana i Józefa Zaleskich, iż sejmikowemi uchwałami i protestami nie zaprząta sobie głowy. „Cóż chcesz? — gdziekolwiek ludzi trochę na odpust się zjedzie, naturalnie, że tam wnet sąsiedzi karczemkę przy kaplicy wystawią". Drażniło go tylko posądzenie, jakoby każdy z nas starał się „coś przy kościele utargować" (183). Przeklinał tartakowy gwar, kurz, kał i męty spraw, rozpraw miejskich; na seryo utrzymywał, że na bruku miast wielkich nigdy nie urodzi się wielki człowiek" (145). Później od wszystkiego otrząsnął stopy, umył ręce, — dał gadaninom za wygraną. „Kiedy niekiedy odzywać się do rodaków, robić, co można, a zresztą nie mieszając się w dzienne zdarzenia, obrady, czekać dni lepszych, pogodniejszych, oto, zdaje mi się, powinienby być plan ludzi uczciwych"... „Oprócz win własnych innego prawdziwego nieszczęścia niema. Mało dbać o świat i ludzi, nie oglądać się na nikogo, tylko na siebie, to jest jedyna nauka, której ważność późno daje się czuć w całej rozciągłości"... „A zresztą, łatwo sobie z drobiazgami poradzi przyszłość, — bo, ile czas i oddalenie donioślejsze dzieła powiększa, o tyle lilipucie sprawy — pomniejsza i pożera"... „Z opinią ludzką to

jeszcze pół biedy; cała bieda przychodzi dopiero z zakorzenionemi ułomnościami charakteru i obyczajów narodowych. Pańskość—oto nasz grzech pierworodny, oto niszcząca nas choroba chroniczna. My tu, na emigracyi, chociaż tak długo biedujemy, humory i nałogi mamy ciągle pańskie, stąd i sposób widzenia pański kwitnie u nas zawsze"... „Ta zaraza manier hucznych, dwornych, magnackich czepia się najuporczywiej czystych zazwyczaj sukienek niewieścich, i to jest dla nas najstraszniejsze, bo Polka, polska kobieta może, i powinna rozważać, kobiety innych narodów nie są do tego obowiązane" (wyjątki z listów do Niemcewicza, Łubieńskiej, Potockiej, Domeyki i t. d., str. 148—253). Zasępiającemu się z wiekiem widnokręgowi rozmyślań, przerywanych zaledwie zrzadka radośniejszemi wzruszeniami wyobraźni lub serca, pieśń życia również wtórowała niezbyt wesoło, częściej nastrojona elegijnie, niż godowo. Do nadzwyczaj miłych wyjatków i niespodzianek sam poeta zaliczył odezwanie się Ewuni z „Pana Tadeusza", Henryety Ankwiczówny, już jako hrabiny Kuczkowskiej. „Szczęśliwy dziś jestem, Henryeto, — odpowiada jej w dniu 8 kwietnia 1855 r. — szczęśliwy, zaczynając w imię twoje pierwszy dzień zmartwychwstania i wiosny... Tę przyjemność winienem twojemu łaskawemu zgłoszeniu się. Zawsze pewien byłem twoich życzliwych dla mnie uczuć, ale dowód tej życzliwości, który, po tylu latach, pierwszy raz wprost od ciebie, wprost z ręki twojej, odebrałem — przyszedł mi w sam czas, stał mi się wielką pociechą. Od roku owego, kiedym cię poznał w Rzymie, życie moje jest prawie ciągłem grzebaniem kogoś lub czegoś... Z pokolenia, z którem żyłem i przywykłem biedować, jedni nas na zawsze porzucili, drudzy ciągną dni pogrobowe, nielepsze od śmierci. W ciągu lat takich, ilekroć wspomniałem o tobie, starałem się pocieszać tą myślą, że ty, Henryeto, nie należąc do tego smutnego pokolenia, przyszedłszy na świat znacznie później od nas, żyłaś pod inną, a więc może pod lepszą, gwiazdą... Wszakże, znając twoją duszę tkliwą i umysł wysoki, rozmyślałem się, że i ciebie nieraz musiała dotknąć w tych czasach niedola, jeśli nie osobista, to rodzinna i bliźnich"... Nie omyliło Mickiewicza, jak i w innych wielu okolicznościach, przeczucie wieszcze. W liście jego, datowanym z Marsylii 14 września 1855 r., więc, wobec komunikacyi ówczesnej, otrzymanym może przez Hanryetę wraz z wieścią o zgonie Mickiewicza, czytamy: „Nie wiedziałem wcale, iż tylu klęskami byłaś dotkniona osobiście. Nie uwierzysz, jak mi było mile dawniej myśleć o tobie, jako o istocie szczęśliwej... Owoż i to złudzenie

zniknął!"... Nie było ono ostatniem, — przetrwało zgon poety, szło, jak młodość w żałobie za jego pogrzebem. Śmierć, — pani wspaniałomyślna i litościwa, dziwnym uściskiem, szczególnem przeplątaniem faktów i uświadomień powiązała białą wstęgą wspomnień Henryety nieśmiertelny sojusz wileński: Czeczotta, Zana i Mickiewicza, złudnie umieściwszy poetę w tym związku — pośrodku. W liście do tomasza Zana, skreślonym w Paryżu i zaadresowanym do Wilna w d. 2-im września 1855 r., pisał Mickiewicz: „Wiadomość o śmierci Janka (Czeczotta), możesz pojąć, że mnie nawskroś przeszyła. Właśnie około tego czasu, kiedy żyć przestał, często bardzo śniło mi się o nim, a zawsze w jeden sposób, zawsze zdawało mi się, że on przybył do miasteczka, gdzie teraz osiadłem, i że mnie szuka; ja znowu, zdawało się, że zapomniałem, wynaleźć tego mieszkania i sam siebie obwiniałem o takie niedbalstwo. Sen ten powtórzył się kilkanaście razy, aż doszła wiadomość o jego zgonie, i on ostatni raz pokazał się, jak gdyby zapraszając mnie do siebie"... Trzebaż trafu, że, zanim Mickiewicz zdążył odbyć swą podróż do Konstantynopola, skąd wrócił dopiero na cmentarz w Montmorençy, — już i Tomasza na świecie nie było: zabrał go Janek do siebie w dniu 7-ym Lipca 1855 r., bez wiedzy Mickiewicza...

Kaź. Włostowski.



Publiusza Wergiliusza Marona

SIELANKA VI

(SILENUS)

(przypisana Warusowi).

Sielanki Wergiliusza były już kilkakrotnie w całości tłómaczone na język polski. Najdawniejszym jest przekład ks. Ignacego Nagurczewskiego; drugim Józefa Lipińskiego, dodany do zbioru sielankarzy polskich wydania Mostowskiego z r. 1805. Oba dokonane są wierszem 13 zgłoskowym, rymowanym; pierwszy językiem nieco rozwichrzonym, niedbałym, raczej szlacheckim, niż akademickim, ale przez to samo więcej pociągającym barwą, niż język Lipińskiego, gładki, ujęty w karby klasyczne, lecz nieco blady. Następnie wyszedł przekład ks. Jana Gorczyczewskiego we Wrocławiu 1821 r.; ale z tym nie mogłem się spotkać w Warszawie i nie wiem, jak wygląda. Nareszcie Marc. Motty wydał ich przekład w Poznaniu r. 1852 wzorowym językiem i wybornym heksametrem, jak w tekście pierwotnym. Dodam jeszcze, iż tę jedną, obecną właśnie sielankę parafrazował Szymonowicz.

Cztery przekłady w ciągu lat stu to dowód, że każde u nas pokolenie interesowało się jednak tem dziełem rzymskiego poety. Czyby zainteresowało ono dzisiaj, rzecz to wątpliwa. Podając też próbkę, jedną sielankę z dziesięciu, nie myślałem o całości; chciałem tylko przy tym archaicznym zabytku poezyi być niejako *cicerone*'m czytelnika, okazać dzisiejszym ów ciekawy zawsze kontrast między duchem kompozycyi współczesnych a z przed wieków dziewiętnastu. To, jakby dom—odkopany w Herkulanum, obok kamienicy warszawskiej lub innej; albo, jak echo zagrobowe wśród głosów żyjących.

Wybrałem sielankę najtrudniejszą do przekładu, a chciałem mój odróżnić od innych mi znanych, żądając mianowicie, aby był wiernym, bez dodania poza tekst pierwotny, wynoszący 86 heksametrów, ani jednego wiersza (Nagurczewski i Lipiński dodali ich po 10 i więcej); następnie, ażeby dokonany był wierszem rymowym, który uważam za jedynie właściwy dla poezyi polskiej. Pierwsze założenie powiodło mi się, ale kosztem, lubo niewielkim, drugiego: gdyż, ażeby wyjść z trudności wiersza, rytmicznie ograniczonego, a związanego rymem, gdzieniegdzie, w trzech lub czterech miejscach, musiałem albo dodać wyraz, nie istniejący w tekście, albo jakiś mniej znaczący wyrzucić.

Jest to przytem najtrudniejsza sielanka do zrozumienia dla czytelnika, a to z powodu aluzyi osobistych, jakoteż szczegółów mitologicznych, które autor zaledwie potrąca: nie szczędziłem też komentarza, aby ustępy takie mniej więcej czytelnikowi rozjaśnić.

Bohaterem sielanki jest *Silenus*, półbożek, wychowawca Bachusa, stary urwis leśny, artysta, lubownik wina, pieśni i nimf. Dwom młodym pastuszkom i jednej Najadzie (nimfie leśnej) śpiewa on o początku świata i o rozmaitych wydarzeniach legendowych. Autor, odzywający się jego ustami, czerpie wątek zrazu z Epikura, następnie z Apollodora.

Utwór poświęca on Warusowi (Varus, *cognomen* kilku rodów rzymskich). Kto jednak był ten Varus, jakoby kolega autora ze szkoły filozoficznej Skarrona, epikurejczyka, niewiadomo; wnosząc z aluzyi, byłby jakimś znakomitym wojownikiem: historya wszakże nazwiska jego nie uwydatniła.

Zabrzmieć raczyła nutą Sykulskiego wiersza [1])
I zamieszkać wśród lasów naszych Talia pierwsza [2]).
Gdym o królach i wojnach chciał śpiewać przy lirze,
Cyntius szczypnął mnie w ucho i ostrzegł: — „Tytyrze, [3])
Pasterzowi paść owce i snuć wiersz prostaczy!"
Ja też — znajdą się, Warze, co twą chwałę raczej
Będą woleli śpiewać, ciężkie głosić boje, —
Do sielskiej Muzy wątłą mą dudkę dostroję.
Co wolno, śpiewam. — Ale, gdy znajdą się chętni
Czytać to, Warze, — łąki, cały gaj zatętni
Imieniem twem: najmilszą Febowi stronica,
Którą imię twe, Warze, u góry zaszczyca.
Dalej, Pierydy!... Chromis i Mnazyl, młodzieńce,
Ujrzą w grocie Sylena. Śpiąc, leżał opiły,
Winem wczorajszem wszystkie wzdęły mu się żyły,
Jak zwyczajnie; w pobliżu spadłe z głowy wieńce,
Ciężka konew na uchu przetartem wisiała.
Weszli, — nadzieją pieśni stary te chłopięta
Często znęcał — wnet z wieńców zrobili nań pęta:
Przyłączyła się do nich i Egle nieśmiała,
Najgładsza z Najad. Gdy już spozierał po stronie,
Krwawą morwą barwiła mu czoło i skronie [4]).
Rozśmiał się z psoty, mówiąc:—„Rozwiążcie mnie przecie,
Chłopcy! Poco to pętać? Dość wam, że możecie....
Chce wam się pieśni? Będzie pieśń dla was; dziewczyna
Inną weźmie nagrodę". — Ot i rozpoczyna.
Dopieroż w rytm zwierzęta i Fauny poskoczą,
Twarde dęby z wierzchołków zaszumią ochoczo.
Nie tak skałę Parnasu Feba głos porusza,
Nie tak Ismar, Rodopę—pieśni Orfeusza[5]).

---

[1]) [2]) [3]) W tekście wiersz zowie się Syrakuzańskim od pierwszego wielkiego sielankopisarza greckiego, Teokryta, urodzonego na wyspie Sycylii, gdzie leżą Syrakuzy. Mieszkańców zowią też rzymscy pisarze Siculi.—Talia czy inna muza, mniejsza o to: dość, że pierwszeństwo w tym rodzaju poezyi w Rzymie sobie przypisuje Wergiliusz, przez Talię natchniony. Właściwie natchnął go Teokryt, którego jest pobożnym naśladowcą. Cyntius—przydomek Apollona od rodzinnej wyspy Delos, zwanej także Cynthus (Κύνθος).

[4]) Może przez pustotę, a może też jest to aluzya do starego obyczaju malowania na czerwono posągów bóstw, który co do bożyszcz leśnych przetrwał bardzo długo.

[5]) Góry w Tracyi, ojczyźnie tego mitycznego piewcy.

Bo śpiewał, jak przez puste bezmiaru przestworza
Szły zarodki powietrza, i ziemi, i morza,
Razem lotnego ognia; z pierwszego ich drgania
Wszystko i miękki obszar świata się wyłania;
Toż grunt tężeje, morze osiada i rzeka,
A ląd za lądem zwolna w kształty się obleka.
Zdumione ziemie widzą, jak wybłyska słońce,
I z chmur nagromadzonych deszcze spadające.
Poczęły wzrastać lasy, a w nieznanych zrazu
Górach rzadki zwierz błądził. — Złączył z tem osnowę [1])
O rzutach głazów Pirry, dzieje Saturnowe [2]),
Kradzież Prometeusza i ptaki Kaukazu;
Wieść, jak Hyla żeglarze znikłego nad rzeką [3])
Wołali: Hylu! Hylu!.. aż brzeg grzmiał daleko.
Szczęśliwą, gdyby stadnin nie było na górze [4]),
Pocieszał Pazyfae, zakochaną w turze.
Ach, biedna dziewko, jakież to zdjęły cię szały!

---

[1]) Opis początku świata idzie według atomistycznej doktryny Epikura, zawartej w Lukrecyuszu. Dalej głównie przewodniczy autorowi Apollodor.

[2]) Jest tu zmieniony porządek chronologiczny. Naprzód idzie wiek Chronosa. Następnie, według wersyi Apollodora, nowy władca świata Zeus na ludzi żelaznych za ich złości spuścił potop, przed którym ocalał tylko Deukalion, król Ftii trackiej, i żona jego Pirra (Pyrrha). Ażeby nanowo zaludnić świat, dzięki trafnie wytłómaczonej wyroczni, zaczęli oboje rzucać za siebie kamienie, (kości wielkiej matki — Ziemi), z których powstawali ludzie. Inną grupę stanowi mit o zbuntowanych Tytanach, z których Prometeusz za wykradzenie ognia z niebios cierpi przybity do skały Kaukazu, gdzie orzeł wyżera mu wątrobę.

[3]) Wieść o pięknym Argonaucie, którego nad swą krynicą w Mizyi porwały nimfy i ukryły tak, że ani współtowarzysze, ani nawet domniemany ojciec, Herakles, odnaleźć go nie mogli.

[4]) *Pasiphaë*, według jednego z najstarszych mitów kreteńskich, jest żoną króla Krety, Minosa (błędnie zatem nazywa ją *virgo*, panną). Minos prosił Posejdona, aby mu postawił tura, na znak panowania nad wszystkiemi dzielnicami wyspy, a on mu go poświęci w uroczystej obiacie. Posejdon zadość uczynił prośbie; ale Minos, zachwycony pięknością tura, zamiast obiaty, zabrał go do stada, a bogu poświęcił lichego stadnika. Rozgniewany bóg za karę nawiedził królowę szaloną dla podstępnie zabranego tura miłością, z której powstał głośny także w legendzie Minotauros. Rozprowadzając ten mit, Silenus mówi naprzód od siebie, czyniąc zwrot do nieszczęśliwej; następnie, od wiersza 55, mówi już za nią aż do końca ustępu.

Pretydy rykiem krowim pola napełniały [1]),
Ale żadna za bydłem nie szła do folwarku,
Chociaż się opędzały przed jarzmem na karku
I na gładziutkich czołach wciąż rogów szukały.
Ty zaś po górach błądzisz, dziewo nieszczęśliwa:
Kiedy on, na borówkach złożywszy bok biały,
Pod ciemnym wiązem trawę zieloną spożywa
Lub goni za jałówką. Zamknijcież dokoła,
Dyktejskie nimfy, leśne zamknijcie rozdroże! [2])
Jeżeli oczom waszym trop błędnego woła
Ukaże się przypadkiem, to jego być może,
Zwabionego przez stado albo trawkę młodą,
Do Gortyńskiej obory jakie krówki wiodą.
Tu panna, w Hesperyjskie jabłka zapatrzona. — [3])
Tam w mszystą, gorzką korę, siostry Faetona [4])
Strojąc, stawia on wzniosłe na ziemi olszyny.
Śpiewa, jak Gallus błądził nad Permesu brzegiem [5]),

---

[1]) Córki Preta (Προῖτος): Lizyppa, Ifinoe i Ifianassa, ukarane szałem przez Dyonizosa za niechęć do jego obsługi, biegały po całym Peloponezie w przywidzeniu, że są krowami. Wyleczył je lekarz i wieszcz, Melampos.

[2]) Dikte, i dalej Gortyna: miejscowości na Krecie.

[3]) Atlantyda, córka Jazona, słynna łowczyni, w biegu niedościgniona. Nagabana o zamążpójście oświadczyła, iż temu tylko pozwoli się wziąć, kto ją w biegu uprzedzi do mety; inny od strzały zginie z jej ręki. Kilku już padło, gdy ostatni, z łaski Afrodyty uzyskawszy trzy złote jabłka, przy wyścigu rzucał przed nią po jednem. Znęcona pięknością złotego owocu, zatrzymywała się, by podejmować, co opóźniło jej bieg: przy ostatniem on ją pochwycił i za żonę otrzymał. Wergiliusz po poetach greckich, po Propercyuszu i Owidyuszu, wprowadza nową wersyę, jakoby to były jabłka z ogrodów Hesperyjskich, gdy w tamtych są to tylko jabłka złote.

[4]) Siostry Faetona (Faetontydy v. Heliady), syna Heliosowego (słońca), który raz tak się naparł obiegać wozem słonecznym, że ojciec mu pozwolił. W słabych rękach nie mogąc utrzymać ognistych rumaków, staczał się z wozem za nizko, to znów rwał się za wysoko, tak, że byłby spalił niebo i ziemię. Zapobiegając temu, Zeus piorunem go zabił. Siostry, śmierć jego opłakujące, zamienione zostały w olchy, według innych w topole (prawdopodobnie mit podsuwa jakieś drzewo, którego gałęzie opadają w dół, wyobrażając łzy).

[5]) Pomiędzy te mity o charakterze naiwnym i postaciach legendowych autor niewłaściwie wprowadza człowieka rzeczywistego, i to z doby spółczesnej sobie. Cajus, czy Cn. Cornelius Gallus obok wysokich urzędów za ces. Augusta

Jedna z Muz na Aońskie wwiodła go wyżyny,
Wszystkie przed uczniem Feba stanęły szeregiem.
Pasterz Linos ze zdobną w kwiat i jaskier głową
W takie się boskim wierszem doń odezwał słowo:
— „Przyjmij tę, którą Muzy wręczają ci, fletnię:
Przy niej starzec Askrejski śpiewywał tak świetnie,
Że jesiony z gór ściągał. Ona ci jest znakiem,
Iż gaju Grynejskiego ty masz być śpiewakiem,
Bo żadnym się Apollo nie chlubi dotyla".

Cóż dalej?... Oto głośna z opowieści Scylla, [1])
Szczekające potwory u lędźwi dzierżąca,
Kruszy tratwy Odysa, w wodną przepaść strąca
Wylękłych majtków morskim psom na rozszarpanie.
Śpiewa, w jakiej postaci Terej uległ zmianie [2]),
Na jaką Filomela ucztę go zaprasza,

---

uprawiał na skalę poważną krasomówstwo i poezyę. Pisał elegie, bardzo w swoim czasie cenione; naśladował i tłómaczył poetę Aleksandryjskiego, Euforyona, który znowu rodzajem kompozycyi łączył się ze starym Hezyodem. Stąd i Wergiliusz czyni tu Gallusa przez Euforyona następcą tego „starca z Askrei" (ojczyzna Hezyoda) i każe mu opiewać gaj Grynejski (w Eolidzie), gdzie była słynna świątynia z wyrocznią Apollina. Ustęp ten jest właściwie hołdem, złożonym przyjacielowi od lat dziecięcych, który wieloraki zawód swój skończył samobójstwem. Poeta wprowadza go nad rzekę Permessos, wytryskającą z góry Helikonu, siedliska Muz, w Beocyi, góry, stanowiącej odłam łańcucha Aońskiego, gdzie Muzy i legendowy wieszcz Linos sprawiają Gallusowi rodzaj apoteozy.

[1]) Scylla, córka Krataidy (mylnie tu nazwana córką Nizosa), znana od czasów Odyssei potwora, czyhająca na okręty w zatoce Mesyńskiej. Między innymi szczegółami swej powierzchowności była ona u lędźwi opasana wieńcem potwornych psów morskich, które wypuszczała na nieszczęśliwych rozbitków.

[2]) Tereus, król tracki, żonaty z Prokną, miał z nią syna Itysa. Ale ukrył żonę, ażeby połączyć się z siostrą jej, Filomelą, upewniwszy ją, iż żona umarła; a iżby podstęp się nie wydał, wydarł Filomeli język. Siostry jednak zdołały się porozumieć i postanowiły zemstę. Zabiły małego Itysa, a Filomela podała go Tereuszowi, jako potrawę. Za zbiegłemi po tem okrucieństwie siostrami puścił się Tereusz, by je ukarać, i w chwili, gdy miał już dosięgnąć, one rozpaczliwie zawołały do bogów, aby je zamienili w ptaki. Prośba skutkowała: Prokne zamienioną została w słowika, Filomela w jaskółkę (dlatego też u Wergiliusza „oblatuje około własnego poddasza"), Tereusz w dudka.

Jakim biegiem umknęła samotna, jakiemi
Skrzydłami krąży wedle własnego poddasza. —
Wszystko, co z głosu Feba usłyszał na ziemi
Szczęsny Eurotas, czego nauczał wawrzyny, [1])
Śpiewał Sylen; pieśń gwiazdom odbiły doliny:
Aż kazał zliczyć owce, spędzić ku oborze.
Z żalem Olimpu Wieczór zstąpił na przestworze.

Kazimierz Kaszewski.



[1]) Rzeka, oblewająca Spartę, mająca po obu brzegach krzewy i gaje wawrzynowe.

Miączyński i Dumouriez.

Wizerunki i sceny historyczne z dziejów Polski i Francyi

(1769—1793) *).

VI.

Sesya generalności. — Misya hrabiego Marschala. — Dwór wiedeński. — Zmiana frontu. — Rozkaz opuszczenia Cieszyna. — Wyjazd Viomenila. — Rozproszenie się konfederatów.

Konfederacya generalna zebrała się była dnia 16 czerwca 1772 r. na połączoną obu narodów sesyę, celem powzięcia uchwał w przedmiocie poselstw zagranicznych i kontraktów o dostawę prochu i broni. Jeszcze posiedzenie nie było ukończonem, gdy nadspodziewanie pojawił się oficer austryacki, ozdobiony kluczem szambelańskim, i wszedł do pokoju, gdzie byli zgromadzeni adjutanci i urzędnicy rozmaitych wydziałów.

— Jestem majorem, hrabią Marschal — oświadczył gość — przysłanym tu jestem przez generała grafa Altona, celem zakomunikowania panom generalnym marszałkom rozkazu, jaki właśnie nadszedł od Najjaśniejszej monarchini.

*) Ob. „Ateneum" styczeń i luty, 1900 r.

Okazało się, że dwór wiedeński rozkazał konfederatom opuścić Cieszyn w ciągu dni czternastu i zażądał bezzwłocznego rozpuszczenia wojsk. Jako łaskę, przyznano emigrantom możność zatrzymania się czasowego na Węgrzech i Morawach.

Wybrano tymczasowo miasteczko węgierskie Sillein, gdzie oczekiwać miano rezultatu starań posła francuskiego o złagodzenie dekretu banicyi.

W tych okolicznościach Miączyński zachował spokój niewzruszony.

— Moje postanowienie — oświadczył Heykingowi — jest następujące: pozostanę przy marszałkach generalnych i pełnić będę ich zlecenia do chwili, aż się rozstrzygnie los Polski. Co do ciebie, zaklinam cię, przyjacielu, byś został ze mną i dzielił nadal wspólnie dolę i niedolę".

„Podziękowałem mu za przyjaźń, lecz niepodobna mi było wiązać się słowem. Ponieważ konfederacya jeszcze się nie rozwiązała, musiałem w każdym razie oczekiwać zleceń marszałka Paca.

„Gdym nazajutrz rano zaszedł do hrabiego, odłożył pióro na stronę, usadowił mnie przy sobie i wynurzył przedemną w zaufaniu to, co mu podyktowało jego patryotyczne uczucie.

„Zgnębieni sprzymierzeniem się trzech mocarstw, — mówił — których rywalizacya była dotąd rękojmią naszego bezpieczeństwa, musimy uledz nieprzepartej sile. Lecz skonfederowani postanowili utrzymać między sobą święte węzły, które ich dotąd kojarzyły. Wystarczy, by zgromadzenie narodowe zredukowało się do bardzo szczupłego grona. Zadaniem jego będzie nadal, jak było dotąd, walka z nieprzyjaciółmi. Wyczekiwać ono będzie stosownej chwili, by członków swoich, przebywających czasowo w ojczyźnie, zjednoczyć około wspólnego celu. Starajmy się ich ocalić. Proszę cię zatem, byś na papierze, ile można najmniejszego formatu, napisał do pana Choisy i upoważnił go do poddania zamku krakowskiego, na warunkach kapitulacyi honorowej. Pewien młody szlachcic polski zobowiązał się ową kartkę z dopiskiem Viomenila, z narażeniem życia własnego, doręczyć generałowi Choisy.

„Zabrałem się bezzwłocznie do pracy i przygotowałem projekt listu, który Pac zaakceptował, a następnie drobniutkiemi literami przepisałem go na kartce. Podpisali ją obaj marszałkowie i polecili oddać Viomenilowi. Podobny rozkaz wysłano i do innych komendantów.

„Komendant Częstochowy, otrzymawszy rozkaz, wydał twierdzę Austryakom, nie Rosyanom, ponieważ zależało mu na względach Austryi, od której bezpieczeństwo naszych osób zależnem było.

„Baron Viomenil za zgodą wodzów generalności zerwał umowy z dostawcami, bądź przez stratę zadatku, lub też za wynagrodzeniem. Pomagali sobie Polacy z iście braterską miłością. Zachowałem w pamięci wiele rysów wspaniałomyślności tego szlachetnego narodu, który, zaprawdę, lepszego wart był losu".

Uchwała, solwująca sesyę, została wprowadzoną w wykonanie. Obaj marszałkowie generalni, biskup Krasiński, wielki hetman Ogiński, generalny sekretarz Bohusz, dwunastu marszałków i konsyliarzy konfederacyi — wszyscy oni, rozjechawszy się, udali się do Czaczy, a stamtąd, do Sillein, na Węgry. Generał Viomenil i oficerowie francuscy pożegnali się z konfederatami najserdeczniej. Przed wyjazdem wręczył Pac Heykingowi w imieniu skonfederowanych sto dukatów, jako gratyfikacyę, wynurzywszy przytem najłaskawsze słowa uznania generalności i własne za okazane przezeń usługi. Postanowił Heyking udać się na Węgry za generalnością bez jakiejbądź pensyi.

Doniósł księstwu kurlandzkim o wszystkiem, co zaszło. Księżna była w rozpaczy z powodu, że biskup do Wiednia nie pojechał; lecz istotnie był chory i przygnębiony, i brakło mu sił do tej podróży, której celu zresztą nie przewidywał.

Poseł francuzki w Wiedniu, książę Rohan, nic nie wiedział o zaszłej w polityce dworu wiedeńskiego po za jego plecami zmianie i dopiero wiadomość o niej otrzymał od przybyłych do stolicy konfederatów. Zarządził też bezzwłocznie wypłacenie z kasy francuskiej zasiłków najbardziej potrzebującym.

VII.

W Sillein. — Łańcut. — Miączyński w Monachium. — Projekty landgrafa hessenkasselskiego. — Aspiracye jego do tronu polskiego. — Awanturnik Bollo. — Rokowania z Miączyńskim. — Konfederaci w Schafhuzie. — Rada kantonalna. — W Rhyneck. — Druk manifestów. — Rozstanie się konfederatów. — Ułaskawienie Miączyńskiego. — Powrót do kraju.

W miasteczku Sillein otrzymali wychodźcy wiadomości z Wiednia, iż dłuższy ich pobyt w tej miejscowości nie będzie przez

władze austryackie cierpianym. Poradzono im Sillein opuścić i zbliżyć się do granicy Francyi.

Ponieważ Wielhorski zapowiedział rychły swój przyjazd do Monachium, postanowili wychodźcy zebrać się czasowo w Łańcucie, dla powzięcia uchwały co do dalszego trybu postępowania.

Wybrał się tam i Miączyński, zaprosiwszy barona Heykinga, by mu towarzyszył.

Baron obiecał, że, po załatwieniu spraw w Dreznie, do Łańcuta przyjedzie. Niezależnie od konieczności widzenia się z księciem Karolem, zależało mu na pozyskaniu listów polecających od tego ostatniego, do elektorowej bawarskiej, siostry księcia, i do brata tegoż, elektora trewirskiego, by przychylnie usposobić władze bawarskie dla wychodźców polskich.

Z Drezna pojechał Heyking do Łańcuta z oficerem niemieckim, Schillem, rozgłośnym dowódzcą z czasów wojny siedmioletniej, który, przyjęty do konfederacyi, rościł jakieś pretensye do wielkiego hetmana Ogińskiego, a nie będąc w stanie piśmiennie swych pretensyi wyłuszczyć, uprosił Heykinga, by mu był w tej mierze pomocnym.

W Łańcucie zastał Heyking wielu Polaków, i tam nadszedł doń list od Miączyńskiego z Monachium, wzywający go, by bezzwłocznie przybył tam na mieszkanie, gdyż pragnie się z nim w ważnych porozumieć sprawach.

Nie czekając dłużej, wybrał się Heyking do Monachium i zajechał do hotelu, w którym się Miączyński ze starostą Brz. (?) był zatrzymał.

„Miączyński — pisze w swoim pamiętniku baron Heyking — udzielił mi wiadomości o projekcie, według którego landgraf hessenkasselski miał być forytowany na króla polskiego, ponieważ elektor saski tron Rzplitej odrzucił, a naród polski dłużej Stanisława Augusta na nim utrzymać nie chce.

„Projekt ten powierzył w zaufaniu Miączyńskiemu pewien ksiądz, noszący nazwisko hrabiego Bollo. Ksiądz ów, rodem z Genui, używanym był przez tęż republikę do rozmaitych poselstw tajnych. Gdy król polski zaciągnął w Genui pożyczkę 100 tysięcy dukatów, pośrednikiem w owej sprawie był Bollo. Po krótkim pobycie w Warszawie, gdzie się wplątał w brzydką sprawę usiłowania otrucia pewnej osobistości, której żonę bałamucił, wałęsał się Bollo po Niemczech i uczepił w końcu klamki landgrafa hessen-kasselskiego i snuł tam dalej projekt wyforytowania owego władzcy na króla polskiego. Miączyński zaklął mnie, bym się zajął korespon-

dencyą w tej sprawie. Uczyniłem to chętnie w taki sposób, że to mogło zachęcić Włocha do dalszych działań, lecz bez żadnych widoków powodzenia.

„Przedstawił mnie Miączyński posłowi francuskiemu, kawalerowi Folard, który już wielu Polakom ułatwił na dworze posłuchanie i pragnął to uczynić i mnie, zwłaszcza, że miałem listy polecające księcia Karola do siostry tegoż, elektorowej bawarskiej.

„Elektorstwo bawarscy odznaczali się wielką dla cudzoziemców przychylnością, i dlatego pobyt mój w Monachium był jednym szeregiem przyjemności, o których dotąd najmilsze zachowałem wspomnienie.

„Hrabia Bollo krzątał się tymczasem około urzeczywistnienia śmiesznego swego projektu. Nie mogąc sobie dać rady, uprosił Miączyńskiego, by mu był w tej mierze pomocnym. Miączyński wywijał się, ile mógł, tłómacząc się nieznajomością stosunków i związków politycznych księcia, jakoteż i ustępstw, jakieby tenże, w razie pozyskania tronu, narodowi polskiemu mógł uczynić. Radził zatem hrabiemu, by projekt swój sam wypracował. Awanturnik Bollo uprosił przeto Miączyńskiego imieniem landgrafa, by się osobiście stawił na dworze tegoż i rozpoczął układy. Lecz Miączyński wymówił się niemożnością wyjazdu do czasu odbycia posiedzenia wydziału konfederacyi, właśnie oczekiwanego, który miał o dalszym losie wychodźców postanowić ostatecznie.

„Taki był rezultat korespondencyi, prowadzonej w sprawie tronu polskiego, który się zakończył — jedynie wydatkami na porto pocztowe"...

Tymczasem elektor trewirski w przejeździe do Monachium w odwiedziny do siostry swojej i szwagra, elektorstwa bawarskich, przybył do Augsburga, czasowej swej rezydencyi. Przedstawionym mu tam został Heyking oraz Polacy, ku którym zawsze, jako syn Augusta III, w Polsce zrodzony, szczególną żywił sympatyę.

Za pośrednictwem ministrów elektora, baronów v. Hohenfeldt i v. Kerpen, uzyskał Heyking godność szambelana i posadę sekretarza przybocznego przy elektorze trewirskim. Zaledwie jednak zaczął pełnić tę służbę, gdy nadszedł z Monachium od Miączyńskiego list z załączeniem odezwy marszałka Paca, wzywający go do bezzwłocznego przybycia do Schafhuzy w Szwajcaryi, gdzie, stosownie do zobowiązań, przyjętych w chwili wyjazdu z Cieszyna względem konfederacyi, nastąpić miało uroczyste wzajemne uwolnienie się od przysięgi, na wierność tejże konfederacyi złożonej.

Baron Heyking okazał elektorowi to wezwanie, ożywione najgorętszą ku ojczyźnie miłością, i uprosił go o udzielenie mu na wyjazd do Schafhuzy zezwolenia. Elektor trewirski chętnie się ku tej prośbie przychylił, a nawet przy pożegnaniu poradził Heykingowi, by, z uwagi na świetniejsze w Polsce widoki karyery, porzucił służbę niemiecką, gdzie zawsze, jako cudzoziemiec i przybysz traktowanym będzie, i, korzystając ze sposobności, do dawnej swej ojczyzny powrócić się starał.

Z Monachium, gdzie go już oczekiwał Miączyński, udał się Heyking wraz z tym ostatnim do Schafhuzy.

Tu zebrała się tymczasem liczna gromada konfederatów barskich w niebytności marszałka Paca, który pojechał do Paryża, celem zasięgnięcia od dworu wersalskiego wskazówek, co do dalszego losu konfederacyi.

Rada kantonalna zaniepokoiła się owem tłumnem zebraniem cudzoziemców, z uwagi na możliwe ze strony Austryi reklamacye, i dlatego w uprzejmych przedstawieniach prosiła, by zjazd przeniósł się do innego, katolickiego kantonu. Celem uniknienia dalszych zawikłań postanowili konfederaci przenieść się do poblizkiego miasta Rhyneck i tam ogłosić protest przeciw podziałowi Rzplitej, w dwu językach: francuskim i łacińskim.

Zredagowany przez Bohusza w języku łacińskim manifest podpisali obaj marszałkowie generalni z sekretarzami. Krok ten zamknął im na zawsze możność powrotu do Polski, gdzie tymczasem Bohusz dobra swoje dziedziczne przelał na imię brata i poświęcił rozległe swoje starostwo.

Okazało się jednak, że w Schafhuzie, dokąd się Zboiński był udał, celem wydrukowania manifestu, żadna z drukarni tamecznych roboty tej podjąć się nie chciała.

Na zapytanie Heykinga, ile konfederacya przeznacza na druk manifestu? odpowiedział marszałek Pac, który w trakcie tego z Francyi był powrócił, iż konfederacya przeznacza sto dukatów na koszta druku 200 egzemplarzy w języku łacińskim i dwieście dukatów na 300 egzemplarzy francuskich.

— W takim razie ja się podejmę tego zlecenia — rzekł Heyking. — Ile dni przeznaczacie na wykonanie roboty?

— Pięć, do sześciu dni.

— To mało. Proszę o dni ośm. Zgodzono się na to, i Heyking, jako należący do loży wolnomularskiej, udał się do poblizkiego miasteczka, gdzie się znajdowała loża wolnomularska angielskiego obrządku, i tam pod warunkiem, że nazwiska pod manifestem wy-

drukowane nie zostaną, robota za cenę mniejszą od przeznaczonej wykonaną została.

Ostatnie zadanie konfederacyi zakończyło się. Ze łzami w oczach pożegnali się związkowi, jedni, z zamiarem powrócenia do kraju, inni — postanowili pozostać na obczyźnie.

Hrabia Pac nagląco prosił Miączyńskiego, by do pierwszych się przyłączył, tem więcej, że dobra jego nie były w terytoryach podziałowych sytuowanemi, a życzeniem całej rodziny było, by b. marszałek do kraju powrócił. W razie, gdyby Rosya odmówiła mu amnestyi, ze względu, iż do konfederacyi wrócił ponownie, Pac przyrzekł wyjednać mu dyplom oficera w służbie francuskiej, co poparł swą obietnicą i generał Viomenil.

„Rozstanie moje — pisze Heyking — z czcigodnym hrabią Pacem było nad wyraz wzruszające. Miałem przeczucie, że go już nigdy nie zobaczę. Dał mi listy polecające do dwu swoich przyjaciół w Polsce i radził, bym się starał o służbę przy księciu Adamie Czartoryskim, który obecnie w dobrych z królem pozostaje stosunkach i który niewątpliwie wyjedną mi przebaczenie za udział mój w konfederacyi.

— Nie opuszczaj swego przyjaciela Miączyńskiego — nadmienił przy rozstaniu. To zacny człowiek, ale słabego charakteru. Możesz mu być pod każdym względem pomocnym.

„Pojechałem tedy z Miączyńskim do Monachium. Tu zastał go naglący list od matki i od przyjaciół z prośbą, by nie zwlekał z powrotem. Radzono mu, by się zwrócił do posła pruskiego Bénoit, z uwagi, że część jego dóbr odpadła do Prus, i od tegoż wyjednał sobie paszport, który go osłoni przed impetycyami ze strony rosyjskiej. Listy te na prośbę Miączyńskiego ja sam zredagowałem. Prócz tego napisałem prośbę do posła rosyjskiego Stackelberga, o którym jak najpochlebniejsze miałem referencye. Jednocześnie wyjednałem sobie listy polecające od elektora trewirskiego do króla Stanisława Augusta, w którym przedstawiony zostałem, jako szambelan księcia domu saskiego. Hetman Ogiński dał mi nadto listy do żony swej i do synowicy, księżny Radziwiłłowej, przyjaciółki „od serca" posła Stackelberga, i mającej niepoślednie w towarzystwie warszawskiem wpływy.

„Upłynęło sześć tygodni, gdy pewnego dnia przybył do Monachium oficer polski z pieniędzmi i paszportem dla Miączyńskiego oraz z przychylną dla tegoż rezolucyą ze strony posłów: rosyjskiego i pruskiego.

„Nareszcie opuściliśmy Monachium. W Wiedniu spotkaliśmy się z młodym Wielhorskim, siostrzeńcem hetmana Ogińskiego, który ze swym mentorem, niemcem Bernhardi, właśnie przybył z Warszawy i dążył do Paryża.

„W tem ostatniem mieście odbył Wielhorski edukacyę, korzystając z nauk najsłynniejszych ówczesnych myślicieli, między innymi i księdza Mably, który mu dawał lekcye historyi i prawa publicznego. Młody Wielhorski celował wieloma talentami i niepospolitą wiedzą. Znał wybornie języki: francuski, łaciński, niemiecki, polski i włoski, a nawet wcale udatne wiersze francuskie układał. Przyjemnej powierzchowności, doskonałych manier i wesołego usposobienia pociągał ku sobie wszystkich, którzy go otaczali.

„Miączyńskiemu bardzo się dobrze wiodło w Wiedniu, tak, że trudno go było nakłonić do dalszej podróży. Wreszcie udało się to, lecz gdyśmy przybyli do Brna Morawskiego, zaszła nowa przeszkoda. Zastaliśmy tu panią P. S. K.., której tryb postępowania ujmę czynił głośnemu nazwisku, jakie nosić miała zaszczyt. Opanowała ona zmysłami Miączyńskiego do tego stopnia, że bezowocnemi były wszelkie moje usłowania, by wyrwać młodzieńca ze szponów owej niebezpiecznej niewiasty. Lekkomyślność jej zdziałała to, czego moje namowy osiągnąć nie były w stanie.

„Zawiązawszy nowy stosunek z jakimś austryackim oficerem, obudziła taką niechęć w sercu rozkochanego na zabój Miączyńskiego, iż ten pewnego wieczoru oświadczył mi, że dłużej tu nie pozostanie.

„Uszczęśliwiony takim obrotem sprawy poleciłem zapakować manatki i nazajutrz byliśmy już w drodze. W Krakowie zastał Miączyński listy od matki, wzywające go do przybycia z Lublina do dóbr jej, gdzie go już krewni i przyjaciele oczekiwać będą.

„Rozstaliśmy się tedy z Miączyńskim w Lublinie, a ja udałem się w dalszą drogę do Warszawy".

Na tem kończymy wyciąg z pamiętników barona Heykinga.

VIII.

Miączyński posłem na sejmie 1775 r. — Rada Nieustająca. — Miączyński w szeregach opozycyi. — Jego mowa sejmowa.

Do brzemiennego w tragiczne wypadki okresu pięcioletniego dziejów Rzplitej, jaki nastąpił po ostatnich wysiłkach orężnych kon-

federacyi, zakończonych oblężeniem i zdobyciem zamku krakowskiego (2 lutego 1772), konwencyami podziałowemi, sejmikami marcowymi 1773 roku, konfederacyą smutnej pamięci Adama Ponińskiego, ustanowieniem Rady Nieustającej, brak nam źródłowych danych, z którychby można było odtworzyć dalsze życiowe koleje b. marszałka bełskiego i wyjaśnić dokładnie rolę, odegraną przezeń w owej dobie rezygnacyi ogólnej kraju, po przebytej katastrofie.

Spotykamy się po dłuższej przerwie z jego nazwiskiem dopiero podczas nowej, nie orężnej, konfederacyi, zawiązanej pod laską Andrzeja Mokronowskiego, której zadaniem miało być poddanie rewizyi uchwał sławetnego sejmu 1775 roku. Widzimy tu Miączyńskiego, jako posła sejmowego, w szeregach opozycyi, przemawiającego za ograniczeniem wszechwładztwa Rady Nieustającej, która w rezydencie rosyjskim, hr. Stackelbergu, miała żarliwego rzecznika i orędownika.

Opozycya ta na pamiętnej sesyi 6 września 1776 r. dokładała wszelkich usiłowań, by obalić wnioski, dążące do absolutyzmu i do przelania na Radę Nieustającą mocy stanowienia nowych i objaśniania, a raczej uchylania arbitralnego, dawnych praw.

„Obywatel do Króla i Pana, syn Ojczyzny do jej Ojca, cząstka sejmującej Rzplitej do głowy narodu i widzialnego ciała wolnej, chociaż węzłem zespolonej, Rzplitej — głosił na owej sesyi starosta łosicki — otwieram usta moje, pełne wierności Majestatowi, dla zaradzenia istotnym Rzplitej potrzebom... Pozwolić Radzie Nieustającej tłómaczenia praw Rzplitej, któż nie zoczy, że tem samem jest, co dać jej większą moc nad prawodawcę, obfitszym uczynić strumyk nad samo źródło... jest to dać moc utworzonemu, żeby swego twórcy przeistaczał wyroki; jest to mędrszem uczynić dziecię — nad własną matkę, która mu swego jestestwa i życia udzieliła... Bo któreżby było tak najświętsze w Rzplitej prawo, by go moc tłómaczenia nie dosięgła?... Cieszył się ukrzywdzony z dopełnienia sprawiedliwości, gdy je w Trybunale, w Asesoryi, w Sądach marszałkowskich lub w komisyach wojskowej i skarbowej, kończąc, pozyskał.

„Dziś, wyrokom arbitralnym Rady Nieustającej, w posłuszeństwo oddanym będąc, albo dekret, albo sędziego w urzędzie widzieć będzie suspendowanym, a przecież na ministra są już sądy sejmowe, a sędziego, według wykroczenia, Trybunał sądzić i odsądzić może! Spoczywał dotąd spokojnie w domu swoim obywatel, krzewiąc rolnictwo, aby miał czem dom swój żywić i podatki opłacać. Dziś,

z lada pretekstu memoryałem od zawistnego sobie obwiniony będzie musiał za rozkazem Rady Nieustającej z najodleglejszej prowincyi przyjeżdżać do Warszawy, a przecież w poblizkości grody i ziemstwa obwinienie rozwinąćby mogły!" [1])

Wiadomo, że protesty owe nie zostały uwzględnione, gdyż większość sejmowa przechyliła się na stronę projektów rządowych, a jedynym owocem zabiegów stronnictwa reformy stało się powierzenie Andrzejowi Zamojskiemu projektu opracowania „Zbioru praw sądowych", który, odrzucony następnie, stał się w dziejach krajowych pomnikiem obywatelskich usiłowań swego twórcy, przez współczesnych według zasług nie ocenionych.

CZĘŚĆ DRUGA.

IX.

Miączyński w służbie wojskowej. — Rotmistrzem chorągwi pancernej. — Opuszcza kraj. — We Francyi. — Sprawy sercowe i pieniężne. — Ślub z Maryą Chaboteau. — Dumouriez. — Zatarg z nim. — Vergennes. — Długi i karty. — Ucieczka do Temple. — Wygnanie z Francyi.

Zawód rycerski odpowiadał zawsze temperamentowi Miączyńskiego. Zbliżywszy się nie tylko do dworu królewskiego, lecz i do osoby Stanisława Augusta, otrzymał godność fligel-adjutanta, a następnie rangę rotmistrza w chorągwi pancernej jazdy narodowej wojska koronnego, którą w roku 1776 był opuścił i przeniósł dalszą swą karyerę wojskową na obczyznę, do Francyi [2]).

Nie tylko jednak żądza szukania przygód rycerskich zagranicą skłoniła Miączyńskiego do porzucenia ojczyzny. Zdaje się, że i romantyczne usposobienie starosty łosickiego było mu w tej mierze impulsem.

Obok przygodnych miłostek żywił on w duszy szczere uczucie do pewnej Francuzki, którą był w Polsce poznał [3]), a która w epoce konfederacyi znalazła się była między gromadą oficerów,

---

[1]) Bibl. Ossol. *Rękop.* 577, Nr. 5.

[2]) *Akta kanclers.* w Arch. Głów. warsz. vol. 52, str. 11 i 36, str. 301.

[3]) *Mém. polit. et milit.* Paris 1797. T. I, str. 221.

przybyłych wraz z Dumouriezem do Polski. Była to niejaka Marya Franciszka Chaboteau, córka mieszczanina paryskiego Andrzeja i żony tegoż Joanny, z domu Coutel. Znany awanturnik, Marcin książę Lubomirski, którego młodość zeszła na romantycznych przygodach i na podbojach sercowych, (zakończonych czwartym ślubnym związkiem z frajliną Ewy Frank-Łabędzką), miał w epoce konfederacyi barskiej dosyć czasu i animuszu, by się ubiegać o względy panny Maryi Chaboteau, do której jednakim affektem, po otrzymaniu rekuzy od hrabianki Mniszchówny, pałał był i starosta łosicki, Miączyński. — Zwycięstwo sercowe zostało po stronie tego ostatniego, lecz rodzice młodzieńca długi czas sprzeciwiali się takiemu mezaliansowi.

Porzuciwszy karyerę wojskową w Polsce, pośpieszył Miączyński do Paryża.

Tutaj go w drodze do Ameryki spotkali po latach wielu dawni towarzysze broni z czasów konfederacyi barskiej: Maciej Rogowski i Kazimierz Pułaski.

„Miączyński — pisze Rogowski — żył huczno i mieszkał w porządnej kamienicy, niedaleko kościoła, gdzie jest grób i serce króla naszego Jana Kazimierza (Saint Germain des Près). Znając wielu dygnitarzy francuskich, czepiał się przy dworze w Wersalu i miał nadzieję dostać szarżę przy armii. Skomunikował on Pułaskiego z p. de St. Priest, a ten, odczytawszy list swego brata, oddał się na usługi wychodźców polskich i przyrzekł pomódz w podróży do Ameryki, do której się wybierał i markiz de Lafayette oraz p. de Noailles.

Opisuje dalej Rogowski ucztę, wydaną przez Miączyńskiego na cześć Polaków i Francuzów „z pierwszej noblessy. Znajdował się tam i Dumouriez, dawna znajomość nasza, ale, że z Pułaskim byli jeszcze w Polsce trochę na bakier, a ja nigdy do niego nie miałem nabożeństwa, więc nie przyszło między nami do wielkich oświadczeń, ani do żadnych tandresów. Traktament był prawdziwie polski, a przy końcu pito gęste wiwaty: między innemi za zdrowie Washingtona, Lafayetta i za powodzenie Amerykanów [1]."

W Paryżu też, z dyspensy arcybiskupa de l'Ange'a, odbył się dnia 8 kwietnia 1780 r. w kościele parafii Ś. Eustachego, ślub Miączyńskiego z panną Chaboteau, przy asystencyi byłych towarzyszów broni oblubieńca: pp. Józefa Kownackiego, kapitana jazdy w służbie Rzplitej polskiej, i Kazimierza Demeral, również kapitana kawaleryi polskiej. Ze strony panny młodej byli świadkami i dru-

---

[1]) Reszty pamiętn. Macieja Rogowskiego, edid.: K. Gaszyński. Paryż, 1847, str. 81 i 83.

żbami: Wephy Dondour de Balencour, prokurator parlamentu paryskiego, i Gabryel de Lette Longueville, dworzanin królewski.

Oprócz tej sprawy sercowej miał Miączyński w Paryżu na widoku i odzyskanie ze skarbu francuskiego majątku, poświęconego swego czasu na usługi konfederacyi barskiej. Nie wiadomo, czy tego rodzaju pretensya była uzasadnioną obietnicami emisaryuszów ministeryum Choiseul'a, to tylko pewna, że znalazła ona orędownika w osobie byłego wodza konfederacyi, Dumouriez'a, który, związany stosunkiem przyjaźni z byłym marszałkiem bełskim i powodowany względami wdzięczności za doznaną ze strony tegoż podczas potrzeby Lanckorońskiej usługę, postanowił dopomódz Miączyńskiemu w staraniach o uzyskanie od rządu francuskiego pożądanej bonifikacyi.

Prezydentem w zarządzie finansów był w roku 1783 hrabia de Vergennes i do niego to zwrócił się Dumouriez z przedstawieniem zasadności pretensyi Miączyńskiego.

Złe języki, które tyle szkody pamięci Miączyńskiego wyrządziły i pozostawiły w pismach, z epoki jego działalności we Francyi ślady, czerniące pobudki, któremi się powodował, służąc obcemu sobie krajowi, utrzymują, że w sprawie odzyskania wydatkowanych na konfederacyę funduszów zaszła była jakoby między Miączyńskim a Dumouriez'em tajna umowa, mocą której korzyści przewidywane miały być podzielonemi. Dodają, co prawda, że warunek taki narzucił był Miączyńskiemu sam Dumouriez, i tem wyjaśnić usiłują niechęć tajną, jaką marszałek bełski żywić miał do osoby generała francuskiego [1]).

Trudno sprawdzić zasadność owych niecnych insynuacyi, to tylko pewna, że w okresie czasu między rokiem 1783 a 1791 spotykamy Miączyńskiego i Dumouriez'a w nieustannych stosunkach, wyłącznie zajętych sprawą odzyskania „milionów", spotrzebowanych na konfederacyę, sprawą, która, mimo wszelkich starań i zachodów rezultatu nie osięgała.

11 czerwca 1783 pisał Dumouriez do Miączyńskiego. „Ponowiłem przed hr. de Vergennes świadectwo gorliwości, dobrej wiary i męstwa, których Wpan dałeś dowody podczas konfederacyi. Wiem, żeś wielkie poniósł straty i ofiary, pragnę więc usilnie, by minister otrzymał dla Ciebie od króla ich indemnizacyę." [2])

---

[1]) Cette condition imposée par Dumouriez, le rendut secrétement son ennemi", Mém. polit. z 1797. T. I, 221.

[2]) Z papierów wdowy Miączyńskiej. Klem. Hoffm. w Przyjaciel ludu 1837, Nr. 51.

Starania te Dumouriez'a i prośby Miączyńskiego, królowi przedstawione, zaledwie wyjednały zasiłek proszącemu w kwocie sześciu tysięcy franków, ktorych, z powodu wyczerpania skarbu, nawet mu nie wypłacono [1]).

Obarczony długami i bez możności utrzymania rodziny, której zwiększenia podówczas się spodziewał, schronił się Miączyński do Temple, przytułku, z którego go wierzyciele wydostać nie mieli prawa; pani Miączyńska zaś, niepomna na stan macierzyństwa, pospieszyła do Wersalu, by tam wyjednać sobie posłuchanie u króla. Przyjęto ją tam obojętnie, tak, że ze wzruszenia padła zemdlona w przedsionku pałacu. Na wiadomość o bezskutecznych staraniach Miączyński postanowił zemścić się na ministrze Vergennes i ogłosił przeciw niemu pamflet, przypisujący złej woli owego dygnitarza nieposzanowanie decyzyi królewskiej. Tem nie tylko, że swego położenia nie polepszył, lecz nawet wywołał ze strony króla rozkaz gabinetowy, skazujący go na wygnanie z Francyi [2]).

Schronił się wówczas Miączyński do Belgii i dopiero po wybuchu rewolucyi 1789 r. powrócił do Paryża, gdzie znowu przy pomocy Dumouriez'a ponowił przed zgromadzeniem narodowem starania o uzyskanie indemnizacyi [3]).

Z owej to epoki pochodzą układy, zawiązane między Miączyńskim a jednym z jego dawnych towarzyszów broni w Polsce i we Francyi, niejakim Piotrem Józefem van Lein, kawalerem „de Libin", byłym dowódzcą artyleryi i inżynieryi Rzplitej polskiej, konfederatem barskim.

---

[1]) A force des sollicitations, Vergennes, lui fit obtenir une pension de 6000 francs, que la dureté des temps ne permit pas de lui payer avec exactitude „Mém. polit." Autor owych zgryźliwych pamiętników nie oszczędza Miączyńskiego. „Dès ce moment, — pisze — on vit s'éteindre en lui les sentiments d'honneur et de delicatesse. Il devint joueur par désespoir et perdut toutes les qualités, qui lui avoient donné quelque éclat à l'âge de 25 ans."

[2]) W pamiętnikach Bertranda de Molleville, ziejących nienawiścią do Miączyńskiego, o czem niżej, znajdujemy w tej mierze szczegół następujący: „Il (Miączyński) me parla d'une contestation tres vive, qu' il avait eue avec M. de Vergennes. Il en avait publié une relation très longue et très circonstanciée". Mém. secrets. T. II. 234. O wygnaniu Miączyńskiego, z notat jenerałowej, Hoffmanowa w Przyj. ludu.

[3]) Pendant la première assemblée nationale Dumouriez avait apuyé un de ses mémoire en reclamation d'indemnité, sous la condition, qu'ils partageroient entre eux ce qui leur seroit accordé". Mém. polit. et mil. z 1797. I. 221.

Układy, o jakich mowa, spisane w dnia 25 listopada 1789, odnaleziono niedawno w Archiwum narodowem paryskiem (w kartonie T. str. 306 i nast., zatytułowanym *Inventaire Dumouriez*), a stanowią one doskonały komentarz do charakterystyki Miączyńskiego w tej właśnie epoce jego życia, gdy niekorzystne warunki bytu potocznego nakazały mu szukać ucieczki w przedsiębiorstwach przemysłowych, na wielką skalę obrachowanych, i w odzyskaniu utraconej fortuny. Ciekawy wstęp do układów, o jakich mowa, brzmi w przekładzie, jak następuje:

„Od lat dwudziestu związani uczuciem najszczerszej przyjaźni, jako towarzysze broni, w sprawach i czasach najtrudniejszych, narażając się wspólnie na niebezpieczeństwa podczas wojny w Polsce i doświadczywszy jednakich zawodów i niesprawiedliwości ze strony ministrów, od chwili powrotu do Francyi, pragnęliśmy zawsze zjednoczyć wszystkie nasze nadzieje i podzielić się po bratersku tem wszystkiem, cokolwiekby jeden lub drugi z nas mógł kiedykolwiek otrzymać od Francyi, tytułem wynagrodzenia za usługi, orężem naszym jej wyświadczone;

„Z uwagi nadto na zobowiązania, jakie ja, hrabia Miączyński, zaciągnąłem względem kawalera de Libin, z powodu przywiązania trwałego i niezmiennego, jakie mi okazywał osobiście w Rzplitej, jakoteż z tytułu korzyści, jakie ciągnąłem z jego talentów wojskowych i rad, jakich mi udzielał w czasach najtrudniejszych, i z jego pomocy przy fortyfikowania twierdz: Lanckorony, Tyńca, Bobrka, Ładygowic, gdzie miałem sposobność odznaczyć się wojskowo;

„Z uwagi nadto na straty, poniesione przez kawalera de Libin, skutkiem pozbawienia go płacy należnej mu z tytułu dowódzcy artyleryi i inżynieryi, której nie otrzymał, a za którą ja poręczyłem, w braku poręczenia ze strony Francyi, jako konsyliarz wojenny Rzplitej skonfederowanej, znając te nakłady, jakie łożył przy fortyfikowaniu miejsc wzmiankowanych, a to w epoce, gdy zmiany, zaszłe w gabinecie wersalskim, z chwilą wstąpienia do ministeryum księcia D'Aiguillon, wpłynęły niekorzystnie na opiekę, świadczoną przedtem Rzplitej skonfederowanej przez Francyę;

„Zważywszy nadto usiłowania, jakie w ciągu lat dziesięciu podejmował kawaler de Libin, celem wykazania słuszności moich reklamacyi i na użyteczność rad, przezeń mi udzielanych, celem przyspieszenia rezultatu moich zabiegów —

„Postanowiliśmy wznowić i wzmocnić dawne węzły przyjaźni naszej, w nadziei, że prawość i szlachetność francuska za pośredni-

ctwem organu Zgromadzenia Narodowego zwróci nam to wynagrodzenie, którego mamy prawo po Francyi się spodziewać".

W tym celu układający się postanowili: wynagrodzenie, jakieby pozyskanem zostało, podzielić na trzy równe części, z których jedną otrzymałby Miączyński, drugą — kawaler de Libin, a część trzecia zdeponowaną być miała w kasie wspólnej, jako kapitał pomocniczy do przedsiębiorstwa, jakie Zgromadzenie Narodowe w widokach ożywienia handlu i uspławnienia koryta Sekwany i rzek dopływających do niej temuż kawalerowi de Libin powierzyć postanowiło. Zyski z owego przedsiębiorstwa miały znowu ulegać podziałowi na trzy części, z których część trzecia miała być wspólną obu stronom wraz z procentami, jakieby przyniosła, lecz udział większy w niej miał mieć Miączyński, jako ojciec rodziny; mniejszą zaś kawaler de Libin, jako bezżenny.

W jednym z artykułów umowy zastrzeżono najwyraźniej, iż z uwagi na krytyczne położenie hr. Miączyńskiego i konieczność natychmiastowego spłacenia długów i zabezpieczenia posagu jego żony sposobem wyjątku dozwolonem będzie pierwsze wynagrodzenie, jakie Zgromadzenie Narodowe przyzna, podzielić na pięć części, z których pierwsza użytą byłaby bezzwłocznie na pokrycie długów Miączyńskiego, pozostałe zaś cztery części pójdą do podziału między wspólników.

Charakterystyczną ową umowę kończą podpisy i pieczęcie z hrabiowskiemi koronami.

Czy widoki obu towarzyszów broni sprawdziły się, i czy Zgromadzenie Narodowe przyznało im wynagrodzenie, którego wyjednania podjął się, prawdopodobnie Dumouriez, na warunkach powyżej przytoczonych, niewiadomo.

(*d. c. n.*) *Alexander Kraushar.*

Sprostowanie. W artykule „Miączyński" Zesz. II „Ateneum" na str. 364, wiersz 19 od góry, po wyrazie „Pułaskiego" powinno być zamiast przecinka, litera i, gdyż tak, jak jest obecnie, wygląda, że Miączyński został rozstrzelany, co nie jest prawda. Ma więc być „*rozstrzelać w przytomności Pułaskiego i Miączyńskiego*".



IDEAŁY
twórczości poetyckiej Schillera
oraz
POEZYI ROMANTYCZNEJ POLSKIEJ. *)



Powyższe rozprawy należą do nierzadkich już i u nas objawów owego zwrotu do idealizmu, który wprawdzie na polu literatury nie znalazł sobie jeszcze drogi właściwej, ale jej szuka i przy pomocy wyższych aspiracyi oraz wskazówek historyczno - krytycznych, z czasem niewątpliwie znajdzie. Filozofia już dawno przezwyciężyła powierzchowny naturalizm, zadawalający się świadectwem i potrzebami zmysłów, i położyła fundamenta pod ogólny pogląd na świat, czyniący zadość wszechstronnym i głębszym potrzebom du-

---

*) Z powodu rozpraw:
Wł. M. Kozłowski. „Filozofia Schillera i wiersz „Artyści". Wydawnictwo „Przeglądu Filozoficznego". Łódź, 1899.
Wanda. „Ideały romantycznej poezyi polskiej". Poznań, 1899.

cha ludzkiego. Ale przejście od ściśle naukowych danych filozofii do literatury i poezyi nie jest tak łatwe, jakby się to zdawać mogło. Twórczość poetycka jest objawem samoistnym; kieruje się przeważnie potrzebami serca i wchłania w siebie bardzo powoli czynniki myśli naukowej i filozoficznej. Kiedy czynniki te wytwarzają pewną ogólną atmosferę duchową, oddziaływającą na nastrój uczuciowy społeczeństwa, wtedy dopiero wciskają się one w umysły twórcze i znajdują odpowiedni wyraz w ich dziełach. Do wytworzenia zaś takiej atmosfery przyczyniają się znacznie prace, rozpatrujące cele i środki twórczości poetyckiej, zdające teoretyczną sprawę z jej aspiracyi życiowych. Prace takie są właśnie łącznikami między myślą filozoficzną a uczuciem poetyckiem i oddziaływają bezpośrednio na zrównoważenie tych różnorodnych objawów ducha ludzkiego.

Z tego stanowiska zaznaczone powyżej prace zasługują na bliższą uwagę; rozjaśniają one ideały, które przyświecały wielkim twórcom poezyi romantycznej, i tem samem przyczyniają się do rozwiązania kwestyi, do jakich celów dążyć winna poezya współczesna, jeśli chce zaspokoić wyższe, idealne potrzeby dzisiejszego pokolenia.

Rozprawa Wł. M. Kozłowskiego przedstawia filozofię Schillera na tle jego wiersza „Artyści (*Die Künstler*)". Już z tego okazuje się, że autorowi nie idzie o wyczerpujące rozwinięcie ogólnego poglądu wielkiego poety na świat i życie, jak to uczynił Kuno Fischer w swem dziele: „Schiller, als Philosoph", lecz głównie o scharakteryzowanie jego pojęć o sztuce i pięknie ze stanowiska filozoficznego. W samej rzeczy, w przytoczonym wierszu napotykamy, według słów autora, „wyznanie wiary poetyckiej" Schillera oraz pogląd jego na filozoficzne i dziejowe znaczenie sztuki, a więc na jej idealne dążności.

Dla należytego uwydatnienia tego poglądu autor szuka odpowiedzi na trzy pytania: 1) W jakim okresie twórczości poetyckiej i filozoficznej powstał ów wiersz i jakie odźwierciadla wpływy? 2) W jakim stopniu odbija ostateczne poglądy Schillera na piękno? 3) Jak pojmuje Schiller stosunek między pięknem a prawdą i dobrem?

Nie badając, w jaki sposób autor rozwiązał każde z tych pytań zosobna, podnosimy tu głównie poglądy znakomitego wieszcza nie-

mieckiego na ideał twórczości poetyckiej w celu porównania go następnie z takimże ideałem naszych pierwszorzędnych poetów.

Wiersz „Artyści” zaznacza ważny zwrot w życiu umysłowem Schillera, zwrot od jednostronnych, apryorycznie wyrozumowanych pojęć filozoficznych ku szerokiemu poglądowi na oświatę, jako ideał dziejowy, ku konkrentnym dążnościom życia, a na polu twórczości— ku czystemu pięknu w duchu mistrzów starożytnych, szczególniej Homera i tragików greckich. Pod wpływem tych czynników rozwija poeta główną ideę „Artystów”, polegającą na uznaniu zasadniczej jedności prawdy, dobra i piękna. Piękno jest zarazem prawdą, bo urzeczywistnia w sposób realny ideał przyrody, uszlachetnionej przez kulturę, odrodzonej w sztuce, jak tego dowodzi sztuka grecka. Ale i z dobrem łączy się piękno bezpośrednio, bo staje się jego wyrazem, symbolem i rozbudza bezinteresowne oddanie się ideałowi.

Ten zasadniczy motyw rozwijają „Artyści” szczegółowo ze stanowiska dziejowego i nadają mu przez to charakter ogólno-ludzki, humanitarny. Sztuka była pierwszą przewodniczką ludzkości i przygotowała stopniowy rozwój kultury etycznej i naukowej. Sztuka to „w lekkiej zabawie” nauczyła ludzkość, „sierotę, rzuconą w życia mętną toń, nieść ciężar obowiązków i poiła ją miłością”. Ona to

Od młodej piersi oddaliła
Nieczystych żądz hańbiący jad,
A wzniosłych cnót za młodych lat
Tajemny urok odsłoniła.

Podobnież tylko dzięki jej pośrednictwu rozbudził się w człowieku zmysł badawczy, rozwinęła się w nim gorąca miłość prawdy:

Nadobnych sztuk jutrzniany brzask
Prowadzi w jasny wiedzy kraj;
By prawdy znieść słoneczny blask,
Musimy przejść przez piękna raj.

Na podstawie tej ostatniej idei o ścisłym związku prawdy i piękna autor słusznie zestawia pogląd Schillera z poglądem, wygłoszonym za naszych czasów przez Alberta Langego w „Historyi i krytyce materyalizmu” o twórczości poetyckiej na polu metafizyki. Nie sądzę jednak, aby można było, wraz z autorem, nadać temu zestawieniu charakter zupełnej tożsamości. Sprowadzając metafizykę do twórczości poetyckiej na polu pojęciowem, Lange zaprzeczał znaczeniu naukowemu metafizyki i przeciwstawiał ją ścisłej nauce, bada-

jącej mechanizm przyczynowy zjawisk. Schiller natomiast dalekim był od takiego dualizmu. Istota prawdy łączyła się, według niego, bezpośrednio z szatą piękna i nie dopuszczała żadnej sprzeczności między współczynnikami rozwoju umysłowego ludzkości. To też udoskonalenie ludzkości, jako ostateczny cel jej rozwoju, dokonywa się, według Schillera, tylko dzięki ścisłemu zjednoczeniu piękna, prawdy i dobra. Poezya i sztuka, wiedza i nauka, religia i moralność to tylko niższe objawy jednego w sobie ducha ludzkości, przenikającego każdy z tych objawów. Jak światło białe, według trafnego porównania autora, rozkłada się na różnobarwną tęczę, a promienie barwne, łącząc się, wytwarzają znowu czystą białość światła, — tak i tu pierwotna jedność ducha rozkłada się wprawdzie na te odrębne objawy, ale je znowu skupia w jednolitej swej istocie i przez to zamyka przebieg swego dziejowego rozwoju. Poezya i sztuka odgrywają w tym rozwoju tylko dlatego rolę przodującą, że są bezpośrednim wyrazem ducha, uzewnętrznieniem treści, spoczywającej w jego głębiach. Więc nią się rozpoczyna i nią się kończy ten rozwój, bo ona jest właśnie widzialnem i dotykalnem zjednoczeniem wszystkich sił twórczych ducha ludzkiego. Z tego stanowiska przemawia Schiller pod koniec swego utworu do artystów w te słowa:

Ludzkości cześć wam poruczona,
Pilnujcie jej!
Z wami się wznosi, pada ona;
Poezyi tajnia niezgłębiona
Służy najmędrszym świata planom.
Niech cicho płynie potok jej
Ku wszechharmonii oceanom.

Oto ideał twórczości poetyckiej Schillera. Kozłowski rozwija w swej pracy ten ideał szczegółowo i wyjaśnia go przy pomocy danych, dotyczących rozwoju filozoficznego poety. Piękny zaś przekład „Artystów" Schillera pióra autora nastręcza czytelnikowi sposobność do samodzielnego wniknięcia w treść tego utworu.

Zestawienie powyższych poglądów Schillera na piękno i jego rolę dziejową z ideałami romantycznej poezyi polskiej wydaje się nam wielce zajmującem, a nawet pouczającem. To też korzystamy z ogłoszonej jednocześnie, a wymienionej na wstępie, rozprawy w tym przedmiocie dla dokonania owego zestawienia.

Autor „Ideałów romantycznej poezyi polskiej" rozwija w ogólnych zarysach, napisanych z serdecznem ciepłem, swój pogląd na czynniki idealne, które się uwydatniły w naszej poezyi okresu Mickiewiczowskiego. Za punkt wyjścia bierze zdanie Renana, że jest w historyi cywilizacyi ludzkiej jeden tylko cud i że tym cudem jest historya kultury i literatury greckiej.

Cudowną mianowicie jest ta okoliczność, że literatura grecka wzrastała bez żadnej pomocy i że wszystko zawdzięcza wyłącznie samej sobie, swojemu narodowi, swojej ojczyźnie. Rozkwit nowszych literatur przypada dopiero na czasy, kiedy zmartwychwstająca literatura starożytna stała się mistrzynią najznakomitszych nawet umysłów Europy zachodniej. One tedy nie rozwijały się o własnej sile, lecz potrzebowały pomocy, podpory ze strony dojrzałego piśmiennictwa Greków i Rzymian. Tymczasem Homer i Hezyod, Eschylos, Sofokles i Arystofanes, Platon i Arystoteles nie zawdzięczają nikomu nic, — i dlatego właśnie Renan nazwał literaturę grecką cudem.

Zdaniem autora, do owego cudu w historyi ducha ludzkiego dodać należy jeszcze jeden, może większy jeszcze, może mniej jeszcze zrozumiały, a jednak na prawdę istniejący, a tym cudem jest romantyczna poezya polska, bo ona wytworzyła się nie z niczego wprawdzie, ale naprzekór, w przeciwstawności do danych realnych warunków bytu i rozwoju życia narodowego. Wprawdzie, mówi autor, wiele okoliczności zewnętrznych sprzyjało rozkwitowi naszej literatury w wieku XIX-ym. Kraj był od wieków w kulturalnym związku z Europą zachodnią, a w końcu XVIII-go i na początku XIX-go wieku poezya wzniosła się w Europie na wyżyny wspaniałe. Na ruinach klasycyzmu zakwitł prześliczny kwiat romantyzmu. Wywarł on tedy wpływ i na naszą twórczość poetycką, sprawił i w naszej poezyi rewolucyę. Ale pomimo to właśnie w tym czasie położenie kraju nie zawierało, na pozór, żadnych danych do bujnego rozkwitu poezyi. Starym poetom pióro z rąk wypadało, inni pisać nie mogli, bo wpadali w melancholię lub obłąkanie, jak Zabłocki i Kniaźnin. Zapanowała tedy cisza głęboka...

Wtem niespodziewanie zupełnie zaczęto coraz głośniej mówić i u nas o jakimś romantyzmie, o jakimś świecie duchów, mar i upiorów, o jakiejś idealnej sferze marzeń! Starzy się gniewali, młodzi się cieszyli i zapalali. Aż jeden z tych młodych ogłosił swoje ballady i romanse. Podniosła się wrzawa, posypały się krytyki. Nic to nie pomogło. Romantyzm, zainaugurowany przez Mickiewicza i Zaleskiego, wystąpił do boju i zwyciężył. Za balladami przyszła „Gra-

żyna" i „Dziady", za dumkami Zaleskiego „Marya", za „Maryą" „Zamek Kaniowski", aż ukazał się utwór, który najwięcej narobił wrzawy — „Konrad Wallenrod". Przed „Wallenrodem" była wprawdzie poezya polska dzięki balladom, „Grażynie", „Dziadom", „Maryi", już świetną, była piękną, piękniejszą, niż wszystko, co było od „Trenów" i „Psalmów" Kochanowskiego do „Hymnu" Woronicza, ale jeszcze nie wielką, nie porywającą. Teraz dopiero stała się odrazu wielką i doszła do szczytu wielkości, kiedy w r. 1834 zabrzmiała pieśń tak pogodna, tak spokojna, tak cudownie piękna, jaką pozornie tylko w szczęściu zaśpiewać można, — to „Pan Tadeusz", korona całej poezyi naszej od pieśni Bogarodzica do Asnyka. Potem zjawia się „Przedświt" i trzy pierwsze „Psalmy", a wreszcie „Psalm dobrej woli", na którym się kończy wielkość naszej poezyi!

Na tle takiej, jak widzimy, wielce ożywionej charakterystyki najwydatniejszych objawów naszej poezyi romantycznej autor uwydatnia jej przewodnie ideały. I tu, jak u Schillera, na pierwszym planie stoi piękno. Poezya nasza, mówi autor, spełniła główny cel, do którego dąży każda sztuka, a którym jest piękno. Ale obok piękna przyświeca naszej poezyi inny jeszcze ideał, ideał dobra. Bez wszelkiej stronności powiedzieć można, że literatura nasza jest, w porównaniu z zachodnio-europejską dziwnie czystą, i teraz, w okresie Zoli, Maupassanta i d'Annunzia, a tem więcej dawniej — w okresie romantyzmu. Czystą zaś, na ogół biorąc, jest nasza poezya romantyczna dlatego, że głosiła właśnie najwznioślejsze ideały.

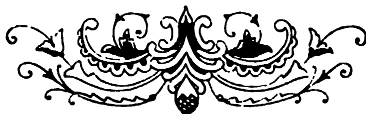
W dalszem przedstawieniu tych ideałów, świadczącem o podniosłym nastroju autora, występują na jaw coraz wyraźniej różnice naszej poezyi romantycznej od wszelkiej innej, a szczególniej od poezyi Schillera.

Porównanie cech, zaznaczonych szczegółowo w niniejszej pracy o ideałach poezyi romantycznej polskiej, z ideałami poezyi Schillera, rozwiniętymi w pracy Wł. M. Kozłowskiego, naprowadza nas na trzy takie różnice, charakteryzujące w sposób dobitny odrębności naszej wielkiej poezyi w ogólnym pochodzie twórczości poetyckiej. Oto wynik tego zestawienia.

Jeżeli twórczość poetycka Schillera miała przeważnie charakter ogólno-ludzki, humanitarny, to nasi wielcy poeci wskutek odmiennych warunków życia narodowego tworzyli przeważnie pod wpływem głębokiego poczucia swojskości i pragnęli przedewszystkiem zaspokoić indywidualne potrzeby i dążności narodu. Historyozofia ogólnie ludzka zastąpioną tu została historyozofią swojską. Następnie, gdy Schiller cały swój pogląd na świat i życie czerpał głów-

nie z filozofii i pojmował filozoficznie, nasi poeci pogrążali się często w głębie mistycyzmu religijnego i w nim szukali otuchy i podniety do rozwinięcia swych wspaniałych pomysłów. W ich twórczości wiedza ustępowała przed wiarą. Nareszcie, Schiller ulegał intelektualnemu nastrojowi swego czasu i narodu; samo poznanie, sama kontemplacya zadawalały go, przedstawiały mu się, jako ostateczny cel rozwoju dziejowego. Trafnie uwydatnia ten rys Kozłowski na str. 24 swej pracy, mówiąc: „Zamiast zbliżyć rzeczywistość do ideału, sprowadzając go na ziemię i nadając mu znaczenie bezpośredniego kierownika w dziejach, Schiller zwiększył przepaść między nimi, pozostawiając mu tylko pośrednie oddziaływanie z jego promiennych wyżyn". Nasi natomiast poeci, podobnie, jak i nasi filozofowie, kładli główny nacisk nie na myśl lub na uczucie, ale na wolę i czyn. Życiowe ziszczenie ideału, oto, według nich, cel dziejowego rozwoju ludzkości, a przybliżenie się do tego celu, oto ich misya. Autor „Ideałów romantycznej poezyi polskiej" z tego stanowiska bardzo słusznie zaznacza, że nasi poeci nie wygłaszali tylko swych idealnych haseł, ale mieli zarazem na oku „skojarzenie serca z rozumem, ideału z rzeczywistością". Domagali się oni „pracy ducha i rąk pracy" w kierunku urzeczywistnienia ideałów, domagali się przedewszystkiem „dobrej woli", jako warunku wszelkiego postępu ku doskonałości. I tem, zarówno, jak i poprzednimi rysami, zajęli wydatne miejsce w rzędzie najznakomitszych poetów świata.

Henryk Struve.



Zadruga w Polsce.

Na tle historyi i prawa porównawczego powstał ciekawy spór w nauce o zadrugę w Polsce. Instytucya ta, jak wiadomo, dotychczas przetrwała wśród Słowian południowych, jak Serbów, Chorwatów, Czarnogórców etc. Nikt jednak dotąd nie pokusił się o związanie jej z faktami życia pierwotnego i ustroju społecznego w Polsce.

Kwestya ta wyłoniła się dopiero w dwu pracach, a właściwie w recenzyi profesora Balzera [1]).

Mamy zamiar tutaj zaznajomić szan. czytelników z nowemi zdobyczami naukowemi, które z okazyi tego sporu wyszły na jaw.

W r. 1896 prof. Piekosiński wystąpił z książką p. t. „Ludność wieśniacza w Polsce w dobie Piastowskiej". (Kraków str. 151). Rzecz ze względu na wypowiedziane już zapatrywania przy hypotezie na-

[1]) Oswald Balzer. „Rewizya teoryi osadnictwa w Polsce" (Odb. z Kwart. hist. Lwów 1898, str. 47).

Tenże. „O zadrudze słowiańskiej. Uwagi i polemika" (Odb. z Kwart. hist. Lwów 1899, str. 741).

jazdu i dynastycznego pochodzenia szlachty, nie nowa. Z drugiej strony wysokie stanowisko, jakie sz. profesor zajmuje w nauce, jego bystrość w dociekaniu faktów historycznych z suchych i luźnych wzmianek źródłowych, wreszcie opracowanie szczegółowe jednego z najważniejszych zagadnień, dotyczących historyi społecznej w Polsce, wysunęła jego pracę ponad zakres zjawisk codziennych w nauce. Nie można się gniewać na autora o jego predylekcyę do pewnej hypotezy, skoro na zasadzie jej rozświetla wiele ciemnych zagadnień, posługuje się tym samym aparatem naukowym, co i inni, toruje sobie śmiało drogę pośród dziwnych znaków herbowych, które dla profana mają w sobie coś niby kabalistycznego, i na podstawie tych znaków (stannic) rysuje drzewo genealogiczne dynastyi Piastów i Popielidów. Dla sz. autora wszystko to być może. Lecz ten, kto się na jego runach tak dobrze nie zna, prędzej do pocztu przystąpi.

Gdy argumentacya runowa okazała się nie dość przekonywującą, sz. profesor wziął się do historyi społecznej, aby wykazać, iż stan ludności wieśniaczej w dobie Piastowskiej był tak dalece uciemiężony, a przedział między nią a warstwą szlachecką tak głęboki, iż ludność miejscowa, tuziemna nie mogła być niczem innem, jak podbitą ludnością przez najeźdźców, przybyłych z nizin nadłabskich w VI w. po Nar. Chr., którzy wytworzyli w Polsce klasę panującą czyli szlachtę.

Teraz naturalnie przeciwnicy hypotezy najazdu, a do takich należy i prof. Balzer, skierowali swoje usiłowanie w tym celu, aby wykazać, iż nie cała ludność wieśniacza w dobie Piastowskiej była niewolna i że warstwa szlachecka mogła powstać drogą stopniowej ewolucyi i zróżnicowania pierwotnej warstwy osadników w Polsce.

Prof. Piekosiński przypisuje założenie wsi na *ice* (z końcówkami patronimicznemi) osadnictwu jednej rodziny. Tak, Dalechowice zostały założone przez potomków Dalecha. Wsi zaś z końcówkami dzierżawczemi na—*ów*, —*in* wyprowadza od założyciela ojca (Dalechów od Dalecha). Na każdy sposób początek osadnictwa w Polsce tłómaczy osiedleniem się rodzin (jednej rodziny w każdej wsi). Tymczasem prof. Balzer porusza kwestyę, czy pierwotne osiedlenie, jak wogóle wszędzie, tak i w Polsce, nie dokonywało się r o d a m i, a więc grupami rodzin, połączonych z sobą węzłem pokrewieństwa. Dalej wskazuje na darowizny ludności wieśniaczej na rzecz kościoła w XII w., w których wymieniony jest pojedyńczy chłop wraz z braćmi *Gnevos cum fratribus* albo ze wszystkimi krewniakami (*cum tota generatione*). To go naprowadza na myśl o ist-

nieniu wspólnot rodowych, pod kierunkiem naczelnika rodu—głowy czyli starosty. W drugiej swej pracy, o której niżej pomówimy, wspólnoty te rodowe identyfikuje z południowo-słowiańską zadrugą. Wspólność majątkowa, gospodarcza i współżycie w jednym domu wszystkich członków rodu—oto cechy tej formy ustroju społecznego, która się przechowała jeszcze w pierwszych wiekach w Polsce.

Własność indywidualna ziemska w XII i XIII wieku w Polsce była już tak silnie rozwinięta, iż o jakiemś powszechnem prawie wspólnot rodowych nie może być mowy. To też prof. Balzer zastrzega się, iż te wieki są okresem przejściowym, w którym tylko możemy odszukać ślady dawnego ustroju rodowego. Takich śladów pozostało w dawnem prawie polskiem dwa: najprzód prawo, zabraniające pozbycia się ziemi bez zgody krewnych i stryjców, a drugi to prawo krewnych do okupu za zabójstwo członka rodu. W związku z tem wyraz gość (*hospes*), bardzo często spotykany dla oznaczenia pewnej kategoryi ludności wieśniaczej w Polsce, Balzer nie zawsze każe odnosić do cudzoziemca przybysza, ale zarówno do członka obcego rodu, który osiedlił się w obrębie wsi innego rodu.

Tę kategoryę ludności, jako obcą, późniejszą, napływową, zalicza prof. Piekosiński do warstwy ludności wolnej, podczas gdy cała masa ludności tuziemnej miała zostawać niewolną czyli przypisaną do ziemi (*asscriptitii*) na mocy pierwotnego faktu najazdu czyli podboju. Pod tym względem autor stoi w sprzeczności ze źródłami, które mówią wyraźnie o ludziach wolnych tuziemcach, a nie gościach (*liberi homines, non hospites, sed indigenae*), jak również z tym faktem, iż nazwiska gości są po większej części słowiańskie, polskie. Co prawda prof. Piekosiński, który wyprowadza szlachtę i dynastyę panującą od jakiegoś szczepu słowiańskiego nadłabskiego, nie waha się i tych wolnych chłopów sprowadzać do Polski z obszarów pogranicznych, zamieszkałych także przez ludność pokrewną słowiańską.

I w tem jest najsłabsza strona argumentacyi szan. profesora. Jest jeszcze i druga—oto ta, że cała ziemia należy do księcia i że książę rozporządza się nią, odbiera i nadaje dowoli. Jeżeli zaś wzamian za to chłopi otrzymają niekiedy odszkodowanie, to jest to tylko wynikiem łaski księcia, tudzież wyrzutów sumienia, budzących się w nim od czasu do czasu z tego powodu, iż tak niesprawiedliwie z biednymi chłopkami sobie postępuje.

Prof. Balzer słusznie wytyka p. Piekosińskiemu to przecenianie instynktów altruistycznych w epoce, gdzie gwałt i krzywda były na porządku dziennym, i dodajmy wogóle, iż historya, jak i polityka,

nie zna dytychczas takiego pełnienia funkcyi filantropijnych w społeczeństwie przez jakąkolwiek władzę, zwłaszcza, jeżeli te fakta miłosierdzia nie są odosobnione, lecz powtarzają się stale i ciągle. Dosyć już jest, jeżeli władza potrafi strzedz ustalonego porządku prawnego. A cóż stawałoby na przeszkodzie zdobywcy rozporządzać się samowolnie ziemią podbitą, jeżeliby miał do niej prawo?

Na innem miejscu będę usiłował dowieść, iż ziemia w Polsce w czasach pierwotnych nie należała do księcia z wyjątkiem p r e s e k i i u j a z d ó w. Pierwsza jest to pas gruntu pogranicznego między ziemiami, druga zaś między poszczególnemi wsiami. Ten drugi termin, ujazd, odpowiada niemieckiemu pojęciu marki, chociaż genetycznie nie ma z nią nic wspólnego. Te wsi, które powstały w obrębie ujazdów, są zamieszkałe przez ludność służebną lub niewolną książęcą. Tymczasem wsi, stanowiące jądro osadnictwa pierwotnego w Polsce, należą do ludności wolnej dziedziców. Tych ostatnich ziemia jest nietykalną nawet dla księcia, pomijając fakta nadużyć i uzurpacyi ziemi. Lecz nadania ziemi dotykały pierwotnie tylko ziemi w ujazdach. Co innego są fakta nadań juryzdykcyi patrymonialnej. Ten rodzaj nadań obejmował nieraz całe kasztelanie (np. nadanie kasztelanii Żnińskiej dla arcybiskupstwa gnieźnieńskiego w bulli r. 1136). Mimo późniejszego zatarcia się różnicy między nadaniem prawa własności do ziemi a prawa jurysdykcyi patrymonialnej, dwa te prądy trzeba traktować osobno, zwłaszcza, jeżeli się z nadań książęcych wyprowadza prawo własności księcia do całej ziemi tam, gdzie było tylko prawo zwierzchnicze księcia nad ludnością. Co więcej, ta ziemia, nadawana przez księcia, od której prof. Piekosiński wyprowadza własność ziemską szlachty, była w istocie swojej bardziej zależną od woli księcia, od jego chcę lub nie chcę, aniżeli własność, która się zwała ojcowizną. Ta ostatnia przechodziła z ojca na syna, i do niej książę nie miał żadnego prawa, chyba za zrzeczeniem się pretensyi do tej ziemi zarówno właściciela, jak i jego krewnych, podczas gdy ziemia nadana, jak wogóle wszelki przedmiot nadań w czasach średniowiecznych, podlegała restrykcyi władzy książęcej, potwierdzeniu lub cofnięciu przez niego samego lub jego następców.

Tyle w kwestyi prawa księcia do ziemi w dawnej Polsce. Oczywista, wnioski te odnoszą się ogólnie do wszystkich warstw ludności. Dosyć to już, aby zbić twierdzenie o tem, jakoby własność ziemska szlachty tworzyła się z nadań. Zamało jeszcze, aby twierdzić, iż chłopi tę własność ziemską posiadali. Ale i to nawet da się udowodnić, zwłaszcza na podstawie tego, iż książę roz-

porządza się ziemią chłopów dziedziców z ich wolą albo nawet po zrzeczeniu się ich prawa do ziemi.

Powracam jednak do pierwszej rozprawy prof. Balzera. Przynosi nam jeszcze ona nowe wytłómaczenie nazwy narok. Narok jest to służba ludności wieśniaczej na rzecz księcia, a ludność, do niej przeznaczona, zwała się narocznicy. Prof. Piekosiński, który w jednej z dawniejszych rozpraw tłómaczy ten wyraz od słowa rok (termin sądowy), zaniechał tego tłómaczenia i przyjął o wiele prawdopodobniejsze. Narok ma wskazywać służbę, do której ludność była powoływana „na rok". Balzer zastrzega się co do trafności swojego filologicznego spostrzeżenia, ale wyraz „narok" wydaje mu się urobionym od czasownika „narzec" (przeznaczać), narzeczona, podobnież, jak od wyrazu „wyrzec" pochodzi „wyrok", „wyrocznia". Panom filologom należy sprostować albo potwierdzić to przypuszczenie.

Znalazłszy ród, jako komórkę zarodkową organizacyi społecznej w Polsce, Balzer doszukuje się związku społecznego wyższego rzędu. Takim było, zdaniem jego, opole, które odpowiada południowo-słowiańskiemu bractwu. Co do genezy opola, autor zajmuje stanowisko pośrednie. Nie może mu odmówić znaczenia terytoryalnego, a więc nie byłoby opole wytworem organizacyi rodowej. Natomiast możliwem jest, że opole powstało, jako połączenie kilku lub kilkunastu rodów w celach obrony wzajemnej lub utrzymania pokoju (powoła).

A teraz przychodzi kolej na literaturę czeską. Kadlec w swojej pracy „Rodinný nedil čili zadruha o pravu slovanském" (Praga, 1898) podjął się zestawienia tego wszystkiego, co wiadomem jest o wspólnotach rodzinnych czyli zadrudze w historyi Słowian, i to nie tylko południowych, ale i północnych, a więc na Rusi, w Czechach i u nas. Do tego Balzer w swojej recenzyi rozprawy Kadleca dorzuca szereg uwag, zaczerpniętych ze zbadania zapisek, w tomach XI—do XVI „Aktów grodzkich i ziemskich" zawartych Stwierdza zatem istnienie wspólnot majątkowych w XV i XVI w. nawet pośród szlachty na Rusi. Wspólnoty majątkowe trafiają się w rodzinach popów, a nawet chłopskich.

Członkowie wspólnoty nazywają się „chlebojedźcami" (po łac. *panis comestores*) i istotnie mają nie tylko wspólny majątek, ale i wspólny dom, gdzie żyją. Polska nazwa, odpowiadająca pojęciu zadrugi, jest: bracia niedzielni (odpowiada czeskiemu bratři nedilni) albo pospólstwo pospolitości. Dla ścisłości trzeba dodać, iż obok pojęcia zadruga, które obejmuje nie samą rodzinę, ale szersze koło krewnych nawet pobocznych, żyjących we wspólnym domu na jed-

nym chlebie, istnieje jeszcze w nauce węższe pojęcie „inokoština" Jest to jedna rodzina, żyjąca we wspólności majątkowej, na wypadek wyosobnienia się jej z zadrugi. I naodwrót, po kilku pokoleniach „inokoština" może się przemienić w zadrugę. Ten typ wspólnot rodowych, które Balzer odnalazł w XV w. na Rusi, odpowiada zarówno ściślejszemu, jak i obszerniejszemu pojęciu zadrugi. A zatem są wspólnoty, obejmujące jedną rodzinę i nie trwające długo, jak również są i takie, które trwają przez kilka pokoleń i obejmują cały ród, z kilkudziesięciu członków złożony.

Kadlec w swojej rozprawie zaczepia kilkakrotnie o „Rewizyę teoryi osadnictwa" Balzera, a chociaż o wspólnotach rodzinnych w Polsce wiedziano i przedtem (Józef Hube, Maciejowski), to, bądź co bądź, jest to zasługa Balzera, iż pierwszy wspólnoty rodowe wprowadził do wytłómaczenia ustroju agrarnego i genezy społeczeństwa w Polsce.

Nic niema ważniejszego nad to, ażeby pierwotne fazy rozwoju społeczeństwa w Polsce traktować na tle porównawczem z dziejami innych ludów słowiańskich. A tymczasem ten kierunek badań, w którym Polacy niegdyś przewodzili (Maciejowski, Historya prawodawstw słowiańskich), dziś w naukowej literaturze historyczno-prawnej leży prawie odłogiem.

Znalazł się jednak drugi uczony czeski p. J. Peisker, który wystąpił z zaprzeczeniem twierdzenia, jakoby zadruga była typową formą pierwotnych stosunków agrarnych Słowian. Owszem, utrzymuje on, że własność pierwotna Słowian była ściśle indywidualna. Zasług p. Peiskera na polu historyi społecznej Czech lekceważyć nie można. Zaznaczył się on najprzód polemiką z Lippertem z powodu jego dzieła: „*Socialgeschichte Böhmens*". W badaniu stosunków agrarnych Peisker trzyma się tej samej metody, którą kierowali się uczeni niemieccy, jak Meitzen, Lamprecht etc. W określeniu stosunków własności, prawa do ziemi i układu poszczególnych warstw społecznych trzyma się on metody niezmiernie ścisłej. Wychodzi z badań kartograficznych, które są jedyną rękojmią w ocenianiu stosunków agrarnych. Na tej podstawie udało mu się wykazać, jak błędnie Lippert zapatruje się na stanowisko prawne ludności wieśniaczej w pierwszych wiekach dziejów czeskich (J. Peisker. *Die Knechtschaft in Böhmen*).

Teraz zaś w szeregu rozpraw, noszących tytuł ogólny „*Zur Socialgeschichte Böhmens*" (*Geschichte d. slavischen Pfluges* i *Die altslavische župa*) przekształca cały pogląd na dzieje pierwotne Słowiańszczyzny. A więc najprzód stawia twierdzenie o najeździe i podboju

germańskim, dokonanym na Słowianach — tem samem okazuje się, iż Słowianie na prawym brzegu Wisły zajmowali swe siedziby jeszcze na początku ery chrześcijańskiej. Dotychczas, jak wiadomo, odnoszono początki Słowian do VI-go w. po Nar. Chr. Drugą fazą rozwoju Słowian miało być ujarzmienie Słowian rolników przez Słowian pasterzy. Pierwsi wytworzyli pogardzoną odtąd warstwę smerdów, drudzy żupanów. Trzecią fazę stanowi wyzwolenie się Słowian rolników z pod jarzma pasterzy-koczowników. Do tego zdarzenia nawiązują się mity o chłopskiem pochodzeniu wielu dynastyi Słowian (Piastów, Przemysłowców).

Tam, gdzie się toczy tak żywa polemika, jak między Peiskerem a Balzerem, warto przyjrzeć się przynajmniej, do czego ona doprowadza. Muszę jednak być jak najostrożniejszym, gdyż przysłowie mówi: „nie kładź palca między drzwi".

Na ogół wywody Peiskera brzmią dziwacznie. Najprzód stan koczowniczy pasterski uważany jest powszechnie za niższy rodzaj kultury. Skąd więc warstwa ludności, czy nawet lud o niższej kulturze, może podbić i zapanować nad warstwą, o wiele wyższy szczebel kulturalny zajmującą? W tej pozornej nielogiczności jest zresztą wiele prawdy. Najprzód, etnografia porównawcza stwierdza, iż u ludów koczujących, które częściowo zajmują się rolnictwem, zajęcie to spada na niewolników, jako o wiele trudniejsze i cięższe. Powtóre, faktem jest, iż człowiek w stopniowym rozwoju przechodzi od zajęć lżejszych, jak myśliwstwo, pasterstwo, do trudniejszych, jak uprawa roli, a nawet tak skomplikowanych, jak dzisiejszy przemysł. Stąd porównałbym pracę rolnika i pasterza w dobie pierwotnej rozwoju społeczeństwa do dzisiejszej pracy robotnika a zawodowego inteligenta lub przemysłowca. Bezwarunkowo pierwsze rodzaje pracy są o wiele cięższe, i warstwa, trudniąca się niemi, z natury rzeczy podpaść musi pod przewagę warstw, lżej pracujących.

Najciekawszem jest, iż rolniczy Słowianie mieli być, zdaniem Peiskera, nauczycielami koczowników Germanów. Dowodu na to najważniejszego dostarczyła Peiskerowi historya pługa, który Germanie co do formy swej przejęli od Słowian. Podobnież jest faktem stwierdzonym, iż Istwoonowie, związek ludów germańskich, który zajął siedziby dawnych Celtów na prawym brzegu Renu, byli ludem koczowniczym i rolnictwa nauczyli się dopiero od swoich niewolników.

Co do drugiego okresu rozwoju Słowian —żupańskiego, Balzer zarzuca Peiskerowi, iż przypisuje żupanom znaczenie stanowe (warstwy ludności), gdy tymczasem żupan była to nazwa urzędnika wogóle, a wyraz żupa oznacza: urząd lub władza.

W tym punkcie rozchodzę się ze zdaniem sz. uczonego. Obok godności i urzędu wyraz żupa ma także znaczenie obwodu terytoryalnego (*supa cracoviensis)* [1]). Doszukując się znaczenia wyrazu żupa, prof. Balzer pominął jeszcze jedno—danina, od której ludność bywa uwalniana [2]). Nazwy danin również często biorą swój początek od jednostek terytoryalnych, jak opole, preseka etc. To stanowczo, zdaniem mojem, przemawia za tem, iż żupa była nazwą obwodu terytoryalnego. Co więcej, jestem skłonny przypuszczać, iż obwód ten stanowi kasztelanię, po łacinie *civitas*. U Słowian zachodnich w drugiej połowie XII w. naczelnicy wsi (*seniores villarum*) zowią się żupani. A przywilej Bolesława dla klasztoru lubiąskiego mówi o wsiach, nadawanych czy to przez osobę duchowną, czy też świecką, czy kogokolwiek z żupanów [3]). Możemy więc śmiało mówić nie tylko o godności żupańskiej, lecz i o podziale kraju na żupy i o warstwie żupanów. Co innego, jaki był jej stosunek do innych kategoryi ludności, tudzież, jak z biegiem czasu warstwa ta się przeobrażała i zeszła na stopień niższych funkcyonaryuszy książęcych.

Podobnież drugi wyraz smerd, mający rzekomo tylko partykularne znaczenie, a nie ogólnosłowiańskie, muszę wziąć w obronę wbrew twierdzeniu p. Balzera. Prof. Balzer utrzymuje, iż źródłowo da się on stwierdzić tylko w Miśni, jako też na Rusi. Trzeba dodać, że, chociaż rzadko, występuje on i w źródłach polskich (*smerdovnes)* [4]).

Podobnież co do wyrazu kmieć Balzer zaprzecza, jakoby był on nazwą chłopa. Kmieć oznacza kogoś z ludzi przedniejszych, nawet komesa. W „Bogarodzicy" Adam nazwany jest bożym kmieciem. Dopiero z czasem nazwa kmieć rozszerzyła się na przedniejszych wśród chłopów,—t.j. chłopów, osadzonych na prawie niemieckiem, w odróżnieniu od dawnych chłopów na prawie polskiem. Jako nazwę pospolitą dla oznaczenia wieśniaka, zdaniem p. Balzera, używano wyrazu chłop, co oznacza tyle, co człowiek. Powiedzmy, przeciwnie, niektórzy filologowie wywodzą ten wyraz od słowa uchłopić, tyle, co ułapać. Wyraz więc chłop służyć może dla oznaczenia jeńca, niewolnika, mieści w sobie coś pogardliwego. Jakaż więc mogła być inna nazwa polska dla wieśniaka, jak nie kmieć? Nie mam tutaj na myśli wszystkich kategoryi ludności wieśniaczej, tylko tę, która stanowiła warstwę, ekonomicznie niezależną i prawie wolną, czyli

---

1) Kod. Wielkopolski, t. II, 652.
2) W tomie I, 234.
3) „Urkundenbuch des Klosters Leubus", t. I, str. I.
4) Reg. Lit. t. I, 59.

dziedziców, co się zgadza z wywodami p. Balzera w pierwszej z pomienionych wyżej rozpraw.

Że wyraz „kmieć" nie był wprowadzony dla odróżnienia chłopów na prawie niemieckiem, na to dowód mamy w tem, iż czasem ludzi książęcych myśliwych—a więc chłopów na prawie polskiem, źródła nazywają kmieciami (*duo kmethones proprii patris nostri venatores castrorum*) [1]). Dla czego tej nazwy „kmieć" nie ma w źródłach naszych do połowy 13-go w., t. j. mniej więcej do czasów kolonizacyi niemieckiej, to trzeba tłómaczyć tem, iż obok nazwy kmieć istniała jeszcze inna—dziedzic, której w tłómaczeniu łacińskiem (*haeres*) używają źródła dla oznaczenia przedniejszej warstwy ludności wieśniaczej w społeczeństwie. I naodwrót, z wyginięciem dziedziców nazwa kmieć pozostała, jako najszanowniejsza dla oznaczenia wieśniaków. Jestem skłonny nawet przypuszczać, iż wyraz kmieć był używany w znaczeniu tak utartem i szablonowem, jak dzisiejszy wyraz pan, francuski citoyen w okresie wielkiej rewolucyi. Nic więc dziwnego, iż źródła nasze XIII w. i późniejsze nazywają kmieciami kasztelanów i komesów.

Ostatecznie wcisnąłem palce między drzwi, chociaż trzymam je mocno, aby drzwi nie zamknięto. Nie chodzi mi o teoryę najazdów, pasterzy, żupanów i rewolucyi rolników Peiskera. Zaznaczam tylko swoje stanowisko co do żupanów i kmieci. Pierwsze pojęcie nawet, jako stanu, da się włączyć do teoryi rodowego życia pierwotnego Słowian. Niemniej także wyraz kmieć wskazuje na jedno z przedniejszych stanowisk ludności rolniczej w ówczesnem społeczeństwie.

Osią jednakowoż polemiki Balzera z Peiskerem jest spór o zadrugę. Obydwaj stoją zarówno na tem stanowisku, iż komunizm Słowian pierwotnych nie ma nic wspólnego ze współczesnym teoretycznym komunizmem doktrynerów społecznych. Ziemia zadrugi bowiem jest dzielną, i to według pokoleń, nie liczby członków zadrugi. Balzer słusznie mówi tylko o współwłasności. Zamało jednak uwzględnia warunki bytu poprzedniego—pastersko-koczowniczego. Przy wszelkiem przejściu od stanu nomadów do uprawy ziemi zachowała się forma dawnego bytu koczowniczego. Niewiadomo jednak, dlaczego Peisker uznaje za niemożliwe przejście od stanu koczownictwa do formy osiadłej zadrugi. Tutaj argumenta Balzera mają bezwarunkowo słuszność. Wszakże istotą irlandzkiego klanu jest także współżycie wszystkich jego członków w jednym domu.

[1]) Kod. Wielkopol. t. I, 308.

Współżycie to przy przejściu od trybu życia koczowniczego do osiadłego odbiło się w podziale ziemi.

Podobnież niema nic nieprawdopodobnego w tem, aby zadruga wytworzyła się z formy życia pastersko-koczowniczego. Spostrzeżenie Peiskera o pierwotnem gospodarstwie nawpół koczowniczem wydaje mi się zupełnie trafnem. Księga jędrzychowska, źródło, odnoszące się do XIII w., nasuwa w wielu wypadkach spostrzeżenie, iż ludność wieśniacza często zmieniała swe siedziby i przenosiła z jednego miejsca na drugie. Tak, w jednym wypadku z powodu waśni dwu najprzedniejszych członków rodu, w drugim z powodu niedogodnego sąsiedztwa. Stan więc kultury rolnej był jeszcze nawpół koczowniczy.

Przecząc istnieniu komunizmu gospodarczego u pierwotnych Słowian wogóle, Peisker wpada w krańcowość. Sili się na dowody za Hovakovičem, iż zadruga serbska powstała dopiero w XVI w. pod wpływem jarzma tureckiego. Musi jednak liczyć się z tym faktem, iż Zakonnik Duszana, a więc jeszcze przed Turkami w Europie, stwierdza istnienie zadrugi w Serbii. Istnienie tej zadrugi przypisuje Peisker systemowi podatkowemu bizantyjskiemu. Zarówno wpływ systemu fiskalnego tureckiego, jak i bizantyjskiego, przecenia stanowczo Peisker.

A jakże wytłómaczy istnienie zadrugi w Czarnogórzu, które wcale pod panowaniem tureckiem nie było? Trzeba pamiętać, iż Peisker współwłasności u Słowian nie przeczy, tylko uważa ją za współwłasność rodzinną. Opiera się na różnicy między wielką a małą zadrugą. Nie jest to tylko kwestya ilości członków zadrugi, jak chce Balzer. Zapytuje on, iluż członków powinna posiadać zadruga, ażeby ją uważać za wielką,—jaka liczba członków stanowi małą zadrugę. W Czarnogórzu, według Peiskera, istniała zawsze tylko mała zadruga. Tę małą zadrugę stanowi zwykle dziad, synowie jego i wnucy. To jest komunizm rodzinny, ale nie rodowy. I, bądź co bądź, trafnem jest spostrzeżenie to Peiskera, chociaż nie znosi samej zadrugi. Czy większa, czy mniejsza liczba członków zadrugi, czy żyje głowa, od której się wywodzą, czy też nie: zawsze jest to raczej wspólnota rodzinna, niż rodowa.

Ostatecznie zgoda na rodzinny charakter komunizmu pierwotnego Słowian! ale to już jest zadruga. Mniejsza o ilość członków, głowę rodziny, tudzież o linie boczne.

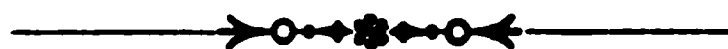
Spór ten między uczonymi jest właściwie sporem o ród i o rodzinę. Pierwszy jest pojęciem szerszem, druga stanowi pojęcie węższe. Ale już przy dzielności zadrugi mieści się *implicite*, iż zadruga powstaje z rodziny, a rozrasta się w ród.

Przy chwiejności definicyi rodu nic dziwnego, iż Peisker tak zażarcie walczy z Balzerem o ustrój pierwotny rodowy. To, co ten ostatni nazywa rodem, drugi określa pojęciem związku rodzinnego. Jakoż mniejsza o szersze lub węższe koło krewnych, mieszkających we wspólnocie rodzinnej, o małą czy wielką zadrugę; zawsze okaże się, iż zadruga jest zawiązkiem gospodarczym i społecznym u Słowian. O tych związkach w Polsce mówią źródła, odnoszące się do szlachty; ale również i ludność wieśniacza pozostaje w tym samym bycie społecznym. Przykładów dostarcza księga jędrzychowska.

Zadrugę szlachecką albo niedział uważa Peisker za wspólne prawo do pożytków, a więc czynszów lub danin z ziemi. Całkiem słusznie opiera się na tem, iż majątki szlachty w tych czasach były uprawiane samodzielnie przez chłopów, do szlachty należały tylko opłaty z ziemi. Ale, pomijając to, iż niedział stosuje się także i do roli, którą zawsze, chociażby w małej ilości, szlachta uprawiała na własny rachunek, słusznie podnosi Balzer, iż niedział w odniesieniu do pożytków mógł być tylko szczątkiem dawnego niedziału co do roli. Inaczej zupełnie byłoby niewytłómaczonem, poco niedział stosować do dochodów w pieniądzach, jak np. czynszu, które jak najłatwiej mogły być podzielone czyli zindywidualizowane.

W tym interesującym sporze, którego streszczenie tutaj podaliśmy, Balzer wywalczył zadrudze polskiej prawo obywatelstwa w nauce—i to zarówno w XV i XVI wieku pośród szlachty (niedział), jak i w samem zaraniu dziejów polskich (wspólnoty rodowe). Mogą się spierać z nim uczeni, jak Peisker, czy w Polsce istniała zadruga wielka, czy mała, czy wspólnoty pierwotne w Polsce miały charakter rodowy czy rodzinny. Zawiązek bytu gospodarczego i społecznego u nas został odkryty. Analogia bytu pierwotnego w Polsce z resztą Słowian na jego pierwszem stadyum rozwoju została uwidoczniona. A to ułatwi historykom dalszą pracę, dotyczącą genezy społeczeństwa polskiego, zwłaszcza, że zadruga w Polsce odnosi się zarówno do szlachty, jak i do ludu. Przedział, który kopią niektórzy historycy, jak prof. Piekosiński, pomiędzy temi dwiema warstwami, nie pogłębia się z biegiem czasu w nauce, lecz owszem coraz bardziej widzimy, jak blizki grunt wspólny prawno-ekonomiczny ich łączył.

Adam Szelągowski.



Rozwój przemysłu górniczo-hutniczego

w Królestwie Polskiem *).

O znaczeniu przemysłu górniczego dałoby się powiedzieć bardzo wiele. Stanowi on jedną z najważniejszych, bo podstawową niemal gałąź dzisiejszego życia wytwórczego. Kruszce szlachetne

*) Źródła: „Przegląd Techniczny“, „Wiestnik Finansow“, „Przyroda i przemysł“, „Ekonomista“ z 1866—74 r. Lud. Wolski: „Wiadomości statystyczne o Król. Polskiem“ w Kalendarzu Obserw. Astron. z r. 1857 i 59, W. Załęski: „Statystyka porównawcza Król. Pol.“ „Siły wytwórcze Rosyi“ (po ros. wyd. Min. Finans., r. 1896) „Złota księga przemysłu fabr., handlu, rolnictwa i t. d. 1898 r., R. Luxemburg. „Die industrielle Entwicklung Polens“, Choroszewski: „Górnictwo w Król. Pol. w 1895 r.“, St. Kontkiewicz: „O rozwoju przemysłu górniczo-hutniczego w Król. Pol. w ostatnich latach 25“ (Przegl. Techn. 1897 r.). S. Czarnowski „Historya hadlu powszechnego“ (z dodatkiem o przem. i handlu w Polsce). Tatomir „Geografia i statystyka ziem dawnej Polski“. T. Korzon: „Dzieje wewnętrzne Polski za Stanisława Augusta“. Hieronim Łabędzki: „Górnictwo w Polsce“, Warszawa, 1841 r. „Zbiór urządzeń i przepisów Banku Polskiego“, tom I i II. „Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego“ tom VIII; Encyklopedye, artykuły, kroniki ekonomiczne i t. p. w pismach tygodniowych i codziennych. „Ateneum“ z roku 1898 zesz. XI i XII: Roman Plenkiewicz: „Zakłady górnicze w Białogonie“.

grają rolę pośrednika i miernika wymiennego, inne, mniej „szlachetne", płody kopalnictwa służą do produkowania najniezbędniejszych przedmiotów nie tylko użytku powszedniego, lecz i służących do dalszego wytwarzania nowych bogactw. Zwłaszcza żelazo i węgiel kamienny grają pod tym względem rolę pierwszorzędną. Węgiel kamienny stał się dziś czynnikiem wprost niezbędnym w rozwoju przemysłu wielkiego, jako materyał opałowy i źródło siły mechanicznej, a żelazo, wydobywane w ilości dowolnej, dzięki zastosowaniu ulepszonych metod do produkcyi żelaza i stali, przyczynia się również do kolosalnego wzrostu współczesnego przemysłu. Cała niemal produkcya wielko-przemysłowa zależną jest wprost od tego działu produkcyi (machiny, narzędzia, koleje żelazne, parostatki i t. d.). Można powiedzieć, iż żelazo i węgiel kamienny stały się najniezbędniejszymi czynnikami współczesnego życia ekonomicznego, a co za tem idzie, i całej cywilizacyi współczesnej. Stąd ilość spotrzebowywanego przez dany kraj lub państwo żelaza i węgla (głównie jednak pierwszego) może być uważaną za miernik ich rozwoju zarówno ekonomicznego, jak kulturalnego.

Zbliżone w pewnym stopniu do rolnictwa (a dalej do myślistwa, rybołówstwa), jako przemysł okupacyjny, dobywający (a nie przetwórczy), z innych stron górnictwo posiada wszelkie właściwości przemysłu miejskiego (koncentracya robotników-wytwórców, wyspecyalizowanie techniczne, związanie produkcyi z maszynami i większy udział w niej kapitału stałego, zawartego w maszynach, szybach, sztolniach i t. d.); co zaś do typu swej gospodarki z natury niejako powołanem jest ku temu, aby stało na stopie przemysłu wielkiego. Trudności wydobywania i potrzeba wielkich i szerokich nakładów na eksploatacyę, wielka niepewność bogactwa kopalnianego wymagają też wielkich kapitałów, dając możność tylko ich posiadaczom (zwłaszcza towarzystwom akcyjnym, najwięcej w tej gałęzi przemysłu rozpowszechnionym) lub państwu prowadzić produkcyę górniczą.

Przemysł górniczo-hutniczy jest u nas—po tkackim — najbardziej typowym przedstawicielem przemysłu kapitalistycznego. Wartością swej produkcyi i ilością zatrudnionych robotników zajmuje on miejsce poważne nie tylko pośród innych gałęzi przemysłowych Królestwa Polskiego, lecz i w ogólnej wytwórczości kraju, zasługuje więc na bliższe poznanie zarówno ze względu na swój stan obecny, jak i z historycznego i rozwojowego punktu widzenia.

Dobywanie bogactw mineralnych w Polsce sięga czasów bardzo odległych. Oddawna istniały u nas kopalnie kruszców, wydo-

bywano w Wieliczce sól, większy zaś rozwój górnictwa datuje od Kazimierza Wielkiego, który w 1368 roku nadał ustawę żupom wielickim, rozszerzoną później na kopalnie olkuskie i bocheńskie. W w. XVI górnictwo dosięgło znacznego stopnia rozwoju: w Sandomierskiem i Krakowskiem dobywano żelazo, prócz tego w różnych stronach kraju — ołów, miedź, galman, sól, wapno, siarkę i srebro. Olkuskie kopalnie ołowiu i srebra już za czasów Kazimierza Jagiellończyka używały około 800 koni do roboty; produkcya ich, rosnąca w ciągu XVI i połowy XVII w., dawała rocznie przeciętnie 15 tysięcy centnarów ołowiu i 1500 grzywien srebra, a wartość jej w roku 1659 sięgała blizko 2 milionów złp. Po wojnach szwedzkich, a nadto po zatopieniu kopalń w końcu XVII wieku, upadały one coraz bardziej, a przy Stanisławie Auguście, pomimo prób podźwignięcia ich, upadły zupełnie.

W wieku XVII-tym rozwija się w kraju produkcya żelaza, mnożą się kopalnie, huty i kuźnice (około 200), wielkie piece (w Końskich) i t. d. Wszystkie razem wydawały rocznie około 32,000 centnarów żelaza. Dochód z krakowskich żup solnych w w. XVII wynosił około 150,000 złp. Nadto w kilku miejscowościach kraju znajdowały się obok źródeł słonych warzelnie soli (w Solcu, Słońsku, Sołotwinie i t. p.) W Chęcinach— w Kieleckiem — łupano marmur.

Jednak rozwijający się i do dość znacznych już rozwinięty rozmiarów przemysł górniczo-hutniczy uległ w końcu XVII w. losowi wspólnemu z całem życiem ekonomicznem kraju. Wojny kozackie i szwedzkie zubożyły wsie i miasta i zabiły prawie zupełnie życie przemysłowe i handlowe. Upada rolnictwo i związane z niem gałęzie gospodarstwa, jak chów bydła, koni, owiec, gospodarstwo leśne, rybne, pszczelnictwo, upada przemysł rękodzielniczy i rzemieślniczy, a wraz z nimi handel zbożowy i miejski. Po epoce znacznego rozwoju życia ekonomicznego następuje upadek. Dalszy ciąg dziejów naszych nie sprzyjał również rozwojowi przemysłu. Punktem zwrotnym dopiero zarówno na tem, jak i na tylu innych polach, stała się epoka pokoju i zbudzenia energii społecznej, która nastąpiła po roku 1772. W usiłowaniach Stanisława Augusta obudzenia życia przemysłowego w kraju dbałość o rozwój górnictwa zajmowała miejsce wydatne. W 1772 r. powstała Komisya Górnicza, wyznaczona przez Stanisława Augusta, a złożona z 13 komisarzy, która rozpoczęła ruchliwą działalność. Na koszta eksploatacyi król wypłacał jej z własnego skarbu 48,000 złp. Szukano srebra, złota i miedzi, dobywano galman, ołów, marmur, nawet węgiel kamienny. Około 1790 r. rozwinęły się znakomicie fabryki żelazne, zwiększając wciąż

produkcyę pod okiem Komisyi Skarbu Koronnego. Roczny wytwór krajowy żelaza wynosił 200 tys. pudów (w r. 1782), choć mimo to nie wystarczał na potrzeby krajowe; musiano więc posiłkować się i przywozem ze Szwecyi, Węgier i Rosyi. Według ułożonego przez T. Korzona spisu fabryk i zakładów przemysłowych za Stanisława Augusta, kraj posiadał następujące zokłady górnicze i hutnicze oraz przerabiające płody górnictwa i hutnictwa: 1) kopalnia miedzi (pod Kielcami — Miedziana góra); 2) kopalnie z wielkimi piecami i fryszerkami w Końskich; fabryki żelaza, stali, ołowiu, szrótu, kopalnie węgla kamiennego, kuźnice w biskupstwie krakowskiem, 42 wielkie piece (w r. 1782), 41 dymarek, 83 fryszerek; 3) wyrób machin i narzędzi — 12 fabryk; warzelni i kopalni soli — 8; wyroby z marmuru i gipsu — 2 fabryki, z miedzi — 1, szklannych, fajansowych, garncarskich i zduńskich — 12.

Wszystkie te jednak zakłady spotkał los nade[illegible]ny. Nieodpowiednie warunki społeczne, nie dopuszczające szerszego rozwoju życia przemysłowego (stosunki poddańcze i pańszczyźniane, braki komunikacyi i t. d.) oraz wypadki polityczne sprowadziły upadek przemysłu górniczego — narówni z całym przemysłem, stworzonym usiłowaniami Stanisława Augusta i Tyzenhauza i fantazyą magnatów.

W wieku bieżącym do rozwoju górnictwa przyłożyła się niezmiernie działalność Staszyca i Lubeckiego, a następnie Banku Polskiego. W 1816 r. utworzono Dyrekcyę główną górniczą z siedzibą w Kielcach, a na czele jej postawiono Staszyca. „Usuwany za czasów Rzeczypospolitej — pisze R. Plenkiewicz [1]) — od wszelkiej działalności publicznej z przyczyny swego mieszczańskiego pochodzenia; nie mogąc służyć za czasów rządu pruskiego, który Niemcami wszystkie stanowiska obsadzał, teraz powołany na dyrektora wydziału górnictwa i przemysłu w 61 roku życia, rozwinął cały zasób niezwykłej energii i wiedzy, dlugoletniemi studyami zdobytej, by wydrzeć ziemi ukryte w jej łonie skarby i obrócić je na pożytek krajowy". Dyrekcyi tej oddano w zarząd pola dawnych kopalń Olkuskich, Miedzianogórskich pod Kielcami, fabryki żelaza Samsonowskie, Suchedniowskie, Pankowskie i t. d., otworzono kopalnie węgla i galmanu. W 1817 r. utworzono korpus górniczy, a obok dotychczasowych 5 okręgów górniczych powstaje szósty — biało-

---

[1]) Roman Plenkiewicz Zakłady górnicze w Białogonie. „Ateneum" 1898 Zesz. XI i XII.

goński (Białogon pod Kielcami), który zajmuje miejsce nader wydatne; produkuje i przerabia miedź, srebro i ołów, gdy w innych okręgach przeważnie żelazo. W 1825 r. wskutek raportu ks. Lubeckiego, pragnącego zastąpić kosztowną produkcyę metali mniej potrzebnych intensywną eksploatacyą zelaza, zarząd spraw górniczych przeszedł w ręce Komisyi Rządowej Przychodów i Skarbu. Staszyc podał się do dymisyi, a po śmierci jego w 1826 r. zabrano się do gruntownej reorganizacyi i rozszerzenia górnictwa—w myśl ks. Lubeckiego.

Postanowiono rozwinąć kopalnie węgla i huty cynkowe, wznieść nowe zakłady żelazne i t. d.; w Białogonie hutę miedzianą zastąpił zakład żelazny i warsztaty mechaniczne, powstał warsztat machin na Solcu w Warszawie, pobudowano wielce piece. Utrzymanie górnictwa od 1816—33 r. kosztowało Skarb około 22 milionów złp., w tę zaś kwotę wchodzą pożyczki, zaciągnięte w Banku Polskim na sumę przeszło 9½ mil. złp., z funduszów emerytalnych zaś na sumę przeszło 4 mil. złp. Pomimo to przemysł górniczy nie rozwinął się na większą skalę. Zakłady górnicze nie tylko nie były w stanie płacić procentów od zaciągniętej pożyczki, ale jeszcze potrzebowały dalszej pomocy rządu, uiszczanej po 400,000 złp. rocznie. Niektóre z nich zaczęły upadać, innych nie puszczano w ruch zupełnie.

Wtedy z pomocą górnictwu przyszedł Bank Polski, który wziął je pod swą opiekę na okres 1833—1842 r. Założony w r. 1828, jako jeden z wytycznych punktów swej działalności, Bank Polski postawił sobie rozwój handlu, kredytu i przemysłu narodowego. W tym celu starał się on o jaknajszersze uprzystępnienie kredytu drogą pożyczek, wydawanych przedsiębiorstwom przemysłowym i handlowym na budowle, materyał surowy, machiny parowe i t. d. Pożyczki takie były zwrotne: długoterminowe, nie przenoszące lat 12, i z krótkim terminem, nie dłuższe nad 9 miesięcy, oraz bezzwrotne. Dla przykładania się do rozszerzenia kredytu, handlu i przemysłu Bank miał sobie dane przez Skarb Królestwa uposażenie w ilości 42 mil. złp. Miał on prawo udzielić zapomogę nawet wtedy, gdy nie miał pewności zwrotu, za porozumieniem się jednak z Komisyą Rządową Spraw Wewnętrznych.

Jeden z paragrafów ustawy głosił, iż Bank może wspierać przedsiębiorstwa, zmierzające ku rozszerzeniu handlu i przemysłu krajowego, albo też sam się podejmować ich wykonania. W myśl

więc swej ustawy Bank, poza pożyczkami, sam zakładał fabryki lub przejmował na siebie zarząd nad niemi (papiernia w Jeziornie, fabryka Żyrardowska, fabryki żelazne w Ostrowcu, warzelnie soli w Ciechocinku i t. d.), powołując w ten sposób do życia mnóstwo fabryk lub ratując te, które upadały; przeprowadzał komunikacye, szosy, kanały (Augustowski), przyczynił się znacznie do przeprowadzenia kolei warszawsko-wiedeńskiej, wreszcie — duże zasługi położył około podniesienia górnictwa.

Objąwszy w 1833 r. upadające zakłady górnicze pod swój zarząd, przez jakiś czas (do 1837 r.) zarządzał kopalniami sam—z wielkim dla rozwoju górnictwa pożytkiem, zwiększył wydajność kopalń, ilość pieców szachtowych (o 15 w ciągu 1833 — 42 r., z nich 6 wypadało na założoną przez Bank Polski Hutę Bankową, będącą dziś największem przedsiębiorstwem hutniczem w Królestwie); założył szereg walcowni turbinowych, wprowadził wyrób stali p udlingowej zakładał warsztaty mechaniczne i t. d. i t. d., a w 1837 r. Bank zawarł korzystne umowy z przedsiębiorcami prywatnymi Steinkellerem i Koniarem o eksploatacyę cynku i żelaza.

Ogółem w przeciągu lat 50 (do 1870 r.), szczególniej w okresie 1833—59 r., Bank rozdał na pożyczki handlowe i przemysłowe 91 mil. rub. Głównie atoli opiekował się cukrowniami, zakładami górniczymi i mechanicznymi oraz fabrykami tkackiemi. Z 7,259,975 rub., wydanych zakładom przemysłowym w charakterze pożyczek długoterminowych do chwili zawieszenia udzielania takich pożyczek w r. 1870, cukrownie otrzymały 2,745,222 rub., zakłady tkackie 850 tys. rub., zaś huty, fabryki żelaza, machin i t. p.—1,614,267 rub., czyli blizko $^1/_4$ ogólnej sumy.

W 1843 r. górnictwo przeszło znów z pod opieki Banku Polskiego w ręce skarbu, a mianowicie specyalnie utworzonego Wydziału górnictwa przy Komisyi Skarbu. Wkrótce jednak zaczęło znów upadać, co zmusiło Komisyę Skarbu do oddania kopalń i zakładów górniczych w ręce prywatnych przedsiębiorców, przeważnie firm cudzoziemskich, które w większości pozostają dotychczas ich właścicielami.

Wydział górniczy później przydzielony został do ministeryum w Petersburgu.

Około 1864 r. przemysł górniczy skupił się głównie w powiatach kieleckim, opatowskim i opoczyńskim (okrąg wschodni), oraz

w olkuskim i wieluńskim (okrąg zachodni) [1]), mniej więcej jednak do 1870 r. prowadził żywot dość skromny. Do pewnego jego rozwoju przyczyniło się już przeprowadzenie kolei Warsz.-Wiedeńskiej (1848—50 r.), które zwiększyło zapotrzebowanie węgla i żelaza przedewszystkiem na użytek kolei, następnie zaś Łodzi, Warszawy i innych miejscowości przemysłowych. Dopiero jednak przeprowadzenie dalszych kolei około 1870 r. i połączenie ich z kolejami Cesarstwa, zarządzenia celne (cło w złocie od 1877 r. [2]) i podwyższanie kilkakrotne cła na żelazo, surowiec i węgiel zagraniczny) oraz coraz szerszy po 1870 r. rozrost przemysłu fabrycznego spowodowały szybki i szeroki rozwój górnictwa i hutnictwa w ostatnich latach 20 kilku.

Zobrazowanie rozwoju poszczególnych gałęzi przemysłu górniczego w Królestwie Polskiem rozpoczniemy od produkcyi węgla kamiennego.

Produkcya ta w chwili obecnej budzi szczególne zainteresowanie ze względu na sztuczne wyśrubowanie cen węgla do niebywałej wysokości, co daje się dotkliwie uczuwać zarówno fabrykom i przemysłowi, jak i szerokim warstwom ludności miejskiej w kraju, korzystającej z węgla do użytku domowego. Stąd zapoznanie się ze stanem produkcyi węglowej posiada w chwili obecnej znaczenie podwójne: zarówno ze względów ogólniejszych — jako przyczynek do poznania naszego życia ekonomicznego, jak i — dla swej aktualności.

A) Węgiel kamienny.

Pokłady węgla kamiennego w Król. Pol. znajdują się w południowo-zachodniej części kraju, zajmując część pow. Będzińskiego (gub. Piotrkowska) i Olkuskiego (gub. Kielecka). Pod względem geologicznym stanowią one przedłużenie t. zw. Szląsko-polskiego zagłębia, którego część zachodnia leży w granicach Prus, a południowa — Austryi. Granice tego terenu w Prusach i Austryi są wiado-

---

[1]) Najnowsze rozporządzenie ministeryum rolnictwa, dzieląc całe państwo na 7 dzielnic górniczych (północną, północno-zachodnią, zachodnią — Królestwo Polskie, uralską, moskiewską, nadwołżańską i południową), podzieliło Królestwo Polskie na 6 okręgów: dąbrowski, będziński, częstochowski, kielecki, radomski i lubelsko-warszawski.

[2]) Wprowadzenie w 1877 r. cła złotego, czyli pobierania opłat celnych w monecie brzączącej, podwyższyło opłaty te *de facto* o 40 — 50%. Współdziałała z wpływem cła złotego szybka obniżka kursu rubla kredytowego.

me dokładnie, natomiast w Król. Polskiem nie są, wobec braku odpowiednich badań, ściśle określone. Rozległość całego terenu da się oznaczyć: w kierunku południowo-zachodnim 100 kilometr., północno-wschodnim 70 klm. Największa część przypada na Szląsk Pruski, najmniejsza na Królestwo Polskie (800 kil. kw.). W 1895 r. na Szląsku Pruskim czynne były 54 kopalnie, które dały węgla 65% całej produkcyi terenu, w Austryi 14 kopalń z produkcyą 20%, w Król. Pol. 19 kopalń z produkcyą 15%. Ilość robotników wynosiła: w Prusach 53 tys., w Austryi 33 tys., w Król. Polskiem około 20 tysięcy

Pokłady węgla w całem zagłębiu dzielą się na 3 grupy: 1) dolną, podredenowską, 2) środkową, redenowską i 3) górną nadredenowską. Pierwsza zawiera węgiel wysokiego gatunku, koksujący się, oraz antracyt. Druga stanowi główną co do ilości węgla grupę, trzecia, nadredenowska, zawiera węgiel gorszy, niż pokłady redenowskie, lecz znacznie dogodniejsza jest do eksploatacyi, przez co węgiel z tego pokładu wytrzymuje konkurencyę z lepszym, redenowskim. W Królestwie wszystkie te trzy warstwy podlegają eksploatacyi, nie w równym jednak stopniu. Podstawę produkcyi węgla u nas stanowi eksploatacya grupy środkowej, dającej 89% całej produkcyi Zagłębia dąbrowskiego. Zapas węgla w tej grupie da się oznaczyć na 600 z górą milionów tonn ($36^1/_2$ miliarda pudów), a ponieważ roczna produkcya przenosi dziś 4 miliony tonn, do wyczerpania kopalń dość jeszcze daleko. Jednak nie należy pod tym względem poddawać się zbytniemu optymizmowi, jeśliby bowiem produkcya utrzymywała się nadal na poziomie 4 mil. tonn rocznie, zapas węgla starczyłby na 150 lat. Ponieważ zaś możliwe jest niedługie dojście rozmiarów produkcyi do 6, 8, 10 i więcej mil. tonn rocznie, w takim razie Zagłębie dąbrowskie starczyłoby na lat 80, 60, a nawet mniej.

Przemysł węglowy u nas powstał daleko później, niż żelazny, gdyż dopiero w końcu XVIII stulecia. Wprawdzie już za Stanisława Augusta dobywano w nieznacznych ilościach węgiel kamienny, lecz bardziej systematyczną produkcyę rozpoczęto dopiero po przejściu Zagłębia dąbrowskiego pod niedługie panowanie pruskie. W 1796 r. otworzono tu pierwszą kopalnię węgla Reden, a obok niej zaczęła się natychmiast wznosić kolonia fabryczna, tejże nazwy. Otrzymały one to miano od nazwiska ówczesnego pruskiego ministra robót publicznych, a zarazem dyrektora górnictwa, hr. Redena. Choć jednak używanie węgla, jako paliwa, rozpoczęto już w zeszłym wieku, gdy brano go potrosze do opału gorzelni, a przez pierwszą połowę

bieżącego stulecia wydobywano go w kopalniach rządowych i prywatnych, rozmiary produkcyi, zarówno jak zapotrzebowanie, były bardzo nieznaczne (patrz niżej).

Około 1830 r. powstaje w Dąbrowie kilka nowych kopalń rządowych. Produkcya wszystkich kopalń wynosi około 1840 r. ledwie 6,1 mil. pud. W znaczniejszym stopniu węgiel kamienny poczyna się u nas upowszechniać po r. 1854, kiedy zaczęto go używać do opału parowozów drogi żelaznej, a następnie, gdy z każdym rokiem wchodził w coraz częstsze użycie do kuchen i pieców w Warszawie i w całym kraju. Pomimo to aż do r. 1870 produkcya węgla rozwija się bardzo powoli. Tak w 1856 r. wynosiła 5 mil. pudów, w 1864 r. — 10 mil. pud., a od 1865 — 70 r. średnio rocznie 15,7 mil. pud. Rok 1870 stanowi chwilę ważną dla przemysłu węglowego u nas, w tym bowiem roku wydane zostało nowe prawo górnicze, które oddzieliło w pewnej mierze własność powierzchni ziemi od własności wnętrza, pozwalając na wydobywanie węgla (i niektórych innych płodów kopalnych) na cudzej ziemi, nawet bez zgody właściciela gruntu, za pewnem tylko odszkodowaniem. Prawo to wywołało niezmierny napływ kapitałów, zwłaszcza zagranicznych, do przemysłu węglowego i powołało do życia szereg nowych kopalń. Tak w 1873 r. kopalń było już 13, w 1874 — 20, a w 1875 — 25; zatrudniały one około 4 tysięcy robotników, wartość produkcyi nie dosięgała 1 miliona rub.

W 1870 r. kopalnie wydały $19^1/_2$ mil. pud. węgla, w 1870—75 r. średnio rocznie 21 mil. pud., a w następnem 5-cioleciu (1875 — 80 r.) już 53 mil. pud. rocznie. Pomiędzy 1870—80 r. produkcya zwiększa się przeszło 4-krotnie (z $19^1/_2$ do $78^1/_2$ mil. pudów).

W 1877 r. podniesiono cło na węgiel szląski. którego konkurencya hamowała szerszy rozwój kopalń dąbrowskich. Ponieważ stosunki celne miały znaczny wpływ na dalszy rozwój przemysłu węglowego, zabezpieczając go przed współzawodnictwem zagranicy i do dziś stanowiąc nieprzebyty mur ochronny, dozwalający nawet na bezkarne rozpanoszenie się spekulacyi, rzucimy okiem na stopniowe zmiany w opłatach celnych, zarządzane od r. 1877. Doniosłe znaczenie miała reforma celna 1877 r. (cło złote). Dzięki niej cło od węgla szląskiego, wynoszące dotychczas (od 13 stycznia 1869 r.) $^1/_2$ kop. od puda, a od 1871 r. — 0,55 kop., podskoczyło o 30 — 40%, potem wskutek spadku kursu rubla kredytowego jeszcze wyżej. W 1882 r. cło od węgla podniesiono do 1 kop. od puda, w r. 1884 do $1^1/_2$ kop., a w r. 1887 — do 2 kop. w złocie. Oddziałało to natychmiast na znaczne podniesienie produkcyi w kopalniach

Królestwa Polskiego, podczas gdy przywóz węgla ze Szląska zmniejszył się o połowę, odtąd ogranicza się on już niemal wyłącznie do takiego tylko węgla, jakiego zagłębie dąbrowskie nie produkuje zupełnie (np. gazowego, dającego koks).

Następnie, na wiosnę roku 1894, wskutek traktatu handlowego z Niemcami, zniżono cło do 1 kop. w złocie od puda; zmiana ta jednak nie odbiła się źle na wytwórczości zagłębia dąbrowskiego dzięki innym okolicznościom pomyślnym, a przedewszystkiem zaprowadzeniu we wszystkich większych kopalniach nowych urządzeń technicznych, mających na celu zarówno powiększenie produkcyi, jak i zmniejszenie jej kosztów.

Wprawdzie przywóz węgla szląskiego zwiększył się bezpośrednio po zniżeniu cła: z 7,7 mil. pudów przy ogólnej produkcyi 192 mil. pud. w 1893 r. do 12 mil. pud. przy ogólnej produkcyi 205 mil. pud. w 1895 r., poczem w 1896 r. wynosił 17 mil. pud., w 1897 r. 19 mil., pud., a 1898—18 mil. pud., w stosunku jednak do produkcyi krajowej stanowi od lat 12 stale 5—7%. Warto wspomnieć o ostatniem zarządzeniu celnem, wywołanem bezpośrednio spekulacyą węglową: o zawieszeniu czasowem (na rok) cła od węgla zagranicznego, sprowadzanego przez magistrat miasta Warszawy na potrzeby ludności miasta wyłącznie na użytek domowy. Jako środek czasowy, o nader ograniczonym zakresie, zarządzenie to, wydane w interesie spożywców, nie wpłynie prawdopodobnie ujemnie na produkcyę krajową. Przewidywany przez Zjazd górniczy dowóz węgla szląskiego ma wynieść w r. 1900 — 21 mil. pud., w 1901 — 24 mil. pud., w 1902 — 26 mil. pud., jakkolwiek liczby te zdają się być przesadzonemi.

Jednocześnie z zarządzeniami celnemi na ożywienie przemysłu węglowego oddziaływały: 1) przeprowadzenie kolei żelaznych w Królestwie (zwłaszcza Iwangrodzko-Dąbrowskiej) i w Cesarstwie, wraz ze zwiększeniem zapotrzebowania węgla na użytek kolei, 2) rozwój przemysłu fabrycznego w kraju, zużywającego bardzo znaczną ilość węgla. Okres po 1870 r., właściwie po 1875 r., jest to okres olbrzymiego rozrostu Łodzi, powstania i rozwoju Sosnowca, żywszego rozbudzenia przemysłu żelaznego i t. d. Tak pomiędzy 1880—85 r. kopalnie dąbrowskie produkują średnio rocznie 97 mil. pud., a w następnem pięcioleciu (1885 — 90 r.) — 138 mil. pud. W ostatnich wreszcie 8 latach widzimy stopniowy i szybki rozwój produkcyi węglowej:

Miliony pudów.

1891 r. — 158,8	1895 r. — 224,8
1892 r. — 175,6	1896 r. — 223,6
1893 r. — 192,1	1897 r. — 229,8
1894 r. — 201,7	1898 r. — 250,0

Jeśli produkcyę 5-lecia 1870 — 75 r. przyjąć za 100%, rozwój przemysłu węglowego od tej chwili przedstawia się, jak następuje:

1870 — 75 r. — 100%	1890 — 95 r. — 929%
1875 — 80 r. — 252%	1896 r. — 1066%
1880 — 85 r. — 462%	1897 r. — 1095%
1885 — 90 r. — 657%	1898 r. — 1190%

Na najbliższe lata przewidywaną jest następująca produkcya:

1900 r. — 269 mil. pud.
1901 r. — 299 „ „
1902 r. — 328 „ „
(Raport Komisyi Statystycznej Zjazdu Górniczego z r. 1899).

Ciekawem będzie wyliczenie, ile ogółem wyprodukowano u nas węgla kamiennego, poczynając od pierwszych chwil powstania przemysłu węglowego w kraju aż do czasów ostatnich. Według wiadomości, zebranych przez Hieronima Łabęckiego o produkcyi kopalń rządowych i prywatnych od 1787—1856 r., a dalej za czas 1857 — 70 r. w „Ekonomiście" (1873 r.), wreszcie wyżej przytoczonych danych od r. 1870, możemy ułożyć następującą tabliczkę produkcyi węgla:

Lata	Tysiące pudów	Lata	Tysiące pudów
1787 — 1808	1,716	1871 — 75	105,000
1808 — 24	11,880	1876 — 80	265,000
1825 — 32	32,532	1881 — 85	485,000
1833 — 42	54,391	1886 — 90	690,000
1843 — 56	68,907	1891 — 95	955,000
1857 — 70	110,700	1896 — 98	700,000
Razem 1787 — 1870	280,126	Razem 1871 — 98	3,200,000

Ogółem 3,480,126 tysięcy pudów.

Ogółem więc od zaczątków naszego przemysłu węglowego do końca r. 1898 wydobyto węgla kamiennego blizko $3^1/_2$ miliarda pudów. Dodawszy przypuszczalną sumę produkcyi lat 1899 i 1900 — z górą 500 milionów pudów, i biorąc pod uwagę, iż wytwórczość zeszłego stulecia sprowadza się do rozmiarów minimalnych, otrzyma-

my, iż w ciągu całego XIX stulecia produkcya węgla u nas wyniosła *4 miliardy pudów*. Chwilę, od której rozpoczęto wydobywanie węgla na poważną skalę, określi fakt, iż cała suma produkcyi przed r. 1870 stanowi ledwo $^1/_{12}$ tego, co wydobyto po tym roku, przytem w ciągu lat przeszło 80 (1787—1870 r.) wydobyto niewiele więcej (280 mil. pud.), niż daje dzisiaj produkcya jednego roku!

Widoki rozwoju na przyszłość są dla przemysłu węglowego w Królestwie Polskiem bardzo pomyślne. Konkurencya węgla szląskiego, jak widzieliśmy, jest bardzo nieznaczna. Tymczasem zapotrzebowanie i rynki zbytu szybko się rozszerzają. Dotychczas spożywcami węgla polskiego są głównie fabryki oraz koleje żelazne Królestwa.

Ponieważ węgiel jest prawie jedynym środkiem opału w Król. Polskiem, posiadającem dziś stosunkowo mało lasów, stąd pochodzi ścisły związek produkcyi węgla z rozwojem przemysłu krajowego, natomiast niewielką ilość zagłębie dąbrowskie wysyła poza granice kraju. Jednak zbyt węgla zwiększa się coraz bardziej na kolejach Cesarstwa, na których węgiel polski ogarnia coraz nowe rynki w kierunku wschodnim i północnym, wypierając używane dotychczas drzewo i węgiel angielski.

W 1890 r. na potrzeby łódzkiego okręgu fabrycznego poszło 30,6 mil. p., w 1893 r. — 36,2 mil. pud., a w 1896 r. — 41 mil. pud., na potrzeby okręgu Sosnowickiego w r. 1890—40 mil. pud., a Warszawskiego w 1890 r. — 26 mil. pud., a 1893 r. — 35$^1/_2$ mil. pud.

W 1895 r., z ogólnej produkcyi 225 pud., przewieziono kolejami z zagłębia dąbrowskiego 170—180 mil. pud., w okręgu Sosnow.-Dąbrowskim pozostało do miejscowego spożycia 45 — 55 mil. pud. Na obszar, obsługiwany przez kolej wiedeńską, wypada 83 mil. pud., łódzką — 40 mil. pud., dąbrowską 18 m. pud.; nadwiślańską około 10 mil. pud. Resztę, 20—30 mil. pud., wysłano na koleje Cesarstwa. W 1880 r. wywóz do Cesarstwa wynosił tylko 10,8 mil. pud., w 1885 — 13,8 mil. pud., w 1890 — 17,5 mil. pud., wreszcie w 1895 r. 20—30 mil. pud. Największa ilość tego węgla idzie na drogi żelazne Południowo-Zachodnie (znaczna część aż do Odessy), mniej znaczne partye na Fastowską, Moskiewsko-Brzeską, Moskiewsko-Niżegorodzką i Pskowsko-Ryską.

Według rodzaju zużytkowania, z produkcyi 1892 r. (176 mil. pud.) 40—50 mil. pud. zostało w obrębie Dąbrowsko-Sosnowickiego okręgu na potrzeby miejscowych zakładów metalurgicznych, około 19 mil. pud. zużyły miejscowe drogi żelazne, około 15 m. p. cukro-

wnie, około 35 mil. pud. przemysł bawełniany i wełniany i około 25 mil. pud. różne inne zakłady przemysłowe oraz użytek domowy.

Wraz z ogarnianiem nowych rynków zbytu i rozszerzaniem produkcyi, kopalnie dąbrowskie wprowadzają u siebie nowe urządzenia i zastosowania techniczne, mające na celu zwiększenie wytwórczości i większą taniość produkcyi (nie należy mieszać z tendencyą obniżania cen sprzedażnych).

Kopalń w 1897 r. funkcyonowało 19; należały one do 13 firm, które co do swych rozmiarów dzielą się na dwie grupy. Do pierwszej należą firmy wielkie z produkcyą ponad 20 mil. pud. rocznie: 1) Towarzystwo Sosnowickie (92 mil. pud.), 2) hr. Renarda (30 mil. pud.), 3) Francusko-Włoskie (30 mil. pud.), 4) Warszawskie (28 mil. pud.), 5) ks. Hohenlohe (23½ mil. pud.). Razem dają 203 mil. pud., co stanowi 86% ogólnej produkcyi. Pozostałe 8 firm produkują tylko nieznaczne ilości węgla — od 100 tys. do 1 mil. pud.; razem 14% ogólnej wytwórczości.

Jak widzimy, produkcya węgla już dziś zmonopolizowaną jest w rękach 5 wielkich towarzystw akcyjnych, które—pomimo olbrzymiej faktycznej swej przewagi na rynku — świadomie dążą do zapanowania nad całym rynkiem Królestwa Polskiego i wyzyskiwania go w celach spekulacyjnych drogą wzajemnego porozumienia (syndykat węglowy), co właśnie nader dotkliwie dało się odczuć w zimie r. 1897 i w r. 1899 podczas drożyzny węgla. Pierwsze miejsce wśród wielkich przedsiębiorstw węglowych zajmuje Towarzystwo Sosnowickie, które już przy zawiązaniu swem postawiło sobie wprost za zadanie nabycie i dalszą eksploatacyę ziemi, kopalń, rud, zakładów, jednem słowem całego nieruchomego i ruchomego majątku, będącego w ręku: 1) Towarzystwa von Kramsta, 2) Tow. hr. Renarda, 3) kopalni Miłowickiej („Wiktor"), 4) Juliusza Aleksandra. Jakkolwiek dotychczas nie osiągnęło ono jeszcze całkowicie owego „zamierzonego" celu, produkcya jego stanowi dziś przeszło 40% ogólnej wytwórczości węgla w Królestwie, a $^1/_6$ — w całem państwie. Towarzystwo to posiada dziś następujące działy specyalne: a) kopalnię węgla „Jerzy" w Niwce (2,500 robotników;) b) kopalnię węgla „Ignacy" w Zagórzu (1,500 rob.); c) kopalnię węgla „Wiktor" w Miłowicach (800 rob.); d) kopalnie galmanu w Bolesławiu (900 rob.); e) hutę cynkową „Paulina" w Zagórzu (800 rob.); f) walcownię blachy cynkowej „Emma" w Sosnowicach (50 rob.); g) fabrykę bieli cynkowej w Sosnowicach (20 rob.); h) dobra i lasy. Ogółem przy 96½ mil. pud. produk. węgl., 1½ mil. pud. galmanu, a 200 tys. pud. cynku zatrudnia około 7 tys. robotników.

Dane powyższe wykazują nam miarę rozwiniętej w naszym przemyśle węglowym centralizacyi wielko-przemysłowej, ze sfery żywiołowych pojawów ekonomicznych przechodzącej w sferę działania świadomego i obejmującej obok sił wytwórczych sferę kapitału (towarzystwa akcyjne) oraz cele wymienne, rynkowe (syndykat, skierowany przeciw spożywcom).

Wartość produkcyi węgla, nie dosięgająca w 1873, 4, 5 r. 1 miliona rub., w 1894 r. wynosiła przeszło 9 mil. rub., w 1897 r. — 11 do 12 mil. rub., dziś 15 mil. rub.

Ilość robotników w 1873 r. wynosiła 3,255, w 1874 r.—3,838, w 1875 r. — 3610, w 1885 — 7816. W 1896 r. wynosić miała 16,200, według innych źródeł 18 tysięcy. Dziś liczbę robotników węglowych można określić na 20 tysięcy. O postępach centralizacyi przemysłowej w ostatnich latach 20 kilku świadczą dane, wykazujące stosunek pomiędzy ilością kopalń i robotników, oraz ilością kopalń a wartością produkcyi. Tak w 1874 r. na 1 kopalnię węgla przypadało 50,000 rub. wart. i 192 robotn., gdy w 1897 r. już 631,800 rub. i 942 robotn.

Wydajność pracy pojedyńczego robotnika z 260rub. wart. prod. w r. 1874 wzrosła do 666 rub. w r. 1897, czyli 2½ raza.

Inaczej nieco przedstawia się wzrost produkcyjności pracy robotnika, obliczony w stosunku do wyprodukowanego węgla. Tak w 1874 r. na 1 robotnika wypadało 6,394 pudy węgla (105 tonn), w 1875 r. 7,010 pud. (115 tonn). W 1893 r., jeśli oprzemy się na danych urzędowych, wykazujących 13,545 robotników i 192 mil. pudów produk. — otrzymamy 14,039 pud. (230 tonn), w 1894 r. 16,386 pudów (268 tonn), a w 1898 r. — 320 tonn (!) (Dla 1898 r. — dane V Zjazdu Górniczego z r. 1899). Dla porównania przytoczymy dane o wydajności pracy górników zagranicą. Tak w 1893 r. na 1 górnika wypadało:

W Stanach Zjednoczonych	448	tonn węgla
„ Anglii	256	„ „
„ Niemczech	254	„ „
„ Francyi	197	„ „
„ Austro-Węgrzech	186	„ „
„ Belgii	166	„ „
„ gub. Cesar. ros.	148	„ „
„ Włoszech	133	„ „
„ Szwecyi	130	„ „
„ Hiszpanii	125	„ „

Wynikałoby stąd, iż wytwórczość robotnika w zagłębiu dąbrowskiem jest niższą tylko od wytwórczości w Stanach Zjednoczo-

nych, dorównywa produkcyjności robotnika angielskiego i niemieckiego, a znacznie jest wyższą, niż francuskiego, belgijskiego i t. d. Tymczasem wytwórczość ta zależy ściśle od warunków produkcyi, od naturalnych cech węgla, a przedewszystkiem stopnia zastosowania udoskonaleń technicznych do produkcyi; w kopalniach zaś Król. Pols. eksploatacya węgla stoi na niższym znacznie poziomie, niż zagranicą, i gdyby zastosowano do niej środki eksploatacyi takie, jakie np. stosowane są na Szląsku, produkcya wzmogłaby się parokrotnie; z drugiej zaś strony i warunki naturalne nie są najlepsze, i układ geologiczny nie nazbyt wygodny. Możemy stąd wnioskować pośrednio, iż kopalnie zatrudniają większą ilość robotników, niż wykazują zapisane źródła.

O wzroście płacy zarobnej mamy następujące nieliczne dane: w 1890/1 r. przeciętny robotnik kopalni Renarda pobierał dziennie 88 kop., a w 1895/6 – 1 rub. 08 kop., czyli w ciągu tych lat 6 płaca wzrosła o 23%. Sprawozdania o rozwoju przemysłu węglowego u nas, odczytywane na ostatnim zjeździe górniczym, wskazywały też wzrost płacy w ciągu ostatnich lat kilku o 20%.

Zobaczmy teraz, jakie miejsce zajmuje przemysł węglowy Król. Polskiego w stosunku do Cesarstwa i krajów Zachodu.

Rozmiarami produkcyi zagłębie dąbrowskie zajmuje drugie miejsce w państwie po zagłębiu donieckiem, z którym wespół dają 93% ogólnej produkcyi węgla w państwie (zagłębie dąbrowskie 42%, donieckie 51%). W pozostałych okręgach, uralskim, kaukaskim, moskiewskim i t. d., produkcya jest bardzo nieznaczna. Rzućmy okiem na parę dat porównawczych w rozwoju produkcyi węgla w zagłębiach dąbrowskiem, donieckiem i całem państwie:

Miliony pudów.

Rok	Zagł. Dąbr.	Zagł. Don.	Całe państwo
1880	78,4	86,3	200,8
1885	109,2	114,9	260,6
1886	120,1	128,7	279,4
1887	121,2	125,5	276,8
1888	147,4	136,8	316,6
1889	151,1	189,9	379,4
1890	150,8	183,2	367,2
1891	158,8	191,7	380,5
1892	176,0	218,1	424,1
1893	193,0	239,8	464,8
Przyrost % 1880—93	+ 147%	+ 179%	+ 133%

Jak widzimy, zagłębie dąbrowskie wykazuje prędszy rozwój produkcyi, niż całe państwo, wzrasta jednak wolniej, niż zagłębie donieckie. To ostatnie wykazuje znaczniejszą przewagę nad pierwszym dopiero od 1889 r., przedtem bowiem wytwórczość obu zagłębi utrzymywała się na jednym prawie poziemie.

Charakterystyczne jest zestawienie obu zagłębi ze względu na ilość kopalń węgla: i, gdy w Królestwie Polskiem liczba kopalń nie dochodzi 20, zagłębie Donieckie posiada ich około 250. W ten sposób, gdy na 1 kopalnię w Królestwie wypada blizko 10 mil. pud. produkcyi (1893 r.), na 1 kopalnię na Dońcu tylko 1 mil. pud. Świadczy to o daleko wyższym stopniu centralizacyi w produkcyi węgla u nas i pochodzi stąd, iż w zagłębiu донieckiem po pierwsze istnieje wielka rozmaitość węgla, rozrzuconego na znacznych przestrzeniach, stąd zaś liczne ogniska produkcyi, powtóre przemysł węglowy pomimo niezmiernych bogactw znajduje się tam niemal w początkowych fazach rozwoju (przedewszystkiem co do swej techniki). Donieckie zagłębie obejmuje przestrzeń 25,000 klm. kwadr., gdy dąbrowskie 800 klm. kw.

Dane porównawcze z zagranicą posiadamy, poczynając od 1871—75 r., do r. 1893. Dotyczą one ogólnej produkcyi węgla na kuli ziemskiej oraz w poszczególnych głównych krajach, produkujących węgiel: Anglii, Niemczech, Austro-Węgrzech, Stanach Zjednoczonych, Francyi, Belgii, wreszcie w całem państwie Rosyjskiem, oraz w Królestwie Polskiem.

	średnio rocznie						
Rok:	1871—75	1876—80	1881—85	1886—90	1892	1893	Przyrost % 1871—1892
	Tysiące tonn.						
Na kuli ziemskiej	266,770	303,576	395,705	465,250	514,004	—	92%
Anglia	128,000	138,556	161,511	172,402	181,787	164,300	41%
Niemcy	44,000	52,000	69,000	81,000	92,544	74,000	109%
Austro-Węgry	10,612	12,940	17,268	23,866	25,431	—	127%
Stany Zjednoczone	45,000	55,000	93,000	124,000	156,000	163,000	247%
Francya	16,000	17,500	20,200	22,800	26,179	25,000	62%
Belgia	14,900	15,100	17,600	19,023	19,583	—	31%
Gub. Cesarstwa	1,171	2,262	3,966	5,439	7,440	7,619	535%
Gub. Król. Pols.	347	870	1,600	2,265	2,880	3,170	730%

W stosunku więc do ogólnej produkcyi węgla na kuli ziemskiej, jak i do produkcyi głównych krajów Zachodu, wytwórczość i całego państwa i Królestwa Polskiego jest względnie nieznaczna. Gdy jednak produkcya na kuli ziemskiej pomiędzy 1871—1892 r. wzrosła o 92%, w Anglii o 41%, Francyi o 62%, Niemczech 109%, Stanach Zje-

dnoczonych o 247%, a w całem państwie Rosyjskiem o 535%, produkcya Królestwa Polskiego wzrosła o 730%. Z państw zagranicznych pierwsze miejsce pod względem wzrostu produkcyi do 1893 r. zajmowała Anglia, obecnie dorównały jej Stany Zjednoczone, od 1883 do 1892 r. postąpiły one naprzód o 58%, Niemcy o 32%. Tymczasem w Anglii, Francyi, Austryi i Belgii poziom produkcyi w tym czasie (1883 — 92 r.) pozostawał prawie ten sam — z nieznacznym przyrostem.

Spożycie roczne węgla na 1 mieszkańca Król. Polskiego, licząc ogólną sumę spożycia w 1895 r. na 200 mil. pud., wyniesie 23 pudy.

W Królestwie Polskiem prowadzone jest również dobywanie na niewielką skalę węgla brunatnego (w okolicach Częstochowy). W 1897 r. wydobyto 3 mil. pudów. Pracowało 200 robotników. Z powodu znacznych kosztów produkcyi i niedogodnych taryf przewozowych produkcya ta nie rozwija się znaczniej, znajdując zbyt przeważnie wśród okolicznej ludności włościańskiej, używającej węgla brunatnego na opał. Zjazd górniczy obradował nad środkami podniesienia tej gałęzi kopalnictwa, bliższe rozpatrzenie sprawy polecając radzie Zjazdu.

B) Żelazo.

Co do czasu swego powstania przemysł żelazny u nas, również jak w całej Europie, jest daleko wcześniejszym, niż węglowy, gdyż sięga jeszcze XIII wieku. Pierwotnie otrzymywano żelazo wprost z rud w niewielkich piecach, zwanych dymarkami, i dopiero w XVII w. zaczęto budować tak zw. wielkie piece (w Końskich), które początkowo wydają żelazo w postaci surowca. Aż do połowy bieżącego stulecia wytapiano surowiec i otrzymywano żelazo w tak zw. fryszerkach wyłącznie na węglu drzewnym, przytem w tych tylko miejscowościach, gdzie znajdowały się obok siebie rudy żelazne, lasy, dające paliwo, i woda, stanowiąca siłę poruszającą dla używanych w tym przemyśle narzędzi. Dopiero około 1840 r. rozpoczęto wytapiać surowiec na koksie i z inicyatywy Banku Polskiego zaprowadzono nowy, ulepszony sposób otrzymywania żelaza za pomocą pudlingowania. Pierwsze wielkie piece na koksie wzniósł w Dąbrowie Bank Polski w 1842 r., dając początek Hucie Bankowej. Prócz niej było w tym czasie w okolicach Dąbrowy i Częstochowy jeszcze kilka niedużych zakładów żelaznych rządowych i prywatnych. Wkrótce po swem założeniu Huta Bankowa wraz z całem górnictwem — przeszła w ręce skarbu, który zarządzał nią z górą

lat 30, do 1876 r. Jednak do r. 1870, a właściwie nawet do 1877 r. przemysł żelazny rozwijał się bardzo powoli, chwilami zaś nie tylko nie postępował, lecz upadał. Dopiero zaprowadzenie cła złotego wywarło ogromny wpływ na rozwój przemysłu żelaznego, dla którego rok 1877 stanowi punkt zwrotny ku lepszemu zarówno w całem państwie Rosyjskiem, jak i w Królestwie Polskiem (zwłaszcza w zachodnim okręgu górniczym Królestwa). Od tej chwili państwo rozpoczęło się opiekować przemysłem żelaznym, zabezpieczając go przed konkurencyą zagranicy wprowadzeniem wysokich ceł, popierając go bezpośrednio zapomocą rządowych obstalunków (dla kolei żelaznych i t. d.), wyznaczając premia za wyrób szyn wyłącznie z materyałów krajowych i t. p. Opłata ceł w złocie podniosła cło na żelazo blizko o 40%, oddziałała w tym samym kierunku obniżka kursu rubla, następnie zaś cło na żelazo i surowiec podwyższano kilkakrotnie. W 1887 r. doprowadzono cło do 30 kop. (w 1891 r. zaś do 35 kop. złotych, to jest 52½ kop. papierowych) od puda surowca i 50 kop. od puda żelaza (zamiast poprzednich 5 kop. od puda surowca i 40 kop. od puda żelaza).

Wszystko to szybko pchnęło naprzód przemysł żelazny Królestwa: powstaje szereg wielkich przedsiębiorstw górniczo-hutniczych, dotychczasowe średnie i drobne albo znikają, albo rozrastają się w wielkie. Zamiast dotychczasowej starej Huty Bankowej, ustąpionej w 1876 r. prywatnym przedsiębiorcom i nie odpowiadającej wymaganiom współczesnego hutnictwa, powstaje wielki akcyjny zakład metalurgiczny z 1 wielkim piecem dużych rozmiarów, stalownią systemu martynowskiego i walcownią szyn. W dalszym ciągu zakład rozrasta się niezmiernie: dziś buduje on już czwarty wielki piec, posiada stalownię z 10 piecami Siemens-Martina i 3 walcownie; ogranicza on coraz bardziej produkcyę żelaza, a rozwija fabrykacyę stali. Huta wyrabia szyny i bandaże kolejowe, stal resorową, różnych gatunków żelazo handlowe, drut, blachę cienką i grubą i t. p. O rozmiarach jej produkcyi sądzić można z następujących danych: w r. 1896 wytopiono blizko 5 mil. pudów surowca i 5, 7 mil. pud. stali; wyrobiono żelaza pudlowego 314 tys. pud., wyrobów żelaznych 266 tys. pud.; wyrobiono żelaza i stali na sprzedaż (szyny, blacha, drut i t. d.) 4,3 mil. pudów (dla porównania patrz niżej dane o ogólnych rozmiarach produkcyi żelaznej w kraju). Obrót roczny dosięga 10 mil. rubli. Robotników pracuje 4,000 — 4,300, nie licząc ludności, zatrudnionej produkowaniem rudy na potrzeby Huty i jej dostawą. Jest to więc ze względu na rozmiary centralizacyi zakład wielki w całem tego słowa znaczeniu, i nie tylko w stosunku do po-

zostałych naszych zakładów hutniczych, lecz i do podobnych zakładów w Cesarstwie i zagranicą.

Prócz Huty Bankowej, około 1880 r. w zachodnim okręgu górniczym powstaje kilka fabryk żelaznych, założonych, jako filie hut, istniejących w sąsiednim Szląsku Pruskim w celu przerabiania zagranicznego surowca na żelazo: huta „Katarzyna" w Sielcach, huta „Aleksander" w Miłowicach i „Puszkin" w Sosnowcu. Wobec znacznego podwyższenia cła na surowiec zagraniczny w r. 1887 (z 5 do 30 kop. w złocie) musiały one zabrać się do wytapiania i przerabiania surowca krajowego i w tym celu wznieść własne wielkie piece. Huta „Katarzyna" buduje pierwszy wielki piec w r. 1890, drugi — w 1895; dają one 3 mil. pud. surowca. Prócz tego huta posiada stalownię z 2 piecami martynowskimi, oddział pudlingowy z 14 piecami pudlingowymi i 3 młotami i walcownię. Huta „Aleksander" ma 2 wielkie piece do topienia surowca, 2 piece martynowskie, 12 pieców pudlingowych i t. d. Produkcya żelaza rozwija się też w drugim okręgu górniczym — wschodnim (w gub. Radomskiej i Kieleckiej), gdzie powstaje szereg znacznych i wielkich hut i fabryk, jak zakłady Chlewiskie, Starachowickie, hr. Platera (Niekłańskie i Bliżyńskie), Ruda Maleniecka i inne. Na czele ich stoi dzisiaj „Towarzystwo akcyjne wielkich pieców Ostrowieckich", powstałe w 1885 r. z dawnych zakładów Klimkiewiczowskich, założonych w 1837 r. Posiada ono 2 wielkie piece na koksie i 6 pieców martynowskich i wytwarza (w 1895 r.) 1,2 mil. pud. surowca, 1, 8 mil. pud. stali, a 1,5 mil. pud. wyrobów stalowych. Obrót roczny — 3½ mil. rubli. Prócz tego istnieje w tym okręgu sporo mniej znacznych zakładów żelaznych, samodzielnych lub pomocniczych dla okręgu zachodniego.

Przyjrzyjmy się rozwojowi produkcyi żelaznej nieco bliżej, poczynając od produkcyi rudy żel. Królestwo Polskie posiada rudę żelazną w obu okręgach górniczych: zachodnim i wschodnim. Pomimo to część rudy sprowadzają huty krajowe aż z Krzywego Rogu w Rosyi południowej. Mimo wysokiej ceny tej rudy używanie jej u nas opłaca się wobec wysokiej stosunkowo zawartości żelaza, niemal 2 razy większej, niż w naszej krajowej rudzie (60 — 68%). Pokłady rudy w Królestwie mają bowiem tę niewygodną własność, że posiadają względnie niewielką zawartość żelaza (33 — 45%) i nie znajdują się nigdzie w większych masach, lecz rozrzucone są na znacznych przestrzeniach. W Zachodnim okręgu górniczym pokłady rudy mamy w okolicach Dąbrowy Górniczej, Zawiercia, Częstochowy i Olkusza, we wschodnim — w okolicach Kielc (dziś nie eksploatowane), Suchedniowa, Ostrowca, Starachowic, Końskich,

Niekłania, Rudy Maleniecki ej i t. d. Sposób jej dobywania jest bardzo pierwotny, dotychczas w ogromnej ilości wydobywaną jest przez włościan—właścicieli gruntów lub przez drobnych przedsiębiorców, którzy dostarczają rudę do hut za bardzo nizką cenę 6—8 kop. za pud. Przyczyną takiego sposobu eksploatacyi są głównie złe i utrudnione komunikacye. Ponieważ poszukiwacze rudy są to ludzie bez dostatecznych środków materyalnych i technicznego przygotowania, prowadzą oni eksploatacyę sposobem pierwotnym i wprost „rabunkowym" (w znaczeniu właściwem) ze szkodą dla przyszłej eksploatacyi. Wobec takiego stanu rzeczy trudno określić produkcyę rudy dokładnie.

Według inż. Kontkiewicza („Przegl. Techn.") produkcya rud żelaznych (w 1897 r.) wynosi we wschodnim okręgu górniczym 170 tys. tonn, w zachodnim 185 tys. tonn, razem przeszło 350 tys. tonn, czyli około 20 mil. pud. rocznie. Wzrasta ona stale. W 1865 r. wyprodukowano rudy 3,3 mil.. pud., w 1883 r. 9,8 mil. pud., w 1892 r. — 11,4 mil. pud., w 1893 — 13,8 mil. pud., w 1895 r. — 20 mil. pud., w 1896 r. — 18,8 mil. pud., w 1897 — 19,6 mil. pud., w 1898 r. — 22 mil. pud.

Kopalń czynnych było w 1865 r. 79, w 1883 r.— 76, w 1892 r.— 78, w 1895 r. — 99, w 1897 r. — 110. Ilość pracujących wynosiła w 1865 r. — około 2,000, w 1895 r. — około 6,000, wartość wydobytej rudy w 1865 r. dała 150 tys. rub., w 1895 r. sięga 1½ mil. rub.

W 1865 r. na 1 kopalnię wypadało 41,250 pud. rudy, 1,875 rub. wart. prod. i 25 robotn., w 1895 r. — 201,000 pud. rudy, 15,000 rub. wart. produk. i 60 rob.

Wydajność pracy robotnika z 1650 pud. rudy i 75 rub. wart. prod. w 1865 r. wzrosła do 3,350 pud. rudy i 250 rub. na 1 robotnika w 1895 roku.

Stosunek eksploatacyi rudy żelaznej w Królestwie Polskiem do Cesarstwa przedstawia się następująco: w 1892 r. w 2 głównych okręgach przemysłu żelaznego w Cesarstwie — na Uralu i w południowej Rosyi wydobyto 82,607 tys. pud. rudy (52,000+32,607 tys.), a w Królestwie 11,436 tys. pud. (blizko $^1/_7$), w 1893 r. zaś w Cesarstwie 93,709 tys. pud. (56,449 + 37,260 tys.), gdy w Królestwie 13,582 tys. pud., przeszło $^1/_7$). Później stosunek zmienił się na korzyść Królestwa.

Produkcya żelaza z rud,—wytapianie surowca oraz wyrób żelaza i stali—do ósmego lat dziesiątka, a nawet i do dziewiątego była, jak wyżej mówiliśmy nieznaczną. Tak w 1840 r. wytopiono 1,28 mil. pud. surowca i wyrobiono 610 tys. pud. żelaza; w 1856 r.—1,140

tys. pud. surowca, w 1865 r. 1,148 tys. pud. sur., w 1870—1,658 tys. pud. sur. i 762 tys. pud. żel. W tych niemal granicach utrzymuje się produkcya do czasu zaprowadzenia cła w złocie w 1877 r., odkąd datuje szybszy rozwój górnictwa. Pomiędzy 1880 — 86 r. produkcya surowca utrzymuje się w granicach 3 mil. pud., a żelaza i stali od 5½ — 6½ mil. pud. Szybki rozwój w latach następnych uwidocznią następujące dane:

Tysiące pudów.

Rok	Surowiec	Żelazo	Stal
1885	2,467	4,197	2,446
1886	2,832	4,585	3,151
1887	3,717	3,809	3,048
1888	4,728	3,238	3,137
1889	5,380	4,051	2,390
1890	7,424	4,137	3,366
1891	7,471	3,403	4,085
1892	9,045	3,683	5,606
1893	9,875	3,504	7,245
1894	10,745	3,783	5,825 (?)
1895	11,586	3,757	9,367
1896	13,321	3,528	10,373
1897	13,944	4,140	12,204
1898	16,000	17,000	

Jak widzimy w ciągu 14 lat ostatnich 1885 — 98 r. produkcya surowca wzrosła 6½ razy (o 545%), wyrób żelaza utrzymuje się na tym samym poziomie, za to wyrób stali podniósł się 5-krotnie (o 400%). W 1865 r. istniało 83 zakłady hutnicze z produkcyą wartości 2,412 tys. rub., zatrudniające 4,600 robotników. Dziś hutnictwo żelazne (35 zakładów) zatrudnia 12—15 tysięcy robotników, a wartość produkcyi sięga 20—25 mil. rub. W 1865 r. na 1 zakład hutniczy wypadało 29 tys. rub. prod. i 55 robotn. Dziś na 1 zakład wypada 571 do 714 tys. rub. wartości produkcyi i 343 do 428 robotników. Świadczy to o znacznym stopniu centralizacyi wielko-przemysłowej w naszem hutnictwie żelaznem.

Wydajność pracy robotnika w stosunku do wartości produkcyi określała się w 1865 r. — 524 rub., dziś — 1666 rub. na 1 robotnika. Jednak w porównaniu z wydajnością pracy pojedyńczego robotnika zagranicznego jest ona znacznie niższa, podczas gdy przewyższa wydajność pracy robotnika w Cesarstwie. Tak w porównaniu z robotnikiem belgijskim wydajność pracy naszego robotnika jest blizko

2 razy niższą. Według broszury Radziga [1]) do produkcyi surowca, żelaza i stali Królestwa w r. 1893 potrzebaby było w Belgii 6,210 rob., gdy w samej rzeczy pracowało ich u nas 11,247. Dla Rosyi południowej cyfry analogiczne wyrażą się, jak następuje: 6,284 (Belgia) i 14,010 rob. (Poł. Ros.); dla Uralu: 11,165 rob. (Belgia) i 142,486 (Ural). Za przyczynę mniejszej wydajności robotnika u nas i w Cesarstwie uważać należy niższość techniki produkcyi, w znacznym stopniu powodowaną wysokiemi cłami ochronnemi, które, utrzymując w wysokiej cenie wytwory produkcyi krajowej, pozwalają przemysłowcom mniej dbać o stosowanie wszelkich ulepszeń technicznych.

Dla wyrobienia sobie pojęcia, jakie miejsce zajmuje nasz przemysł żelazny w stosunku do produkcyi Cesarstwa i zagranicy, przytoczymy trochę danych porównawczych.

Zestawimy najprzód cyfry produkcyi surowca, żelaza i stali w ciągu ostatnich lat kilkunastu dla Cesarstwa z odpowiedniemi danemi dla Królestwa Polskiego.

M i l i o n y p u d ó w.

Rok	Surowiec		Stosunek	Żelazo		Stosunek	Stal		Stosunek
	Cesars.	Król. P.		Cesars.	Król. P.		Cesars.	Król. P.	
1880	25,7	2,7	$^1/_9$	16,5	1,3	$^1/_{13}$	14,4	4,3	$^1/_3$
1885	29,7	2,5	$^1/_{12}$	18,0	4,2	$^1/_4$	9,4	2,4	$^1/_4$
1890	49,1	7,4	$^1/_7$	22,3	4,1	$^1/_5$	19,7	3,4	$^1/_6$
1896	84,1	13,3	$^1/_6$	27,0	3,5	$^1/_8$	33,4	10,4	$^1/_3$

Gdy produkcya surowca w ciągu lat 16 (1880—96 r.) w Cesarstwie wzrosła z 25½ mil. pud na 84 mil. pud. (o 230%), w Król. Pol. wzrosła o 400%; produkcya żelaza w Cesarstwie wzrosła o 64%, w Król. Pol. o 170%, a prod. stali w Cesarstwie o 132%, w Król. Pol. o 142%. Dziś w stosunku do produkcyi Cesarstwa produkcya surowca w Król. Pol. stanowi $^1/_6$, żelaza $^1/_8$, a stali $^1/_3$.

Stosunek do przemysłu żelaznego innych krajów (według prod. surowca) przedstawia się, jak następuje:

W 1897 r. na kuli ziemskiej wyprodukowano 31 mil. tonn surowca. Z tego na Stany Zjednoczone, Anglię i Niemcy wypada 24 mil. tonn, Francyę 2 mil. tonn, Rosyę 1,6 mil. tonn, Austryę 1,2

[1]) Radzig: „Żeleznodiełat. promysz. wsiewo swieta".

mil. tonn, Belgię 950 tys. tonn, Szwecyę 560 tys. tonn, Hiszpanię 300 tys. tonn.; Królestwo Polskie z 230 tys. tonn wydaje nieznaczną względnie, bo $^1/_{135}$ ogólnej produkcyi całej kuli ziemskiej.

Nieco wcześniejsze dane (z 1894 r.) wykazują porównawczo stan przemysłu żelaznego, a właściwie produkcyi i spożycia surowca względnie do zaludnienia.

Nazwa kraju	Ludność w milionach	Produkcya surowca w tysiąc. tonn	Spożycie w tysiąc. tonn	Produkcya na 1 osobę w kilogr.	Spożycie na jedną osobę w kilogr.
Stany Zjedn.	69	6,800	6,850	98,1	99
Anglia	39	7,500	—	192	—
Niemcy	51	5,400	3,720	99	72,5
Francya	39	2,070	1,720	53,3	44,1
Austryo-Węgry	43,5	1,000	1,180	23,1	27,3
Belgia	6,5	810	410	125	63
Włochy	31	22	367	0,7	12
Szwecya	5	460	—	92	—
Szwajcarya	3	1	248	0,3	82,7
Gub. Cesarstwa	121	1,200	1,800	9,9	14,8
Gub. Król. Polsk.	9	176	200 do 260	20,3	około 25—30

Według poszczególnych gubernii produkcya żelazna dzieli się, jak następuje. Z ogólnej sumy wyprodukowanego w 1895 r. [1]) surowca — 11,586 tys. pud., żelaza walcowanego 3,757 tys. pud. oraz stali i żelaza zlewnego 9,367 tys. pud. w sumie ogólnej wartości 17 mil. rub. (przy 12,000 robotników) na gubernię Piotrkowską wypada 6 mil. pud. surowca, 2,600 tys. pud. żelaza i 7,200 tys. pud. stali; wart. produk. — 13 mil. rub., ilość robotników 5,500; na Kielecką — 329,300 pud. surowca, na Radomską — przeszło 5 mil. pud. surowca, 1,156 tys. pud. żel., 2,167 tys. pud. stali. Według okręgów: na okręg zachodni z ogólnej sumy 188,300 tonn (11,586 tys. pud.) surowca wypada 100 tys. tonn (6,100 tys. pud.); na wschodni 88,300 tonn (5,386 tys. pud.).

Ogółem wartość produkcyi 110 kopalń rud żelaznych i 35 zakładów hutniczych da się obliczyć na 25 mil. rub., a ilość robotników w przemyśle żelaznym (górniczo-hutniczym) na 22½ tysięcy.

---

1) Choroszewski. Górnictwo w Król. Pol. w 1895 r.

C) Cynk.

Produkcya cynku w Król. Polskiem względnie do produkcyi żelaza i węgla zajmuje miejsce podrzędne i odznacza się zarówno dość ograniczonymi rozmiarami, jak i tem, że od szeregu lat utrzymuje się na jednym poziomie, wcale lub niewiele posuwając się naprzód. Dzieje się to pomimo obfitych pokładów rud cynkowych (galmanu) pod Olkuszem i większej czystości, niż na Szląsku, a to z powodu konieczności kosztownego osuszania kopalni przez przeprowadzanie nowych sztolni i zaprowadzanie silnych maszyn do pompowania, jak również z powodu konkurencyi cynku szląskiego. Wobec pomyślniejszych warunków ekonomicznych na Szląsku i taniości kapitału tamtejsi producenci mają możność stosowania wszelkich ulepszeń do produkcyi i obniżania ceny produktu. Eksploatacya rud cynkowych (galmanu)ześrodkowuje się w Bolesławiu w pow. Olkuskim (gub. Kielecka), i Bendzińskim (gub. Piotrkowska).

Produkcya galmanu w 1865 r. wynosiła 915 tys. pud. W 1893 r. wydobyto galmanu 3 mil. pud., w 1895 — 3,35 mil. pud., w 1896 — 2 mil. pud., w 1897 — 2,1 mil. pud. (w 1898 r. 3,8 mil. pud.); w kopalniach pracowało 762 robotników, według innych źródeł 1,300. Hut cynkowych istnieje dwie, prawie równych rozmiarów: huta „Paulina", należąca wraz z kopalniami Bolesławskiemi do Towarzystwa Sosnowieckiego i rządowa Huta pod Bendzinem (w prywatnej dzierżawie). Rozwój produkcyi cynku od r. 1856 posuwał się następującymi krokami: w 1856 r. wyprodukowano 98 tys. pud. cynku, w 1865 r.—189 tys. pud., 1870 r. — 201 tys. pud., 1880 r. — 268 tys. pud., 1885 r. — 280 tys. pud., 1890 r. — 230 tys. pud., 1895 r. — 292 tys. pud., 1896 r.—325 tys. pud. W r. 1897 otrzymano 359 tys. pud. w 2 hutach cynkowych; wart. produk. wynosi 1,2 mil. rub., robotników w hutach pracuje 1,500; ogółem zaś na hutach i w kopalniach cynkowych 2,262. Na 1 hutę cynkową przypada 600 tys. rubli wartości i 750 robotników, na 1 robotnika 800 rub. wartości prod. (W 1898 r. otrzymano z hut 346 tys. pud. cynku, wyrobiono zaś blachy cynkowej w 1896 r. — 192 tys. pud., w 1897 r.—204 tys. pud., w 1898 r. — 193 tys. pud.) Udział Królestwa Polskiego w ogólnoświatowej produkcyi cynku jest bardzo nieznaczny. Tak produkcya cynku w Europie i w Stanach Zjednoczonych wynosiła w 1894 r. — 375 tys. tonn, w 1895 r. — 410 tys. tonn, w 1896 r. 418 tys. tonn. Z tego wyprodukowano:

Kraj:	Tysiące tonn. 1895 rok	1896 rok
W całej Europie	332 tys. tonn	345 tys. tonn
W prowincyach Nadreńskich, Belgii i Holandyi	172 " "	172 " "
Na Szląsku	94 " "	96 " "
We Francyi i Hiszpanii	23 " "	28 " "
W Wielkiej Brytanii	29 " "	25 " "
W Austryi	8 " "	9 " "
W Królestwie Polskiem	5 " "	6 " "

Czyli: produkcya cynku w Królestwie Polskiem stanowi $^1/_{60}$ produkcyi Europy, a $^1/_{70}$ — całej kuli ziemskiej. W Cesarstwie produkcya cynku nie istnieje pomimo pokładów galmanu w zagłębiu donieckiem i na Kaukazie.

Przywóz cynku z zagranicy dosięga rocznie 500 tys. pud. (1893 r.) Cynk w granice państwa Rosyjskiego przywożony jest głównie z Belgii i ze Szląska.

Zanim zsumujemy dane o produkcyi górniczo-hutniczej Królestwa, należy wspomnieć jeszcze o dobywaniu niektórych innych produktów kopalnictwa. Kamienie budowlane i wapienne oraz marmur wydobywane są w 35 kamieniołomach większych. W 1896 r. pracowało w nich 2,296 robotników.

Produkcya soli w Ciechocinku zatrudnia 50 ludzi.

Produkcya siarki prowadzi się w Czarkowach, w pow. Pińczewskim (gub. Kielecka). Po 19 latach przerwy podjęto ją ponownie w 1896 r. z kapitałem 200,000 rubli. Ruda wydobywana jest z gruntów włościańskich; za każdą morgę skopaną właściciele przedsiębiorstwa i majątku dają włościanom dwie morgi ziemi. Dziennie wytapia się 400 pud. siarki. Wytapianie prowadzi się za pomocą pary i nowym sposobem za pomocą ognia, najmniej kosztownym (sposób sycylijski). Robotników stałych pracuje 150, prócz tego niestałych 50. Płaca stałego robotnika wynosi 60 kop., niestałego 35 kop. dziennie. Przedsiębiorstwo jest w ręku spółki rosyjskiej, do której należą: gen. A. Kirejew, szlachcic Aleksiej Mordwinow, gen. baron T. Meyendorff i tajny radca W. Ochotnikow. Zarządza kopalnią Edward Łużecki, główno-zarządzającym fabryki jest p. Trzciński, dyrektorem p. Weinzweig, a inżynierem fabrycznym Włoch August Rigoletti. Dawniej prowadzili siarkownię właściciele-

le Czarków, Pusłowscy, którzy włożyli w nią do 300 tys. rubli, lecz z powodu złych obrotów musieli przerwać produkcyę [1]).

Cały zaś przemysł górniczo-hutniczy u nas przedstawia się, jak następuje (1897 r.):

Rodzaj przemysłu	Kopalń i zakładów	Wartość prod. w rublach	Ilość robot.
Kopalnie rudy żelaznej	110	25,000,000	22,500
Hutnictwo żelazne	35		
Kopalnie galmanu	?	1,200,000	2,262
Huty cynkowe	2		
Węgiel kamienny	19	12,000,000	20,200
„ brunatny			
Kamień budowlany	35	?	2,296
Sól	—	—	50
Ogółem	201	38,200,000	47,308

Jak widzimy, dziś cały nasz przemysł górniczo-hutniczy przedstawia poważną roczną wartość blizko 40 milionów rubli, wyprodukowaną w 200 z górą zakładach, kopalniach i hutach—przy udziale blizko 50 tysięcy robotników.

Dla wnioskowania o szybkości wzrostu zestawimy te dane z danemi lat poprzednich:

Rok	Wart. prod. w 1000 rubli	Ilość kopalń i zakł.	Ilość robotników	Ile rubli na 1 zakład?	Ile rubli na 1 robotnika?	Ilu robotników na 1 zakład?
1857	3,000	301	10,500	10,000	286	34
1865	4,383	—	9,203	—	476	—
1870	3,516	182	6,443	13,824	545	35
1873	6,052	124	8.310	48,806	753	67
1897	38,200	201	47,308	190,049	807	235

Tak więc pomiędzy 1870 — 97 r. wartość produkcyi górniczo-hutniczej u nas wzrosła przeszło 10 razy (z $3\frac{1}{2}$ mil. rb. do 38 mil. rb.), a ilość robotników przeszło 7 razy (z 6443 do 47,308).

O postępach centralizacyi wielko-przemysłowej świadczą dane, dotyczące stosunku wartości produkcyi i ilości robotników do ilości kopalń i zakładów. Tak, gdy w 1857 r. na 1 zakład wypadało

[1]) O produkcyi siarki podajemy dane szczegółowsze, gdyż te nigdzie jeszcze ogłaszane nie były.

10 tys. rub. wart. prod. i 34 robotn., a w 1870 r. 13,8 tys. rub. i 35 rob., — w r. 1897 na 1 zakład wypada *190 tys. rub.* i *235 rob.* Różnice te znacznie byłyby wyższe, gdybyśmy do ogólnej sumy nie wliczali całej masy drobnych kopalń rudy żelaznej i kamieniołomów.

Wydajność pracy pojedyńczego robotnika w przemyśle górniczo-hutniczym (w stosunku do wartości produkcyi) wzrosła z 286 rb. w 1856 r., do 545 rub. w 1870 r., 753 rub. w 1873 r., wreszcie 850 rub. w 1897 r.

W całym okręgu Dąbrowsko-Sosnowieckim ilość robotników, zatrudnionych w różnych gałęziach przemysłu (wraz z przędzalniami i tkalniami) przenosi dziś 60,000. Wszystkich górników i hutników polskich liczyć należy (r. 1893): na Szląsku Górnym pruskim 125 tys., w Westfalii 60 tys. (?), na Szląsku Austryackim 35 tys. Razem w Europie 260 tysięcy; nadto w Ameryce podobno 15 tysięcy. Ilość górników i hutników w Anglii (1887 r.) wynosi 507 tys., w Niemczech (w całem państwie) w 1892 r. — 423 tys., w Austro-Węgrzech 80 tys., we Francyi 113 tys., w Belgii 102 tys., w gub. Cesarstwa Ros. (1887 r.) — 416 tys. Dodać jeszcze należy parę słów o udziale kobiet i dzieci w przemyśle górniczo-hutniczym. Jak wszędzie, tak i u nas, jest on minimalny. Tak np. w hutnictwie żelaznem i przemyśle mechanicznym na 100 rob. wypada 99,6 męż., a 0,4 kobiet. W przemyśle węglowym w 1896 r. w ogólnej liczbie 16 tys. robotn. było 600 kobiet, czyli 96% mężczyzn, a 4% kobiet. Ilość dzieci, zajętych w górnictwie i hutnictwie, nie dochodzi 0,66%.

Ponieważ objawy centralizacyi wielko-przemysłowej przypisać należy oddziaływaniu maszyny, przytoczymy garść danych, dotyczących upowszechnienia się maszyn w naszym przemyśle górniczo-hutniczym, co zarazem posłuży ze swej strony za miernik rozwoju tego wielkiego działu wytwórstwa krajowego.

Postępy maszyny w przemyśle węglowym uwydatni następująca tabliczka.

Rok	Ilość kopalni	Ilość maszyn	Siła koni parowych
1873	13	49	1,220
1874	20	39	2,082
1875	25	40	2,149
1884	28	126	6,865
1885	27	137	8,507
1893	18	211	15,629
1894	17	214	15,934
1895	19	212	16,304
1896	20	230	19,877
1898	—	241	20,438

Tak więc, gdy ilość kopalń w 24-letnim okresie 1873 — 96 r. wzrosła stosunkowo nieznacznie (z 13 do 20), ilość maszyn parowych wzrosła o 265%, a siła maszyn o 1,500%. Ogółem zaś cały przemysł górniczo-hutniczy Królestwa (żelazny, węglowy, cynkowy i t. d.) korzystał w r. 1893 z 383 maszyn parowych o sile 25,336 koni parowych, a prócz tego z 78 motorów wodnych o 1,083 siłach.

Kotłów parowych działało w zakładach górniczych i kopalniach w 1895 r. — 508, w 1897 — 555.

Największy w Królestwie zakład górniczo-hutniczy, Huta Bankowa, w r. 1865 miała zaledwie 10 maszyn parowych o nieznacznej sile 288 koni parowych (przy kilkuset robotnikach); w r. 1893 Huta posiadała 34 maszyny o sile 3,385 koni parowych, a w 1894 r. — 52 maszyny o sile 4,100 k. p. (przy 4,000 rob.). Huta „Katarzyna" (przy 1,200 rob.) miała w 1893 r. 27 maszyn parowych o sile 2,755 koni parowych, a w 1894 r. — 26 maszyn par. o sile 2,740 koni par., huta „Aleksander" w 1894 r. — 17 maszyn par. o sile 983 koni par., „Puszkin" — 3 maszyny o sile 565 koni parowych i t. d.

Jeśli do przemysłu górniczo-hutniczego dodamy wartość przemysłu metalowego, opartego na górnictwie i hutnictwie (fabryki machin, narzędzi, wyrobów żelaznych, złotych i t. d.), wapniarni i cegielni, fabryk szkła, fajansu, ceramicznych i t. d., otrzymamy, iż cały dzisiejszy przemysł, przerabiający płody kruszcowe i ziemne, przedstawia wartość 75 milionów rubli przy 1,200 zakładach, kopalniach i fabrykach i 86 tysiącach robotników. Pomimo to przemysł ten w ogólnej wytwórczości kraju zarówno wartością swej produkcyi, jak ilością robotników i stopniem centralizacyi wielko-przemysłowej, zajmuje drugie miejsce po przemyśle tkackim, dla którego stanowi niezbędny czynnik i warunek rozwoju.

Stanisław Koszutski.



Wacław Sieroszewski.

W ostatnich latach stało się w literaturze naszej coś, z czego sobie dotąd nie zdajemy dostatecznie sprawy: w różnych kierunkach twórczości strzeliły naraz w górę potężne, samodzielne organizacye artystyczne i sprawiły, że literatura nasza współczesna jest dziś wśród europejskich jedną z najciekawszych, najbogatszych w młode talenty i w pierwiastki bujnego rozwoju. Jest przed nią przyszłość, która należy do młodych, szczerych, odważnych, jest w niej siła, dowód niewyczerpanych zasobów naszej potęgi duchowej, jest odrębność indywidualności twórczych, która jej zapewnia rozwój, a chroni od zmanierowania w jednym do ostateczności doprowadzonym kierunku. Ale tego tchnienia, które z chwili obecnej wybucha, a zapowiada nam „jutro", nie odczuwa jeszcze głęboko całe społeczeństwo. Przeciwnie, jakiś niepokój ogarnia umysły o losy duchowej spuścizny naszych wielkich serc i umysłów: jakby na historycznej i społecznej powieści Sienkiewicza, Prusa, Orzeszkowej kończyła się świetna doba, jakby coś zapadało w mrok i dobiegało istotnie kresu z końcem wieku. Jednych ogarnia zupełna nieufność, innych przejmuje „jakieś oczekiwanie tęskne i radosne" w nadziei, że przyjdzie prąd, który będzie reakcyą przeciw temu, który się teraz poczyna. Przyjdzie z rózgą ognistą jakiś wy-

bawca, objawienie z XX wieku, zmiecie w puch swoich poprzedników i stworzy pieśń, potężniejszą nad wszystko. Czemże wobec tych marzeń jest teraźniejszość? Jakiemś chwilowem przejściem, zaćmieniem, zresztą, według utartego już określenia, anarchią i dekadencyą. Te nazwy, określające pewne objawy kultury zachodniej, przeniesione w nasze warunki, są często nadużywane, ruchu tego nie wyjaśniają, lecz przeszkadzają raczej do głębszego wniknięcia w jego istotę — przez fałszywe analogie. U nas powracająca fala romantyzmu i mistycyzmu słowiańskiego uderzyła na umysły, opanowane przez „sternika duchami napełnionej łodzi", który wiedział, że „przyszłość jest jego", rozpłomieniły wyobraźnie iskrą, skrzesaną przez twórcę „Króla Ducha" nie ze strof jego tęczowych, nie z kryształów i dyamentów, ale z jego przeczuć i wierzeń, z intuicyi wieszczej, z nastroju. Równocześnie tchnął od poezyi skandynawskiej duch „Nowej Sztuki", metafizyczny, skupiony w sobie, szukający syntezy: objawiła się reakcya przeciw zasadniczym podstawom twórczości realistycznej.

U nas wszakże teraz dopiero zdobycze realizmu francuskiego wniknęły w swojską kulturę i pierwsze wydają owoce. Świat zewnętrzny pociąga, głosem silnym odzywa się ukochanie przyrody i potrzeba przedmiotowego odbijania jej poprostu dla radości oczu. Dlatego to w twórczości artystycznej ostatnich lat spotykamy tak różnorodne pierwiastki, że trudno mówić o jednym wyłącznym kierunku. Obok spokojnego realizmu powieści Dąbrowskiego mamy paradoksalny, bogaty naturalizm Reymonta, głęboką, szorstką, potężną poezyę Kasprowicza, pełną wyrazu, a doskonałą w formie lirykę Tetmajera, ostre, przenikliwe akcenty Żeromskiego, oraz muzyczne w rytmie dramaty Wyspiańskiego, dziwne utwory Brzozowskich, drgające bólem, śpiewne poematy Przybyszewskiego — i Sieroszewskiego jasną, w marmurze kutą prozę. O większe kontrasty trudno; jedynie głębokie poczucie artyzmu łączy tych „młodych", poza tem każdy z nich ma nie tylko własny, niezależny świat, ale jakby i własną, odrębną kulturę duchową, w przeciwstawieniu do zwartej ławy romantyków i do francuskiej szkoły naturalistycznej z lat 70-tych. Trudno byłoby jednak zniszczyć dziś legendę o potwornej „Szkole Krakowskiej", zwiastującej erę upadku i zepsucia, legendę, która obiega salony i panuje w prasie. Na temat nowych prądów powstaje wiele dowcipów ostrych i błyszczących. Wprawdzie chwila obecna nie jest taką przełomową godziną dziejową, jak owa niezapomniana epoka, w której zakwitł kwiat naszego romantyzmu — „jedną tylko taką wiosnę mamy w życiu".

Nie mniej jednak i tego rozwoju artystycznego, jaki się w oczach naszych odbywa, nie powinniśmy lekceważyć, ale starać się o poznanie jego różnorodnych przejawów. Może właśnie różnorodność kierunków i talentów utrudnia to zadanie, trzeba bowiem wielkiej wrażliwości, aby odczuć tyle dusz, tak odrębnych. Bywają organizacye artystyczne, zapatrzone w siebie, wybujałe, przepaściste, z olbrzymią fantazyą, do których żadnej miary, prócz ich własnej, przykładać niepodobna; ich losem niejako jest nieporozumienie z żyjącymi, rozdźwięk ze społeczeństwem. Bywają inne, do których serca lgną same, mimo że wysoki nastrój duchowy broni im szukania efektów i czynienia kompromisów dla podbicia tłumu. Jest to udziałem natur, które łączą w sobie talent, mądrość i prostotę serca przy zdolności do gorącego współczucia.

Otóż przez tę mądrość, prostotę i współczucie serdeczne zajął stanowisko wyjątkowe wobec społeczeństwa Wacław Sieroszewski. Artysta to „z łaski Bożej", obdarzony bystrym wzrokiem i wrażliwością na objawy zewnętrznego życia, na kolory i kształty, z wyobraźnią silną, konkretną, wyrażającą się jasno, zwięźle, w rysach prostych, rzucanych pewną i śmiałą ręką; artysta szczery i głęboki, unikający łatwej drogi, wstrzemięźliwy i surowy.

Pisano już o Sieroszewskim dużo; talent jego zajął gorąco przedstawicieli prądów społecznych, jak Świętochowskiego i Orzeszkową, zajął też młodych i podbił ich szczerością, siłą twórczego tchnienia oraz samorzutnością, z jaką się przejawia dusza głęboka i szlachetna. Wszystkie charakterystyki, zgadzając się w zasadniczych rysach, a uzupełniając wzajemnie — podniosły prymitywność i świeżość tego talentu, połączoną z imaginacyą spostrzegawczą, ciekawą, obejmującą szczegóły, imaginacyą niepospolitych dzieci, takich, jakie podchwycił sam w „Latoroślach", z imaginacyą ludową pierwotnych natur. Plastyka i ścisłość w krajobrazach, epiczność w odtwarzaniu życia syberyjskich ludów, siła dramatycznego napięcia i podkład wielkiej miłości dla człowieka, litości nad jego biedą — wszystkie te cechy znalazły silne odczucie i zostały określone w sylwetach, wśród których krótka charakterystyka pióra A. Potockiego najwybitniejsze zajmuje miejsce.

Przed sześciu laty umieścił „Czas" pierwszą powieść Sieroszewskiego pod pseudonimem Sirki „Na kresach lasów". Zwróciła ona uwagę na autora i wzbudziła zainteresowanie egzotycznością swego świata i losami bohatera — Pawła. Wrażenie to jednak nie odpowiadało jeszcze istotnej wartości dzieła; dopiero później, po wy-

daniu nowel, lepiej oceniono tamten głęboki dramat, który jest niewątpliwie jedną z najświetniejszych kreacyi artystycznych w ostatnich latach. Książkę otwiera obraz dorocznego głodu u Jakutów na wiosnę, wypełnia ją historya codziennego życia tego łowieckiego ludu i historya wewnętrzna wysłanego tam młodzieńca, — a zamyka potężna wizya nadchodzących ciemności zimowych, wśród których okropne żniwo rozpoczyna przywleczona z czukockiej tundry zaraza. Z tej prostej osnowy stworzył Sieroszewski powieść o zakroju epicznym, ale o nastroju dramatycznym. Nad nędzą życia — tchnienie zabójcze nieubłaganej, niepożytej śmierci, tragedya tego niezwalczonego strachu przed nieznanem, groźnem, bezlitosnem Złem, owego okropnego strachu Ślepców nad brzegiem morza i tragedya niemocy bezsilnej, połączonej z rozbijaniem się wszystkich trudów i pragnień czynu o granity nagiej rzeczywistości; tragedya samotności, tęsknoty, dumnie, bez skargi znoszonej, — oto wyraz tej bolesnej książki, wyraz głęboki, spotęgowany przez spokój, skupienie i rezygnacyę autora. Ani jednego wykrzyknika, ani jednego drgnienia muskułu wobec morza cierpienia i zagadki bytu. Żyć trzeba, cierpieć, kochać mocno, — tak — nawet w tym strachu, w tej ciemności, w tej samotnej głuszy — śmiało! — tylko pracy nie przerywać, — codziennego trudu pracy wewnętrznej! To życie, to sens życia! Intencyi symbolicznej, ani też z góry powziętej tendencyi niema w tej opowieści, tylko potęga uczucia i głębia filozoficzna podnoszą ten dramat północny do znaczenia ogólno-ludzkiego symbolu, a idea etyczna staje przed czytelnikiem wyraźna i jasna. Arcydziełem nastroju jest zakończenie „Na kresach lasów", — błądzenie Pawła po lesie, wokół wymarłej osady, z niepokonaną trwogą w tej samotnej, białej głuszy, wobec bladego widma śmierci...

Jeszcze silniejszy w tonie jest jeden z ostatnich utworów Sieroszewskiego „Czukcze". Wśród długiej nocy świta w głowie młodzieńca o bujnej wyobraźni nadzieja zmiany położenia, ratunku, przy pomocy dzikich. Plany, obliczenia, zwierzenia przed przyjacielem, zaznajomienie się z czukocką bandą; wreszcie upragniona wyprawa na północ, niby w odwiedziny, połączone z misyą chrześcijańską do Czukczów nad ocean; a dalej — przyszłość. Działanie się rozpoczęło, — co się stanie? A więc niepokój o jutro, przewidywania przeszkód, obawa, — a zarazem radość, — bo może się uda. I naraz rzeczywistość, straszniejsza nad wszystkie przewidywania, szekspirowskie „okropność, okropność, okropność!". Potworne trupy pomordowanych, zastygłe ogniska, wściekły wicher od oceanu,

groźniejszy, niż Samum w pustyni. Na tundrze odegrała się wśród dzikich krwawa tragedya zawiści rodowej, widziadło mordercy — mściciela wychyla się z za skały, — jakaś ohydna twarz, jak z wizyi Ed. Al. Poego. Rozpaczna walka ze śmiercią, jedyny ratunek w szybkim odwrocie, odrętwienie i pogrzebanie „tamtej myśli" — na zawsze.....

„W matni" jest obrazem tych samych stosunków, wobec których znajduje się człowiek energiczny, pełen inicyatywy i hartu. Największą przykrość sprawia mu to, że jest ciężarem ludziom biednym, dla których szczerą czuje życzliwość. Ma cel życia — córeczkę, którą przywiozła mu żona, — ma swoją ideę: zdobycie własną pracą środków do życia przez uprawianie odłogiem leżącego pola. O to pole toczy upartą walkę z Jakutami, którzy, mimo nakazów rządowych, oddać mu nie chcą, obiecując raczej podwoić datki na utrzymanie. Jest w tym ich uporze coś z logiki naszych chłopów przy układzie o służebności: ta sama obawa podejścia ze strony przeciwnej. Ale jest też w tym zaciekłym konserwatyzmie Jakutów pewna racya, i to głęboko sięgająca; niechże się uda rolnictwo jednemu „nuczy", choćby dobremu, przyjdą w te tropy różni, ziemię zabiorą, nie stanie jej na pastwiska. Racyonalista praktyczny i wyrachowany, łączy Jakut z naiwnością prostaczych natur chytrość i rozsądek; jest to ów „mądry chłop" z andersenowskich bajek, — nic sentymentalizmu, nic rzewności, za to wielka zdolność do życia, jaką mają i te drzewa karłowe tajgi, i porosty, — możność przerzucania się z apatyi w wir energicznej czynności; przytem głęboki podkład fatalizmu, wyrobiony zależnością od losu, od wyniku polowania i zmian powietrza.

Z nowel, osnutych na tle życia jakuckiego, największe wrażenie sprawia „Chajłach" tragizmem zakończenia i mistrzostwem formy. Jestto skrajny realizm, wydobywający jaskrawe barwy z poezyi bujnie rozkwitłego lata, z tragicznego losu bezbronnych istot, z psychologii „katorżnika", łączącego instynkty wrodzone ze wspomnieniami krwawej przeszłości. Jest wśród nowel jedna, odmienna kolorytem i stylem, przypominająca wschód chaldejski swą powagą i podniosłym nastrojem. Tchnienie religijne patryarchalnych czasów, tak obce jakuckiej naturze racyonalistycznej, objawia się z całą potęgą i poezyą w uczuciach koczującego plemienia Tunguzów. Dla odwrócenia moru poświęca się za naród cały „W ofierze bogom" najznakomitszy i najszlachetniejszy, spełniając dobrowolnie żądanie wyroczni kapłańskiej. Heroizm i wielka

moc ducha biją od postaci sądziwego Sołticzana, który zwycięża przywiązanie do życia miłością dla idei nieśmiertelnej: ofiary jednego za wszystkich.

Nowoczesność techniki Sieroszewskiego polega na tem, że nie opowiada on nigdy, nie objaśnia nic; rzuca nam wprost przed oczy obraz za obrazem, stawia ludzi we wszystkich warunkach ich życia, traktowanego z bogactwem szczegółów i dobitnością akcyi, a z oszczędnością słów. Jego sposób wywoływania nastroju to realizm faktu — i niedomówienie myśli. Jest to praca, męcząca dla przeciętnego czytelnika, zaprawionego do obszernych wywodów i poufnych wynurzeń autora — takie odtwarzanie kilku danych z wszystkich myślników i pauz; nie wszyscy też umieją pochwycić to, „co się mieści pomiędzy palcami, i co najważniejsze" według określenia Falka z „Homo Sapiens". Ale umysły, na dzisiejszej literaturze wychowane, poprostu znieść nie mogą wielomówstwa; coraz gwałtowniej objawia się pragnienie znalezienia całego wyrazu w czynie, w ruchu. W jednym z dramatów Wyspiańskiego wchodzi na scenę żołnierz z pola bitwy z raportem do generała. Wszyscy zebrani w najsilniejszem naprężeniu oczekują wieści. On — nie mówi nic, nie robi żadnego gestu, prócz salutacyi wojskowej. A jednak, co się stało, czują wszyscy. I to robi kolosalne wrażenie. Sieroszewski ma wymowę tego żołnierza.... Do wydobycia charakterystyki psychologicznej postaci nie posługuje się analizą i wnioskowaniem. Z rysów zewnętrznych, które nam istotnie wpadają w oczy, z wyrażeń, z zachowania, stwarza fizyognomie wybitne, odcinające się ostro i wyraźnie na tle przygód i krajobrazów. Ta metoda impresyonistyczna wypływa u Sieroszewskiego z silnego odczucia rzeczywistości i z wewnętrznego impulsu do oddawania wrażeń najprostszymi sposobami, bez komentarzy. Tworząc tę własną formę w duchu najnowszej techniki pisarskiej, nie akcentuje Sieroszewski tej odrębności; dlatego to forma jego nie ma w sobie maniery, jak wiele świetniejszy jeszcze, wirtuozowski impresyonizm Piotra Altenberga. Natomiast w samej treści utworów Sieroszewskiego powtarza się stale pewien rys, który z czasem przejść może w manierę: jest to zamiłowanie do nadzwyczajnych przygód, wypływające z charakteru stosunków pierwotnych, złączone z życiem i wyobraźnią autora. Wychowany przez naturę czuje ją Sieroszewski instynktem człowieka pierwotnego, którego zmysły zaostrzyła ciągła styczność z żywiołami, zżył się z nimi, z nich wyrósł, od nich nauczył się wszystkiego. Nie ciąży na nim ten kolosalny balast „literatury", co najtęższe umysły współczesne przygniata, prześladując na-

tarczywością przypomnień, dając łatwą fakturę z wzorów, z pod której wpływu otrząsać się trzeba, by znaleźć własny, odrębny ton.

Oddalenie od pospolitości życia i od literackiego młyna bieżącej chwili wycisnęło piętno samodzielności na twórczości Sieroszewskiego, dało mu właściwą samoukom zdolność obserwacyi bezpośredniej, zarazem jednak zwiększyło trud umysłowej pracy, wytężonej jednocześnie ku opanowaniu języka i ku zdobyciu wszystkich sposobów techniki pisarskiej, bez pomocy owych bezwiednych przypomnień, torujących drogę. To też utwory Sieroszewskiego nie mają charakteru improwizacyi szczęśliwej, rozpędzonej, nazbyt bujnej; najpiękniejsze obrazy, najsilniejsze akcenty nie przychodzą z czarodziejską łatwością, ale są owocem dojrzałym głębokiej pracy wewnętrznej. I pod tym względem porównać go można z Alfonsem Daudetem, który ten trud uważał za najistotniejszy obowiązek powołania artystycznego i całą namiętność południowca opanowywał żelazną wolą i hartem umysłu, tworząc arcydzieła jednolitości ze swych dramatycznych powieści. Młody pisarz polski ma kilka rysów, przypominających ducha tego artysty, które oby równie świetną w przyszłości wydały działalność: podkład etyczny i gorącość serca, poczucie dramatycznego napięcia, wypukłą, pełną wizyę świata realnego.

W pierwszych utworach Sieroszewskiego znać jakby pokonywanie trudności językowych, zawsze zwycięsko, ale nie zawsze ze swobodą. Czasem trafi się jeszcze jakiś zwrot obcy, ogółem jednak język to nierównie czystszy od tego, jakim mówi nasza młodzież; jędrnością zaś dorównywa najdoskonalszym wzorom, a styl jest zwięzły, męski, rzeźbiony, silnie wpływem klasycznej prozy przejęty.

„Na kresach lasów" i „Risztau" to dwa wybitne kontrasty oświetlenia: motyw północy i motyw południa: pieśń ziemi sieroty, rozjaśniającej się nikłym uśmiechem, który na długo zamiera przed czarną troską nocy, — i fanfara ziemi rodzicielki, rozkwitającej jaskrawym przepychem zdziczałych sadów i borów dziewiczych, wspaniała fanfara gór i morza, zakończona groźnym akordem rozpętanych żywiołów. Sieroszewski rozumie i kocha ziemię zawsze — i tę opuszczoną tajgę, po której błąka się Paweł, i tę królewską wspaniałość stoków kaukaskich, i majestat Białowieży, i tę „inną piękność" krajobrazu, który „bywa smętny, rzewny, to znowu łagodnie uśmiechnięty", „a nad tem wszystkiem niebo nizkie, chmur pełne, swojskie i miłe". Od tych krajobrazów jego oderwać się trudno; przepojone miłością miłość budzą, bo nie tylko biją w oczy

kształtem i barwą, wyrazistością szczegółów w odpowiedniej perspektywie, ale odsłaniają się z całą głębią swego wyrazu wewnętrznego i swego nastroju. To nie dekoracya i nie tło portretu czy sceny z życia; naturę, żyjącą własnem, tajemniczém, skomplikowanem życiem wprowadza Sieroszewski dla niej samej, czuje uciechę jej, rozkwit, jej wiekowe walki, przewroty, ciche melancholie i niemą rozpacz zamierania zimowego, a czuje to tak bezpośrednio i silnie, że każda jego kreacya jest dramatem, pieśnią czy sielanką przyrody w równym zupełnie stopniu, jak i serca ludzkiego. Weźmy dla przykładu dwa światy odrębne: syberyjską tajgę i puszczę kaukaską, wejdźmy w nie za przewodnictwem Sieroszewskiego, a poznamy nietylko „ich postać, ich lice”, ale także „ich wnętrzne serca tajemnice”.

„Dziwny widok przedstawia las podbiegunowy. Cmentarz to raczej, gdyż zaprawdę więcej tu leży pni zwalonych, niż żywych koron wznosi ku niebu. Tak, to pobojowisko. Tu się toczy walka zajadła, nieubłagana między wichrami, jałowością gleby a lasem. Poległo już wielu bojowników, ale bój nie skończył się jeszcze, o czem świadczą wymownie młode latorośle, świeżo wyrastające pomiędzy chróstami. Chciwe słońca, powietrza, pewne praw swoich, szeroko rozstawiają kosmate łapeczki swoje, wyścibiają kędzierzawe, pachnące czubki blado zielonych iglastych gałązek ponad ciałami zabitych i w cieniu umierających. Przyjdzie czas, że i one zginą gwałtowną śmiercią, ale nie zginą napróżno. Kiedyś, gdy rozkład i próchno umarłych zbogaci soki ziemi, zjawią się nowe pokolenia — liczne, silne, zdrowe, wspólnemi siłami odmienią klimat, wchłoną wilgoć, wstrzymają wichry, ulepszą i rozgrzeją glebę, a wówczas tam, gdzie niegdyś padli pierwsi bojownicy, pokorni i beznadziejni, zaszumi bór potężny i zielony, mogący oprzeć się wszelkiej wichurze“.

A oto krajobraz z doliny rzeki Anczi na Kaukazie, u stóp śnieżnego wierzchołka „Risz-tau”.

„Puszcza zaczynała się tuż za strumieniem. Potężna, spiętrzona jej masa odcinała się czarno na niebie, wysrebrzonem blaskiem wschodzącego księżyca. Na dole, w cieniu, monotonnie szumiał niewidoczny potok, a w gąszczu przeciągle nawoływały się małe sowy kaukaskie, w jednakowych odstępach czasu powtarzające sylabę: śpię, śpię, śpię! głosem cichym, śpiewnym, dziwnie tęskno rozpływającym się w powietrzu gorącem, pełnem upajających woni. Jurek szedł ze spuszczoną głową, słuchał i marzył. Przed nim leciały roje świętojańskich robaczków — to zapalały się, to gasły, to, zapadłszy w krzaki, oświecały swem błękitnem migocącem światłem brzeżki i płaszczyzny najbliższych liści. Na reszcie gęstwiny leżała gruba, jednolita płachta ciemności. Jurek nic nie widział, ale czuł ścieżkę pod stopami, a całym sobą odgadywał miejscowość. Mówiły mu o niej natura gruntu, po którym stąpał, różnorodność dobiegających go dźwięków,

fale powietrza, płynącego ku niemu, to zatęchłe, wilgotne, to znowu palące, lotne a wonne i odurzające, jak kąpiel z wina i kwiatów. Idąc, wciąż odróżniał: parowy, skały, gąszcze azalii, jaśminów. . Stąpał ostrożnie — starał się nie robić szelestu. Natomiast las dokoła gędźbiał, mruczał, szeptał i wzdychał, niby milion par, układających się do snu; kiedy niekiedy w górze, ponad głowami, z głuchym łoskotem przetoczyła się dłuższa fala gwaru, to wiatr od morza wstrząsał konarami buków i dębów, rozległ się trzask łamanej gałęzi, zapiszczały wiewiórki, krzyknął ptak, beknął głucho rogacz — wówczas Jurek stawał i nasłuchiwał: wprawne jego ucho umiało w tej powodzi szumów rozróżniać oddzielne dźwięki, szeroko otwarte oczy zdawały się przenikać ciemności. Stał długo, chłonąc w siebie upajające powietrze puszczy, rozkoszując się czarowną jej muzyką. Zwolna ucichły niepokoje, sprzeczne myśli, sprzeczne uczucia, umilkła nawet miłość. Bór znowu do niego, jak do brata, przemówił, znów uczuł się cząstką — dziecięciem jego.... „Było tu już jaśniej, powietrzniej, niż w sąsiednich „chenereczach". Światło księżyca, stojącego już nad niemi, przesiękało przez otwory między konarami drzew: przęcze, bluszcz i wino zwieszały się z pod kopuły, niby ogromna sieć pajęczyny, srebrne smugi, strzałki i plamy miesiąca przekradały się z góry do wnętrza i kładły niewyraźne rysunki na pniach drzew, kędzierzawych czuprynach krzewów i wysokich łopiastych paprociach, zjawiały się, niby nagle wykrzesane iskry, na lufie karabinu Jurka, na oprawie jego noża, gdy pochylony błądził po gaju".

Te brzeżki i płaszczyzny liści, oświecone błękitnem światłem robaczków świętojańskich, te srebrne smugi — strzałki i plamy miesiąca, iskry, skrzesane na lufie karabina: jaka w tem wrażliwość i pamięć malarska!

Jest w dolinie u stóp Risz-tau zakątek, zamieszkiwany przez rodzinę polską: wdowa po urzędniku b. Banku Polskiego, pani Strasiewiczowa, dwu dorosłych synów, wychowanka Helena i domownica Justyna. Należy do nich kawał wykarczowanej ziemi, którą uprawiają, codziennym trudem rąk zdobywając środki do życia. Zaprowadziły ich tam losy i pewna idea zmarłego przed paru laty ojca. Pan Wojciech Strasiewicz w mieście mieszkać nie chciał, bo się przyzwyczaił do roli. „Mówił, że rolnik zależy tylko od Boga; takie było jego przekonanie". A do przekonania tego doszedł w dalekiej miejscowości, z której do najbliższego miasteczka było miesiąc drogi; tam wziął się z żoną do prostej, fizycznej pracy, chatę zbudował i obsiał kawał pola. Synom, gdy zaczęli podrastać, nie chciał dać innej edukacyi, mimo próśb żony. „Niech dzieci moje zostaną chłopami, wtedy niczego się bać nie będą potrzebowały". Uczył ich sam i wpajał w nich swoje zasady.

„Mój ojciec twierdził, opowiada Szymon, że w zgodzie z sumieniem można zostawać jedynie, pracując na roli. Ona źródło wszelkich bogactw — i moralności. Wiele tam w tem różnych ekonomicznych, statystycznych, a nawet antropo-

logicznych dociekań mego ojca, ale ja tego przez brak nauki opowiedzieć nie będę w stanie".

A pani Strasiewiczowa dodaje, że teorye te powstały po powrocie z Syberyi, gdy im było wolno osiąść w mieście w Rosyi. Strasiewicz dostał miejsce liche, zaczęły się upokorzenia, kłopoty, niepewność.

„Mążowi w końcu wszystko obrzydło, do ziemi tęsknił. Ot, wówczas zaczęły się owe ekonomiczne, a może nawet statystyczne wnioski.... Szczerze wyznam, że nie mam w nie wiary... nie wierzę, aby człowiek od małpy pochodził.... Mąż pisał notatki, które czytywał znajomym... Pokażę je panu, jeśli pan ciekaw, może się na co przydadzą"..

Wyborna to charakterystyka obydwu postaci. Ten Polak idealista — ideolog, spisujący „notatki", wyciągający wnioski statystyczne, to człowiek kryształowy i nieugięty, urabiający swe życie podług „przekonania". Rówieśnicy jego pisywali memoryały, traktaty, wysnuwali z nich koniunktury polityczne; tak, jak oni, „nieboszczyk miał głowę otwartą, był bardzo rozumny, wszyscy mu to przyznawali, wszyscy go szanowali" — z uwielbieniem wspomina p. Strasiewiczowa, wzdychając jednak ciężko nad niepraktycznością męża, przez którą wiele się nacierpiała w życiu. Kupił kawał puszczy na Kaukazie, wykarczował i stworzył dzieciom egzystencyę, wprawdzie zdrową i niezależną, ale smutną, bez wyjścia. O powrocie do kraju nawet marzyć trudno, p. Strasiewicz myślał o tem zawsze, szukał nawet kupca na ziemię, ale daremnie. Praca rąk wystarcza im więc na utrzymanie, ale sprzedać nic nie można: dróg niema. Młodzi Strasiewiczowie prowadzą żywot pustelniczy, znużeni trudem fizycznym, przestają umysłowo się rozwijać, jak niegdyś pod okiem ojca. Starszy, stroskany, spycha zajęcia gospodarskie, młodszy żyje w górach i puszczach, wolny syn natury, „pan lasu — myśliwy". Przychodzą wreszcie komplikacye, które poniekąd wywracają owe teorye p. Strasiewicza o zgodzie z sumieniem. Obaj bracia zakochują się w Heli, którą z Syberyi, sierotę po przyjacielu, zabrali ze sobą Strasiewiczowie! Ale Szymon wplątał się był w stosunek z Justyną, starszą od siebie, niegdyś pewno służącą, dziś współpracownicą mieszkańców podgórza. Hela kocha, jak braci, obydwu chłopców, z większą jednak dla Jurka sympatyą. To życie jednostajne przerywa nagły wypadek. W czasie polowania na niedźwiedzia trafia Jurek przez pomyłkę — w człowieka. Rannego przynoszą do domu. Pielę-

gnuje go Hela z panią Strasiewiczową. Jest to młody Polak Wichlicki, jak wielu młodych Polaków z tego pokolenia: kochał naukę i poszedł na przyrodę (czemu nie na medycynę, pyta praktyczna staruszka), miał matkę, ale nie miał pieniędzy, „tak bywa zwykle”. Pędzony ambicyą z rojeniami o niezależności i znaczeniu udał się na krańce Rosyi i dla „Tow. Geograficznego” miał robić poszukiwania. Teraz właśnie wybierał się z ekspedycyą na niezbadany dotąd wierzchołek Risz-tau, gdy go spotkała przygoda, której o mało nie przypłacił życiem. Podczas choroby zakochuje się w Helenie. Ona w nim. Pan Stanisław jest piękny, smutny, ranny, dzielny, z kraju przybywa, a świat przed nim otworem. Do tego świata, gdzie się żyje naprawdę, ona tak tęskni, tak się rwie całą siłą młodej duszy. Rozmowami o kraju, o życiu, on te drzemiące pragnienia rozbudził. Helena czuje, że się dzieje koło niej coś dziwnego: czego oni chcą od niej — Szymon — Jurek? Ona ich wszystkich kocha, ale nie tak, „by im całe życie oddać, które jest jedno”. Wichlicki wraca do zdrowia i czeka na przysłanie pieniędzy z Petersburga, ale sytuacya staje się wkrótce naprężona w skutek niechęci Szymona. Odjeżdża więc gość do blizkiego miasteczka. O miłości z Heleną nie mówi, choć oboje czują, że łączy ich serca, a roździela teraz ich losy. Uczucie Wichlickiego potęguje się przez tęsknotę, choć tłumi je refleksya; stanęło ono w drodze jego planom ambitnym, może zachwiać chęć do wyprawy, poza którą jest cała przyszłość. Myśli więc dopiero po powrocie z Risz-tau wyznać jej miłość i zabrać ją z sobą, jeśli go zechce, a zechce. Ale przed samem wyjściem na ekspedycyę, pchany pragnieniem zobaczenia ukochanej, przychodzi nocą i wywołuje Helenę z pokoju; idą nad brzeg urwiska. Krótka to, ale silna, pełna poezyi scena: szczęście tajonych wyznań, ból rozstania, trwoga przed przyszłością i niebezpieczeństwem, a jednak ponad wszystkiem fanatyczna, mocna wiara młodości i gotowość zdobycia losu czynem śmiałym; Wichlicki odchodzi. Potem długie tygodnie tęsknoty i szarego życia. Szymon wpada w melancholię; do miasteczka jeździ, pije. Przedtem jeszcze Justyna o mało go nie otruła lekarstwem, zadawanem na miłość z porady znachora, a Helena dowiedziała się o całej tej przykrej historyi. Gniewa to Szymona i trapi. Wtem, jak grom, spada wiadomość o losach wyprawy, przywozi ją Szymon pijany. Dolina Urucha zawalona, Wichlicki zabity lub odcięty od świata. Tragiczna noc, bezsenna dla dwu kobiet. Pani Strasiewiczowa przekonała się poraz pierwszy, że syn wrócił nie trzeźwy, co zaledwie podejrzywała, a rozpacz Heleny zdradziła całą siłę i głębię jej uczu-

cia, które dotąd uważała staruszka za wrażenie miłe, lecz przemijające pierwszej młodości. W śmiertelnym niepokoju, targane uczuciami sprzecznemi, czekają obie powrotu Jurka, wysłanego do miasta po bliższe wiadomości. Boleść gwałtowna kochającej dziewczyny wybucha strumieniem łez na kolana kobiety, znękanej troską, która już wiele przeżyła chwil ciężkich, ale żadnej może tak ciężkiej, jak teraz wobec ruiny najdroższych marzeń. Ten obcy, jeśli wróci, zabierze Helę, a jakież będzie życie jej synów, z których jeden stał się pijakiem, a drugi przez całe życie zostanie samotny? „Syn Wojciecha Strasiewicza pijak!", a te wyznania Justyny i takie zmarnowanie życia bez możności wydostania się do ludzi, do kraju.... W młodym wieku nieszczęście spada, jak grom, jeśli nie zabije i nie złamie, to zostawia tylko ślady wstrząśnienia, ale zgryzota starości ciągnie się u nóg ołowianą kulą, leniwa, szara, zatruwająca ostatek dni widokiem ruiny i upadku, bez nadziei lepszej przyszłości.

Z niezmierną subtelnością psychologiczną odczuta jest ta boleść matki z nieodłącznym od niej egoizmem, który współczucie dla nieszczęścia Heleny przesuwa na plan dalszy. Zresztą co do zawodów sercowych ma p. Strasiewiczowa swoją filozofię, której doświadczenie życiowe ją nauczyło.

„Widzisz, dziewczyno, taki jest los większości kobiet. Każda kocha, choć raz w życiu głęboko, gorąco. Nieszczęśliwa, która nie zaznała tego! Ale rzadko której uda się z ukochanym człowiekiem połączyć. Większość wyciąga do nich ręce, jak do cieni.. Albo obojętni, albo się zbliżyć nie mogą. Może to i dobrze, gdyż te małżeństwa z miłości zazwyczaj nie bywają szczęśliwe. Szarpią się przez całe życie, jak ja z Wojciechem. Najlepiej wtedy w małżeństwie, gdy mąż kocha żonę, a żona dzieci. Wówczas jest spokój i zgoda, a to już wielki los w życiu kobiety. Większość cierpi bez potrzeby, i ani piórem....."

Obok ciotki Płoszowskiej, panny Marty z „Nad Niemnem", „Babuni" Orzeszkowej jest pani Strasiewiczowa jedną z najświetniej odtworzonych postaci kobiecych w naszej literaturze i stanowi typ bardzo charakterystyczny z tą tradycyą katolicką polskiego domu i pobożnością serdeczną, ze swym rozsądkiem przy mnóstwie zabawnych uprzedzeń, z niezależnością swoją i niezwykle jasnem, krytycznem pojmowaniem rzeczywistości. Nie dziw, że przez całe życie „szarpali się z Wojciechem" mimo gorącej, silnej miłości; bo też trudno wyobrazić sobie większe sprzeczności w usposobieniach i w naturze umysłu; stąd nieporozumienia i żale, które aż za grób

sięgnęły i mieszają się w wynurzeniach pani Strasiewiczowej ze słowami najgłębszej czci dla pamięci męża. Znakiem krzyża odpędza staruszka kuszącą myśl, że Wichlicki już nie żyje („niechby choć pogrzeb miał chrześcijański"), ale do myśli tej przyczepia się mimowoli w nadziei, że Helena zapomni z czasem; Jurka już kocha za dobroć i poświęcenie, pokocha go jeszcze więcej.... I dlatego zezwala na prośby Heleny, aby poszli oboje szukać w górach zaginionych Wichlickiego i przewodnika Selima. Katastrofę spowodowało trzęsienie ziemi, odłamy głazów zawaliły koryto rzeki, woda wezbrała; gdy Wichlicki z Selimem odnaleźli się po pierwszem wstrząśnieniu, odwrót mieli przecięty. Próbowali przejść górą, drapiąc się, jak kozice, po stromych ścianach. Daremnie, Wichlickiemu osunęła się noga, wpadł w przepaść, uratowała go głębokość wody i umiejętność pływania. Zagrożeni przez wzmagającą się powódź, stanęli w obliczu nieuniknionej śmierci, zmarznięci, wyczekujący raczej ostatecznego końca, niż pomocy od ludzi, a jednak, wbrew obliczeniom rozsądku, żywią w głębi duszy niewyrozumowaną nadzieję, że stanie się coś nadzwyczajnego, co będzie wybawieniem. Opowiadanie Czerkiesa o młodości, o leonidasowem męstwie górskiego plemienia, o śmierci ojca i braci, o boju ostatecznym i o tęsknocie, co godność i dumę przemogła, o zwyciężonej tęsknocie do słodkiego powietrza rodzinnych wybrzeży, całe to opowiadanie, proste w wyrazach, a silne w uczuciu, jest jedną z najpiękniejszych kart epickich i zostawia niezatarte wrażenie. W długich godzinach wyczerpują się siły wyczekujących; mahometanin modli się, poddaje z rezygnacyą przeznaczeniu, Wichlicki ze wspomnień straconej wiary nie umie złożyć hymnu, nie znajduje słów, które korzą się, wielbią i unoszą w ekstazę. Ale zostały mu wszystkie wyrazy żalu, uczucia odpowiedzialności moralnej przed sumieniem własnem i odzywają się w tej chwili ostatecznego porachunku. „Brud drobnych fałszów, zamilczeń, ustępstw, jakie w rozmaitych okolicznościach życia musiał był spełniać, palił go teraz, jak ślady haniebnego piętna". Naraz zrozumiał wszystko: całą wartość życia takiego, jakiem on nie żył, jakiem miał żyć kiedyś, później, gdyby był zdobył to wszystko, o co się z trudem dobijał. Teraz już nigdy niem żyć nie będzie, bo zginie za kilka godzin. „I wszystko leciało w ciemną przepaść rozpaczy wobec tego jednego wyrazu „śmierć". Wtem zdawało mu się, że z wyżyn górskich jakaś mglista postać niewieścia chyli się ku niemu i wypowiada jego imię w długim szeregu zmarnowanych synów".

Ta chwila okropnej męki wewnętrznej jest dla Wichlickiego zarazem chwilą pokuty i zadośćuczynienia duchowego. Z energią odpycha kuszącą myśl o skróceniu tej bolesnej agonii. Jego natura czynna nie znosi obojętnego poddania się fali losu, czuje potrzebę wysiłku jakiegokolwiek dla ratowania się jeszcze. Aby ujść coraz przybierającej powodzi, wznosi Wichlicki z kamieni piramidę i chroni się na nią z resztą zapasów, pociągając za sobą Selima. Ale niezręczne poruszenie rujnuje szaniec, woda wdziera się coraz wyżej, sięga do połowy ciała, zamraża im członki. Selim podtrzymuje głowę Wichlickiego, dla którego zaczyna się konanie. Otwierając oczy, widzi jeszcze srebrną jasność, ale jak przez mgłę, słyszy wołanie, ale nic nie rozumie. W tej chwili właśnie przybywa Jurek na tratwie z pomocą i huka zdaleka „Żyje?" — „Żyje" — odpowiada Selim, „ale się spieszcie, bo mi ręce mdleją — spieszcie się". „Ciało młodzieńca już wspłynęło". Odpowiedź Selima zawiesza na promieniu nadziei niedomówioną groźbę. Czy Wichlicki przytomność odzyskał, czy zaczął to życie nowe, o którem śnił w godzinie skruchy? Takie pytania niepokoją czytelników, przyzwyczajonych do cudownych zmartwychwstań. To urwanie charakterystyczne jest dla Sieroszewskiego, który stwarza obrazy, ale nie podpisuje objaśnień. Dał nastrój śmierci, wydobył tony najgłębsze beznadziejnego żalu po zmarnowanem życiu, ale przy końcu nie przeciął stanowczym akcentem wątpliwości, czy tén przejmujący obraz był jedną z tych tragedyi nieodwołalnych za temat „Za późno", czy też zawierał lekcyę życia. Możliwość dowolnego tłómaczenia intencyi autora jest bądź co bądź błędem artystycznym w utworze tego rodzaju; końcowy akord przez zawieszenie myśli nabiera pewnej finezyi, ale traci coś ze swej grozy i siły.

Wybitnym pierwiastkiem utworów Sieroszewskiego jest idea pracy na roli, pracy bezpośredniej, twardej, która rozwija energię i daje niezależność, idea, pokrewna Tołstojowskim zasadom i marzeniom Ruskina. Gdy wszakże u tamtych myślicieli zrodziła się najprzód teórya prostoty i samodzielności w skutek reakcyi przeciw nadużyciom wielkiej cywilizacyi przemysłowej, u Sieroszewskiego, przeciwnie, życie pierwotne, stworzone przez konieczność, wpłynęło na urobienie „przekonania", poprzedziło ideę. Jest to wogóle umysł wybitnie dedukcyjny, dla którego przedewszystkiem istnieje obserwacya i doświadczenie, i dla tego, mimo silnych przekonań, jest on zupełnie wolny od doktrynerstwa.

O rolnictwie marzy Ujbańczyk, jeśli jęczmień urośnie, to nie będzie już głodu u Jakutów, — i oni będą ludźmi, jak ludzie z po-

ludnia. Ziemia zawodzi. Z zapałem równie gorącym i z wiarą w zbawienne skutki tej pracy zabiera się Aleksander („W matni") do uporczywej walki o kawał pola, zdobywa go siłą, uprawia z trudem i cieszy się nadzieją plonu. Lecz i on ustępuje pod naciskiem ciężkiego brzemienia nienawiści krajowców, opuszczenia, choroby dziecka. Praca jego — idzie na marne. Przeczucia Ujbańczyka i dążenia Aleksandra zrealizował p. Wojciech Strasiewicz, ujął je w system, stworzył z nich podstawę do własnego na świat poglądu; w tych zasadach wychował synów, sądząc, że im zapewnił przyszłość jedynie niezależną. Istotnie, dał im egzystencyę zdrową, ale bez możności pełnego życia i rozwoju duchowego. Samotni i nieznani, są, jak drzewo, nie przynoszące żadnego owocu. Nad wysiłkami ludzi, nad idealną prawdą szlachetnych pomysłów bierze nieraz górę twarda konsekwencya życia; nie mniej wysiłki są konieczne, niemniej idea, w oświetleniu prawdy bezwzględnej, staje się godną bezwzględnej miłości. Sieroszewski nie łudzi się optymizmem, nie daje nigdzie zakończenia kłamliwą obietnicą nagrody, ale wypowiada stanowczo podstawowe prawdy etyczne, które bez względu na powodzenie mają wartość niezmienną. Ideę osobistej produkcyjnej pracy na roli uzupełnia przekonanie, że tylko „w pokrewnem środowisku możemy oddziaływać głębiej, trwalej". Pogląd Sieroszewskiego tem więcej zasługuje na uwagę, że jest wyrazem nie tylko przekonań, ale osobistego doświadczenia człowieka; pogląd ten, bardzo szeroki w założeniu, uderza w tony zasadnicze; nie tylko bowiem chodzi o pole działania, ale i o motywy, przedewszystkiem nawet o motywy. Jeżeli wogóle tak silnie zaznacza się kwestya wyboru miejsca zamieszkania, to tylko dlatego, że jest najważniejszym warunkiem utrzymania lub zerwania łączności duchowej ze społeczeństwem własnem. A zatem nie tylko ten bezużytecznie ginie i bez śladu, co zdala od wszystkich i od wszystkiego schnie, oderwany, „tyle lat, najlepszych lat, — jak ten liść", ale i ten, co na miejscu, bierny, istnieje, jak kamień, i ci wszyscy, co powinni zużyć włożone w nich siły", a zawodzą, „unosząc wysiłki innych".

* * *

Jesteśmy spragnieni syntezy za wszelką cenę. Analiza psychologiczna spełniła swoje; w nastrojach symboliczno-mistycznych są jeszcze całe dziedziny nieznane, ciekawe, może jednak niedługo powiemy już o nich, jak Sieroszewski o krajach najświetniejszej

zorzy: „Ach, znam to wszystko — i mam już tego dosyć, mówiły moje znękane oczy". Motyw Masinissy, synteza siły i pogardy, pyszna, demoniczna, wcieliła się w logikę Maxa Stirnera, obłędy Nietzschego, bujność d'Annunzia i rozpacz Przybyszewskiego. Ale zgrzyt wzgardy, potępienia dla biednej egzystencyi ludzkiej i dla „pracy wieków", zamknięcie się w kulcie wyłącznym swej wspaniałej „jaźni" nie jest jedynym wyrazem filozoficznej myśli, idącej na spotkanie XX-go wieku. Wobec tych samych cierpień, niebezpieczeństw, niedoli, ten, co poznał i rozumiał wszystko, — umierający Faust, zostawił w ostatnich słowach testament:

„Nur der verdient sich Freiheit, wie das Leben,
Der täglich sie erobern muss".

A ten pierwiastek dzielności uzupełniła głębią swej idei etycznej miłościwa obietnica, dana Irydyonowi na życie nowe, — pod krzyżem w Coloseum..... Pokrewnym duchem tchnie zdumiewająca działalność Ruskina, krańcowa konsekwencya idei Tołstojowskich, silne przekonanie Foggazzara, wyznanie wiary Maeterlincka w najnowszych dziełach i zasadnicza myśl Sieroszewskiego. I zlewają się te głosy w jeden hymn „Sursum corda".

Julia Krzymuska.



RUCH ARTYSTYCZNY.

„Widma“ Moniuszki. — Charakterystyka. — Ilustracya muzyczna. — Projekt zmiany na dzieło sceniczne. — „Zamek na Czorsztynie“ Kurpińskiego.

Z uwagi na materyał bieżący charakterystykę „impresyonizmu“ w malarstwie naszem muszę odłożyć do numeru następnego. Na teraz pozwolę sobie zająć uwagę czytelników rozbiorem utworów z dziedziny muzyki.

Teatr Wielki wystawił w dniu 21 lutego „Widma“ Moniuszki. Jest to ilustracya muzyczna drugiej części „Dziadów“ Mickiewicza. Całość nie stanowi symfonii, polegającej na przeprowadzeniu ścisłem tematów i na wynikliwości logicznej efektów, którąby bądź odzwierciedlała charakter ogólny poematu, jak w tym razie nastrój fantastyczny zabobonnych praktyk gminnych, bądź uzmysławiała jego myśl przewodnią, jak w tym razie rezygnacyę ludu, zdającego się na wolę Bożą, — lecz jest szeregiem utworów luźnych, opartych to na deklamacyi mistycznej, to na liryzmie szczerym, to na akcentach dramatycznych, to znów na obrazowości instrumentalnej, a charakteryzujących i podnoszących jedynie znaczenie słowa w danej chwili i w danej sytuacyi. Bez słów Mickiewicza „Widma“ Moniuszki byłyby dziełem niezrozumiałem. Ustępom pojedyńczym

zbywa na plastyce wyraźnej dźwięków, a kompozycyi całej na spójni organicznej tematów. Muzyka, polegająca tu na charakterystyce obrazów i momentów psychologicznych, jest raczej pomocnicą słowa, niż objawem sztuki odrębnej.

Tylko Beethoven potrafił bez udziału słowa wypowiedzieć całą głębię uczuć, targających serce ludzkie, i ująć wyraz porywów ducha w dźwięki samoistne. Tylko Chopin, nie kusząc się o malarstwo muzyczne, potrafił dźwiękami samymi oddać najsubtelniejsze drgania serca, przepojonego miłością, tęsknotą, pragnieniami, żalem, i oddać za pomocą rytmów charakter obrazów zewnętrznych, wywołanych siłą fantazyi w duszy.

„Widma" Moniuszki to nie oratoryum, nie kantata, złożona z deklamacyi muzycznej (recitativo) i aryi, lecz album, wiązanka utworów odrębnych, poprzedzona krótkim wstępem.

Druga część „Dziadów" w artystycznej budowie całego poematu „ma tylko — jak słusznie powiada Chmielowski w znakomitym swoim zarysie biograficzno-literackim: „Adam Mickiewicz" — znaczenie dekoracyi, i to dekoracyi pięknej częściowo". Jest to epizod prawie luźny — „uroczystość, obchodzona w wielu powiatach: Litwy, Prus i Kurlandyi na pamiątkę dziadów czyli wogóle zmarłych przodków" — obraz fantastyczny, scharakteryzowany w części tylko słowami na modłę pojęć gminnych, a uscenizowany wzorem dramatów książkowych, „Fausta" Goethe'go. Akcya nie rozwija się wcale, a dramat psychologiczny zarysowuje się dopiero w końcu, i to w wyrazie boleści niemej dwu widm, dwojga kochanków domiemanych, Gustawa — upiora i pasterki — bezimiennej. A jednak w tej dekoracyi fantastycznej, mającej, jak mówi poeta, „uzmysławiać sposobem gminnym pewne dążenia moralne i pewne nauki", ile siły, ile czaru, ile grozy! „Pospólstwo rozumie, że potrawami, napojem i śpiewami przyniesie ulgę duszom czyścowym", to też spieszy na cmentarz, dokąd i „starcy swoim zwyczajem chodzą dumać, i młodzież zdobić krzyże kwiatami i majem" — i ten „nieszczęsny, kto częściami do mogiły wrastał", i ten szczęśliwy, kto się łudzi, że „jest i musi być kędyś, choć na krańcach świata, ktoś, co do mnie myślami wzajemnemi lata". Zabobon pogański miesza się tu z głęboką wiarą chrześcijańską, a „śpiewy obrzędowe, gusła i inkantacye, po większej części wiernie, a niekiedy dosłownie z poezyi gminnej wzięte", stanowią podłoże obrazu. Być może, iż poeta nie osiągnął prostoty pożądanej w całości; sceny jednak pojedyńcze odzwierciedlają doskonale duszę naiwną ludu, któremu „pieśń i wiara przewodniczy".

W tym poemacie ponurym, odtwarzającym w części rzeczywistość, nie zaś podanie ludowe, niema nic niedopowiedzianego; to też zadanie muzyka polega raczej na ilustracyi charakterystycznej scen i na podniesieniu tonu deklamacyi, niż na pogłębieniu uczucia, i zastąpieniu słów dźwiękami.

Pierwszy akord (sekstowy), cichy, długi, niepokojący, bo nie pełny, rozbrzmiewa w orkiestrze. Gdzieś w dali odzywa się miarowy głos niby dzwoneczka kościelnego, metalicznie dźwięczny, cienki, a przez to tajemniczy. Zdaje się, że to ilustracya słów z pierwszej części „Dziadów":

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie.
Z czujnym słuchem, z bacznem okiem,
Spieszmy się w tajnym obrzędzie.
Z cichem pieniem, wolnym krokiem,
Wszak nie nucim po kolędzie!
Nucimy piosnkę żałoby:
Nie do dworu z Nowym Rokiem,
Ze łzami idziem na groby".

I ten słuch czujny, i to oko baczne, i te pienia ciche, a żałosne, i te łzy na grobach czuć w intradzie, we wstępie orkiestrowym, będącym niejako syntezą poematu. Wstęp ten dzieli się na trzy części, mechanicznie z sobą związane, na trzy widma, posobnie występujące, na trzy momenty nastroju, uzmysławiające bądź rysunkiem łagodnym melodyi, bądź harmonią niespokojną w ruchu i barwie, bądź rytmem, jednostajnie falującym, trzy wyrazy uczucia: liryzm naiwny, szczery i pogodny na widok dzieci-aniołków, tragizm duszy, rwącej się krzykiem namiętnym, rozpacznym i beznadziejnym w zetknięciu z widmem upiora-zbrodniarza, wreszcie rezygnacyę, żałościwą w tonie, lecz spokojną w formie, na wspomnienie dziewczyny-latawicy, co „żyła na świecie, lecz, ach, nie dla świata!"

Intrada jednak stanowi całość muzyczną, odpowiadającą nastrojem poematowi i charakteryzującą obraz uroczystości zabobonnej: zbywa jej tylko na zarysie modlitwy chrześcijańskiej, kojącej duszę, lecz ta niebawem zjawi się w głosach nabożnych chóru, który co raz to widmom, wywołanym przez guślarza, ogłosi wyrok Opatrzności i swojemu też uczuciu — współubolewania czy potępienia — da wyraz właściwy.

Dekoracya przedstawia wzgórek cmentarny na tle rozległem nieba i ziemi, jesienią, pod wieczór. Na mogiłach sterczą krzyże; w przestworzu płyną górą mary, widma, upiory.

Nawiasowo mówiąc, dekoracya ta, dobrze pomyślana w rysunku, grzeszy brakiem harmonii w kolorze. Niebo, w chwili zmierzchu, namalowane jest w tonie zimnym, a cały pagórek, na przodzie obrazu, mieni się przeblaskiem ciepłym światła dziennego, które niewiadomo skąd tu ze swoim odcieniem złotawym się zjawia. A przytem w głębi krajobrazu nie czuć powietrza: ziemia nie ucieka tonami coraz bardziej niebieskimi w dal. Dekoracyę tą należy koniecznie przemalować, gdyż jest ona niejako uzupełnieniem intrady, a rzeczy pięknych w nastroju nie można uzupełniać malowidłami fałszywemi w tonie.

Na chwilę przed rozpoczęciem obrzędu zasłona, przedstawiająca krajobraz, znika, a natomiast zjawia się obraz kaplicy, wyciosanej z modrzewia, z tłumem pospólstwa wiejskiego we wnętrzu, z trumną na przedzie, z oknem w głębi, przez które widać krzyże cmentarne. Obrazowi temu nic pod względem malowniczości zarzucić nie można. Jest on wybornie utrzymany w tonie i odpowiada doskonale wymaganiom sceny. Dzieło to p. Klopfera, dekoratora teatrów warszawskich. Tłum w strojach barwnych, wiernie charakteryzujących cechę etnograficzną ludu litewskiego, malowniczo grupuje się dokoła guślarza i żywo uczestniczy w praktykach religijnych. Zasługa to p. Chodakowskiego, reżysera opery, który nie szczędził tu zachodów i pracy. To też publiczność od pierwszej zaraz chwili przejęta jest wrażeniem głębokiem, jak podczas uroczystości kościelnej, i odczuwa najdelikatniejsze zmiany w obrazach, w nastroju poematu, w ilustracyi muzycznej.

Zaledwie na dany znak guślarza zawieszono na oknach całuny, już dreszcz grozy ścina krew w żyłach słuchaczów i widzów. „Ciemno wszędzie, głucho wszędzie: co to będzie, co to będzie?" Rozpoczynają się praktyki. Guślarz zapala garść kądzieli, a lud lekkim oddechem pędzi płomyk w górę. Muzyka łagodna, wyrażona melodyą płynną i harmonią spokojną, czarująca nastrojem pieszczotliwym, doskonale odpowiada słowom guślarza, który tu „jasnym znakiem" płomyka wzywa najprzód te duchy lekkie, co „wietrznym błądząc szlakiem, w niebieskie nie wzleciały bramy". Jest to wyborne przygotowanie do widzenia olśniewającego, rozkosznego, wzruszającego formą prześliczną, prawie nadzmysłową. Pod stropem kaplicy ukazuje się nagle jasność — i „oto złocistemi pióry trzepoce się tam dwoje dzieci".

„Jak listek z listkiem w powiewie,
Kręcą się pod cerkwi wierzchołkiem;
Jak gołąbek z gołąbkiem na drzewie,
Tak aniołek igra z aniołkiem".

Dzieło to maszyneryi teatralnej, za pomocą której dwoje dzieci trzyma się w górze i buja spokojnie w powietrzu. Łza podziwu i wzruszenia ciśnie się do oka. Pieśń natchniona, szczera, lekka, miła, choć rzewna, kołysze się równo na fali rytmu jednostajnego, a harmonia jasna, prosta, kiedy niekiedy zabarwiona dysonansami przygodnymi i przejściowymi, podbija wyraz uczucia w sfery podniebne szczęścia serafickiego, gdzie dzieciom lepiej jeszcze, niż u mamy.

Lecz oto naraz tkanina miękka harmonii zaczyna się mienić figuracyami ruchliwemi skrzypiec i fletów, arabeską srebrzystą linii zgrabnych, misternie z sobą powiązanych. Melodya pozostaje ta sama, lecz harmonia, wskutek instrumentacyi bardziej urozmaiconej, zabarwia się odcieniem wesołości jakiejś, a ruch przyspieszony i rytm ożywiony dodaje muzyce wyrazu figlarności i swywoli, odzwierciedlającej charakterystycznie uciechę dziecięcą na wspomnienie, że „w raju wszystkiego dostatek, co dzień to inna zabawka". Lecz rozkosz bez troski nie zapewnia szczęścia w niebie. Muzyka, rozkołysana w rytmie, rozigrana w falach dźwięcznych, urywa się nagle, i oto tam pod stropem, odzywa się nuta żałosna, niepokojąca postępem chromatycznym dźwięków, recitativo aniołków: „Ach, mamo, dla twoich dziatek zamknięta do nieba droga!"

Gdy guślarz obdzielił dzieci ziarnkami gorczycy, o które prosiły, bo „ta usługa, tak marna, stanie za wszystkie odpusty", wtedy lud koi ich tęsknotę i swój żal pieniem nabożnem, smutnem w nastroju, lecz spokojnem w ruchu głosów i w barwie harmonii. To wyraz rezygnacyi:

„Bo słuchajmy i zważmy u siebie,
Że, według Bożego rozkazu,
Kto nie doznał goryczy ni razu,
Ten nie dozna słodyczy w niebie".

„A kysz, a kysz!" I widmo znika. W sercu słuchaczów pozostaje tylko jakiś ból nieuchwytny, wywołany zaklęciem końcowem guślarza: „A kto prośby nie posłucha: w imię Ojca, Syna, Ducha! Widzicie Pański krzyż?.. A kysz, a kysz!" — Zaklęcie to, tak po-

miarkowane w tonie, bo oparte na brzmieniu pustem jednodźwięków, w których się zlewają dwa głosy posępne w barwie: guślarza-barytonisty i wiolonczeli rzewnej, i tak proste w rysunku melodyi, uwarunkowanej jedynie tonacyą minorową, przenika do głębi duszy. Niepodobna oprzeć się wrażeniu groźby tajemniczej, podtrzymanej doskonale nutą pieśni gminnej, wahającą się tu pomiędzy zawodzeniem żałosnem a formą taneczną — objaw to dość zwykły u ludu, który tą samą melodyą i tym samym rytmem, przy drobnej zmianie harmonii, wyraża zarówno uczucie bólu, jak i wylew radości. Uroczystość „Dziadów" to obrzęd gminny, i Moniuszko, w genialnem poczuciu nastroju, znakomicie zastosował tu charakter muzyki do znaczenia słów. Co więcej: ilustracya muzyczna całej tej sceny, zarówno szczebiotu aniołków, jak i rozhoworu ich w duecie z chórem, przesłaniając nastrój czułostkowy poezyi, dodaje słowom wyrazu prawdy. Te „szczegóły życia Józia i Rózi, upływającego na pieszczotach, swywoli, skokach, śpiewach, zrywaniu kwiatków, strojeniu lalek, jedzeniu łakotek — to wcale nie znamiona, charakteryzujące położenie smutne wieśniaków, o jakiem niebawem posłyszeć mamy. Obrazek ten—pisze Chmielowski—jest tak wypieszczony i taką nieprawdą realną bijący w oczy, iż musimy go raczej poczytać za odbicie sielankowo-sentymentalnych wzorów ówczesnych, aniżeli za rysunek z rzeczywistości. Jakkolwiek bowiem śpiewy ludu litewskiego odznaczają się istotnie nadzwyczajną delikatnością uczuć i lubują się w wyrazach zdrobniałych, nigdy w nich jednak właściwość ta nie jest posunięta do tego stopnia przesady, jaką sielanka sentymentalna nam przedstawia". Tę nadmierną czułostkowość poezyi właśnie dźwięki muzyki przesłaniają doskonale, a rytm miękki i harmonia pogodna dodają uroku słowom, opromieniają je wdziękiem uczucia szczerego.

Lecz w teatrze, przy plastyce efektów, nie należy przeciągać struny. Ma to być widzenie nadzmysłowe. Dzieci zbyt długo wiszą w powietrzu, przez co wrażenie się zmniejsza, a domniemana matka zbyt wyraziście gestykuluje na przedzie sceny, przez co obraz symboliczny staje się melodramatem grubym. Tak czy owak, za aniołka musi śpiewać ktoś inny—sopranistka, umieszczona za sceną. Dość byłoby zatem, aby para aniołków zjawiła się na scenie w chwili, gdy jeden z nich wypowiada, iż „zbytkiem słodyczy na ziemi jesteśmy nieszczęśliwemi". A przytem należy zwrócić je do widza wprost twarzami, nie zaś bokiem; wskutek tego bowiem linie drutów, podtrzymujących je w górze, zleją się w jedną, i przez to maszynerya stanie się mniej widoczną.

I znów „ciemno wszędzie, głucho wszędzie: co to będzie, co to będzie?". Następuje wywołanie potępieńców „z najcięższym duchem", tych, „co do tego padołu przykuci zbrodni łańcuchem z ciałem i duszą pospołu". Z piersi guślarza, zaklinającego duchy przez żywioł ich, „przez ognisko" wydostaje się głos napoły rzewny, napoły namiętny. Harmonia jędrna, barwna, przelewająca się w akordach pełnych z dysonansu w dysonans, podparta brzękiem instrumentów miedzianych, uwypukla dosadnie rytm melodyi, ton deklamacyi, na teraz jeszcze liryczny. Za sceną słychać krzyk rozpaczy i złości:

„Hej, kruki, sowy, orlice!
O wy, przeklęte żarłoki!
Puśćcie mnie tu pod kaplicę,
Puśćcie mnie tu na dwa kroki!"

Tłum, przerażony, zwraca się ku oknu. W orkiestrze porywa się burza. Chór wybucha okrzykiem przerażenia: „Wszelki duch!" W oknie ukazuje się upiór potworny, widmo pana okrutnego, który za życia nie znał litości. W gębie ma dym i błyskawice, oczy mu na głowę wysiadły:

„A jak suchy snop cierniowy,
Płonąc, miotłę ognia ciska:
Tak od potępieńca głowy
Z trzaskiem sypią się iskrzyska".

Jest to kulminacyjny punkt obrazowości dramatycznej poematu i muzyki. Chór, już nie falą, ale grzmotami tonów suchych, urywanych, dziwnie ruchliwych i splątanych, wyrzuca z piersi straszne słowa wieszcza. Orkiestra to podpiera melodyę poszarpaną przodownika chóru, to przecina głos jego w ruchu synkopowym akordami dopełniającymi, to uwypukla akcenty zgrzytem instrumentów miedzianych, to dodaje obrazowi grozy poświstem gam i biegników przygodnych pod smyczkami skrzypków. Instrumentacyi zbywa na tej sile brzmienia i charakterystyki dosadnej, z jaką Beethoven, Berlioz, Wagner, Brahms wypowiadali swoje namiętności i porywy niepohamowane ducha. Moniuszko z natury swojej był lirykiem, któremu ogień namiętności w sercu gasiła łza rzewna melancholii słodkiej: uczucie wyzwalało się chętniej i łatwiej w aryach płynnych i w pieśniach tkliwych, niż w akcentach dojmujących i przykrych dramatu wewnętrznego. Mimo to czuć tu obraz burzy, rozkiełznanej w ruchu. Przyczynia się do tego jednak więcej cha-

rakterystyka rytmiczna głosów chóralnych, niż koloryt obrazowo-dramatyczny instrumentacyi. Zresztą ustęp ten trwa krótko i stanowi tylko odsadę dekoratywną aryi upiora.

Jest to prawdziwa arya, jakkolwiek motyw jej główny, powracający miarowo co pewien czas, niby znamię charakterystyczne uczucia, wije się dokoła trzech dźwięków. Z piersi potępieńca porywa się okrzyk: „Dzieci, nie znacież mnie dzieci?...." Okrzyk ten, ten wyraz błagania i zarazem rozpaczy Moniuszko oparł na górnej skali głosu basowego. Trudno wyrazić słowami, jak ten frazes muzyczny, wirujący dokoła jednego tonu dysonującego a mimo to zatoczony szeroko, odrzyna się wyraźnie od całokształtu efektów harmonicznych i instrumentacyjnych i wraża się w duszę słuchacza siłą skupioną dźwięków, wyrazemześrodkowanym namiętności. On to nadaje charakter całej aryi, prowadzonej w wybuchach dramatycznych, w wykrzyknikach gniewnych, w akcentach gwałtownych, którymi pierś potępieńca oddycha. Dusza, przejęta nawskroś bólem, rozpaczą, „męką, której niemasz końca", nie może śpiewać melodyi płynnych. To też arya upiora jest naprzemian to zgrzytem rozpaczy, to krzykiem cierpienia, to jękiem błagania. Orkiestra burzy się i huczy, harmonia melodyę, i tak już poszarpaną, wyprowadza z równowagi ruchem synkopowym, akcentującym zamiast mocnych słabe części taktu, a potępieniec miota się okropnie w walce beznadziejnej z rozpaczą. Zjawia się zgłodniałe a żarłoczne ptactwo.

„Nie znałeś litości, panie!...
Hej sowy, puhacze, kruki!
I my nie znajmy litości.

W orkiestrze rozpoczyna się taniec piekielny, dziki, szorstki w brzmieniu, rozwichrzony w rysunku melodyi, postrzępiony w rytmie skocznym, a podrywanym na jednej nucie, jednostajny w harmonizacyi, wrzaskliwy w instrumentacyi i tak rozpędzony w tempie, tak rozszalały w ruchu, iż sam, niezależnie od walki okropnej potępieńca z ptactwem żarłocznem, przejmowałby grozą. Czuć tu gorączkę wyobraźni, przed której oczyma przesuwają się widma dawnych poddanych, parskające śmiechem szyderstwa, ziejące nienawiścią, dyszące zemstą, „szarpiące jadło na sztuki krzywymi dzioby", zapuszczające w ciało potępieńca szpony, dobierające się do wnętrzności! A taniec ten, ta uciecha złośliwa ptaków nocnych, wrąc szałem gorączkowym w orkiestrze, wtóruje tylko okrzykom niepohamowanym chóru za sceną, który tu występuje w roli mściciela.

Groza chwili dramatycznej jest tak świetnie wyrażona szorstkością akcentów, jednostajnością rytmów i wybuchowością gorączkową głosów, iż słuchaczowi tchu brak w piersi z przerażenia. „Niemasz, niemasz mękom końca!"

„Tak musi dręczyć się wiek wiekiem,
Sprawiedliwe zrządzenia Boże!
Bo kto nie był ni razu człowiekiem,
Temu człowiek nic nie pomoże".

I w myśl tej sentencyi głębokiej wznosi się pod niebo chór piękny, spokojny w ruchu głosów, choć smutny w nastroju — kadencya, uzupełniająca dzieło: wyraz poddania się wyrokom niezbłaganym Opatrzności. Czuć w tem geniusz muzyka, który w sercu swojem, wrażliwem na dolę i niedolę ludzką, znalazł formę ukojenia duszy, przeciwstawiając harmonię religijnie wzniosłą pokrzykom rozwichrzonym namiętności.

Chór ten, zbudowany podobnie, jak w pierwszej scenie, brzmi jednak nieco inaczej. Lud poddaje się zrządzeniom woli Bożej, lecz jego rezygnacya tchnie odcieniem smutku. Myśl, iż potępieniec „dręczyć się będzie wiek wiekiem", zabarwia wyraz żałobą i podsuwa uczuciu nastrój posępny tonacyi minorowej w podłożu harmonii. To zestawienie szału namiętnego i rozpaczy beznadziejnej z powagą spokojną a smutną wyroku niewzruszonego nadaje całej tej scenie cechę tragedyi okropnej, zwłaszcza że i poeta i muzyk odganiają w końcu widmo tem samem zaklęciem, co i wprzódy: „A kto prośby nie posłucha: w imię Ojca, Syna, Ducha! Czy widzisz pański krzyż?... A kysz, a kysz!" I widmo znika, i w sercu słuchaczów pozostaje tylko ból nieuchwytny, wywołany nastrojem tej rezygnacyi przygnębiającej w tonie i tego zaklęcia tajemniczego, wyśpiewanego na nutę pieśni gminnej.

I znów następują praktyki zabobonne. Guślarz bierze święcone ziele na koniec laski, zapala je i przyzywa duchy pośrednie, te, co wprawdzie żyły z ludźmi pospołu, „lecz od ludzkiej wolne skazy, żyły nie nam, nie światu—jako te cząbry i ślazy: ni z nich owocu, ni kwiatu." I w głębi kaplicy, na tle ściany, zjawia się postać anielska. To Zosia, najpiękniejsza z całego sioła dziewczyna z kraśnym wiankiem na głowie, z badylkiem w ręku — „a przed nią bieży baranek, a nad nią leci motylek". Umarła, nie znając troski, ani prawdziwego szczęścia.

„Żyłam na świecie, lecz, ach, nie dla świata!
Myśl moja, nazbyt skrzydlata,
Nigdy na ziemskiej nie spoczęła błoni!
Za lekkim zefirkiem goni,
Za muszką, za kraśnym wiankiem,
Za motylkiem, za barankiem,
Ale nigdy za kochankiem.“

Obrazek to na wskroś sielankowy, scena czysto liryczna, rozkoszna w nastroju, lecz wolna od zmazy uczucia zmysłowego. Moniuszko dał jej wyraz w melodyi płynnej i rozlewnej, podpartej harmonią dźwięczną, przejrzystą, spokojną, lekko zabarwioną dysonansami przygodnymi i skromnie instrumentowaną. Czuć tu jednak, iż „po jagodach uśmiech lata, ale w oczach łza niedoli.” Jest to rozhowor naiwny pomiędzy wietrznicą a ludem, duet w rytmie jednostajnym barkaroli, która jednak, mimo wylew swobodny i łagodny uczucia, mieni się odcieniem tęsknoty, łzą jakiejś rzewności serdecznej. W całym tym ustępie przeważa ton minorowy, kiedyniekiedy tylko rozjaśniony dźwiękami tonacyi majorowej, wyrażającej wesołość, swywolę; lecz „uśmiech, co po jagodach lata”, do serca nie zstępuje. Bądź jak bądź barkarola ta to odpoczynek dla ducha. Jak poeta nie chciał pozostawić czytelników pod przygnębiającem wrażeniem ponurego obrazu życia, tak muzyk znów zagrał słuchaczom na strunie liryzmu szczerego. Zresztą jest to wstęp do piosnki Zosi, która „tu niegdyś w wiosny poranki, najpiękniejsza z tego sioła, pasając baranki, śpiewała: la, la, la, la!” Flecik w orkiestrze, niby skowronek, wdzięcznie jej do taktu przepioruje, a figuracya skrzypiec w trylach i gamach chromatycznych uzmysławia poświst „wiatru, co nią jak piórkiem pomiata.” Piosnka ta, przypominająca zarówno nastrojem, jak i budową, cudowny liryzm pieśni Mendelsohna, napawa duszę rozkoszą niewysłowioną: jest lekka, swobodna, płynna i, mimo swywolność pewną rytmu, tak mało zmysłowa, iż dźwięki jej uspasabiają raczej do marzenia, niż do miłości.

Ale bo też i Zosia latawica próżno wzywa młodzieńców, by ją pochwycili za ręce i przyciągnęli do ziemi. Choć po śmierci zapłonęła ogniem, za życia sobie nieznanym, „musi jeszcze sama jedna latać z wiatrem przez dwa roki. Dziś modlitwa nic nie zjedna.”

I znów wyraz rezygnacyi, poważny, spokojny, lecz na teraz już łagodny w nastroju, jak w scenie z aniołkami, rozbrzmiewa w głosach chóru, ogłaszającego słowa Bożego wyroku.

„Kto nie dotknął ziemi ni razu,
Ten nigdy nie może być w niebie.“

Zosia też, jak cichutko zjawiła się w kaplicy, tak cichutko odpływa w przestworza, i w sercu słuchaczów pozostaje tylko ból nieuchwytny, wywołany nastrojem rezygnacyi i tonem żałosnym zaklęcia tajemniczego na nutę pieśni gminnej: „A kto prośby nie posłucha: w imię Ojca, Syna, Ducha! Czy widzisz pański krzyż?.. A kysz, a kysz!"

„Przeszła północ, kogut pieje, skończona straszna ofiara"; Skończona?... Przebóg! Na scenie zjawia się „pasterka w żałobie" i siada na trumnie. Naprzeciw niej, z pod podłogi, która się nagle zapadła, powstaje widmo blade samobójcy. Ona się do niego uśmiecha—on wzrok dziki i zasępiony „utopił całkiem w jej oku." Na nic zaklęcia Guślarza! Darmo prosi, darmo gromi! Nie pomaga i kropidło! Jest to obraz symboliczny miłości nieszczęsnej Gustawa-samobójcy i może Maryli-pasterki, noszącej po kimś żałobę, choć „mąż i rodzina zdrowa." Duch zjawił się na „Dziadach" snać dla odbycia pokuty, lecz nie uczestniczy w obrzędzie. Guślarz, nie mogąc poradzić sobie z nim inaczej, rozkazuje tłumowi wyprowadzić pasterkę za kaplicę. „Przebóg, widmo kroku rusza!" I chór odpowiada: „Gdzie my z nią, on za nią wszędzie... Co to będzie, co to będzie?"

O ile w poemacie, przy czytaniu, scena ta wzrusza siłą dramatyczną, gdyż wyobraźnia na miejsce samobójcy-upiora i pasterki bezimiennej podsuwa parę poetyczną: Mickiewicza samego i jego Maryli, o tyle w dziele scenicznem traci na znaczeniu: jest zaczątkiem akcyi, niczem nie związanej z obrazami poprzednimi i zgoła nierozwiązanej. Poeta wprowadził ją, jako płód swojej wyobraźni, poza tworami fantazyi ludowej. To też rozum ludu nie znajduje rady na cierpienia tej pary, która jest symbolem miłości w duchu. Co najwyżej, można pasterkę „wziąć pod ręce i wyprowadzić za kaplicę"; lecz widmo, ten najwyższy wyraz uczucia uduchowionego, ani gusłom, ani praktykom religijnym nie ulegnie.

Moniuszko nie dotrzymał tu poecie lotu, nie zdołał wznieść się w sferę marzeń niedościgłych, w sferę fantazyi rozwianej, w kształtach i tajemniczej w wyrazie. Cała ilustracya muzyczna tego ustępu nie przemawia do duszy podniosłością nastroju, nie podnieca wyobraźni rozmachem skrzydeł. Dźwięki trzymają się zanadto niewolniczo słów. Idą prośby i groźby, idą zaklęcia i przekleństwa, a muzyka nie przeinacza się w tonie, nie nabiera plastyki odpo-

wiedniej, nie uwypukla kształtów światłocieniem, nie uzmysławia myśli harmonią szczególną, nie podznacza wyrazu akcentem subtelnym. Jedynie tylko chwila, gdy guślarz święci „straszydło” gromnicą, przejmuje dramatycznością. W orkiestrze brzmi ponuro fagot, a bęben akcentami synkopowymi niepokoi rytm głosu ludzkiego. Poza tem muzyka, a wraz z nią i scena cała dłuży się niejako słuchaczowi. Zbywa jej na efektach przeciwstawnych grozy i czułości, krzyku i uśmiechu. Ruch jest przyspieszony, *molto agitato;* głosy chóru krzyżują się z głosami orkiestry; wszyscy pracują ze zdwojoną energią, a mimo to *finał* nie drga życiem. Ale bo też harmonizacyi zbywa na różnorakości efektów, na światłocieniu akordów przeciwstawnych, na barwności, charakteryzującej odpowiednio chwilę; rytmika nuży jednostajnością układu, trwającego niezmiennie od okresu do okresu; akcenty, wybijane silnie na mocnych częściach taktu, rażą pospolitością. Dopiero zakończenie samo, będące waryantem kontrapunktycznym pierwszego chóru: „ciemno wszędzie, głucho wszędzie”, wstrząsa nerwami słuchaczów. Chór ten utrzymany w tonie pienia łagodnego, przenika do duszy nie tyle siłą dźwięków, ile nastrojem tajemniczym harmonii, która tu zmiennością tonacyi i ruchliwością głosów odzwierciedla niepokój sceny. I ofiara, jak tajemniczo się zaczęła, tak też tajemniczo się kończy: „Co to będzie, co to będzie?”

Niepodobna oddać słowami wrażenia, jakie to dzieło, wybornie uscenizowane i doskonale wyreżyserowane, na słuchaczach i widzach wywiera. Potęga słowa, i tak już uwypuklona światłocieniem dźwięków, zyskuje nadto chwilami niepomiernie wskutek plastyki kształtów zewnętrznych i dosadności efektów teatralnych. To też publiczność poddaje się wrażeniu i tego arcydzieła dwoistego poezyi i muzyki słucha z namaszczeniem, z tchem zapartym w piersi. Lecz zakończenie zawodzi oczekiwanie. I nic dziwnego. Zmysł wzroku zadawala się tu kształtami widomymi aktorów, wcielających w siebie mniej więcej dobrze postaci mar, i przez to oko wyobraźni przestaje szybować w sferę złudzeń fantastycznych myśli niedościgłych. Muzyka też, zamiast podbijać uczucie w górę harmonią niezwykłą, obniża nastrój chaotycznością dźwięków i brakiem wyrazu odpowiedniego.

Wykonanie samo, zarówno w części instrumentalnej, jak chóralno-wokalnej — co stanowi zasługę panów: Młynarskiego, jako kapelmistrza, Chodakowskiego, jako reżysera, Maszyńskiego i Zarzewskiego, jako nauczycieli chórów, oraz p. Korolewiczówny

(Zosia), pp. Chodakowskiego (Guślarz) i Didura (Upiór), jako solistów, a nadto panny Bogusławskiej, Waci Brzezińskiej i p. Rolanda, jako deklamatorów, — odznacza się starannością niezwykłą. Dość powiedzieć, iż wszyscy trudne partye swoje wykonywują bez pomocy suflera. Rzecz to na scenie naszej niebywała.

Lecz strona deklamacyjna — z wyjątkiem wierszyków aniołka, wypowiedzianych pod stropem kaplicy doskonale, bo spokojnie przez Wacię Brzezińską — traktowana jest powierzchownie. Śpiewacy, przyzwyczajeni do modulowania głosu na strunach napiętych, nie są władni nadać głosom plastyki odpowiedniej w warunkach zwykłych mowy. Przy wykonywaniu „Widm” na estradzie trudność tę usuwano w ten sposób, iż w danych rolach występowali osobno śpiewacy, a osobno deklamatorzy. Na scenie rzecz to niemożliwa.

A przy tem „Widma” w całości, jako dzieło sceniczne trwają zbyt długo. Moniuszko, przez uszanowanie winne geniuszowi Mickiewicza, nie poważył się zmian ani skróceń. Ale bo też pewnie nie marzył on nigdy, aby jego „Widma” przyoblekły się kiedykolwiek w szatę teatralną. Stało się przeciwnie. Lecz inne są wymagania estrady, a inne sceny. To samo, co czaruje słuchaczy w sali koncertowej, może nużyć w teatrze, gdzie słuchacz jest zarazem widzem. Przedstawienie sceniczne bez przesileń dramatu psychologicznego i bez akcyi, jest tylko szeregiem żywych obrazów, uzupełnionych słowem, a wyilustrowanych dźwiękami, jako takie, i, nie może ciągnąć się długo. „Widma” trwają pięć kwadransów, co nie wpływałoby jeszcze zbyt ujemnie na wrażenie ogólne, gdyby nie to, iż stronie deklamacyjnej zbywa na podniosłości tonu, a zakończenie grzeszy brakiem siły. Zaradzić temu łatwo, nie narażając się nawet na miano świętokaźcy.

Przedewszystkiem, co do tekstu samego, który wynosi *sześćset dwadzieścia dwa* wiersze. Wszystkie inkantacye u Mickiewicza powtarzają się nieodmiennie. Każdą myśl guślarza przejmuje chór i wypowiada ją wręcz temi samemi słowy. Jest to efekt czysto muzyczny, całkiem usprawiedliwiony w książce, gdzie chodzi o podznaczenie sztuczne wyrazu, o podniesienie nastroju dźwiękami słów, o zastąpienie muzyki rytmem głosu, powtarzaniem jednej i tej samej miary wiersza. Przy ilustracyi muzycznej efekt ten jest zbędny, gdyż muzyka rzeczywista zastępuje go w zupełności. Dość byłoby zatem, aby chór sam wypowiadał w śpiewie swe zaklęcia tajemnicze, owe słowa Bożego rozkazu, które w ustach guślarza-śpiewaka, nie wdrożonego do deklamacyi głosem naturalnym, nie

ają ani dość siły, ani dość plastyki. Piękność poematu nicby na n nie straciła, a przez wypuszczenie powtórzeń, wynoszących *sześć- iesiąt cztery* wiersze, „Widma" trwałyby o jedną dziesiątą część ęść czasu krócej.

Możnaby nadto usunąć z tekstu mówionego niektóre wiersze, nowiące część informacyjną poematu, która w dziele Mickiewicza t niejako objaśnieniem zakulisowem rzeczy, wskazówką dla reży- a. Z chwilą, gdy poemat stał się dziełem scenicznem, objaśnie- te niekiedy są również zbędne. Przez usunięcie ich poemat nic- nie stracił na jasności, lecz tym sposobem możnaby doprowa- ć do tego, iż przedstawienie trwałoby godzinę, co i tak, jak na ażliwość nerwów, jest miarą czasu dość długą.

A teraz co do muzyki samej, która, ilustrując znakomicie cha- ter poematu w trzech czwartych częściach jego budowy, nie łnia w końcu swego zadania—nie jest wyrazem tej fantazyi szczy- j, którą Mickiewicz, potrącając o strunę liryczną swego serca, toczył w scenie z marą nie z tego świata, nie z podań gmin- ch. Ustęp końcowy „Widm" Moniuszki nie odpowiada fantazyi ślowej poematu, nie podnieca wyobraźni słuchaczów, nie zadawa- nuzycznie: pod względem charakterystyki i wyrazu jest słabszy poprzednich; nie wywołuje wrażenia, nie stanowi korony dzieła. ęc usunąć go?... Nie! — „Dziady" Mickiewicza to szereg obra- w dekoracyi dramatu. „Widma" Moniuszki to szereg ilustra- w albumie muzycznym. Nic łatwiejszego nad mechaniczne łożenie kartek i uszeregowanie ich według natężenia barwy lub wyrazu. Pasterka w żałobie i widmo samobójcy zjawiają się ı obrzędem „Dziadów" i są nie na rękę guślarzowi, który, nie ąc sobie poradzić z widmem, każe pasterkę wziąć pod ręce i wy- vadzić ją za kaplicę: „widmo idzie za nią". To samo może stać ıa początku obrzędu, albo lepiej jeszcze, z uwagi na efekt prze- tawny cienia posępnego z świątłym i jasnym, po scenie z aniołka- Wprawdzie spaczyłoby to nieco kompozycyę poetycką „Dzia- ". Serce skrwawione samobójcy jest tu wyrazem niemym uczu- symbolem myśli czy pragnień niedościgłych, na których ranę ıa leku ni rady w zakresie środków materyalnych. Słusznie też kiewicz, w poczuciu genialnem stopniowania myśli, symbolem zakończył uroczystość obrzędu zabobonnego. Lecz przez takie mieszczenie obrazów, zwłaszcza iż po scenie wyprowadzenia „pa- ki w żałobie" za kaplicę, mogłaby nastąpić uroczo-liryczna sce- Zosią-latawicą, „Widma" Moniuszki z albumu muzycznego sta-

łyby się w jednej chwili dziełem scenicznem, dramatem lirycznym, tragedyą fantastyczną z zakończeniem pełnem siły i wyrazu. Nieby już nie osłabiało wrażenia grozy, będącej kulminacyjnym punktem kompozycyi, gdyby w końcu, po szamotaniu rozpacznem potępieńca, skazanego na „pastwę głodów wiecznych”, po wrzawie piekielnej ptactwa nocnego, zatapiającego z namiętnością dzikią szpony w ciało okrutnika, po słowach ludu, urągającego występkowi krwawemu, odezwał się już tylko głos rezygnacyi, tak wspaniale, tak genialnie ujętej przez Moniuszkę w formę chóru religijnego z podkładem tonacyi minorowej, harmonizacyi posępnej w nastroju. Oto wyraz niezłomności tragicznej! Niema ratunku ani w tem, ani w przyszłem życiu.

„Tak — musisz dręczyć się wiek wiekiem:
Sprawiedliwe zrządzenie Boże!
Bo kto nie był ni razu człowiekiem,
Temu człowiek nic nie pomoże“.

W tej formie, jak obecnie, „Widma” wywierają wrażenie wielkie; lecz pod koniec pobudliwość nerwowa się zmniejsza: w sali czuć znużenie. I nic dziwnego, po wstrząśnieniach gwałtownych dramatu następują jeszcze dwie sceny: jedna rozrzewniająco-liryczna, druga chaotyczno-tajemnicza. Nie ulega wątpliwości, iż cała Warszawa pociągnięta urokiem dwu geniuszów szczerych: poezyi fantastycznej i muzyki natchnionej, pójdzie na przedstawienie „Widm”, i to dzieło, przeznaczone na estradę koncertową, będzie cieszyło się powodzeniem długiem w teatrze. Nie idzie jednak o to, aby Warszawa poszła na „Widma”, lecz aby na nie stale chodziła. Drobne skrócenia w tekście i przemiana mechaniczna w układzie scen przyczynić się do tego mogą znacznie. W tym jednak razie, przez cześć należną obu geniuszom sztuki narodowej, należałoby do programów dodawać tekst w niezmienionej formie i z odpowiedniem objaśnieniem, a co pewien czas nadto wystawiać „Widma” według pierwowzoru, jak to dzieje się zagranicą z arcydziełami Shakespere'a, Goethe'go, Mozart'a.

Wznowiono też na scenie Teatru Wielkiego „Zamek na Czorsztynie”, krotochwilę hr. Józefa Krasińskiego z muzyką Karola Kurpińskiego.

Jest to utwór tak naiwny w budowie scenicznej, iż niema potrzeby powtarzać jego treści, zresztą zupełnie błahej. Występują

tu: Bojomir, rycerz, powracajacy z wojny, i Wanda, córka Dobrosława, pana na Czorsztynie, która z tęsknoty za oblubieńcem, Bojomirem, dostała pomieszania zmysłów. Służebna Wandy i góral, przewodnik Bojomira, wypełniają dwa akty, zresztą krótkie, trefnowaniem wesołem, nic jednak z akcyą nie mającem wspólnego.

Kurpiński w budowie szeroko rozwiniętych aryi, w sposobie harmonizacyi prostej i instrumentacyi skromnej, trzymał się tu wzorów Mozart'a, Cimarosa'y, Rossini'ego. Jest to jakby odbicie humoru naiwnego epoki, lecz z drugiej ręki. Niemniej jednak w nastroju piosnek, w dosadności rytmów tanecznnych, w zatoczeniu zamaszystem niektórych frazesów czuć liryka swojskiego, który umie być naprzemian rzewnym i dziarskim i stara się też chwilami muzyce swojej nadać cechę narodową. Wszystkie ustępy, zarówno czułe, a raczej czułostkowe, jak i wesołe, tchną szczerością i pogodą duszy. To też i tych kwileń żałosnych, i tych żartów naiwnych i tych wreszcie porywów nie gwałtownych temperamentu słucha się ze łzą błogiego rozrzewnienia w oku, z uśmiechem wesołym na ustach. Jest w tem coś z sielanek czułostkowych Franciszka Karpińskiego, coś z „kopersztychów", zgrabną linią rysowanych a wdzięcznie, na różowo kolorowanych, w jakich ówczesna epoka malarska się lubowała.

„Zamek na Czorsztynie" był wystawiony poraz pierwszy na scenie warszawskiej w r. 1819. Niepodobna dziś tą muzyką zachwycać się bezgranicznie. Ma ona tylko wartość, jako dokument historyczny w rozwoju sztuki narodowej i jako próba nieśmiała wyodrębnienia nastroju z pod wpływu muzyki kosmopolitycznej, konwencyonalnej. Niezależnie od wielkiej aryi Bojomira, trzymanej w rytmie poloneza buńczucznego, i melodya służebny zatrąca krakowiaczkiem, i w zawodzeniu żałościwem górala czuć nutę dumki ukraińskiej, tak pokrewnej piosnkom podhalan tatrzańskich. Największe jednak wrażenie wywiera polonez charakterystyczny, zamaszysty w rytmie, płynny w melodyi, uroczysty w nastroju, a wstawiony do opery, jako przygrywka do aktu drugiego, i świetnie przez orkiestrę wykonany. Soliści, panny: Korolewiczówna i Skulska, oraz pp. Grąbczewski, Dyliński i Kawalski, ożywiają całość śpiewem w miarę możności i uzdolnień wdzięcznym i charakterystycznym. Ostatecznie i dziś jeszcze, dzięki nastrojowi pogodnemu muzyki, możnaby się bawić wesoło na „Zamku na Czorsztynie". Należałoby jednak w tym celu dorobić jaki taki ...sens do libretta-krotochwili. Rzecz zresztą nietrudna i warta zachodu, gdyż tę próbkę naiwną muzyki narodowej możnaby dawać łącznie z „Weselem w Ojcowie" lub jakim innym baletem charakterystycznie swojskim.

Pomysł łączenia „Zamku na Czorsztynie” z „Widmami” jest niewczesny. Wpływa to ujemnie na sąd o talencie Kurpińskiego i nie przygotowuje publiczności odpowiednio do obcowania z geniuszem Moniuszki. A przytem przeskok od błahostki niedorzecznej w krotochwili do fantazyi potężnej, do poezyi wybujałej w „Dziadach” jest zbyt wielki. To też, jako wstęp do „Widm”, należałoby raczej dawać *Verbum nobile* w doskonałej obsadzie ról, albo lepiej jeszcze wznowić „Flisa”, ten wyraz świetny pogodnego geniuszu Moniuszki, który, niewiadomo czemu, znikł naraz z widowni naszej sztuki.

Antoni Sygietyński.



KRONIKA EKONOMICZNA.

Kwestya braku węgla.—Zastosowanie prądu elektrycznego, jako siły motorycznej w rolnictwie.—Projekt kanału przez cieśninę amerykańską.—Działalność komisyi kolonizacyjnej w Wielkopolsce. — Szykany niemieckie przeciwko producentom rolniczym.

Zaledwie ustąpiła zmora utrudnionego kredytu i nastąpiła pewna równowaga na rynku pieniężnym, już znowu widnokrąg ekonomiczny zasnuwają przykre chmury — trudność w dostawie węgla i drożyzna tego chleba dla maszyn daje się we znaki przemysłowcom, tamuje rozpęd całego mechanizmu produkcyjnego. Wielki strejk górników czeskich trwa już 8 tygodni, a w Saksonii przez kilkanaście dni doszło z tejże przyczyny do chwilowego zmniejszenia liczby kursujących pociągów. Te dwa fakty, sporadyczne, bądź co bądź, spowodowały w całej Austryi, Niemczech, a nawet we Francyi, podrożenie węgla, a nawet brak zupełny materyału opałowego w niektórych miastach, względnie oddalonych od kopalni, dotkniętych zatargiem. Czeskim węglem posługują się Saksonia, Bawarya i średnio-niemieckie państwa drobne, dochodzi on nawet do Szwajcaryi. Wobec zawieszenia produkcyi Saksonia musi pokrywać niedobór z kopalń szląskich bardziej odddalonych, Bawarya z nadreńskich. O ile więc te kopalnie miały węgiel do rozporzą-

dzenia, wysłano go tam, lecz oczywiście taki kolosalny wzrost zapotrzebowania oddziałał na wzrost cen. Francya już od kilkunastu lat posługuje się węglem z nad Renu, w ten sposób więc niedobór odbił się tam i jednocześnie w Belgii. Fakt sam przez się nie miałby jeszcze tak doniosłego znaczenia. Przedsiębiorcy opłacą droższej paliwo, zyski ich zmniejszą się o jakiś ułamek procentu: mniejsza o to. Lecz fakt ten jest wskazówką, że w rzeczywistości produkcya węgla jest zbyt szczupłą, aby zaspokoić ogólne wymagania produkcyi: skoro jedno lokalne wstrząśnienie jest w stanie wywołać takie skutki, mamy dowód, że pomiędzy podażą a popytem istnieje bardzo poważny dysonans. A dalej jeszcze: ten eksperyment pouczy właścicieli kopalń o potędze nadmiernej, jaką posiadają. Bezrobocie, tak czy inaczej, zostanie zażegnane, lecz wielkie syndykaty węglowe nie omieszkają podnieść cen na węgiel stale, i z głosów prasy sądzić można, że plan taki rzeczywiście istnieje. Wobec takiego stanu rzeczy zradza się kwestya, czy społeczeństwa nie odwołają się z konieczności do interwencyi państwa. Boć potworne jest położenie, skoro grupa monopolistów może nakładać dowolny haracz na całą produkcyę społeczną. Interwencya ta może przybrać formę urzędowego naznaczenia ceny maksymalnej, jak to ma miejsce co do sprzedaży węgla w Warszawie. Lecz takie załatwienie kwestyi nie nadaje się już tam, gdzie chodzi o regulacyę cen w całem państwie, a nawet w stosunkach międzypaństwowych. Wobec tego projekty upaństwowienia tej najważniejszej gałęzi produkcyi nabierają bardzo poważnego znaczenia. Oczywiście trudności są olbrzymie, lecz z drugiej strony takie rozwiązanie kwestyi jedynie daje rękojmię, że, po pierwsze, zostanie położona tama nieregularnej, rabunkowej gospodarce, która i dziś jeszcze powoduje kolosalne straty, gdyż miliony pudów „czarnych dyamentów” giną bezpowrotnie; powtóre, zapobiegnie się wstrząśnieniom takim, na jakie patrzymy, z powodu zatargu pomiędzy pracą a kapitałem; po trzecie, zniknie obawa nagłych zamachów na całe społeczeństwo ze strony gromady przedsiębiorców, liczących się li tylko z „konjunkturą” dalekich od wszelkich „sentymentalnych” względów na dobro społeczne.

Oczywiście tego rodzaju głęboko sięgające reformy nie uskuteczniają się z dnia na dzień, i lata upłyną, zanim opinia publiczna pogodzi się tylko z myślą samą, lecz sądzimy, że taki krok jest nieuniknionym, gdyż chodzi o — być albo nie być dla całej produkcyi. Tymczasem wszakże zagranicznemu społeczeństwu bieży na pomoc — elektrotechnik! Siła prądu elektrycznego nie uwolni nas od samowoli monopolistów węglowych, gdyż motor elektryczny w prze-

ważającej ilości wypadków musi być wprowadzony w ruch „staroświecką” siłą pary. Jednakże z jednej strony siła motoryczna słońca, zamknięta w węglu, zostaje spotęgowaną przez nową siłę, a powtóre, w znacznej części mamy możność wyzyskania jeszcze bardziej starożytnej siły — spadku wody; tem samem więc zmniejsza się rola węgla, jako głównego czynnika przy wytwarzaniu siły motorycznej.

To też chcemy podzielić się z czytelnikami wiązanką faktów, świadczących o coraz bardziej rozpowszechniającem się użyciu sił elektrycznych, i to w najbardziej konserwatywnej dziedzinie produkcyi — w rolnictwie. Pominąwszy już Szwajcaryę, gdzie strumienie górskie same wzywają do zakładania turbin i przenoszenia energii, w ten sposób zdobytej, i Amerykę, ojczyznę Edissona, gdzie ferma elektryczna jest dosyć rozpowszechnionem zjawiskiem, zastosowanie motorów elektrycznych rozpowszechnia się w rolnictwie niemieckiem i wielkopolskiem. W Brandenburgu i na Pomorzu istnieje już kilkadziesiąt gospodarstw rolniczych, które posługują się światłem lamp żarowych i używają motoru elektrycznego dla wprawienia w ruch młockarń, sieczkarń, pługów. Po większej części są to gospodarstwa wielkie, lecz w ostatnich latach spółki włościańskie przystąpiły do budowy stacyi centralnych, posiłkujących się siłą prądu wodnego, a z tych stacyi prąd elektryczny zostaje przeprowadzony do zagród włościańskich. Taką stacyę budują np. obecnie w Bawaryi, w okręgu Ochsenfurth (dolna Frankonia). Turbina o sile 50 koni i motor elektryczny o sile 100 koni wprawiają w ruch dynamo-maszynę, a ta wprawia w ruch maszyny w siedmiu wioskach. Że ulice są oświetlone elektrycznie i dziewki doją krowy przy blasku lampek żarowych, rozumie się samo przez się. Podobną stacyę zamierzono też założyć w Wielkopolsce, w okręgu Szamotulskim. Stacya ma dostarczyć siły motorycznej na obszarze o średnicy 25 kilometrów. Dla tej ostatniej stacyi zakomunikować możemy kilka danych co do kosztów: założenie stacyi centralnej i przewodników obliczono na 5,330,000 marek. Od tej sumy stowarzyszenie obywateli ziemskich gwarantuje zakładowi elektrotechnicznemu, który podjął się budowy, 6% zysku; w razie, gdyby zyski były wyższe, zakład wypłaca nadwyżkę stowarzyszonym. Dotąd zapisano 67,000 morgów gruntu do zorania elektrycznymi pługami; orka na tym obszarze musi być ukoń-

czoną w terminie 120 dni, i to w czasie pomiędzy 15 czerwca a 1 grudnia; jeżeli właściciele ziemscy będą mogli przedłużyć ten termin, tak, że orka uskuteczni się w 150 dni, to kapitał zakładowy zmniejszy się o ½ miliona marek. Opłata za zoranie jednego hektara wynosi 20, 22 i 24 marek stosownie do rodzaju gruntu. Jakież wspaniałe perspektywy co do podniesienia kultury rolniczej stają przed oczyma wobec tego nowego przełomu w technice!

Sprawa kanału panamskiego zdawała się pogrzebaną na zawsze w morzu błota skandalicznego procesu. Miliony drobnych oszczędności zginęły rzeczywiście w przepaścistych kieszeniach zgrai aferzystów, i, dopóki zmora stagnacyi przemysłowej ciążyła nad światem wspomnienie tej sprawy budziło tylko gorycz. Lecz oto zaświtała nowa era rozwoju, i olbrzymi projekt nabiera form określonych; nie ulega kwestyi, że cieśnina amerykańska zostanie przekopaną. Obecnie nawet mamy do czynienia z dwoma projektami. Z jednej strony utworzyło się nowe konsorcyum, które zakupiło maszyny dawnego towarzystwa panamskiego, przeistoczyło nieco plany genialnego Lessepsa i stara się o ufinansowanie nowego przedsiębiorstwa. Ten plan wszakże nie ma obecnie prawie żadnych szans powodzenia, gdyż rząd Stanów Zjednoczonych odmówił poparcia. Rzeczpospolita bowiem już oddawna kazała wypracować projekt kanału, który przecinałby cieśninę na terytoryum rzeczpospolitej Nikaragua. Kanał brałby tedy początek nad morzem Karaibskiem w pobliżu miasteczka Greytown, nieco na północ od ujścia rzeki San Juan i kończyłby się u brzegów Oceanu Spokojnego w pobliżu miasta Brito (San Juan del Sur). Długość wynosiłaby 273 kilometry, lecz koryto rzeki San Juan, jezioro Nikaragua i kilka pomniejszych jezior ułatwiają pracę, tak, że przekopać w zupełności wypadnie tylko 46 kilometrów. Szluz wypadłoby wybudować tylko sześć, które służyłyby do przezwyciężenia różnicy w poziomie 33,5 metrów. Czas przeprawy okrętów obliczono na 30 godzin przy szybkości przeciętnej 9 kilometrów na godzinę; koszta zaś obliczono na 125 milionów dolarów. Ta ostatnia suma przy ścisłej rewizyi prawdopodobnie okaże się za małą, a są nawet inżynierowie, którzy twierdzą, że zbyt optymistyczni Yankesi omylili się o 100%. Lecz to nie stanowiłoby zapory. Wypadłoby chyba zwątpić w rozum ludzki, jeżeli na budowę okrętów pancernych każde z państw ma do rozporządzenia miliardy, a nie znalazłoby ich na budowę kanału, który przyniesie

zyski olbrzymie. Że zyski dla Ameryki samej są olbrzymie, tego wyjaśniać nawet nie potrzeba. Droga z New-Yorku do zachodnich wybrzeży i droga z San-Francisco do wschodnich wybrzeży zostaje skróconą o połowę. Lecz i w komunikacyi z Europą skraca się droga znakomicie. Np. z Liverpool do San-Francisco droga dokoła przylądka Horn wynosi 13,719 mil angielskich, po przekopaniu kanału wynosiłaby 7,759 mil; droga z tegoż portu do Valparaiso wynosi obecnie 10,167 mil, przez kanał wynosiłaby 7,349.

Oczywistą jest rzeczą, że w pierwszym rzędzie korzyści z tego dzieła spłynęłyby na Stany Zjednoczone. Bogate, lecz dotąd pod względem ekonomicznym w powijakach będące, kraje południowej Ameryki stanowią naturalny rynek zbytu dla przemysłu Stanów Zjednoczonych, i na tym rynku po przekopaniu kanału nie może już być mowy o konkurencyi Europy ze Stanami Zjednoczonymi. Więcej nawet: już dziś Stany Zjednoczone górują śród państw przemysłowych wskutek naturalnych warunków obszaru; Europa, podzielona na drobne państewka, odgraniczające się wzajemnie baryerami celnemi, jak dziwaczny anachronizm, przedstawia się wobec olbrzymiego organizmu jednolitego, jakim są Stany Zjednoczone. Płody południa i północy dojrzewają na obszarze tego państwa, ma ono możność być zarazem państwem rolniczem i przemysłowem i rozporządza olbrzymimi skarbami kopalnianymi.. I otóż — ten organizm zostaje powiększonym jeszcze w dwójnasób, z przekopaniem kanału stosunki ekonomiczne pomiędzy lądem północnym a południowym zawiążą się do tego stopnia ściste, że muszą pociągnąć w końcu zasobą zmianę politycznego ustroju: federacya, obejmująca ustroje państwowe północnej i południowej Ameryki, jest już wtedy tylko kwestyą czasu.

W Stanach Zjednoczonych oceniono zupełnie doniosłość tej sprawy, lecz, jako punkt decydujący, postanowiono postulat, że kanał musi być własnością wyłączną Unii. Tak też głosi *bill*, wniesiony obecnie do kongresu Waszyngtońskiego. Urzeczywistnieniu tego planu staje na przeszkodzie traktat, zwany traktatem Clayton-Bulwer. Chodzi o umowę, zawartą już w roku 1850 pomiędzy Anglią a Unią, dotyczącą projektowanego już wówczas kanału pomiędzy oceanem Spokojnym a Atlantyckim, i opiewającą, że kanał taki musi być bezwarunkowo neutralnym. Kiedy więc myśl urzeczywistnienia projektu przybrała nowe formy, wszczęto rokowania dyplomatyczne pomiędzy Londynem a Waszyngtonem celem usunięcia tego zastrzeżenia. W styczniu roku bieżącego donoszono, że rokowania te są na drodze pomyślnej i że Anglia zrzeka się

praw swoich, wynikających z owego traktatu, obecnie wszakże biuro Reutera donosi ponownie o trudnościach, jakie powstały, i prasa przypisuje wyjazd posła Stanów w Londynie na dłuższy urlop temu właśnie niepomyślnemu zwrotowi w sprawie układów. Gdyby Anglia rzeczywiście trwała w uporze co do tej sprawy, należy spodziewać się, że kanał Nikaraguański odegra poważną rolę w blizkiej kampanii wyborczej w Stanach; wtedy zatarg pomiędzy „królową mórz" a młodym olbrzymem amerykańskim mógłby przybrać bardzo ostre formy, gdyż politycy Unii, zarówno demokraci, jak liberałowie, będą musieli zaangażować się bardzo w tej sprawie.

Pruskiemu sejmowi złożono niedawno sprawozdanie z działalności komisyi kolonizacyjnej za rok 1899. Z przyjemnością możemy zaznaczyć, że i w tym roku ta bezecna akcya, podjęta w imię bismarkowskiego „ausrotten", wydała rezultaty bardzo niepomyślne — dla inicyatorów. Zakupiono 28 dóbr ziemskich, lecz z tych tylko 4 należało dotąd do właścicieli polskiego pochodzenia. Dziś więc fundusz gadzinowy 200 milionów służy w pierwszym rzędzie do ratowania z bankructwa junkrów pruskich, osiadłych na ziemi wielkopolskiej; ekonomiczny zaś rezultat jest ten, że komisya przyczynia się do podwyższenia ceny sprzedażnej ziemi. W roku 1898 płacono przeciętnie po 774 marek, w r. 1899 po 824 marek. Skarży się też komisya gorzko, że coraz trudniej o kolonistów: Westfalia i Hanowerya przestają dostarczać ochotników zasobnych, a w innych prowincyach pruskich dotąd nie udało się pobudzić emigracyi na grunta kolonizacyjne. Rezultat to tem bardziej znamienny, że komisya nie szczędzi pieniędzy na agitacyę i nie przebiera w środkach dla urzeczywistnienia swoich zamiarów. Agenci z ramienia komisyi objeżdżają kraje niemieckie i obiecują złote góry tym, którzyby zdecydowali się porzucić lary i penaty i dać się użyć, jako materyał germanizacyjny. Wielka więc akcya, wszczęta przez „epokowego męża", zaczyna rzeczywiście przybierać formy komiczne.

Komisya od roku 1886 wydatkowała 125 milionów marek, z której to sumy poszło na zakup 130,899 hektarów, 86,700,427 marek. 40,37% obszaru zakupiono z rąk niemieckich właścicieli, 59,63% z rąk Polaków. Na gruntach zakupionych osiedlono dotąd 3,116 osadników niemieckich, a komisya oblicza, że wraz z rodzinami czyni to 22—24,000 dusz ludności niemieckiej, osiedlonej na ziemi polskiej. Obliczenie to jest bezwarunkowo zbyt wygórowane, gdyż w żadnym razie na rodzinę chłopską nie wypada 7 do 8 głów. Lecz,

przyjąwszy nawet oszacowanie takie, to jeszcze każda taka „dusza niemiecka" kosztuje nie mniej, jak 60,000 marek! Czy nie za drogo? A przytem dodać należy, że z tych kolonistów tylko część świeżo osiedliła się w Poznańskiej, gdyż 38% ogólnej liczby pochodzi właśnie z Księstwa poznańskiego i Prus Zachodnich. Charakterystyczną też jest skarga komisyi, że bardzo często włościanie niemieccy nabywają ziemię, po krótkim czasie odprzedają ją innym, a potem ponownie zgłaszają się z zamiarem zakupu gruntów kolonizacyjnych. Świadczy to o tem, że wytwarza się śród tych „kulturtregerów" typ spekulantów, którzy *à tout prix* robią interesa na funduszu gadzinowym. Polityczny charakter haniebnego planu, oczywiście, nie traci na ohydzie wskutek fiaska, jakie go spotkało.

W parlamencie rzeszy niemieckiej zachodzą fakty, które nie mogą ujść uwagi tych, którym poruczono przestrzeganie interesów handlu i rolnictwa u nas, gdyż chodzi tu o jawne naruszenie traktatu handlowego. Oddawna już obradowano w Niemczech nad ochroną zdrowia publicznego przez obostrzenie kontroli weterynaryjnej w bydłobójniach oraz wogóle nad sprzedażą materyałów spożywczych, a w pierwszej linii mięsa. Nie ulega kwestyi, że na państwie ciąży obowiązek możliwie ścisłej pod tym względem kontroli, również nie ulega kwestyi, że ten obowiązek był w Niemczech dotąd spełniany bardzo niedbale. Prawa odnośne nie są dostateczne i w dodatku są źle przestrzegane. To też raz po raz wykrywają się przestępstwa przeciw przepisom sanitarnym, i to przestępstwa, uskuteczniane bezkarnie przez długi czas. Niedawno np. wykryto, że wszyscy rzeźnicy w Gdańsku, z wyjątkiem zaledwie dziewięciu, farbowali wędliny celem nadania nadpsutemu mięsu pozoru świeżości, a przed kilku tygodniami wykryto, że w rzeźni berlińskiej istniało całe stowarzyszenie opryszków, które manipulowało w sposób następujący. Przy rzeźni urządzono aparaty specyalne, w których mięso wieprzów węgrowatych zostaje wygotowane w sposób, dający rękojmię, że zarazki zostały usunięte, i dopiero po przebyciu takiej operacyi mięso to zostaje sprzedane oczywiście po cenach zniżonych; okazało się tedy, że służba rzeźni była w konszachtach z kilkunastu rzeźnikami, którzy nabywali tę podejrzaną wieprzowinę, wywozili ją po nocy z rzeźni i sprzedawali w swoich jatkach.

Podobne więc fakty dały powód do wypracowania nowego prawa, obostrzającego kontrolę. Lecz z tego skorzystali natych-

miast agrarczycy dla przeprowadzenia swoich planów, które nic już nie mają wspólnego z ochroną zdrowia publicznego, lecz są skierowane bezpośrednio do uniemożliwienia przywozu mięsa do Niemiec celem podniesienia przez to cen na rynku miejscowym. Projekt rządowy nowego prawa poddawał mięso, przywożone z zagranicy, surowej kontroli. Ta kontrola utrudnia oczywiście handel, gdyż przewóz przez granicę byłby oczywiście dozwolony tylko na tych komorach, gdzie zostaną urządzone stacye doświadczalne, a przytem mięso miało być przewożone tylko w takiej formie, która pozwala na kontrolę. Przeciwko takim przepisom nie wiele da się powiedzieć, gdyż rzeczywiście chodzi tu o zdrowie konsumentów. Jednakże w komisyi rządowej projekt uległ doraźnym zmianom. Po pierwsze, usunięto z pod dozoru mięso zwierząt, bitych po za rzeźniami, dla domowych potrzeb. Skoro się zważy, że przez taki przepis w znacznej części uniemożliwia się kontrola, gdyż w małych miasteczkach i po wsiach mięso takie niekontrolowane, bądź co bądź, łatwo dostaje się do sprzedaży, to nasuwa się wniosek, że wnioskodawcom nie bardzo znów chodziło o stronę sanitarną. Natomiast wnieśli oni do projektu nowy paragraf, który brzmi: przywóz mięsa solonego (peklowanego) z wyłączeniem szynek, słoniny i kiszek oraz mięsa w puszkach i innych naczyniach zamkniętych, kiełbas i wogóle mięsa posiekanego, zostaje wzbroniony. Po za tem przywóz mięsa jest dozwolonym do dnia 31 grudnia 1903 roku tylko pod następującymi warunkami: świeże mięso musi być przewożone tylko w całych sztukach zabitych zwierząt; przepona brzuszna i piersiowa, wątroba serce i nerki oraz — u krów — wymiona muszą być w naturalnem połączeniu z mięsem. Mięso, w jakikolwiek sposób spreparowane, może być przywożone li tylko w takim razie, jeżeli sposób spreparowania wyklucza z natury rzeczy wszelkie niebezpieczeństwo dla zdrowia konsumentów, lub jeżeli nieszkodliwość tego mięsa może być skonstatowaną w stacyach granicznych. Od roku 1904 przywóz mięsa i produktów mięsnych, prócz szmalcu, słoniny, oleomargariny i kiszek zostaje zabroniony.

Z terminem 31 grudnia 1903 roku kończą się traktaty handlowe Niemiec z Rosyą, Stanami Zjednoczonymi etc. Od tego terminu więc projektodawcy chcą odciąć zupełnie przywóz mięsa. Już fakt, że przywóz szmalcu, słoniny i kiszek pozostaje dozwolonym, pomimo że kontrola jest tu również trudną, dowodzi, że kierowano się tu zgoła nie interesami konsumentów, lecz wyłącznie producentów, którzy pozbędą się w ten sposób konkurencyi zagranicznej. Jednakże przepisy, które mają obowiązywać do końca roku 1903 są tego

rodzaju, że faktycznie uniemożliwiają wszelki przewóz mięsa przez granice niemieckie, a to bezwarunkowo jest naruszeniem obowiązującego traktatu handlowego.

Jak powiedzieliśmy, jest to projekt, lecz projekt ten w dniu 9 marca został przyjęty w drugiem czytaniu w parlamencie. Przedstawiciele rządu w komisyi obradującej oświadczyli, że na takie naruszanie traktatów handlowych rząd pozwolić nie może. W plenum wszakże ton już był inny; minister spraw wewnętrznych, Posadowski, i kanclerz prosili o przywrócenie pierwotnego brzmienia projektu rządowego, lecz nie wypowiedzieli się decydująco za przestrzeganiem obowiązujących traktatów. Zachowanie się tych panów jest zupełnie zrozumiałe: nie wolno im teraz wzbudzać niechęci agrarczyków, inaczej przepaść może projekt cesarski powiększenia marynarki! Agrarczycy znakomicie umieją operować zasadą: „do, ut des", istnieje więc obawa, że w trzeciem czytaniu projekt zostanie przyjęty, i rząd pod groźbą frondy przeciw marynarce da sankcyę nowemu prawu.

Dotkniętym zostaje w pierwszej linii handel Stanów Zjednoczonych, które przewożą do Niemiec mięso, a głównie konserwy mięsne, rocznie na sumę przeszło 20 milionów marek. Z Rosyi przywóz mięsa do Niemiec reprezentuje sumę około 1,5 do 2 milionów marek, a mięso to pochodzi głównie z Królestwa. Przytem zważyć należy, że chodzi tu tylko o jeden z kroków nieprzyjaznych, jakich dopuszcza się rząd niemiecki względem naszego handlu produktami rolniczymi. Od lat już kilku trwają bezustanne szykany pod względem przewozu bydła i trzody chlewnej przez granicę niemiecką. Jako pretekst, podaje się oczywiście choroby zakaźne, które jakoby szerzone są przez zwierzęta, przywożone z zagranicy. Faktem natomiast jest, że te zarazy szerzą się w Niemczech głównie z powodu niedostatecznej kontroli. Dowodów na to dostarcza statystyka niemiecka: od lat kilku przewóz bydła i trzody został prawie zupełnie przerwany, a w roku 1899 faktycznie ustał; dozwolono zaledwie przewozić zwierzęta, które w pasie granicznym musiały być bite. I oto od roku 1886, odkąd prowadzi się statystyka dokładna, nigdy jeszcze zaraza racicowa nie była tak ogólną, jak w roku ubiegłym! W ostatnim kwartale roku 1898 było 9,400 gospodarstw, dotkniętych zarazą, w ostatnim kwartale roku ubiegłego — 54,000. Na Szląsku, gdzie ludność przemysłowa konsumuje znaczne ilości wieprzowiny, bardzo dotkliwie odczuto szykany, skierowane prze-

ciw dostawcom zagranicznym, i jeden z lekarzy w Bytomiu, doktór Bloch, Niemiec, a zatem świadek niepodejrzany, wykazał w broszurze, wydanej w roku 1898, całą bezzasadność zamknięcia granicy. Pisze on, co do handlu trzodą chlewną: „Faktycznie usunięto w okręgu Sosnowickim zarazę od 1½ roku, na Górnym Szląsku trwała ona dłużej, lecz obecnie ustała zupełnie”. Bloch wykazuje, że urządzenia sanitarne w Sosnowcu są wprost wzorowe: chlewy są nader czysto utrzymane, zwierzęta, przywiezione z głębi kraju, ulegają sumiennej rewizyi, podejrzane okazy zostają izolowane, a zdrowe trzymane jeszcze w pięciodniowej kwarantannie i obserwowane bacznie. Po przekroczeniu granicy weterynarze pruscy jeszcze raz robią rewizyę. Taka kontrola wystarcza najzupełniej, i, jeżeli pomimo to utrudnienia nie ustają, to najoczywiściej chodzi o inne, nie zdrowotne, cele. Zresztą dowód tego nawet jest jasnym: ponieważ bez dowozu mięsa ludność Szląska obejść się nie mogła, przepuszczają trzodę; lecz — tylko w określonej ilości, 1360 sztuk tygodniowo. Jasnem jest, że skoro można przepuścić bez obawy taką ilość, to można również przepuścić więcej. Ograniczenie to świadczy, że pod pozorem ochrony od zarazy, ze szkodą polskich producentów i ze szkodą konsumentów, niemieckim producentom daje się możność podnoszenia cen na rynku przez ograniczenie dowozu.

W Stanach Zjednoczonych odpowiedziano na szykanę niemiecką tem, że zarządzono ścisłą kontrolę sanitarną niemieckich win, piwa, wyrobów cukierniczych i zabawek (które mogą być malowane trującemi farbami), i zagrożono dalszemi represaliami, gdyby projekty agrarczyków uzyskały sankcyę prawną. Sądzimy, że zadaniem Towarzystwa popierania przemysłu i handlu byłoby zebrać niezwłocznie odpowiedni materyał dowodowy o poszkodowaniu handlu w Królestwie przez szykany niemieckie i zwrócenie się do ministeryum o interwencyę.

J. B. M.



Rozbiory i Sprawozdania.

Bolesław Koskowski. Finlandya, według zbiorowego dzieła autorów fińskich i rosyjskich, Warszawa, 1899.

Nie mieliśmy dotychczas w literaturze polskiej dzieła, powiadamiającego o przeszłości i obecnym ustroju Finlandyi. Autor zatem wpadł na szczęśliwą myśl wypełnienia owego niedostatku, przy czem posiłkował się zbiorowem dziełem, wyczerpującem wszechstronnie życie polityczne, narodowe i społeczne Finlandyi. Zastanawiając się nad warunkami geologicznemi, w jakich się znajdowała Finlandya, autor zauważył, że właśnie powyższe czynniki wywarły znaczny wpływ na ustrój społeczny ludności miejscowej, uchylając możność zaprowadzenia w wiekach średnich stosunków feodalnych i pańszczyźnianych. Feodalizm bowiem rozwijać się mógł tylko tam, gdzie praca włościan była dość owocną, aby po zaspokojeniu pierwszych potrzeb pracowników mogła pozostać pewna część dla seniora. Z drugiej strony liche grunta finlandzkie, łącznie z surowym klimatem, nie pozwalały ludności wzrastać liczebnie i podnosić się w dobrobycie. Do końca XVIII stulecia, a nawet później, ludność Finlandyi wcale się nie zwiększała, a kraj był pogrążony w głuchem, monotonnem życiu.

Dwa czynniki geograficzne wywarły wpływ na stosunkowo wielki rozwój kultury, zdobytej obecnie przez Finlandyę. Pierwszym z nich jest golfstrem, którego oddziaływanie jest tutaj, oczywiście, znacznie mniejsze, niż w Anglii lub Skandynawii, ale w każdym razie dla tego właśnie rolnictwo kwitnie tu na takich szerokościach, na jakich bardziej na wschód zaledwie może istnieć; następnie Finlandya pochylona jest ku południowi i zachodowi; w tę stronę biegną jej rzeki, tutaj wylewają się wody jej jezior. Takie położenie Finlandyi nie tylko ułatwiało wywóz produktów do przystani morskich, ale wogóle sprzyjało łączności duchowej z krajami cywilizowanymi, a w szczególności ze Szwecyą, która pierwsza założyła tu podwaliny cywilizacyi.

Finlandyę zamieszkują Finnowie i Szwedzi. Finnowie zjawili się prawdopodobnie około 800 r. po N. Chr., cofając się przed natarciem plemion słowiańskich na poprzednią ich ojczyznę, między Dźwiną Zachodnią a Wołgą. Obecnie zajmują oni prawie cały kraj, a ludność szwedzka skupiła się na wązkim pasie wzdłuż zatoki Fińskiej. Panującymi rysami charakterystycznymi Finnów są: niezwalczona, dumna, bierna siła, pokora, wytrwałość i jej odwrotna strona — upór; powolny, gruntowny, głęboki proces myślenia, stąd zwolna wybuchający, ale za to niepohamowany gniew, spokój w śmiertelnem niebezpieczeństwie, kiedy ono minęło, ostrożność, małomówność, przechodząca niekiedy w niepowstrzymany potok mowy, skłonność do wyczekiwania, odkładania, aby w następstwie śpieszyć się niepotrzebnie; oddanie się temu, co jest dawne i znane, i niechęć do nowości; poszanowanie obowiązku i prawa, ukochanie wolności, gościnność, uczciwość i głęboka dążność do prawdy wewnętrznej, ujawniająca się w szczerej, literalnej bojaźni Bożej. Finna łatwo poznać po jego skrytości, umiarkowaniu, braku nerwu towarzyskiego. Potrzeba wiele czasu, aby go rozgrzać i zdobyć sobie jego zaufanie, wtedy wszakże można liczyć na jego przyjaźń; pewien admirał mawiał: „trzeba Finna poczęstować petardą w kark, żeby go rozruszać," i rzeczywiście jego władze duchowe potrzebują bodźca z zewnątrz, aby się rozruszać. Ktoś ogłosił o Finnach takie zdanie: w domu wylegują się na piecu, zagranicą zaś pracują za trzech. Wreszcie ogólną ich właściwością jest pociąg do baśni, piosnek, zagadek tudzież skłonność do satyry.

Zdecydowawszy się Finlandyę przyłączyć do Rosyi, Cesarz Aleksander I zwołał w 1809 r. sejm w Borgo i w tymże roku nastąpiło Najwyższe Zatwierdzenie instytucyi „Rady rządzącej" (Conseil de régence), której projekt opracowała specyalna Komisya. Do

zakresu czynności rady wchodziło wszystko, co dotyczyło głównego zarządu, sądownictwa i gospodarstwa państwowego, z wyłączeniem spraw i rzeczy, co do których decyzya według prawa należała bezpośrednio do władzy najwyższej. Lubo przez ustanowienie sejmu położona została mocna podwalina pod cały ustrój kraju, wszakże w skutek różnych okoliczności od r. 1809 nie był on zwoływany. Dopiero w 1863 r. Aleksander II zwrócił uwagę na to, że mnóstwo szczególnie ważnych i mających wpływ na rozwój kraju spraw wymaga rozpatrzenia i współdziałania posłów, w następstwie czego otworzony został sejm w Helsingsforsie. Na sejm ten obowiązani byli stawić się rycerstwo i szlachta, z zachowaniem tego, co w tym względzie postanowiono w przepisach o stanie rycerskim w 1626 r., i w dodatku z 1778 r., przedstawiciele zaś innych stanów, zgodnie z faktycznymi przepisami, dotyczącymi reprezentantów sejmowych.

W ciągu z górą 50 lat prawa zasadnicze Finlandyi, zatwierdzone przez Aleksandra I, jakkolwiek nie były zmieniane, nie miały jednak zastosowania praktycznego. Przez cały ten czas naród fiński ani razu nie skorzystał z przysługującego mu prawa udziału w prawodawstwie. Nie było w tem żadnej obrazy konstytucyi, albowiem zwołanie sejmu zależało w zupełności od woli monarchy. Zresztą, ponieważ szerokiemi były pełnomocnictwa monarchy w stosunku do gospodarstwa państwowego i zarządu finansowego, przeto prawodawstwo mogło się w znacznym stopniu rozwijać i bez udziału reprezentacyi narodowej. Ogólne potrzeby kraju zaspakajane były za pośrednictwem dochodów zwyczajnych, a kwestye bieżące regulowano na drodze prawodawstwa ekonomicznego. Od czasu zwołania w r. 1863 sejmu w Helsingsforsie i ustanowienia peryodyczności zgromadzeń poselskich dziedzina prawodawstwa ekonomicznego znacznie się zmniejszyła, wiele kwestyi, odnoszących się do niej, przekazano rozpatrywaniu stanów, wszystkie zaś uchwały, wydane przy ich udziale, otrzymały moc praw, mogących być zmienianemi jedynie na drodze prawodawczej.

Reprezentacya narodowa w Finlandyi zachowała dotychczas postać stanową. Posłowie, którzy na sejmie reprezentują naród fiński, składają się ze stanów: rycerstwa i szlachty, duchowieństwa, mieszczan i włościan; stany te są resztą dawnego ustroju społecznego szwedzkiego i obecnie nie wyrażają istotnych stosunków socyalnych w Finlandyi. Skutkiem podziału reprezentacyi na cztery stany liczne klasy obywateli finlandzkich i wiele poważnych interesów nie mają swych obrońców, prace sejmowe wloką się ociężale i nie zawsze prowadzą do pomyślnych wyników. Co najważniejsza

zaś, taki stan rzeczy nie odpowiada wymaganiom współczesnego prawa państwowego, które wymaga, aby reprezentacya powstawała z ogólnych dla wszystkich klas wyborów. Dla Finlandyi przeszedł już czas, kiedy podział stanowy ze specyalnymi interesami każdego stanu cieszył się powodzeniem i uznaniem opinii publicznej, obecnie też pojęcie stanu straciło w świadomości powszechnej wszelkie znaczenie. Ustawa sejmowa z 1869 r. rozszerzyła znacznie prawa wyborcze wszystkich stanów, z wyjątkiem szlacheckiego, który i dotąd cieszył się obszernymi przywilejami. W stanie duchownym np. prawo udziału w wyborach rozszerzono na uniwersytet i na personel pedagogiczny, w mieszczańskim na wszystkich, opłacających podatki miejskie.

Pozbawiona prawa wyborczego ludność składa się z urzędników prywatnych, mieszkających na wsi nauczycieli ludowych, służby kościelnej, rzemieślników i kupców wiejskich, drobnych dzierżawców, rybaków, służących wiejskich i miejskich, robotników fabrycznych i najemników dziennych. Reprezentacya każdego stanu na odmiennych opiera się zasadach. W stanie szlacheckim z prawa udziału w sejmie bez wyborów korzysta każdy zapisany w księdze rycerstwa. W stanie duchownym arcybiskup i biskupi zasiadają w sejmie wskutek wezwania Cesarza; pozostali wybierani zostają przez duchowieństwo po dyecyzyach, przez nauczycieli i profesorów uniwersytetu, wreszcie przez nauczycieli średnich zakładów naukowych. W stanach mieszczańskim i włościańskim wybory także różnią się, albowiem w pierwszym są bezpośrednie, w drugim odbywają się za pośrednictwem elektorów. Głosy obliczają się według jednostek dochodowych lub według stopnia opodatkowania wyborcy na cele publiczne. Ostatnimi czasy prowadzi się w Finlandyi silna agitacya na rzecz zniesienia lub przynajmniej ograniczenia wieloliczebności głosów, przypadających na jednego wyborcę. Najradykalniejsza partya broni hasła: „jeden człowiek, jeden głos," umiarkowańsza zaś żąda ograniczenia liczby głosów do dziesięciu. Skutkiem wadliwego prawa wyborczego we wszystkich sejmach Finlandyi zasiadały osoby, wybrane mniejszością mieszkańców miast. Biedniejsza ludność jest też niezadowolona, gdy widzi, że zwycięstwo na wyborach zostaje po stronie nielicznych, ale zamożniejszych przeciwników. Posłowie pobierają dostateczne i przyzwoite utrzymanie, zwykle od 12 — 20 marek na dobę, oprócz zwrotu kosztów. Osoba deputowanego jest nietykalna. Posłowie stanowi zgromadzają się na wezwanie Cesarza przynajmniej co pięć lat, ale od 1882 r. sejmy zwoływane bywają co trzy lata. Stany zwoływane

bywają przez Cesarza na sejmy nadzwyczajne. Na sejmie nadzwyczajnym rozpatrywane bywają tylko te sprawy, dla których on został wezwany, albo które są komunikowane przez Cesarza. Czas trwania posiedzeń zwykłego sejmu określono na cztery miesiące, ale może być przedłużony lub skrócony stosownie do woli Monarchy.

Punkt ciężkości prac sejmowych spoczywa w komisyach, tworzonych z równej liczby reprezentantów każdego stanu. Na każdym zwykłym sejmie w ciągu 8 dni od jego otwarcia utworzone bywa pięć komisyi: 1) prawna, 2) gospodarcza, 3) skarbowa, 4) podatków nadzwyczajnych i 5) bankowa, ta ostatnia do rewizyi banku finlandzkiego. Jednomyślna zgoda wszystkich stanów potrzebna jest tylko w razach wyjątkowych, mianowicie, kiedy chodzi o wydanie, zmianę, wyjaśnienie lub zniesienie prawa zasadniczego. Takaż uchwała potrzebna jest i przy stanowieniu podatku nadzwyczajnego. Inne sprawy wymagają uchwały trzech stanów, w przeciwnym razie dany wniosek uważa się za odrzucony. Braki organizacyi reprezentacyi narodowej niejednokrotnie zwracały na siebie uwagę sejmu. Na ostatnim sejmie pięciu członków komisyi prawniczej wyraziło żądanie udzielenia prawa wyborczego wszystkim kobietom, odpowiadającym ustanowionym przez prawo warunkom. Kobiety, zdaniem tych członków, przeszły w Finlandyi niezbędną dla działalności politycznej szkołę przygotowawczą, korzystają bowiem od roku 1865 z prawa udziału w samorządzie gminnym wiejskim, a od roku 1873 i w miejskim. Opinia ta znalazła uznanie jedynie w stanie szlacheckim. Stan duchowny, nie wypowiadając się w zasadzie przeciwko projektowi, był jednak przeciwnym wszelkim zmianom w jego własnej organizacyi.

Po konstytucyi, a raczej po ustroju reprezentacyi narodowej, rozpatrzono w następnych rozdziałach treściwie, a gruntownie, administracyę krajową, która spoczywa w ręku ministra sekretarza stanu, generał-gubernatora i Senatu Cesarskiego. Samorząd miejscowy ześrodkowuje się w gminach miejskich i wiejskich. Urządzeń społecznych, ogarniających interesy większych obszarów, t. j. gubernii lub powiatów, w Finlandyi niema, lubo potrzeba ich odczuwana jest oddawna i na sejmie niejednokrotnie poruszano kwestyę organizacyi reprezentacyi gubernialnej lub powiatowej. Samorząd gminny miejski i wiejski zorganizowany został przez Cesarza Aleksandra II. Dawniej gmina wiejska w Finlandyi zlewała się z parafią. Sprawy publiczne, kościelne i świeckie, rozpatrywane były na zebraniu parafialnem, zwoływanem przez głównego pastora i zło-

żonem z właścicieli nieruchomości. Nowa organizacya udzieliła prawa uczestniczenia w zarządzie sprawami publicznemi w miastach wszystkim klasom ludności miejskiej, na wsi zaś oddzieliła sprawy świeckie od kościelnych i utworzyła gminę wiejską, terytoryalnie dostosowaną do parafii, ale posiadającą odrębne urządzenie i odrębną sferę działalności. Osobny roździał w książce został poświęcony sądownictwu, poczem skreślono bardzo interesująco ustrój kościelny i życie religijne Finlandyi.

Bogactwo treści, jakie się w książce, poświęconej Finlandyi, znajduje, dozwala jedynie na zaznaczenie najważniejszych i najciekawszych ustępów. Odnośnie też do spraw religijnych przytoczyć należy, że od r. 1870 położenie prawne kościoła luterańskiego w Finlandyi zmieniło się gruntownie. Zasada swobody religijnej zdobyła sobie prawo obywatelstwa, i odtąd kościół finlandzki stracił charakter państwowego i stał się narodowym, t. j. tym, do jakiego należy większość narodu. W każdym razie wolność religijna istnieje tylko do pewnych granic, niema bowiem prawa porzucania jednego wyznania, nie przechodząc na inne. W niektórych wypadkach więc następowały starcia, tak np. pewien młodzieniec nie mógł być przyjęty do uniwersytetu, bo nie był ochrzczony; ktoś inny musiał udać się do Danii dla wzięcia ślubu cywilnego.

Rozchody Finlandyi przedstawione są w budżecie na r. 1897 w sumie 58,274,629 marek. Z tego wydaje państwo rocznie na instytucye kształcące, oprócz wydatków na wykształcenie techniczne, około 6,560,000 marek, t. j. nieco więcej, niż 10% ogólnej sumy rozchodów. Tymczasem wydatki na wojsko wyniosły 6,423,085 m., nadzwyczajne zaś, z których najgłówniejszym był wydatek na nową broń dla wojska finlandzkiego, — 1,642,632 m. Tym sposobem ogólny wydatek na wojsko przekroczył nieco sumę 8 milionów marek, t. j. 13% ogólnej sumy. Niepodobna powziąć należytego wyobrażenia o ogólnem położeniu finansowem Finlandyi, jeżeli się nie weźmie pod uwagę środków pieniężnych miast i gmin wiejskich, które korzystają z dość dużej samodzielności i same troszczą się o pokrycie wydatków na administracyę i inne potrzeby. W miastach główne pozycye wydatków to: administracya, sądownictwo, straż ogniowa, oświata ludowa, i zdrowie publiczne. Gminy wiejskie wydatkują głównie na oświatę i na utrzymanie dróg i poczt. W ogóle autonomiczna gospodarka finansowa prowadzona jest bardzo roztropnie i umiejętnie.

Następne roździały przedstawiają nam przemysł i handel, rolnictwo i ludność wiejską ze wszystkimi jej podziałami i cechami

oryginalnemi. Sejm z r. 1897 przyjął projekt powyższego, chociaż nieobowiązkowego nauczania. Projekt ten oczekuje jeszcze sankcyi władzy wyższej. Mówiąc o ludności rolniczej, należy jeszcze zwrócić uwagę na środki, dążące do podniesienia rolnictwa i pracy ręcznej, i na rozszerzenie działalności kas oszczędnościowych przez zakładanie kas gminnych i pocztowych.

Dalej przedstawiono w książce zarys historyczno-społeczny Finlandyi i zwrócono uwagę na rozwijające się coraz silniej współzawodnictwo partyi fenomanów i swekomanów. Następnie dano udatny obraz życia publicznego w Finlandyi, przedstawiono rozwój prasy peryodycznej, nauki, przyczem nie zapomniano o uniwersytecie i studentach. Szkolnictwo doczekało się osobnego rożdziału, w którym zaznaczono, że oryginalną własność szkoły ludowej fińskiej stanowi nauczanie pracy ręcznej. Nie zapomniano także i o sztuce w Finlandyi, a ostatni rożdział poświęcony został walce z alkoholizmem i opiece nad ubogimi.

Jednem słowem, książka p. Koskowskiego o Finlandyi ogarnęła wszelkie strony życia politycznego, ekonomicznego, społecznego i duchowego Finlandyi. Autor umiejętnie przedstawił przeszłość z jej oryginalnemi stanowemi naleciałościami i jeszcze oryginalniejszą teraźniejszość, która się nie da ująć w żaden szablon zachodnio-europejskich teoryi, ale na każdym kierunku życia polityczno-społecznego chce wycisnąć swe oryginalne piętno.

A. R.

Prof. Franciszek Piekosiński. Heraldyka Polska wieków średnich, Kraków 1899 r.

Rozpoczynając poważną swą pracę od przedstawienia źródeł, prof. Piekosiński poświęcił przedewszystkiem uwagę Długosza rzeczy o Klejnotach Królestwa i rycerstwa polskiego. Pomimo jednak wielkiego znaczenia, jakie ma dla heraldyki średniowiecznej praca Długosza, dopiero Antoni Zygmunt Helcel, wydając w tomie drugim starożytnych prawa polskiego pomników zapiski sądowe, dotyczące wywodu i nagany szlachectwa, odkrył jakby inny świat, jakby inne o szlachectwie bogate źródło heraldyczne. Zachęcony tem powodzeniem prof. Ulanowski odbył skrzętne poszukiwania w Krakowie i Poznaniu, gdzie zebrał przeszło 2000 zapisek, stanowiących dla heraldyki średniowiecznej nieocenioną wartość.

Równocześnie z prof. Ulanowskim robił poszukiwania zapisek sądowych w archiwach w Radomiu i Warszawie Karol Potkański i odnalazł wprawdzie tylko 105 zapisek, ale w nich zawiera się dużo materyału pierwszorzędnego dla heraldyki średniowiecznej. Przyczynki szczuplejsze, tego samego przedmiotu dotyczące, znajdują się w księcia T. Lubomirskiego „Księdze ziemi Czerskiej", Liskego „Aktach ziemskich i grodzkich", Lekszyckiego „Die aeltesten polnischen Grodbücher" i Pawińskiego „Księgach sądowych łęczyckich." Wśród tych przyczynków ważne zajmuje miejsce prof. Łaguny wydawnictwo kilkudziesięciu zapisek sądowych ziemi sieradzkiej. Ale prócz tych źródeł, dla wszystkich dostępnych, jest jeszcze świat cały materyałów, ważnych dla heraldyki średniowiecznej. Są nimi przedewszystkiem średniowieczne pieczęcie szlachty polskiej, zworniki i tablice erekcyjne kościołów średniowiecznych, płyty nagrobkowe i t. p., których śmiało można liczyć tysiące, a które w drobnej cząstce opublikowane zostały.

Przy wydaniu kilku kodeksów dyplomatycznych dokumentów polskich średniowiecznych prof. Piekosiński miał sposobność mieć w ręku kilka tysięcy oryginalnych takich dokumentów, opatrzonych średniowiecznemi pieczęciami szlachty polskiej. Prócz tego autor pilną zwracał uwagę na barwy herbów. Wiadomo bowiem, że w heraldyce równą wartość z kształtem herbu mają jego barwy, nieraz nawet barwy używają się wprost zamiast herbu. Znajomość barw herbów naszych średniowiecznych, z różnych pochodząca źródeł, będzie nam w stanie wyjaśnić, czy i u nas ów zwyczaj heraldyki zachodnio-europejskiej, formowania odmian herbowych przez zmienianie barw, był w użyciu, lub nie. Otóż co do owych barw dzieło Długosza o Klejnotach ma pierwszorzędne znaczenie. Ale najstarszym pomnikiem takim są malowidła ścienne w klasztorze po-cysterskim w Lądzie, które pochodzą z XIV wieku, a przedstawiają 19 kolorowanych herbów szlachty polskiej. Drugim pomnikiem tego rodzaju jest wydana w Augsburgu w 1883 r. Kronika soboru Konstancyjskiego Ulryka Reychenthala, w której się znajduje kilkanaście kolorowanych szlacheckich herbów, pochodzących z r. 1413. Znajduje się jeszcze w bibliotece arsenału paryskiego rękopis marszałkowskiej roli Mikołaja z Brzezia Lanckorońskiego z 1461 r. Ta rola obejmuje aż 65 kolorowanych herbów, a z początku XVI w. znajduje się jeszcze drugi rękopis w arsenale w Paryżu, który podaje blizko półtorasta kolorowanych herbów.

Przejrzawszy krytycznie i z gruntowną znajomością rzeczy źródła, autor zastanowił się nad kwestyą, czy Długosz był heraldykiem, i odpowiedź na powyższe pytanie stanowiła pierwsze zadanie naukowej pracy. Dla uwidocznienia, w jakim stosunku zostają do siebie pojedyńcze znane rękopisy Klejnotów Długoszowych, dołączył autor autentyczny tekst tych Klejnotów, dodając nie tylko odmiany tekstu, w poszczególnych rękopisach zawarte, ale także i numery porządkowe, pod jakimi każdy herb w każdym rękopisie jest zawarty. Drugiem zadaniem pracy prof. Piekosińskiego było przedstawienie polskiej heraldyki średniowiecznej. Co do drugiego zadania, to sam autor tłómaczy się z dwu usterek, a mianowicie, że dał i za mało, i za dużo. Nie wciągnął bowiem do heraldyki średniowiecznej polskiej tych wszystkich znanych herbów polskich, które, z tematów runicznych pochodząc, do heraldyki polskiej średniowiecznej należą. Dla uzupełnienia wszelako heraldyki średniowiecznej autor dołączył szereg pierwotnych herbów runicznych w tej formie, w jakiej one istniały w chwili swego powstania w dobie pogańskiej.

Za wiele zaś podał autor w pracy niniejszej o tyle, o ile przekroczył rok 1506, jako powszechnie przyjęty przez naszych historyków koniec wieków średnich, i, o ile wciągnął do swej pracy znaczny poczet herbów, już z XVI, a nawet z XVII wieku pochodzących, co nie powinno było nastąpić. Tłómacząc się z tego przewinienia, o które się zresztą sam obwinił, autor oświadcza, że ograniczył się co do tych herbów z XVI i XVII wieku, które na tematach runicznych są oparte, i których pierwowzory niewątpliwie jeszcze z doby pogańskiej pochodzą, a odmiany ich, zjawiające się już w wieku XVII, łatwo z wieku XVI jeszcze pochodzić mogą, tembardziej, że formowanie się odmian herbów runicznych w samej Polsce prawdopodobnie już w pierwszej połowie wieku XIV ustało.

Praca prof. Piekosińskiego, heraldyi średniowiecznej polskiej poświęcona, jest studyum naukowem w całem znaczeniu tego słowa. Znajomość krytyczna źródeł i gruntowność w objaśnieniu ich treści nadają powyższej pracy niepospolitą powagę, tak, że wybitne zajmie ona miejsce w rzędzie tych prac, które poświęcone zostały pochodzeniu i historyi rycerstwa polskiego.

A. R.

Zenker E. V. Die Gesellschaft. I Band. Natürliche Entwicklungsgeschichte der Gesellschaft, Berlin, Reimer, 1900 (str. 232). Cena m. 5.

Autor, wykształcony publicysta wiedeński, przystępuje w niniejszem dziele do zbudowania nowego systemu socyologicznego. Zamierza on mianowicie (str. 11) „dać wykład ogólny dziejów i praw społeczeństwa ludzkiego". Takie oświadczenie znajdujemy w każdym mniej więcej podręczniku socyologii, — nic ono nam nie mówi, kto zacz jest autor, jaką nową samoistną, samorzutną wnosi cegiełkę do gmachu, który się buduje od lat kilkudziesięciu, a który — jak dowiodły tego chociażby debaty na przedostatnim kongresie socyologicznym w Paryżu — nawet u samego spodu fundamentów swoich (kwestye teoretyczne prawne, metodologia) nie jest jeszcze bynajmiej wykończony. Niema nawet dziś jeszcze widoków żadnych, aby można było w najbliższej przyszłości pewną ilość zasad najbardziej podstawowych, elementarnych uznać za „żelazny inwentarz" socyologii. A wczytując się w pokaźną ilość tomów, w których tytułach znajdujemy wyraz „socyologia", powtarzamy niejednokrotnie, zniechęceni jałowością i nienaukowością wysiłków: „quot capita, tot sensus", — ilu socyologów tyle socyologii... Oczywiście nie może być mowy o jakiejkolwiekbądź umiejętności tam, gdzie czynnik podmiotowości w tak znacznym przeważa stopniu. I, jak gdzieindziej, tak i tutaj, jedna tylko droga prowadzić może do wyjścia z zaczarowanego koła ogólników, przypuszczeń, domniemań, zarozumiałości i frazeologii: monograficzne, dokładne, ostateczne zbadanie instytucyi społecznych i nagromadzenie pewnego, wiarogodnego, sprawdzonego materyału indukcyjnego. Żadnej nie ulega wątpliwości, żeśmy już na tę drogę wstąpili. Kto kiedykolwiek miał w ręku badania amerykańskie, ogłaszane przez Instytucyę Smithona (Smithonian Institution), prace socyologów-etnografów amerykańskich Morgana, Powella, Dorsey'a, Masona i inn., albo znakomite studya Kubarego, albo prace angielskie (Fison, Houitt i inn.), niemieckie (Kohler), holenderski (Wilken) — ten wie, że z czasem dzisiejszy „beznadziejny" stan pracy naukowej w dziedzinie umiejętności społecznych zmienić się musi. Z drugiej strony wie zarówno dobrze, że ta oczekiwana, błogosławiona chwila nastąpi wtedy dopiero, kiedy materyał ostatecznie zebranym, sprawdzonym, krytycznie skomentowanym zostanie.—Rozumie, o ile się zdaje, to wszystko pan Zenker. Sądząc z ostatniego ustępu przedmowy, nie przypisuje on swej pracy, na kilka obliczonej tomów, innego znaczenia, jak

przejściowe. Materyał gromadzi się więc, napływają nowe dane, często przeczące dawnym przyjętym albo uznanym przez niektórych badaczy hypotezom. Otóż dobrze jest materyał ten tymczasowo zasegregować, w odpowiednich rubrykach ułożyć, a nawet możliwem jest szerszą publiczność w odpowiedniej formie z nim zapoznać. Skutkiem tego książka pana Zenkera ma znaczenie popularyzacyjne; nie idzie bynajmniej w zawody z wielkimi systematami socyologicznymi Spencera albo Ward'a.

Tak I tom obejmuje dwie części, zatytułowane: 1) „Składniki rozwoju społecznego", (Społeczeństwa zwierzęce, Pra-historya społeczna człowieka, Gospodarstwo pierwotne, Pokrewieństwo, Władztwo, Ustrój rodowy); 2) „Rozwój polityczny", (Stosunek wzajemny grup społecznych, zasada walki, podział pracy; powstawanie klas; pierwotne związki polityczne. Handel. Formy rozwoju politycznego. Klasy panujące. Szlachta. Kapłani. Plutokracya. Centralizacya władzy. Despotya. Republika i parlamentaryzm).

Taka jest treść dzieła w ogólnych konturach. Notatka niniejsza ma charakter bibliograficzny, a nie krytyczny, i dlatego na kilku tylko powyższych uwagach poprzestać musimy, jakkolwiek w bardzo wielu miejscach nie moglibyśmy się na poglądy autora zgodzić. — Forma zewnętrzna wykładu jest przejrzysta, bardzo lekka.

S. P—r.

Stefan Żeromski. Ludzie bezdomni, powieść, tom I i II, Warszawa, nakład Bronisława Natansona, 1900, skład główny w księgarni Jana Fiszera.

Dwa tomiki „Opowiadań" i „Utworów powieściowych" w krótkim czasie zjednały Żeromskiemu szeroką popularność w społeczeństwie, które upatruje w nim jedną z najdzielniejszych sił w gronie naszych „najmłodszych".

Popularność bez wątpienia zasłużona. W obrazkach, składających się na te dwa zbiorki, są rzeczy, nie powiem, słabsze, lecz różnorodne. Ale we wszystkich niemal panuje nastrój tak głębokiego smutku i żalu, smutku nad nędzą ludzką i żalu za nieziszczalnemi marzeniami młodości, że odrazu zwróciły uwagę czytelników na młodego autora.

Bo nie zajmująca fabuła, która w utworach Żeromskiego tak podrzędną odgrywa rolę, nie kunsztowność formy, na którą się wcale nie sili, nie plastyka postaci, które majaczą się zazwyczaj, jak

mroczne cienie, zarówno w „Opowiadaniach", jak i w „Utworach powieściowych", nie barwność opisów natury, chociaż w nich nasz autor celuje, ale coś zgoła innego jest owym magnesem tajemniczym, który mimowoli przykuwa serce czytelnika do utworów Żeromskiego. Tą siłą nieprzepartą jest *uczucie*, inne może nieco od tego, w imię którego nasz romantyzm podniósł chorągiew buntu przeciw wszechwładztwu praktycznego *rozumu*; z wielkich poetów naszych treścią tego uczucia współcześni pisarze najbardziej zbliżają się do Krasińskiego, który przez usta Anioła-Stróża nawoływał bohatera „Nieboskiej komedyi", hr. Henryka: „schorzałych, zgłodniałych, rozpaczających pokochaj bliźnich twoich, biednych bliźnich twoich" — bo „błogosławiony pośród stworzeń, kto ma serce — on jeszcze zbawion być może".

Zbawion? o nie! chyba potępiony, wyklęty przez wszystkich żyjących, ścigany od domu do domu, wieczny tułacz na ziemskim padole, samotny i bezdomny!

Takim jest rozpaczliwy wynik ostatniego utworu Żeromskiego, dwutomowej „powieści" p. t. „Ludzie bezdomni." Co znaczy ów tytuł? i kto są ci „ludzie bezdomni", skazani na dożywotnią pielgrzymkę po „tej nizkiej ziemi?" Jeden z bohaterów powieści słowami Słowackiego określa tak klątwę swego żywota:

Żem nie znał prawie rodzinnego domu,
Żem był, jak pielgrzym, co się w drodze trudzi
Przy blaskach gromu...

W tem leży napozór rozwiązanie zagadki. „Bezdomni" to ci szlachetni ideologowie, co, napróżno walcząc ze złem, padają zniechęceni, co w tem życiu egoistycznych zabiegów i trosk o chleb powszedni — dla siebie są istotami jakby z innego świata, co w swych porywach idealnych o prawdę rozbijają czoło o mur obojętności, co, głosząc miłość ku „schorzałym, zgłodniałym i rozpaczającym", spotykają jeżeli nie brutalny opór ze strony „możnych tego świata", to co najmniej pogardliwy uśmiech i ściągnięcie ramion, mające w najlepszym razie oznaczać: „Waryat!"

„Bezdomnym" jest w powieści dr. Judym, syn warszawskiego „motłochu", jak mówią wzgardliwie ci, co się szczycą stanowiskiem społecznem, a za nimi powtarza i on z kłującą ironią w sercu; przypadek czy los pozwolił mu zdobyć wiedzę, której pragnie użyć na dobro cierpiącej ludzkości—daremnie; „bezdomną" jest panna Joanna, sierota, nauczycielka, która nie ma już ani jednego serca kocha-

jącego na ziemi, a której dziennik, zamykający tom I, śmiało może stanąć w jednym rzędzie z najlepszymi naszymi utworami w tym rodzaju, jak „Bez dogmatu" lub pamiętnik subjekta w „Lalce"; „bezdomnym" wreszcie ów inżynier Korzecki, który, zniechęcony ostatecznie do bezowocnych usiłowań, przesycony goryczą do ostatniej komórki mózgowej, znalazł ukojenie — w lufie pistoletu.

Ale nie na tem koniec. Ostatni utwór Żeromskiego ma pozatem głębsze i szersze znaczenie. Nie tylko Judym, nie tylko Joasia, nie tylko Korzecki należą do szeregu „bezdomnych"; imię ich legion, a liczba — tyle, co łez niedoli. To nie tylko brat Judyma, wyrobnik, fatalizmem głodu pędzony z Warszawy do Szwajcaryi, ze Szwajcaryi do Ameryki, a z Ameryki już Bóg wie dokąd; to nie tylko suchotnica w ostatnim stadyum choroby („Asperges me..."); to nie tylko robotnicy fabryczni, pracujący w zabójczych dla organizmu warunkach; nie tylko mieszkańcy zatęchłych podwórek warszawskich („W pocie czoła"), lub „czworaków" w zakładzie kąpielowym w Cisach, nad stawami, pełnymi cuchnącej wody, siejącej zarazki malaryi wśród dzieci; nie tylko górnicy w Zagłębiu, narażeni na śmierć co chwila („Glikauf!") — to całe miliony nędzarzy, oddanych na pastwę nędzy i rozpuście; bez stałego dachu nad głową, bez ciepłej strawy po całych tygodniach w ustach, zdziczeni i ogłupieni niedostatkiem,—ci najbardziej zasługują na miano „bezdomnych."

A w sposobie, w jaki Żeromski kreśli te twarde warunki życia, tyle serca, tyle wielkiego *współczucia*, płynącego z głębi *przekonania*, a że na to wszystko nic poradzić nie można — tyle bezbrzeżnego smutku, że z każdego wiersza, zda się, nie łzy, lecz krew tryska. Tę stronę twórczości widzieliśmy już w „Opowiadaniach" i „Utworach": w obrazkach: „Zmierzch", „Zapomnienie", „Niedziela", „Ananke" w pierwszym z tych zbiorków, „Promień" i „O żołnierzu tułaczu" w drugim; ale nigdzie uczucie to tak żywem i wielkiem nie przemówiło słowem.

Porównywając wogóle dawne utwory Żeromskiego z „Ludźmi bezdomnymi", dochodzimy do wniosku, że talent młodego autora zmężniał i skupił się. Można wprawdzie odnaleźć „bezdomnych" i w „Opowiadaniach" i w „Utworach": „Doktór Piotr", a zwłaszcza Raduski w „Promieniu" łudząco przypominają d-ra Judyma; Joasia przywodzi na myśl „Siłaczkę". Ale takiej jednolitości nie widzieliśmy dotąd u Żeromskiego; jeden za drugim idą obrazki, szare i dżdżyste, jak dnie jesienne, czasem smutne, jak zawodzenie wiatru, czasem straszne, jak zamięć w noc zimową. „Ta łza co z oczu

twoich spłynie...", rozdzierający serce obraz rozstania się brata Judymowego z żoną i dziećmi, „Gdzie oczy poniosą" lub końcowa „Rozdarta sosna" niezgłębionym swym smutkiem wypalają się na długo w pamięci czytelnika. Tylko „Swawolny Dyzio" swymi psimi figlami odskakuje gwałtownie od tła ogólnego, przypominając nastrojem „Karę" w „Utworach powieściowych", chociaż w mniej karykaturalnych konturach.

Potrafił również Żeromski uniknąć przykrego realizmu, który tylokrotnie wstrząsał nerwami czytelników w poprzednich utworach; ani „Tabu" ze wstrętną postacią waryata o zwierzęcych instyktach, ani „Promień" z dotkniętym nosacizną doktorem Poziemskim nie znajdą tu miejsca. To tylko, co było tam najczystszem, najszlachetniejszem, najbardziej przemawiającem do duszy, złożyło się na „Bezdomnych."

Tylko na kompozycyę wielkiej powieści Żeromski zdobyć się nie zdołał. Zauważyliśmy już w „Promieniu" ten brak organiczny, który nie pozwolił autorowi skupić się w pewnej, zamkniętej akcyi i dążyć prostą drogą, wysnutą z przesłanek logicznych. Mylnie nazwał Żeromski „Bezdomnych" powieścią; to raczej szereg obrazków, nie związanych nawet jednością bohatera, bo w wielu dr. Judym żadnej nie odgrywa roli, ale jedynie jednością tonu i tendencyi; o żadnej spoistości, architektonice, kunsztownem zadzierzgnięciu lub rozwiązaniu akcyi nie może tu być mowy; oddzielne części „Bezdomnych" to bezładnie ugrupowane plamy ciemne na obrazie „piekła dni teraźniejszych."

Przyczynia się do tego w znacznej mierze rodzaj umysłowości i talentu Żeromskiego. Niejednokrotnie robi on wrażenie człowieka w najwyższym stopniu podniecenia nerwowego, dotkniętego okrutną katastrofą lub w jej oczekiwaniu. Pragnąłby on skupić myśli na przedmiocie, najbardziej go w danej chwili obchodzącym, lecz one pierzchają mimo jego wiedzy na wszystkie strony, wyłamując się z pod surowej logiki; staje w oknie i myśli — o czemże myśli? ach! tak, ten liść zżółkły na drzewie jesiennem to właśnie *to* ten liść — rozpaczliwie trzepocze się na obnażonej gałęzi, mocuje, się z wiatrem, w męce konania konwulsyjnie wytężając włókna szypułki — spadnie, czy nie spadnie? to pytanie, na którem zebrać trzeba całą uwagę... cóż znowu! nie o liść tu chodzi; ale jak zabawnie huśta się wrona na kołysanej wiatrem gałęzi. I znowu nie *to*... nieznośnie! Ludwik XVI, jadąc na miejsce stracenia, przyglądał się myłkom ortograficznym na szyldach; Marya Antonina, jeśli wierzyć Dumasowi, w takiej samej chwili przykuła uwagę do swego

maleńkiego pieska pokojowego. Otóż takich liści zwiędłych, szyldów nieortograficznych i piesków pełno w powieściach i opowiadaniach Żeromskiego. Nagle wysuwa się jakiś szczegół trzeciorzędny z całą natarczywością natręta, rośnie, olbrzymieje w oczach, jak ów dyabeł w szklanicy Twardowskiego — i zdziwiony czytelnik pyta sam siebie, czy to *to*? czy o *to* chodzi? Czy w „Promieniu" rodzina Poziemskich, wymierająca na nosaciznę, to właśnie to? Ależ nie, *tamto* zostało na uboczu, a figlarny dyabełek przesłonił sobą to, co w samej rzeczy jest kręgosłupem akcyi. I w „Bezdomnych" mamy rażące przykłady takiego nastroju autora: np. w obrazie wnętrza kopalni węgla, kiedy autor przedstawił nam całą grozę życia w podziemiach, wśród niebezpieczeństw wybuchu gazów, zawalenia się stropu, wtem rzuca okiem na cherlawego konia, ciągnącego ponad siły wagony z węglem, i szkapa wyrasta do rozmiarów symbolu... Więc o to mu chodziło? bynajmniej, przecież to wcale nie to!

Na karb tych nierówności w sposobie tworzenia należy położyć nie rozwiązanie, lecz raczej zakończenie powieści. Judym rozstaje się ze swą ukochaną Joasią, bo, jak powiada, wskazując jej obrazy nędzy rozpaczliwej dokoła, „nie mogę mieć ani ojca, ani matki, ani żony, ani jednej rzeczy, którąbym przycisnął do serca z miłością, dopóki z oblicza ziemi nie znikną te podłe zmory. Muszę wyrzec się szczęścia. ***Muszę być sam jeden*** (jak bohaterowie Ibsena, których w wielu razach przypomina, np. „Wroga Ludu"). Żeby obok mnie nikt nie był, nikt mnie nie trzymał!"

Ideowo rozumiemy wybornie intencye autora: tacy ludzie, jak dr. Judym, całe życie muszą być „bezdomni", choćby nawet założyli sobie ognisko domowe, ale *faktycznie* postępowanie jego jest niczem nie umotywowane. W podobny sposób dr. Piotr rozstawał się ze swoim starym ojcem w pierwszem „Opowiadaniu", ale ten miał wyraźnie wskazaną sobie drogę przez konieczność losu i — sumienie, dr. Judyma zaś nic nie zmuszało do takiego wallenrodyzmu, Gdyby autor postawił go w takie warunki, że stworzenie osobistego szczęścia szłoby wspak z jego ideami i z możnością urzeczywistnienia dobra ogólnego, podziwialibyśmy hart jego duszy i siłę poświęcenia.

A wreszcie, gdzież w powieści szukać „tych podłych zmor" współczesnego świata? Przedstawił je Reymont w „Ziemi obiecacanej" jaskrawie, lecz zupełnie objektywnie, jako dokumenty życiowe, bez względu na ich wartość etyczną; u Żeromskiego widzimy je więcej w odbiciu — w smutnej duszy autora, niż w rzeczywistości. I podwórza warszawskie, i fabryki, i malarya, i Zagłębie —

to wszystko jeszcze nie to. Wybitny subjektywizm — to podstawa twórczości Żeromskiego.

Ten subjektywizm okazuje się aż nadto wyraźnie w opisach natury, które zawsze dostrajają się do ogólnego tonu, jakby ta przyroda miała duszę, czułą na niedole człowieczeństwa. Ta łączność i jakby serdeczna wymiana uczuć między naturą a jej, o gorzka ironio! arcytworem potęguje niepospolite wrażenie, jakie „Ludzie bezdomni" na długo pozostawiają w sercu „czułego słuchacza."

H. Galle.

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

Kazimierz Wróblewski. **Bronisław Trentowski.** (1807 — 1869). Szkic biograficzny. W trzydziestą rocznicę zgonu autora „Chowanny" napisał... Lwów, nakładem Towarzystwa Wydawniczego, 1899, in 8⁰ min., str. 87. Kiedy w roku 1898 zaprowadzono w uniwersytetach austryackich seminarya filozoficzne, prof. Skórski, z którego seminaryum przytoczona rozprawa wyszła, postawił na pierwszym punkcie badania z zakresu filozofii polskiej. I oto, po pierwszym roku istnienia seminaryum, ukazuje się w druku rozprawa Wróblewskiego o Bronisławie Trentowskim. Ujrzał światło dzienne nasz filozof w Kopcach w powiecie Siedleckim 21 stycznia 1807 roku. Nauki pobierał w szkole wojewódzkiej w Łukowie, dokąd się przenieśli jego rodzice. Zamiłowanie do filologii zniewoliło go do zapisania się na wydział filologiczny uniwersytetu warszawskiego w r. 1826. Równocześnie zajmował się filozofią i teraz przeczytał Platona i Arystotelesa, Kartezyusza, Bacona i innych. Po ukończeniu nauk ze stopniem magistra został nauczycielem szkoły wydziałowej w Szczuczynie, gdzie uczył literatury polskiej, historyi polskiej i powszechnej oraz filologii klasycznej. Tutaj też dokonał przekładu „Narzeczonej z Messyny" i „Don Carlosa". Tymczasem powstanie listopadowe, w którem wziął udział, jako szeregowiec, zmusiło go do udania się na emigracyę. Udał się tedy najprzód do Królewca, gdzie słuchał w uniwersytecie wykładów Herberta, cały rok 1832/1833 przebywał w Jenie i Heidelbergu, poczem w roku 1833 — 1834 uczęszczał na prelekcye uniwersyteckie we Fryburgu badeńskim, tutaj też w r. 1836 uzyskał stopień doktora filozofii. W r. 1837 ogłosił dzieło p. t. „Grundlage der universellen Philosophie", a następnie rozprawę „de vita hominis aeterna", na podstawie której uzyskał prawo wykładania na uniwersytecie w charakterze docenta. Tymczasem widocznie w chęci pozyskania życzli-

wości Niemców wygłosił w dziele p. t. „Vorstudien” zdanie, iż czuje się duszą całą Niemcem, co oburzyło na niego cały kraj. Niebawem Trentowski zaczął pisać po polsku, artykuły zaś swoje ogłaszał licznie w pismach poznańskich, a w roku 1842 wydał obszerniejsze dzieło p. n. „Chowanna“, ktore zawiera mnóstwo nowych terminów filozoficznych. W roku 1846 nawiązał Trentowski stosunki z Krasińskim, który zapewnił mu byt materyalny. Od tego też czasu oprócz dwutomowej „Myślini” ukazuje się całe mnóstwo prac Trentowskiego, traktujących bądź o filozoficznych zagadnieniach, bądź też o sprawach aktualnych, jakie zajmowały umysły emigracyi polskiej; te ostatnie nawet zaczęły przeważać. W roku 1848 Trentowski w Krakowie zaczyna wykłady treści politycznej, które niedługo trwały, bo rząd wydalił filozofa z kraju. Odtąd też zaczął prowadzić życie w kółku rodzinnem, przeniósłszy się napowrót do Fryburga. Rok 1859 przyniósł straszny cios — Krasiński, ten najżyczliwszy przyjaciel Trentowskiego, zeszedł do grobu. Ze zgonem jego zabrakło podpory materyalnej, to też Trentowski wyjechał do Paryża, ażeby wystarać się o zajęcie. Niestety zajęcia odpowiedniego nie znalazł, powrócił do Fryburga chory i znękany. Mimo to pracował jeszcze nad dziełem p.t. „Panteon wiedzy ludzkiej”, które w roku 1861 wykończył, i nad rzeczą o wolnomularstwie. Tak gasł powoli, aż go śmierć zabrała 16 czerwca trzydzieści lat temu. O zgonie jego nikt się nie odezwał, w rok później dopiero napotykamy wzmiankę o nim w „Tygodniku literackim.” Szkic p. Wróblewskiego ma nie tylko tę zasługę, że zebrał wszystkie znane dotąd dane o Trentowskim, które, porozrzucane po czasopismach, wymagły wiele czasu i trudów około ich odnalezienia, lecz i tę także, że wiele fałszywych dat usunął, a nadto sięgnął po materyały, dotąd nieznane, np. spis wykładów, mianych przez Trentowskiego w uniwersytecie Fryburskim. Życzyćby należało, ażeby seminarya filozoficzne uniwersytetów galicyjskich coraz więcej wydawały prac z zakresu historyi filozofii polskiej, tak sumiennych, jak ta właśnie.

Stanisław Zdziarski.

Ludwik Gumplowicz. **Socyologiczne pojmowanie historyi.** Odbitka z „Przeglądu Filozoficznego”, Warszawa 1899. Str. 18 in 8°. Niema bodaj wrzędzie nauk tak upośledzonej, jak historya; niektórzy nawet wcale nie przyznają jej miana nauki. I nic dziwnego. To stanowisko, na jakiem się dotychczas znajdowała, a w znacznej mierze i dzisiaj się znajduje t. zw. historya, nie daje jej nawet prawa do ubiegania się o zaszczytny tytuł „nauki.” — Za nielicznym wyjątkiem kilku lub kilkunastu autorów, moglibyśmy śmiało, biorąc do ręki jedną z niezliczonych książek z napisem „Historya”, powiedzieć, że znajdziemy wewnątrz mniej lub więcej barwne opisy wojen, bitew; legiony imion przeróżnych królów, wodzów, bohaterów; szeregi dat i t. p. Jeśli spytamy jednak, co nam te wszystkie wiadomości dały, czyśmy się choć o krok w rozumieniu dziejów ludzkości i praw, rządzących niemi, posunęli,—odpowiedź będzie prze-

cząca. Czyż więc może *taka* historya nazywać się nauką? Chyba nie. Nauka istotna bada, odkrywa prawdy i prawa, leżące w osnowie badanych zjawisk, a nie zabawia się anegdotami w rodzaju przytoczonej przez Gumplowicza: „Amenophis był bardzo mądry człowiek i waleczny, pobił Asyryjczyków; kochał on także swój naród i kazał kopać kanały wzdłuż Nilu i t. d." Ażeby stać się nauką, musi historya wkroczyć na bardziej rzeczową, drogę, sięgnąć głębiej, do jądra życia ludzkości. A taką, według Gumplowicza, może być tylko historya, pojmowana socyologicznie, t. j. taka, któraby uważała wszystkie procesy, fakty i zjawiska dziejowe za wynik „współdziałania (czyli raczej przeciwdziałania) conajmniej dwu grup społecznych", za wynik antagonizmu tych grup—i, jako takie, badała je. Mniejsza o to, co było przyczyną tego antagonizmu, wystarcza sam fakt jego istnienia. „Czy rewolucya francuska wybuchła wskutek teoryi encyklopedystów, czy była skutkiem nędzy i głodu ludu", — dość, że była. Taki punkt widzenia nie jest ani materyalistyczny, ani idealistyczny, lecz socyologiczny. Dowiódłszy, że jest on jedynie możliwy, stara się autor z niego objaśnić niektóre zjawiska społeczno-dziejowe z zupełnem powodzeniem. Dalej wykazuje przewagę tego ostatniego pojmowania historyi nad materyalistycznem, jako obszerniejszego, przyjmuje natomiast całkowicie teoryę materyalizmu dziejowego tam, gdzie chodzi o wykrycie przyczyn antagonizmu społecznego. Resztę pracy poświęca krytyce historyi idealistyczno-bohatersko-powieściowej, nie mającej nic wspólnego z nauką, jako taką. W 18 stronicach zawarł Gumplowicz wiele myśli, prawdziwych i niewątpliwie usprawiedliwionych.

W. M.

Adolf Dygasiński. **Muchy**, szkic z natury — **Sen**, fantazya. Warszawa, nakład Adolfa Szredera, skład główny w księgarni St. J. Zaleskiego i S-ki, 1900 12°, str. 84 + 18. Pierwsza z tych nowelek już samym tytułem budzi żywsze zainteresowanie. Dygasiński życiu zwierząt przypatrywał się z taką uwagą i bystrością i odtworzył je tak znakomicie, dał całą galeryę typów zwierzęcych: wilków, psów, zajęcy, wróbli, że i „muchy" pod jego piórem w tej galeryi powinny zająć niepoślednie miejsce. I tak się też stało. Życie, obyczaje, nałogi, stosunki z ludźmi tych sześcionożnych szkodników zostały tu odmalowane wiernie i żywo. Ale na tem treść nowelek nie ogranicza się bynajmniej. „Muchy" to nie tylko owady z rodzaju *musca*, ale także symbole, symbole trosk i ciężarów życiowych, które tak są dokuczliwe, a od których odpędzić się niepodobna. Przekonał się o tem po raz pierwszy w życiu bohater niniejszego opowiadania, Szymek Bujański, zobaczywszy, jak jego stary nauczyciel, złamany życiem i nadaremną walką z „muchami," pada pod brzemieniem melancholii. A i późniejsze życie dało mu tego dowodów niemało. Śmierć ojca, przerwa, jaka wskutek tego nastąpiła w nauce pana Szymona, kłopoty finansowe, niedobrane małżeństwo, kłótnie między świekrą a synową, które zakończyły się powrotem

„młodszej pani” do matki, wyrugowanie z rodzinnej wioski, poszukiwanie pracy na miejskim bruku bez żadnego uzdolnienia fachowego i t. d., i t. d.—to wszystko „muchy”, jedna natarczywsza i nieznośniejsza od drugiej. Nie dziw więc, że pan Szymon wreszcie zapałał ku owym „trębaczom piekła” taką samą nienawiścią gorącą, jaka zdawała mu się kiedyś zupełnie niezrozumiałą u „pana profesora”. Tylko tego, komu symboliczne muchy dokuczyły, muchy rzeczywiste mogą pozbawić snu i spokoju; człowiek szczęśliwy, wolny od trosk i kłopotów życiowych, nie spostrzeże nawet ich obecności i spać będzie mimo najzaciętszego bzykania. Nowelkę okrasza ton łagodnej, bynajmniej nie cierpkiej ironii, to uczucie, które pozwala człowiekowi uśmiechać się nad własną niedolą. Ta ironia jest tonem zasadniczym drugiej nowelki p. t. „Sen”; to już nie szkic z życia, lecz „fantazya”, i jako taka, mniej się udała autorowi, który w bezpretensyonalnych obrazkach celuje. Bohaterowi, czy raczej autorowi, śni się, że się znajduje pod sądem, że sądzą go przyjaciele i wrogowie, skazują na śmierć; wyrok ulega niezwłocznemu wykonaniu, głowa spada pod mieczem kata. Wszystko to jednak, mimo szczerego uczucia żalu do życia i ludzi, mimo gęsto rozsianych uwag filozoficzno-życiowych, nie robi głębszego wrażenia i nikogo też wzruszyć nie zdoła.

H. G.



Bibliografia.



1. A. Czasopisma. **Architekt,** nowe pismo poświęcone sprawom architektury, budownictwa i przemysłu artystycznego, pojawi się w Krakowie z początkiem kwietnia b. r. pod redakcyą W. Ekielskiego. Miesięcznik ten wychodzić będzie staraniem krakowskiego Tow. Technicznego, obejmować będzie wszystkie sprawy, tyczące się sztuki budowania. Szereg starannie wykonanych tablic światłodrukowych da poznać dzieła naszych budowniczych, dalej dzieła tak dzielnie rozwijającego się u nas przemysłu artystycznego; wreszcie szereg zdjęć pomników budownictwa zprzeszłości zapełni dotkliwą na tem polu lukę, w artykułach zaś pomieszczone będą wiadomości z ruchu budowlanego i przemysłowego artystycznego, a wreszcie wiadomości, odnoszące się do konserwacyi pomników przeszłości.

= **Biblioteka Warszawska** (zeszyt lutowy): A. Brueckner „Słowianie i Niemcy“, St. Tarnowski „Szujski, jako poeta“, Stan. Koszutski „Przemysł w Królestwie Polskiem: I. Tkactwo, II. Przetwory roślinne“, E. Lipnicki „Polacy-ministrowie w Austryi (od Gołuchowskiego do Gołuchowskiego“), Ant. Potocki „Wrażenia literackie: „O czującem widzeniu“ Żeromskiego“.

= W Krakowie zaczęło wychodzić pod redakcyą prof. Fr. Xawerego Fiercha **Czasopismo Prawnicze i Ekonomiczne** (prenumerata roczna wynosi bez przesyłki pocztowej 8 koron, z przesyłką 9 koron = 4 ruble = 8 marek); zeszyt 1—2 zawiera: prof. d-ra Fr. Zolla Sen. „O naukowem stanowisku prawa rzymskiego przy zaprowadzeniu powszechnego kodeksu cywilnego w Niemczech“, prof. d-ra E. Krzy-

muskiego „Determinizm i poczytanie przestępstw w świetle najnowszych badań", prof. d-ra Fr. Zolla Jun. „O warantach rolniczych", prof. d-ra J. Rosenblatta „Reforma prawa prasowego" i inn.

= **Eos,** czasopismo filologiczne, rocznik V zeszyt 2: M. Jezienicki „Kwestya platońska w świetle najnowszych badań Winc. Lutosławskiego", A. Danysz „Teorya pedagogiczna Kwintyliana", St. Witkowski „O uwzględnianiu archeologii klasycznej w szkołach średnich", Aleks. Radecki „O środkach poglądowych do nauki filologii klasycznej w gimnazyum".

= **Muzeum,** czasopismo Towarzystwa nauczycieli (Lwów), zeszyt 2 z 1900 r. E. Dworski „Reforma szkół średnich w Niemczech", dr. K. Nitzch „Ile mamy konjugacyi w języku polskim?", dr. J. Leciejewski „Ile mamy konjugacyi w języku polskim?"

= **Przegląd Polski** (zeszyt marcowy): Teresa z Potockich Wodzicka „Krystyna, królowa Szwedzka", Adolf Strzelecki „Karty z życia Chopina", dr. Józef Rostafiński „Henryk Jordan. Z powodu 30-ej rocznicy doktoryzacyi".

= **Przegląd Powszechny** (zeszyt marcowy): ks. St. Załęski „Nawrócenie się królewicza Fryderyka Augusta 1700 — 1720", prof. Ant. Mazanowski „Młoda Polska w powieści i poezyi", ks. Jan Morawski „Świętych Obcowanie", ks. S. Kobyłecki „Filozofia ;wolnych dusz".

= **Przewodnik Naukowy i Literacki** (luty): D. Zaleski „Korespondencya J. B. Zaleskiego", Wojc. Dzieduszycki „Historya malarstwa na Północy i w Hiszpanii", ks. Jan Sygański „Nowy Sącz w epoce Wazów", J. Snitka „Zarys pojęć o narodzie", J. Horoszkiewicz „Pamiętnik o stroju narodowym Rplitej polskiej", X. „Wojna grecko-turecka w r. 1897", Aleks. Wybranowski „O dworach i dworkach szlacheckich".

= **Roczniki Towarzystwa Przyjaciół Nauk poznańskiego** tom XXV zesz. 2, 3 i 4, (Poznań, 1900). W. Eliasz „Korony królów polskich", J. Ogończyk „Ks. Adam Czartoryski i Józ. Twardowski, korespondencya 1822—24", Stan. Żdziarski „Trzy listy Stef. Witwickiego".

= **Roczniki Towarzystwa Naukowego w Toruniu** rok VI (Toruń, 1899): prof. dr. A. Karbowiak „Szkoły dyecezyi chełmińskiej w wiekach średnich" i inn.

= **Sprawozdania komisyi do badania historyi sztuki w Polsce** tom VI, zesz. IV: H. Łopaciński „Z dziejów cechu mularskiego i kamieniarskiego w Lublinie", Al. Jelski „O fabryce szkieł i zwierciadeł w Urzeczu na Litwie", Wł. Łuszczkiewicz „Do historyi architektury kościołów wiejskich w Polsce średniowiecznej", Leon Lepszy „Hermy w gabinecie archeologicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego", M. Bersohn „Kilka słów o dawniejszych bożnicach drewnianych w Polsce", F. Kopera „Z zabytków polskich w Petersburgu", Fr. Piekosiński „Pieczęcie polskie wieków średnich".

= **Światowit,** tom II, 1900 (Almae Matri Jagellonicae quingentesimo anniversali MCCCC — MDCCCC): W. Szukiewicz „Kurhany całopalne w Pomusiu (pow. Trocki gub. Wil.)", Fr. Tarczyński „Groby rzędowe kamienne w pow. Płockim", Er. Majewski „Garncarstwo we wsiach Grabowa i Góra (w pow. Stopnickim)", Er. Majewski „Zabytki przeddziejowe w Dziesławicach (pow. Stopnicki), Dr. Wł. Olechnowicz „Narzędzia krzemienne z okolic Chodla w pow. Lubelskim", Er. Ma-

jewski „Ślady Wendów we Frankonii“, M. Wawrzeniecki „Zabytki przeddziejowe w pow. Miechowskim gub. Kieleckiej“, Er. Majewski „Sprawozdanie z wycieczek archeologicznych, dokonanych w latach 1898 i 1899“, M. Butrymówna „Kurhany w Pakalniszkach w pow. Poniewieskim“.

= Na posiedzeniu **Komisyi historyi sztuki** Akademii Umiejętności w Krakowie z dnia 22 lutego r. b. pod przewodnictwem prof. Maryana Sokołowskiego prof. Wł. Łuszczkiewicz przedstawił wypisy z księgi wydatków, odnoszące się do artystycznych prac w kościele św. Katarzyny w Krakowie w latach 1712 — 1713, sporządzone przez ks. A. Sutora, p. Julian Pagaczewski zaś odczytał pracę o tak zw. jasełkach czyli figurkach szopek kościelnych z drugiej połowy XIV w., z w. XV i późniejsze, które odnalazł w klasztorze św. Andrzeja w Krakowie; wreszcie przewodniczący zestawił te jasełka z innemi znanemi dotychczas, zaznaczając, iż figurki z XIV w. należą do najstarszych.

B. Filozofia. **Kozłowski Wł. M.** Psychologiczne źródła niektórych zasadniczych praw przyrody (odbitka z Przeglądu Floz.), Warszawa, 1899.

C. Socyologia. **Dmowski R.** Wychodźtwo i osadnictwo, cz. I, Lwów, 1900.

D. Historya. **Album biograficzne** zasłużonych Polaków i Polek wieku XIX, tom I zeszyt IX—X, Warszawa, 1900,

= **Dzieje Powszechne ilustrowane,** zeszyt 281—300, Wiedeń, 1900.

= **Kozłowski Wł. M.** Listy Kniaziewicza do Dąbrowskiego i Kościuszki. Lwów, 1899.

= **Krotoski Kazimierz** dr. Gall, scholastyk poznański, i jego kronika, Lwów, 1899.

= **Maercker H.** Geschichte der ländlichen Ortschaften und der kleineren Städte des Kreises Thorn, Lieferung II (Schriften der westpreus. Geschichtsvereins). Danzig, 1900.

= **Rembowski Aleksander.** Źródła do historyi pułku polskiego lekkokonnego gwardyi Napoleona I, Warszawa, 1900.

= **Śmigielski Walenty ks.** Wspomnienia z Kulturkampfu, 1875 — 1875. Ostrów i Gniezno, 1900.

= **Wernic Henryk.** Historya powszechna, opowiedziana i zaopatrzona pytaniami, III, czasy nowożytne, Warszawa, 1900.

E. Literatura. **Heck Korneli J. dr.** Najnowsze publikacye o Pasku tudzież o czasie powstania i częściach składowych jego Pamiętników, Kraków, 1900.

= **Lutosławski Winc.** Bańki mydlane, pogląd krytyczny na tak zwany satanizm nagich a pijanych dusz, Kraków, 1899.

= **Strzelecki Adolf.** Szekspir i Bakon, studyum, wyd. 2-gie, Lwów, 1900.

= **Wyzewa Teodor de.** Le roman contemporain à l'étranger (Ecrivains étrangeres, III), Paris, 1900.

= **Z ziemi pagórków leśnych, z ziemi łąk zielonych.** Książka zbiorowa, poświęcona pamięci Adama Mickiewicza w stuletnią rocznicę jego urodzin, 1798—1898, Warszawa, 1900.

F. Sztuki piękne. **Borowski Józef Skarbek.** Juliusz Korsak, Kraków, 1900.

G. Matematyka i przyrodoznawstwo. **Biernacki Edmund.** Chałubiński i obecne zadania lekarskie, Warszawa, 1900.

= **Lassar-Cohn dr.** Chemia życia codziennego, wyklady publiczne, przełożył M. Stępowski, z przedmową Juliana Ochorowicza, Tom I — II (Biblioteka dzieł wyborowych № 121—122), Warszawa, 1900.

= **Ołtuszewski Wł. dr.** Zadanie rodziców oraz społeczeństwa względem dzieci upośledzonych (idyota, gługtak, zacofany), Warszawa, 1900.

= **W sprawie sanateryów ludowych,** o wartości klimatu swojskiego przy leczeniu gruźlicy, Łódź, 1900.

H. B e l e t r y s t y k a. **Aspiro.** W dolinie łez, powieść współczesna, (dodatek do „Gazety Polskiej"), Warszawa, 1900.

= **Bolanden von K.** Luter w drodze do narzeczonej, przełożył z niem. ks. J. Echaust, wyd. II, Warszawa, 1900.

= **Dygasiński Adolf.** Muchy, szkic z natury — Sen, fantazya, Warszawa, 1900.

= **Gąsiorowski Wacław.** Z pamiętników nowonarodzonego, wydanie III, Warszawa, 1900.

= **Giliński Kazimierz.** Krzywda, powieść, Warszawa—Kraków, 1900.

= **Krasicki Ignacy.** Wybór pism, Warszawa—Kraków, 1900.

= **Przybyszewski St.** Na drogach duszy, Kraków, 1900.

= **Roguski S. M. (Es—Em—Er).** Mąż i pan, opowiadanie, Warszawa, 1900.

= **Rostand Edmund.** Księżniczka zza morza, przekład Maryi Chwalibóg, Warszawa, 1900.

= **Sieroszewski Wacław.** Brzask — Puszcza Białowieska — Grecka szczelica — Dno nędzy, Warszawa — Kraków, 1900.

= **Starzeński Leopold.** Z gawęd starego myśliwca, Warszawa — Kraków, 1900.

= **Sten Jan.** Jeden miesiąc życia.—Hamlet. — Przysięgły. — Spotkanie.— W pełnem słońcu.—Pierwszy wiersz.— Trzy dusze, Kraków, 1900.

= **Tolstoj hr. L. N.** Zmartwychwstanie. powieść, w przekładzie J. A. Święcickiego, Tom I i II (Biblioteka dzieł wyborowych № 123—124), Warszawa, 1900.

= **Wędrychowski Bolesław.** Komedye wierszem, Warszawa, 1899.

I. K s i ą ż k i l u d o w e. **Dygasiński Adolf.** Kukułczę, powiastka, Warszawa, 1900.

= **Gruszecki Artur.** Stach Misiak, powiastka, nagrodzona na konkursie „Gazety Świątecznej", Warszawa, 1900.

= **Kirkor Witold.** Ciekawy Wojtek, Warszawa, 1900.

= „ „ Gawędy Bartłomieja o emigracyi, czyli wędrowaniu, Łódź, 1899.

= **Kirkor Witold.** Pisarz i nauczyciel, Łódź, 1899.

= **Żdżarska Józefa.** Lirnik wioskowy, powiastka, wydanie II, Warszawa, 1900.

J. R ó ż n e. **Rauber A.** O miłości, Warszawa, 1900.

= **Rościszewski Mieczysław.** Gry i zabawy towarzyskie, Warszawa, 1900.

= **Sprawozdanie** roczne stacyi oceny nasion w Warszawie przy Muzeum Przemysłu i Rolnictwa, Warszawa, 1900.

= **Sprawozdanie** z czynności Towarzystwa doraźnej pomocy lekarskiej w Warszawie za rok 1899, Warszawa, 1900.

2. A. F i l o z o f i a. **Stange K.** Einleitung in die Ethik, I, Systeme und Kritik der ethischen Systeme, Leipzig, 1900.

B. Socyologia. **Croce B.** Materialismo storico ed economia Marxistica, Milano, 1900.

C. Historya. **Henne-am Rhyn O.** Handbuch der Kulturgeschichte in zusammenhängender und gemeinfasslicher Darstellung, 1 Lfg., Leipzig, 1900.

= **Kirkup Th.** A history of socialim, new ed., revised and enlarged, London, 1900.

= **Mater (Marshall) John Ruskin.** His life and teaching, London, 1900.

= **Sapożnikow A.** Istoriczeskoje naznaczenije Rossii, Petersburg, 1900.

D. Literatura. **Pokrowskij N.** Muzykalnaja drama, jeja niedawnieje proszłoje, sowremiennoje położenije i nadieżdy na buduszczeje, Petersburg, 1900.

= **Ruskin John.** Praeterita, outlines of scenes and thoughts, perhaps worthy of memory, in my past life, vol. 3, London, 1900.

= **Vellos A. von.** Ueber die Urquellen aller Sprachen, eine Studie, Leipzig, 1900.

= **Wołynskij A. L.** Bor'ba za idiealizm, kriticzeskija statii (Dostojewskij, Sienkiewicz, Nietzsche, Strachow i dr.), Petersburg, 1900.

E. Różne. **Bubis G. M.** Sionistskoje dwiżenje pri swietle kritiki, otkrytoje piśmo k drugusionistu, Petersburg, 1900.

= **Kapnist P.** Kłassicizm, kak nieobchodimaja osnowa gimnaziczeskawo obrazowanja, II Istoriczeskij oczerk razwitja sredn. obrazowanija w Giermanii, Moskwa, 1900.

= **Kłopow A. A.** K woprosu o szkolnoj reformie, słowo k roditielam, wyp. I, Petersburg, 1900.

= **Siergiejewskij N. D.** Kazuistika, sbornik sudiebnych słuczajew dla prakticzeskich zaniatij po ugołown. prawu, izd. 3, Petersburg, 1900.

—*h*.—

---

3. Przekłady z polskiego. „Syn Otieczestwa" zamieścił tłómaczenie opowiadania **Glińskiego** „Hans i Florentyna".

W ostatnich czasach opuściły prasę następujące przekłady dzieł **H. Sienkiewicza:** tom 2 i 3 czeskiego tłómaczenia „Bez dogmatu" w Pradze, „Quo vadis" w języku niemieckim (tłóm. E. i R. Ettlingerowie) w Einsiedel, „Rodzina Połanieckich", przełożona na niemieckie przez wymienionych dopiero, a poprzedzona szkicem biograficzno-literackim przez K. Mutha. W Neapolu ukazał się przekład kilku nowel p. t. „Bartek il vincitore ed altre novelle".

„Biblioteka Siewiera" zapowiedziała na rok b. wydanie 12 tomów przekładów powieści **Kraszewskiego**, a mianowicie: „Książe Michał Wiśniowiecki", „Grzechy hetmańskie", „Król chłopków", „Kniazie Hołuby", „Ostatni z Siekierzyńskich", „Bracia Ramułtowie", „Dwie drogi", „Chata za wsią", „Kordecki" „Sfinks".

„Kijewskoje Słowo" zamieściło przekład noweli **E. Orzeszkowej** p. n. „Dobra pani", a „Siewier" tłóm. opowiadania **B. Prusa** p. t. „Widzenie Jakóba".

4. Udział Polaków w obcych literaturach. W Wiedniu wyszła broszura **S. Madejskiego** p. t. „Politische Betrachtungen".

P. **Kornel Jaskulski** wydał w Czerniowcach rozprawę p. n. „Ueber den Einfluss der socialen Bewegungen auf das moderne deutsche Drama, popularwissenschaftlicher Vortrag".

„Revue des deux mondes“ w zeszycie z 15 stycznia przynosi rzecz **M. T. Wyzewy** p. n. „Cent ans de littérature allemande“, a „Revue scientifique“ rozprawę p. **Klossowskiego** p. t. „Vie physique et notre planète“.

5. Cudzoziemcy o rzeczach polskich. „Zeitschrift des Vereins für Geschichte und Alterthum Schlesiens“, wydawane przez Grünhagena w Wrocławiu, przynosi w roczniku XXXIII następujące rozprawy, tyczące się nas, d-ra Staendera „Die Handschriften der königl. Universitätsbibliothek zu Breslau“, F. Piebatscha „Der Glogauer Erbfolgestreit“, W. Schultego „Die Nachrichten der Cisterzienser über Kloster Leubus“ i J. Jungnitza „Beiträge zur mittelalterlichen Statistik des Bisthums Breslau“.

W **Revue des Revues** z 15 stycznia znajdujemy artykuł pióra Anatola Leroy Beaulieu p. n. „L'Avenir de la Nationalité polonaise“. **Bulletin polonais** z 15 lutego zamieścił artykuł p. t. „Deux poètes français en Pologne“, **Revue encyklopédique** z 13 stycznia obszerny nekrolog Fr. Smolki pióra Ludwika Legera.

Piękne artykuły o H. Sienkiewiczu napotykamy w rzymskiej **Tribunie** z 15 stycznia i medyolańskim **H. Tempie** z 23 stycznia.

St. Zdziarski.



Wydawcy: ***Wł. Spasowicz*** i ***St. Łaguna***.
Redaktor: ***Ignacy Chrzanowski.***

OGŁOSZENIE.



Rada Cesarskiego Uniwersytetu Warszawskiego podaje niniejszem do wiadomości publicznej, iż 1) z dn. 1 kwietnia (st. st.) upływa termin składania rozpraw konkursowych z dziedziny medycyny teoretycznej i chirurgii dla uzyskania nagrody im. Adama Chojnackiego w ilości r. 900, i że 2) od tegoż dn. 1 kwietnia wyznacza się termin dwuletni (od 1 kwietnia r. 1900 do 1 kwietnia r. 1902) nadsyłania rozpraw konkursowych z dziedziny medycyny popularnej dla uzyskania takiejż nagrody. Do współzawodnictwa dopuszczają się tylko prace oryginalne, rękopiśmienne lub drukowane. Z drukowanych mogą być dopuszczone tylko te prace, które zostały ogłoszone w ciągu 4 ostatnich lat, poprzedzających konkurs. Rozprawy mają być napisane w języku rosyjskim. Rękopisy powinny być czytelne i czyste. Prawo do nagrody przysługuje tylko poddanym rosyjskim; w żadnym razie nie może być ona rozdzielona między dwoma lub kilku autorami. Prace, przeznaczone na konkurs z dziedziny medycyny popularnej, mają być przesłane na ręce wydziału lekarskiego Cesarskiego Uniwersytetu Warszawskiego przed 1 kwietnia 1902 r. Autorowi pozostawia się w zupełności wybór języka, w którym ma być drukowana jego praca rękopiśmienna, zaszczycona nagrodą. Nagroda będzie wypłaconą autorowi drukowanej pracy lub jego prawnym spadkobiercom w dn. 11 (24) grudnia 1902 r. po uprzedniem złożeniu w Uniwersytecie 150 egzemplarzy dla rozdania profesorom Cesarskiego Uniwersytetu Warszawskiego i wymiany z innemi instytucyami. Jeśli zaś nagrodzoną będzie praca rękopiśmienna, wydrukowana następnie nie w języku rosyjskim, to może być ona przedstawiona Uniwersytetowi dla otrzymania nagrody, lecz nie inaczej, jak po poświadczeniu przez Wydział Lekarski zgodności i wierności tłómaczenia. Rękopis tego poświadczenia musi być przedstawiony Radzie nie później, jak w trzy miesiące po nadesłaniu pracy drukowanej. Jeśli zaś zaszczycona nagrodą praca dla jakichkolwiek bądź przyczyn nie będzie nadesłaną Uniwersytetowi w 150 egzemplarzach do dn. 11 (24) grudnia 1902 r., to w dniu tym zostanie ogłoszone w miejscowych pismach przyznanie nagrody, nagroda zaś będzie wydaną dopiero po przedstawieniu wyżej wymienionej liczby egzemplarzy.





